


Ex Libris
BIBLJOTEKI
PUBLICZNEJ
IMIENIA
STEFANA HEMPLA
SEJMIKU
RADOMSKIEGO
W RADOMIU.

NAUKA POEZYI

zawierająca

teoryą Poezyi i jéj rodzajów

oraz

ZNACZNY ZBIÓR

NAJCELNIEJSZYCH WZORÓW POEZYI POLSKIÉJ

do Teoryi zastósowany.

Przez

H. Cegielskiego,

Dok. Fil., b. Nauczyciela przy król. Gimnazyum Śtéj Maryi Magdaleny w Poznaniu.

(Uzupełnił professor Dr. **Władysław Nehring.**)

Wydanie piąte pomnożone.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1879.

Czcionkami H. Schmädickiego w Poznaniu.



Dobréj i nauki miłującéj

MŁODZIEŻY

książkę tę poświęcam

H. C.



PRZEDMOWA.

Nauka Poezyi H. Cegielskiego wraz z dołączonemi wzorami Poezyi polskiéj jest w ręku uczącéj się młodzieży nie tylko książką naukową, ale i skarbniczką poezyi narodowéj, gdyż zawiera wybór najznakomitszych utworów téjże poezyi. Od czasu jednakże ukazania się pierwszego wydania w r. 1845, książka ta w miarę rosnącego bogactwa poezyi polskiéj coraz mniéj odpowiadała intencyom autora i potrzebom kształcącéj się młodzieży, i coraz więcéj dawała się czuć potrzeba uzupełnienia wzorów poetycznych temi utworami, które po r. 1845 się ukazały i stanowią rzeczywiste zbogacenie narodowéj poezyi polskiéj. Czyniąc zadość życzeniom pana Żupańskiego, podjąłem się téj pracy i wcieliłem do dotychczasowego wyboru te utwory poezyi polskiéj z lat ostatnich 25, które dla piękności myśli i formy pomieszczenia w niniejszéj skarbniczce się domagały. Obok względów ogólnych i koniecznych na władze szkólne i na usposobienia młodzieży, głównie względy pedagogiczne kierowały moim wyborem. Ta okoliczność wystarczy na wytłumaczenie, dla czego z pośród wielkiego bogactwa no-

wszéj poezyi polskiéj nawet niejedno z jéj arcydzieł pomieszczenia w niniejszéj książce nie znalazło. Gdzie zaś wolność wyboru wiązana była tylko względami na konieczność nieprzekraczania pewnéj objętości całego dzieła, przytaczałem wyjątki, wiążąc je kilku słowami w całość, lub w dopisku przypominając osnowę téjże całości. —

W czasie przygotowań do niniejszego wydania oświadczył także śp. Hipolit Cegielski gotowość swoją do przejrzenia i przerobienia *teoryi* Poezyi i zabrał się już do téj pracy, ale rozliczne zajęcia i przedwczesna śmierć nie pozwoliły mu dokonać zamiaru. W pozostałym rękopisie widać nową redakcyą textu tylko w rozdziałach wstępnych aż do podziału Poezyi. Nie wahałem się tych rozdziałów podług przejrzanéj redakcyi podać do druku, bo odmiany w dawniejszym texcie poczynione nie naruszają w niczém układu całości, mianowicie zaś danego podziału Poezyi na rodzaje i gatunki, i zapatrywania się na istotę ich i formę. Porównanie z textem dawniejszych wydań to okaże. — Do przerobienia dalszego textu nie czułem się powołanym, bo choć z rozmów i wymian myśli z nieodżałowanym, śp. autorem wiedziałem, w jakim duchu i sposobie niejedno twierdzenie, niejedno zasadnicze zapatrywanie chciał inaczéj przedstawić lub uzupełnić, to jednakże harmonia całości wymagała, aby *sposób* i *forma* tych odmiennych pomysłów i widoków dokonane były tą samą, co owa całość, ręką. Natomiast uważałem za konieczne, pod trzema względami dalszy text, nietknięty porządkującą ręką śp. H. Cegielskiego, uzupełnić lub w odmienną formę ująć, i uczyniłem to z tém większą gotowością, że spełniałem tylko własne intencye autora. Stósownie do planu, wedle którego autor porządkował text w przejrzanéj przez siebie części, i w dalszych częściach poczyniłem odpowiednie ustępy w texcie i opatrzyłem je napisami; dodałem uzupełniające wiadomości do *Przeglądów* poezyi epicznéj, romansu, sielanek, poezyi lirycznéj itd.; w reszcie dodałem pod rubryką o Powieści Epicznéj ustęp o *Gawędzie*, zgodny z zapatrywaniem się śp. H. Cegielskiego. Tych zmian i uzupełnień rzecz sama koniecznie wymagała.

Wrocław, w sierpniu 1869.

Władysław Nehring.

MYŚLI WSTĘPNE.

O Sztuce w ogólności.

---

1. *Oznaczenie wyrazu Sztuka.*

Przedmiotowe znaczenie wyrazu Sztuka. — Wyraz *Sztuka* oznacza właściwie rzecz jakąś pojedyńczą, już to jako część z większéj całości, już to jako jednostkę z ogółu rzeczy; i w jakiém to znaczeniu mówimy: *Sztuka drzewa, łamie się coś na sztuki* itp. Jest to znaczenie wyrazu tego najwłaściwsze i najpospolitsze, a do tego li tylko ogólne, przedmiotowe i zmysłowe, ponieważ oznacza tylko jeden przedmiot z ogółu przedmiotów zmysłowych.

Tenże wyraz przeniesiony z obrębu rzeczy naturalnych w obręb rzeczy będących dziełem człowieka, oznacza takoż rzecz pojedyńczą, ale już nie li naturalną, żywcem z natury wziętą, tylko rzecz roboty ludzkiéj, a więc dzieło człowieka w niższéj sferze, dzieło roboty mechanicznéj, ręcznéj tylko, czyli *rękodzieło,* w wyższéj zaś jakie dzieło roboty pięknéj rzeźbiarskiéj, malarskiéj, muzycznéj, poetyckiéj itp. W tém rozumieniu mówimy: *Żaden rzemieślnik jawnie robić nie może, aż sztukę uczyni; sztuki subtelnym pędzlem malowane; grać nową sztukę* itp. Sztuka i w tém znaczeniu wyraża także część lub jednostkę, atoli już nie z przedmiotów świata ogólnego przyrodzonego, tylko z obrębu ściśléj określonego, z obrębu dzieł ludzkich bo oznacza pojedyńcze dzieło roboty ludzkiéj. Znaczenie to jest już nieco wyższe, lubo także jeszcze tylko przedmiotowe.

Znaczenie czynności w wyrazie Sztuka. — Ponieważ Sztuka w tém rozumieniu, będąc dziełem człowieka, azatém płodem czynności jego ręcznéj i umysłowéj, mieści w sobie zarazem zręczność, zdolność i pomysł człowieka; więc téż przez Sztukę rozumiemy daléj samąż czynność i robotę

sztuczną t. j. zręczną, niepospolitą, wytworną. I w takiém to znaczeniu mówimy; *wielka sztuka! to nie sztuka! sztuki dokazać; sztuka wielka, mały pożytek* itp. Owóż w przedmiotowe znaczenie rzeczy sztucznie zrobionéj wkładamy oraz znaczenie zręczności, zdolności i usposobienia człowieka, który jest twórcą jakiegoś dzieła; czyli wyraz Sztuka przechodzi zwolna ze znaczenia *przedmiotowości* do znaczenia *czynności*, tak iż w sposobach mówienia, jakiemi są: *z wielką grać sztuką, iść z kim o sztukę*, wyraz ten traci prawie całkiem owo przedmiotowe znaczenie rzeczy, a wyraża samą tylko zręczność i biegłość osoby.

Znaczenie wyrazu Sztuka w dziełach Sztuk pięknych. — Dwa te ostateczne i przeciwległe znaczenia wyrazu *Sztuka*, z których jedno samemu należy się *przedmiotowi*, a drugie saméj *czynności*, łączą się w owéj *Sztuce*, która oznaczając pojedyncze *dzieło* ręki i umysłu człowieka, mieści w sobie zarazem *zręczność, sztuczność*, w ogóle *sztuczną czynność* tego, który dzieło jakieś tworzy. Jest to znaczenie, jakie nadajemy wyrazowi temu w dziełach tak nazwanych *Sztuk pięknych*. Jakoż mówiąc o *dziełach Sztuk pięknych* trudno jest oddzielić znaczenie dzieła jako przedmiotu, rzeczy, od znaczenia dzieła, jako płodu dzielności, czynności i biegłości człowieka. I w tém to obustronném, pełném znaczeniu, mianujemy *Sztuką* architekturę, snycerstwo, malarstwo, muzykę i poezyą, rozumiejąc przez nie i *dzieła* same i *dzielność* tych, którzy dzieła podobne stwarzają, czyli twórczość Sztukmistrzów. Jest to ostatnie, najpóźniejsze, ale też najwyższe i najszlachetniejsze znaczenie Sztuki, w którém się jednoczą i podwyższają zarazem wszystkie poprzedzające.

Widzimy z tego, że pierwotne znaczenie wyrazu *Sztuka*, zrazu bardzo pospolite i ograniczone, zapełniało się i uszlachetniało w miarę postępu i oświaty narodu. Przeszedłszy przez stacyą *przedmiotowości, przemysłowości* i wszystkie stopnie pośrednie, dostało się do dziedziny i dostojeństwa *Sztuk pięknych*. Na tém więc stanowisku, i w miarę tego co się powiedziało, określićby można tymczasowo *Sztukę* jako *utwór człowieka*, rozumiejąc przezeń nietylko *dzieło* samo jako przedmiot, ale także *dzielność i twórczość* Sztukmistrza; bo i wyraz *utwór* oznacza tak tworzenie jak rzecz utworzoną. To też w każdém dziele Sztuki widzimy i podziwiamy dzielność, talent, myśl i pracę Sztukmistrza, a ta znów dzielność, myśl i praca o tyle tylko jest przedmiotem naszéj uwagi i podziwienia, o ile w dziele przedmiotowém jest złożona.

Uwaga. Nie każdy naród z tego samego, co polski, wyszedł początku i rozumienia o *Sztuce*. Różnica nazwy i pierwiastku służącego za początek téj nazwy w różnych językach, jest oraz skazówką różnicy w pojmowaniu Sztuki, różnicy stanowiska, z jakiego się narody na Sztukę zapatrywały i do pojęcia jéj doszły. Że wyraz *Sztuka* w najwyższém rozumieniu nie jest przyswojeniem niemieckiego wyrazu *Stück*, ale tylko do spólnego źródłosłowu odniesionym być winien, to pokazuje się z jednostronnego i li materyalnego znaczenia wyrazu *Stück*, a różnego i uszlachetnionego znaczenia *Sztuki*. Kiedyś znaczył naturalnie wyraz Sztuka to tylko, co niemiecki wyraz Stück, atoli z rozprzestrzenieniem wyobrażeń i postępem umysłowym, zapełniał i uszlachetniał się ten wyraz, zostawiwszy poza sobą niemieckie *Stück* na niskim owym stopniu przy znaczeniu najpospolitszém, tak iż pomieścił w sobie wszystkie znaczenia, które Niemcy wyrażają przez *Stück, Meisterstück, Kunst i Kunstwerk*. Był więc wyraz ten świadkiem cywilizacyi narodu polskiego, azatém sięga czasów odległych, gdzie spólności jego znaczenia z wyrazem niemieckim *Stück* szukać należy.

Sztukę w najwyższém, umiejętném znaczeniu, mianują Niemcy *Kunst*. Pochodzi ten wyraz od tego samego pierwiastku co słowo *können*, oznacza więc właściwie *możność, zdolność* człowieka, a nie dzieło samo, które ma osobne miano *Kunstwerk*. Zdolność leżąca w wyrazie *Kunst* jest prawie tém samém, co dzielność, sztuczność, twórczość w wyrazie Sztuka: skąd się pokazuje, że Niemcy w wyobrażeniu swojém o Sztuce z całkiem przeciwległego wyszli stanowiska, t. j. ze stanowiska *czynności*. Toż samo powiedzieć można o greckim wyrazie τέχνη pochodzącym od słowa πεύχω *robię*, i łacińskim *ars*, który jak się zdaje, tego samego jest pierwiastku, co greckie ἄρω *składam, robię* itp.

§. *Różnica między Sztuką a Naturą.*

Sztuka, będąca utworem człowieka, a w szczególności Sztukmistrza, różni się tém samem od natury i jéj utworów. Różnica ta widoczna jest pod względem tak *przedmiotowości* jak *czynności*.

Przez *utwory naturalne* we względzie *przedmiotowym*, rozumiemy obszar rzeczy całego świata, których czynność człowieka żadnego nie ma udziału; *utwory* zaś *Sztuki* są dziełem człowieka, i noszą piętno jego dzielności. Toż znów pod względem *czynności* rozróżniamy także *czynności przyrodzone* od tych, które pochodzą z woli i samodzielności człowieka. Ruch, śmiech, sama nawet mowa są czynnościami przyrodzonemi, bo należą do naturalnych usposobień człowieka, do których on sam przyczyniać się nie potrzebuje. Przeto też czynności przyrodzone są po większéj części i zwierzętom spólne. Pszczoła urabia dziwnie regularne komórki, jaskółka, bocian i inne ptastwo składają sztuczne, jak to mówią, gniazda, a przecież czynności te nie są sztuką, tylko funkcyą przyrodzoną, instynktową, która się nigdy nie

zmienia, całemu służy gatunkowi i od woli lub dzielności pojedyńczego ptaka bynajmniéj nie zależy. *Czynność* zaś *Sztuki*, jakkolwiek źródło swoje ma w usposobieniu i zdolnościach przyrodzonych, jest jednak wolny i samodzielnym aktem człowieka. Nie jest ona zatém rzeczą ani konieczżnym skutkiem instynktu całego gatunku, tylko pojawem ludzi pojedyńczych i szczególnego ich usposobienia: miała ona swój początek, postęp, znów upadek i odrodzenie, jednem słowem miała ona swoją historyą. Zmieniając się i doskonaląc, z czynnością pszczoły lub jaskółki w porównanie iść nie może.

Wypada stąd, że lubo natura ogromem, wspaniałością i doskonałością utworów swoich daleko wyżéj ponad utworami Sztuki stać się zdaje, to wszelako w stosunku do téjże Sztuki, jako utworu ducha ludzkiego, podrzędne zajmuje stanowisko. Pod względem przedmiotowym dostarcza ona tylko materyałów, jako marmuru, farb, głosów itp., a człowiek dopiero przeobraża je, nadając im znamię woli i myśli swojéj i wlewając w nie też myśl swoją. Co się zaś czynności dotyczy, to odbiera wprawdzie człowiek zdolności przyrodzone, atoli doskonali je, robi z nich użytek dowolny i tworzy dzieła według własnych pomysłów, jakich nawet w naturze nie spostrzegamy.

3. *Różnica między dziełami Sztuki a dziełami Przemysłu. — Piękność.*

Określona jest dotąd Sztuka o tyle, o ile się okazała być *Utworem* człowieka, azatém dziełem i dzielnością jego. Człowiek względem takiego utworu swego jest *twórcą*, *mistrzem* dzieła.

Wszakże niekażdy utwór, choćby nawet bardzo sztuczny, jest dziełem Sztuki w najwyższém owém rozumieniu. Stolarz i złotnik także są czynni i zręczni, przetwarzają rzeczy natury, nadają im kształt i typ woli i zręczności swojéj, a przecież dzieł ich nie liczymy do Sztuk w właściwém wyrazu tego znaczeniu. A więc utwór, choćby z przymiotami twórczości, sztuczności i zręczności, nie określa jeszcze Sztuki dostatecznie, i inne warunki miéć musi jeśli się od utworów niższego rzędu, od utworów rzemieślniczych i rękodzielniczych różnić, i do sfery Sztuki wyższego rzędu i wyższego znaczenia należeć ma. Warunki te znajdujemy w *celu utworu*.

Użytek jako cel utworów przemysłowych. — Jakoż przypatrując się robotom choćby najwytworniejszym rzemieślnika i rękodzielnika, widzimy, że roboty te mają cel li praktyczny, ponieważ dążą tylko do zaspokojenia potrzeb ludzkich, a więc ostatecznym ich celem jest *użytek*. Rękodzielnik *przemyśla*, jakby dzieła swoje wyrobić, iżby celowi swemu, t. j. użytkowi, najlepiéj odpowiadały, i dla tego zakres takowéj pracy *Przemysłem* nazywamy. Jeśli dzieła przemysłowe celowi swemu odpowiadają, są *dobremi*; w przeciwnym razie odmawiamy im tego przymiotu. To też *dobroć* głównym jest przymiotem, a *użytek* głównym celem dzieł przemysłowych, które, ponieważ przedewszystkiem dołożenia ręki wymagają, *rękodziełami* się zowią. Również dzielność rękodzielnika najbardziéj na *zręczności* polega.

Tęż samą miarę *użytku* i *dobroci* przykładamy także do utworów natury i jéj zjawisk, tych samych nawet przymiotów szukamy w świecie moralnym. Deszcz, grzmot, wiatr, ciepło, mogą być użyteczne lub szkodliwe, okolica jest dobra lub zła, według tego. czy jest urodzajna lub nieurodzajna. Postępek jakiś jest użyteczny, kiedy celowi odpowiada i spodziewane przynosi korzyści; dobrym jest, kiedy wyobrażeniom o moralności zadosyć czyni.

Piękność jako cel utworów sztuki. — Atoli już w świecie naturalnym nie saméj tylko dostrzegamy użyteczności i dobroci. Światło księżyca wśród nocy pogodnéj, zorza ranna na jasném tle niebios, piękna dolina ozdobiona trawą i ziołami, przerznięta szeleszczącym strumykiem, i inne tym podobne objawy przyrodzone, obojętne są widzowi co do użytku i dobroci, ale widokiem swoim rozweselają jego duszę i przyjemne nań czynią wrażenie. Owszem, wulkaniczny wybuch Wezuwiusza szkodliwym być może, bystry i przepaścisty wodospad niebezpieczną lub niepodobną czyni żeglugę, ale lawą ziejące ognie wulkanu i w srebrne krople rozpryskujące się strumienie z łoskotem spadającéj wody, wspaniały przedstawiają widok. Toż i w świecie moralnym rozróżniamy czyny dobre i użyteczne od tych, które podziwienie lub rozkosz w duszy naszéj wzniecają. Dopieroż w utworach Sztuki nie pytamy wcale prawie o ich bezpośredni użytek, jedno o to, jakie na czucie i umysł nasz wrażenie sprawiają. Miarą tego wrażenia jest wewnętrzne *zadowolnienie* i *przyjemność*, a własności i przymioty utworu sztucznego wypełniające warunki tego zadowolnienia i téj przyjemności wrażenia stanowią *Piękność* utworu.

Polega więc *Piękność* w Sztuce na jakimś tajemniczym związku pomiędzy utworem a duszą naszą, na jakiejś har-

monii rozlanéj w dziele Sztuki, która w duszy naszéj równąż rodzi harmonią. I ten to przymiot głównie wyróżnia dzieła Sztuki od dzieł przemysłu: Piękność jest jednym z najgłówniejszych warunków, a jedynym prawie celem Sztuki.

4. *Piękność i równe jéj stopnie. — Życie.*

Przymiot Przyjemności. — Aczkolwiek Piękność polega głównie na wrażeniu zadowolnienia i przyjemności, jakie w duszy naszéj sprawia, to wszelako przyjemność sama, często od osobistego usposobienia widza lub słuchacza zależna, za dokładną miarę Piękności służyć jeszcze nie może. *Przyjemne* jest nam to, co chętnie i mile *przyjmujemy*; azatém przymiot ten, jako od stosunku pojedyńczego człowieka do rzeczy należący, bezwzględnéj Piękności nie stanowi, lubo jéj głównem jest znamieniem. Przyjemna więc, choć nie piękna, jest okolica, jeśli komuś miłe sprawia wrażenie, skądkolwiek takowe pochodzi. Niekoniecznie piękną, ale przyjemną jest osoba, kiedy wzięciem, wymową lub inną jaką zaletą na otaczających miłe sprawia wrażenie. To też przyjemność, jako przymiot względny, za powszechne prawidło w osądzeniu o Piękności służyć nie może.

Przymiot Ładności. — Pewniejszym już i wyższym przymiotem jest *Ładność*. Ładnem jest to, co ma w sobie *ład*, t. j. porządek i zgodny skład pojedyńczych części w całość. Ładna jest okolica, kiedy bez względu na osobiste usposobienie widza, dla zgodnego składu podoba się układem swojéj całości. Nie piękną jeszcze, ale ładną jest osoba, kiedy skład pojedyńczych części i rysów proporcyonalnych jest i zgodny. Stąd też sąd o ładności nietyle już zależy od osobistego usposobienie widza lub słuchacza, ile raczéj od zewnętrznéj jakości rzeczy saméj; przymiot ten mniéj jest względny od poprzedzającego.

Przymiot Piękności. — *Piękność* jednoczy w sobie warunki Przyjemności i Ładności w najwyższéj obudwóch potędze. Polega ona z jednéj strony na przyjemności wrażenia, na wewnętrzném zadowolnieniu duszy, jakie objaw lub przedmiot jakiś zewnętrzny na nas sprawia, z drugiéj strony na owym ładzie, na harmonii tchnącéj z tegoż objawu lub przedmiotu, i to równie z formy jak z istoty rzeczy. Polega więc taż Piękność na doskonałości formy i treści razem, i na zgodności harmonii téj zewnętrznéj z wewnętrzną harmonią duszy naszéj. Jest to dźwięczna harmonia w kształtach zewnętrznych, przez które przeglada myśl i odzywa się dusza i istota rzeczy, rodząc w umyśle człowieka równie dźwięczną harmonią. I ta to Piękność jest pięknością Sztuki głównym jéj znamieniem i celem. Stąd to poszło, że pojedyńcze jéj części *Sztukami pięknemi* się zowią.

Uwaga. Od Piękności odróżnić należy *Ozdobę*. Tamta jest przymiotem rzeczy właściwym, do istoty jéj należącym. Ozdoba jest przydatkiem, który wrażenie piękności podnieść może, ale sam piękności téj rzeczy nie stanowi. Ku ozdobie np. architektury służy snycerstwo i malarstwo, ku ozdobie poezyi, muzyka, deklamacya itp. Wszakże Ozdoba sama w sobie znów także ozdobną Piękność stanowić może; ale przydana rzeczy mniéj pięknéj, kontrastem swoim przeciwny sprawia skutek. Skąd to piękna Ozdoba strojąca osobę brzydką brzydkość jéj tym wydatniéjszą czyni,

Piękność materyalna. — Piękność objawia się albo w *materyi*, albo w *formie*, albo wreszcie w całéj *istocie* rzeczy. I tak pięknemi nazywamy kolory: biały, czerwony, niebieski; rozróżniamy je nawet, mianując jeden piękniejszym od drugiego, a to w ogóle w miarę osobistego upodobania i *gustu*, tak iż Piękność na stopniu tym materyalnym, idąc pod sąd osobistego usposobienia, najbardziej jeszcze wrażeniu i przymiotowi Przyjemności odpowiada. Toż [i Sztuka na najniższym tym stopniu stwarza tylko Piękność materyalną, która się np. u malarza zasadza na doborze pięknych kolorów.

Piękność formalna. — Piękność *formalna* polega już na składzie i harmonii wszystkich części pojedyńczych, zlewających się w jednę kształtną całość; to też znów ta Piękność, zasadzająca się niejako na ładzie i harmonii pojedyńczych części, przymiotowi Ładności odpowiada. Na tym stopniu rozróżniamy piękność kształtów: okrągły piękniejszy jest od ostrego i kończatego, prosty od krzywego, równy i gładki od chropowatego i szorstkiego. Piękność *formalną* stwarza np. malarz, kiedy potrafi dobierać kolory i ułożyć je w regularne kształty, koła, linie, wieńce itp.

Piękność istotna. — Piękność *istotna*, łącząc w sobie piękność materyi i formy, polega zatém na zgodności kształtów zewnętrznych z wewnętrzną myślą a więc istotą rzeczy, zatém na doskonałości formy i treści razem, oraz na harmonii, która z istoty rzeczy przez formy jéj zewnętrzne przebija i w duszy naszéj równą sprawia harmonią. —

Życie jako najwyższe znamię Piękności. — A jako połączenie duszy z ciałem stanowi życie człowieka, a życie to objawia się przez wpływ duszy na ciało i harmonią między obojgiem; tak odblask istoty rzeczy w odpowiednich jéj formach, i harmonia między tą istotą a jéj formą zewnętrzną stanowi *Życie* w przedmiotach Sztuki. Im większa zachodzi

zgodność pomiędzy istotą rzeczy a jéj formą zewnętrzną, im wyraźniejszy i zgodniejszy jest ów odblask istoty rzeczy w jéj formach, i im zdolniejszą jest taka harmonia wywołać równą harmonią w duszach naszych, tém wiécéj Życia przemawia przez Sztukę i tém większe w duszy naszéj sprawia wrażenie i zadowolnienie. To téż Życie w tém rozumieniu, jako myśl i istota objawiająca się w odpowiednich kształtach zewnętrznych, jako harmonia myśli i formy przemawiająca do duszy naszéj i równą wywołująca w niéj harmonią, jest najwyższém Piękności warunkiem i znamieniem. Tak w świecie przyrodzonym, jak w Sztuce najpiękniejszém jest to, co najwięcéj ma życia. Jakoż oko człowieka nie samym jasnym błękitem, ani samą gładkością, miękością i kształtu krągłością upodobanie wzbudza; piękne jest o tyle, o ile przez błękit i kształt jego przeziera życie i niejako dusza człowieka. Stąd to oko zwierciadłem duszy mianujemy; stąd oblicze jest głównem siedliskiem i najdokładniejszą miarą piękności. Im mniéj dzielnie objawia się to życie, tém niższy jest stopień piękności; przeciwnie tém wyższa jest piękność, im życie pełniejsze i dzielniejsze. Robaki, owady, mniéj są piękne, bo pełzają przy ziemi, mniéj życia objawiają; pięknym natomiast jest koń, bo w wydatnych jego kształtach, w widocznych proporcyach, w wejrzeniu nawet, przebija dzielność i pełność życia. Najwyższém i najdzielniejszem jest życie człowieka, i dla tego też najwięcéj piękności w sobie mieści, jest ono niejako wyobrazicielem życia i piękności. Idzie za tém, że każde dzieło Sztuki tém piękniejszem się staje, tém mocniéj do nas przemawia, im więcéj życia ludzkiego w sobie mieści. Okolica przyozdobiona choćby małym nawet wizerunkiem człowieka, nabiera więcéj interesu i życia; koń z kamienia lub na płótnie wznioślejsze czyni wrażenie, kiedy jest w ręku człowieka. Dopieroż obraz samego człowieka, jego życia tak prywatnego jak publicznego, jego czynów losów historycznych, jest najwyższą sferą Piękności i najcelniejszém Sztuki zadaniem.

5. *Rozmaitość i Jedność.*

Rozmaitość. — Im pełniejsze jest życie, tym wyższy stopień piękności tak w naturze jak w Sztuce. Pełność zatem życia, jako główny piękności warunek, z całego utworu przeglądać winna, azatem objawiać się w wszystkich trzech stronach piękności, w materyi formie i istocie. Najbliższém

i najwyraźniejszém znamieniem takowéj pełności jest *Rozmaitość*, któréj brak sprawia *Jednostajność,* a tém samém niedostatek życia i piękności. Rozmaitość żywiołów podnosi życie, a tém samém wspiera i podnosi piękność, gdyż kombinacya różnych żywiołów pełniejsze i wspanialsze czyni wrażenie, aniżeli każdy pojedyńczy żywioł z osobna. Kolory dobrane i złączone, kwiaty różnobarwne w jednę ułożone równiankę, podnoszą piękność każdéj części z osobna, i całością swoją większe wzniecają upodobanie. Wszakże z drugiéj strony kombinacya fałszywa znosi piękność żywiołów pojedyńczych; kolory żółty i zielony, piękne są same w sobie, ale połączenie ich znosi tę piękność i niedobre czyni wrażenie. Harmonia muzyczna zasadza się także na zgodności tonów rozmaitych, ale zebranie tonów nieprzypadających do siebie rodzi dysharmonią. Toż i piękność w architekturze rośnie przez skombinowanie różnych kształtów w jednę rozmaitą ale zgodną całość. Kształty zbyt jednostajne sprawiają brak effektu i życia. Budowa Gotycka właśnie rozmaitością kształtów tak wspaniałe sprawia wrażenie: obok linii prostych pełno ma kształtów okrągłych, łuków, półkoli, i znów wież wysmukłych, sterczących i kopuł wspaniałych. Widoczniéj jeszcze występuje rozmaitość i obfitość kombinacyi w sztukach doskonalszych, malarstwie, muzyce i poezyi. Już obraz historyczny więcéj ma żywiołów piękności, aniżeli wizerunek męża pojedyńczego, a obraz przedstawiający różnobarwną okolicę, niebo, światło, zwierzęta i ludzi powabniejszy jest, aniżeli obraz pojedyńczych żywiołów w skład ów wchodzących. Cóż dopiero mówić o poezyi, mianowicie epicznéj i dramatycznéj? Sama ich natura wymaga rozmaitości żywiołów, kombinacyi okoliczności i charakterów, pełności życia różnostronnego, a całość już w sobie skombinowana stanowić może dopiero część większéj całości, tak iż przez powiązanie ogniw w jeden ciągły łańcuch przez rozszerzenie i zapełnienie widokręgu, powstaje świat pełen rozmaitości i życia.

Jedność — Atoli rozmaitość ta, ponieważ do jednéj należy całości, granic *Jedności* przechodzić nie może. Jedność wymaga, aby wszystkie części, choćby najliczniejsze i najrozmaitsze, do jednego zmierzały celu, jeden miały wspólny charakter jednę myśl wyrażały, azatém jednę artystyczną tworzyły całość. Kontrasty zbyt bijące, brak przejścia z jednego kształtu do drugiego, niezgodność pojedyńczych obrazów, rozrywają całość dzieła, sprawiają rozstrój i nużą umysł, który gubiąc się po częściach różnorodnych, całości ogar-

nąć ani wspólnéj myśli odgadnąć nie zdoła. Doznajemy takiego wrażenia w kompozycyach muzycznych, które zbytnią rozmaitością, bijącemi kombinacyami i kontrastami, jako też przepełnieniem tonów, ucho silnie uderzają, ale w duszy nie rodzą pięknej harmonii; widzimy to w obrazach przepełnionych rozmaitością kolorów i scen, widzimy to samo w poezyach, w których nagromadzone żywioły, zdarzenia, charaktery i myśli, jaskrawym blaskiem lśnią i łudzą, ale nie mając jedności wewnętrznéj, nie tworzą pięknego i doskonałego dzieła Sztuki i nie przemawiają do duszy naszéj. Taka bowiem przesadzona kombinacya sprzeciwia się uczuciu naszemu, które biorąc miarę i sąd swój o piękności z świata przyrodzonego, nie może mieć zadowolnienia z tego, co granice kombinacyi naturalnych przechodzić się zdaje. Stąd przymiot Jedności dwa nowe za sobą pociąga warunki: Naturalności i Prawdziwości w Sztuce.

6. *Naturalność i prawdziwość.*

Ponieważ wyobrażenie o Piękności głównie polega na wrażeniu, jakie dusza nasza zewnątrz odbiera, azatém na stosunku rzeczy do uczucia naszego, a uczucie to znów kształci się na wrażeniach świata zewnętrznego i od wrażeń tych zależy; więc też wyobrażenie nasze i sąd o piękności opiera się w ogóle na parównaniu z naturą, jéj prawami i przymiotami. Co się z naturą, i kombinacyą przyrodzoną nie zgadza, to nie jest *prawdziwe*, nie odpowiada więc wyobrażeniom i uczuciom naszym przyrodzonym nijako, a tém samém piękne być nie może. Kolor np. niebieski jest bardzo piękny, ale człowiek lub koń tego koloru byłby brzydki bo nie odpowiada wzorom przyrodzenia, azatém i wyobrażeniu naszemu o piękności przeciwny jest. Również brzydki dla nas jest kałmuk, bo oko nasze nawykłe do kształtów i rysów człowieka europejskiego, widzi w twarzy kałmuka nie regularność i brzydotę. Toż i małpa w oczach naszych jest brzydką dla tego, że widząc w niéj jakieś zbliżenie do człowieka i naśladowanie jego, z człowiekiem ją porównujemy i człowieka w niéj szukamy.

Taką samą miarę *naturalnéj prawdziwości* przykładamy i do utworów Sztuki, i w tych tylko zadowolnienie i piękność znajdujemy, które powszechnym wzorom przyrodzenia odpowiadają. Jakoż nikt nie powie, iżby Pegaz skrzydlaty, Satyr kozionogi lub trójkształtna Chimera pięknemi być miały. Należą one do dziwolężnych i fantastycznych potworów, które wydała nieuporządkowana jeszcze wyobraźnia narodów

w stanie półdzikości żyjących. Były potwory takie urojeniem bez prawdy, które od owéj potwornéj Chimery i dziś *chimerą* nazywamy.

7. *Naśladowanie natury. — Właściwy cel Sztuki. — Ideał.*

Sztuka nie jest naśladowaniem natury. — Nieodzowny ten warunek i przymiot *naturalności*, bez któréj prawdziwéj Piękności być nie może, nastręczył wyobrażenie, że *Sztuka jest naśladowaniem natury*. Jakoż zaprzeczyć niepodobna, że niektóre Sztuki, jak np. rzeźbiarstwo i malarstwo, z naśladowania natury początek swój wzięły, podobnie jak w mowie pierwsze wyrazy były mniéj więcéj naśladowaniem głosów odzywających się w naturze. W ogóle powiedzieć można, że natura mieszcząc w sobie wszystko, *wzorem* też jest i pobudką dla człowieka i wszystkich jego czynności. Atoli, jeśli już dwie rzeczone sztuki wyszedłszy niejako ze szkoły mistrzyni natury, daleko wybiegły poza zakres naśladownictwa, to tém bardziéj architektura, muzyka i poezya tak są dalekiemi od wszelkich wzorów przyrodzenia, że ledwo analogia jakaś między niemi dostrzedz się daje. Toć już malarstwo nie jest wierném natury naśladowaniem, bo i powierzchnią tylko rzeczy przyrodzonych kreśli i zwykle w mniejszych je kształtach oddaje; czysty zaś rysunek nawet kolorów naturalnych jest pozbawiony. Toż samo Rzeźbiarstwo, nietylko że kolosalne tworzy dzieła, do miary naturalnéj nieprzypadające, ale barwy żadnéj w ogóle nie przyjmuje. Owszem, tak daleką jest Sztuka od udawania i niewolniczego naśladowania natury, że utwory, które li samo naśladowanie na celu mają, w rzędzie sztuk pięknych mieścić się nie mogą. Któżby np. dagerotypy i fotografie lub figury woskowe do dzieł sztuk pięknych policzył? a przecie naśladowanie natury jest ich zadaniem i zaletą największą. Któżby przemyślnych autorów dzieł takowych wynieść chciał do godności Sztukmistrzów? a przecież oni z godną podziwienia zręcznością tworzą obrazy i posągi wierne pierwotworom natury. Dagerotypy i fotografie bardzo dobrze odpowiadają swemu celowi prędkiego i wiernego zdejmowania wzorów naturalnych; ale ponieważ twórca takowych obrazów nie wlewa w nie ducha i pomysłu własnego, nie tworzy ich dla piękności, tylko li dla podobieństwa, przeto ich do dzieł Sztuk pięknych policzyć nie można. Użytek, któremu służą, strąca je do rzędu dzieł przemysłu. Woskowe zaś figury, pomimo pozornéj naturalności, tak mało są piękne, że uszlachetnione nieco uczu-

cie człowieka z odrazą się od nich odwraca. Widząc w nich oko otwarte, rumieniec na twarzy, odzież naturalną, mamy je zrazu za osoby żywe; a nie znalazłszy życia, którego się spodziewamy, odwracamy się jak od trupów, na których twarzy niecałkiem jeszcze zgasł płomyk życia, lub jak od nieboszczyków, którzy z tamtego świata wpośród nas na chwilę powrócili.

Sztuki celem jest stwarzanie Ideałów. — Prawdziwa Sztuka nie jest niewolnicą, chyba tylko współzawodniczką natury. Trzyma ona się w granicach przyrodzenia, ale mu nie przedrzeźnia. Ani ona zdoła wiernie oddać natury, ani się o to ubiega, gdyż zadanie jéj całkiem jest inne. Tworzy ona dzieła według myśli Sztukmistrza, li dla saméj Piękności, a nie tak jak je natura przedstawia. Owszem, zjawiska przyrodzone rozproszone są po przestworze całego świata i rzadko jeden zupełny dają obraz piękności, tak iżby go w gotowości przenieść można do dziedziny Sztuki. Tyle nadto w utworach i kombinacyach naturalnych przypadkowości zachodzi do istoty rzeczy nienależących, że wierne takowych utworów i zjawisk naśladowanie obrazu czystéj piękności wydaćby nie zdołało. Piękność bowiem nie jest natury celem. Aczkolwiek przeto Sztukmistrz zjawiska natury i życia ludzkiego ma przed oczyma i wzory z nich bierze, stwarza jednak obrazy, nie jakiemi je natura z przypadkowościami swemi przedstawia, ale raczéj według własnych pomysłów i kombinacyi. Rozrzucone owe zjawiska przyrodzone składa on w jedne całość i jedne chwilę; z obszaru otaczającego świata wykrywa i wydobywa takie strony, które w sobie najwięcéj mieszczą warunków piękności i do składu pomyślanego obrazu najlepiéj przypadają; oddziela i pomija wszelkie przypadkowości do istoty rzeczy nienależące, a dobiera takich tylko zjawisk i przymiotów, które prawdziwy rzeczy charakter, jéj *istotę* stanowią.

To też pod tym względem utwory Sztuki więcéj w sobie mieszczą prawdy i istotnéj piękności, aniżeli samo przyrodzenie. Przedstawiając bowiem w marmurze, śpiżu, kolorach lub głosach samą najczystszą i najwyższą piękność, zbliżają się do pierwotworów boskich i są niejako odtworzeniem takowych w duszy artysty. Jakoż sam nawet malarz portretowy, najbardziéj może naśladujący naturę, jeśli twarz z ścisłością matematyczną li taką właśnie na płótno przenosi, jaką w chwili roboty przed sobą widzi, nieprawdziwą, azatém niepodobną ją zrobi, bo ją zdejmuje według chwilowego rysów ułożenia i wrażeń przypadkowych,

a nie według istotnego charakteru oblicza. Jeśli obraz jego ma być pięknym i prawdziwém dziełem Sztuki, to przeistoczyć on winien twarz w obraz pomysłu, wyobrazić ją sobie według stałéj i niezmiennéj istoty, i tę istotę jéj w pięknéj formie przenieść na płótno. Pochlebia często malarz portretowi, bo przepuszczając drobnostkom i przypadkowościom, chwyci tę tylko stronę fizyonomii, w któréj charakter daje o sobie świadectwo. Toż samo o wszystkich Sztukach powiedzieć można. Pochlebia Artysta wszystkiemu, czegó się dotknie, uszlachetnia wszystko, bo jego rzeczą i zadaniem jest, w chaosie świata dostrzedz tego, co jest rzeczy istotą i prawdą, i tym pomysłom piękne nadać kształty i formy.

Ponieważ wszakże tak pomysły artysty, jak kształty i barwy, które im nadaje, prawdziwe być winny, azatém z wzorami przyrodzonemi zgodne; o ile więc jedne i drugie z tegoż samego pochodzą źródła boskiego i są odwzorami tego samego ducha boskiego, o tyle Sztuka, naśladując wzory odwiecznego ducha, naśladuje także utwory przyrodzone. Celem jéj przecież nie jest to naśladowanie. Owszem, utwory Sztuki pozbywszy się wszelkich ziemskich niedoskonałości i przypadkowości, czystsze są i piękniejsze, aniżeli utwory naturalne, bo przedstawiają samą istotę i samą piękność. I ta to istota i piękność są duszą każdego utworu Sztuki, są najwyższym i jedynym Sztuki celem, a stwarzanie obrazów przedstawiających istotę rzeczy w kształtach prawdziwéj Piękności najzupełniejszą jéj definicyą. Stwarza ona obrazy prawdziwe i piękne zarazem, czyli przedstawia prawdę i istotę rzeczy w pięknéj obrazach.

Sztukmistrz więc czyli Artysta stwarzając obrazy przedstawiające istotę rzeczy w pięknéj formie, stwarza je według własnego pomysłu, który jest odblaskiem ducha wiecznego, boskiego. Składa on w Sztuce myśli czyli *idee* swoje, odtworzane w duchu na wzór idei odwiecznych. Każde więc dzieło Sztuki reprezentuje jakąś *ideę*, i nie masz Sztuki bez idei, gdyż ta idea jest właśnie jéj istotą. Stwarzając w duchu tę ideę według najczystszéj jéj istoty, i przyoblekając ją w kształty doskonałéj Piękności, stwarza Artysta piękne dzieło *najdoskonalszéj idei*, czyli stwarza *Ideal*. *Ideałem* więc jest utwór Sztukmistrza pojęty w duchu jego na wzór idei odwiecznych boskich, odpowiadający warunkom doskonałości pod względem tak istoty wewnętrznéj, jak zewnętrznéj piękności. Jest to obraz pojęty na wzór i podobieństwo idei ducha bożego, o ile je człowiek pojąć lub do nich zbliżyć się potrafii. Ubiegać się za temi pierwowzorami do-

skonałości w istocie i Piękności w formie, jest to gonić za Ideałami. To też Sztukmistrz goni za niemi, i przenosi się duchem w świat tych przeczystych wzorów doskonałości i piękności, czyli w świat Ideałów. Można więc na tém miejscu znów powiedzieć, że *stwarzanie Ideałów* czyli wyobrażanie Wzorów doskonałości pod względem istoty i piękuości, jest najwyższem Sztuki zadaniem i celem.

Szukając takich Ideałów, i zagłębiając się w istotę rzeczy, wydobywa i przedstawia Sztuka *Prawdę* w najogólniejszém wyrazu tego znaczeniu, i pod tym względem zadanie jéj zbliża się do zadania *Umiejętności,* która także *Prawdy* poszukuje. Atoli podczas kiedy Umiejętność nie więcéj, jak tylko czystéj szuka Prawdy; to Sztuka pojąwszy Prawdę, przedstawia ją w kształtach Piękności. Podczas kiedy Umiejętność działając na rozum, przedstawia Prawdę w myślach i pojęciach oderwanych, i do przekonania przemawia; to Sztuka, działając na zmysły i uczucie, przedstawia Prawdę w pięknych zmysłowych obrazach, i do uczucia przemawia. Umiejętność szuka Prawdy dla Prawdy; Sztuka szuka Prawdy dla Piękności. Umiejętność przedstawia Prawdę w szeregu myśli czystych, oderwanych: Sztuka przedstawia ją w pięknych zmysłowych obrazach. Umiejętność przekonywa; Sztuka obrazuje. I tém to mianowicie różni się Sztuka od Filozofii, któréj wyłączném jest zadaniem dochodzenie ścisłéj Prawdy.

Jak bowiem Filozofia prawdy swoje w ścisłych, logicznych, abstrakcyi tylko dościgłych rozumowaniach przedstawia, tak Sztuka podaje je w żywych i pięknych obrazach. To jest jéj celem, i przez to staje ona się sama sobie celem. Wszystkie inne cele obce są Sztuce, albo są dla niéj celami pobocznemi. Sama nawet moralność może i powinna być skutkiem Sztuk pięknych, ale nie jest ostatecznym ich celem; koniecznym ich skutkiem o tyle jest, o ile wszystko, co jest prawdziwe i piękne, podnosi i uszlachetnia uczucia człowieka.

8. *Sztukmistrz. — Fantazya. — Wyobraźnia klasyczna i romantyczna.*

Gieniusz i Mistrz. — Jeśli zadaniem Sztuki jest stwarzanie Ideałów, t. j. obrazów mieszczących w sobie istotę i prawdę rzeczy z jednéj, a wszystkie warunki piękności z drugiéj strony; to wynalezienie tych względów istotnych i żywotnych, wykrycie istoty w każdém zjawisku, zamienienie wszystkiego w piękny pomysł i obraz, jednem słowem

zdolność podniesienia się w świat Ideałów i stwarzanie obrazów idealnych jest rzeczą i własnością duchów wybranych i powołanych, ludzi obdarzonych najwyższą zdolnością umysłową, którą *gieniuszem* nazywamy, a od któréj znów samychże takich wybrańców *Gieniuszami* zowiemy. Jest to dar wtajemniczenia się w naturę i życie, w zewnętrzną i wewnętrzną rzeczy postać, dar czytania w tajnikach przyrodzenia i serc ludzkich, dostrzegania każdego pojawu i ruchu, przestawienia się w każde położenie i ducha obcego, dokładnego zdejmowania fizyonomii świata fizycznego i moralnego, i zlania tego wszystkiego w jednę całość pięknego obrazu. Ten dar wpatrywania się w świat i życie i dostrzegania istoty jego objawów, zowiemy *Intuicyą*; stan ducha wyżéj nastrojonego, widzącego wszystko w blasku i uroku niepokalania, uniesionego w świat ideałów, jest *Natchnieniem;* a czynność tegoż ducha stwarzająca obrazy piękności idealnéj jest *Fantazyą* czyli *Wyobraźnia.* Wybrańców owych, obdarzonych temi wyższemi zdolnościami, zdolnych wyobraźnią podnieść się do ideałów, i stwarzać obrazy piękne, idealne, zowiemy *Sztukmistrzami* albo *Mistrzami* w ogóle.

Wyobraźnia. — Jak rozum saméj czystéj prawdy docieka i w oderwanym, ścisłym oddaje ją wyrazie; tak Wyobraźnia wszystko w obrazach pojmuje, z wszystkiego tworzy obrazy idealne. Wychodzi ona poza zwyczajne uważanie i pojęcie rozumowe, nie bierze świata tak, jak się zwyczajnemu oku i zimnéj przedstawia rozwadze; owszem, całą rzeczywistość, cały świat zewnętrzny i wewnętrzny, cały zapas spostrzeżeń, uczuć i myśli przetwarza w idealne obrazy. Zjawiska nawet w naturalnéj rzeczywistości mniéj piękne idealizuje Wyobraźnia Artysty. Bez Wyobraźni zatem nie masz Sztukmistrza, równie jak bez obrazów Sztuki być nie może. Jest ona twórczą siłą, jak gdyby czarodziejską laską Sztukmistrza, pod którą się wszystko w obrazy ideału zamienia.

Wyobraźnia plastyczna i idealna. — Wyższy lub niższy stopień Wyobraźni stanowi o dzielności Artysty, a od miary i usposobienia tejże zależy charakter Sztuki, Jakkolwiek bowiem główną Wyobraźni czynnością jest, stwarzać idealne obrazy, to jednak wyobrażanie to i stwarzanie na różny odbywa się sposób, w miarę dzielności i charakteru Wyobraźni. Czynność Wyobraźni, która zjawiska świata zewnętrznego dla artysty, bądź to z natury, bądź z życia, uczuć, myśli i doświadczeń ludzkich w piękne przetwarza obrazy, takowe żywcem niejako zdejmuje i upostacia, polega głównie

na percepcyi i przeobrażeniu na piękne postacie. Jest to stan Wyobraźni bierny. Jeśli zaś Wyobraźni siła jest tak dzielną, iż nietylko świat rzeczywisty bezpośrednio przeobraża i idealizuje, ale nadto, unosząc się na skrzydłach natchnienia, z uczucia i pomysłów Sztukmistrza, własne, nowe stwarza obrazy, wtedy Wyobraźnia jest czynna, a od dzielności w stwarzaniu własnych ideałów zależy stopień jéj płodności i górności. Tamta, mając świat swój już niejako gotowy, idealizuje go, nadaje mu postacie i kształty idealne, odpowiednie i stałe formy piękne; wszystko, cokolwiek jéj się objawia, przybiera postać żywą, formę zgodną i skończoną. Przeciwnie Wyobraźnia czynna, stwarzając obrazy nowe i nadzwyczajne, nie ma pewnych form gotowych i stałych: mając początek swój i żywioł w duchu Sztukmistrza, prześciga formy zwyczajnej rzeczywistości i na skrzydłach natchnienia ulata w sfery wyższe, w świat ducha i własnych ideałów. Nie masz dla niej form ogarniających jéj wybujałość i duchowość, i dla tego często jest w walce z formą zewnętrzną, która jéj nie wystarcza. Pierwsza wciela się całkiem i upostacia w żywych, zmysłowych obrazach, i stąd charakter jéj płodów *plastyczny;* druga jako ulotniejsza i szczytniejsza, nie zdoła się w pewne formy całkiem wcielić, treść jéj duchowa przemaga nad zmysłowością formy; stwarza ona obrazy dla ducha raczéj, niż dla zmysłów, i to charakter jéj *idealny.* Wyobraźnia plastyczna jest przedewszystkiem własnością i znamieniem świata starożytnego, jako w zmysłowości żyjącego; pojmującego i przedstawiającego wszystko zmysłowo. Wyobraźnia *idealna* jest usposobieniem narodów Chrześciańskich, jako żyjących w uczuciu i duchu i pojmujących wszystko duchowo.

Klasycyzm i Romantyzm. — Ponieważ Wyobraźnia plastyczna pojmuje i przedstawia wszystko w kształtach zmysłowych i zmysłom przystępnych, strojąc je w szaty takiejże zmysłowéj Piękności; więc łatwiéj jéj jest pomiędzy istotą a formą zewnętrzną utrzymać równowagę i stwarzać dla ideałów swoich formę skończoną i doskonałą. I ta równowaga między wewnętrzną istotą a formą zewnętrzną, ta doskonałość kształtów odpowiadających istocie rzeczy, ta zgodność idei z pięknością kształtów tworząca obrazy skończone i piękne, to wszystko stanowi charakter Sztuki, który *klasycznym* nazywamy. Ponieważ przeciwnie Wyobraźnia idealna pojmuje świat idealnie i umysłowo, podnosi się w sfery duchowe w świat nieskończoności, i stwarza idee nieokreślone i nieogarnione, jak duch odwieczny, do którego się wznosi i z którego czerpie; więc też obrazy, które stwarza, nie dają się ująć w pewne określone i wykończone formy, ani nie przedstawiają tych skończonych warunków Piękności zewnętrznéj. Nie ma więc w obrazach podobnych téj równowagi między doskonałością idei a wykończeniem i pięknością kształtów; duch przemaga nad formą i przelewa się niejako pełnią swoją poza krańce formy, wyłamuje się z jéj granic, jest jak gdyby w ciągłéj z formą swoją walce, i szuka sobie coraz to nowszych, coraz to odpowiedniejszych kształtów piękności. Z walki téj niezawsze wychodzi zwycięsko; w odszukiwaniu form odpowiednich niezawsze jest szczęśliwy; widać często na nim ślady wysilenia i nieładu przez to zrządzonego; i ten to brak zgodności pomiędzy ideą a jéj formą, to przemaganie ducha i myśli nad kształtami zewnętrznemi, ten ciągły niepokój domowy pomiędzy jedną a drugą stroną, i ta niepewność w stwarzaniu kształtów doskonałych i pięknych dla idei wielkich i wzniosłych, stanowi charakter Sztuki, który *romantycznym* zowiemy. Głównym więc charakterem klasycyzmu jest zmysłowa piękność i zmysłowe wykończenie obrazu, tak iżby cała rzeczy istota w pięknych kształtach na wierzch wyszła i rozpostarła się w obec zmysłów człowieka; znamieniem zaś Romantyzmu jest obrazowanie wytężonych uczuć i wzniosłych pomysłów, ideałów, za któremi, ponieważ ich forma nie obejmuje, wyobraźnia nasza gonić, zdążać musi i szukać dla nich form odpowiednich, aby odrazu dokonać. W klasycyzmie stanowi rzecz i forma jednę zgodną i dotykalną całość; w drugim przelewa się w pełność uczuć i myśli poza krawędzie formy. Stąd też Wyobraźnia klasyczna, siłę swoję i energią w piękność formy zmysłowéj składając, grzeszy często próżnią treści i płaskością pomysłów, gdy natomiast Wyobraźnia romantyczna wystrzelając wysoko i rozlewając się pełnością swoją, prześciga często szranki formy, która ją objąć nie zdoła, z krainy rzeczywistości wybiega często w nieokreślony przestwór marzeń i grzeszy wybujałością i fantastycznością. Klasyczna Wyobraźnia, jako władnąca swoim obrazem pod względem istoty i jéj formy, stwarza obrazy zmysłowe, skończone i piękne, które z jednéj strony rzeczywistość idealizują, a z drugiéj ideały ściągają w świat rzeczywistości; wyobraźnia zaś romantyczna składa uczucia i pomysły Sztukmistrza w obrazy rownie idealne, rzeczywistości szuka w świecie ideałów, i dla tego z jednéj strony dąży do urzeczywistnienia Ideałów, a z drugiéj do podniesienia rzeczywistości w świat tychże Ideałów. To też Grecy i Rzymianie, których dzieła dla formy wykończonéj

klasycyzm reprezentują, pod tym względem za niezrównane służą nam za wzory i nazawsze mistrzami dla nas pozostaną; ale co do treści, pełności uczuć i myśli, obok utworów nowszych ostać się nie mogą. Romantycy znów nasi, przepełnieni rozdraźnioném uczuciem i ulegając pod nawałem myśli, lub często nawet goniąc za wymarzoném imaginacyi widziadłem, popadają w drugą ostateczność fantastyczności lub chorobliwéj sentymentalności.

Wyobraźnia prawdziwego Sztukmistrza, panując nad namiętnością uczucia i godząc świat swój idealny z światem rzeczywistym, stwarza ideę i piękność razem, zlewa obydwie w jeden obraz rzeczywisto-idealny, tak iż przez piękność obrazu przegląda cała istota rzeczy czyli idea, a ta znów idea doskonały daje obraz piękności Zadaniem Sztuki nowszéj jest dla *Romantyczności* znaleść formę doskonałą i piękną, czyli w tém znaczeniu doskonałości formę klasyczną.

8. *Bliższy rozbiór Klasyczności i Romantyczności.*

Znaczenie Klasycyzmu. — Napróżnobyśmy w nazwach Klasycyzmu i Romantyzmu szukali znaczenia, w jakiém po dziś dzień wyrazów tych używamy. Wyraz *Klasyczność* odnosi się do podziału ludu Rzymskiego na sześć klas (*classes*), w którym to podziale zaprowadzonym przez Serwiusza, wyraz *Classis* przedewszystkiem znów służył obywatelom klasy pierwszéj, a zatém najbogatszym i najznamienitszym, tak iż obywatele klas innych względem tamtych, *Classici* nazwanych, podrzędne zajmowali stanowisko, byli *infra classem.* Atoli już Cicero użył wyrazu tego w znaczeniu przenośném, licząc filozofów niższego rzędu do klasy piątéj, jako przedostatniej, prowadzącéj do *Proletaryuszów* nic niepłacących; poczém wyraz *Classicus*, przeniesiony do rzeczy pospolitéj nauk i poezyi, cechował pisarzy klasy pierwszéj, t. j. celujących co do treści i formy dzieł swoich. Zdaje się wszelako, że w starożytności wyraz ten w przenośném tém znaczeniu nie był jeszcze tak powszechnie używany, jak w wiekach późniejszych. Od czasu mianowicie, kiedy łacina stała się jedyném prawie źródłem i głównym środkiem wykształcenia, mianowano *klasycznymi* wszystkich autorów z złotego, Augustowskiego wieku literatury rzymskiéj; później zaś jeszcze, po odrodzeniu nauk i umiejętności, kiedy w zakres naukowego badania i ćwiczeń szkolnych wciągnięto także literaturę Grecką, rozszerzono także znaczenie wyrazu Klasyczności, nadając to zaszczytne miano wszystkim umysłowym płodom Greków i Rzymian, które pod względem tak rzeczy, jako

też mianowicie formy wzorowemi być się zdawały. I w tém to znaczeniu zastósowano wyraz ten także do literatury nowszéj: a że mówiąc o Klasyczności miano zawsze na myśli owe wzory greckie i rzymskie, bez wątpienia wykończone i doskonałe według pojęcia i ducha starożytnych, przeto tę samą miarę przykładając do płodów nowszych, kładzono na skarb Klasyczności wszystko to, co wyraźnie nosiło piętno gustu i wzoru starożytnego, już nietylko co do formy, ale nawet co do pomysłów i uważania świata moralnego, umysłowego. Że zaś w Poezyi cechy owe najwyraźniéj występowały, więc też wyobrażenie Klasyczności do tego rodzaju utworów najpowszechniéj stósowano, osobliwie przy schyłku przeszłego wieku, kiedy za pojawieniem się poezyi bardziéj narodowych, na polu tém walne staczano bitwy. Naprzeciw tak nazwanym Klasykom stanęli Romantycy, jako reprezentanci nowego kierunku wyobraźni, a przede wszystkiem poezyi, i odtąd Klasycyzmem nazywamy to wszystko, co do nowéj téj miary i kategoryi nie przypada, czyli co nie jest romantyczném.

Znaczenie Romantyzmu. — Mniéj jeszcze właściwą jest nazwa *Romantyczności.* Wyrazy *Romantyczny*, *Romancki* i *Romański*, jak tego samego są pochodzenia, tak też właściwie to samo oznaczają. Nazywano tak stosunki, a osobliwie języki powstałe z mięszaniny żywiołów rzymskich i giermańsko-galskich: stąd też pierwsze francuskie poezye Trubadurów, wyśpiewane w języku romańskim, których przedmiotem był świat otaczający, rodzinny, rycerski, podanie krajowe, i uczucia swojskie, *Romancami* mianowano. Wnet więc do téj nazwy, służącéj zrazu samemu tylko językowi, przywiązało się wyobrażenie właściwości narodowéj, niemającéj nic wspólnego z płodami starożytnemi, ani co do formy, ani co do treści wewnętrznéj. Kiedy jednak późniéj zamarłą już starożytność znów do życia wywoływano, i wydobyto na jaw wszystkie wzory literatury greckiej, a osobliwie rzymskiéj, wtedy, mierząc słabym dopiero prątkiem wzrastającą poezyą narodową (romantyczną) z wspaniałém i rozrosłém drzewem wykończonéj piękności dzieł starożytnych, puszczono w niepamięć gęśl i pienia narodowe, a rzucono się w nieprzebraną obfitość literatury starożytnéj. Pierwotny Romantyzm poszedł w poniewierkę, samo nazwisko w zapomnienie. Miejsce rodzinnej, acz słabéj jeszcze twórczości, zajęło miejsce słabsze jeszcze naśladowanie. Wyobraźnia ludów przeniosła się z pól rodzinnych, z zamków i serc rycerskich, z świątyń i uczuć chrześciańskich, na Olimp przez

bogów greckich niegdyś zamieszkany. Zaczęło się panowanie Klasycyzmu, które trwało aż do końca przeszłego wieku. Dopiero gdy duch narodów europejskich, wypielęgnowany na łonie klasycyzmu, wyczerpnąwszy całą jego istotę, o własnéj sile poruszać się znów zaczął, gdy uczuł próżnią w przybranych kształtach wyobraźni starożytnéj, i do poznania samego siebie przychodzić zaczął, gdy w ślepych naśladowaniach dzieł starożytnych poznano zamiast życia same cienie i jakby mary nocne, z zmarłego już świata starożytnego wywołane; wtedy obejrzano się znów po świecie własnym, roztworzono księgi historyi i podań narodowych, poszukano natchnienia nie u Muz greckich, ale w własnym duchu i sercu. Ponieważ zaś kierunek ten wyobraźni do tego samego wracał się źródła, z którego pierwotny wyszedł był Romantyzm, więc też przez podobieństwo rzeczy, choć nie właściwie zastósowanie wyrazów, charakter ten Wyobraźni i Sztuki narodowéj, europejskiéj, chrześciańskiéj, *Romantycznością* nazwano, wyróżniając ją tym sposobem od pryciwległego charakteru sztuki starożytnéj, czyli od *Klasyczności.*

Klasycyzm świata starożytnego. — Różnica ta między Klasycyzmem a Romantyzmem, pozorna tylko, jakby na pierwszy rzut oka i z przypadkowości ich nazwisk wnosić można, wielka jest i bardzo wyraźna, równie jak wyraźna jest różnica między światem starożytnym a nowszym, między uczuciami i wyobrażeniami Greków i Rzymian a narodów chrześciańskich, między tamtych zmysłowém wielolóbstwém, a tych Bogiem w duchu pojmowanym i czczonym. Wiadomo jak piękny kraj zamieszkiwali Hellenowie i Italowie, jak obfita i rozkoszna była ich ziemia z całem jéj przyrodzeniem, na jak pyszne zapatrywali się niebo, jak swobodne prowadzili życie prywatne i publiczne. To też w rozkosznéj ich ojczyźnie tak im było błogo, wszystko tak miłe na ich wyobraźnią czyniło wrażenie, że w górach, kwiecistych łąkach, lasach i strumieniach, Bogów widzieli mieszkania, że owszem wszystko w ich oczach samychże bogów postać przybierało. Używając do tego swobody wszelkiego rodzaju, żyjąc na łonie nietylko uroczéj natury, ale nadto pięknych ustaw i zwyczajów, wesołych igrzysk, publicznych uroczystości, cieszyli się przez całe życie myślą swobodną, oddychali uczuciem spokojném i zadowolnioném. Ponieważ Bogowie ich nietylko na Tessalskim Olimpie, ale nawet pośród nich samych przemieszkiwali, tych samych używali roskoszy, te same z nimi dzielili cnoty i słabości, to też religijne uczucia i myśli ku bogom i na cześć ich zwrócone, napawały

ich radością i wewnętrznem weselem, nastręczały śpiew, muzykę i ochoczy taniec. Żył taki naród w miłém jakiemś odurzeniu; zmysły jego zajęte, złudzone, czuły ciągle zadowolnienie, duch Greków, znajdując na ziemi bóstwo swoje i zupełne szczęście, nie tęsknił za niczem lepszém. Toć i po śmierci czekały na nich roskoszne pola Elizejskie, a samo nawet piekło miało swoje piękności. Takową swobodę myśli i wewnętrzne zadowolnienie uczucia widać we wszystkich utworach ducha starożytnego. Stąd to owa spokojność, zgodność i harmonia rozlana po wszystkich dziełach czynnego ich umysłu; stąd wyobraźnia zwrócona do rzeczywistości, widząca wszystko w pięknych kształtach, przeobrażająca wszystkie zjawiska świata zmysłowego i umysłowego w cudne postacie ziemskie, cielesne; stąd owa równowaga między czuciem a obrazami, między pomysłami a rzeczywistością, między prawdą a pięknością, między treścią a formą. I to też właśnie jest, co w utworach Sztuki greckiéj i rzymskiéj podziwiamy, co nazawsze pozostanie wzorem piękności i gustu, jedném słowem to, co *Klasycznością* mianujemy.

Romantyzm świata chrześciańskiego. — Jakżeż różny zupełnie przedstawia nam obraz świat nowy, świat chrześciański! Z przyjściem Chrystusa opuścili bogowie ziemię i wysokość Olimpu; Bóg jeden zasiadł na tronie w wysokości niebios, do któréj człowiek z niskiego poziomu ledwo uczuciem i myślą podnieść się zdoła, a im wyżéj się wzbija, tém bardziéj nicość swoję czuje. Bóg chrześciański jako duch nieogarniony, wolny od ziemskiéj cielesności, niedostrzeżony zmysłami, w duchu tylko i wprawdzie czczony, daleki od obecności człowieka, stał się przedmiotem jego *Wiary, Nadziei* i *Miłości,* celem tęsknoty serca i ducha ludzkiego, rozpływającego się w szczęściu błogosławionych, co po prawicy Boga zasieść, co widokiem światłości jego wiekuistéj cieszyć się mają. Sam Chrystus, Syn Boży, cierpiał za ród ludzki i na krzyżu śmierć poniósł męczeńską; nauczał, że królestwo jego nie jest z tego świata, że kto chce mieć żywot wieczny, ten krzyż swój nosić powinien. Owoż nastąpił rozbrat między człowiekiem a światem i marnościami jego. Minęło owo zadowolnienie z świata i życia, owo wesele towarzyszące wszystkim Greka czynnościom. Cierpienie stało się człowiekowi zasługą i roskoszą, w nadziei szczęścia w żywocie przyszłym; prześladowanie i męczeństwo z gotowością podejmowane świetniejszym było tryumfem, aniżeli poklaski i wieńce zwycięzców na igrzyskach Olimpijskich; roskoszna

ziemia Grecka i Italska przybrała smutną postać padołu płaczu, z którego nieśmiertelny duch człowieczy, do czasu w glinianą lepiankę przybrany, od Boga wyszedłszy, za źródłem swojem tęsknił i na łono Stwórcy powrócić spieszył. Całe szczęście człowieka przeniosło się z ziemi do krain nadziemskich; te się stały celem jego życia i wszystkich czynności, jak później ziemia święta, na której Chrystus żył, chodził i cierpiał, była celem pragnienia i świętéj pielgrzymki Chrześcian pobożnych. Człowiek umiłował Boga miłością czystą i gorącą, uczuciem światu starożytnemu nieznanem, a w Bogu ukochał wszystko jego stworzenie, przedewszystkiem braci bliźnich i całą ludzkość. Jak Bóg dla miłości człowieka w synu swoim męki i śmierć poniósł, tak miłość człowieka ku Bogu stała się poświęceniem dla niego, dla cierpiącej ludzkości, dla potrzebnych i słabych; i stąd owo obce sercom Greków i Rzymian wygórowane uczucie dla płci słabéj, które się wykształciło w jednę z najdelikatniejszych i najdzielniejszych sprężyn w nowém życiu społeczeństwa chrześciańskiego, a tem samém główną prawie nicią w wątku sztuki tegoczesnéj, mianowicie Poezyi. — Atoli ten sam Bóg, który jest dobrym ojcem, miłującym swe dzieci, jest także Sędzią sprawiedliwym, nagradzającym za dobre, a surowo karzącym za złe uczynki. Stąd bojaźń wlana w serca Chrześciańskie, stąd piekło, które imaginacya najokropniejszemi wypełniła mękami, stąd wyobrażenie o złych duchach, pokutujących potępieńcach, w ogóle wiara w potęgi jakieś nadziemskie i ich wpływ bezpośredni, na pewnych ludzi, za czém znów poszła wiara w czary, czarownice itp.

Takowe usposobienie serca i duszy musiało Wyobraźni Chrześciańskiej całkiem przeciwny nadać kierunek. Z roskoszy i swobody ziemskiéj, z pośród bogów Olimpijskich uniosła się w świat wyższy, w świat ducha, a tęskniąc za światem lepszym rozkochała się w obrazach żalu, boleści i idealnych nadziei. Stąd charakter jéj po większéj części smutny, rzewny, polotny i wzniosły; nie mając pewnych granic, nie może mieć i form stałych; podoba sobie w krainach ułudy, w tworach własnego marzenia, w zjawiskach nadzwyczajnych, w górnych krainach ducha. Bawiąc się światem własnych ideałów, wszystko ma za dobre i piękne, tylko nie obecną rzeczywistość. Rada więc sięga w czasy rajskiej niewinności, w czasy patryarchalnego szczęścia ojców, w złote wieki swobody, zapału i świetności politycznéj, zagląda do ruin zamków puszczykami zaludnionych, z radością przysłuchuje się chrzęstowi zbroi olbrzymich bohaterów, w zaplesniałych pamiątkach przodków szuka i wywołuje dzielnego ich ducha, całe pole minionéj przeszłości stroi w kwiaty piękności idealnéj. Ten sam znów rozbrat z rzeczywistością wprowadza z drugiéj strony Wyobraźnią w świat lepszéj przyszłości. Według wzorów zdjętych z potężnéj przeszłości, i ideałów we własném wypieszczonych łonie, maluje sobie Wyobraźnia romantyczna obraz szczęścia, do jakiego człowiek, narody i ludzkość cała przeznaczone dążą, zbliżyć pragnie i urzeczywistnić ideał człowieczeństwa i społeczności, i na tém polu spotyka się i brata z spekulacyą filozoficzną.

Tak wybujała, pełna i niepospolita treść Romantyczności niełatwo w Sztuce znajdzie formę odpowiednią i całkiem do jéj miary przypadającą; i to też właśnie jest, w czém po większéj części ustępuje klasyczności, co się w niéj brakiem jasnéj i pięknéj formy, brakiem gustu nazywa, co ją często mniéj przystępną i mniéj zrozumiałą czyni. To też obcą ona jest i niepojętą ludziom, którzy w Sztuce samego tylko szukają gustu, niezrozumiałą jest dla ludzi goniących li za sprawami powszedniemi, zmarnionych sercem i umysłem w rozpustnem weselu zwierzęcego życia i brudnego samolubstwa, lub stępiałych w czczości etykietalnego dworactwa; nie odsłania ona swych piękności tym, co w przeszłości życia narodów same tylko widzą swawole i zbrodnie, w uniesieniach religijnych sam szał lub obliczone oszukaństwo, w rycerskich bohaterstwach samo prawo gwałtu, żądzę łupu i awanturniczego popisywania. Aby czuć piękności Romantyzmu, trzeba mieć wiarę, nadzieję i miłość, trzeba znać i kochać przeszłość, umiłować rodzinę, naród i ludzkość, żyć dla przyszłości i celów wyższych, czuć w sobie żyjące bóstwo i jego miłość, wierzyć w opatrzność i sprawiedliwość Stwórcy, w wyższe powołanie człowieka narodu i ludzkości, jedném słowem być zdolnym wznioślejszych uczuć i myśli.

10. *Podział Sztuki według materyału.*

Obraz pojęty w wyobraźni Sztukmistrza nie jest jeszcze Sztuką zupełną; jest to dopiero pomysł poczęty w duchu Artysty, który i dla niego jest niewyraźny i nam nieprzystępny, dopóki go na jaw nie wydobędzie i nie przybierze w ciało podpadające pod zmysły. Istota, myśl, idea, w wyobraźni Artysty w obraz złożona, takoż znów na zewnątrz wyobrazić się musi, t. j. w materyał jakiś zmysłowy tak się wcielić, iżby całość obrazu z pomysłem, istotą i całém jego

życiem upostaciła się zmysłowo w pięknych kształtach tegoż materyału, i za pomocą tych pięknych kształtów zmysłowych w wyobraźni naszéj tenże sam roztworzyła obraz. Takim materyałem dla obrazu Sztukmistrza może być drzewo, kamień, kruszec, farba, głos i mowa. W każdym z nich inaczéj objawia się obraz Artysty i z innéj strony udziela się wyobraźni naszéj i duszy; tak dalece, że materyały owe, będąc wyobrazicielami Sztuki, są zarazem zasadą i miarą ich podziału. Wypada stąd podział Sztuki następujący:

1) Sztuka, któréj materyał ma rozmiar *w przestrzeni miejsca*, jakim jest drzewo, kamień, kruszec, farba, azatém bezpośrednio udziela się zmysłowi *wzroku*, mieści w sobie *Architekturę*, *Rzeźbiarstwo* i *Malarstwo*.

2) Sztuka, któréj materyał ma rozmiar *w czasie*, jakim jest głos, azatém bezpośrednio udziela się zmysłowi *słuchu*, jest *Śpiew* i *Muzyka*.

3) Sztuka nareszcie, któréj materyał sam już mieści w sobie wyobrażenia człowieka, jakim jest mowa i już to jako głos przemawia do ucha, już to jako znak piśmienny, przemawia do oka, w każdym zaś razie przez wyobrażenia i pojęcia bezpośrednio duszy się udziela, a Sztuką tą jest *Wymowa* i *Poezya*.

O ile wprawdzie mowa jest ustna lub piśmienna, o tyle Wymowa i Poezya przywiązana jest do czasu i miejsca, azatém dopiéro za pomocą słuchu lub wzroku dostaje się do duszy; atoli w każdym głosie artykułowanym lub napisanym znaku gotowe już jest wyobrażenie, i na to szczególnie zwrócona jest czynność umysłu, a nie na głos lub znak sam przez się.

Wspólny cel pięknego obrazowania czyli stwarzania Ideałów za pomocą zmysłowego jakiegoś materyału, w każdéj Sztuce z innéj strony i w inny objawia się sposób. Owszem, nie każda nawet Sztuka zdolna jest wszystkie i też same wyobrazić pomysły, prawdy i uczucia, bo nie każdy materyał zdolny jest pomieścić w sobie i oddać wszystkie obrazy imaginacyi Sztukmistrza. Jakoż Architektura ogólne tylko zarysy pomysłu i obrazu Artysty objąć i wydać zdoła. Rzeźbiarstwo daje widome i dotykalne kształty ciała, czego znów Muzyka wyobrazić nie może, zdolna natomiast na jaw wydać najdelikatniejsze usposobienia serca i duszy. Krajobrazy są właściwém polem i wyłączną zaletą Malarstwa; obce zaś są Architekturze, a tym bardziéj Muzyce. Sama nawet Poezya rzadko z pomyślnym skutkiem kusi się o palmę zwycięstwa na tém polu obrazowania, bo do tego ma-

teryał jéj, t. j. Język, mniéj jest sposobny. Każda więc sztuka ma swoje wyłączne zalety, ma także granice, których im przekraczać niepodobna: wszystkie razem uzupełniają się nawzajem i tworzą jednę wspólną familią *Sztuk Pięknych*.

O Poezyi.

---

1. *Istota Poezyi.*

Każdy z wymienionych trzech działów Sztuki ma toż samo zadanie, co Sztuka w ogóle; zatém też definicya każdéj Sztuki z osobna wyróżnia się tylko właściwością i sposobnością materyału będącego jéj wyobrazicielem. Zadaniem więc Poezyi w najrozleglejszym rozumieniu jest: *Stwarzanie pięknych obrazów czyli Ideałów za pomocą Mowy.*

Poezya jest z porządku ostatnią, ale za to najdoskonalszą z Sztuk wszystkich, a tém samém najdokładniejszą wyobrazicielką i reprezentantką Sztuki w ogóle, bo ogarnia cały prawie świat idei i obrazów, które innych Sztuk częściowym tylko są udziałem. Ogólne pomysły Architektury, szczupły zakres Rzeźbiarstwa i Malarstwa, delikatne wprawdzie ale nieokreślone uczucia Muzyki, wszystko to obejmuje, wypełnia, rozszerza, i w wyraźne obrazy składa Poezya. Wszystko zatém, co do własności, przymiotów i warunków Sztuki w ogóle należy, wszystko co się powiedziało o Piękności Rozmaitości, Jedności, Naturalności i Prawdziwości o głównym Sztuki celu, jakim jest piękne obrazowanie świata tak przyrodzonego jak umysłowego, to wzystko Poezyi jest zakresem i zadaniem. Jest ona najzdolniejszą do stwarzania Ideałów i pięknego obrazowania tychże.

Mowa jako materyał i wyraz Poezyi. — Wysoką tę zdolność i wyższość nad wszystkie inne Sztuki winna Poezya Mowie w ogóle, a w szczególności Językowi będącemu jéj materyałem i wyobrazicielem. Bo mowa jest czystym i doskonałym obrazem myśli: każdy wyraz mieści już w sobie pewne wyobrażenie i cząstkę przynajmniéj myśli rozleglejszéj, w któréj skład wchodzi. Materyał mowny nie jest to jak kamień, kruszec, lub głos próżny, któremuby Sztukmistrz znaczenie dopiero nadawał; owszem mowa jest materyałem dla Pomysłów Poety już gotowym, którego każda cząstka już ma swoje znaczenie i odcień obrazu, do którego ma należeć. Wybiera Poeta z zapasu wyrazów wyobrażeniami już zapełnionych te, które do obrazu jego przypadają; wy-

obrażenia i zdania pojedyńcze składa w szereg myśli po sobie następujących; a tak szykując wyrazy, zdania i myśli według własnego pojęcia i własnej woli, gotowemu już materyałowi właściwe tylko nadaje piętno, zgodne z pomyślanym obrazem. To też obraz Poezyi jest tylko wątkiem myśli osnowanym na wyrazach i zdaniach. Nie dostrzeżesz więc obrazu poetycznego li samemi zmysłami: w głosach uderzających ucho nasze, które je duszy podaje, słyszymy bezpośrednio wyobrażenia i myśli, na materyał językowy pismem oznaczony patrzymy okiem ducha, pod którem to okiem wszystko się w czucie i w myśl rozpromienia. Z ciągłego dopiero następstwa myśli, jak gdyby z ogniw powiązanych, powstaje nieprzerwany łańcuch obrazów, których nieskończona prawie kombinacya daje jeden wielki i pełny obraz na rozmiar jak najrozleglejszy. I tym to rozległym rozmiarem obrazu obfitego w piękności i myśli najrozmaitsze, obejmującego zatém cały zapas ducha poety, przechodzi Poezya wszystkie inne Sztuki, i w tém tylko chyba na pozór niektórym z nich ustępuje, że obrazów swoich wraz z dźwiękiem głosu ulatujących, lub ze znakiem pisma kolejno z pod oka się usuwających, na raz w obec wyobraźni naszéj rozpostrzeć nie zdoła, tylko je kolejno jeden po drugim przesuwa, zostawiając pamięci i wyobraźni naszej zebranie ich w jednę piękną całość. Stąd pochodzi, że opisywanie miejsc, okolic i wszystkich postaci stałych, gdzie idzie o kreślenie wszystkich części obrazu na raz obok siebie, trudnym jest dla Poezyi zawodem; stąd pochodzi, że krajobrazy są wyłączną prawie Malarza dziedziną. Wszakże i w téj pozornej niedoskonałości pokazuje się najbliższe Poezyi powinowactwo z duchem ludzkim, który takoż myśli swoje tylko w kolei i następstwie czasu tworzy i wysnowa. Ograniczenie to w przestrzeni miejsca wynagradza się zupełną swobodą w rozciągłości czasu, na którego wątku wolno jest Poecie nieskończone osnować obrazy.

Przedmiot i zakres Poezyi. — Wielka owa zdolność języka do dokładnego wyobrażenia uczuć i myśli, tudzież zbierania ich w pełność najobfitszą, czyni Poezyą przedewszystkiemi Sztukami najwłaściwszą wyobrazicielką pomysłów i idei wielkich. Obrazy jéj, jak się powiedziało, polegają tylko na szeregu myśli; przeto też jeśli o której Sztuce, to najwłaściwiéj o Poezyi powiedzieć można, że jest obrazowaniem idei, stwarzaniem ideałów świata tak przyrodzonego jak moralnego. To też przedmiotem Poezyi jest *wszystko*, począwszy od Stwórcy, aż do najdrobniejszego stworzenia.

Atoli, jak człowiek najdoskonalszym jest ducha boskiego wyobrazicielem, tak też uczucia jego, skłonności, czyny i stosunki w zakresie familii, narodu i ludzkości, jedném słowem życie człowieka, najwyższém jest i najpiękniejszém Poezyi zadaniem. Wszystkie nawet przedmioty i zjawiska świata zewnętrznego przez to dopiero ożywiają się i sposobne się stają do wyobrażenia idei, że się łączą z stosunkami i życiem człowieka. Sama Mowa wyraźną w tym względzie jest skazówką. Bo będąc obrazem ducha ludzkiego, wyobraża i mianuje wszystkie rzeczy według sposobu widzenia i pojęcia człowieka: nie maluje rzeczy, jakiemi one są, tylko jakiemi się duchowi naszemu objawiają. Stąd konieczny związek całego świata z człowiekiem, i w takim też związku wyobraża go Poezya. Malując zjawiska natury, albo im postać nadaje ludzką albo też przyrodę ożywia człowieka bytnością i uczuciami, kreśli jéj wrażenia na serce i umysł nasz; same nawet pustynie wystawia w kolorach dzikiej piękności, której nie dostaje człowieka. Jeśli zwierzęta obiera za przedmiot swych obrazów, nadaje im mowę lub inne przymioty ludzkie, a dzielnego rumaka czyni zwykle uczestnikiem waleczności rycerza. Sam nawet świat zazmysłowy ożywia Poezya i zaludnia istotami ludzkiemi: albo bogów ściąga na Olimp ziemski, całe przyrodzenie niemi zaludnia, albo też bóstwo najwyższe, nie ograniczone, robi celem tęsknoty, nadziei i dążności człowieka. Tak więc pojmując Boga i świat cały ze stanowiska człowieka, i ogarniając wszystkie stosunki życia ludzkiego, wszystkie uczucia, myśli, skłonności, czyny, pamiątki, dzieje i nadzieje, jest Poezya prawdziwém idealizowaniem wszechświata, azatém najdoskonalszą wyobrazicielką Sztuk pięknych w ogóle.

Sposób obrazowania Poezyi. — Wszakże rozległy ten zakres uczuć, pomysłów i idei nie czyni Poezyi bynajmniej osnową czystych, oderwanych myśli, ani też porządnem zjawisk opisywaniem; zadaniem Poezyi, jak Sztuki w ogóle, jest stwarzanie pięknych obrazów. I główny więc pomysł, i wszystkie jego szczegóły indywidualizuje wyobraźnia Poety, t. j. wszystko w pewnej, szczegółowej pojmuje sytuacyi, gromadzi wszystkie najwyrazistsze znamiona, i każdy szczegół w żywych obrazuje kolorach. A jak malarz obiera miejsce, z którego widok krajobrazu najlepiéj i najpiękniéj wpada w oko widza; tak Poeta obiera stanowisko i chwilę, około których szereg obrazów najłatwiéj da się rozwinąć, a całość obrazu najwydatniejszą i najpowabniejszą przybiera postać. Do głównéj owéj chwili zmierza i odnosi się wszystko, ona

mieści w sobie główny charakter i pobudki wszystkich części obrazu. Idealizując więc np. człowieka, nie opisuje Poeta kolei jego życia według czasowego porządku, ani też zapuszcza się w charakterystykę jego naturalnego lub moralnego usposobienia, tylko przedstawia go w pewnych sytuacyach, stosunkach i czynach, wydobywa chwile, w których charakter jego, namiętność lub moc woli najwydatniéj występuje, wiąże to wszystko w jeden łańcuch przyczyn i skutków, a zbierając kolejno wszystkie pojedyńcze chwile życia i gromadząc je na około punktu środkowego, podaje żywy obraz człowieka, jakim się tenże w życiu i czynach objawia.

Takie obrazowanie nadaje opisom Poezyi ruch i życie. Jakoż w ogóle nie przedstawia Poeta świata w chwilach spoczynku, tylko w stanie ruchu; nie kreśli go jakim *jest*, tylko jakim się w obec człowieka *staje*. Stąd też opisy przedmiotów w miejscu spoczywających, jak z jednéj strony niewłaściwem są i trudnem dla Poezyi polem, tak z drugiéj strony szczególnego znów przez to nabierają powabu i życia, że je Poeta wiąże z myślą i czynnością człowieka; przedmioty, których obraz w naturze lub innéj sztuce już jest gotowy, wystawia Poeta, jak gdyby się dopiero z myśli człowieka rodziły, pod ręką jego dopiero powstawały. I tak Homer opisując tarcz Achillesową, nie wystawia jéj, jaką była, tylko jak ją Wulkan w pojedyńczych częściach stwarzał, a wielki nasz wieszcz Adam Mickiewicz chcąc dać żywy obraz Serwisu przedstawiającego cztery pory roku i sejmik szlachecki, wkłada w usta wymownego Wojskiego opowiadanie, które cały ten obraz ożywia i w obec widzów niejako w ruch wprawia. Prosty opis byłby niedokładny i prozaiczny, bo zamiast żywego obrazu podałby tylko zimne określenie stanu rzeczy według kolejnego następstwa, co jest zadaniem Prozy, ale nie Poezyi, w któréj piękne obrazowanie koniecznym jest warunkiem i jedynym prawie celem. Ten to cel mianowicie odróżnia ją w ogóle od prozy i umiejętności. Proza opisuje, objaśnia, dowodzi, przekonywa, naucza: Poezya zaś, jak Sztuka w ogólności, ma tylko stwarzanie idealnych obrazów ostateczném swém zadaniem. Wszystkie inne cele są jéj obce. Wszakże o ile Poezya same przedstawia Ideały, t. j. prawdę i istotę rzeczy w pięknych obrazach, o ile nam roztwiera rozległy świat szczytnych uczuć i myśli głębokich, świat najpiękniejszych wzorów, o tyle uszlachetnia także serce swych miłośników, podnosi i zbogaca umysł, przenosi duszę w świat lepszy, zagrzewa ją do pięknych przedsięwzięć i czynów, a tym sposobem

staje się mistrzynią życia i przewodniczką ku lepszéj przyszłości.

2. *Poeta.*

Zdolności Poety przyrodzone. — Tak rozległy zakres i tak wzniosły cel Poezyi, wielkiem jest dla Poety zadaniem. Poeta tém jest względem Poezyi, czém jest Sztukmistrz w stosunku do Sztuki w ogóle. Dar wtajemniczenia się w świat fizyczny i moralny, dostrzegania istoty i piękności w wszystkich zjawiskach z jednéj, mocne czucie i żywa wyobraźnia, azatém zdolność składania obrazów ze zjawisk dostrzeżonych i w duchu pojętych z drugiéj strony, oto są główne warunki i znamiona prawdziwego Poety. Usposobienie takie dostaje się Poecie od natury w udziele, a najwyższy tych zdolności stopień wynosi go do zaszczytnego, acz rzadkiego dostojeństwa *Gieniusza i Mistrza.*

Zdolności Poety przez naukę rozwinięte. — Rodzą się więc wielcy Poeci; ale nie idzie przecież za tém, aby samo przyrodzone usposobienie wystarczało do rozwiązania tak wielkiego zadania. Dzisiaj mianowicie, kiedy Poeta ma przed sobą tak liczne i różne wzory, począwszy od Psalmów Dawida i Rapsodii Homera, aż do olbrzymich pomysłów i wykończonych piękności Shakespeara, Schillera, Göthego, Mickiewicza, i chce na téj saméj wysokości, lub o jeden przynajmniéj szczebel wyżéj stanąć, wszystkich poznać, wszystkie ich zalety przyswoić sobie winien, kiedy żywioły tylu narodów, dzieje tylu wieków ubiegłych wchodzą w skład warstw obecnego życia społecznego, kiedy widownia z ciasnych obrębów jednego narodu rozszerzyła się na cały obszar świata i ludzkości, kiedy wreszcie życie tak jest pełne, pomysłami i wypadkami brzemienne, dzisiaj sama matka natura nie wychowa wielkiego Poety. Nauka i doświadczenie pójść muszą w pomoc przyrodzeniu. Nauka obznajmia Poetę z zasadami i wzorami prawdziwéj Sztuki i piękności, uprawia gust jego i porządkuje bezładną wyobraźnię, jest Poety szkołą teoretyczną; doświadczenie zaś tak zewnętrzne jak wewnętrzne jest dlań szkołą praktyczną. Im więcéj prób wytrzyma serce i dusza Poety, im więcéj cierpień i walk wewnętrznych zniesie, im trudniejsze przebędzie życia koleje, tém mocniejsze będzie jego czucie, tém bogatsza wyobraźnia, tém pełniejsza i obfitsza myśl. Młodociana przyjaźń i miłość, życie towarzyskie, bliska styczność ze społeczeństwem, czynny udział w żywotnich jego stosunkach, rozpoznanie świata otaczającego, rozpatrzenie się w naturze i pięknościach ziemi ojczystéj i krajów różnych usposobie-

niem to wszystko kształci serce i umysł Poety, wyrabia jego charakter, rozbudza i napełnia wyobraźnią pierś jego i duszę czyni mieszkaniem wszystkiego, co stanowi istotę i piękność świata tak przyrodzonego, jak umysłowego. Nigdy samotnik nie będzie wielkim Poetą: wyśpiewa on własne marzenia, dumania, ale nie będzie więc wyobrazicielem świata i czasu, w którym żyje.

Poeta narodowy. — Skarb więc uczuć i zdolności które Poeta w darze od natury dostaje, zbogaca on nauką, dostrzeganiem, życiem i wszechstronném doświadczeniem. Pomocą do tego, oraz środkiem zbogacenia wiedzy i wyobraźni jest rozczytywanie się w doskonałych wzorach Poezyi różnych narodów i czasów. To wszystko dopiero czyni Poetę zdolnym do pojęcia zadania Sztuki w ogóle i Poezyi w szczególności; to zbogaca jego ducha i wyobraźnią; to kształci gust jego i pojęcie prawdziwéj Piękności i to też dopiero czyni Poetę wyobrazicielem istoty świata, który maluje; reprezentantem czasu, w którym żyje, a przedewszystkiem narodu, którego stanowi cząstkę, z którym jest połączony językiem, czuciem, losem, szczęściem i cierpieniem, i całym węzłem społecznym. Stąd wiara, uczucia, skłonności, nadzieje, opinie, stosunki społeczne, dzieje, pamiątki i przyszłość narodu, mają w Poecie swego wyobraziciela; to wszystko razem czyni go *Poetą narodowym*, Inaczéj, jeśli obrazy Poezyi jego nie są swojskie, nie zdjęte z tła ziemi rodzinnéj i nieba własnego, jeśli Poeta nie dostrzegł nici wiążącéj naturę swojską z losami, uczuciem i sposobem myślenia ludu, jeśli nie oddał charakteru i dążności tego ludu, nie zestrzelił uczuć i myśli własnych w ognisku uczuć i myśli swego narodu, jeśli nie pojął pragnień i przeznaczeń tegoż narodu; wtedy nie kocha go naród i nie uznaje go za swego wyobraziciela. Prawdziwy Poeta, któremu naród jest ideałem, jest nawzajem ideałem dla narodu.

Poeta. — Wieszcz. — Poeta w takiém wysokiém znaczeniu, o ile się wciska w najskrytsze tajniki uczuć i skłonności narodu, o ile przeczuciem odgaduje prawdy w łonie czasu jeszcze spoczywające, i w ognistéj wyobraźni swojéj widzi choć niejasne jeszcze obrazy tych zbliżających się ideałów, a uczuciom i myślom kryjomo jeszcze obiegającym nadaje życie i kształt, staje się *Wieszczem.* I to też jest najzaszczytniejsze miano Poety. Wszakże natchnienie takie, będące udziałem wielkich tylko poetów i to w uroczystych chwilach wyżéj nastrojonego uczucia, nie daje Poecie prawa do wpisywania szału lub próżnych marzeń na karb inspiracyi. Wieszcze w Poezyi są to Prorocy w dziedzinie religii; jak wielu jest fałszywych, a mało prawdziwych Proroków, tak nader rzadcy są wielcy Wieszczowie z prawdziwego natchnienia.

Uwaga. Wiadomo, że wyraz *Poezya* greckiego jest pochodzenia, ale dziś we wszystkich już prawie językach Europejskich posiada prawo obywatelstwa. Greckie *Poesis* znaczy właściwie *Tworzenie*, i w tém rozległém a pięknem znaczeniu mógłby ten wyraz służyć za miano dla Sztuki w ogólności. Z przyjęcia i powszechnego przyswojenia tego nazwiska nie należy przecież wnosić, iżby tak nam jak wszystkim narodom Europejskim pierwiastkowo obcą była Poezya, iżbyśmy z nazwą dopiero i rzecz samą przyjęli. Owszem, Poezya tak jest powszechnym i koniecznym prawie płodem młodocianéj wyobraźni każdego narodu, iżbyśmy jéj bez względu nawet na ślady i świadectwa historyczne narodowi Polskiemu zaprzeczyć nie mogli. I lud prosty ma swoję Poezyą, chociaż wyrazu tego nie zna dotąd wcale. Ale to przyznać należy, że żaden może naród nie miał tyle przyrodzonego usposobienia poetycznego, tyle pierwotnéj twórczości, aby wraz z rzeczą tak piękne, charakterystyczne i w znaczeniu tak pełne utworzył nazwisko.

Pierwotną Poezyą polską była *Pieśń*, jako pierwszy pojaw wezbranego uczucia, które i dziś jeszcze lud prosty wyraża w słowach, śpiewie i tańcu razem. Wszystko troje: Wiersz, Śpiew i Taniec mają to samo źródło w uczuciu, ten sam charakter, ten sam ruch i takt, wszystko troje było w początkach jedną nierozdzielną całością; i do tego też spólnego źródła odnieść należy całą *rytmiczność* Poezyi tak nowszéj, jak mianowicie starożytnéj. W Pieśniach, które dziś zwykle *Pieśniami gminnemi* zowiemy, leży zaród i charakter Muzyki i Poezyi narodowéj; w nich to złożone są właściwe uczucia ludu, w nich odbija się obraz imaginacyi, sposobu myślenia, pojęć i skłonności pierwotnego narodu, one są tym szczepem, które wraz z pojęciami ludu wyrość miał w rozłożyste i urodzajne drzewo prawdziwéj Poezyi. Ale nim do tego przyjść mogło, nim naród o własnych siłach umysłu i wyobraźni zdobyć się mógł na wyższe utwory poetyczne, nim podania z przeszłości i bohaterskie czyny przodków w wyobraźni swojéj złożyć zdążył w piękne obrazy Ballady lub Epopei, zapas uczuć i doświadczeń wewnętrznych w Lirykę, pełność i walkę życia w Dramat; przyniesiono mu z zagranicy wzory gotowe, a z niemi i nazwisko tak Poezyi jak wszystkich jéj rodzajów.

3. *Język.*

Zewnętrzném, przeto też najwidoczniejszém Poezyi znamieniem, które ją czyni wyłączną narodu własnością, jest *Język.* Materyał ten Poezyi nie ma kształtów tak powszechnych, iżby wszystkim w ogóle był zrozumiały; owszem, ponieważ Język jest wyłącznym obrazem i tłómaczem uczuć i myśli jednego narodu, przeto też Poezya, któréj on jest materyałem i wyobrazicielem, li tylko do narodu należy. O ile wprawdzie myśli będące Poezyi osnową i przedmiotem, są wspólnym płodem tegoż samego ducha ludzkiego, równie jak Języki, które ducha tego są obrazem, o tyle Poezya

z jednego języka przełożona na drugi, zrozumiałą się staje i dla innych narodów. Atoli tłómaczenie nie wypełni nigdy miejsca oryginalu. Bo jak każdy naród właściwe sobie ma uczucia, skłonności i wyobrażenia, jak z innych właściwych sobie stron zapatruje się na świat zewnętrzny i wewnętrzny, na świat zmysłowy i umysłowy, jak innym niejako głosem światy te do uczucia i myśli jego przemawiają; tak też i w języku złożony jest ten właściwy sposób widzenia i myślenia, w brzmieniach, zwrotach i duchu języka tak dalece odbija się właściwość czucia i pojęcia Poety i jego narodu, że tłómaczenie oddać może ogólną obrazów treść, ale ogołoconą z barwy, wszystkich delikatnych wrażeń i życia, które przez język przemawia. Jest to pozorne ścieśnienie Poezyi i zamknięcie jéj w granicach będących pod strażą Języka; ale też właśnie zawisłość Poezyi od Języka tém mocniéj obie strony jednoczy, wyłączną właściwość treści i wyłączną piękność obrazów Poezyi w saméj już formie wyciska. Dla tego też usposobienie i wyrobienie materyału językowego, jak ważnym jest Poezyi pierwiastkiem i piękności jej warunkiem, tak wielkiego wymaga starania Poety, a mianowicie łatwości i zręczności w jego użyciu, ażeby istota obrazów i ich piękności przeglądała z saméj formy zewnętrznéj, aby cały utwór wyobraźni Poety wystąpił na jaw w obec wyobraźni naszéj, i zewnętrzną harmonią zmysły nasze do równéj nastrajał harmonii.

Trzy są mianowicie znamiona i środki językowe służące do oddania zewnętrznéj postaci i piękności obrazów, tudzież do wzbudzenia harmonii w zmysłach i uczuciu naszem, a temi są:

a) Skład i dobór wyrazów nadający formie właściwą *barwę poetyczną;*
b) skład w oddzielne części, uderzające ucho i czucie nasze muzycznym dźwiękiem i spadkiem za pomocą *rytmu* i *rymu* (skład w wiersze);
c) skład wierszów w większą harmonijną całość, w *strofy* lub *wrotki.*

a. Barwa poetyczna.

Zewnętrzna malowniczość języka. — Jak Malarz obrazowi swemu nadaje urok przez świeżość, czystość i pełność kolorów, jak Muzyk przez modulowanie i dobieranie dźwięków Sztuce swojéj harmonią nadaje; tak Poeta składem, tokiem i brzmieniem języka maluje istotę i wszystkie przymioty pomyślanego obrazu, urokiem zewnątrz rozlanym zachwyca wyobraźnią naszą i unosi ją w świat idealnéj piękności. Jest to zewnętrzna, głosowa, muzykalna strona Poezyi, która dźwięcznością, rozmaitością i pełnością głosu i wyrazu podnosi i niejako reprezentuje wewnętrzną piękność utworu, a tém samém po rozbudzonych zmysłach toruje drogę pomysłom poetycznym do wyobraźni naszéj. I ten to urok zewnętrzny, ten piękny i bogaty strój Poezyi, żywością kolorytu i świetnością wyrazu zmysły bezpośrednio uderzający, czyni Poezyą przystępną i miłą dla tych nawet, którzy prawdziwéj jéj piękności uczuć i poznać nie są zdolni, którzy królowę Sztuk wszystkich do niskości Rytmotwórstwa strącają.

Wewnętrzna malowniczość języka. — Każdy język, jako utwór i obraz ducha, zdolny jest wyobrazić pomysły Poety; ale niekażdy równie jest usposobiony do téj pełności, rozmaitości i muzykalnéj piękności wyrazu. Mianowicie zaś języki pierwotne, jakim jest i Polski, w wyższym daleko stopniu zdolność tę posiadają, aniżeli pochodne. Bo język pierwotny, będąc świeżym płodem młodocianéj i żywéj wyobraźni, nosi w sobie jeszcze ów żywotny pierwiastek, którego naród dostrzegł w rzeczach i zjawiskach świata, w wyrazach pierwotnego języka żyje jeszcze treść i niejako dusza wszech rzeczy, która się zmysłom i wyobraźni narodu objawiła, pewnemi dźwiękami do niego przemówiła i w głosy ujętą została. Język więc pierwotny jest malowniczy, nie w tém tylko rozumieniu, iż głosy natury naśladuje, jak to widać w wyrazach np. *szczęk, brzęk, świst, tętęt, turkot* itp., ale nadto malowniczy co do istoty rzeczy, naśladując niejako głos wewnętrzny, którym świat otaczający do narodu się odzywa. W wyrazach np. *świat, światłosc, blask, iskra, dech, miękkość, miłość, chropawy, słodki,* itp. czuje każdy naśladowanie głosu jakim rzeczy do narodu przemawiały: co dziś dla rozumu abstrakcyą jest tylko, to pierwiastkowo zmysłowym było obrazem każdéj rzeczy. Pod tym względem otwiera się Poecie rozległe i obfite pole piękności. Znając ducha swego języka, czując jego pierwiastki i żywotne znaczenie wyrazów, w pogotowiu ma rozmaite i pełne obrazy, w zmysłowości języka upostacia najulotniejsze pomysły, przez dobór treściwych, malowniczych wyrazów rozbudza w wyobraźni naszéj czucie i przypomina owe obrazy, któremi pierwiastkowy naród głosy swoje zapełniał. Jest to największa plastyczność, azatém poetyczność formy zewnętrznéj, bo Poezya taka nietylko myśl w obrazie przedstawia, ale w samych już wyrazach osobne kreśli obrazy.

Barwa właściwa językowi polskiemu. — Język polski należy bez wątpienia do najbogatszych pod tym względem. Nie jest on pochodny, azatém nie przytarty, tak iżby tylko czystym był znakiem wyobrażeń, ale owszem, zrosłszy na téj saméj ziemi co i naród, mieści w sobie wszystkie wdzięki świata rodzinnego, naśladuje wyraźnie wszystkie jego ruchy i czynności, jest plastyczném odbiciem uczucia, pojęcia i życia narodowego. Dodajmy do tego, że z wszystkich prawie języków Europejskich najbogatszy jest w rozmaite głosy i dźwięki, twarde i miękkie, mocne i słabe, płynne i syczące, otwarte i ściśnione, które według uczucia Poety skombinowane dają kształtom Poezyi polskiéj barwę najrozmaitszą i brzmienie najmuzykalniejsze. Takowa malownicza rozmaitość dźwięków, wsparta nieprzebraném bogactwem wyrazów i form ich w rozliczne kształty naginanych, wreszcie z swobodnym szykiem słów i zdań całych, czyni język nasz nader zdolnym do wyobrażenia wszelkich piękności w Poezyi. Jakoż jednoczy on w sobie wszystkie prawie zalety języków europejskich: co do siły pierwotności stoi tuż obok germańskich, a o wiele przewyższa romańskie; co do słodyczy i śpiewności nie ustępuje włoskiemu, a przyznane ma pierwszeństwo nad niemieckim; ze słowiańskich nie wyrównywa może owéj jońskiéj miękkości i samogłoskowości języka rossyjskiego, ale go prześciga mocą i energią spółgłosek.

Miara i akcent w języku. — Obok téj piękności formy językowéj, zasadzającéj się na treściwości i dźwięczności głosów, jest inna jeszcze, która polega na dłuższém lub krótszém wytrzymywaniu, tudzież na mocniejszém lub słabszém wybijaniu zgłosek wyrazowych. Wytrzymywanie zgłosek w czasie, czyli ich przedłużanie obok innych krótkich było własnością języków starożytnych, mianowicie Greckiego; mocniejsze wybijanie pewnych zgłosek, obok innych spuszczonym głosem wymawianych, przemaga w językach nowszych. Długość owa nadawała wyrazom starożytności pewną ciężkość fizyczną, a językowi w ogóle charakter bardziéj zmysłowy; języki nowsze pozbyły się po większéj części téj zmysłowości, zatrzymały tylko *Przycisk* czyli *Akcent*, który padając na pewne zgłoski podnosi moralną niejako ich siłę. Jeśli pada na zgłoskę źródłosłowową, jak w języku niemieckim, wydobywa z wyrazu główne jego znaczenie; jeśli zaś na inne pada zgłoski, jak i w polskim, gdzie zwykle spoczywa na parzystéj t. j. drugiéj i czwartéj od końca, jest to znamieniem pewnego poważnego nastroju uczucia muzykalnego, znamieniem pewnego poważnego nastroju ducha i uczucia, zgodnego z takimże nastrojem kontuszowego, że tak powiem, charakteru narodowego, któremu akcent niestały, ruchliwy zdawał się być za lekkim, i dla tego na pewném osadził go miejscu.

Następstwo zgłosek długich i krótkich, akcentowanych i nieakcentowanych naprzemian po sobie, jako też dobór wyrazów z różną miarą i różnym akcentem, sprawia miły tok wyrazów i pewien dźwięczny spadek. Tę stronę piękności *Rytmicznością* zowiemy.

b. Wiersz.

Rytmiczność. — Jakkolwiek piękność rozlana w malowniczém brzmieniu wyrazów wystarczaćby mogła do dokładnego oddania wewnętrznéj piękności obrazów poetycznych, co też widzimy w poezyach *niewiązaną* mową pisanych; wszelako piękność takowa, rozrzucona po całości bezładnie, ginie, a przynajmniéj zmysł mniej usposobiony nie czuje nawet całego jéj wrażenia. Jest to jak gdyby melodya nieograniczona, któréj zmysły nasze ogarnąć nie zdołają; rytm płynący w nieokreśloném następstwie i niepewnym rozmiarze, nie mający pewnego ani początku ani końca, jest dla ucha i czucia jak gdyby nieskończony i nieograniczony, azatém niedostrzeżony. Rozmaitość więc brzmień i rytmiczność nieokreśloną sprowadzić należy do jedności, nieograniczoną głosów liczbę określić pewnym rozmiarem, tak aby co chwila pewna oddzielna całość zmysły uderzała, i piękność ogólna w oddzielnych, wyraźnych miarach uczuć się dała. Takiem zebraniem rozmaitości brzmień w pewną jedność i cząstkową całość, takiem ograniczeniem obrazów nieskończonych i rozdzieleniem ich na części pewne, dla zmysłów i uczucia wyraźne, jest *Wiersz.*

Wiersz zatém jest pewna piękna, ograniczona całość brzmień i wyrazów, azatém téż jakaś określona, maleńka całość obrazu. Piękność jego polega tak na malowniczym dźwięku głosów, jak na pewnym rytmicznym spadku wyrazów; granicę zaś jego określa miara rytmicznego i muzykalnego uczucia. Możnaby więc nazwać Wiersz rytmiczną, uczuciem muzykalném ograniczoną całością. Jeśli on nie jest niezbędnym piękności Poezyi warunkiem, to jest przecież jedném z głównych, wrażenie téj Piękności podnoszących znamion. Jest on skutkiem i znamieniem wyższego nastroju uczucia Poety, i takiż wyższy nastrój sprawia w duszy czytelników. Poezye niewierszowane mają zawsze coś

luźnego i mdłego, rzekłbym prozaicznego. Rzadko téj luźności pozwalają sobie Poeci, a jeśli najczęściej niewiązana ta forma napotyka się w dramatach, to i tu właściwszą jest komedyi, jako obrazowi życia powszedniego, aniżeli tragiedyi, która wyższy ów nastrój ducha objawia tak w rzeczy jak w formie.

c. Rytm i Rytmiczność.

Rytmiczność miarowa i akcentowa. — Atoli rytmiczność ta i piękność wiersza, jako małej całości obrazu, różna jest i inna w językach starożytnych, inna w nowszych, mianowicie w polskim, równie jak rozmiar wiersza greckiego różny jest od wiersza polskiego. Ponieważ bowiem u starożytnych rytm zasadzał się na pewném oznaczoném następstwie zgłosek długich i krótkich, przeto też wiersz starożytny był rytmiczną całością pewnéj *długości*, tak iż rozmiar jego był niejako *geometryczny*. Rytm naszego języka, jak wszystkich prawie nowszych, polega na następstwie zgłosek, nie długich i krótkich, tylko akcentowanych i nieakcentowanych, tak iż liczebny ich zbiór, a nie rozciągłość na dłuż, rozmiar i granice wiersza stanowi; zatem też wiersz nasz nie jest rytmiczną całością pewnéj długości, tylko pewnéj *liczby* zgłosek, czyli, rozmiar wiersza naszego nie jest geometryczny, tylko *arytmetyczny*. I tak np. najrozciąglejszy wiersz starożytny, jakim jest *Hexameter*, składa się z 12 miar długich (— — | — — | — — | — — | — — | — —), które do zapełnienia także 12 długich zgłosek potrzebują; rozłożywszy zaś każdą drugą długość, prócz ostatniéj, na dwie miary krótkie, wymagające tyleż krótkich zgłosek, mamy wiersz 17zgłoskowy. Pomimo to rozmiar owego wiersza 12zgłoskowego równy jest rozmiarowi wiersza 17zgłoskowego, gdyż obadwa ten sam mają rozmiar długości geometrycznej.

Inaczej rzecz się ma z wierszami polskiemi. Nie mając zgłosek długich i krótkich, nie możemy różną liczbą zgłosek wypełnić tego samego rozmiaru wiersza; owszem, chcąc mieć wiersz tego samego rozmiaru, tą samą liczbą zgłosek zapełnić go musimy. Zatém najrozleglejszy nasz wiersz 13zgłoskowy liczby téj zmienić nie może, bo rozmiar jego liczebny, arytmetyczny, nadwerężałby się; alboby przeszedł granicę liczbą i czuciem naszem nakreśloną, alboby nie wystarczył do wypełnienia téj samej przestrzeni.

Równość więc i tożsamość wierszy starożytnych zasadza się na *równéj rozciągłości* pojedyńczych części czyli stóp, które razem zebrane, ten sam dają rozmiar geometryczny; równość zaś i tożsamość wiersza polskiego polega na *równéj liczbie części* pojedyńczych, które razem zebrane tę samą dają ilość arytmetyczną. Widoczna ta różnica w składzie i budowie wiersza tak jest ważna i charakterystyczna, że naciągać prawidła miar starożytnych do wierszy polskich jest to nie znać różnicy w charakterze i budowie wiersza starożytnego a nowego, jest to szukać piękności i rytmiczności do uczucia naszego nie przypadającej, wprowadzać siłę ciężkości fizycznéj w miejsce moralnéj siły akcentowéj, jest to wreszcie kusić się o rzeczy niepodobne ani też potrzebne. Są one niepodobne, bo nikt zgłoskom naszych wyrazów nie nada ciężkości i długości obcéj uczuciu narodowemu; niepotrzebne, bo w miarę innego usposobienia uczucia i języka naszego, inne też mamy zasady rytmicznéj piękności.

Zasady rytmiczności wiersza Polskiego. — Zasady te rytmiczności wiersza polskiego polegają na różnicy i odmierzoném następstwie zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych w tym samym rozmiarze arytmetycznym, to jest w zbiorze pewnéj liczby zgłosek. Przez mocniejsze wybijanie pewnych zgłosek i dobrane następstwo takowych w pewnéj odległości od siebie, tudzież przez pewną liczbę tychże akcentów nadaje się wierszowi pewna siła moralna, a w całym jego toku powstaje regularny, melodyjny spadek. Liczba zgłosek akcentowanych stanowi mocniejszą lub słabszą wiersza siłę, a spadek powstający z całego następstwa akcentów w pewnych spacyach stanowi rytm, czyni wiersz rytmicznym. Ile siły przez dobraną liczbę akcentów wierszowi nadać należy, i w jakich odległościach zgłoski akcentowane po sobie mają następować, to zależy częścią od uczucia Poety i charakteru, jaki myśli i wierszowi nadać chce, tudzież od akcentu każdemu językowi właściwego. Ponieważ w języku polskim akcent pada zawsze prawie na zgłoskę przedostatnią, a w wyrazach cztero- lub więcéj zgłoskowych na każdą parzystą od końca; przeto zgłoski akcentowane tylko o jedne lub najwięcéj o dwie zgłoski nieakcentowane od siebie odległe być mogą. W jednym wyrazie zgłoski akcentowane zawsze tylko o jednę zgłoskę są oddalone, skąd powstaje rytm odpowiadający starożytnemu, trochaicznemu, np. niewiadómość; dwie zgłoski nieakcentowane tylko w dwóch wyrazach obok siebie stać mogą, i stąd powstaje rytm sztuczny odpowiadający daktylicznemu, np. pówiedz mi. W ogó-

le rozmaitość rytmiczna zamyka sie u nas w następujących kombinacyach:

Rytm naturalny.	*Rytm sztuczny*
⊥ ◡ szczęście	⊥ ◡ ◡ kochaj mię
◡ ⊥ ◡ nieszczęście	⊥ ⊥ pełnij grot
⊥ ◡ ⊥ ◡ nieszczęśliwy	⊥ ◡ ⊥ ostry grot.

Kombinacya ta pokazuje, że naturalnym rytmem polskim jest spadek trochaiczny i amfibrachiczny. Jakoż rozbierając wszystkie wzory poezyi polskiéj, począwszy od J. Kochanowskiego aż do najśpiewniejszego może Bohdana Zaleskiego, w ogóle ten właśnie widzimy przemagającym, zgodnie z duchem i taktem melodyi polskich. W dawniejszych poezyach polskich był on tylko skutkiem naturalnego akcentu polskiego, i dla tego przypadkowym, niestałym. Nowsi poeci, bacząc pilniéj na tę budowę i piękność wiersza, więcéj mają śladów téj językowi polskiemu właściwéj rytmiczności akcentowéj. Nie dostrzegłszy wszakże tych prawideł rytmu polskiego, tylko albo naśladując rytm starożytny, albo téż idąc za niepewną ucha skłonnością, nie pilnowali ściśle tych zasad rytmicznych, i dla tego często najpiękniéj brzmiące i najrytmiczniéj płynące wiersze przeplatali innemi mniéj odpowiedniemi, co widoczną sprawia nierytmiczność, a do śpiewu wiersz taki całkiem niezdatnym czyni. Za przykład niechaj posłużą dwie wrotki z Mickiewicza wiersza *Pierwiosnek*:

Z niebieskich najrańsza piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych osłonek.
Zawcześnie kwiatku zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Rytmiczny skład wierszy pierwszéj strofy jest taki:

◡ ⊥ ◡ ◡ ⊥ ◡ ⊥ ◡
⊥ ◡ ◡ ⊥ ◡ ◡ ⊥ ◡

Każdy wiersz składa się z 8 zgłosek, z których 3 akcentowane pomiędzy 5 nieakcentowanych tak są rozłożone, że je jedna lub dwie nieakcentowane przedzielają. Wrażenie więc czterech tych wierszy na ucho i czucie nasze jest miłe i rytmiczne, bo nietylko że liczba zgłosek ta sama, ale i siła tych wierszy moralna, na trzech akcentach wsparta, jest równa i spadek podobny. Atoli mniéj już zgodne z tym rytmem są wiersze zwrotki następnéj, bo drugiego wiersza skład jest taki:

⊥ ◡ ⊥ ◡ ⊥ ◡ ⊥ ◡

Lubo więc rozmiar jego arytmetyczny jest ten sam: ponieważ jednak 4 ma zgłoski akcentowane i tyleż tylko nieakcentowanych, które się bezpośrednio mieniają, przeto i siła jego nierówna jest sile wierszy poprzedzających, i różne całkiem następstwo zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych innym trybem i rytmem w ucho nasze wpada. Podobna nierytmiczność widoczna jest w wierszu:

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił.

bo w drugiéj połowie wiersza stykają się bezpośrednio dwie zgłoski akcentowane *ten tylko*, czemu łatwo było można zapobiedz.

Warunki rytmiczności wiersza Polskiego. — Wynika stąd, że ponieważ rozmiar wiersza polskiego zasadza się na ilości zgłosek, siła jego na ilości akcentów, a rytm na następstwie zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych w pewnych odległościach; przeto wiersze, które składem i rytmem podobne być mają, winny mieć:

1) tę samą liczbę zgłosek:
2) tę tamą liczbę akcentów:
3) ten sam sposób ich następstwa.

I na tych to jedynie zasadach opiera się rytmiczność wiersza naszego; miary bowiem starożytne i ich kombinacye są i językowi i uczuciu naszemu obce. W nowszych poetach, osobliwie w Zaleskim, objawia się też dążność do podobnego składu; a skoro warunki i prawidła tegoż składu, dla śpiewu nieodzowne, dla melodyjnéj budowy wiersza nader ważne, powszechnie rozpoznane zostaną, zewnętrzna forma Poezyi naszéj nabędzie nowéj piękności do téj, któréj w ogóle w samym tylko rymie upatrywano.

Uwaga. Że od liczby akcentów zależy siła wiersza, a od następstwa tychże rytm polski, to się pomiędzy innemi pokazuje i stąd, że Zaleski składając wiersz 12zgłoskowy męski, średniówkę nie po 6stéj, lecz po 7méj zgłosce kłaść musiał, bo ostatnia zgłoska akcentowana nadała drugiéj połowie wiersza tyle ciężkości i mocy, że pierwsza połowa ilością zgłosek zrównać się tylko mogła. Chociaż więc pierwsza połowa z 7 zgłosek się składa, a druga z 5 tylko, to jednak obydwie połowy stanowią równowagę, gdyż liczba zgłosek akcentowanych w jednéj i drugiéj ta sama jest. Oto jest przykład z *Gęślarza*:

⊥ ◡ ⊥ ◡ ◡ ⊥ ◡ | ⊥ ◡ ⊥ ◡ ⊥

Stąd i z owąd rozności hałasuje dzwon,
Rozhuk po wodach, po siołach brodzi:
Ho — ho, chmury z dalekich odgrzmiewają stron;
Ćma się wysuwa świecących łodzi:
To Michał Archanioł, ziemi naszéj stróż.

Na lewo, na prawo,
Spoziera jaskrawo.
I czarty na wichrach mkną jarami już.

Rym.

Rym. — *Rym* jest wyłączną nowszéj Poezyi własnością, bo piękność jego obcą była uczuciu starożytnych. Zasadza on się na podobieństwie brzmienia końcowych zgłosek w dwóch lub kilku nawet wierszach, bądź bezpośrednio, bądź pośrednio po sobie następujących. Jeśli wiersz rytmowy jest piękną całością w sobie saméj skończoną; to Rym wiąże dwa lub więcéj wierszy w jednę piękną całość. Wiersz rytmowy jest, że tak rzekę, jedną prostą melodyą; wiersze zaś rymowane są powtórzeniem i rozszerzeniem téj melodyi w pieśń zupełną. Powtórzenie tych samych brzmień końcowych jest niejako podniesieniem i zaostrzeniem uczucia, które już wiersz pojedyńczy obudza, jest zlaniem dwóch lub więcéj wierszy w jednę zgodną całość, a przez to samo zespoleniem uczuć i obrazów poetycznych. Odpowiadające sobie końcówki nietylko że wspólném brzmieniem miły dla ucha dźwięk rodzą, ale nadto ciągłém a głośném przypomnieniem są dla ucha, że obrazy poetyczne, wierszami niejako rozerwane, tegoż samego łańcucha są ogniwami, które we wspólnych końcówkach wspólne mają powiązanie. Stąd to Poeci dzielniejsi w uczucia i pomysły, niekiedy do dwunastu i piętnastu wierszy wciąż powracającym wiążą rymem, chcąc całość i okrągłość swych uczuć odległemi nawet ogarnąć rymami. Przykładem jest Mickiewicza: *Kurhanek Maryli.*

Nie jest więc Rym wymysłem lub wybiegiem narodów, co się na rytmie nie znały, jak niektórzy chcą utrzymywać, ani też próżną trudnością hamującą wolny popęd Poety. Jest on raczéj naturalnym skutkiem muzykalnego uczucia narodów nowszych; jest jedném z wyraźnych znamion romantyczności i większéj idealności. Bo uczucie nasze pozbywszy się fizycznéj ciężkości wiersza starożytnego, wkłada weń tylko siłę moralną za pomocą akcentu, a zdążając w każdym wierszu ku końcówce, wybiega niejako za dźwięcznym brzmień odgłosem. Co się zaś trudności dotyczy, ta Poety od jednego z głównych warunków piękności poetycznéj uwolnić nie może, zwłaszcza, że talent żadnych nie zna trudności lub łatwo je pokonywa. Co większa, dobieranie równobrzmiących końcówek naprowadza częstokroć Poetę na nowy pomysł, gdyż przechodząc wyrazy podobnego brzmie-

nia potrąca mimochodem o różne wyobrażenia, a tém samém rozbudza w imaginacyi coraz nowsze obrazy. Wszakże nie wynika stąd bynajmniej, iżby Poeta myśl do końcówki, a nie końcówkę do myśli miał stósować. U prawdziwego Poety rodzi się myśl a końcówka pospołu.

Rym męski i żeński. — Rym jest dwojaki: *męski* i *żeński*. Rym *męski* stanowią dwie końcowe podobnie brzmiące zgłoski akcentowane, które z przyczyny trochaicznego akcentu języka polskiego tylko w jednozgłoskowych wyrazach zachodzić mogą, jakiemi są np. *krew* — *brew; trę* — *wrę* i t. p. Jeśli wyrazy takie jednozgłoskowe na spółgłoskę się kończą, rymują się z sobą ostatnie spółgłoski z poprzedzającą samogłoską, np. *pan* — *stan; lot* — *zwrot*; jeśli zaś wyrazy jednozgłoskowe kończą się na samogłoskę, stanowią rym ostatnie samogłoski z jedną przynajmniéj spółgłoską poprzedzającą np. *drwi* — *krwi*; *dnie* — *pnie* i t. p.

Rym *żeński*, zwyczajny u nas z powodu naturalnego akcentu wyrazów naszych, polega na zgodności brzmienia nietylko całych zgłosek końcowych, ale nadto połowy zgłosek przedostatnich, mierząc tę połowę od samogłoski w zgłosce przedostatniéj, np. *nagroda* — *szkoda; na dnie* — *spadnie*; *karny* — *swarny; brzydki* — *płytki* (głosy *t* i *d* mają tu przed *k* to samo brzmienie).

Warunki dobrych rymów zależą na tém, aby były pełne i malownicze, nieprzymuszane, aby miały ten sam akcent, aby wreszcie te same rymy zbyt blisko i często po sobie nie następowały.

Rymy nieprzekładane i przekładane. — Rymy odpowiadające sobie w dwóch bezpośrednio po sobie następujących wierszach czynią wiersze *nieprzekładane; przekładane* wiersze powstają, kiedy rymy równobrzmiące w pewnéj odległości po sobie następują, przeplecone jednym lub nawet kilkoma wierszami innego rymu.

Średniówka.

Ponieważ więc cała budowa i piękność wiersza polskiego zasadza się na ilości zgłosek, na ilości i następstwie zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych, tudzież na rymie i jakości tegoż; przeto od warunków tych zależy rozmaitość wierszy naszych. Najkrótszy prawie wiersz polski jest czterozgłoskowy, najdłuższy trzynastozgłoskowy; dwa i trzyzgłoskowe zachodzą tylko w strofach większych, dłuższe zaś nad trzynastozgłoskowe przechodzą granicę rozmiaru uczuciem naszém zakreślonego, i dla tego są bardzo rzadkie. Tenże

rozmiar zależący od uczucia i niejako od tchu potrzebnego do wymówienia wiersza w całości, wymaga podziału dłuższych wierszy na dwie połowy. Miejsce, gdzie się kończy pierwsza połowa z końcem wyrazu, nazywamy środkiem wiersza czyli *Średniówką*, która odpowiada Cezurze w starożytnym wierszu miarowym. Zgadza się Średniówka z Cezurą w tém, że tak jedna jak druga wymaga pauzy po wyrazie skończonym; ale Cezura przerywa stopę w wierszu starożytnym, Średniówka zaś połowi i wiersz i rytmiczny skład jego.

Przykład na Cezurę:

Arma virumque cano, | Trojae qui primus ab oris
Italiam | fato profugus | Laviuaque venit
Litora.

Przykład na Średniówkę:

Święta Panno, co jasnéj | bronisz Częstochowy
I w Ostréj święcisz bramie! | Ty co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz | z jego wiernym ludem!

Miejsce Średniówki. — W wierszach złożonych z parzystéj liczby zgłosek pada Średniówka w samą połowę; w nieparzystych zaś albo przed albo po zgłosce zostającéj po podziale wiersza na dwie połowy. Jeśli Średniówka w oznaczonych miejscach nie jest zachowana, powstaje nierytmiczność, chyba że Poeta przez inny umyślny podział pewne jakieś sprawić chce wrażenie, jak np. Zaleski w wierszu: *Dwojaki koniec*:

Rok się kochali — a wiek się niewidzieli;
Zbolały serca — oboje na pościeli.
Leży dziewczyna | w komnacie swéj na łożu.
A kozak leży | w dąbrowie na rozdrożu. itd.

Ponieważ zaś Średniówka jest wytchnieniem czyli pauzą, przeto dobrze jest, kiedy zarazem logiczny przestanek stanowi. Niedobrą i rytmicznemu tokowi przeciwną jest Średniówka, kiedy przypada po wyrazie, który się mocno czepi wyrazu następującego, tak iż w połowie wiersza wytchnąć nie podobna, np.

Myśliwiec krąży koło | puszcz litewskich łoża.
albo: Po wielu latach pierwszy | raz miała rodzina.

Mniéj uderza takie niestósowne położenie Średniówki, kiedy tenże sam wiersz pierwéj już inny, logiczny ma przestanek, np.

Brał dom żałobę, ale | powiedzieć nie śmiano
Po kim było żałoba, tylko zgadywano
W okolicy; i tylko | cichy smutek panów itd.

Nie potrzebują Średniówki z przyczyny mniéjszego rozmiaru wiersze liczące mniéj niż 10 zgłosek; dziesięcio-, je-

denasto-, dwunasto- i trzynastozgłoskowe obyć się bez niéj nie mogą.

Wykaz wierszy różnozgłoskowych i różnorytmicznych.

Kolejny wykaz różnych wierszy według liczby zgłosek i powstającéj stąd różnicy rytmicznéj wystawi naocznie wszelkie kombinacye wiersza polskiego co do jego rozmiaru, rytmu, rymu i średniówki, jako głównych znamion wiersza nowszego w ogólności.

1) Wiersz *Czterozgłoskowy* ma tylko skład następujący:
żeński ⊥⌣⊥⌣
męski ⌣⊥⌣⊥ (tylko w strofach).

Żeński.

Panie Janie!
W każdym stanie
Zyskać można:
Myśl ostrożna
Obrać umie
Gdy rozumie.
I obiera,
Gdy otwiera
To w czém treści itd.
Krasicki.

Męski.

I my, i my
Igraszką wód i kry!
Nasz wąski listek
Powiędnał wszystek,
A jasną barwę miał.
Zorano grunt,
Co życie dał!
I my, i my
Igraszka wód i kry,
Wiśle podnosim bunt
Wasilewski.

2) Wiersz *Pięciozgłoskowy:*
żeński ⊥⌣⌣⊥⌣
⌣⊥⌣⊥⌣
męski ⊥⌣⊥⌣⊥
⌣⊥⌣⌣⊥

Żeński.

Tygrys wylata,
Spoziera z dala
I kłami błyska.
Język wywala
Ogonem ciska, itd.
Mickiewicz.

Męski.

Nie wszystkoć to kwiecie, co buja ku Wiośnie,
Da jagody już!
Nie wszystkaś ta młodzież, co ma się miłośnie,
Pobierze się tuż!
Zaleski.

3) Wiersz *Sześciozgłoskowy:*
żeński ⊥⌣⊥⌣⊥⌣
⌣⊥⌣⌣⊥⌣
męski ⊥⌣⌣⊥⌣⊥
⌣⊥⌣⊥⌣⊥

Żeński.

Ach! róży, ach! róży.
Wśród ziemi rozłogów
W téj życia podróży
Tak wiele jest głogów;
Ach! róży, ach! róży itd.
Wasilewski.

Męski.

Jak ujrzy noc i żar
Srogość i mnogość kar,
Zlęknie się naszych scen;
Przypomni jutro sen,
Może poprawić się.
Mickiewicz.

Żeński.

Gdy ja pójdę z domu,
Kiedy powędruję,
Komuż wtedy, komu
Pięknie podziękuję?

Komubym ja, komu
Pięknie dziękowała?
Ojcu, matce w domu,
Co mnie wychowała.

Brodziński.

4) Wiersz *Siedmiozgłoskowy*:

żeński ⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
⊥ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪

męski ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥

Żeński.

Stary Budrys trzech synów,
Tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
Wyprowadźcie rumaki,
I narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze itd.

Mickiewicz.

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana;
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju itd.

Mickiewicz.

Męski.

Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewéj ręki krwi usącz,
A na węża będziem kląć,
W dwie obrączki będziem dać,
Musi przyjść i ciebie wziąść.

Mickiewicz.

Stój mój koniu, koniu stój,
Przebyłeś nim zapiał kur
Tyle rzek i skał i gór,
A tuś zadrżał koniu mój.
Wiem ja koniu czego drżysz,
Mnie i tobie boli krzyż.

Mickiewicz.

5) Wiersz *Ośmiozgłoskowy*:

żeński ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪

męski ⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥

Żeński.

Tędy, tędy leciał ptaszek,
Och świecący, kraśnopióry.
Stąd od gniazda śród igraszek
Wiał się, wiał i wiał do góry.

Zaleski.

Z niebieskich najrańsza piosnek,
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek.

Mickiewicz.

*Męski.**)

Góra, góra, zielony las,
Dzisiaj razem nie będzie nas.

Brodziński.

*) Ośmio- i więcéjzgłoskowe wiersze męskie bardzo są rzadkie, i dla tego nie przytaczamy przykładów na wszystkie kombinacye rytmiczne.

6) Wiersz *Dziewięciozgłoskowy*: (dość rzadki)

żeński ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪

męski ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ ⊥

Żeński.

Rok za rokiem lecą mi lata,
Jak niemiłe — nieme — gdzieś ptaki!
Kraj za krajem, zbiegłem pół świata;
Ale wszędzie pusty — nijaki:
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany.

Zaleski.

Czyż ja u ojca nie dziecina!
Czyż ja u ojca nie jedyna?
Czemuż, czemu w moje rano
Cały świat mi zawiązano?

Zaleski.

Wesoło żeglujmy, wesoło!
Po życia burzliwym potoku;
Jak orły w gradowym obłoku,
Choć wichry, pioruny w około,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Wasilewski.

Męski.

Stepowa Gęśli! drum, drum, drum, drum,
W rozciągłéj nucie domowych dum,
Brząkam ku tobie sam — o samiutki;
Rozbrzmiéj na wiatry powszednie smutki.

Jeśli my swoi — siostra i brat:
Och! od najmłodszych oboje lat,
Zawsze oboje — smutnie i sami,
W pustyni sobie jęczym pieśniami.

Kość z kości ojców — Słowianin — Lach;
Lachy, Słowianie — jak w moich snach,
Jak w mojéj nucie i słowach pieśni,
Byliby sobie bracia rówieśni.

Zaleski.

7) Wiersz *Dziesięciozgłoskowy*.*)

żeński ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ⊥ ∪
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
⊥ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
⊥ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪

*) Uważać należy, że ponieważ wiersze 10, 11, 12 i 13zgłoskowe dzielą się za pomocą średniówki na dwie połowy, więc każda połowa, licząca naturalnie najwięcéj od 5 do 7 zgłosek, ma już tylko skład rytmiczny wierszy 5. 6 i 7 zgłoskowych, tak jednak iż obydwie połowy różny spadek mieć mogą.

męski ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥

Żeński z Średniówką w środku.

Drzym sobie duszo! — co ci do tego
Że tam myśl czyjaś po niebie lata,
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata,
Woła do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi,
I z tego wróży życie po śmierci!

Wasilewski.

Żeński ze Średniówką po czwartéj zgłosce.

Siódme lato — Doniec gdzieś za Donem;
Nad Don wraca przed ósmem skończonem;
Noc go ciemna zaścigła na stepie;
Uznojone członki snem pokrzepie;
Konia upiął za dębu rosochę,
I na kurhan legł podrzemać trochę. —

Siemieński.

Męski.

W pracy bez płacy, na słocie na zimnie,
Mój Ktoś czy Ktosia, niewidomo przy mnie,
Ciągnie w pustkowie — by płakać i śnić,
Wedle postawu barwy snuje nić.

Zaleski.

8) Wiersz *Jedenastozgłoskowy.**)

żeński ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ z Średniówką po
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ zgłosce piątej.
⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪

∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ z Średniówką po
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ zgłosce szóstej.

męski ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥
⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥

*) W żeńskim 11zgłoskowym wierszu pada Średniówka po zgłosce piątéj lub szóstéj (w drugim razie połowa sześciozgłoskowa przypuszcza tylko właściwie dwie zgłoski akcentowane dla równowagi z drugą połową, liczącą także tylko dwa akcenty); ale w męskim zawsze po szóstej, bo druga połowa dostaje wtedy trzy akcenty, a zatém więcéj siły. Podobnież w 12zgłoskowym męskim przypada po siódméj zgłosce.—Wiersz 12zgłoskowy w ogóle mało jest używany.

Żeński z Średniówką po piątéj zgłosce.

Kraków — Stolica pyszna co się zowie.
Ile jest grodów wspaniałych na ziemi,
Kraków najpierwszy pomiędzy wszystkiemi:
I mało ludzi — co byli w Krakowie!
Boć to daleko leży niesłychanie
Najżwawszy Kozak nie zadzień tam stanie.

Zaleski.

Żeński z Średniówką po szóstéj zgłosce.

Braciszka mijego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy.
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym, naszym kochankiem.
Rączęta liliowe za liście splećmy,
Za róże kwitnące czoła rozniećmy.

Mickiewicz.

Męski.

To Michał Archanioł, ziemi naszéj stróż
Na lewo, na prawo,
Spoziera jaskrawo.
I czarty na wichrach mkną jarami już.

Zaleski.

9) Wiersz *Dwunastozgłoskowy*:

żeński ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪
∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪

męski ⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥
⊥ ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥
∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ ⊥ ∪ | ∪ ⊥ ∪ ∪ ⊥

Żeński.

Lecisz miły ptaszku przez olszowe gaje,
Zaśpiewaj mi przecie, gdzie mój Jaś zostaje?
Weź te fijołeczki ode mnie zerwane,
Moje ich szukały oczy zapłakane.
Przynieś mu je w dziobku kędykolwiek będzie,
Powiedz mu, że o nim tylko dumam wszędzie!

Brodziński.

Męski.

Stąd i z owąd rozgłośnie hałasuje dzwon,
Rozhuk — po wodach, po siołach brodzi;
Ho — ho, chmury z dalekich odgrzmiewają stron;
Ćma się wysuwa świecących łodzi.
To Michał Archanioł ziemi naszéj stróż itd.

Zaleski.

10) Wiersz *Trzynastozgłoskowy:*

żeński ⊥◡⊥◡◡⊥◡ | ⊥◡⊥◡⊥◡ Średniówka po
⊥◡◡⊥◡⊥◡ | ⊥◡⊥◡⊥◡ zgłosce siódmej.
◡⊥◡⊥◡⊥◡ | ⊥◡⊥◡⊥◡

⊥◡⊥◡◡⊥◡ | ◡⊥◡◡⊥◡
⊥◡◡⊥◡⊥◡ | ◡⊥◡◡⊥◡
◡⊥◡⊥◡⊥◡ | ◡⊥◡◡⊥◡

męski ⊥◡⊥◡⊥◡⊥◡ | ⊥◡⊥◡⊥ Średniówka po zgło-
⊥◡◡⊥◡◡⊥◡ | ⊥◡⊥◡⊥ sce ósmej.
◡⊥◡⊥◡◡⊥◡ | ⊥◡⊥◡⊥
◡⊥◡◡⊥◡⊥◡ | ⊥◡⊥◡⊥

⊥◡⊥◡⊥◡⊥◡ | ◡⊥◡◡⊥
⊥◡◡⊥◡◡⊥◡ | ◡⊥◡◡⊥
◡⊥◡⊥◡◡⊥◡ | ◡⊥◡◡⊥
◡⊥◡◡⊥◡⊥◡ | ◡⊥◡◡⊥

Żeński.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną.
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
Tém smutniejszą, że dźwięk jéj w mgłę bez echa wsiąka;
Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdéj zwrotki
Stają, ostrzą żelazca i w takt kują młotki,
Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy,
I pieśni brzmią jak muzyk niewidzialnych głosy.

A. M.

Męski.

Czarnym Szlachem, za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknéj dumie, krok za krokiem tuż.

Wiersze *Czternastozgłoskowe* bardzo są rzadkie; mają one Średniówkę albo w środku wiersza, albo po zgłosce ósmej, w którym to razie dobrze jest, kiedy pierwsza część 8 zgłoskowa dzieli się znów na dwie połowy czterozgłoskowe. *Piętnasto-* a nawet *Szesnastozgłoskowe* wiersze należą do prób najnowszych. Długość ich tak wielkiego w środku wymaga przestanku, że tém samém każdy z nich rozpada się prawie na dwa wiersze osobne, których rytm oznaczony już jest powyżéj.

11) Wiersz *Czternastozgłoskowy:*

Héj hetmańska zbroja sławna po świecie szerokim!
Héj hetmański koń sierota! rży smutnie: wie po kim.

Zaleski.

12) Wiersz *Piętnastozgłoskowy:*

W czczą jakąś trzeźwość ziemia ta, że aż mi strach, popadła,
Ni Mowa Duchem Świętym tchnie, ni piersby go już zgadła.
Poezję, szczere dziewczę to, pomówił człek o baśnie, —
I ciemno mu, i głucho mu, i dzień — a słońce gaśnie.

Autor Głosów Czasu.

13) Wiersz *Szesnastozgłoskowy:*

Żeński.

Gdzie nad wielką wodą sierpy w wybujałéj trzcinie brzęczą,
Gdzie liść klonu cukrowego igra z piór papuzich tęczą,
Tam kobiéta z czarném licem, z szyją co szkiełkami błyska,
Trzyma dziecię, śpiewa nad niém, a śpiew z serca się wyciska.

Tenże.

Męski.

Pomyka się po Wiśle łódź, poranny wiatr w jéj płótna dmie,
Ośmioro wioseł tkwi u wręg, przy każdém wiośle dłonie dwie;
A brzeg co błyśnie, umknie wraz, a co zadzwoni — zcichnie ptak,
I tylko po zwierciadle wód wypisał się za łodzią ślak.

Tenże.

c. Strofy czyli Wrotki.

Połączenie kilku wierszy w jednę rytmiczną i harmonijną całość stanowi *Strofę* czyli *Wrotkę*. Siła wiążąca pojedyncze wiersze w takową całość, leży w głównych wiersza znamionach, t. j. w pewnym stósunku zgłosek, rytmu i rymu wierszy w Strofę złożonych, w których się także pewien skończony zamyka obraz. Wszakże nie sama koniecznie jednostajność trzech owych znamion stanowi jedność i całość Strofy; owszem, piękność Wrotki zależy na rozmaitości charakterystycznych tych znamion, tak jednak, iżby znamiona te miały spólność jakąś w charakterze, iżby do tego samego zdążały celu, jakim jest powiązanie wszystkich żywiołów wierszy w jednę piękną całość. Że zaś forma zewnętrzna o tyle tylko jedność i całość stanowi, o ile sam obraz poetyczny i myśl węwnętrzna jest całością, przeto do natury Wrotki należy i to, aby z końcem jéj skończył się i obraz czyli sens jednéj myśli.

Charakter znamiona Wrotek. — Co do kombinacyi wierszy pod względem *ilości zgłosek* i *różnicy rytmicznéj*, żadnych pewnych prawideł wydobyć ani podać nie można: zależy to od przedmiotu, uczucia Poety i wrażenia, jakie na wyobraźnią naszą uczynić zamierza. *Jednostajne* są Wrotki, w których wszystkie wiersze tego samego są rozmiaru; *Niejednostajne*, kiedy albo po parze tylko rozmiarem są równe, albo téż pary równe przeplatane są innemi między sobą znów równemi, albo kiedy wreszcie wszystkie wiersze różnéj są długości, co się jednak w większych tylko Wrot-

kach zdarza. Toż samo w ogóle o rozmaitości *rytmu* powiedzieć można. Ponieważ jednak w ogóle skład wrotkowy najwłaściwszy jest Poezyi lirycznéj, która z muzyką i śpiewem w ścisłym jest związku, przeto w każdéj Wrotce pewien, bądź jednostajny, bądź skombinowany rytm zachowany, a mianowicie wszystkie Wrotki téj saméj Pieśni na jeden rytmiczny sposób ułożone być winny. Poeta składający Wrotki do pewnéj melodyi, wszystkie do jéj taktu zastósować powinien, a jeśli bez względu na to Pieśń swoję układa, takowa zdolną być musi do Śpiewu. Wzorem w tym względzie, jak w ogóle w składaniu rozmaitych a pięknych Wrotek, są: Adam Mickiewicz, Bohdan Zaleski i Lucyan Siemieński, z których téż najwięcéj przytoczymy przykładów.

Różność Wrotek rymowa i wierszowa. — Największą rozmaitość w składzie Wrotek czyni różny sposób kombinowania *rymów* i *ilość wierszy*, i te téż właśnie różnice posłużą nam za wskazówkę w uważaniu i rozbieraniu Wrotek rozmaitych, a w Poezyi polskiéj dotąd powszechnie zastósowanych.

1) Wrotka *dwuwierszowa* dość jest rzadka, bo zbyt urywkowe daje obrazy. Obadwa wiersze sa zwykle tego samego rozmiaru.

Styczeń rozpostarł śnieżne całuny,
Posępno, głucho, jakby śród truny;

Ponocne mary wyją w zamieci —
Matka ukradkiem do boru leci.

L. Siemieński.

2) Wrotka *trzywierszowa* jeszcze jest rzadsza w Poezyi naszéj. Tu należy tak nazwana *Tercyna*, t. j. poemat składający się z samych Wrotek trzywierszowych, w których dwa wiersze zewnętrzne rymują się z sobą, a środkowy z dwoma zewnętrznemi Wrotki następnéj, i tak coraz daléj. Środkowy wiersz Wrotki ostatniéj przybiera do swego rymu wiersz czwarty nadkompletny. Skład więc tych Wrotek jest następujący.

a b a, b c b, c d c, d e d, e f e.... y z y z.

Kiedy wiatr ku nam wionął ich cieniami:
Głos mój podniosłem: „O dusze strapione!
Jeśli niewzbronno, pomówcie téż z nami.“

Jak dwa gołąbki wspólną żądzą pchnione
Do gniazda, żagle w powietrzu rozwieszą,
Jednością woli i acznć niesione.

Tak oni z miejsca gdzie Dido swą rzeszą
Pomkną się ku nam wyziewu obłokiem;
Na głos mój wdzięczny och jakże się spieszą!
(Koniec).

Kiedy cień jeden rozpowiadał o tem,
Drugi się łzami zalał tak rzewnemi,
Żem czuł już bliskie rozstanie z żywotem
I na pół martwy przypadłem do ziemi.

Siemieński.

3) Wrotka *czterowierszowa* jest prawie najpowszechniejsza w poezyach lirycznych, tudzież w Balladach i Dumkach. Co do ilości zgłosek, albo wszystkie cztery wiersze są sobie równe, albo tylko pary na przemian sobie odpowiadają, albo też wreszcie czwarty wiersz znacznie jest krótszy od trzech poprzednich równych. Kombinacya rymów może być następującą:

1 — *a a b b*
2 — *a b a b*
3 — *a b b a*

1.

Tyś nam Panie! na dziedzinę
Błogosławił Ukrainę;
Umalował w blask i kwiecie,
Żem jest jako jedna w świecie.

Zaleski.

albo:

Przeciwne chmury słońce nam zakryły
I niepogodne deszcze pobudziły,
Wody z gór szumią, a pienista Wilna
Już brzegom silna.

Jan Kochanowski.

2

Chmurą powiał proch od ziemi;
Kozackie mkną pułki!
Zakukały w ślad za niemi,
Dwie rzewne kukułki.

Zaleski.

3.

W pobliżu pod drzewem
Szła dróżka — dróżyną
Dwaj bracia nadpłyną
Z gędzeniem i śpiewem.

Siemieński.

4) Wrotka *pięciowierszowa* ma skład rymów następujący:

1 — *a a b b a*
2 — *a a b b b*
3 — *a a b b c — d d e e c*
4 — *a b a b a*
5 — *a b b b a*
6 — *a b b a b*
7 — *a b b a a*

1.

My tak ludzi kochamy,
Tak z nimi być żądamy!
Wygnani od mędrków i króli
Prostaczek nas przytuli,
Nad nim dzień, noc śpiewamy.

Mickiewicz.

2.

Krzyż w złoto oprawiony
Zdobi królów korony.
Na piersi mędrców błyszczy jak zorze,
A w dusze wniść nie może:
Oświeć, oświeć ich Boże!

Mickiewicz.

3.

Hop, hop, cwałem koniu wrony,
Leć do pułków, do méj żony,
Dłużéj chwilką,
Jeszcze tylko,
Do Stawiszcz mi *służ*.

Od Piatyhor, Pawołoczy,
Bieży tłumnie lud ochoczy,
Nalewajki
Lotne czajki
Płyną Dnieprem *już*.

Zaleski.

4.

Zgasłeś bracie, piewco młody,
Polsce, druhom, wcześnie!
Ni cię żegnał dzień swobody.
Ni koło rowieśnie.
Zgasłeś bracie, piewco młody.

Siemieński.

5.

Dzwoń, miły Zygmuncie, dzwoń,
Sercem w piersi śpiżowe,
Zrozumieją serca mowę
Ubogie dzieci Piastowe,
Dzwoń, dzwoń, Zygmuncie dzwoń!

S.

6.

I na niebie jakoś chmurno,
Jednostajna — smętna szata.
Barwą w barwę, popielata.
Gdzież ta Elba? gdzie Liwurno?
Choćby cień naszego świata.

Zaleski.

7.

Wesoło żeglujmy, wesoło!
Po życia burzliwym potoku;
Jak orły w gradowym obłoku,
Choć wichry, pioruny w około,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Wasilewski.

5) Wrotka *sześciowierszowa* tak się rymuje:

1 — *aabbcc*
2 — *aabbcd*
3 — *ababcc*
4 — *abbacc*
5 — *abaccb*
6 — *abacbc*
7 — *aabcbc*
8 — *aababb*
9 — *aabccb*
10 — *abbbaa*
11 — *abccab*

1.

Smutnoż tu — smutno, bracia za Dunajem,
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą — i świat cały nudzi;
Cudzo — och pusto — śród świata i ludzi!
Niema bo rady dla duszy kozaczéj.
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

U nas inaczéj! Och! Ojczyzna Lasza,
To wszechsłowiańska królowa i nasza!
Bracia, zginiemy za nią, kiedy skinie,
Ale śnić będziem o swéj Ukrainie:
Niema bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

Zaleski.

2.

Czyż ja na polu, nie kalina?
Czyż ja na polu nie jedyna?
Czemuż mnie tak w moje rano,
W pączkach jeszcze połamano!
Niedolaż moja!
Moja niedola!

Zaleski.

3

Trzema szlachy idą Lachy,
A Kozaki czterma walą;
W trawach pławią się po pachy;
Z rusznic palą, świecą stalą;
A chłop w chłopa, a koń w konia,
Aż stękają w okrąg błonia.

Zaleski.

4.

Luli synu Wojewody!
Tyleż dzisiaj twego, tyle:
Dzień — no po dniu, w zdrowiu, sile,
Ze snu rośnij, kniaziu młody!
Wzięlić Macierz! Ojca skłuli!
Luli, dziecko nasze, luli!

Zaleski.

5.

Moja szczebiotka gdy w wesołéj chwili,
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Mickiewicz.

6.

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata,
Tylko o twoję mleczną drogę się uderzy;
Domyśla się że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Mickiewicz.

7.

Jest wiosna, bo jest miłość;
Rozpowicie, bo zawiłość,
Pierwéj krąży sok pod korą.
Nim wystrzelił Maju wiankiem;
Zgaduj czuciem a przed porą
Staniesz się wiosny kochankiem.

Siemieński.

8.

Gdzie niepojrzysz z Mogiły w około,
Bujnie oto, zielono, wesoło,
Wzrok lubuje i serce nie nudzi:
Jakiś grodek, to jakieś tam sioło,
Świecą białe, i ludzie — huk ludzi:
Wzrok lubuje — i serce nienudzi!

Zaleski.

9.

Jasno, rumiano
Majowe rano,
Taśmami lśni jedwabi;
Coś — coś — w omroce,
Słowik świegoce,
Spółzakochanych wabi.

Zaleski.

10.

Kiedyż, kiedyż do was wrócę?
Bracia moi, siostry moje! —
Ranną rosą pierś napoję,
Z głosem dolin gęśl nastroję,
I na całą błoń zanucę —
Kiedyż, kiedyż do was wrócę?

Siemieński.

11.

Héj! bracia orły do lotu!
Na świata brudnego końce,
Przed nami góry, olbrzymy.
Przed nami czernią chmur dymy,
Héj! bracia orły do lotu,
Przed nami słońce.

Wasilewski.

6) Wrotka *siedmiowierszowa*:

1 — *a b a b c c d — e f e f g g d.*
2 — *a b b a c c c*
3 — *a b b b a c c*
4 — *a b a a b c c*
5 — *a b c a a c b*
6 — *a b c a c d d*
7 — *a b a c b b c*

1.

Kto ma duszę niewolniczą,
Temu światem ląd;
A nam stropy nieb graniczą,
Królem wiatr i prąd.
I bez świadków tu kochanie
Tajemnicze, jak otchłanie;
Precz od lądu, precz!

Nieraz siądzie na maszt mewa
Wieści niosąc z ziem,
Że tam burza łamie drzewa —
Nie smucim się tém.
Co nam ziemie, co nam burze,
Nam tu gwiazdy lśnią w lazurze,
Precz od lądu, precz.

Siemieński.

2.

Lecą bagnem przez manowce,
Pusto w koło. Błędny ognik
Tuż przed nimi jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje, gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

Mickiewicz.

3.

W cwał mój koniu, w cwał,
Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon.
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór,
Za godzinę drugi kur.

Mickiewicz.

4.

Szumią trawy i burzany
O! zielono skróż — o! sino
Jako fale wciąż kurhany
Step — a step — a rozbujany,
Morze twoje, Ukraino!
Kędy wdłuż i wszerz za Turkiem,
Koń i Kozak chodzą nurkiem.

Zaleski.

5.

Bez serc, bez ducha, — to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła.

Mickiewicz.

6.

A kniaź oczy wiódł ponure:
— Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przeleciały,
Trzy rarogi jasnopióre —
Héj pachole! daj trzy strzały;
Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?

Siemieński.

7.

A któż to wchodzi? wchodzi na Syon dziewica;
Jak ranek z morskiéj kąpieli
I jutrznia Marji lica,
Śnieży się obłok, słońce z ukosa,
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli
Powiewnego jasność włosa.

Mickiewicz.

7) Wrotka *ośmiowierszowa*:

1 — *a a b b c c d d*
2 — *a a b b c d c d*
3 — *a b a b c d c d*
4 — *a b a b c c d d*
5 — *a b a b a b c c*
6 — *a b a b c c c c*
7 — *a b a b c d d c*
8 — *a b b a c c d d*
9 — *a b b a c d c d*
10 — *a a a b b c c c*
11 — *a a b b b a c c*
12 — *a b b a c d d e*
13 — *a b a c b c d d*
14 — *a b a b b c c c*
15 — *a b b c a d d c*

1.

Piękniež — ciepło — na Wołoszy:
Raj — jak w raju tu roskoszy;
Chleb bieluchny, pytlowany:
Winogrady jak burzany:
Co mi po tém! Co mi po tém!
Ja tu przybysz pod namiotem:
Wszystko dla mnie wstrętne, cudze,
Bo za krajem skróż się nudzę!

Zaleski.

2.

Aż matka wybieży,
W dłoń białą uderzy
I woła: „Młodzieńcy,
Nie grajcie już więcéj!
Czyż nie dość mam kary?“
„Na ziemi Bóg trzyma,
Choć cięży wiek stary.
A jedynéj nie ma!“

Siemieński.

3.

Bywaj mi zdrowy kraju ukochany!
Już w mglistéj nikniesz powłoce,
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce.
Daléj za słońcem, gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany.
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!

Mickiewicz.

4.

Pańskie dworce poczerniały;
Na dziedzińcach chwasty rosną;
Laszki głowy pozwieszały,
Za czemś tęsknią, jak za wiosną.
A biała czeladź chodzi gromadnie;
W jare to serca niech iskra wpadnie,
A wstanie krwawa
Czerniawa, Czerniawa!

Siemieński.

5.

Wędrowiec śpiewa, gdy go podróż nudzi;
I żeglarz śpiewa na wezbranej fali;
Biedny wyrobnik, z piosenką się budzi,
Żołnierz ponuca oparty na stali;
Kochanek pieśnią łzę z oczu wyłudzi,
Skarży się drzewom i wiatrom się żali;
Mnie choć te wszystkie dokuczają bole,
Nie mogę śpiewać w tém zaklętém kole! —

Siemieński.

6.

O! widać i słychać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie;
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek,
Już wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka.

Zaleski.

7.

„Albo co? zima!“ — Dziadek przy kominie,
Potrząsa głową — a młódź słucha cicho.
„Albo co? zima jak przyszłać, tak minie!
Alboż to jedno i ostatnie licho?
I licho dobre niekiedy;
Héj — póki grzeją was tam krasnolice;
A macie pieśni, kazki, wieczornice,
To jeszcze — jeszcze pół — biedy.

Zaleski.

8.

Gościu! jakie was rzemiosło
W takim lata upale,
Po téj piaszczystej skale,
Aż w nasze strony zaniosło?
Może wy kupcem jesteście,
I z towarami nabranemi w mieście
Zwiedzacie sielan mieszkania;
Gościu! ty z mego śmiejesz się pytania.

Mickiewicz.

9.

Serca pojone piołunem,
Dusze boleścią zranione,
Patrzcie na drzewa zielone,
Poobalane piorunem.
Patrzcie na chmury tam w górze,
Jako z nich tęcza wykwita,
Przejdą pioruny i burze,
Jutro nas słońce powita.

Siemieński.

10.

Śmierć się wije u płotu
Szukająca kłopotu;
Co hałasu — stukotu?
Licho — cicho! ruszaj w las!
Póki dziewcząt — póki nas,
Ra-ta-ta-ra-ra —
Póki młodość, to wara!
Wara! wara!

Zaleski.

11.

Gdzież te pianki, życia wały,
Co w boginki się wcielały?
I pieściwe — krasnolice
W skokach, pląsach, przy muzyce,
Jak Rusałki swawolnice,
W swe ramiona łódź imały?
Toż tak dziwno, pięknie, miło
Na otchłani się gdzieś — śniło.

Zaleski.

12.

Z Niżu wieje, cichy wiater wieje;
Młódź kozacka w taniec iść gotowa;
Tylko Bóg wie — nim wyjdą przez słowa,
Jakie myśli pan Chmielnicki grzeje!
Ni setniki o tém nic nie wiedzą,
Nie rotmistrze, hetmany koronne:
Bóg, co jeden zna serce bezdenne,
Zna w Chmielnickim jakie myśli siedzą.

Siemieński.

13.

O szalony! gdzie on goni;
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów;
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują.

Mickiewicz.

14.

Gdy Wasyli poczuł takie wieści,
Do hetmana Potockiego pisze;
Czy hetmanie masz rozum niewieści —
Czyć gorzałka w drzemocie kołysze —
Czyś pancerne spoił towarzysze?
Że dopuszczasz Chmielnickiemu broić,
Trupem naszym kraj Multański zgnoić,
Kraj Multański naszą krwią napoić? —

Siemieński.

15.

A zagrzmię piersią, jaką Cheruby
Zagrzmią światu na skonanie.
Gdy proch zapadły w wieków otchłanie
Ze snu nicości wybiją:
Takim grzmotem twoje śluby.
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją.

Mickiewicz.

8) Wrotka *dziewięciowierszowa* należy do najrzadszych i dla tego niektóre tylko kombinacye przykładami stwierdzić się dadzą. Takiemi są:

1 — *a a a b b c c d d*
2 — *a b a a b c d c d*
3 — *a b c c a a b d d*
4 — *a b a c c d e e d*
5 — *a b c a d c e e d*

1.

Lachy z grodu uchodzą z Suczawy,
Wasylowi niosą wieść niesławy:

Po ich drodze płynie potok krwawy,
A ich trupy pilnują granicę —
Wasyl patrzy na Jassy, stolicę;
Łza mu kapie; — Jassy, moje Jassy!
Jako dziewic krasa, twoje krasy.
Wiatr perzynę rozwiewa na szlaki,
Twoją krasę rozwieją Kozaki!“ —

Siemieński.

2.

Burzy! Burzy! milsza burza,
Niż ten pokój na otchłaniach,
Niechaj wicher w żywe wzgórza
Łódź pomiecie? niech rwie! nurza!
Człowiek śmielszy w tych pląsaniach;
O w uściskach śmielszy śmierci:
Niż gdy w ciszy tak — bezwładnie,
Myślą — deskę swoję wierci,
A drga sercem gdzieś — aż na dnie.

Zaleski.

3.

Chyżo — lotem na czołenku,
Miga zpoza drzew
Kwiat — Dziewczyna,
Och jedyna!
Letkie wiosło pluska w ręku;
I roznośnie dźwięk po dźwięku,
Niewolący śpiew,
Z obojego mile brzega,
Na doliny się rozlega.

Zaleski.

4.

Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twéj zasługi,
Prośby jéj na tamtym świecie,
Strzegły długo wiek twój młody,
Od pokusy i przygody;
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc jéj wonie,
Bronią senne dziecka skronie,
Od zarazy i owadów.

Mickiewicz.

5

O jasne, słodkie, o przeczyste wody,
W których zwierciadlanéj fali
Laura kąpała swą anielską postać.
Drzewko wysmukłéj urody
I ty będziesz święte u mnie:
W tym cieniu lubiła zostać
Nieraz sama zamyślona;
I prześliczne jéj ramiona
Spoczęły nieraz na twéj majowéj kolumnie.

Mickiewicz.

9) Wrotka *dziesięciowierszowa* zdolna jest różnego układu, równie jak wszystkie Wrotki złożone z więcéj niż dziesięciu wierszy. Tak więc na tę Wrotkę, jak na wszystkie następne, przytaczamy tylko po kilka przykładów, gdyż wydobywać i kombinować wszystkie trudna jest, a do tego zbyteczna.

1 — *a a b c b c d d e e*
2 — *a a b b c d c e d e*
3 — *a b b a c c d e d e*
4 — *a b b a c c d e e d*
5 — *a b b a c d d c e e*
6 — *a b a b c d c e d e*
7 — *a b c c a b d e e d*
8 — *a b b a a b c d d c*

1.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzeciądze; ogromne lwisko
Zwolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
W około
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię
I obalił się na ziemię.

Mickiewicz.

2.

Natenczas pełen świętego przestrachu,
Myśliłem, że z niebios gmachu
Zstępującego dostrzegam anioła.
Ten wzrok, ten uśmiech, ten majestat czoła,
Ten głos wdzięczny, ileż razy
Uniosły duszę w tak rozkoszne błędy,
Że otoczony rajskiemi obrazy
Pytałem sam siebie,
Jak tu przybyłem? i kędy?
Bo mnie się zdało, że już byłem w niebie!

Mickiewicz.

3.

Ura-ho! ura-ho! ura!
Limany! nasze limany!
W ogniach goreją kurhany.
I Czartomelik i Dura.
Okrzyk bracia! a wesoło.
A rozgłośnie na około
Od Chortycy do Tawani,
Zagrzmią progi i ostrowy,
Niech nam żyje, niech hetmani
Konaszewicz nasz koszowy.

Zaleski.

4.

Nie z siarki, saletry, nie z węgla się składam,
I nie dziś dopiero mnie piorun zapłodził;
Jam wtedy powstała, gdy świat się urodził
I odtąd się z serca do serca przekradam.
Tajemnie, skrycie —
Rozlewam życie
I bujnie rosnę! —
Lecz gdy mnie przesycą piołunem,
To na świat wystrzelę piorunem,
I zmrałą przypomnę mu wiosnę!

Wasilewski.

5.

Teraz oczy kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie.
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca.
Tu natura snem ujęta
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy,
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niespłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Mickiewicz.

6.

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jéj łona,
Palma ze wstydem ucieka.
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojéj dumy się uśmiecha.
Owdzie granic pustyni pilnujące głazy,
Dziką na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbę gwarzą.

7.

Tam na gruzach téj wielkiéj połamanéj bramy,
Chatka niedaleka;
Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował,
I nam darował;
Tam mieszkamy.
Wydał mię za mąż za dobrego człeka,
I umarł na naszém ręku.
A, moja duszko! już spałeś dowoli!
Patrz, jak wesół, jak swywoli
A, ty błazenku!

Mickiewicz.

8.

Bracia, duch jego uszedł i błądzi daleko;
Jeszcze nie wrócił — może przyszłość w gwiazdach czyta,
Może się tam z duchami znajomemi wita.
I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką.
Jak dziwne oczy — błyszczy ogień pod powieką,
A oko nic nie mówi, i nic nie pyta;
Duszy teraz w nich niema, błyszczą jak ogniska
Zostawione od wojska, które w nocy cieniu
Na dalecką wyprawę ruszyło w milczeniu —
Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska.

Mickiewicz.

10) Na Wrotkę *Jedenastowierszową* przytaczamy następujące przykłady:

1 — *abbabcdbdcd*
2 — *ababaccddee*
3 — *aabbcdcedce*

1.

Ninie, dzień tobie uświęcamy wierni,
Śród twego błyśnij kościoła,
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto śród nieméj bojaźnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twéj chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwu pienie,
Śród twego błyśnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie!
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

Mickiewicz.

2.

Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę,
Wiodłem w kraj gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jéj piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą, rzadko i w uśpieniu.
A zapomną w odecknieniu;
Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił,
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pjanych uczt piosenki.

Mickiewicz.

3.

Jak ujrzy noc i żar,
Srogość i mnogość kar,
Zlęknie się naszych scen;
Przypomni jutro sen,
Może poprawić się,
Jeszcze daleko zgon.
Pozwól zabawić się —
Co ty o niego drżysz,
Gdy poprawi się on.
Ja każę święcić się,
I wezmę w ręce krzyż.

Mickiewicz.

11) Wrotka *Dwunastowierszowa* może mieć wszystkie złożone kombinacye Wrotek sześciowierszowych; do tego podajemy jeszcze następujące:

1 — *aabbcdcdeffe*
2 — *aabbacacdeed*
3 — *ababcdcdeffe*
4 — *abbaccddefef*
5 — *abbaccdedeff*
6 — *abbaccdefdef*
7 — *abbbacdcdcee*

1.

I Renem i Ronem,
I morzem Czerwonem,
Wodumi po świecie,
Szum — Szumka się miecie:
I szumi szum — Szumka;
Jak skinie czarodziéj;
I drum-drum-drum drumka,
Za gęślą coś słodziéj.
Po panu-Piorunnym snać panicz!
Postawa Guślara,
Powiewna jak mara,
Po wieszczym Bojanie — Bojanicz.

Zaleski.

2.

O! kuku — o! kuku —
Nad głową na buku,
Słowiańska Zozula,
Na głos się rozczula
O! kuku — o! kuku —
O! kuku — ja tutaj
Bojana prawnuku,
O w piersi dech utaj!
Posłuchajno wiatru po rosie!
Ta wrzawa gdzieś dzika;
To czeladź Ruryka,
W téj ziemi tak wyje w rozgłosie.

Zaleski.

3.

Król skinął znowu,
Znowu przemknie się krata,
Szybkiemi kroki, chciwy połowu,
Tygrys wylata.
Spoziera zdala
I kłami błyska,

Język wywala
Ogonem ciska,
I lwa do koła obiega;
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy,
Burcząc na stronie przylega.

Mickiewicz.

4.

Krzyż na ziemię padł i zniknął.
Jeździec Pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął,
Rumak ludzkim śmiechem ryknął.
Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury,
Nim ksiądz przyszedł na mszę
ranną,
Zniknął koń z jeźdźcem i panną.
Na cmentarzu cisza była,
Stoją krzyże, głazy leżą,
Jedna bez krzyża mogiła,
I ziemia ruszona świeżo.

Mickiewicz.

5.

Ucichł, usnął dwór zamkowy.
Panna czuwa. — Na zegarze
Bije północ, — milczą straże,
Panna słyszy — dźwięk podkowy.
Brytan jakby głosu niemiał,
Zawył zcicha i oniemiał,
Skrzypnęły dolne podwoje.
Stąpa ktoś w przysionkach długich
I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich.
Wchodzi jeździec cały w bieli,
I usiada na pościeli.

Mickiewicz.

6.

O błonia, których brylantowa pora,
Nieraz obwiana jéj lekkiemi szaty
I wy trawki i wy kwiaty,
Ozdobo piersi i włosa,
Ostatni raz dajcie ucha,
Ostatnim żalom cierpiącego ducha.
Jeśli tak chciały wyroki,
I niebios okrutna wola,
Ażebym cierpiał i płakał do zgonu,
Niech przynajmniéj moje zwłoki,
Pośród zielonego pola
Zasną, gdy duch uleci ku bramom
Syonu.

Mickiewicz.

7.

Słota burza; jako tako,
Lecz gdy nagle, niespodzianie,
Duch ucieknie — i łódź stanie,
I otchłanie — skroś otchłanie,
I skroś niebo — i nijako
Naokoło — jak i w duszy
Niby żywcem w mogilniku!
Śród męczących tych katuszy:
Och! och! biegaj — radź sterniku!
Rusz dowcipem! — Coś mózg su-
szy:
Nieruchomy tam jak ściana:
Snać myśl ciężka, ołowiana.

Zaleski.

12) Wrotki więcéj niż dwunastowierszowe rzadkie są, i znachodzą się prawie tylko w większych poematach. Przytaczamy z nich niektóre dla przykładu.

Piętnastowierszowa.

Tam u Niemnowéj odnogi,
Tam u zielonéj rozłogi
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon jak wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strojne murawą,
Głowę ukwieconą w kwiaty;
A na niéj czeremchy drzewo,
A od niéj idą trzy drogi.
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie dziewczyno,
Co za piękny kurhanek?

Mickiewicz.

Siedmnastowierszowa

Wznoszę się! lecę! tam, na szczyt opoki —
Już nad plemieniem człowieczem,
Między proroki.
Stąd ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją źrenicą, jak mieczem;
Rękami jak wichrami mgły jéj rozdzieram;
Już widno, jasno, z góry na ludy spozieram;
Tam księga Sybilińska przyszłych losów świata,
Tam na dole!

Patrz, patrz, przyszłe wypadki i następne lata,
Jak drobne ptaki gdy orła postrzegą,
Mnie orła na niebie!
Patrz, jak do ziemi przypadają, biegą.
Jak się stado w piasek grzebie,
Za niemi, héj za niemi oczy me sokole,
Oczy błyskawice,
Za niemi szpony moje! dostrzegę je, schwycę.

Mickiewicz.

13) Wrotki *sztuczne a stałe.*

Oprócz Wrotek powyższych są jeszcze niektóre stałe, do pewnych gatunków poezyi raz na zawsze zastósowane, i dla tego osobne mają nazwiska. Pochodzą one wszystkie prawie z za granicy, i w poezyi polskiéj po części tylko są używane. Takiemi są:

a) Wrotka *Ośmiowierszowa*, *Ottavarima*, lub *Stanca*, używana do Poezyi epicznéj w następującym składzie;

1) *ab, ab, ab, ab* (*Siciliano*)
2) *ab, ab, ab, cc.*

Na drugi ten sposób z trzema rymami układał Krasicki swe wrotki w Poezyach opisowych: Monachomachii, Myszeidzie i Wojnie Chocimskiéj.

b) *Madrygał* (*Madrigal*) jest Wrotka sielsko-liryczna, pochodzenia Prowansalskiego lub Włoskiego, licząca wierszy niemniéj niż sześć, a niewięcéj niż jedenaście, właściwie z trzema tylko rymami w różnym i niepewnym składzie. Wszakże prawidła te rzadko są ściśle zachowane.

c) *Sonet* jak gdyby *Pieśń dźwięczna*, składa się z czternastu wierszy trzynastozgłoskowych, rozdzielonych na cztery osobne Wrotki tak, iż pierwsze dwie mają po cztéry, a drugie dwie po trzy wiersze. W pierwszych dwóch Wrotkach czterowierszowych są tylko dwa rymy; rymują się wiersze zewnętrzne ze sobą, i wewnętrzne także ze sobą. Wiersze dwóch Wrotek trzywierszowych rymują się na różny sposób, a mianowicie tak; *aaa bbb; abb abb; aba bab; abb aba; aba bba; abc abc; abc acb; abc bca; abc cba.* Przykłady znajdują się w dziale lirycznym.

d) *Rondo (Rondeau)* składa się właściwie tylko z trzynastu wierszy rozdzielonych na dwie, trzy lub cztery Wrotki mniejsze, z których każda dwa tylko ma rymy; ośm ma być męskich, a pięć żeńskich. W dziewiątym i trzynastym wierszu wraca cały pierwszy, lub przynajmniéj jego pierwsza połowa, jako zwrotka (*refrain*).

e) *Triolet,* Wrotka zapewne francuska jak i dwie poprzedzające, liczy właściwie ośm wierszy z dwoma tylko rymami. Dwa pierwsze wiersze, zawierające zwykle myśl główną, czynią także koniec Wrotki. Pierwszy wiersz wraca także jeszcze po wierszu trzecim; i stąd to właśnie, że wiersz pierwszy po trzykroć słyszeć się daje, t. j. na miejscu pierwszém, czwartém i przedostatniem, Wrotka ta *Trioletem* się nazywa. Mamy piękny wzór Trioletów w Dudarzu Mickiewicza:

Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach! jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec,
Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łzy i rumieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?

Jednemu oddajesz wieniec,
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec,
Ty jednemu oddasz wieniec;
Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka;
Gdy szczęśliwy bierze wieniec,
Z róż, lilii i tymianka.

Podział Poezyi.

Zadaniem i celem Poezyi jest stwarzanie pięknych obrazów czyli ideałów w pięknéj formie językowéj. Ogólny ten i rozległy jéj zakres mieści w sobie wszystkie światy i różnice obrazów, cały świat duchowy i zmysłowy, wszelkie usposobienia wyobraźni i sposoby widzenia Poety, jako też wreszcie nieograniczoną prawie rozmaitość form językowych, któreśmy już w uwagach o języku, wierszach i wrotkach w ogóle rozpoznali. Rozmaitość ta, a mianowicie różność przedmiotu, sposób zapatrywania się Poety i obrazowania różnych zjawisk świata przyrodzonego i umysłowego, natury i człowieka, stanowi różnicę w rozległéj dziedzinie Poezyi, które są przyczyną, oraz skazówką i prawidłem podziału jéj na kilka *Rodzajów*, a każdego znów z tychże na osobne *Gatunki*. Jakkolwiek podział takowy różny być może, to wszelako, zasadzając się na głównych i pewnych rzeczy znamionach, pewną konieczność, pewien wątek i logiczny porządek mieścić w sobie musi. Bezzasadna dowolność lub przypadkowość nie stanowi podziału rzeczywistego.

Najprawdziwszy, bo na różnicy tak rzeczy jak wyobraźni Poety polegający, jest podział Poezyi na *Trzy Rodzaje*, któremi są:

1) Poezya *Opisowa* czyli *Epiczna*,
2) Poezya *Uczuciowa* czyli *Liryczna*,
3) Poezya *Dramatyczna*.

Zasadza się ten podział na troistości świata, który Poeta wystawia, a mianowicie sposobu, jakim go obrazuje i imaginacyi naszéj przedstawia.

Ogólny charakter Poezyi Opisowéj. — Jeśli wyobraźnia Poety zwrócona jest na świat zewnętrzny, bądź przyrodzony, bądź ludzki i dziejowy, jeśli ten świat zewnętrzny w idealne przetwarza obrazy i niejako wierne kopie świata istotnego w wyobraźni swojéj odtwarza, tak iż sam Poeta również zewnętrzne zajmuje stanowisko, maluje ludzi i rzeczy w miarę ich właściwości i istoty, a nie w miarę uczuć, wrażeń i przekonań osobistych; w takim razie jest Poeta dostrzegaczem, malarzem, *Opowiadaczem* czyli *Epikiem* w najrozleglejszém tego wyrazu znaczeniu, a Poezya jego jest *Opisową* czyli *Epiczną*. Plastyczność jest jéj ogólnym charakterem, azatém zaletą największą klasyczność.

Ogólny charakter Poezyi Lirycznéj. — Kiedy przeciwnie Poeta całą swą wyobraźnią zatapia się w własnym świecie uczuć i myśli, idealne obrazy wydobywa z serca i duszy, na świat nawet zewnętrzny nie patrzy okiem bezstronnego i zimnego widza, tylko raczéj czynnego i gorącego uczestnika, nie maluje go, jakim jest lub był, lecz raczéj, jak go w własnéj duszy pojmuje i widzieć chce, jednem słowem, kiedy uczucia i myśli Poety, zatém świat jego wewnętrzny, jest jego ideałem; wtedy nie jest on malarzem, tylko raczéj muzykiem i śpiewakiem, nie Epikiem, tylko *Lirykiem*. Przewodnikiem i celem wyobraźni jest tu *Czucie* świat serca i ducha; stąd charakter tego rodzaju Poezyi jest w ogóle romantyczny.

Charakter ogólny Poezyi Dramatycznéj. — W Poezyi wreszcie *Dramatycznéj* łączą się obadwa znamiona epiczności i liryczności. Dramatyk wyprowadza na scenę osoby działające, nadaje im charakter właściwy i napełnia serca ich uczuciami, które do działania ich są pobudką. O ile więc charaktery te zdejmuje z osób historycznych lub żyjących, o ile wszystkich pojawów ich uczuć, myśli i czynów dostrzega i takowe w wiernych przedstawia obrazach, o tyle

powiedzieć można, że jest *Opisującym*. Że zaś działanie charakterów dramatycznych ma swoje źródło w wewnętrzném usposobieniu serca i umysłu tychże, objawia się zatém w uczuciach i myślach, które Poeta tak z ich, jak z własnego wydobywa serca i obrazuje, więc też wyobraźnia Dramatyka zwrócona jest zarazem w świat wewnętrzny, idealizuje uczucia i myśli, a tém samém przechodzi w zakres Poety *Lirycznego*. Jest więc Dramat zespoleniem i niejako neutralizacyą Epiki i Liryki, a będąc idealizowaniem *Czynu*, azatém prawdziwego życia człowieka tak prywatnego jak publicznego, jest ostatnim, ale oraz najwyższym Poezyi działem.

Uzasadnienie powyższego podziału Poezyi. — Troisty ten podział, i to według porządku, w jakim trzy rodzaje Poezyi przytoczyliśmy, ma za sobą analogią natury i historyi. Epika odpowiada dziecięcemu i chłopięcemu wiekowi człowieka, w którym tenże, przy zupełnéj próżni serca i umysłu, wszystkiemi zmysłami zwrócony jest na zewnątrz, zajęty jest tylko światem otaczającym go, wszystkiego ciekawie dostrzega, wszystko nazywa i opowiada. Idzie po nim wiek młodzieńczy, wiek Liryki. Jest to czas, w którym młodzieniec cały świat w sercu swojém mieści i wszystko według własnego mierzy uczucia. Obojętny dla świata zewnętrznego, odrywając się od piersi matki natury i łamiąc skazówkę doświadczenia, którą mu rzeczy świata i kroki jego skazywano, przenosi się w świat własnego uczucia, w świat marzeń i tak nazwanych ideałów. Wiek dopiero męskiéj dojrzałości jest wiekiem czynu, wiekiem Dramatu. Świat zewnętrzny, który w wieku najmłodszym próżnią umysłową zapełniał, azatém świat doświadczenia i rzeczywistości z jednéj strony; świat wewnętrzny, który się w wieku młodzieńczym z piersi młodzieńca wydzierał i urzeczywistnić pragnął, azatém świat serca i umysłu człowieka z drugiéj strony, obadwa te światy sprzeczne podają sobie ręce na polu męskiéj dojrzałości i dzielności. Tak i Dramat wykazał się być jednością Epiki i Liryki. Wzywając zaś historyą na świadectwo, widzimy, że w Grecyi, jedynym prawie narodzie, który się organicznie i według naturalnego porządku umysłowo rozwijał, trzy owe rodzaje Poezyi kolejno w tém samém następstwie powstawały i kwitnęły; a i tu znów Poezya Epiczna przypada na chłopięcy, że tak rzekę, wiek życia greckiego, Liryczna na wiek młodzieńczego Greków uniesienia, a Dramatyczna na czas największéj umysłowéj i społecznéj ich dojrzałości.

Uwaga. Poezya *Dydaktyczna* czyli *Nauczająca* nie stanowi osobnego rodzaju, bo to właśnie, co ją od trzech wymienionych odróżniać, azatém główny jéj charakter stanowić ma, t. j. *Nauczanie*, jest żywiołem Poezyi wcale obcym: a reszta przypada albo opisowi, albo liryce, albo nawet dramatyce. W miarę więc, jak który z trzech tych żywiołów w Poezyach Dydaktycznych przemaga, liczymy je do jednego z trzech głównych rodzajów. Opis zastósowany i pouczający stanowi Poezyą *Dydaktyczno-Epiczną;* uczucia połączone z reflexyą i przekonaniami Poety są przedmiotem Poezyi *Dydaktyczno-Lirycznéj*. Jakoż w ogóle dodać należy, że żaden z trzech rodzajów Poezyi nie jest tak ściśle w granicach swoich zamknięty, iżby czegoś z pogranicznych żywiołów przyjąć i zawierać niemiał. Owszem, często Epik opowiadanie swoje lirycznym nawodzi kolorytem, a Liryk uczucia swoje do zewnętrznego przyczepia świata. Stąd więc, oprócz przytoczonych już działów Dydaktycznych, będziemy mieli w Poezyi Opisowéj dział *Liryczno-Epiczny*, a w Liryce znów dział *Epiczno-Liryczny*.

a. Poezya Opisowa czyli Epiczna.

Istota Poezyi Epicznéj. — Zadaniem Poezyi Opisowéj w znaczeniu najogólniejszém jest stwarzanie pięknych obrazów z świata przedmiotowego, dla Poety zewnętrznego, czyli innemi słowy, idealizowanie tegoż zewnętrznego świata. Przez świat ten zewnętrzny, przedmiotowy, rozumiemy całą naturę, a przedewszystkiém człowieka, życie jego prywatne, familijne, narodowe, wszelkie wypadki bądź w szczupłym zakresie familii, bądź w rozległym zawodzie spółecznym, osobliwie zaś dzieje całego narodu. Wypadki takowe mogą być i zmyślone lub zmienione według pomysłu i wyobraźni Poety, ale zmyślenie to lub zastósowanie winno naturalnie mieć analogią z wypadkami życia rzeczywistego, winno mieć prawdopodobieństwo, a do tego mieścić w sobie żywioły poetyczne, t. j. obrazy piękne i idealne. Tenże warunek poetyczności żywiołów i piękności obrazów równie nieodzowny jest w zdarzeniach rzeczywistych i historycznych. Poeta dostrzega tych żywiołów, wydobywa istotę rzeczy i jéj piękności, zbiera obrazy zdolne idealizowania, oddziela to co jest pospolite, przypadkowe, do istoty rzeczy, zatém do głównéj idei, do ideału nienależące, mając zawsze na oku pomysł główny i zidealizowanie tegoż w pięknych obrazach.

Charaktery Epiki na zewnątrz. Objektywność. — Jak zaś Poeta Epiczny z jednéj strony pomija szczegóły przypadkowe, obce istocie azatém i piękności, tak z drugiéj strony, będąc opowiadaczem, malarzem, nietylko całéj fizyonomii przedmiotu dokładny daje wizerunek, ale nadto każdy rys osobny, każdą stronę i chwilę rzeczy, o ile się to do wyrazistości i wierności obrazu przyczynić może, jak

najdokładniéj wykreśla i cieniuje. Przestaje on być mędrcem i badaczem, który w chaosie wypadków prawd dostrzega i takowe w wyrozumowany łańcuch przyczyn i skutków wiąże, a staje się raczéj prostym, acz umiejętnym, powieściarzem, rzekłbym naiwném dzieckiem, którego ciekawemu oku i uchu nic nie uchodzi, które każdy szczegół zajmuje i bawi, które wszystko po właściwém nazywa imieniu i właściwemi oznacza przymiotami. Stąd zmysłowe, wydatne i *plastyczne* wyobrażenie rzeczy głównym jest Poezyi Opisowéj celem i największą zaletą. Poeta, jakkolwiek całego poematu twórca, jego składu i struktury architekt, wszystkich obrazów rozmyślny i biegły malarz, wystawia rzecz w naturalnym jéj bycie i stanie, czyni, jak gdyby ona się sama z kłębka swego rozwijała, jak gdyby wszystkie jéj właściwości, osób charaktery, wypadków i pojedyńczych sytuacyi szczegóły, same się wykrywały, bez przyczynienia się twórczéj myśli Poety, bez pilnego chodzenia około wszystkich części, bez wpatrywania się i umiejętnego zdejmowania wszystkich członków ciała powieściowego. Ciało to tak wiernie a artystycznie maluje Poeta w istotnych jego i charakterystycznych rysach, że bez wypowiedzenia, co za dusza w ciele tém zamieszkuje, ona sama z całéj fizyonomii i poetycznéj barwy na jaw występuje. I dla téj to właśnie duszy i istoty przedmiotu tak się zmysłowo niejako zatapia Poeta w oblicze swéj rzeczy, tak ją stroi i cieniuje, jakby sobie w każdym lic rysie szczególnie upodobał. Co większa, tak się w przedmiocie swym rozmiłowany być zdaje, że obrazem jego zajęty, o sobie całkiem zapomina. Uczucia jego własne, przekonania i myśli o rzeczy obce są i przeciwne Poezyi Opisowéj, w obrazach opisowych szukamy *ideału rzeczy,* a nie *ideału Poety;* inaczéj ginie przedmiotowy, plastyczny charakter pod wpływem pierwiastku lirycznego, w czém właśnie nowsi Poeci, zapatrujący się z wezbraném uczuciem na świat i zjawiska jego, najczęściéj grzeszą. Wszakże grzech ten w Poezyi romantycznéj za pierworodny niejako uważać należy, i dla tego tak jest powszechny, że nietylko złem być przestał, ale nawet przez zlanie pierwiastku lirycznego z epicznym dał początek nowym gatunkom liryczno-epicznym; Balladom, Dumkom i tak nazwanym Powieściom Poetycznym.

Co jest treścią Poezyi Epicznej. — Przedmiot do Poezyi Opisowéj bierze Poeta, jak się już powiedziało, z całego obszaru świata zewnętrznego. Roztwiera mu skarbce swoje natura, życie towarzyskie, społeczne, religijne, nawet świat sztuk samych i umiejętności. Niewyczerpaném, przeto zwyczajném źródłem dla tego rodzaju Poezyi są dzieje narodów i czyny osób historycznych. Atoli, jak dzieje same nie wszystko w księdze swéj mieszczą, co się działo, owszem same już są zidealizowaniem życia narodów i ludzkości, tak Poezya tém skrupulatniéj w skarbcu tym przebiera. Wypadki tylko ważne, ciekawe i pełne wpływu, charaktery wydatne i osobistością swoją szalę losów przeważające, mogą być wątkiem Poezyi, bo takie tylko są dziejów istotą, takie tylko noszą w swém łonie idee wielkie, azatém obrazów idealnych dostarczyć mogą. W przeciwnym razie mianujemy rzecz prozaiczną, t. j. do idealizowania niesposobną.

Epizody. — Rzecz, którą Poeta za tło swéj powieści obiera, mieści w sobie całą osnowę i ideę główną, w któréj wykończenie Poeta najpilniejsze wkłada staranie. Ale jak w naturze i życiu ludzkiém każdemu zdarzeniu towarzyszy wiele okoliczności pomniejszych, które już to mocniejszy już to słabszy wpływ wywierają na bieg jego i koniec ostateczny, urozmaicają go, barwy mu i okrasy dodają; tak i główny obraz Poematu Opisowego urozmaica się, wypełnia i barwi okolicznościami potocznemi, które *Ustępami* czyli *Epizodami* zowiemy. Jedność, jako konieczny przymiot Sztuki w ogóle, wymaga tego, aby Ustępy, jakkolwiek rozmaite, ścisły z rzeczą główną związek miały, wysnowały się z głównego rzeczy wątku i do tegoż samego zdążały końca. Sposobność ich użycia, rozmiar i liczba, zależy od rozmiaru samegoż poematu i natury rzeczy głównéj; w ogóle Ustępy rozleglejsze do większych tylko przypadają poematów, mianowicie do Epopei właściwéj.

Podział Poezyi Epicznéj. — Główne te, lubo ogólne znamiona Poezyi Opisowéj określają się bliżéj, miarkują i rozstrzelają w osobnych tego rodzaju gatunkach. Miarę podziału Poezyi Opisowéj na gatunki stanowi znów bliższa różnica rzeczy, a mianowicie cecha opisowa, o ile takowa jest *czysta,* lub też ulega wpływowi *czucia* i *reflexyi.* Stąd więc *Trzy* główne *Gatunki,* które się znów na mniejsze rozpadają działy. I tak:

I. Poezya Czysto- czyli Przedmiotowo-Opisowa, jako:
1) Powiastki czyli Klechdy i Podania Gminne.
2) Powieść Epiczna, Gawęda, Epopeja i Romans.
3) Poezya Idylliczna czyli Sielska i Obrazy malownicze.

II. Poezya Liryczno-Opisowa, jako:
1) Ballada, Romanca i Duma.

2) Legenda.
3) Śpiew historyczny i Powieść poetyczna.

III. Poezya Dydaktyczno-Opisowa, to jest:

1) Bajka, Przypowieść i Allegorya.
2) Satyra i Parodia.
3) Właściwy Poemat Dydaktyczny i List poetyczny.

I. *Poezya Przedmiotowo-Opisowa.*

1) Powiastki, Klechdy i Podania Gminne.

Pierwszym zawiązkiem Poezyi Epicznéj jak w każdym narodzie tak i u nas były bez wątpienia *Powiastki* i *Podania ludu.* Są to albo podania zdjęte z tła historycznego, przystrojone obrazami fantazyi, albo też pierwsze zmyślenia żywéj, rozpasanéj, światłem rozumu jeszcze nierozjaśnionéj i przesądnéj, że tak rzekę, wyobraźni ludu. Są one więc Poezyą, i to Poezyą czystą, samorodną, są płodem wyobraźni krajowéj, który zrósł na własnéj ziemi, pod niebem ojczystém, z ziarna własnych wyobrażeń o bóstwie, moralności, o siłach przyrodzonych i nadprzyrodzonych, z ziarna dziejowéj przeszłości i doświadczeń w świecie familijnym, religijnym i spółecznym. Zmyślenia takowe, jakkolwiek często dziwaczne, piękne są: z nich w Grecyi utworzył się uroczy, samymi bogami zamieszkały świat mitologiczny, u nas tworzyć się dopiero zaczął świat Rusałek, Bogunek, Topielców, Wyrwidębów, Waligórów, daléj czarownic i jędz, tudzież niezliczonych istot zamieszkujących ziemię, wody, lasy i powietrze. Zanim szczepy te w drzewa i obfity ogród rozrość się zdołały, przycięto je w samym zarodzie: przed promieniami światła Chrześciańskiego rozpierzchły się te ćmy i widziadła, znikły te ogniki połyskujące na obszarach słowiańskich. Po powszechném rozproszeniu przyczepiły się jeszcze tu i owdzie do wyobrażeń i obrzędów chrześciańskich; pomięszane z prawdami historycznemi lub religijnemi obiegają do dziś dnia chaty wieśniacze. Długo z góry na nie patrzano i potrącano je nogą; od niedawnego dopiero czasu zaczęto w nich dostrzegać śladu pierwiastków dziejowych, religijnych i poetycznych, oceniono te zmyślenia, jako obrazy płodnej imaginacyi i Poezyi rodzinnéj.

K. W. Wojcicki, który tę Poezyą ludu w części zebrał i lepiéj ocenił niż obrobił, dzieli Podania i Klechdy na trzy części:

„Do pierwszéj, są jego słowa, należą starożytne podania Słowiańskich jeszcze wieków, jak powieści o powietrzu, wichrze, wiłkołaku itp.

„Do drugiéj osoby wprawdzie historyczne, ale o których albo kroniki nasze milczą lub małe dają objaśnienia. Tu należą zapewne najstarożytniejsi bohaterowie; mężowie olbrzymiéj siły, których lud pamięć w osobach Waligóry i Wyrwidębu zachował; sławnego rozbójnika Madeja, a w końcu czarodzieja Twardowskiego.

„Do ostatniego rzędu i najobfitszego należą powieści o czarach i czarownicach, o zaklętych królewiczach i królewnych, o cudownych zamkach itp.“

„W wszystkich rej wiodą, mówi daléj Wojcicki, bujne marzenia wyobraźni i cudowność. — Jeszcze nie straciły starodawnego uroku i swojéj poezyi ciemne bory, rzeki i jeziora: pierwsze widzi Ruś zamieszkałe Rusałkami, Majkami, a w górach Dziwożony. Na srebrnéj wodzie starego Bugu i Białéjwody (Wisły) i historycznym Gople, pląsają Bogunki i Topielnicy szkodliwi. — W postaci lśniącéj gwiazdy młoda dziewczyna widzi kochanka, ku niemu wzdycha i wyciąga dłonie, by go przyjąć w swoje ramiona. Świetliki nocne są dusze pokutujące: wiatr gwałtowny porusza zły duch jedynie, równie jak zamieszkuje piec stary z rozwalonéj chaty i starą wierzbę. Nie dosyć, w postaci sowy śmierć przepowiada, tumani i błądzi krokiem biednego wędrowca. Zaklęte dusze jeszcze dyszą w rozwalinach dawnych zamków; a jęk pogrobowy, który ucho ludu słyszy, jest jakby westchnieniem upadłego grodu. — Jeszcze zaklęcia swojéj nie straciły mocy; potęgą *słowa* flisy doznają burzy. Niejeden zaklęty młodzian w wilczéj skórze pokutuje długo; a pod piórem wrony, kruka i orła zaklęte potomstwo wielkich rodzin kryje wielkie imiona i stare herby (w okolicach Dobromila każdy umierający z Herburtów zamieniał się w orła). — Czereda pokutujących w różnych postaciach nie zniknęła w naszym wieku; a jeżeli nie słychać o nich po miastach: w siołach, na drogach rozstajnych, w górach i po lasach, jęk ich cichy i bolesny budzi trwożliwe echa. Trąbki pokutujących myśliwych rozlegają się po kniejach przerzedzonych, lubo się nie mieszają jak dawniéj z pomrukiem niedźwiedzia. — Czarownice na łopatach i miotłach swobodnie jeżdżą na Łysągórę.“

Pierwotna ta Poezya nie ma swych pewnych autorów; stwarzała ją jednako usposobiona wyobraźnia, a wymowniejsi i większém natchnieniem obdarzeni z ludu składali te zmyślenia w pewne obrazy, które będąc utworem chwili, a nie

artystycznego rozmysłu, nie mają często ani treściwéj osnowy całości, ani wykończenia w swéj formie. Nowsi dopiero Artyści, wydobywając z zapadłych ruin cząstki co lepsze i poetyczniejsze, stroją je w formę piękną, już to rytmiczną, niewiązaną, jak Wojcicki, już to także w rymową. Przerobione i nacechowane piętnem własnego pojęcia Poety, stają często w rzędzie Powieści, Ballad i Legend.

Do tych, co około zebrania, zbadania i obrobienia Powiastek najpilniej chodzili, należą: Zoryan *Chodakowski* (ur. 1784, um. 1825); Wład. Kaz. *Wojcicki; Berwiński; Lucyan Siemieński; Izopolski* i inni.

2) Powieść Epiczna, Epopeja i Romans.

a. *Powieść Epiczna.*

Powieść Epiczna. — Powieść Epiczna jest poetyczny, zatém idealny obraz jakiegoś pojedyńczego wypadku, w piękną przybrany formę. Zdarzenie takowe, będące przedmiotem Powieści, może być już to prawdziwe, historyczne, już to przynajmniej z śladów historycznych zdjęte i zastósowane, lub też wreszcie osnute na wątku podań z życia społecznego, religijnego i domowego. Wszakże nie każdy wypadek, choćby nawet historyczny, może być Powieści osnową: musi on być sposobny do idealizowania, azatém ciekawy i ważny, bo taki tylko nosi w sobie myśl jakąś czyli ideę, taki tylko może dać imaginacyi obraz poetyczno-idealny. Im więcéj zdarzenie jakieś mieści w sobie pierwiastków poetycznych, obrazów zajmujących i pięknych, charakterów wydatnych, tym sposobniejszy jest do zidealizowania go w Powieści Epicznéj. To też w poemacie tym, jak w każdym historycznym, nie idzie o jasny rzeczy wywód ani rozumowe uzasadnienie, tylko raczéj o dostrzeżenie i uobrazowanie tych chwil wypadku i stron w charakterze osób, które żywy i piękny obraz dla imaginacyi podać są zdolne. Poeta obiera chwilę i stanowisko, którego widok na całość obrazu najpiękniejszy jest i najrozmaitszy, i około tego stanowiska rzuca pojedyńcze obrazy w rysach niezbyt wycieniowanych, ale wyraźnych i charakterystycznych, to tylko z potocznych okoliczności wciągając, co do głównego obrazu całkiem przypada i nieodzownèm jest. Główny ten obraz jedynym jest Powieści celem i ściśle granice jéj zakreśla; stąd poematu tego skład w ogóle dosyć prosty, ani rozległych ustępów czyli epizod, ani wybryków wyobraźni Poety nie dopuszcza. Bo Powieść Epiczna kreśli nie życie narodu w pewnym czasie, tylko pojedyńczą, małą z życia tego chwilkę; nie opiewa ona dzieł i czynów całego narodu lub znacznéj przynajmniéj części jego, reprezentowanéj w bohaterach i charakterach czasowych (bo to jest świat Epopei), tylko obrazuje jeden czyn lub wypadek osób pojedyńczych, w osobnym ich stosunku i mniéj powszechném dążeniu. Im stosunek ten poważniejszy i rozleglejszy, im dążność charakterów bliżéj tyka losów całego narodu, tym większy i poważniejszy zawód Powieści, tym bliższa Powieść Epopei, jak Mickiewicza Konrad Wallenrod. — Wierne i plastyczne, lubo niezbyt szczegółowe wyobrażenie rzeczy główną jest Powieści Epicznéj zaletą. Do wierności téj i plastyczności należy dokładne zdjęcie rysów z fizyonomii czasu i świata, z którego wypadek jest wzięty, a więc jego sposobu życia, wyobrażeń umysłowych, moralnych i religijnych; i dla tego siły i zjawiska nadzwyczajne, cudowne mogą być poetycznym żywiołem Powieści, byle one leżały w wyobrażeniu czasu i narodu, byle one stanowiły wiarę ludu i cząstkę jego życia umysłowego. A że Powieść Epiczna właściwie jest płodem Poezyi nowszéj, przeto charakter jéj w ogóle jest romantyczny.

Forma Powieści jest zwykle i koniecznie prawie wierszowa. Powieść w niewiązanéj ułożona mowie traci wiele na piękności formy i artystyczném wrażeniu, i zbliża ona się w takim razie już to do prostego historycznego opowiadania, już to do romansu na małą skalę. Powieści prawdziwie epicznego i poetycznego charakteru wymagają wykończenia co do formy w wierszu, rytmie i rymie. Do poważności epicznéj najlepiéj przypada wiersz dłuższy, jakim jest trzynasto-zgłoskowy: dość zwyczajny jest także jedenasto- i dwunasto-zgłoskowy, a jeśli mniéj liczy niż dziesięć zgłosek, za lekki jest, chyba w częściach mniéj więcéj lirycznych.

Gawęda. Do Powieści epicznych zaliczyć także można Gawędę. Czerpiąc treść z żywych tradycyi, w opowiadaniu swobodna, pełna humoru, i idąca za popędem niekrępowanéj fantazyi, w formie też okazuje najwięcéj luźności, najmniéj obmyślanego planu i ścisłéj sztuki. Poeta epiczny wybiegając na pole gawędy, z upodobaniem przedstawia osoby, obyczaje, czasy lub wydarzenia charakterystyczne, do miary dzisiejszego lub ogólnego porządku spraw ludzkich mniéj przypadające; a skupiając siłę opowiadania w pewnych ciekawych i oryginalnych sytuacyach, lub też w jednéj chwili z życia bohatera, mniéj troszczy się o powiązanie pojedyńczych obrazów wewnętrznemi motywami. Stąd też *akcya*, tj. skombinowany obraz czynności, myślą i wolą

jednéj głównéj osoby tak kierowanych, że w ścisłym przyczyn i skutków przedstawiają się stosunku, i do jednego zmierzają celu, usuwa się w Gawędzie prawie zupełnie z widoku, a opowiadanie nie wywołuje i nie żąda psychologicznego uznania czytelnika, ale zmierza do ujęcia jego sympatyi dla bohatera lub dla skreślonych czasów.

Od powieści epicznéj różni się Gawęda jeszcze osobliwym, jéj tylko właściwym tonem swobodnego humoru i malowniczego, posuwistego i że tak powiem, staropolskiego sposobu opowiadania; w tym stylu jest najwybitniejsza oryginalność Gawędy i najpewniejsza rękojmia pożądanego wrażenia.

Rodzaj ten poetycznych opowiadań, stworzyli Wincenty Pol i Władysław Syrokomla.

Przegląd literatury powieściowéj zob. pod Epopeją.

b. *Epopeja czyli poemat bohaterski.*

Ogólny charakter Epopei. Epopeja (Ἐπο ποιΐα, składanie słów, opowiadanie) jest największą i najdoskonalszą całością Epiczną, a tém samém główną Poezyi Opisowéj wyobrazicielką, mogącą służyć tak za źródło i matkę niejako wszystkich gatunków pomniejszych jako też z drugiéj strony za ich rezultat i najwyższą kompozycyą poetyczną, zrosłą z wszystkich pierwiastków opisowych. Mieści ona w sobie równie podania i powiastki ludu, z całą jego wiarą w świat przyrodzony i nadprzyrodzony, z wszystkiemi wyobrażeniami, zwyczajami i obyczajami, jak zdarzenia i wypadki, które Powieść Epiczna opiewa. To też wszystko, co się o Poezyi Opisowéj w ogóle powiedziało, jak gdyby z fizyonomii Epopei zdjęte jest, i do niéj na odwrót w całości zastósowane być musi.

Co jest treścią Epopei? Jak Powieść Epiczna pojedyncze jakieś, lubo ciekawe i ważne zdarzenie ma za przedmiot swój i osnowę, tak światem i osnową Epopei jest wielka całość narodu. Nie opiewa ona więc pojedyńczego zdarzenia w ścisłych jego, pewnemi granicami określonych zarysach, tylko raczéj wypadek wielki, wynikający z usposobienia i celu całego narodu lub przynajmniéj znacznéj jego części, przedsięwzięcie ważne, w którém wszystkie pierwiastki życia narodowego poruszone i wywołane żywy mają udział i na jaw występują. Ponieważ zaś wojna, spór, bądź wewnątrz bądź zewnątrz kraju, wywołuje ruch i życie, siły tak fizyczne jak moralne do większéj czynności nastraja, wszystkie żywioły życia spółecznego i moralnego

rozbudza i na scenę wyprowadza; idzie więc zatém, że przedmiotem Epopei, jako *wyobrazicielki całości życia narodowego w pewnym czasie*, może tylko być przedsięwzięcie wielkie, trudne, pociągające za sobą kolizyą pewnych żywiołów, domowych, familijnych, narodowych, już to ludzi z ludźmi, narodów z narodami, już to pojedyńczych ludzi i całych narodów z losem, koniecznością lub przeznaczeniem Opatrzności. Wielkość sprawy, chęć oddziaływania i odporu, interes powszechny, wywołuje wszystkie żywioły życia narodowego do czynnego udziału lub przynajmniéj w ruch i czynność je wprawia, a tym sposobem roztwierają się wszystkie kanały tego życia narodowego i politycznego, religijnego, umysłowego i domowego.

Forma Epopei. Wykończona całość przedmiotu. Ustępy. Główny wypadek czyli raczéj cel, do którego naród, część jego lub osoba pojedyncza zdąża, jest tą sprężyną ruchu powszechnego, tą siłą czarodziejską, co wszystkie umysły do siebie zwraca i wszystkie pierwiastki spółeczne w ruch wprawia i na scenę wywołuje. On też głównym jest wątkiem osnowy Epopei, punktem środkowym, około którego gromadzą się wszystkie inne wypadki, zjawiska i okoliczności. Jest to nić Aryadny, która tak Poetę jak i nas po całym labiryncie gmachu narodowego prowadzi. Głównego tego obrazu nie zakreśla Poeta w ogólnych tylko rysach: owszem z wszystkich go stron ogłędnie i umiejętnie wykończa, cieniuje i w pełne stroi kolory. Prowadząc nas za tą nicią, jakby po drodze, zbiera i gromadzi Epik wszystkie okoliczności i zajścia potoczne, i to nie tak, iżby tylko mimochodem o nie potrącał, wzmiankę czynił, ale owszem z równą zabawią przy nich lubością i pilnością, kreśli z nich osobne równie wykończone obrazy, tak iż prawie osobną całość i piękność stanowić mogą. I to są tak nazwane *Ustępy* czyli *Epizody:* nie są to przypięte tylko poematu ozdoby, ale raczéj obrazki i widoki służące do wypełnienia obrazu głównego, opisy okoliczności z wątkiem rzeczy ścisły związek mających, sceny wyobrażające całość życia narodowego w pewnym czasu okresie. Na ścisłym tym związku wszystkich szczegółów z głównym rzeczy wątkiem zależy jedność poematu.

Jasność i plastyczność. Wynika już z samej natury Sztuki i Poezyi, że wszystko to nie jest w Epopei ogólném rzeczy opowiedzeniem, tylko rzeczywistych scen i okoliczności obrazowaniem. Jasność i plastyczność w obrazowaniu konieczną jest i główną Epopei zaletą; przeto téż Poeta z dziecinną prawie naiwnością każdym się zajmuje przed-

miotem, przygląda mu się z stron wszystkich, nazywa go wszystkiemi mianami (Homer np. nietylko jak ludzie, ale i jak bogowie rzeczy nazywają), określa wszelkiemi przymiotami (epitetami) i każdy rys obrazów osobno cieniuje. Nie pospiesza więc Epik do końca, jak w Powieści, tylko owszem z umysłu zatrzymuje się po drodze, wstępuje gdzie może, daje sobie czas do obejrzenia i opisania wszystkiego. To też największa spokojność i harmonia rozlana jest po każdéj Epopei, a całość przybiera jakiś ton i charakter poważny, wzniosły, który naśladowcom Wirgilego, nierozumiejącym uroczystéj, że tak rzekę, prostoty Homera, fałszywie poddał rozumienie o jakiéjś *górności* czyli raczéj nadętości w poemacie Epicznym. Nie górność, tylko poważna spokojność nadaje Epopei charakter jéj wzniosły. Jakoż cały rozwój rzeczy w Epopei zasadza się na spokojném rozwikłaniu choćby najzawilszego węzła, a nie na uderzającém jego rozcięciu, bo Epik nie godzi w pojedyncze strony serca i umysłu, tylko zaprząta całą duszę człowieka, nie rozbudza namiętności, tylko ducha do rozwagi i rozmysłu nastraja. Nie *wrażenie*, tylko *wyobrażenie* jest Epopei celem i zaletą.

Jakie społeczeństwa dostarczają Epopei wzorów, treści i wątku? Tak rozmaite i pełne obrazy, w którychby nietylko rzecz sama, ale i wszystkie jéj szczegóły i potoczne okoliczności artystyczną piękność stanowiły i wyobraźnią zajmowały, nie z każdego zdjąć się dadzą czasu. Gdzie prawa powszechne a mocne wszystko w pewnych trzymają karbach, gdzie charaktery osób wychowaniem publiczném do jedności sprowadzone, gdzie stosunki domowe i społeczne pewną normę i jednostajność przyjęły, gdzie wreszcie przemysł i moda zatarła wszystkie różnice w potrzebach, wygodach i całym trybie życia, tam Poeta nie znajdzie obrazów do Epopei ani ozdób do urozmaicenia tychże, tam niemasz bohaterów, którzyby wyszczególniając się osobistością swoją, reprezentowali charakter narodu z wszystkiemi jego właściwościami. Dla Epika innego potrzeba świata. Obrazów epicznych szukać należy w chwilach historyi, kiedy prawem była świętość zwyczaju i obyczaju, kiedy życie publiczne i domowe miało jeszcze swe wyraźne a różne kształty, nie ścieśnione ani pewnemi formami ani przepisanemi obowiązkami, kiedy wolność chodziła jeszcze w parze z swywolą, a osobistość pojedyńczych ludzi, górując nad powszednością, miała pole do popisywania się, tak iż udział ich przeważał szalę a odosobnienie uszczerbek przynosiło, kiedy wreszcie

życie społeczne i towarzyskie rostrzelone było na wyłączne stany i familie, a te znów familie liczyły w gronie swym charaktery ogładą powszechną nieprzytarte, tak iż co dom to inny zwyczaj, co familia, to innorodne a dziedziczne cnoty i występki, czyny i przysłowia, co osoba, to inny charakter, inne widzenie rzeczy, wyraźna indywidualność. Stąd to w Epopei szukamy dobrze skreślonych charakterów, a dobrze tam je tylko skreślić można, gdzie ich życie i historya dostarcza; bo Epik nie stwarza charakterów, tylko je zdejmuje. Takiemi były charaktery Homerowskie, takie miała Polska aż pod koniec wieku przeszłego, z których kilka trafnych obrazów skreślił autor Pamiątek Soplicy, Chodźko w swoich Obrazach Litewskich, a przedewszystkiém Adam Mickiewicz w prawdziwie Homerowskim poemacie epicznym. Charaktery takie są, jak to mówimy, *oryginały*, i dla téj właśnie oryginalności do Epopei są sposobne; przeciwnie charaktery dzisiejsze są kopiami powszechnego wzoru cywilizacyi i dla tego w dziedzinie Epopei figurować nie mogą.

Reszta charakterów Epopei. Bohater. Fatum. — Jak w całéj rozmaitości scen epicznych jeden tylko jest główny wypadek, na którego wątku cała rzecz się osnuwa, tak jeden również główny charakter, który sprawy całéj jest bohaterem i przewodnikiem, gwoli którego wszystko się dzieje. Celuje on osobistością swoją nad wszystkie inne charaktery. On jest przewodnikiem głównego przedsięwzięcia, a zatém reprezentantem całego wypadku; na około niego gromadzą się inne charaktery najrozmaitszego usposobienia, a wszystkie razem są wyobrazicielami charakteru narodowego w swoim czasie, wyrażają tegoż narodu sposób myślenia, działania, skłonności, cnót i namiętności, w ogóle cały jego stan społeczny i obyczajowy. Atoli charaktery epiczne nie są to ludzie, coby dzielnością swéj woli wypadkiem kierowały, jemu ostateczny cel wytknąć i wszystkie okoliczności ku temuż celowi zwrócić zdołali; owszem, ponieważ *wypadek* sam, a nie bohaterowie, jest Epopei głównym przedmiotem i celem, więc osoby, działając pod wpływem okoliczności, losu, konieczności (*Fatum*), woli Opatrzności, nie są wypadków twórcami, tylko reprezentantami. Nie idzie wprawdzie za tém, iżby ślepém zawsze były losu narzędziem: owszem, dzielność ich w całéj występuje potędze: ale będąc tylko jednostkami w ogólném i dziejowém życiu, którém kieruje już to starożytne *Fatum*, już to chrześciańska *Opatrzność*, działają według okoliczności, pod wpływem ich zwyciężają lub upadają. Nie są one jedynymi losu swego sprawcami, jak cha-

rakterv dramatyczne; wola ich jednoczy się z wolą bogów lub Opatrzności. Tak mało tryumf ich jedyną jest ich zasługą, jak upadek wyłączną winą.

Ponieważ Epopeja jest obrazem życia narodowego w pewnym czasu okresie, przeto wszystko, co życia tego jest cząstką i żywiołem, w skład Epopei wchodzić może i powinno. Należą do tego wszystkiego wyobrażenia o bóstwie, zjawiskach, cudach i siłach nadprzyrodzonych, równie wiara, jak zabobonne przesądy, azatém cały świat mitologiczny u Greków i Rzymian, wszystko co jest przydmiotem wiary i wyobrażeń narodów Chrześciańskich w czasie, do którego się rzecz sama odnosi. Tak więc bogowie starożytni, jak podania i wyobrażenia ludu z wieków średnich i nowszych, czary, upiory, duchy, puszczyki itp. nie są to tak nazwane *machiny*, któreby rzecz w ruch wprawiały, tylko raczéj nieoddzielne cząstki, życia moralnego i religijnego. Nie są one Poety zewnętrznėm tylko narzędziem, ale raczéj przedmiotem, celem, azatém obrazem poetycznym. W miarę, o ile Poeta dostrzedz zdoła i wiernie odmalować czas i wszechstronne życie narodu, o tyle Epopeja jego jest narodową. Na téj właściwości czasowéj zasadza się, zbyteczny zresztą, podział Epopei na *klasyczną* i *romantyczną*, a nawet *idylliczną*.

Epopeja Żartobliwa. — Epopeja żartobliwa powstaje przez to, że Poeta, zamiast uważać świat swój z normalnéj jego strony i zjawisk do istoty życia należących, chwyci stronę jego śmieszną i jakby życia cząstki i chwile odrodne. Nadając charakterom i dążnościom śmiesznym pozór i pobudki poważne, robiąc z głupstwa lub śmieszności rzeczy wielkiéj wagi i wartości istotnéj, stwarza przez to karykatury, które kontrastem między pozorem a istotą śmieszność wzbudzają. Ten sam cel i charakter mają Epopeje, w których zwierzętom nadają się dążności, czynności i charaktery ludzkie.

Przegląd literatury Epicznéj. Zanosiło się kiedyś w Polsce i całéj Słowiańszczyznie na Homeroskie rapsodie i rozleglejsze Epopeje, czego świadectwem jest *Wyprawa Igora na Połowców* z wieku XII. w narzeczu polsko - ruskiém, a spolszczona przez *Aug. Bielowskiego*, podobnie jak Czeskie Pieśni *Królodworskiego Rękopisu* z XIV. wieku przełożone przez *Lud. Nabielaka i Lucyana Siemieńskiego.* Zmiana cywilizacyi, a stąd naśladowanie wzorów łacińskich, przerwały nić téj epicznéj twórczości; mając na wzór doskonałości epicznéj górność Wirgilego Eneidy, według fałszywego pojęcia rzeczy, które aż do Fr. Dmochowskiego panowało, kuszono się o zdążenie na tę stromą wysokość, i dla tego aż do czasów najnowszych nic dobrego

w tym rodzaju nie utworzono. Pomijajac więc próżne usiłowania *Stan. Wojc. Chrościńskiego* za Jana III. (Trąba wiekopomnéj sławy Jana III.); *Samuela ze Skrzypny Twardowskiego*, z pierwszéj połowy wieku XVII (Władysław IV. Król Polski. w 5 księgach; Wojna domowa z Kozaki, Tatary, Moskwą, Szwedami i Węgry); również niedosięgającą miary Epopei, choć pełną zalet poetycznych Wojnę Chocimską *Wacława z Potoku Potockiego;* daléj *Dyzmy Bończy Tomaszewskiego* (Jagiellonida czyli Zjednoczenie Litwy z Polską 1818); *Tymona Zaborowskiego* † 1828. (Bolesław Chrobry czyli zdobycie Kijowa, w ułamkach drukowane); przystępujemy do Powieści, Gawęd i Epopei nowszych. Jeszcze i *Ignacy Krasicki* (ur. 1734., † 1801.) na próżno się kusił o zaszczyt Epika w Wojnie Chocimskiéj, ale zyskał palmę w Epopei żartobliwej: Monachomachii, Antimonachomachii i Myszeidzie. Szlachetnego zapału, ale nie lepszéj wartości są poezye opisowe *Jana Pawła Woronicza* (ur. 1757., † 1829.): Świątynia Sybilli i Lech. Dopiero od r. 1820. rozpoczyna się okres pomyślniejszy dla Poezyi Epicznej, mianowicie dla Powieści, z których może ze dwie tylko urosły w wielkość Epopei pod piórem *A. Mickiewicza* (ur. 1798.). Jest on twórcą i reprezentantem nowszéj Poezyi Polskiej, a do tego jedynym prawie Epikiem; tu należą Grażyna, Konrad Wallenrod i Pan Tadeusz. *Antoni Malczewski* (ur. 1792, † 1829.) autor Maryi. *Seweryn Goszczyński* (ur. 1803): Zamek Kaniowski i Kościelisko. *Juliusz Słowacki* (ur. 1809.): Żmija Jan Bielecki, Hugo, Mnich, Lambro, Ojciec zadżumionych, Beniowski. *Bohdan Zaleski* (ur. 1802.): Przenajświętsza Rodzina. *Julian Korsak:* Bejram. *Augustyn Bielowski* (ur. 1806.): Henryk pobożny. *Aleksander Borkowski:* Kozak. *Tomasz Adam Olizarowski:* Krzyż w Peredylu przerobione i wydane pod tytułem *Topir-Góra.* *Michał Jezierski:* Pan Kasztelan. *Tomasz Padura:* Podróże Czajd Harolda po Słowiańszczyznie. *Roman Zmorski:* Wieża siedmiu wodzów. *Teofil Lenartowicz* (ur. 1822.): Ś Zofia. *W. Pol* (ur. 1807.): Przygody IMCI Pana Benedykta Winnickiego, Senatorska Zgoda; Sejmik w Sądowéj Wiszni; Hetmańskie Pacholę, Wit Stwosz, Mohort. *Ludw Kondratowicz* (znany pod pseudonimem *Władysław Syrokomla* (ur. 1823. † 1862.): Urodzony Jan Dęboróg, Ułas, Stare Wrota, Kęs Chleba i inne gawędy i poemat bohatérski Margier. *Karol Baliński* (ur. 1817., † 1864.): Męczeństwo Zbawiciela. *Franciszek Morawski* (ur. 1783., † 1862.): Wizyta w sąsiedztwo, Dworzec mego dziadka. *Kajetan Koźmian* (ur. 1771, † 1856.): Stefan Czarniecki. *Włodzimierz Wolski:* Wielki Pan. *Gust. Zieliński:* Kirgiz.

Tłómacze znakomitszych Epopei: *Piotr Kochanowski* (ur. 1566., † 1620.): Tassa Jeruzalem wyzwolona i Ariosta Orland Szalony. *Jędrzéj Kochanowski:* Eneida Wirgiliusza. *Waleryan Otwinowski* (około 1630): Przemiany Owidiusza. *Jakób Zebrowski:* Przemiany Owidiusza *Jędrzéj Wincenty Ustrzycki* (za Jana III): Historya troista: Faeton, Prozerpina z Klaudyana, Achilles Stacyusza *Jan Alan Bardziński* († 1706.): Farsalia Lukana. *Stan. Wojc. Chrościński:* toż samo. *Jacek Przybylski* (ur. 1757., † 1819): Miltona Raj utracony i odzyskany; Kamoensa Luzyada; Wirgiliusza Eneida i Homera Iliada i Odyssea. *Franciszek Dmochowski:* Homera. Wirgilego i Miltona *Lucyan Siemieński:* ułamki z Odyssei Homera. *Antoni Bronikowski:* również. *Julian Korsak:* Boska Komedya Dantego. *Karól Sienkiewicz:* Walter-Scotta Dziewica Jeziora *Ant. Edw. Odyniec* tłumacz epicznych poematów Walter-Scotta i Byrona. *Julian Korsak, Fr. Morawski, Ant. Czajkowski* tłumacze Byrona.

c. *Romans i Powieść Romansowa.*

Romans. — Romans jest poemat tego samego prawie rozmiaru i charakteru co Epopeja, tylko że obrazy jego z innego zdjęte są świata, a forma jego zwykle nierymowa, prozaiczna. Jak Epopei przedmiotem jest życie spółeczne narodu w pewnéj chwili, o ile się takowe w pewném ważném objawia przedsięwzięciu, wypadku; tak światem i osnową Romansu jest życie narodu towarzyskie, powszednie, familijne, z wszystkiemi jego przygodami, z wszystkiemi osób prywatnych uczuciami, skłonnościami i namiętnościami, o ile się znów takowe w pewnéj objawiają sytuacyi. To też wszystko, co się o Epopei powiedziało, jéj składzie, główném rzeczy wątku i ustępach, jedności ich z rzeczą, tudzież o charakterach, to wszystko do Romansu zastósować można. Ponieważ jednak zawodem Romansu nie jest cały naród, tylko pojedyncze jego warstwy i klasy w życiu powszedniém, towarzyskiém; przeto też osoby Romansu nie są reprezentantami wielkich charakterów narodowych, tylko wizerunkami człowieka towarzyskiego, jego usposobień, skłonności, cnót i namiętności. Wypada stąd, że im ważniejszy jest przedmiot Romansu, im wyżéj sięga życia społecznego, tém bardziéj zbliża się do zakresu Epopei. Malując atoli rzeczywistość powszednią i charaktery życia codziennego, nie potrzebuje Romansopisarz szukać epok Epopei właściwych, ani owych wyszczególniających się, idealnych indywidualności; człowiek codzienny równie może być Romansu bohaterem, jak charakter historyczny. Jest więc Romans poetyczném obrazowaniem powszedniéj rzeczywistości, idealizowaniem ludzi w ich pożyciu towarzyskiém i prywatném. A że miłość, to uczucie świata chrześciańsko-romantycznego, jest jedną z głównych pobudek i sprężyn życia towarzysko-familijnego, więc też i w Romansie najczęściéj jest wątkiem, na którym się rzecz cała osnowa. Jest miłość tém w Romansie, czém jest cel główny w Epopei; a co w Epopei dzieje się pod wpływem okoliczności, losu, przeznaczenia i Opatrzności, to w Romansie robi często intryga. Zwykłą kollizyą jest poezya serca, a proza rzeczywistości; koniec jest już to tragiczny, już to komiczny, albo też przychodzi do pojednania poezyi z prozą. W czasach więc, kiedy z przed oczu naszych usuwają się chwile epiczne, kiedy życie spółeczne zaciera swe wydatne rysy, indywidualności maleją, zdaje się, że Romans zastępuje zwolna miejsca Epopei. Bo życie dzisiejsze z jednéj, moralnéj strony umysłowe, naukowe, religijne, miłością familijną uszlachetnione, sprowadzone do pewnéj godności towa-

rzyskiéj, z drugiéj strony zmateryalizowane, a stąd pełne zabiegów, takie mówię życie obfitych dostarcza obrazów dla Romansopisarzy.

Podział romansów na historyczne i obyczajowe. — Różne są Romanse, stósownie do świata, który wyobrażają, tudzież barwy, jaką świat ten Poeta nawodzi. Najogólniejszy jest podział Romansu na *historyczny* i *obyczajowy;* pierwszy bierze osnowę rzeczy z badań historycznych, drugi zdejmuje swe obrazy z rzeczywistości codziennéj. Tragiczność, komiczność, sentymentalność, humorystyczność, satyryczność, są znamiona Romansu tyczące się tak ostatecznego końca rzeczy, jako też sposobu, w jaki się Poeta na świat zapatruje. Cel moralny, dydaktyczny, o tyle tylko do istoty Romansu należy, o ile się zgadza z celem sztuki w ogóle i zadaniem Romansu, jakiém jest obrazowanie życia i ludzi. Romanse li w pewnym pisane zamiarze, traktujące o rzeczach naukowych, rzadko się nie mijają z istotą Poezyi.

Powieść. — Powieść romansowa, bądź historyczna, bądź obyczajowa, tak samo się ma względem Romansu, jak Powieść historyczno-epiczna względem Epopei. Zakres jéj jest szczuplejszy, skład prostszy, pochód rzeczy żwawszy bez rozwodzenia się w obrazach ubocznych. Całe wrażenie polega na jednéj scenie, któréj trafne ujęcie i uobrazowanie największą stanowi wartość.

Uwaga. — Powszedność świata romansowego, tudzież ton i tok jego lekki, jest zapewne przyczyną, że Romansu forma jest zazwyczaj prozaiczna, a tém samém mniéj idealna. Wszakże wolność ta i swoboda w formie nie rozciąga się tak daleko, aby każde historyczne opowiadanie dawało Romansowi prawo mieszczenia się w dziedzinie Poezyi. I ta to prozaiczność wielu Romansów i Powieści stała się powodem, że niektórzy utworów tych wcale do Poezyi nie liczą. Atoli niedokładność, choćby i bardzo powszechna, nie zmienia istoty rzeczy.

Przegląd literatury Romansu i powieści. I ta gałąź literatury pięknéj dopiero z końcem przeszłego, a początkiem tego wieku kwitnąć zaczęła. Przytaczamy tylko co najważniejsze: *Ign. Krasickiego:* Pan Podstoli i Doświadczyński. *Mich. Dymitr Krajewski:* Podolanka, czyli wychowanica natury; Przypadki Wojciecha Zdarzyńskiego; Pani Podczaszyna; Leszek Biały. *Jezierski:* Rzepicha matka królów; Goworek herbu Rawicz. *Księżna Wirtemberska* (z domu *Czartoryska):* Malwina. *Julian Niemcewicz* (ur. 1759., † 1841.): Dwaj Panowie Sieciechowie; Lejbe i Siora; Jan z Tenczyna. *L. Kropiński:* Julia i Adolf. *F. Bernatowicz:* Nierozsądne śluby; Nałęcz; Pojata córka Lezdejki; Powódź; Reginka z Sieciechowa. *Jaraczewska:* Zofia i Emilia; Pierwsza młodość. *Fryderyk Skarbek:* Pan Antoni; Po-

dróż bez celu; Pan Starosta; Tarło; Damian Ruszczyc. *Konstanty Gaszyński:* Dwaj Sreniawici. *Franc. Wężyk:* Władysław Łokietek; Zygmunt z Szamotuł. *Massalski:* Pan Podstolic. *Klementyna z Tańskich Hoffmanowa:* Karolina; Krystyna; Jan Kochanowski. *Kazim. Wład. Wojcicki:* Kurpie; Stare Gawędy. *Adam Gorczyński:* Powieści Jadama: Silva rerum; Farmason. *Dominik Magnuszewski:* Guy-Dufour; Zemsta Panny Urszuli; Niewiasta polska w trzech wiekach. *Alexander Tyszyński:* Amerykanka w Polsce; Powieści blade. *Michał Czajkowski:* Powieści Kozackie; Wernyhora; Kirdżali; Stefan Czarniecki; Gawędy; Anna; Koszowata; Ukrainki; Owruczanin; Hetman Ukrainy; Powieści. *Michał Grabowski:* Koliszczyzna i Stepy; Stannica Hulajpolska; Tajkury; Pan Starosta Kaniowski. *Lucyan Siemieński:* Muzamerit. *John of Dycalp (Placyd Jankowski):* Zaścianek; Ostatni upiór w Bielehradzie; Pamiętniki Elfa; Opowiadanie; Powieść składana (z Kraszewskim). *Eleonora Sztyrmer:* Pamiętniki nieboszczyka Pantofla. *Józef Ignacy Kraszewski:* Pan Walery; Wielki świat małego miasteczka; Ostatni rok panowania Zygmunta III; Dwa a dwa cztery; Majster Bartłomiéj; Całe życie biedna; Mistrz Twardowski; Historya o bladéj dziewczynie z pod Ostréj Bramy; Stańczykowa Kronika; Świat i Poeta; Ostatnia z książąt Słuckich; Maleparta; Ulana; Latarnia Czarnoksięzka; Pamiętniki Nieznajomego; Ostap Bondarczuk; Jaryna; Budnik; Kordecki; Chatka za wsią; Powieść bez tytułu; Sfinx; Dziwadła; Interesa familijne; Kopciuszek; Resztki życia; Boża czeladka i wiele innych. *Bolesławita:* Dziecię starego miasta; Szpieg; My i Oni; Żyd; Na Wschodzie; Tułacze i inne. *Henryk hr. Rzewuski:* Pamiątki Soplicy; Listopad; Zamek Krakowski; Adam Śmigielski; Rycerz Lizdejko. *Zygmunt Kaczkowski:* Junacy; Swaty na Rusi; Murdelio; Gniazdo Nieczujów; Grób Nieczui; Starosta Hołobucki; Bracia ślubni; Annuncyata; Wnuczęta; Bajronista. *Ignacy Chodźko:* Obrazy litewskie (szereg powieści w 5 seryach, do najlepszych należą:) Dworek mego dziadka; Brzegi Wilii; Pamiętniki Kwestarza; Dworki na Antokolu; — Podania Litewskie, w których: Pustelnik w Proniunach. *Józef Dzierzkowski:* Uniwersał hetmański; Intrygi dworskie; Król Dziadów; Dwaj bliźnięta i inne. *Józef Korzeniowski:* Dobrze i to wiedzieć na ciężkie czasy; Wtorek i Piątek; Spekulant; Kollokacya; Wędrówki oryginała; Nowe wędrówki oryginała; Emetyt; Garbaty; Pan stolnikowicz wołyński; Wdowiec; Szczęście za górami i inne. *Walery Łoziński:* Szlachcic chodaczkowy; Szaraczek i Karmazyn; Czarny Mazwij. *Teodor Jeż (Zygmunt Miłkowski):* Handzia Zachornicka; Szandor Kowacz i inne. *Edmund Chojecki:* Alkhadar. *Jan Zacharyasiewicz:* Sierota wielkiego świata; Święty Jur; Na kresach; W przededniu i inne. *Leon hr. Potocki:* Wincenty Wilczek i pięciu jego synów; Dwaj bracia artyści. *Amilkar Kosiński:* Powiastki i opowiadania żołnierskie; Powieści staroszlacheckie. *A. Wilczyński:* Kłopoty starego komendanta; Nasze dzieci; Dziecię niedoli i dziecię próżności. *Jan Kanty Gregorowicz:* Obrazy wiejskie; Tomek Sandomierczak. *Aleksander Niewiarowski:* Los opiekun; Rotmistrz bez roty; Życie na żart. *Włodzimirz Wolski:* Uśmiech losu; La Kaczucza; Domek przy Głębokiéj ulicy. *Adam Plug (Antoni Pietkiewicz):* Duch i krew. *August Wilkoński:* Romaty i romatki. *Spiridion* (pseudonim): Silni i słabi: Elpidon (pseud.): Przebudzeni; Starzy i Młodzi. — *Ewa Felińska:* Hersylia; Pan Deputat. *Paulina Wilkońska:* Irena; Fata Morgana; Pani Podkomorzyna; Pan Wojski i inne. *Anna z Krajewskich Nakwaska:* Aniela czyli obrączka ślubna; Obraz Warszawskiego społeczeństwa; Wspomnienia z czasów Pruskich i X. Warszawskiego. *Karolina z Rylskich Wojnarowska:* Pierścionki babuni. *Bibianna Maraczewska:* Dwaj bracia rodzeni.

3) Idylla.

Ogólny charakter Idylli. — *Idylla* (Εἰδύλλιον) znaczy w ogóle *Obrazek*, a w szczególném zastósowaniu do Poezyi, mały obraz poetyczny zdjęty z natury lub ludzi na łonie natury żyjących. Idylla obrazująca życie naturalne, proste, zajścia, przygody i czynności ludzi wiejskich czyli sielskich, ma osobne miano *Poezyi Sielskiéj;* jeśli zaś samą tylko naturę, sytuacye nieruchome i stałe opisuje, *Obrazem malowniczym* nazywać się może. Tak w pierwszym, jak w drugim razie Idylla do Poezyi opisowéj należy: bo chociaż Poeta często w obrazy i charaktery, które kreśli, własne swoje wkłada uczucia, chociaż świat naturalny, który idealizuje, czyni niekiedy przedmiotem swéj tęsknoty, to jednak głównem jego zadaniem tak dalece jest samo obrazowanie świata dlań zewnętrznego, że naciąganie Sielanki kolorytem lirycznym, sentymentalnym, raczéj jest wadą tejże, aniżeli istotą.

Szczegółowe charaktery Poezyi Sielskiéj. — *Poezya Sielska* kreśli obrazy życia wiejskiego, naturalnego, wystawiając jego piękność, spokojność, prostotę, niewinność, azatém szczęśliwość w porównaniu z wytężonemi i kłopotliwemi zabiegami życia społeczności ucywilizowanéj, życia, które wydarłszy się z objęcia matki natury, przeniosło się na pole przemysłu, sztuki i naukowego rozumowania, wyrodziło się niejako i w więzy form towarzyskich ująć się dało. Wyobrazicielami tego życia, bohaterami Sielanki są więc ludzie prości, czerpiący swój napój jak dla ciała tak dla ducha z czystego źródła natury, nieznający w prawdzie korzyści ucywilizowanego świata, ale téż ani słabości i przesycających jego roskoszy. Wystawiając zaś naturalnie to tylko, co w życiu tém prostém piękne jest, obiera Poeta chwile, zatrudnienia i zdarzenia do obrazu idealnego najsposobniejsze, charaktery nieulegające pod cieżarem niewolniczej pracy wieśniaczéj, ale raczej szczęśliwe i swobodne, jakimi są rybacy, łowcy, a przedewszystkiém pasterze; i stąd to gatunek ten Poezyi w ściślejszém rozumieniu *Poezyą pasterską,* Sielanki *Bukolikami* się zowią. Obrazy takowe przenoszą nas w świat pierwotnéj niewinności i spokoju, w czasy wieku złotego, kiedy człowiek żyjąc na łonie matki natury, karmił się u jéj piersi, nie znał potrzeb innych nad te, które mu przyrodzenie wskazywało i zarazem zaspakajało, nie znał innych na-

miętności, jak miłość czystą i nienamiętną, a szczęście jego stanowił dobry stan dobytku, rozgłos śpiewu po polach, lasach lub przestwornych jeziorach, niewinna zabawa i taniec przy prostych tonach piszczałki. Owoż myśl czysta a swobodna, obyczaj prosty, radość z życia, a w dolegliwościach nawet naiwne i spokojne rozmyślanie, to są właściwe rysy charakterów sielskich. Wszakże to, co jest niewinném, naiwném i powabném w życiu sielskiém, dalekiem jest od smętnej sentymentalności, w którąby Poeta, lubując sobie w rajskiém szczęściu swobody sielskiéj, łatwo mógł popaść. Zbolałość lub tęsknota Poety nie jest istotą Sielanki, która tylko wiernie zdejmuje obrazy, ale nie rozbudza w nas żalu po stracie tego, co na zawsze przeminęło, co było życia społecznego czystém źródłem wprawdzie, ale ostatecznym jego celem nigdy być nie może. I stąd to zapewne pochodzi, że rodzaj ten Poezyi w miarę rozszerzonego widokręgu człowieka społecznego i górności jego dążeń coraz bardziej w zapomnienie idzie: bo, jak Schiller dobrze powiada, Sielanka jest tylko dla chorych umysłów lekarstwem, lecz zdrowym zasiłku podać nie zdoła. Prostota wreszcie życia i stosunków, które Sielanka maluje, równej wymaga prostoty i naturalności tak w składzie całości, jak w wyrażeniach i całej formie w ogóle. Styl Sielanki, choć poprawniejszy, to równie prosty i naiwny być musi, jak słowa ludzi, których wyobraża; na tém zasadza się formy plastyczność.

Skład Sielanki epiczny, opowiadający, najlepiej przypada do natury tego rodzaju Poezyi; mniéj stósowna, rzekłbym niedbalsza jest forma li dramatyczna, chyba że takowa w opowiadanie wpleciona; najmniéj zgodna z sielskością jest forma i barwa liryczna, bo ta właśnie zdradza własne uczucia Poety.

Obraz Malowniczy. — Obraz Malowniczy nie kreśli czynności ani zdarzeń, tylko stan rzeczy spokojny, sytuacye naturalne, jako kraje, okolice, nie opowiadając, co ludzie ci w pewnej chwili czynią, tylko jakiego są w ogóle usposobienia. Jest to właściwie pole malarza i dla tego obrazy takowe *malowniczemi* nazywamy. Rzadko Poeta, jak się już wyżéj powiedziało, z pola tego zwycięsko powraca, bo materyał językowy, sposobny tylko do obrazowania tego, co się *po sobie dzieje*, wielkiéj potrzebuje zręczności mistrza, aby w nim złożyć potrafił obrazy tego, co *jest obok siebie*. Załatwia Poeta tę trudność, podnosi wartość opisu i jednostajności jego nadaje ruch i życie, zapełniając i ożywiając martwe przedmioty czuciem, myślą i udziałem człowieka.

Przegląd literatury Sielskiéj. Lubiona była u nas Poezya Sielsko-Pasterska w dwóch zeszłych wiekach, jako czasie omdlenia umysłowego lub rozpaczy w powszechnym rozprzęgu; z właściwego stanowiska pojmowano ją dopiero w czasach nowszych. W ogóle Sielankarze nasi są pełni zalet, jako: *Szymon Szymonowicz Bendoński* (urodz. 1557., † 1629.); *Szymon Zimorowicz* urodz. 1604., † 1629.); *Jan Gawiński; Adam Naruszewicz* (urodz. 1733., † 1795.); *Franciszek Karpiński* (urodz. 1741., † 1825.); *Kazimierz Brodziński*, (urodz 1791., † 1835.), autor Wiesława; *Stefan Witwicki* († 1847) autor Piosnek sielskich; *Konstanty Gaszyński* (ur. 1809., † 1866) Sielanka młodości; *Teofil Lenartowicz*: Błogosławiona; Zachwycenie i inne.

Do *Obrazów Malowniczych* należą: *Jana Kochanowskiego* (ur. 1530., † 1584.) Proporzec; *Sebastyana Klonowicza* (ur. 1551., † 1608) Flis. *Stanisława Trembeckiego* († 1812) Zofijówka; właściwie także *Jana Pawła Woronicza:* Świątynia Sybilli; *Antoniego Edwarda Odyńca*: Góra. *Franciszka Wężyka*: Okolice Krakowa.

II. Poezya Liryczno-Fpiczna.

Ogólny charakter Poezyi Liryczno-Epicznéj. — Do tego działu Poezyi Opisowéj liczymy te gatunki epiczne, w których Poeta, opuszczając zewnętrzne stanowisko spokojnego widza i opowiadacza, przystępuje do rzeczy z żywym udziałem, opowiada pod wpływem uczucia, i takowe w słuchaczu lub czytelniku nawzajem rozbudza. Skład poematu i ton jego cały obrachowany jest na wrażenie i efekt. Przedmiot jego może być ten sam, co w Powieści Epicznej lub saméj nawet Epopei, odmierzony naturalnie na skalę daleko mniejszą; ale sposób zapatrywania się nań i obrazowania tak całości, jak części, całkiem jest różny. Podczas kiedy Epik, patrząc zdala niejako na swój przedmiot, wiernym tylko jest jego malarzem, wolny od wszystkiego współczucia, wszelkiéj namiętności, spokojnie przy każdym obrazie pobawiając, ze wszystkich stron wykończa go i cieniuje; Epik liryczny, przejęty swym przedmiotem i czuciem go swojém całkiem owładnąwszy, tak całość obrazu jak pojedyńcze części barwą tegoż uczucia naciąga. Nie rozwodzi się więc w szczegółach rzeczy saméj, ani wykończa fizyonomii charakterów, tylko pojedyńcze a mocne rzucając rysy, spieszy ku końcowi, i tam się chyba nieco zatrzymuje, gdzie go uczucie lub namiętność z prostego zbija toru. To też rozmiar poezyi liryczno-epicznych daleko jest szczuplejszy, aniżeli właściwych opisowych, bo ani Poety ani czytelnika uczucie zdolne jest zbyt długiéj towarzyszyć osnowie. Tenże żywioł liryczny w Poezyi Opisowéj, obcy plastyczności Epiki starożytno-klasycznéj, wyraźną jest skazówką, że charakter Poezyi Liryczno-Epicznéj, równie jak jéj początek, jest romantyczny.

Namiętne usposobienie Poety i szybki pochód ku ostatecznemu rozwiązaniu rzeczy, wymaga podobnego charakteru w formie zewnętrznéj. Jeśli bowiem spokojny rozwój Epopei wymaga wiersza dłuższego i jednostajnego, w którym Poeta z rzeczą swoją, że tak rzekę, rozłożyć się i rozgościć może; to prędki i rzutny tok rzeczy, aforystyczność obrazów i cel efektu w Poezyi Liryczno-Epicznéj odpowiednią znajduje formę w wierszach krótszych, nierównych, przekładanych, i w składzie wrotkowym, który ją zarazem do śpiewu sposobną czyni. Do tego działu Poezyi należą:

1) Ballada, Romanca i Duma.

Wszystkie te trzy gatunki Liryczno-Epiczne, Ballada, Romanca i Duma, tak są przedmiotem, duchem i formą bliskie siebie i pokrewne, że sami Poeci, nie chcąc niepewnéj między niemi zakreślać granicy, poezye takowe zwykle pod wspólną rubryką Ballad i Romanc umieszczają, a teoretycy polscy (Korzeniowski) pod Dumę obadwa podciągają gatunki. Jakoż zdaje się, że nie tak rzecz i skład tych poezyi wyróżnia je od siebie, jak raczéj cecha, którą je wyobraźnia Poety i narodu piętnuje, duch niejako, który tchnie z całéj rzeczy osnowy.

Ballada, czy nazwę swoję z Włoch wyprowadza, gdzie *Ballata* śpiew z tańcem oznaczała, czy téż angielskiego jest pochodzenia od *Gwael-owd* (czyt. *wal-ad*), co pieśń gminną mianować ma, w dzisiejszém znaczeniu właściwie u narodów północno-giermańskich, mianowicie Anglików i Niemców została wykształconą, i stąd nosi na sobie cechy giermańskiéj wyobraźni fantastycznéj, sentymentalnéj, poważnéj, a efekt jéj w ogóle wzniosły, często nawet tragiczny. To téż i styl jéj w ogóle poważny i uroczysty.

Romanca przeciwnie, jako płód imaginacyi południowéj, bądź hiszpanskiéj, bądź francuzkiéj, a wykształcona i pielęgnowana najbardziéj przez Francuzów, ma charakter delikatny, lekki, nie tak do poważnéj sentymentalności, jak raczéj do naiwnéj czułości nastrajany.

Owoż różnica między niemi nie tak z rzeczy, jak raczéj z usposobienia wyobraźni narodowéj pochodzi; a że podziś dzień obydwie we wszystkich prawie krajach prawo obywatelstwa uzyskały, więc w odrębnych, choć w niewyraźnych, trzymają się granicach. Jedna i druga ten sam przedmiot opiewać może; ale w miarę ich charakteru przedmioty poważne, epiczne i tragiczne, jakich przedewszystkiem *podania gminne* z życia pospolitego, pięknych zmyśleń lub dziejów

rycerskich dostarczają, lepiéj przypadają do tonu Ballady, przedmioty lżejsze, tkliwe i delikatniejsze na uczucie wrażenia dla Romancy są stósowniejsze. Idzie zatém; że i wyobraźnia Poetów nowszych i czucie ich miarkuje się według charakteru przedmiotu; w Balladzie idzie Poecie o wynalezienie ważnéj, wzniosłéj, lub tragicznéj nawet sytuacyi i katastrofy, któréj obraz imaginacyą naszą uderza i porywa, a koniec wzniosłe czyni wrażenie; Romancy zaś przedmiot nawodzi Poeta barwą spokojnego, acz pełnego uczucia. Sama już rzecz Ballady mieści w sobie żywioły wrażenia, które poemat ma sprawić, tak iż poeta wydobywa tylko rzeczy istotę i takową w żywych, urywkowych obrazach przedstawia; stąd poezya ta więcéj ma w sobie epiczności. Romanca natomiast mniej treści ma w rzeczy osnowie, jak raczéj w uczuciu i pomyśle Poety, i dla tego charakter jéj w ogóle bardziéj liryczny. Stósownie do tego nazwaćby można Balladę poematem liryczno-epicznym, a Romancę raczéj epiczno-lirycznym.

Duma wreszcie, córka ziemi i wyobraźni słowiańskiéj, nosi znów cechę charakteru narodowego, i tym tylko właśnie charakterem różni się od Ballady i Romancy, z któremi w ogóle tak rzecz jak formę ma wspólną. Przyjąwszy miano swoje od *dumania*, wierna jest swemu imieniu: smutna, tęskna i rzewna, rozpływając się już to w pamiątkach przeszłości, już to nastrojona do tonu wrażeń czasowych i miejscowych, zbliża się raz do Ballady, drugi raz do Romancy. Wszakże tchnąc duchem narodu, azatém nacechowana charakterem cierpliwości, tęsknéj żałości lub nadziei, ma coś w sobie tak z poważnéj sentymentalności lub tragiczności Ballady, jak z lekkości i czułości Romancy; czyli raczéj jest ona Balladą i Romancą słowiańską. Osnowana na zdarzeniu historycznėm lub podaniu gminném, w bliższym jest powinowactwie z Balladą i jest charakteru epicznego; jeśli zaś Poeta ze zdarzenia powszedniejszego pochop tylko do pieśni swojéj bierze, tak iż uczucie nad rzeczą prawie góruje, wtedy pod skromniejszém nieco nazwiskiem *Dumki* do familii Romancy należy. W tym to guście są powiększéj części Dumki Zaleskiego.

2) Legenda.

Legenda (rzecz do czytania) nazywano pierwiastkowo książki treści religijnéj, które ludowi w kościele odczytywano, a późniéj mianowicie cudowne dzieje i żywoty świętych męczenników odczytywane po klasztorach. Te to dzieje cudo-

wne, jako też podania miejscowe z obrębu wyobrażeń religijnych i zjawisk nadzwyczajnych, ułożone w piękne obrazy dla imaginacyi, azatém w świat Poezyi przeniesione, zatrzymały prozaiczną ową nazwę Legend czyli powieści religijnych. *Legendą* więc w dzisiejszém rozumieniu nazywamy powieść poetyczną, której osnowa wzięta jest ze świata religijnego, bądź to z Pisma świętego, bądź to z żywotów świętych, bądź wreszcie z podań kościelnych i miejscowych. Tylko ważne, w ogóle cudowne jakieś zdarzenie lub zjawisko przedmiotem być może Legendy, gdyż takie tylko wyobraźnią Poety zająć, takie tylko w poetyczny, idealny obraz przetworzyć się może, a tém samém i naszą zaprzątnąć imaginacyą. Z rzeczy samej wynika, że skład i ton takiego poematu z jednej strony poważny jest i uroczysty, jak wiara, która podanie stwarza, z drugiej skromny i prosty, jak serce, które jest wiary mieszkaniem. Forma wewnętrzna ta sama jest, co w Balladzie lub Dumie, bo też Legenda nic innego nie jest, jak Ballada treści religijnej.

2) Śpiew historyczny i Powieść poetyczna.

Śpiew historyczny, jakim go u nas stworzył Niemcewicz, jest poemat treści epicznej z barwą liryczną, i tém tylko różni się od poprzedzających gatunków liryczno-epicznych, że jest treści czysto historycznej. To też osnowa jego, ton, koloryt i ostateczne wrażenie zależą od wypadku lub charakteru bohatera, który jest jego przedmiotem. Jeśli wypadek ten poważny jest, uderzający lub tragiczny, zbliża się śpiew historyczny do Ballady; jeśli zaś nosi cechę żałości lub bolesnego rozpamiętywania, Dumą się staje. Jakoż sam Niemcewicz niektóre ze swych Śpiewów Dumami mianował, a niektóre z Litewskich Pieśni Kraszewskiego istnemi są Balladami. W takowych poezyach całą historyę narodu wyśpiewać można. Wszakże nie wszystko co jest wypadkiem historycznym, sposobném jest do poetycznego obrazu w Śpiewie; owszem ponieważ w Śpiewie, jak w Poezyi w ogóle, nie idzie o porządny rzeczy wywód, tylko idealne jej uobrazowanie, przeto najważniejsze tylko, i imaginacyą zajmujące chwile, charaktery wydatne, czyny ich świetne, osnowę Śpiewu stanowić mogą. To więc tylko Poeta z wypadków dziejowych idealizować może, co w własnej jego imaginacyi świetnym zabłysnęło obrazem. Dostrzeżenie tych chwil i żywiołów poetyczno-idealnych większą jest sztuką, aniżeli przybranie go w formę choćby najpoetyczniejszą. Skład wiersza być może w miarę wrażenia, jakie przedmiot na Poetę i czytelników czyni. Im więcej uczucia i namiętności Śpiew w sobie mieści, tym krótszy wiersz mu przypada, a skład wrotkowy: sytuacye spokojne i poważne wymagają dłuższego wiersza epicznego. Wszystkich tych form wzory mamy w Witołdowych pieśniach Kraszewskiego.

Powieść poetyczna wreszcie tak niepewnej jest treści i osnowy, że ją raczej za uzupełnienie wszystkich gatunków epicznych, aniżeli za osobny gatunek uważać można. Rozumiemy przez nią poetyczne uobrazowanie jakiegokolwiek zdarzenia bądź historycznego lub przez powieść podanego, bądź zmyślonego, ale barwy tak nieoznaczonej, że do żadnego z powyższych charakterów przyznać się nie może. To też liczy się do tego gatunku Powieści wszystko, co będąc treści i osnowy liryczno-epicznej, nie jest ani Balladą, ani Dumką, ani Śpiewem historycznym. Wszakże to pewna, że niejednę z Ballad lub Dumek Powieścią historyczną nazwaćby można. Jedyną może różnicą między nią a gatunkami poprzedzającemi jest treść lżejsza i forma swobodniejsza.

Przegląd literatury Liryczno-Epicznej. Prócz Dumy i Dumki, jako Poezyi słowiańsko-narodowej, wszystkie prawie gatunki liryczno-epiczne są płodem ostatnich dopiero czasów. Wszakże i Dumę z stanowiska artystycznego wykształcił dopiero *J. U. Niemcewicz*, któremu winniśmy Powieści i Dumy, a przedewszystkiem Śpiewy historyczne. Balady i Romance pierwszy wyśpiewał *A. Mickiewicz*, którego i w tym Poezyi rodzaju nikt nie prześcignął. Za jego przykładem poszli: *Ant. Edw. Odyniec*. Balady i Legendy; *Alexander Chodźko*: Powieści i Legendy; *Stefan Witwicki*: Ballady i Romance; *Franc. Morawski* napisał kilka powieści, Legend i śpiewów; *Bohdan Zaleski*; Dumy i Dumki, (z których jednak wiele jest treści czysto-lirycznej); *Alexander Groza*; Legendy i Dumy; *Adam Gorczyński*: Opowieści i Legendy; *J. Ignacy Kraszewski*: (ur. 1812) Anafielas poemat z 3 części złożony: Witoloranda Mindows i Witołdowe boje; *Teofil Lenartowicz*: Bitwa Racławicka.

III. Poezya Dydaktyczno-Epiczna.

Ogólny charakter Poezyi Dydaktyczno-Epicznéj.—Powiedzieliśmy już wyżej, że Poezya Dydaktyczna osobnego rodzaju stanowić nie może, gdyż to właśnie, co ją od innych rodzajów odróżnia, jest żywiołem poezyi wcale obcym; że przeto stósownie do natury obrazów, na których wątku osnowana jest dydaktyka, poezye takowe należą do rodzaju częścią epicznego, częścią lirycznego. Atoli ponieważ przedmiot, do którego obrazów przyczepia Poeta spostrzeżenia swoje i nauki, najczęściej dla niego jest zewnętrznym, aza-

tém opisowym; przeto większa część właściwych poematów dydaktycznych do rodzaju epicznego należy. Jakoż wszelka poezya dydaktyczna, choćby rzeczywiście naukę na celu miała, w rzeczy samej niczém inném nie jest, jak tylko obrazowém opisaniem rzeczy z wszystkiemi jéj przymiotami i własnościami, tak przyrodzonemi, jak temi, które jéj się dostają jako przyczynek pracy i przemyślności człowieka. Owszem, nietylko że każdy poemat dydaktyczny o tyle tylko jest Poezyą, o ile jest piękném rzeczy obrazowaniem, ale nawet być nią przestaje, skoro wyszedłszy z zakresu i przeznaczenia Poezyi, samej tylko służy nauce. Wynika stąd, że każdego poematu dydaktycznego wartość poetyczna stanowi same tylko opisowe obrazowanie, że same nawet pomysły lub spostrzeżenia Poety ku nauce służyć mające nie jako przypadek lub wniosek zewnątrz opisu się czepić, tylko raczéj jako własności i nieoddzielne części rzeczy, w obrazie samym mieścić się winny. To też prawdziwy Poeta nigdy w poemacie dydaktycznym nie poucza, *jak być powinno*, tylko obrazuje rzecz, *jak ona jest*, za równo, czy to w stanie naturalnym, czy téż pod wpływem doświadczenia i pracy człowieka. Dla tego to dział ten Poezyi nazywamy Dydaktyczno-Epicznym, t. j. Poezyą Opisową pod wpływem reflexyi i rozumu. Tu należą: Bajka, Przypowieść i Allegorya; Satyra i Parodya; właściwy Poemat Dydaktyczny czyli Nauczający, i List poetyczny.

1) Bajka, Przypowieść i Allegorya.

Bajką w najpospolitszém rozumieniu nazywamy każde *zmyślone zdarzenie*, które jednak, jeśli za *zdarzenie* uchodzić ma, podobieństwo do prawdy mieścić w sobie musi, t. j. mieć charakter zdarzeń, jakie w życiu zachodzić zwykły. Pospolite to rozumienie najlepiéj także przypada do charakteru Bajki poetycznej i najtrafniéj znaczenie i pole jéj zakreśla. Rozumiemy zatém przez Bajkę poetyczne uobrazowanie jakiegoś zdarzenia, czy to rzeczywiście kiedyś zaszłego, czy też zmyślonego tylko, a to końcem wystawienia prawdy jakiéjś ogólnéj na obrazie tegoż zdarzenia szczegółowego. Opowiada Bajka, że tak a tak się coś stało, chcąc przez to powiedzieć (lubo wyrzec tego nie potrzebuje), że tak się w ogóle dziać zwykło, choć nie powinno. Toż właśnie zdarzenie szczegółowe, o ile obraz opisowy stanowi, jest poezyą i to opisową; a prawda i myśl Poety z obrazu przeglądająca jest żywiołem i celem dydaktycznym.

Ponieważ zdarzenie będące Bajki osnową nie potrzebuje być rzeczywiste, owszem zmyśleniem być może i takowém jest zwykle, gdyż w niéj nie o prawdziwość szczegółową wypadku, tylko o ogólną idzie prawdę, którą szczegół reprezentuje; przeto zdarzenie, w które Poeta myśl swoję wciela, nietylko z życia ludzkiego, ale i ze świata zwierzęcego, a nawet nieżywotnego, wzięte być może za przedmiot poetycznego obrazu Bajki. Charaktery i stosunki zwierząt do Bajki użytych muszą odpowiadać charakterom i stosunkom ludzkim, a odpowiedniość ta polega na podobieństwie instynktowych czynności zwierząt, z postępkami ludzi działających według wskazówki rozumu i woli. Przemoc lwa, drapieżność tygrysa, chytrość lisa, żarłoczna chciwość wilka, bojaźliwość zająca, są to wszystko własności zwierzętom tym przyrodzone, które człowiek rozumny jako złe skłonności poskramiać może i powinien. To téż cała trafność Bajki ze sfery zwierząt wziętéj zasadza się na dostrzeżeniu i zręczném wystawieniu tego podobieństwa między instynktem zwierząt a skłonnościami i postępkami ludzi, jak znów w rzeczach nieżyjących, na wynalezieniu tych własności, które z charakterem człowieka jakieś mają podobieństwo. Lubo zaś wprowadzenie zwierząt nie jest koniecznym warunkiem, to jednak Poeci najczęściéj z tego świata obrazy swoje zdejmują, raz dla tego, że przystósowanie postępków człowieka do instynktowych skłonności zwierzęcia czyni wrażenie komiczno-satyryczne, i tym sposobem pospolitość zdarzenia krasi i podnosi, drugi raz dla tego, że charaktery zwierząt jako przyrodzone, zatém niezmienne i powszechnie znane, tém krócéj a wyraźniéj myśl Bajki oddają. Nie rozwodzi się więc już Poeta w kreśleniu charakterów i pobudza do czynności swych bohaterów, a tym sposobem cały efekt obrazu zdolny jest włożyć w chwilę stanowczą. Na krótkiém a trafném wystawieniu téj głównej chwili, mieszczącéj w sobie cały pomysł lub naukę moralną, tudzież na jasności analogii między obrazem zmyślonym a istotą Bajki, polega cała téjże wartość i piękność. Taż istota tak jasno z osnowy powiastki przebijać powinna, że czytelnik bez objaśnienia Poety myśl Bajki zgaduje. Owszem, przydane objaśnienie psuje efekt i poetyczną Bajki wartość, a potrzeba takowego jasnym jest dowodem, że nie dobrą jest Bajka. Jak rzecz Bajki w ogóle prosta jest, humorystyczna a nawet komiczna, tak układ jéj jako téż wyraz formy naturalny jest, naiwny i lekki. Wiersz niepewny i niestały zmienia się według właściwości sceny, uczucia i za-

miaru Poety, tak iż w ogóle całość Bajki zdaje się być raczéj igraszką dowcipu w pomyśle i słowach, aniżeli płodem artystycznego rozmysłu Poety. To też niejedne dobrą Bajkę zdolny jest napisać i ten, kto do zaszczytu Poety prawa sobie nie rości. Skład wierszowy, acz niekonieczny, poetyczną jednak Bajki wartość wiele podnosi.

Przypowieść tak bliska jest Bajce co do osnowy i znaczenia że jakkolwiek jest między niemi pewna różnica, trudno jednak obiedwie ściśle ograniczyć, a Poeci sami jednę i drugą pod wspólną rubryką Bajek i Przypowieści umieszczać zwykli. Celem przypowieści, podobnie jak Bajki, jest wyobrażenie prawdy ogólnéj w szczególném jakiemś zdarzeniu: ale kiedy w Bajce szczególne to zdarzenie całkowity poetyczny obraz stanowi, w którym prawdę jakby w zwierciedle widzieć można, to w Przypowieści taż prawda i nauka moralna tak dalece nad obrazem przemaga, że zdarzenie jak gdyby tylko do porównania i stwierdzenia maxymy ogólnéj służyć się zdaje, i dla tego często samo przez się tak pięknego obrazu nie przedstawia. Bajka, choćby nawet nie dobrze zrozumiana, zajmuje i bawi dowcipnie wynalezioną sytuacyą; natomiast Przypowieści osnowa zwykle dla moralnego tylko celu ma swoje wartość. Idzie zatém, najprzód, że w Przypowieści tylko ludzie, a nie zwierzęta są wyobrazicielami postępków ludzkich, a myśl będąca jéj duszą najczęściéj do rzędu prawd wyższych należy, powtóre, że Przypowieść w ogóle mniéj ma w sobie żywiołu poetycznego, aniżeli Bajka.

Allegorya jest w ogóle *omówienie*, t. j. wystawienie rzeczy pod inną postacią, pod obrazem jéj podobnym. Ten więc znów obraz, jako całość określona, stanowi poetyczny żywioł Allegoryi, któréj celem jest pod zasłoną takiego zmysłowego obrazu wystawić rzecz inną, ogólną, umysłową. Jeśli Bajka w zmyśloném zdarzeniu wyobraża, że tak a tak *bywa*, choć być nie powinno, to Allegorya wystawia pod obrazem to, *co jest*. Azatém idea jakaś i prawda powszechna kryje się pod zmysłowością obrazu, którego wartość poetyczna polega na kształtnym składzie i zajmującéj całości, a wartość allegoryczna na naturalném i zupełném podobieństwie między całością obrazu a rzeczą, którą wystawia.

Trojaką jest Allegorya: *Metaforyczna* czyli *Przenośna*, w któréj zmysłowy jakiś obraz zastępuje i przedstawia rzecz innéj wyższéj sfery, jak np. obraz okrętu, rzeczpospolitą czyli państwo; *Antropomorficzna*, w któréj Poeta świat ludzki pod obrazem świata zwierzęcego wystawia, jak to sobie podobno Krasicki w Myszeidzie zamierzył; wreszcie *Allegorya Uosobiająca* wyprowadza na scenę rzeczy umysłowe w postaciach zmysłowych, jako istoty żyjące.

2) Satyra i parodya.

Istota Satyry. — Satyra jest poetyczny obraz świata i życia ludzkiego z strony jego śmiesznéj lub zdrożnéj i przewrotnéj. O ile Poezya w ogóle obrazując świat zewnętrzny, przedmiotowy, podnosi go do piękności idealnéj, o tyle Satyrę za idealizowanie śmieszności i przewrotności uważaćby można; nie w tém atoli rozumieniu, iżby idealna piękność obrazu Satyrycznego była zarazem idealnym wzorem moralności, tylko raczéj pod względem li poetycznym, w którym idealizowanie jest piękne obrazowanie istoty rzeczy. Jest więc owszem Satyryk w przeczności ze złém, które obrazuje: Satyra jest wyszydzeniem i chłostą zdrożności, ale do celu tego zdąża Poeta drogą Sztuce i Poezyi właściwą, jaką w Satyrze jest żywe wyobrażenie i idealno-piękne scharakteryzowanie zepsutych świata żywiołów i ludzi. Jeśli przeto Satyra, jako utwór artystyczno-piękny, wewnętrzne sprawia zadowolnienie i podziwienie Sztuce należne; to rzecz jéj sama, im w żywszych i trafniejszych oddana jest kolorach, tym większą wznieca wzgardę i odrazę. Ideał poetycznéj piękności Satyry leży w celu jéj artystycznym, a ideał moralny właśnie przeciwnym jest temu, co leży na powierzchni obrazu. Stąd rozdwojenie i sprzeczność, jak między Poetą a światem, który wyśmiewa i gromi, tak między artystyczną pięknością a brzydotą świata będącego Satyry przedmiotem, między pozornym a rzeczywistym Satyryka celem. Żywioł ów obrazowy czyni Satyrę Poezyą i to Poezyą opisową, cel zaś moralny nadaje jéj cechę dydaktyczną.

Zakres Satyry. — Wypada z saméj już natury i zadania Poezyi, że Satyra nie może brać za przedmiot swoich obrazów czyli za cel szyderstwa słabości i przywar powszechnych, którym ułomność człowieka zawsze i wszędzie podlega, tylko raczéj kreśląc, stósownie do zadania Poezyi obrazy pewne, odrębne, z jakiéjś chwili życia wiernie zdjęte, to tylko do obrazów wciąga i używa, co do pewnego miejsca i czasu, do pewnéj klasy ludzi i ich postępowania należy. Jak Epik obraz wypadku w pewnych wciela bohaterów reprezentujących czas, naród i jego usposobienie; tak Satyryk obrazy śmieszności lub przewrotności składa i indywidualizuje w charakterach i sytuacyach. W miarę więc tego, ma-

jąc Satyra na celu malownicze wystawienie i wyszydzenie złego, w rozumieniu poetycznym jest obrazem tegoż złego w pewnéj życia chwili, w pewném miejscu i czasie i w pewnych charakterach; bo inaczéj obrazem poetycznym byćby nie mogła. Jakoż tak dalece Satyra do czasu i miejsca jest przywiązana, że w pewnych tylko objawia się chwilach życia moralnego i społecznego, a to z jednéj strony w chwilach powszechnego zepsucia, demoralizacyi lub śmiesznéj potworności zwyczajów i obyczajów, z drugiéj strony w czasach odrętwienia społecznego lub krytycznych epokach przeobrażenia stosunków życia publicznego, gdzie się rwie łańcuch zepsutego porządku rzeczy, a Poeta inne, własne ideały nosi w piersi swojéj i wyobraźni. Ten kontrast między nim a światem, między ideałem przewrotnych ludzi a ideałem jego własnym, to przedrzeźnianie idei człowieczeństwa i ludzkości, które widzi w przewrotnych wyobrażeniach i nikczemnych dążnościach świata społecznego, to wszystko napawa serce jego wzgardą lub goryczą, pióro ostrzy na pocisk, a obrazy nawodzi czarnemi kolorami szyderstwa, ironii lub potępienia.

Jakkolwiek Poeta obrazy satyryczne w pewnych kreśli charakterach, nie idzie wszakże zatém, iżby Satyra pewne osobistości brać miała za cel igraszki i chłosty, bo idealnéj piękności Poezyi kałem paszkwilu plamić się nie godzi. Dostrzega wprawdzie Poeta wad i głupstw, które malować i karcić myśli, w osobach pewnych, będących niejako głównymi zdrożności wyobrazicielami, i z fizyonomii ich zdejmuje rysy do swego obrazu, ale celem jego jest i być powinien tenże obraz, a nie osoba, wady i śmieszności powszechne, a nie słabości i postępki osoby. Prawdziwość więc i wierność charakterów satyrycznych jest idealna, a nie rzeczywista. Trafne w tym względzie prawidła podali dwaj najsławniejsi z naszych Satyryków: Naruszewicz i Krasicki. Pierwszy powiada:

„Satyra w szczególności nikomu nie łaje,
„Czołem bije osobom, gani obyczaje.“

Krasicki w innym nieco zwrocie tę samą myśl tak skreślił:

„Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka,
„Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka.“

Toż znów przeciwnie występuje Satyryk z zakresu Poezyi na pole moralisty, jeśli zamiast obrazować pewne chwile i charaktery, i w takowych wady, śmieszności i występki na widok publiczny, na pośmiewisko i wzgardę wystawić, rozwodzi się w ogólnych spostrzeżeniach, ckliwych naukach i przestrogach. Cel moralny z całości obrazu, a mianowicie z bijącego kontrastu między ideą człowieczeństwa i ludzkości a rysami skreślonych charakterów przebijać, odradza od złego z widoku żywych a strasznych kolorów tegoż złego rodzić się powinna, ale nie w wyraźnych objawiać się maxymach i deklamacyach. W przeciwnym razie Satyryk ani poetycznego, ani moralnego celu dopiąć nie zdoła.

Barwa żartobliwa lub poważna. — W miarę usposobienia świata z jednéj, a Poety z drugiéj strony, charakter Satyry może być już to *żartobliwy* juz to *poważny*. Kiedy świat będący przedmiotem Satyry więcéj w sobie ma śmieszności i dziwacznéj przewrotności, aniżeli zgubnéj złości i wkorzenionego zepsucia, a do tego Poeta, zbrojny w dowcip i umysł swobodny, spokojnym jest obrazu swego malarzem; Satyra jego, nawiedzona barwą humorystyki, rozśmiesza i bawi. Ale chwile rozprzężenia węzłów społecznych, chwile swywoli publicznéj i rozpasania wyższéj, socyalnéj moralności, jeśli trafią na poetę szlachetnego a drażliwego uczucia, nastrajają lutnię jego z tonu poważniejszego. Poeta, który wśród gruzów walącéj się budowy moralnéj i społecznéj i sam się wciąż śmieje i innych do śmiechu pobudza, daje raczéj lekkiego dowcipu, niż szlachetnych uczuć świadectwo. Od téj różnicy w charakterze Satyry zależy także różnica w tonie i toku formy zewnętrznéj. Wiersz jéj zwykle jest dłuższy, epiczny.

Parodya i Trawestycya. — Do Satyry należą jeszcze *Parodya* i *Trawestycya (Poemata Przedrzeźniające).* Parodya wystawia poważny jaki poemat na śmieszność przez to, że zatrzymując formę jego, w miejsce rzeczy z formą tą zgodnéj podsuwa mu osnowę pospolitą, i tym kontrastem między szlachetnością formy z pospolitością rzeczy komiczne i śmieszne sprawia wrażenie. Trawestycya *(Przestrojenie)* tém się od Parodyi różni, że wykrzywiając rzecz, ton i styl znanego, zwykle także poważnego poematu, przedrzeźnia poważnym jego częściom przez komiczne ich przerobienie, a to co jest lekkiém i żartobliwém, górnością i powagą nastrzępia. Jedno i drugie jest raczéj rzeczą dowcipu, aniżeli płodem wyobraźni poetycznéj, raczéj krytyką aniżeli Poezyą. Dla tego też pole do popisywania się z takowém szyderstwem otwierają właściwie tylko poezye przeznaczeniu swemu nie odpowiadające, takie mianowicie, w których rzecz mija się z stósowną formą, a jedna i druga pełna pretensyi niesłusznéj. Nie trafi do zamierzonego celu przedrzeźnianie

dzieł prawdziwie dobrych i wielkich; jeśli przestrojona Aeneida przez Blumauera poklaski zyskała, to mniejsze zapewne powodzenie miałaby podobna Trawestycya Homera.

3) Poemat Dydaktyczny i List Poetyczny.

Poemat Dydaktyczny. — Właściwy Poemat Dydaktyczny składem i rozmiarem swoim w takim jest stosunku do pomniejszych gatunków nauczających, w jakim jest Epopeja do innych poezyi epicznych: jest to największa i najkształtniejsza kompozycya dydaktyczno-opisowa. Poeta bierze jakiś przedmiot już to ze swery wyższéj moralnéj, jakim jest duch, bóstwo, nieśmiertelność, już to z świata praktycznego lub umysłowego doświadczenia człowieka: ziemiaństwo, umiejętność, sztuka, i przedmiot takowy według właściwéj jego istoty, lub charakteru, który mu myśl i praca ludzka nadała, ze wszystkiemi określa własnościami i przymiotami, napuszczając jéj obrazy kolorami własnego uczucia, reflexyi i doświadczenia. Opisowa więc obrazowość rzeczy jest żywiołem i znamieniem jéj poetyczném, a postrzeżenia i rozumowania Poety są tylko przyczynkiem podobnym do tego, który Balladzie i Dumie nadaje charakter liryczny. Porządne i teoryczne systematyzowanie rzeczy obcém jest Poezyi, azatém i Poematowi dydaktycznemu, który traktatem naukowym nigdy być nie może. Jeżeli więc już o teoryi w ogóle powiedzieć można, że zadaniem jéj nie jest narzucanie prawideł, tylko wydobywanie ich z rzeczy; to tém bardziéj Poezya daleką jest od wskazywania, co i jak być powinno, tylko daje obraz tego, czém i jaką rzecz jest, bądź z natury, bądź pod wpływem sztuki i doświadczenia. Ponieważ więc poetyczne obrazowanie przedmiotu i wszystkich jego własności Poezyi dydaktycznéj jest celem i zadaniem, a postrzeżenia i nauki Poety z saméj osnowy rzeczy przemawiać powinny, przeto takie tylko przedmioty do celów dydaktyczno-opisowych zastósować można, które noszą w sobie żywioły i usposobienie do poetycznego obrazu, które Poeta promieniami uczucia swego rozjaśnić, w wyobraźni swojéj do piękności ideału podnieść może. Takim przedmiotem jest np. ziemiaństwo, dostarczające tyle i tak rozmaitych obrazów sielskich; natomiast próżnoby się kusił Poeta o zidealizowanie rzeczy li rozumowych, które z czuciem i wyobraźnią nic wspólnego nie mają. Któżby ścisły wywód prawd matematycznych przybrać mógł w obrazy dla imaginacyi! W razie zatém, jeśli sam przedmiot mniéj w sobie mieści żywiołów

poetycznych, winien Poeta wielkie w to położyć staranie, aby ustępami, obrazami powinowatemi, a mianowicie pośrednictwem człowieka urozmaicił rzeczy jednostajność, a piękną, bogatą i poetyczną formą przenosil czytelnika z świata prozy do świata ideału. Wiersz dydaktyczny jest takoż rozmiaru dłuższego, zwykle trzynastozgłoskowy.

List Poetyczny. — List Poetyczny jest wiersz treści satyrycznéj lub wprost dydaktycznéj, zwrócony do pewnéj osoby. Dwojaki więc ma charakter: jako Satyrze lub Poezyi dydaktycznéj przypadają mu wszystkie własności jednéj i drugiéj; jako List ma jeszcze osobny charakter listowy, zasadzający się na stosunku Poety do osoby, do któréj tenże list swój adresuje. Stosunek ten nie na saméj polega formie, owszem w całym składzie i tonie Listu Poetycznego przezierać musi bliższa styczność między obydwiema osobami, tudzież uczucie, które Poetę do listowéj formy spowodowały. Stąd ton i styl Listu lekki, uczuciowy i naiwny. Wszakże z drugiéj strony, ponieważ List poetyczną, zatém powszechną ma wartość, przeto osoba, do któréj List zwrócony, jest tylko niejako reprezentantem publiczności, tak iż to, co się osoby pojedyńczéj tyczyć zdaje, do całego narodu należy. Szczególny więc stosunek Poety do osoby pewnéj o tyle się ogranicza, że takowy nic prywatnego i wyłącznego mieścić w sobie nie może. Osoba pewna staje się dla Poety osobą idealną. Krasicki przeplata zwykle swoje Listy wierszem i prozą.

Przegląd literatury Dydaktyczno-Epicznéj. Poezya Dydaktyczna, mianowicie Bajka i Satyra, szczyci się u nas wielu znakomitemi wzorami. Pierwszym polskim dydaktykiem był zapewne *Mikołaj Rej z Nagłowic* (ur. 1515, † 1568). *Jan Kochanowski* doświadczał już sił swoich w właściwéj Satyrze; *Tomasz Bielawski* wydał 1595 poemat: Myśliwiec; *Józef Moczydłowski*: Przypowieści Salomona; *Piotr Zbylitowski* Satyryk; *Sebastyan Klonowicz* Satyryk i Dydaktyk; *Krysztof Opaliński* († 1655): Satyry albo przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polsce: *Krysztof Niemierzyc*: Bajki Ezopowe (r. 1619.). Najwyżéj stanął i za wzór służyć może w Bajce, Satyrze i Listach *Ignacy Krasicki*, który właściwie tylko jest Satyrykiem; *Adam Naruszewicz*: Satyry i Bajki; *Kajetan Węgierski* (ur. 1755 † 1787) pisał Bajki i wiersze treści Satyrycznéj: *Franc. Dyonizy Kniaźnin* (ur. 1750, † 1807) pisał także Bajki; *Julian Ursyn Niemcewicz*: Bajki; *Franciszek Dmochowski*: O Rymotworstwie. *Kajetan Koźmian* napisał poemat dydaktyczny: Ziemiaństwo; *Franc. Morawski*: List satyryczno-dydaktyczny: Do Klasyków i Romantyków i cały szereg Bajek; *Adam Mickiewicz*: Warcaby, poemat dydaktyczny, List do Lelewela i wiele Bajek; *Stanisław Jachowicz*: Bajki i Przepowiastki: *Antoni Gorecki*: Bajki; *J. I. Kraszewski*: Bajki; *Konstanty Gaszyński*: Satyry.

b. Poezya liryczna czyli uczuciowa.

Istota i zadanie Poezyi lirycznéj. — Poezya liryczna tak nazwana od *Liry*[1]) nieodstępnéj towarzyski pieśni greckich, ma początek i cel swój w Uczuciu, podobnie jak Muzyka, z którą i pochodzeniem i nazwiskiem greckiem blisko jest spokrewniona. Stąd to na samym wstępie, wywodząc naturalny i konieczny podział Poezyi, porównaliśmy Epika z malarzem, a Liryka z Muzykiem; tamten zdejmuje obrazy z fizyonomii świata zewnętrznego, ten zwraca się wyobraźnią w wewnętrzny świat serca i duszy, z ich głębi wydobywa zapas uczuć i myśli. A jak znów harmonia tonów muzycznych, wypłynąwszy z źródła swego, z wezbranego serca artysty, ma ujście swoje w sercu słuchacza; tak Liryka w ogóle jest utworem czucia dla czucia. To téż i u nas, choć rodzone te dwie siostry, Poezya i Muzyka, w dwie różne rozbiegły się strony, spotykają się jeszcze często w *Pieśniach* tak światowych jak religijnych. Atoli Liryka, będąc Poezyą, któréj materyałem jest język zapełniony jasnemi wyobrażeniami, ma wyższe zadanie i osobny, doskonalszy sposób idealizowania uczuć i pomysłów: nie jest ona nieograniczonym wylewem uczuć, acz pełnych, to wszelako nieokreślonych, jak Muzyka, ale raczéj, zgodnie z naturą i zadaniem Poezyi w ogóle, jest uczuć i myśli obrazowaniem w zmysłowéj a wymownéj formie języka. Liryk kreśli własne uczucia i pomysły, ale jedne i drugie oddaje w zmysłowych i pewnych obrazach. Uczucia więc choćby najdelikatniejsze, pomysły choćby najszczytniejsze, prawdy najogólniejsze zamienia Poeta w zmysłowe a piękne postacie, to jest: zamyka je w pewnych zjawiskach i sytuacyach, nadając im przez to byt rzeczywisty, kształt zmysłowy i niejako dotykalny. Postacie takowe stwarza Wyobraźnia, a Czucie udziela im ciepła i wrażenia, które i nasze serce skłonić mają i zagrzać do uczuć Poety. Sam przeto efekt nie jest ostatecznym Liryka celem. Prawda, że im mocniejsze jest czucie Poety, wcielone z całą energią w obraz liryczny, tém skuteczniejsze jego wrażenie na umysły i serca nasze; ale wyższym nad to wrażenie jest cel Poezyi saméj, jakim jest utworzenie pięknego obrazu z uczuć i myśli dla wyobraźni. Pieśń liryczna jako obraz poetyczny, zadowalniając serce nasze, zaprząta i zadowalnia umysł i imaginacyą. Co w Liryce li samém jest uczuciem, to się należy Poecie jako człowiekowi: o ile z uczucia i pomysłu swego obraz piękny dla imaginacyi tworzy, o tyle jest Artystą, Poetą-Lirykiem. Wrażenie, które Poeta tchnie w pieśń swoję, przemawia do wszystkich; z artystycznego obrazu, w który Poeta uczucie i pomysł swój przybiera, ci tylko czują zadowolnienie, co wartość Sztuki znają i ocenić umieją.

*) Według téj saméj analogii nazywają też niektórzy ten rodzaj Poezyi Gęślową od Gęśli, instrumentu podobnego do Liry.

Liryka jest dojrzalszym i późniejszym tworem ducha ludzkiego, aniżeli Epika. — Zadaniem więc Poezyi Lirycznéj jest stwarzanie pięknych, idealnych obrazów z uczuć i myśli Poety, jest idealizowanie wewnętrznego świata sztukmistrza. Nie jest to zadanie tak łatwe iżbyśmy przeto Lirykę za bezpośredni wpływ i utwór przyrodzonego uczucia uważać, a tém samém w porządku historycznym i teorytycznym przed Poezyą Epiczną pierwszeństwo jéj nadać mieli. Albowiem bezpośredni pojaw uczucia, choćby nawet w piękne i mocne wyrazy przybrany, nie jest jeszcze Poezyą; zanim człowiek do refleksyi dojdzie, zanim się w jestestwie swojém poczuje, świat i życie pojmować zacznie, zanim pieśń jego napełni się miłością lub nienawiścią, czcią lub pogardą, nadzieją lub rozpaczą, radością lub boleścią, pierwéj się w świecie zewnętrznym i jego stosunkach rozpatrzyć, pierwéj się z celem ludzkości, narodu i swoim własnym obznajmić, pierwéj serce i duszę swoję na wielokrotne i rozmaite próby wystawić musi. Jakoż uczy historya i doświadczenie, że naród tym jest epiczniejszy, im bliższy jest łona matki natury; przeciwnie, im więcéj naród doświadczał, im rozmaitsze przebył życia koleje, im głębiéj i umiejętniéj pojął tajemnice Boga i świata, przeznaczenie człowieka i ludzkości, im wyższe cele i interesa wiążą go ze sprawą tejże ludzkości, tym jest skłonniejszy i sposobniejszy do Liryki. Stąd też narody pierwiastkowe zaczynały zawód swój artystyczny od Powieści, Podań i Epopei. bo to był płód imaginacyi naturalny, owoc tak im dany bezpośrednio, jak owoc ogrodu rajskiego, którego rodzice nasi z niewinnym używali spokojem; u nas przeciwnie cośmy stracili niewinność i swobodę rajską, którym świat jest raczéj padołem płaczu, cierpienie codziennym duszy pokarmem i rozkoszą, przeszłość miłością, przyszłość nadzieją, u nas Liryka swojskim i naturalnym jest płodem: daleko lepiéj do serc naszych przystaje, aniżeli Epika, do któréj dopiero z artystycznym rozmysłem, rzekłbym, z udaną spokojnością wznieść się potrafimy. To też widzieliśmy już wyżéj, że i Poezya nasza Epiczna z objęć Liryki wydobyć się nie może. Wiele mamy Ballad, Dum i Powieści, ale jednę dopiero Epopeę.

Jakim powinien być Liryk? — Czém jest naród w ogólnym składzie dziejów i ludzkości na wielką skalę, tém jest Poeta w pojedyńczym narodzie na rozmiar mniejszy. Sama siła przyrodzonego uczucia nie wyda jeszcze wielkiego Liryka; bo tkliwość, rzewność, tęsknota, miłość, zapał nawet i uniesienie — wszystko to przystroi się w dźwięczną słów harmonią, ale prawdziwéj Poezyi stworzyć jeszcze nie zdoła. Ta wymaga wartości i warunków istocie jéj właściwych, a zatém pełności rzeczywistych uczuć i myśli przetworzonych z artystycznym rozmysłem w obrazy idealne. A skądże Liryk próżnią piersi i umysłu rzeczywistemi uczuciami i myślami zapełnić ma, jeśli nie z nieprzebranego skarbca życia i świata zewnetrznego? Powiedziało się już wyżej, że Samotnik i Melancholik nigdy wielkim nie będzie Poetą: toż i Lirykiem prawdziwym nie będzie. Serce Poety jest ogniskiem zbierającém w siebie promienie; ale słońcem rzucającém te promienie w ognisko serca jest świat toczący się około niego. Zasłoń się przeciw tym promieniom, a i ognisko serca twego straci swą siłę palną; moc uczucia przyrodzonego jest zdolnością i siłą rozgrzewającą, ale zapas uczuć i myśli bierze Poeta z życia i świata otaczającego. Jak więc Epikowi, tak i Lirykowi potrzebne jest długie i rozmaite doświadczenie, lubo doświadczenie innego rodzaju. Epik długo się przyglądać musi światowi, dziejom, charakterom, nim się z fizyonomią wszystkiego tak dokładnie obeznа, iż wierną kopią świata zewnętrznego zdjąć i zidealizować potrafi; Lirykowi nieodzowny jest żywy i czynny udział w wewnętrzném życiu społeczném, towarzyskiem i religijném, konieczna jest długa i mocna próba serca i umysłu w zawodzie tak publicznym jak prywatnym. Jakoż niemasz pewnie wielkiego Liryka, któryby kielicha życia aż do dna samego nie spełnił, któryby po długich, ciężkich próbach w przyjaźni i miłości, w złem i dobrem, w zamęcie wyobrażeń i dążeń politycznych, pojęć o bóstwie i ludzkości, nie zabrzmiał w końcu pieśnią tryumfu i zaspokojenia, lub rozdwojenia i rozpaczy. Ostateczny ten rezultat wewnętrznych doświadczeń Poety zależy już to od charakteru i mocy jego duszy, już to od stopnia moralnego, naukowego i artystycznego wykształcenia tak serca i umysłu. Im wyższe jest to wykształcenie, im bystrzejsżém i jaśniejszém okiem wpatruje się Liryk w stosunki życia społecznego i prywatnego, im lepiej rozumie przeznaczenie swoje i zadanie sztuki, tym dojrzalszy jest owoc prac i zapałów lirycznych. Jeśli Poeta do pewnego rezultatu, do jedności z sobą nie dojdzie, lepiéj natenczas, że Pieśni swych nie dośpiewa, jak autor *Dziadów* i *Tukaja*, aniżeli, że się minie z prawdą i wysokiém Artysty zadaniem.

Żywioł epiczny w Liryce. – Różnica między sztuką epiczną a liryczną. — Jakkolwiek więc ideałem Poety Lirycznego jest wewnetrzny świat uczuć i jego myśli, nie idzie wszelako za tém, iżby świat wewnętrzny jemu i poezyi jego obcym być miał; owszem, tak dalece Liryk żywotnym duchem otaczającego go świata przejąć się musi, że serce jego i wyobraźnia są jak gdyby przybytki uczuć i myśli czasowych, uczucie jego własne jest jak gdyby ogniem, w którym się czyszczą surowe kruszce wydobyte z kopalni świata przedmiotowego. To też uczucia i myśli Poety-Liryka są niejako najwyższą potęgą uczuć i myśli w czasie obiegających, i tyle tylko mają rzeczywistości, prawdy i trwałości, o ile są zgodne z przekonaniami narodu. Tylko sposób pojmowania i kombinowania należy się wyobraźni Poety, a sposób obrazowania świadczy o artystycznéj jego zdolności. Że zaś uczucia i myśli obiegające jak krew żyły ciała narodowego w pewnych chwilach jego życia objawiają się także zewuętrznie w pewnych zjawiskach, przeto i Poeta Liryczny uczucia swoje i pomysły na wątku zjawisk i wypadków świata zewnętrznego osnować może. Azatém i opisy nie są Liryce bynajmniéj żywiołem obcym; tylko sposób obrazowania świata zewnetrznego i cel opisów lirycznych całkiem różny jest od sposobu i celu epicznego. Epik, choćby nawet charakteru lirycznego, obrazuje świat rzeczywisty, jak się tenże wyobraźni jego bezpośrednio objawia; przeto też malownicze uobrazowanie jest dlań celem ostatecznym. Liryk natomiast, choćby nawet w granice opisu wkraczał, o tyle tylko świata zewnętrznego dotyka, o ile w zjawiskach i wypadkach jego myśli dostrzega i promienie uczucia w nich się odbijają, tak iż celem jego nie jest szczegółowe i dokładne rzeczy wyobrażenie, tylko raczéj wrażenie, które nań sprawiły. To też pod piórem Epika rodzi się rzecz dopiero, rośnie i rozwija się w następstwie czasu i w obec wyobraźni naszéj; dla Liryka zaś jest fakt już prawie gotowy, i dla tego chwile jego i wypadki, prawdziwe nawet zdarzenia, nie idą w kolejnym porządku po sobie, tylko się szykują obok siebie, według skazówki uczucia i powinowactwa myśli, które w wyobraźni Poety do jednéj przypadają całości. Jeśli Epik, tworząc postacie według wzorów świata otaczającego, życie w nie tchnąć musi: to Liryk, wydobywając z jednéj strony wewnętrzną rzeczy istotę i duszę niejako zjawisk światowych, z drugiéj

strony idealizując własny świat uczuć i myśli, upostacia uczucia i idee w zjawiskach rzeczywistych i obrazach zmysłowych. Co tam jest celem, to tu jest środkiem.

Treść i zakres Poezyi Lirycznéj. — Ponieważ przecież Poezya Liryczna wyobraża nam świat i życie według osobistego usposobienia Poety, zdawać by się przeto mogło, że Liryka żadnéj nie ma wartości przedmiotowéj i trwałej, że owszem przemijająca jest, jak życie i wrażenia Poety. Jakoż zaprzeczyć nie można, że znaczna część poezyi lirycznych, będąc tylko odblaskiem chwilowych wrażeń Poety, gaśnie wraz z uczuciem, które im światła dostarczało. Atoli i Liryka ma swoją rzeczywistą wartość i trwałość, a te polegają na treściwości i istotnéj prawdziwości uczuć i myśli. Pochlebstwa dworaków, ckliwe i powszednie miłostki serc próżnych i niezdolnych wyższego uniesienia, sielskie lamentacye ludzi uciekających od czynności spółecznych, marzenia zapaleńców, co się nie poznali na swojem i człowieka przeznaczeniu, takie i tym podobne pieśni, jeśli artystyczna forma wartości im nie doda, umierają wraz z autorem; ale Liryka wyższa, pełna uczuć i myśli istotnych, mieszcząca w sobie cały zapas ducha czasowego, jest nieśmiertelna jak wielkie chwile w życiu ludzkości. Owoż pomimo przemagającą osobistość w poezyach lirycznych tym pewniejszą ma Liryk wartość współczesną i przyszłą, im więcéj w sobie reprezentuje żywiołów świata i życia. Toć nawet niezawsze i niekoniecznie występuje na wierzch osobistość Poety lirycznego; często przenosi on się tylko w położenie, uczucia i myśli osób innych, ich sercem czuje, ich przemawia słowami. W takim razie jest też Liryk poniekąd Epikiem: i stąd to mamy osobny dział Liryki, który Epiczno-Lirycznym nazywamy.

Wewnętrzny układ i zewnętrzna forma Liryki. — Tak wewnętrzny układ jako też zewnętrzna forma Poezyi Lirycznéj zgadzać się muszą z jéj charakterem i celem. Ponieważ Liryk nie opowiada ze spokojnością właściwą Epikowi, tylko raczéj ulega przemocy uczucia lub właśnie siłę i wrażenia tegoż uczucia obrazuje; przeto myśli jego nie trzymają się ścisłego wątku i logicznéj wynikłości, tylko się szykują według osobnego porządku, w jakim je czucie i natchnienie z duszy Poety wysnowa. Wszakże nie wypada stąd wcale, iżby w następstwie myśli lirycznych żadnego nie było ładu; owszem, jest w nich ład, ale, rzekłbym, ład serca i natchnienia. Pozorny nieład znajduje swą jedność w głównéj idei,

a uczucie i myśl czytelnika odbywać musi tę samą wewnętrzną pracę w wiązaniu rozproszonych cząstek pieśni, jaką odbywa Poeta w ich rozwikłaniu. Lubo zaś siła uczucia w Liryce przemaga nad rozmysłem rozumowym, i myśli innym snują się porządkiem zależnym raczéj od pewnego stowarzyszenia w uczuciu, aniżeli od widoméj zwięzłości logicznéj, to wszelako w pozornym nieładzie widać jakby ukrytą sprężynę rozmysłu artystycznego, która wszystkie kółka tak złożonéj machiny w porządny ruch wprawia i do jednego kieruje celu. Co się zaś tyczy formy zewnętrznéj, ta wszystkich używa zasobów i kombinacyi, któreby uczucia i zamiary Poety na jaw wydobyć i wrażeniem swojém na zmysły dusze nasze do tych samych uczuć nastroić zdołały. Kombinacye te bardzo różne są i niestałe; a mając toż samo źródło co uczucia i myśli, wytryskują z niemi w téj saméj niejako chwili i tym samym płyną potokiem aż do ostatniego ujścia. W ogóle tyle tylko powiedzieć można, że jak spokojność epiczna wymaga wiersza dłuższego i miary jednostajnéj, tak rozmaicie miarkowana siła uczucia i nader różny cel wrażeń lirycznych szuka odpowiednich kształtów w różnych kombinacyach wierszy, miar i wrotek. Im spokojniéj płyną uczucia Poety, tym stalszy jest powrót tych samych wierszy i wrotek: im bardziéj umysł jego ulega nawałowi i potędze tak uczuć jak myśli, tym zmienniejszy i rozmaitszy jest kształt zewnętrzny. Często zdaje się, jakby i w formie żadnego nie było ładu; choć ten sam rozmysł artystyczny, który w zamęcie uczuć jedności i porządku przestrzega, wie o przyczynach pozornéj swywoli w formie, i zamiarów swoich dobrze jest świadomy. Że zaś Liryka tak bliską jest Muzyce i teraz jeszcze często z nią w parze chodzi; więc muzykalność dźwięków charakterystycznych i strojnych do tonów serca i duszy, dobór barwy w głosach, wyrazach i ich następstwie, tudzież w kombinacyi rytmu i brzmień końcowych, jak popiera zewnętrzne cele Liryki i zmysły nasze do stósownych nastraja wrażeń, tak wielkiéj wymaga biegłości i oględności, rzekłbym, muzykalnego słuchu Poety.

Podział Poezyi Lirycznéj. — Podział Poezyi Lirycznéj trudniejszy jest aniżeli Epicznéj i Dramatycznéj; nie przeto iżby w rodzaju tym nie było pewnych różnic i znamion służących za podstawę i normę podziału, ale że obok gatunków rzeczywistych jest wiele takich, które z przypadkowém, najczęściéj cudzoziemskiem nazwiskiem zajmują pewne miejsca w rzędzie płodów lirycznych, i dla prawa obywa-

telskiego, jakie pozyskały, uwzględnienia potrzebują. Takiemi są np. Oda, Elegia, Dytyramb i inne, które wraz z Sonetami, Epigrammatami i t. p. osobnego wymagają miejsca i objaśnienia, chociaż do nowych utworów ni rzeczy zakresem, ni formą, ni nazwiskiem nie przystają. Najogólniejszy i najprawdziwszy zapewne jest podział troisty, który odpowiada warunkom działów Epicznych. Do pierwszego działu należy Poezya Liryczna, w któréj żywioł epiczny ważną jeszcze odgrywa rolę i tworzy niejako wątek, na którym Poeta uczucia i myśli swoje osnowa: Poezya Opisowo-Liryczna; do drugiego należy Liryka czysta: do trzeciego Liryka, w któréj przemaga refleksya: Poezya Dydaktyczno-Liryczna.

Pod te główne działy dadzą się podciągnąć i te gatunki, które nam starożytność Grecka przekazała. Podział więc jest taki:

I. Poezya Opisowo-Liryczna, jako:
1) Pieśni Opisowe.
2) Dumki, Elegie i Treny.
3) Pieśni Epiczno-Liryczne i Sielskie.

II. Liryka Czysta, jako:
1) Liryka niższa z Pieśniami.
2) Liryka wyższa z Hymnem, Odą i Dytyrambem.
3) Pieśni charakteru stałego: Sonet, Tryolet, Rondo, Madrygał.

III. Poezya Dydaktyczno-Liryczna, jako:
1) Pieśni dydaktyczne i moralne.
2) Gnomy czyli myśli.
3) Epigrammaty i Fraszki.

I. *Poezya Opisowo-Liryczna.*

Ogólny charakter Poezyi Opisowo-Liryczněj. — Poezya Opisowo-Liryczna stanowi przejście z Epiki do Liryki, i jest pierwszym niejako wstępem w granice Poezyi Liryczněj. Jeśli Poezyą Liryczno-Epiczną uważać chcemy za kraniec Epiki, który już znacznie przesiąkł obczyzną liryczną; to Poezya Opisowo-Liryczna będzie nam pograniczem Liryki noszącym wyraźne ślady bliskiéj styczności i częstego przestawania z światem Epiki. Poeta Epiczno-Liryczny nie zrywa jeszcze węzła łączącego wyobraźnią jego ze światem zewnętrznym; ale nie patrzy na oblicze jego z dziecinną, że tak rzekę, naiwnością i umysłem swobodnym, tylko się weń okiem serca wpatruje. Epika porównaliśmy już wyżéj a dzieckiem, które z swobodną skrętnością i ciekawem

okiem przygląda się światu i jego zjawiskom, a czego dopatrzy, tego żywy obraz w słowach zakreśla; w tym stosunku Poeta Opisowo-Liryczny jest młodzieńcem, co opuściwszy po raz pierwszy zagrodę rodzicielską i za własnym idąc popędem, nosi jeszcze w piersiach i umyśle żywy obraz świata, który go otaczał, i w rozpamiętywaniu jego wielce sobie lubuje. Widzi on wciąż świat domowy przed sobą, ale już nie okiem zmysłu tylko okiem serca i wyobraźni: oddzielony od tegoż świata przenosi go w własną pierś i wyobraźnią, rozjaśnia obraz jego promieniami uczucia i upiększa idealną barwą imaginacyi. Uczucie więc Poety Epiczno-Lirycznego zatapia się w obrazy świata zewnętrznego, które doń szczególnie przemawiają, rozbudzają je, i umysł do rozważania i rozmyślania nastrajają. Wszakże biorąc przedmioty i zjawiska świata za już gotowe, nie ma Poeta takowy na celu zmysłowego ich wyobrażenia i jasnego opisania, tylko kreśli ich obraz o tyle, o ile rysy jego mają dać świadectwo o tém wrażeniu, którego serce Poety doznało; nie maluje rzeczy dla rzeczy, tylko dla stosunku, który zachodzi między nią a umysłem Poety i człowieka w ogólności; idealizuje przeto te jedynie strony i chwile, do których uczucie najmocniéj się skłania, w których obrazie umysł największe ma zadowolnienie. To też Pieśń Opisowo-Liryczna nie daje nam wykończonego obrazu świata i zjawisk jego, ale raczéj obraz stosunku Poety do przedmiotu, który opiewa, uczucia jego przeniesionego w świat dlań zewnętrzny. Świat ten nie żyje już własném swojém życiem, tylko tchnie duchem i uczuciem Poety: ideału Liryki Epicznéj nie szukamy w obrazie samym, tylko w uczuciu i myśli Liryka, o ile się takowe do świata zewnętrznego przywięzują.

Trzy różne zakresy i kierunki Poezyi Opisowo-Liryczněj. — Tak przedmiot sam, jako też stosunek, w którym się Poeta do niego znajduje i jak go pojmuje, różne być mogą. Albo Poeta uczucie i wyobraźnię swoję zwraca ku światowi otaczającemu, który według wrażeń i pojęć własnych obrazuje, i to jest zawodem *Pieśni Opisowéj;* albo też Liryk ogląda się w świecie zewnętrznym za tém, czego uczucie jego pragnie, czém wyobraźnia jego jest zapełniona, i to jest świat *Dumek, Elegii i Trenów;* albo też wreszcie przenosi się Poeta w charakter i położenie osób innych, uczucia ich rozbudza w piersi własnéj, obcém czuje uczuciem i takowe w pieśń przetwarza; a że Poeta stosunku, charakteru i duszy osoby obcéj pierwéj dostrzega, obraz

jéj pierwéj w wyobraźni swojéj zakreśla i kopiuje, wyobraźnią swoją na jéj pole przenieść się musi, przeto Liryk w takim razie dopełnia także poczęści zadania Poety Epicznego, i stąd Pieśni tego rodzaju nazywamy *Pieśniami Epiczno-Lirycznemi*, do których należą i *Sielanki*, t. j. Pieśni wyśpiewane w duchu charakterów Sielskich.

1) Pieśń Opisowa.

Przedmiotem Pieśni Opisowéj może być cały świat zewnętrzny w najrozleglejszém wyrazu tego znaczeniu, azatém tak rzeczy rozciągające się w przestrzeni miejsca, jak też zjawiska zachodzące w czasie. Tu więc należą opisy miejsc, okolic i całych krajów, pór roku, dni i nocy, zjawisk przyrodzonych, pewnego wieku, stosunku i zatrudnienia człowieka, zdarzeń nawet, w ogóle opisy wszystkiego bądź z natury, bądź z życia i stosunków ludzkich, co tylko nosi w sobie usposobienie do pięknego obrazu, co zdolne jest podnieść uczucie Poety, i myśl jego z istotą swoją w jedne zespolić ideę. Powiedziało się bowiem już wyżéj, że Pieśni lirycznéj w ogóle nie jest zadaniem i celem obrazowanie rzeczy saméj, tylko raczéj uczuć i pomysłów Liryka, tych idei, które Poeta w świecie wykrywa lub w zjawiska jego wciela. Toż i my w Pieśniach Opisowych nie tak z zewnętrzną rzeczy fizyonomią zapoznać się mamy, jak raczéj wniknąć w ducha, który z nich tchnie, i uczuciem naszém spotkać się z wewnętrzną ich istotą. Sama więc osnowa rzeczy nie stanowi o charakterze uprzędzonéj stąd całości poetycznéj: toż samo zjawisko, ten sam fakt, co jest wątkiem Poezyi Epicznéj, Powieści, Ballady, lub Romancy, może być tłem Pieśni Lirycznéj, jeśli Poecie nie idzie o rzeczy osnowę, jedno o myśl, którą z zjawiska lub zdarzenia wydobywa, jeśli mu opis środkiem jest tylko, a nie celem. Idzie za tém, że Liryk nie pobawia zbyt długo przy pojedyńczéj scenie lub chwili swego obrazu, ani się zajmuje szczegółowém jego wykryślaniem, tylko tych stron dotyka, które wydają dźwięk z uczuciem i myślą jego zgodny, z których idea widomie przegląda. Owoż i zakres całości i rozmiar wiersza do téj saméj skali zastósowany być musi; lubo i tu nic pewnego powiedzieć się nie da, gdyż jedne Pieśni mają wiersz krótki w żadne stałe wrotki nie ujęty, drugie mają układ wrotkowy z wierszem już to dłuższym, już to krótszym; w innych jeszcze budowa zewnętrzna bardzo różnego jest charakteru.

2) Dumki, Elegie i Treny.

Wspólne znamiona. — Trzy wymienione gatunki Poezyi Epiczno-Lirycznéj bardzo są bliskie co do treści i charakteru, i zdaje się, że raczéj różnice, których pewnemi granicami określić prawie niepodobna, pochodzą z nazwisk starożytnością lub narodowością uświęconych, aniżeli nazwy z właściwości i różnicy rzeczy. Mianowicie Elegia, wyraz Greckiego, ale co do pierwiastku całkiem niepewnego pochodzenia, tak nieokreślone ma znaczenie, że niektórzy, trzymając się granic, w jakich się pierwiastkowo u Greków z cechą Miary Elegicznéj rozciągała, mianują Poezyą Elegiczną cały ten dział, któryśmy Epiczno-Lirycznym nazwali. Wszakże rozumienie to, chociaż może właściwsze, bynajmniéj do uczucia i pojęcia naszego nie przypada, jak niepodobna jest dzisiejszéj Grecyi te same zakreślać granice, w których sobie starożytną wystawiamy Grecyą. Powszechnie nadajemy dzisiaj Elegii, podobnie jak Dumce i Trenowi, charakter już to smutny, żałośny, już to czuły, rzewny i tęskny; i to też jest znamię wszystkim trzem gatunkom mniéj więcéj wspólne. Minione szczęście, a stąd żałość i pragnienie jego powrotu, rozdział z osobami i przedmiotami sercu miłemi, a stąd żal i upodobanie w ich rozpamiętywaniu, nieukontentowanie z losu własnego i powszechnego rzeczy stanu, a stąd tęskność za ideałem wypieszczonego szczęścia, to jest ogólną treścią i właściwym charakterem tego działu Liryki. Uczucia Poety jawniéj i silniéj występują, widoczniejszym są Pieśni tych celem, aniżeli w Pieśniach Opisowych: atoli, ponieważ uczucie podoba sobie w przedmiotach tęsknoty, żalu i boleści, i samo ran drażnienie i odnawianie przynosi sercu roskosz i ulgę; ponieważ wyobraźnia zajęta usuniętym z przed oczu lub upodobanym obrazem lubi rysy jego odnawiać i w jak najżywszych widzieć go kolorach: przeto opis jest jeszcze ważnym i koniecznym żywiołem w składzie poezyi rzeczonych. Uczucie potrąca co chwila o przedmiot, który jest przyczyną smutnego usposobienia serca, a wyobraźnia stroi go w kolory jak najpiękniejsze, aby blask ich tym mocniéj na czytelników działał, i serce tak Poety jak czytelników do tym rzewniejszego nastrajał rozpamiętywania. I to właśnie jest powodem i usprawiedliwieniem, dla czego poezye takowe działowi Opisowo-Lirycznemu przypisujemy.

Dumka, córka ziemi słowiańskiéj, mianowicie Ukraińskiéj i Ruskiéj, jest wiernym obrazem usposobienia ludu, który ją zamieszkuje. Rozległość i otwartość pól i stepów, w których oko i serce nie ma na czém spocząć, tęskność

wśród nieograniczonéj przestrzeni, to znów cierpienia materyalne i moralne, smutne pamiątki krwawéj przeszłości, widok mogił, świadków bohaterstwa i nieszczęścia przodków, to wszystko usposobiło ten naród do rzewnych i tęsknych rozpamiętywań, nastraja pieśni jego do tonu żałośnego, który po otwartéj krainie długim rozlega się rozgłosem i rzewniejszém powraca echem. Od dumania więc nad minioną przeszłością, smutną koleją losu i przedmiotem niewinnych chęci wywodzą Dumki początek swój i nazwę. Na ten sam wzór przyrodzony, że tak rzekę, składają Lirycy nasi pieśni tegoż nazwiska, których treścią i barwą jest żałość, tęsknota, niewinna miłość, skromna i cierpliwa nadzieja. Wszystkie te uczucia płyną korytem równém i spokojném; nie rozburza ich zbytnia namiętność ani rozpacz gwałtowna. Chociaż z dotkliwą boleścią, lubi jednak Poeta przebywać wyobraźnią wpośród przedmiotów swego żalu i swojéj miłości, i dla tego nie da się namiętności ani rozpaczy oderwać od umysłowego z niemi przestawania. Takowa czułość i rzewność Dumki nietylko że cały wyraz zewnętrzny do podobnych stroi dźwięków, ale nadto, będąc żywym wylewem serca, wydobywa się zwykle zaraz w towarzystwie zgodnéj z swym charakterem melodyi, i dla tego Dumki mają zwykle wiele dźwięku i muzykalności, a skład wrotkowy, do śpiewu sposobny.

Elegia (*Ἐλεγεία*) ma w ogóle ten sam przedmiot i charakter, tylko że jak Dumka jest rodzinnym naszym płodem, Pieśnią zgodną z uczuciami i melodyą głosu i serca, tak Elegia jest płodem przyswojonym, sztucznym. Przy ogólnym więc charakterze Dumki ma ona jeszcze wyraźne cechy sztuki, budowa jéj tak zewnętrzna jak wewnętrzna zdradza już więcéj artystycznego rozmysłu. Poeta Elegiczny wpatruje się w swój przedmiot nietylko okiem serca, ale i okiem myśli: jeśli więc w Dumce samo bezpośrednie uczucie jest twórcą i przedmiotem razem, to w Elegii widoczniejsza jest myśl, idea. To też wyobraźnia Elegika wyżéj się wzbija, aniżeli spokojne uczucie Poety Dumek; ten zapatruje się na przedmiot żalu i tęsknoty li z własnego stanowiska, tamten raczéj z wyższego stanowiska społecznego; w Dumce czuje własne Poety serce, w Elegii jest dusza autora reprezentantką duszy ogółu narodu lub społeczeństwa. Stosunek obydwóch jest taki sam prawie, jaki zachodzi między Pieśnią a Odą, i dla tego też niejedną Odę do Elegii policzyćby można i na odwrót. Wypada stąd, że Elegia, nie będąc tak naturalnym wypływem i obrazem uczucia, jak Dumka, nie tyle ma muzykalności i usposobienia do śpiewu, ile raczéj składu artystycznego; nie zawsze składa się z wrotek jednostajnych, ale owszem kształt jéj miarkuje uczucie i wyobraźnia Poety.

Treny (*Θρῆνοι*) czyli Żale zajmują niejako środek między prostotą i rzewnością Dumki a poetyczném uniesieniem Elegii, tém się zaś różnią od obydwóch, że są wynurzeniem żalu po śmierci drogiéj lub znakomitéj osoby. Uczucie wewnętrznéj boleści jest główném Trenów znamieniem, i dla tego Pieśni takowe najlepiéj się udają, kiedy Poeta sam czuje stratę, którą opiewa. Kogoż nie rozrzewniły Żale Jana z Czarnolesia po ukochanéj jego Urszuli! Że zaś uczucie im prawdziwsze jest i głębsze, tym mocniéj zajęte jest przedmiotem swoim, i w spokojném jego rozmyślaniu tym większe choć bolesne znajduje zadowolnienie, przeto treściwe i czułe scharakteryzowanie osoby, którą Poeta opłakuje, jest głównym pieśni jego zawodem, któremu dłuższy nieco wiersz spokojnym tokiem odpowiada.

3) Pieśni Epiczno-Liryczne i Sielskie.

Kiedy Liryk w pieśni nie własne składa uczucia i myśli, ale przenosząc się w położenie, charakter i uczucie kogoś innego, jego czuje sercem, jego duszą myśli a więc pasmo uczuć nie z własnéj wysnowa piersi, ale raczéj z piersi tego, w którego imieniu śpiewa; natenczas poezya jego dwoisty ma charakter. O ile Poeta wpatruje się w charakter, serce i duszę osoby innéj, całą istotę téjże osoby przenika i w siebie przenosi, a tém samém wewnętrzną, że tak rzekę, postać jéj osobistości zdejmuje, o tyle pełni zawód Epika; że zaś pomimo to uczucie własne nastraja do tonu uczucia obcego, świat uczuć obcych w własną pierś przenosi i cały ich zapas z duchem swoim w jedną zgodną zlewając całość takową wyśpiewuje, przeto poezya taka z treści i znamion głównych liryczną być nie przestaje. Owszem, często Poeta na pozór tylko obcą przybiera rolę, aby w osobie raz chłopka, drugi raz króla, to żołnierza, to znów pasterza, strzelca i t. p. własne swoje wyśpiewać uczucia. Tu należą Pieśni wszelkiego rodzaju, o ile takowe Poeta w usta innéj kładzie osoby; toż i Sielanki, w których Poeta nie opowiada, tylko w imieniu mieszkańca sielskiego uczucia i przygody jego opiewa; nareszcie wszelkie poezye treści i formy swobodniejszéj, gawędowe wynurzenia i t. p., gdzie Poeta charakterowi jakiemuś wywnętrzyć i wygadać się pozwala. Ani więc treści, ani składu zewnętrznego takowych poezyi w pewne ogólne zasady ująć nie podobna: jedne są pieśniami do

śpiewu, w drugich zmienia się tok wiersza, rytmu i rymu w miarę uczucia i usposobienia tak Poety jak osoby, którą tenże reprezentuje.

II. *Liryka Czysta.*

Ogólny charakter właściwéj Liryki. — W Liryce Czystéj zstępuje Poeta z ostatniego już stopnia stanowiska, z którego się zapatrywał na świat otaczający, powraca uczuciem i myślą w siebie samego, i cały zapas ducha z siebie wydobywa. Uczucia i myśli, na których wątku właściwe Pieśni Liryczne osnowa, są ideałem wypieszczonym w własnéj jego piersi; obrazy, które z nich stwarza, złożone są na modłę, którą mu własne jego uczucie, własna zakreśla wyobraźnia. Świat zewnętrzny, z którego łona Poeta naturalnie nigdy wyrwać się nie może i nie powinien, którego skarbiec dostarcza mu prawd rzeczywistych i próżność umysłu swoim zapełnia dostatkiem, świat ten nie jest już dla Liryka właściwego przedmiotem li zewnątrz leżącym, ale raczéj zupełną jego własnością. Wszystko, co Liryk na tém stanowisku z świata zewnętrznego w pieśniach swoich mieści, jest już pokarmem w sercu i umyśle jego przetrawionym, zamienionym w soki, że tak rzekę, żywotnie. Nie rozeznasz tam, co się Poecie a co światowi należy; tak wszystko zlało się w jednoistą całość. Znajdziesz tam pełno rzeczywistości i prawd z świata wydobytych, ale wszystko w pracowni serca i umysłu Poety inną przybrało postać, wszystkiemu nadał Liryk typ właściwego pojęcia, jak surowy kruszec z ziemi wydobyty wyczyścił i przerobił w kształty sztuczne, w których już nie bogactwo natury, tylko zręczność i pomysł artysty podziwiasz. Zjawiska więc świata zewnętrznego są dla Liryka pochopem, są promieniami zbiegającemi się w ognisku jego uczucia; atoli też uczucie chłonie wszystko, co weń wpada, a wyobraźnia Poety w właściwych to oddaje obrazach. W każdym obrazu tego rysie samego widzimy Poetę: z nim czujemy, jego pojmujemy myślą. To téż im goretsze Poety uczucie, im pełniejszy i dojrzalszy umysł, im bujniejsza wyobraźnia, tym szczytniejsza i wspanialsza Liryka, która skromny początek swój ma w źródle łagodnych uczuć Piosenki, a szerokie ujście w głębiach natchnienia i fantastyczności.

1) Liryka Niższa — Pieśni.

Pieśnią nazywamy w ogóle nietylko każdy poemat liryczny, ale nawet w znaczeniu najrozleglejszém każdy utwór poetyczny, o ile w takowym Poeta przedmiot jakiś opiewa. Atoli w ściślejszém a właściwém rozumieniu przypada miano Pieśni tym Poematom lirycznym, w których Poeta proste jakieś, bezpośrednie uczucie wyśpiewuje w tonie równie prostym, łagodnym. Owoż naturalna i serdeczna prostota głównem jest właściwej pieśni znamieniem. Jakikolwiek przedmiot, jakie bądź zjawisko potrąci o uczucie Poety i do niego przemówi, objawia je Poeta w stanie jego naturalnym, bezpośrednim, w kształcie pięknym ale nie wyszukanym. Nie zapuszczając się w głębsze pojęcie utajonych w przedmiocie myśli, uważa Poeta rzecz tak, jak ona się na pierwszy rzut oka objawia i serce jego nastraja. Chwilowe często wrażenie rozbudza uczucie Liryka, które się natychmiast w dźwięczną Pieśń rozlewa. Górny więc polot, równie jak głębokie zatopienie się w przedmiot, nie przypada do miary i natury Pieśni, gdyż nie idee, tylko uczucia, i to uczucia pojedyńcze, proste i łagodne, są jéj początkiem i osnową. A jak uczucie każde objawia się w głosie zgodnym z usposobieniem jego, tak iż z jednego wykrzyknika i jego tonu rozpoznasz prawie wrażenie, które się odzywa: tak i uczucie Pieśni przybiera się natychmiast w głosy śpiewne i formy muzyczne, płynie równocześnie prawie z melodyą, która Pieśni ma towarzyszyć. Stąd to *Pieśń* a *Śpiew* jednego są pierwiastku; stąd *Piosnki gminne* rodzą się z piersi ludu pospołu z melodyą; stąd Poetę lirycznego *Śpiewakiem*, *Piewcą*, a tworzenie jego *wyśpiewaniem* zowiemy. Nietylko więc cały wyraz Pieśni odpowiadać powinien tonom uczucia, ale nadto wiersz jéj, rytm, rym i skład wrotkowy zgadzać się niejako z melodyą serca i głosu. Krótko mówiąc, każda Pieśń właściwa do śpiewu jest sposobna.

Różne są pieśni co do treści i barwy zewnętrznej, a to w miarę tego, w którą stronę świata i życia zwraca się uczucie Poety. Mamy więc Pieśni nabożne czyli religijne, w których Poeta wynurza uczucia swoje ku bóstwu, Pieśni narodowe i obywatelskie mające za przedmiot miłość ojczyzny i uczucia odnoszące się do spraw społecznych lub pamiątek historycznych: dalej Pieśni wojenne, towarzyskie, miłośne, czyli erotyczne i humorystyczne (zwykle dawniej *Anakreontykami* zwane od *Anakreonta*, Liryka Greckiego), obyczajowe i moralne, których treść i zawód same wskazują nazwiska.

2) Liryka Wyższa — Hymny, Ody, Dytyramby.

Ogólne znamiona Liryki Wyższéj. Jeśli Liryka w ogóle, a w szczególności Pieśń, jest wyśpiewaniem uczucia Poety,

to znamienie i charakterem Liryki Wyższéj jest uczucie w najwyższéj potędze. Nie wystarcza tu samo wrażenie i stąd uczucie bezpośrednie; potrzebne jest wyższe podniesienie tegoż uczucia, potrzebne jest natchnienie. Niedosyć jest mimochodem niejako potrącić uczuciem swojém o zjawiska świata, i wrażenia jego złożyć w obrazach, jakie się bezpośrednio nastręczają; całą siłą ducha zatapia się Poeta w wewnętrzny stan i charakter rzeczy, zgłębia myśl jéj i istotę, a ogarnąwszy ją całym zapałem ducha i rozpłomieniwszy ogniem uczucia, przybiera ją w obrazy żywe, nadaje jéj kształty wydatne i wytworne, wynosi do wysokości ideału, który sobie wyobraźnia jego utworzyć jest zdolna. Jak gdyby w samym duchu bóstwa szuka umysł Poety oświecenia i natchnienia, z źródła doskonałości i idei boskich czerpie dusza jego uczucia i pomysły, a myśli w świecie dostrzeżone podnosi jego wyobraźnia do tejże doskonałości i szczytności idealnéj. W Liryce więc Wyższéj nie tak bezpośrednie uczucia wylewa Poeta, jak raczéj wysnowa wątek pełnych myśli i takowe uczuciem ogrzane składa w obrazy szczytne, bogate w treść i barwę najrozmaitszą. Idzie za tém, że takie tylko przedmioty i zjawiska mogą być pobudką lub podstawą Liryki Wyższéj, które noszą w sobie zaród istotnych prawd i myśli wielkich, które moralném, że tak rzekę, znaczeniem swojém podnieść zdołają uczucie Poety i do wyższego nastroić je tonu, w których wreście wyobraźnia jego znajduje żywioły do obrazów na wielką skalę. Nie są to sprawy i zjawiska życia powszechnego, ale raczéj sprawy społeczne, dotyczące interesu ludzkości, życia moralnego tak narodów jak człowieka w ogóle, mieszczące w sobie prawdy wyższe, uczucia i myśli górniejsze. Jeśli Poeta bierze przedmiot rzędu niższego, to go przynajmniéj podnosi uczuciem i wyobraźnią, idealizuje bądź rzetelném bądź udaném natchnieniem. Że zaś utwory Liryki Wyższéj są raczéj płodem natchnienia i artystycznego rozmysłu, aniżeli wylewem łagodnego uczucia, a mieszcząc w sobie uczucia i myśli wyższe, nietylko uczuciem ale i myślą pojmowane być chcą; przeto poezye tego rodzaju nie zawsze idą w parze z muzyką i śpiewem. Owszem, jakikolwiek ich jest układ zewnętrzny, czy to wrotkowy, czy jednoisty, czy wreszcie rozmaity w budowie strof i wiersza, mają one właściwą sobie wewnętrzną, że tak rzekę, muzykalność i harmonią, która w całej pieśni daje świadectwo o usposobieniu Poety, o harmonii lub dysharmonii uczuć jego. Kompozycya ich odpowiada sztuczniejszéj kompozycyi muzycznéj, gdy tymczasem Pieśń szuka wtoru

w melodyi zwyczajnéj. Jakoż w ogóle powiedzieć można, że Pieśń tak co do wewnętrznego jak zewnętrznego składu jest dzieckiem natury, Liryka zaś wyższym jest płodem rozmyślnéj Sztuki.

Liryka Wyższa w tak rozległém znaczeniu mieści w sobie i te wszystkie poemata liryczne, które z języka greckiego i na podobieństwo starożytne nazywamy *Hymnami*, *Odami i Dytyrambami.*

Hymn bowiem (Ὕμνος) nie jest nic innego, jak poemat, wyższy liryczny opiewający bóstwo; jest więc w takim stosunku do pieśni religijnéj, w jakim jest Liryka Wyższa do niższéj, Oda do Pieśni w ogóle. Pieśń nabożna jest wynurzeniem uczucia, jest modlitwą; Hymn uwielbieniem i wystawieniem wielkości bóstwa; tam jest Poeta tłumaczem uczuć każdego człowieka, tu stwarza obraz z właściwych, wyższych pojęć o bóstwie. Do wyśpiewania Pieśni, wystarcza niekiedy samo uczucie; Hymn potrzebuje prawdziwego Poety.

Oda (Ὠδή) była u starożytnych tém samém, czém u nas Śpiew i Pieśń, t. j. pieniem lirycznem ułożoném w strofy do śpiewu. Wszakże z czasem nadano Odzie wyższe nieco stanowisko, tak co do treści jak mianowicie co do sposobu kompozycyi o wiele sztuczniejszéj, aniżeli w zwyczajnych pieśniach lirycznych. Atoli w czasach nowszych, osobliwie odkąd wzory starożytne niezgrabnie często naśladowano, ścieśniono rozległe niegdyś granice Ody i nadawano tę nazwę przedewszystkiém Pieśniom pochwalnym, opiewającym wielkość, bohaterstwo i zalety jakiegoś męża, tudzież wypadki i zjawiska nadzwyczajne. Rzecz widoczna, że ograniczenie to jest bezzasadne i dowolne. Jeśli zatém Odę i podziś dzień w rzędzie Poezyi lirycznych pomieścić chcemy, to ją tylko w charakterze owym właściwym do prawa obywatelstwa przypuścić można, rozumiejąc przez nie każde Pienie Liryki Wyższéj, tak iż i Hymn jest tylko Odą opiewającą wielkość, wszechmocność, w ogóle wszelkie bóstwa przymioty.

Dytyramb (Διθύραμβος) wyraz niepewnego pochodzenia znaczył pierwiastkowo Pieśń na cześć Bachusa, potém także i bóstw innych, ale zawsze z pierwotnym charakterem, który jéj dawało natchnienie czerpane z gorącego źródła płynu Bachusowego. Zapał, uniesienie, rzutność rozpasanéj wyobraźni, niepewna rozmaitość rytmu, w ogóle szał i fantastyczność, jak gdyby skutek wyobraźni winem zagrzanéj, to są główne znamiona, które Dytyramb i później cechowały, chociaż zawód jego zmienił się i rozszerzył. W nowszéj naszéj Poezyi znikło prawie nazwisko Dytyrambu, ale Pieśni

tego charakteru liczymy pewno więcéj, aniżeli kiedykolwiek. Na karb bowiem Dytyrambu wpisaćby należało wszystkie poemata liryczne treści i osnowy wybujałéj, Pienia płynące z rozdrażnionego serca i chorobliwéj niejako wyobraźni, sceny i widzenia fantastyczne, pełne szału, nieładu i swywoli umysłowéj, nieuznające żadnych granic tak w polocie uczuć i myśli, jak w formie zewnętrznéj. Czytamy podobne sceny w Dziadach Mickiewicza, w niektórych poezyach Słowackiego i kilku innych młodych Poetów.

3) Sonet, Triolet, Rondo, Madrygał.

Pod tę trzecią rubrykę Czystéj Poezyi Lirycznéj podciągamy Pieśni stałéj formy zewnętrznéj, których skład oznaczyliśmy już wyżéj mówiąc o wrotkach (str. 63.) Osnowa ich tak jest rozmaita, że każdy takowy poemat należy już treścią swoją do jednego z powyższych działów lirycznych. To też ledwo w ogólnych zarysach granice i zawód pieśni tego rodzaju określić można.

Sonet, poemat czternastowierszowy, powstał zapewne w poezyi Prowansalskiéj razem z jakąś melodyą, która granice i skład jego raz na zawsze określiła. Przeszedłszy do Włoch znalazł Sonet dwóch znakomitych miłośników i Piewców; Petrarkę i Torkwata Tassa, których wzory stały się zachętą i przedmiotem naśladowania dla wszystkich Poetów Europejskich. Jedynym godnym jego następcą w literaturze naszéj jest Mickiewicz, który w Sonetach swoich nietylko złożył czyste uczucia miłości, ten główny Sonetów przedmiot, ale nadto w Sonetach Krymskich na wyższe wzniósł się stanowisko, wiążąc wzniosłe, szlachetne uczucia i myśli z wrażeniami usposobień i pamiątek miejscowych. Do bliższego określenia Sonetu to jeszcze dodać należy, że w ogóle cała jego osnowa mieści jedno tylko uczucie czyste i łagodne, które w ostatnich dopiero wrotkach rozwiązane i jakby ujście swoje znajduje. Sztuczna zaś a muzykalna kompozycya Sonetu wymaga nader wielkiéj troskliwości w doborze wyrazu i całéj budowie zewnętrznéj. Całość wrażenia rodzić musi w duszy naszéj tę harmonię i dźwięczność, od któréj Sonet miano swoje nosi.

Przedmiot *Tryoletów*, *Rondów i Madrygałów* bardzo jest różny, a z krótkiego ich rozmiaru to naturalnie wynika, że także jedno tylko uczucie w całość ich wchodzi, które się powtarza lub miarkuje wedle waryacyi powracających wierszy podobnych.

III. Poezya Dydaktyczno-Liryczna.

Istota Poezyi Dydaktyczno-Lirycznéj. — Poezya Dydaktyczno-Liryczna tak samo się ma względem Liryki, jak Dydaktyczno-Epiczna względem Epiki właściwéj. Poeta wynurza uczucia i myśli swoje z wyraźnym zamiarem obracania ich na moralną korzyść czytelnika; z myśli swoich robi maksymy powszechne, które oddane z uczuciem i formą poetyczną mają bezpośrednio przemawiać do uczucia naszego. Wszakże jak w Poezyi Dydaktyczno-Epicznéj tak i w Dydaktyczno-Lirycznéj żywioł moralny, jako sam przez się Poezyi obcy, raczéj istotą być winien z oblicza poematu wyglądającą, aniżeli samąże poematu osnową, chyba że Poeta nic więcéj jak tylko zdanie swoje w kilku treściwych zamyka wierszach, w którym to razie trafny dowcip zastępuje często miejsce uczucia i wyobraźni, a cel dydaktyczny nad Poezyą przemaga. Tu należą:

1) *Pieśni Dydaktyczno-Liryczne*, w których się dość wyraźnie zdradza zamiar moralny, w których Poeta z uczuć i myśli swoich robi zastósowanie i takowe jako prawdy w formie lirycznéj opiewa.

2) *Gnomy* (*Γνῶμαι*) czyli *Myśli* są zwykle *Distychy* to jest: w dwóch tylko wierszach złożone zdania treściwe, zawierające prawdę jakąś, maksymę bądź teoretyczną bądź doświadczeniem wykrytą, która w dobranych oddana wyrazach łacno się w serce i umysł wdraża.

Epigrammat (*Ἐπίγραμμα*) znaczył właściwie napis na pomnikach, który w kilku treściwych wyrazach mieścił tak znaczenie samegoż pomnika, jako też myśl przez Poetę w nim złożoną. Atoli tak ścisłe pierwiastkowe znaczenie niedługo się rozszerzyło, a w nowszych nadto czasach nadano Epigrammatom dążność dowcipno-satyryczną. Rozumiemy dziś przezeń wiersz krótki a treściwy, mieszczący w sobie myśl trafną, zdanie dowcipne lub ucinkowo-satyryczne, a jedno i drugie przypięte do jakiegoś przedmiotu zewnętrznego, lub potocznego zdarzenia. Jakoż główném zadaniem i zaletą Poety Epigrammatycznego jest właśnie dostrzeżenie takiéj chwili i strony w rzeczach świata zewnętrznego, z któréj zdanie jakieś trafne wydobyć można. Wypowiedzieć go Poeta nie potrzebuje; owszem z osnowy przedmiotu samo na jaw wystąpić powinno. Dla tego też na trafném, niespodzianém rozwiązaniu całego węzła główny polega efekt. A że Poeta w szczegółową charakterystykę przedmiotu użytego zapuszczać się nie może, gdyżby to główny słabiło efekt, przeto

przedmiot będący Epigrammatu podstawą powszechnie znany być musi, tak iż sam napis lub napomknienie o rzeczy przenosi nas w świat już znany, w którego tylko jednę ciekawą chwilkę i niezwyczajną sytuacyą myślą przenieść się mamy. Z tego to samego powodu uważaliśmy zwierzęta za najstósowniejszych Bajki bohaterów. Ton lekki, barwa humorystyczna, osnowa delikatnym, ucinkowym dowcipem przepleciona, to są ogólne znamiona Epigrammatów, które dla tejże lekkości w przedmiocie i osnowie J. Kochanowski *Fraszkami* nazwał. Inni mianują je czasem *Ucinkami* dla tego, że im tylko satyryczną dążność przypisują.

Przegląd Liryków Polskich. O charakterze przedchrześciańskiej Liryki narodowéj wnosić tylko możemy poniekąd z *Pieśni Gminnych*, których zbieraniem w nowszych czasach pilnie się zajęto, mianowicie *Wacław z Oleszka*, *Zegota Pauli*. *K. W. Wojcicki*, *Konopka*, *Lipiński* i inni Po zaszczepieniu oświaty Europejskiéj przyjęła się najwcześniej Poezya Liryczna zgodna tak z usposobieniem narodów Słowiańskich jako też z duchem chrześciansko-romantycznym. Zaraz z pierwszych wieków Chrześciańskich mamy podania o pieśniach tak światowych jak religijnych, do których należą: *Pieśń Śgo Wojciecha*, Bogarodzica dziewica; *Tren na śmierć Bolesława Chrobrego; Pieśń witająca Kazimierza I.; Pieśń o zamordowaniu Ludgardy;* Pieśni *Stanisława Ciołka* z początku wieku 15go; *Jana Przeworszczyka* kancyonał (1435); *Jędrzeja Gałki z Dobczyna* wiersz o Wiklefie (około 1450). Po słabych usiłowaniach *Mikołaja Reja z Nagłowic* (ur. 1515, † 1568, Dydaktyka i tłómacza Psałterza, rozpoczął zaszczytnie szereg wyższych Liryków *Jan Kochanowski* (ur. 1530 † 1584): Pieśni, Treny i Fraszki. W jego ślady poszli: *Kasper Miaskowski* z czasów Zygmunta III. Zbiór Rytmów; *Mikołaj S.p Szarzyński* († 1581): Rytmy albo Wiersze polskie; *Jan Rybiński* (około 1600): Gęśli różnorymne; *Stanisław Grochowski* († 1612): Wiersze i Pieśni różnej treści; *Jan Daniecki* Elegik (około 1600); *Sebastyan Fabian Klonowicz* (ur. 1551, † 1608): Żale nagrobne na śminrć Jana Kochanowskiego; *Jędrzéj Zygmunt Zbylitowski* (za Stefana i Zygmunta III.); *Stanisław Witkowski* (około 1600); *Szymon Szymonowicz Bendoński* (ur. 1557. † 1629): Sielanki Z wieku 17go: *Wespazyan Kochowski* (za Jana Kazimierza): Niepróżnujące próżnowanie na Liryka i Epigrammata podzielone; *Elżbieta Drużbacka* († około 1760): Pieśni Opisowo- i Dydaktyczno-Liryczne. Z wieku 18go: *Adam Naruszewicz* (ur. 1733, † 1796): Liryki; *Ignacy Krasicki* (ur. 1734, † 1801): Wiersze różne; *Stanisław Trembecki* († 1812); *Franciszek Karpiński* (ur. 1741, † 1825); *Franciszek Dyonizy Kniaźnin* (ur. 1750, † 1807); *Józef Szymanowski* (ur. 1748, † 1801): *Julian Ursyn Niemcewicz; Jan Paweł Woronicz; Franc. Morawski.* Do najnowszéj epoki należą: *Kazimierz Brodziński*, *Adam Mićkiewicz*, *Zygmunt Krasiński* (ur. 1812 † 1859) autor Przedświtu i Psalmów Przyszłości; *Ant. Edward Odyniec*. *Alexander Chodźko*. *Julian Korsak*. *Stefan Garczyński* (Sonety Wojenne); *Bohdan Zaleski*, *Józef i Alexander Borkowscy*, *Stefan Witwicki*. *Augustyn Bielowski*, *Lucyan Siemieński*, *Konstantyn Gaszyński*. *Wincenty Pol*: (Pieśni Janusza. Pieśń o Ziemi Naszej, Pieśń o Domu Naszym); *Antoni Czajkowski*. *Michał Jezierski*, *Ludwik Nabielak*. *Edmund Wasilewski*, *Alexander Groza*, *J. N. J(aśkiewicz)*, *K(onstanty Z(akrzewski)*, *Ryszard Berwiński*, *Franciszek Zygliński*, *Cyprian i Ludwik Norwidowie*, *Sowiński Leonard*, *Jabłoński Henryk*, *Żeligowski Antoni* (pseud *Sowa*), *Teofil Lenartowicz*. *Karol Baliński*. *Gabryela Zmichowska*, *Deotyma (Jadwiga Łuszczewska)*, *S(tanisław) K(oźmian)*, *Kornel Ujejski*, *Mieczysław Romanowski*, *Zacharyasiewicz Jan*, *Zborowski Jan*, i wielu innych.

c. Poezya dramatyczna.

Ogólny charakter dramatu. — Uobecnienie czynności głównem zadaniem. — *Dramat*, tak nazwany od greckiego *Δραμα* czynność, *δράω czynię*, nosi w samém już nazwisku cechę wysokiego znaczenia i miejsca, jakie mu przypada w rzędzie trzech rodzajów Poezyi. Czynność jest ostatecznym celem, dojrzałym owocem drzewa doświadczenia, uczuć i rozumowych pojęć człowieka, jest przymiotem i przeznaczeniem męża, który z zapasem doświadczeń z świata zewnętrznego, tudzież uczuć i myśli tak własnych jak nabytych, występuje samodzielnie w świat społeczeństwa i czynnym jego staje się członkiem. Toż i Poezya Dramatyczna, idealizująca świat czynności, jest całością żywiołów epicznych i lirycznych, dokładną kompozycyą jednych i drugich, a tém samém najwyższą doskonałością poetyczną. Dla tego też dzieląc Poezyą na trzy rodzaje porównaliśmy Epika z dzieckiem zmysłami dostrzegającém, Liryka z młodzieńcem pełnym uczucia i uniesień, a Dramatyka z mężem dojrzałym, któremu czyn przystoi. Dojrzałość więc jest z jednéj strony nieodzownym warunkiem, z drugiéj strony chlubném znamieniem jak czynu tak podobnież i Poezyi Dramatycznéj. Świadczy o tém Grecya, która dopiero w czasie dojrzałości i potęgi tak politycznéj jak umysłowéj na Dramat się zdobyła; świadczą dzisiejsze narody Europejskie, z których te tylko w zawodzie Dramatycznym miały i mają dobre powodzenie, co się w bycie swém politycznym poczuły i w pracy około historycznego postępu ludzkości czynnie występują; świadczy wreszcie Polska, która dla tego właśnie, że do uznania się w swem moralném i polityczném życiu, do samodzielnéj czynności w ogólnéj pracy Europejskiéj jeszcze nie była doszła, Dramatu także utworzyć nie zdołała, i ledwo dzisiaj niepewne jeszcze na tém polu kroki stawia.

Żywioły epiczne i liryczne w dramacie. — Dramat zatém, jako rezultat Epiki i Liryki razem, mieści w sobie pierwiastki jednéj i drugiéj. U Greków widoczne jeszcze były ślady tego złożenia w dwóch różnych częściach każdego dramatu, w Dialogu i Chórze, z których pierwszy, powstały z opowiadania, reprezentantem był pierwiastku epicznego,

drugi, jako część podobno pierwotna a czysto Liryczna, wyobrażał liryczny żywioł i początek dramatu. U nas zatarły się wprawdzie te ślady powstania dramatu, ale pierwiastki rzeczone żyją w nim choć w postaciach zmienionych i zidealizowanych. Wystawia bowiem dramat zdarzenie z życia bądź publicznego bądź prywatnego, podobnie jak Poemat Epiczny; atoli nie opisuje nam go, nie kreśli obrazu, którego cząstki składając wystawiamy sobie, jak się zdarzenie to odbywało, tylko zdarzenie samo przenosi w chwilę obecną, wystawia je na widok powszechny, miejsce, czas i całą czynność z wszystkiemi okolicznościami wyprowadza przed oczy nasze, wyprowadza na scenę. Nie opowiada nam Dramat: jak się coś działo, tylko nam naocznie samoż wystawia działanie. W tém uobecnionóm i naocznie wystawionóm działaniu leży przyczyna nazwiska tego rodzaju Poezyi; tam szukać należy spólności, ale oraz różnicy między Poezyą Dramatyczną a Epiczną. Obrazowe, t. j. poetyczne wystawienie zdarzenia jest zadaniem obydwom rodzajom wspólném; różnica zachodzi w sposobie obrazowania: bo kiedy Epika opisuje zdarzenie, *opowiada* i stąd *Powieść* z niego robi, Dramat toż zdarzenie uobecnia, naocznie wystawia, tak iż to, co się kiedyś działo, znów się w obec nas dzieje. O ile zaś całe działanie odbywa się za pomocą osób w zdarzeniu jakiemś czynnych za pomocą charakterów, które uczucia i myśli swoje wyjawiają, całe wnętrze swoje roztwierają, o ile Poeta zgłębić musi serce i umysł osób czynnych i z własnego ducha wysnować wątek myśli, które w siebie przeniósł, o tyle Dramat spotyka się z Liryką. Wszakże znów obadwa te rodzaje tém się od siebie różnią, że Liryk maluje same tylko uczucia i myśli, jako świat wewnętrzny, światowi zewnętrznemu przeciwległy, a Dramatyk nietylko że obcy sposób czucia i myślenia obrazuje, ale nadto wystawia charaktery, których uczucia i myśli natychmiast się zmieniają w czyn, w rzeczywistość, względem świata zewnętrznego czynnie się mają. Obadwa przeto żywioły tak opisowy jak uczuciowy, w Dramacie do wyższej przechodzą potęgi, a łączą się w żywiole czynności, działania. Uczucie staje się przekonaniem i wolą, a czynność i wypadek jest téjże woli skutkiem. To też świat zewnętrzny nie jest w Dramacie przeciwległym światowi wewnętrznemu, bo obadwa mają jedno i to samo źródło w charakterach działających: cały bieg i wypadek rzeczy pochodzi z wewnętrznego usposobienia i woli charakterów dramatycznych, azatém tak jak przyczyna i skutek ścisłą są jednością.

Charaktery dramatyczne i akcya dramatyczna. — Taż wola charakterów dramatycznych nietylko że wyraźną stanowi różnicę między niemi, a charakterami epicznemi, ale w ogóle wszystkie sprężyny na inny porusza sposób. Bo jeśli charaktery epiczne działają pod wpływem okoliczności i takowym ulegają, to charaktery dramatyczne sprowadzają wypadki i okoliczności, biegiem ich kierują, ciężarem woli swojéj przeważają szalę tak własnego losu, jak ostatecznego rzeczy wypadku. Tamte są poniekąd bierne, te zaś czynne i samodzielne. Toż i zdarzenia będące Dramatu osnową tyle tylko mają znaczenia, o ile są skutkiem czynności charakterów, urzeczywistnieniem ich woli i celów; nie rozwijają się więc według zbiegu i popędu okoliczności, tylko w miarę działania osób, ich woli i namiętności. Każda chwila i sytuacya w toku rzeczy dramatycznej jest stanowczym krokiem jednego z charakterów, jest wykonaniem ich woli, oczywistym skutkiem ich czynności. Że zaś wola, czynność i cele jednéj osoby wywołują przeciwne dążności w osobach innych, namiętności ich podniecają, w ogóle urzeczywistniając się, napotykają na cele i siły przeciwne, potęgi wyższe, przeto przez spotkanie się woli, sił i interesów przeciwnych powstaje kolizya, ktora jest podnietą namiętności, zachętą do działania na jednéj i drugiéj stronie, jest tą sprężyną wprawiającą wszystko w ruch i w czynność. Ten to ruch, to żwawe zdążanie do własnego celu, to skrzętne chodzenie około własnéj sprawy z strony tak jednéj jak drugiéj, nazywamy *akcyą*, a ciągłe namiętności i celów kolizyą *zawikłaniem*. Owóż akcya i zawikłanie, to jest działanie i oddziaływanie, głównym są Dramatu warunkiem, są siłą jego żywotną, są tém, co w Dramacie *Dramatyczność* sprawia. Im więcéj Dramatyczności, tym lepszy Dramat. Ponieważ zaś czynność cała czyli akcya pochodzi z charakterów i ich usposobienia, a zależy od pobudek, namiętności i celów ich, przeto jednym z najgłówniejszych zadań Dramatyka jest, wniknąć w pobudki zamiarów ludzkich, w sprzeczności celów i środków, zgłębić serca i umysł ludzki, rozpoznać namiętności tak złe jako i dobre, jednóm słowem, tak się rozpatrzyć w tajemnicach myśli i działań człowieka, iżby tam nawet dojrzał sprężyny poruszającéj sprawy i wypadki ludzkie, gdzie na pierwszy rzut oka przypadek dokazywać się zdaje. I z tego téż względu Dramatyk trudniejsze ma zadanie, ale oraz wyższe stanowisko od Epika. Ten bowiem kreśli charaktery tak, jakimi je widzi w czynnościach zewnętrznych: uważa tylko na bieg rzeczy i towa-

rzyszące okoliczności, śledzi kroki i położenie osób, a zebrawszy wszystkie szczegóły ich słów i czynności, gotowe ma i wyraźne obrazy charakterów. Dramatyk zaś, snując przędzę wypadku z wnętrza osób dramatycznych, zgłębić musi toż wewnętrzne charakterów usposobienie, dojrzeć wszystkich pobudek, zamiarów, i dopiero świat ten wewnętrzny wydobyć na jaw, wszystkie siły i żywioły w rzeczywistą czynność wprowadzić. Zamiast więc mieć wypadki gotowe, stwarza je dopiero z wewnętrznych żywiołów; roztwierając nam kryjówki duszy, wykazując chęci, cele i środki charakterów. Jeśli z zewnętrznych czynności charakterów epicznych wnosić możemy o wewnętrznėm ich duszy usposobieniu, to przeciwnie drogą uczuć i myśli, które nam Poeta z duszy osób dramatycznych wydobywa, dochodzimy do celu ich czynności.

Forma czynności dramatycznėj inna, aniżeli epicznėj. — Czynność zatém dramatyczna całkiem też jest inna, aniżeli epiczna. W poezyi epicznėj idzie o same rzeczywiste, żywe fakta; w dramatycznėj o wykrycie ich pobudek, o ułożenie środków do celu prowadzących, o wydanie namiętności, które do czynów popychają. Powiedziećby prawie można, że nie tak czyn sam, jak raczéj przygotowanie do czynu właściwym jest Dramatyki zawodem; akcyą więc dramatyczną stanowi nie tak działanie, jak raczej wypowiedzenie tego, co się działa lub działać zamierza. Wypada stąd, że działanie dramatyczne ciągłą jest osób mową i rozmową. Gdzie idzie o wykrycie sposobu myślenia, skrytych zamiarów lub wewnętrznėj walki namiętności jednėj osoby, tam ją wprowadza Poeta rozprawiającą z samą sobą, tam jéj kładzie w usta wszystko to, co serce w sobie mieści, do czego się umysł sposobi. Pojedyńcza taka mowa nazywa się *Monologiem*, któréj początek widzieliśmy już w dziale poematów epiczno-lirycznych. Atoli Monolog nie jest jeszcze akcyą; ta wymaga kolizyi, spotkania się na słowa, czyli rozmowy. *Dialog* więc dopiero jest właściwym sposobem dramatycznego działania; a ponieważ on właśnie akcyą samą stanowi, przeto żywość jego przyspiesza czynność, a opieszałość sprawia brak akcyi. Tu także należy wzmianka o *Prologu*, który jest monologiem wstępnym służącym do objaśnienia widzów z rzeczą mającą być Dramatu osnową. Wszakże nie jest on ani konieczną, ani też powszechnie zastósowaną dramatu częścią.

Układ treści w Dramacie inny, niż w Epice. — Przedmiotem Dramatu może być każde zdarzenie z życia bądź historycznego, publicznego, bądź powszedniego, tak prawdziwe, jak podaniem uświęcone, lub zmyślone nawet według analogii prawdy i w miarę warunków dramatycznych. I na tém więc polu Epika i Dramatyka ręce sobie podają, używając sobie często materyału nawzajem. Wszakże rzecz jedna i ta sama miarkuje się i zmienia postać według potrzeby i celów każdemu rodzajowi Poezyi właściwych. Sam zakres przedmiotu bardzo jest różny w obydwóch. Ponieważ Epopea daje obraz całości życia narodowego w pewnym czasu okresie, przeto zakres jéj bardzo rozległy być może. Dramat zaś, zdążając do jednego tylko pewnego celu, do rozwiązania węzła i zawiązania kolizyi, w jaką się wprawiają osoby przez namiętne ubieganie się do celu wytkniętego, nie zbacza tyle zdrogi do celu owego prowadzącéj nie rozpościera się po świecie otaczającym, i te tylko okoliczności w zakres swój wciąga, wpośród których charaktery zamiary swoje przedsiębiorą i takowych dokonywają. Temuż ograniczeniu podlegają i charaktery dramatyczne. Mają one tylko ważność swoją w stosunku do pewnego celu, o który idzie; wszystkie inne strony, które z rzeczą i celem bezpośredniéj nie mają styczności, pozostają zakryte. W charakterze więc epicznym całego widzimy człowieka; w dramatycznym tę tylko jego stronę, która w zawodzie rzeczy czynną się objawia. Toż i liczba osób w każdym dramacie miarkuje się ściśle według potrzeby i celu, do którego wszystko zdąża.

Jedność w Dramacie. — Pokazuje się z tego, że w ogóle *Jedność* w Dramacie ściślejsze ma granice, aniżeli jedność w poezyi epicznėj. Nie ma Dramat rozległości epicznėj w rzeczy i ustępach, ani też uczucia i namiętności charakterów tak szeroko się rozlewają, jak na nieokreślonėm polu Liryki; główny cel Dramatu i pewny stosunek osób dramatycznych do siebie ścieśnia granice rzeczy i po za obręb właściwy wystąpić jéj nie pozwala. Jeśli okoliczności rzeczy epicznėj idą w ogóle w kierunku odśrodkowym, to przeciwnie całe działanie dramatyczne ma dążność dośrodkową. W Dramacie wszystko się koncentruje, tak rzecz jak stosunek charakterów. Ta to potrzeba koncentracyi nastręczyła różne wyobrażenia o Jedności w Dramacie, a stąd prawidła o trojakiéj Jedności, to jest *Rzeczy*, *Czasu* i *Miejsca*. Co do Jedności Rzeczy, ta nieodzowną jest w Dramacie. równie jak w każdym innym Poezyi rodzaju. Jedne tylko ideę mieści w sobie każdy obraz poetyczny, choćby najrozleglejszy, dla tego też na tle jednego tylko wypadku zakreślić go można.

W Dramacie tym ściślejsza być musi takowa Rzeczy Jedność, że całe działanie szybko do pewnego zdąża celu, i dla tego to tylko w całości Dramatu pomieszczone mieć może, co się bezpośrednio do osiągnienia tegoż celu przyczynia. Ponieważ zaś działanie dramatyczne na ciągłéj polega kolizyi, więc do Jedności Rzeczy należy i to, aby kolizya wszędzie w miarę celu następowała, nie miała nic przypadkowego ani niezgodnego z ostatecznem rzeczy rozwiązaniem. Toż i charaktery przypadać muszą do miary głównego celu, i takiemi się tylko wszędzie objawiać, jakiemi je rzeczy interes mieć chce. Inaczéj rzecz się ma z Jednością czasu i miejsca, któréj przedewszystkiém Francuzi przestrzegali, odwołując się do przepisów Arystotelesowych. Prawda, że ścisła jedność i skupienie działania dramatycznego wymaga także, ile możności, skoncentrowania w Czasie i Miejscu; ale ograniczenie Czasu porą dwudziestu czterech godzin bezzasadne jest i prawie niepodobne, równie jak niepodobne i niepotrzebne jest ścisłe zachowanie jedności miejsca. Pominąwszy środki sceniczne, podziały na akty i zmianę scenicznego przyboru, co wszystko wyobraźnią naszą do zmiany czasu i miejsca łatwo i korzystnie usposabia; sama już natura sztuki zwalnia Poetę z tak trudnych warunków. Boć Poezya, równie jak sztuka w ogóle nie wystawia nam świata, jakim jest w rzeczywistości, tylko nam obrazuje świat idealny; jak więc aktor nie jest samąż osobą, któréj rolę odgrywa, scena nie jest miejscem, gdzie się czynność w rzeczy saméj odbyła, pora jednego wieczora nie może rzeczywiście pomieścić tego, co w przeciągu dwudziestu czterech godzin zaszło, tak cała czynność dramatyczna wraz z miejscem i czasem ma prawdę idealną. Taż sama wyobraźnia, która nas w ogóle w świat ideału, w świat Poezyi przenosi, zdolna jest przestawić nas w różne chwile i na różne miejsca. Jeśli więc rzecz będąca Dramatu osnową da się skoncentrować na jedno i miejsce w chwilę, ile możności, najkrótszą, jest to korzyścią, któréj Poeta pominąć nie powinien, atoli z drugiéj strony brak takowéj dogodności nie może czynić rzeczy niesposobną do dramatycznego obrobienia, ani też niekorzystnie roztrzygać o wartości i losie dobrego z innych względów Dramatu.

Istotne części w układzie Dramatu. — Akty. — Sceny. — Ponieważ działanie dramatyczne polega na ciągłym konflikcie żywiołów sprzecznych, przeto naturalnym Dramatu końcem jest rozwiązanie sprzeczności przez zwycięstwo jednéj lub drugiéj strony. Każdy zatém Dramat składa się z trzech naturalnych części. W pierwszéj wprowadza nas Poeta w świat mający być Dramatu zawodem, obznajmia nas z charakterami i ich celami, w ogóle zawięzuje węzeł czynności. Część druga mieści w sobie akcyą główną, roztwiera pole, na którém osoby dramatyczne około zamiarów swoich chodzą, wzajemnie się stykają i dążąc namiętnie do zamierzonego celu, wikłą się w sprzeczności z sobą i żywiołami przeciwnemi. W części trzeciéj następuje rozwiązanie węzła dramatycznego. Z tego to naturalnego składu wynika podział Dramatu na *Akty* czyli *Pory Dramatyczne*, którychby każdy Dramat najwłaściwiéj trzy zawierać powinien. Wszakże liczba ta aktów ani jest konieczna, ani téż powszechna. Są Dramaty których rzecz w jednym tylko Akcie ma swoje zawiązanie, wywód główny i zakończenie. Dość częste są Dramaty o dwóch lub czterech Aktach, a obok Dramatów o trzech Aktach najpowszechniejsze może są pięcioaktowe, w których główna akcya znów na trzy osobne rozpada się części. Ze zmianą Aktu najstósowniéj także następuje zmiana miejsca i czasu, jeśli rzecz tego wymaga. Czém zaś są Akty względem całości Dramatu, tém są *Sceny* w stosunku do Aktów. Są to przedziały mniejsze, zależne od zmiany miejsca (sceny) i osób, a liczby ich wcale oznaczyć ani ograniczyć nie można.

Język i wiersz w utworach dramatycznych. — Co się tyczy formy Poezyi Dramatycznéj, mianowicie kompozycyi wierszowéj, przedmiot ten znajdzie objaśnienie swoje pod każdym gatunkiem z osobna. Tu tyle tylko nadmienić wypada, że ponieważ Dramat jest obrazem idealnym, poetycznym, jak każdy inny Poezyi rodzaj, przeto wszystkich potrzebuje żywiołów i środków, które zewnętrzną jego piękność podnieść zdołają. Jednym z najważniejszych żywiołów piękności zewnętrznéj pokazał się być wiersz z wszystkiemi znamionami i warunkami; chociaż więc wierszowy skład Dramatu nie jest konieczny, to wszelako naturze jego bynajmniéj się nie sprzeciwia, owszem podnosi wartość jego poetyczną. Kogo rymy na scenie rażą, ten nie szuka w reprezentacyach dramatycznych sztuki, tylko rzeczywistości, któréj za sceną szukać raczéj powinien. I mowa osób dramatycznych musi mieć charakter idealności. Jakżebyśmy bez tego złudzenia i podniesienia wyobraźni i z rozmysłem przypuścić mogli, aby Francuz, Włoch, co większa, nawet Grek starożytny w domu u siebie po polsku rozmawiał? Jakżebyśmy w dobréj wierze słuchać mogli śpiewu w Operze, kiedy takowy sposób akcyi, sprzeciwia się ziemskiéj,

że tak powiem rzeczywistości? Jak Sztuka jest rzeczywistością zidealizowaną, tak i my wyobraźnią naszą do stanowiska idealności podnieść się winniśmy. Toż i całéj dykcyi służy ten charakter poetyczny; lubo więc język Dramatu stósowny być musi do czasu tudzież charakteru i stanu osób, to jednakowoż mowa każdego charakteru wznosi się ponad sferę pospolitą do stopnia piękności, jaka jest właściwą Poezyi w ogóle.

Dopełnieniem warunków Dramatu jest przedstawienie na scenie. — Zadanie Poezyi Dramatycznéj, którém jest uobecnione wystawienie wypadku za pomocą rzeczywistej czynności czyli akcyi dramatycznych charakterów, wymaga wszelkich środków, któreby tę obecnośc akcyi ile możności naocznie wystawić i całe pole działania zmysłowo wyobrazić mogły. Stąd potrzeba scenicznego wystawienia poematów dramatycznych, stąd potrzeba *Teatru*. Nie jest on wprawdzie rzeczą dla dramatu nieodzowną, ale wielką jest dlań pomocą, azatém też wielką potrzebą. Przenosi nas scena w miejsce, czas i wpośród ludzi tego świata, który nam dramat wystawia, a tém samém powiększając złudzenie idzie w pomoc sile wyobraźni, którą się z rzeczywistości w inne stosunki przenieść mamy. Cóż dopiero powiedzieć o dokładném oddaniu charakterów przez artystów dramatycznych czyli aktorów! Role dobrze grane do takiego stopnia złudzenia doprowadzić nas mogą, że zamiast w sferze idealności i poezyi przebywać się zdajemy w samym świecie rzeczywistości. Zdawałoby się, że Poezya z tąż rzeczywistością o pierwszą walczy: i ta to właśnie jedność obudwóch światów jest Dramatu tryumfem, jest dopełnieniem warunków prawdziwéj sztuki. Do téj zaś korzyści ze złudzenia wynikającéj dodać jeszcze należy wielki wpływ, jaki wywiera Teatr na umysły całego ogółu. Pominąwszy bowiem, że wystawianie sztuk dramatycznych obznajmia widzów z historycznemi chwilami, do których się rzecz, charaktery i wszystkie przybory odnoszą, że zaprawia gust publiczności do sztuk pięknych, zabaw umysłowych, wielkie znaczenie nadaje Teatrowi wpływ, jaki tenże wywiera na serca i umysł ogółu. Uczucia, prawdy i myśli udzielają się w jednéj chwili jak iskra elektryczna całéj zgromadzonéj publiczności i przy pomocy rozdraźnionéj wyobraźni wciskają się mocno i głęboko w umysły wszystkie z osobna. Zestrzelone uczucia myśli i widzów jak gdyby w jedno ognisko zapalają się do chęci tak dobrych jako i nieszlachetnych. Owoż tym gorzéj, jeśli sztuka dramatyczna środków tak potężnych używa do celów niemoralnych.

Podział Poezyi Dramatycznéj.

Podział Poezyi Dramatycznéj jest bardzo prosty. Liryczny właściwie trzy gatunki Dramatów, któremi są: 1) Tragiedya, 2) Komedya, 3) Dramat właściwy. — Do tych dodać jeszcze należy Operę, która właściwie nie przestaje być jednym z przytoczonych gatunków, z tą różnicą, że akcyi towarzyszy ciągle śpiew i muzyka.

1) Tragiedya.

Ogólne znamiona Tragiedyi. — Tragiedya jest wyraz Grecki (Τραγῳδία), ale o właściwém jego znaczeniu nic pewnego powiedzieć nie można*), chyba to, że napróżnobyśmy szukali w nim tego wyobrażenia, które nam z wzorowemi Tragiedyami już starożytność przekazała. Jest to najwznioślejszy poemat dramatyczny, w którym wspaniałość akcyi, wielkość, walka i los charakterów reprezentują wyższe dążności samodzielnego i wolnego człowieka, a cierpienia tychże charakterów wzbudzają w nas współczucie, przedewszystkiem tę *litość* i *trwogę*, w których Arystoteles upatrywał główne znamię i zadanie Tragiedyi. Toż i dzisiaj ogół publiczności rzadko w rozumieniu swojém o Tragiedyi wychodzi poza granice dwóch tych widocznych znamion litości i trwogi. Są to skutki wrażenia tragicznego, które w prawdziwém zadaniu i całéj osnowie Tragiedyi mają swoje przyczyny. Wystawia więc Tragiedya walkę pojedyńczego, w osobistéj swéj samodzielności czującego się człowieka z potęgami wyższemi, nieprzyjaznemi.

Bohater tragiczny. — Człowiek, jako istota rozumna i wolna, czuje w sobie siłę i prawo do działania, według wewnętrznéj skazówki własnego serca i rozumu, do przeprowadzenia celów, które sobie sam wytknął i za rozumne, konieczne uznał. Ta iskierka uczucia, rozumu i woli, którą w człowieka bóstwo tchnęło, zapali serce i umysł jego do samodzielnéj czynności: człowiek czuje się powołanym do działania według własnego sumienia i przekonania, wolę swoję czyni punktem środkowym i ogniskiem, w którém się wszystkie promienie zbiegać mają, celu zamierzonego dostąpić pragnie bez względ-

---

*) Wyprowadza się zwykle wyraz Tragiedya od τράγος, kozieł i ᾠδή, śpiew, gra, już to z przyczyny, że pierwotne Tragiedye wystawiano przy ofiarach z kozła, już to, że kozieł był nagrodą zwycięzcy, według innych nawet dla tego, że aktorowie przywdziewali koźlą skórę.

du na świat otaczający i jego potęgę historyczną i moralną. Alež właśnie ta bezwzględność w zdążaniu za celem wprawia go w kolizyą z siłami przeciwnemi, które także swoje mają prawa, choć może równie jednostronnie pojmowane i bronione, jako prawa pojedyńczéj indywidualności.

Walka z wyższą potęgą. — Efekt tragiczny. — Tą kollizyą jest walka między moralnie czującą się i namiętną indywidualnością a prawną potęgą wyższą. Potęga ta inna była w świecie starożytnym, a inna jest w naszym chrześciańskim. U Greków było tą potęgą odwieczne *Fatum*, któremu sami podlegali bogowie. Zatém też i indywidualność człowieka, która się mocą swéj woli z pod ślepego przeznaczenia wyrwać i własną sobie torować chciała drogę, padać musiała ofiarą swéj dumy i zarozumiałości. Im dzielniéj pracował człowiek nad tém, aby się z sideł przeznaczenia wywikłać, tym mocniéj się w nie plątał, jak ów Edyp Sofoklesowy. I ta to walka wolnego, samodzielnego człowieka przeciw odwiecznemu i nieuchronnemu rzeczy porządkowi nadawała charakterom starożytnym ową wzniosłość, podnosiła takich bohaterów do idealnego stanowiska, na którém się mierzyli z potęgą od samych bogów wyższą, do owéj szczytności nadludzkiéj, która w koturnach i wielkiéj skali teatru starożytnego odpowiedni miała obraz. Że zaś charaktery takowe, jak gdyby pomimo winy w zgubną wciągnięte walkę, po mężnym dopiero ulegają oporze, albo zwątpiwszy o skutku swych usiłowań z wielką rezygnacyą ustępują, więc głównem znamieniem tragiczności starożytnéj jest cierpienie, wpośród którego wielkość charakterów wzbudza podziw i politowanie. Inny całkiem stosunek żywiołów tragicznych zachodzi w świecie chrześciańskim. Z opatrznością Najwyższą nie może się człowiek zapuszczać w walkę, bo mądrość jéj i sprawiedliwość nie ściga człowieka na ślepe, nie prześladuje niewinności. Nie walczyć z Opatrznością przystoi Chrześcianinowi, ale poznać we wszystkiem wolę Najwyższéj Istoty, czuć się w ściśléj z nią jedności i zgodzie. Kolizya więc tragiczna przeniosła się u nas na inne pole. Wolna i samodzielna indywidualność człowieka, któréj własny świat uczuć, myśli i woli jest ideałem, znajduje opór w potędze realności, w istniejącym porządku rzeczy społecznych, towarzyskich i familijnych, w formach i wyobrażeniach uświęconych wiekami, jednem słowem, w ustalonym historyzmie. Jest to walka idealności z realnością; w imieniu tamtéj staje w szranki osobiste przekonanie i wola namiętna, ta zasłania się świętością zwyczaju i obyczaju,

prawa historycznego, przekazaną powinnością. Pierwsza dopinając celów swoich choćby moralnych i dobrych, bezwzględnie i namiętnie, narusza prawa potęgi przeciwnéj; druga znów nie uznając szlachetnych zapałów i praw wolnéj indywidualności człowieka, grzeszy uporczywém obstawaniem przy prawach mniéj lub więcéj słusznych. Z takowego stosunku żywiołów kollidujących wypada, że jeśli znamieniem charakterów starożytnych w ogóle jest cierpienie, cechą charakterów Tragedyi nowszéj jest indywidualne usiłowanie i działanie w pewnych celach. Jak więc efekt tragiczności u Greków polegał na podziwianiu i politowaniu, tak u nas na tém się przedewszystkiem zasadza, że szlachetne zapały, dzielność woli osobistéj i szczytne cele człowieka widzimy rozbijające się w fali namiętności o skałę potęgi silniejszéj; widok cierpiącéj osobistości, która się dla celów swoich poświęca, przeraża serce nasze, lubo znów z drugiej strony podnosi umysł i wzbudza dla ulegającego charakteru współuczucie, a nawet poszanowanie przez to, że moralna wola człowieka raczéj mu paść ofiarą każe, aniżeli się poddać jakiejbądź świata potędze.

Rozwiązanie w tragiedyi. — Sprzeczność żywiołów i ich charakterów namiętnie obstających przy jednostronnych swych prawach, czyli węzeł cały tragiczny musi znaleść dostateczne rozwiązanie. Upaść musi na jednéj i drugiej stronie to, co jest jednostronném, niesprawiedliwém, ocaleć to, co jest prawdziwém i wiecznem. W porządku rzeczy, którym Opatrzność kieruje, nie może się ostać indywidualność porządek ten niwecząca. Owoż upadek namiętnéj indywidualności naturalném i sprawiedliwém jest sporu rozwiązaniem. Wszakże niekoniecznie śmiercią głównego bohatera kończy się walka tragiczna. Charakter, którego namiętność słuszną odnieść ma karę, może się zrzec jednostronnych zamiarów, jak w Filoktecie; albo téż przyszedłszy do uznania w złem, które popełnił, .podaje się z rezygnacyą cierpieniu zasłużonemu, jak Edyp król. Najdoskonalsze atoli rozwiązanie może nastąpić wtedy, kiedy obiedwie strony działają jako osoby z właściwemi przekonaniami i celami, i w stosunku takim wzajemnie to nadwerężają, coby szanować powinny. Opatrzność przywraca dawną harmonią rzeczy przez wymierzenie kary zasłużonéj na jednéj i drugiéj stronie. Piękny przykład takiego rozwiązania mamy już w Tragiedyi starożytnéj, jednéj może z najpiękniejszych Tragiedyi w ogóle, w Antygonie Sofoklesa. Antygona przestępuje królewskie prawa i rozkazy Kreona; ten gwałci święte prawa krwi

i miłości familijnéj; Antygona umiera, ale i Kreon surową odnosi karę przez śmierć żony i syna Haemona, kochanka Antygony. Haemon odbiera sobie życie po stracie Antygony, żona po stracie Haemona syna.

Gdzie Poeta szuka tragicznego żywiołu. — Z wszystkiego wreszcie, co się o Tragiedyi i jéj charakterach powiedziało, wypada, że najstósowniejszym dla niéj przedmiotem są wypadki i chwile życia z wyższéj warstwy spółecznéj, jako téj, która reprezentuje dziejowe żywioły ludzkości. Toż i charaktery tragiczne tym więcéj mają interesu, im wyższa sfera, do któréj należą, im wyższy cel, do którego zdążają. Podobnież i dykcya Tragiczna odpowiadać musi wysokiemu stanowisku rzeczy i charakterów; a ponieważ całość sięga w świat poezyi i idealności, więc też i forma poetyczna, do któréj należy kompozycya wierszowa, jeśli nie jest nieodzowną Tragiedyi potrzebą, to przynajmniej wielką jéj zaletą.

2) Komedya.

Ogólny charakter Komedyi. — Porównanie jéj z tragiedyą. — Komedya (Κωμῳδία) winna także początek swój gieniuszowi Greckiemu, chociaż przyczyna nazwy, którą temu gatunkowi Poezyi Dramatycznéj Grecy nadali, równie jest niejasna, jak w nazwisku Tragiedyi*). Świat Komedyi i jéj charakterów całkiem przeciwny jest temu, który był Tragiedyi zawodem, równie jak cel, do którego komika zdąża i efekt, który sprawia. Jeśli Tragiedya wyobraża walkę dzielnéj, w ogóle szlachetnéj indiwidualności z potęgami jéj nieprzyjaznemi, to Komedya przeciwnie wystawia walkę słabości ludzkiéj, głupstwa i przewrotności z siłą normalnego stanu rzeczy, z prawem i obyczajem życia tak familijnego jako też towarzyskiego i spółecznego. Zatem też i efekt komiki różny jest od wrażeń tragicznych. Cierpienie lub upadek charakteru tragicznego wzbudza podziwienie i litość, gdy tymczasem przewrotność komicznego charakteru staje się przedmiotem śmieszności. Główna akcya komedyi polega na tém, że człowiek wziąwszy sobie coś śmiesznego lub niedorzecznego za cel, chodzi około tego z namiętnością i zajęciem, jakby około czegoś wielkiego; im pewniejszy zdaje się być swego celu i mądrości użytych do tego celu środków, tym

*) Najwięcéj podobieństwa do prawdy ma rozkład wyrazu κωμῳδία na ᾠδή i κῶμος, uczta z śpiewem i muzyką, gdyż pierwotny żywioł komedyi był liryczny. Inni wywodzą tę nazwę od κώμη, wieś, gdzie przy winozbiorze komiczne sceny śpiewać miano.

głębiéj brnie w śmieszność i tym mocniéj wikle się w sidła własnego głupstwa i sprawia efekt, który komicznością nazywamy. To też kollizya charakterów naprzeciw sobie działających nie wzbudza prawdziwego udziału. Zmysłowość i powszedność świata komicznego zaprząta także raczéj zmysły nasze, aniżeli umysł. Nie idealność, ale zwyczajna realność jest komiki żywiołem.

Komiczność i efekt komiczny. — Z powyższych słów wynika, że całość ma charakter i koloryt wesołości i humorystyki; charaktery celują raczéj dowcipem i przebiegłością, aniżeli wielkością duszy i zamiarów. Samo nawet nieszczęście nie przestrasza ani do litości pobudza, bo je tylko za ambarasujący kłopot, za śmieszną biedę uważać należy, z któréj równie przypadek uwolnić może, jak ją przypadek sprowadza. W ogóle im więcéj ambarasu i zajść niespodziewanych, im większe zawikłanie w komedyi, tym więcéj interesu i komiczności. Takowe zawikłanie w komedyi nazywamy intrygą, która mianowicie powstaje przez to, że człowiek przewrotny celu swego dopiąć zamierza przez podejście innych, pozorne popieranie własnego ich interesu, gdy tymczasem w sprzeczność się wprawiwszy, sam się o szkodę przyprawia. Najobfitszego materyału dostarcza na ten cel życie towarzyskie i familijne, cała prywata familijna i majątkowa, a przedewszystkiém miłość i tysiączne słabości ludzi codziennych. Rzeczą Poety jest dostrzedz wszystkich stron dziwacznych i niedorzecznych, i obrazy z rzeczywistości zdjęte mocą swego dowcipu i humoru podnieść do najwyższego stopnia komiczności.

Przypadek i jego znaczenie w komedyi. — Rozwiązaniem kollizyi i intrygi komicznéj jest załatwienie wszelkich sprzeczności, bo przewrotność i głupstwo charakterów komicznych rozśmiesza, ale nie dochodzi do tego stopnia złości, iżby rozwiązanie surowości kary wymagało. Jak przypadek wikle akcyą Komedyi, tak przypadek również strony przeciwne do jedności doprowadzić może. Zwykle więc dobre porozumienie kończy cały zawód akcyi i rozwięzuje węzeł intrygi komicznéj.

Podział komedyi na wyższą i niższą. — Dzieli się zwykle Komika na niższą i wyższą. Komika niższa bierze swoje obrazy z świata pospolitego, reprezentuje rubaszny i gminny dowcip, charaktery pełzające w zmysłowości. Charaktery takie wiedzą zwykle o słabościach i śmiesznościach swoich, ale albo sobie w nich podobają albo też śmieszności swoich ku własnemu używają rozśmieszeniu. W wyższéj komice

wyprowadza Poeta na scenę słabości nie tak pospolite ani tak jawne, tylko raczéj zakryte i niełatwo dostrzeżone. Toż właśnie Poety zadaniem jest wydobyć je na jaw i wykazując ich nikczemność obok szumnych pozorów podać je na cel śmieszności.

Charaktery zewnętrzne komedyi. — O zewnętrznéj formie komedyi tyle tylko powiedzieć można, że lekkość tonu, jaka w niéj panuje, i pospolitość świata komicznego mniéj może koniecznym czynią układ wierszowy. Wszakże im wyższa jest komika, tym ozdobniejsza przystoi jéj szata. Dowcip bardzo nawet korzystnie wiersza użyć potrafi.

3) Dramat właściwy.

Dramat Właściwy jest mieszaniną i jak gdyby neutralizacyą Tragiki i Komiki. Będąc płodem nowszych dopiero czasów nie ma osobnego, od starożytności przekazanego nam nazwiska. Obrazy jego i charaktery są poważne, podobnie jak w Tragiedyi, ale nie mają téj wzniosłości i tych wielkich celów, dla których cierpią charaktery tragiczne. Szczęśliwe rozwiązanie, którém się Dramat właściwy najwyraźniéj różni od Tragiedyi, toż i niektóre rysy lekkości i naiwności, czynią fizyonomią jego nieco do Komedyi podobną; atoli osnowa całéj akcyi nie ma z komiką nic wspólnego. Daje więc Dramat właściwy obraz życia czynnego, ale powszedniego; wystawia charaktery z strony poważnéj, ale ani tak wielkie, iżby podziwienie i szacunek w nas wzbudzały, ani tak namiętne i pełne poświęcenia, iżby życie za cele swoje oddać były gotowe. Dla tego téż rozwiązanie dramatu jest w ogóle szczęśliwe: bo główny czynności bohater albo opuszcza dość wcześnie drogę do zguby prowadzącą, albo też zwycięża niedość potężne przeszkody lub opór niesprawiedliwy. Koniec takowy wymaga i zawikłania mniejszego, tak iż głównem Poety zadaniem jest dokładne skreślenie charakterów. Jakoż powiedzieć prawie można, że tylko dokładność charakterów wyższego rzędu nadaje Dramatowi takiemu wartość i to wzięcie, jakiego doznaje w czasach dzisiejszych mniéj idealnych, wśród indiwidualności mniéj zdolnych do tragicznych poświęceń.

4) Opera.

Operze przypadałoby właściwie miejsce wstępne na początku Poezyi Dramatycznych w ogóle, gdzieby jako Dramat z Liryką w parze idący stanowił przejście i granicę między Liryką a Dramatyką. Ostatnie to miejsce zajmuje

jedno dla tego, że mieszcząc w sobie wszystkie trzy gatunki poprzednie wymaga pierwéj rozpoznania tychże. Nie jest więc Opera nic innego, jak tylko Tragiedya, Komedya lub Dramat z śpiewem i muzyką. Nie tracąc nic z charakteru trzech tych rodzajów, tym tylko zmianom podlega, które żywioł muzyczno-liryczny za sobą pociąga. Ponieważ charaktery muszą mieć czas i sposobność do wylania wnętrza swego i uczuć za pomocą śpiewu i towarzyszącéj mu muzyki, przeto akcya nie może być ani zbyt prędką ani zbyt zawikłaną. Poeta stara się owszem wprowadzić osoby działające w takie sytuacye, gdzie namiętności i uczucia swoje wyśpiewać mogą. W ogóle nawet żywioł muzyczno-liryczny tak dalece w Operze przemaga, że słowa i dialogi, które w innych Dramatach głównym są akcyi środkiem, w Operze za część prawie tylko pomocniczą uważaćby można. Wszakże niestósunek ten pomiędzy textem a muzyką jest raczéj słabością aniżeli zaletą Opery.

Przegląd Dramatów Polskich. Naród Polski, który większą część wieków historycznych przeżył życiem sielskiém lub też, że tak rzekę, patryarchalno - rycerskiém, do Epiki sposobném, w ostatnich czasach zatopił się w głąb uczucia stwarzającego wzniosłe pieśni liryczne, naród ten nie doszedł jeszcze do tego stopnia powszechnego ukształcenia umysłowego i socyalnego, jakiego wymaga trudność zawodu dramatycznego. Wszystko, co dotąd w tym rodzaju Poezyi posiadamy, uważać należy za chlubne próby zwiastujące bliską dojrzałość. Pomijając ślady widowisk z XIII. wieku w pomnikach prawodawstwa kościelnego zadokumentowanych, tudzież *Dyalog Duminikański* z r 1563, a nawet *Jana Kochanowskiego* Odprawę posłów, zaczynamy jakąkolwiek Dramaturgią naszę od wieku XVII. w którym Dramaty francuskie tłumaczyć i naśladować zaczęto. Pierwszy, co nas obeznał z teatrem francuskim, był *Jędrzéj Morsztyn* około 1650 Już nieco samodzielnie wystąpiła *Franc Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa*, która pisała i tłumaczyła Komedye i Tragiedye. *Wacław Rzewuski* z lepszym już nieco gustem napisał dwie Tragiedye: Żółkiewski i Władysław pod Warną, tudzież komedyą: Dziwak i Natręt. W wieku XVIII. *Franciszek Bohomolec*, Jezuita: Komedye dla uczniów i Operę: Nędza uszczęśliwiona. *Józefa Bielawskiego* (ur. 1740. † 1809) mamy dwie komedye: Natręci i Dziwak; *Franciszka Zabłockiego* (ur. 1754) komedye: Fircyk w zalotach, Zabobonnik, Żółta Szlafmica i Sarmatyzm; *Wojciecha Bogusławskiego* (ur. 1760, † 1829.), znakomitego Dramatyka i Aktora: Dzieła Dramatyczne zawierające także Operę: Cud czyli Krakowiacy i Górale; *Juliana Ur. Niemcewicza*: Tragiedye i Komedye. Do epoki przedmickiewiczowskiéj należą: *Franciszek Wężyk* wydał tragiedye: Gliński, Barbara Radziwiłłówna, Bolesław Śmiały i Wanda; *Alojzy Feliński* (ur. 1771, † 1820) Tragiedyą: Barbara Radziłłówna; *Ludwik Kropińki:* Tragiedyą: Luidgarda *Jan Nepomucen Kamiński*. Zabobon czyli Krakowiacy i Górale. W najnowszéj epoce sztuka dramatyczna polska dosięgła wprawdzie pewnéj miary rozwinięcia i doskonałości, ale nie wzniosła się jeszcze po nad poziom szczęśliwych początków. Pomijając exaltacyą

skażone próby dramatyczne Dominika Magnuszewskiego (np. Barbara Radziwiłłówna) zasługuje szczególniej trzech poetów dramatycznych na wymienienie: *Alexander Fredro* (ur 1793); Nowy Don-Kiszot; Geldhab; Zrzędność i przekora; Mąż i żona; Cudzoziemczyzna; Śluby panieńskie; Gwałtu co się dzieje; Damy i huzary; Pan Jowialski i inne; dalej *Józef Korzeniowski*: Mnich (tragiedya); Umarli i Żywi Karpaccy Górale; Żydzi; Andrzej Batory; Cyganie; Wąs i Peruka; Okrężne; Narzeczone; Doktor medycyjny; Stacya pocztowa w Hulczy; Majątek albo imię; Plotkarz; Podróżomania i wiele innych; nareszcie: *Juliusz Słowacki*: Mindowe; Marya Sztuart; Mazeppa; Beatrix Cenci i inne. — Inni dramatycy: *Stanisław Bogusławski*: Krewni; Lwice Warszawskie; Stara romantyczka; Opieka wojskowa; Alexander hr. Przezdziecki; Halszka z Ostroga; Jadwiga; Kapitalik. *J. I. Kraszewski*: Halszka z Ostroga; Tenczyńscy; Stare Dzieje; Miód Kasztelański; Książę Radziwiłł Panie Kochanku; *Antoni Małecki*; List żelazny (tragiedya); Grochowy wieniec; *Jan Chęciński*; Szlachectwo Duszy; Porządni ludzie; Po obiedzie; Cicha woda brzegi rwie; *Mieczysław Romanowski*: Popiel i Piast; *Wacław Szymanowski*: Dzieje serca; *Apollo Nałęcz Korzeniowski*: Dla miłego grosza; *Zygmunt Chlebicki*: Po naszemu; *Władysław Anczyc*: Chłopi i arystokraci: Łobzowianie; *Władysław Syrokomla*; Chatka w lesie; Kasper Karliński; Jan Kazimierz; *Józef Szujski*: Dzierzanowski; Halszka z Ostroga; Jerzy Lubomirski; Zborowscy; Mistrz Twardowski

---

Wzory Poezyi Opisowéj.

I. Dział Przedmiotowo-Opisowy.

I. Powieści Epiczne (Gawędy) i Epopeja.

MARJA.

Powieść Ukraińska*)

przez

ANTONIEGO MALCZESKIEGO.

PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie:
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.
Jan Kochanowski.

I.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem Ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swéj lubéj co czeka wśród niwy,
Nucąc żałośną dumkę lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojéj twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niéj radość;
Gdy koń, co jak ty, dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu z swą mażą skrzypiącą —
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty czarna ptaszyno co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

---

*) Powieść ta osnuta jest na rzeczywistém zdarzeniu zaszłém około r. 1771. między familią Jakóba Komorowskiego, Kasztelana Santockiego, a Franciszka Salezego Potockiego, wojewody Kijowskiego, którego syn Stanisław Potocki, Starosta Bełzki, pomimo woli ojca pojął był za żonę córkę rzeczonego Komorowskiego. Dumny Wojewoda kazał swą synową uwieść, a w drodze ją utopiono.

II.

Pędzą — a wśród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od Niebianów gońca —
I długo, i daleko, słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołéj szlachty ni rycerstwa głosy.
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojéj staréj sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niéj słowa,
Które Duch dawnéj Polski potomności chowa —
A gdy cały ich zaszczyt, krzaczek polnéj róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?

III.

Minął już kozak bezdnię, i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jéj wzgòrek znany,
Bo pod nią już od dawna upiór pochowany).
Uchylił przed nią czapkę, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rześki, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął, i wierzgnął, i daléj pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje —
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumi —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżéj się nie przesuwają pierzchliwo sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiéj kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza:
O! któż mu tam przynajmniéj pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze — pośpiech nakazany;
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany:
Pan Wojewoda z synem od dawna w rozprawie,
Długo teraz rozmawiał, — i bardzo łaskawie;
A jednak — żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,
I łzy czułéj rozpaczy i pychy zapału
Płynęły — często — gorzko — ale bez podziału.
Już inaczéj w tym zamku — znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, naddziadów wspaniałość;

Już wśród licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty, (długo niewidziany,)
Zeszedł pan Wojewoda bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić —
Zdawał się więcéj synem, niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię —
Świetna mowa, dla ludzi — imię znakomite —
Co w sobie to na zawsze dla wszystkich ukryte:
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłém wzruszeniu,
W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie — uśmiech igrał na poważnéj twarzy;
A w oczach się mignęła szybka dzika radość,
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę — choćby na mrowisku.
Spocznie? — oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

V.

Do późnéj nocy w zamku zgiełk i tentent trwały;
Do późnéj nocy trąby i wiwaty grzmiały:
Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły ślkniły od srebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty —
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodyą przebiła się czasem.
Do późnéj nocy twarze — ostre — malowane —
Przodków w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących — i rzucać wąsami.

VI.

W ustach mieszka wesołość—w oczach, myśl zgadnienia—
W głębi to, w głębi serca, robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze,
I Pycha, i Pochlebstwo, śmieją się — nie szczerze.
Może tak w dawnym zamku — bo w rznięte podwoje,
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już ucichli surmacze; Sen szczęście osłania;
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;
A jeszcze — w bocznéj skrzydle obszernéj budowy
Gdzie dzielny Wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,

Jak w jaszczur kryją kamień którym duma błyska —
Jeszcze stuk chodu słychać — lub ciężkie westchnienia
W przerwaném tępotaniu, wracają sklepienia.
Nikt tam nie zawołany wnijść się nie poważy —
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy —
Tam może brnąć już w rozpacz, w niezwykłéj niemocy,
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jéj czarném tchnieniu chciał gdzieś znaleść rękę
Krwawéj zgubnéj przyjaźni — lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczów sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wązkie okno — patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanéj zbierały wyprawy;
Słuchał budzącéj trąby i wojennéj wrzawy:
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowéj pościeli,
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszem spojrzeniem
W lśniącéj stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywéj słodkiéj nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie:
Nie dla niego — on nie chciał na widoku zostać —
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennéj nocy — poranek rozprasza.

VII.

Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy —
Mężnego towarzysza, wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje; i szybkim obrotem,
W ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrzmiała długiém echem do sklepienia drżąca —
Aż łagodniejszą ziemię, lżéj kopyto trąca;
I ciszéj, ciszéj brzęcząc — już słabo — z daleka —
Głuchy dochodzi odgłos, i coraz ucieka.
Dopiero to na polu — gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce — bujają wesoło;
I pstrym swoim proporcem nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią:
Tysiące piór, kamieni, w blask w farby się stroi;
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;
A na ich bystrych oczach siedziało Zwycięztwo,

A na ich serc opoce kwitły Wierność, Męztwo,
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec.
Lecz któż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec
Lniane chcą cienić włosy? oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy, i jaśniejszy od chwały połysku,
Ten blask — co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech — w którym może choć część zachwycenia
Z jakiém wybrani słyszą Cherubinów pienia.
Na lotnym jechał koniu — i nad jarów brzegi,
Poprowadził w porządku milczące szeregi;
Znikli w zarosłą przepaść — aż krążąc parowy,
Jeszcze raz, świetne z krzaków ukazali głowy;
Jakiś na wzgórku rozkaz młodzieniec dał znakiem —
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali,
Wietrzyk z rosą jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII

I ciche, puste pola — znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze:
Włóczy się wzrok w przestrzeni; lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie;
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci —
Czasem kracząc, i wrona i cień jéj przeleci,
Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny zaświerka,
I głucho — tylko jakaś w powietrzu rozterka.
To jakże? Myśl przeszłości w téj całéj krainie,
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie;
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie — chyba lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne co zardzałe leżą,
I koście, co nie wiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozległe w świeżem jeszcze ciele;
Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak Rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez granic.

IX.

Pod staremi lipami, Miecznik dumał stary;
I dźwigał w zwiędłéj głowie utrapień ciężary:
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiźnie,
Niosł i jasne barwy gdy służył ojczyznie —
Ojczyznie! któréj imie wśród boju i rady,
I spornego wyboru, i hucznéj biesiady,
Czystym gorzało ogniem — a serce. jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!

Ale czas świetnych uczuć już ściemniał — éj! minął,
I boli tylko życie a kwiat jego zginął.
Dumał — i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożącéj sromoty;
O! póki tchu przynajmniéj, tak łatwo i marnie
Płomień zawzięty pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie!
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!
Lecz potém? — dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci — gniewu — a może i wzgardy.

X.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jéj uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości.
Którego całym blaskiem — uśmiech Cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, wpośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka, jéj lica zrumieni,
To tak mdłém, bladém światłem — jak gdy księżyc w pełni
Niezwykłém życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień,
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień:
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte a świeci jak zorza.
Podobna do owoców Umarłego Morza,
Po których śliczną farbą, wśród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, — znajduje — popioły.
Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu;
Ani łzy, ani żalu, w jéj mglistém spojrzeniu;
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłéj nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jéj oczach paliła,
I zgasła, — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary; i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonéj Pokory;
I drży nić, którą serce do nieba związane:

To kropla słodkiéj rosy upadła w jéj ranę. —
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie Przyszłość do Przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo,
Rozbłąkanéj w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodła,
Tęsknić szlachetnéj duszy do swojego źródła!
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jéj twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,
Których dla Wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie —
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną:
I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał — też samą rękę, wieczną niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka;
Też same zawsze troski wygnańca — człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

XII.

Ojcze! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
„Obłąkałem się dzisiaj — a na twojém czole
„Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
„A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
„Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry
„Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
„O! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa?
„Tu — na łonie; nie bój się — teraz żal nie spływa,
„Jak wtedy coś w mych rękach usnął zmordowany
„I wstał, schylonéj córki łzami zapłakany!
„Sroga nieszczęść igraszka: — i tak zżółkły parość
„Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
„I tak zaparte czucia długiém uciśnieniem,
„Rwąc tamę méj rozwagi, lały się strumieniem.
„Ah! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
„Widzieć Rozpacz grożącą, i nie módz się wrócić!
„Ah! jakże to okropnie w przymusie zostawać,

„Ręką co chce lekarstwo, truciznę podawać!
„Ojcze! drogi mój ojcze! czyż już żadnéj chwili,
„Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
„Gorzka jéj była dola — ale to już przeszło:
„Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
„I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniéj,
„I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu — jak dawniéj.
„Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
„Tak lube! tak ulotne! i mojego tata
„Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
„Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa;
„I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie —
„Póki się nie rozjaśni, i śmiać się nie zacznie.
„I gdzież to się podziała téj dziewczynki władza?
„Pierwéj zganiała chmury, a teraz sprowadza;
„I gdzież to żywy, czysty stromyczek upłynął?
„Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął;
„A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca?
„Chciał w ogniu piórka złocić i więcéj nie wraca.
„O! póki ten co w moim na zawsze był sercu,
„Nim go moim nazwałem na ślubnym kobiercu —
„O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
„Brzmić w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać
„W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
„Było więcéj niż szczęście, było dla mnie niebo —
„Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
„Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
„Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
„Zostawił łzę wdzięczności, któréj czas nie zmiecie,
„O! póki ten mój miły ten świat mojéj duszy,
„Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy,
„Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
„A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;
„Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko:
„Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
„Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
„I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
„I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie —
„Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
„W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze.
„Ludzi już nie zobaczą — lecz niebo łaskawsze!“
Rzekła — i jak w stojącéj a popsutéj wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadłe na spodzie,
Z serca jéj wyszły czucia co w łzach długo mokły, —
I zielonym odcieniem jéj bladość powłokły.

„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
„Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
„Wolałbym w ciemnéj turmie pewnéj czekać zguby,
„Niźli patrzyć spokojnie na te smutne śluby:
„Alboż to naszéj Polsce braknie na młodzieńcach,
„Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
„I tak jak dawniéj było — rycerskie kolano
„Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
„Nie, Marjo! nie trza wzdychać — twego nie obrażam;
„Mężny jest i cnotliwy — wiesz że go poważam;
„Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
„A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
„Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem
„I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem;
„Także to u naszéj szlachty dawne przywileje,
„Skrzesać ognia w pałasze gdy Przyjaźń ściemnieje. —
„Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie;
„A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
„I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
„Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy;
„I gdyby twoja Matka, (daj jéj niebo Panie!)
„W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie;
„A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem.
„Nie zawarła tych związków z swym matron orszakiem —
„Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować:
„Anibym jego złości dozwolił grasować.
„Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa —
„A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa!
„Dla staréj karabeli zbyt to wielkie dziwy,
„Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
„Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
„Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił?
„Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania:
„I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania!
„O! co tak to najlepiéj! i mnie to rozwiąże —
„Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę;
„Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą:
„To w końcu téj tam waśni — dzwony się odezwą
Otarł znużone czoło, czapkę głębiéj wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie a we wsi psów wrzawa,
Skąd to kozak przypędził że taka kurzawa?
I zsiada — i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.

Na ogorzałéj twarzy ostrych chwil wspomnienie:
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona.
I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
Wśród wiodącéj go zgrai jak władca wygląda;
Zwinne jego obroty, kroki jego letsze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,
A barania mu czapka, za każdém ruszeniem,
Miga gdyby chorągiew czerwoném płomieniem —
Pomiędzy chwast, zarośle — gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu —
Aż przed pana Miecznika stawi się orszakiem.
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!
„Czy masz pismo?" „Jest Panie, — i jeszcze list wczora
„Oddałby nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,
„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał, —
„To żeby was z Jéjmością Bóg od złego zbawiał."
„Że wasze mi z listami spóźnił się — to gorzéj:
„Czyj kozak co się djabłów albo ludzi trwoży?"
„Alboż wam nie świadoma krasnych czapek sława,
„Co z rodu panom wierna? — czyj? — Grafa Wacława."
Czyta Miecznik: gdy w Marji ocknioném wejrzeniu,
Nie czcza tylko ciekawość — życie w przesileniu;
Jéj łono podniesione w lekkiéj pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali;
Jéj lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym lecz przykrym blaskiem — jak suchot kolory.
„O kozaku i koniu niech mają staranie!
„Ja wraz listy odpiszę — waszeć czekaj na nie."
Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne czarne oczy spojrzał rozczulony;
Skłonił nisko Ichmościom; i co bądź się zdarzy,
Kozak z służbą odchodząc — wesoło im gwarzy.

XIV.

„Niechaj kto ludzi zgadnie! — jeśli to nie zdrada
„To mojéj biednéj Marji radość zapowiada.
„Pisze mi Wojewoda w cukrowych wyrazach,
„Że mamy już zapomnieć o naszych urazach;
„Że żałuje za grzechy — nie tylko ogłasza
„Swój affekt dla synowéj, ale w dom zaprasza:
„Więcéj jeszcze — takiego jak mówi zamęścia
„Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia:
„Pragnie więc żeby wprzódy w wojennéj potrzebie,
„Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie:

„I gdy właśnie Tatarzy grasują w téj stronie,
„Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;
„A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
„Że tę co umie kochać — potrafi ocalić!
„Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć." — „Dziś? ja go zobaczę?
„O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
„Ale na cóż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
„Że śmiały i szlachetny nie widać od razu?"
„Jednak to rzadko ludzi jak Pan Wojewoda,
„Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!"
„Ojcze! ja taka blada — on mnie się przerazi;
„Może się dużo zmartwi — może się obrazi —
„Trzaby się trochę przywdziać — jakże znajdujecie?
„Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!"
„Czekaj, czekaj — przed siecią nie złapiesz szczupaka;
„Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka:
„Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
„A dla czego wżdy siedzę? bo się w zad oglądam;
„Zobaczym tych rycerzy — mnie się wszystko roi,
„Że jakieś mataczyny Wojewoda stroi."
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie;
Słychać z dala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie:
Już wyprzedziwszy hufce co w wolnéj szły mierze;
Stanęli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.
„Wacław!" krzyknęła Marja — i prędzéj niż strzała,
Kirem odkryta postać do niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświeca,
Młode szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodném spojrzeniu jaśniało wspaniale,
Wdzięczne serce młodzieńca w całéj swojéj chwale!
I na tle przezroczystém pociechy rozlanéj,
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanéj:
Mężny — wyniosły — miły — po niszczącéj burzy,
Różowy blaskiem tęczy co mu przyszłość wróży —
Z jakąż lubą rozkoszą w każdéj żyły biciu
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką, tkliwe, drżące łono,
Skrytéj, cichéj pieszczoty, utulił obroną!
Precz złocisty luzaku — weź tego rumaka —
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.
A ty panie Mieczniku spocznij — moja rada;
Kręci się łza w twém oku i na wąsy spada,
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja? — ah! i Marja czuła się szczęśliwą!

Szczęściem niewiast, — dla których słodkie w życiu chwile,
Są jak pogodne niebo — gdy piorun grzmi w tyle!

XVI.

„No panie zięciu!“ Miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami:
„W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechę wodzi;
„A ledwo witać zdążysz — żegnać się przychodzi!
„Tą razą, nie na długo - mężnie się postawim,
Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim:
Dobrze mówią że twarda powinność rycerza —
„Kiedy mu zwłaszcza Miłość wygląda z pancerza —
„Alež po krótkim znoju, spokojnéj swobody
„Użyć bezpieczniéj można na wesołe gody,
„Skoro dom mój uczciło takie lube goście;
„I w kielich się uderzy — i nie będziem w poście.
„Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
„Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni —
„Pieprze, bobki, imbiry, cykaty*), szafrany;
„Bo to ten piękny rycerz w bakaljach**) chowany.
„O winie ja pomyślę — i gdy w onym stawie,
„Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,
„Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia,
„Tatar rosę pić będzie — ja za zdrowie zięcia!“
„Co teraz to was żegnam; po ciężkim frasunku,
„Milsza jeszcze pomyślność — na cnoty kierunku!
„Ja ludziom oręż rozdam, siebie téż przysłonię,
„Ale jak w trąby wrzasną — to zaraz na konie!„

XVII.

Poszedł — na świetném, zimném rycerza ramieniu
Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnym cieniu:
Czarne warkocze dźwięczą bo w łusce pierś harda
Giętką kibić nie ciśnie choć ściska dłoń twarda;
Stalowa odzież — w świecie i Przyjaźń złośliwa,
Wdzięczne serce — to Miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych lic, czułém, chciwém okiem,
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył? i znowu nie wierzy,
Czy mu Czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczny połysk co jéj oczy krasi,
Nieznikomy — bo z duszy — chyba go Śmierć zgasi:
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł; i posępną radość,
Co przy żałobnéj szacie aż ćmi przez swą bladość;
I słodki w górę uśmiech — boleści wdzięk cały;
I na tle czystem — plamy — co łzy wymaczały;

*) Skórki cytrynowe, cukrem zaprawne. **) Frukta osobliwe.

Szczęście się jego prędko owlokło jéj chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy — niż u czapki pióro.
„Gdym w stepowéj i w dzikszéj umysłu pustyni,
„Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini;
„Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady:
„A koń bił się do domu przez wicher i grady.
„Tyś dla mnie zeszła Marjo! i w brzasku mych myśli,
„Świetną drogę twe światło ku niebiosom kryśli,
„O! szczęśliw—pyszny—wdzięczny—że w zalotném gronie,
„Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
„O! błogi, że w twém sercu przez mokre źrenice,
„Życia — czucia — Aniołów — czytał tajemnice!
„Lecz czemuż ta mgła smutku, któréj ciężkiém tchnieniem
„Ja oddychał, — i ciebie okryła swym cieniem?
„Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie,
„Tobie mdłym pachnąć kwiatem w krótkiej swojéj wiośnie?
„I mnie wydarli wszystko — i więcéj niż tobie —
„Ty do nieba należysz, ja się błąkał w grobie;
„A czarném pędzon widmem, gdym jasność postradał,
„Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
„Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
„I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować;
„Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
„I nie jeden pokrewny oblewał posoką;
„Toby w sercu osiadły ten dym i ich Cienie —
„Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!
„Nie drżyj — wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył;
„Jeszcze pierwéj — jak tylko, żeś moją, oświadczył,
„Tak mi tém jednem słowem serce usposobił,
„Jak gdyby mi — nikt — nigdy — nic złego nie zrobił.
„To wziąwszy moją szablę, któréj blask odsłonię
„Nie prywacie, lecz twojéj i kraju obronie;
„To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
„Tak szybko mnie unosił — jechałem szczęśliwy.
„Oh, z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
„Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem!
„Ty nie wiesz — ty co umiesz bez chluby łzy koić —
„Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
„Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować
„W których wspomnieniu umysł chciałby istność schować.
„Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
„Jakbyś się do Aniołów myślała już dostać;
„I w nowém udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
„Prawie się spytać pragnę — czy mnie kochasz jeszcze?“
„Czy Marja ciebie kocha? mój drogi, mój miły,

„Więcéj niż kochać wolno, i niż mogą siły;
„Więcéj — niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
„Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość:
„I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą,
„I gdyby nie ich strzały co mi w uszach świszczą,
„Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
„Jakbym w twojém objęciu leciała do nieba.
„Czy Marja ciebie kocha? pytaj się jéj cienia,
„Czém dla Marji swiat cały bez twego spojrzenia?
„Czém dla Maryi świat przyszły — bez twego wspomnienia?
„Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą,
„Zniżona całém czuciem przed Stwórcy potęgą,
„Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
„Zaraz mi brzmiało, jakby — twego żalu echo!
„To może Pan Bóg skarze tak żywe kochanie,
„I Tatarska ci strzała w serce się dostanie;
„Widzisz ten jasny promień? co z liści osnowy
„Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
„Ten promień żywi — zdobi — każdego weseli,
„Czemuż gdyśmy złączeni — on jeszcze nas dzieli?
„Próżno, próżno, mój luby — choć usta z ustami
„Patrzaj — chyli się z liściem, i jest między nami:
„Ah! wśród uniesień bitwy i zwycięztwa wrzawy,
„Przypomnij sobie drogi, że promień twéj sławy
„Tak czysty, taki świetny, jak słońca na niebie,
„Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie —
„Oh! niechaj pierwéj Marją w ciemnościach zagrzebie!
„Nie prawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
„Stały, wytrwały, dzielny, — ale i uważny:
„A gdy już moje oczy wdrążone zgryzotą,
„Długą patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą;
„Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali —
„To może się na miłość Wacław nie pożali?
„Cieszyć się twą radością — twój smutek łagodzić —
„Nie myśleć, tylko o tém w czém tobie dogodzić —
„Być twoich chwil osłodą — czasem ich ozdobą —
„Żyć dla ciebie i w tobie — umierać przed tobą —
„I w téj ostatniéj chwili, choć w cierpień natłoku,
„Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojém oku —
„A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojéj pamięci —
„To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
„Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję;
„I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,
„W tkliwéj, smutnéj, jak lubisz, unosząc się nucie,
„To co nikt nie wyraził — przywłaszczym uczucie.

„Ah! — z jak okropną trąby zagrały żałobą!
„Oh! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie z sobą!"

XVIII.

Padła w drogie objęcie, i wygiętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić.
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona —
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niém czuł bole.
Nie — zostać niepodobna — chyba sławę skazić,
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczy swéj kochanki hartować swą stałość!
Ani jéj wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie;
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rozpięte znaki, zwycięstwo ucieka.
Powstał — złożył swą lubę — dzikim ogniem błysnął —
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jéj szczupłe, gładkie, rozkoszne ugięcie,
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł — wziął spokojność—przed wzrokiem co czuwa,
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa;
Już w jego próżném miejscu, zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, Samotność usiada;
A na odłogu szczęścia, Zgryzota korzeni,
Swe kolczyste łodygi robaczliwéj zdrzeni.

XIX.

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław — i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło.
Stary Miecznik — i w pędzie zawinął nim koło.
Za nimi brzmią puzany — za nimi, za nimi,
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi;
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara —
Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara,
Pancerni i husarzy — za nimi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziecię z pod słomianéj strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może dziki owoc zerwie potém wojna:
A ty matko co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna,
Nie trwóż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami,
Zapał Polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze — jeszcze słuch, łoskotem,

Drga dźwięcząc przygłuszony i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada — jeszcze przerywanie,
Zdala wojennych rogów dolatuje granie.
I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kryśli;
I pusto — smutno — tęskno — jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać, do góry, do góry,
Nic nie widać — tylko wiatr szare goni chmury;
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczów w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie,
I pusto — smutno — tęskno — jak gdy szczęście minie.

PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest,
And stupor almost lulled it into rest.
Byron.

I.

„Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
„I wzrok daleko, próżno, błądzi po równinie;
„A w niezbędnéj zgryzocie jeśli chcesz osłody,
„Chmurne na polu niebo, i cierpkie jagody.
„Idź raczéj, w piękne mirtów i cyprysów kraje;
„Codzień w weselnéj szacie u nich słońce wstaje;
„U nich w czystém powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
„I głosy rozpieszczone, i rozkoszne tchnienie:
„U nich wawrzyny rosną; i niebo pogodne,
„I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne;
„A na kształtnych budowlach, męże wieków dawnych
„Stoją w bieli — i pyszni z swoich imion sławnych,
„Zapraszają zdaleka w czarowne zwaliska,
„Bogów i bohatyrów — pająków siedliska.
„Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
„Może w ten śliczny błękit w patrzywszy twe oko,
„Słodycz w rozpaczy znajdziesz, i lubość w żałobie,
„Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnéj chorobie;
„Ale na pola nie chodź gdy serce zbolało;
„Na równinie mogiły — więcéj nie zostało —
„Resztę wiatr Ukraiński rozdmuchał do znaku —
„To siedź w domu, i słuchaj dumek o kozaku."
„Moje młode pacholę gdzież to ty wędrujesz?
„Czy z Ziemi Świętéj wracasz że tak utyskujesz?"
„Oh! nie—ja wszystkim obcy wśród mojéj ojczyzny—
„I Śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny —
„I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze —
„To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.

„A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę;
„A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę;
„Bo w mojéj zwiędłéj twarzy zamieszkała bladość,
„Bo w méj zdziczałéj duszy wypleniono radość,
„Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy."
„To czegoż chcesz pacholę?" „Uciec od Rozpaczy."

II.

Stało młode pacholę, pod płotem zostało,
Na smutek co się skarży uważają mało,
A ten co z niém rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczérzył w inną stronę wzrok cały otwarty —
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakiem, zbliżały się maski.

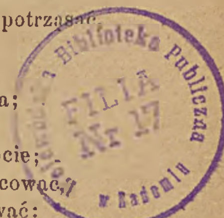
1.

„Czy znasz Weneckie zapusty?
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie;
„Maska twarz kryje — a kto się pyta
„O sprawy czyje, tego przywita
„Wrzawa, śmiech pusty.
„Żywo, radośnie,
„Skrycie, miłośnie,
„Staruszek Doża, Arlekin młody,
„Dziewczyna hoża, szuka osłody;
„Matrony..... oszusty.
„Swobody.
„A kryte łodzie
„Czernią na wodzie.
„Wrzawa, śmiech pusty:
„Czy znasz Weneckie zapusty?"

2.

„My sobie jedziem kulikiem;
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie:
„Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć
„Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
„Śmiechem i krzykiem.
„Szczera ochota
„Otwiera wrota;
„Bo Krakowianki, i pielgrzym stary,
„Żydzi, Cyganki, uderzą w pary;
„Wróżki, Djabli, nie oszusty,
„W puhary:
„Lecim saniami,
„I jadą z nami,
„Wrzawa, śmiech pusty;
„Czy znasz ty Polskie zapusty?"

„Ale tu wejść nie można — teraz nie zapusty —
„Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty."
Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość;
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać,
Poczęły wszystkie larwy — a nogami pląsać;
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe — w migające koła;
I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie;
I skoczno, zwinno, huczno, rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącéj głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział, jak się pomiarkować:
Śmiał się z Żydów, Cyganek; bał Wróżek z Djablami;
I chciwie łapał ruchy — i mrużył oczami. —



A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce — zatrzymały nogi —
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem.

„Ah! na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się legnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy się troski do duszy wkradną,
„Hucząc w niéj chmury czarnemi;
„A gdy nieszczęścia na kogo spadną;
„I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
„Smutek nachyli ku ziemi;
„O! niech na chwilę Złość się już schowa,
„Rany sztyletem nie cuci...
„Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
„Wróci spokojność — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„Albo gdy nieba cud nad chorobą,
„Gołąb — od przekleństw odleci;
„I władzę życia zabierze z sobą;
„A wyschłe lica nadmie żałobą,
„Wprzód nim gromnica zaświeci;
„Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
„Tryumfu pieśni nie nuci...
„Chyba te słowa w końcu umieści;
„Wróci twój Anioł — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto chętny w drugich obronie,
„I sam się w przepaść zagrzebie?
„Krótka stąd radość w Zawiści łonie;
„Choć złe i dobre w grubéj zasłonie,
„Sąd ostateczny jest w niebie;
„Może w kłopocie, i silna głowa
„Posępnie kiedy się rzuci...
„Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
„Wróci wesołość — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto dążąc z dalekiéj drogi,
„W mieszkanie Przyjaźni zajdzie?
„I już w uściskach topić ma trwogi?
„Lecz ciche, puste, przebiegłszy progi,
„Twarzy kochanéj nie znajdzie;
„Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
„Spuszczone czoło zasmuci...
„Niech choć Gościnność kręcąc się powie:
„Wróci gospodarz — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie."

„Ha! — Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie Duchy,
„To wasze pstre maszkarki wesołéj otuchy;
„Alboż to nam pierszyna? wszak nieraz kuligi
„Po całych tu miesiącach skakały jak frygi*):
„Prosim — Jegomość wróci — a choć nie jest w domu,
„Na winie i pierzynie nie braknie nikomu."
Weszły — nisko kłaniają — w parach sie prowadzą —
Obzierają się w koło — i kupią, i radzą.

III.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szaro barwiło obłoki;
A żółtém drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie:
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie
Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie;
I w krótkiém pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzyć pozwala na siebie:
Jeszcze — w chwili ostatniéj nie znika z pośpiechem,
By wszystkie twory, życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknéj Przyjaźni co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury —
Gdy Noc, zazdrosnym palcem ścierając Dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu, dla zbrodni i zdrady.

Lecz gdzież bawi Pan Miecznik? właśnie to jest pora,
W której przyrzekł po bitwie wziąść się do gąsiora;
I miał żywéj radości w sercu nie uchować,
Dom zebrać, córę szczęścić — bo zięcia częstować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę:
Jakąż niewczesnéj zwłoki może dać przyczynę?

*) Wartałki.

IV.

Od chwili co zwycięstwa odkryła się meta;
Od chwili co w niéj dosiadł żartkiego dzianeta*);
Od chwili w któréj trąby, w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnéj przeszłości jak grom uderzyły;
I widział raźną młodzież — i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni;
I dążąc w drużbie z zięciem gdzie im sława świeci,
Czuł to co stary orzeł gdy pisklę z nim leci:
Od chwili co mu w myśli, wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem —
Hardość w zmarszczoném czole, ogień był w źrenicy,
Czapka na lewém uchu, zniszczenie w prawicy,
Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie strząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś — mieczem z pochew świsnął;
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,
W bitne hufce patrząjac że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie.
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!
„Wiem żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi;
„A ktoby się miał straszyć Tatarskiego tańca,
„A ktoby życie szczędził srogiego pogańca,
„Niech mi tu precz na szkapie do domu wyskoczy —
„Bobym mu potém kordem zamalował oczy!
„To szybko, łącznie, śmiało — strzałki wystrzelają —
„Bóg wiara — ufność szabla — i łby pospadają,
„Jak kłosy co to niby migocą się świetnie,
„Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
„Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
„Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie;
„To cicho — bacznie — mądrze — aż gdy huknie w trąbie,
„Wpaść obces, i pokazać że to Polak rąbie:
„Wtedy dopiero każdy niech mi ryb nałowi,
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!“
Potem jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze;
Mówił szpiegów wywiadki; tłumaczył jak, kędy,
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy;
Jak korzystać z zwycięztwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru;
Słuchał zajęty Wacław — gdy ręka, i głowa,
I każdy rys Miecznika, popierały słowa;

*) Konie dobréj rasy.

Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza,
Żywość w starcu, w młodzieńcu Rozwagę wyraża.

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitéj schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiéj, wpędzali w odłogi; —
Gdzie Wiatr ziarna zasiewa, Czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu Chciwość, ni schyla się Praca —
Samotne — ciche — błogie - dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki,
Niebo je obejmuje — gdy w całym przestworze,
Rozfarbionéj żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca,
Szybował swojém wojskiem w kierunku bez końca;
Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła:
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie;
Ni lubość tchu słodkiego w groźném biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się w wieść dozwolił w fałszywe zapędy,
Gdy zszedł Tatarskich śladów kręcone obłędy —
Co wśród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnéj poznaki —
Lecz w poprzek przerzynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się — jak strzelec gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce — złączone hufce — w umyślnym fortelu,
Rozdzielił na dwie części — dla jednego celu:
Do zostających, czapką kiwnął pożegnanie;
Z swojemi, w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodiaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie —
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie —
Już kołpaki — proporce — już znikli jak w wodzie.

VI.

I Wacław pan wszechwładny, wśród stepów przestrzeni
Sam buja w swojéj woli — czegoż tak się mieni?
I Wacław dziki, mężny, wśród dzikiéj natury
Wiedzie hufce do chwały — czegoż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy — czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty,
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty,
A dla czego? sam nie wie — tylko że mu Sława,
Łzami Marji spłakana, przed oczami stawa;

Tylko że jego serce w takiém nagle drżeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił — w trosce — i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złoto włosy —
Jakby się pozbyć starał zimnéj na nich rosy;
Szybkiéj konia w wyskoku przychylił się woli —
Jakby ulecieć pragnął od swojéj niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w téj chwili,
Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięztwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnej twarzy.
To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła — zbijały go z drogi;
To jakiekolwiek losy zwalczą jego czynność;
Już teraz miłośnicą — rycerska Powinność!
Czy Duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny-natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką Nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem?
Może on w boju legnie? — co bądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie ulęże snadnie;
A chociaż Śmierci oddech mgłą oczy zasłoni,
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie,
Dno porze, i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska, i wiatry wymija;
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości co mu na przeszkodzie,
Tém chciwiéj, tém gwałtowniéj, na sztych się wydziera,
Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera:
A jednak, głos straszliwy (choć spojrzenie dumne)
Brzmi w całém jego ciele — zdobędziesz ty trumnę!"

VII.

Jest trosków — kolców, bólów — nie mało w tém życiu;
I więcéj niż na jawie, płynie łez w ukryciu:
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu — szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnéj uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem —
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła —
Gdy sroższéj od najsroższych wpatrując się męce

Sama nawet Odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych co w jéj sercu cięży,
Gniazdo sączących na świat wylęga się węży —
Gdy Złość w swoim szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwéj sławę,
I nietylko Obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta rozczochrana idzie,
Komu? anielskiéj duszy, co za to przeklęta
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta —
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia: —
Większe to niźli ziemskie, piekielne cierpienia!
Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze,
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę;
Ci co za nim rzędami w śklniącéj gonią fali,
Na smutek swego wodza nie wiele zważali:
Każdy myślał — i chociaż różnica w sposobie,
W tém przecież podobieństwo — że każdy o sobie;
A jednak każdy gotów, z wzniesioném żelazem
Rzucić się w ciennik Śmierci — za jednym rozkazem.
Szli — w milczeniu — w porządku — konie koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migającą stopy —
Kędy ich długim sznurem, wedle swojéj chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci:
Przez niezmierzone niwy — tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina,
Dochodząc — naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak Rycerze powietrzni wydali się oku.

VIII.

Lecz cóż widać na wzgórku? z bliskiego rozdołu!
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie — czarne — skrwawione — rozchodzą się chmury.
Lecz cóż słychać na wzgórku! w przyległéj nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy, w słomianéj dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwém brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną, podnoszą — westchnieniem.
„Baczność — do broni wiara — chorągiew rozwinąć —
„Tatarzy wieś rabują — zwyciężyć lub zginąć!"
I nagle jak wodoskok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem zgóry na dolinę wpadli.
Tak, — pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął;
Gdy lud zlękły, bezbronny, w krwi i łzach utonął:
Lecz nie czas koić boleść ni mienie ratować,
Lub pojedyńczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już — przez swoje czaty, ich Han ostrzeżony,

Zebrał znaczniejsze ordy w taniec ulubiony;
Tam — za wsią — stoją — całe zakrywają pole —
Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole
Widzi ich dobrze Wacław; ale razem zważa
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
„Czyja wola to za mną“ rzekł, i spiął rumaka,
Co nim się rzucił w pożar, zżyma się i wskaka
(Mniéj ów niżli Graf Wacław odważny i dziki)
Jakżeby wodza Polskie odstąpiły szyki?
To i oni w płomienie — wśród blasku pożogi,
Przez głownie i żarzewia, szukają swéj drogi.
Już za wsią — i wraz, szybko, sfornie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko, i w linii ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem—
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i Zemsta i Chwała.

IX.

Dzielne było natarcie: Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniado, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały —
Pożar — stepy w około — świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach Polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska,
Ludziom, ostrza się dotknąć — koniom pyskiem pyska—
Gdy w pół obręcz wpadali — wsławioném prawidłem,
Skrzydło Tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
„Alla hu!“ wrzasły hordy, i tysiączne roty,
Na opasanych — strute wypuściły groty.
„Hura!“ krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała — w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą — zbitym w rzędy tłumem —
Lasem dzid najeżonych — z hukiem, z trzaskiem, szumem;
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana:
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;

Śmierć trudzi się zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało -- bo z boków, i w tyle,
Barbarzyńcy nastają w niezliczonéj sile:
Czas ginąć hufcom Polskim; młody wódz je zbiera —
Zachęca ich — szykuje — obraca — naciera —
Dopiero mięszanina — każdy obskoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wiwija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają,
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

X.

W natłoku wrogów co go od swoich oddziela,
Sam,—bez wsparcia—nadziei—świadka—przyjaciela—
Walczył ponury Wacław; i walczył już o to,
Żeby życia co cięży nie oddać z sromotą,
Śmierć miotał smierci pragnąc — oh! bo w serca głębi,
Pisk taki jak gołąbia pod dziobem jastrzębi,
Harmonią jego myśli: lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza,
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
Widzą -- poznają wodza — i każdy koleją,
Rzuci się, zmiesza, zginie — zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitnem okiem rozpoznał młodzieniec,
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec;
Smutku tylko doświadczył z téj dziwnéj korzyści —
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści:
Czemuż choć jednéj strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu że już uchodzą — życia się obawia —
Goni ich srogie dusze — piersi im nadstawia!
Zaraz, zaraz — otyły, brunatno-czerwony,
Han Tatarski tam wpada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega — że to męstwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę — z rozpaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia: o! zgrozo! o! wstydzie!
Na jednego tysiące, z zmarszczoną powieką,
Miecze wznoszą — już lecą — rozsieką! rozsieką!—

XI.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz, krzyżowym zamachem,
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?

Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnéj postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie,
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłém męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy —
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje —
Z takiém zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiéj mary,
Obok swojego zięcia — Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie — Polacy, Tatarzy,
W bezczynném zachwyceniu patrzą co się zdarzy —
Jakiś czas Miecznik zmudził; uderzy — odskoczy —
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy:
Aż wybrawszy swą porę, w odwet, silnym razem,
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie, i gaśnie — z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana:
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby—rzeź grają -
Nowi rycerze gonią — dawni się zbiegają —
Trzask, iskry—świst z połyskiem—huk—wrzask—jęki—rżenie—
A zapylona Sława upięknia zniszczenie.

XII.

Krótko już trwała walka — wielu oręż składa,
Więcéj legło, płochliwych straż tylna dopada:
Na stratowanéj ziemi płyną krwi potoki —
Leżą Polskie, Kozackie i Tatarskie zwłoki:
Jak który upadł tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola,
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany,
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męstwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięztwa!
Zobacz — jak wpośród trupów co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!“

Chodź—nie drżyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie —
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie:
A jeźli w tobie budzi, — życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków — tylko strachu drżenie;
Jeźlibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;
Opatrz się dobrze wewnątrz — to zlękniesz się siebie.
Chodź — do stalowych piersi, twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięczném sercem — i całuj ich rany.

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około;
Na nim, schylone brzozy, w swéj białéj odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak Cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy.
Tam, pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce,
Ściągnęli na spoczynek zwycięzcy i jeńce;
Bo w życiu choć ta jedność — że rozkosz z cierpieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława, kończą się — znużeniem.
Z przodu — gasnący pożar, jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem, na plac bojowiska;
Z tyłu — słońce już wówczas schowane za borem,
Pałącego się lasu dziwiło pozorem:
Szarzały wszystkie farby — kruki gromadami
Zlatywały się, krążąc, wrzeszcząc nad trupami —
Czaty porozstawiane — przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi — w końskich zębach trawa
Jak chrzęst odległych zbroi — a jak orzeł biały,
Siwy, stary Pan Miecznik, ale pełen chwały
Chłodząc odkrytą głowę pod brzozą tam siedział,
I ponuremu zięciu te słowa powiedział:
„Synu! — bo kiedyś z sercem połączon tak blisko
„I masz w niém miejsce syna, miejże i nazwisko! —
„Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwéj nici;
„Nasz Wacław powrócony — Tatarzy pobici —
„Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi —
„Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.
„Lecz kiedy dusza zda się dzierży czego żąda
„Coś Wasze na zwycięzcę smutnie mi wygląda?
„Patrzno, jakże ci pięknie księżyc oto wschodzi —
„Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi;
„Siadaj na koń, śpiesz wesół, kędy szczera żona
„I wierna wam drużyna, przyjmieć utęskniona:
„Ja tu objażdżki dojrzę — a jutro ze świtem
„Brzęknę wam na dobry dzień witaném kopytem.
„Siadaj — twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
„Bądź zdrów! niech Bóg ci zawsze jak ja błogosławi!“

XIV.

Powstał z pośpiechem Wacław; i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę — co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała uściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie —
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy —
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny pobłysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanéj,
Lecieć z stęsknionem sercem do swojéj kochanéj!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
I wszystkie je wyścigać niescignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie,
Śpiew słowiku, szmer wody, i żab skrzekotanie,
W dzikiéj, tęsknéj, i żywéj, i tkliwéj muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach co z kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała;
Wtedy matka Natura — wszystko z człekiem dzieli;
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:
Wtedy w schowanéj szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu — dobroć, w ustach — przebaczenie
I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w téj chwili jego życia żagle,
Boby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnéj mogile,
I takto mijał stepy — lecz świetne marzenie,
Co niem ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! jak widmo wstaje Przypomnienie!
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary.
„Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
„Więdnie pieszczotny powój — a wszak bez osłony
„Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? ledwo wrócił,
„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
„Dla czego? dla czczéj sławy, któréj blask nie waży
„Jednego uśmiechnienia ukochanéj twarzy:
„Gdybyś przynajmniéj w los swój wierzyć miał powody;
„Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
„Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
„Płochy, wydarł się szczęściu co mógł odziedziczyć."
Ah! daléj, prędzéj! lekko przez chwasty i rowy

Sunie koń wyciągnięty — a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
„Ha! ha!" — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz, i zostawił o upiorach powieść,
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV.

Do wrót wreszcie koń dopadł swe piersi spienione;
I zarżał — nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę;
Lecz chociaż księżyc jasny, nie widać nikogo;
Ni giermek do strzemienia szybką skoczył nogą.
„Musi być bardzo późno — niech śpią — trosk nie czując"—
Tak myślał młody Wacław konia przywięzując;
I z tą żywą pociechą w któréj serce tonie,
Kiedy już bić ma w krótce przy kochanem łonie,
I z tem świetnem wejrzeniem gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem — u drzwi domu stawa;
Ah! ileż wdzięków, pieszczot, jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi, —
Od Aniołów — zastukał — raz — drugi — i trzeci —
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy — to jedyny znak ruchu lub życia,
Który tam drzymiąc czekał rycerza przybycia;
Ni chodu śpiesznych kroków, zgiełku w nagłéj mowie,
Ni światła — ciemnéj — cichéj — zamkniętéj budowie.
Oh! jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi,
Że szabla jednem cięciem przez próg przeprowadzi —
Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić;
Wnosić JÉJ niespokojność, żeby swoją skrócić?
Raczéj niech w jego piersiach burz kończy się droga,
Byleby nigdy do niéj nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał — lecz słabiéj — bo już w serca niebie,
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem — nieraz wpośród ciszy
Zatrzymując się nagle — czy kogo nie słyszy?
Spojrzał na księżyc w pełni — co jego postawę,
W czarnych, olbrzymich kształtach, obalał na trawę —
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!
Uchylił rycerz głowę; widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w téj pyżatéj twarzy.
I tak dumając smutnie, lub nie myśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,

Błąkał się w koło domu śpiącego w milczeniu —
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści,
Jak te zaklęte zamki Arabskich powieści.
Lecz cóż to? już w zupełnej nadziei utracie,
Postrzega ruch nareszcie — w sypialnéj komnacie
Widzi otwarte okno — i lekka zasłona,
Có tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.
O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pospieszyły;
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem;
Nie był jednym, ni drugim — umiał walczyć w boju,
Kochać – być wiernym,—wdzięcznym już Wacław w pokoju.

XVI.

Na nierozsłaném łożu, w żałobnéj odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży;
Ale jéj snu twardego Wygoda nie pieści;
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,
Jeszcze w jéj sinéj twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało;
I długie jéj warkocze spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki Miłość śpiące wdzięki kładzie;
I smutnie się nadęła wysileniem tłusta,
Jakby się skarżyć chciała, tylko że jéj usta
Ścięte silniejszą władzą: a promień księżyca
Co tę posępną postać migając oświeca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Marja — rycerz przed nią stoi —
Przyniósł jéj ziemskie szczęścia i czegoż się boi?
To młoda śliczna Marja? oh! jakże zmieniona!
Czy już się będzie robak tulić do jéj łona?
Ale niedługo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drżeniu;
Schyla się na jéj lica, usta do ust łączy
I słodycz swego serca rozkosznie w nie sączy.
„O! moja droga Marjo! ty zimna i niema —
„A dla nas już jest szczęście“ — echo mówi „niema“.
„Marjo! kochana Marjo! w boju mnie widzieli —
„Ojciec mnie z tobą spoi“ — echo mówi „dzieli“.
Znowu ją pieści — cuci — z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą;
Jéj głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,

I w uderzonéj zbroi jękiem odpowiada
Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom przebiegał —
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca — znalazł nadzieję — może czy nie zetrze
Mroku z jéj czarnych oczów otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramię,
W jakież okropne ruchy jéj kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością co w dół nie przyciska,
Lecz w całém opuszczeniu świeżego zwaliska,
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
Czynią z niéj przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.
„Oh! wody! wody!“ wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII.

W szaréj chwastów zarośli lekki ruch się zdaje —
Rozsuwają się liście i czapka wystaje —
I głowa się podnosi — i stanęło ciało,
Co tam w cichém czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pacholęcia co na świat płakało. —
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza;
Czy strachu, czy uroku, schowane tam siłą,
Nie wiem — wyszło z gęstwiny, i tak przemówiło:
„Niech rycerz drżącém sercem nie pragnie tak wody,
„Bo w niéj zgasnął dopiero blask ziemskiéj urody;
„To te obrzydłe maski, w swéj zdradnéj zabawie,
„Śliczne łono téj Pani zatopiły w stawie.
„A kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.
„Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby,
„Pobiegli w pogoń — drudzy, po księży i baby;
„I dom teraz w cichości — lecz nim zorza znijdzie,
„Mrucząc—kadząc—śpiewając—służba Śmierci przyjdzie,
„A kto im się raz dostanie,
„Zawsze już u nich zostanie.
„Zawsze — oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem
„Ciężkiéj straty i żalu stanie się odgłosem!
„W miłości i przyjaźni, w każdéj życia dobie,
„Tak często powtarzane, a prawdziwe — w grobie,
„Bo kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.“
I podniósłszy na palcach swoją małą postać,
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść — a w twarzy rycerza,
Czarna, czarniejsza chmura, coraz się rozszerza;

I znów nagle, rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświeca:
Aż w nim powstała wreszcie ta Ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
Gdy i w najbliższém sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta Chciwość szalona
Krwi — krzyku — dzwonów — płomień popsutego łona,
Co domowéj niezgody rozpala pochodnię,
I w własném swojém gnieździe — zbrodnią karze zbrodnię!
Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki —
O! jak bezecnéj Zemście co nim słusznie miota,
Towarzyszy okropnie Rozpacz i Zgryzota!
A wszystkie razem bole, w osłupiałém oku
Łączy myśl przeraźliwa — Niezmienność Wyroku!
Mniéj straszna w swém nieszczęściu, od wężów jedzona.
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona.

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I już nigdy swéj lubéj ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Któréj blask, czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni — serc próżność — powłoczył złudzeniem;
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni —
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni!
Długo on przy jéj zwłokach stał w niemej żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiéj złości, i widok jéj skutku,
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku:
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił,
„Ach! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!“
I gdy w jéj zbrzękłéj twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze Śmiercią mimo niéj zmartwiało,
Pierwszy — ostatni wyrzut — i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście, i siebie — zagubił z nią razem:
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie —
Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziécie!
Lecz nie długo — już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciźnie przez jednę minutę;
Już duszy wprzód wyniosłéj, zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło:
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczéj — na co dobroć się tu przyda?

Gdzie co czułe, szlachetne tylko chwilę świeci —
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci —
Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udanéj tkliwości,
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości —
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon Cnoty stroi się Obłuda —
Gdzie tylko jedna słodycz, — w wzajemnym zachwycie,
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie.

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,
Dla jednych, czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku; aż w późnéj jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni.
Drugim — skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda — i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje —
Lecz kto się bliżéj wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże — czarne wewnątrz spalenizny znaki:
A gdy w rażoném drzewie wicher rdzeń rozżarzy?
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie,
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.
Co Wacław sobie w życiu może obiecywać,
Trudnoby wytłumaczyć — i straszno zgadywać:
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć — na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał — i chyba to zyska
Że nie czas, ale płomień, zniszczy w nim zwaliska.
To w krótkiem zamyśleniu korząc się przed Bogiem —
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem,
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty;
A księżyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jéjmości;
I czułém wyręczeniem bezwładnej Skromności,
Jéj członki, włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada.
Wtedy — z tęskném wejrzeniem na jéj martwo lica,
W którém żałość rozstania, lecz i obietnica
Prędkiego połączenia — z uwagą Rozpaczy,
Co każdy rys Nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
Wtedy dobywszy miecza co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie, i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł — i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole;
Skoczył na koń — a za nim usiadło pachole.

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakaném?
Czy Duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczérze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem — objął rycerza, i w czwał polecieli.

XX.

Na Ukraińskiéj cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A Ukraińskie baby szepcą swe pacierze:
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy — czy pogrzeb, czy to chrzciny — śpieszą:
Wewnątrz — kiry, katafalk, i trumna — a w rzędy
Blado się palą świece — czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać, wśród ciekawych grona,
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą co się nic użala
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swéj nieméj pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic co mu na twarz wbiega
Smutny — jak śpiew umarłych co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to Pana Miecznika siwa, nędzna głowa,
Niedawno żonę stracił — teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę by w trumnie uśpili,
Na to jéj woził lamę żeby całun szyli.
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie,
I takim był i potém — ni żalu, ni skargi,
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łzów w hardém spojrzeniu nie było oznaki;
Mniéj z ludźmi, więcéj z Bogiem, a z resztą — jednaki.
Codzień on w jednéj porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca Czujność nadzieję utraca —
Gdy dziko grają trąby — a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy —
Znaleźli go w cmętarzu; przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość —
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość —
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi —
I żupan ten sam czarny — tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennéj dochodził daleki,
Nie porwał się do korda — już spał — spał na wieki.

I cicho — gdzie trzy mogił w posępnéj drużynie;
I pusto — smutno — tęskno — w bujnéj Ukrainie.

GRAŻYNA.

Powieść Litewska

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

Coraz to ciemniéj, wiatr północny chłodzi,
Na dole tuman, a miesiąc wysoko,
Pośród krążącéj czarnych chmur powodzi
We mgle nie całe pokazywał oko;
I świat był nakształt gmachu sklepionego,
A niebo nakształt sklepu ruchomego,
Księżyc jak okno, którędy dzień schodzi.
Zamek na barkach nowogrodzkiéj góry*)
Od miesięcznego brał pozłotę blasku:
Po wałach z darni, i po sinym piasku,
Olbrzymim słupem łamał się cień bury
Spadając w fossę, gdzie wśród wiecznych cieśni
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.
Miasto już spało: w zamku ognie zgasły,
Tylko po wałach i po basztach straże
Powtarzanemi płoszą senność hasły;
Wtém się coś zdala na polu ukaże:
Jakowiś ludzie biegą tu po błoniach,
A gałąź cieniu za każdym się czerni,
A biegą prędko, muszą być na koniach,
A świecą mocno, muszą być pancerni.
Zarżały konie, zagrzmiała podkowa,
Trzéj to rycerze jadą wzdłuż parowa:
Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy
Krzyknie, i w trąbkę mosiężną uderzy.
Uderzył potém raz, drugi i trzeci,
Strażnik mu z baszty rogiem odpowiada:
Brzękły wrzeciądze, pochodnia zaświeci,
I most zwodzony z łoskotem opada.
Na tentent koni zbiegli się strażnicy,
Chcąc bliżéj poznać i męże i stroje;
Pierwszy mąż jechał w zupełnéj zbroicy,
Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje:

*) Nowogrodek, starożytne miasto w Litwie.

I krzyż miał czarny na białej kapicy,
I krzyż na piersiach u złotéj pętlicy,
Trąbkę na plecach, kopiją u toku,*)
Różaniec w pasie i szablę u boku.

Poznali męża Litwini z tych znaków;
Więc cicho jeden do drugiego szepce:
„To jakiś urwisz od zgraji Krzyżaków,**)
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.
O gdyby nie był nikt tu więcéj z warty,
Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha:
Aż pod most pięścią zgiąłbym łeb zadarty!...
Tak oni mówią; on niby nie słucha;
Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec, Litwina rozumiał.

„Książę jest w zamku?“ — „Jest; lecz o téj porze
Bardzoście wasze poselstwo spóźnili:
Dziś nie możecie stawić się we dworze;
Chyba na jutro.“ — „Jutro? ani chwili.
Zaraz, natychmiast, choć w spóźnioną porę,
Litaworowi o posłach donieście:
Niebezpieczeństwo na mą głowę biorę,
A wy dla znaku pierścień tylko weźcie.
Nie trzeba więcéj; skoro ujrzy godło,
Pozna kto jestem, i co nas przywiodło.“ —

Cichość dokoła, zamek we śnie leży;
Co za dziw? Północ, jesienią noc długa.
Za cóż dotychczas w Litawora wieży
Lampa jak gwiazda między kratą mruga?
Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki:
Snu potrzebują troskliwe powieki.

On przecie nie śpi. — Posłano na zwiady:
Nie śpi; lecz żaden z pałacowéj straży,
Ani z dworzanów. ani z panów rady,
Do progu jego zbliżyć się nie waży.
Daremnie poseł i grozi i prosi:
Groźba i prośba na nic się nie przyda;
Kazano wreszcie obudzić Rymwida.
On wolę pańską nosi i odnosi,
On głową w radzie, prawą ręką w boju;

*) Tok, wysokość łopatki.

**) Zakon Krzyżacki, zwany zakonem Kawalerów szpitalnych, Marianitów, Teutonów, fundowany w Palestynie r. 1190.; wezwany potem około r. 1230. od książęcia Mazowieckiego Konrada na obronę Mazowsza od Prusaków i Litwy, stał się potem najstraszniejszym nietylko pogan, ale i okolicznych krajów nieprzyjacielem. Stąd wzajemna nienawiść ze strony Litwinów i tak zapalczywe grube wyrazy.

Jego nazywa książę drugim sobą:
W obozie, w zamku, jemu każdą dobą
Wstęp do pańskiego otwarty pokoju.
W pokoju ciemno, i tylko od stoła
Kaganiec światłem konającém płonął:
Litawor chodził po gmachu dokoła,
A potém stanął i w myślach utonął.
Słucha, co Rymwid o Niemcach powiada,
Ale mu na to nic nie odpowiada.
To się rumieni, to wzdycha, to blednie,
Wydając twarzą troski nie powszednie.
Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił:
Wrzkomo poprawia, a do głębi ciśnie;
Wcisnął nareszcie i całkiem zadławił,
Nie wiem, przypadkiem, czyli też umyślnie.
Snać, że poskromić nie mógł wnętrznéj wrzawy,
I w pogodniejsze wystroić się lice;
A jednak nie chciał, by sługa z postawy
Zgadnął pańskiego serca tajemnice.
Znowu komnatę obchodzi do koła,
Lecz kiedy okna kratowane mijał,
Widna przy blasku miesięcznego koła,
Co się przez szyby i kraty przebijał,
Widna posępność zmarszczonego czoła,
Przycięte usta, oczu błyskawica,
I surowego zagorzałość lica.
Potém w róg gmachu zwraca się z pośpiechem,
Każe podwoje zamknąć Rymwidowi:
Siadł, i z kłamliwą spokojnością mówi,
Szyderskim mowę zaprawując śmiechem:
„Wszak mi sam z Wilna przywiozłeś Rymwidzie,
Że Witołd, pan nasz możny i łaskawy,*)
Miał mię podwyższyć książęciem na Lidzie,
I spadłe dla mnie po żonie dzierżawy,
Jak swoję własność, lub zdobycze cudze,
Litaworowi podarował słudze? . . .“
„To prawda, książę. . . .“ — „My więc po te dary
Jako przystało wystąpimy godnie:
Każ wynieść na dwór książęce sztandary,
Zapalić w zamku ognie i pochodnie.
Gdzie są trębacze? niechaj o północy
Zjadą na miasto, i stanąwszy w rynku,
Na cztéry wiatry trąbią z całéj mocy;
A póty będą trąbić bez spoczynku,

*) Witołd syn Kiejstuta około r. 1400.

Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi.
Niech każdy piersi zbroją ubezpiecza,
Nasadzi groty i pociągnie miecza.
Zgotować żywność dla koni i ludzi:
Każdemu z mężów zgotuje niewiasta,
Ile zjeść można od ranku do zmroku.
Czyj koń na paszy, sprowadzić do miasta,
Nakarmić i wziąść na drogę obroku;
A skoro słońce z Szczorsowskiéj granicy*)
Pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie,
Wszyscy staniecie na Lidzkiéj ulicy.
Czekać mię rzeźwo, zbrojno i zapaśnie."
Tak mówił książę. Wprawdzie jego mowa
Zaleca zwykłe do drogi przybory;
Łecz za co nagle, i niezwykłéj pory?
Dla czego postać była tak surowa?
A kiedy mówił, choć gwałtowne słowa
Biegą, że jedno drugiego nie ścignie;
Zda się, jakoby wyszła ich połowa,
A reszta w piersiach przytłumiona stygnie.
Ta postać coś mi niedobrego wróży,
I głos ten myśli spokojnéj nie służy.
Umilkł Litawor: zdało się, że czeka,
Aż Rymwid z wziętym odejdzie rozkazem;
I Rymwid milczy, a odejście zwleka;
Bo to, co słyszał, i co widział razem,
Kiedy stosuje i waży w rozumie,
Z lekkich słów ciężką rzecz odgadnąć umie.
Ale cóż pocznie? Zna, że książę młody
Namowom cudzym mało daje ucha,
I nie lubiący w długie brnąć wywody,
Zamiary knuje w swojéj głębi duchu;
A skoro uknuł, niedba na przeszkody,
I hamowany tém srożéj wybucha.
Lecz Rymwid, jako wierna Panu rada
I zacny rycerz w litewskim narodzie,
Zapewne hańbie niemałéj podpada,
Gdzieby powszechnéj nie zabieżał szkodzie.
Milczeć, czy radzić? na dwoje myśl dzieli,
Waha się; w końcu na drugie ośmieli.
„Panie, gdziekolwiek chęci twoje godzą,
Nigdyć na ludziach i koniach nie zbędzie;
Wskaż tylko drogę, my za twoją wodzą,

*) Szczorse, dziedzictwo Chreptowiczów, na wschód Nowogrodka położone. Mendog, Mindagos, albo Mindowe, wielki książę litewski około r. 1250.

Nie patrząc kędy, gotowi iść wszędzie;
I Rymwid pewnie nie przyjdzie ostatni.
Ale, o Panie, na różnym miéj względzie
Pospólstwo ślepe, twoich rąk narzędzie,
I mężów, którzy na coś więcéj zdatni.
Bo i twój ojciec, choć lubił sam z siebie
Wyciągać skrycie przyszłych dzieł osnowy;
Jednak nim gminne miecze ku potrzebie,
Wprzódy ku radzie mądre wzywał głowy:
Kędym ja nieraz z wolném zdaniem siadał,
A com umyślił, śmiało wypowiadał.
Więc i dziś wybacz, jeśli w szczerym głosie
Zeznam, co serce ustom przekazało:
Długo ja żyłem, i na siwym włosie
Dźwigam i czasów i czynów nie mało;
Przed się dziś widzę, oby nie ze szkodą!
Rzecz, dla nas starych niezwykłą i młodą.
Jeżeli prawda, że na Lidzkie państwo
Ciągniesz, do twojéj należącéj włości:
Ten pochód skory coś nakształt napaści,
Zrazi i nowe i dawne poddaństwo.
Ci, jak zwycięzcy, czekają zdobyczy,
Tamci kajdanów, jak lud niewolniczy.
„Zaraz po kraju wieść ziarna rozsypie:
Ucho je gminne chwyta i przesadza,
Skąd w końcu gorzki owoc się wyradza,
Co truje zgodę i co sławę szczypie;
Okrzykną zaraz, żeś chciwy łupieży,
Wdarł się na państwo, któreć nie należy.
„Inaczéj cale po dawnym zwyczaju
Litewskie niegdyś stąpały książęta,
Niosąc stolicę do własnego kraju;
Tych książąt dobrze wiek mój zapamięta.
I jeśli zechcesz iść po starym trybie,
Spuszczaj się na mnie, w niczém nie uchybię.
„Naprzód rycerstwo obeszlemy wszędy,
I tych, co w mieście zostali się blizcy,
I co na wiejskie powrócili grzędy,
Mają na zamek zgromadzić się wszyscy.
Więc krewne pany, więc starsze urzędy,
Ku bezpieczeństwu, a większéj ozdobie,
Z sowitym pocztem niech staną przy tobie.
Co nim dokonasz, ja mogę tymczasem
Wyruszyć jutro, lub pojutrze zrana,
Ze służbą, z świętą osobą kapłana,
Tudzież z potrzebnym do uczty zapasem:

Aby się wszystko złatwiło na przodzie,
A na zwierzynie nie brakło i miodzie.
„Nietylko bowiem sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni;
A widząc zrazu pańskiéj hojność dłoni,
Dobrze stąd sobie na przyszłość tłumaczy.
Tak zawżdy było w Litwie i na Żmudzi:
Jeśli nie wierzysz, pytaj starych ludzi.“
Skończył, podchodzi ku oknom i doda:
„Wietrzno, niepewna na jutro pogoda.
Jakiegoś widzę rumaka przy wieży,
A tuż i rycerz oparty na łęku.
Drudzy dwaj chodzą, konie wodząc w ręku:
Posły Niemieckie — poznałem z odzieży,
Czy ich zawołać? czyli niech na dole
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?“
To mówiąc okno przymknięte zaszczepił,
Niby niechcący, i patrzył i gadał:
Ale umyślnie pytanie uczepił,
By coś o posłach niemieckich wybadał,
. Na to mu prędko Litawor odpowie:
„Jeżeli kiedy wychodzę po radę
Do cudzych, własnéj nie ufając głowie,
Zawżdy twe zdanie na początku kładę,
Boś zewsząd godzien mojéj czci i wiary,
Jak w polu młody, tak na radzie stary
„Więc choć nie lubię, by dzieł przyszłych końce,
Lada czyjemu widne były oku...
Zamiar wylęgły w myślenia pomroku
Źle jest przed czasem wykazać na słońce.
Niechaj rzecz cała dokonania blizka,
Jak piorun wprzódy zabija niż błyska...
Przetoż ja krótko pytania odbywam:
Kiedy? dziś, jutro — gdzie? na Żmudź, do Rusi.“
„To być nie może!“ — „Będzie i być musi!...
Lecz dzisiaj tobie głąb serca rozkrywam.
„Dla tegom kazał do konia i zbroi,
Dla tego nagle i orężnie godzę,
Bo wiem Witołda, że z wojskami stoi,
Gotowy wstręty czynić mi po drodze:
A może na to chciał do Lidy zwabić.
By zwabionego pojmać albo zabić.
Ale ja z Mistrzem Pruskiego Zakonu*)

*) Na czele Zakonu Krzyżaków był Wielki Mistrz, obierany od kapituły; po nim Wielki Komtur, Tretzler czyli podskarbi zakonu. Marszałek czyli Hetman i Komturowie czyli Komandorowie szczególnych konwentów po miastach i zamkach.

Tajemne zaraz związałem przymierze,
Aby mi swoje dał w pomoc rycerze:
Za co w nagrodę ustąpię część plonu.
Jeśli, jak słyszę, przybyli posłowie,
Znać, żem na jego nie zwiedziony słowie.
„Wprzód więc, nim zajdą siedmiorakie gwiazdy,*)
Ruszymy przydać ku litewskiéj sile
Niemców pancernéj trzy tysiące jazdy,
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.
Będąc u Mistrza, sam sobie wybrałem,
Jakie ma przysłać rumaki i chłopy:
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem,
Żelazem kute od głowy do stopy;
Wiesz, jako dzielnie brzeszczotami**) sieką,
I dzidą srożsi od naszych daleko.
„Knecht zasię każdy ma żelazną żmiję,
Którą ołowiem i sadzą utuczy,
Potém ku wrogom nawracając szyję,
Podraźni iskrą: wnet paszcza zachuczy
Ogniem i gromem, zrani lub zabije,
Kogo jéj strzelca trafny wzrok poruczy.
Od takiéj broni niegdyś obalony
Pradziad Gedymin na szańcach Wielony.
„Wszystko gotowo: tajemnemi drogi
Jutro, gdy Witołd w zaufaniu zbytniem,
Na Lidzie słabe zostawił załogi,
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem.“
Rymwid niezwykłą rażony nowiną,
Stał pełen dziwu, nieprzytomny sobie:
Przegląda burzę, myśli o sposobie;
Skłócone myśli jedne w drugich giną.
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie,
Z gniewem i żalem zawoła: „O panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył téj pory:
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać; raczéj ogień z wodą!
„Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,

*) Litwini mieli właściwy sobie sposób oznaczania pór roku, miesięcy i godzin.
**) Brzeszczot, głównia szabli, klinga.

Jeden drugiego zowiąc — przyjacielu;
Że bardziéj jeszcze, niźli złe sąsiady,
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy
Często u spólnéj pijają biesiady,
Snu używają pod jednemi dachy,
I miecze łączą ku wspólnéj potrzebie;
A jeszcze bardziéj nad Litewskie męże,
I nad Polaki, zawziętsi na siebie
Od wielu wieków są ludzie i węże:
A przecież, jeśli do domowych progów*)
Wąż zaproszony gościem od człowieka,
Jeśli, dla chwały nieśmiertelnych bogów,
Litwin mu chleba nie skąpi i mleka;
Wtenczas gad swojski pełznie w jego ręce,
Społem wieczerza, z jednych kubków pija,
I nieraz senne piersi niemowlęce
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.
„Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni pośbą, ni dary!...
Małoż Prusaki i Mazowsza cary,
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszę rozdziera gardziele.
„Spólna moc tylko zdoła nas ocalić.
Darmo hordami ciągniemy co roku
Burzyć ich twierdze i mieściny palić.
Przebrzydły Zakon, podobny do smoku:
Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro,
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro.
Wszystkie utnijmy. Napróżno się trudzi,
Kto naszych szczérze chce godzić z Krzyżaki:
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
Na Litwie całéj nie znajdzie się taki,
Coby ich nie znał chytrości i dumy,
Nie stronił od nich jak od krymskiéj dżumy;
Coby nie wolał stokroć od ich broni
Raczéj śmierć w polu, niźli pomoc zyskać;
Raczéj żelazo rozpalone w dłoni,
Niżli krzyżacką prawicę uściskać!
„Lecz Witołd grozi?... Czyż bez obcych mieczy
Już nie zdołamy rozeprzeć się w polu?
Albo czy do tych kresów zaszły rzeczy,
Iż domowego naszych zwad kąkolu,

*) Litwini czcili węże, które po domach oswajali i karmili.

Nie zdoła wyrwać dłoń bratniéj przyjaźni,
Oręż dla cudzéj zachowując kaźni?...
„Skądże masz pewność, że słuszna twa skarga:
Że Witołd znowu stawiąc się upornie,
Zdrady napina i umowy targa?
Posłuchaj... szléj mnie do niego powtórnie:
Wznowim umowę.“ — „Dość tego Rymwidzie.
Znane mi dobrze Witołda umowy:
Wczoraj mu taki wiatr zawiał do głowy,
Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.
Wczoraj ufałem książęcemu słowu,
Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę;
Dziś Witołd uknuł coś różnego znowu,
Na gwałt swobodną wyśledziwszy porę,
Gdy się do domów rozjechali moi,
A on u Wilna obozami stoi.
Dziś oznajmuje, jakoby Lidzianie
Za swego pana słuchać mię nie chcieli;
Więc Witołd Lidę dla siebie wydzieli,
Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie —
Pewnie Ruś goła, lub bagna Warega!*)
Bo tam wskazana jest siedziba nasza:
Tam Witołd braci i krewnych wypłasza,
A świętą Litwę sam jeden zalega!
Patrz jak uradził! a wie na co radzić:
Bo w jedno bije, chociaż różną drogą;
Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić,
I sobie równych cisnąć pod swą nogą.
„Przebóg! czyż nie dość, że Witołda buta
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę?
Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła;
Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat jako wielki, zbiegliśmy do koła:
To na Krzyżactwo, to znowu przez Tatry
Na Polski pięknie zbudowanéj sioła,
Stamtąd po stepach, żeglujące z wiatry
Goniąc błędnego obozy Mogoła.
A cośmy skarbu z zamków wyłamali,
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień nie dopali,
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.

*) Okolice przyległe morzu Waryagskiemu czyli Normandskiemu, dzisiejszemu Baltykowi.

Na trudach naszych w potęgę urasta,
Od Fińskich zatok po Chazarów morze*)
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta.
Sam w jakiém mieście! w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu;
A przecież mniejsze od Witołda gmachu,
Co jest na Wilnie, lub Trockiém jeziorze!**)
Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie....
Lecz któżby wierzył? u syna Kiejstuta
W pałacu świeższa murawa i kwiecie;
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory,
Z liściem ze srebra i kwieciem ze złota;
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory,
Cudniejsza branek Lechickich robota.
W kratach u niego szklanne okienice,
Przywoźne kędyś aż od ziemi końca,
Błyszczą, jak polskich rycerzy zbroice,
Albo jak Niemen przed oczyma słońca
Z pod śniegu zimne gdy odsłoni lice.
„A ja — com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku
Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroje,
Książę jak Tatar żył o końskiém mleku?....
Cały dzień konno, w wieczór końska grzywa
Poduszką moją, przy niej noc wystoję,
A rankiem znowu trąbka na koń wzywa...
Że wtenczas kiedy moi rówiennicy
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bezpiecznie sobie grali po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę
Zabawić wojny kłamanéj obrazem:
Wtenczas z Tatary jam gonił na ostre,
Lub wręcz z Polaki ścinał się żelazem!
„Przecież me państwa, od Erdwiłła czasu,
I piędzią szerzéj ziemi nie zaległy!...
Patrza na te mury z dębowego lasu,
I na ten pałac mój z czerwonéj cegły;

*) Morze Chazarskie, dzisiaj Czarne.

**) Trokl, z dwoma zamkami, z których jeden pośród jeziora na wyspie zbudowany, były stolicą Kiejstuta, a potém dziedzictwem Witolda.

Pójdź przez komnaty pradziadów siedliska,
Gdzie szklanne kuple? gdzie kruszcowe łupy?
Miasto blach złotych, mokry kamień błyska,
Miasto kobierców, śniade mchu skorupy!
Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa czy skarby? Nie; nic, kromia sławy!
„Ale i sława wszystkim po nad głowę
Witołd podleciał. Witołd wszystkich gasi!
Jego, jakoby drugiego Mindowę,
Na ucztach wielbią Wajdeloci nasi;*)
Jego na strunach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku;
Nasze śród gminu kto wypatrzy imie?
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?...
Przecież nie zajrzym: niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imie i skarby bogaci;
Tylko niech zęba chciwego poskromi,
Od swych ojczyców, od ziemic swéj braci!
Czyż dawno w środku pokoju i zgody
Gwałtem Litewska wstrząśniona stolica?
Czyż dawno Witołd kniaziów wielkich grody
Naszedł, i z tronu zmiótł Olgierdowica?**)
I sam owładał? a tak lubi władać,
By jego poseł, jak Krywejty goniec,***)
Książąt podwyższał, albo zmuszał spadać!
O! czas, że temu położymy koniec;
Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim,
Póki młodego w piersiach żywię ducha,
Póki żelazo ręki zdrowéj słucha,
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolim,
Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,
Jakiemu równy dany tobie drugi,
A jeszcze dziesięć rży przy moim żłobie,
Któremi wierne poobdzielam sługi;
Dopóki koń mój, póki szabla moja....“
Tu mu gniew słowa i tchnienie zatłoczył:
Umilkł, lecz chrzęstem ozwała sie zbroja;
Znać, że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?

*) Wajdeloci, Sigonoci, Lingustoni, zwali się kapłani, których obowiązkiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególniéj w czasie jesiennych świąt kozla, opowiadać lub opiewać ludowi.

**) Witold wypędził z Wilna Skirgajłę i sam wielkie Księstwo objął.

***) U starożytnych Litwinów kapłani wielki wpływ mieli. Najstarszy z nich zwał się Kriwe Kriwejto lub Kirwejto. Mieszkanie jego było niedaleko miasta Romowe w Prusach, gdzie potem wieś Heiligenbeil.

Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa;
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę: od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.
Znowu ich głuche obeszło milczenie;
Znowu rzekł książę: „Dosyć próżnéj mowy:
Oto noc prawie dochodzi połowy,
Wkrótce usłyszym drugich kurów pienie;
Wiesz, com rozkazał: bądźcie w pogotowiu.
Ja legnę: może duch troskliwy spocznie.
I ciało trochę pokrzepię na zdrowiu,
Bom trzy dni nie spał. Teraz jeszcze mrocznie,
Lecz dziś zapełnia księżyc rogi nowiu;
Świt będzie widny, ruszymy niezwłocznie,
Synōm Kiejstuta w Lidzie zostawimy
Godne dziedzictwo, — popioły i dymy!“
To powiedziawszy, usiadł i w dłoń klasnął:
Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty,
I legł nie na to może aby zasnął,
Lecz aby Rymwid miał się precz z komnaty.
I on gdy widzi, iżby nic nie sprawił,
Ani co mówił, ani dłużéj bawił;
Poszedł, a jako znał powinność sługi,
Wytrąbił ukaz, rycerstwo zgromadził;
Potém do zamku wrócił się raz drugi.
Pocóż? czy żeby znowu z panem radził?
Nie! W inną stronę wiódł on kroki swoje:
Na lewe skrzydło zamkowej budowy,
Gdzie ku stolicy spadał most zwodowy,
Szedł krużgankami przed księżnéj podwoje.
Była naonczas książęciu zamężną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną;
A chociaż wiekiem, od młodéj jutrzenki,
Pod lat niewieścich schodziła południe,
Oboje, dziewki i matrony wdzięki
Na jednėm licu zespoliła cudnie.
Powagą zdziwi, a świeżością znęca:
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie;
Że kwiat młodego nie stracił rumieńca,
A razem owoc wnet pełni dorośnie.
Nietylko licem nikt jéj nie mógł sprostać:
Ona się jedna w dworze całym szczyci,

Że bohaterską Litawora postać
Wzrostem wysmukłéj dorówna kibici.
Książęca para, kiedy ją okoli
Służebne grono, jak w poziomym lesie
Sąsiednia para dorodnych topoli,
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.
Twarzą podobna i równa z postawy.
Sercem téż całém wydawała męża:
Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy
Gardząc, twardego imała oręża:
Często myśliwa, na żmudzkim rumaku
W szorstkim ze skóry niedźwiedziéj kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku;
Z pociechą męża nieraz w tym ubiorze
Wracając z pola oczy myli gminne,
Nieraz od służby zwiedzionéj na dworze,
Odbiera hołdy książęciu powinne.
Tak zjednoczona zabawą i trudem,
Osłoda smutku, spólniczka wesela,
Nietylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy i tajne układy,
Częstokroć od jéj zależały rady.
Acz innym rzecz ta nie była świadoma:
Bo księżna wyższa nad żon prostych rzędy,
Które zbyt rade, że panują doma,
Chciałyby z tém się popisywać wszędy;
Owszem, cudzemu pilnie kryła oku
Z jaką potęgą w sercu męża władnie;
Nawet baczniejsi i bliżsi jéj boku
Nie prędko mogli zbadać i nie snadnie.
Jeno to Rymwid mądry odgadywał,
Gdzie mu jedyne pozostało wsparcie:
Szedł więc i księżnéj wynurzył otwarcie,
Wszystko co widział i co przewidywał:
Jaka stąd dawnym zwyczajom obraza,
Książęciu hańba, narodowi skaza.
Mocno Grażynę wieść nowa uderzy.
Lecz panią swojéj będąca postaci
Udaje wrzkomo, iż temu nie wierzy,
Pokoju w głosie i twarzy nie traci.
„Nie wiem ja“ rzekła, „czyli nad rycerzy,
Więcéj u pana słowo niewiast płaci:
To wiem, że sobie sam radzi roztropnie,

Wiem jeszcze lepiéj, co uradzi, dopnie.
Wreszcie, jeżeli nagła gniewu flaga
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi;
Jeśli niekiedy, lotem młodych ludzi,
Chęć swą nad słuszność, lub nad możność wzmaga:
Zostawmy; niech czas i cicha uwaga
Rozjaśni myśli, zapały przystudzi,
Pierzchliwe słowa niepamięć zagrzebie;
Tymczasem drugich nie trwożmy i siebie."
— „Wybaczaj księżno! O, nie są to słowa,
Co z ust w gorącéj pryskają godzinie.
Których zagasłych pamięć nie dochowa;
Nie jest to zamiar, który w plątaninie
Chęci niewczesnych rodzi myśl jałowa,
Który jako dym zamroczy i zginie;
Te iskry znaczą wielki pożar w duchu,
Ten dym strasznego zwiastunem wybuchu!
„Nie dzisiaj jestem przy pańskiéj osobie,
Od lat dwunastu znał mię wiernym sługą:
Przecież na pamięć nie przywiodę sobie,
By ze mną mówił tak szczerze, tak długo.
Odkładać próżno; co rozkazał, zrobię:
Bo już rozkazał, bym przed gwiazdą drugą
Zgromadził wojska nad grób Peresieka,
Noc będzie widna, droga niedaleka."
— „Co słyszę, jutro? biada mojéj głowie,
Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,
Że brat na bratnie następował zdrowie.
Wziął gardło, lub dał za Grażyny wiano!
Pójdę, i w pierwszéj z książęciem rozmowie...
Owszem, dziś idę, chociaż już nie rano.
Wprzód, niźli nocną świt opędzi rosę,
Tuszę, iż dobrą odpowiedź przyniosę."
Żegnają siebie po tym rozhoworze,
A w jedno miejsce dążyli oboje.
Księżna, i chwili nie bawiąc w komorze,
Śpieszy w gmach pański przez tajne pokoje;
Rymwid, nie bawiąc i chwili na dworze,
Śpieszy krużgankiem, i w pańskie podwoje
Że nie śmiał wstąpić, na progu usiada,
Szczeliną patrzy i ucha dokłada.
Niedługo czek ł. Klamka zaszeleści,
Z ubocznych progów mignie postać w bieli:
„Kto?" — woła książę, zerwał się z pościeli,
„Kto?" — „Ja" — odpowie znany głos niewieści.

Potém coś dłużej rozmawiać zaczęli,
A chociaż Rymwid domyślał się treści,
Głosu nie złowić: bo w echo wplątany
Połknęło miejsce, lub odbiły ściany.
Rozmowa coraz żwawsza i zmieszana,
Coraz wolniała, coraz trudniéj słychać,
Częściéj głos pani, bardzo rzadko pana;
Milczał, niekiedy zdawał się uśmiechać.
Nakoniec księżna padła na kolana;
Wstał, nie wiadomo, podnieść czy odpychać:
Kilka słów potém wymówił gorecéj,
A potém milczał i nie mówił więcéj.
I było cicho. Znowu postać w bieli
Przemknie się ku drzwiom, klamką zaszeleści:
Czy uprosiła, czy się nie ośmieli
Prosić go dłużej — już w swój gmach niewieści
Odeszła księżna. Książę do pościeli
Wrócił, legł. Cicho, i widać z téj ciszy,
Że go sen twardy wprędce ukołysze.
Rymwid daremnie jeszcze chwilę badał;
Odszedł nareszcie i w lewym balkonie
Giermka obaczy, który z Niemcy gadał.
Słucha ciekawie, lubo ku téj stronie
Nie szła rozmowa i wiatr ją okradał;
Wtém giermek ręką ukazał ku bronie:*)
Coby oznaczał, Rymwid łacno zgadał.
Strasznie to pychę Krzyżaka ubodło,
Zbiegł, chwycił konia, poskoczył na siodło:
„Przysiągam," wrzeszcząc, „gdybym nie był posłem,
Przysięgam na ten krzyż, Komtura znamie,
Iż za obelgę, którą dziś poniosłem
Prędkoby zemstę znalazło to ramie!
Między monarchy na poselstwach wzrosłem,
Ni przy cesarskiéj, ni papiezkiéj bramie
Nie spotkało mię, co u twego panka:
Pod gołem niebem doczekać się ranka;
Iść precz, za czyim? za giermka rozkazem?
Ale ostrzegam, że nas nie ułowi
Pogański wykręt i nie minie płazem!
Wołać nas wrzkomo przeciw Witołdowi,
A potém wspólném otoczyć żelazem!
No! obaczymy, czy Witołd odbije
Ten miecz, zanadto waszéj blizki szyje,

*) Bramie.

„Powiedz książęciu, jeśli nie dowierza,
Sam niechaj spyta, powtórzyć gotowem
Choć razy dziesięć témże samém słowem,
Teraz i zawsze: bo ze słów rycerza
Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza,
A com rzekł usty, prawicą dowiodę.
Jama, którąście pod nami kopali,
Na waszę własną wykopana szkodę,
Dziś jeszcze, jeszcze téj nocy się zwali;
Tak, jakem Ditrich Halstark von Kniprode,
Komtur zakonu! — Za mną knechty daléj!“
Zaczekał jednak: lecz po krótkiéj zwłoce,
Gdy nic nie słyszał, bramą w pole goni;
Kiedy niekiedy zbroja zamigoce,
Kiedy niekiedy podkowa zadzwoni,
Kiedy niekiedy słychać rżenie koni;
Coraz znikają w dali i pomroce,
Las ich nakoniec i góra zasłoni.
„Jedźcie szczęśliwie! bogdaj wasza noga
Nigdy w litewskiéj nie postała ziemi!“
(Rzekł Rymwid, patrząc z uśmiechem za niemi) —
Dzięki, o księżno! jaka zmiana błoga,
Jak niespodziana! Proszę teraz, kto tu
Pochlebi sobie, że zna serce cudze?
Ów głos gniewliwy, owa postać sroga?
Słowa wiernemu nie dał wyrzec słudze!
Ptaszego zda się chciał pożyczyć lotu,
By spaść co prędzéj na Witołda głowę:
Wtém jeden uśmiech i słówko miodowe
Wytrąca oręż, zmusza do powrotu.
Niedziw, zapomniał starzec siwobrody,
Że księżna piękna, a Litawor młody!“
Tak mówiąc z sobą wzniósł do góry oczy:
Może się lampa za kratą ukaże.
Napróżno patrzył; ciemność okna mroczy;
Wraca więc znowu i na ganek kroczy,
Ażali książę wołać nie rozkaże.
Napróżno czekał, zapytywał straże,
Zbliża się ku drzwiom, w pokoju noc cicha
A książę dotąd snem twardym oddycha.
„Cuda prawdziwe! Nie odgadnę całe,
Jakim dziś wszystko idzie u nas torem:
Niedawno wołał w największym zapale,
Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem,
A sam śpi dotąd? miał wyciągnąć rano?

Stoją rycerze od Niemców wezwani,
A Niemcom z niczém odjechać kazano.
Któż zaniósł rozkaz? oto giermek pani!....
„Ile z wczorajszéj wróżyłem rozmowy....
Wprawdzie żadnegom nie słyszał wyrazu,
Lecz długie prośby, głos pana surowy....
Miałażby księżna pomimo rozkazu
Ważyć się sama aż na krok takowy,
Ufna potędze niewieścich pieścideł?...
Lękam się bardzo, aby tego razu
Zbytniéj śmiałości nie puściła skrzydeł.
Prawda, iż nieraz poczynała śmiele;
Lecz to byłoby więcéj niż za wiele.“
Dalsze rozmowy przerwał mu posłaniec,
Który wszedł cicho i zdaleka mruga;
Więc obaj śpieszą w zamku lewy kraniec.
Ztamtąd krużgankiem zbiegła księżnéj sługa:
Wnet sama pani w sieniach go spotyka.
Wprowadza i drzwi za sobą zamyka.
„Radco sędziwy! nie dobrze się dzieje,
Ale rozpaczy oddać się nie godzi;
Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje,
Szczęśliwsze jutro może wynagrodzi.
Bądźmy cierpliwi: nie robić hałasu
Między żołnierstwem i dworską gawiedzią;
Posły odprawim do innego czasu,
Ażeby książę nagłą odpowiedzią
Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,
Coby rad cofnął, gdy z gniewu ochłonie.
„Ty się nie lękaj: jakkolwiek wypadnie,
Zamiarom pana nic się nie uszkodzi;
I potém wojsko może zwołać snadnie
Jeżeli czas mu serca nie ochłodzi.
Dzisiaj miał jechać, ale wyznam szczerze,
Ja tak kwapionéj wyprawie nie wierzę,
Ledwie w domowe powrócony progi,
Wczora zaledwie z piersi złożył zbroje,
Z dalekiéj jeszcze nie wytchnąwszy drogi,
Miałżeby znowu dziś ruszać na boje?“...
„— Co słyszę księżno? Ty mówisz o zwłokach?
Jak cię niestety rachuba omyli!
Już jest zapóźno; już po tylu krokach
Nie będzie czekał godziny, pół chwili...
Wreszcie obaczym. Lecz wprzód chciałbym wiedzieć,
Jak przyjął książę wczorajszą namowę?...“

Grażyna właśnie miała opowiedzieć,
Gdy ich zdarzenie pomieszało nowe.
Tentent jezdnego słychać na dziedzińcu:
Zdyszały giermek dopada komnaty,
Przynosi wieści od litewskiéj czaty,
Która po Lidzkim biegając gościncu,
Teraz od Niemców dostała języka:
„Że wódz krzyżacki jazdę z lasu ruszył,
A za nią knechtów i obóz pomyka;
I że przed świtem, jak czatownik tuszył,
I jak niemieckie wyznawały brańce,
Chce miasto ubiedz i szturmować szańce.
Niechaj więc Rymwid wraz do pana skoczy,
By go przebudzić i prędko uradzić:
Czyli na murach obrony rozsadzić,
Czyli na polu Niemcom zajrzeć w oczy.
Czatownik radzi, abyśmy się skradli
Do nich z ubocza, bo są niedaleko;
Wprzód nim się knechty z działami przywleką,
Abyśmy z nagła na lud jezdny padli:
Tak zapędzonym na chrapy i rowy
Łacno Rajtarom i Bratom łby zmieciem,
Potém Fussknechtów wziąwszy pod podkowy,
Do szczętu plemie jaszczurcze wygnieciem.
Mocno Rymwida dziwi ta nowina,
Daleko mocniéj dziwi się Grażyna.
„Giermku!“ zawoła „kędyż są posłowie?“
Umilknął giermek, a niepewne lice,
I pytające topiąc w niéj źrenice:
„Co słyszę księżno?“ zdumiony odpowie,
„Alboż o własném zapomniałaś słowie?
Niedawno kiedy piały drugie kury
Samaś mi rozkaz książęcy przyniosła,
Ażebym biegał co prędzéj do posła,
I wyprawił go przed świtem za mury!“
„Tak“ rzecze księżna: twarz odwraca zbladłą;
Lecz pomieszanie widne w jéj osobie,
Do ust wyrazy nieporządne kładło.
„Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie ,..
Jakże to wszystko z głowy mi wypadło!
Biegnę... nie, stójmy... albo, wiem, co zrobię...“
Stanęła, milczy, przymkniona powieka,
Czoło pochyłe, w którém się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka;
W niepewnych rysach okaże się, mija,

I znowu wschodzi, całą twarz obleka,
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem,
Już umyśliła, postąpiła krokiem.
„Tak jest, raz jeszcze idę budzić męża,
Wojsko niech zaraz w drogę się wybiera;
Ty, giermku, rozkaż osiodłać Hestera,*)
I wynieś resztę pańskiego oręża.
Wszystko to ma być natychmiast gotowe!
Przykazuję wam imieniem książęcia.
Odpowiedź, starcze, wkładam na twą głowę
Jaki cel, kędy mierzą przedsięwzięcia,
Nie gadać, ani pytać, do poranku.
Idźcie, i pana czekajcie na ganku.“
Wybiegła, drzwiczki za sobą zatrzasła.
Wybiega Rymwid, a myśli po drodze:
„Gdzie idę? po co? Wszak wojska i wodze
Już zgromadzone, już wydane hasła!...“
Odetchnął tedy, zwolnił nieco kroku,
Stanął z nagiętém ku ziemi obliczem,
I myśląc długo, nie myślał o niczém:
Bo w mnogich zdarzeń i wniosków natłoku,
Myśli samopas plączą się bezładnie,
Ani ich rozum znużony owładnie.
„Próżno tu czekam. Już blizki poranek,
Wkrótce się cała zagadka rozwiąże.
Muszę z nim mówić, śpi, czy nie śpi książe...“
Więc stąpał prosto na pałacu ganek:
A wtém się z lekka rozwarły podwoje.
Litawor wyszedł sam jeden do sieni;
Szatę miał, w jaką stroi się na boje,
Całą od sutéj błyszczącą czerwieni;**)
Głowę pod hełmem, piersi miasto zbroje
Pancerz obwijał z żelaznych pierścieni;
W lewicy tarczę mniejszego obłęku,
A pas od miecza na prawém niósł ręku.
Gniewem lub troską zdał się kołatany,
Nierównym stąpał i niepewnym krokiem;
Gdy się zbliżały rycerze i pany,
Uczcić łaskawém nie raczył ich okiem,
Drżący z rąk giermka wziął łuk i kołczany,
Miecz nawet zwiesił po nad prawym bokiem,
A chociaż wszyscy omyłkę widzieli,

*) Szczególny rodzaj koni Żmudzkich.
**) Czerwień, purpura.

Przestrzegać pana nikt się nie ośmieli
  Już zstąpił z ganku, już chorągiew złota
Wzniesiona, pocznie na dzień krwawy świtać,
Już dosiadł konia, już przyboczna rota,
Miała go wrzaskiem i trąbami witać:
Lecz dał znać ręką aby zamknąć wrota,
Jechać w milczeniu i o nic nie pytać.
A pacholiki i nadworne sługi
Aż za most wywiódł na dziedziniec drugi.
  Stąd nie gościńcem puścili rumaki,
Ale na prawo skręcając się dołem,
Przepadli między kurhany i krzaki;
Znowu ku drodze nawracają kołem,
Wąwoz ciemnemi wiedzie ich zatoki,
Ścieśnione coraz rozsuwając boki.
  Jest od przykopów miejskich tak daleka,
Jako niemieckiéj broni grzmot doniesie,
Mała, zaledwie znana komu rzeka,
Wązkiém korytem błądząca po lesie;
Ku drodze jednak coraz szérzéj ścieka,
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie;
Puszcza okrywa z boków jéj zwierciadła,
A z przodu góra wyniosła usiadła.
  Tam, gdy litewskie wymknęły się roty,
Ujrzą śród góry przy blasku księżyca,
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty.
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica;
Sypią się męże, ściskają się roty,
Murem krzyżacka stanęła konnica.
  Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie
Na czole Ponar zasadzone bory,
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,
A rosa jasne wieszając bisiory,
Nagle się mrozem w śron perłowy zetnie:
Błędnym przechodniom zdają się u wniścia
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.
  Ten widok gniewy w książęciu poduszcza.
Skoczył z wyniosłém nad głową żelazem;
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszcza,
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy ladajako puszcza;
Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,
Kędy sam myśli na czele ugodzić,
A jakie skrzydła odda im przywodzić.
  Więc Rymwid pańską zastępując wolę,

Obiega hufy, szykuje wśród drogi;
Wklęsłe ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi:
Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.
Dał hasło: chylą majdany*) do nogi,
Warknęły struny, świsnęła strzał chmura,
Jezus, Marya! naprzód, hop hop, ura!**)
  Dopieróż, drzewca ułożywszy w toku
Zewrą się bliżéj, pierś na pierś uderzy....
Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięztwa i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmieszani w natłoku:
Zewsząd szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy;
Pryskają bronie, lecą chełmy, głowy,
Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy.
  Książę jak skoczył, tak goni na czele,
Ani się jeden między tłumem boi.
Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele,
Poznali godła na hełmie i zbroi;
Cofa się walcząc nieśmiała gromada,
Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.
  Lecz któryż z bogów siłę w nim osłabił?
Cóż stąd, że zbiegłych natarczywie goni?
Cóż stąd, że bije? nikogo nie zabił.
Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,
Albo się zwija odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.
  Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,
Odzyszczą serce; z okropnym hałasem
Nawrócą czoła, potkną się zażarcie,
I gęstym włóczni otoczą go lasem;
Czy przelękniony, czy splątany w tłumie,
Brać ich na szable i tarczy nie umie.
  Trudno mu było całą unieść szyję,
Krzyżactwo zewsząd kole, strzela, siecze:
W tem huf litewski nawałę rozbije,
Biorąc go między puklerze i miecze:
Ten słabe razy swojemi poprawia,
A ten od cudzych razów go zastawia.
  Już noc pierzchała: już różane włosy
Zorza na wschodnim roztacza obłoku,
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,

*) Majdan, część ta łuku, za którą się ręką łuk trzyma.
**) „Hop, hop, da stich und poss!" wołali Niemcy na nieprzyjaciół.

Ni w tył, ni naprzód nie ruszono kroku;
A bóg zwycięztwa, przyszłe ważąc losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd bierze.
I szala dotąd w równéj stoi mierze.
    Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma,*)
W koło go mokrém ramieniem obchodzi,
Dnem podkopuje, pierś górą wydyma;
Ten natarczywéj broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jéj dotąd trzyma,
Ani się wzruszy skała w piasek wryta,
Ani jéj rzeka ustąpi koryta.
    Krzyżactwo długiéj niecierpliwe bitwy,
Na wierzchu góry stojący odwodem
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy:
Komtur ich wiedzie, sam uderza przodem;
A zmordowanych długiemi gonitwy,
Gdy naparł świeżym i dzielnym narodem,
Łamią się szyki, Krzyżactwo zwycięża.
Wtém z góry zagrzmiał straszliwy głos męża.
    Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy,
Stoi na koniu: a jako rozwiodła
Szeroko cienie stérczących warkoczy,
Na śnieżnéj górze wybujała jodła,
Tak go szeroki płaszcz dokoła mroczy:
Czarny płaszcz, czarny koń i hełm i godła.
Trzykroć zawołał, zleciał nakształt gromu,
Nie wiedzieć za kim, albo przeciw komu.
    Dobiega Niemców, między tłumem tonie.
Bitwy nie ujrzysz; ale zgiełk i jęki
Dają odgadnąć w jakiéj walka stronie,
I jak straszliwy piorun jego ręki.
Tam szyszak zniknie; ówdzie sztandar padnie;
Tłoczy się hufiec, miesza się bezładnie.
    Jako leśnicy, gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali;
Jęczą topory, chrobocą pił zęby,
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali;
Nakoniec, między wyciętemi zręby
Ujrzysz i mężów i błyskanie stali:
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darł się ku Litwie rycerz nieznajomy.

*) Niedaleko miasteczka Rumszyszek jest największa rapa w Niemnie, żegludze niebezpieczna, zwana olbrzym.

    Śpieszaj rycerzu ożywić duch męzki,
Krzepić słabnących, śpieszaj, jeszcze pora!
Litwini blizcy ostatecznéj klęski:
Dzid i puklerzów warowna zapora
Już rozłamana; sam Komtur zwycięzki
Po całém polu szuka Litawora:
On się nie kryje: oba konie bodą,
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiodą.
    Litawor szablę wynosi do cięcia,
Komtur dał ognia z piorunowéj broni.
Zadrżą Litwini, pojrzą na książęcia:
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,
Cugle z słabego wyciekły ujęcia;
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,
Spływając z siodła już się bokiem chyli.
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.
    Jęknął mąż czarny; a jak czarna chmura
Ryknąwszy błyśnie piorunowym gradem,
Z taką szybkością leci na Komtura:
Zaledwie pierwszym zwarli się napadem,
Pojrzeć, aliści Komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po niem!
    Gdzie obskoczyły książęcia dworzany,
Przebiega, chwyta, rwie pancerza węzły,
Ostrożnie zdziera blach zafarbowany,
Wyśledza postrzał głęboko ugrzęzły.
Wtém krew nanowo wytrysnęła z rany,
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;
Otwiera oczy, spoziera do koła,
I znowu wciska na oczy przyłbicę;
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę:
„Już jest po wszystkiém, starcze,“ mówi z cicha,
„Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę;
Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę,
Wieźcie do zamku, tam wyzionę duszę.‘
    Rymwid szerokie oczy w nim utopił,
Ledwie śmie wierzyć, od zmysłów odchodzi,
Upuszcza rękę, którą łzami kropił,
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi,
Teraz poznaje głos nieznany wczora:
Niestety, nie był to głos Litawora!
    Tymczasem rycerz upuszczone wodze
Starcowi wręczył, sam do pana skoczył,
Rumaki każe nawrócić ku drodze

Chwiejącego się ramieniem otoczył,
Składa na piersiach, krew dłonią zaciska;
Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.
I zbliżają się pod okopy grodu.
Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce;
Ci bodąc konie przez tłumy narodu,
W milczeniu śpieszą na zamkowe szańce;
A skoro wpadli, uchylono zwodu.
Rycerz strażnikom przykazuje srogo,
Ni tam, ni za się nie puszczać nikogo.
Wnet z resztą hufów ciągną bojownicy,
A choć wygrali tak przeważne pole,
Mała stąd radość była po stolicy;
Ból serca ścisnął, żałoba na czole;
Każdy się pyta troskliwy o pana:
„Gdzie jest? czy żyje? jak głęboka rana?“
Nikt nie był w zamku, nikt o niczém nie wie;
Podjęto mosty i zemkniono zwory,
Tymczasem w fossę, między gęste krzewie,
Schodzą trabanci z piłami, z topory,
Sieką chróst, walą topole, modrzewie,
A ociosane pnie, gałęzie, wióry
Toczą na barkach i wozach do miasta:
Na taki widok żal i postrach wzrasta.
Kędy świątynie miał władca pioruna,*)
I bóg co wichrem niepogodnym świszcze,
Gdzie woły, konie, trzoda srebrnoruna,
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcze:
Tam stos ogromny kładą pod obłoki,
Dwudziestem sążni długi i szeroki.
W środku dąb sterczał, a pod dębem stoi
Niemiecki braniec na dzielnym rumaku,**)
Z orężem, w hełmie i zupełnej zbroi,
Trzykroć łańcuchem przykuty do haku;
Wódz to krzyżacki, co był posłem wprzódy,
Zabójca księcia, Diterych z Kniprody.
Biegą mieszczanie, rycerze, kapłany,
Czekają końca, zgadywać nie śmieją;
Każdy zarówno w myślach kołysany
Między bojaźnią, żalem i nadzieją,
W zamek smutnemi poziera oczyma,
A słuch na wieści wyprężony trzyma.

*) Perkunas, bóg pioruna, czczony w Litwie; i Pochwist, bóg niepogody, u Rusi.
**) Brańców wojennych Litwini palili na ofiarę bogom. Przeznaczono do tego obrzędu wodza, lub znaczniejszego z rodu i męztwa rycerza.

Przecież i trąba ozwała się z wieży,
I most opada, i wolnemi kroki
Rusza się orszak w żałobnéj odzieży,
Niosąc na tarczach bohatera zwłoki;
Przy nich łuk, włócznia, miecz i sajdak leży,
W koło purpurą świeci płaszcz szeroki:
Książęce stroje; lecz nie widać lica,
Bo je spuszczona zawarła przyłbica.
„To on, to książę! wielkiego pan kraju,
Mąż dużéj ręki, któż mu równien będzie,
Czy gromić Niemce i hordy Nogaju,
Czy lud na słusznym rozsadzać urzędzie?
Panie nasz! za cóż dawnego zwyczaju
Nie widać w twoim pogrzebnym obrzędzie?
Nie tak albowiem starożytność święta,
Czciła twe przodki, Litewskie książęta.
„Za cóż do nieba nie idzie za tobą
Twój giermek, każdéj nieodstępny drogi,
I z próżném siodłem, okryty żałobą
Towarzysz pola, koń jelenionogi;
I sokoł, i psy, co wiatr pyskiem sieką,
I drugie z pyskiem wietrzącym daleko?“
Szemrała gawiedź. — Rycerze na stosie
Składają ciało, mleko i miód leją;
Przy długiéj trąby i fletni odgłosie,
Śmiertelne pieśni Wajdeloci pieją.
Starszy pochodnię wziął i nóż ofiarny;
Stójcie! Stanęli. — Nadjechał mąż czarny.
Któż on? pytają wszyscy, któż on taki?
Poznało wojsko: on na polu wczora,
Kiedy Litewskie złamano orszaki,
I obstąpiono zewsząd Litawora,
Przypadł, odwagę stygnącą zapalił,
Niemców wysiekał, Komtura obalił.
Tyle o czarnym rycerzu wiedziano.
Dziś w tymże płaszczu, na tymże rumaku:
Lecz po co przybył? skąd ród? jakie miano?
Stójcie i patrzcie! Uchyla szyszaku,
Uchyla twarzy: on! Litawor! książę!...
Dziw nagły zmysły i mowę zabiera;
Nakoniec radość skrzepły głos rozwiąże,
Opłakanego widząc bohatera;
Wrzasną i klasną; wrzask o gwiazdy bije:
Litawor żyje! książę, pan nasz żyje!

Stał, i ku ziemi dzierżał lice blade.
Hałas grzmi jeszcze powtarzany echem;
Zwolna wzniósł czoło, obejrzał gromadę,
Za okrzyk lekkim dziękując uśmiechem.
Nie był to uśmiech, co z serca poczęty,
Rozjaśni lica i w óczach zaświeci,
Ale jakoby gwałtem przyciągnięty
Usiadł na ustach i w krótce uleci:
Tyle dodaje smutnéj twarzy wdzięku,
Ile kwiat w bladém nieboszczyka ręku.
„Zapalcie zgliszcze!“ — Palą, ogień bucha,
A książę daléj: „Wiecieli wy, czyje
Zwłoki na stosie giną?“.... Cichość głucha,
„Niewiasta! choć ją męzka zbroja kryje!
Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha:
Ja się zemściłem; lecz ona nie żyje!“
Rzekł, bieży na stos, upada na zwłokach,
Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

KONRAD WALLENROD.

Powieść historyczna
przez
ADAMA MICKIEWICZA.
(W wyjątkach.)

Z Marienburskiéj wieży zadzwoniono,*)
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie;
Zewsząd Komtury do stolicy śpieszą,
Kędy zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu:
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w zakonie zasługi;
Dotąd, powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżéj stawi Wallenroda.
On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,

*) Marienburg, po polsku Malborg, miasto obronne w Prusach, niegdyś stołeczne Krzyżaków.

Sławą napełnił zagraniczne domy:*)
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Ottomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.
Nie tylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata:
Zdobią go wielkie chrześciańskie cnoty,
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.
Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swéj broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda z daleka,
Od czarującéj rozmowy ucieka.
Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia...
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły;

*) Domy, tak nazywały się klasztory, albo raczéj zamki po różnych krajach Europy.

Słysząc je, znowu odwraca oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Był to mnich siwy, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.
Tak naczelnicy zakonnéj obrady
Rozpamiętują Konrada przymioty.
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad światowéj nie lubił pustoty,
Konrad pijanéj nie dzielił biesiady:
Wszakże zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju,
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił:
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogniów błyskawice,
Z piersi żałośne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiewa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni nucone cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją:
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać;
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie
Chcące z głębiny ziemnéj coś wydostać.
Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą w obłędnych pogoniach,
Ściga swą młodość na przeszłości toniach...
Gdzież dusza jego? — w krainie pamiątek
Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
I lica jego, niewinnych uśmiechów

Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza struny po kolei,
Prócz jednéj struny — prócz struny wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.
Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnéj dziwili się zmianie:
Konrad zbudzony, zżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
Straszliwie groził, niewiadomo komu:
Trwożą się bracia... Stary Halban siada,
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowéjś tajemnéj wymowy.
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi:
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbą: wtém, królewskie zwierze
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada:
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy — oczyma;
Tym nieśmiertelnéj talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.
Z Marienburskiéj wieży zadzwoniono,
Z obradnéj sali idą do kaplicy:
Najpierwszy Komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiewa hymny do świętego Ducha.
. . . .
(Konrad jest Mistrzem!) Długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije:
„Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje zakon, niech pogaństwo zginie!“
Gdy Mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od Komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi:

Wzniósł dumne czoło; chociaż troski chmura
Ciężyła nad niém, wkoło okiem strzelił,
W którém się radość napół z gniewem żarzy,
I niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.
Ten zapał mistrza, to groźne oblicze
Napełnia serca otuchą, nadzieją;
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku?
Drżyjcie Litwini? już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamie krzyża.
Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju;
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju;
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnéj zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.
Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnéj stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,
Że idzie na mszę do mistrza kaplicy —
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.
Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą;
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
Stąd Krymskie hany lud potężny wiodą.
Witołd, zepchnięty od Jagiełły z tronu,
Przyjechał szukać opieki Zakonu;
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Był dzień Patrona, uroczyste święto.
Komtury z Braćmi do stolicy jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto:
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.
Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli Bracia; a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.
Konrad na czele. Po lewicy tronu
Wziął miejsce Witołd ze swémi hetmany:
Dawniéj był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.
Już mistrz powstawszy daje uczty hasło:
„Cieszmy się w Panu!“ Wnet puhary błysły,
„Cieszmy się w Panu!“ tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.
Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.
„Cieszmy się,“ rzecze: „cóżto, bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi?
Zrazu wrzask pijany, a teraz szmer cichy...
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?
Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełném trupów bojowisku,
Śród gór Kastylskich lub Finlandzkich lasów,
Przy obozowém piliśmy ognisku
Tam były pieśni!... Między waszym gminem
Czyż niema barda czyli menestrela?
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem.“
Zarazem różni śpiewacy powstali;
Tam Włoch otyły słowiczémi tony
Konrada męztwo i pobożność chwali;
Ówdzie Trubadur od brzegów Garony
Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,
Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.
Wallenrod drzémał; piosenki ustały;
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:
„Mnie“ rzekł, „jednemu śpiewałeś pochwały,
Jeden nie może dać innéj nagrody:
Weź i pójdź z oczu!... Ów Trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,

Niechaj daruje, że w rycerskiém gronie
Dziewicy nie masz, coby mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży...
„Tu róże zwiędły... Innego chcę barda,
Zakonnik rycerz innéj chce piosenki:
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak zalotnik pijany.
Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi;
I znowu niechaj znudzonych przestrasza:
Takie jest życie — taka piosnka nasza!...
Kto ją zaśpiewa? kto?" „Ja," odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział.
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów:
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.
W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła,
I tém skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. — „Ja śpiewam," zawoła.
„Dawniéj Prusakom i Litwie śpiewałem:
Dziś, jedni legli w ojczyzny obronie.
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jéj martwém ciałem;
Jak sługi, wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni — jak Witołd, między wami żyją.
„Ale po śmierci... Niemcy, wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju?
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
„O dzieci, jaka na Litwę sromota!
Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza, Stary Wajdelota,
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony....
Samotny, w obcéj ziemi zestarzałem;

Śpiewak, niestety! śpiewać nie mam komu;
Na Litwę patrząc oczy wypłakałem...
Dzisiaj — jeżeli chce westchnąć do domu,
Nie wiem gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam, czy ówdzie, czyli z tamtéj strony...

„Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
Co w méj ojczyźnie najlepszego było...
I te ubogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi Niemcy — weźcie mi pamiątki.

Jak zwyciężony rycerz na igrzysku:
Zachowa życie, ale cześć utraca;
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca,
I raz ostatni wytężając ramie,
Broń swą pod jego stopami rozłamie:
Tak mię ostatnia natchnęła ochota.
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę:
Niech wam ostani w Litwie Wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę."

Skończył, i czekał Mistrza odpowiedzi.
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem:
Konrad badawczém i szyderczém okiem
Witołda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy Wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił:
Dręczy go równie i gniew i sromota;
Nakoniec, szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca,
Spojrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu nad czołem wisząca
Opadła nagle w bystrym łez potoku.
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania,
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy z cicha: „Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni, i kto je rozumie?"
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:
„Oto jest ruta litewskiego śpiewu!"

Wtém Konrad powstał: „Waleczni rycerze!
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,

Od miast i książąt podarunki bierze:
Jak winne hołdy z podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze:
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę: będzie to grosz wdowi.
Pośród nas widzim książęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie:
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystéj odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie, niechaj się oddali.
Ja czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałéj litewskiéj piosenki;
Jak lubię łoskot rozhukanéj fali,
Albo szmer cichy wiosennego deszczu,
Przy nich spać miło — śpiewaj stary wieszczu."

Pieśń Wajdeloty.

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jéj przyjście wieszcza odgadnie źrenica:
Bo jeśli słuszna Wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica*),
W bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowiezkie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.
„Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją;
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.
„Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
Na sioła, zamki i bogate miasta:
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.
Zgubne zjawisko! . . . Ale więcéj zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiéj strony
Szyszak błyszczący ze strusiemi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony!
„Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczém jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pojdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić. . . .

*) Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy.

O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty.
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty!
„Arko tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem miewasz i broń archanioła. . . .
„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby, mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją.
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I stamtąd dawne opowiada czasy. . . .
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.
„Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stoletni,
Trącając kości żelazem oraczém,
Stanął, i zagrał na wierzbowéj fletni
Pacierz umarłych, lub rymowym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni. . .
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala.
Tém mocniéj widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem
„Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła:
Tak na dźwięk pieśni, kości z pod méj stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono . . .
Marzyłem cudnie — srodze mię zbudzono!
„Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę,
Lutnia umilkła w otrętwiałém ręku,
Śród żałosnego spółrodaków jęku

Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią, i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jéj serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne acz nieco przyćmione kobierce . . .

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłéj przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie."

„Kończ pieśń, (rzekł Konrad) ja zaśpiewam inną:
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli. . . .
Starcze! graj nutę, tę nutę dziecinną,
Którą w dolinie . . . o! byłto czas błogi —
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić . . .
Wracajże starcze! . . . bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie . . ." Starzec musiał wrócić,
Uderzył lutnię i głosem niepewnym
Szedł za dzikiemi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada;
Lecz Konrad śpiewa; budzą się na nowo,
Stają, i w szczupłém ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

Ballada.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady:
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy.
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary:
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże:
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornéj obronie,
Przerżnął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżéj zamku ruinie
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtém straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcéj krainy
O posłuchanie co rychléj prosi,
Ważne przywożąc nowiny,

Byłto Almanzor, król muzułmanów.
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie!" woła, „na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu
Waszym prorokom uwierzyć.

„Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcéj korony."

Hiszpanie męztwo cenić umieją:
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczuléj uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtém osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła — wszystkich zadziwił:
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

„Patrzcie, o giaury! jam siny, blady!
Zgadnijcie czyim ja posłem?...
Jam was oszukał: wracam z Grenady;
Ja wam zarazę przyniosłem!...

„Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać...
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać."

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona;
Chciałby uściśnieniem wieczném
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły:
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli:
Dżuma za nimi w ślad biegła:
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

„Takto przed laty mścili się Maurowie:
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?...
Cóż? jeśli kiedy uiści się w słowie,
I przyjdzie mieszać zarazę do wina...
Ale nie — o nie! — dziś inne zwyczaje,
Książę Witołdzie, dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje,
I zemsty szukać na zwój lud znękany!

„Przecież, nie wszyscy... o! nie, na Peruna!
Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiewam...
Precz mi z tą lutnią!.. zerwała się struna,
Nie będzie pieśni!... ale się spodziewam,
Że kiedyś będą.... Dziś zbytnie puhary...
Za nadto piłem... Cieszcie się i bawcie...
A ty Al...manzor, precz mi z oczu stary!
Precz mi z Albanem...! samego zostawcie."

Rzekł, i niepewną powracając drogą,
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
Stół z puharami i winem wywrócił.
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął,
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.
Rycerze chwilę w zadumaniu stali,
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada:
Ale na uczcie — publiczna sromota! —
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!
Kto go podniecił! gdzie ów Wajdelota?..
Wymknął się z ciżby, i nikt o nim nie wie.
Były powieści, że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał:
Że tym sposobem znowu chrześcijany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale skąd w Mistrzu tak nagłe odmiany?
Za co się Witołd tak srodze rozgniewał?
Co znaczy Mistrza dziwaczna ballada?
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

Wojna. Już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady;

Dawno już cały kraj o pomstę woła,
Za Litwy napaść i Witołda zdrady.
Witołd, co wsparcia u Zakonu żebrał,
Dla odzyskania Wileńskiéj stolicy;
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,
I swych rycerzy tajnie uprowadził.
W zamki Teutonów leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od Mistrza rozkazem,
A potem oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon, i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na pogany.
Wychodzi bulla: morzem, lądem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje;
Możni książęta, z wassalów drużyną,
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.
Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili?
Jeśliś ciekawy, wynijdź na okopy,
Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli:
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje,
O to są wojen napastniczych dzieje;
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos, wołający o pomstę do Boga.
Wiatry pożogę coraz daléj niosły,
Rycerze daléj w głąb Litwy zabiegli,
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli;
W końcu ustały i wieści i posły.
Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz daléj się czerwieni.
Darmo Prusacy z podbitéj krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają;
Darmo ślą częstych gońców po nowiny:
Śpieszą się gońce, i — nie powracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rozpaczy.
Minęła jesień. Zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi:
I znowu zdala na niebiosach świeci

Północne zorze? czy wojny pożogi?
Coraz widoczniej razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżej się czerwieni.
Z Marienburga lud patrzy ku drodze.
Już widać zdala: kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych... Konrad! Nasi wodze!...
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków?... Konrad wzniósł prawicę,
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną:
Ach, sam ich widok zdradził tajemnicę!...
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą jak podłe owady
W ciasném naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi;
Lecz ręce wznoszą, i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.
Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć, i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnéj wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała.
Tu słychać trąby litewskiéj pogoni,
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni,
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.
Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił!..
On, co z oręża takiéj nabył chwały,
On, co się dawniéj roztropnością chlubił:
W ostatniéj wojnie lękliwy, niedbały,
Witołda chytrych sideł niedostrzegał;
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.
Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód Niemieckie nawiedzał obozy,
A nieprzyjaciel w koło rozproszony
Niszczył posiłki, przecinał dowozy;
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie,
Czas było szturmem położyć kres wojny
Albo o rychłym zamyślać odwrocie:
Wtenczas Wallenrod, ufny i spokojny

Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty, knował tajemne układy,
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.
I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego nie wzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął:
Z założonemi na piersiach rękami,
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał...
Tymczasem zima nawaliła śniegi
I Witołd, świeże zebrawszy szeregi,
Oblegał wojsko, na obóz napadał...
O, hańbo w dziejach mężnego Zokonu! —
Wielki Mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy!...
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięztwach Litwy.
Czyście widzieli, gdy z tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu?
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica;
I Konrad cierpiał — ale spojrzyj w oczy
Ta wielka, na pół otwarta źrenica,
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami,
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Któremi szatan podróżnego mami,
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem!
Drżał lud i szemrał. Konrad nie dbał o to:
Zwołał na radę niechętnych rycerzy;
Spojrzał, przemówił, skinął — o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga;
Bo kogoż z ludzi nie pokona — trwoga?
Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie!...
W Marienburgu wiem ja loch podziemny:
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.
Tam jedna lampa na podniebiu sali
I w dzień i w nocy się pali;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na tronie ustaw księga tajemnicza,
Dwunastu sędziów, każdy w czarnéj zbroi;
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnéj ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu;
Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w ręku, rapiery u boku.
Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed księgą zakonu,
Rzekł: — „Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.
Kto on jest? nie wiadomo Przed dwunasty laty
Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce, rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,
Z Palestyny uszedł skrycie,
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam, w potyczkach z Maurami dał męztwa dowody,
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody:
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby,
I został Mistrzem — dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie. Téj ostatniej zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów,
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą;
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą:
Lecz, sędziowie, on mówił — językiem Litwinów!.
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,
I o czém świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
Sędziowie! ja na Mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyę, zdradę.“ —
Tu oskarżyciel przed zakonu księgą
Ukląkł, i wsparłszy na krucyfiks rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
Na Boga, i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;
Lecz nie ma głosów, ni cichéj rozmowy,
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy,
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu, na księdze zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykłada,
I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!
I trzykroć echem powtórzyły mury:
Biada! — W tém jedném, jedném tylko słowie
Jest cały wyrok. Pojęli sędziowie:
Dwanaście mieczów podnieśli do góry
Wszystkie zmierzone — w jednę pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu, — a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: — biada!

„Kto idzie?“ trzykroć odźwierny zawołał;
„Biada!“ krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega.
Alf, zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu: „stało się!“ zawoła,
Nalał i wypił. „Starcze! w ręce twoje!“
Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki,
Opuszcza rękę: — „To oni, — już przyśli.“
„Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czegoż myślisz? Masz nalaną czaszę,
Moja wypita... Starcze, w ręce wasze!“
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy:
„Nie, ja przeżyję — i ciebie, mój synu!...
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci;
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta

Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci.“
Objął Halbana; westchnienia zmięszali
W ostatniém, cichém, długiém uściśnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:
„Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzéj przykładnie!“
Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz. Mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:
„Oto są grzechy mojego żywota!
„Gotówem umrzeć: czegoż chcecie więcéj ?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy!
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów:
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady....
One się gryzą o szczątki biesiady!
„Ja to sprawiłem! Jakem wielki, dumny!
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!..“

MARGIER.

Poemat z dziejów Litwy,

przez

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

(W wyjątkach.)

Zdarzenie historyczne w kronikach zapisano, że r. 1336 Litwini zamknięci w zamku Pullen pod wodzą Margiera, nie chcąc się oddać w ręce Krzyżaków, sami się dobrowolnie na stosie ofiarnym pozabijali, posłużyło poecie za tło do powieści bohatyrskiéj, z któréj wyjątki podajemy. — Po prześlicznéj „inwokacyi“, pełnéj tęschnoty za przeszłością Litwy, prowadzi nas poeta na bojowisko pod zamkiem Pullen i ukazuje na około dymiące się sioła, spustoszone przez Krzyżaków łany i kipiącą zemstę Litwinów: obdarte trupy Krzyżaków

przeznaczają na spalenie i na przebłaganie bogów. Wśród trupów znajdują młodego Krzyżaka, Ransdorfa ciężko rannego; Margier nie pozwala go zabić, ale zabierając go w niewolą i oddając Lutasowi pod straż i opiekę, chowa go na uroczystszą chwilę. Ransdorf w więzieniu przychodzi do siebie i poznaje piękną Egle, córkę Margiera. — W drugiéj pieśni Marti kapłanka docieka woli bogów i żąda śmierci młodego Krzyżaka, ale Lutas z litości a Egle tkliwą ruszona miłością, uprowadzają Ransdorfa podziemnym i tajemnym gankiem, wracają życiu i wolności, odbierając przysięgę, że tajemnicy nie zdradzi. — W pieśni trzeciéj stawia nas poeta w zamku Malborskim i wystawia w pięknych obrazach przepych życia Krzyżaków, imponujące ich zebranie, narady, przyjęcie i odprawę posłów polskich; tu rycerze uchwalają nową na Litwę wyprawę i cudownie ocalonego Ransdorfa przeznaczają na dowódzcę wyprawy na Pullen. — W pieśni czwartéj widzimy hufce Krzyżaków ciągnące na Litwę, a Litwinów w Pullenie gotujących się do odparcia; Marti woła o krew na przebłaganie bogów za zbiegłego Krzyżaka, i żąda Egli na ofiarę. Ale kiedy już krótka tylko czasu przestrzeń dzieli nieszczęśliwą od płomieniejącego stosu, Krzyżacy ukazują się pod zamkiem. — W piątéj pieśni w wybornych zarysach kreśli poeta sceny zaciętéj walki, śmierć Lutasa, ostatnie wysilenia Litwy i ukazuje niepodobieństwo dalszéj walki: wtedy Margier przygotowuje stós ofiarny na śmierć dobrowolną dla siebie i dla wszystkich. Ransdorf podziemną drogą wkrada się do zamku i chce uprowadzić Egle, ale dziewica ze wzgardą odpycha tego, który zdradził tajemną drogę i na Litwę nowe sprowadził nieszczęścia; przemocą więc ją porwać każe i na łodzi przez Niemen uprowadza. Tymczasem na zamku rzeź dobrowolna i ostatnie boju wysilenia. Ostatni po nad trupami stoi Margier: z wieży spostrzegł łódź na Niemnie z córką i Ransdorfem; dwoma strzałami zabija obojga i potém sam sobie śmierć zadaje.

Nad strzechy Litewskiemi słychać jęk puhacza:
Oto wojsko Krzyżowe po nad Niemen wkracza.
Śmierć liczy pewne żniwo po niedługiéj chwili:
Bo rzadko tyle siły Niemcy zgromadzili.
Dziesięć straszliwych hufców ciągnie się koleją,
Dziesięć wielkich proporców nad ich głową wieją,
O milę ich pancerze migocą się jaśnie,
A przy blasku ich włóczeń błyskawica gaśnie.
Gromem tętnią po błoni rumaków kopyta,
Jękiem piekieł ich trąba wojownicza zgrzyta,
A gdy trąby ucichną, zdaleka ich wyda
To piosenka rozpusty, to psalmy Dawida:

Bo tu szatan rachuby i niewiary zimnéj,
Umie w jedno zespolić bluźnierstwa i hymny.
Wielki Mistrz z gronem wodzów i starszyzny saméj,
W białéj szacie jedwabnéj ze złotemi łamy —
Przed nim niosą chorągiew wielką, znakomitą,
Na któréj w białem polu złoty krzyż wyszyto —
On na dzielnym rumaku przodkowanie bierze,
Przy nim jadą przybyli w gościnę rycerze.
Bo Niemieckie książęta, hrabiowie, barony,
Jako błędni rycerze przychodzą w te strony;
Bo jedni pięknéj chwały, drudzy przygód życzą,
Insi chcą się zapomódz pogańską zdobyczą,
Insi, czując za zbrodnie sumienia wyrzuty,
Śpieszą dopełnić ślubów, lub jakiéj pokuty:
Bo w krainie Giermana, Brytana i Galla
Mnich rycerzy do walki z pogaństwem zapala,
I chętnie rozgrzeszenia każdemu udziela,
Kto idzie szczepić w Litwie wiarę Zbawiciela, —
Przyrzeka, że kto zgasi Zniczowe ogniska,
Ten odpust całkowity i niebo pozyska,
Zjedna dla się Chrystusa i świętą Maryję,
Kto sto pogan nawróci albo ich zabije —
A więc każdy z bojaków te słowa pamięta
I w szeregach Krzyżackich stawają książęta.
Dzisiaj Belgijski Nemur z ich hufcem się wiąże,
I mężny Hannebergier, z ponad Renu książe,
I Ludwik, pan udzielny Brandeburskiéj ziemi,
Stają do boju z Litwą z zastępy mocnemi.
Mistrz ochoczo przyjmuje Chrześcijańskich gości,
Sprasza kruków do Litwy na żer jéj wnętrzności,
Wkrótce z krwawemi dzioby do jéj serca wpadną;
Tylko piersi skalistéj rozwalić niesnadno.

Ransdorf został ich wodzem — ten zaszczyt mu dany
W nadziei, że tem dzielniéj sprawi się z pogany,
Że świadom ich zwyczajów, obeznan z ich mową,
Wwiedzie do twierdzy Pullen potęgę Krzyżową,
On dochował przysięgi danéj Lutasowi
I o lochach tajemnych nikomu nie mówi,
I za najświętszy dla się obowiązek kładnie,
Że ufności Litwinów nie zawiedzie zdradnie,
Że wdzięczen za gościnność, co mu w Litwie dali,
Nigdzie zboża niestłoczy, nigdzie chat ni espali,
Że spokojnych mieszkańców nigdy nieugniecie,

Że poszanuje starca, niewiastę i dziecię.
Taką wykonał w duchu przysięgę dostojną,
Przyjmując Przenajświętszy Sakrament przed wojną.
Lecz choć serce umocnił prawowierną modłą,
Choć go wezwanie starszych na wojnę powiodło,
I choć wojnę z gogaństwem za zasługę liczy,
Uczuwa na sumieniu wyrzut tajemniczy.
A gdy jego walecznych łuczników drużyna
Dawną pieśnię pochodu chórem rozpoczyna,
Kiedy starym się snują pogadanki, żarty —
Ich wódz milczy na łęku u siodła oparty,
Spuszcza oczy, jak zbrodzień gdy u sądu stanie,
A na pochmurném czole znać przykre dumanie;
Tylko swego rumaka zażywa ostrogą,
Chciałby pędzić, jak strzała, ile siły zmogą.
Nadzieja doń się wdzięczy i szepce mu zcicha,
Że odetchnie powietrzem, co Egle oddycha. —
Ale nie godzien doznać swobodnéj radości,
Kto do domu swéj lubéj jak wróg idzie w gości,
Kto zamiast upominków, zamiast czystych kwieci,
Na jéj głową pożarną pochodnią zaświeci,
Kto niesie łuk i kołczan pełny ostrych grotów,
Którémi pierś jéj braci poprzeszywać gotów,
Kto na głowę jéj ojca, na święte jéj bogi,
Wyostrzył miecz morderczy i topór złowrogi.
Taki kochanek potwór — ludzkości zakała,
Bluźnierstwo taka miłość, co mu w sercu pała.
Czuje Ransdorf, że idzie, jak leśny bandyta,
I nieraz miecz od boku rozpaczliwie chwyta,
Targa sie przebić własne wiarołomne łono;
Lecz wiara, co od dziecka w serce mu wpojono,
Rozpaczliwe dumania w pogodniejsze zmienia,
I szepce mu o dziele wiecznego zbawienia:
Że jako rycerz Boży w chrześciańskiéj walce
Nawróci lub pokona dzikie bałwochwalce,
Że przezeń może ujrzą światło wiekuiste
Synowie odrzucenia, Twoje wrogi, Chryste!
Że w bogach Litwy szatan zamieszkał widomie,
Że Znicz, to z iskry piekieł roznieconе płomie,
Że kto tylko na Litwie wytępi bożyszcza,
Kto bezbożne świątynie obróci na zgliszcza —
Będzie wielkim w niebiesiech, siłę piekieł wydrze,
Jak niegdyś święty Jerzy, co łeb strzaskał hydrze.
Ale nad wszystkie myśli, myśl święta, jedyna
Wdzięczy się do kochanka i Chrześcijanina;

Że lube czoło Egli przez chrzestne polanie
Zaświeci aureolą i godnem się stanie
Tego nieba, co dzisiaj przeczuwa pierś drobna,
Tych aniołów, do których jak siostra podobna.
O! jak to będzie błogo, wesoło i świetnie!
Papież kordem Piotrowym jego śluby przetnie;
A ona, dziecko niebios — Chrześcijanka młoda,
Drobną rączkę przed ołtarz tak samo mu poda,
Jak niegdyś w owéj strasznéj i szczęśliwéj chwili,
Kiedy tam ofiarnicy już stos rozpalili;
Tylko na pięknéj twarzy nie przestrach, nie bladość,
Lecz się dola uśmiechnie, zakraśnieje radość,
I nastaną dni piękne w szczęściu i swobodzie.

Tak marzył młody Ransdorf, i rumaka bodzie,
I woła: „hej do Pullen, drużyno Krzyżacka!"
Ale rumak ostrogą draśnięty znienacka,
Wysłupił się i spotknął i klęknął na ziemię;
Lecz Ransdorfa żelazne niezawiodło strzemię,
Spiął trędzlą z całéj mocy i znów rumak stawa.
Zbiegła się doń łuczników drużyna ciekawa,
Winszują że ze szwanku wycofał się zdrowo;
Ale starzy wojacy potrząsują głową,
A Wilhelm siwobrody szepnął do kamrata:
„Wolałbym niepić wina przez całe dwa lata,
„Niż widzieć, jak się rumak przed wojną spotyka:
„Bo to niedobrze wróży szczęściu wojownika.
„Młody wódz!.. zła nadzieja po takim wyborze,
„I sam zginie do licha i nas zgubić może.
„Co nas spotka na Litwie, krew, czy miodek stary,
„Na odwagę, łucznicy, zatrąbmy w puhary!"
I ze skórzanéj sakwy nasączył w róg wina,
Wychylił, i wesołą piosnkę rozpoczyna.
Za Wilhelmem łuczniki wypili, zapieli;
Ale coś i po winie sercu nieweseléj,
Ale huczna piosenka w pół taktu się utnie,
A echo gór Litewskich odpowiada smutnie.

Margier z wysokich wałów gniewnem okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska:
Widzi szereg pancernych nad Niemnem rozwity,
A tam ciosają kłody, uwiązują płyty,
By ułatwić przeprawę. Po tratwach, po moście

Wkrótce przyjdą do Pullen nieproszeni goście
Gotowe im przyjęcie — już się ukrop pieni,
A na polach Litewskich niebraknie kamieni;
Daremnie w hełm uzbrajać i głowę i szyję,
Wrzątek oczy zaleje, kamień łeb rozbije;
A topory, z krzemienia wyciosane świeżo,
Bohaterskim zamachem w ich serca uderzą.
Z napiętémi łukami, celując zdaleka,
Ciżba Litwy na wale tylko hasła czeka.
Margier zmierzył szerz Niemna i obozowisko:
„Ha! złoczyńcy! namioty rozpięli zablizko,
„Nasze strzały dolecą, jeszcze pędu stanie —
„Hej! puścić chmurę żądeł na ich powitanie!"
I już łuk swój dębowy napiął do wystrzału,
Kiedy dzwonek za Niemnem ozwał się pomału,
U Krzyżaków ucichła wrzawa obozowa,
A chorągiew nadbrzeżna, do boju gotowa,
Uklękła — snadź się modlą — Margier łuk natęży:
Oto Mistrz, ze starszyzną i z orszakiem księży,
Idzie zwolna pod namiot, gdzie kościół ubrali,
Poznał go wódz Litewski pomimo oddali,
Wziął na oko — wycelił — już go ma pod strzałą,
Chciał już strzałę wypuścić; lecz serce zadrżało:
„Nie! — zawołał — niech żaden niestrzela, niemierzy,
„Dopóki Niemcy swoich nieskończą pacierzy:
„Oni modłą zajęci poklękli na ziemi,
„My nie walczym z ich bogiem, jak oni z naszemi.
„Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki,
„Niemogą się w téj chwili spodziewać zaczepki,
„Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie."
Rzekł, odpuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
A sam upadłszy na twarz, przed obliczem Litwy,
Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
Że się brzękot polnego konika posłyszy,
A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha,
Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

Trwa cisza uroczysta — wtem z lasu znienacka
Odezwała się trąba miedziana Krzyżacka,
Zagrał potém głos drugi i sto głosów za nim,
Aż zabrzękło powietrze chrapliwem zgrzytaniem.
I wali się na brzegi niezliczona tłuszcza,
Na Niemen dziesięć płytów, dziesięć tratew spuszcza,

Tłum się ciśnie na pomost aż zatapia drzewa,
A na każdéj z tych tratew chorągiew powiewa.
Zadrgał Niemen — wioślarze uderzyli w wiosła,
Połowa wojsk Krzyżackich żwawo się poniosła.
Margier skinął, wycelił, — i z tratew, co płyną,
Krew bryzgnęła ruczajem nad Niemna głębiną,
I zajękło sto piersi wyziewając ducha,
I sto trupów Krzyżackich do głębiny plucha.
Wioślarze przyśpieszają i wiosła i drąga,
Kipi Niemen — rząd tratew pod wały nadciąga.
Z przekleństwem wystrzelili Krzyżackie łuczniki,
Na wałach okrzyk Litwy odezwał się dziki,
I kilka mężnych trupów od strony Puniały
Stoczyło się z okopów przez urwiste wały,
Aż w Niemnowéj topieli drgnął łoskot ponury
Jak gdyby stos kamieni zawalił się z góry.

Przybijają do brzegu najezdnicze tratwy;
Lecz wybrzeże urwiste, a przystęp niełatwy,
A nad głową na wałach Litwinów gromada,
I grad ciężkich kamieni na Krzyżowców spada,
Lecz choć wisi już nad nim mordercza siekiera,
Książę Saski odważnie na górę się wdziera,
A w śród hucznych okrzyków, że aż słychać w lesie,
Za nim ciżba pancerna po wąwozach pnie się.
Już doszli napaśnicy do połowy wałów,
Już głowy najezdnicze wolne od wystrzałów,
Kiedy na płytkim głazie w mordercze objęcia
Stary Lutas pochwycił Niemieckiego księcia,
I cisnął go na ziemię tak potężnym rzutem,
Aż stęknął zwir pod ciałem w żelazo okutem,
I młotem tak mu silnie do piersi uderza,
Że aż zgrzytnął blaszany napierśnik rycerza;
Ale Krucygier zręczny, jak liszka, jak żmija,
Wstaje, skręca się, z ramion Litewskich wywija,
I nim się starzec spostrzegł – tak go mieczem płatnie,
Że Lutas padł, wydając jęczenia ostatnie.
Zerwał się — jeszcze, zamach ostateczny czyni,
Już mu śpieszą na pomoc zawzięci Litwini,
Gdy Rudolf książe Saski skinął na Krzyżaki:
„Zabierzcie go! nam dzisiaj przyda się dziad taki:
„Musi znać przejścia twierdzy — odprowadźcie dziada,
„Niech go tam Ransdorf Warner najściśléj wybada;
„Nim z cielska zgrzybiałego dusza nieuciekła,

„Nim szatan poganina pochwyci do piekła —
„Pod mękami niech nasze zawiadomi wodze
„O murach, lochach zamku, o całéj załodze.“
Rzekł, a jego żołdacy w tejże saméj chwili
Konającego starca na ręce chwycili,
Zbiegli z krętego wału, zanieśli do łodzi.
A choć ze staréj głowy krew bystro uchodzi,
Lutas wyciągnął ręce, jak szpony jastrzębie,
Chwycił jednego z Niemców i w Niemnowe głębie
Strąci z łodzi – i upadł na ręce wioślarzy,
Bełkoce nieprzytomnie, coś o bitwie marzy.

Już Niemcy wał zdobyli — do warownéj ściany
Wleką burzące działa, grzmotliwe tarany.
Huknął straszliwy łoskot aż się wstrzęsły góry.
Margier ścian swoich broni — jego głos ponury,
Choć Krzyżaków napełnia zwątpieniem i trwogą,
Ale wszyscy Litwini słyszeć go niemogą.
Cóż Litewscy bojacy? liczba ich niedługa,
A reszta — motłoch trwożny uciekły od pługa,
Ciska strzały na oślep, z rąk bardysze roni,
Ścianę osłania piersmi, lecz jéj nieochroni.
Grzmotnął armatni wystrzał, jak piekieł widziadło...
Runął mur, pękły balki, pół ściany odpadło.
Jeszcze chwila... a jeźli nieodeprą krzepko,
Wnet się Niemcy zapastwią nad dziatwy kolebką;
Taka myśl rozpaczliwa i okrzyk Margiera,
W ich piersiach budzi męztwo, co już obumiera.
Choć zgruchotane ściany, obalone głazy,
Pierś jest murem warownym, mocniejszym sto razy
Od wypalonych cegieł i twardych kamieni;
Poczuli to Litewscy męże zrozpaczeni,
I, jakby nową siłą Perkun ich obdarza,
Jakby zstąpił sam Poklus ze swego ołtarza,
Tak w obec nieprzyjaznych taranów i kuli,
Nieśmiertelną odwagę w swéj piersi poczuli.
W poszarpanych odzieżach, okryci kurzawą
Dobyli sił ostatnich na obronę krwawą;
Krzycząc z ochrzypłéj piersi usty spalonemi,
Uderzyli zajadle na wroga swéj ziemi.
A coraz ciężkie ciało do Niemna się zwali,
Trąba zgrzyta, krew świszcze, stal brzęczy po stali,
Ziemia stęka, jak gdyby wzruszona do głębi,
A wiatr gęstą kurzawę pod niebiosa kłębi,

A gwarny wir bojowy kipi tak bezładnie,
Że ucho nic nieschwyci, oko nic nie zgadnie.
Wzięli górę kudłaci wojownicy w czerni.
Staczają się po wałach rycerze pancerni,
Niosą rannych i trupów znakomitszéj braci;
A kto życia niestracił, ten już siłę traci,
Zbiera pogięte hełmy, potrzaskane miecze,
I ucieka od Litwy — niezawsze uciecze:
Ówdzie oszczep ciśnięty z Margierowéj dłoni,
Ówdzie strzała swém żądłem kamiennem dogoni,
I trupem go położy, skarze za bezprawia.
Już się tratwa po tratwie za Niemen przeprawia,
A dopóki wioślarze skręcą przy zatoce,
Kamień z góry zepchnięty po ich tratwach grzmoce,
Złamie sosnowe kłody, lub balki rozdzieli,
I trwożnych niedobitków pogrąża w topieli.
Krwawe słońce zachodzi — świat grąży się w ciemnie,
Wszędzie krew: na niebiosach, na ziemi, na Niemnie,
Na twarzy wojowników i na ich odzieży,
I na ostrzach orężów, co żer miały świeży.
Wreszcie Krzyżowe hufce opuściły wały,
Tylko same Litwinów garstki pozostały;
A na ich czele Margier, na włóczni oparty,
Każe niecić ogniska, rozporządza warty;
A cała jego odzież zbryzgana posoką,
Twarz blada, krwią zabiegło bohatérskie oko,
A miecz jego morderczy, gdy się żniwo kończy,
Silnie utkwiony w ziemię krew kroplami sączy.

Wokoło wodza ciżba strudzona i cicha
Trupy Niemców do Niemna pogardliwie spycha;
Nieodziera ze zbroi: bo zanadto śpieszy.
Legł mężny Hannebergier pan Niemieckiéj Rzeszy,
Znany rycerz turniejów, co z żywą ochotą
Szedł z Krzyżaki na Litwę po laury i złoto;
Książe Saski przez ramie dostał cięcie żwawe;
Poległ komtur z Elbląga, co radził wyprawę;
A Wilhelm, stary łucznik, co na miód się kwapił,
Zamiast Kowieńskich lipców krwi własnéj się napił,
Padł przy zachodniéj baszcie przywalony cegłą.
A co prostych rajtarów i knechtów poległo?
Pan tylko z górnych niebios policzyć to może,
I na cię, Wielki Mistrzu, hrabio Teodorze
Policzy krwi ich winę!

„Jutro plon się poźnie!"
Rzekł Margier sam do siebie, i zwrócił pobożnie
Bohatérskie spojrzenie ku wieczornéj zorzy.
„Ausko święta! tyś bóstwo, w tobie ogień boży,
„W tém żarzewiu kraśnieje potęga i siła;
„Dzięki, żeś jego iskrę w piersi nam rzuciła!
„Wróg odparty na chwilę, gdy wróci na dłużéj
„Kraśna jutrznio! twój promień niech nam szczęście wróży! —
„Do roboty, Litwini! za nami są nieba,
„Zgruchotano nam mury, naprawić je trzeba.
„Ciosajcie nowe ściany i kamienie znoście,
„Przez noc niech stanie baszta: bo znów przyjdą goście.
„Niewiasty i starcowie niech naprawią wieżę,
„A mężowie od boju, spożyjcie wieczerzę,
„I niech każdy wychyli miodu pełną czarę;
„Najpierwszą wlać na ogień bogom na ofiarę.
„Rozłammy chleb na braci pogrzebowéj stypie:
„Może jutro nas kurhan bojowy przysypie.
„Kapłani, grajcie w gęśli, rozpocznijcie pieśnie,
„Niewiasty, poprzestańcie płakać tak boleśnie;
„Kto dziś został sierotą po ojcu, po bracie,
„W Litwie matkę a we mnie brata pozyskacie"
Rzekł, złożył hełm na trawie, wyzuł się ze zbroi,
I spłakanym sierotom chleb dzieli i kroi,
I do siwego starca i do biednéj wdowy
Przepija czarą miodu obchód pogrzebowy.
Na wałach gwar i życie spokojne powraca,
Przy bojowych ogniskach wieczerza i praca,
W Niemnie iskrzą ogniska — a po całéj niwie
Echo nocne odgłosy powtarza leniwie,
I Krzyżackie piosenki i modlitew szmery,
Jęk ranionych, gwar ludu i łoskot siekiery.

Białe wodzów namioty na zielonéj darni
Od ognia, co w nich gore, sieją blask latarni.
Ztamtąd niebierze chwały Odkupiciel świata,
Tam nikt z braci w kościelny dzwonek niekołata;
Zamiast modłów szeptanych pobożnémi usty,
Słychać brzękot puharów i piosnkę rozpusty;
Tam śpiewak obozowy, Minnesinger stary*),
Wypieszczonemi takty rwie w struny cythary,
Niepomnąc, jak jest świętą dostojność śpiewacza,

*) **Minnesinger** w Niemczech to samo co Trubadur lub Truwer we Francyi — śpiewak.

Lubieżne krotochwile bezczelnie przytacza,
A pijane serce wodzów w takt bardonu tentni;
Otaczają śpiewaka rycerze namiętni,
Gromada strojna w togi i zakonne płaszcze
Na słowa nieprzystojne śmieje się i klaszcze;
Najdzielniejsi wodzowie, najgorliwsi księża,
Każdy ku brzydkiéj pieśni uwagę natęża,
Nalewa pełny puhar Niemieckiego wina
I wtórować śpiewaczym tonom rozpoczyna.
Piosenka i modlitwa i dziki gwar szału
Nad obozem Krzyżackim wznoszą się pomału,
A nieskalane echo Litewskiej pustyni
Powtarza je po cichu, snadź gwałt sobie czyni.

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:
Łucznik z pobojowiska wszedł pod namiot żwawo
Oblany krwią, osypan bojową kurzawą.
„Wodzu — rzecze — bojowe przynosim ci dary,
„Jest to umierający bałwochwalca stary.
„Waleczny książe Saski (niechaj żyje zdrowo)
„Zwalił starego czarta siłą Samsonową,
„A póki dusza w cielsku przytomność w umyśle,
„Poleca Waszéj Cześci wybadać go ściśle
„O tajnych lochach zamku, któremi się wciska,
„Aby węża wykurzyć z jego legowiska.
„Nie zdobyć zamku szturmem: silną ma obronę,
„Jak liche gniazdo sępie do skał przyczepione;
„Ale ten dziki starzec, przyciśniony nożem,
„Opowie insze drogi, któremi wejść możem.
„Przynosim go pod samy namiot Waszéj Cześci;
„Alež to silny Litwin, że sto czartów mieści,
„A całą staję ziemi zawalił swém ciałem,
„A takiéj długiéj brody nigdy nie widziałem,
„A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha,
„Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha."
Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy,
A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,
I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,
Wychodzi przed swój namiot.

Tam z powisłą głową
I z przebitemi piersmi, skrępowany w sznury,

Leżał Lutas otulon szmatami wilczury;
Odarty ze przyłbicy i z miecza i z młota,
Poczerniałemi usty złorzeczenia miota,
Szamoce się z więzami jego ręka wściekła,
Po jego siwéj brodzie płynie krew zapiekła.
Ransdorf skinął, i z ramion rycerskiego dziada
Ocięto gruby powróz, co rece przejada;
A starzec, jakby upiór, jakby trup mogilny,
Wstał ... zachwiał się na ziemi upadł bezsilny;
Tylko całą potęgę i duszy i ciała
Skupił w dzikiéj źrenicy, co krwią zakipiała;
Raz spojrzał na Ransdorfa, tak dziko, tak hardo,
Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą,
I jęknął: „W uroczystéj śmiertelnéj godzinie
„Witaj, młody rycerzu i Chrześcijaninie!
„Mianowano cię wodzem... los godzien zazdrości!
„Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
„Witam cię i pozdrawiam przekleństwem méj ziemi,
„Które Litwa wyrzecze nad kośćmi mojemi.
„Zbawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłem, —
„Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem,
„Co jéj niwę pustoszy... O! gdzież moja chwała?
„Gdzie krew, co w tylu bitwach chrobrze się wylała?
„Przekleństwo, ej, przekleństwo pozostanie po mnie!...
„Tyś, zwyczajnie jak Krzyżak, działał wiarołomnie:
„Tak uczy wasza wiara i wasi prorocy,
„Za chleb ofiarowany, rzucić kamień z procy,
„Za uścisk, płatnąć mieczem — tyś dziecko bezprawi, —
„Niewinien srogi tygrys, że się we krwi pławi;
„Lecz ten godzien zaginąć w piekielnéj czeluści,
„Kto zwierzę krwi niesyte z kagańca wypuści....
„Oto krew naszych braci, płomień naszych zgliszczy
„Słyszę zdala jak huczy, przelewa się, świszczy,
„I gorącym potokiem leje się do łona,
„I miga przed oczami jak chusta czerwona...
„Wkrótce ty sam obaczysz, co jest zgon zbrodniarza.
„Zgryzota bystrym słuchem przed śmiercią obdarza:
„Ja słyszę jak z niebiosów Perkun mnie przeklina,
„Jak płacze każda matka i każda dziecina,
„Jak jęczy biedna Egle uwięziona w wieży,
„W którą topór kapłański w téj chwili uderzy
„W zamian za twoją głowę — niechaj mnie przeklina!
„I tutaj moja zbrodnia i tu moja wina.
„Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała,
„Niegodne dziecka Litwy, uczucia wyznała?

„Dla czegom jéj nie zabił? jednėm cięciem mojem
„Obdarzyłbym i Eglę i Litwę spokojem!
„Czemum ci nie dał zginąć na ofiarę piekła?
„Czemu ze starych oczu łza grzeszna pociekła?...“
Tak Lutas słabym głosem rozdzierając płuca,
Na wilgotnéj murawie targa się i rzuca,
I ręce to wypręża, to do prośby składa
„Młodzieńcze! jeszcze jedna zostaje ci zdrada:
„Ukazać loch tajemny — O! rycerzu krzyża!
„Patrzaj: oto się Lutas do prośby poniża,
„Błagam cię wiarołomco w imieniu méj ziemi:
„Niemów o tajnym lochu przed braćmi twojemi.
„Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
„Jeszcze Litwa na siłach pokrzepić się może...
„Szalony! co ja czynię? i co mi się marzy?
„Że w pół drogi zbrodniczéj zatrzymam zbrodniarzy?!
„O nie! ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!
„Jak wilki do owczarni niech podkopem wnijdą,
„Niech zburzą gród Margiera Niemcy wiarołomni...
„Lecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
„Zemsty za pogwałcone klątwy uroczyste, —
„O! przybity do krzyża Chrześcijański Chryste!
„Ciśnij z krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
„Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
„Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
„Ja się zemszczę... do łuków! do mieczów, młodzieńce!
„Brońcie wejścia do lochu! bo już wróg napada!
„Powiedzcie Margierowi.. że w obozie zdrada,
„Że Lutas... zdradził Litwę!..“ Tu oddech się zatnie;
Ryknął lew strasznym płaczem — ryknienie ostatnie
Rozległo się w pustyni. Choć w Krzyżackim tłumie
Nikt, krom wodza, Litewskiéj mowy nierozumie,
Jednak wszyscy pobladli, każdy oddech ścina;
A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,
Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:
„Oto — rzecze — poganin chrztu świętego prosi,
„Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze
„Śpieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę!“
I już ze stągwią wody z Niemna zaczerpniętéj
Chciał nad czołem Lutasa odprawić chrzest święty
Przybliża się ostróżnie i wyciąga szyję —
„Ciesz się, piekło! już stary poganin nieżyje!“

Na ziemi poszarzało, na niebie już świta.
Ransdorf, jak martwy posąg, jak kolumna wryta

Stał nad trupem Lutasa — co myśli? co marzy?
Szatan mu dziką rozpacz napisał na twarzy,
Jego czoło zmarszczkami najeża zgryzota,
Jako wicher wśród burzy kiedy fale miota,
A w głowie kipią myśli szalone i chore,
A całe piekło cierpień w jego piersiach gore.
„Ha! prawdę powiedziałeś, o starcze złowrogi!
„Niepora zbrodniarzowi cofać się w pół drogi.
„Kto raz wirem występku został uniesiony,
„Już go twarda konieczność pochwyci w swe szpony,
„Pchnie ze zbrodni we zbrodnie; na drodze takowéj
„Chcieć się wstrzymać od grzechu — to może grzech nowy!
„Hańba złamać przysięgę... daną w obec krzyża,
„Mistrzowi wydać przejście, co k'twierdzy przybliża...
„Chowałbym tajemnicę; ale to się znaczy:
„Eglę zostawić w rękach Litewskich siepaczy,
„Nim wał i mur zdobędą rycerze Krzyżowi,
„Oni jéj krew niewinną już przelać gotowi,
„I wydrzeć wielkie serce!... O, stójcie, zbrodniarze!
„Na wieczne potępienie choć mię Pan Bóg skarze,
„Zdradzę was... tajnym lochem łuczników powiodę,
„I ofiarę ze stosu wyrwę na swobodę,
„I Mistrzowi ułatwię oblężenia pracę,
„I za gościnność waszą płomieniem zapłacę.
„Niech z dymem waszych dachów, z jękiem waszych dzieci,
„Przekleństwo na mą głowę do niebios poleci,
„I tam wymodli piorun, co mi strzaska łono —
„Ja przyjmę bez szemrania karę zasłużoną,
„Byle Eglę ocalić — prędzéj... prędzéj zdrada!“
I porwał róg bawoli i do ust przykłada,
I na swoich łuczników na pobudkę dzwoni,
Aż się zgrzytanie trąby rozległo po błoni,
I wywołało w lesie różnych dźwięków krocie.
Kipi obóz Niemiecki, jak rój na wylocie,
A ptaszki, co już dzionek opiewały rychły,
Przelękłe nowym gwarem w pół taktu ucichły.
Ozwał się dzwonek na mszę — gwar kipi nad wodą,
Rżą rumaki, co Niemcy na wodopój wiodą;
A z za krawędzi lasu powoli... powoli
Błysnęło jasne słońce — złéj czy dobréj doli.

Z za Niemna coraz nowi przybywają goście,
I na trupach zabitych, jakby na pomoście,
Stają nowe szeregi na pomoc Mistrzowi,

Kędy huf obezsilon, świeżym się odnowi.
A Litwini wciąż jedni wśród nieprzyjaciela;
Oko piaskiem nabite już niecelno strzela;
Ręce trudem złamane nieudźwigną młota,
Słabym tylko zamachem po pancerzach grzmota
Silny niegdyś ich bardysz. — Koleją, koleją,
Widzi Margier, że jego bojowniki mdleją,
W piersiach zachrzypnął okrzyk, co był silny zrana,
W oczach krew się zapiekła, a na ustach piana.
Zatrąbił do odwrotu, i swój zastęp cały
Pod osłonę warowni zgromadził na wały,
I już pod samym wałem ujrzał krzyża znamie.
Spojrzał w oczy Litwinom, i ręce załamie:
Napróżno im wydawać wojownicze hasła,
Ostatnia iskra męztwa w ich oczach zagasła;
Ale jeszcze ostatnia nadzieja nieznika.
„Niech silny grad kamieni spotka najezdnika!"
I co żyje: mężowie, niewiasty i dzieci,
Jęli dźwigać stos cegieł — i gradem poleci
Tysiąc strasznych pocisków — a każdy coś znaczy:
Bo najstraszniejsza siła, to siła rozpaczy!
Jak gdyby pod stóręcznym zamachem olbrzyma,
Chwieje się huf Krzyżacki, i pochód zatrzyma.

Od wschodniéj, od zachodniéj, od północnéj ściany
Margier ujrzał pęd wroga kamieńmi wstrzymany;
Zwrócił się k' południowi — o straszny Perkunie!
Tu chorągiew Krzyżacka odważnie się sunie
Z niedostępnych bezdroży — gdzie stara olszyna,
Gdzie się lochów tajemnych siatka rozpoczyna.
Silny hufiec Niemiecki zachodzi swobodnie,
Przed hufcem młody łucznik potrząsa pochodnię,
Zapalił dach i daléj spustoszenie niesie,
I oto płomień wężem zwija się po strzesie!
Margier poznał Ransdorfa — i wzrokiem sokoła
Obrzucił całą twierdzę. „Litwini! — zawoła —
„Dajcie rozbrat nadziei: już się twierdza pali.
„Modlitwa niepomoże, męztwo nieocali.
„Jedno zostało.... umrzeć...o! gdyby wrogowie
„Szanowali cześć niewiast, albo dziatwy zdrowie!
„Litwini! ja, wasz książe, z rzewnemi modlitwy
„Upadłbym do nóg jego dla zbawienia Litwy.
„Ale któż Krucygiera o litość umodli?
„Trzeba umrzeć... Litwini!.. czyż umrzem jak podli?

„A na ostatnim trupie mężnego Litwina
„Naszych starców i dzieci Krzyżak pozarzyna!
„I będzie się na zgliszczach urągać z boleści,
„Naszych bogów znieważy, niewiasty z bezcześci!
„O! niedopuść, Perkunie, na Litwę téj plamy!
„Jeźli trzeba się poddać — trupy im oddamy!
„Zapalcie stos ofiarny! wzmóżcie się na sile,
„Rzućcie na nich kamieńmi, wstrzymajcie na chwilę,
„By wrogowie, przyszedłszy w nazbyt rannéj dobie,
„Nieprzeszkodzili spełnić, cośmy winni sobie.
„Jeszcze ostatnim gradem na wroga ciśnijcie!
„Brat bratu, ojciec dziecku niech odbierze życie:
„To lepiéj, niźli zginąć od ręki siepacza!"
Rzekł, i kamień z okopu co największy stacza,
I twardemi granity od końca do końca
Sto Krzyżackich rycerzy w topielisko wtrąca.

Twierdza gore, bój kipi — Litwini z rozkoszą
W środku saméj warowni stos ofiarny wznoszą.
Straszliwy jęk rozpaczy doszedł do podziemi;
Wyszła Marti, jak upiór, z bogami swojemi,
A zagasiwszy Znicza — z wysileniem ducha
Ostatnią jego iskrę na stosie rozdmucha.
Ransdorf widzi zdaleka swéj zdrady owoce:
Marti strasznym toporem w pierś Litwinów grzmoce,
Pod ofiarnem żelazem ściele się gromada,
A kto skonał, kapłanka na stosie go składa;
A dzieci Litwy, pijane szałem i rozpaczą,
Same się zabijają, zamo na stos skaczą;
Niejeden dziki ojciec wśród pogorzeliska
Chwycił syna z kolebki i na ogień ciska;
A matka jeszcze trupa spalonego pieści,
Nim ją przyszli zabijać — skonała z boleści.
Margier kapłanom w trąby odezwać się każe,
Aby się podniecała wściekłość przy ofiarze;
A sam z kilku mężnemi własne mury wali,
Strąca balki na Niemców, by nieprzeszkadzali
Spełnić się losom Litwy przy ofierze krwawéj. —
Pociesz się, Wielki Mistrzu, żniwem twéj wyprawy!
Kiedy Litwę ogarnął jéj zapał szaleńczy,
O Egli zapomniano, że w więzieniu jęczy, —
Ransdorf z ogniem i mieczem, jakby zbójca dziki,
Obiega całą twierdzę z wiernémi łuczniki,
Po znajomych komnatach snuje się dokoła,

I w ręce na nią klaszcze, po imieniu woła.
A chociaż płomień huczy, a bój zdala wrzeszczy,
Choć się z echem rozlega płacz matek złowieszczy,
Chociaż echo szaleje w pośród komnat próżni —
On pewien, że ją znajdzie, że jéj głos odróżni,
Wpadł szaleniec do lochów w ofiarnéj podziemi;
To deptał bogi Litwy, to klękał przed niemi;
Wreszcie w lochach podziemnych, których niepamięta,
Znalazł ciemne więzienie, gdzie Egle zamknięta.

Ona z piętnem boleści na wybladłéj twarzy,
Siedziała w głębi lochu — coś głęboko marzy.
Promień słońca ukradkiem jéj oblicze złoci:
Zbledniał kraśny rumieniec wśród murów wilgoci,
Schmurniało piękne czoło, powisła jéj głowa,
A na jéj ustach bladość spoczęła grobowa;
Rzekłbyś, że skamieniała, jak martwa opoka,
Gdyby nie iskra życia, co strzela z jéj oka.
Gdy Ransdorf ostateczne wysilenia czyni,
Kiedy pękły żelazne wrzeciądze jaskini,
Cofnęła się . . . trwożliwie krzyknęła boleśnie,
Patrzy nań nieprzytomna jak na widmo we śnie.
Ransdorf krwią obryzgany przed dziewicą klęka:
„Córko Litwy! błysnęła ostatnia jutrzenka
„Nad gniazdem twego rodu — cała twierdza gore!
„Przybiegam cię ocalić, och! przybiegam w porę:
„Płomień ostatnie balki na dachu przepala,
„A Krzyżacy do twierdzy cisną się, jak fala,
„A Litwini pod zamkiem, rozpaczliwą zgrają
„Sami się na ofiarę bogom zabijają,
„Aby żywo niewpadli pod Niemiecką władzę.
„Idźmy ztąd, piękna Egle, ja cię uprowadzę!
„Straszny dzień!.. uciekajmy... czy widzisz dym czarny?
„Czy słyszysz huk płomieni i okrzyk ofiarny?
„Czujesz, jak tu gorąco już przepala cegły?
„Śpieszmy! bo droga trudna, a nasz cel odległy...
„Ja ciebie uprowadzę szlaki znajomemi
„Z niebezpieczeństwa wrogów, ze zgliszcza twéj ziemi!“
Rzekł, i patrząc z rozkoszą w oblicze dziecięce
Chciał miłe sercu brzemię pochwycić na ręce;
Ale córka Margiera łagodna a cicha,
Skinieniem go oddala, spojrzeniem odpycha,
A w tém jednem spojrzeniu tyle sił wytęża,
Że, jak pchnięty ramieniem bojowego męża,

Cofnął się młody Krzyżak. — „Stój, dziki zuchwalcze!
„Kto ci mówił, żem słaba? że siebie niezwalczę?
„Co znaczą mego domu gorejące ściany?
„W twojem ręku pochodnia i miecz krwią zbryzgany?
„Posłuchaj mię, Krzyżowcze! och! niedawno jeszcze
„Jako najsłodszą myślą biedne serce pieszczę,
„Że z tobą w cudzéj ziemi będę pędzić chwile,
„Obowiązki dla bogów, dla Litwy uchylę,
„Porzucę dom i ojca... i będzie mu błogo,
„I tu nie pożałuję nikogo . . . nikogo;
„W snach widziałam twój domek i morskie wybrzeże
„I mury waszych zamków i kościelne wieże;
„Przysięgłam twemu bogu, że moich porzucę
„I skłonię całe serce ku jego nauce...
„Lecz dzisiaj w moich myślach i w sercu inaczéj:
„Ty przywiodłeś do Pullen Krzyżackich siepaczy,
„Wniosłeś do mojéj strzechy i miecz i pożogę,
„Dzisiaj Litwa chce ofiar — cofnąć się nie mogę.
„Moja powinność umrzeć w ofiarnéj postaci
„Obok mojego ojca, obok moich braci.
„Weź ten krzyż . . . mnie nie wolno nosić go na łonie;
„Egle ze swemi bóstwy w jednym stosie spłonie.
„Ztąd niezdołasz mię wyrwać całą swoją mocą
„I nigdy się niedowiesz: do kogo i poco
„Zaszlę ostatnią modłę . . .“

Tak mówiła śmiało.
O duszo Margierowa! czemu słabe ciało
Obrałaś za mieszkanie? czemu we łzach oczy?
Czemu ten dym, co buchnął, twoją główkę mroczy?
Czemu płomień pożarny, co się mignął zdala,
Z piersi ostatni oddech gorącem wypala?
Egle traci przytomność, chwieje się i pada,
A płomień już się wgryza, sklepienie przejada,
I w głębokie podziemie od baszty przyległéj
Posypały się głownie i runęły cegły.
Z pośród gruzów pożarnych, dymu i płomieni,
Porwali biedną Eglę łucznicy strwożeni;
A Ransdorf na ich czele, jako czujna warta,
Ukazuje im drogę, płomienie rozgarta;
A gdy wyszli z podziemia, on drżący i siny
Mieczem toruje drogę pomiędzy Litwiny.
Tam już z wałów ostatnie cofnęły się straże,
A twierdza jednym hukiem goreje w pożarze;

Ze wszystkich stron Krzyżacy wpadają i wrzeszczą,
A ich trąba ogłasza godzinę złowieszczą,
To chychoce, jak szatan, to syczy, jak żmija.
A Litwa nieprzytomnie sama się zabija:
Tam morderczym toporem brat uderza brata,
Ojciec własne niemowlę bardyszem rozpłata,
Dzika Marti ze stósu płonącego drzewa
Ostatnią dla nich pieśnię pogrzebową śpiewa,
Poleca swoim bogom dusze tych co płoną.
I wywija w powietrzu siekierą święconą,
Ransdorf z lubą zdobyczą przebiega podwórze,
Przeciska się przez ognie, topory i noże,
I mieczem nieprzytomne wymierza zamachy
A jego hełm i pancerz, wykowane z blachy,
Napaliły się w ogniu, pierś i głowę pieką. —
O! w téj głowie, w téj piersi gorecéj daleko!
Wrząca dusza młodziana silniéj płomienieje
Od zgryzot i obawy i trwożnéj nadzieje.

Wierni jego łucznicy, uchyliwszy głowy,
Nieśli omdlałą Eglę za obwód zamkowy,
Gdzie zpod olchy, zawarte kamieńmi i kłodą
Poczynają się lochy, co do Niemna wiodą,
W których była ostatnia obrona Litwina,
A których dziki widok tyle przypomina.
Och! bo w życiu Ransdorfa to miejsce nielada:
Tędy go wiodła miłość, tędy wiodła zdrada.
O poranku szedł tędy na czele swéj młodzi,
A teraz jak kochanek szczęśliwy przechodzi.
Lecz choć sercu i męztwu dziś stało się zadość,
Czemu na jego twarzy niekraśnieje radość?
Czemu serce nie kipi w swobodzie młodzieńczéj
Gdy szlachetne żądanie skutkiem się uwieńczy?
Już swobodny od mieczów i pogorzeliska,
Czerpa wodę z potoku, na twarz lubą pryska —
Egle dała znak życia, snadź że coś pamięta,
Swobodniéj odetchnęła pierś bolem ściśnięta,
Otwarła jasne oczy — o radośna zmiana!
I niebem zabłysnęła dla duszy młodziana,
I sili się przypomnieć wszystkie dnia koleje:
Gdzie jest? dokąd ją wiodą? co się w zamku dzieje?
Chce, ale nie śmie spytać, a choć się zapyta,
W oczach tylko łuczników odpowiedź wyczyta;
Bo ich trwogą przeraża podziemne bezdroże,

Zguba jeszcze tak blizko, — a głos zdradzić może.
„Czas nagli do pośpiechu! uciekajmy skoro!“
Tak wołając łuczniki na barki ją biorą,
A Ransdorf, z zapaloną pochodnią, na przedzie,
Znajomemi zakręty cały orszak wiedzie;
Aż w milczeniu ostrożne posuwając kroki
Stanęli u wybrzeża Niemnowéj zatoki.
Tam, jak Ransdorf zawcześnie przygotować każe,
Czeka już łódź Niemiecka i zręczni wioślarze.
Egle jeszcze w półmartwa, złożona do łodzi,
Spojrzała w stronę zamku, zkąd okrzyk dochodzi,
I na krwawe płomienie, co jéj dom pożarły,
I okrzyk rozpaczliwy z piersi obumarłéj
Przeszył piersi Ransdorfa jak ostrem żelazem:
„Puszczajcie mię do ojca! ja zginę z nim razem!
„Ja przed obliczem śmierci odważnie dostoję,
„Jak wszyscy bracia moi, jako siostry moje!“
Tak jęknęła boleśnie i ręce zalamie,
I znów omdlałą głowę przewiesza na ramie.
A Ransdorf klęczy przed nią i słowa nie mówi,
A wioślarze, na wodza skinienie gotowi,
Zepchnęli łódź do wody, zaszumiały wiosła,
I fala z cichym szmerem ich czółno poniosła.

A na zgliszczach zamkowych kipi bój zajadły:
Zwęglone od płomienia ściany już opadły,
Do Niemna, do Puniały płynie krew ruczajem;
Litwini nieprzestają mordować się wzajem,
Wskakują w stós ofiarny, śpiewają i jęczą,
Obryzgani posoką i pianą szaleńczą.
Jeden Margier spokojny wśród jęku swych dzieci;
Żaden mu wściekły wyraz oblicza nie szpeci;
Ujrzał zgubę, gdy Krzyżak od lochów się wciska,
Zaprzysiągł, że mu odda trupy i zwaliska,
A jako dobro Litwy, jak bogowie każą,
Ścina głowy swym braciom z uroczystą twarzą;
Nie pastwi się nad niemi, jako wściekły zbójca,
Ale pełni powinność książęcia i ojca,
Aby lud bohaterski, sercem ukochany,
Nieprzyszedł w pohańbienie dźwigając kajdany.
Szukający zdobyczy wśród zamku płomieni,
Krzyżacy na morderstwo patrzą przerażeni;
Od ranka swéj wściekłości wywierając dosyć,
Nieśmieją na Litwinów już ręki podnosić.

Choć biorą to szaleństwo za sidła szatana,
Do ich serca wstępuje jakaś cześć nieznana
Dla chrobrych bojowników. Już stós ledwie pała,
Już Marti wśród gorących płomieni skonała,
Już słychać słaby łoskot ledwie kilku młotów,
Margier krwawą ofiarę już dopełnić gotów
I przebić własne piersi.

Wtem z Niemna od brzega
Płynącą łódź Krzyżacką zdaleka postrzega:
Poznał postać Ransdorfa — rzucił wzrok sokoli:
Poznał Eglę — zapłakał... bo mu serce boli.
„Bogowie! ja tu czuwam, gdzie o Litwę idzie,
„A tu własna krew moja śpieszy ku ohydzie!
„Wyrodna krew Margiera, Egle nieszczęśliwa,
„Śpieszy potargać z Litwą rodzinne ogniwa,
„I z młodą a najdziksza Krzyżacką gadziną
„Ucieka od ofiary, kędy wszyscy giną!
„Perkunie! wzmocnij rękę! oto w jednym strzale
„Ja cześć jéj nieskalaną od hańby ocalę!“
Rzekł, i z silnego łuku wymierzył do łodzi,
Niewierzy w trafność oka: bo mu łza zachodzi —
Naciągnął — puścił strzałę... pobiegła za świstem,
Aż Niemen zapluchotał drgnieniem uroczystem.
Stanęło w oczach ojca grobowe widziadło,
A z czółna coś białego do wody upadło.
Jeszcze wystrzał, i jeszcze uroczysta chwila,
Łódź skręca się po fali, chwieje się, nachyla,
I z pluchotem jak kamień do Niemna uderza
W polerownéj zbroicy ciężki trup rycerza.
Zakrzyknęli wioślarze ratunkiem zajęci,
Jeszcze się biała płachta z falami zakręci,
Mignęła raz . . . i drugi po wodnym obszarze. . .
Uciekli na brzeg drugi strwożeni wioślarze.
A Niemen, jak dotknęła czarodziejska władza,
Znowu płynie spokojnie, znowu się wygładza,
Kręci się lekkim wirem, od słońca połyska,
Niezgadniesz w jego łonie śladu grobowiska.

„Spełniła się — rzekł Margier — ofiara straszliwa!“
I pochodzi do stosu, i miecza dobywa.
Tam już wszyscy Litwini snem wiecznym posnęli:
Ówdzie trup się czerwieni, ówdzie kość się bieli,

Ówdzie jęk się wydziera ostatniego ducha,
A nad stósem przygasłym jeszcze dym wybucha.
Margier kołpak soboli zdjął z rycerskiéj głowy:
„Witam cię, chrobra Litwo, w otchłani grobowéj!
„Daj świadectwo niebiosom w uroczystéj dobie,
„Żem cześć twoją ocalił i zginął przy tobie!
„Nieumarłaś spodlona — tylko nieszczęśliwa!“
Rzekł, i szerokim mieczem własną pierś przeszywa,
Oczy wlepił w niebiosa, i trupem się ściele. . .
Skonał ostatni Litwin na bratnim popiele.

STEFAN CZARNIECKI. *)

przez

KAJETANA KOŹMIANA.

(W wyjątku.)

Najpotężniejszy z władców Tamerlana kraju
Pan Krymu, Perekopu, Budziaku, Nogaju,
Islam Gerej chcąc wsławić córki zaślubiny,
Hordy na oczakowskie powołał równiny,
Obwieścił w koczowiskach, obwieścił w obozach,
Zapasy i gonitwy konne i na wozach.
Zaledwie głos się odbił o Kaukazu szczyty,
Zagrzmiała przestrzeń ziemi końskiemi kopyty.
Jak szarańcza ruszona od Azyi krawędzi,
Lub chmury gdy je wicher w otchłań morską pędzi,
Z stepu, które Dniepr, Wołga, Don i Jaik dzieli,
Od meotyckich głębi, kaspijskich topieli,
Od Hemu, od Tauru, brzegów Euxynu,
Ruszył się tłum jak mrowie mongolskiego gminu.
Szczęk mieczy, gwary dziczy, rżenie bystrych koni,
Zagłusza szumy wichru i ryk morskiéj toni.
Tuman pyłu i z cięciw wypuszczone strzały,
Zaćmiły światłość słońca i dzień przygasł biały.
A skoro szatry plemie rozbójcze osiadło,

*) Historya Stefana Czarnieckiego opowiedziana przez Krajewskiego podała poecie myśl do osnucia na tle historycznych tradycyi wielkiego epicznego poematu o Stefanie Czarnieckim. Treść więc tego poematu jest historyczna. „Ktokolwiek zna historyą spraw Czarnieckiego, powiada poeta w przedmowie, łatwo dostrzeże, że w czynach jego i w ich chronologii tyle tylko jest zmiany, ile wymagały prawidła sztuki dla dobitniejszego udramatyzowania wypadków i niewymuszonego rozwiązania całego dramatu.“ Podajemy zresztą epizod, który sam w sobie całość stanowi. —

Zdało się że z powietrza miasto na dół spadło,
Że wstał Pekin lub Stambuł rozciąga bazary;
A co kiedy posiadał świat nowy i stary,
Co ładował na morza, czém ozdabiał lądy,
To na grzbietach dźwigają konie i wielbłądy.
Znalazłbyś tu wtroczone delfickie trójnogi,
Efezu i Memfisu z drogich kruszców bogi,
Szczątki zgruchotanego tronu Ekbatany,
I czary Mitrydata i Partów kołczany,
Jasne Tyru szkarłaty, koryntyjskie spiże,
Księżyce Mahometa, Konstantyna krzyże,
Orły, pierścienie rzymskie, germańskie koncerze,
Sławiańskie roztruchany, szable i pancerze,
Sprzęty Chin i Japonu w lśniące zdobne farby,
I więzionego w klatce Bajazeta skarby,
Wszystkie pamiątki zgasłych wieków i narodów,
Tylu plemion zgładzonych, obalonych grodów,
Drogie zabytki w kunsztach, dostatkach i sztukach,
I koleją rozboju dzieje bogactw w jukach.
Jedna tam wiara, jedna chuć krwawych zdobyczy;
Ale ile hord różnych, tyle różnéj dziczy.
Wszystkich okropne lica, a srogość zwierzęca,
Jednym się wąs szczecisty w grube kudły skręca,
Tym czarną, a tym rude włosy strzępią brodę,
Oczy drobne, nos płaski mają za urodę,
Wargi obwisłe, uszy opadłe na szatę:
U jednych wiszą z barkow kubraki kosmate,
Innym siermięgi z pilśni bydląt kryją boki,
Lub skóry z trzód bucharskich nieoschłe z posoki:
Na głowach sterczą kozie kołpaki do góry,
Lisie i wilcze czapki z kroju jak kaptury;
Broń u nich, krzywe miecze, noże, samopały,
I w sajdakach zatrute jadem gadów strzały,
W dłoniach ostrzem sterczące na powietrzu spisy,
Na ich drzewcach krwią ludzką kreślone napisy,
Czaszki z głów więźniów zdarte piersi, biodra stroją,
Z nich się jakby nektarem, mlekiem klaczy poją,
Karmią się mięsem źrebcow, paszcze brudne krwawe
Chłoną potém ich kulbak przewarzoną strawę;
Tranem ryb maszczą barki, obuwie i czoła,
A cuchnący ich oddech zabija dokoła.
Wznosiły się na wyższém miejscu dwa namioty,
Nad każdym dach szkarłatny, na nim księżyc złoty.
W jednym han siedział, władzy okryty znamiony,
W drugim pod strażą murzów stał koń ulubiony,

Z perłowéj czary pijał, w złotym żłobie jadał,
Sam go Gerej pasł ryżem i sam go dosiadał.
Wyszedł przed namiot Gerej i spojrzał na tłumy,
A w uczuciu potęgi i zapale dumy
Rzekł: „Niech tu jeńców wszystkich przywiodą narodów,
„Niech ujrzą mą potęgę i wspaniałość godów,
„Niech się mych gromów ziemia zalęknie daleka!
„Już wie świat, czego doznał, niech wie, co go czeka.“
W liczbie więźniów strzeżonych przez dzikie Tatary,
Stały smutne Korsunia, Żółtych Wód ofiary.
Po zwycięztwie, bezbożny Bogdan, zdradny w wierze,
Zaprzedał ich hanowi i kupił przymierze.
Na czele bez buławy stał hetman sędziwy,
Potocki, równie jak ojciec jak wódz nieszczęśliwy,
Kalinowski na ciosy zachowany krwawe,
Bodajby był nie sięgnął nigdy po buławę!
Stał Sztemberg i Sapieha dwa zaszczyty Litwy,
Sieniawski, co go wprawiał Chodkiewicz do bitwy,
Kazanowski zapaśnik dzikich hord od młodu,
I Sobieski z groźnego Bisurmanom rodu.
W tym tak świetnym orszaku Czarniecki za niemi,
Piersi jego żal wzdyma, wzrok wryty ku ziemi;
Nie tyle mu dolega niewola i rana,
Ile klęski ojczyzny i ta groźba hana.
Był murza przy Gereju, Achmet mu na imie,
Postać jego olbrzymia i siły olbrzymie,
Wzrok jego groźny, czarna brew zachmurza włosem;
Ten gdy trąby zagrzmiały, strasznym krzyknął głosem:
„Kto jest co śmierci szuka, niech się ze mną zmierzy?“
I kręcąc ostrą włócznią, wyzywał rycerzy,
A który wstąpił w szranki zaraz na pół płatał,
Włócznią strącał z rumaka, mieczem głowy zmiatał.
Ten, gdy mu już nie stało z dziczy zapaśnika,
Martwym trupom urąga i tryumf wykrzyka,
I śpieszy do Gereja po dary i wieńce.
Wtem spostrzegłszy na stronie w więzach polskie jeńce,
Z uśmiechem rzekł szyderczym; „Może który z Lachów
„Zechce teraz doświadczyć méj broni zamachów?“
„Wróć broń i wolność,“ krzyknął Czarniecki w zapale,
„A ja cię jednem cięciem na ziemię obalę.“
Zaledwie to wyznanie powtórzyły straże,
Gerej śmiałego jeńca przed siebie wieść każe,
Mówiąc: „Nazbyt ci ciążą tatarskie okowy,
„Kiedy pod cios niemylny chcesz nadstawić głowy;
„Lecz żebyś pewniéj stawiał do zapasów pole,

„Na własnym moim koniu walczyć ci dozwolę;
„Jeźli wyjdziesz zwycięzcą, otrzymasz go w dani,
„Z tém bogactwém w które go stroili sułtani.“
I zaraz rumakowi odjęto trójnoże.
Ledwie czterech Arabów utrzymać go może,
Choć każdy pręży boki, ziemię stopą ryje,
Koń się wspina, powietrze kopytami bije;
A han, co w zręczność jeźdźca i siłę nie wierzy,
Konia pysznym, a jeźdźca szydnym wzrokiem mierzy.
„Hanie“ rzekł Stefan, „konia twojego dosiędę,
„Lecz tylko własną bronią w szrankach walczyć będę.“
Więc zaraz niewolnicy przed hana oblicze,
Znoszą ze świeżych bitew orężne zdobycze.
Poznał swój pałasz Stefan i z radością chwyta,
Rękojeść jego z pereł jaszczurem pokryta,
Na ostrzu ryte w złocie Przenajświętszéj imie,
Sam ojciec chrześciaństwa poświęcał go w Rzymie,
I przysłał Batoremu przez kapłana darem,
Kiedy go z pokonanym chciał pogodzić carem,
Batory Zamojskiemu przypasał nad Dźwiną,
Zamojski Żółkiewskiemu przypiął pod Byczyną.
W cecorskiéj klęsce został Skinder-baszy łupem,
Lecz go Zygmunt wykupił wraz z hetmana trupem.
Władysław pod Stęptowem odniósł nim zwycięztwo,
I na placu nagrodził Czarnieckiego męztwo
Chwyciwszy go Czarniecki, zaraz ostrzem błysnął,
A widząc święte godła do ust je przycisnął,
I rzekł: „Królowo niebios, błogosław żelazu,
„Daj zwyciężyć pohańca lub poledz od razu!“
A wtém proporzec polski u Tatara zoczył,
Wyrwał go i tak szybko z nim na konia wskoczył,
I tak go silnie objął pomiędzy golenie,
Że koń stanął jak wryty: bo utracił tchnienie.
Więc obaj zapaśnicy spotkania nie zwłoczą,
Mierzą się groźnym wzrokiem, końmi na się toczą.
Wtém Achmed spuścił włócznią; lecz nim cios wymierzył
Już go Stefan proporcem pod żebra uderzył.
Sztych przeszywa trzy z karków bawolich kaftany,
Krew jakby czarny strumień wytrysnęła z rany,
Chwieje się Achmet, spada jak skalista bryła,
Ziemia jękła, dzicz cała z przestrachu zawyła.
Czarniecki skacze z konia, pierś stopą naciska.
Już miecza nań dobywa i nad gardłem błyska,
Gdy Gerej przerażony sam zawołał z tronu:
„Wstrzymaj cios, zwalczonemu nie zadawaj zgonu.

„Com przyrzekł, dotrzymywać jest w moim zwyczaju.
„Jesteś wolnym, pośpieszaj bezpieczny do kraju.
„Twoje to jest bogate na koniu ubranie,
„Oręż twój, a mój rumak przy mnie pozostanie.
„W pierwszym poznałem czary, drugiego zbyt ważę:
„Za oręż sto kies złota wypłacić ci każę,
„Za konia sto Tatarów wybierz z moich szyków,
„I jedź powiększyć liczbę waszych wojowników.“
„Hanie,“ rzekł Stefan, „Polska złota ma do woli,
„Nie oręż nam je daje, ale żyzność roli;
„Na stepach naszych dzielne rumaki się rodzą,
„A dzieci od kołyski już w pancerzach chodzą:
„Przecież ojczyznę naszą srogie losy dręczą.
„A młodzież jéj i wodze w twoich więzach jęczą.
„Zatrzymaj twoje dary, a wróć im swobodę,
„Ja więzy, którem nosił, przyjmę za nagrodę:
„A jeźli prośba jeńca twoje ucho skłoni,
„Nie wspieraj buntownika potęgą twéj broni,
„Odnów z Polską dawniejsze warunki przymierza;
„Godniejszy ciebie zawód, popierać Kaźmierza.
„Wszakże do twéj wdzięczności ma niejakie prawa,
„Syn naszego Zygmunta i brat Władysława.“
„Gerej na to: „Wiem w jakiéj Polska jest potrzebie;
„Wszystkiego więc chcesz dla niej, niczego dla siebie?
„Jeszcze za ziomków więzy chcesz dźwignąć z ochotą?
„Znałem dotąd waleczność, tyś mię poznał z cnotą.
„Wspaniałość, wspaniałością wzajemną nagrodzę,
„Wolni są wszyscy więźnie, wolni wszyscy wodze.
„Jeżeli Kaźmierz szczerze związku ze mną pragnie,
„To ramie kark Bogdana do stóp jego nagnie,
„Skarcę Kozactwa bunty i zuchwałą zdradę;
„Ale jeden warunek do przymierza kładę:
„Na dowód przychylności ku mojéj osobie;
„Przyjmiesz konia któregom chciał zachować sobie.
„Oręż twój własny wracam, obyś jak mąż prawy
„Nie dobył go bez musu, nie schował bez sławy!
„Jedź szczęśliwy, ta cnota niech w tobie nie stygnie,
„Ty jeden dźwigniesz Polskę lub jéj nikt nie dźwignie.
„Ja żądzy méj nie taję, że w najprędszéj dobie
„Pragnę walczyć nie z tobą, lecz gromić przy tobie.“

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH.*)

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki,
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.

*) Przytaczamy tu przedmowę poety. „Dla objaśnienia poematu, potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną blizko miasteczka El-Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swojemi państwami, naznaczył na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tém miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczéj zaś z Egiptu do Syryi dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu ulédz losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niéj przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie, nad głową moich przewodników Arabów: bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych, pod prawo strasznego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish. Pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu zobaczyłem zdaleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknością na Wschodzie, o której Lamartine z takiem uniesieniem rozpowiada; starał się natychmiast mój pobyt pod otwartem niebem jak najwygodniejszym uczynić. Wydał ze składu kilka namiotów dla naszéj podróżnéj gromadki; a jak się późniéj dowiedziałem, rączki jego żony, grzęzły w białéj i srebrnéj mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mię otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę, i szła do morza za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Środziemnego, roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze. Nad morzem zaś na piramidalnéj piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha; straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość, nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga: rano, wieczorem i w nocy, Wszystkie te obrazy, czytelnik, drugi raz odbite znajdzie w następującéj powieści; a po-

Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha —
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam! — O! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy cztérdzieści;
Odkąd do mego płóciennego dworu
W téj kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu
Jaka się w mojém sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są dwoje dziatki? —
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki

każą się mu we właściwszém świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wziąwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilją Bożego Narodzenia (1836 r.) kiedy z téj spokojnéj pustyni, myśli moje odbiegły aż do dalekiéj ojczyzny mojéj, i ku owym dniom, które dawniéj spędzałem na ucztach w gronie rodzinném: okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce, zaczęło wchodzić powoli przerażenie. Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nademną, i zaczerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem.— Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni.— Przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestrachów; krzyk Arabów uwiadomił mię o nowém niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczoraj zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowém korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnemi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na któréj stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku — uniesiśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas, przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów, zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf téj biednéj rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do blizkiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto, i przy gościnném posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze na którém stałem; a wszystko to trzeba było własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższém rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy

Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie, pogrzebione
Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż jam im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie —
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niéj wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci —
Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku

że był niegdyś tłómaczem Champoliona, Rosceliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta, kołysały mię do snu. A wtenczas — może mię anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy, i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnéj. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne; gdzie: budząc się, przez roztworzone płótno, oczy moje napotykały konstellacyą Oriona, tak podobną do gwiaździstéj lutni zawieszonéj przez Boga nad biédnym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów uklękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu. A kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mię pożegnać. A czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną; pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od téj rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilje białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszéj krainy: i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilje, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytéj przezemnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historya jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku, i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niéj kamieniu! —

Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie,
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies: bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować. —
Siostry go chciały martwego całować —
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży;
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od téj nocy tak pełnéj boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
Téj samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najmłodszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły —
Ja nie słyszałem jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także téj nocy nie spała.
Rankiem, obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki, zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
A jak dorosłym przystoi dziewicom.
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo nie splamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, niewiem czemu,
Że słońce, słońcu nie równe złotemu;
I już nie takie jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
Że nie wiedziałem czy pacierz doleci,
Do Pana Boga co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.

Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać —
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
Bo nie wierzyłem żeby wziąwszy troje
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje! —
O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem. — Ach ja go tak strzegłem! —
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny —
Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy;
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaliśmy blizcy
Ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził! —
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził:
I patrzał: — tego z pamięci nie zatrzeć?
I nie wiem jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży —
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy —
I lepiéj mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od téj boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym,
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali:
Myśląc że Boga oszukamy w niebie —
Że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!

Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia,
Powieki bez łez, i serce z kamienia,
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniéj kochany w mem rodzinnem gronie,
I najmniéj z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościał, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
Z twarzą co woła — jesteście przeklęci! —

Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpaczy! —
Że jeźli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeźli Anioła śmierci przyszle po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę —
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek;
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała; że patrzałem na nią
Jako na róże, przez me łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni Anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła —
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze zły — wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,

Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecić.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić —
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków już trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły oczyma cichemi błyszcząco
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nizko,
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską;
Potem, na moją najmłodszą dziewczynę,
Obiedwie, ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek, cicho, po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję:
I przekonałem się że Hatfe żyje,
Słysząc jéj serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz naco z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bole targały zabójcze
Wołała: — ratuj mię! ratuj mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża kiedy się rozchyla. —
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
A piękna była jak Anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem,
Strażnicy przyszli mi wydrzeć to ciało.
I, nieostrożni! zaczepili hakiem —
Hak padł na pierś jéj twardą, kragłą, białą —
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją przed memi oczami rozdarli. —
Ty im to Boże niebieski spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonemi na piesiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci, w grobie!
Ona inaczéj wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!
Przez tą równinę, przez te piasku kupy,
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije; —
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniéjszym obwoływać głosem;
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca —
Zarazą, która dzieci me wytraca,
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się, i lekko napięte
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku,
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku;
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywac.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze;
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie — głucho! —
Więc natężałem słuch, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiéj nocy w grobie?

I nagle. — Czemuż ta śmierc tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem —
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się gdzie robaczek lichy —
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy;
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i tak żałośny,
I tak z głebokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiéj jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze! — i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami,
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami

Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczéj —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
I te już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja, niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama:
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa,
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu —
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski:
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiéj błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,

Z téj kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
Żona, co nawet nie tknęła połowy.
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niéj, jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści. —

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiéj pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biédna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy —
Znalazła jeszcze niezepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek. —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnéj ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie dochowałem matkę martwych zmarłą.
Potém wróciłem do płóciennéj nory,
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mię ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali — starzy —
W pamięci mojéj, żadnéj żywéj twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną,
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dziciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami — i słuchałem blady

Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż gdy odchłodnie —
I przechodziły mi dnie i tygodnie,
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach bozka nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! — nie była to już twarz człowieka
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieści;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,
Będę wyrywał koły i powrozy
Które — o, Boże wiekuisty świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcéj boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci co dotknięciem sinem —
Wszak ty nie jesteś synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! ja wiem że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy! ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potém cię ogień pali, piersi gorą —
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na nie konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga! —

JAN BIELECKI.

Powieść polska
przez
JULIUSZA SŁOWACKIEGO
oparta na podaniu historycznêm.

Wyprawa nocna.

Pan Brzezan w cudnéj mieszka okolicy:
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Daléj kaplica blachą powleczona;
W komnatach żadnéj nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzezan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski, i szlachcic mieć może.
   Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach śrebrem tkane adamaszki,
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
Z śrebrnych sadzawek niby dla igraszki
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad dészczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy:
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.
   Pan Brzezan huczne wydaje biesiady,
Oto go łatwo rozeznać za stołem
W złocistéj szacie, ale bardzo blady;
Wydaje troski zachmurzonêm czołem,
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.
   Dzisiaj na czole pozbył zwykłéj dumy,
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołéj szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zagrzmiały komnaty:
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednéj iskry, wnet ogień wybucha,
Pan Brzezan mówi — Szlachta wstaje, słucha.
   „Bracia! na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkiêm słowie

Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potêm każdy swe zdanie wypowie.
   „Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły:
Szedłem do króla, nie błagałem łaski;
Wnet sprawę długie indukta wywiodły,
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga, nie próżno przychodził;
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczém.
   „Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak Niemieckie książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże:
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże,
Ja się usunę! — niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna;
   „Héj Szlachta! znacie Bieleckiego Jana?
Dawniéj w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanéj grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojnie między niemi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dumem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! — niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni:
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę."
   Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wachały brylantowe kity,
I oko ćmiły różnobarwne krasy:
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe,
Wicher nowego świata zbładzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę.
Gdy się zmięszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,

Szum razem miły, straszny i głęboki.
Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym Pan Brzezan rozdaje rumaki;
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Daléj na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi,
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi.

Wesele.

W Brzezan miasteczku, w kościele u Fary,
Jaśnieje ołtarz; potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany:
Tam pożółkniały księg pargamin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ółtarz upstrzony woskowemi kwiaty;
Służba rozwija kobierzec bogaty.
Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartém czołem Jan Bielecki, zbrojno,
W husarskiéj zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ółtarza:
Patrzy na młodą a wzrok mu się pali.
Przy męzkiéj piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubéj w miłym dany upominku
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem ..
A daléj, swaty za młodym rycerzem,
A daléj, bracia, husary, pancerni,
A daléj, służba w wielkiém stoi kole,
Zbroją od prostéj odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.
Lecz panna młoda jakże wystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jéj szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole,
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą, hełm o strusiém piórze;
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie,

Śrebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiéj szacie
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jéj śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona
Aksamitnego dotknęła się łona.
Dla czegóż smutna?... Patrz na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora krysztale;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje w fale;
Lilia wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje — Ona miała czucie kwiatu.
Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały;
I pochodniami świecili kozaki,
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie!" zawołał pierwszy swat, „przede mną
Nie widzę domu... Janie! wszak tu droga
Do twojéj chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Wieśniak ostatniéj miedzy doorywa..."
Kiedy to mówił — przybiegł jeden, drugi:
Patrzą, niewierzą — sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno," rzekł, „Anno! wracaj! — nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa.
W twojém objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!..." Zadrżał — i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.
Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniéj miedzy.
Bielecki zniknął: — żadnéj o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jéj serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.
Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,

Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranéj roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

Bal maskowy.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiaździstéj koronie.
Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornéj godziny
Głośném wachadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie — i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał; i pies stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego sioła.
Siedziała Anna; przy niéj Ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę.
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.
Wtém zaszczekały brytany zbudzone,
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł; czapkę miał na głowie
Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
— „Na wieki wieków“ starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nizko schylił głowy,
I rzekł: „Sieniawski, Pan mój na Brzezanach,
Dziś mnie posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maszkary.“ —
— „Ha! precz mi z oczu!“ Krzyknął Cześnik stary,
„Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
Precz! bo na Boga“... Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło, i zdjęty niemocą

Już gniewu swego nie mógł wyrzec słowy...
Była to straszna chwila przed północą,
W około słychać nocnych kurów pianie,
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły!
Wszedł blady człowiek: lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie
Złożył na stole i sam się oddalił.
„O córko! córko! to Jana pięczęcie!“
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy,
I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu....“
A daléj szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły dalcko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: „O! Boże
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nade mną!“
Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecyi, co po morzu pływa,
Do Polski wznosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzezany.
Oto są złote Krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconémi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja Królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?...
Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica;
A w ręku jego drżą struny gitary.
Patrz! oto w czarnéj zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem, a przy niéj młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu:
Ona zbierała w Neapolu wieniec,

On się urodził w Rzymie Oceanu.*)
A pieśni majtków i szum cichéj fali
Ukołysały umysł jeszcze młody:
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tas się żali.
Lecz w jednę stronę zbiegł się tłum balowy:
Dziwna tam maska! dziwne jéj ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szaty wzory,
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z korali...
Wnet się rozlega szmer wielki po sali:
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?...
Próżna ciekawość: pod maską jéj lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

Zemsta.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty
Głośna to radość, lecz radość nieszczéra;
Śmiech słychać!... śmiech to wymuszony świata
Na bladych licach nigdy nie umiéra.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Któremi błyszczy biesiadnika głowa:
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa.
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna,
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie
Nad jednę chwilę rozkoszy — choć błędną?
Pan Brzezan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiéj struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
W około stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych niejedna twarz blada,
Któréj z wiekami ściemniały kolory,
Twarz prodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził Starosta: krok niepewny skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,

*) Wenecya.

Na twarzy była zgryzota widoma.
W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł Starosta do sali biesiady,
Zawołał pazia, pomięszany, blady.
— „Paziu mój! Paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty..."
— „O Panie! twojéj bojaźni nie dzielę;
To jakaś szlachta zjechała kulikiem." —
— „Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obległa szklenice,
A oni milczą; kryją tajemnice...
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia? kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędzéj paziu młody."
Już nie czas... Zewszad tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju
Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali: zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzezan z mieczem stał w obec Tatara...
Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emalii zaćmionym lazurem
Obraz Najświętszéj Panny malowany,
I obraz krzyża; pod krzyżem na dole
Herb, jakby srebrne księżyca półkole,
I gwiazda, nad nią hełm ze strusiém piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł Starosta na twarde granity;
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo . . . Był to jęk kobiéty.
Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa;
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa.
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ściśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna obłąkana;
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki.
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiał, pełny słodkiéj woni,
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara,
A strasznie bladą była twarz dziewicy.
Budzi się — gdzież jest? w zamkowéj kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
— „Tyż to mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdéjm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę — rysy twego czoła . . ."
I zdjął Bielecki turban muślinowy;
Anna spojrzała, i padła omdlona.
Znów po niéj życia rozlały się ślady,
I znów po chwili ciężko przebudzona
Rzekła! „O luby! tak straszny! tak blady! . . ."
— „Cha! blady?" przerwał rycerz z dzikim śmiechem,
„Wszak zdradzam! . . ." zamilkł — lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z inną cię twarzą wczas szczęśliwy witał;
Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
Na mojém czole napisano — zdrada.
Kraj cały we krwi . . . Wznieś na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkle malowidła:
Gdy błyśnie słońce, ów anioł rostoczy
Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiéj widm podobny larwy,
Ciemniejszém patrzy i niepewném licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy:

Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy;
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa, — od téj twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O! luba moja, po co te rozmowy?
Luba! chodź za mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionéj głowy!
Na twojém łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy."
— „Mój Ojciec!" — „Ojciec? . . . Ojciec przeklnie ciebie!
I ty się lękasz? . . . Przeklnie! i cóż znaczy
Przekleństwo Ojca, braci lub ojczyzny? . . .
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie — wszyscy przyjaciołmi mémi,
Jest wszystko! luba czegoż tam niestaje?
Luba! jest wszystko! wszystko! — prócz téj ziemi.

Kościół wiejski.

Była to cerkiew, z modrzewiu jéj ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce wzierając przez te szyby drżące
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
W około cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.
Daleko słychać wiejski dzwon kościelny!
Zadzwonił, zewsząd lud spieszy przez pola,
Było to święto, byłto dzień niedzielny:
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ółtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.
Msza się skończyła. — Oto w nizkie progi

Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz nie wesoła.
Bali się zasiąść w ławki lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.
Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić Boskie słowo. —
„O! Bracia! dzieci! i tegożem dożył
Ja stary wiekiem z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w Bożém słowie!
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta —
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan téj wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam:
Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
A teraz Bracia! dzieci! ja przeklinam!...“
Zachwiał się starzec i zalał się łzami;
Zabrzmiało amen — lecz amen żałcby,
Jakże niechętne? dźwiękiem ledwo żywe.
Potém się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.
Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga;
U progu nowy zgiełk i zamięszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u progu,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie
Kląkł nad nim, ciche wymawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.
Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza,
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził co w grobach powiewa.
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi — twarz blada, nieżywa;
I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!...“
Wnet się oddalił tłum z kościoła wierny,

A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą,
I rzekł poważnie: „Bog jest miłosierny!
A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku, i głębsza nad morza.“
Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jéj nie słyszano słowa:
Czy brak w niéj czucia? bo sucha źrenica;
Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty,
I brylantami oświecone szaty:
We włosach jasne przepaski z korali.
„O! mój najmilszy!“ rzekła, „o! mój drogi!
Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął — a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!...“
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potém nań kwiaty rzuciła wonnemi:
„Luby! nie zaśniesz na rozstajnéj drodze,
Sama w święconéj pochowam cię ziemi.“
Rzekła, krzyż jeden wyrwała z mogiły,
Kopie grobowiec wśród świeżéj darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I ciche, smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnéj czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziéj ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wyśrebrzał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.
Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cierkiewnych stukanie powtarza:
Nieszczęsna Boskiéj wzywała pomocy.
Widna jéj postać przy blasku miesiąca,
Jak mgły ulotnéj śrebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca,
Lecz echo coraz słabsze niosło razy;

I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
Tonące modły — jako śpiew daleki. . .
Dziewica blada, na kamiennym progu,
Usnęła — może usnęła na wieki. . .
I cicho, niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornéj godzinie;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko, brzmią pogrzebów dzwony
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania,
I wszystko można rozróżnić w téj ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła.

PRZENAJŚWIĘTSZA RODZINA

przez

BOHDANA ZALESKIEGO.

Część pierwsza.

Świątki przaśników*) minęły pogodnie:
Z Jeruzalemu rodziny przychodnie
Pośpiesznie oto zdążają na drogi.
Na galilejskiéj tłum nielada mnogi,
Jak jakie wojsko, ciągnie się w parowy,
Bo lud pomorski nadjordanowy,
Od Nazaretu, Naimu i Kany,
I z Kafernaum, jako pobratany,
Jako sąsiedni przeto i w podróży
Trzyma się razem i pospołu płuży**).
Czy zanocować, czy co bądź wypadnie,
Zawsze weseléj i lepiéj gromadnie.
I w polu było wiośniano już pięknie:
Figa liść puszcza i smokwami***) brzęknie;
Indziéj się w kwieciech rozmajają drzewa,
Migdał, to daktyl; a słodko powiewa,
Rozmarynową kadzi wietrzyk wonią;
Ptaszęta zewsząd w niebo głosy dzwonią.

*) Przaśnik, chleb niekwaszony, macki. —
**) Ma się dobrze, błogo.
***) Figami t. j. owocem.

I człowiek ma się inaczéj ku wiośnie:
W sercu pobożnie jakoś i miłośnie!
Owoż jak wzrokiem zasięgnąć, gromada
W cieple kwietniowém rozkoszuje rada;
W myślach wesoło, jak na wodach, buja.
Starcy poczęli głośniéj: „Alleluja!
„Bądź pochwalony Abrahamów Boże!“
Opodal matki i dziewice hoże
Sercami słowo podają po słowie;
Mimo, że różnym różne myśli w głowie,
Zawsze niewiasta, choć grzesznica w ciele,
Skorsza ku Panu, bo miłuje wiele.
Żonaci — wdowcy — to jest męże średnie,
Uliczne, miejskie powtarzają brednie,
O rzymskim onym drapieżnym staroście,
A klną te swoje nieproszone goście.
Młódź poklaskuje — lecz i sama krewka:
Częściéj na ustach — dziewczyna, to śpiewka.
Dzieci — o! dzieci chichocą wesoło,
Jako jaskółki wiją się w około;
Ku nim samopas tam i sam po niwie
Juczne osiołki skowyczą wrzaskliwie.
Staja za stają — jedna druga milka;
Owoż i wieczór! owoż i mil kilka!
Lasek oliwny — właśnie do noclegu,
I woda — woda bieżąca u brzegu,
Słońce za obłok czerwony się nurza,
Ozłaca Thabor; a niższe podgórza
Blaskiem rumianym gdzieniegdzie zapala;
Jaśniéj i kraśniéj migoce Magdala.
Z winnic Magdali płomieniąca struga
Tam po kolczastych aleosach mruga;
I z winnic — palma wysmukła, daleka,
Aż ku nizinie cieniem się rozwleka;
I z winnic — młoda tam Samarytanka,
Lekka, pierzchliwa odbiega baranka,
A błysnąć wzrokiem ani się ośmiela:
Bowiem wyklęta pośród Izraela.
Waśń babilońska, przedwieczna z niewoli,
Po dziś dzień żyje — i jak ongi boli.
Na stanowisko swe się obóz kładzie.
Zachód około wieczerzy gromadzie:
Resztki ze świątek jagnięcia i chleba,
I sucha ryba — owoż co potrzeba!
Lud niewymyślnie chowa obyczaje,

W drodze, jak w domu, na małém przestaje.
Grzędka a wędka, a żona uczciwa,
To i bez miasta wcale się obywa.
Młódź się rozbiega na prawo, na lewo,
Bliżéj, to daléj, po wodę, po drzewo,
Do chatek wiejskich po sól i naczynia;
A ile niewiast, każda gospodynia.
Kraj też gościnny, trzody niedaleko;
Więc skaczą dzieci, bo będzie i mleko!
Skaczą i gwarzą u ognia miluchnie.
Zmierzcha też. W zmierzchu okolica głuchnie.
Znużone ptaszki padają na gniazdka,
Śnić o swawoli. Tu i owdzie gwiazdka
Na jasny błękit wysuwa się tonią,
I daléj insze, zewsząd insze gonią.
Rybka za rybką — ćma tam złotołuska
Wskroś zwierciadlanéj otchłani się pluska.
W zmierzchu, zamierzchu, po krótkiéj wieczerzy,
Za szumem lasu wieje szept pacierzy
Ku Panu — który oto tam w świątyni
Niewybadane cuda jakieś czyni:
Sam się w swém dziele światu temu chwali,
Aby go ludzie czcili i kochali.
Noc cicha — ciemna po pełni miesiąca,
I ciepła — luba — do snu niewoląca;
Śpią też podróżni. — A jednak boleści
Nieraz westchnienie z piersi zaszeleści.
Są, co czuwają, co gonią wysoko;
Z tajemnicami oto oko w oko
Wciąż wypatrują kogoś pod namiotem
Lśniącym kamieńmi drogiemi i złotem.
Och! dziecię Wiarą, Miłością dziewica,
Starzec Nadzieją, tęsknią do Rodzica,
Do Pana swego wzlatują oczyma,
I sen się mokrych powiek ich nie ima.
Poklask rozbrzmiewa po okolnym lasku,
I niewyraźne wołanie w poklasku
Tam i sam, w prawo — to na lewo rośnie,
Po górach, wodach podzwania roznośnie.
Bezsenni owi najprzód między zgrają
Podnoszą głowy i słuch wytężają.
„Ktoś widać swojéj nawołuje zguby!“
A głos przeczysty, przenikliwy, luby,
Wciąż się rozdziera rozciągły i cienki.
„Marya nasza! rzekły Nazarenki,

Siostra Marya święta, ukochana!
Prawda — o! prawda — o! prawda od rana
Chłopięcia nigdzie nie widziano w drodze:
Biédna Marya boleć musi srodze.“
Biegły pośpiesznie za głosem po rosie:
„Jezu! o Jezu! Jezu! — rozległo się.
I okolica rozbudzona cała
Słodkiém imieniem po stokroć zabrzmiała.
I niemniéj gwarno w obozie. — Na ziemi,
Kto się rozbudził między drzymiącemi,
Żałował wielce przygody sąsiadki;
Starcy poczęli po swojemu gadki.
„Błogosławiona za prawdę Rodzina,
Józef, Marya i Jezus dziecina,
Troista rószczka w Dawidowym domie
Kwitnie i pachnie ku Niebu widomie.
I Pan też ku nim bardzo coś ochoczy!
Cudać widziały pospolite oczy!
Wszak to Betlehem wedle przepowiedni
Ma się narodzić on Mąż niepośledni,
Messyasz Boży ludowi naszemu:
Wszak ci i Jezus rodem z Betlehemu!
A oważ jasna nad kolebką zorza?
A owiż Mędrcy — Królowie z za morza?
Widział kto w dziecku taką jasność oka?
Oblicze jako świętego Proroka.
Bóg jakieś wielkie tai w tém zamiary,
Józef bo wiecie? rowieśnik nasz stary,
A taż Marya? to jako Królowa!“
Grubsze po lesie rozległy się słowa:
Głos drżący starca: znać Józef strudzony
Rozkaz powrotu śle o to do żony,
Radzi niekłócić pokoju. I rychło
Nawoływanie daremne ucichło.
Opodal nieco od uśpionéj rzeszy
Słychać i łkania, i głos który cieszy:
„Pokój, o! pokój“ — poważne wyrazy
Wciąż powracały po wiele kroć razy,
„Pokój Maryo! co pomoże łkanie?
Nic się nie stało złego ani stanie,
Włosyć na ludzkiéj policzone głowie,
A jegoż kroków strzegą Aniołowie!
Żem ja Piastunem, żeś ty Rodzicielką,
To jeno Łaską Wszechmocnego wielką,
By się spełniła przenajświętsza Wola.

Więc Syna oto sługami okola!
A cóż moc wszystka zdołała Heroda?
Przetoż niewiasto niecierpliwa, młoda,
Lepiéj spoczynkiem ukołysz swe bóle!
Gdzieś niedaleko bowiem stąd pacholę,
Jako lubuje, jako zwykle czyni,
Samotne sobie modli się w pustyni;
Jutroć zapomnisz, co dziś tak dolega!
Choćby aż w mieście odszukamy zbiega."
Wielce roztropna Józefowa rada.
Lecz któraż matka sama sobą włada?
Coś trętwiącego, aż od serca głębi,
Wiecznie od łona zawiewa i ziębi;
Marya musi znać te niepokoje,
Mieć macierzyńskie udręczenia swoje,
Może to puka w piersi wieść daleka
Tego — co kiedyś po leciech ją czeka?
Łez téż po cichu wylała nie mało,
Aż całe Niebo miłośnie bolało,
Aż posłannicy pańscy, Archanieli,
Ku swéj przeczystéj Królowéj zlecieli;
Pod skroń wezgłowie trzymali w omroczu,
Mokre powieki zasunęli oczu,
Aż im usnęła. Świecący i niemi
Skinieniem cichość nakazali ziemi:
I było głucho. Ziemia oniemiona
Tchu najlżejszego niewypuści z łona.
O! głucho, ciemno. — A wszyscy i w cieni
Światła niebieskie w bezbrzeżnéj rozstrzeni
Bieg odmierzają wiekom nakazany:
Sam Pan sprawuje i ład i przemiany,
Światy jak listki zwija wedle woli.
Księżyc już góry wymija powoli,
Jak na poręczy skłania się po skale,
I w prawo — w lewo — spogląda ospale.
W prawo i w lewo ku wschodowéj stronie
Rumiane niebo w chorągwiach już płonie.
Pierzchają gwiazdki. Zaranna jutrzenka
Śliczna i świeża kraśnieje z okienka,
Garściami światła na niziny trzęsie,
Muska Maryą po czole, po rzęsie,
Niby niebiańska siostra, rówiennica,
Daje dzień dobry, i całuje w lica.
Otwarła oczy Przenajświętsza Panna,
Ziemi, téj ziemi Jutrzenka Zaranna,
O! śliczna, świeża, i blask bije od niéj

Niż od niebieskiéj miléj i pogodnéj:
Snać to, co bodło niedawno boleśnie,
Wieść jakaś luba ukoiła we śnie;
Bo uśmiech usta opromienia błogi.
„Wstań — no Józefie! czas, o czas! do drogi,
Wołała słodko — On aż w Jeruzalem;
Wczoram cię moim utrapiłam żalem,
Byłam nieswoja, bardzo niepobożna,
Aleć doprawdy wytrzymać nie można!"
W obu kończynach wielkiego błękitu
Blask od księżyca i obrzask od świtu
W świetlnych się smugach tęczują z ukosa,
Nawścież ku ziemi roztwarte Niebiosa.
Gwiazdy gdzieś toną, niby w sieć pajęczą,
Lasek, co drzymie, i wzgórza, co klęczą,
Barwy i wzory wynoszą na jaśnię.
Kiedy niekiedy kur w dali zawrzaśnie
I niezliczone budzi w okrąg wtóry.
Józef z Maryą u trzeciéj już góry;
Osiołek, chłódkiem rzeźwy i ochoczy,
Z ciężarem swoim posuwiście kroczy;
W powietrzu świegot. Hej chórem ptaszęta.
Bowiem godzina uroczysta, święta!
Słońce na wschodzie, jako król, z posłania
Szkarłatną, złotą kotarę odsłania;
I głośniéj ptaszki i zapaszniéj kwiaty,
I rzewniéj człowiek duchem swym skrzydlaty
Wszystko co łaknie powszedniego chleba,
Razem podnoszą Nabożeństwo w Nieba!
Józef z Maryą psalm nucą na przemian,
Czystemi usty dzwonią nad współziemian,
I śpiesznie — śpiesznie zdążają ku miastu:
Tam — to sam — kilku, to znów kilkunastu
Pielgrzymów ciągnie razem ku domowi,
A snać mieszkańcy spółnazaretowi;
Bowiem ustawnie po słuchu się wiją:
„Zdrowyś Józefie! to: zdrowaś Maryo!"
Droga przydługa; ale i w podróży
Duch na modlitwie niełacno się znuży,
Jako gołąbka; Małżonkowie święci,
Co jeno psalmów tkwiło im w pamięci,
Wciąż odmawiali, lub śnili w przestanku
O Przenajświętszym swoim wychowanku.
Daléj — o! daléj — i staja za stają,
Owoż przedmieścia, bramy wymijają,

I zgiełk uliczny pogrzmiewa nielada.
Józef, co począć należy, układa:
„A więc Maryo! w dom Zachariasza,
To po staremu, jak gospoda nasza:
Tam się rozgościm, Dziecię odszukamy,
I w drogę! w drogę — przed zawarciem bramy.
Osiołek w jękach — rozjękach się miota,
Zdyszany prosto wtłacza się we wrota,
Kędy sowicie wynagrodzi sobie.
Józef sam zaraz myśli o chudobie,
Owsa do żłobu i za drabki siana
Nieskąpi, bowiem rzecz zapracowana:
I bydlę musi mieć wygody swoje.
Marya puka oto już w podwoje:
„Pokój domowi!“ słodko dzwoni w progu,
„I pokój mojéj ukochanéj w Bogu!“
„Hozanna!“ drżący rozgłos się odzywa;
Z bocznéj komnaty siostra świątobliwa,
Letnia Elźbieta, pozdrawia tak mile,
Prace domowe zostawia na chwilę,
A świecą oczy jéj łzami radości;
Bo żywo czuje, kto u niéj to gości,
Nieśmie w pokorze ucałować lica,
Lecz połę szaty, jako służebnica.
Marya rzewnie Elźbietę swą tuli;
A wszedł i Józef: więc razem spółczuli
Rozkosz największą, najrzadszą na ziemi,
Rozradowanie serc między świętemi.
Pokój, o! błogo, pokój tutaj płynie.
Elźbieta Matce najpierwéj o Synie
Szepce. Oblicze Maryi po smutku
Śliczniéj jaśnieje; rzekła po cichutku:
Więc lub w kościele, lub u Weroniki?
„Wciąż po swojemu między piśmienniki.“
Elźbieta daléj: „U mnie pusto, cicho,
Sędziwy mąż mój od wczora w Jerycho;
Jan jako cudzy, daremna och! praca,
Wieści ni słychu, kędy się obraca.
Młode swe latka na pustyni trawi,
W postach, modlitwie. O! moi łaskawi,
Co nieobwieszcza o ludzkim niewstydzie!
A jest poprzednik Tego, który idzie.
Och! idzie — idzie Messyasz dla świata,
Jakoś aż z Nieba wieść o nim zalata,
Niby kadzidło ciągniem ją piersiami:

Pan Odkupiciel już — już między nami!
(Marya w uszy imała ciekawie)
Jezus — wasz Jezus — to mój Pan na jawie!
I zatwardziałe faryzejskie dusze
Już pokorniejsze mają się ku skrusze,
I dadzą, dadzą — Najwyższemu chwałę:
A dziśże Jezus — to tak pisklę małe!“
Marya pilnie macierzyńsko słucha,
I rozkwilona w uniesieniu ducha
Wzniosła ku Niebu oczy i ręce,
I na kolanach jękała w podzięce.
„Uwielbia dusza moja Boga Pana!
Wielce, o! wielce w Nim rozradowana,
Albowiem pojrzał na sługę swą drobną,
Przyodział Łaską wielką i osobną,
Że Przenajświętszą ziemia mnie nazowie,
I błogosławić będą Narodowie?“
Józef z Elźbietą sercami i głosy
Jak Serafini wtórzyli w Niebiosy.
„Pan Bóg okazał nam wielmożność swoją
Miłościw onym, którzy się go boją;
Wykonał zwierzchność; i mocą ramienia
Rozproszył w hardych sercach zamyślenia,
Uniżył pychę a wyniósł Pokorę,
Nakarmił swoje maluczkie i chore!
I rozdźwięk strojny, rozciągły, troisty
Mąci się wespół, jak w strunach lutnisty
Dawne — promienie proroctwa rozstrzela
Jeremiasza i Ezechiela.

Część druga.

Słońce wysoko wzbija się w południe.
Na wielkim rynku gwarno coś i ludnie,
Tłum różnowzory, jak powódź burzliwa,
W mnogie ramiona z hukiem się rozpływa.
Ubodzy śpieszą do powszedniéj pracy,
A do powszednich rozrywek próżniacy,
I różnie gwarzą: słychać to i owo,
Czasem wesołe, czasem smutne słowo,
Jako co kogo cieszy lub uciska:
„Dziś Wielkorządca wyprawia igrzyska,
Mówią, wspanialsze będą, niźli w Rzymie.“
Dzieło cudownéj piękności, olbrzymie
Wzrostem, ogromnem swoim się wielmoży,
Piętrzy słupami. Kościół to, Dom Boży,
Myśl mądréj głowy króla Salomona.

Na pokolenia świeci skamieniona.
Bliżéj ku oczom od wieży — po — ścianie —
Wije się w kwieciech, liściach dłutowanie,
Rąbek jedwabny, przejrzysty, powiewny,
Niby zasłona wstydliwéj królewny.
Wzdłuż po przysionkach i wschodach kościoła
Gołębie wonne i kwiecie i zioła,
Pełne z cackami, z przysmakami budek,
Takić obyczaj, tóż i miły chłódek,
Przytém się snują i młodzież i dziatwa,
Chciwe łokoci więc i sprzedaż łatwa.
Młodzież — o! młodzież nielada dziś bula!
Jako roisko pszczolne koło ula,
Lata i brzęczy swoją pustą nutą,
Głuszy wieść inszą śród ludu rozsnutą;
„Jest tu młodzieńczyk pomiędzy mistrzami,
Któremu mistrze dziwują się sami;
Każe o Bogu i pewnie i śmiele,
I pewnie, śmieléj niż nauczyciele,
I większe, lepsze stokroć rzeczy umie!“
Niepostrzeżenie — w cisnącym się tłumie
Do odźwiernego w kościele filara
Jakaś przysionkiem pomyka się para:
Starzec poważny, wzniosły, siwobrody;
Obok niewiasta przecudnéj urody,
Postawa skromna, polotna, dziewicza;
Kiedy niekiedy owal jéj oblicza
I blask od oczu odsuwa zasłonka:
Józef z Maryą.
Jako rozdźwięk dzwonka,
W białych ościeni kościelnych ogromie,
Ponad głowami ciżby, niewidomie
Dziecięcy głosik hałasuje w uszy:
Jękiem gołąbka ku gołąbce duszy
Swoje miłośne zwiastuje nadzieje;
Grucha pieściwie, z pod serca boleje.
I by nie spłoszyć od niebios przybysza,
Lud po wzajemnym znakiem się ucisza:
Uczucie, które zmroziły niesnaski,
Topnieje oto — w słońcu nowéj łaski!
Tam, to sam jeno ktoś w skrusze uklęka,
Tam, to sam oczy mokre muśnie ręka:
I jako wprzódy — cichość, cichość wielka.
Z pomiędzy niewiast święta Rodzicielka,
We łzach świecąca — a miła i słodka,
Leciuchnym chodem wsuwa się do środka.

Przed arką, która chroni przykazania,
Z góry chorągiew jedwabna się słania,
Olśniona słońcem w blask mieni się pawi.
W półkole siedzą mistrzowie ciekawi.
Na kobiercowém, kwiecistém wzniesieniu
Stoi pacholę w błękitném odzieniu;
Każe powolniéj nieco i umilka,
I wypoczynku — podziwienia chwilka.
Oczka ku Niebu, a w skroni od oczek
Nieme dumanie buja jak obłoczek,
Niby z włosami jasnemi się wije,
Na obnażone ramiona i szyję.
Skinął Młodzieńczyk i ozwał się w mowie;
A mowy jego język nie wypowie,
Na wieki wieków nie wysnuje wątku:
„I było (wołał) Słowo na początku!
Słowo to było u Boga! To Słowo
Bóg! było Bogiem! (I wołał na nowo)
Słowo to było Światłem i Żywotem!
I Ciałem Słowo to stało się potém,
A Wcielonego nie poznają Ludzie!“
I wołał — dzwonił — niby cud po cudzie,
Nie wedle pisma, w mistrzowskiéj powadze,
Lecz jako z góry piastujący władzę,
Jako Pan Mocarz, przed którym wnet społem
Niebo i Ziemia bić powinny czołem.
I aby rzeczy swéj prostaczkom dowieść,
Snuł przezroczystą, świecącą przypowieść.
Która jak woda rąbkiem przyobleka
Tajone dusze nagości człowieka.
O! po rozchwianiu ogólnego tłumu
Widać, że prawda wnika do rozumu:
Sędziwi mistrze dociekają treści,
Niebem pachnącéj owéj przypowieści;
Usty ku uszom pomrukują z cicha,
Jako co komu Pokora lub Pycha
Wedle zakonnéj mądrości poszepnie:
Stań ty odpornie! i stań ty zaczepnie!
Jezus już kończy modlitwę od ziemi
Za piśmiennemi i niepiśmiennemi.
Kiedy Młodzieńczyk podniósł się na nogi,
Uśmiech po licu igrał jeno błogi.
Spotkał wzrok Matki, zdaleka wysnuty,
Wzrok nieco mętny, — na wielkie wyrzuty.
Jak rybka z wody zachwycona wędką,

Poskoczył ku niéj wesoło i prędko.
Józef w swym sercu wcale go nie winił,
Lecz Matka swoje: „Przecz żeś to uczynił?
A my cię długo — tak długo szukali!“
„Matko niewiasto kochana, ażali
Jużem nie uczył duszkę — twoją duszę,
Że w rzeczach Ojca — przy Ojcu stać muszę!“
Matka słuchała — o! niegniewna zgoła.
Józef, Marya i Jezus z kościoła
Obok — dłoń w dłoni — razem wychodzili,
I gwar niemały pogrzmiewał na chwili.
Bowiem szeptali i starzy i młodzi:
Oto On idzie: On to, On nadchodzi!
Nowa Syońska łaska i nadzieja!
Pański nasz Prorok: Pański kaznodzieja!“
W rozbrzmieniu świeżéj, duchowéj nauczki
Ten, to ów z ciżby, kto w sercu maluczki,
Całował szaty to Syna, to Matki,
Dziewczęta wonne podawały kwiatki;
Jezus przyjmował i skinieniem ręki,
Pomiędzy lud swój rozdzielał podzięki.
Cień od wież pada — coraz się rozdłuża;
W cieni u wschodów gromadka już duża
Na głos powtarza: „Kto skąd ów Młodzieńczyk?
Od Nazaretu! Czyżby Nazareńczyk?
Skądże być może? — czy słychano w świecie,
Żeby się prorok zjawił w Nazarecie?“
„Héj — héj Szymonie! héj Natanaelu?
Od ceł, od sieci, pójdzie za nim wielu!“
Ozwał się celnik cezarowy Lewi;
Snać ziarnko w pulchnéj roli się już krzewi.
Jezus przy Matce swojéj, przy Piastunie,
Jak tęczą za nim w chmury się zasunie;
Świecił — zamierzchał — i zamierzchł dla oczu.
Cicho i pusto było na uboczu;
Starcy u okien, bo dzień igrzyskowy
Jak wymiótł z miasta młode wartogłowy,
Józef, Marya i Jezns we troje
Wolniéj zdążali na gościny swoje.
Tuż — tuż się bieli chatka Elżbiecina,
Słupem w obłoki bucha dym z komina;
Podwórko młodą trawką się zieleni,
Schludnie po ścieżkach i czyściuchno w sieni.
Jak gospodyni usłużnéj przystoi,
Letnia Elżbieta u swoich podwoi,

W gronie pokrewnych niewiast oto czeka.
Jezus radośnie i błogo zdaleka
Wita Elżbietę, roznosi z kolei
Ku Weronice, Marcie, Salomei,
Swe pozdrowienie — i tuli w objęcie
Młode znajome pokornie i święcie:
Jak łaskę płacą pieszczoty dziecięce,
W czołko Jezusa całują i w ręce.
Marya matka niemniéj uwielbiona:
Garnią się ku niéj do kolan, do łona;
Niemniéj uwielbion i Józef brodaty.
Goście wkraczają oto do komnaty.
I pięknie — miło — świeżo na wsze strony!
Hojnie i suto stół już zastawiony,
Wszędy bielizna rozśnieża się cienka,
Światło słoneczne promieni w okienko,
Ubogie sprzęty ozłaca w około.
O! pięknie – miło — świeżo i wesoło;
I dużo kwiecia! — Jezus w swoich leciech
Rozkosznie sobie lubuje przy kwieciech,
Lgnie za ich barwą i woni słodyczą:
Uwił wiązankę wzorzystą, dziewiczą,
I szepcąc wkłada Maryi na skronie:
„Matko! prześlicznie będzie ci w koronie!“
Marya — jako Jutrznia owa zrana —
Lśni zapłoniona i ucałowana.
Królowa Matka promienna w swym wieńcu,
Obok przy Synie i przy Oblubieńcu,
Naczelne miejsce zabiera u stołu.
Insze niewiasty poniżéj pospołu
Czekają stojąc, za nim Józef stary
Pobłogosławi pierwéj Boże Dary:
Bowiem sędziwa i święta osoba
Jako Kapłaństwo Niebu się podoba.
Odmawiał Józef rzecz wedle potrzeby;
Jezus w zastępstwie jeno — łamał Chleby,
Także przy modłach! a chleby z koszyka
W krąg rozdawała gościom Weronika;
Letnia Elżbieta, jako gospodyni,
Sama uprzejmie powinność swą czyni.
Posiłek skromny — a smaczny i przedni;
Bowiem zakonnych postów i suchedni
Jezus zabraniał pomiędzy swojemi,
Na znak wesela, dopóki na ziemi.
Było więc dosyć dobrych rzeczy w domu,

Jako do smaku najlepsze co komu,
Jagnię, gołąbki, a owoce suche,
Nieco też wina starszym na otuchę;
Goście wszelako zważali niewiele,
Byle duch jeno nie omdlewał w ciele.
Insza tu uczta, insza, o! nieświecka:
Wszyscy słuchali z natężeniem dziecka,
Łakomie słowo imali do ucha,
Jak chleb Niebieski — posiłek dla ducha,
Który na wieczność nasycić ich może;
I Jezus hojnie rozsypywał zboże
Na pulchną rolę. Oczyma Proroka
W otchłanie czasów uderzał z wysoka,
O Kielich Martę zapytał po cichu.
Mówił o świętych Tajemnic Kielichu,
Który był z Nieba ku obrzędom dany,
I będzie służył do nowéj Przemiany.
Potém oznajmił o Melchizedeku:
,,Anioł to pański — zamierzchłego wieku
W postaci ludzkiéj, który w one lata
Obchodził wszystkie okolice świata,
Wszędy nauczał Czci Bożéj i Chwały.
Ludy pomału prawdy odbieżały,
Znów ubóstwiają po staremu cielce.
Jednak téj żywéj wody na kropelce
W onéj i w onéj znajduje się stronie,
I często czystszéj, niż tutaj w zakonie;
Kropelka ona znowu się rozmnoży!
Wytryśnie zdrojem! Bowiem sam Syn Boży,
W człowieczą postać dzisiaj się im wciela!"
Oblicze dziecka — jak Emmanuela
Spodziewanego jaśnieje już w pełni,
Że znieść nie mogli widoku śmiertelni,
I czołem w prochu nucili ,,hozanna!
Chwała! o Chwała! Chwała nieustanna!"
W sercach rozbrzmiały tajemne podziwy
Na on Cud Boży na jawie senliwy.
Swobodneż — lube — rajskie tu gościny
Z wdziękiem, uśmiechem najmilszéj Dzieciny;
Jezus po ziemsku nastroił znów lice,
Karcił, to cieszył swoje Uczennice,
Niewinnéj wcale nie wzbraniał swawoli.
A już i Józef do drogi niewoli;
I Rzesza cała serdeczna i szczéra
Aż na gościniec razem się wybiera.

I w mieście gody huczą. Terpsychora
Obwieszcza w okrąg dzień Imperatora:
Hałas pijany, pozór pstry, bogaty;
Świecą w pancerzach welity, hastaty;
Sój nikczemnionych mdłych Patrycyuszy,
Rój niewieściuchów — w lwich skórach się puszy.
W trop za pogaństwem — w perłach, w złotogłowie,
Konno i świetnie żydowscy panowie.
Chleba, widowisk, wrzawy i kurzawy,
Do sytu. Rzymski ów Jowisz łaskawy!
Radość! bo radość! a w piętach aż dusza;
Bowiem nad światem cień Tiberiusza,
Plugawe widmo w cezarowym wianku,
Rózgą, to mieczem śmiga bez ustanku.
I wielkorządca, poplecznik Cezara,
Z niższéj czeluści piekielnéj poczwara,
Z dziką srogością, z łakomstwem tygrysa,
Kawał swój ścierwa krwawego wysysa:
Publius jakiś — a za lat dwadzieście
O mężu wielkim ani pytaj w mieście.

Boża gromadka w pochodzie ściśnięta
Słania się trwożnie, jak w burzy ptaszęta,
Tędy, tamtędy tuli się w zakątek;
A wciąż pogrzmiewa zgiełk pogańskich świątek.
Gwar przeraźliwiéj coraz wre; i w gwarze
O zapaśniku mowa — o Chazarze!
„Pięścią powalił zhukanego byka!
I zabił — zabił!" — raźnie tłum wykrzyka;
Co tam za straszne ludy przy Euxynie!
A nikt niespojrzy oto ku Dziecinie,
Która te ludy, jako i świat cały,
Jeno podnóżkiem uczyni swéj chwały;
Nawet przemknęli milczkiem — mimochodem
Śliczni panicze Łazarz i Nikodem.

Cedron wężykiem błyska po murawie,
Staw się źwierciedli bliżéj, a przy stawie
Trzódka becząca i niemniéj wrzaskliwa
Dziatwa baranki pławi to umywa;
Psotne dziewczęta i niewiastki młode
Kwiecie, te piosnki, puszczają na wodę;
I wszędy śmiechy, pustoty, ścigania.
Jezus wypocząć tu swoich nakłania:
Bo już w drogę potrzeba za chwilę,
A jakoś tutaj po wiejsku i mile,

Ledwo na trawie zasiadła gromadka
Jako wróbliki co śmielsze ze stadka:
Owoż stąd chłopczyk, stąd dziewczynka leci,
Więcéj, no więcéj! — i jako ćma dzieci,
Ćma w lot pierzchliwa — a dziś nieruchoma.
Jezus je ima i głaska rękoma,
A podziwienie w każdéj świeci twarzy;
Jako znajomy Jezus im się marzy,
Gdzieś — kiedyś przy nim na kwieciech igrali!
Starsza dziewczynka z niemowlątkiem w dali
Biedzi się bardzo, rozbrzmiewa całunki;
Niepomagają pieszczoty piastunki:
„Cicho — o! cicho — o! cicho Stefanku!“
Dziecię się zżyma, płacze bez ustanku.
I Jezusowa oto nad niém rączka;
Stefanek wznosi oboje ramiączka,
W rozwianych włosów tuli się tkaninę
Jak pisklę ptasie pod skrzydło matczyne.
Jezus mu tkliwe daje całowanie,
Niebem rozgłośne: i za nie, och! za nie
Kiedyś najpierwszy krew swoją wyleje,
Rozpocznie świętych Męczenników Dzieje.
Łzawo — w Miłości cudownym uroku
Starsi się oto ściskają na boku;
I Józefowy hasa już osiołek.
Jezus z Maryą na inszym wespołek
Zasiedli; zdala żegnają się z rzeszą,
I wraz po drodze galilejskiéj śpieszą.
Jezus — za gońca wzrok posłał przed siebie;
Bujał dumaniem wysoko — po Niebie.
Nagle — jakoby targniony za połę,
Zwrócił na prawo źrenice wesołe:
Cichy Ogrójec! — Posępna Golgota!
Skąd odkupienie ludzkiego żywota
Spłynie po krzyżu! — Na znak pewnie Krzyża
Przed wolą Ojca czołem się uniża,
I w ziemi łezki świecą się jak rosa;
Weseléj znowu spogląda w Niebiosa,
I na źwierciedle oczu myśli różne:
„Matko! źle ludzie pędzą dni podróżne.
U boku często niepokój, to nuda,
A po ich drodze naokoło cuda;
Ale nie patrzą ni w prawo, ni w lewo,
Niemyślą, czemu zieleni się drzewo?
Kto umalował tę skrzydlatą dziatwę?

I kto jéj daje pożywienie łatwe?
Przecież wietrzniki nie sieją i nie żną!
Patrzaj Lilijo! na twą siostrę śnieżną:
Z lichego piasku jak strojnie wyrasta!
Zaprawdę ani królewska niewiasta.
Ani Salomon nawet w swojéj chwale,
Tak przyodziani nie byli wspaniale.
A wszakże kwiatek — źdźbło to marnéj słomy,
Wszystko wkoło proch jeno znikomy.
Człowiek, Duch Duszą, a Ducha sam waży,
Chodzi w osobnéj i Łasce i Straży.
A oto światło swe tłumi w iskierce,
Wolą zawichrza i rozum i serce.
Złośnik niekarny, w grzech płodniejszy co dzień,
Żyje w ciemnościach jako nocny zbrodzień,
I odtrącony od Ojca na wieki!
Są Obietnice! są wszechmocne leki —
Krew niewinnego!“ — Łkaniem uciął słowo.
Milczenie było długie — i na nowo:
„Matko, tyś Gwiazda śród Wybrańców grona!
Dworem Aniołów moich otoczona
Ponad tym światem rozlejesz oblaski,
Jako jedyna Pośredniczka łaski!
Promień od ciebie otchłanie umili.“
Długo ku sobie słodko się tulili.
I znów prorockie rozbrzmiewały słowa:
Matka je łowi i w sercu swém chowa;
A długa jazda przemija, jak chwilka.
Owóż i wieczór! owóż i mil kilka!
Lasek oliwny i strumień u brzegu,
I już we trojgu stają na noclegu.
Słońce za obłok czerwony się nurza,
Ozłaca Thabor; a niższe podgórza
Blaskiem rumianym gdzieniegdzie zapala;
Jaśniéj i kraśniéj migoce Magdala;
Z winnic Magdali płomieniąca struga
Tam po kolczastych aloesach mruga;
I z winnic — palma wysmukła — daleka
Aż ku nizinie cieniem się rozwleka.
I z winnic — młoda tam Samarytanka
Lekka, pierzchliwa odbiega baranka,
A błysnąć wzrokiem ani się ośmiela,
Bowiem wyklęta pośród Izraela:
Waśń babilońska, przedwieczna z niewoli,
Po dziś dzień żyje — i jak ongi boli.

Jezus wzrok utkwił za uciekającą;
Dumał w swém sercu. Już usta się mącą,
Prawa miłości nowéj oto głoszą,
Miłości tchnącéj najczystszą rozkoszą,
Która od Nieba — niby pas uroczy
Ku chmurnéj ziemi — tęczą się roztoczy,
I całą ludzkość w swym Bogu pojedna.
„Samarytanka (mówił) ludzkość biedna!
Zwaśniona z Ojców i pod klątwą starą;
Ale się wzmoże znów Miłością — Wiarą —
Nadzieją: bowiem czas się już domierza
Po wszystkie wieki nowego przymierza!"
Przy wychowanku piastun śrebrnowłosy,
Jak orzeźwiony kroplami już rosy
Miłości onéj, zachwycał swe ucho,
W płacz rozkwilony i rozgrzany skruchą
Chylił do kolan pomarszczone lice.
Jezus mu szeptał Niebios Obietnice:
„Będziesz Piastunem dusz na mojém łonie;
W twém cię Imieniu rozmnożę w Zakonie!"
A naokoło już głuchnie i mierzchnie,
Tam, to sam gwiazdka pluska na powierzchnię.
I Przenajświętsza na klęczki Rodzina
Upada wespół. I Jezus zaczyna
Roznośnie: „Ojcze nasz, któryś jest w Niebie!"
Za ukochanych swoich i za siebie.
Nad Przenajświętszą uśpioną Rodziną
Sny w tajemnicach zwierciedlące płyną.
Noc miliony ocząt swych zamruża:
Ni Stróża-słońca! ni Księżyca-stróża;
Pełnią gdzieś służbę w otchłaniach zasuci
Bliżéj i niżéj Niebo całe nuci,
Niby rozbrzmiewa w rozmiar na pokłony:
„Synu Człowieczy, bądź — bądź pochwalony."

URODZONY
JAN DĘBORÓG.
Gawęda Szlachecka
przez
WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.
(W skróceniu.)

Pod niegminną i niepodłą
Urodziliśmy się gwiazdą;
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców, w naszym rodzie
Zawsze były łaski Boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze, prosto orze,
Processuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali
I hoduje walnych chłopców.
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
Pełno główek, jak makówek;
Znają ludzie każdą głowę,
I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,
Kiedy wszystko powiatowe?
Protoplasta,
Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego, czy za Wazy,
Deputatem był dwa razy
I Wileńskim podwojwodzim.
Zz to w rodzie naszym słynie
Ów pancerny Rotmistrz stary,
Który walczył w Ukrainie
Z hajdamaki i Tatary,
A ugodzon kulą w głowę,
Jak bohater zginął śmiało.
O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:
Że ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przewieźć swoje kości
Do ojczystéj posiadłości,

Na wioskową naszą rolę;
Że pogrzebu kościom życzy
Ni we sklepie, lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łan się ściele,
Gdzie z sąsiadem grunt graniczy;
Aby kurhan nad mogiłą,
Niby kopiec stał ochrończy,
A na wieki znaczno było,
Gdzie poletek nasz się kończy.
Jego wola uroczysta
Wypełniona jak należy.
Przemineło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży,
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grob Rotmistrza — kopiec z darni;
A sąsiedzi gospodarni
Znali że to miedza święta,
Że przywłaszczyć stąd niewolno,
Choćby jedną skibę rolną.
Tuż za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam niespaszą:
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo wiedziano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

Jak mogę zapamiętać — od najrańszéj chwili
Z sąsiadami z za kopca nigdyśmy nieżyli;
Nigdy na naszych ucztach niebyli przytomni,
Mój ojciec nigdy o nich i słówkiem niewspomni:
Dwa dworki, choć od siebie w mecie niedalekiéj.
Ździe się, grób Rotmistrza rozdzielił na wieki. —

Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno,
Kiedy ściany domowe gości nieogarną,
Tam przy matce matrony, tu przy ojcu męże,
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają oręże;
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa, i gości zaprasza,
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie, lub miodzie,
Rozpowiada o Panu Trockim wojewodzie, —
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klienteli spędził młode lata.
I promienieje starzec kiedy gwarzyć zacznie.

Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie Rotmistrza — wnet sie ojciec zmienia,
I gryzie gniewne wargi — nudzą go przytomni;
Chyba że ktoś Trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, niebacząc, że mu serce boli,
Odzyskiwa wesołość powoli, powoli.

W końcu umarł nasz sąsiad — cóż państwo powiecie?
Ojciec, co go nielubił, póki żył na świecie,
Po śmierci mu wypłacał, jak gdyby hołd dłużny,
Zapomogę z modlitwy, postu i jałmużny;
Zakupił msze żałobne, krył się od gromady,
A chodził zamyślony, ponury i blady.
Bywało, kto w sąsiedztwie zamknie w Panu oczy,
Mój ojciec w uczynności braterskiéj ochoczy,
Śpieszy i losem sierot troska się najczuléj,
Owdzie wdowę pocieszy, tam dziatwę utuli,
Zajmuje się pogrzebem, gospodarzy w stypie,
I gawędki o Trockim wojewodzie sypie;
A tutaj, chociaż smutek wpił się mu do głowy,
Niepojechał na pogrzeb, niepocieszył wdowy,
I odzywał się słowy gniewnego rankoru,
Kiedy wspomną nazwisko sąsiada, lub dworu. —
Raz, widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: co to wszystko znaczy?
Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dla czego, gdy się gniewa w jednostajnéj mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dla czego, gdy żałuje, dwór omija zdala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam niepozwala?
Tu się ojciec zapłonił, potém zbladł jak ściana:
„A zkądże ta ciekawość? — at, *proszę aspana,*
„Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
„Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
„Jak na skórze zużyjesz rózeg całą puszczę,
„Wtenczas, proszę aspana, całą rzecz wyłuszczę;
„A tymczasem wiedz, błaźnie, i zapisz to w głowie,
„Ze nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
„Może to prapradziady, mieli z sobą waśnię
„I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie
„Póty z naszego serca — dopóki wystarczy
„Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
„Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
„Dopóki się Dęboróg z Brochwiczem pobrata;

„A o tamtych zatargach pamięć i nauka
„Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka,
„I chyba który z rodu... at i gadać szkoda!
„Coby to rzekł, mospanie, Trocki wojewoda,
„Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
„Nie rozumiesz tych rzeczy — więc milczeć, i kwita.“

Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi*) wąsik na kraśnéj twarzy;
Czas był do szkoły — ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy;
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
„Proszę aspana, czas wyśmienity,
„Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
„A gdzie się uczyć bez Jezuity?
„Minęła wiara i karność stara,
„Po szkołach jakieś nowotne dzieło,
„Niemasz łaciny, niemasz Alwara,
„Równo z Alwarem — wszystko zginęło.
„Synabym w domu nie trzymał dłużéj,
„Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie
„Dać do konwiktu możność nie służy,
„Uczyć przy farze jakoś nie chce się;
„Zwłaszcza gdy człowiek zdawna pamięta,
„Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie,
„Byliśmy w szkole między panięta,
„Chłostę na Perskim brali dywanie.
„A dziś... mój dziedzic... biada nam, biada!
„Daremno człowiek ratunku szuka,
„Codzień to cięższéj ród podupada
„Z ojca na syna, z syna na wnuka.
„Proszę aspana, uczyć się pora,
„Lecz nie masz za co, nie masz widocznie,
„Uproszę księdza definitora,
„Niech bakałarzyć nad tobą pocznie.
„Kształć się w łacinie i świętéj wierze,
„Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju —
„Może się u mnie grosiwo zbierze
„I Jezuici wrócą do kraju.“
O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek Boży mieszkał w téj chacie. —

*) Puszczał się.

Ksiądz definitor święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz gruntu — i na téj ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannéj porze,
Czytając hymny z kart brewijarza,
Bronuje zagon, lub sieje zboże.
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie z-orze, zasieje, pożnie.
Na jego sznurach najlepiéj rodzi,
Jego przekosów nieznosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota,
Jakby wyrocznię mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słota,
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie,
Rzekłbyś: apostoł — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłómaczył ze świętéj księgi:
„Jak to pokorny Zbawiciel świata
„Składa majestat Bożéj potęgi,
„I w ciele ludzkiém z człekiem się brata,
„Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
„Między grzeszniki siada do stołu,
„I daje siebie przybić do krzyża,
„I składa ciało w człowieczym grobie,
„Bóg się do ludzkiéj postaci zniża,
„By nas uzacnił, podniósł ku sobie.
„A u nas, szlachcic — jasne wielmoże,
„Rad, że mu herby dała ojczyzna,
„Bóg został człekiem, a on niemoże,
„Kmiotków za bliźnich swoich nieprzyzna;

„Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
„Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
„Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
„Za jeden puhar starego wina
„Głodna i chłodna chłopska rodzina
„Na rokby miała chleba i soli,
„Za jedno słówko, w najmniejszéj rzeczy,
„Pany się waśnią, idą na noże;
„Wieśniak pod chłostą jęknąć niemoże:
„Bo nie dla niego honor człowieczy!“
Tak to, bywało, głośno i śmiele
Ksiądz definitor gadał w kościele.
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał poblizkie domy,
Zdala poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonéj słomy; —
Za cieniem wzniosłéj, świętéj postawy,
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam, *servus* jego nazwisko;
A ksiądz czeczotką kroki podpiera.
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostéj chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu,
Z panem i z chłopem za-panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

Ksiądz definitor był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą,
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie —
A ojciec mówi: „At proszę aspana,
„Ksiądz i poczciwy, lecz pożal się, Boże,
„Tak mu do grzbieta przyrosła sutana,
„Że o szlacheckim zapomniał honorze.
„Nie sztuka zrzędzić — ale Bogu dzięki,
„Moje sumienie nie skalane wcale;

„Gdyby przynajmniéj Statut wziął do ręki,
„Proszę aspana, tam w czwartym rozdziale,
„Jak wołem pisze o ziemskiéj dawności: —
„Kto przez lat dziesięć dóbr się nie dopomni,
„Niech późniéj do nich i prawa nie rości,
„Ni on, ni dzieci, ni dalsi potomni.
„A toż, mospanie, od początku dzieła
„Może dziesiąta dawność upłynęła. —
„Z dziadów, z prawnuków szło daléj i daléj,
„Czemuż się pierwiéj nie upominali?
„Co wziąłem z ojców, muszę strzedz jak głowy,
„Muszę w całości przekazać méj dziatwie
„Grunta po miedzę, gdzie grób Rotmistrzowy,
„I całą sprawę, któréj nie załatwię, —
„Bo jest przysłowie: *że do końca świata*
„*Herb się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata.*
„Ksiądz definitor napomina srodze,
„Bym oddał grunta aż do saméj rzeki,
„Proszę aspana, toż minęły wieki,
„Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodze.
„Przodkowie nasi graniczyli miedzą
„I mieli process o sąsiednie niwy,
„Przodkowie nasi Bogu odpowiedzą,
„Pan Bóg rozezna, kto prawy, kto krzywy.
„Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
„Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem,
„Lecz tu, na ziemi... to wcale inaczéj,
„Proszę aspana, i honor coś znaczy,
„Honor szlachecki. —
„Ale to najgorzéj,
„Że ksiądz tak żywo bierzę sprawę wdowy,
„Puka mi w serce swojemi namowy,
„W imie sumienia i bojaźni Bożéj,
„Bym zwrócił grunta; — ja gruntów nie zwrócę,
„Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
„Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
„By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
„Bo już co prawda, to wyznać potrzeba, —
„Że jego głowa przemądra, choć stara,
„Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
„A cnoty — chyba od samego nieba;
„Uczony, skromny, pracowity, szczery,
„Czysto jak święty Franciszek Ksawery.“

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło,
I rzekł: „Zostań tu chłopcze, ucz się w imię Boże!
„Wszystką miłością w sercu, chlebem co w komorze
„I nauką co w głowie — choć jéj tak nie wiele,
„Co Bóg dał, wszystkiém chętnie z tobą się podzielę! —
„Tylko że widzi Waszmość — rzekł do ojca daléj —
„Ja stary, mam narowy, a szlachcice mali
„Zwykle przynoszą z domu dwa początki licho,
„Bo dwa grzechy śmiertelne — lenistwo i pychę;
„A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
„Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
„Czy kto ma herb, czy niéma — bracia-śmy po prostu
„Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chrostu,
„Chłopy-śmy i parobki przed Bożém obliczem! —
„Nikt cię tutaj nie będzie nazywać paniczem,
„Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada,
„W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
„Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
„Ja będą żąć, ty w snopy związywać mi zboże;
„A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
„Z grammatyką łacińską i Wirgiliuszem,
„Z konwią mleka i z chlebem — tóż to będzie cudnie,
„Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
„Posilając się sobie póki skwaru chwila,
„*Titire! tu patule*... tłómaczyć z Wirgila:
„Bo sielanki najlepiéj w polu się wydadzą. —
,A szlachcic, co ma dzierżeć lud Boży pod władzą,
„Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty
„Nie będzie się tak lekko porywać do chłosty;
„A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
„Równiejsze będą skiby. . . .“

„Miłościwy księże!
(Tak mu przerwał moj ojciec nadąsany srodze)
„Na to, proszę aspana, nigdy się zgodzę.
„Pracować to pracować, lecz herbowne dziecko!
„Winno zawsze zachować powagę szlachecką
„W obec gminnych plebejów, co z wioski ród wiodą.
„Wybij z szanownéj głowy swe dziwne pochopy,
„I dziecka szlachetnego nie zrównywaj z chłopy,
„Bo na to nie pozwolę; — łaska Waszmościna
„Za mój grosz jako tako poduczyć mi syna,
„Dobrze, proszę aspana; lecz jeśli mój Janek

„Ma się uczyć przy snopach łacińskich sielanek,
„Razem z chłopstwem zasiadać do misy i chleba,
„Dziękuję, — mnie łaciny takiéj nie potrzeba;
„Niechaj się sobie w domu choć po prostu modli,
„Lepiéj niech będzie głupim, — a rodu nie spodli.“

— „Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśnie —
Rzekł definitor, śmiejąc się boleśnie —
„Lecz pozwól Waszmość. . .“ co tam mówił daléj
Mogli zrozumieć chyba wszyscy święci —
Bo po łacinie starce już gadali,
Obadwaj żwawi, obadwaj zawzięci:
Ksiądz głową kiwa, ojciec ręką trzęsie,
Godzina druga upływa na swarze —
W końcu przy piwku i przy sztukamięsie
Podali sobie ręce adwersarze

Snądź się mój ojciec wysilił w gawędzie,
Dał się przekonać, chociaż z wielką biedą,
Bo tylko mówił: „*Concedo! concedo!*
„Proszę aspana, niech już i tak będzie.“
Potém rzekł do mnie: „Tutaj cię porzucę;
„Słuchaj i kochaj cnotliwego księdza,
„Sprawiaj się pilno w pracy i nauce,
„Honor szlachecki niechaj cię przypędza,
„Z resztą leniwca ksiądz niech smaga batem,
„Bo mu *paternam* zdaję *potestatem!*“
To mówiąc, ręką do kieszeni zmierza, —
Spojrzałem, zbladłem, zadrżałem od mrówi:
Boćkowski rzemień zwinął do talerza
I przez stół podał definitorowi.
A ów rzekł, biorąc straszliwe narzędzie:
„Ufam, że nigdy potrzebnym niebędzie.“

Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie,
Tak i z moją nauką — pojętność pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu. . . .

Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę,

Potém dziady grzanego piwka nam przyniosą,
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wziąwszy więcierze, idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa, lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody;
Wprzódy uniosłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Lineja, Newtona,
I tłómaczy mniéj z książki, a więcej z pamięci.

A kiedy święto, lub dészcz z pola spędza,
Chłopcy się tłoczym, ile chata zmieści,
I ciasném kółkiem otaczamy księdza,
By nam gawędził odwieczne powieści;
A jego pamięć uczona bogata,
Odsłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki patryarsze. —
Dopieroż słuchaj kiedy głos podnasza,
Gdy stare piersi zapałem odżyją!
Głosząc z proroków przyjście Messyasza,
Aż się radujem z Anioły, z Maryą,
Tężymy słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pośpiesza. —
My w wieczerniku, my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod Krzyżem nasza dusza gości, —
W świętéj boleści co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebieskiéj miłości,
Tak nas ów obraz do niebios przybliża,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża. —
Niekiedy starzec, na dłoni oparty,
Rzekłbyś, Herodot wśród pokoleń nowych,
Kreśli nam dzieje Atenów, lub Sparty,
Czasów Likurga, lub Peryklesowych.
Gdy kreśli przeszłość, to w takim kolorze,
Że ci się żywa przed oczami wyda,
Że tylko westchniesz: „o zeszlij mi, Boże,
„Życie Solona, albo Arystyda!“
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie,

Upiór przeszłości latał nad mą głową,
Było mi błogo, a czasem boleśnie.
Strach! gdy się głowa, gdy serce rozmarzy!

Biegły me dni jak w niebie na takiéj nauce,
Mniemałem że już księdza nigdy nieporzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.
Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczepiał mię z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!
„Muszę, prosze aspana, oddać cię do miasta,
„Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
„A tarcza z Dęborogiem wśród chłopstwa wytarta,
„Co kapelusz żydowski, tyle będzie warta.
„Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
„Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
„Staremu trzeba uledz: bo mię zrzędzić zacznie,
„Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
„I folgować swym rękom — by znał gmin ciekawy,
„Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy;
„Dłoń szlachcica stworzona dla miecza, nie żniwa,
„Krom rycerskiéj zabawy niech wolno spoczywa.“
Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnéj rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce:
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przedemną,
Tam dla duszy przestronniéj i sercu weseléj.
Ojciec to zauważał — więc jednéj niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem, i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo,
I syna wraz zabierze. — Ja w płacz — nic niesłuży!
Już wybiła bolesna godzina podróży.
Ksiądz mię rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem,
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z półmili aż ku wielkiéj sośnie;
Stary *servus* zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu — ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek gdziem przeżył tak błogo,

Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

Czém w polu zasiew, czém zawiązka w kwiecie,
Tém w życiu męża szkolne sześciolecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,
Choć jeszcze teraz, po ileż to razy!
Szkolną ławicę, albo dzwonek przyśnię!
Pomnę raz pierwszy gdym jechał do szkoły,
Jaką się trwogę w sercu przezwycięża,
A ojciec prawi w gawędzie wesołéj,
Jak to chłostali Jezuiccy księża;
Przed rozognioną wyobraźnią dziecka
Stał Jezuita i poglądał srogo,
Ukrywał kańczuk pod wełnianą togą,
A w jego rękach grammatyka grecka.
Ujrzałem mury gdzie klasztor i szkoła,
Kędy mnie wiedli; — z bojaźliwą trwogą
Wszedłem za ojcem za fortę klasztorną...
Na korytarzach niebyło nikogo;
Przyległe cele godziną wieczorną
Grzmiały w sto głosów; znaczno żeśmy w szkole, —
Owdzie nauki, tam śmiech i swawole.

Tedyśmy weszli do jednéj z tych celi,
Tutaj ksiądz prefekt mego ojca wita,
Z miłym uśmiechem, obleczony w bieli,
Całkiem nie taki jak ów Jezuita,
Co w czarnéj szacie i z groźbą na twarzy
Od kilku nocy w moich snach się marzy.
Snadź że wyczytał przestrach z mojéj miny,
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie,
Potém znienacka zapytał z łaciny,
Ja mu Pijarską grammatykę prawię,
Jakby przed ojcem, odważnie, tak samo:
Bo wzrok łaskawy rozbudził mą wenę —
Odmieniam *terra*, conjuguję *amo*,
Ksiądz prefekt chwali: *bene puer! bene!*
Aż ojciec wesół że syn tak rozbiera
Nomen, pronomen, verbum, et caetera.
Ksiądz prefekt bada — Bóg mi dopomaga,
Ja odpowiadam przytomnie i lotnie,
Przebiegł tablice Pitagoresowe,

Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie,
I rzekł poważnie, całując mię w głowę:
„Wybornie chłopcze — będziesz w drugiéj klassie!"
Ojciec wesoły że nam w jednéj chwili
Koszt całoroczny i honor ocalał,
Wziął mię w objęcia — do swych piersi chyli,
„*Proszę aspana!*..." i łzami się zalał.

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klassy
Przylgło, przyrosło na głucho?!
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli.
Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłacesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoję mądrość księże professorze?
Wiara z jaką słuchałem na szkolnéj ławicy,
Kiedy *ksiądz Matematyk* zadanie rozbiera,
Lub kiedy *ksiądz Łacina* mistrz na kazalnicy
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera;
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?
Przysiągłbyś że to prawda wychowańcze młody!
Że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy.
Dziś gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest biało? co czarno? co prosto? co krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.

Ot sześć latek przebiegło jakby chwila cicha,
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze,
Co rok głowa bogatsza a serce usycha,
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.
A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga,
Składam ojcu świadectwa — dziekuje mi za to,
I mówi żem dostojen herbu Dęboroga.
W niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha —
Tam gdy gradem mądrości na przytomnych rzucę,
Aż się ojciec raduje i wesół uśmiecha,

Aż się dziady kościelne dziwią méj nauce;
Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrząsa siwą głową — więc ojciec go pyta:
„Nieprawdaż, zacny księże, iż Dęboróg młody
„Skończy szkoły uczony jakby Jezuita?“
„Tak — rzecze definitor — zna wszystko po trosze,
„A gdzie nie ma zdolności tam pracą okupi;
„Braknie mu jednéj rzeczy...“ „A czegoż to proszę?“
„Mądrości Sokratycznéj — poznania że głupi. —
„Lecz z czasem i to przyjdzie — duma zniży rogi,
„Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie;
„Tymczasem daj mi rekę wychowańcze drogi —
„Nie gniewaj się na starca gdy ci prawdę powie.“

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie,
„Słuchaj — rzekł — Janie! nim ci się przetrze
„Jakiś tam zawód na Bożym świecie,
„Dam ci zabawkę — i co się zowie,
„Co nie poniży herbowne dziecko,
„Przez którą starzy Dęborogowie
„Zyskali niegdyś godność szlachecką.
„Bartosz Paprocki w swych herbów zbiorze
„Pisze skąd nasze godło urasta,
„Jak na Zygmunta Augusta dworze
„Był *quondam* strzelcem nasz protoplasta;
„(*Proszę aspana*, dzielny myśliwy
„Na pańskich dworach zawsze jest w cenie),
„Razu jednego znalazł — o dziwy!
„Wrosłe do dębu rogi jelenie.
„Rzecz taka rzadka i niewiadoma,
„Więc gdy ją złożył królowi w darze,
„Król mu szlacheckie nadał dyploma
„I Dęborógiem nazwać się każe.
„I od téj pory chętka myśliwska
„Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię,
„Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,
„Choć nie *senator*, *venator* przecię.
„Ja sam za młodu strzelałem dużo,
„Świadkiem nieboszczyk Trocki wojewoda,
„Dzisiaj Mospanie, oczy niesłużą,
„A jednak pola zależeć szkoda;
„Więc się chowają, proszę aspana,
„Strzelby i pieski dobre do pola,

„Stara myśliwska szkapa bułana,
„Wojewodzińska trąbka bawola,
„I zasłużona torba borsucza:
„Otóż to cała strzelcza spuścizna
„Dziś się waścinym rękom porucza,
„Żeś ty Dęboróg, świat niechaj przyzna.
„Mamyć tu przecię las siaki-taki,
„W zatoce — kaczek bywają stada,
„W naszych zaroślach skaczą szaraki,
„Czasem z pod żyta wilk się wykrada.
„Będziesz polował, — wy młodzieniaszki
„Winniście wprawiać oko do strzału.
„Otóż...“ lecz dalszą powieść jak z karty
Ojciec już gadał do głuchéj ściany:
Bom z podarunku uradowany
Żwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześlad zajęczy,
Konno to pieszo zwijam się szlakiem,
Bułany tętni, a trąba brzęczy,
I strzał po strzale wstrzęsa chróśniakiem.

Hejże znowu ja do kniei!
Jesień — zima — wciąż na łowy:
Raz zabiegłem po kolei
Aż na wzgórek Rotmistrzowy,
Aż za kopce cudzych granic.
Była wiosna — zachód słońca,
Lecz nie zwykłem zważać na nic
Kiedy ruszą psy zająca.
Daléj, daléj, a tu ciemno,
Czas do domu — zmrok zapada,
Patrzę w koło — tuż przedemną
Dwór sąsiadki czy sąsiada.
Tu Brochwiczów gniazdo rodu,
Ród szlachecki choć ubogi,
Nasłuchałem się za młodu,
Żeśmy sobie wieczne wrogi,
Że Dęboróg — póki świata,
Z Brochwiczami się niezbrata.
Grób Rotmistrzów, jakieś pole,
Były źródłem wiecznej waśni;
Lecz o całym tym warchole
Kiedyż ojciec mię objaśni?
Dziś nieprzyjaźń nie jest jawną,
Tylko zawsze siebie stronim —

Stary Brochwicz umarł dawno —
A tu mieszka wdowa po nim.
Ojciec mówi, że Brochwicze
To wrogowie nam wieczyści;
Coś im jednak źle nie życzę,
Żadnéj niemam nienawiści,
Coś mi szepce — pomóż, Boże,
A ja rankor ten umorzę.
Dworzec mały — a tak schludno
Tak coś miło w każdéj stronie
Że źle trzymać o nich trudno,
Poczciwością zewsząd wionie.
Stary domek, stara strzecha,
Kędy mieszka stara wdowa,
A do okna się uśmiecha
Stara gałąź topolowa.
Lecz w ogrodzie — ach, mój Boże!
Samo kwiaty, samo róże,
Pięknie w okół — przez częstokół
Patrzę, aż tu hoża dziewa
Sadzi kwiaty i polewa,
I piosenkę jakąś śpiewa
Słucham.. słucham, serce gubię,
Za jéj głosem myślą idę,
Ona śpiewa jak na biédę,
Tę piosenkę co ja lubię.
Długom patrzał między liście,
Coraz baczniéj, coraz miléj,
Krótko mówiąc — od téj chwili
Zakochałem się ogniście...
Gdym odchodził pokryjomu,
Aby znak zostawić jaki,
Na topoli koło domu
Zawiesiłem dwa szaraki.

Codzień w pole — ej, nie w pole,
A do dworku pod topole;
Już znajomość — cóż za dziwy?
Blizki sąsiad i myśliwy,
Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko;
Że zwierzynę mamie nosi
I zagląda w oczki Zosi.
Ej poziomki! ej to mleko!
Ej ten dworek niedaleko!

Ej te oczki! mówiąc krótko
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno — zwolna... zwolna...
Już w nas chętka zobopólna
Spojrzeć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiedz na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie.
Matka Zosi — święta dusza!
Polubiła mię jak syna,
Jednak czasem głową rusza:
Częsta moja tam gościna
Snadź się matce niepodoba.
Gdzie tam częsta? — trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba
A ja wymknąć się niemogę.
Ho, ho! gdyby ojciec wiedział
Gdzie mnie codzień kroki wiodą;
Wnetby z Trockim wojewodą
Dał mi uczuć cały przedział,
Co rozróżnia nasze domy
Z wieków wiecznych, od pradziada;
Koniec rzeczy już wiadomy:
Bo przysłowie zapowiada,
Że Dęboróg póki świata
Z Brochwiczami się niezbrata. —
At zwyczajnie ludzie starzy;
Ale miłość pełna szału
Niezagląda do Herbarzy,
Ni w dekreta Trybunału.
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna,
Stary proces, lub herb stary
Fraszka w oczach Kupidyna.
Dzisiaj szczęsno!
Lecz niestety:
Jaka przyszłość serce boli:
Upór starca, lub kobiéty
Na nasz związek niepozwoli —
Bo mój ojciec nigdy zgoła
O Brochwiczach ani gada,
Matka Zosi niewesoła:
Bo żal czuje do sąsiada.

Jakieś kłótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą. —
Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie niepodadzą.
A cóż dla mnie? — śmierć z rozpaczy!
Precz te mary zapaleńcze!
Choć przycierpię, choć się zdręczę,
Lecz zapomnę... nieinaczéj.
Ot na sercu rękę kładę,
I tamuję jego bicie.
Nigdy... nigdy... póki życie
Już na łowy nie pojadę,
Ani spojrzę k'tamtéj stronie,
Ani myślą niepogonię;
Co jest w sercu to się zatrze
I zapomnieć jestem gotów,
W jasne oczy niepopatrzę
Nieusłyszę jéj szczebiotów.
Takem roił zamyślony
Ciągle patrząc w lube strony,
Potém kojąc serca bole
Marsz do dworku pod topole.
A przed bramą wiem że spotka
Niespodzianka jaka słodka,
Albo wianek na brzezinie,
Albo kartka na tyczynie,
Albo czasem gdy podchodzę
Zosia spotka mię na drodze;
Wtedy smutek się rozproszy,
Wstrząśnie duszę miłość święta,
Serce pjane od rozkoszy,
Rannych zaklęć niepamięta.

Raz jak dziś pomnę — wieczór był świeży,
Szedłem dumając pod lube sioło,
Zosia jak zwykle spotkać mię bieży,
Ale w jéj oczach coś nie wesoło.
„Czy wiesz? — mówiła ze łzami dziewa —
„Niedobre wieści: mama się gniewa.
„Ja wczora licząc na dobroć mamy,
„A chcąc ją zdziwić niespodziewanie,
„Szczerze wyznałem, że się kochamy,
„Jak tylko serce pokochać w stanie.
„Mama mi rzekła, że się niedziwi,
„Lecz pragnie płochość wstrzymać w zapędzie,

„Bo cóż że młodzi dzisiaj szczęśliwi?
„Rozdrażnią serce — i gorzko będzie.
„Trzeba się rozstać, choć serce pęka:
„Bo ty mię kochasz bez ojca wiedzy,
„A moje serce . . . i moja ręka
„Nie dla sąsiadów z za waszéj miedzy.
„Tak mówi matka, (przebacz mój drogi!)
„Że my odwieczne dla siebie wrogi,
„Że lat ze trzysta od owéj chwili,
„Jak z Brochwiczami Dęborogowie
„O jakieś grunta się pokłócili,
„I proces spadał po mezkiéj głowie
„Z ojca na syna, jak powieść niesie.
„Ach cóż te grunta? niedopuść Boże!
„Ot tylko śmiać się i płakać chce się;
„Miłość grunt rzeczy — nieprawda może? —
„Wielkie mi święto że spór się toczy,
„Śmieszne te sądy i trybunały! . . .“
I z głośnym śmiechem zakryła oczy,
Bo z modrych oczu łzy się polały.
Jam drżącą ręką schwycił jéj dłonie,
Gorąca głowa zwisła mi z szyje,
Czuję — w jéj rękach twarz moja płonie,
A serce w piersiach z łoskotem bije.
„O Zosiu moja! — rzekłem w rozpaczy —
„Przed tobą młodość, życia rozkosze,
„Ty mię zapomnisz . . . Bóg mi przebaczy,
„Ja żyć niemogę . . .“
„O! bardzo proszę,
„To cóś ja w książce — my Chrześcijanie,
„Ufać nam, ufać w Pańską opiekę!
„Jest Bóg, jest przyszłość — ej panie Janie,
„Gdy będziesz płakać, to wnet ucieke!
„Spieszę do matki, matka się gniewa,
„A my tu marnie kwilim jak dzieci —
„Kto na kominek przyniesie drzewa?
„Kto jéj tak jasno ogień nanieci?
„Kto ją bezemnie do snu ugada?
„Ja kocham mamę jak własną duszę;
„Dziś mi na wieki pana sąsiada
„Każe pożegnać — i spełnić muszę:
„Bo tam źli ludzie jeszcze powiedzą,
„Żeśmy znęciły młodego ptaszka,
„By wam wyłudzić pole za miedzą;
„Że nasza miłość — at sobie . . . fraszka.

„Piękna to fraszka... serce tak boli,
„Matce się zdaje, że to daremno!...
„Czyż nigdy ojciec twój niedozwoli,
„Aby Dęboróg łączył się ze mną,
„Z córką Brochwicza... ej te przestrogi!
„Niby twój ojciec taki jest srogi —
„Niby ja niewiem, że ciebie pieści,
„Chociaż się zdaje trzymać na wodzy;
„Ej ci rodzice nibyto srodzy,
„A znieść niemogą naszych boleści.
„Ot jestem pewna — o rękę Zosi
„Ojciec przyjedzie i sam poprosi.
„Wtedy się chyba... wtedy obaczym!..
„Bądź zdrów — nietraćmy dobréj nadziei...“
I tak szczebiocąc z śmiechem i płaczem
Znikła w zaroślach ciemnéj alei,
Tylko jéj piosnkę słychać zdaleka —
Czy chce łzy pokryć? — czy marzy świetnie?
Może odemnie rada ucieka —
O serce! serce szesnastoletnie! —
Jak bezprzytomny padłem na ziemię
I bolejące szarpałem łono.
Księżyc co dotąd za lasem drzémie
Wychylił na świat głowę czerwoną;
I drżącym światłem trysnąwszy w oczy,
Trochę mi ulżył cierpień ogromu,
Choć w piersiach ciężar, głowa się mroczy,
Niepewnym krokiem szedłem do domu.

Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,
Gdzieś tam ogniska błyszczą za milę,
A tutaj sterczą w lewo i w prawo
Drzew i chat wiejskich czarne profile.
Droga znajoma, ach! i jak jeszcze...
Znam każdą trawkę w nocnéj pomroce,
Wiem jak tutejsza olcha szeleszcze,
Jak tu pod olchą strumień pluchoce.
Tu każda trawka, fala i listek
Zda się żegnają, coś do mnie kwilą.
Tyle wspomnienia! — tu świat mój wszystek,
Tu moje niebo było przed chwilą!
A teraz, teraz... piekielne bole
Nad memi piersmi pastwią się srodze;
Idę jak martwy — wbiegam na pole,

Pod Rotmistrzowy kurhan przychodzę.
Wśród czarnéj nocy brnę nieprzytomnie, —
Wtém coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie,
Spojrzę... dziad jakiś... biały, wysoki,
Stoi odemnie tuż o dwa kroki,
„Kto tu? i poco?“ krzyknę na dziada,
A w trwożnych piersiach zamiera słowo,
Starzec jak martwy nieodpowiada,
A tylko głośniéj jęknął grobowo.
Wzrostem jak olbrzym — jak leśna jodła,
Ubrany w białéj, grubej opończy,
Snadź że mu czoło kula przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy,
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
Szeroką ręką po wąsach muska;
A taki straszny wyraz oblicza,
Że gdy go przyśnię i dziś mi trwożno —
Wskazał prawicą na dwór Brochwicza,
Potém na naszą miedzę przydrożną,
Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie,
I trzy wyrazy jęknął podziemnie:
Redde quod debes!!
„Kto tu?!“ krzyknąłem,
Choć pierś zamarła ledwie kołata,
Czuję pot zimny leje się czołem —
Wtém zniknął upiór z innego świata.
Lecz wyobraźnia strachem nabita
Jeszcze go widzi na ciemnéj błoni!
Uciekam polem ot zda się goni
I trupią ręką za szyję chwyta.
Wbiegłem do domu — wszyscy już spali,
Więc bez pamięci na łoże padłem,
Chłód mię przejmuje, gorączka pali —
To zda się walczę z jakiémś widziadłem,
To widzę matkę Zosi surową,
To mię mój ojciec przeklina marnie,
To zważam każde kochanki słowo,
A w każdém słowie nowe męczarnie.
W takich torturach duszy i ciała
Chciałem gdzie uciec, lecz się niedźwignę, —
Nakoniec jutrznia gdy zaświtała,
Sen ukołysał ciężką malignę.

Przespałem tydzień — strach co mi się marzy!
Ciało jak kamień, a dusza — jak w piekle,
Modlę się we śnie, to przeklinam wściekle.
I widzę ojca, domowych, lekarzy,
A choć się ocknę, to w myślach niesprawię
Co było we śnie, co było na jawie.
Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
Dwóch dobrych starców przy mém łożu baczę:
Ksiądz definitor modli się koło mnie,
A ojciec ręce załamał i płacze.
Gdym przemknął oczy i pot otarł z czoła,
Ojciec wzniósł ręce i głośno zawoła:
„Witaj nam z grobu młody Dęborogu!
„Proszę aspana — siedem dni jak chwila
„Byłeś w gorączce — ale dzięki Bogu,
„Dziś się choroba stanowczo przesila.
„Boże mych przodków, o wielki Jehowo!
„Puść mię w pokoju! niech starzec już skona,
„Kiedy żyć będzie na świetność herbową
„Mojego domu latorośl zielona.
„A ja o mojém rozpaczałem dziecku,
„Że w tych męczarniach rozstanie się z duszą,
„Ja umrę z żalu — i po staroświecku
„Herb mego rodu przy trumnie pokruszą...
„Dziś jest nadzieja, że mię syn pochowa
„I weźmie po mnie zaszczyty ojczyste;
„Dzięki Ci, Matko święta z Poczajowa!
„Dzięki'ć cudowny Boromelski Chryste!
„Lecz dosyć stękać nad twoją mogiłą;
„Wyszedłeś we dnie, powróciłeś w nocy,
„Proszę aspana, powiedz jak to było,
„Kto cię napędził tak ciężkiéj niemocy?“
— „A dajcież pokój! a bądźcież uważni,
(Rzekł definitor ocierając oczy)
„Jeszcze go powieść na nowo rozdrażni,
„I znów gorączka głowę mu zamroczy.“
— „Nie, ojcze — rzekłem — pozwala mi zdrowie,
„Mogę przypomnieć minione obrazy,
„A gdy przed wami wszystko się rozpowie,
„To lżéj mi będzie, lżéj będzie sto razy. —

„Ot kiedym z łowów powracał w noc ciemną,
„Z grobu Rotmistrza opadły mię strachy, —
„Straszny dziad jakiś stanął tuż przede mną,
„Wielkiego wzrostu i w odzieniu z blachy;

„A krew mu ciekła po twarzy i brodzie,
„A kiedy jęknie, to aż w serce bodzie.
„Tchnie groźbą cała postać tajemnicza;
„I skinął ręką przed oczami memi
„Na nasze grunta i na dwór Brochwicza,
„*Redde quod debes* — wyjęknął z pod ziemi.
„A jam bez ducha uciekał po błoni,
„A tutaj zda się, że dziad za mną goni.
„Wbiegłem do domu o saméj północy,
„Krew lodem krzepnie, to żarem się pali,
„Padłem jak martwy na łoże niemocy,
„I nie pamiętam, co było już daléj;
„Tylko w gorączce ani chwili niema,
„Aby mi starzec nie stał przed oczyma.“
— „No dosyć tego — rzekł mi ojciec smutno —
„Zapomnij widma, bo ci to niezdrowo.“
Ale widziałem, że zbledniał jak płótno,
Wzniósł w górę oczy, a kiwając głową
Szepnął z westchnieniem: „Miłosierny Panie!
„Kiedyż to widmo dręczyć nas przestanie?“

Coś moje ozdrowienie szło krokiem niesporym;
Ojciec i definitor troszczą się nad chorym,
Ów przez czułość rodzica i względy herbowe,
Drugi pełniąc poprostu prawo Chrystusowe:
Czy mi gorzéj, czy lepiéj, czy usnę, czy wstanę,
Przy mnie dobrzy starcowie byli na przemianę,
A straszne moje dumki chcąc rozpędzić szczerze,
Grali ze mną w arcaby, mówili pacierze.
Lecz ojciec cóś mi niezdrów, cóś twarz jego blada,
O Trockim wojewodzie nic nie opowiada,
Gdy siądzie do marjasza, choć to gra tak łatwa,
Zamiast bić ze czterdziestu, Bóg wie jak się gmatwa,
A pomnę jak to dawniéj było z nim inaczéj,
Okładał pacierzami najzawziętszych graczy.
Dzisiaj snadź jego duszę tłoczą jakieś bole,
Nawet puharek miodu, co pijał przy stole,
Stoi czasem nietknięty aż do jutra rana,
A miód stary od Szwedzkich wojen Sudermana
Wiekował w naszym lochu.
Ach, co mu się stało!
W oczy definitora pogląda nie śmiało,
Zamyśla się, i znaczno po całéj postaci,
Że chciałby o cóś spytać — a odwagę traci.

„Księże definitorze! — wreszcie go zagadnie —
„Żyjesz, proszę aspana, święcie i przykładnie,
„Śpieszysz z usługą bliźnim ilekroć się zdarza,
„Ot i tu od tygodnia pilnujesz Łazarza,
„Uciekasz od podzięków, jakby od napaści,
„Ale stary Dęboróg modli się za Waści,
„A pomimo dawniejsze z Waszmością zatargi,
„Wyznam, żeś taki święty, jak w żywotach Skargi;
„Niezżymaj się, niebluźnię — niech mię Bóg zachowa!
„Bo to, proszę aspana... lecz nie o tém mowa...
„Chciałem mówić żeś kapłan ze słowa i czynu,
„A teolog zawzięty jak Tomasz z Akwinu,
„A łacinnik, Mospanie, to jak Jezuita,
„Jednak... proszę nieśmiéj się... gdy cię prostak spyta:
„Czy Waszmość wierzysz w strachy i nocne upiory,
„O których Jaś mój gada ... zwyczajnie jak chory,
„Wierzysz mu, czy niewierzysz?" Ksiądz na to odpowie:
— „Są cuda, panie Pawle, o których mędrcowie
„Ani śnili na jawie — jest gra wyobraźni,
„Czasem szatan widmami do złego nas drażni,
„Tak piszą stare księgi — liczyć je nie pora —
„Ot prosto z duszy naszéj wyrobi upiora
„I postawi przed oczy — nie dziw, że przestrasza!
„A są widma i święte, czytaj Tobijasza,
„Czytaj o świętym Pawle, toć twój patron przecię —
„Są marne przywidzenia, są cuda na świecie,
„Poznacie je z owoców — Bóg jest miłosierny."
— „A ja wierzę! rzekł ojciec — że Rotmistrz pancerny
„Wyszedł z grobu i stanął przed Jasia oczyma.
„Dziś, wyznam Jegomości... wszak nikogo niema:
„Ot! jak chciałbym bez zmazy przejść niebieską bramę,
„Że ze trzy razy w życiu widmo takie same
„Widziałem jak was widzę — krew mu płynie z czoła,
„Jęcząc *redde quod debes!* po łacinie woła,
„Wskazuje dwór Brochwicza i na nasze miedze. —
„Mniemałem, że to figiel, że sprawcę dośledzę,
„Ale nie było czasu — bo to owéj daty
„Ciągnęła mię krew młoda iść z konfederaty;
„Myślę sobie: na wojnie jak kulą w łeb palną,
„Bezpieczniéj będzie odbyć spowiedź jeneralną.
„Przed spowiedzią, wieczorem, kiedy grzechy liczę,
„Mignęło się na polu widmo tajemnicze. —
„Upłynęło lat kilka, przeszły wojen burze,
„Ja na dworze Trockiego wojewody służę,
„Parzę zęby, jak mówią, na dworackiéj kaszy;

„Kiedy umarł mój ojciec Słonimski strukczaszy,
„Więc przyjechałem tutaj w wiosennéj cóś porze,
„By gniazdo Dęborogów, dworzec Dęboroże
„Objąć w moje dziedzictwo *naturali jure*. —
„Późnym jakoś wieczorem wyszedłem na górę,
„Patrzę na grób Rotmistrza, aż przy grobie stoi
„Widmo wzniosłéj postaci i w żelaznéj zbroi,
„Muska wąsy skrwawione i swą brodę białą,
„Znowu *redde quod debes* z jękiem zawołało,
„Zbladłem... serce zamarło... i trwożliwie puka,
„Lecz mówię sam do siebie: to znów czyjaś sztuka!
„A nawet się domyślam.....
„Lat kilka omija,
„Zapomniałem o strachach — bo kraśna Maryja
„Herbu Łabędź, Łowczanka Zakroczymskiéj ziemi
„Snuła się jako widmo przed oczami memi.
„Począłem konkurować — zezwolili starzy —
„Szczęśliwym się sukcessem nasz związek kojarzy.
„Tu wesele, tu miłość, tam trud gospodarczy,
„Tylu różnym kłopotom ledwie człek wystarczy;
„Nie dziw, proszę aspana, że w tak ważnéj dobie
„Wieczyście zapomniałem o Rotmistrza grobie.
„Lecz oto... w rok po ślubie, w dzień Jana Chrzciciela
„Pan Bóg nową radością mój dom uwesela:
„Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyślnie.
„Do rozrzewnionéj duszy modlitwa się ciśnie,
„Więc wyszedłem w noc letnią pomodlić się Panu,
„I znowu słyszę jęki od strony kurhanu.
„I znowu takież widmo, z témże groźnem słowem:
„*Redde, redde quod debes!* — aż echem grobowém
„Zadrgał las wśród północnéj, uroczystéj głuszy —
„Choćby kazano przysiądz na zbawienie duszy,
„To przysięgnę, że głos ten nie z naszego świata —
„Struchlały padłem na twarz.

„Przyszły starsze lata.
„Zrazu dobrze się wiodło — potém źle najczęściéj,
„Człowiek jak wół pracuje, a Pan Bóg nieszczęści:
„To mi żona umarła, to grad wybił zboże,
„Straszna nędza poczęła ściskać Dęboroże;
„Dawniéj, proszę aspana, człek uczty wydawał,
„Dziś na kufel podpiwka i na chleba kawał
„Ledwie starczy staremu — dajże radę biedzie,
„Ot nic, proszę aspana, ręka się nie wiedzie.

„Idzie od śmierci żony jesień siedémnasta,
„Ja stary bezsilnieję — a tu syn podrasta,
„On młodszy, mógłby kiedyś za pomocą Boga
„Okryć nową świetnością tarczę Deboroga;
„Ale cóś zły prognostyk od ojca na syna:
„Widmo się ukazywać młodemu poczyna,
„I grozi, że mu wszystkie zamiary rozprzęże —
„Czy Wasze wierzysz w strachy, miłościwy księże?"
— „Wierzę — rzekł definitor — wierzę całą duszą!
„W Waszmościnéj fortunie ludzkie łzy być muszą —
„Gospodarstwo nie idzie, giną urodzaje,
„Widmo jakieś czyscowe zasnąć wam niedaje;
„Może to grzechy przodków — wiadomo Waszeci,
„Za nieprawości ojców pokutują dzieci,
„Może herb Dęborogów w czasie niepamiętnym
„Nieszlachetnego czynu pokalany piętnem."
— „Jakto, proszę aspana!!.."
— „Powoli! powoli!
„Ja jestem ksiądz i starzec, mój wiek nie pozwoli
„Grać ze szlachtą w szablice, — bić się rzecz człowiecza,
„A kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza,
„Tak stoi w Piśmie Świętém — nie rwij się z zapałem:
„Waszmościnego herbu obmąwiać nie chciałem;
„Lecz memu posłannictwu i przyjaźni gwoli
„Pragnę położyć koniec dla waszéj niedoli.
„Wielkie są skutki złego, choć początek marny."
Tak mówił definitor — a uśmiech figlarny
Przebiegł po jego uściech. — „Nie gniewaj się Wasze,
„Że ci sen mój rozpowiem i może nastraszę.
„Oto wczora wieczorem, zmówiwszy pacierze,
„Chciałem zasnąć, lecz starca zawsze sen nie bierze,
„Więc począłem rozmyślać... od nudów... tak sobie...
„O domu Dęborogów, o Rotmistrza grobie,
„Począłem przypominać, co doszło méj wiedzy,
„Za co on kazał siebie pochować na miedzy,
„Dla czego mara jego błąka się u drogi?
„Proces, co z Brochwiczami toczą Dęborogi —
„Wszystko, coś mi powiadał o staréj intrydze
„I co ze staroświeckich dokumentów widzę. —
„Ot tak mi się te myśli po głowie dziwaczą,
„Że przyśniłem Rotmistrza i wojnę Kozaczą.

„Usnąłem... widzę zastęp na zastęp uderza,
„Dęboróg wiedzie hufce Jana Kazimierza;
„Łamią tabor Dnieprowców pancernicy młodzi,

„Których dziad siwobrody chorągwią dowodzi.
„W tém k'niemu Zaporożec mierzy z samopału,
„Wystrzelił — siwy Rotmistrz zachwiał się pomału,
„Podjął kratę od hełmu z wejrzeniem ponurém,
„Z czoła jego krew czarna wytrysnęła sznurem,
„Upadł, ale nie jęknął, jak gdyby był z głazu;
„Lecz walka się usuwa niby w głąb' obrazu,
„Błyska ogień wystrzałów, migają pałasze,
„I widziałem zgon starca — posłuchaj mię Wasze.

Sen Definitora.

Ze wzgórka widać, jak dym się czerni.
„Słychać zdaleka strzelbę armatnią,
„A na pagórku bracia pancerni
„Oddają komuś posługę bratnią:
„Kształtem namiotu rozpięli płótno,
„Stanęli kołem i gwarzą smutno.
„A pod namiotem, z głową u siodła
„Leży dziad siwy w grubéj opończy,
„Kula mu stare czoło przebodła,
„Po białych włosach krew mu się sączy;
„Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
„A starzec z dumą po wąsach muska.
„A w koło starca cisz uroczysta,
„Trzech zbrojnéj szlachty otacza łoże.
„Jeden coś pisze — pewno jurysta,
„Drugi puls maca — to lekarz może,
„A trzeci skłonił głowę do łona,
„To syn żałośny tego, co kona.
— „Cóż — jęknął chory — mijają chwile,
„A księdza niema, ach! ani blizko:
„Jeden Bernardyn a rannych tyle,
„Pewno obchodzi pobojowisko . .
„O duszo moja! o duszo biedna!
„Któż cię rozgrzeszy, z Bogiem pojedna?"
— „Bredzisz Rotmistrzu, ot byle skrucha
„Bylebyś w sercu niemiał rozpaczy,
„Sam Bóg spowiedzi twojéj wysłucha,
„Sam Bóg i grzechy twoje przebaczy;
„Odbyłeś spowiedź tuż przed *potrzebą*
„Umierasz w boju — toć pewne niebo."—
„Tak to jurysta cieszył chorego —

„Temu rumieńcem zaszła twarz blada,
„Po siwych rzęsach łzy ze krwią biegą,
„Oczy w niebiosach — snadź się spowiada.
„Nagle dostojne oblicze zmienia,
„Wyrazem bolu, czy przypomnienia,
„I głucho jęknął: Grzeszyłem dosyć,
„Lecz żal otwiera niebieskie wrota,
„Umiałem ciernie życia przenosić
„Jako ofiarę grzechów żywota,
„Strzegłem jak mogłem grzesznego łona,
„Resztę niech Męka Pańska dokona.
„Jeden grzech tylko, grzech to nie świeży
„Moją śmiertelną godzinę plami,
„Ciężkim kamieniem na sercu leży
„I stawi piekło tuż przed oczami.
„Któż mię rozgrzeszy, kto mi przebaczy?
„Boże mój, Boże! chroń mię rozpaczy.
„Zbliżcie się tutaj dopóki pora,
„Głośno go wyznam, o bracia moi!
„Może skruszona moja pokora
„Gniewne oblicze Boga rozbroi.
„Zbliż się mój synu, zważ każde słowo:
„Bo Waść nagrodzisz winę ojcową.

* * *

„Burzliwy byłem w młodości mojéj —
„Jeno przy czarce, jeno we zbroi,
„Niekiedy tylko znużony szałem
„Litewski statut w przemian czytałem:
„Obcą mi była wszelka zabawa,
„Okrom oręża, kufla i prawa.
„Z takich rozrywek — z naprawy czarta,
„Idzie nieprawość siłą poparta,
„Było to grzechem, lecz w owéj chwili
„Temi grzechami wszyscy grzeszyli.
„Ksiądz na spowiedzi, a Pan Bóg w duszy
„Wciąż nam szeptali, cośmy powinni,
„Lecz choć się człowiek spowiedzią skruszy
„Z młodemi laty, z duchem Sarmaty
„Idzie tak samo, jak inni.
„Mijały wiosny, mijały lata,
„Szumiał jak wicher wiek mój swawolny
„Kiedy mój ojciec zeszedł ze świata,
„A ja zostałem ziemianin rolny.
„Tutaj zbytkując hucznie i gwarnie,

„Nabyłem sobie nielekkiéj sławy:
„Niebyło psiarni nad moją psiarnię.
„Niebyło konia jak mój cisawy;
„Niebyło miodu jako mój lipiec,
„Nikt w koło niemiał takiego wąsa,
„A przy odgłosie rzęsistych skrzypiec
„Nikt tak polotnie w tanku niepląsa.
„A biada temu, kto mi zawczasu
„Nieumknął z drogi — młodzi, czy starzy,
„A trzykroć biada kto mi do lasu,
„Kto mi do pola wdarć się odważy,
„Kto mi wśród tanka parę odbija,
„Albo mi mruknie słówko sromotne:
„Bo wnet, jak zmówić *Zdrowaś Maryja*,
„Wyzwę na rękę i uszy otnę.
„A jak na biédę miałem sąsiada:
„Pan Maciéj Brochwicz o mnie niestoi.
„On mi bywało do lasu wpada,
„On się przymila mojéj dziewoi,
„A na pałasze bił się tak świetnie,
„Że mię i nieraz ciężko obetnie.
„Wtém weszli Szwedzi — w wojennéj porze
„Któż o prywatnym myśli rankorze?
„I my z Brochwiczem, bracia, koledzy,
„Złożyli z serca kłótnię zawziętą:
„Niepora myśleć o swojéj miedzy
„Kiedy z miedzami ojczyzny kręto.
„Rycerska szlachta na konie siada —
„Ja szedłem walczyć obok sąsiada.
„A wojna Szwedzka Waściom wiadoma,
„Lecz opowiadać niepora wcale;
„Dość że po wojnie zasiadłem doma.
„A sąsiad jeszcze bije Wandale.
„Poczekaj, myślę — póki przyjedzie,
„Figiel za figiel, panie sąsiedzie!
„Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
„W kije i w rydle uzbrajam chłopy,
„I w dziesięć koni na pole jadę,
„Tam gdzie graniczne stały okopy.
„Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
„Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem,
„Boże mój, Boże! odpuść mi grzechy,
„Za mórg zabrany — dziesięć odjąłem;
„I nowe kopce (piekielna rada!)
„Tuż się przymknęły pod dwór sąsiada.

„Nazajutrz tedy o rannym świcie
„W sto moich pługów ruszyłem żywo,
„Orze się skiba na cudzém życie,
„Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo, —
„Kopiec graniczny gdzieindziéj stoi,
„Miedzę i zboże zorali chłopi,
„Już ani znaku dawniejszéj Troi,
„Staréj granicy nikt niewytropi.
„Lecz myślę sobie: zabrałem jawnie,
„Tylu jest świadków, wszystko widocznie,
„Jakże zabory moje uprawnię,
„Kiedy mnie sąsiad pozywać pocznie?
„Począłem dumać, sprawą szatana
„Znowu mi przyszła myśl niespodziana.
„Sąsiad miał lamus w środku zagrody,
„Co prapradziadów pamiętał jeszcze,
„Ściany ciosane z dębowéj kłody,
„Drzwi kute blachą, zamki jak kleszcze,
„Miał postać baszty pięknego gmachu,
„Chorągiew z herbem skrzypi na dachu.
„W takich lamusach w wojennéj chwili
„Przodkowie nasi skarby swe kryli.
„Sąsiad mój sobie szlachcic biédota
„Pereł, brylantów niemiał i sztuki;
„Lecz miał papiery droższe od złota,
„Pamiątka dziadów, spadek na wnuki. —
„A Waszmość wiecie, — takiego plika
„Szlachcic pilnuje jak serca w łonie:
„Tu się szlachecka pewność zamyka,
„Że jesteś dziedzic na tym zagonie;
„Tu pergaminy odwiecznéj daty,
„W nich bezpieczeństwo dla twojéj głowy,
„Że byli szlachtą twe antenaty,
„Że nosisz prawnie klejnot herbowy.
„Zniszczyć papiery — to znaczy może
„Zniszczyć na mieniu i na honorze,
„A ja w szaleństwie . . . i z jakiém czołem
„Ja się na świętą własność targnąłem!
„Gdybyż to w zwadzie, albo rozterce,
„I po rycersku zbrojno, otwarcie . . .
„Ale to spodlić szlacheckie serce,
„Podłych włóczęgów użyć na wsparcie!
„Bo oto w nocy, z mojéj namowy
„Szedł tam z krzesiwem żebrak odarty,
„Podpalił głownią lamus dębowy.

„I poszły z ogniem odwieczne karty.

„Ja stałem w oknie — noc była czarna,
„I z niepokojem patrzę k'téj stronie —
„Oto buchnęła łuna pożarna,
„Pewno graniczny dokument spłonie,
„Uprawnię tedy mój zabor cały . . .
„Sumienie jękło . . . padłem omdlały.

„Powraca sąsiad — załamał ręce,
„I mnie obwinia sprawcą pożogi;
„Ale ja pewny, że się wykręcę,
„Hardo stawiłem bezczelne rogi.
„Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,
„Lecz jakże dowieść nocnéj kradzieży?
„Jednak zapozwał przed trybunałem,
„Żem sprawca gwałtu i konflagraty;
„Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
„On bez dowodów, a ja bogaty;
„Kopce granicą z obojéj strony,
„Więc cały zabor mnie przysądzony.
„Czułem zgryzoty w sercu i w głowie.
„Alem sumienie skałą zawalił —
„Powrócić krzywdę — toć każdy powie.
„Żem zabrał grunta i lamus spalił,
„A on bez chleba, z proga do proga
„Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie,
„W końcu zdał pomstę na Pana Boga,
„I tak mi uszło moje bezprawie."

* * *

„Tak stary Rotmistrz prawił swe dzieła —
„Głos jego słaby zamrze niedługo;
„Krew mu obficiéj z czoła trysnęła,
„Płynie po zbroi czerwoną strugą,
„Płynie po wąsach i usta klei,
„Trup — tylko w oczach iskra nadziei.
„Tchnął — żyje jeszcze, natęża płuca,
„Chce jeszcze mówić, co duszy boli,
„Ale już słabo, cicho, powoli,
„Słówko po słówku ledwie wyrzuca:
— „Synu! to moja spowiedź — ty napraw me grzechy,
„A wy bracia nademną miłosierdzia proście,
„Umieram bez kapłańskiéj kościelnéj pociechy...
„Na święconych mogiłkach niespoczną me kości;

„Synu, wieź je do domu — chcesz ulżyć méj duszy,
„To je pogrzeb' pod lasem, na polu, przy gruszy,
„Tam były stare kopce granicy sąsiada
„Dziesięć morgów na prawo — to grunt, co zabrałem,
„Oddaj je Brochwiczowi — i biada ci biada,
„Jeśli nie tak postąpisz z rodzicielskiém ciałem!
„Zburzyłem stare kopce, niechże grób mój przecię
„Będzie kopcem granicznym zobopólnéj miedzy —
„A gdy gruntów sąsiada nieodda me dziecię,
„Wnet wyrodka do sądu pozwijcie, koledzy;
„Rozpowiedźcie rzecz całą ojcowskiemi słowy,
„A ja go sam oskarżę przed sądem Jehowy,
„Synu, oddaj grunt cudzy, zaklinam na życie,
„Grób mój... kopiec graniczny... pod gruszką...
słyszycie!"
„Rzekł uderzył się w piersi i opuścił szyję,
„Krew się przestała sączyć... Rotmistrz już nie żyje.
„Poklękli nad umarłym uzbrojeni męże,
„A jam się modląc ocknął."

— „Bałamucisz, książe!
„Ja poznałem od razu — to nie było we śnie;
„Lecz śpiewasz nowym tonem staroświecką pieśnię:
„Abym powrócił grunta Brochwiczowéj wdowie,
„Choć je z kilku pokoleń dzierżę urzędowie,
„Chociaż — proszę aspana — rzecz jasna jak złoto..."
„Niesróż się, panie Pawle, tu nieidzie o to
„Czy to sen marny — albo rzeczywista jawa,
„Czy grunt dzierżysz bezprawnie, albo wedle prawa;
„Ale kapłan cię pyta o sumienne słowo,
„Jak kochasz twe zbawienie i tarczę herbową,
„Jakeś ojciec, jak szlachcic, jak potomek wierny
„Walecznego Rotmistrza chorągwi pancernéj —
„Powiedz mi — boś się nigdy kłamstwami niezmazał —
„Czy ów syn zwrócił grunta, jak mu ojciec kazał?
„I czy tam, gdzie kazano, pogrzebł ojca kości?"
— „Jużci... proszę aspana, w tém niemasz pewności...
„Ów syn... Pan Piotr Dęboróg... a mój pradziad prosto
„Był za Jana Trzeciego Rzeczyckim starostą,
„I człekiem wielce skąpym — pokój jego duszy:
„Więc może zamiast ojca pochować przy gruszy,
„Pochował go za rzeczką dziesięć morgów daléj,
„Tam kędy *violenter* kopce usypali —
„A tak uprawnił zabor — trudno dociec z dzieła,
„Gdzie w tedy gruszka rosła, jak rzeczka płynęła.

„Kto to wie — w ciągu wieków wszak przemiana bywa.
„Lecz tylko poświadczają domowe archiwa,
„Że syn Piotra, Mateusz piwniczy nadworny,
„Miał proces z Brochwiczami o poletek sporny."
— „I cóż, wygrał, czy przegrał?" definitor spyta.
— „Ani wygrał, ni przegrał — forsował i kwita.
„Bo to, proszę aspana, jest sztuka w palestrze,
„Że jak sprawę zahaczą w taktowym regestrze,
„Można tworzyć przeszkody wciąż nowe i nowe,
„Komportacje papierów, badania miejscowe;
„Czas idzie jakoś prędko, a proces pomału
„Od sądów podkomorskich do spraw trybunału.
„Kiedy mądry obrońca umiejętnie zwleka,
„Niełacno się pan Brochwicz dekretu doczeka,
„Niełacno się w Temidy dokołatać wrota.
„Dęboróg miał pieniądze — a Brochwicz hołota —
„Pan Mateusz wziął górę. Za pamięci naszéj,
„Tymoteusz Dęboróg, Słonimski strukczaszy,
„Jego syn a mój ojciec — jako ślad znachodzę,
„Chciał załatwić rozterki w polubownéj drodze;
„Lecz potém się rozmyślił — obliczył z chudobą,
„Nikt się niedopomina, dawność miał za sobą,
„A grunta tak wybornie zarodziły latem,
„Że zostawił przy sobie ich *haereditatem.*
„A jam po ojcu objął całe Dęboroże."
— „Wielkie — rzekł definitor — miłosierdzie Boże!
„Pociesz się, panie Pawle, twa dola szczęśliwa,
„Wielkich rzeczy dopełnić Bóg cię powoływa.
„Co ciężko praojcowie przed Panem zgrzeszyli,
„Zbrodnię czterech pokoleń zmazać w jednéj chwili,
„Rozbroić chmurę gniewu Pańskiego nad domem,
„Co gotowa wybuchnąć piorunem i gromem,
„Ulżyć własnemu sercu, odrzuciwszy zdala
„Kamień grzechu i zgryzot, coć piersi przywala —
„Obaczysz... w twojéj duszy jaka będzie zmiana,
„Gdy wrócisz cudze grunta."
— „Ot, proszę aspana,
„Któż powiedział, że z taką wystąpię szczodrotą?
„Wszak wdowa po Brochwiczu nieprosi mię o to,
„I co powie, Mospanie, cnych przodków oblicze,
„Po których Dęboroże ojczyste dziedziczę,
„Żem uszczuplił odwieczną praojców sadzibę
„Choćby o jeden zagon? choć o jedną skibę? ..."

Tu definitor powstał jak w stanowczéj dobie
I ojca po bratersku wziął za ręce obie,
W jego ustach był uśmiech błagalny i słodki.
— „Ej wara, panie Pawle, wspominać twe przodki!
„Bo czy Waszmość masz serce, czy masz wasze głowę
„Skazywać twoich przodków na męki czyscowe?
„Widziałeś cień Rotmistrza, co cierpi tak srodze,
„Czy myślisz, że on dotąd na zbawiennéj drodze?
„Niepomogły mu cnoty, ni dzielna odwaga,
„Ot! błąka się po nocach i potomków błaga,
„Aby zwrócili własność sierocie i wdowie,
„Co niesłusznie przywłaszczył — czyż dalsi przodkowie
„I całe pokolenie parenteli waszéj,
„Pan Starosta Rzeczycki, Piwniczy, Strukczaszy,
„Sprawę przed Panem Bogiem wygrali przemocą?
„Czy tam niepokutują za krzywdę sierocą?
„Czy myślisz, panie Pawle, że zbiór ich katuszy
„Niespadnie na rachunek Waszmościnéj duszy?
„Syn, wnuk i chrześcijanin, szlachcic jak należy
„Czyż tobie użytkować z owoców łupieży?
„Czy to po chrześcijańsku, pytam, czy to pięknie?
— „Dosyć... proszę aspana... bo serce rozmięknie“ —
„Rzekł ojciec, bo go mowa zwyciężyła taka,
„I ucierał łzy bujne rękawem kubraka —
„Zamyślił się i dodał: „Prawda, prawda święta,
„Lecz są ważne przeszkody, są *impedimenta:*
„*Pro primo* trzeba wyznać i powrócić jawnie
„Co ojciec, dziad i pradziad trzymali nieprawnie,
„I za grzechy pradziadów mnie świecić oczyma;
„*Secundo* starych kopców i śladu już niema
„Cudze mogę powrócić, ale swego szkoda:
„Oddaj kurowi grzędę, to zechce ogroda.
„Potrzecie... grób Rotmistrza... święte przodków kości
„Czyż zostawić na gruncie obcych posiadłości?
„Potém... proszę aspana... w szlacheckiéj chudobie
„Dziesięć morgów niezarty — pomyśl tylko sobie;
„Toż i tak Dęboroże już nas nieprzeżywi.
„Na taką szczodrobliwość i mój syn się skrzywi:
„Bo on po mnie dziedziczy — a z czego żyć będzie?“
— „Gdzie rzecz o cudzą własność, nic nie masz na względzie;
(Zawołał definitor ze świętą powagą)
„Bóg dobry — i nikogo nieopuścił nago:
„A z resztą choćby żebrzeć przy kościelnéj wieży,
„Jednak *redde quod debes*, oddaj co należy!
„Ale niepójdziesz z torbą, już moja w tém rada.

„Jest sposób i powrócić grunta do sąsiada
„I honor twoich przodków ocalić najściśléj,
„Że grabieży i zwrotu nikt się niedomyśli,
„I syna zaspokoić zręcznie a korzystnie,
„Że na oddanie gruntów i słówka niepiśnie.
„Słowem — przebłagasz Nieba, a dom twój widocznie
„Zubożon krzywdą ludzką, podnosić się pocznie;
„Otrzymasz przebaczenie za twe antenaty,
„Zysk w niebie, a na ziemi — ani na grosz straty.“

— „Jakiż to dziwny sposób — ot, prosza aspana?
„Oto ręka szlachecka, niczém nieskalana,
„Oto *nobile verbum*, słowa niezmitręzę,
„Daj tylko dobrą radę, miłościwy księże,
„A na wszystko przystanę! — Niech odetchnie stary.
„Te zgryzoty sumienia, te widma i mary,
„Co dawniéj mię dręczyły, a dziś mego syna,
„Ta domu Dęborogów widzialna ruina —
„Och! to mi rani serce okropniéj od noża.
„Poradź mi!!“
— „Niechaj przyszły dziedzic Dęboroża
„A godny syn Waszmości za mnie już dogada,
„Czy chce wojny, czy zgody z rodziną sąsiada?
„Jeżeli jest za zgodą, to niechże obwieści
„Jak ją spełnić bez ujmy rodowitéj cześci,
„Wedle Boga, sumienia i słuszności całéj,
„Aby się dusze przodków w Panu radowały.“
—„Jak to zrobić? — rzekł ojciec — niewidzę dokładnie,
„Gdy ja zgadnąć niemogę — to jakże syn zgadnie?
„Wszak starość przed młodością rozumem się szszyci.
„Tak trzymali pobożni księża Jezuici.
„Przy Trockim wojewodzie niech no się odważy
„Młodzieniaszek mieć więcéj rozumu co starzy!...“
— „O! — rzecze definitor — i ja przy tém stoję,
„Starość ma swoje prawa a młodość ma swoje.
„My starzy mamy rozum z doświadczeń i biédy,
„A oni sercem widzą — i jaśniéj niekiedy;
„A więc gdy nasze mądre nie wiodą się plany,
„Posłuchajmy serc młodych — tam skarb nieprzebrany! —
„No! śmiało, panie Janie, niepróżno cię dręczę,
„W rozterkach z Brochwiczami daj radę, młodzieńcze:
„Podsłuchałem w gorączce twe marzenia chore,
„I dobrze jestem świadom, gdzie twe serce gore.
„Wszakże miłość cnotliwa żadnym nie jest grzechem.“

Tak mówił definitor z łagodnym uśmiechem,
Przywodząc mię za rękę do ojcowskiéj ławy,
A jam blednął i kraśniał i drżałem z obawy,
Stożéj niżli przed owém Rotmistrza widziadłem;
Wreszcie jak bezprzytomny na kolana padłem.
„Ojcze! — rzekłem nie śmiało, jak młode pacholę —
„Przebacz, że bez twéj wiedzy dałem sercu wolę:
„Kocham córkę Brochwicza — bo chodząc na łowy,
„Częstom odwiedzał dworek sieroty i wdowy.
„Zawsze mię przyjmowały z uprzejmą słodyczą:
„One ród nasz szanują i dobrze nam życzą,
„Nie pamiętają krzywdy, co nasi przodkowie . . ."
— „Ależ, proszę aspana — co aspanu w głowie?
(Przerwał mi ojciec mowę z uśmiechem, lecz srogo)
„Zdaje się taki sensat . . . pokochał . . . i kogo? . . .
„Córkę tych, co od wieków... co może lat dwieście...
„Byli nieprzyjaciołmi... ej sidła niewieście!!
„Oplątać mi młodzieńca, w którym ród nasz tleje
„I herbu Dęboroga jedyne nadzieje . . .
„Bratać się z Brochwiczami!... o! nie! żart na stronę:
„Musisz puścić *per non sunt* zapały szalone."
— „Nie, mój ojcze — odpowiem z błagalnym wyrazem —
„Już niewydrzeć ich z serca, chyba z sercem razem;
„Dałem słowo — i żadną nie zhańbię się zmianą.
„Ja pierwszy pokochałem... i... mnie pokochano:
„Święte uczucia serca — to nie mary senne,
„A miłość nasza czysta, jak niebo wiosenne."
— „No, zręcznieć ułowiono! — to zuch jakaś dziewa;
„Ależ, proszę aspana — przysłowie opiewa,
„Że dopóki dwóch rodów, póki starczy świata,
„Nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata —
„Co tu począć z przysłowiem?"
— „Cóż to! czy my dzieci? —
Zawołał definitor — ktoś dwa słowa skleci,
„To dla tego zapomnieć przykazania Boga!
„Cóżto? związek z Brochwiczem skrzywdzi Dęboroga?
„Oba rody szlacheckie przez pokoleń wiele,
„(Tylko oni skrzywdzeni, a wy krzywdziciele),
„W obu domach mieszkańcy poczciwi choć prości.
„Nikt tam nie stawił sideł na syna Waszmości,
„A wdowa po Brochwiczu, gdy się dowiedziała,
„Że serce dwojga młodych wzajemnością pała,
„Jak niewiasta szlachecka i wielce pobożna,
„Dała uczuć swéj córce, że odtąd nie można
„Ani widzieć kochanka, ni się pismem znosić,

„Chyba przyjdzie Dęboróg sam o rękę prosić
„Dla swego jedynaka — i cóż Waszmość na to?
„Grzechy kończą się karą, a cnoty zapłatą.
„Pamiętaj, panie Pawle, że kara łupieży,
„Że grzech kilku pokoleń na twéj głowie leży,
„Że dom wasz podupada — i niech Bóg zachowa,
„Ostatnia jego gałąź zawiędnąć gotowa,
„Młode serce, jak ogień, paląc się, wyniszcza —
„Miłyż ci będzie widok domowego zgliszcza?
„Po niém błąka się widmo i przemawia do cię:
„*Redde! redde quod debes!* — wróć krzywdę sierocie!"

Ojciec zalał się łzami, — za rękę go chwyta:
— „Błogosławionyś, księże, jakby Jezuita!
„Nawet, proszę aspana, Trocki wojewoda
„Przyznałby, że masz słuszność — a zgoda już! zgoda!
„Niech się młodzi kojarzą, ja sam tego życzę,
„Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze."
To mówiąc, ojciec powstał rzeźwy i ochoczy;
Ucałował mię w czoło i w usta i w oczy,
Modlił się, gdym uściskał rodzicielskie nogi:
— „Boże! coś miał w opiece stare Dęborogi,
„Błogosław moje dziecię w jego losu zmianie,
„Niech szczęsnym i cnotliwym na zawsze zostanie,
„Niech będzie godnym swego herbu i nazwiska."
Potém definitora serdecznie uściska.
Popłakali się rzewnie starcowie weseli
I miodem z czasów Szwedzkich tę sprawę zaleli.

Tak się skończyła sprawa tajemnicza:
Ojciec pojechał do dworku Brochwicza,
Polubił Zosię i jéj matkę starą,
Złożył mój affekt — a serca ofiarą
Niepogardzono — tak w jednym obchodzie,
I młodym sercom, i rodowéj zgodzie,
I cieniom przodków spełniło się zadość, —
Było wesele, miód, wino i radość;
I sporne grunta, zarośle i pasze
Zlały się w jedno, jak dwa domy nasze.
Młodzi się sercem bez przeszkody dzielą,
A starzy szczęściem młodych się weselą,
Mówią pacierze, lub grają w drużbarta;
A kiedy ojcu poszczęści się karta,
Popija miodek, i z ogniem nielada

O wojewodzie Trockim rozpowiada.

A gdy już sporna zaorana miedza,
Ksiądz definitor rzadko nas odwiedza:
Choć go błagamy, raz, drugi i trzeci,
Aby zamieszkał u nas jak u dzieci;
Ale ze starcem sprawa nie tak łatwa,
Mówi: że cała społeczność mu dziatwa,
W niejednéj wiosce i w niejednym dworze
Są nieszczęśliwi — a któż im pomoże?
Tam sąsiad cierpi niechęć do sąsiada,
Tam ktoś w rozpaczy na duchu upada,
Tam pełno starych i chorych Łazarzy.
Któż ich nawiedzi, kto ziółek nawarzy?
A tam już może puka kto we wrota
O pokarm ciała, lub o Chleb Żywota.
Ksiądz wszędzie czuwa, zasila i strzeże,
Bronuje pole i mówi pacierze.

Żyjąc w miłości i bojaźni Bożéj,
Widmo Rotmistrza nigdy nas nietrwoży.
Gdzie stała jego mogiła wśród pola,
Dzisiaj kaplica z modrzewiu i sosny;
Tam gdy domowa dola lub niedola,
Idziem się modlić — a Pan Bóg litośny,
Czy głód, czy wojna, czy grad, czy posucha,
Zawsze gorącéj modlitwy wysłucha,
Albo odwróci, gdzie groziła szkoda,
Lub serce wzmocni i otuchy doda.

MOHORT.

Rapsod rycérski z Podania

przez

WINCENTEGO POLA.

(W wyjątkach.)

Poemat „Mohort" przedstawia obrazy z żywota jednego z najstarszych żołnierzy wojsk polskich z czasów ostatnich Rzeczypospolitéj. Mohort był porucznikiem chorągwi na kresach Dnieprowych. Przeżywszy panowanie kilku królów polskich, poległ w bitwie na Boryszkowskiéj grobli r. 1792, licząc 80 lat służby wojskowéj. „Mohort jest jednym z tych ludzi, co przeżywszy kilka pokoleń, był niejako nicią narodowych tradycyi i żywym pomnikiem przeszłości." W pieśni pierwszéj opowiada towarzysz z chorągwi Mohorta przybycie swe na kresy Dnieprowe, opisuje niezwykłą postać Mohorta i pierwsze swoje w nowym zawodzie wrażenia, doświadczenia i przygody. W pieśni drugiéj kreśli poeta charakter, obyczaje, zajęcia Mohorta, jego twardą żołnierską służbę, jego pracę koło roli na futorze, jego doroczny pobyt w monasterze u OO. Bazylianów. Z tego oddalenia od spraw wielkiego stołecznego świata raz tylko był wyrwany i wezwany przez Hetmana do Warszawy, gdzie Księcia Józefa, synowca królewskiego „pięknie ćwiczył w sprawach rycerskich" i od króla za to był należycie uczczony. W pieśni trzeciéj opisuje poeta przybycie Księcia Józefa na kresy Dnieprowe, gdzie komendę hufców narodowych objął w polskiéj Ukrainie; — z przybyciem Księcia wszystkie chorągwie nowym zaciągiem się wzmocniły, a na uczczenie jego co dzień nowi goście się zjeżdżali i pod gołem niebem z wojskową służbą na przemiany szły zabawy, gonitwy a nawet bale, gdy panie w gościnę przybyły. Po jednym takim balu Mohort w stepie stada swoje gościom pokazuje i różnych koni wylicza i ukazuje zalety i cnoty. Po tych gwarnych scenach uciech żołnierskich następują w pieśni czwartéj czasy twarde i groźne. W przeczuciu smutnych wypadków krajowych i własnéj śmierci Mohort, już teraz Oboźnym przez Księcia mianowany, gotuje się na śmierć w klasztorze, rozporządza swém mieniem, czyni pokutę i ostatni raz wznawia wspomnienie dawnych swych przygód, opowiadając obronę klasztoru od hajdamaków. W piątéj pieśni opowiada Mohort smutną historyą swéj miłości i okropną śmierć swéj narzeczonéj; a w szóstéj i ostatniéj pieśni opiewa poeta wymarsz z Ukrainy i śmierć Mohorta na grobli w Boryszkowcach.

Z PIEŚNI II.

Postać Mohorta.

Dzielny był Mohort i silny i zdrowy,
Czysty jak gołąb, do ostatniéj nitki,
Nie brakło nigdy ni szabli, ni kitki,
Lecz jak zdało był bardzo wiekowy.

Miarkując z tego co sam opowiadał,
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył —
Jakoż na konia z klocka tylko siadał,

Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał,
A już z północka wszystkie kury liczył.

Za szwedzkiéj wojny był już namiestnikiem,
I pięciu królów pamiętał na tronie,
Nie było człeka w Litwie i Koronie,
Coby po służbie był mu rowiennikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali.

Z dawnych to wieków tak w Polsce bywało,
Że te chorągwie co na Rusi stały,
Starzejąc w służbie i idąc za chwałą,
Więcéj Hetmanów, niż Królów słuchały.

Był to akt wiary każdego szlachcica
Na Ukrainie — że już po kościele
Niema jak Hetman na rycerstwa czele;
Że nic świętszego w Polsce — jak granica!
A strzedz granicy — to rycerska sprawa!
Więc téż na kresach o to dbano mało,
Co się tam z królem i na sejmach działo,
Byle wojskowa nie cierpiała sława.
Lecz o to dbały ukraińskie duchy,
By się Pan Hetman choć raz na rok stawił,
I dodał wojsku serca i otuchy,
I sam chorągwie w czystém polu sprawił.

Więc téż i Mohort był na to zbyt czuły,
Co dla rycérstwa niósł obyczaj stary;
A od Hetmanów dane artykuły
I straż graniczna — była aktem wiary!
Tak zaś wysoko zasługi oceniał,
Że po pacierzu, sercu w upominek,
Imiona wszystkich Hetmanów wymienił,
A potóm mówił — „Wieczny odpoczynek!"
Za wszystkich, wszystkich Litewskich, Koronnych,
Wielkich i Polnych — a co bitew dawnych,
Co fortec wziętych, i co miejsc obronnych.
Wszystkie wymienił przy Hetmanach sławnych;
A koléj dziejów miał tak ułożoną,
Żeby i we śnie dokończył jéj pono.
„Klemens Branicki! — tu się zwykle wstrzymał —
To już ostatni!... dodawał powoli,

To już ostatni! Panie i to boli!..."
A potém westchnął — westchnął i zadrzymał.

Ha! był to rycérz polskiego przymierza,
Bo pamięć dziejów łączył do pacierza.

Z Litwy był rodem, choć na krésach służył;
Choć stan rycérski nad wszystko mu płużył,
Lubił i rolą, i miał stepu kawał,
Futor, pasiekę i wszystko prócz domu;
Ogrodu swego téż orać nie dawał,
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,
Lecz go sam orał — „Odwykać nie trzeba
Człeku od roli, a wyknąć do domu!"
Tak to zazwyczaj do nas młodych mawiał
Co wiosnę zorał choć zagonów parę
Koło futoru -- lecz domu nie stawiał:
Bóg i animusz grzeje starą wiarę!
A więc w namiocie od śniegu do śniegu
Mieszkał zazwyczaj — czasem w wielkie szargi
Przysiadł w pasiece — „O zacznijcie wargi"
I znów powracał po krótkim noclegu,
Ale nie ściągnął na leże zimowe
Jak równo z zimą, po pierwszéj ponowie,
Bo zwykł był mawiać: — „Złe szlaki tropowe!"
Szalone było téż u niego zdrowie,
Zawsze pochmurny, choć się nie frasował,
Nigdy w swém życiu i dnia nie chorował;
Podpił raz na rok w dzień swego Patrona,
„Vivat! Rycérstwo! Litwa i Korona!
I Ruś co żywi nas tym chlebem Bożym,
I kędy głowę i te kości złożym!"
Tak zwykle kończył gdy go miód rozbierze,
I ciągnął w myśli na — „zimowe leże!"
W maju krew puścił, i pił jakieś zioła,
I tyle szwanku miał na ciele zgoła
Co odniósł w boju — ale był pocięty;
Ztąd gdy przed burzą rany go targały,
Ledwo mógł skończyć pacierz rozpoczęty,
Chociaż w modlitwie był wszystek i cały,
Choć Litwin z rodu, choć uniata hardy,
Choć jak dyament, był katolik twardy.

Cztery mil prawie od granicznéj luki,
Był tam monastér Ojców Bazylianów,

W nim księża wielkiéj cnoty i nauki,
Wspiérani łaską okolicznych panów,
I nie daremnie — bo miała przytułek
Tam młódź uboga, z parafialnych szkółek:
I już nie jeden co u fórty jadał,
Kiedy się pięknie w tych szkółkach wyćwiczył,
Na starość w łasce przy ołtarzu siadał,
A syn już po nim i wioski dziedziczył.

Sławne to miejsce było odpustami,
A stary Mohort był tam niby w domu,
Bo żył w poważnéj przyjaźni z księżami,
I całe dzieje klasztoru nikomu
Nie były równie znane, jako jemu...
I tu od wszystkich starszy, po staremu,
Jak i na krésach poważnie réj wodził,
I z cicha kącik na starość łagodził.
I zawsze mawiał: — „Kiedy już nie będzie
Mógł siąść na konia, a Bóg mu pozwoli
Zebrać co grosza, a klasztor zezwoli,
To na dewocyi u Ojców osiędzie.“

Jakoż w klasztorze miał już własną celę,
A w niéj szlacheckie swoje depozyty;
Turecki namiot, drogie karabele,
Kilka par sukien, nie jeden pas lity,
Sadzone rzędy, co droższe rynsztunki,
Słowem rycérskie sprawne moderunki.
Więc i ksiąg kilka, i kilka pucharów,
Kilka pamiątek jeszcze od Hetmana,
Parę kobierców i klasztornych darów,
I sławną szablę od samego Hana;
I familijne w kantorku papiéry,
I relikwiarzyk od matki nieboszczki,
I z Matką Boską ryngraf złoto-szczéry,
Święcone wianki i palmowe rószczki;
I Święci Pańscy ozdabiali ścianę,
A łoże nisko u ziemi wysłane
Było okryte końską skórą białą,
Jako na zakon rycérski przystało.

Miał i piwnicę własną dla wygody,
Co swoim sumptem przed laty zmurował
W niéj stare wina i wytrawne miody,
A jak mówiono i stary grosz chował,

Co go przekazał po najdłuższém życiu
Na klasztor (jako starszy brat cerkiewny);
Tylko ksiądz jeden, i jeden dziad pewny
Wiedział o skarbie, gdzie leżał w ukryciu.

Chodziła bowiem gadka między ludem,
Że Mohort doszedł bogactw prawie cudem:
Bo mu się nocą jakiś duch pokazał,
Wichrami gnany w czyscowéj katuszy,
I pod mogiłą skarby mu przekazał,
Prosząc, ażeby pamiętał o duszy.

Dziwne to dziwne są te sądy Boże!
Łup hajdamaków znalazł się w klasztorze.
Czyli tak było? nie wiem — lecz gadano,
Że tym sierotom dał nie jedno wiano,
Co po humańskiéj rzezi pozostały,
I z miłosierdzia w chatach się chowały.
A ile razy tylko nów nastawał,
Za dusze zmarłych na msze święte dawał.

Dwa razy na rok dłużéj się zabawiał
W murach klasztornych: raz gdy gości gościł
Na imieninach — to znowu gdy pościł,
I rekolekcye w Wielki-Post odprawiał.

Na Symeona bywał praźnik w maju,
I w monastérze, w Święto Symeona,
Obchodził Mohort dzień swego Patrona.

Monastér leżał prześlicznie śród gaju
Cienistych dębów, śród lip i jaworów,
I cała szlachta z okolicznych dworów
W tym dniu zjeżdżała na solenizacyą;
A Mohort suto podejmował bracią.

Namiot turecki stał zwykle wzniesiony
Przed monastérem, dla uroczystości,
A solenizant pięknie ustrojony
Stał przed namiotem i przyjmował gości,
I pośród gaju bywał dzień wesoły,
Bo pod lipami zastawiano stoły,
A gdy wiwatów nadeszła już pora,
Trąby ich odgłos roznosiły z wieży

Na okolicę — a na znak Rektora,
Bito na vivat z klasztornych moździerzy.

A potém znowu cicho przez rok cały
Bywało w gaju — tylko słowik śpiéwał,
Tylko głos dzwonu w dłuż jaru przepływał,
I po nad źródłem światełka migały,
Gdzie z pod kapliczki sączył się zdrój mały.

I w ciągu roku zdarzało się częściéj,
Że ze mszą świętą księża przybywali,
I dobrodzieja na łuce zwiedzali,
Chcąc się dowiedzieć, jak mu Pan Bóg szczęści?

Na nabożeństwie czterdziesto-godzinném,
I na Popielcu z nami jeszcze bywał,
I „Gorzkie żale“ — po sumie zaśpiéwał;
Lecz po nich zdawszy już komendę innym,
Wracał na futor i brał kubrak na się —
A co uzbierał przez rok cały w czasie,
Z sadu, z pasieki, z bydła, i ze młyna,
Z tego szła więcéj niźli dziesięcina
Do monastéru Ojców Bazylianów.

Dwie — a czasami — trzy wołowe maże
Suto ładowne, szły dla Ojców w darze —
A na najpierwszéj sam siedział na wierzchu,
I zwykle stawał na miejscu o zmierzchu;
A gdy zadzwonił u fórty klasztornéj,
To już nie rycérz, lecz kubrak pokorny,
Odsyłał ludzi do dom w Imię Boże,
A sam się wpraszał pokory słowami
Na rekolekcye — a wozy z wołami,
I cały zapas zostawał w klasztorze.

To już przez cały Wielki-Post się bawił,
I włosiennicę pokutną przywdziéwał,
Długie godziny na modlitwie trawił,
I z księżą razem w chórze pieśni śpiéwał;
Bo jako rycérz wziął pokorę z daru,
Więc na usługach cichych i pokornych
Czuwał przy chorych, a chłopców klasztornych
W koléj pacierza słuchał i Alwaru.

Tu na rok cały léki przysposabiał:

Jeruzalemski balsam zwykle rabiał,
Maść Matki Boskiéj cudną od zranienia,
Rycérski kordyał z ziół i okowity,
Na wszelkie wnętrzne bóle wyśmienity,
I jakieś proszki od gadu kąszenia.

Tu zapas kartek zwykle wygotował,
Któremi ludziom febrę odpisował;
A dla klasztornéj i własnéj wygody,
Przepędzał wódki i rad sycił miody . . .

A gdy pomyślał o duszy i ciele,
O refektarzu, o świetle w kościele,
I o kaléctwie u klasztornéj fórty,
Gdy chłopców postrzygł i w łaźni wyparzył,
I przybrał w nowe koszule i kurty,
A okoliczne ubóstwo obdarzył:
Wówczas dopiero dla sławy Narodu,
Przy postnych grzankach i przy szklance miodu,
Z całego roku z pomocą Rektora
I „Sylvam rerum“ spisywał z wieczora;
Aby w klasztornych księgach pozostało,
Co się w Ojczyznie i w Kościele działo . . .

Gdy Wielki-Tydzień w końcu już nadchodził,
Mohort zazwyczaj wszystko załagodził;
A kiedy Mękę Pańską zakonnicy
Rozpamiętywać w końcu poczynali,
Klęczał i Mohort tam, gdzie się kapnicy,
Zakrywszy głowy, w skrusze biczowali . . .

Aż w Wielki-Czwartek znów był mundur wzięty,
Gdy przystępował do spowiedzi świętéj . . .
A choć post cały gdzieś w kąciku jadał,
To w Wielki-Czwartek gdy mundur ubierze,
Po prawéj ręce Rektora zasiadał
I w refektarzu jadł Pańską Wieczerzę.

A po wieczerzy, starym obyczajem,
Na koń i do dom — komendę odebrał
Przed rezurekcyą — i do ust nic nie brał,
Póki sie z nami nie podzielił jajem . . .

* * *

Mohort w Warszawie.

A pod te czasy przybył do Warszawy
Był Książę Józef, co się z Kińskiéj rodził,
I za granicą długo do szkół chodził,
I nabył nawet już wojskowéj wprawy,
Bo Regimentem Cesarskim dowodził;
Ale że z rodu był w pół cudzoziemiec,
Że nie znał kraju, i nie miał zacięcia,
Stąd nie miał w wojsku ni w Narodzie wzięcia,
I pospolicie był zwan: Książę-niemiec.
Król się tém strapił — bo go umiał cenić,
Więc wypadało cóś jakoś odmienić,
I dać mu jakąś sankcyą osobliwą.
Tu Pan Ogiński wpadł na myśl szczęśliwą
Wezwać Mohorta i oddać mu Księcia:
Polskę komendę niech pozna co żywo,
To i nabierze polskiego zacięcia,
I jeszcze w wojsku i w Narodzie wzięcia.
Więc jako Hetman i najstarszy drużba
Pana Mohorta, taki list wyprawił:
„W Bogu i z Bogiem!
Towarzyszu służba:
Konno i zbrojno będziesz się tu stawił.“
— „Niema co mówić, ordynans Hetmana,“
Rzekł Pan Porucznik kiedy list przeczytał;
Więc zdał komendę, a nazajutrz z rana
Już go na drodze promień słońca witał.

W Warszawie Hetman zapoznał go z Księciem;
Od pierwszéj chwili, gdy mu spojrzał w oczy
I pojął jaki to się świat w nim mroczy,
Był dla Mohorta z tak wielkiém zajęciem,
Iż rzekł w pokorze do Hetmana: „Wierzę,
Że mi się uczyć, gdzie tacy rycérze!“
I odtąd tylko z Mohortem na koniu,
I odtąd tylko przy mustrze na błoniu
Widziano Księcia, i poczęto chwalić,
A piękne Panie poczęły się żalić:
„Co to za trudy na takie paniątko!
Z takim rębaczem zdziczeje Książątko.“

A gdy Pan Hetman cóś w tygodni parę
Spytał Mohorta — „Czyś tam kontent z Księcia?
Czy najdzie przecie na naszę tam wiarę?“
„Dobry — rzekł Mohort — nabiéra zacięcia,

Jest krew poczciwa, i serce, i oko;
A jak się w boju spotka z Panem Bogiem,
To może czasem urośnie wysoko,
I będzie kogo postawić przed wrogiem.“

U Kapucynów stanąwszy kwaterą,
Ciągle na koniu, cały dzień na dworze,
Związał się z Księciem przyjaźnią tak szczérą,
Że Książę zwiedzał go nawet w klasztorze,
Gdzie także bywał i Hetman Ogiński,
Przyjaciel całéj partyi ukraińskiéj.
Tam to o mustrze nie było już mowy;
Dyskurs duchowny, lub tylko sejmowy,
Bo Gwardyan święty, Pan Hetman surowy,
Mohort rycérski — ot i była szkoła:
To chociaż nie raz pokojowiec woła,
I listki nosi, i na ustęp prosi,
To Książę tylko ciągle go odgania, . . .
I tak do gustu szły mu owe zdania,
Tak je brał chciwie, że nie było mocy
Z klasztoru wyrwać Księcia o północy.

Jedyną tedy pociechą w Warszawie
Był Mohortowi Ogiński i Książę . . .
Lecz choć i klasztor, choć i przyjaźń wiąże,
Tęsknił do kresów i zmizerniał prawie:
„Już mi tu zginąć widzę w téj Warszawie.“

Wisła mu Dniepru nie mogła zastąpić,
I każdą chwilą życia począł skąpić;
Więc kiedy Księcia już nauczył służby,
Nie chciał pozostać w Warszawie i chwili:
„Tęsknią tam po mnie i konie i drużby,
Muszę na szlaki!‘
Więc Król go przywołał,
I ledwo słowy wypowiedzieć zdołał,
Ile mu wdzięczny i ile go ceni,
Że mu Synowca tak pięknie wyćwiczył
W rycérskich sprawach — że się szczęsnym mieni
Mieć go w swém wojsku — w końcu żeby życzył,
Aby Mąż taki, co tak dzielnie stawał
W obronie kraju przez lat szereg długi,
Przyjął nagrodę — a więc krzyż mu dawał,
I rotmistrzowską buławę zasługi
I ukraińską słobodę na wieczność,

A przy tém była i łaska i grzeczność
Króla tak wielka, że aż dwór się zdziwił,
Za co łask tyle i tyle partesów
Dla szerepetki z ukraińskich kresów.
Sam tylko Mohort cóś trochę się skrzywił,
I rzekł do Króla: — „Miłościwy Panie!
Umiem ja cenić choć w pomiernym stanie,
I łaskę Waszéj Królewskiéj Miłości,
I niepowszednie Jego dla mnie względy;
Ale nie dla mnie takie dostojności,
I po staremu rzecz nie idzie tędy!"

„Chrzest — to Sakrament niczém niezmazany,
Ja na chrzcie świętem wyparłem się czorta,
I krzyż przyjąłem krwią Boga oblany,
I ufam w Panu — że Pan Bóg Mohorta
Karać nie będzie choć przynajmniéj za to,
(Jeźlim nic więcéj sobie nie wyprosił),
Bom dla ojczyzny ten krzyż wiernie nosił,
Stojąc na czatach przez nie jedno lato;
Więc po raz wtóry krzyża wziąść nie mogę!"
„Co do buławy — zaszczyt rycérski,
Ale w chorągwi Rotmistrzem Pan Kierski,
A ja chorągwi mojéj nie porzucę,
Bom w niéj zastarzał Miłościwy Panie!"

„A co do ziemi — to jéj mam nie mało;
A jeśli z resztą w życiu jéj nie stało,
To jéj dodadzą po śmierci — i stanie,"

Więc Król mu na to: — „A to mi Spartanin,
To Polak twardy! — To Republikanin . . .
Teraz dopiéro ciężą mi me długi,
Gdy mnie za serce taka cnota chwyta,
Gdy za ubogą jest Rzeczpospolita,
By mogła spłacić swych synów zasługi;
Więc jedną prośbę mam tylko pod niebem:
Nim się rozstaniem, przełamiem się chlebem."

I wielki obiad był nazajutrz dany
Na cześć Mohorta na zamku królewskim . . .
I do obiadu przyszedł król ubrany
W złotym pancerzu, i w płaszczu niebieskim,
Jak na obrazach bywa ustrojony;
Lecz do obiadu był tylko proszony

Sam jeden Mohort z Królewską Rodziną,
A był i Hetman.

Król bardzo łaskawy,
Ciągle się bawił tylko Ukrainą,
I wypytywał o ludzi i sprawy;
Pod koniec stołu, zawołał: — „Panowie!
Ojciec ojczyzny wnoszę teraz zdrowie
Tu najstarszego w Ojczyźnie Rycérza!
Niechaj nam żyje, z nami się sprzymierza!"

I wypił kielich, i wszyscy powstali,
A po toaście wyszedł już Król z sali,
I zdjął ów pancerz; a Pani Krakowska
Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem,
I wraz z pancernym przez nią szytym znakiem,
Złożyła razem przed Mohortem zręcznie,
I słów nie wiele, lecz rzekła tak wdzięcznie,
Że wszystkich w głębi przejęły te słowa.
Na piersi zwisła Mohortowi głowa,
I rzekł wpatrując się w ów znak pancerny:
„Héj! ptaku, ptaku pancernego znaku!*)
Jak zawsze byłem téj chorągwi wierny,
Tak Królu, Panie! stoję Bożą wolą,
Rany nie bolą — lecz łzy takie bolą."
I Książę Józef na starca się rzucił,
Sam Król łzę otarł — Hetman się odwrócił . . .
I słychać było tylko czyjeś łkanie,
I takie było z Dworem pożegnanie.

Kiedy nazajutrz słońce w pełnym blasku
W Wiśle zagrało, poił Mohort konia
W Wiśle na drogę — wtém tentent przez błonia
I jakieś wierzchy wymykają z lasku.

Mohort się spojrzał — a tu jedzie Książę,
Na czele całéj dobranej młodzieży,
I woła: — „Teraz Pan Mohort uwierzy,
Że kiedy służba, to i na czas zdążę!

Z rozkazu Króla mam oddać tę zbroję
I konia z rzędem, i niech Bóg prowadzi!
A jeźli wolno, składam służby moje,
Bobyśmy gościa przeprowadzić radzi."

*) Przysłowie Mohorta.

„I owszem, proszę! — rzekł Mohort wesoło:
To mi to życie, kiedy takie koło;
Jabym odprawić miał taką drużynę?
Ja proszę z sobą choć na Ukrainę!“

A wtém nadjechał królewski Koniuszy,
Prowadząc konia — koń był wielkiéj duszy,
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota,
Rzęd staro-polski, aż kapał od złota,
Choć przysłoniony tureckiemi kapy.

Koniuszy — odkrył tyftyk — a u boku
Upięty pancerz i szabla w wytoku,
Szyszak na łęku, a tuż przy szyszaku
Spływa proporzec pancernego znaku.

Spojrzał się Mohort i podumał głową,
Koń parsknął raźno — a on krzyknął — „zdrowo!
Zdrowo mój kosiu! — takiego bachmata
Daj Hetmanowi, a przejdzie kraj świata!“
Pogłaskał konia i nareszcie powie:
„Ha komu w drogę, temu czas panowie!“

I z koniem ruszył pan Koniuszy przodem,
Książę po lewéj, Mohort po prawicy,
Reszta za nimi, i wolnym pochodem
Jadąc ku Górze, w równéj okolicy,
Spojrzeli czasem ku murom stolicy . . . .

Ranek jesienny był bardzo pogodny,
Ale od wschodu pociągał wiatr chłodny;
Ktoś ich dopędził — patrzą — ktoś w wilczurze
Pędził i stanął. — A to ja Ogiński,
Stary przyjaciel partyi ukraińskiéj,
Z rannym obiadkiem czekam Panów w Górze.

I jakoż w Górze, z południa dopiero,
Pana Mohorta pożegnano szczero . . .
I tu dopiero kiedy na podziękę
Do strzemiennego wyciągnął już rękę,
Siedząc na koniu, pieśń starą zaśpiewał,
Którą dziękował, gdy podjętym bywał:
„Czas do domu czas!
Zabawili nas!“ *)

*) Jest to pieśń na Rusi śpiewana na bardzo rzewną ukraińską nutę, którą był zwyczaj śpiewać przy pożegnaniu, dziękując za gościnne podjęcie domu.
(Przyp. autora.)

Z PIEŚNI VI.

Śmierć Mohorta.

Ileż to razy uderzał o uszy
Odgłos komendy, i szedł mimo duszy.

Lecz jak inaczéj, jak wcale inaczéj
Głos ten przenika aż do serca głębi,
I dreszczem przejmie, i aż w krwi zakłębi,
Gdy się marsz wojsku już do boju znaczy.

W ów czas w komendzie leży cała waga,
I moc tajemna i prawda tak naga
Że się jéj oprzéć już nic nie odważy,
Że już nie rozum, ale ręka słucha,
Że już nie wola, lecz ciało się waży,
A koń ma z jeźdźcem po połowie ducha.

Na koń! — odezwał się naprzód Oboźny,
Na koń!! — obiega dokoła głos groźny,
Na koń!!! — zawrzało i zamęt śród wrzawy,
Na koń! — i jezdnych połowa już w biegu,
Na koń! — i wszystkie skończone już sprawy;
Baczność! — i wszyscy stali już w szeregu . . .

I słońce błysło złocisto u wschodu,
I Książę dosiadł bachmata wesoło,
Przejrzał szeregi, i pomknął na czoło,
A jedna trąbka dała znak pochodu,

„Marsz!“
I blask słońca zaigrał po stali.
Marsz!!!
I jak rzéka całe wojsko wali!

Poważna cisza — i tylko po rosie
Słychać głos trąbki, lecz w tym jednym głosie,
Co się rozlegał w tej chwili rozstania,
Leżała cała waga pożegnania„

I każdy, patrząc na tę ziemię żyzną,
Mówił sam sobie z żałośném uczuciem:
„Żegnaj rycerzy i mogił ojczyzno!
I kiedyż znowu do ciebie powrócim?

Pod jaką wróżbą? i z jakiém obliczem?
I czy w szeregach jeszcze się policzem?"

Wesoło płyną narodowe znaki
Széroka droga na rozstajne szlaki,
I koń i serce ochocze do lotu....
Lecz gdzie się oprzem? gdzie położem kości?
I czy nam stanie drogi do powrotu?
I czy nie zmarni się tyle miłości?...

Każdy to uczuł, że został pod niebem,
I jechał wolno jakby za pogrzebem;
Więc Książę krzyknął: „Héj! naprzód śpiewaki,
Pieśnią pożegnać ukraińskie szlaki!
A tam na niebie widzę klucz żórawi,
Więc dobra wróżba! Niech się wrogi smucą,
Bojem się tylko kraj dźwiga i sławi.
Wszak i żórawie lecą a powrócą?
Toć i my jeszcze tu powrócim może;
Naprzód śpiewaki! naprzód w Imię Boże!

To chociaż w duszy nie było wesoło,
Słowem się wodza pokrzepiła wiara,
I wymykali śpiewaki na czoło,
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara
Zabrzmiała w stepie:

„Hej tam na górze
Jadą rycérze,
Puku, puku w okieneczko,
Wstań i otwórz panieneczko,
Koniom wody daj!"

Jest nić tajemna która wiąże duchy,
I serce wodza z sercem całéj wiary,
Że wspólnie biją i do jednéj miary,
Jak w elektronu chwycone łańcuchy.

Kiedy się pieśnią Książę rozweselił,
Promień nadziei także w wojsko strzelił,
I duch powrócił, i znowu ochoczo
Pryskają konie, i zastępy kroczą.
Tuż obok Księcia Pan Oboźny jechał,
I głaszcząc konia z cicha się uśmiechał,
I rzecze Księciu: — „No, co tak, to ale!

Tak po hetmańsku, i to sobie chwalę!
Gdy klucz żórawi tak dobrze posłużył,
Że z lotu ptaków Książę nam powróżył,
To powiem Panom, co w podobnéj sprawie
Stary Przezdziecki z młodu mi powiadał,
Który był z królem Janem na wyprawie,
Jak tam się orzeł dziwnie wojsku nadał —
Są bowiem rzeczy, mimo ludzkie zdanie,
Do których rozum nie dorobi kluczy,
Których człek prosty na wojnie się uczy;
A całe wojsko patrzało tam na nie —
Król szedł na Kraków i Tarnowskie góry,
I chyba tylko z Pańskich Świętych który
Tak się gotuje przed swojem męczeństwem,
Jak się gotował Król przed tém zwycięztwem.

Processyą obszedł krakowskie kościoły,
I czynił śluby i wota w szczodrości,
I stare progi Jagiellońskiéj szkoły
Jak wierny uczeń odwiedzał w miłości,
I adoracyą serdeczną oddawszy
Relikwijom Świętych Patronów Korony,
Szedł na wyprawę jak Król najłaskawszy,
I w łasce Bożéj mocarz namaszczony,
A w pochód biły mu krakowskie dzwony.

Choć był jak rycérz dzielnością przejęty,
Choć taką wiarę miał i nabożeństwo
Do Matki Boskiéj, i do Trójcy Świętéj,
Nie ufał sobie, czy mu da zwycięztwo...
Otóż zwyciężył — bo go daje temu
Pan — co nie sobie, ale ufa Jemu...

Już na Morawach zabiegł drogę Panu
Prymas Węgierski, Arcybiskup Granu,
I za przymierze dziękował życzliwie,
I podjął w drodze Króla miłościwie.

Aż tu o świcie przygoda nielada;
Podług pogłoski niedalekie wrogi,
A wojsko naszło na krzyżowe drogi,
I nie wiadomo kędy iść wypada.

Król skinął ręką — stanęły zastępy,
I patrzą przed się ponuro jak sępy,

Lecz Król na niebie dawno orła tropił,
Co się z pobliskich gór raźno wychopił,
I w koło wojska wielkiém kołem płynął,
A potém nagle nad Królem się zwinął,
I zawisł nisko, i okiem go zmierzył,
I przodem w drogę środkową uderzył.

Król choć był Królem, to miał zwyczaj taki,
Że równo z berłem czcił hetmańskie znaki,
Pamięć Chocima była mu tak drogą,
Że nawet Królem, idąc na wyprawę,
Zawsze na siodle chocimską buławę
Hetmańskim strojem miał pod lewą nogą.
Więc gdy się z orłem oko w oko zmierzył,
A orzeł w drogę środkową uderzył,
Wysoko w górę buławę wyrzucił,
W lewo buławę, w prawo koniem zwrócił,
A jak przystało tylko na junaka,
Dał na tym zwrocie gładkiego szczupaka,
I chwycił zręcznie lecącą z wysoka
Druchnę chocimską, jak gdyby do tańca.
I jakby koniem tratował pohańca!
Tak po królewsku strzeliło mu z oka,
I krzyknął głośno nim posunął przodem:
„Za orłem wiara! jeszcze Bóg z Narodem!"

To mi krew Pańska! To mi duch proroczy,
Co orła pojmie gdy mu spojrzy w oczy!
I Wam tak samo niech da Bóg mój Książę!
I niech z Narodem na wieki Was zwiąże."

A Książę ścisnął Mohorta serdecznie,
I rzekł wzruszony: „Bóg i Naród wiecznie!
Za mną Panowie!"

I z szlaku się rzucił,
I ku wysokiéj mogile się zwrócił,
I cały orszak stanął na mogile,
I na szyk wojska spoglądał przez chwilę.

Jako po stepie széroki szlak płynął,
Tak krętą rzéką korpus się rozwinął,
I wstęgą suną pułki coraz nowe,
W powietrzu wieją znaki narodowe,
Na przedzie widne i jeźdźce i konie,

Daléj się czernią tylko górą kaski,
Daléj kolumna płynie jak most płaski,
A jeszcze dalej błyszczą tylko bronie,
I po nad wojskiem tylko tuman płynie,
A już nareszcie step w obłoku ginie....

Z nadzieją Książę spoglądał w świat Boży,
A tu na niebie znowu klucz żórawi
Po nad mogiłą i wojskiem się pławi,
A bachmat jego, co miał orle skrzydło
U każdéj nogi, przeżuwał wędzidło,
Rwał grunt kopytem, i drżał od rączości,
I póty grzebał — aż się dobił — kości!...

Długoby trzeba myślami się wodzić,
I brnąć w nadludzkich boleściach okropnie,
Gdyby to przyszło z kolei przechodzić
Wszystkie od chwały do upadku stopnie....

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla széroka, i niby bezpieczna,
Poniżéj grobli płynie w bagnach struga,
A na niéj stoi mogiła odwieczna.

Tam do piérwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rania,
I Pan Kościuszko przednią straż prowadził,
I był się znacznie przodem już odsadził;
Głównym korpusem sam Książę dowodził,
A w tylnéj straży komendę Jenerał
Wielhorski miał — i z lekka odpiérał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały — pod wieczór się miało,
I Boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą — most za sobą spalić,
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół — jakoż po dwa razy
Przysyłał Książę z takiemi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami, i z tą groblą długą

Oddzielał korpus nieprzebytą smugą...
A nim most stanie aż nazajutrz z rana,
I nieprzyjaciel przez most się przeprawi,
Nim się po takiéj przeprawie znów zładzi,
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie — poczęło się mroczyć...
Śpieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć;
Jenerał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie,
I woła! — „Stępo!!!“ tak silnie i karno,
Że każdy słyszał chociaż było gwarno.

Wtém straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennéj trwogi, wzbiły się w niebiosy.
Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwalił,
A nieprzyjaciel téjże saméj chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił:
I na trzech linijach czysto jak po miotle,
A koło mostu zawrzało jak w kotle,
Z ludzi i z koni niby kra się sparła;
Gdy się most zwalił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła,
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w strony od strzałów pierzchało,
I w pław do stawu, i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do Rotmistrza — który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał — rzekł: „a to sromota!
Héj! Ostaszewski za mną na mogiłę!“
I jak duch bitwy stanął na mogile,
I powiódł w koło oczyma przez chwilę,
I krzyknął: „Baczność! równaj się szóstkami!“
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jéj wierzchu zagrzmiała,

Każdy rozumiał że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.

„Ja pójdę naprzód, i pierwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie! jeżeli nie wrócę,
Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem,“
Rzekł do Rotmistrra, i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
‚I jedna wiara, mówi Paweł święty!“

Z dział uderzono: i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czékamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: — „Teraz na nas praca!
Marsz!“ i już cały drugi zastęp w locie.
Wpadamy — patrzem, a działa w odwrocie.
I kanoniery leżą już pod koniem;
Więc za działami jeszcze chwilkę gonim,
A potém stajem kędy stały działa.
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Równo z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy.
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

Wtém rozruch na przedzie,
I głos podają — „Książę! Książę jedzie!“
Książę z raportu już o wszystkiém wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże
Gdzie działa stały — rzekł: „Szkoda méj Litwy!
I jakże zginął?“

„Jak giną rycérze!“
Rzekł Ostaszewski — „jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!“
A Książę na to: „Ha, nie czas żałować,
Lecz jak rycérza trzeba go pochować.“
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. — Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nałożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie,

I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie;
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł Książę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w ręku, niech leży w mogile!"
A towarzysze przyklękli na grobie,
I pieśń żałosną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca gdy podjętym bywał:

„Czas do domu czas,
Zabawili nas!"

A potém na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła w kożcu nawet straż ostatnie,
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycérz w mogile, w sercu żałość bratnia,
I ten samotny ogień na mogile.

PAN TADEUSZ

czyli

Ostatni Zajazd na Litwie.

Poemat Epiczny

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

(W skróceniu.)

Zjazd gości i wieczerza wiejska.

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz Bramie! *) Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącéj matki, pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;

*) Jak w Polszcze obraz cudowny N. P. na Jasnéj-górze, tak w Litwie słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiéj w Wilnie, Zamkowéj w Nowogródku, tudzież Żyrowickiéj i Boruńskiéj.

I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak mię powrócisz cudem na Ojczyzny łono!...
Tymczasem, przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.
Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tém bielsze, że odbite od ciemnéj zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niéj trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów
Orzących wcześnie łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek
I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,
Wysiadł z powozu; konie porzucone same
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami, i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział; bo w dalekiém mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z któremi się zabawiać lubił od powicia;

Lecz mniej wielkie, mniéj piękne niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianéj szafie poznał, u wnijścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.
Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.

Tymczasem na folwarku nie uszło baczności,
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano,
Jako w porządnym domu i obrok i siano:
Bo Sędzia nigdy nie chciał, według nowéj mody,
Odsyłać konie gości żydom do gospody.
Słudzy nie wyszli witać; ale nie myśl wcale,
Aby w domu Sędziego służono niedbale:
Słudzy czekają, nim się Pan Wojski ubierze,*)
Który teraz za domem urządzał wieczerzę.
On Pana zastępuje i on, w niebytności
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;
(Daleki krewny pański i przyjaciel domu).
Widząc gościa, na folwark dążył pokryjomu;
(Bo nie mógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie),
Wdział więc jak mógł najprędzéj niedzielne ubranie
Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,
Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.
Pan Wojski poznał zdala, ręce rozkrzyżował
I z krzykiem podróżnego ściskał i całował
Zaczęła się ta prędka, zmieszana rozmowa,
W któréj lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.
Gdy się Pan Wojski dosyć napytał, nabadał,
Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.
„Dobrze mój Tadeuszu“, (bo tak nazywano
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził),
„Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele:
Jest z czego wybrać; u nas towarzystwo liczne
Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,

*) Wojski (tribunus) bywał niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Urząd ten stał się tytularnym.

Dla skończenia dawnego z Panem Hrabią sporu.
I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;
Podkomorzy już zjechał z żoną i z córkami.*)
Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
A starzy i kobiéty żniwo oglądają
Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.
Pójdziemy jeźli zechcesz, i wkrótce spotkamy
Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.“

Pan Wojski z Tadeuszem idą pod las drogą,
I jeszcze się dowoli nagadać nie mogą.
Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,
Mniéj silnie ale szerzéj niż we dnie świeciło,
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze
Na spoczynek powraca. Już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty,
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,
Słońce nad nim czerwone jak pożar na dachu,
Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okiennic szpary,
I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach, i grabiska suwane po łące,
Ucichły i stanęły: tak Pan Sędzia każe.
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
„Pan świata wie jak długo pracować potrzeba;
Słońce, Jego robotnik, kiedy znijdzie z nieba,
Czas i ziemianinowi ustępować z pola.“
Tak zwykł mawiać Pan Sędzia; a Sędziego wola
Była Ekonomowi poczciwemu świętą;
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;
Cieszą się z niezwyczajnéj ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
Wesoło lecz w porządku. Naprzód dzieci małe
Z dozórcą, potém Sędzia szedł z Podkomorzyną,
Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną;
Panny tuż za starszemi, a młodzież na boku;
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku.
(Tak każe przyzwoitość.) Nikt tam nie rozprawiał
O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał:

*) Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity, Princeps Nobilitatis, stał się późniéj tytularnym, i sądził jeszcze niekiedy sprawy zagraniczne.

A każdy mimowolnie porządku pilnował;
Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,
I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu,
Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu;
Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,
Z jego upadkiem domy i narody giną.
Więc do porządku wykli domowi i słudzy;
I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy,
Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.
Krótkie były Sędziego z synowcem witania:
Dał mu poważnie rękę do pocałowania,
I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił;
A choć przez wzgląd na gości nie wiele z nim mówił,
Widać było z łez, które wylotem kontusza
Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.
W ślad gospodarza, wszystko ze żniwa i z boru
I z łąk i z pastwisk razem wracało do dworu.
Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy
I wznosi chmurę pyłu; dalej zwolna kroczy
Stado cielic tyrolskich z mosiężnemi dzwonki;
Tam konie rżące lecą ze skoszonéj łąki:
Wszystko bieży ku studni, któréj ramie z drzewa
Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia, choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
Nie chybił gospodarskiéj, ważnéj powinności:
Udał się sam ku studni. Najlepiéj z wieczora
Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora.
Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy;
Bo Sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni*)
Stali i rozprawiali, nieco poróżnieni:
Bo w niebytność Wojskiego, Woźny pokryjomu
Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,
I ustawić co prędzéj w pośrodku zamczyska,
Którego widne były pod lasem zwaliska.
Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił
I przepraszał Sędziego; Sędzia się zadziwił,
Lecz stało się: już późno i trudno zaradzić;
Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.
Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,
Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył:

*) Woźny albo Jenerał, wybrany uchwałą trybunalską lub sądową ze szlachty osiadłéj, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizy itp.

Wo dworze, żadna izba nie ma obszerności
Dostatecznéj dla tylu, tak szanownych gości;
W zamku, sień wielka jeszcze dobrze zachowana,
Sklepienie całe — wprawdzie pękła jedna ściana,
Okna bez szyb: lecz latem nic to nie zawadzi;
Bliskość piwnic wygodna służącéj czeladzi.
Tak mówiąc, na Sędziego mrugał; widać z miny,
Że miał i taił inne ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
Okazały budową, poważny ogromem,
Dziedzictwo starożytnéj rodziny Horeszków.
Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszków;
Dobra, całe zniszczone sekwestrami rządu,
Bezładnością opieki, wyrokami sądu,
W cząstce spadły dalekim krewnym po kądzieli,
A resztę rozdzielono między wierzycieli.
Zamku żaden wziąść nie chciał, bo w szlacheckim stanie
Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie;
Lecz Hrabia, sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,
Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
Przyjechawszy z wojażu upodobał mury
Tłumacząc, że gotyckiéj są architektury;
Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tem,
Że architekt był majstrem z Wilna, nie zaś Gotem.
Dość, że Hrabia chciał zamku. Właśnie i Sędziemu
Przyszła nagle też chętka, nie wiadomo czemu.
Zaczęli proces w ziemstwie, potém w głównym sądzie.
W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie;
Wreszcie, po wielu kosztach i ukazach licznych,
Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.
Słusznie Woźny powiadał, że w zamkowéj sieni
Zmieści się i palestra i goście proszeni.
Sień wielka jak refektarz, z wypukłém sklepieniem
Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,
Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;
Sterczały w około sarnie i jelenie rogi
Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;
Tu myśliwców herbowne klejnoty wyryte,
I stoi wypisany każdy po imieniu;
Herb Horeszków, Półkozic, jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem.
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.

Przy nim stał kwestarz. Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie;
Mężczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli,
I chołodziec litewski milcząc żwawo jedli.

Dano trzecią potrawę. Wtém pan Podkomorzy,
Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
A młodszéj przysunąwszy z talerzem ogórki,
Rzekł: „Muszę ja wam służyć, moje panny córki,
Choć stary i niezgrabny.“ Zatém się rzuciło
Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza,
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: „Dziś, nowym zwyczajem,
My na naukę młodzież do stolicy dajem;
I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcéj książkowéj nauki;
Ale co dzień postrzegam jak młodź cierpi na tém,
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem.
Dawniéj, na dwory pańskie jechał szlachcic młody;
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody
Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,
(Mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana);
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił;
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.
Jeźlim tyle na jego nie korzystał dworze
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
Gdy inni więcéj godni Wojewody względów,
Doszli potém najwyższych krajowych urzędów:
Przynajmniéj tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci bym uchybił komu
W uczciwości, w grzeczności; a powiem to śmiało,
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
Niełatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą
Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;
Bo taka grzeczność modna zda mi się kupiecka,
Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna:
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i Pana
Dla sług swoich: a w każdéj jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinną uczciwość wyrządzić.

I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,
Była to historya żyjąca krajowa,
A między szlachtą dzieje domowe powiatu.
Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
Więc szlachcic obyczaje swe trzymał pod strażą.
Dziś człowieka nie pytaj: co zacz? kto go rodzi?
Z kim on żył? co porabiał? Każdy gdzie chce wchodzi,
Byleby nie szpieg tylko, i byle nie w nędzy.
Jak ów Wezpazyanus nie wąchał pieniędzy;
I nie chciał wiedzieć, skąd są, z jakich rąk i krajów;
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
Dość, że ważny i że się stępel na nim widzi . . .
Więc szanują przyjaciół, jak pieniądze żydzi.“
To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem;
Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
Wiedział, że niecierpliwa młodzież teraźniejsza,
Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.
Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem.
Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem;
Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,
Ale częstém skinieniem głowy potakiwał.
Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał;
Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,
I daléj mówił: „Grzeczność nie jest rzeczą małą;
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:
Jak na szalach, żebyśmy nasz ciężar poznali,
Musim kogoś posadzić na przeciwnéj szali.
Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnéj
Grzeczność, którą powinna młódź dla płci nadobnéj;
Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty,
Objaśniają wrodzone wdzięki i przymioty.
Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy
Wspaniały domów sojusz — tak myślili starzy.
A zatém“... Tu Pan Sędzia nagłym wzrotem głowy
Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy:
Znać było, że przychodził już do wniosków mowy.
Wtém brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy,
I rzekł: „Mój Sędzio, dawniéj było jeszcze gorzéj!
Teraz niewiem, czy moda i nas starych zmienia,
Czy młodzież lepsza, ale widzę mniéj zgorszenia.
Ach, ja pamiętam czasy, kiedy do ojczyzny,
Pierwszy raz zawitała moda francuzczyzny!

Gdy raptem paniczyki młode z cudzych krajów
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w ojczyznie Boga, przodków wiarę,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
Gadających przez nosy a często bez nosów,
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety,
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza:
Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przypuszcza,
Odbiera naprzód rozum od Obywateli.
I tak, mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli,
I zląkł ich się jak dżumy jakiej cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród.
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory:
Była to maszkarada, zapustna swawola,
Po której miał przyjść wkrótce wielki post — niewola!
„Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecie,
Kiedy do Ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał Pan Podczaszyc na francuzkim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francuzku
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem,*)
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stanęła Podczaszyca dwukolna dryndulka,
Która się po francuzku zwała Kariulka:
Zamiast lokajów, w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach chłopisko, chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze śrebrnemi klamrami trzewiki,
Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
Starzy na ten ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się mówiąc: że po świecie
Jeździ wenecki djabeł w niemieckiéj karecie.
Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo;
Dosyć, że się nam zdawał małpą, lub papugą
W wielkiéj peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeźli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,
Milczał: boby krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza!
Taka była przesądów owoczesnych władza!

*) **Raróg**, gatunek jastrzembia, za którym drobne ptastwo, szczególnie jaskółki upędzają się.

„Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować.
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymówni
Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi...
Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była, szło o jéj pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeźli ich nie czytano w francuzkiej gazecie.
Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł Markiza;
Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiza.
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiz przybrał tytuł Demokraty;
Wreszcie, z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał z Paryża Baronem;
Gdyby żył dłużéj, może nową alternatą,
Z Barona przechrzciłby się kiedyś Demokratą.
Bo Paryż często mody odmianą się chlubi;
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.
„Chwała Bogu, że teraz, jeśli nasza młodzież
Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,
Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach,
Lub wymowy uczyć się w paryzkich kawiarniach.
Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,
Nie daje czasu szukać mody i gawędki.
Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno.
Jest sława, a więc będzie Rzeczpospolita!
Zawdy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.
Tylko smutno, że nam, ach! tak się lata wloką
W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!
Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina —
Ojcze Robaku (ciszéj rzekł do Bernardyna),
Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;
Może téż co o naszém wojsku wie Jegomość?"
— „Nic a nic" odpowiedział Robak obojętnie,
(Widać było, że słuchał rozmowy niechętnie)
Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy
Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy
Bernardyńskie: cóż o tém gadać u wieczerzy;
Są tu świeccy, do których nic to nie należy."
Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
Tymczasem, w końcu stoła, naprzód ciche szmery,

A potém się zaczęły wpółgłośne rozmowy;
Mężczyzni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.
Assesora z Rejentem wzmogła się uparta*),
Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,
Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
I utrzymywał, że on zająca pochwycił;
Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
Że ta chwała należy chartu Sokołowi.
Pytano zdania innych; więc wszyscy dokoła
Brali stronę Kusego albo też Sokoła,
Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
  Wtém, wielkiém szczęściem dwakroć kichnął Podkomorzy,
„Wiwat!" krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił,
I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił.
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
A w środku jej był portret króla Stanisława;
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował.
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował;
Gdy w nię dzwonił, znak dawał, że ma głos zabierać:
Umilkli wszyscy i ust nieśmieli otwierać.
On rzekł: „Wielmożni Szlachta Bracia Dobrodzieje,
Forum myśliwskiém tylko są łąki i knieje;
Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,
I posiedzenie nasze na jutro solwuję,
  dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę.
Woźny! odwołaj sprawę na jutro na pole.
Jutro i Hrabia z całém myśliwstwem tu zjedzie,
I Waszeć z nami ruszysz, Sędzio mój sąsiedzie,
I Pani Telimena i Panny i Panie,
Słowem, zrobim na urząd wielkie polowanie;
I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi,"
To mówiąc, tabakierę podawał starcowi.
  Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział,
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
Bo nikt lepiéj od niego nie znał polowania.
On milczał, szczyptę wziętą z tabakiery ważył
W palcach, i długo dumał niż ją w końcu zażył;
Kichnął, aż cała izba rozległa się echem,
I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem:
„O, jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżbyto o tém starzy mówili myśliwi,

*) Assesorowie składają policyą ziemską powiatu, obierani już to przez obywateli, już to przez rząd; ci ostatni zowią się koronni. — Rejenci zarządzają kancellaryą lub piszą wyroki.

Widząc że w tylu szlachty, tylu panów gronie,
Mają sądzić się spory o charcim ogonie?
Cóżby rzekł na to stary Rejtan gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
Coby rzekł Wojewoda Niesiołowski stary*),
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwustu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
I ma sto wozów sieci w zamku Worończańskim,
A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze,
Nikt go na polowanie uprosić nie może,
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!**)
Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława, ażeby Pan taki,
Wedle dzisiejszéj mody, jeździł na szaraki!
Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem szlacheckim,
A zwierzę niemające kłów, rogów, pazurów,
Zostawiono dla płatnych sług i dworskich ciurów;
Żaden Pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrót cienki!
Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,
Trafia się, że z pod konia mknie się biedak zając;
Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,
I na konikach małe goniły panicze
Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
Odwołać swe rozkazy, i niech mi wybaczy,
Że nie mogę na takie jechać polowanie,
I nigdy na niém noga moja nie postanie!
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,
Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha."
  Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył.
Wstano od stołu. Pierwszy Podkomorzy ruszył;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
Za nim szedł Kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,
Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,
Tadeusz Telimenie, Assessor Krajczance,
A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance.
  Wpół godziny tak było głucho w całym dworze,

*) Józef Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogrodzki, Prezes rządu w czasie powstania Jasińkiego.

**) Jerzy Białopiotrowicz, ostatni Pisarz W. K. Litewskiego z tegoż czasu.

Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;
Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.
Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu niezmruża;
Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę
W pole, i w domu przyszłą urządza zabawę.
Dał rozkaz ekonomom, wójtom i gumiennym,
Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,
I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać,
Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.
Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity, *)
Przy którym świecą gęste kutasy jak kity,
Z jednéj strony złotogłów w purpurowe kwiaty,
Na wywrót jedwab' czarny posrebrzany w kraty;
Pas taki można równie kłaść na strony obie,
Złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie.
Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;
Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać:
„Coż złego, że przeniosłem stoły do zamczyska?
Nikt na tém nic nie stracił, a Pan może zyska,
Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.
My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,
I mimo całą strony przeciwnéj zajadłość,
Dowiodę, że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.
Wszakże, kto gości prosi w zamek na wieczerzę,
Dowodzi, że posiadłość tam ma albo bierze;
Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:
Pamiętam za mych czasów podobne wypadki.“

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni,
Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,
Któréj nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
Była to trybunalska wokanda **): tam rzędem
Stały spisane sprawy, które przed urzędem
Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,
Albo o których późniéj dowiedzieć się zdołał.
Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem;
Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogierdem,
Radziwiłł z Wereszczaką, Giedrojć z Rodułtowskim,
Obuchowicz z Kahałem, Juraha z Piotrowskim,

*) W Słucku sławna była fabryka złotogłowu i pasów litych.

**) Wokanda, wązka podługowata książeczka, na któréj spisywano nazwiska stron processujących według porządku aktoratów.

Maleski z Mickiewiczem, a na koniec Hrabia
Z Soplicą; i czytając, z tych imion wywabia
Pamięć spraw wielkich, wszystkie processu wypadki,
I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym,
W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,
Jedna ręka na szabli, a druga do stoła,
Przywoławszy dwie strony, „Uciszcie się!“ woła.
Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata,
Śród cichéj wsi litewskiej, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok śrebrnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, W Ulm, w Austerlitz. Zwycięztwo i Zabor
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tylu,
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów
Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów.

Polowanie na upatrzonego.—Zamek.—Śniadanie.

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemno-zieloném, świeżém, wonnem sianie,
Z którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
Rozpływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnéj strzechy, jak z warkocza wstęgi;
I słońce usta sennych promykiem poranka
Drażni, jak dziewczę kłosem budzące kochanka.
Już wróble skacząc, świerkać zaczęły pod strzechą;
Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim jak echo,
Odezwały się chórem kaczki i indyki,
I słychać bydła w pole idącego ryki.

Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki;
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie.
Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;
Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;
Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,
Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,
Potém biegą i kładą szyje na obroże:

Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;
Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.
Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim;
Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim.
W środku jechali obok Assesor z Rejentem;
A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,
Rozmawiali przyjaźnie, jak ludzie honoru
Idąc na roztrzygnienie śmiertelnego sporu:
Nikt ze słów, zawziętości ich poznać nie zdoła;
Pan Rejent wiódł Kusego, Assesor Sokoła.
Z tyłu damy w pojazdach; młodzieńcy stronami
Czwałując tuż przy kołach, gadali z damami.

Aż wtém nagle myśliwi smycze zatrzymali,
I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;
Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,
A wszyscy obrócili oczy do kamienia,
Nad którym stał Pan Sędzia. On zwierza obaczył,
I rąk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.
Pojęli wszyscy; stoją, a środkiem po roli
Assesor i Pan Rejent kłusują powoli.
Tadeusz, będąc bliższy, obudwu wyprzedził,
Stanął obok Sędziego i oczyma śledził.
Dawno już nie był w polu: na szaréj przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni;
Pokazał mu Pan Sędzia. Siedział biedny zając,
Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając;
Okiem czerwoném spotkał myśliwców wejrzenie,
I jakby urzeczony, czując przeznaczenie,
Ze strachu od ich oczu nie mógł zwrócić oka,
I pod opoką siedział martwy jak opoka,
Tymczasem kurz na roli rośnie coraz bliżej,
Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokoł chyży,
Tuż Assesor z Rejentem razem wrzaśli z tyłu:
„Wyczha, wyczha!“ i z psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem
Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem.
Wiedziano w okolicy, że ten Pan nie może
Nigdy nigdzie stawić sie w naznaczonej porze.
I dziś zaspał poranek; więc na sługi zrzędził,
Widząc myśliwców w polu czwałem do nich pędził.
Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,
Połami na wiatr puścił; z tyłu konno sługi,
W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśniących, małych,
W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych.

Sługi, które Pan Hrabia tym kształtem odzieje,
Nazywają się w jego pałacu dżokeje.
Czwałująca czereda zleciała na błonia,
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia....
Pierwszy raz widział zamek z rana, i niewierzył,
Że to były téż same mury, tak odświeżył
I upięknił poranek zarysy budowy;
Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo sterząca
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,
Pod nim błyszczała w kratach reszta szyb wybitych,
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;
Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
Rozpadliny i szczerby zakryła od oka;
Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany,
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:
Przysiągłbyś, że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną
Mury odbudowano i znów zaludniono.
Hrabia lubił widoki niezwykłe i nowe,
Zwał je romansowemi; mawiał że ma głowę
Romansową: w istocie był wielkim dziwakiem.
Nieraz, pędząc za lisem albo za szarakiem,
Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,
Jak kot, gdy ujrzy wróble na wysokiéj sośnie;
Często bez psa, bez strzelby, błąkał się po gaju,
Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju
Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,
Jak czapla wszystkie ryby chcąca pożreć okiem:
Takie były Hrabiego dziwne obyczaje.
Wszyscy mówili, że mu czegoś nie dostaje;
Szanowano go przecież, bo Pan z prapradziadów,
Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów,
Nawet dla żydów.
Hrabski koń, zwrócony z drogi,
Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.
Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,
Wyjął papier, ołówek i kreślił figury.
Wtém, spojrzawszy w bok — ujrzał o dwadzieścia kroków
Człowieka, który równie miłośnik widoków,
Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,
Zdawało się, że liczył oczyma kamienie.
Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy
Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.
Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów,
Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;

Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,
Marszczkami pooraną, posępną, surową.
Dawniéj pomiędzy szlachtą z wesołości słynął;
Ale od bitwy, w któréj dziedzic zamku zginął,
Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu
Ani był na kiermaszu, ani na weselu;
Odtąd jego dowcipnych żartów niesłyszano,
I uśmiechu na jego twarzy nie widziano.
Zawsze nosił Horeszków liberyą dawną;
Kurtę z połami żółtą, galonem oprawną,
Który dziś żółty, dawniéj zapewne był złoty,
Wkoło szyte jedwabiem herbowne klejnoty,
Półkozice: i stąd téż cała okolica
Półkozicem przezwała starego szlachcica.
Czasem téż od przysłowia, które bez ustanku
Powtarzał, nazywano go także Mopanku,
Czasem Szczerbcem, że całą łysinę miał w szczerbach;
Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach
Nie wiadomo. Klucznikiem siebie tytułował:
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,
Uwiązany na taśmie ze śrebrnym kutasem.
Choć niemiał co otwierać; bo zamku podwoje
Stały otworem. Przecież, wynalazł drzwi dwoje;
Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,
I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.
W jednéj z izb pustych, obrał mieszkanie dla siebie;
Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,
Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,
Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowém.
Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,
I krewnego swych Panów ukłonem zaszczycił,
Chyląc łysinę wielką, świecącą zdaleka,
I naciętą od licznych kordów jak nasieka;
Gładził ją ręką, podszedł i jeszcze raz nisko
Skłoniwszy się, rzekł smutnie: „Mopanku, Panisko,
Daruj mnie, że tak mówię Jaśnie Grafie Panie,
To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszanowanie:
„Mopanku“ powiadali wszyscy Horeszkowie,
Ostatni Stolnik pan mój miał takie przysłowie...
Czyż to prawda, Mopanku, że Pan grosza skąpisz
Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz?
Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słychać.“
Tu poglądając w zamek nie przestawał wzdychać.
„Cóż dziwnego,“ rzekł Hrabia, „koszt wielki a nuda

Jeszcze większa; chcę skończyć. Lecz szlachcic maruda
Upiera się; przewidział, że mię znudzić może:
Dłużéj téż nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,
Przyjmę warunki zgody jakie mi sąd poda...“
„Zgody?“ krzyknął Gerwazy, „z Soplicami zgoda?
Z Soplicami, Mopanku?“ — to mówiąc wykrzywił
Usta, jakby nad własną mową się zadziwił —
„Zgoda i Soplicowie! Mopanku, Panisko,
Pan żartuje, co? Zamek, Horeszków siedlisko
Ma pójść w ręce Sopliców? niech Pan tylko raczy
Zsiąść z konia. Pójdźmy w zamek. Niechno Pan obaczy,
Pan sam nie wie co robi. Niech się Pan nie wzbrania,
Zsiadaj Pan“ — i przytrzymał strzemię do zsiadania.

Weszli w zamek; Gerwazy stanął w progu sieni:
„Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,
Często siadali w krzesłach w poobiedniéj porze.
Pan godził spory włościan, lub w dobrym humorze,
Gościom różne ciekawe historye prawił,
Albo ich powieściami i żarty się bawił,
A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,
Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty.“

Weszli w sień.— Rzekł Gerwazy: „W téj ogromnéj sieni
Brukowanéj, nie znajdziesz Pan tyle kamieni,
Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;
Szlachta ciągnęła kufy z piwnicy na pasach,
Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
Albo na imieniny Pańskie, lub na łowy.
Podczas uczty, na chórze tym kapela stała,
I w organ i w rozliczne instrumenty grała;
A gdy wnoszono zdrowie, trąby, jak w dniu sądnym,
Grzmiały z chóru; wiwaty szły ciągiem porządnym:
Pierwszy wiwat na zdrowie Króla Jegomości,
Potém Prymasa, potém Królowéj Jéjmości,
Potém Szlachty i całéj Rzeczypospolitéj,
A nakoniec po piątéj szklanicy wypitéj,
Wnoszono: Kochajmy się. Wiwat bez przestanku,
Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku:
A już gotowe stały cugi i podwody,
Aby każdego odwieźć do jego gospody.“

Przeszli już kilka komnat; Gerwazy w milczeniu,
Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,
Przywołując pamiątkę tu smutną, tam miłą;
Czasem jakby chciał mówić „wszystko się skończyło“
Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką:

Widać, że mu wspomnienie samo było męką,
I że je chciał odpędzić. Aż się zatrzymali
Na górze, w wielkiéj, niegdyś zwierciadlanéj sali.
Dziś, wydartych zwierciadeł stały puste ramy,
Okna bez szyb, z krużgankiem wprost naprzeciw bramy.
Tu wszedłszy, starzec głowę zadumaną skłonił
I twarz zakrył rękami; a gdy ją odsłonił,
Miała wyraz żałości wielkiéj i rozpaczy.
Hrabia, chociaż nie wiedział co to wszystko znaczy,
Poglądając w twarz starca czuł jakieś wzruszenie,
Rękę mu ścisnął; chwilę trwało to milczenie,
Przerwał je starzec trzęsąc wzniesioną prawicą:
„Nie masz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą
I krwią Horeszków; w Panu krew Horeszków płynie,
Jesteś krewnym Stolnika, po matce Łowczynie,
Która się rodzi z drugiéj córki Kasztelana,
Który był, jak wiadomo, wujem mego Pana.
Słuchaj Pan historyi swéj własnéj rodzinnéj,
Która się stała właśnie w téj izbie, nie innéj.

„Nieboszczyk Pan mój, Stolnik, pierwszy Pan w powiecie,
Bogacz i familiant, miał jedyne dziecie,
Córkę piękną jak Anioł; więc się zalecało
Stolnikównie i szlachty i paniąt niemało.
Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,
Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda:
Przez żart; w istocie wiele znaczył w Województwie,
Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,
I trzystu ich kreskami rządził wedle woli.
Choć sam nic nie posiadał prócz kawałka roli,
Szabli i wielkich wąsów od ucha do ucha.
Owoż Pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha,
I ugaszczał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików,
Popularny dla jego krewnych i stronników.
Wąsal tak wzbił się w dumę łaskawém przyjęciem,
Że mu się uroiło zostać Pańskim zięciem.
Do zamku nieproszony coraz częściéj jeździł,
W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł.
I już miał się oświadczać: lecz pomiarkowano,
I czarną mu polewkę do stołu podano.
Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko,
Ale przed rodzicami taiła głęboko.

„Było to za Kościuszki czasów; Pan popierał
Prawo trzeciego maja, i już szlachtę zbierał,
Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy:

Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy.
Ledwie był czas z moździerza na trwogę wypalić,
Podwoje dolne zamknąć i ryglem zawalić.
W zamku całym był tylko: Pan Stolnik, ja, Pani,
Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzéj pijani,
Proboszcz, lokaj, hajducy czteréj, ludzie śmiali.
Więc za strzelby, do okien. Aż tu tłum Moskali,
Krzycząc ura, od bramy wali po tarasie;
My im ze strzelb dziesięciu palnęli „a zasie.“
Nic tam nie było widać; słudzy bez ustanku
Strzelali z dolnych pięter, a ja i Pan z ganku
Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiéj trwodze:
Dwadzieścia strzelb leżało tu na téj podłodze.
Wystrzeliliśmy jedną, podawano drugą,
Ksiądz Proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,
I Pani i Panienka i nadworne Panny:
Trzech było strzelców, a szedł ogień nieustanny.
Grad kul sypały z dołu moskiewskie piechury;
My zrzadka, ale celniéj dogrzewali z góry.
Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,
Ale za każdym razem trzech nogi zadarło.
„Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.
Pan Stolnik wesół wyszedł ze strzelbą na ganek,
I skoro z pod lamusa Moskal łeb wychylił,
On dawał zaraz ognia, a nigdy nie mylił;
Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,
I już się rzadko który z za ściany wykradał.
Stolnik, widząc strwożone swe nieprzyjaciele,
Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabelę
I z ganku krzycząc sługom wydawał rozkazy;
Obróciwszy się do mnie, rzekł: za mną Gerwazy!
Wtém strzelono z pod bramy... Stolnik się zająknął,
Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął:
Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same.
Pan słaniając się, palcem ukazał na bramę:
Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!
Po wzroście i po wąsach! Jego to postrzałem
Zginął Stolnik, widziałem! Łotr jeszcze do góry
Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z rury!
Wziąłem go na cel; zbójca stał jak skamieniały!
Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały
Chybiły: czym ze złości czy z żalu źle mierzył...
Usłyszałem wrzask kobiet, spojrzałem — Pan nieżył.“
Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał;
Potém rzekł kończąc: „Moskal już wrota wywalał;

Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,
I nie widziałem, co się działo w około mnie,
Szczęściem, na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz,
Przywiódłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,
Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,
A nie nawidzą rodu Sopliców od wieka.
„Tak zginął Pan potężny, pobożny i prawy,
Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,
Ojciec włościan, brat szlachty; i nie miał po sobie
Syna, któryby zemstę poprzysiągł na grobie!
Ale miał sługi wierne. Ja w krew jego rany
Obmoczyłem mój rapier scyzorykiem zwany,
(Zapewne Pan o moim słyszał scyzoryku,
Sławny na każdym sejmie, targu i sejmiku),
Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach;
Ścigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach.
Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;
Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,
Kiedyśmy zajeżdżali z Rymszą Korelicze:
Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę,
Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,
Który dotąd odemnie pamiątki nie dostał:
Rodzoniutki braciszek owego wąsala!
Żyje dotąd i z swoich bogactw się przechwala,
Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,
Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!
I Pan mu zamek oddasz? Niecne jego nogi
Mają krew Pana mego zetrzeć z téj podłogi?
O nie! Póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,
I tyle sił! że jednym małym palcem ruszy,
Scyzoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie,
Póty Soplica tego zamku nie dostanie!“
O! krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry! —
Dobre miałem przeczucie, żem lubił te mury!
Choć nie wiedziałem, że w nich taki skarb się mieści,
Tyle cen dramatycznych, i tyle powieści!
Skoro zamek mych przodków Soplicom zagrabię,
Ciebie osadzę w murach jak mego Burgrabię.
Twoja powieść, Gerwazy, zajęła mię mocno.
Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną:
Udrapowany płaszczem, siadłbym na ruinach,
A tybyś mi o krwawych rozpowiadał czynach.
Szkoda, że masz niewielki dar opowiadania!
Nieraz takie słyszałem, i czytam podania;
W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,

W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem mordów!
W każdéj dawnéj, szlachetnéj, potężnéj rodzinie,
Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,
Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:
W Polsce pierwszy raz słyszę o takim wypadku.
Czuję, że we mnie mężnych krew Horeszków płynie,
Wiem, co winienem sławie i mojéj rodzinie;
Tak, muszę zerwać wszelkie z Soplicą układy,
Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!
Honor każe...“ Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,
A Gerwazy szedł z tyłu w milczeniu głębokiem.
Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,
Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,
Tak samotną rozmowę kończąc roztargniony:
„Szkoda, że ten Soplica stary nie ma żony,
Lub córki pięknej której ubóstwiałbym wdzięki!
Kochając i niemogąc otrzymać jéj ręki,
Nowaby się w powieści zrobiła zawiłość:
Tu serce, tam powinność! — tu zemsta, tam miłość!“
Tak szepcąc spiął ostrogi; koń leciał do dworu,
Gdy z drugiéj strony strzelcy wyjeżdżali z boru.
Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,
Zapomniawszy o wszystkiém, prosto ku nim skoczył.
. . . .
Po chwili wszędzie było samotnie i głucho.
Hrabia oczy w dom utkwił i natężył ucho;
Zawsze dumał, a strzelcy zawsze nieruchomie
Za nim stali. — Aż w cichym i samotnym domie
Wszczął się naprzód szmer, potém gwar i krzyk wesoły,
Jak w ulu pustym kiedy weń wlatują pszczoły:
Był to znak, że wracali goście z polowania,
I krzątała się służba około śniadania.
Jakoż, po wszystkich izbach panował ruch wielki:
Roznoszono potrawy, sztućce i butelki.
Mężczyzni, tak jak weszli, w swych zielonych strojach,
Z talerzami, z szklankami chodząc po pokojach,
Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,
Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach.
Podkomorstwo i Sędzia przy stole: a w kątku
Panny szeptały z sobą. Nie było porządku,
Jaki się przy obiadach i wieczerzach chowa;
Była to w staropolskim domie moda nowa:
Przy śniadaniach, Pan Sędzia, choć nierad, pozwalał
Na taki nieporządek, lecz go niepochwalał.
Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy;
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,

Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,
I z porcelany saskiéj złote filiżanki;
Przy każdéj garnuszeczek mały do śmietanki.
Takiéj kawy, jak w Polszcze, nie ma w żadnym kraju;
W Polszcze, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,
Nazywa się Kawiarka; ta sprowadza z miasta,
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku. *)
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach moki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nietrudno o nię: bo kawiarka z rana
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdéj filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.
Panie starsze już wcześniéj wstawszy piły kawę;
Teraz, drugą dla siebie zrobiły potrawę;
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.
Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:
Półgęski tłuste, kumpie, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie.
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona:
Starszyzna, przy stoliku małym zgromadzona,
Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,
O nowych coraz sroższych ukazach cesarskich;
Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski
Oceniał, i wyciągał polityczne wnioski,
Panna Wojska, włożywszy okulary sine,
Zabawiała kabałą z kart, Podkomorzynę.
W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,
W spokojniejszych i cichszych niż zwykle rozmowach:
Bo Assessor i Rejent, oba mówcy wielcy,
Pierwsi znawcy myśliwstwa i najlepsi strzelcy,
Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni.
Oba dobrze poszczuli, oba byli pewni
Zwycięztwa swoich chartów: gdy pośród równiny

*) **Wiciny**, wielkie statki na Niemnie

Znalazł się zagon chłopskiej nieżżętéj jarzyny;
Tam wpadł zając; już Kusy, już go Sokół imał.
Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał;
Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie.
Psy powróciły same, i nikt pewnie niewie,
Czy zwierz uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć niezdoła,
Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,
Czyli obudwu razem: różnie sądzą strony,
I spór na dalsze czasy trwał nierozstrzygniony.

Grzybobranie. — Obiad.

Telimena, znudzona zbyt długiemi swary,
Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary;
Wzięła koszyczek z kołka: „Panowie, jak widzę,
Chcecie zostać w pokoju; ja idę na rydze:
Kto łaska, proszę za mną,“ rzekła, koło głowy
Obwijając czerwony szal kaszemirowy;
Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,
A drugą podchyliła do kostek sukienkę.
Wnet i Tadeusz za nią na grzyby pośpieszył.
Zamiar przechadzki bardzo sędziego ucieszył;
Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,
A więc krzyknął: „Panowie, po grzyby do boru!
Kto z najpiękniejszym rydzem do stołu przybędzie,
Ten obok najpiękniejszéj Panienki usiędzie:
Sam ją sobie wybierze. Jeźli znajdzie dama,
Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.
Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,
Po jéj kobiercach, na wskróś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce, i dziwny ubiór: istne duchy
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;
Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
Ten z gołą głową: inni, jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony,
Ciągnące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innéj postawie: ten przyrosł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczonemi;
Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy,
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy:
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą, albo się spotykają,

Ani mówią do siebie, ani się witają,
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.
Hrabia widział w nich obraz Elizejskich cieni,
Które, chociaż boleściom, troskom nieodstępne,
Błąkają się spokojne, ciche, lecz posępne.
Któżby zgadnął, że owi, tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie, są nasi znajomi,
Sędziowscy towarzysze? Z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybo-brania.
Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdej okoliczności do miejsca i czasu.
Dla tego nim ruszyli za Sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
Służące do przechadzki opończe płócienne,
Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomiane wdziali kapelusze.
Stąd biali wyglądają, jak czyscowe dusze.
Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny
I kilku po francuzku chodzących.
Tej sceny
Hrabia nie pojął: nieznał wiejskiego zwyczaju:
Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.
Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa: bo czerw ich nie zjada,
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.*)
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy
I mniéj sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennéj pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.
Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,
Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnem winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,

*) Jest na Litwie pieśń gminna o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika.

Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona,
Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,
Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.
Ni wilczych, ni zajęczych, nikt dotknąć nie raczy;
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie:
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.
Telimena ni wilczych, ni ludzkich nie zbiera,
Roztargniona, znudzona, dokoła spoziera,
Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie
Mówił o niéj, że grzybów szukała na drzewie.
Oddalała się zwolna: Sędzia czaty zmieszał
I przeciąwszy jéj drogę, tuż za nią pośpieszał.
Z wiatrem igrały białe poły szarafana,
I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;
Słomiany, podwiązany kapelusz od ruchu
Nagłego chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,
Spadając to na barki, to znowu na oczy;
W ręku ogromna laska: tak Pan Sędzia kroczy.
Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,
Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,
I wsparłszy się oburącz na gałkę słoniową
Trzciny ogromnéj, z taką ozwał się przemową:
„Widzi Aśćka, — od czasu jak tu u nas gości
Tadeuszek, niemało mam niespokojności.
Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyna,
Wszak to moja na świecie pociecha jedyna,
Przyszły dziedzic fortunki mojéj. Z łaski nieba,
Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;
Już mu też czas obmyśleć los, postanowienie:
Ale zważajno Aśćka moje utrapienie!
Wiesz, że Pan Jacek, brat mój, Tadeusza ojciec,
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,
Nie chce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje,
Nawet nie chce synowi oznajmić że żyje,
A ciągle nim zarządza. Naprzód w legiony
Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony.
Potem zgodził się przecie by w domu pozostał
I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;
Partyą upatrzyłem. Nikt z obywateli
Niewyrówna z imienia ani z parenteli
Podkomorzemu; jego starsza córka Anna

Jest na wydaniu, piękna i posażna Panna;
Chciałem zagaić. — Na to Telimena zbladła,
Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.
„Jak Mamę kocham, rzekła, czy to Panie bracie
Jest w tem sens jaki, czy wy Boga w sercu macie?
Ty myślisz Tadeusza zostać Dobrodziejem,
Jeźli młodego chłopca zrobisz grykosiejem?
Świat mu zawiążesz! wierz mi, kląć was kiedyś będzie
Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie!
Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecię,
Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie.
Dobrze brat zrobi, gdy go do stolicy wyśle,
Naprzykład do Warszawy? Lub wie brat, co myślę....
Żeby do Peterburka? Ja pewnie tej zimy
Pojadę tam dla sprawy; razem ułożymy
Co zrobić z Tadeuszem. Znam tam wiele osób,
Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób.
Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,
A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,
Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci
Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,
Mając już i znaczenie i znajomość świata
I cóż brat myśli o tem?" — „Już w młode lata,
Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,
Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzeć;
Ja za młodu niemało świata objechałem;
Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem
Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy
Forytując, jeździłem nawet do Warszawy:
Człek niemało skorzystał! Chciałbym i synowca
Wysłać pomiędzy ludzi, prosto jak wędrowca,
Jak czeladnika, który terminuje lata,
Ażeby nabył trochę znajomości świata
Nie dla rang, ni orderów, proszę uniżenie,
Ranga z faworu, order, cóż to za znaczenie?
Któryż to z dawnych panów, ba nawet dzisiejszych,
Dba o podobne fraszki? przecież są w estymie
U ludzi; bo szanujem w nich ród, dobre imię,
Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem
Obywatelskim, nie zaś czyimś tam faworem."
Telimana przerwała: „Jeźli brat tak myśli,
Tem lepiej, więc go jako wojażera wyślij."
„Widzi siostra," rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie głowę,
„Chciałbym bardzo, cóż, kiedy mam trudności nowe!
Pan Jacek niewypuszcza z opieki swej syna,

I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna
Robaka, który przybył z tamtej strony Wisły,
Przyjaciel brata, wszystkie wie jego zamysły;
A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,
I chcą by się ożenił, aby pojął Zosię,
Wychowankę Wać Pani. Oboje dostaną,
Oprócz fortunki mojéj, z łaski Jacka wiano
W kapitałach; wiesz Aśćka że ma kapitały,
I z łaski jego mam też fundusz prawie cały:
Ma więc prawo rozrządzać — Aśćka pomyśl o tém,
Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem;
Trzeba ich z sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,
Szczególnie Zosia mała: lecz to nic nieszkodzi:
Czasby już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,
Bo wszakci to już pono wyrasta z dziecięcia."
Telimena zdziwiona i prawie wylękła,
Podnosiła się coraz, na szalu uklękła,
Zrazu słuchała pilnie, potém dłoni ruchem
Przeczyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,
Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa
Napowrót w usta mówcy —
„A! A! to rzecz nowa!
Czy to Tadeuszowi szkodzi, czy nie szkodzi,
Rzekła z gniewem, sądź o tém sam WPan Dobrodziej!
Mnie, nic do Tadeusza; sami o nim radźcie,
Zróbcie go ekonomem, lub w karczmie posadźcie,
Niech szynkuje, lub z lasu niech zwierzynę znosi:
Z nim sobie co zechcecie, zróbcie. Lecz do Zosi?
Co Waćpaństwu do Zosi? Ja jéj ręką rządzę,
Ja sama! Że Pan Jacek dawał był pieniądze
Na wychowanie Zosi i że jéj wyznaczył
Małą pensyjkę roczną, więcéj przyrzec raczył:
Toć jéj jeszcze nie kupił. Zresztą, Państwo wiecie,
I dotąd jeszcze wiadomo na świecie,
Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu...
Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu."
(Téj części mowy Sędzia słuchał z niepojętém
Pomieszaniem, żałością i widocznym wstrętem;
Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił,
I ręką potakując, mocno się zapłonił.)
Telimena kończyła: „Byłam jéj piastunką,
Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.
Nikt oprócz mnie nie będzie myślił o jéj szczęściu" —
„A jeźli ona szczęście znajdzie w tém zamęściu?
Rzekł Sędzia wzrok podnosząc; jeźli Tadeuszka

Podoba? — „Czy podoba? to na wierzbie gruszka!
Podoba, niepodoba: a to mi rzecz ważna!
Zosia niebędzie, prawda, partya posażna;
Ale też nie jest z lada wsi, lada szlachcianka,
Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,
Rodzi się z Hereszkówny! małżonka dostanie!
Staraliśmy się tyle o jéj wychowanie!
Chybaby tu zdziczała.“ — Sędzia pilnie słuchał,
Patrząc w oczy; zdało się że się udobruchał,
Bo rzekł dosyć wesoło: „No, to i cóż robić!
Bóg widzi, szczerze chciałem interesu dobić;
Tylko bez gniewu. Jeźli Aśćka się niezgodzi,
Aśćka ma prawo; smutno — gniewać się nie godzi.
Radziłem, bo brat kazał; nikt tu nieprzymusza.
Gdy Aśćka rekuzuje Pana Tadeusza,
Odpisuję Jackowi, że nie z mojéj winy
Niedojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.
Teraz sam będę radzić. Pono z Podkomorzym
Zagaimy swatostwo i resztę ułożym.“
Przez ten czas Telimena ostygła z zapału:
„Ja nic nie rekuzuję, braciszku, pomału!
Sam mówiłeś, że jeszcze zawcześnie — zbyt młodzi:
Rozpatrzmy się, czekajmy, nic to niezaszkodzi,
Poznajmy z sobą Państwo młodych, będziem zważać;
Nie można szczęścia drugich tak na traf narażać
Ostrzegam tylko wcześnie: niech brat Tadeusza
Nienamawia, kochać się w Zosi nieprzymusza;
Bo serce niejest sługa, nie zna co to pany,
I nieda się przemocą okuwuć w kajdany.“—
Zaczém Sędzia, powstawszy, odszedł zamyślony;
Pan Tadeusz z przeciwnéj przybliżył się strony,
Udając, że szukanie grzybów tam go zwabia,
W tymże kierunku zwolna posuwa się Hrabia.
Hrabia podczas Sędziego sporów z Telimeną,
Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną.
Dobył z kieszeni papier i ołówek, sprzęty
Które zawsze miał z sobą, i na pień wygięty
Rozpiąwszy kartkę, widać że obraz malował,
Mówiąc sam z sobą: „Jakbyś umyślnie grupował:
Ten na głazie, ta w trawie; grupa malownicza!
Głowy charakterowe! z kontrastem oblicza!“
„Pani, rzekł Hrabia, racz méj śmiałości darować;
Przychodzę i przepraszać i razem dziękować.
Przepraszać, że jéj kroków śledziłem ukradkiem;
I dziękować, że byłem jej dumania świadkiem.

Tyle ją obraziłem! winienem jéj tyle!
Przerwałem chwilą dumań; winienem ci chwile
Natchnienia, chwile błogie! potępiaj człowieka;
Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!
Na wielem się odważył, na więcéj odważę:
Sądź!“ tu ukląkł i podał swoje peizaże.

Telimena sądziła malowania próby
Tonem grzecznéj, lecz sztukę znającéj osoby;
Skąpa w pochwały, lecz nie szczędziła zachętu:
„Brawo, rzekła, winszuję, niemało talentu,
Tylko Pan niezaniedbuj; szczególniéj potrzeba
Szukać pięknéj natury! . . . O szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
Wy klasyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
To Hrabio kraj malarzów! U nas, żal się Boże! . . .
Dziecko muz, w Soplicowie oddane na mamki,
Umrze pewnie... Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
Albo w Album umieszczę, do rysunków zbiorku,
Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biórku.“

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,
Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.

A przecież, w około nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna, jak menada, z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
A niżéj, dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stające panny i młodzieńce
W koło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem:
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
A daléj, jakby starce na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
Tam matrony topole, mechami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się, nudząc niepomału,
Długą rozmową, w której niemógł brać udziału;
Aż, gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,
I wyliczać z kolei wszystkich drzew rodzaje:
Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały.
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi:
Tadeusz nieprzestawał dąsać się i zżymać,
Nakoniec niemógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:
„Widziałem w botanicznym Wileńskim ogrodzie,
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie
I na południu, w owéj pięknéj Włoskiéj ziemi:
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes, z długiemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna, karlica z złocistemi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobiéta mała, brzydka lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem, nie smutku lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutnie wygląda na grobie;
Jest to jak lokaj sztywny we dworskiéj żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczém nie sprzeciwić.

„Czyż nie piękniejsza nasza, poczciwa brzezina,
Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!
Czemuż Pan Hrabia, jeźli w malarstwie się kocha,
Nie maluje drzew naszych pośród których siedzi?
Prawdziwie, będą z Pana żartować sąsiedzi,
Że mieszkając na żyznéj Litewskiej równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie."

„Przyjacielu, rzekł Hrabia, piękne przyrodzenie
Jest formą, tłem, materyą, a duszą — natchnienie,
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
Niedość jest przyrodzenia, niedosyć zapału:
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się!
Dowiesz się o tém wszystkiem z książek w swoim czasie...

Co się tycze malarstwa: do obrazu trzeba
Punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba...
Nieba włoskiego! Stąd też, w kunszcie peizażów,
Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów!
Stąd też, oprócz Brejgela, (lecz nie Van der Helle,
Ale peizażysty: bo są dwaj Brejgele)
I oprócz Ruisdalla, na całéj północy
Gdzież był peizażysta który, pierwszéj mocy?
Niebios, niebios potrzeba." — „Nasz malarz Orłowski.*)
Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski.
(Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,
Że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba)
Orłowski, który życie strawił w Peterburku,
Sławny malarz (mam jego kilka szkiców w biórku)
Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raju:
A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił po kraju!
Lubił ciągle wspominać swéj młodości czasy,
Wystawiał wszystko w Polszcze: ziemię, niebo, lasy..."

„I miał rozum! zawołał Tadeusz z zapałem.
Te państwa niebo Włoskie, jak o niém słyszałem,
Błękitne, czyste: wszak to jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas, dość głowę podnieść: ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z saméj gry obłoków!
Bo każda chmura inna: naprzykład jesienna
Pełznie jak żółw leniwo, ulewą brzemienna.
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi;
Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać w koło: nawet te codzienne,
Patrzcie Państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A z tyłu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi:
Sciskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie
Przelatują jak tabun rumaków po stepie:
Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się — nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle:
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnéj równinie!

Wtém dzwon zadzwonił. Echem z głębi cichych lasów

*) Malarz z czasów najnowszych; umarł w Petersburgu.

Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów;
Odgłos to był szukania i nawoływania,
Hasło zakończonego na dziś grzybo-brania,
Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy,
Jak się Hrabiemu zdało: owszem obiadowy.
Dzwon ten, w każde południe krzyczący z poddasza,
Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:
Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczaju,
I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju
Wychodziła gromada niosąca krobeczki,
Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,
Pełne grzybów; a Panny w jednym ręku niosły
Jako wachlarz zwiniony, borowik rozrosły,
W drugiém, związane razem, jakby polne kwiatki,
Opieńki, i rozlicznej barwy surojadki.
Wojski miał muchomora. Z próżnemi przychodzi
Rękami Telimena; z nią Panicze młodzi.
Goście weszli w porządku i stanęli kołem:
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży;
Obok stał Kwestarz; Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie;
Podano w kolej wódkę: zaczem wszyscy siedli,
I chołodziec litewski, milczkiem, żwawo jedli.
Obiadowano ciszéj niż się zwykle zdarza;
Nikt niegadał, pomimo wezwań gospodarza.
Strony biorące udział w wielkiéj o psów zwadzie,
Myśliły o jutrzejszéj walce i zakładzie.
Przemijały w milczeniu talerze i dania:
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania
Gość niespodziany. Szybko wpadając gajowy,
Niezważał nawet, że czas właśnie obiadowy,
Podbiegł do Pana; widać z postawy i z miny,
Że ważnej i niezwykłéj jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie.
On odetchnąwszy nieco, rzekł: „Niedźwiedź Mospanie!"
Resztę wszyscy odgadli: że zwierz z mateecznika
Wyszedł, że w Zaniemeńską puszczę się przemyka,
Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,
Choć ani się radzili, ani namyślali;
Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,
Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,
Które, wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu,
Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.

„Na wieś! zawołał Sędzia, hej konno, setnika,
Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika;
Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny."
„Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,
Dobiedz w cwał do mojego dworu; wziąć co żywo
Dwie pijawki, które w całej okolicy słyną*),
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu,
I przystawić je tutaj konno dla pośpiechu."
— „Wańka! krzyknął na chłopca Assessor po rusku,
Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na brusku:
Wiesz, tasak co od księcia miałem w podarunku;
Pas opatrzyć, czy kula jest w każdym ładunku."
— „Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu!"
Assessor wołał ciągle: „ołowiu! ołowiu!
Formę do kul mam w torbie." — „Do księdza Plebana
Dać znać, dodał pan Sędzia, żeby jutro zrana
Mszę miał w kaplicy leśnej: króciuchna oferta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta."
Po wydanych rozkazach nastało milczenie,
Każdy dumał i rzucał do koła wejrzenie,
Jak gdyby kogoś szukał: zwolna wszystkich oczy
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:
Znak to był, że szukają na przyszłą wyprawę
Wodza, i że Wojskiemu oddają buławę.
Wojski powstał, zrozumiał towarzyszów wolę,
I uderzywszy ręką poważnie po stole,
Pociągnął złocistego z zanadrza łańcuszka,
Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka:
„Jutro, rzekł, pół do piątej, przy leśnéj kaplicy
Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy."
Rzekł, i ruszył od stołu; za nim szedł gajowy:
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.
Tak wodze, gdy na jutro bitwę zapowiedzą,
Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,
Lub na płaszczach i siodłach śpią próżni kłopotu;
A wodze śród cichego dumają namiotu.
Przerwał się obiad, dzień zszedł na kowaniu koni,
Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni;
U wieczerzy zaledwo kto przysiadł do stoła;
Nawet strona Kusego z Partyą Sokoła

*) Pijawki, rodzaj psów angielskich, małych a silnych, używano do łowów na wielkiego zwierza.

Przestała dawnym wielkim zatrudniać się sporem:
Pobrawszy się pod ręce, Rejent z Assessorem
Wyszukują ołowiu. Reszta spracowana
Szła spać wcześnie, ażeby przebudzić się zrana.

Łowy.

Rówienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,
I Giedymina, kiedy na Ponarskiéj górze
Przy ognisku myśliwskiém, na niedźwiedziéj skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym *),
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiéj wilczycy,
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów:
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak, ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu ich postać, ich lice:
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje,
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiém męztwem,
Daléj spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem:
Daléj co krok czychają niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich niedośledzą,
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą.)

*) W. Książę Giedymin miał podobno sen na górze Ponarskiéj o wilku żelaznym, za radą Wajdeloty Lizdejki założył Wilno.

Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, ziōnąc woń plugawą,
Od któréj drzewa w koło tracą liść i korę:
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.
Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niéj są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niéj, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniéj para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory
Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,
I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;
Daléj zaś, jak podwładni, szlachetni wassale,
Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale;
Nad głowami Sokoły, i Orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz, kędy blizcy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci:
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, Sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smentarz; nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Słychać że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacyą ludzką niepopsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennéj sztuki.
Jak ojce żyli w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcy gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud, i Trwoga, i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zacietkłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznéj ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
I długo potém ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
W języku swoim strzelcy zowią: Mateczniki.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w Mateczniku siedział,
Nigdyby się o tobie Wojski niedowiedział.
Ale, czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność:
Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził,
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyśledził.
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi.
Teraz Wojski z obławą, już od Matecznika,
Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Cicho. — Próżno myśliwi natężają ucha;
Próżno, jak najciekawszéj mowy, każdy słucha
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka:
Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.
Psy nurtują po puszczy, jak pod morzem nurki,
A strzelcy obróciwszy do lasu dwururki,
Patrzą Wojskiego. Ukląkł, ziemię uchem pyta;
Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta
Wyrok życia lub zgonu miłéj im osoby:
Tak strzelcy ufni w sztuki Wojskiego sposoby,

Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.
„Jest! jest!“ wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.
On słyszał! oni jeszcze słuchali! nareszcie
Słyszą: jeden pies wrzasnął, potém dwa, dwadzieścia,
Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą, w padły na trop, grają,
Ujadają. Już nie jest to powolne granie
Psów goniących zająca, lisa albo łanie;
Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
To nie na ślad daleki ogary napadły.
Na oko gonią. Nagle ustał krzyk pogoni:
Doszli zwierza. — Wrzask znowu, skowyt — zwierz się broni
I zapewne kaleczy: śród ogarów grania,
Słychać coraz to częściéj jęk psiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się jak łuk naprzód z wciśnioną w las głową.
Niemogą dłużéj czekać! Już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszczę się wciska,
Chcąc pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem:
Nie było rady! Wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli. Trzy strzelby huknęły od razu;
Potém wciąż kanonada, aż głośniéj nad strzały
Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
Ryk okropny! boleści, wściekłości, rozpaczy;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy
Grzmiały ze środka puszczy. Strzelcy ci w las spieszą,
Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;
Jeden Wojski w żałości, krzyczy że chybiono.
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną
Na przełaj zwierza, między ostępem i puszczą,
A niedźwiedź, odstraszony psów i ludzi tłuszczą,
Zwrócił się nazad w miejsca mniéj pilnie strzeżone
Ku połom, skąd już zeszły strzelcy rozstawione,
Gdzie tylko pozostali, z mnogich łowczych szyków,
Wojski, Tadeusz, Hrabia z kilką obławników.

Tu las był rzadszy. Słychać z głębi ryk, trzask łomu,
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź nakształt gromu;
W koło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał wkoło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami, to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie

Rwał, waląc w psów i w ludzi, aż wyłamał drzewo,
Kręcąc niém jak maczugą, na prawo, na lewo,
Runął wprost na ostatnich strażników obławy:
Hrabię i Tadeusza. Oni bez obawy
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnéj chmury;
Aż oba, jednym razem, pociągnęli kurki,
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwururki:
Chybili. Niedźwiedź skoczył; oni tuż utkwiony
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
Wydzierali go sobie. Spojrzą, aż tu z pyska
Wielkiego, czerwonego dwa rzędy kłów błyska,
I łapa z pazurami już się na łby spuszcza:
Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza
Zmykali. Zwierz za nimi wspiął się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry,
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
Zdarłby mu czaszkę z mozgów, jak kapelusz z głowy;
Gdy Assessor z Rejentem wyskoczyli z boków,
A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,
Z nim Robak, choć bez strzelby: i trzej, w jednej chwili,
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami,
I głową na dół runął, i czterma łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemię
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.
Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię; w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wicher, wirowatym dechem,
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze zadziwieni,
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nię wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rześki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą; to psów granie:

A gdzieniegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.
Zadął znowu. Myśliłbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego, to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło
Ryknął; potém beczenie żubra wiatr rozdarło.
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowéj arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.
Dmie znowu. Jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!...
Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu.
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałém, promienném,
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.
Uciszono się z wolna, i oczy gawiedzi
Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi.
Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,
Piersiami w gęszczę trawy wplątany i wbity;
Rozprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,
Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,
Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;
Pijawki Podkomorzego dzierżą go pod uszy:
Z lewéj strony Strapczyna, a z prawéj zawisał
Sprawnik, i dusząc gardziel krew czarną wysysał.
Zaczém Wojski rozkazał kij żelazny włożyć
Psom między zęby, i tak paszczęki roztworzyć.
Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,
I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

„A co? — krzyknął Assessor, kręcąc strzelby rurą, —
A co? fuzyjka moja? dórą nasi górą!
A co? fuzyjka moja? Niewielka ptaszyna,*)
A jak się popisała? To jéj nie nowina:
Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku;
Od książęcia Sanguszki mam ją w podarunku.“
Tu pokazywał strzelbę przedziwnéj roboty,
Choć maleńką, i zaczął wyliczać jéj cnoty.
„Ja biegłem — przerwał Rejent otarłszy pot z czoła —
Biegłem tuż za niedźwiedziem; a Pan Wołski woła
Stój na miejscu! Jak tam stać? Niedźwiedź w pole wali,
Rwąc z kopyta jak zając coraz dalej, dalej;
Aż mi ducha nie stało, dobiedz ni nadziei...
Aż spojrzę w prawo: sadzi, a tu rzadko w kniei...
Jak też wziąłem na oko: postójże marucha,
Pomyśliłem, — i basta: ot leży bez ducha!
Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis: Sagalas Loudon à Bałabanówka...“
(Sławny tam mieszkał ślósarz Polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił.)
Jakto, parsknął Assessor, do kroćset niedźwiedzi!
To to niby Pan zabił? Co też to Pan bredzi?“
„Słuchajno, odparł Rejent, tu Panie nie śledztwo,
Tu obława, tu wszystkich weźmiem na świadectwo...“
Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta:
Ci stronę Assessora, ci brali Rejenta.
O Gerwazym niewspomniał nikt: bo wszyscy biegli
Z boków, i co się z przodu działo nie postrzegli.
Wojski głos zabrał: „Teraz jest przynajmniéj za co;
Bo to Panowie nie jest ów szarak ladaco,
To niedźwiedź: tu już nie żal poszukać odwetu,
Czy szerpentyną, czyli nawet z pistoletu.
Spór wasz trudno pogodzić; więc dawnym zwyczajem,
Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.
Pamiętam, za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów,
Mieszkali na dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domejko a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili,
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.

*) Ptaszynki są strzelby małego kalibru.

Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historyę całą...“

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził.
On niedźwiedzia z uwagą dokoła obchodził;
Nareszcie dobył tasak, rozciął pysk na dwoje,
I w tyłcu głowy, mozgu rozkroiwszy słoje,
Znalazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,
Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył,
A potém dłoń podnosząc i kulę na dłoni:
„Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszéj broni,
Ona z téj Horeszkowskiéj wyszła jednorurki,
(Tu podniósł flintę starą, obwiązaną w sznurki)
Lecz nie ja wystrzeliłem. O, trzeba tam było
Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!
Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,
A niedźwiedź z tyłu już, już, na Hrabiego głowie,
Ostatniego z Horeszków!... chociaż po kądzieli.
Jezus Marya, krzyknąłem; i Pańscy anieli
Zesłali mi na pomoc Księdza Bernardyna,
On nas wszystkich zawstydził; oj, dzielny Księżyna!
Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił,
On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił:
Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić!
I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!
Panowie! długo żyję: jednego widziałem
Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.
Ów głośny niegdyś u nas z tylu pojedynków,
Ów co korki kobiétom wystrzelał z patynków,
Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,
Ów Jacek, vulgo Wąsal — nazwiska niewspomnę..
Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;
Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.
Chwała Księdzu! dwom ludziom on życie ocalił —
Może i trzem: Gerwazy nie będzie się chwalił,
Ale gdyby ostatnie z krwi Horeszków dziecie
Wpadło w bestyi paszczę, niebyłbym na świecie.
I mojeby tam stare pogryzł niedźwiedź kości:
Pójdź Księże, wypijemy zdrowie Jegomości.“

Próżno szukano Księdza: wiedzą tylko tyle,
Że po zabiciu zwierza zjawił się na chwilę,
Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,
A widząc, że obadwa cali są i zdrowi,
Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,
I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił,

Tymczasem na Wojskiego rozkaz pęki wrzosu,
Suche chrósty i pniaki rzucono do stosu;
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,
I rozszerza się w górze nakształt baldakimu.
Nad płomieniem, oszczepy złożono w koziołki;
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;
Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczyste
I chleb.
Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
W którém rzędami flaszek białe sterczą głowy:
Wybiera z nich największy kufel kryształowy.
(Dostał go Sędzia w darze od Księdza Robaka)
Wódka to Gdańska, napój miły dla Polaka:
„Niech żyje! krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę, —
Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!“
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.
W kociołkach bigos grzano. W słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną:
Słów tylko brzęk usłyszy i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.
Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
Która wedle przysłowia sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotném okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wyciśnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
I powietrze dokoła zionie aromatem.
Bigos już gotów. Strzelcy z trzykrotnym wiwatem,
Zbrojni łyżkami, biegą i bodą naczynie,
Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,
Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.
Kiedy się już do woli napili, najedli,
Zwierza na wóz złożyli, sami na koń siedli,
Radzi wszyscy, rozmowni, oprócz Assessora
I Rejenta; ci byli gniewliwsi niż wczora,
Kłócąc się o zalety, ten swéj Sanguszkówki,
A ten bałabanowskiéj swéj Sagalasówki.
Hrabia też i Tadeusz jadą nie weseli,
Wstydząc się że chybili i że się cofnęli:

Bo na Litwie, kto zwierza wypuści z obławy,
Długo musi pracować, nim poprawi sławy.
Hrabia mówił, że pierwszy do oszczepu godził,
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził:
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy,
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,
Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy
Przymawiali, śród gwaru i wrzasku czeredy.
Wojski jechał po środku: staruszek szanowny,
Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny.
Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,
Kończył im o Dowejce i Domejce powieść.
„Assessorze, jeżeli chciałem, byś z Rejentem
Pojedynkował, nie myśl że jestem zawziętym
Na krew ludzką; broń Boże! Chciałem was zabawić,
Chciałem wam komedyę niby to wyprawić,
Wznowić koncept, który ja, lat temu czterdzieście
Wymyśliłem — przedziwny! Wy młodzi jesteście,
Nie pamiętacie o nim; lecz za moich czasów,
Głośny był od téj puszczy do poleskich lasów.
„Domejki i Dowejki wszystkie przeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików,
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: daj kreskę Dowejce;
A ten niedosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie Marszałek Rupejko
Wiwat Dowejko, drudzy krzyknęli Domejko;
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnéj mowie w czas obiadu.
„Gorzéj było. Raz w Wilnie, jakiś szlachcic pijany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany:
Potém ów szlachcic z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada, kto on? odpowie: Dowejko; —
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki,
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąs Dowejki.
Wreszcie jak na dobitkę trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blizko siebie oba imiennicy,
I do jednéj strzelili razem Niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwéj niosła z dziesiątek kul w brzuchu;

Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób:
Kto zabił Niedźwiedzicę? dójdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: „dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć;
Dwóch nas jak dwóch słońc pono, zanadto na świecie."
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą
Zmienili broń: od szabel szło na pistolety;
Stają, krzyczym że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelali. — Sekunduj Hreczecha!
Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczém;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym;
Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy,
Chcecie strzelać się rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszéj, ani z bliższéj mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi
Jako sekundant, skórę rozciągnę na ziemi,
I ja sam was ustawię: Waść po jednéj stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.
Zgoda! wrzaśli: czas? — jutro; miejsce? — Karczma Usza.
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza..."

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: Wyczha! tuż z pod koni
Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokół goni.
Psy wzięto na obławę: wiedząc, że z powrotem
Na polu łatwo można napotkać się z kotem;
Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
Wprzód nim strzelcy poszczuli już za nim pobiegły.
Rejent też i Assessor chcieli końmi natrzeć;
Lecz Wojski wstrzymał krzycząc: „Wara! stać i patrzeć!
Nikomu krokiem ruszyć z miejsca niedozwolę;
Stąd widzim wszyscy dobrze, zając idzie w pole."
W istocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnie,
Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,
Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,
Rrzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.
Pył za nim, psy za pyłem; zdaleka się zdało,
Że zając, pył i charty jedno tworzą ciało:

Jakby jakaś przez pole suwała się żmija,
Kot jak głowa, pył z tyłu jakby modra szyja,
A psami jak podwójnym ogonem wywija.
Rejent, Assessor patrzą; otworzyli usta,
Dech wstrzymali. Wtém Rejent pobladnął jak chusta;
Zbladł i Assessor; widzą — fatalnie się dzieje:
Owa żmija im dalej, tém bardziej dłużeje,
Już rwie się w pół, już znikła owa szyja pyłu,
Głowa już blisko lasu, ogony, gdzie z tyłu!
Głowa niknie; raz jeszcze jakby kto kutasem
Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.
Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,
Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem.
Wreście wracają, zwolna skacząc przez zagony,
Spusciły uszy, tulą do brzucha ogony,
I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wznieść oczu,
I zamiast iść do Panów, stały na uboczu.
Rejent spuścił ku piersiom zasępione czoło,
Assessor rzucał okiem, ale nie wesoło;
Potém zaczęli oba słuchaczom wywodzić:
Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,
Jak kot z nienacka wypadł, jak źle był poszczuty
Na roli, gdzie psom chyba trzebaby wdziać buty,
Tak pełno wszędzie głazów i ostrych kamieni...
Mądrze rzecz wyłuszczali szczwacze doświadczeni;
Myśliwi z tych mów wiele mogliby korzystać,
Lecz nie słuchali pilnie. Ci zaczęli świstać,
Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci
Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.
Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił;
Widząc że uciekł, głowę obojętnie zwrócił
I kończył rzecz przerwaną: „Na czém więc stanąłem?
A ha! na tém, że obu za słowo ująłem
Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę...
Szlachta w krzyk: to śmierć pewna! prawie rura w rurę.
A ja w śmiech; bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą.
Wszak wiecie Waćpanowie, jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał:
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.
„Ledwie dniało, już z jednéj strony taradejką,
Jedzie Dowejko, z drugiéj na koniu Domejko.

Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziéj, porzniętéj na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednéj strony, Domejkę zaś po drugiéj stronie.
Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was niespuszczę, aż się pogodzicie....
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z Księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewanielii, z Statutów dowodzić;
Niema rady: — śmieli się i musieli zgodzić.
„Spór ich potém w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił;
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek."

Wieczerza. — Klucznik. — Kłótnia.

Wieczerzano w zamczysku. Uparty Protazy,
Niedbając na wyraźne Sędziego zakazy,
W niebytność Państwa znowu do zamku szturmował,
I kredens doń (jak mówi) zaintromitował.
Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem:
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna,
Po prawéj stronie męża, ma Podkomorzyna.
Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,
Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił;
Mężczyznom dano wódkę; zaczém wszyscy siedli,
I chłodnik zabielany milcząc żwawo jedli.
Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,
W towarzystwie kielichów Węgrzyna, Malagi;
Jedzą, piją, a milczą wszyscy. Nigdy pono
Od czasu jako mury zamku podźwigniono,
Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,
Tyle wesołych słyszał i odbił wiwatów,
Niepamiętano takiéj posępnéj wieczerzy;
Tylko pukanie korków i brzęki talerzy,
Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:
Rzekłbyś, iż zły duch gościom zasznurował usta.
Mnogie były powody milczenia. Myśliwi
Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi,
Lecz gdy zapał ochłonął, myśląc nad obławą,

Postrzegają, że wyszli z niéj nie z wielką sławą:
Trzebaż było ażeby jeden kaptur popi,
Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z konopi,
Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!
Cóż o tém będą gadać w Oszmianie i Lidzie,
Które od wieków walczą z tutejszym powiatem
O pierwszeństwo w strzelectwie? Myśleli więc nad tém.
Zaś Assessor i Rejent prócz wspólnych niechęci,
Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.
W oczach im stoi niecny kot: skoki wyciąga,
I omykiem z pod gaju kiwając urąga,
I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem...
Siedzieli z pochyloném ku misie obliczem.
W najweselszém zebraniu, niech się kilku gniewa,
Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa.
Nawet Pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,
Nie miał ochoty gadać, widząc swoje córy,
Posażne i nadobne Panny, w wieku kwiecie,
Zdaniem wszystkich najpierwsze partye w powiecie,
Milczące, zaniedbane od milczącej młodzi.
Gościnnego Sędziego również to obchodzi;
Wojski zaś uważając że tak wszyscy milczą,
Nazywał tę wieczerzę nie polską, lecz wilczą.
Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,
Sam gawęda, i lubił niezmiernie gaduły.
Nie dziw! Ze szlachtą strawił życie na biesiadach,
Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach:
Przywykł, żeby mu zawsze coś bębniło w uchu,
Nawet wtenczas gdy milczał, lub z placką za muchą
Skradał się, lub zamknąwszy oczy siadał marzyć;
W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć
Pacierze różańcowe, albo gadać bajki.
Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,
Wymyślonéj od Niemców by nas zcudzoziemczyć:
Mawiał: Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć.
Starzec wiek przegwarzywszy chciał spoczywać w gwarze;
Milczenie go budziło ze snu: tak młynarze
Uśpieni kół turkotem, ledwie staną osie,
Budzą się krzycząc z trwogą; a słowo stało się.
Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,
A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,
Prosząc o głos. Panowie na ten ukłon niemy
Odkłonili się oba, co znaczy: prosiemy.
Wojski zagaił:
„Śmiałbym upraszać młodzieży,

Ażeby po staremu bawić u wieczerzy,
Nie milczeć i żuć: czy my Ojce Kapucyni?
Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,
Jako myśliwiec, który nabój rdzawi w strzelbie:
Dla tego ja rozmówność naszych przodków wielbię,
Po łowach szli do stołu, nietylko by jadać,
Ale aby nawzajem mogli się wygadać,
Co każdy miał na sercu: nagany, pochwały
Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,
Miła uchu myśliwców, jak druga obława.
Wiem, wiem o co wam idzie. Ta czarnych trosk chmura
Pono z Robakowego wzniosła się kaptura!
Wstydzicie się swych pudeł: Niech was wstyd nie pali:
Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiali;
Trafiać, chybiać, poprawiać, to koléj strzelecka.
Ja sam, chociaż ze strzelbą włóczę się od dziecka,
Chybiałem! chybiał ów sławny strzelec Tułoszczyk,
Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.
O Rejtanie opowiem później. Co się tycze
Wypuszczenia z obławy, że oba panicze
Zwierzowi jak należy kroku niedostali,
Choć mieli oszczep w ręku, tego nikt nie chwali,
Ani gani: bo zmykać, mając nabój w rurze,
Znaczyło po staremu być tchórzem na tchórze;
Toż wystrzelić na oślep (jak to robi wielu),
Nie przypuściwszy zwierza, nie wziąwszy do celu,
Jest rzecz haniebna: ale kto dobrze wymierzy,
Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,
Jeźli chybił, cofnąć się może bez sromoty,
Albo walczyć oszczepem — lecz z własnéj ochoty
A nie z musu: gdyż oszczep strzelcom poruczony
Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.
Tak było po staremu. A więc mnie zawierzcie,
I waszéj rejterady do serca niebierzcie,
Kochany Tadeuszku i Wielmożny Grafie;
Ilekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,
Wspomnijcie téż starego Wojskiego przestrogę:
Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,
Nigdy we dwóch nie strzelać do jednéj zwierzyny...“
 Właśnie Wojski wymawiał to słowo zwierzyny,
Gdy Assessor półgębkiem podszepnął: dziewczyny;
Brawo! krzyknęła młodzież. Powstał szmer i śmiechy;
Powtarzano z kolei przestrogę Hreczechy,
Mianowicie ostatnie słowo; ci zwierzyny,

A drudzy w głos śmiejąc się krzyczeli: dziewczyny.
 Nie myślił wcale Wojski przymawiać nikomu,
Ani uważał, co tam szepcą pokryjomu:
Rad bardzo, że mógł damy i młodzież rozśmieszyć,
Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć;
I zaczął, nalewając sobie kielich wina:
 „Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna;
Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia dzisiejszéj obławy.
Klucznik mówił, że tylko znał jednego człeka,
Co tak celnie jak Robak mógł strzelić zdaleka;
Ja zaś znałem drugiego: równie trafnym strzałem
Ocalił on dwóch panów; sam ja to widziałem,
Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów,
Tadeusz Rejtan poseł i Książe Denassów.
Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie;
Owszem, u stołu pierwsi wnieśli jego zdrowie,
Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,
I skórę zabitego dzika. O tym dziku
I o strzale, powiem wam, jak naoczny świadek:
Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek.
A zdarzył się największym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księciu Denassów.
 A wtém ozwał się Sędzia nalewając czaszę;
„Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce wasze!
Jeźli datkiem nie możem Kwestarza zbogacić,
Postaramy się przecież za proch mu zapłacić:
Ręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.
Lecz skóry księdzu nie dam: lub gwałtem zabiorę,
Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,
Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.
Skórą tą rozrządzimy wedle naszéj woli:
Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży;
Skórę Jaśnie Wielmożny pan nasz Podkomorzy
Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył.“
 Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;
Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał,
Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał,
Tamten psiarnię nawołał, ów zwierza nawrócił
Znowu w ostęp. Assessor z Rejentem się kłócił,
Jeden wielbiąc przymioty swojéj Sanguszkówki,
Drugi bałabanowskiéj swéj Sagalasówki.
 „Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,
Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa boży;

Lecz niełacno rozsądzić kto jest po nim drugi:
Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,
Wszyscy równi zręcznością, biegłością i męztwem.
Przecież, dwóch dziś odznaczył los niebezpieczeństwem,
Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura;
Tadeusz i Pan Hrabia; im należy skóra.
Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny),
Jako młodszy i jako Gospodarza krewny;
Więc spolia opima weźmiesz Mości Hrabia:
Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,
Niechaj pamiątką będzie dzisiejszéj zabawy,
Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłéj sławy.“
Umilknął wesół, myśląc, że Hrabię ucieszył,
Nie wiedział, jak boleśnie serce jego przeszył.
Bo Hrabia na strzeleckiéj komnaty wspomnienie,
Mimowolnie wzrok podniósł: a te łby jelenie,
Te gałęziste rogi, jakby las wawrzynów,
Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,
Te rzędami portretów zdobione filary,
Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,
Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości;
Zbudził się z marzeń, wspomniał, gdzie, u kogo gości:
Dziedzic Horeszków, gościem śród swych własnych progów,
Biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!
A przytém zawiść, którą czuł dla Tadeusza,
Tém mocniéj Hrabię przeciw Soplicom porusza.
Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: „Mój domek zbyt mały
Niema godnego miejsca na dar tak wspaniały;
Niech lepiéj niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy,
Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.“
Podkomorzy zgadując na co się zanosi,
Zadzwonił w tabakierę złotą, o głos prosi.
„Godzieneś pochwał, rzecze, Hrabio mój sąsiedzie,
Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie,
Nie tak jak modni wieku twojego panicze,
Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę
Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie;
Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie.
Mam już projekt zamiany; fundum wynagrodzić
Ziemią, w sposób następny.“ — Tu zaczął wywodzić
Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłéj zamiany.
Już był w połowie rzeczy: gdy ruch niespodziany
Wszczął się na końcu stoła: jedni coś postrzegli,
Wskazują palcem, drudzy oczyma tam biegli,
Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosy schylone,

Wstecznym wiatrem w przeciwną zwróciły się stronę,
W kąt.
Z kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka,
Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,
Z małych drzwiczek, ukrytych pomiędzy filary,
Wysunęła się cicho postać, nakształt mary.
Gerwazy; poznano go po wzroście, po licach,
Po srebrzystych na żółtéj kurcie Półkozicach.
Stąpał jako słup prosto, niemy i surowy,
Nie zdjąwszy czapki, nawet nieschyliwszy głowy;
W ręku trzymał błyszczący klucz jakby puginał,
Odemknął szafę i w niéj coś kręcić zaczynał.
Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,
Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;
Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,
Południe wskazywały często o zachodzie.
Gerwazy nie przybrał się machiny naprawić,
Ale bez nakręcenia niechciał jéj zostawić:
Dręczył kluczem zegary każdego wieczora.
Właśnie teraz przypadła nakręcenia pora;
Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę
Stron interesowanych, on pociągnął wagę:
Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,
Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rozprawę.
„Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę“
I kończył plan zamiany. Lecz Klucznik na psotę
Jeszcze silniéj pociągnął drugiego ciężaru;
I wnet gil, który siedział na wierzchu zegaru,
Trzepocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nóty.
Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda że popsuty,
Zająkał się i piszczał, im daléj tém gorzéj.
Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy.
„Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczéj puszczyku,
Jeźli dziób twój szanujesz, dość mi tego krzyku.“
Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył,
Prawą rękę poważnie na zegar położył;
A lewą wziął się pod bok. Tak oburącz wsparty,
„Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty;
Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach
Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach.
Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze
Nocą włazi, ten puszczyk, i ja go wystraszę.“
„Za drzwi z nim!“ Podkomorzy krzyknął.
„Panie Hrabia!
Zawołał Klucznik, widzisz Pan, co się wyrabia.

Czy niedosyć się jeszcze pański honor plami,
Że Pan jadasz i pijasz z tymi Soplicami;
Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,
Gerwazego Rębajłą, Horeszków Klucznika,
Lżyć w domu Panów moich, i Pan-że to zniesie!"
Wtem Protazy zawołał trzykroć: „Uciszcie się,
Na ustęp! Ja Protazy Baltazar Brzechalski,
Dwojga imion, Generał niegdyś trybunalski,
Vulgo Woźny, woźneńską obdukcyą robię
I vizyą formalną, zamawiając sobie
Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo,
I pana Assessora wzywając na śledztwo,
Z powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy:
O inkursyą, to jest o najazd granicy,
Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,
Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada."
„Brzechaczu, wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę"
I dobywszy z za pasa swe żelazne klucze,
Okręcił w koło głowy, puścił z całej mocy;
Pęk żelaza wyleciał, jako kamień z procy
Pewnie łeb Protazemu rozbiły na ćwierci:
Szczęściem schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wczyscy; chwilę była głucha
Cichość, aż Sędzia krzyknął: „w dyby tego zucha!
Hola chłopcy!" i czeladź rzuciła się żwawo
Ciasném przejściem pomiędzy ścianami i ławą.
Lecz Hrabia krzesłem w środku zagrodził im drogę
I na tym szańcu słabym utwierdziwszy nogę,
„Wara! zawołał, Sędzio! niewolno nikomu
Krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu:
Kto ma na starca skargę, niech mi ją przełoży."

Zyzem w oczy Hrabiemu spojrzał Podkomorzy:
„Bez Waścinéj pomocy ukarać potrafię
Zuchwałego szlachetkę; a Waść, Mości Grafie,
Przed dekretem ten zamek zawcześnie przywłaszczasz:
Nie Waść tu jesteś Panem, nie Waść nas ugaszczasz.
Siedź cicho jakeś siedział; jeźli siwéj głowy
Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy."

„Co mi? odmruknął Hrabia, dość już téj gawędy;
Nudźcie drugich waszemi względy i urzędy!"
Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Waćpaństwem
W pijatyki, które się kończą grubijaństwem;
Zdacie mi sprawę z mego honoru obrazy.
Do widzenia po trzeźwu; — pójdź za mną Gerwazy!"

Nigdy się odpowiedzi takiéj niespodziewał
Podkomorzy. Właśnie swój kieliszek nalewał,
Gdy zuchwalstwem Hrabiego rażony jak gromem,
Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,
Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,
Oczy rozwarł szeroko, usta wpół otworzył;
Milczał, lecz kielich w ręku tak potężnie cisnął,
Że szkło dźwięknąwczy pękło, płyn w oczy mu prysnął.
Rzekłbyś, że z winem, ognia w duszę się nalało,
Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało.
Zerwał się mówić; pierwsze słowo niewyraźnie
Mlel w ustach, aż przez zęby wyleciało: „Błaźnie!
Grafiątko! Ja cię! Tomasz, karabelę! Ja tu
Nauczę ciebie mores, błaźnie, daj go katu!
Względy, urzędy nudzą, uszko delikatne!
Ja cię tu zaraz po tych zausznickach płatnę,
Fora za drzwi! Do korda! Tomasz, karabelę!"

Wtém do Podkomorzego skoczą przyjaciele;
Sędzia porwał mu rękę: „Stół Pan, to rzecz nasza,
Mnie tu naprzód wyzwano. Protazy, pałasza!
Puszczę go w taniec jako niedźwiadka na kiju."
Lecz Tadeusz Sędziego wstrzymał: „Panie stryju,
Wielmożny Podkomorzy, czyż się Państwu godzi
Wdawać się z tym fircykiem; czy tu niema młodzi?
Na mnie to zdajcie, ja go należycie skarcę;
A Waszeć, Panie śmiałku, co wyzywasz starce,
Obaczym, czyli jesteś tak strasznym rycerzem:
Rozprawimy się jutro, plac i broń wybierzem;
Dziś uchodź pókiś cały."

Dobra była rada:
Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie lada.
Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,
Ale z ostrego końca latały butelki
Koło Hrabiego głowy.

Tymczasem Gerwazy,
Wystawiony na stołków i butelek razy,
Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście
Rzuciła się nań zewsząd hurmem: gdy na szczęście
Zosia widząc szturm, skoczy i litością zdjęta,
Zasłania starca, na krzyż rozpiąwszy rączęta.
Wstrzymali się; Gerwazy zwolna ustępował,
Zniknął z oczu, szukano gdzie się pod stół schował:
Gdy nagle, z drugiéj strony, wyszedł jak z pod ziemi,
Podniósłszy w górę ławę ramiony silnemi,
Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,

Wziął Hrabię i tak oba, ławą zasłonieni,
Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,
Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrzał na wrogów.
Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,
Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie:
Obrał drugie. Już ławę jak taran murowy
W tył dźwignął dla zamachu; już ugiąwszy głowy,
Z wypiętą naprzód piersią, z podniesioną nogą,
Miał wpaść... ujrzał Wojskiego, uczuł w sercu trwogę.
Wojski, cicho siedzący z przymrużoném okiem,
Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiém.
Dopiero, gdy się Hrabia z Podkomorzym skłócił
I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił.
Zażył dwakroć tabaki i przetarł powieki.
Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,
Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,
O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.
Przypatrywał się zatém z ciekawością walce;
Wyciągnął z lekka na stół rękę, dłoń i palce,
Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia
Indexu, a żelazem zwrócony do łokcia;
Potém ręką w tył nieco wychyloną kiwał,
Niby bawiąc się: lecz się w Hrabiego wpatrywał.
Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznéj bitwie,
Już była zaniedbana podówczas na Litwie,
Znajoma tylko starym; Klucznik jéj próbował
Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niéj celował.
Widać z zamachu ręki, że silnie uderzy,
A z oczu łacno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy
(Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli)...
Mniéj baczni młodzi ruchów starca nie pojęli:
Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,
Cofa się ku drzwiom... „Łapaj!" krzyknęła gromada.
Jako wilk, obskoczony znienacka przy ścierwie,
Rzuca się oślep w zgraję co mu ucztę przerwie;
Już goni, ma ją szarpać: wtém, śród psiego wrzasku
Trzasło ciche półkurcze; wilk zna je po trzasku,
Śledzi okiem, postrzega że z tyłu, za charty,
Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty,
Rurą ku niemu wije i już cyngla tyka...
Wilk uszy spuszcza, ogon potuliwszy zmyka;
Psiarnia z tryumfującym rzuca się hałasem.
I skubie go po kudłach; zwierz zwraca się czasem,
Spojrzy, klapnie paszczęką, i białych kłów zgrzytem
Ledwie pogrozi; psiarnia pierzcha ze skowytem:

Tak i Gerwazy z groźną cofał się postawą,
Wstrzymując napastników oczyma i ławą,
Aż razem z Hrabią wpadli w głąb ciemnéj framugi.
„Łapaj!" krzykniono znowu. Tryumf był niedługi:
Bo nad głowami tłumu Klucznik niespodzianie
Ukazał się na chórze przy starym organie,
I z trzaskiem jął wyrywać ołowiane rury.
Wielkąby klęskę zadał, uderzając z góry:
Ale już goście tłumnie wychodzili z sieni;
Nieśmieli kroku dostać słudzy potrwożeni,
I chwytając naczynia w ślad Panów uciekli,
Nawet nakrycia z częścią sprzętów się wyrzekli.
Któż ostatni, niedbając na groźby i razy,
Ustąpił z placu bitwy? Brzechalski Protazy.
On, za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,
Ciągnął woźnieńskim głosem swoje oświadczenie,
Aż skończył, i z pustego szedł pobojowiska
Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.
W ludziach straty nie było; ale wszystkie ławy
Miały zwichnione nogi; stół także kulawy,
Obnażony z obrusa, poległ na talerzach
Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,
Między licznemi kurcząt i jendyków ciały,
W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Przygotowanie do Zajazdu. — Zaścianek.

Po chwili w Horeszkowskim samotnym budynku
Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.
Mrok zgęstniał; reszty pańskiéj wspaniałéj biesiady
Leżą, podobne uczcie nocnéj, gdzie na Dziady
Zgromadzać się zaklęte mają nieboszczyki.
Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki
Jak guślarze: zdaje się witać wschód miesiąca,
Którego postać oknem spadła na stół, drżąca,
Niby dusza czyscowa: z podziemu, przez dziury
Wyskakiwały, nakształt potępieńców, szczury:
Gryzą, piją; czasami w kącie zapomniana
Puknie na toast duchom butelka szampana.
Ale na drugiém piętrze, w izbie którą zwano,
Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,
Stał Hrabia na krużganku zwróconym ku bramie,
Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramię,
Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował,
I pierś surdutem jakby płaszczem udrapował.
Gerwazy chodził kroki wielkiemi po sali;

Obadwa zamyśleni do siebie gadali:
„Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą pałasze.“
„Zamek, rzekł Klucznik, i wieś, oboje to nasze.“
„Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemie
Wyzywaj!“ — „Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie
Zabieraj Pan!“ — To mówiąc zwrócił się do Hrabi:
„Jeżli Pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.
Po co proces, Mopanku! sprawa jak dzień czysta:
Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta;
Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,
I jak Pan wie, oddano władaniu Soplicy.
Nietylko tę część, wszystko zabrać im należy,
Za koszta procesowe, za karę grabieży.
Mówiłem Panu zawsze: procesów zaniechać;
Mówiłem Panu zawsze: najechać, zajechać!
Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiądzie,
Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.
Co się tyczy dawniejszych z Soplicami sprzeczek:
Jest na to od procesu lepszy scyzoryczek;
A jeżli Maciéj w pomoc da mi swą rózeczkę,
To my we dwóch — Sopliców tych porzniem na sieczkę.“
„Brawo! rzekł Hrabia, plan twój, gotycko-sarmacki,
Podoba się mi lepiéj, niż spór adwokacki.
Wiesz co, na całéj Litwie narobim hałasu
Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.
I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,
Jakąż bitwę widziałem! z chłopami o miedzę!
Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży.
Odbyłem taką jednę w czasie mych podróży.
Gdym w Sycylii bawił u pewnego książęcia,
Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,
I okupu od krewnych żądali zuchwale;
My, zebrawszy na prędce sługi i Wassale,
Wpadliśmy; ja dwóch zbójców ręką mą zabiłem,
Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.
Ach, mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,
Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!
Lud z kwiatami spotykał nas; — córka książęcia
Wdzięczna zbawcy, ze łzami padła w me objęcia
Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,
Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety;
Nawet wydrukowano o całém zdarzeniu
Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.
Romans ma tytuł: H r a b i a, c z y l i t a j e m n i c e
Z a m k u B i r b a n t e - r o k k a. Czy są tu ciemnice

W tym zamku?“ — „Są, rzekł Klucznik, ogromne piwnice,
Ale puste! bo wino wypili Soplice.“
„Dżokejów, wołał Hrabia, uzbroić we dworze,
Z włości wezwać Wassalów!“ — „Lokajów? broń Boże!
Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?
Kto widział zajazd robić z chłopstwem i z lokajstwem?
Mój Panie, na zajazdach nie znacie się wcale!
Wąsalów, co innego: zdadzą się wąsale;
Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,
W Dobrzynie, w Rzezikowie, w Ciętyczach, w Rąbankach
Szlachta odwieczna, w któréj krew rycerska płynie,
Wszyscy przychylni Panów Horeszków rodzinie,
Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!
Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlachciców;
To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca
I wyśpi się, bo jutro będzie wielka praca;
Pan spać lubi, już późno, drugi kur już pieje.
Ja tu będę pilnować zamku, aż rozdnieje,
A ze słoneczkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku.“
Na te słowa Pan Hrabia ustąpił z krużganku;
Ale nim odszedł, spojrzał przez otwór strzelnicy,
I widząc świateł mnóstwo w domostwie Soplicy:
„Illuminujcie! krzyknął, jutro o téj porze
Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze!..“
Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,
I pochylił ku piersiom czoło zadumane.
Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysy,
Gerwazy po nim kreślił palcem różne rysy;
Widać, że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.
Ciężą mu coraz bardziéj powieki brzemienne;
Bezwładną kiwnął szyją, czuł że go sen bierze,
Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.
Lecz między Ojczenaszém i Zdrowaś-Maryą,
Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:
Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne pany,
Ci niosą karabele, drudzy buzdygany,
Każdy groźnie spoziera i pokręca wąsa,
Składa się karabelą, buzdyganem wstrząsa:
Za nimi jeden cichy, posępny cień mignął,
Z krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,
Poznał Stolnika; zaczął w koło siebie żegnać,
I ażeby tém pewniej straszne sny rozegnać,
Odmawiał litanią o czyszczcowych duszach.
Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach. —
Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabele:

Zajazd! zajazd Korelicz i Rymsza na czele!
I ogląda sam siebie, jak na koniu siwym,
Z podniesionym nad głową rapierem straszliwym
Leci; rozpięta na wiatr szumi taratatka
Z lewego ucha spadła w tył konfederatka,
Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala,
I nakoniec Soplicę w stodole podpala.
Wtém ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,
I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.

Nieznacznie, z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy:
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu,
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu
Że słońce wstało, tędy ma zstąpić na ziemię;
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.
Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późnem śniadaniu.
One zwykły do gajów wracać o świtaniu:
Dziś okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,
Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią,
I na wolném powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.
I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa;
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś, u brzegów kałuży,
Klekce bocian. Na kopcach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwlokłe;
Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.
Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponury, tęskną, jednostajną,
Tém smutniejszą, że dźwięk jéj w mgłę bez echa wsiąka.
Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę sieкących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żelezca i w takt kują młotki.
Ludzi we mgle nie widać: tylko sierpy, kosy,
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.
W środku, na snopie zboża Ekonom usiadłszy
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,

Pogląda na gościniec, na drogi rozstajne,
Kędy działy się jakieś rzeczy nadzwyczajne.
Na gościńcu i drogach, od samego ranka,
Panuje ruch niezwykły. Stąd chłopska furmanka
Skrzypi, lecąc jak poczta: stąd szlachecka bryka
Cwałem turkocze, drugą i trzecią spotyka;
Z lewéj drogi posłaniec jak kuryer goni,
Z prawéj przebiegło w zawód kilkanaście koni:
Wszyscy śpieszą, ku różnym kierują się stronom,
Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom,
Chciał przypatrzyć się, spytać; długo stał nad drogą,
Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo,
Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy;
Tylko słychać raz po raz tentent kopyt głuchy,
I co dziwniejsza jeszcze, szczękanie pałaszy:
Bardzo to Ekonoma i cieszy i straszy,
Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,
Dawno już wieści głuche biegały o wojnie,
O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.
Miałyżby wojnę wróżyć ci jeźdźcy? te bronie?
Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,
Spodziewając się i sam czegoś się dowiedzieć.
W Soplicowie domowi i goście, po kłótni
Wczorajszéj, wstali z siebie nieradzi i smutni.
Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,
Mężczyznom próżno karty dają do marjasza:
Nie chcą bawić się, ni grać, siedzą cicho w kątkach,
Mężczyzni palą lulki, kobiety przy prątkach;
Nawet śpią muchy.
Wojski, rzuciwszy łopatkę,
Znudzony ciszą, idzie pomiędzy czeladkę;
Woli w kuchennéj słuchać ochmistrzyni krzyków,
Groźb i razów kucharza, hałasu kuchcików:
Aż go powoli wprawił w przyjemne marzenie,
Ruch jednostajny rożnów, kręcących pieczenie.
Sędzia od rana pisał, zamknąwszy się w izbie;
Woźny od rana czekał pod oknem na przyzbie.
Sędzia skończywszy pozew, Protazego wzywa,
Skargę przeciw Hrabiemu głośno odczytywa:
O skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy,
Zaś przeciw Gerwazemu o gwałty i razy;
Obudwu, o przechwałki, o koszta z powodu
Procesu, ciągnie w rejestr taktowy do grodu.
Pozew dziś trzeba wręczyć ustnie, oczywisto,
Nim zajdzie słońce. Woźny z miną uroczystą

Wyciągnął słuch i rękę, skoro pozew zoczył;
Stał poważnie, a radby z radości podskoczył.
Na samą myśl procesu czuł, że się odmłodził:
Wspomniał na dawne lata, gdy z pozwami chodził
Po guzy, ale razem po zapłaty hojne.
Tak żołnierz, który strawił życie tocząc wojnę,
A na starość w szpitalach spoczywa kaleki:
Skoro usłyszy trąbę lub bęben daleki,
Chwyta się z łoża, krzyczy przez sen: bij Moskala!
I na drewnianej nodze skacze ze szpitala,
Tak prędko, że go ledwie może złowić młodzież.
Protazy śpieszył włożyć swą woźnieńską odzież.
Przecież żupana ani kontusza nie kładzie:
One służą ku wielkiéj sądowej paradzie;
Na podróż ma strój inny; szerokie rajtuzy
I kurtę, któréj poły, podpięte na guzy,
Można zakasać albo spuścić na kolana:
Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,
Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słotą.
Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą;
Bo woźni przed procesem, jak szpiegi przed bojem,
Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.
Tak więc Woźny pośpieszył ku domowi Hrabi.
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,
Bieży ku niéj, a strzelców zna fortele skryte,
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę
I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,
Pyta wiatru, czy strzelcy jadła nie zatruli:
Protazy zeszedł z drogi i wzdłuż sianożęci
Krąży około domu, pałkę w ręku kręci,
Udaje, że obaczył kędyś bydło w szkodzie.
Tak zręcznie lawirując, stanął przy ogrodzie;
Schylił się, bieży, rzekłbyś iż derkacza tropi:
Ale nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.
W téj zielonéj, pachnącéj i gęstéj krzewinie,
Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie
I ludziom. Nieraz zając, zdybany w kapuście,
Skacze skryć się w konopiach bezpieczniéj niż w chruście:
Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,
Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiéj woni.
W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka,
Lub pięści, siedzi cicho, aż się pan wyfuka.
I nawet często zbiegli od rekruta chłopi,
Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą śród konopi.
I stąd to w czasie bitew, zajazdów, tradowań,

Obie strony nie szczędzą wszelkich usiłowań,
Ażeby stanowisko zająć konopiane,
Które z przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,
A z tyłu, pospolicie stykając się z chmielem,
Kryje attak i odwrót przed nieprzyjacielem.
Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu:
Bo przypomniał z samego rośliny zapachu
Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki,
Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki:
Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet,
Rozkazał mu, oparłszy o piersi pistolet,
Wleźć pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak późniéj Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały, *)
Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier
Krzycząc: albo cię zetnę, albo zjedz twój papier;
Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek roztropny,
Aż skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny.
Wprawdzie, już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem
Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,
I ledwie Woźny czasem usłyszał łajanie:
Ale Protazy o téj obyczajów zmianie
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,
Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata stare,
Odmawiał jego prośbom; dziś przyjął ofiarę
Dla naglącéj potrzeby.
Woźny patrzy, czuwa:
Cicho wszędzie; w konopie zwolna ręce wsuwa,
I rozchylając gęstwę badylów, w jarzynie
Jako robak pod wodą nurkujący płynie;
Wzniósł głowę: cicho wszędzie; do okien się skrada:
Cicho wszędzie: przez okna głąb pałacu bada:
Pusto wszędzie: na ganek wchodzi nie bez strachu.
Odmyka klamkę: pusto jak w zaklętym gmachu;
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.
A wtém, usłyszał turkot, uczuł serca drżenie,
Chciał uciec... gdy ode drzwi zaszła mu osoba, —
Szczęściem znajoma! Robak! Zdziwili się oba.
Widno, że Hrabia kędyś ruszył z całym dworem,

*) Po licznych burdach pochwycony w Mińsku i za dekretem trybunału rozstrzelany.

I bardzo śpieszył, bo drzwi zostawił otworem.
Widać, że się uzbrajał: leżały dwururki
I sztucce na podłodze, dalej sztenfle, kurki,
I narzędzia ślósarskie, któremi rynsztunki
Poprawiano; proch, papier: robiono ładunki.
Czy Hrabia z całym dworem wyjechał na łowy?
Ale po cóż broń ręczna? Tu szabla bez głowy
Zardzewiała, tam leży szpada bez temlaku:
Zapewne wybierano oręż z tego braku,
I poruszono nawet stare broni składy.
Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,
A potém do folwarku wybrał się na zwiady,
Szukając sług, żeby się rozpytał o Hrabię.
W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,
Od których słyszy, że Pan i dworska drużyna
Ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna.

* * *

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek *)
Męztwem swoich szlachciców, pięknością szlachcianek.
Niegdyś możny i ludny: bo gdy król Jan Trzeci
Obwołał pospolite ruszenie przez wici **),
Chorąży województwa z samego Dobrzyna
Przywiódł mu sześćset zbrojnéj szlachty. Dziś rodzina
Zmniejszona, zubożała. Dawniéj, w pańskich dworach
Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach
Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie:
Teraz, zmuszeni sami pracować na siebie,
Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi
Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,
A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
Najuboższych różni się od chłopskich katanek:
Zwykle chodzą w drylichach albo perkaliczkach,
Bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach,
I żną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach.
Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.
Czysta krew Lacka: wszyscy mieli czarne włosy,
Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;
Z Dobrzyńskiéj ziemi ród swój starożytny wiedli,
A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
Zachowali mazurską mowę i zwyczaje.

*) Zaściankiem lub Okolicą nazywają w Litwie osadę szlachecką, dla różnicy od właściwych wsi czyli siół, osad wiejskich.

**) Kiedy król miał zgromadzić pospolite ruszenie, rozkazywał zatykać w każdéj parafii drąg wysoki z uwiązaną na wierzchu miotłą czyli wicią. To się nazywało: rozdać wici.

Jeźli który z nich dziecku imie na chrzcie daje,
Zawsze zwykł za patrona brać Koroniasza,
Świętego Bartłomieja albo Matyasza:
Tak syn Macieja zawżdy zwał się Bartłomiejem,
A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem;
Kobiéty wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.
By rozeznać się wpośród takiéj mieszaniny,
Brali różne przydomki, od jakiéj zalety
Lub wady, tak mężczyzni jako i kobiéty.
Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,
Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;
Czasem jedenże szlachcic inaczéj w Dobrzynie,
A pod innem nazwiskiem u sąsiadów słynie.
Dobrzyńskich naśladując, inna szlachta blizka
Brała również przydomki, zwane imioniska.
Teraz ich każda prawie używa rodzina,
A rzadki wie, iż mają początek z Dobrzyna,
I były tam potrzebne; kiedy w reszcie kraju
Głupiém naśladownictwem weszły do zwyczaju.
Więc Matyasz Dobrzyński, który stał na czele
Całéj rodziny, zwan był Kurkiem na kościele;
Potem, z siedemset dziewięć-dziesiąt czwartym rokiem
Odmieniwszy przydomek, ochrzcił się Zabokiem;
Toż Królikiem Dobrzyńscy mianują go sami,
A Litwini nazwali Maćkiem nad Maćkami.
Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem
Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
Widać rzadko zwiedzany, mieszka w nim hołota;
Bo brama sterczy bez wrót, ogrody bez płota,
Nie zasiane, na grzędach już porosły brzozki:
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziéj rozległy
I prawą stronę, gdzie jest świetlica; miał z cegły.
Obok lamus, śpichrz, gumno, obora i stajnie,
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe. Domu dachy
Świeciły się jak gdyby od zielonéj blachy,
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien niby ogrody wiszące
Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony.
Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki
Białe skaczą i ryją w niedeptanéj darni.
Słowem: dwór nakształt klatki albo królikarni.

A dawniéj był obronny! Pełno wszędzie śladów,
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,
Wielka leżała kula żelazna działowa
Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót otwarte
Bywało o tę kulę jak o głaz oparte.
Na dziedzińcu, z pomiędzy piołunu i chwastu,
Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu
Na ziemi nieświęconéj: znak, że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
Ktoby uważał z blizka lamus, spichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate
Niby rojem owadów czarnych: w każdéj plamie
Siedzi we środku kula, jak czmiel w ziemnéj jamie.
U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki
Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:
Pewnie tu probowano hartu Zygmuntówek,
Któremi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczerby.
Nade drzwiami, Dobrzyńskich widne były herby;
Lecz armaturę, serów zasłoniły półki
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.
Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w staréj zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztéry ogromne szyszaki,
Ozdoby czół marsowych; dziś Wenery ptaki,
Gołębie, w nich gruchając karmią swe pisklęta.
W stajni, kolczuga wielka nad żłobem rozpięta
I pierścieniasty pancerz służą za drabinę,
W którą chłopiec zarzuca źrebcom dzięcielinę.
W kuchni kilka rapierów kucharka bezbożna
Odhartowała, kładąc je w piec zamiast rożna;
Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna:
Słowem, wygnała Marsa Ceres gospodarna,
I panują z Pomoną, Florą i Wertumnem
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.
Ale dziś muszą znowu ustąpić Boginie:
Mars powraca.
O świcie zjawił się w Dobrzynie
Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,
Budzi jak na pańszczyznę. Wstają szlachta braty,
Napełniają się ciżbą Zaścianku ulice,
Słychać krzyk w karczmie, widać w plebanii świece;
Biegą: jeden drugiego pyta co to znaczy,
Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy,

Kobiéty zatrzymują, chłopcy się szamocą
Rwą się biedz, bić się, ale nie wiedzą z kim, o co?
Muszą chcąc nie chcąc zostać. W mieszkaniu plebana
Trwa rada długa, tłumna, strasznie zamieszana;
Aż nie mogąc zdań zgodzić, nakonice stanowi
Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.
Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciej, starzec dziarski,
Nizkiego wzrostu, dawny Konfederat Barski.
Pamiętają i swoi i nieprzyjaciele
Jego damaskowaną krzywą karabelę,
Którą piki i sztyki rzezał nakształt sieczki,
I któréj żartem skromne dał imie rózeczki.
Z konfederata stał się stronnikiem królewskim,
I trzymał z Tyzenhauzem Podskarbim litewskim;
Lecz gdy król w Targowicy przyjął uczestnictwo,
Maciéj opuścił znowu królewskie stronnictwo.
I stądto, że przechodził partyi tak wiele,
Nazywany był dawniéj Kurkiem na kościele!
Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.
Przyczynę zmian tak częstych naprożnobyś macał:
Może Maciéj zbyt wojnę lubił; zwyciężony
W jednéj stronie, znów bitwy szukał z drugiéj strony?
Może bystry polityk, duch czasu zgadywał,
I tam szedł, gdzie ojczyzny dobro upatrywał?
Kto wie! To pewna, że go nigdy nie uwiodły
Ani chęć osobistéj chwały, ni zysk podły.
Ostatni raz wojował, poszedłszy z Ogińskim
Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,
I tam z rózeczką cudów dokazał odwagi.
Wiadomo, że sam jeden skoczył z wałów Pragi
Bronić pana Pocieja, który odbieżany
Na placu boju, dostał dwadzieścia trzy rany.
Myślano długo w Litwie, że obu zabito:
Wrócili oba, każdy pokłóty jak sito.
Pan Pociéj, zacny człowiek, chciał zaraz po wojnie
Obrońcę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie;
Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie,
I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.
Lecz Dobrzyński odpisał: niech Pociéj Macieja
A nie Maciéj Pocieja ma za Dobrodzieja.
Odmówił więc folwarku i nie przyjął płacy;
Sam wróciwszy do domu, żył z własnéj rąk pracy,
Sprawując ule dla pszczół, lekarstwa dla bydła.
Szląc na targ kuropatwy, które łowił w sidła,
I polując na zwierza.

Było dość w Dobrzynie
Starych ludzi roztropnych, którzy po łacinie
Umieli, i w Palestrze ćwiczyli się z młodu;
Było dość majętniejszych: a z całego rodu
Maciek prostak ubogi był najwięcéj czczony,
Nietylko jako rębacz rózeczką wsławiony,
Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,
Znający dzieje kraju, rodziny, podania.
Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa,
Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa;
Przyznawano mu nawet (czemu pleban przeczy)
Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.
To pewna, że powietrza zmiany zna dokładnie,
I częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie.
Nie dziw tedy, że czy to siejbę rozpoczynać,
Czy wiciny wyprawiać, czy zboże zażynać,
Czy procesować, czyli zawierać układy;
Nic działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady.
Wpływu takiego starzec bynajmniej nie szukał;
Owszem, chciał się go pozbyć, klientów swych fukał,
I najczęściéj wypychał milczkiem za drzwi domu.
Rady rzadko udzielał i nie lada komu;
Ledwie, w niezmiernie ważnych sporach lub umowach
Pytany, wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.
Myślano, że dzisiejszéj podejmie się sprawy
I stanie swą osobą na czele wyprawy;
Bo bijatykę lubił niezmiernie za młodu.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze
Nucąc piosenkę: *Kiedy ranne wstają zorze*,
Rad że się wypogadza. Mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała. Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozściełał na błonie;
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia
Dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia
I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jéj nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierżgało.
Maciéj ogrzał się słońcem, zakończył pacierze,
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął;

Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął.
Jako narcyzy nagle wykwitły nad trawę,
Bielą się długie słuchy; pod niemi jaskrawe
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny,
Gęsto wszyte w aksamit zielonéj darniny.
Już króliki na łapkach stają: każdy słucha,
Patrzy; nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca liściémi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.
On, sam biały jak królik, lubi ich gromadzić
W koło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić:
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróblów; spada z dachów krzykliwa hołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,
Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi,
Którzy szli do folwarku krokami prędkiémi.
Bylito z plebanii przez szlachty gromadę
Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.
Zdala witając starca nizkiemi ukłony
Rzekli „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony"
„Na wieki wieków, amen" starzec odpowiedział,
A gdy się o ważności poselstwa dowiedział,
Prosi do chaty. Weszli, zasiadają ławę;
Pierwszy z posłów stał w środku i jął zdawać sprawę.

Tymczasem szlachty coraz gęściej przybywało:
Dobrzyńscy prawie wszyscy, sąsiadów niemało
Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbronni,
W kałamaszkach i bryczkach, i piesi i konni.
Stawią wozy, podjezdki do brzezinek wiążą,
Ciekawi skutku narad koło domu krążą;
Już izbę napełnili, kupią się do sieni,
Inni słuchają, w okna głowami wciśnieni.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrzeszczący,
Ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący:
Był to rapier sążnistéj długości, szeroki
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.
Widocznie miecz Teutoński z Norymberskiéj stali
Ukuty: wszyscy milcząc, na broń poglądali.
Kto ją podniósł? niewidać; lecz zaraz zgadniono:
„To Scyzoryk, niech żyje Scyzoryk! krzykniono.
Wiwat Scyzoryk, klejnot Rębajłów zaścianku,
Wiwat Rębajło, Szczerbiec, Półkozic, Mopanku!"
Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się przecisnął

Na środek izby, w koło scyzorykiem błysnął;
Potém, w dół chyląc ostrze, na znak powitania
Przed Maćkiem, rzekł: „Różeczce Scyzoryk się kłania.
Bracia, szlachta Dobrzyńscy! Ja nie będę radził
Nic a nic; powiem tylko po com was zgromadził:
A co robić, jak robić, decydujcie sami.
Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,
Że się na wielkie rzeczy zanosi na świecie;
Ksiądz Robak o tém gadał: wzakże wszyscy wiecie?
„Wiemy!“ krzyknęli. — „Dobrze. Owoż mądréj głowie,
— Ciągnął mówca, spojrzawszy bystro — dość dwie słowie.
Nieprawdaż?“ „Prawda“ rzekli. „Gdy Cesarz Francuzki,
Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd Car Ruski:
Więc wojna; car z cesarzem, królowie z królami
Pójdą za łby, jak zwykle między monarchami.
A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić: my duśmy mniejszych, każdy swego.
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,
Jak zaczniem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali,
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.
Nie prawdaż?“ — „Prawda, rzekli, jakby z książki czyta.“
„Prawda! powtórzył Chrzciciel, krop a krop i kwita.“
„Ja zawsze gotów golić“ ozwał się Brzytewka;
„Tylko zgódźcie się, prosił uprzejmie Konewka,
Chrzcicielu i Macieju, pod czyją iść wodzą?“
Ale mu przerwał Buchman: „Niech się głupi godzą,
Dyskussye publicznéj sprawie nie zaszkodzą.
Proszę milczeć!“ słuchamy: „sprawa na tém zyska;
Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska.“
„Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu.
O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu:
Jest na to Cesarz, będzie król, senat, posłowie,
Takie rzeczy, Mopanku, robią się w Krakowie
Lub w Warszawie, nie u nas, w zaścianku, w Dobrzynie;
Aktów konfederackich nie piszą w kominie
Kredą, nie na wicinie, lecz na pargaminie.
Nie nam to pisać akta; ma Polska pisarzy
Koronnych i Litewskich: tak robili starzy.
Moja rzecz scyzorykiem wyrzynać.“ — „Kropidłem
Pluskać“, dodał Kropiciel. „I wykalać szydłem.“
Krzyknął Bartek Szydełko, dobywszy swej szpadki.
„Wszystkich was, kończył Klucznik, biorę tu na świadki,
Czy Robak nie powiadał, że wprzód nim przyjmiecie
W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie?
Słyszeliście to wszyscy: a czy rozumiecie? . . .

Któż jest śmieciem powiatu? Kto zdradziecko zabił
Najlepszego z Polaków, kto go okradł, zgrabił?
Któż to? Mamże wam gadać?“ — „A już-ci Soplica,
Przerwał Konewka, to łotr“ — „Oj, to ciemiężyciel“,
Pisnął Brzytewka. — „Więc go kropić!“ dodał Chrzciciel;
„Jeźli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę!“
„Hejże, krzyknęli wszyscy, hejże na Soplicę!“
Lecz Prusak śmiał podjąć się Sędziego obrony,
I wołał z wzniesionemi ku szlachcie ramiony:
„Panowie Bracia! aj! aj! a na Boskie rany!
Co znowu? Panie Klucznik, czy Waść opętany?
Czy o tém była mowa? Że ktoś miał wariata,
Banita bratem: to co? karać go za brata?
To mi po chrześciańsku! Są tu w tym konszachty
Hrabiego. . . Żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,
Nie prawda! dalibógże! To wy tylko sami
Pozywacie go: a on zgody szuka z wami,
Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci.
Ma proces z Hrabią: cóż stąd? Obadwa bogaci;
Niechaj pan drze się z panem: cóż to do nas braci?
Pan Sędzia ciemiężyciel! on pierwszy zabraniał,
Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,
Mówiąc że to grzech. Nieraz u niego gromada
Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;
Płacił za włość podatki: a nie tak jest w Kłecku;
Choć tam Waść, Panie Buchman, rządzisz po niemiecku.
Sędzia zdrajca! My się z nim od infimy znamy:
Poczciwe było dziecko, i dziś taki samy;
Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje
Chowa, a modom cudzym przystępu nie daje.
Ilekroć z Prus powracam, chcąc zmyć się z obczyzny,
Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny;
Tam się człowiek napije, nadysze ojczyzny!
Dalibóg Dobrzyńscy! ja wasz brat: ale Sędziego
Niepozwolę pokrzywdzić: nie będzie nic z tego.
Nie tak Panowie Bracia w Wielko-Polszcze było:
Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!
Nikt tam podobną fraszką nie śmiał rady mieszać.“
„To nie fraszka, zawołał Klucznik, łotrów wieszać!“
Szmer wzmagał się. Wtém Jankiel posłuchania prosił,
Na ławę wskoczył, stanął i nad głowy wznosił
Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi
Prawą ręką zdjął zwolna z głowy kołpak lisi;
Lewą ręką jarmułkę zruszoną poprawił,
Potem lewicę za pas zatknął i tak prawił,

Kołpakiem lisim w koléj kłaniając się nizko:
„Nu, panowie Dobrzyńscy! Ja sobie żydzisko;
Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców
Jak Panów bardzo dobrych i moich dziedziców;
Szanuję też Dobrzyńskich, Bartków i Maciejów,
Jako dobrych sąsiadów, Panów Dobrodziejów;
A mówię tak: jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić
Sędziemu, to bardzo źle. Możecie się pobić,
Zabić... a assessory? a sprawnik? a turma?
Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,
Wszystko jegry! Assessor w domu: tylko świśnie,
Tak wraz przymaszerują, stoją jak umyślnie.
A co będzie? A jeźli czekacie Francuza:
To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża
Ja żyd, o wojnach nie wiem: a byłem w Bielicy,
I widziałem tam żydków od saméj granicy;
Słychać, że Francuz stoi nad rzeką Łososną,
A wojna jeźli będzie, to chyba aż wiosną.
Nu, mówię tak: czekajcie; wszak dwór Soplicowa
Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa
I pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie;
A Pan Sędzia, to nie jest żydek na arędzie:
Nie uciecze, to jego można znaleźć wiosną.
A teraz rozejdźcie się, a nie gadać głośno
O tém co było; bo to gadać, to daremno!
A czyja łaska Panów Szlachty, proszę ze mną.
Moja Siora powiła małego Jankielka:
Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!
Każę przynieść kozicę, basetlę; dwie skrzypiec,
A Pan Maciek Dobrodziéj lubi stary lipiec
I nowego mazurka: mam nowe mazurki,
A wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki."
Wymowa lubionego powszechnie Jankiela
Trafiała do serc. Powstał krzyk, oklask wesela,
Szmer przyzwolenia nawet za domem się szerzył:
Gdy Gerwazy w Jankiela scyzorykiem zmierzył.
Żyd skoczył, wpadł w tłum; Klucznik wołał: „Precz stąd żydzie!
Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!
Panie Prusak! że Waszeć Sędziowską handlujesz
Parą wicin mizernych: to już zań gardłujesz?
Zapomniałeś Mopanku, że ojciec Waszecin
Spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin?
Stąd się zbogacił i on i jego rodzina,
Bo nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyna.
Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,

Że Stolnik był was wszystkich ojciec i Dobrodziéj:
Kogoż on komisarzem słał do swych dóbr Pińskich?
Dobrzyńskiego! Rachmistrzów kogo miał? Dobrzyńskich!
Marszałkostwa, kredensu nie zwierzał nikomu,
Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w domu!
On forytował wasze w trybunałach sprawy;
On wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy;
Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie
Pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie;
Dorosłych promowował także swym nakładem:
A dla czego to robił? że wam był sąsiadem!
Dziś, Soplica kopcami tyka waszych granic:
Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?"
— „Nic a nic!
Przerwał Konewka, bo to wyrosło z szlachciury!
A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do góry!
Pamiętacie, prosiłem na córki wesele;
Poję, nie chce pić, mówi: nie piję tak wiele,
Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki!
Ot magnat! delikacik z marymontskiéj mąki!
Nie pił; laliśmy w gardło, krzyczał: gwałt się dzieje!
Czekajno, niech-no ja mu z Konewki naleję."
„Filut, zawołał Chrzciciel: oj, i ja go kropnę
Za swoje. Mój syn, było to dziecko roztropne,
Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem;
A z przyczyny Sędziego został głupcem takim.
Mówiłem: po co tobie leźć do Soplicowa,
Jeżeli cię tam złowię, niech cię Bóg uchowa!
On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie
Złowiłem go, a zatem za uszy i kropię;
A on beczy i beczy jak maleńkie chłopie:
Ojcze, choć zabij, muszę tam iść; a wciąż szlocha...
Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!
Chciałby popatrzyć na nią! Żal mi nieboraka,
Mówię Sędziemu: Sędzio, daj Zosię dla Saka;
On mówi: jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,
Jak sama zechce. Łotr! łże; już ją komuś swata:
Słyszałem. Już ja się tam na wesele wkręcę;
Ja im ich ślub małżeński kropidłem poświęcę."
„I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować,
I dawnych panów, lepszych od siebie, rujnować?
A Horeszków i pamięć i imię zaginie!
Gdzież jest wdzięczność na świecie? — Nie ma jéj w Dobrzynie!
Bracia! chcecie bój z ruskim wieść imperatorem,
A boicie się wojny z Soplicowskim dworem?

Strach wam turmy! Czyż to ja wzywam na rozboje?
Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.
Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów niemało:
Tylko je exekwować! Tak dawniéj bywało:
Trybunał pisał dekret; szlachta wypełniała,
A szczególniéj Dobrzyńscy, i stąd wasza chwała
Urosła w Litwie! Wszakże to Dobrzyńscy sami
Bili się na zajeździe Myskim z Moskalami,
Których przywiódł Jenerał ruski Wojniłowicz,
I łotr, przyjaciel jego, Pan Wołk z Łogomowicz,
Pamiętacie, jak Wołka wzięliśmy w niewolę,
Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,
Iż był tyran dla chłopstwa: choć ich katowali,
Jednak się chłopi głupi nad nim zlitowali!
(Upiec go muszę kiedyś na tym scyzoryku.)
Nie wspomnę innych wielkich zajazdów bez liku,
Z których wyszliśmy zawsze jak szlachcie przystało,
I z zyskiem i aplauzem powszechnym i z chwałą!
Po cóż o tém wspominać! Dziś, darmo Pan Hrabia,
Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia:
Już nikt z was pomódz nie chce biednemu sierocie!
Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,
Dziś nie ma przyjaciela, oprócz mnie Klucznika,
I ot tego wiernego mego scyzoryka!“
„I kropidła, rzekł Chrzciciel. Gdzie ty Gerwazeńku,
Tam i ja; póki ręka, póki plusk plask w ręku.
Co dwaj to dwaj! Dalibóg mój Gerwazy! ty miecz,
Ja mam kropidło; Dał Bóg! ja kropię a ty siecz:
I tak szach mach, plusk plask; oni niech gawędzą!“
„Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, Bracia nie odpędzą;
Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę.“
— „I ja, przydał Konewka, z wami ruszyć wolę,
Gdy ich nie można zgodzić na obiór marszałka;
Co mi tam głosy, gałki! U mnie insza gałka:
(Tu wydobył z kieszeni garść kul, dzwonił niemi)
Ot gałki! krzyknął, w Sędzię gałkami wszystkiemi!“
— „Do was, wołał Skołuba, do was się łączymy!“
— „Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy, to tam i my!
Niech żyją Horeszkowie! wiwat Półkozice!“
Wiwat Klucznik Rębajło! Hejże na Soplice!“
I tak — wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy;
Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,
Jak zwyczajnie w sąsiedztwie: to o szkodę skargi,
To o wyręby, to o granice zatargi.
Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść

Bogactw Sędziego: wszystkich zgodziła nienawiść.
Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry
Szable, pałki —
Aż Maciek, dotychczas ponury,
Nieruchomy, wstał z ławy i wolnemi kroki
Wyszedł na środek izby, i podparł się w boki;
I spojrzawszy przed siebie i kiwając głową,
Zabrał głos, wymawiając z wolna każde słowo,
Z przestankiem i przyciskiem: „A głupi! a głupi!
A głupi wy! Na kim się mleło, na was skrupi!*)
To, póki o zbawieniu kraju była rada,
O dobru pospolitém, głupi, u was zwada?
Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
Głupi, ani porządku, ani postanowić
Wodza nad wami, głupi! A niech-no kto podda
Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!...
Precz stąd! Bo jakem Maciek, was, do milionów
Krocset kroci tysięcy, fur, beczek, furgonów,
Djabłów!!!!..."
Ucichli wszyscy, jak rażeni gromem,
Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem:
„Wiwat Hrabia!“ On wjeżdżał na folwark Maciejów.
Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.
Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju;
Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,
Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,
Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;
Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę,
Okręcił się i szpadą powitał gromadę.
„Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!“
Szlachta zaczęła z chaty przez okna wyzierać,
I za Klucznikiem coraz ku drzwiom się napierać.
Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął.
Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął,
I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: „głupi!“
A tymczasem się szlachta do Hrabiego kupi.
Idą w karczmę. Gerwazy wspomniał dawne czasy:
Kazał sobie trzy podać od kontuszów pasy,
Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa
Trzy: jednę miodu, drugą wódki, trzecią piwa.
Wyjął goździe; wnet z szumem trysnęły trzy strugi,
Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,
Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczą,

*) Skrupić, zemleć grubo, jak krupy.

A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.
Wre szlachta. Tamci piją, ci Hrabiemu życzą
Lat setnych, wszyscy: „Hejże na Soplicę!“ krzyczą.
Jankiel wymknął się milczkiem, oklep. Prusak, równie
Niesłuchany choć jeszcze rozprawiał wymownie,
Chciał zmykać, szlachta w pogoń, wołając że zdradził.
Mickiewicz stał zdaleka; ni krzyczał, ni radził,
Ale z miny poznano, że coś złego knuje:
Więc do kordów, i hejże! On się rejteruje,
Odcina się, już ranny; przyparty do płotów:
Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów.
Zaczém rozjęto szlachtę. Ale w tym rozruchu,
Dwóch było ciętych w ręce; ktoś dostał po uchu;
Reszta wsiadała na koń. —
Hrabia i Gerwazy
Porządkują, rozdają oręże, rozkazy.
W końcu, wszyscy przez długą zaścianku ulicę
Puścili się w cwał krzycząc: „Hejże na Soplicę!“

Zajazd.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura,
Kiedy, nad głowy ludzi przeleciawszy, chmura
Stanie i grożąc twarzą dech wiatrów zatrzyma,
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie:
Tej ciszy chwila była w Soplicowskim domie.
Myśliłbyś, że przeczucie nadzwyczajnych zdarzeń
Ścięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.
Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą.
Całe grono z posępną i cichą postawą,
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać:
Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
Tłumacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach na wpół wymówionych,
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.
Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkiém skrzydłem nietoperze, lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżéj zaś, nietoperzów siostrzyczki ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem;
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice

I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając jako harmoniki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.
W polu, koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy do góry porwawszy się wiją,
I bekając raz po raz jak w bębenki biją.
Na finał szmerów muszych i ptaszęcéj wrzawy,
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy:
Jako zaklęte w górach kaukazkich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistém i gardzielem mętnym
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym:
W obu stawach piały żab niezliczone hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci zcicha,
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha:
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie arfy Eola.
Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach, błyskały wilcze oczy jako świeczki;
A daléj, u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
One teraz z pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci pośrebrzona.
Już naprzeciw księżyca, gwiazda jedna, druga
Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.
Kastor z bratem Poluxem jaśnieli na czele,
Znani niegdyś u Słowian Lele i Polele;
Teraz ich w zodyaku gminnym znów przechrzczono:
Jeden zowie się Litwą a drugi Koroną.
Daléj niebieskiéj Wagi dwie szale błyskają:
Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)
Ważył z kolei wszystkie planety i ziemię,

Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;
Potém wagi złociste zawiesił na niebie:
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.
Na północ, świeci okrąg gwiaździstego Sita,
Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,
Kiedy je z nieba rzucał dla Adama ojca,
Wygnanego za grzechy z rozkoszy ogrójca.
Nieco wyżéj Dawida wóz, gotów do jazdy,
Długi dyszel kieruje do polarnéj gwiazdy.
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Że niesłusznie pospólstwo zwie go Dawidowym:
Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy,
Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
Mlecznym gościncem pędząc w cwał w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi.
Teraz, popsuty, między gwiazdami się wala;
Naprawić go Archanioł Michał nie pozwala.
I to wiadomo także u starych Litwinów,
(A wiadomość tę pono wzięli od rabinów)
Że ów zodyakowy Smok długi i gruby,
Który gwiaździste wije po niebie przeguby,
Którego mylnie wężem chrzczą Astronomowie,
Jest nie wężem lecz rybą: Lewiatan się zowie.
Przed czasy mieszkał w morzach; ale po potopie
Zdechł w niedostatku wody; więc na niebios stropie,
Tak dla osobliwości jako dla pamiątki,
Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
Podobnie pleban Mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.
Takie gwiazd historye, które z książek zbadał
Albo słyszał z podania, Wojski opowiadał.
Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary,
I nie mógł w niebie dojrzeć nic przez okulary,
Lecz na pamięć znał imię i kształt każdéj gwiazdy:
Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.
Dziś mało go słuchano; nie zważano wcale
Na Sito, ni na Smoka, ani też na Szale.
Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie
Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie:
Był to kometa pierwszéj wielkości i mocy.
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;
Krwawym okiem z ukosa na rydwan spoziera,
Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera;
Warkocz długi w tył rzucił, i część nieba trzecią
Obwinął nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią,

I ciągnie je za sobą, a sam wyżéj głową
Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową.
Z niewymowném przeczuciem cały lud Litewski
Poglądał każdéj nocy na ten cud niebieski,
Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:
Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,
Które na pustych polach gromadząc się w kupy,
Ostrzyły dzióby, jakby czekając na trupy;
Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,
I jak gdyby śmierć wietrząc, przeraźliwie wyły:
Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru
Widzieli, jak przez smętarz szła dziewica moru,
Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,
A w lewém ręku chustką skrwawioną powiewa.
Różne stąd wnioski tworzył, stojący przy płocie
Cywun, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,
I pisarz prowentowy w szeptach z ekonomem.
Lecz Podkomorzy siedział na przyzbie przed domem,
Przerwał rozmowę gości; znać że głos zabiera:
Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera
(Cała z szczerego złota, z brylantów oprawa,
We środku, za szkłem, portret króla Stanisława);
Zadzwonił w nią palcami, zażył i rzekł: „Panie
Tadeuszu, Waścine o gwiazdach gadanie,
Jest tylko echem tego, co słyszałeś w szkole:
Ja o cudzie, prostaków poradzić się wolę.
I ja Astronomii słuchałem dwa lata
W Wilnie, gdzie Puzynina, mądra i bogata
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów,
Na zakupienie różnych szkieł i teleskopów.
Ksiądz Poczobut, człek sławny, był Obserwatorem*)
I całéj Akademii naonczas Rektorem;
Przecież w końcu katedrę i teleskop rzucił,
Do klasztoru, do cichéj celi swéj powrócił,
I tam umarł przykładnie. Znam się téż z Śniadeckim,
Który jest mądrym bardzo człekiem, chociaż świeckim.
Owoż Astronomowie planetę, kometę,
Uważają tak jako mieszczanie karetę:
Wiedzą, czyli zajeżdża przed króla stolicę,
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;
Lecz kto w niéj jechał? po co? co z królem rozmawiał?
Czy król posła z pokojem czy z wojną wyprawiał?

*) Ksiądz Poczobut, ex Jezuita, sławny Astronom, wydał dzieło o Zodyaku, i obserwacyami swemi pomógł Lalandowi do obrachowania biegów księżyca.

O to ani pytają. Pomnę za mych czasów,
Gdy Branicki karetą swą ruszył do Jassów,
I za tą niepoczciwą pociągnął karetą
Ogon Targowiczanów, jak za tą kometą:
Lud prosty, choć w publiczne nie mieszał się rady,
Zgadnął zaraz, że ogon ów jest wróżbą zdrady.
Słychać, że lud dał imie miotły téj komecie,
I powiada, że ona milion wymiecie."
A na to rzekł z ukłonem Wojski: „Prawda, Jaśnie
Wielmożny Podkomorzy: przypominam właśnie
Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu.
Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu.
Kiedy widziałem w domu naszym, nieboszczyka
Sapiehę, pancernego znaku Porucznika,
Co potém był nadwornym Marszałkiem królewskim,
Nakoniec umarł wielkim Kanclerzem Litewskim,
Miawszy lat sto i dziesięć. Ten, za Króla Jana
Trzeciego był pod Wiedniem w chorągwi Hetmana
Jabłonowskiego. Owoż, ów Kanclerz powiadał,
Że właśnie kiedy na koń król Jan Trzeci siadał,
Gdy Nuncyusz Papiezki żegnał go na drogę,
A Poseł Austryacki całował mu nogę
Podając strzemię (Poseł zwał się Wilczek Hrabia),
Król krzyknął: Patrzcie, co się na niebie wyrabia!
Spojrzą: alić nad głowy suwał się kometa
Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
Z wschodu na zachód. Potém i Ksiądz Bartochowski,
Składając panegiryk na tryumf krakowski,
Pod godłem Orientis Fulmen, prawił wiele
O tym komecie. Także czytam o nim w dziele
Pod tytułem: Janina, gdzie jest opisana
Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana,
I wyryta chorągiew wielka Mahometa,
I ów taki, jak dziś go widzimy, kometa."
„Amen, rzekł na to Sędzia, ja wróżbę Waszeci
Przyjmuję: oby z gwiazdą zjawił się Jan Trzeci!
Jest na zachodzie wielki dziś bohater; może
Kometa go przywiedzie do nas; co daj Boże!"
Na to rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie:
„Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!
Niedobrze, iż się zjawił tuż nad Soplicowém:
Może nam grozi jakiém nieszczęściem domowém.
Mieliśmy wczoraj dosyć rozterku i zwady,
Tak w czasie polowania jako i biesiady.
Rejent kłócił się z rana z Panem Assesorem,

A Pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.
Pono spór ten ze skóry niedźwiedziéj pochodził;
I gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził,
Jabym u stołu obu przeciwników zgodził.
Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia wczorajszéj wyprawy,
Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księciu Denassów,
Przypadek był takowy:
„Jenerał Podolskich
Ziem, przejeżdżał z Wołynia do swoich dóbr Polskich,
Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy.
Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,
Już dla popularności: wstąpił więc do Pana
Tadeusza, dziś świętéj pamięci, Rejtana,
Który był potém naszym Nowogrodzkim posłem,
I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.
Owoż Rejtan, na przyjazd Księcia Jenerała,
Zaprosił gości. Liczna szlachta się zebrała;
Było teatrum (Książę kochał się w teatrze),
Fajerwerk dawał Kaszyc, który mieszka w Jatrze,
Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele
Ogiński i pan Sołtan, co mieszka w Zdzięciele.
Słowem, dawano huczne nad spodziew zabawy
W domu, a w lasach wielkie robiono obławy.
Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy,
Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,
Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myślistwa
Nie są bardzo pochopni: pewno nie z lenistwa,
Lecz z gustów cudzoziemskich; i Książę Jenerał
Częściéj do książek, niżli do psiarni zazierał,
I do pięknych pokojów, częściéj niż do lasów.

„W świcie Księcia, był Książę niemiecki Denassów,*)
O którym powiadano, że w Libijskiéj ziemi
Goszcząc, polował niegdyś z królmi murzyńskiemi,
I tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwalił,
Z czego się bardzo Książę ów Denassów chwalił.
U nas zaś polowano na dziki w tę porę.
Rejtan zabił ze sztucca ogromną maciorę,
Z wielkiém niebezpieczeństwem, bo z blizka wypalił,
Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił,

*) Książę de Nassau-Siegen, sławny podówczas wojownik i awanturnik. Bawił też w Polszcze, gdzie otrzymał indygenat.

Tylko Niemiec Denassów obojętnie słuchał
Pochwał takich, i chodząc pod nos sobie dmuchał:
Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,
Biała broń śmiałą rękę; i zaczął szeroko
Znowu gadać o swojéj Libii i spisie,
O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.
Markotno to się stało Panu Rejtanowi.
Był człek żywy, uderzył po szabli i mówi:
Mości Książę! kto patrzy śmiele, walczy śmiele,
Warte dziki tygrysów, a spis karabele.
I zaczynali z Księciem dyskurs nazbyt żwawy.
Szczęściem, Książę Jenerał przerwał te rozprawy,
Godząc ich po francuzku. Co tam gadał, niewiem:
Ale ta zgoda był to popiół nad zarzewiem:
Bo Rejtan wziął do serca, okazyi czekał,
I dobrą sztukę spłatać Niemcowi przyrzekał.
Téj sztuki ledwie własném nie przypłacił zdrowiem;
A spłatał ją nazajutrz, jak to wnet opowiem."
  Tu Wojski umilknąwszy, prawą rękę wznosił,
I u Podkomorzego tabakiery prosił.
Długo zażywa, kończyć powieści nie raczy,
Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy.
Zaczynał wreszcie: kiedy znowu mu przerwano
Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną!
Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,
Donosząc, że z niezwłocznym interesem czeka.
Sędzia, dając dobranoc, żegnał całe grono.
Natychmiast się po różnych stronach rozpierzchniono:
Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie;
Sędzia szedł podróżnemu dawać posłuchanie.
  Wtém „hejże na Sopliców!..." wpada szlachta hurmem,
Obstępuje dwór w koło i bierze go szturmem,
Tém łacniéj, że wódz wzięty i pierzchła załoga;
Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.
Do domu nie wpuszczeni, biegą do folwarków,
Do kuchni. Gdy do kuchni weszli, widok garków,
Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży,
Chrupanie psów, gryzących ostatki wieczerzy,
Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia,
Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.
Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem,
„Jeść! jeść!" po trzykroć zgodnym wezwali okrzykiem;
Odpowiedziano „pić! pić!" między szlachty zgrają
Stają dwa chóry: ci pić, a ci jeść wołają.
Odgłos leci echami; gdzie tylko dochodzi,

Wzbudza oskomę w ustach, głód w żołądkach rodzi.
I tak, na dane z kuchni hasło, niespodzianie
Rozeszła się armia na furażowanie;
  Gerwazy, od pokojów Sędziego odparty,
Ustąpić musiał przez wzgląd dla Hrabiowskiéj warty.
Więc nie mogąc zemścić się na nieprzyjacielu,
Myślał o drugim wielkim téj wyprawy celu.
Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,
Chce Hrabiego osadzić na nowém dziedzictwie,
Legalnie i formalnie: więc za Woźnym biega,
Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega,
Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze,
I zmierzywszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:
„Panie Woźny, Pan Hrabia śmie Waćpana prosić,
Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
Intromisyą Hrabi do zamku, do dworu
Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
Słowem, cum gais, boris et graniciebus,
Kmetonibus, scultetis et omnibus rebus,
Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz tak szczekaj,
Nic nie opuszczaj!" „Panie Kluczniku, zaczekaj;
— Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy —
Gotów jestem wypełniać wszelkie stron rozkazy:
Ale ostrzegam, że akt nie będzie miał mocy,
Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy."
„Co za gwałty, rzekł Klucznik, tu nie ma napaści:
Wszak proszę Pana grzecznie; jeźli ciemno Waści,
To scyzorykiem skrzesam ognia, że Waszeci
Zaraz w ślepiach, jak w siedmiu kościołach zaświeci."
  „Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?
Jestem Woźny: nie moja rzecz sprawę roztrząsać
Wszak wiadomo, że strona Woźnego zaprasza
I dyktuje mu co chce, a Woźny ogłasza.
Woźny jest posłem prawa, a posłów nie karzą:
Niewiem tedy, za co mnie trzymacie pod strażą.
Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie;
A tymczasem ogłaszam: Bracia uciszcie się!"
  I by donośniéj mówić, wstąpił na stos wielki
Belek (pod płotem sadu suszyły się belki),
Wlazł na nie: i zarazem, jakby go wiatr zdmuchnął,
Znikł z oczu. Słyszano jak w kapustę buchnął;
Widziano, po konopiach ciemnych jego biała
Konfederatka niby gołąb przeleciała.
Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu;
Wtém zatrzeszczały tyki: już Protazy w chmielu.

„Protestuję!“ zawołał; pewny był ucieczki,
Bo za sobą miał łozę i bagniska rzeczki.
  Po téj protestacyi, która się ozwała,
Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,
Ustał już wszelki opór w Soplicowskim dworze.
Szlachta głodna plądruje, zabiera co może;
Kropiciel, stanowisko zająwszy w oborze,
Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,
A Brzytewka im szablę w gardzielach utopił;
Szydełko równie czynnie używał swéj szpadki,
Kubany i prosięta kołąc pod łopatki.
Już rzeź zagraża ptastwu. Czujne gęsi stado,
Co niegdyś ocaliło Rzym przed Gallów zdradą,
Darmo gęga o pomoc; zamiast Manliusza,
Wpada w kotuch Konewka: jedne ptaki zdusza,
A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.
Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,
Próżno gęsiory sycząc napastnika szczypią:
On bieży; osypany iskrzącym się puchem,
Unoszony jak kółmi gęstych skrzydeł ruchem,
Zdaje się być Chochlikiem, skrzydlatym złym duchem.
  Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniéj krzyku,
Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku,
I z drabinek, stryczkami łowiąc, ciągnie z góry
Kogutki i szurpate i czubate kury,
Jedne po drugich dusi i składa do kupy:
Ptastwo piękne, karmione perłowemi krupy;
Niebaczny Saku, jakiż zapał cię unosi!
Nigdy już odtąd gniewnéj nie przebłagasz Zosi.
  Gerwazy przypomina starodawne czasy:
Każe sobie podawać od kontuszów pasy,
I niemi w Soplicowskiéj piwnicy dobywa
Beczki staréj siwuchy, dębniaku i piwa.
Jedne wnet odgwożdżono, a drugie ochoczo
Szlachta gęsta jak mrowie, porywają, toczą
Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera,
Tam założona główna Hrabiego kwatera.
  Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
Chce Szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.
Lecz powoli zaczęli drzemać i poziewać;
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada:
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.
Tak zwycięzców zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.

(Gdy tak zwycięzcy mocno zasypiali, wpadł batalion wojska rosyjskiego i wszystkich powiązał. Tymczasem zjawił się Robak, za którego sprawą rozkuci stronnicy Hrabiego spólnie z partyą Soplicy uderzają na wojsko.)

Narady po bitwie. — Wyjście z kraju. — Spowiedź.

  Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżéj,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżéj:
Aż jedną stroną na wpół od niebios obdarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.
  I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwéj, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz pośrebrzony,
Teraz, jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów Sypilskiéj Nioby.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.
  Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając strawę do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;
Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera, i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
  Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchéj szerokiéj gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli:
Lecz i te, przewidując, nazbyt mocną burzę,

Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia z ptaków lotem niescigłym zuchwała
Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.
  Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.
  Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
Pryskają łóz gałęzie; lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmięszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemu,
Wznosi się jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy
Co krok w szerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.
                                        A już deszcz wciąż pluszczy
Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem: to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia;
Noc je, z burzą od nocy czarniejszą, zaciemnia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I Anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszéj szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.

  Aż się uspokoiło wszystko. Tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.
  W takim dniu, pożądany był czas najburzliwszy:
Bo nawałnica, boju plac mrokiem okrywszy,
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
Z folwarku niedostępną zrobiła fortecę.
O tém więc, co się działo w obozie Soplicy,
Dziś niemogła rozejść się wieść po okolicy:
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.
  W izbie Sędziego ważne toczą się narady;
Bernardyn leżał w łóżku; zmordowany, blady
I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,
Każe przywieść Rykowa*), potém drzwi zamyka,
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy. . . .
  Po zawarciu układów, wyszedł z izby Ryków
A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,
Do których Podkomorzy z powagą tak mówi:
„Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi;
Ale muszę Waćpaństwu wyznać bez ogródki,
Że z tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki;
Tymczasem kto miał udział najczynniejszy w bitwie,
Ten niemoże bezpieczny zostać się na Litwie.
  Oświadczyli, że zaraz wyjeżdżać gotowi;
Tylko się to nie zdało Panu Buchmanowi.
Buchman, człowiek rozsądny, w bitwę się nie wmieszał,
Ale słysząc że radzą, głosować pośpieszał.
Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,
Dokładniéj go rozwinąć, jaśniéj wytłumaczyć,
Nieszczęściem, krótkość czasu była na zawadzie,
Że się niestało zadość Buchmanowéj radzie.
Szlachta żegna się śpiesznie i już w drogę rusza.
  Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza,
I rzekł do Księdza: „Czas już żebym ci powiedział
To, o czémem z pewnością wczoraj się dowiedział:
Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi,
Niechajże przed odjazdem o rękę jéj prosi.
Mówiłem z Telimeną: już nam nie przeszkadza;
Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.
Jeźli dziś ślubem pary nie możem uwieńczyć,
Toćby ich, panie bracie, przynajmniéj zaręczyć
Przed odjazdem: bo serce młode i podróżne,
Wiesz dobrze, jako miewa tentacye różne:

*) Ryków, kapitan w wojsku rossyjskiém.

A wszakże kiedy okiem rzuci na pierścionek
Przypomni sobie młody, że już jest małżonek.

„Ja sam, przed lat trzydziestu, wielki affekt miałem
Ku Pannie Marcie, któréj serce pozyskałem.
Byliśmy zaręczeni; Bóg nie błogosławił
Związkowi temu, i mnie sierotą zostawił,
Wziąwszy do chwały swojéj nadobną Wojszczankę,
Przyjaciela mojego, córę Hreczeszankę.
Pozostała mi tylko pamiątka jéj cnoty,
Jéj wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.
Ilekroć nań spojrzałem, zawsze ma nieboga
Stawała przed oczyma: i tak z łaski Boga
Dotąd méj narzeczonéj dochowałem wiary,
I nie bywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,
Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną,
I do mojéj kochanéj Marty dość podobną!“

To mówiąc, na pierścionek z czułością spozierał,
I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał:
„Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?
On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny.“

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mówi:
„Czémże zdołam odwdzięczyć dobremu stryjowi,
Który tak o me szczęście ustawnie się trudzi?
Ach dobry stryju! byłbym najszczęśliwszym z ludzi,
Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona.
Gdybym wiedział że to jest moja przyszła żona . . .
Przecież powiem otwarcie: dziś te zaręczyny
Do skutku przyjść nie mogą; są różne przyczyny . . .
Nie pytaj więcéj... Jeżli Zosia czekać raczy,
Może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy,
Może stałością na jéj wzajemność zarobię,
Może troszeczką sławy me imie ozdobię,
Może wkrótce w ojczyste wrócim okolice:
Wtenczas, stryju, wspomnę ci twoje obietnice,
Wtenczas na klęczkach drogą powitam Zosienkę,
I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę.
Teraz porzucam Litwę może na czas długi,
Może Zosi tymczasem podobać się drugi:
Więzić jéj woli niechcę: prosić o wzajemność,
Na którąm nie zasłużył, byłaby nikczemność.“

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,
Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody
Pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach,
I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębiny alkowy
Śledziła przez szczelinę tajemne rozmowy;
Słyszała, jak Tadeusz po prostu i śmiało
Opowiedział swą miłość — serce w niéj zadrżało —
I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.
Choć dójść nie mogła wątku w jego tajemnicach:
Dla czego ją pokochał? dla czego porzuca?
Gdzie odjeżdża? przecież ją ten odjazd zasmuca.
Pierwszy raz posłyszała w życiu z ust młodziana
Dziwną i wielką nowość: że była kochana.
Biegła więc, gdzie stał mały domowy ołtarzyk,
Wyjęła zeń obrazek i relikwiarzyk,
Na obrazku tym była Święta Genowefa,
A w relikwii suknia Świętego Józefa,
Oblubieńca, patrona zaręczonéj młodzi;
I z temi świętościami do pokoju wchodzi:
„Pan odjeżdżasz tak prędko?... Ja Panu na drogę
Dam podarunek mały i także przestrogę:
Niechaj Pan zawsze z sobą relikwie nosi
I ten obrazek, a niech pamięta o Zosi.
Niech Pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi,
I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi....“
Umilkła, i spuściła głowę; oczki modre
Ledwie stuliła, z rzęsów pobiegły łzy szczodre;
A Zosia z zamkniętemi stojąc powiekami,
Milczała, sypiąc łzami jako brylantami.

Tymczasem Pan Tadeusz stryja obejmował
Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował.
Robak ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie
I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,
Spojrzał ku niebu i rzekł: „Synu! z Panem Bogiem!“
I zapłakał.... A już był Tadeusz za progiem.
„Jakto? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie?
I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie
O niczem przed odjazdem!...“ „Nic, rzekł Ksiądz, o niczém,
(Płacząc długo z zakrytém rękami obliczem).
I pocóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca,
Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabójca?
Bóg widzi, jak pragnąłbym: ale z téj pociechy
Zrobię Bogu ofiarę, za me dawne grzechy.“

„Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie,
Uważ, że człowiek w twoim wieku i chorobie.
Nie zdołałby z innymi razem emigrować;
Mówiłeś że wiesz domek, gdzie się masz przechować:
Powiedz gdzie? Śpieszmy, czeka zaprzężona bryka,

Czy nie najlepiéj w puszczę, do chaty leśnika?"
Robak kiwając głową rzekł: „Do jutra rana
Mam czas. Teraz mój bracie, poślij do Plebana,
Aby tu jak najrychléj przybył z wijatykiem:
Oddal stąd wszystkich, zostań tylko sam z Klucznikiem,
Zamknij drzwi."
Sędzia spełnił Robaka rozkazy,
I usiada na łóżku przy nim; a Gerwazy,
Stoi, łokieć przytwierdza na główni rapiera,
A czoło pochylone na dłoniach opiera.
Robak, nim zaczął mówić, w Klucznika oblicze
Wzrok utkwił, i milczenie chował tajemnicze.
A jako Chirurg naprzód miękką rękę składa
Na ciele chorującém, nim ostrzem raz zada:
Tak Robak wyraz bystrych oczu swych złagodził,
Długo niemi po oczach Gerwazego wodził,
Nakoniec, jakby ślepym chciał uderzyć ciosem,
Zasłonił oczy ręką, i rzekł mocnym głosem:
„Jam jest Jacek Soplica. . . ."
Klucznik na to słowo
Pobladnął, pochylił się, i ciała połową
Wygięty naprzód, stanął, zwisł na jednéj nodze,
Jak głaz lecący z góry zatrzymany w drodze.
Oczy roztwierał, usta szeroko rozszerzał
Grożąc białemi zęby, a wąsy najeżał;
Rapier z rąk upuszczony, przy ziemi zatrzymał
Kolanami, i głównią prawą ręką imał
Cisnąc ją: rapier, z tyłu za nim wyciągniony,
Długim czarnym swym końcem chwiał się w różne strony;
I Klucznik był podobny rysiowi rannemu,
Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu:
Wydyma się kłębuszkiem, mruczy, krwawe ślepie
Wyiskrza, wąsy rusza, i ogonem trzepie.
„Panie Rębajło, rzekł Ksiądz, już mię nie zatrwożą
Gniewy ludzkie, bo jestem już pód ręką Bożą.
Zaklinam cię na imię Tego, co świat zbawił
I na krzyżu zabójcom swoim błogosławił,
I przyjął prośbę łotra: byś się udobruchał,
I to co mam powiedzieć, cierpliwie wysłuchał.
Sam przyznałem się, muszę dla ulgi sumienia
Pozyskać, a przynajmniéj prosić przebaczenia:
Posłuchaj méj spowiedzi; potém zrobisz sobie
Ze mną, co zechcesz." I tu złożył ręce obie
Jak do pacierza. Klucznik cofnął się zdumiony,
Uderzał ręką w czoło i ruszał ramiony.

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość
Opowiadać i swoją z jego córką miłość,
I swe z tego powodu z Stolnikiem zatargi,
Lecz mówił nieporządnie, często mieszał skargi
I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał,
Jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.
Klucznik, dzieje Horeszków znający dokładnie,
Całą tę powieść, chociaż splątaną bezładnie,
Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;
Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nie rozumiał.
Oba pilnie słuchali pochyliwszy głowy,
A Jacek mówił coraz wolniejszemi słowy
I często zarywał się:
„Wszak sam wiesz, Gerwazeńku, jak Stolnik zapraszał
Często mnie na biesiady, zdrowie moje wnaszał,
Krzyczał nieraz do góry podniósłszy szklenicę,
Że nie miał przyjaciela nad Jacka Soplicę;
Jak on mnie ściskał! Wszyscy, którzy to wiedzieli,
Myślili, że on ze mną duszą się podzieli. . .
On przyjaciel? . . . On wiedział, co się wtenczas działo
W duszy mojéj! . . .
„Tymczasem już szeptała o tém okolica,
Jaki taki gadał mi: Ej Panie Soplica,
Daremnie konkurujesz: dygnitarskie progi
Za wysokie na Jacka Podczaszyca nogi."
Ja śmiałem się, udając, że drwiłem z magnatów
I z córek ich, i niedbam o arystokratów;
Że jeżli bywam u nich, z przyjaźni to robię,
A za żonę nie pojmę tylko równą sobie. . .
Przecież, bodły mi duszę do żywca te żarty:
Byłem młody, odważny, świat był mnie otwarty,
W kraju, gdzie jako wiecie, szlachcic urodzony
Jest zarówno z Panami kandydat korony!
Wszakże Tęczyński niegdyś z królewskiego domu
Żądał córy, a król mu oddał ją bez sromu. . .
Sopliców, czyż nie równe Tęczyńskim zaszczyty
Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitéj? . . .
Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim
W jednéj chwili; a życiem nie naprawi długiem!. . .
Jedno słowo Stolnika: jakżebyśmy byli
Szczęśliwi!. . . Kto wie, może dotąd byśmy żyli;
Może i on przy swojém kochaném dziecięciu,
Przy swojéj pięknéj Ewie, przy swym wdzięcznym zięciu,
Zestarzałby spokojny, może wnuki swoje
Kołysałby!. . . Teraz co?. . Nas zgubił oboje,

I sam. . i to zabójstwo... i wszystkie następstwa
Téj zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa!...
Ja skarżyć nie mam prawa: ja jego morderca,
Ja skarżyć nie mam prawa: przebaczam mu z serca;
Ale i on. .
„Żeby już raz otwarcie był mnie zrekuzował!...
Bo znał nasze uczucia... Gdyby nieprzyjmował
Mych odwiedzin: to kto wie! możebym odjechał,
Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał...
Ale on, chytrze dumny, wpadł na koncept nowy;
Udawał, że mu nawet nieprzyszło do głowy,
Żeby ja mógł się starać o związek takowy!...
A byłem mu potrzebny: miałem zachowanie
U szlachty, i lubili mnie wszyscy ziemianie.
Więc on niby miłości mojéj niedostrzegał,
Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał
Abym częściéj przyjeżdżał: a ilekroć sami
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,
Chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo
O procesach, sejmikach, łowach ..
„Ach, nieraz przy kieliszkach, gdy się tak rozrzewniał,
Gdy mię tak ściskał i o przyjaźni zapewniał,
Potrzebując méj szabli lub kreski na sejmie,
Gdy musiałem nawzajem ściskać go uprzejmie:
To tak we mnie złość wrzała, że ja obracałem
Ślinę w gębie, a dłonią rękojeść ściskałem,
Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać...
Ale Ewa, zważając mój wzrok i mą postać,
Zgadywała, niewiem jak, co się we mnie działo,
Patrzyła błagająco, lice jéj bledniało...
A był to taki piękny gołąbek, łagodny!
I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!
Taki anielski! że już niewiem, już niemiałem
Odwagi zagniewać ją, zatrwożyć — milczałem. . .
I ja, zawadjaka sławny w Litwie całéj,
Co przedemną największe Pany niegdyś drżały,
Com nieżył dnia bez bitki, co, nie Stolnikowi,
Alebym się pokrzywdzić niedał i królowi,
Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mnie sprzeczka:
Ja... wtenczas zły i pijany, milczał jak owieczka,
Jak gdybym Sanctissimum ujrzał!
„Ileż to razy chciałem serce me otworzyć,
I już się nawet przed nim do próśb upokorzyć,
Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenie

Zimne jak lód, wstyd mi był mojego wzruszenia!...
Śpieszyłem znowu jak najzimniéj dyskurować
O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować!!
Wszystko to prawda z pychy: żeby nie ubliżyć
Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć
Przed Panem prośbą próżną, niedostać odmowy...
Bo jakieżby to były między szlachtą mowy,
Gdyby wiedziano, że ja Jacek....
„Soplicy Horeszkowie odmówili dziewkę!
Że mnie Jackowi czarną podano polewkę!
„W końcu, sam już nie wiedząc jak sobie poradzić,
Umyśliłem ze szlachty mały pułk zgromadzić
I opuścić na zawsze powiat i Ojczyznę,
Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę
I zacząć wojnę... Jadę pożegnać Stolnika,
W nadziei, że gdy ujrzy wiernego stronnika,
Dawnego przyjaciela, prawie domownika,
Z którym pił i wojował przez tak długie lata,
Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata
Jadącego... że może starzec się poruszy
I pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy.
Jak ślimak rogów!
Ach, kto choć na dnie serca ma dla przyjaciela
Choćby iskierkę czucia: gdy się z nim rozdziela,
Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu,
Jako ostatni płomyk życia przy skonaniu!
Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,
Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!
„Biedna, słysząc o moim odjeździe, pobladła,
Bez przytomności, ledwie że trupem niepadła,
Nie mogła nic przemówić: aż się jéj rzuciły
Strumieniem łzy — poznałem, jak byłem jéj miły!...
„Pomnę, pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał
Z radości i z rozpaczy, zapomniał się, szalał.
Już chciałem znowu upaść ojcu jéj pod nogi,
Wić się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi,
Weź za syna lub zabij!... Wtem Stolnik posępny,
Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
Wszczął dyskurs — o czém? o czém? o córki weselu!...
W téj chwili? O... Gerwazy! uważ przyjacielu,
Masz ludzkie serce!
Stolnik rzekł: „Panie Soplica,
Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica;
Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?
Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą:

A Kasztelan — Witebski! Wszakże to w Senacie
Nizkie, drążkowe krzesło. Cóż mi radzisz bracie?...
Nie pamiętam już zgoła co mu na to rzekłem.
Podobno nic — na konia wsiadłem i uciekłem!..."

„Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny
Wynajdujesz: cóż? one nie zmniejszą twéj winy!
Bo wszakże zdarzało się już nieraz na świecie,
Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecie,
Starał się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać,
Mścić się otwarcie — ale tak chytrze śmierć zadać,
Panu Polskiemu: w Polszcze, i w zmowie z Moskalem!.."

— Nie byłem w zmowie, Jacek odpowiedział z żalem.
Gwałtem porwać? Wszak mógłbym: z za krat i z za klamek
Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek;
Miałem za sobą Dobrzyn i cztery Zaścianki!
Ach, gdyby ona była jak nasze szlachcianki
Silna i zdrowa! gdyby ucieczki, pogoni
Nie zlękła się, i mogła słuchać szczęku broni!..
Lecz ona biedna! Tak ją rodzice pieścili,
Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,
Wiosenna gąsiennica! i tak ją zagrabić,
Dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić:
Nie mogłem, nie!...

Mścić się otwarcie? szturmem zamek zwalić w gruzy?
Wstyd!... boby powiedziano żem mścił się rekuzy!...
Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie
Uczuć, ile jest piekła w obrażonéj dumie!!

„Szatan dumy zaczął mi lepsze plany roić:
Zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić,
Nie bywać w zamku, miłość z serca wykorzenić,
Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić,
A potem... potem jaką wynaleźć zaczepkę,
Pomścić się...

„I zdało mi się zrazu, żem już serce zmienił,
I rad byłem z wymysłu i — jam się ożenił,
Z pierwszą, którąm napotkał dziewczyną ubogą!...
Źlem zrobił — jakże byłem ukarany srogo!
Nie kochałem jéj. Biedna matka Tadeusza
Najprzywiązańsza do mnie, najpoczciwsza dusza:
Ale jam dawną miłość i złość w sercu dusił.
Byłem jako szalony; darmom siebie musił
Zająć się gospodarstwem albo interesem:
Wszystko na próżno! Zemsty opętany biesem,
Zły, opryskliwy, znaleźć nie mógłem pociechy

W niczém na świecie... i tak z grzechów w nowe grzechy,
Zacząłem pić.

„I tak niedługo żona ma z żalu umarła,
Zostawiwszy to dziecię; a mnie rozpacz żarła!...

„Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,
Tyle lat!. . gdziem ja niebył: a dotąd niemogę
Jéj zapomnieć, i zawżdy jéj postać kochana
Stoi mi przed oczyma, jakby malowana!...
Piłem, nie mogłem zapić pamięci na chwilę,
Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle
Teraz oto, w habicie, jestem Bożym sługą,
Na łożu, we krwi — o niéj mówiłem tak długo!...
W téj chwili, o tych rzeczach mówić?... Bóg wybaczy.
Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rozpaczy
Popełniłem ..

„Było to właśnie wkrótce po jéj zaręczynach.
Wszędzie gadano tylko o jéj zaręczynach;
Powiadano, że Ewa gdy brała obrączkę
Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,
Że ma początki suchot, że ustawnie szlocha;
Zgadywano, że kogoś potajemnie kocha...
Ale Stolnik, jak zawsze spokojny, wesoły,
Dawał na zamku bale, zbierał przyjacioły.
Mnie już nie prosił: na cóż byłem mu potrzebny?
Mój bezład w domu, bieda, mój nałóg haniebny,
Podały mnie na wzgardę i na śmiech przed światem!
Mnie, com niegdyś rzec mogę, trząsł całym powiatem,
Mnie, którego Radziwiłł nazywał: kochanku!
Mnie, com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,
To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy!
Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy
Szabel błyszczało wkoło, strasząc zamki pańskie...
A potem ze mnie śmiały się dzieci włościańskie!
Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich liche!
Jacek Soplica!... Kto zna co jest czucie pychy?..."

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łoże;
A Klucznik rzekł wzruszony: „Wielkie sądy Boże!
Prawda! prawda! Więc to ty? i tyżeśto Jacku?
Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku?
Ty, którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,
Piękny szlachcic, gdy tobie pochlebiały pany,
Gdy za tobą kobiéty szalały! Wąsalu!
Nie tak to dawno! takeś zestarzał się z żalu!
Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,
Kiedyś tak do niedźwiedzia trafił doskonale?

Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza
Byłeś także po Maćku pierwszy do pałasza!
Prawda? o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:
„Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się Zaścianki,
A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,
Ten zadrży, choćby to był sam Radziwiłł książe."
Zawiązałeś ty węzeł i mojemu Panu!
Nieszczęśniku! I tyżeś? do takiego stanu?
Jacek Wąsal Kwestarzem! Wielkie sądy Boże!...
I teraz, ha! bezkarnie ujść tobie nie może...
Przysiągłem: kto Horeszków krwi kroplę wysączył..."

Tymczasem Ksiądz na łożu usiadł i tak kończył:
„Jeździłem koło zamku. Ile biesów w głowie
I w sercu miałem: kto ich imiona wypowie!
Stolnik zabija dziecię własne! mnie już zabił.
Zniszczył!... Jadę pod bramę: szatan mnie tam wabił.
Patrz, jak on hula! co dzień w zamku pijatyka,
Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!
I ten zamek na łysą głowę mu nie runie?.....
„Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.
Ledwiem pomyślił: szatan nasyła Moskali.
Stałem patrząc. Wiesz, jak wasz zamek szturmowali.
„Bo fałsz, żebym był w jakiéj z Moskalami zmowie...
„Patrzyłem. Różne myśli snuły się po głowie.
Zrazu z uśmiechem głupim, jak na pożar dziecko,
Patrzyłem; potem radość uczułem zbójecką,
Czekając rychło zacznie palić się i walić;
Czasem myśl przechodziła skoczyć, ją ocalić,
Nawet Stolnika....

„Broniliście się; ty wiesz, dzielnie i przytomnie.
Zdziwiłem się. Moskale padali wkoło mnie.
Bydlęta, źle strzelają. Na widok ich klęski
Złość mię znowu porwała.... Ten Stolnik zwycięzki
I także mu na świecie wszystko się powodzi?
I z téj strasznej napaści z tryumfem wychodzi?
Odjeżdżałem ze wstydem. Właśnie był poranek.
Wtem, ujrzałem, poznałem; wystąpił na ganek,
I brylantową szpinką ku słońcu migotał,
I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał,
I zdało mi się, że mnie szczególniej urągał,
Że mnie poznał, i ku mnie rękę tak wyciągał,
Szydząc i grożąc... Chwytam karabin Moskala;
Ledwiem przyłożył, prawie niemierzył — wypala!...
Wiesz!....

„Przeklęta broń ognista!.. Kto mieczem zabija,
Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,
Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać:
Ale ta broń ognista... dosyć zamek imać,
Chwila, jedna iskierka....

„Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry?...
Utkwiłem oczy we dwie twojéj broni rury;
Rozpacz jakaś, żal dziwny do ziemi mnie przybił!
Czemuż, ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił?...
Łaskębyś zrobił! Widać za pokutę grzechu
Trzeba było..."

Tu znowu brakło mu oddechu.
„Bóg widzi, rzecze Klucznik, szczerze trafić chciałem!
Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,
Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,
A wszystko to przez Waszą Panie Jacku winę!
A wszakże gdy dziś Jegry Hrabię na cel wzięli,
Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli,
Tyś go zasłonił, i gdy Moskal do mnie palił,
Tyś mnie rzucił o ziemię: tak nas dwóch ocalił...
Jeźli prawda, że jesteś księdzem zakonnikiem,
Jużci sukienka broni cię przed scyzorykiem.
Bądź zdrów, więcéj na waszym nie postanę progu,
Z nami kwita, — zostawmy resztę Panu Bogu."

Jacek rękę wyciągnął, — cofnął się Gerwazy.
„Nie mogę, rzekł, bez mego szlachectwa obrazy
Dotykać rękę, takiém morderstwem skrwawioną
Z prywatnej zemsty, nie zaś pro publico bono!"

Ale Jacek z poduszek na łoże upadłszy,
Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bladszy,
I niespokojnie pytał o Księdza Plebana,
I wołał na Klucznika: „zaklinam Waćpana,
Abyś został; wnet skończę, ledwie mam dość mocy
Zakończyć... Panie Klucznik, ja umrę téj nocy!..."

„Co bracie? krzyknął Sędzia; widziałem, wszak rana
Nie wielka. Co ty mówisz po Księdza Plebana?
Może źle opatrzono... zaraz po doktora;
W apteczce jest..." Ksiądz przerwał: „Bracie, już nie pora
Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,
Źle zgojony, a teraz draśniono: gangrena
Już tu... znam się na ranach, patrz, jaka krew czarna
Jak sadza. Co tu doktór?... ale to rzecz marna.
Raz umieramy: jutro czy dziś oddać duszę...
Panie Klucznik, przebaczysz mnie, ja skończyć muszę!

„Jest w tém zasługa niechcieć zostać winowajcą
Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!
Zwłaszcza, w kim taka, jaka była we mnie duma!...
„Imię zdrajcy przylgnęło do mnie jako dżuma.
Odwracali odemnie twarz obywatele,
Uciekali odemnie dawni przyjaciele;
Kto był lękliwy, zdala witał się i stronił:
Nawet lada chłop, lada żyd, choć się pokłonił,
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem.
Wyraz zdrajca brzmiał w uszach, odbijał się echem
W domu, w polu. Ten wyraz od rana do zmroku
Wił się przedemną, jako plama w chorém oku...
Przecież, nie byłem zdrajcą kraju.
„Moskwa mnie uważała gwałtem za stronnika.*)
Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka;
Targowiczanie potém chcieli mnie zaszczycić
Urzędem...
— Szatan radził... Już byłem możny i bogaty:
Gdybym chciał zostać zdrajcą? najpierwsze magnaty
Szukałyby mych względów, nawet szlachta braty,
Nawet gmin, który swoim tak łacnie uwłacza,
Tym którzy obcym służą, szczęśliwszym, — przebacza!...
Wiedziałem to, a przecież — niemogłem...
„Uciekłem z kraju!...
Gdziem niebył! com nie cierpiał?...
„Aż Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić:
Poprawić się potrzeba było, i naprawić
Ile możności to...
„Córka Stolnika, ze swym mężem Wojewodą,
Gdzieś w północ wywieziona, tam umarła młodo;
Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię.
Kazałem ją hodować...
„Bardziéj niźli z miłości, może z głupiej pychy,
Zabiłem: więc pokora... wszedłem między mnichy.
Ja, niegdyś dumny z rodu, ja com był junakiem,
Spuściłem głowę, Kwestarz, zwałem się Robakiem
Że jako Robak w prochu...
„Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady
Trzeba było okupić dobremi przykłady,
Krwią, poświęceniem się...
Biłem się za kraj, gdzie? jak? zmilczę. Nie dla chwały
Ziemskiéj, biegłem tylekroć na miecze, na strzały...
Miléj sobie wspominam, nie dzieła waleczne

*) Zdaje się, że Stolnik zabity został około r. 1791. za czasów pierwszej wojny.

I głośne, ale czyny ciche, użyteczne.
I cierpienia, których nikt...
A Pan Bóg wybawił mnie cudem,
I pozwolił umierać między swoim ludem
Z sakramentami.
„Chciałeś zemsty? masz!... boś ty był narzędziem kary
Bożéj: twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary,
Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,
Którem tulił, hodował, jak najmilsze dziecie,
Tyś zabił w oczach ojca — a jam ci przebaczył!
Ty!..."
„Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył,
Przerwał Klucznik. Jeżeli masz przyjąć wijatyk,
Księże Jacku: toć ja nie luter, nie syzmatyk;
Kto umierającego smuci, wiem, że grzeszy.
Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy.
Kiedy nieboszczyk Pan mój upadał zraniony,
A ja klęcząc nad jego piersią pochylony,
I miecz maczając w ranie, zemstę zaprzysiągnął:
Pan głowę wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął
W stronę gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył;
Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył..
Ja też pojąłem: ale tak się z gniewu wściekłem,
Że o tym Krzyżu nigdy i słowa nie rzekłem."
Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia,
I nastąpiła długa godzina milczenia.
Oczekują Plebana. Podkowy zagrzmiały,
Zastukał do komnaty Arędarz zdyszały:
List ma ważny, samemu Jackowi pokaże.
Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.
List od Fiszera, który był natenczas Szefem
Sztabu armii Polskiej pod Księciem Józefem.
Donosi, że w Cesarskim tajnym gabinecie,
Stanęła wojna; Cesarz już po całym świecie
Ogłasza ją; wnet stanie na granicach Litwy.
Jacek słuchając, cicho odmówił modlitwy,
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,
Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice,
I zalał się ostatnich łez rozkosznych zdrojem:
„Teraz, rzekł, Panie, sługę twego puść z pokojem!"
Wszyscy uklękli; a wtém ozwał się pod progiem
Dzwonek: znak, że przyjechał Pleban z Panem Bogiem.
Właśnie już noc schodziła, i przez niebo mleczne,
Różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne;
Wpadły przez szyby, jako strzały brylantowe,

Odbiły się na łożu o choregο głowę,
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyszczał jak święty w ognistéj koronie.

Zgoda. — Zaręczyny.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
Z dawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.
Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.
I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
Nie cieszą się jak zwykle z końca zimy długiéj,
Nie śpiewają piosenek: pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
I poglądają z trwogą ku zachodniéj stronie,
Jakby z téj strony miał się objawić cud jaki,
I uważają z trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnéj sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim, krzykliwemi nadciągnąwszy pułki,
Gromadziły się po nad wodami jaskółki,
I z ziemi zmarzłéj brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącéj słomki,
I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnéj nieba, wciąż jęczą żórawie.
Słysząc to nocni stróże, pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatém tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania?
Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek,
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;

Z lasów czernią się czapki, rzęd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.
Wszyscy na północ! Rzekłbyś że w on czas z wyraju*)
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą instynktową mocą.
Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie łuny,
Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny . . .
Wojna! wojna!... Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jéj huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnemi
Puszczami, chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników:
Teraz widzi na niebie, dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem jakby piorun; żubr, pierwszy raz w życiu,
Zląkł się i uciekł w głębszém schować się ukryciu.

* * *

Soplicowo leżało tuż przy wielkiéj drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
Nasz Książę Józef i Król Westfalski Hieronim.
Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim,
Gdy król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.
W mieście poblizkiem stanął główny sztab książęcy,
A w Soplicowie obóz czterdziestu tysięcy,
I ze sztabami swemi Jenerał Dąbrowski,
Kniaziewicz, Małachowski, Gedrojć i Grabowski.
Późno było gdy weszli: więc każdy gdzie może,
Zabierają kwatery w zameczysku, we dworze.
Skoro dano rozkazy, roztawiono czaty,
Każdy strudzony poszedł spać do swéj komnaty,
Z nocą wszystko ucichło: obóz, dwór i pole;
Widać tylko, jak cienie, błądzące patrole,

---

*) Wyraj w mowie gminnéj znaczy czas jesienny, kiedy ptaki wędrowne odlatują: lecieć na wyraj jest lecieć w ciepłe kraje. Ztąd przenośnie wyraj oznacza kraje ciepłe, w ogóle szczęśliwe, zamorskie.

I gdzie niegdzie błyskania ognisk obozowych,
Słychać kolejno hałas stanowisk wojskowych.
Spali, gospodarz domu, wodze i żołnierze;
Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze.
Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,
Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wsławić:
Biesiadę, godną miłych sercom polskim gości,
I odpowiednią wielkiéj dnia uroczystości,
Co jest świętém kościelném i świętém rodziny:
Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny.
Zaś Jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,
Że chce mieć obiad polski.
Choć spóźniona pora,
Wojski zebrał co prędzéj z sąsiedztwa kucharzy:
Pięciu ich było; służą, on sam gospodarzy.
Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,
Wdział szlafmycę a ręce do łokciów zakasał,
W ręku mu placekę muszą, owad ladajaki
Opędza, wpadający chciwie na przysmaki!
Drugą ręką przetarte okulary włożył,
Dobył z zanadrza księgę, odwinął, otworzył.
Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.
W niéj spisane dokładnie wszystkie specyały
Stołów polskich; podług niéj Hrabia na Tęczynie
Dawał owe biesiady, we Włoskiéj krainie,
Którym się Ojciec święty Urban Osmy dziwił;
Podług niéj późniéj Karol-Kochanku-Radziwiłł,
Gdy przyjmował w Nieświeżu Króla Stanisława,
Sprawił pamiętną ową ucztę, któréj sława
Dotąd żyje na Litwie we gminnéj powieści.
Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,
To natychmiast kucharze robią umiejętni.
Wre robota; pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,
Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:
Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany:
Leją w kotły, skowrody, w rądle. Dym wybucha;
Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszki dmucha,
Wojski, ażeby ogień tém łacniéj rozpalać,
Rozkazał stopionego masła na drwa nalać.
(Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu).
Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu;
Inni na rożny sadzą ogromne pieczenie
Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
Ci skubią stosy ptastwa, lecą puchów chmury,
Obnażają się głuszce, cietrzewie i kury.

Lecz kur niewiele było: od owéj wyprawy,
Którą w czasie zajazdu, Dobrzyński Sak krwawy
Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo
Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo,
Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąc na nowo,
Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.
Zresztą zaś mięs wszelakich był wielki dostatek,
Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,
I z lasów i z sąsiedztwa, zblizka i zdaleka:
Rzekłbyś, ptasiego tylko niedostaje mleka.
Dwie rzeczy, których hojny Pan do uczty szuka,
Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.
Już wschodził uroczysty dzień Najświętszéj Panny
Kwietnéj. Pogoda była prześliczna, czas ranny;
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.
Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie.
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A daléj okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w białéj chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowo razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.
Dziś pospólstwo Litewskie z całej okolicy
Zebrało się przed wschodem wokoło kaplicy,
Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.
Zbiór ten pochodził w części z pobożności ludu,

A w części z ciekawości: bo dziś w Soplicowie
Na nabożeństwie mają być Jenerałowie.
Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia: lud na trawie klęka;
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy.
Włos Litewskiego ludu, biały albo płowy,
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzie niegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty, albo w pawie oczy,
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męzkich jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.
Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa jak z mszalnéj kadzielnicy wonie.
A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,
Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu
Podkomorzy, niedawno przez Powiatu Stany
Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.
Miał mundur Województwa: żupan złotem szyty,
Kontusz grodeturowy z frendzlą i pas lity,
Przy którym karabela z głownią jaszczurową;
Na szyi świecił wielką szpilką brylantową;
Konfederatka biała, a na niéj pęk gruby
Drogich piórek, były to białych czapel czuby.
(Na fest kładzie się tylko kitka tak bogata,
Któréj każde pióreczko kosztuje dukata.)
Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,
Wieśniacy i żołnierstwo cisnęło się kołem.
Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę,
Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.
Ale na przyzbie domu usiedli dwaj starce,
Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce.
Patrzą w sad, gdzie wśród pączków barwistego maku
Stał ułan, jak słonecznik, w błyszczącym kołpaku
Strojnym blachą złocistą i piórem koguta;
Przy nim dziewczę w zielonéj sukience jak ruta
Pozioma, wznosi oczki błękitne jak bratki
Ku oczom chłopca; daléj Panny rwały kwiatki

Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy
Od kochanków, żeby im nie mieszać rozmowy.
Ale starce miód piją, tabakierką z kory
Częstując się nawzajem, toczą rozhorowy.
„Tak, tak, mój Protazeńku“ rzekł Klucznik Gerwazy.
„Tak, tak, mój Gerwazeńku“ rzekł Woźny Protazy.
„Tak to, tak!“ powtórzyli zgodnie kilka razy
Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:
„Iż proces nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę.
Wszakże były przykłady: pamiętam procesy,
W których się działy gorsze niż u nas excessy,
A intercyza cały zakończyła kłopot:
Tak z Borzdobohatymi pogodził się Łopot,
Krepsztulowie z Kupściami, Putrament z Pikturną,
Z Odyńcami Mackiewicz, z Kwileckimi Turno.
Co mówię! wszak Polacy miewali zamieszki
Z Litwą, gorsze niżeli z Soplicą Horeszki:
A gdy na rozum wzięła Królowa Jadwiga,
To się bez sądów owa skończyła intryga.
Dobrze, gdy strony mają panny, albo wdowy
Na wydaniu: to zawsze kompromis gotowy.
Najdłuższy proces zwykle bywa z duchowieństwem
Katolickiém, albo też z blizkiém pokrewieństwem:
Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem.
Stąd to Lachy z Rusami w sporach nieskończonych,
Idąc z Lecha i Rusa, dwóch braci rodzonych;
Stąd się tyle procesów Litewskich ciągnęło
Długo z Księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagiełło;
Stąd nakoniec pendebat długo przed aktami
Sławny ów proces Rymszów z Dominikanami,
Aż wygrał wreszcie Syndyk klasztorny ksiądz Dymsza,
Skąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż pan Rymsza;
Ja zaś dołożę, lepszy miód od scyzoryka...“
To mówiąc, półgarcówką przepił do Klucznika.
„Prawda! prawda! rzekł na to Gerwazy wzruszony,
Dziwneć to były losy téj naszéj Korony.
Ach, bracie Protazeńku! Co to oczy nasze
Widzą! toż znowu do nas ci Koroniasze
Zawitali! Służyłem ja z nimi przed laty;
Pamiętam, dzielne były z nich konfederaty!
Gdyby nieboszczyk Pan mój Stolnik dożył chwili!...
O Jacku! Jacku!... lecz cóż będziemy kwilili?“
„I to dziw, rzekł Protazy, że o téj to Zosi,
O któréj rękę teraz nasz Tadeusz prosi,
Było przed rokiem omen, jakoby znak z nieba!“

„Panną Zofią, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba
Bo już dorosła, nie jest dziewczynką maluczką,
Przytém z krwi dygnitarskiéj, jest Stolnika wnuczką."
„Owóż, kończył Protazy, był to znak proroczy
O jéj losie, widziałem znak na własne oczy.
Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza
Pijąc miód; alić patrzym: pęc, pada z poddasza
Dwóch wróblów bijących się; oba samcy stare:
Jeden młodszy cokolwiek miał podgardle szare,
Drugi czarne; dalejże tłuc się po podwórzu,
Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu —
My patrzym, a tymczasem szepcą sobie sługi,
Że ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi
Soplica; więc ilekroć szary był na górze
Krzyczą, wiwat Soplica, pfe Horeszki tchórze!
A gdy spadał, wołali: popraw się Soplica,
Nie daj się magnatowi, to wstyd na szlachcica!
Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;
Wtém Zosieńka, nad ptastwem litością wzruszona,
Podbiegła i nakryła rączką te rycerze;
Jeszcze się w ręku bili, aż leciało pierze,
Taka była zawziętość w tém maleńkiem lichu.
Baby patrząc na Zosię, gadały po cichu,
Że pewnie przeznaczeniem będzie téj dziewczyny
Pogodzić dwie oddawna zwaśnione rodziny.
A widzę, że się dzisiaj ziścił omen babi.
Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi,
Nie zaś o Tadeuszu...."
Na to Klucznik rzecze:
„Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko docieczе!
Ja też powiem Waszeci rzecz choć nie tak cudną
Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.
Wiesz, iż dawniéj radbym był Sopliców rodzinę
W łyżce wody utopić; a tego chłopczynę,
Tadeusza, od dziecka niezmiernie polubił!
Uważałem, że gdy się z chłopiętami czubił,
Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,
Jam go zawsze do trudnych imprezów podżegał.
Wszystko mu się udało: czy wydrzeć gołębie
Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie,
Czyli z najwyższéj sosny złupić wronie gniazdo:
Wszystko umiał; myśliłem: pod szczęśliwą gwiazdą
Urodził się ten chłopiec, szkoda że Soplica!
Któżby zgadł, że w nim zamku powitam dziedzica,
Męża Panny Zofii, méj Wielmożnéj Pani!..."

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani;
Słychać tylko niekiedy te krótkie wyrazy:
Tak, tak, Panie Gerwazy, — tak, Panie Protazy.
Przyzba tykała kuchni, któréj okna stały
Otworem i dym jako z pożaru buchały;
Aż z kłębów dymu, niby biała gołębica,
Mignęła świecąca się Kuchmistrza szlafmyca:
Wojski przez okno kuchni, po nad starców głowy,
Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy,
I podał im nareszcie filiżanki spodek
Pełen biszkoktów, mówiąc: „Zakąście wasz miodek.
A ja wam téż powiem historyą ciekawą
Sporu, który miał bitwą zakończyć się krwawą,
Gdy, polujący w głębi Nalibockich lasów,
Rejtan wypłatał sztukę Książęciu Denassów.
Téj sztuki omal własném nieprzypłacił zdrowiem:
Jam kłótnię Panów zgodził, jak to wam opowiem..."
Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze,
Pytając komu serwis ustawiać rozkaże.

Wtém kuchcik stuknął w okno: kota postrzeżono!..
Kot, wykradłszy się z łozy prześmignął po łące
I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące;
Tam siedzi: wystraszyć go łacno z rozsadniku
I uszczuć, postawiwszy charty na przesmyku.
Bieży Assessor, ciągnąc za obróż Sokoła:
Pośpiesza za nim Rejent i Kusego woła.
Wojski obu z chartami przy płocie ustawił,
A sam się z placką muszą do sadu wyprawił.
Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo zwierza trwoży;
Szczwacze, trzymając każdy charta na obroży,
Ukazują palcami skąd zając wyruszy,
Cmokają z cicha; charty nadstawiły uszy,
Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie,
Jak dwie strzały złożone na jednéj cięciwie.
Wtém Wojski krzyknął: „wyczha!" Zając smyk z za płotu
Na łąkę; charty za nim; i wnet bez obrotu,
Sokół i Kusy razem spadli na szaraka
Ze dwóch stron w jednéj chwili, jak dwa skrzydła ptaka,
I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.
Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecie,
Żałośnie! Biegą szczwacze: już leży bez ducha,
A charty mu sierść białą targają z pod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tymczasem
Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,

Oderznął skoki i rzekł: „Dziś równą odprawę
Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę,
Równa ich była rączość, równa była praca;
Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,
Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty.
Otóż skończony spór wasz długi i zażarty;
Ja, któregoście Sędzią zakładu obrali,
Wydaję wreszcie wyrok: obaście wygrali.
Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,
A wy podpiszcie zgodę." Na starca wezwanie,
Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice
I długo rozdzielone złączyli prawice.
Była wieść, że zająca tego Wojski w domu
Wyhodował, i w ogród puścił pokryjomu,
Ażeby szczwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą.
Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,
Że oszukał zupełnie całe Soplicowo,
Kuchcik w lat kilka późniéj szepnął o tém słowo;
Chcąc Assessora skłócić z Rejentem na nowo;
Ale próżno krzywdzące chartów wieści szerzył:
Wojski zaprzeczył, i nikt kuchcie nie uwierzył.
Już goście zgromadzeni w wielkiéj zamku sali,
Czekając uczty, w koło stołu rozmawiali,
Gdy Pan Sędzia w mundurze wojewódzkim wchodzi,
I Pana Tadeusza z Zofią przywodzi.
Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
Pozdrowił swych dowódzców przez ukłon wojskowy;
Zofia z opuszczonėm ku ziemi wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem;
(Od Telimeny pięknie dygać wyuczona).
Miała wianek na głowie jako narzeczona,
Z resztą ubiór ten samy, w jakim dziś w kaplicy
Składała snop wiosenny dla Boga Rodzicy,
Użęła znów dla gości nowy snopek ziela;
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rozdziela,
Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie.
Brali ziółka, całując jéj ręce wodzowie;
Zosia znowu dygała w koléj, zapłoniona.
Nakoniec z trzaskiem, sali drzwi na wściąż otwarto,
Wchodzi Pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze:
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu. Laskę ma na znak urzędu,
I tą laską z kolei jako mistrz obrzędu,
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.

Naprzód, jako najpierwsza Województwa władza,
Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne:
Ze słoniowem poręczem krzesło aksamitne;
Obok, na prawéj stronie, Jenerał Dąbrowski,
Na lewéj siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski;
Śród nich Podkomorzyna, daléj inne panie,
Oficerowie, panny, szlachta i ziemianie,
Mężczyzni i kobiety, na przemian po parze.
Usiadają porządkiem gdzie Wojski ukaże.
Pan Sędzia, skłoniwszy się opuścił biesiadę,
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę;
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,
Sam siadł na jednym końcu a pleban na drugim,
Tadeusz i Zofia do stołu nie siedli;
Zajęci częstowaniem włościan, chodząc jedli.
Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
Na pierwszéj uczcie sami służyli ludowi.
Tymczasem goście, potraw czekający w sali,
Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,
Którego równie drogi kruszec jak robota.
Jest podanie, że Książę Radziwiłł-Sierota
Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić,
I wedle własnych planów po polsku ozdobić;
Serwis potem zabrany czasu wojny szwedzkiej
Przeszedł, niewiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki;
Dziś, ze skarbca dobyty, zajął środek stoła
Ogromnym kręgiem, nakształt karetnego koła.
Serwis ten był ualany ode dna po brzegi
Piankami i cukrami białemi jak śniegi:
Udawał przewybornie krajobraz zimowy.
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy.
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
Okryte, zamiast szronu, cukrowemi pianki;
Na krawędziach naczynia stoją, dla ozdoby,
Niewielkie z porcelany wydęte osoby
W Polskich strojach: jakoby aktory na scenie
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich stucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie: z resztą gdyby żywe.
Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi.
Zaczém Wojski podnosi laskę i tak prawi:
(Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem)
„Za mych Wielce Mościwych Panów pozwoleniem:
Te persony, których tu widzicie bez liku,
Przedstawiają Polskiego historyą sejmiku,

Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie;
Sam tę scenę odgadłem i Państwu objaśnię.
„Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono.
Czeka nakryty stolnik; nikt gości nie sadza,
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.
Patrzcie, iż w każdéj kupce stoi w środku człowiek,
Z którego ust otwartych, z podniesionych powiek,
Rąk niespokojnych, widać: mówca coś tłumaczy,
I palcem eksplikuje i na dłoni znaczy.
Ci mówcy zalecają swoich kandydatów.
Z różnym skutkiem, jak widać z miny szlachty bratów.
„Wprawdzie tam, w drugiéj kupie, szlachta pilnie słucha
Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,
Ów dłoń przy uchu trzyma i milczkiem wąs kręci,
Zapewne słowa zbiera i niże w pamięci;
Cieszy się mówca widząc, że są nawróceni,
Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.
„Lecz za to w trzeciém gronie dzieje się inaczéj;
Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy,
Patrzcie, wyrywają się i cofają uszy;
Patrzcie, jako ten słuchać od gniewu się puszy,
Wzniósł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika;
Ten drugi, pochyliwszy czoło nakształt byka,
Powiedziałbyś że mówcę pochwyci na rogi;
Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.
„Jeden między kupkami szlachcic cichy stoi.
Widać, że człek bezstronny; waha się i boi;
Za kim dać kreskę? nie wie, i sam z sobą w walce,
Pyta losu, wzniósł ręce, wytknął wielkie palce,
Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy:
Widać, że kreskę swoją kabale powierzy;
Jeźli palce trafią się, da afirmatywę
A jeżeli się chybią, rzuci negatywę.
„Na lewéj druga scena; refektarz klasztoru
Obrócony na salę szlacheckiego zboru.
Starsi rzędem na ławach siedzą, młodsi stają
I ciekawi przez głowy w środek zaglądają;
W środku Marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,
Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma,
Właśnie wytrząsł ostatnią; Woźni ręce wznoszą
I imię obranego urzędnika głoszą.
„Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa.
Patrz, wytknął głowę oknem z kuchni refektarza;

Patrz, jak oczy wytrzeszczył, jak pogląda śmiało,
Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;
Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: weto!...
Patrzcie, jak za tą nagłą do kłótni podnietą,
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię;
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.
„Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie
Tego starego księdza, co idzie w ornacie:
To Przeor; Sanctissimum z ołtarza wynosi,
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi.
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
A ksiądz tam się obraca gdzie jeszcze broń szczęka;
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.
„Ach! wy niepamiętacie tego Państwo młodzi!
Jak wśród naszéj burzliwéj szlachty samowładnéj,
Zbrojnéj, niepotrzeba było policyi żadnéj:
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policyantów różnych. żandarmów, konstabów:
Ale jeźli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę.“
W tém dzwoniąc w tabakierę, rzekł Pan Podkomorzy;
„Panie Wojski, niech Wasze na potém odłoży
Te historye. Prawda, że sejmik ciekawy:
Ale my głodni, każ Wać przynosić potrawy.“
Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi laskę:
„Jaśnie Wielmożny Panie, zróbże mi tę łaskę,
Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików.
Oto nowy Marszałek na ręku stronników
Wyniesion z refektarza. Patrz, jak szlachta braty
Rzucają czapki, usta otwarli — wiwaty!
A tam po drugiéj stronie, Pan przekreskowany,
Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany.
Żona przed domem czeka: zgadła co się dzieje . . .
Biedna! oto na ręku pokojowéj mdleje;
Biedna! Jaśnie Wielmożnéj tytuł przybrać miała,
I znów tylko Wielmożną na lat trzy została!“
Tu Wojski skończył opis, i laską znak daje,
I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje
Roznoszący potrawy: barszcz królewskim zwany,
I rosół staro-polski sztucznie gotowany,
Do którego Pan Wojski z dziwnemi sekrety
Wrzucił kilka perełek i sztukę monety
(Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie);

Daléj inne potrawy, a któż je wypowie!
Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów,
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
Z ingredyencyami pomuchl, figatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunellów;
Owe ryby: łososie suche, dunajeckie,
Wyżyny i kawiary weneckie, tureckie,
Szczuki główne i szczuki podgłówne, łokietne,
Flądry i karpie ćwiki i karpie szlachetne;
W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona,
U głowy przysmażona, we środku pieczona,
A mająca potrawkę z sosem u ogona.

Goście ani pytali nazwiska potrawy,
Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy:
Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,
Kieliszki napełniając węgrzynem obfitym.

Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił,
I odarty ze śniegu już się zazielenił
Bo lekka, ciepłem letniém powoli rozgrzana,
Roztopiła się lodu cukrowego piana
I dno odkryła, dotąd zatajone oku;
Więc krajobraz przedstawił nową porę roku,
Zabłysnąwszy zieloną różnobarwną wiosną.
Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną.
Pszenicy szafranowéj buja kłos złocisty,
Żyto ubrane w srebra malarskiego listy,
I gryka wyrabiana sztucznie z czekolady,
I kwitnące gruszkami i jabłkami sady.

Ledwie mają czas goście darów łaata użyć;
Darmo proszą Wojskiego żeby je przedłużyć:
Już serwis jak planeta, koniecznym obrotem
Zmienia porę, już zboża malowane złotem,
Nabrawszy ciepła w izbie powoli topnieją,
Już trawy pożółkniały, liścia czerwienieją,
Sypią się, rzekłbyś iż wiatr jesienny powiewa;
Nakoniec, owe chwilą przedtem strojne drzewa,
Teraz, jakby odarte od wichrów i śronu,
Stoją nagie: były to laski cynamonu,
Lub udające sosnę gałązki wawrzynu,
Odziane zamiast kolców ziarenkami kminu.

Goście pijący wino, zaczęli gałązki
Pnie i korzenie zrywać i gryźć dla zakąski.
Wojski obchodził serwis i pełen radości,
Trymfujące oczy obracał na gości.

Wtém szmer powstał za drzwiami; razem głosów wiele
Zawołało: „niech żyje Kurek na kościele!“
Ciźba tłoczy się w salę, a Maciéj na czele.
Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził,
I wysoko pomiędzy wodzami posadził,
Mówiąc: „Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,
Przyjeżdżasz bardzo późno, prawie po obiedzie.“
„Jem wcześnie, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dla jadła
„Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła;
Szlachta mnie obaczyła i gwałtem tu wiedzie,
A Waszeć za stół sadzasz — dziękuję sąsiedzie.“
To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem do góry,
Na znak że jeść nie będzie, i milczał ponury.
„Panie Dobrzyński, rzekł mu Jenerał Dąbrowski,
Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,
Ów Maciéj, zwany Rózga! znam ciebie ze sławy.
I proszę, takiś dotąd czerstwy, taki żwawy!
Ileż to lat minęło! Patrz, jam się podstarzał;
Patrz, i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał;
A ty jeszcze z młodymi mógłbyś pójść w zapasy,
I rózga twoja kwitnie pono jak przed czasy.
— Ale — ale — jeszcze coś o sławnym Kluczniku,
Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć o tym Scyzoryku,
O którym mnie Pan Wojski tyle prawił cudów,
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów.“
„A owóż on!...“ Tu Wojski palcem wskazał w sieni,
Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni,
A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca
Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca;
Trzykroć weszła, i trzykroć znikła w głów obłoku.
Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się z tłoku,
I rzekł:
„Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie,
Czy Jenerale, — mniejsza o tytułowanie, —
Jam jest Rębajło, staję na twe zawołanie
Z tym moim scyzorykiem, który nie z oprawy
Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,
Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział.
Gdyby on gadać umiał, możeby powiedział
Cokolwiek na pochwałę i téj staréj ręki,
Która służyła długo, wiernie Bogu dzięki,
Ojczyznie, tudzież Panów Horeszków rodzinie,
Czego pamięć dotychczas między ludźmi słynie
Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy
Tak zręcznie temperuje pióra, jak on głowy.

Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku?
A niema żadnéj szczerby na tym scyzoryku
I żaden go nie splamił zbójecki uczynek;
Tylko otwarta wojna, albo pojedynek.....
Raz tylko!.... Panie daj mu wieczny odpoczynek!
Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono!...,
A i to, Bóg mi świadkiem, pro publico bono."
„Pokaźno, rzekł śmiejąc się Jenerał Dąbrowski,
A to piękny scyzoryk, istny miecz katowski!"
I z zadziwieniem wielki rapier opatrywał
I innym oficerom w koléj pokazywał;
Próbowali go wszyscy; ale ledwie który
Z oficerów mógł podnieść ten rapier do góry;
Mówiono że Dembiński, sławny ręki siłą,
Podźwignąłby szablicę, lecz go tam nie było;
Z obecnych zaś, tylko szef szwadronu Dwernicki
I dowódzca plutonu Porucznik Różycki
Potraflli obracać tym żelaznym drągiem:
I tak rapier na próbę szedł z rąk do rąk ciągiem.
Lecz Jenerał Kniaziewicz, wzrostem najsłuszniejszy,
Pokazało się, iż był w ręku najsilniejszy:
Ująwszy rapier lekko jakby szpadę dźwignął
I nad głowami gości błyskawicą mignął,
Przypominając polskie fechtarskie wykręty;
Krzyżową sztukę, młyńca, cios krzywy, raz cięty,
Cios kradziony, i tempy kontrpunktów, tercetów,
Które też umiał, bo był ze szkoły kadetów.
Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał.
Objął go za kolana i ze łzami jęczał;
Za każdym zwrotem miecza: „pięknie! Jenerale,
Czyś był konfederatem? pięknie, doskonale!
To sztych Puławskich! tak się Dzierżanowski składał,
To sztych Sawy! Któż Panu tak rękę układał!
Chyba Maciej Dobrzyński! A to, Jenerale,
Mój wynalazek, dalibóg mój; ja się nie chwalę:
To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,
Od mojego imienia zwane Cios mopanku;
Któż to Pana nauczył? to jest moje cięcie,
Moje!" Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie:
„Teraz umrę spokojny! jest przecie na świecie
Człowiek, który przytuli moje drogie dziecię;
Bo wszak nad tém oddawna dzień i noc boleję,
Czy po śmierci ten rapier mój nie zerdzewieje!
Otóż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny
Jenerale, wybacz mi, porzućcie te rożny,

Te cienkie szpadki; to wstyd szlacheckiemu dziecku
Nosić ten kijek, weźmij szablę po szlachecku!
Oto ten mój scyzoryk u nóg twoich składam,
To jest, co najdroższego na świecie posiadam;
Nie miałem nigdy żony, nie miałem dziecięcia,
On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia
Nigdy on nie wychodził; od rana do mroku
Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku!
A kiedym się zestarzał, nad łóżkiem na ścianie
Wisiał, jako nad żydem Boże przykazanie!
Myśliłem zakopać go razem z ręką w grobie,
Lecz znalazłem dziedzica — niechaj służy Tobie!
Co do mnie, Jenerale, ja mam dosyć na tém,
Że mój scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem
W takim ręku! Niech tylko Jenerał pamięta,
Aby tasiemka była długa, rozciągnięta,
Bo to długie; a zawsze od lewego ucha
Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha."
Jenerał wziął scyzoryk: lecz że bardzo długi,
Nie mógł nosić, w furgonie schowały go sługi.
Co się z nim stało, różnie powiadają o tém,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potém.
Już na dziedzińcu zamku stanęli parami
Oficery z damami, Wiara z wieśniaczkami.
Poloneza! krzyknęli wszyscy w jedno słowo.
Oficerowie wiodą muzykę wojskową;
Ale Pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:
„Każ pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała.
Wiesz, że dzisiaj synowca mego zaręczyny;
A dawnym obyczajem jest naszéj rodziny,
Zaręczać się i żenić przy wiejskiéj muzyce.
Patrz, stoi Cymbalista, Skrzypak i kozice,
Poczciwi muzykanci; już się Skrzypak zżyma,
A Kobeźnik kłania się i żebrze oczyma,
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;
Lud przy innéj muzyce nie potrafi skakać.
Niechaj ci zaczną; niech się i lud podweseli;
Potém będziem wybornéj twéj słuchać kapeli."
Dał znak.
Skrzypak u sukni zakasał rękawek,
Ścisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek,
I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.
Na to hasło, stojący obok Kobeźnicy,
Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem
Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem:

Myśliłbyś, że ta para w powietrze uleci,
Podobna do pyzatych Boreasza dzieci:
Brakło cymbałów.
Było Cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nieśmiał zagrać przy Jankielu.
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił.
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił);
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie, i panów się wstydzi
Kłaniając się umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega, i na białej podaje mu dłoni
Drążki, któremi zwykle mistrz we strony dzwoni,
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając: „Jankielu, mówi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże Jankielu!
Wszak nie raz przyrzekałeś grać na mém weselu?"
Jankiel niezmiernie Zosię lubił: kiwnął brodą,
Na znak że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą: jak weteran, w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.
Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo strony i próbując brzęczą;
Jankiel z przymróżonemi na poły oczyma
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.
Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potém gęściej siekł strony jak deszczem nawalnym:
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba;
Bo wnet przerwał, i w górę podniósł drążki oba.
Znowu gra. Już drżą drążki, tak lekkiemi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w stronę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumném okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.
Razem ze strón wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki:

Brzmi Polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu niedostoją:
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowéj sali,
Zgodzonego z narodem króla festowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!
Mistrz coraz takty nagli i tony natęża;
A wtém, puścił fałszywy akord jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomięszał przeczuciem złowieszczém.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką stronę, melodyę zmąca,
Coraz głośniéj targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany:
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: „znam! znam głos ten! to jest Targowica!
I wnet pękła ze świstem strona złowróżąca...
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca;
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów:
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów;
Takt marszu, wojna, attak, szturm; słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i z powieści;
Rade, że mistrz nakoniec stronami wszystkiemi
Zagrzmiał, i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.
Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów, zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strónek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczéj.
Lecz strón coraz przybywa: już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony,
I już w takt postępują zgodzonemi dźwięki,
Tworząc nótę żałosną téj sławnej piosenki:
„O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego."
Piosenka stara, wojsku Polskiemu tak miła!

Poznali ją żołnierze; Wiara się skupiła
W koło mistrza; słuchają, wspominają sobie,
Ów czas okropny, kiedy na poległych grobie
Zanócili tę piosnkę i poszli w kraj świata:
Przywodzą na myśl długie swéj wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając smutnie pochylili głowy!
Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia: coś innego głosi,
I znowu spojrzał z góry, okiem stróny zmierzył,
Złożył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że stróny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: Jeszcze Polska nie zginęła.
Muzyk, jakby sam swojéj dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca.
Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza,
I z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec: on prowadzi.
Nad murawą czerwone połyskają buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia:
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia,
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niéj głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jéj spojrzenia śledzi,
I zaśmiał się nakoniec; rad z jéj odpowiedzi
Stąpa prędzéj, pogląda na rywalów z góry,
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa.

Idzie; wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady;
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,
Lecz go szybkiemi kroki ścigają natręty,
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: niedbam o was, zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku,
Prosto w tłum; tłum tancerzy nieśmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi, i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim . . .
Brzmią zewsząd okrzyki:
„Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak Poloneza wodzi!“
I szły pary po parach hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!
Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszéj parze,
Ledwie widna zdaleka. Na wielkim obszarze
Zarosłego dziedzińca w zielonéj sukience,
Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,
Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,
Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem.
Zgadniesz gdzie jest: bo ku niéj obrócone oczy,
Wyciągnięte ramiona, ku niéj zgiełk się tłoczy.
Darmo się Podkomorzy zostać przy niéj sili:
Zazdrośnicy już z pierwszéj pary go odbili;
I szczęśliwy Dąbrowski niedługo się cieszył:
Ustąpił ją drugiemu; a już trzeci śpieszył;
I ten zaraz odbity, odszedł bez nadziei.
Aż Zosia już strudzona, spotkała z kolei
Tadeusza, i dalszéj lękając się zmiany
I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany.
Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.
Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany;

Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świecące,
Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,
Ówdzie nieco drobniejsze jak stada cyranek;
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał.
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
I raz ciepłem powietrzem westchnąwszy, usnęło.
A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,
Gości, przyjaciół, których kto żywy spamięta,
I których zmarłych pamięć pozostała święta!...

---

2) Poezya Idylliczna.

WIESŁAW.

Sielanka
przez
KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

I.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniężne wory;
Cztérysta złotych ułożył na ławie,
I tak powiedział: „Zgarnij to Wiesławie!
„Idź do Krakowa, a za te talary
„Kupisz dwa konie i dobierz mi pary;
„Już jedynaka w boju mi zabili,
„A mnie zgryzota i skrzętny wiek chyli,
„Nie mam w niemocy poufać się komu,
„Ty prawą ręką stałeś mi się w domu.
„Po mojéj śmierci, tyś rodziny głowa,
„Jeźli, (daj Boże!) córka się uchowa;
„Ma lat dwanaście, nieskąpo urody,
„Możesz jéj czekać i twój téż wiek młody.“ —
„Tak jest, dla ciebie (Bronisława powie)
„Strzegę téj córki, jakby oka w głowie.
(I pogłaskała Bronikę po twarzy,
Jej pusty uśmiech na licach się żarzy.)
„A cóż droższego mieć możesz od matki?
„Jednéć to moje przed grobem dostatki.
„Miałam ją drugą — litościwy Boże!
„Oko się za nią wypłakać nie może;
„Zaledwie piąty owoc kwitnął sadu,
„Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu.
„Już to dwunastém liściem wiatr pomiata,
„Jak myśli matki zatruwa jéj strata;
„Gdy wojna polskie dobijała plemię,
„W pustkach wsie stały, a odłogiem ziemie,
„W około lasów i wiosek pożary,
„Gniewu Bożego zwiastowały kary;
„Z wiatrem, co strzechy i konary zwalił,
„Do nas wróg przybył i wioskę zapalił.
„Dzień to był sądu! wśród płaczu i gwaru.
„Wśród ciemnéj nocy, wichrów i pożaru,
„Razem rólnicy ku obronie bieżą,
„Razem się wojsko ciśnie za grabieżą:
„W téj walce z dymem poszła ojców strzecha,
„Wtedy mi córka, jedyna pociecha,
„Znikła bez śladu; przez długie ja czasy
„Chodziłam za nią na wioski i lasy,
„Lecz jako kamień do morza rzucony
„Zniknęła wiecznie, głuche wszystkie strony....
„Co rok do kłosów przychodzą oracze,
„A ja dziecięcia nigdy nie zobaczę,
„Niech Boska wola będzie Boska chwała!
„Ciebiem ja, synu, za nię wychowała;
„Bo gdzie sierota przyjęta pod strzechę,
„Tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę:
„Może też moje utracone dziecię
„Podobnie kędyś opuszczone w świecie,
„Litość znalazło — żyje gdzie u matki,
„Pomiędzy własne policzone dziatki.
„W téj ja to myśli, po twych ojców stracie,
„Ciebie małego wychowałam w chacie.
„Litość za litość. — Niebieska opieka
„Tajnie nagradza uczynki człowieka,
„A jeźli ziemia strawiła jéj kości,
„Swobodna dusza w krainach przyszłości
„Igra wesoło przy niebieskiéj matce,
„I łaskę nieba zwabia naszéj chatce.”
Tu Bronisława zalała się łzami...
Rade łzy płyną za matki myślami;
Płakała zaraz i córka przy boku;
A łzy męzkiemu nieprzystojne oku
Kryjąc Stanisław, karci smutek żony:

„Jaki los w Niebie ludziom naznaczony,
„Próżno się troskać, Bóg siedzi wysoko,
„Nad całym światem baczne trzyma oko!
„Wszakci On Ojcem wszędzie i na wieki —
„Cóżby zdołało ujść jego opieki?
„Lepsze nad smutek ufanie pobożne —
„Idź! Wiesławowi przygotuj nadrożne,
„A ty pośpieszaj i chroń się przygody:
„Bo zawsze wiele ufa sobie młody:
„Przynieś twéj przyszłéj podarunek z drogi."
Wiesław obojga kornie ścisnął nogi,
I wyszedł z chaty przenikniony cały,
Że takich ojców niebiosa mu dały.

II.

Już miły wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydróżnéj wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie;
Pryskając konie, bieżą po gościńcu,
Widać dziewoje przy ruciannym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali.
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł Starosta, zarządzca wesela:
„Dobrze to w każdym znaleźć przyjaciela!
„Witajże do nas wy z Proszowskiej ziemi,
„Niechciejcie gardzić dary ubogiemi;
„Pożyjcie z nami, czém tu gospodarzy
„Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
„Napatrzycie się Krakowskim dziewojom,
„Rozlicznym tańcom i przecudnym strojom;
„Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi:
„Bo choć strudzeni widzę, żeście młodzi."
Na to Halina przystąpiła młoda,
W całém weselu najpierwsza uroda,
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta z koszyka i owoc podaje.
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
„Naszych owoców i naszego chleba."
A przytém uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy,
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.
Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany;
Potém Starosta, zarządzca wesela

W te słowa drużbom porady udziela:
„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
„Niech idzie w tany, niech téż po swojemu
„Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze:
„Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze."
Wziął sobie druchnę, któréj wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje:
Halina w pląsach rękę mu podaje;
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
I pląsa lekko przed Haliną żwawą.
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie,
Tupnął i głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:

„Niechże ja lepiéj nie żyję,
Dziewcze! skarby moje,
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.

Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie."

Bierze Halinę i tak w około
Przodkując drużbom, tańczy wesoło,
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak przed nią nuci:

„Czemuż ja w Proszowskiéj ziemi
Małe zaznał dziecię,
Byłbym między Krakowskiemi
Najszczęśliwszy w świecie!

Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek myśli i układa,
A wszystko Bóg sądzi."

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce bijąc goni z daleka;
A gdy dogoni, znowu z nią wróci,
Staje i w pląsach tak daléj nuci:

„Nieuciekaj dziewcze lube
Moje sto tysięcy!
Dogonię ja moją zgubę
I nie puszczę więcéj.

Krąży ptaszek w ciemnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia."

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim wesoło goni
I dogoniony gdy znowu wróci,
Staje i w pląsach tak daléj nuci:

„Gospodarzu, nie dasz wiary,
Jak konie opłacę,
Wydałem ja twe talary,
Moje serce stracę!

Grajcie skrzypki: bo się smucę
W opłakanym stanie,
Z konikami do dom wrócę,
Serce się zostanie."

Dłoń mu podała, a on w około
Przodkując drużbom tańczy wesoło,
A gdy do nowéj piosneczki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.
Na to Halina zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała;
Wiesław Staroście i matkom się kłania.
Słychać w około pokątne szemrania.
Długo gościnnie Wiesław się weselił. —
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewki i granie,
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknéj Halinie.

III.

Pośpieszał Wiesław i lasem i polem,
Ale się ostać nie może przed bolem:
Bo kiedy miłość raz w sercu osiędzie,
Daremny namysł i rozsądek będzie.
Przeto, co myślał, co czynić przystało,
Stanowi wyznać i szczerze i śmiało.
Oczekiwany wjechał do podwórka,
Wybiegł gospodarz i matka i córka,
Głaszcze koniki i wiąże u płotu,
Cieszą się wszyscy z rychłego powrotu,
Z taniości kupna i z koników radzi;
Ojciec do stajni wraz je sam prowadzi,
Prędką wieczerzę rozkazuje matce. —
Skoro milczący Wiesław usiadł w chatce,
Matka go z córką o zdrowie pytały;
Milcząc, Bronice dał gościniec mały.
Przybył też razem i sąsiad ciekawy,
Dobry do rady, dobry do zabawy.
Jan, co za stołem nie jednym już siedział,
Mądrze pomyślał i prawdę powiedział;
Ale się wszystkim dziwnie wydawało,
Że Wiesław smutny i mówił tak mało.
Wszedł i gospodarz — do stołu zasiedli,
Skromną wieczerzę przy rozmowach jedli,
A matka tylko baczna na Wiesława,
Przyczyny smutku pyta się ciekawa:
„Powiedz nam przecie, co tobie się stało,
„Że smutny siedzisz i mówisz tak mało?
„Milczący zawsze sam sobie zaszkodzi:
„Nigdy młodemu skrytość się nie godzi."

On spuścił oczy, wstydem się zapłonił,
Gospodarzowi do nóg się ukłonił,
I zaczął mówić słowy takowemi:
„Prawda, że szczerze trzeba ze starszemi,
„Oni nieźrzałéj młodości wybaczą,
„I mądrą radą zawsze wspierać raczą.
„Czemużem w domu nie został na wieki,
„Wdzięczen łask tylu i waszéj opieki.
„Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,
„Anibym zaznał ciężkiéj z sercem wojny.
„Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi,
„Inaczéj myśli Bóg o swéj czeladzi.
„Prędki, bez wieści spada wyrok Boski. —
„Na mojéj drodze pośród jednéj wioski
„Poznałem druchnę, któréj wdzięk uroczy
„Zabrał mi serce i zniewolił oczy,
„I zrobił tyle, że odtąd jedynie
„Serce i dusza zawsze przy Halinie.
„Ojcowie moi już królują w niebie,
„Wyście sierotę przyjęli do siebie,
„Cięższa niż kamień jest ludziom sierota!
„Wyście litośnie otwarli mi wrota;
„Nie żałowali i trosków i chleba,
„Uczyli pracy i bojaźni nieba.
„Dziś jedynaczkę córkę w swojéj chacie
„Dla mnie na przyszłość w zamęście chowacie;
„Jeszcze (mówicie) byłem dzieckiem małem,
„Gdy ją na przyszłość sobie kołysałem.
„Ni mię niewdzięczność, ani harda dusza
„Odkryć przed wami mój smutek przymusza,
„Ale mi rada niedościgła w niebie
„Was każe smucić, a zawstydzić siebie.
„Puśćcież mię, puśćcie, z rękoma gołemi,
„Pracować będę pomiędzy obcemi:
„Bo bez Haliny nic już niezarobię,
„Niezdatny ludziom i nie miły sobie.
„Prędkobym znalazł koniec życiu memu;
„Pobłogosławić chciejcież więc biednemu;
„Bo ten przed nędzą nigdzie się nieschroni,
„Kogo przekleństwo dobroczyńców goni. —
„Sprawcie! Bóg za to niech będzie nad wami!"
Tu Bronisława zalała się łzami.
Stanisław milcząc podparł siwą głowę,
I po ojcowsku rzekł słowa takowe:
„Kiedy twój ojciec żegnał ziemskie życie,

„Ciebie mi oddał jak za własne dziecię;
„Tak cię też kocham, i widzi Bóg w niebie:
„Że nic milszego nie miałem nad ciebie.
„A ty niepomny, że mię starość gniecie,
„Chcesz na przygody puszczać się po świecie;
„Chcesz mię opuścić za to, żem cię chował,
„Żem tobie przyszłość uczciwą gotował.
„Nieszczęście wniesiesz do każdego domu,
„Gdy mnie zostawisz wśród żalu i sromu;
„Młody, niebaczną wziąłeś przed się drogę,
„Ja cię przeżegnać, ja puścić nie mogę.“
Płakali wszyscy, Jan milczący siedział,
Gdy się namyślił, tak mądrze powiedział:
„Stary młodemu wyrozumieć niechce,
„Młodego nowość i swoboda łechce;
„Zwiąż go miłością i obsyp go zbiorem,
„On dalej patrzy, bo mu świat otworem,
„Nieszczęściem jemu najmilsza niewola.
„Tak i na wiosnę ptak okrąża pola,
„Płochy i dumny, ufny w siłę młodą,
„Rzeki i skały przebywa z swobodą,
„Aż miłem głosem zwabiony zostaje,
„Spuszcza się, jedne by zamieszkał gaje;
„I lube szczęście i pokój znachodzi:
„Te prawa mają, tę naturę młodzi.
„Za nic już wszystko, gdy na całe życie
„Wolną mu teraz drogę zagrodzicie.
„Nie w nim też może dla Broniki szczęście,
„Z woli ma kwitnąć niewolne zamęście;
„Jako kwiat córka obcéj ręki czeka,
„Wolny młodzieniec szuka jéj zdaleka;
„Dla tego wolność dajcie Wiesławowi,
„O własném szczęściu niechaj sam stanowi!"
Na to Stanisław: „Wiele Janie wiecie,
„Ale nie znacie, co to stracić dziecię.
„Dla czego ojciec w troskach życie trawi.
„Czém się wiek długi i smuci i bawi,
„Z czém żyć nawyknie i pracować w domu,
„To bierze przybysz nieznany nikomu.
„Bierze dobytek krwawo dochowany,
„I puste ojcom zostawuje ściany,
„Gdzie zapomnieni samotne łzy sączą,
„Gdy córkę inne obowiązki łączą.
„Przeto od dawna były myśli moje,
„Bym ich przy sobie połączył oboje,

„Ażeby matka kiedyś po méj stracie,
„Teścinéj w obcéj nie służyła chacie;
„Lecz myśli niczém, gdy Bóg nie dozwoli,
„Przeto Wiesławie zostawiam twéj woli,
„Uproś sąsiada, wezwij jego rady,
„Może sam z tobą uda się na zwiady:
„Jeźli twa przyszła serce tobie święci,
„Jeźli rodziny poznasz dobre chęci,
„Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty,
„Jak syn synowę przywiedź mi do chaty."

IV.

Idzie Jan z tęsknym Wiesławem na zwiady,
Wiesław daleko przed nim znaczy ślady,
Bo go i miłość i młodzieńcza siła
Przez góry, doły, prędzéj prowadziła;
A kiedy przyszli, gdzie mieszkała córka,
Taką pieśń nucą za płotem podwórka:

„Grzęda kwiatami osnuta,
Kwitnie rozmaryn i ruta,
Na okienku wianek leży;
Jest tu córka dla młodzieży.
Przyjdzie młodzian z obcych błoni,
Ojcu, matce się pokłoni;
Zerwie Panna swoje kwiaty,
Do teściowéj pójdzie chaty.
Raz ostatni rozmaryny
Uwieńczycie skroń dziewczyny.
Zielona ruto na grzędzie,
Nikt cię polować nie będzie.

Schludna chatka, choć uboga,
Za rządnością pomoc Boga.
Sroka skrzeczy na jaworze,
Panna stroi się w komorze.

Otwierajcie przyszli goście,
I ochoczo w dom zaproście;
Chociaż obcym bądźcie radzi,
Dobra nas tu chęć prowadzi." —

Wyjrzała oknem od kądzieli matka,
Skrzypła zapora, otwarła się chatka.
Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały
Głową wyniosłą dosięgnął powały,
A matka rzekła: „Witajcie nam goście!
„Sądźcie, i z Bogiem dobrą wieść przynoście."
Z komory wyszła Halina z rumieńcem,
Skłoniła głowę przed znanym młodzieńcem;
A Jan powiedział: „Oj! widzę, że godne
I starca drogie lica tak urodne."
Kiedy Halina słyszy taką mowę,
Rumianych wdzięków przybyło połowę.
Koszyk podróżny zdejmuje z młodziana,
Bierze i laskę sędziwego Jana;
Wnet ławkę czystą do stołu przynosi,
A matka gości do spoczynku prosi.
Mówi do ucha wstydliwéj Halinie:

„Niech się roznieci ogień na kominie,
„Niech będzie rychło wieczerza gotowa."
Jan gdy odpoczął, w te przemówił słowa:
„Wszak gospodyni przeto nie obrażę
„Czyniąc, co dawny obyczaj nam każe.
„Ojców zwyczaje, toć krewieństwo nasze,
„Przeto Wiesławie daj z koszyka flaszę,
„A gospodyni kubka nam udzieli.
„Miernie użyty trunek rozweseli;
„Śmielszemi czyni ukrywane chęci,
„Serce roztkliwi i na jaw wyświęci,
„A jak oblicze oglądamy w zdroju,
„Tak wiernie dusza wyda się w napoju.
„Pszczołki na ziemi pierwsze gospodynie,
„One po całéj opatrznéj krainie
„Zbiorów szukały; ochronne przy zgodzie,
„Wzbudziły przemysł i w ludzkim narodzie.
„A jak na wiosnę gospodarna pszczoła,
„Gdy się sad bieli i wonieją zioła,
„Niesie w ul siostrze uzbierane miody,
„Tak niesie młodzian z rodzinnéj zagrody
„Kubek słodyczy przy życzliwéj chęci
„Téj, które serce niewolne przyświęci;
„Bo równa pszczole jest miłość wieśniacza,
„Słodycz i zgodę i pracę oznacza."
Podała matka kubek na te słowa.
Poszła do serca wszystkim Jana mowa;
Bóg go też wielkim rozumem obdarzył,
Już on nie jednę rodzinę skojarzył,
Starostą bywa na każdém weselu,
I chrzestnym ojcem zwą go w domach wielu,
Przeto, gdziekolwiek przyjdzie w odwiedziny,
Jest jakby w domu u swojéj rodziny.
W podany kubek nalał Wiesław miodu:
„Przyjmij tę kroplę z obcego ogrodu,
„Piękna Halino, jak tobie słodyczy
„Na całe życie serce moje życzy."
Na to Halina pytającém okiem
Patrzy na matkę. — Odwrócona bokiem,
Białe odzienie zarzuca na głowę;
Tak zasłoniona, wypija połowę.
Połowę Wiesław wypełnił aż do dna,
A jako zorza wśród lata pogodna,
Rumianym wstydem jaśniała Halina. —
Jan dziewosłęby w te słowa zaczyna:

„Kiedy tak córka chęć życzliwą dzieli,
„Już do was matko mówić mię ośmieli;
„Gdzie młodzież idzie za serdeczną władzą,
„Niech ją z namysłem starsi doprowadzą;
„Młodość nie widzi, przyszłości nie bada,
„Jako w kochaniu ufność w losie składa,
„A to oddzielne, nieprzyjazne rzeczy,
„Szczęście więc starsi muszą mieć na pieczy;
„Wszystko opatrzyć, otwarcie pogadać,
„A zresztą ufność na Bogu zakładać. —
„Zacnego domu widzicie tu syna,
„Chociaż pod ziemią śpi jego rodzina;
„Ma przecież ojców, co litością zdjęci,
„Mając kumostwa powinność w pamięci,
„Nie żałowali dla sieroty chleba,
„Uczyli pracy i bojaźni nieba:
„Sprawiał się godnie, że go synem zowią
„I część chudoby dla niego stanowią.
„Niejestci u nich gospodarstwo liche,
„Praca sierpowa nie idzie pod wichę.
„Co tydzień wniesie, niestraci niedziela,
„Bóg też pomocy, rządności udziela:
„Czystą pszenicę czarna niesie rola,
„Wełniste owce zabielają pola.
„W schludnéj stajence bydełko się chowa,
„A cztéry konie jadą do Krakowa.
„Z ich to ramienia do was ja przychodzę;
„Poznał się Wiesław z Haliną na drodze,
„Jak pewnie wiecie. — I ojcom wyjawił,
„Że swoje serce w jéj sercu zostawił."
Na co Stanisław rzekł mu słowem takiém:
„Jesteś mi prawda w domu jedynakiem;
„Lecz jeźli miła serce tobie święci,
„Jeźli rodziny poznasz dobre chęci,
„Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty.
„Jak syn synowę przywiedź mi do chaty."
„Te słowa matko! wiernie wam odnoszę,
„I w imię ojców, o córkę was proszę. —
„Niechaj Bóg dobre rodziny jednoczy!
„Niechcę młodego wychwalać wam w oczy.
„Często pochwała choć i słuszna szkodzi,
„Bo lepiéj, kiedy nie znają się młodzi.
„Zawcześnie już się u celu być mienią,
„Raz pochwaleni, przestrogi nie cenią. —
„Choć pracowity, choć pokorny w domu,

„Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu:
„Zajechać drogę choćby Wojewodzie,
„Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie,
„Z karczmy rozpędzać cesarskie wojaki,
„Wyśmiać wędrownym Góralom chodaki;
„Toć były jego dotąd obyczaje! —
„Młodemu wszystko zarówno się zdaje.
„Bo jak na wiosnę pędzi potok w biegu,
„Pieni się, szumi i wylewa z brzegu,
„Aż daléj cicho upływa w korycie;
„Tak młodzian siłą obdarzon okwicie
„Musi wyszumieć, aż w troskach stateczny,
„Jak jabłoń z czasem traci kwiat zbyteczny.
„Zna Wiesław łaskę i niełaskę nieba,
„Kto użył biedy, poznał cenę chleba;
„Zawsze też dobra i stateczna żona
„Resztę wychowu w młodzianie dokona.
„Douczy myśleć, jak dobytek zbierać,
„Jak się na przyszłość zwodliwą ozierać. —
„To wam powiadam o moim Wiesławie,
Bom mu był świadkiem z lat dziecinnych prawie."
Baczna Halina, stojąca na boku,
Śledziła prawdę, w Wiesławowem oku;
Jan mówiąc prawdę wiedział, że nie ranił,
Dziewczęta lubią błędy, które ganił.
Ale łza błysła w źrenicy młodziana,
Potém się nisko skłonił do nóg Jana;
Skłonił się matce, milcząc, pełen sromu,
I było długie pomilczenie w domu.
Wtenczas Halinie równie łzy wytrysły —
Jako na wiosnę, nad brzegami Wisły,
Gdy wonny deszczyk obłoki wyleją,
Kwiaty zroszone błyszczą się nadzieją,
A razem słońce za górami świeci.
Tak gdy z otuchą łzę roniły dzieci,
Jan z matką na nie poglądali z boku,
Miła pogoda jaśniała im w oku.
Rzewniło matkę niespodziane szczęście!
Nie dla Haliny bogate zamęście,
Która sierota bez ojca i matki
„Wiana nie miała, ni rodzinnéj chatki.
„W szczerości zatém, jak każe sumienie,
Takie Janowi czyni oświadczenie:
„Jest Bóg widzący na niebieskim dworze,
„Doświadcza ludzi w szczęściu i pokorze;

„Czy kogo nisko, czy w górze posadzi,
„Wgląda, jak wszędzie człowiek sobie radzi.
„Halina moja, co w ubogim bycie,
„Przepracowała dotąd ze mną życie,
„Nie wierzy słońcu, które niespodzianie
„Przed nasze teraz błysnęło mieszkanie.
„Na stan jej niski wysoka jagoda,
„Nie dla sieroty jest kmieca zagroda:
„Ani ma ojców, ani przyjacieli,
„Coby o wianie dla niéj pomyśleli.
„Przeto młodzieńcze! niech cię Bóg poświęci
„Za dobre serce i życzliwe chęci;
„Teraz usłyszcie o losie Haliny,
„ I to do waszej odnieście rodziny: —
„Gdy się los zawziął na polską koronę,
„Szedł mój mąż z kosą z braćmi na obronę,
„I już niewrócił. — Obcy bez litości
„Grabili dwory, zapalali włości;
„Doznał, co trwoga, kto pomni te czasy!
„Starce i matki pokryły się w lasy,
„Ale i w lesie płoną ogniem sosny,
„Byłci to widok straszny i żałosny.
„Gdy to ostatnia gorzała uchrona,
„Milami wielka rozciągła się łona,
„Dzieci i żony błądziły tłumami
„Przy drodze, na to patrzyłam ze łzami.
„A że mi dziecię zastąpiło drogę,
„Do serca — płacząc — tulę jako mogę,
„Pytam o imie, rodzinę, mieszkanie,
„Ale daremna prośba i pytanie:
„Dziecię zaledwo swoje znało imie,
„Mówiło tylko że w okropnym dymie
„Nieznani ludzie wiedli je do lasu; —
„Więcéj nic niewiem. Aż do tego czasu
„Ja niegdyś matka, — pamiętna na Boga,
„Wzięłam sierotę, choć sama uboga.
„Podjęłam troski, lecz była ich godna,
„Wyrosła zdrowa, pracowna, urodna;
„Obiedwie teraz pracujem na siebie,
„W jednych żyjemy troskach i potrzebie.
„Pracą łagodząc ubóstwo uporne,
„W cudzéj zagrodzie siedzimy komorne,
„Bez skiby ziemi. — Jałówka, dwie krówek,
„Kilka owieczek, cały nasz dochowek.
„W lecie sąsiadom pracujem przy żniwie,

„Za to nam zagon odstąpią na niwie;
„Tak len siejemy, a wieczorna przędza
„Resztę domowéj potrzeby opędza. —
„Brzmią tu wesela na każde odpusty,
„Lecz to nie dla niéj, nie dla niéj zapusty,
„Na których dziewkom kupują pierścienie.
„Tam gdzie stodoły i bogate mienie,
„Tam zalotnicy. — Niezwabi młodziana
„Przybysza córka bez ojców i wiana —
„Jak była dotąd niebieska opieka,
„Tak przeznaczenia u Boga niech czeka.
„Ufam, że póki niemoc mię nie strawi,
„Już mię Halina saméj nie zostawi."
Na to Halinie łza z oczu wytryska,
Klęka przed matką i kolana ściska:
„O miła matko! tyś-ci moje wiano;
„Choćby mi góry złociste dawano,
„Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
„Jedwabne szaty chowała w komorze,
„Tobym bez ciebie przepłakała życie."
Tak się ściskały lejąc łzy obficie,
A Jan myślący bacznie radość chowa,
Wykraść się chciały niecierpliwe słowa,
Bo dusza była pełną ważnych myśli;
Na twarzy tylko wesele się kryśli.
Chciał mówić Wiesław — ale go Jan bacznie
Ostrzega cicho, i tak mówić zacznie:
„Ważne mi, ważne zwiastują się rzeczy!
„Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy,
„Chwała mu wieczna! — Miła gospodyni,
„Niechaj z ufnością, co powiem, uczyni,
„Bo z serca idzie szczera moja rada:
„Uproście koni z wozem u sąsiada,
„A tę życzliwość hojnie mu wrócimy,
„Bo wszyscy w drogę wybrać się musimy;
„Szczęścia spólnego nadeszła godzina.
„Pozna Halinę Wiesława rodzina."

V.

Wartko wóz toczą parskające konie,
Mijają bory i mostki i błonie.
Cała drużyna siedzi zadumana —
Wesołość tylko nieopuszcza Jana:
Gada powiastki, żartuje ochoczy,
Że córka często musi zakryć oczy;
Sam radość w sercu zatajoną żywi,

Że dwie rodziny w rychle uszczęśliwi. —
Przydróżne lipy długie ścielą cienie,
Gore nad lasem niebieskie sklepienie,
I rzeźwą wonią sieje wiatr pogodny.
Jest blizko drogi gościniec wygodny,
Tam każą stanąć: bo choć wioska blizka,
Ale ją dzielą zbłotniałe stawiska,
Przeto, nim w okół jadący okrąży,
Pieszy ścieżkami trzykroć pierwéj zdąży.
Idąc więc wszyscy ścieżkami wesoło.
A wóz pył wznosi, okrążając koło:
Dziwnie Haliny twarz się uwesela
Swawolna, więcéj mówić się ośmiela.
Przebyli kładki i zaczepne krzewy,
Z błonia pastusze ozwały się śpiewy,
Które jéj bardzo do serca trafiły:
Tak na weselu nucił Wiesław miły.
A Jan uważny pogląda jéj w lica.
Czy jéj nie będzie znaną okolica.
Wtém uroczyście od kościelnéj wieży
Dzwon do modlitwy głos po rosie szerzy,
Pobożnie wszyscy padli na kolana,
A twarz Haliny od zorzy oblana
Podobną była do twarzy anioła;
Ale tęsknocie wytrzymać nie zdoła,
Do dziwnych marzeń głos dzwonka ją skłonił,
I słodki smutek kilka łez wyronił.
A idąc daléj, na wzgórku stanęli.
Już tylko wioskę jedno błonie dzieli;
Z którego gwarząc rozpierzchłe pachołki
Spędzają na most i krówki i wołki.
Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
A cała wioska jako ogród długi
W sadach kwitnących niskie strzechy kryje,
Z których dym kręty ku niebu się wije.
A stary kościół z wysokiemi szczyty
Nad wsią panuje lipami okryty;
Wieża, z któréj dzwon o milę donosi,
Już pogrzeb piątym pokoleniom głosi. —
Gdy tak na wszystkie poglądają strony,
Jan się zapytał na laskę schylony:
„Jak ci się zdaje to nasze siedlisko?
„Chata Wiesława już tu bardzo blizko."
Ale Halina w jednę patrzy stronę,
Bijące łono, usta otworzone

Poznać dawały wielkie zadumienie,
Błogie się w serce cisnęło wspomnienie...
Niemogła mówić: bo w takowym stanie
Każdy jéj oddech zajmowało łkanie.
Daléj przy miedzy, naprzeciwko chaty
Stoi krzyż pański pochylony z laty,
W około wierzby i zielona trawka,
Tam wiejskich dzieci niedzielna zabawka.
Tu już Halina pada na kolana,
W dłonie uderza i mówi do Jana:
„O mocny Boże! toć moja rodzina!
„Gdzie moja matka, gdzie matka jedyna?
„Jeźli już w grobie, na grób jéj pójść muszę,
„Stęschnioną ku niéj niech wypłaczę duszę!
„Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiaty —
„Ale nie widzę rodzicielskiej chaty,
„Bo tu inaczéj wszystko dawniéj stało,
„Nie tak, jak mi się w pamięci zjawiało."
Tu Jan powiedział: „Bóg, co cię ratował,
„I twoich ojców przy zdrowiu zachował,
„Zostawił wszystkich przy pracy spokojnie;
„Wzmogli się ludzie po niszczącéj wojnie.
„Chatkę i córkę stracili w potrzebie,
„Dziś w nowéj chacie uściskają ciebie;
„Podziękuj Bogu, żeć drugą dał matkę,
„Co cię w rodzinną odprowadza chatkę!"
Halina wszystkich ścisnęła koleją,
Wszyscy rozkoszne łzy radości leją.
  Weszli w podwórko, lecz ojców nie było:
Patrzy Halina, co się odmieniło,
Spokojnie ojców od pola czekali,
Żeby Halinie wypoczynek dali.
Już też Stanisław idzie z łąki z kosą,
Idzie i żona, konicz krówkom niosą.
Naprzód z bławatem szła Bronika mała,
Gości w podwórku ojcom skazywała.
Chciał Jan, by Wiesław naprzeciw pośpieszył,
Aby wprzód matkę szczęśliwą ucieszył. —
  Jak się witała rodzina złączona,
Jedno drugiemu oddając do łona;
Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi,
Jako zię zbiegli ciekawi sąsiedzi;
Jako Bronika starszą siostrę ściska,
Nieznając straty, a czując, co zyska:
Tego wam moi mili towarzysze

Tak, jakbym żądał nigdy nie opiszę.
Na tém więc kończę — bo wy, co czujecie,
Lepiéj to sobie w sercu opiszecie.

SIELANKA MŁODOŚCI

przez

KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO.

Panna była prześliczna, — z błękitnych jéj oczek
Zaledwie że piętnasty uśmiechał się roczek.
Panicz równy jéj wiekiem bywał nieustannie
W jéj domu — i z rozkoszą siadywał przy Pannie.
Znosił koszyczki, kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał zwijać w kłębki włóczkę i bawełnę —
Nad rysowaniem *wzorków* strawił nieraz dzionek,
Grywał z nią w *gotowalnią*, w *mruczka* i w *pierścionek*;
Przyjaźnił się z jéj bratem, grzecznie gadał z matką,
A Pannie, tysiąc fraszek opowiadał gładko.
  Lecz często, kiedy czulszém ośmielon wejrzeniem
Chciał wyznać jakim dla niéj rozgorzał płomieniem,
Wnet mięszał się, głos tracił i słów mu nie stało:
Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
Raz przecież postanowił, bądź co bądź wypadnie,
Oświadczenie miłości wyrazić jéj ładnie,
Lecz zamiast arcydzieła co tak długo składał,
Rumieniąc się, oświadczył....... że deszcz będzie padał!
  Panna miała dla niego zawsze wzroczek słodki,
Gdy on przy niéj, — to ciągłe piosnki i chichotki —
A kiedy przez czas jakiś niewidać Panicza,
To jéj coś jakby smutek wyglądał z oblicza;
Siadała przy krosienkach nie mówiąc i słówka
I skarżyła się mamie, że ją boli główka!
  Tak żyli blisko siebie, jak na cichéj łące,
Skryte w cieniu, dwa drobne fijołki woniące —
A w okół nich, krążyły w domu szeptów roje,
Że się Panicz i Panna kochali oboje!

* * *

  Była to pierwsza miłość niewinna, milcząca,
Święta jak przed ołtarzem lampa gorejąca —
Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysiąg namiętnych!

Ale gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie jak magnes z żelazem,
Radeby tak pozostać przez miesiące — lata, —
I tak patrzeć ku sobie...... do skończenia świata!
O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku
Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku,
A wrzących uczuć potok tajonych tak długo
Przeciekał z serca w serce, niewidzialną strugą,
I tworzył im ocean — po którymby chcieli
W łódce o złotych wiosłach, pływać jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi
Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi —
I żyć zdala od brzegów...... do skończenia świata!
— Tak im błogo schodziły różane ich lata.
Raz, w cieniu lip, przed dworem, w jesiennym poranku,
Młody Panicz i Panna rozmawiali w ganku
O pogodzie, o słońcu — a potém o zgonie
Prześlicznego jaśminu co uschnął w wazonie. —
Potém, o czémś weselszém — o zwycięzkiéj walce
Kota Filiusa z psami — a w końcu o lalce;
Bo zapomniałem wspomnieć, że śród pogadanki
Panna stroiła lalkę dla młodéj krewnianki. —
Gotów był cały ubiór od stóp aż do głowy:
Trzewiczki — biała suknia — kapelusz różowy
I fartuszek niebieski jak modniarki oczy —
Brakło tyle na główce puklów i warkoczy.
Zkąd wziąść ich? — Łatwa rada. — Z uśmiechem pustoty
Panna zdjęła z grzebienia ciemnych włosów sploty,
Westchnęła nad ofiarą — zgrzytnęły nożyczki —
I upadł lśniący kosmyk u stóp ofiarniczki.
O! jednakże była piękną, gdy po szyi białéj
Tych brunatnych pierścieni fale się rozlały
I spadając na piersi kaskadą ogromną
Stroiły w czar zalotny, tę postać tak skromną!
O! była to Syrena albo Nimfa grecka,
Lecz z czystością anioła i szczerotą dziecka!
Panicz patrzył milczący, gdy drobne jéj palce,
Ciemne loczki nad czołem przypinały lalce,
A kiedy już warkoczyk splotła do połowy
Znów wrócił do przerwanej przed chwilką rozmowy
Dowodząc, że to szkoda i myśl desperacka
Dawać tak piękne włosy na dziecinne cacka;
Że lalce, na nic skarb ten nie może się przydać:
Bo pod kapelusikiem warkoczu nie widać!
A wzrokiem mówił czuléj: „Jest ktoś przy twym boku

„Co o takiéj plecionce marzy już od roku,
„Coby o ten podarek na kolanach żebrał,
„Coby go kosztem życia z cudzych rąk odebrał,
„Jak cudowny talizman, na piersiach umieścił,
„Biciem serca kołysał, całunkami pieścił!"
Panna patrząc z pod oczka, choć pracą zajęta,
Zrozumiała zapewne nieme argumenta.
Bo jéj lica rozkwitły purpurowym blaskiem. —
Wtém okno od salonu otwarło się z trzaskiem.
I głos matki się ozwał: „Chodź no moja rybko!"
Panna rzuciła wszystko i pobiegła szybko.

* * *

I sam Katon by upadł w tych pokus przepaście
Zwłaszcza gdyby się kochał i miał lat szesnaście!
Nasz Panicz, nowy Tantal, widząc koniec męki,
Zostawioną plecionkę do drżącéj wziął ręki.
Był sam — żadne go śledcze nie trwożyło oko,
Więc do ust ją przycisnął i westchnął głęboko;
Ale gdy zaczął tonąć w morzu zadumanek,
Panna jak hyży ptaszek znów wbiegła na ganek.
Ocknął się pomięszany — lecz czuł że w téj chwili
Los przyjazny ku niemu szalę szczęścia chyli;
Zebrał całą odwagę — a miał jéj nie dosyć —
I rzekł skromnie: „Ja chciałbym... Panią... o coś prosić."
— „O cóż?" — „O podarunek." — „Dał mi Pan frasunek
„Bo trzebaż jeszcze wiedzieć jaki podarunek?"
— „Zaręczam że ta sprawa nie skończy się sprzeczką
„Niech tylko Pani powie maleńkie słóweczko
„Daruję!" — „No, daruję!" z uśmiechem odrzekła.
On pokazał plecionkę — ona raka spiekła —
Zdziwiona, przerażona, drżąca przed nim stała,
Cofać słowa nie śmiała — a może nie chciała;
A Panicz wyczerpnąwszy cały zasób męztwa
Zamilkł — jakby się wstydził zdradnego zwycięztwa.
Dopiero gdy ich oczy spotkały się razem
I zlepiły się, zrosły jak magnes z żelazem,
Zabrzmiały w strunach serc ich, zmarłe w ustach dźwięki:
Wyrzuty — przebaczenia — skargi i podzięki
I przysięgi karmione a tajone w łonie,
Wierności aż do zgonu — wierności po zgonie!.....
.... I znów zaczęli gadać o słońcu, pogodzie,
I o ślicznym jaśminie co uschnął w ogrodzie —
Potem inne, weselsze toczyli rozmowy,
Lecz o lalki warkoczu nie było już mowy.

* * *

Któż był kiedy szczęśliwszym, dziwnych zdarzeń zbiegiem:
Czy Alexander Wielki po nad Indu brzegiem?
Czy Cezar, gdy bogowie na błoniach Farsali
Z tryumfem nad Pompejem, rząd świata mu dali?
Napoleon? gdy pragnąc uwiecznić swe plemię
Ujrzał syna dziedzica w rzymskim dyademie?
O! nie! — radość zdobywców dumna a zwodnicza,
Nie może się porównać z radością Panicza; —
On marzył, że się w niebie z aniołami brata,
Że dzierżąc promyk włosów dzierży berło świata!
Panicz był rad i wesół i humor miał złoty,
Cały dzień sypał żarty i broił pustoty,
Uśmiechał się, przymilał — jakby chciał do łona
Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona! —
Panna uradowana miała wzroczek słodki;
Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki —
Aż matka powtórzyła raz drugi i trzeci:
„Jakże się też to dzisiaj rozigrały dzieci!"

Trudno zmienić bieg rzeczy na ziemskim padole;
Panicz, choć dziarski młodzian, był studentem w szkole,
A Panna rówienniczka, w siedemnastym roku
Wyrosła na kobietę tak pełną uroku
Że aż w najdalsze strony rozbiegły się wieści
O téj niedorównanéj urodzie niewieściéj!
Niebawem też, gość obcy, nieznany nikomu,
Pojawił się z nienacka w rodzicielskim domu.
Był to Pan już niemłody, lecz grzeczny, układny,
Posiadał zacne imie i majątek ładny,
Przywiózł list polecalny od krewnych Jejmości
I zaczął prawić Pannie tysiąc uprzejmości!
Ojciec, po krótkich zwiadach, wykrzyknął radośnie
Że z takim zięciem, honor jego domu wzrośnie,
Że to partya wyborna; — a matka dodała
Że córka przy pieniądzach będzie szczęście miała!
Spisano kontrakt — gości zjechało się wiele —
Odbył się ślub, biesiada i huczne wesele;
Potem wsiedli do kocza — stangret trzasnął z bicza
I uniósł w kłębach kurzu, złoty sen Panicza!
. . . .
Panicza, który zdala — śród murów stolicy —
Nieświadomy o niczem — przy szkólnéj ławicy
Czas wolny od nauki na marzeniach trwonił,
Za modremi oczkami tęskną myślą gonił

Licząc że za sześć niedziel znów je odzobaczy;
— Gdy wieść ślubu nań padła jak piorun rozpaczy!

Czy Panna, kornéj córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych, ślubnych szatach, pod mirtowym wiankiem,
Popłakała choć chwilkę za młodym kochankiem?
Trudno wiedzieć; — bo Panicz po tych burz przebyciu
Już jéj nigdzie i nigdy nienapotkał w życiu.
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry —
Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry!
. . . .
Lecz Panicz zaznał wówczas, mąk najsroższe piekło,
I wiele łez mu gorzkich po licach przeciekło, —
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczéj,
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy!
Wybladł, znędzniał jak gdyby chorobą złamany;
A po nocach układał najszaleńsze plany:
Rzucić szkoły, iść pieszo w nieznajome strony
Dopóki nieodnajdzie swojéj ulubionéj —
Wyrwać ją z rąk tyrana, z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnéj puszczy,
Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem,
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!
To znów myśl mu straszniejsza do mózgu się wdziera...
— A właśnie miał pistolet i czytał Wertera! —
Szczęściem, że i *Ołtarzyk złoty* czytał co dnia,
I czuł że samobójstwo, to hańba i zbrodnia!
. . . .
Tak wiara i zajęcie około prac dziennych
Spędzały szał wylęgły śród nocy bezsennych —
A czas, zwolna lecz ciągle niósł mu ukojenie
Zmieniając rozpacz w smutek — a smutek w wspomnienie!

W rok dopiero — choć jeszcze cierpieniem nękany —
Nawiedził Panicz, dworu sąsiedzkiego ściany.
A że bawiąc w gościnie, twarz posępna grzechem,
Musiał więc łzy osłaniać kłamanym uśmiechem
A słuchać opowiadań, jak córka szczęśliwa!
Jakie zięć ma intraty za wełnę i żniwa!
Ile w stajniach rży koni słynnych krwią i rasą,
I jakie trzody owiec po *halah**) się pasą!

*) Hala, pastwisko górne w Tatrach.

— Kochankowi, poecie — dawano do picia
Kropelka po kropelce, wszystką prozę życia!
Ten dom, który mu dawniéj był niebem malutkiém,
Który witał z radością a opuszczał z smutkiem —
Dokąd z dali, myśl jego tęskliwa i cicha
Biegła, jak złota pszczółka do lilii kielicha —
Ten dom, z całym pamiątek przeszłości zasobem,
O! jakże mu się wydał pustynią i grobem!
W ogrodzie, tak jak dawniéj, krocie było kwiatków —
Lecz Panicz próżno szukał dwóch modrych bławatków
Które tu — w błogich chwilach miłości zarannéj —
Wykwitały ku niemu, z ciemnych rzęsów Panny!
W klombach, tysiące ptasząt kwiliło śród drzewek,
Lecz nie było w tym chórze, tego ptaszka śpiewek
Którego on się tyle, w tych miejscach nasłuchał —
Co tak słodko szczebiotał, tak ponętnie gruchał!
O! dla innych dziś oczu, modrzały bławatki!
A ptaszek, może zamilkł śród złoconéj klatki!
...... W ganku, w domu, w ogrodzie — tylko się wznosiły,
W cmentarzu jego szczęścia, zmarłych snów mogiły!
Więc je żegnał westchnieniem i łzawą powieką......
. . . .
I wkrótce los go poniósł daleko...... daleko!

ZACHWYCENIE*)

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

I.

Matulu moja powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze
Za dobry żywot, za świętą cnotę

*) Letarg nazywają u nas zachwyceniem, w ciągu którego dusza człowieka ma sobie odkrytą przyszłość, ogląda niebo i piekło, ale jéj o tém mówić po ocknięciu się nie wolno, chyba przed istotami niewinnemi, jakiemi są małe dzieci. Wedle podania ludu, każdy który był w letargu, wie godzinę swojéj śmierci, i na to tylko ma sobie przydłużone swoje życie, ażeby się do wieczności przygotował.
Przypisek autora.

Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłém się słońcu pięknie kołyszą;
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potém widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki,
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki
Potém widziałam przeróżne kwiatki.
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potém w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?....
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza Najświętsza Panna?...

— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe,
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiéj nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnéj przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owéj roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnéj, słotnéj,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest też jak u nas matulu droga
Taka wesołość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniéj, jeszcze weseléj,
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumianéj zorzy,
We łzach radości, w miłości bożéj...

— Matulu moja powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewcze co zbiera ziele,
I tego dziada co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy bożéj męce?

— O! widać wszystko gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdéj duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi. —

— Powiedzcież teraz mateńko droga,
Co tam jest więcéj u Pana Boga?

— Potém widziałam strasznéj wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostół kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzył na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owéj księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi;
I co się stało i co się stanie,
Jest o tém w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blizko,
To zaraz anioł czyta nazwisko. —

— Słuchajcie ino matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże. —

— A jak daleko matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?

— Bogać tam miesiąc, o moje dziecie,
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych.
To w końcu dojdzie do niebios jasnych.
I Piotr mu święty, apostół boży
Złocistym kluczem niebo otworzy.

— Toście wy dużo matko widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli;
Więc jak pójdziecie mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga. —

— O! ty zostaniesz małe pachole,
Bo któżby gąski wypędzał w pole,
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Graniastą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki,
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak moje dziecko moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę.

— Ej co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie.
Powiedzcie lepiéj jak téż to było,
Jak się błękitne niebo skończyło?

II.

— Z nieba do czyśca spadzistą drogą
Schodziłam zwolna niepewną nogą;
Tam koło płota stawa tęsknota,
Każda duszyczka istna sierota;
Oczy przymknięte; usta się zwarły,
Te co już bardzo dawno pomarły,
Czasem na chwilę błysną uśmiechem,
I zaraz jakby uśmiech był grzechem
Ciemnieją lica, chylą się głowy,
I rozchodzą się biedne niemowy.
Do koła pustka, gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie jak zajrzeć długo, szeroko,
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza,
Gruda i gruda, pochmurna puszcza.
Po polu wicher przeciąga suchy,
W którego zimnie drżą biedne duchy.

— To te duszyczki, proszę ja matki,
Nie mają swojéj na zimę chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słocie leży?...

— O mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty takie jak nasza,
I takie wody i takie pola,
Ale im do nich wrócić niewola.

— Cóż one robią, czém się tam bawią?

— Chodzą po grudzie i nogi krwawią,
A inne proszą rzewnemi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.
I na ich prośby w pochmurném polu,
Jawi się anioł cichego bolu,
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z któréj kroplami święta Krew zlata.
A na ten widok okrutnéj męki
Żadna po wieniec nie wznosi ręki;
Ran Zbawiciela słodkich się boją;
I przed aniołem wylękłe stoją;
A potem jakby wróble spłoszone
Lecą powietrzem w pole zamglone.

— To dla nich nigdy słońce nie świeci?

— Czasem maleńki promyczek zleci;
Gdy ludzie mówią *Zdrowaś Marya*,
Wtedy się słońce przez mgły przebija,
I smutne światło na ziemię sieje,
W którem gromada duchów się grzeje,

— Teraz co więcéj?...

O dziecko lube!
Szłam coraz daléj przeze mgły grube,
Gdzie bardziéj drżące i więcéj smutne
Siedzą w swych duchnach dusze pokutne.
Na jednéj skale stroméj, ponuréj,
Nad którą ciężkie płynęły chmury,
Siedziały dusze jedna przy drugiéj,
Patrząc na puste żywota smugi;
Po owych smugach snuły się grzechy,
W różnych postaciach marne uciechy;
Tych nagich grzechów uśmiech nieczysty
Sprawia umarłym wstyd wiekuisty.

— A czy to one nie mają dłoni?
Czemuż z nich żadna ócz nie zasłoni?

— Nie, moje dziecko — ręce duchowe
Są tak przejrzyste jak kryształowe,
Więc choć się dusza widokiem brzydzi,
Choć się zasłoni, to wszystko widzi. —

— Na brzegu czyśca nieszczęsne duchy
Wydały za mną jęk tęskny, głuchy.
Spojrzałam na nie, stały do koła,
Schyliwszy na pierś pochmurne czoła;
Powiedzcie, rzekłam, co wam potrzeba!...
„Miłości ludzi i łaski nieba;
„Powiedz słóweczko w naszéj dolinie,
„Tam wiesz gdzie woda przeczyście płynie...”
I nie skończyły. — Smutne wspomnienie,
Podniosło piersi w jedno westchnienie,
I napełniło bujnemi łzami,
Że z wiatru spadły deszczu kroplami. —

— Ach Boże! Boże! powiedzcież daléj,
Czyście i dzieci w czyścu spotkali?

Dzieci to prosto do nieba wchodzą....
Złego nie robią, ludziom nie szkodzą....

— Były i dzieci, przy końcu drogi
Gdy mi znużone ustały nogi,
Szłam sobie spocząć na małe wzgórze,
Aż tu nademną jak błyśnie w chmurze, —
A słowo! rzekłam, cóż się to dzieje?
Włosy się jeżą, serce truchleje,
Deszcz gwiazd złocistych w oczach mi świeci,
Myślałam w trwodze że niebo zleci.
I znowu ciemno — ażci po chwili
Słyszę, że małe dzieciątko kwili,
Jedno i drugie i coraz więcéj;
Wzmaga się przy mnie ten płacz dziecięcy.
Jezu najdroższy! cóż to za głosy
Rozdzierające płyną w niebiosy?
Żal mnie ogarnął, w oczach się ćmiło...

— Matulu moja i cóż to było?

— Były to dzieci zmarłe przedwcześnie,
Co się skarżyły bardzo boleśnie,
Że im świętego chrztu strumień chłodny
Nie obmył z duszy grzech pierworodny.
Boso w koszulkach zmęczone całe,
Leciały ku mnie kochanki małe,
A ja nad niemi wedle zwyczaju,
Żeby już sobie poszły do raju,
Zrobiłam krzyżyk ręką życzliwą:
„Idźcie dziateczki w drogę szczęśliwą;
„Ja was chrzczę w imię Ojca i Syna."
Ledwiem skończyła, każda dziecina
Wznosi się zwolna w ciche powietrze, —
Prześliczne duszki od puchu letsze,
Wzlatują w górę i nad mą głową
Wiszą plecianką złotą, różową.
Im wyżéj lecą tém nieznaczniejsze,
Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze;
Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków,
I lekką odzież barwy fijołków,
Wreszcie znikają jak krople rosy,
I nic już nie ma... tylko *niebiosy!*

Tak przez tych dzieci kryształne ciała

W czyścu raz jeszczem niebo widziała,
Jak przez zasłonę wysoko w górze,
Wyraźnie Jezus jaśniał w lazurze.
A z dłoni jego padał blask błogi
Na cienie co mu biegły pod nogi. —

Potém szłam daléj mówiąc koronki,
Przez jakieś zgniłe, cuchnące łąki,
Po białych liliach co ślicznie rosły,
Smukłe łodygi ku niebu niosły,
I jużby pewnie jak chmurki srebrne
Splatały świetne wieńce podniebne,
Gdyby im szatan w śnieżne kielichy
Nie wsączył jadu złości i pychy. —

Przedemną w dali niebo ciemniało,
Tam nieustannie błyskało, grzmiało;
W powietrzu dziwne słyszałam kłótnie,
A co mi dawniej bywało smutnie,
Teraz się bałam iść w ową stronę,
Pod te obłoki, pod zapalone.

III.

— Żebyście téż to powiedzieć chcieli,
Coście najpierwéj w piekle widzieli?

— Widziałam najpierw jedną rodzinę,
Co przechodziła smutną dolinę:
Płakali razem, nędzę współczuli,
A jedni drugich pod serca kłuli. —
Ach jakie zbrodnie, skończenie świata!
Żona na męża, siostra na brata,
Ojciec na syna, a syn na ojca,
Jeży się, ślini, rzuca jak zbójca.
Na boku wielka duchów gromada
Schylona niby pod krzyżem pada,
I niby ręce wznosi w pokorze,
Lecz z rąk jak ognie świecą się noże.
Chciałam się schylić po kwiatek złoty,
Co rósł na smugu wdzięcznemi sploty,
Wyciągam rękę chciwą zdobyczy,
A kwiat łeb w górę wznosi i syczy.
Wszystko zniszczone, wszystko się wali,
Trzeszczy, zapada, gnije i pali;
A pod gniewliwych niebios zasłoną,
Świeci zła gwiazda miotłą czerwoną.

— Jak też wygląda szatan przeklęty?

— Czasem jak szatan, czasem jak święty:
Raz obrzydliwy lot nietoperza,
Jak sieć pajęczą na świat rozszerza;
To znowu jakby okryty zorzą,
Udaje mądrość i piękność bożą.

— To w piekle żadnéj nie ma radości,
Ani spoczynku, ani jasności?

— Widziałam jasność, tak się świeciło,
Jakby się w nocy miasto paliło.
I radość także słyszałam wściekłą:
Jednego razu śmiało się piekło,
Gdy pani panu truciznę wlała,
W pięknym ogródku go pochowała,
Nasiała lilii, rutki i maku,
Żeby nie było na grobie znaku,
Drugi raz piekło śmiechem wybuchło,
Kiedy śpiewanie w kościołku zgłuchło.
Trzeci raz otchłań śmiechem zawrzasła,
Gdy miłość ziemi w sercach zagasła.
Tam w jednéj stronie jest i spoczynek
Na łące zgniłych niezapominek.
Pod czarném niebem, Bożeż mój, Boże!
Widziałam owe Madeja łoże;
Na niém śpi zdrajca z czerwoną brodą,
Cały oblany śmiertelną wodą.
Wąż opasuje spodlone czoło,
Zwinąwszy ogon w złociste koło,
Nikczemną duszę kłębami ściska;
Z oczu łzy kapią jak ze źródliska,
Lecz nadaremnie — wszystkie boleści
Ile ich otchłań piekielna mieści,
Żadne łez krwawych może nie spłaci
Godziny męczarń skrzywdzonych braci.

Z pod łoża jakby drzewa wyrosły,
Płomienie złote języki wzniosły,
Targane wichrów szalonych falą,
Jak liście iskry sypią i palą.
Pod temi drzewy pod płomiennemi
Przy łożu zbójcy siedzą na ziemi,
I dużo istot co niegdyś skrycie

Zatruły młode, *niewinne życie.*
Tam ja widziałam twarze fałszywe,
Oczy śmiejące usmiechy krzywe,
Spiekłe języki po pas wiszące,
Wężowém, czarném żądłem drgające,
Zdradzieckich palców węzeł skurczony
Błyszczał się zdala krwawemi szpony.

— To pewnie Judasz mateńko droga,
Leżał na łożu co wydał Boga?

— Nie moje dziecko — Jezus kochany
Zszedłszy do piekła targać kajdany,
Ujrzał Judasza jak stał na boku,
Z śliną na brodzie, z zdradą na oku;
Najwyższa miłość litością zdjęta,
Najpierwej z wroga zerwała pęta;
Ten co zwyciężył piekło cierpieniem,
Powlekł po zdrajcy smutném spojrzeniem,
I żadnéj męki, żadnéj katuszy
Nie raczył zadać téj marnéj duszy;
Zostawił tylko pamięć żywota,
I zrosły z ręką sak pełny złota.

Któż wszystkie nędze piekła wypowie,
Owe łzy sierot, przekleństwa wdowie,
I klątwy matek — o niech Bóg broni!
Widziałam w jednéj strasznéj ustroni,
Jak pokurczone zbrodniarzy ciała
Jedna sieroca łza pobijała:
A klątwy matek jak trąby brzmienie,
Wstrząsały całe piekieł przestrzenie.
Na brzegu piekła jeszczem widziała
Przy ciemnych grobach leżące ciała,
Które z wnętrzności ziemia wyrzuca.
Ten widok srodze serce zasmuca,
Na myśl jak człowiek siebie zohydzi,
Że aż nim martwa ziemia się brzydzi.

— Matulu moja, czy owe duchy
Nie mają żadnej w świecie otuchy?

— O mają one jedną nadzieję,
Że się rąk ludzkich praca rozwieje,
I że na ziemi jak próżna mara,

Zniknie nadzieja, miłość i wiara.
Przeklęte piekło na wszystko w świecie
Wściekły jad rzuca, obelgi miecie;
Brzydząc się cichą pracą człowieka,
Tłuszcza piekielna wciąż jeno szczeka.
A ci co w piekle latają w górze,
Sieją wichrami, by zbierać burze,
Wszystko inaczéj, wszystko przewrotne,
Przez te otchłanie trza iść samotnie,
Bo każde podłe, zdradliwe ramie,
Bo każdy uśmiech serce ci złamie.
Póki mi życia, póki tchu starczy,
Warg, którym piekło bezdenne warczy
Będę słyszała, słowa bezczelne,
I te postacie złe nieśmiertelne,
Co leżą nago na ziemi tłumnie,
W pamięci będą krzywić się ku mnie.

. . . .
Tak przeszłam drogę smutno, boleśnie,
Na raz przeglądam — czy jeszcze nie śnię?
W koło mnie ludzie: ci trumnę niosą,
Inni oblani rzewną łez rosą;
Dziad przy mych nogach mówi pacierze,
A ty kochanku modlisz się szczerze,
I patrzysz we mnie z taką miłością,
Że zapukało serce radością,
I jakieś ciepło słodkie, wiosenne,
I jakieś światło ciche, promienne,
Wstąpiło we mnie, jak biała zorza,
Jak czysta miłość, jak łaska boża.
Spojrzałam w okno: to samo sioło,
Siwy dąb schyla stuletnie czoło,
Woda się świeci jak srebrna łuska,
Kilkoro dzieci w stawie się pluska.
I znowu jestem na swojéj ziemi,
W wiosce pomiędzy ludźmi dobremi.
Wiem ja, dziecino, moją godzinę,
I wiem, że z łaski bożéj nie zginę.
Więc mnie nie płaczcie w skonania chwili,
Ani żałujcie, o moi mili:
Jeno mnie płachtą okryjcie białą,
Potém do trumny połóżcie ciało,

A potém bracia, krewni, rodzina,
Niech zaśpiewają *Salve regina.*

BŁOGOSŁAWIONA

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

Na sądy boże dusze się śpieszą,
Jedne się smucą, drugie się cieszą,
Bo na przedniebiu stoi na straży
Anioł co ludzkie uczynki waży:
Kiedy dobrego przeważa ważka,
Dusza dostaje skrzydełka ptaszka,
Nad czoło mały świecący krążek,
Przepaskę z jasno-niebieskich wstążek,
Ostatnią łezkę z oczu ociera,
I już się przed nią niebo otwiera.
Tam się patronce swojéj pokłoni,
Co się przez życie modliła do niéj,
I ucałuje koniuszek szaty
Świętéj Barbary i Małgorzaty,
A owe święte daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,

Szczęśliwa dusza patrzy po bokach,
Jak święci pańscy stoją w obłokach
Ciż sami święci i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele:
Święta księżniczka pełna pokory,
Co wystawiła cztéry klasztory,
I sama w jednym czas bardzo długi,
Robiła biednym proste posługi,
Nosiła wodę, zmywała statki,
Choć miała w domu wszelkie dostatki,
I gdyby tylko sama zechciała,
Zarazby króla za męża miała:
Bo przytém była piękna, rozumna,
Ale nie taka jak drugie dumna,
Więc uprosiła u ojca księcia:
Żeby już sobie nie szukał zięcia,
Że po wiek wieków ona dla siebie

Już upatrzyła pana na niebie; —
A jak wyrzekła tak dotrzymała,
Za co światłości wiecznéj dostała,
I teraz stoi w słupie obłoku.
Święty klasztorek dzierżąc przy boku.

Za nią oparty o pszenny snopek
Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
Żywił on biednych przez głodne lato,
Więc mu téż Pan Bóg nagrodził za to.
Owa uboga wieśniacza świta
Teraz się świeci jak srebrem szyta;
Ona przenica kłosista biała,
Jakoś dziwnego blasku dostała.

Przy nim pomarli synkowie mali
Trzymają w rączkach snopki konwalii,
I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącéj. —

Gdzie się obróci, święty się słania,
Więc się z miłości każdemu kłania,
Świętéj Agacie i Petronelli,
Co się po niebie przechodzą w bieli.
Przed świętym Jackiem, przed świętym Janem,
I przed Maciejem, i przed Florjanem.

Tam siedzą święte biskupy siwe,
A wszystko takie dobre, szczęśliwe,
Żadna im troska lic nie zaciemnia,
Bo téż to niebo, nie nasza ziemia....

Święte patronki daléj ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie, jak im dziękować,
Radaby święte nóżki całować,
Że się ubogiéj żadna nie wstydzi,
I że tak piękne niebiosa widzi. —

— Panienki jasne, gdy to być może,
Chciałabym widzieć matuchnę bożę,
Aby zdaleka, choć aby źdźiebko;
Widziałam ci ją raz nad kolebką
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskiem jest za pastuszka,

Co pasąc gąski całe poranki
Na chwałę Bożą grywa w multanki. —

A cóż ty żądasz? — Prosićbym chciała:
Żeby téż oczko na niego miała. —

Więc święte pańskie daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tam wysoko, gdzie nad wszystkiemi
Przegląda jasna królowa ziemi,
A dwa aniołki wdzięczne, śmiejące,
Trzymają sukni dwa złote końce.
Na jéj rozkazy anieli służą,
Tacy przecudni i tak ich dużo.

— Święta Barbaro! a gdzież ów leci?
— A toż na ziemię do twoich dzieci,
By uspokoić tęskne serduszka,
Niesie przed sobą rajskie jabłuszka. —

— Chwała ci Boże! — a owo panie
Cóż ono niesie w' tym złotym dzbanie?

— Niesie kapeczkę z krynicy świeżéj,
Co przy stolicy przedwiecznéj bieży,
Żeby w czyścowéj strasznej posuszy
Odwilżyć usta cierpiącéj duszy,
Która się łaski bożéj doprasza,
A ta duszyczka to matka wasza... —

— Chwała ci Boże! — A ówże trzeci,
Co jakby gwiazdka wieczorna leci?

Ten do waszego pośpiesza kuma,
Co pasie owce i sobie duma
O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
Na jakie ludziom zdadzą się leki;
A on mu wszystko pięknie wyłoży,
Na wszelkie cuda oczy otworzy,
Że się do niego będą zbiegali,
Ubodzy ludzie choćby z najdaléj,
A on każdemu będzie przykładał,
A anioł pański mu podpowiadał. —

— Chwała ci Boże! — A ten gdzie biegnie,
Którego oko ledwie dostrzegnie?

O święte panny, jakże mu śpieszno
Z jasnego nieba na ziemię grzeszną! . . .

— Ten anioł leci do twego brata,
Co go pognali temu trzy lata,
I o téj porze po biodra nagi,
Znosi cierpliwie okrutne plagi,
Aleby umarł za trzecim razem,
Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem.

— Chwała ci Boże! — A ówże biały
Co mu się skrzydła porozstrzępiały?

— Ten niesie liścik od Matki Bożéj,
Który na wiejskim ołtarzu złoży,
Ażeby ludziom w świętą niedzielę
Ogłosić przyszłe wielkie wesele:
Żeby dziewczęta w krainie całéj
Nowe sukienki na siebie wdziały,
I kwiecia żeby przyniosły pęki,
I zaśpiewały na Bogu dzięki,
Bo już w tym kraju przez litość Boga,
Nie będzie moru, głodu ni wroga. —

— Chwała ci Boże! za wszystko chwała,
Com tu na własne oczy widziała.
Gdybyż to ludziom powiedzieć o tém,
Co umierają z głodu pod płotem,
Co ledwie oczy ze snu otworzą,
Jużci się skarżą na rękę Bożą,
A tu tak wiela różnéj pociechy
Pan Bóg rozdziela na nasze strzechy. —

— Nie bój się siostro, ich tam nauczą
Te dziady co się o kiju włóczą
Z ewanielijką jak apostoły, *)
Albo stawają po przed kościoły,
Gdzie się uśmiecha z wilgnéj świątnicy
Mały aniołek z nad kropielnicy,
Tak wyrobiony w ciemnych cegiełkach,
Jak gdyby żywy na dwóch skrzydełkach;

---

*) Pamiętam z dziecinnych lat, jak co niedziela przychodził do naszego domu taki dziadek z ewangelijką pod pachą, a stanąwszy przy drzwiach, po błogosławieństwie całemu domowi, odczytywał Ewangelią na tę niedzielę przypadającą z wielkiem zbudowaniem słuchaczy.

Przypisek autora.

A na wpół nagie wieśne pastuszki,
Dają mu leśne jabłka i gruszki.

I święte pańskie daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Po drodze nieraz wznosząc paluszek
To na obłoczki z dziecięcych duszek,
Ta na aniołów twarze pogodne,
Śpieszących lilje okrywać wodne
Taką tkaneczką w niebiosach tkaną,
Jak najpiękniejszą zorzą rumianą;
I drugie, które z srebrnych przetaków
Biegły rozrzucać ziarnka dla ptaków.
Jeden się żywém światłem przesłonił,
Gdy na odwieczerz dziadek zadzwonił;
Inny z kotewką wiszącą, krzywą,
Leciał na wielką wodę burzliwą;
A jeden robił z srebrnych włókienek
Płótno na suknie świętych panienek,
A jeden zwijał na tęcze paski,
A jeden zbierał na kółka blaski. —

Szczęśliwa dusza idąc pod ręce
Ku przenajświętszéj Matce panience,
Myślala sobie, czyby nie trzeba
Prosić o więcéj królowéj nieba;
Za moim chłopcem toć to za mało,
Za panią naszą téżby się zdało,
Za panem naszym co go zawiało. —
Aż tu jak gdyby z pod ziemi, z niska,
Jak para głos się wdzięczny przeciska . . .
Szczęśliwa pilnie ucho przykłada,
A to pan z panią podzięki składa;
Więc się duszyczka wejrzy na świętą,
A ta z twarzyczką tak uśmiechniętą,
Jak się to zdarza gdy chcemy komu
Oznajmić wielkie wesele w domu,
Patrzy się na nią i słówka cyka:
— Pokora twoja niebo przenika,
Jakeś prosiła, tak się i stało,
Wszystko tu jedno, dużo czy mało, —

I święte panny daléj ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie jak im dziękować,

Czyby nóżeczki święte całować,
Czy koniec długiéj liliowéj szaty
Świętéj Barbary i Małgorzaty.

A święto mówią: jeszcze to nic to,
Co ujrzysz daléj dobra kobiéto;
Widzisz tę jasną, grającą zorzę,
Tam ci pokażem skarbnice boże.

Idzie i klucznik — prośże klucznika
To poprowadzi i poodmyka. —
— O z miłą chęcią święty odrzeka:
Niechże tu siostra chwilkę poczeka.
I zaszedł w zorzę jak boże słońce,
Kiedy na ziemię schodzi świecące.

Aż ci po chwili, o! łasko boża,
Pocznie grać cudnie rumiana zorza,
Ale to taka słodka kapela,
Jak gdy zdaleka jadą wesela,
I ledwie słychać skrzypeczne brzęki,
Jakieś ci głosy, jakieś piosenki,
Niby słyszane i niesłyszane,
Jakby na ciszę wiejską rozwiane,
Coś jakby pszczoły lecące z miodem,
Coś jakby strumień, co szemrze spodem,
Coś jakby wietrzyk, co w krzaki dmucha,
Coś jakby słodkie słówko do ucha,
Coś jakby dźwięczny z kaplicy dzwonek,
Kiedy się ledwie rozbrzyzga dzionek,
I pociemniałe oświeca krzaki,
Gdzie zmokłe rosą budzą się ptaki.
Szczęśliwa słucha i zadumana,
Pochyla czoło, zgina kolana,
I jak poprzeczna, cicha lilija
Woń niebios wieje *Zdrowaś Maryja*
Zdrowaś Maryja, Panno Pan z tobą,
. . . .
. . . .
Spojrzy i widzi cuda przed sobą.

Na wyrabianéj srebrzystéj tacy
Leży kłos złoty rolnika pracy;
Jak brylantowa gwiazda niebieska,
Nawróconego grzesznika łezka. —

Na boku puklerz jak miesiąc leży,
Który zasłaniał biednych pasterzy,
I dla miłości żywego Boga
Bronił samego wroga od wroga; —
Daléj jak młyński kamień ze złota
Grosz, który dała biedna sierota;
A nad tém wszystkiém i któż wypowie,
Co podnaszają dwaj aniołowie:
Jak oni święci stoją schyleni
Nad tą koroną z strasznych promieni,
Przenikających bardziéj niż słońce
Najdalsze świata bożego końce,
Tak że nie można patrzeć się blizko
Na to miłości bożéj ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni
Korona boża z okrutnych cierni;
A nad nią wyżéj w powietrza fali,
Krzyż pański niosą przeczyści biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może.

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała,
— A cóż ja Panie dla ciebie dała? . . .
A święty klucznik wskazał jéj zdala
Maleńkie serce jakby z korala;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca. —

I dalej wiodły ją święte boże,
Nad przezroczyste niebieskie morze,
A nad tém morzem w górze jaśniała
Królowa nieba, ta gwiazda biała.
Więc się do świętej zwróci Barbary:
— Cóż to za morze bez końca, miary?
A jakie czyste, jak się odbija
Na jego wodze śnieżna lilija,
I niebieściuchna, przejrzysta szata,
I wszystkie gwiazdy królowéj świata? —

— One nie mogą, siostro, być inne,
Bo to są sierot łezki niewinne,

A spojrzyj na dno, widzisz z pod spody,
Cierpiące wierne całe narody,
A każdy w takiéj stoi sukience,
Jak na tém morzu i na panience. —

— Oj prawda, prawda — toć nasza wioska,
Zlituj się nad nią o Matko Boska! —

A tam na skale, co się to bieli,
Niby to ludzie, niby anieli? —

Cokolwiek widzisz z pod łez krynicy,
Wszystko to wierni lub męczennicy.

I święte panny daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa widząc jak z jego kija
Lilja bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzecze k'świętéj
Jak człowiek żywą radością tknięty:
— A toć to Józef! — A Józef prawi.
— Niechże mi on téż pobłogosławi. —

A święty Józef zwraca się żwawo,
I rączkę nad nią wznosi łaskawą. —
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy,
I Jan z Chrystusa uczni najsłodszy,
Uśmiechający, dziwnie spokojni,
A wszyscy jakby na gody strojni.
Idąc tak razem, na każdym kroku
Witał ich nowy święty w obłoku,
Święty Mateusz i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele,
Każdy się świeci i każdy rusza,
Że aż patrząca cieszy się dusza,
I wciąż radośnie szepce do siebie:
— Mój Boże drogi, toć to ja w niebie! —

W świętéj gromadce to i iść sporzéj,
Jedna im droga do Matki Bożéj,
Gwarząc ze sobą to to, to owo;
Każdego takie serdeczne słowo,
Że się wydaje, że dziecko głuży,
Więc się im owa droga nie dłuży. —

Na ziemi było już po zachodzie,
Bo ryk słyszała bydła przy wodzie,
I wiejskich owiec wesołe beki,
Które owczarek poił u rzeki,
I śpiew słowika, co w letnie noce
Na chwałę Bożą wdzięcznie szczebioce,
Ciche westchnienia na progach chatek
I pacierz małych klęczących dziatek,
Kiedy do rajskiéj weszły gospody,
Szczęśliwe dusze na wieczne gody. —

Wszyscy pokornie schylili głowy,
Ujrzawszy długi stół cyprysowy,
Na którym była królowa nasza
Robiona złotą rączką Łukasza;
A na tym stole cudnéj roboty,
Płatkiem przykryty stał kielich złoty.

Gdy święci padli na rozmyślanie,
W niebie się wdzięczne rozległo granie,
Długo słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym klęku,
Ujrzeli światłość jak przybywała,
Jak wszystko w okół poprzenikała.
A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać idącą w bieli,
Która gdy cicho stanęła w progu,
Umarli świata powstali w Bogu.

SOBÓTKA.[1]

Ustęp Sielski z powieści: Kościelisko[2]

przez

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.

Pół słońca pała na nieba sklepieniu,
A pół zagasło w polskich puszcz błękicie.

1) Sobótka, uroczystość ludów Słowiańskich, która przypadała na dzień 24. Czerwca. Mieszkańcy jednéj lub kilku osad gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając.

2) Kościelisko, dolina w Tatrach, gdzie Górale za Bolesława Wstydliwego zadali klęskę Tatarom waląc na nich drzewa i głazy. Kościeliskiem ją nazwano od mnóstwa szkieletów (kościelisk).

Czerwony wieczór, na smereków[1]) cieniu,
Po wzniosłéj Wyżni[2]) osuwa się szczycie.
Z niebios podhalskich[3]) uchodzi ulewa,
Jak nieprzyjazne wojsko z pól pogromu;
Sztandarem tęczy od Pienin[4]) powiewa,
I coraz bledziéj wypuści strzał gromu.
Podhalska ziemia, zdyszana od burzy,
Kiedy-niekiedy grzmotem z głębi runie,
Kiedy-niekiedy z lasów mgłą zakurzy,
I jak westchnienie po górach ją sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórki,
Milczkiem wypełzną, przemykają rączo,
I z wodem-burzą na wschodzie się łączą.
Wolnieje potok, co przed chwilą szalał;
Las rzęsto płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór od nieba do ziemi,
Jasny, jak-żebyś kryształem go nalał.

Luby góralom ten wieczór czerwcowy:
Na piersiach Wyżni spłonie stós Sobótki.
Brzmią długie trąby, przygrywają dudki,
Krociami dzwonków igrają parowy;
Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy,
Pod trupem jodeł wzgórza się wzdrygają;
Nucą juhaski, hukają juhasy;[5])
Wszystko wre gwarem i górali zgrają,
Drogi góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą,
Wzniosą stós wielki dwunasto-jodłowy,
I roczną ucztę do ranka zawiodą.
Święty góralom ten wieczór czerwcowy!
I Wyżnia święta góralską ponętą;
Góra nad góry, na Sobótki święto,
Wyżnia postawę Kluczek[6]) nie dosięga,
Wyżnia w obłokach głową nie ustrzęga;
Ale na Wyżni półodkrytém łonie
Wabiąca woda lustrem nieba płonie,

---

1) Świerków. — 2) Wyżnia, góra w pasmie leżącém nad nowotarską doliną, na gruntach wsi Łopusznéj.

3) Tatry najwyższe na granicy Węgier i Galicyi noszą u mieszkańców nazwisko hal od hal czyli pastwisk; dla tego podnóże Tatrów zowie się Podhalem, a mieszkańcy Podhalanami.

4) Pieniny najwyższa góra skalista w témże pasmie co Wyżnia, nad samym Dunajcem. Słynie jako przytułek Śtéj Kunegundy w czasie tatarskich wojen, oraz szczątkami jéj zamku.

5) Nazwisko pasterzy u tatrańskich Słowian.

6) Kluczki, góra na granicach łopuszańskich. Na dniu pogodnym widać z niéj Kraków.

A z jasnych skroni las płynie stu-wzory:
Tu brzoza puszcza, jak włosy dziewicze,
I jak włos Wyżni ocienia oblicze;
Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
Lub z niskich krzewin, lub z drzew jasnolitych;
A z piersi spada puszczą gęstą, czarną,
Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną,
I wiecznym szumem grają u podnóża;
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórza,
I wiszą wkoło zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód zawczesny nie drażnił jéj oczu.
Wyżnia, jak pani, patrzy ze stolicy
Na gród olbrzymi olbrzymki-Łomnicy,[1])
Co błękitnieje w południa przezroczu.
Pomiędzy Wyżnią a nawałnic miastem,
Pod wałem z głazów, gdzie puszcze są chwastem
Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów, a z orłów szyldwachy,
Lśni nowotarskiéj-doliny[2]) opona,
W srebrnych potoków węże zapleciona,
Tatrańskich borów cieniem narzucona.
Wysłana lasem głęboka dolina.
Po któréj stopniach nurt Łopuszny[3]) schodzi,
Cały ten widok jeden promień spina,
I do nóg Wyżni w hołdzie go przywodzi.

Jeszcze ot! jedna chmurka przeleciała:
Las ciemny przejrzał, wystrzeliła skała;
Na skale jodła i pięciu leżało.
Leniwy tuman oblał im podnóże,
Oni leżeli widziadłami w chmurze,
Jakby w powietrzu z jodłą i ze skałą.
Brodate twarze, odzież ich jednaka:
Czerwono szyta guńka[4]) na opaszki;
Rzęsno jarzące szkiełka u kołpaka;
Kołczan na plecach, sążniowe watażki,
Szerokie pasy, za pasem topory.
Włos pokręcony w obfite kędziory
Tu wisiał, w kraśne wstążeczki ujęty,

---

1) Łomnica, najwyższa w Tatrach góra.

2) Nowotarską-doliną zowie się kilkunastumilowa przestrzeń pomiędzy Tatrami, a to od miasteczka Nowego-targu.

3) Łopuszna, jest potok, którego źródło na szczycie Kluczek, a ujście w Dunajcu pod wsią Łopuszna. —

4) Koc kudłaty.

Tam w skrzydła wiatru plątał swoje skręty.
Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą,
Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą:
Tak groźne, bystre i twarze i oczy
Gości, co Wyżnię śpiegują w uboczy.
Rozbójnik Janosz spoczywał na ziemi,
Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi,
Najgłębiéj skryty w jodłowém zacieniu.
Znać go po wzroście, znać go po wejrzeniu.
Żaden mu góral w niczém nie zrównywa;
Słynie jak Krywan![1] o nim Ludek śpiewa:

Janoszu! dzielny góralu!
Zkąd ty wziął się na Podhalu,
Taki rosły, taki wdzięczny,
Taki silny, taki zręczny?
Ty wysoki, jak Łomnica,
Jak lawina twa prawica,
Jako Tatry twoje barki,
Jak lot gwiazdy bieg twój szpargi.

Zatrzymasz orła w obłoku,
Gdy mu utkwisz oko w oku;
Ty obejmiesz ten buk w borze,
Co go objąć trzech nie może.
Janoszu! dzielny góralu!
Zkąd ty wziął się na Podhalu?
Nie kobiéta, ale skała
Zrodzić nam ciebie musiała.

A dziś dnie jego życiem zbójców płyną;
Lód i przepaście jego dziś dziedziną.
Po ciemnych jamach z puchaczami mieszka,
Trop dzikiéj kozy zwykła mu dziś ścieszka.
Co o nim prawią, w głowie się nie mieści,
Jak o straszydle krążą o nim wieści.
Tutaj ze mgłami spada na doliny,
Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny,
Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
Znika w szczelinie, tak wązko rozdartéj,
Że się zaledwo gadzina prześliźnie.
Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
On żywo zleci, jakby skrzydłem ptaka,
Albo jak kozioł chuśta się u krzaka.
Głos ludu twierdzi, że kochanka jego,
Którą, jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
Przeobrażona w ducha niedobrego;
Tajemnie nad nim czuwa w każdéj porze:
Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody,
Przebył bez duchów tak wielkie przygody,
I jedno imię wdział, jak nawałnicę,
Grzmiącą a ciemną, na całą ziemicę.
Ten sam dziś przyległ lodem do kamienia,
I wbił przed siebie źrenicę zmartwiałą:
Pojrzyj mu w oczy, a w głębi spojrzenia

1) Krywan, po Łomnicy najwyższy szczyt w Tatrach.

Masz jego sławę, jego duszę całą.
„Oj biada, biada! tym górom, téj głowie!”
Wstrząsł wreszcie głową i ze skargą powie;
„Jakże tu wszystko poszło na pustkowie!
Wiecie? to pole, gdzie młodzież zebrana
On stós buduje, one stawy jasne,
On bór świerkowy — to moja polana![1]
Kiejsi to wszystko było moje własne.
W górę, na lewo, niedaleko wody,
Między brzóskami stały me chałupy;
Dziś na ich miejscu przegorzałe słupy.
W prawo od chałup leżały zagrody.
On staw był kiejsi czysty jak krynica;
Jedyna kąpiel i ryby bez miary.
Statku[2] nie mogły pomieścić koszary.
Wszem smakowały mój sér i żętyca.[3]
Największy promień jarzał z méj bacówki,[4]
Najgorsze kądle strzegły mojéj trzody.
Janosz był pieśnią na podchalskie ludy.
Kasia najradniéj szła tu na borówki.
Na prost za wodą, gdzie tam owa brzózka,
Pierwszegom dostał od Kasi całuska,
I tak mi serce schwycił ten całunek,
Żem odtąd przy niéj, jak przy owcy dzwonek
A ona przy mnie; odtąd trzódki nasze
Razem do koszar, razem szły na paszę.
Ona śpiewaczka, jam gracz niepośledni,
Co zaśpiewała jam wygrał na flecie;
Długo, och! długo żyli my tak w świecie,
Jakby my w świecie żyli tylko sami.
Raz my nad wieczór rozbiegli się biedni:
Kasia coś rwała pomiędzy świerkami,
A ja usiadłem u owego buka,
Co tam na prawo, a pod nim zdrój płynie.
Ja gram i śpiewam, Kasia ku mnie huka;
Wtém przeraźliwie wrzasnęło w gęstwinie;
A już się znacznie zgęścił mrok wieczoru;
Blada ze strachu leci Kasia z boru:
Mnich! mnich![5] krzyknęła; serduszko jej bije,
Drzy, jak blask wstawie, a ściska mi szyję.

1) Polana, każda łąka w górach między lasami.
2) Statkiem zowią Górale bydło: rogate gruby statek, nierogate drobny statek. —
3) Żętyca, serwatka słynna w górach karpackich: jestto właściwie mleko wszelkiego rodzaju, pomieszane i zwarzone przy ogniu.
4) Bacówka, buda pasterska w górach.
5) Widziadło Mnicha objawiało się w saméj rzeczy w tych okolicach przed laty kilkudziesiąt. Powstawało najczęściéj z wody.

Źle! pomyślałem, alem ją pocieszał;
Mówiłem śmiało, a język się mieszał.
Dobrzem ja wiedział, że nigdy daremno
Mnich nie nastraszy. A tymczasem ciemno,
Kasi do domu wypadała droga;
Nietrza już było puszczać pod noc samej,
Więc się potokiem razem przebieramy,
Aż pod wieś prawie, do Dziwo-żon jamy.
Pocałowała mię jeszcze nieboga,
Kiedym odchodził, prawi że bezpieczna,
I że nazajutrz znowu ze mną będzie.
Nazajutrz czekam, doczekać nie mogę,
Com się nie pytał, com nie szukał wszędzie!
Przepadła z wieścią; tajemnica wieczna
Skradła bez śladu wszystko moje drogie,
Najdroższe w życiu. Ach! jakem ją kochał!
Blizkie już były nasze zaślubiny.
Jakem ja bolał dla jednéj dziewczyny!
Na jéj wspomnienie jak dziecię ja szlochał.
Stwardniałem wreszcie i płakać przestałem;
Wszakżem już nie mógł być czém byłem przódy
Nic się nie wiodło w gospodarstwie całém:
Owies nie rodził, wymierały trzody;
Grad łąki trzepał, w gumna bił grom Boży
I coraz gorzéj, coraz było gorzéj,
Gdziem się nawinął, nie przeszło bez zwady,
Tak, żem już nieśmiał wyjrzeć między żywe.
Cóż było robić? nieznalazłem rady,
Tylko porzucić miejsca nieszczęśliwe.
Więc resztę statku puściłem na wolę,
Na wieczny odłóg przekląłem to pole,
Spaliłem chatę, zwaliłem szałasy,
I tak jak stałem, puściłem się w lasy.
Myśliłem sobie: ha! jak zbójca może
Między halami głową gdzie nałożę.
A jednak żyję! a po co! o Boże!"
Tak się rozwodził Janosz w słowach rzewnych,
Złamane ręce sparłszy na kolana:
„Ode dni kilku jakaś w duszy zmiana,
A w sercu ulga; jakaś chęć do krewnych,
Do ojcowizny. Idź, idź na Sobótkę!
Ciągle coś szepce; pójdę na Sobótkę,
Rzekłem: Haj! pójdę! zobaczę raz jeszcze*)

*) Haj! u Góralów wyraz twierdzenia: tak, tak jest.

Swoję polanę, zręby swojéj budki,
Może Bóg dobry chce skończyć te smutki,
Może tam Kasię znajdę i popieszczę.
Teraz Bóg tylko świadom, co mię czeka,
Czy bliskie szczęście, czy śmierć niedaleka!"
Zachód mdléj coraz śniegi hal pozłaca,
Ostatni oblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka,
Ale na Wyżni rośnie gwar i praca,
Pnie się ku górze święty stós wspaniały.
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Spiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chrust suchy,
Czterech górali głownię rozżarzyli,
Rozkołysali, chrustem upowili,
Podęli razem silnemi podmuchy.
Grają płomyki, jak żądła wężowe
Wejrzą co chwila z ogniska paszczęki;
Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
Na niższych zrazu czepia swe sztandary,
Oblata kłody, wyziera przez szpary,
A jad pod korę zapuszcza tymczasem;
Aż gdy zranione drzewa zapiszczały,
I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi,
I już panuje całéj okolicy.
Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski.
Na bór, daleko, spada ćmów zasłona:
Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
Stoi już, w koła tańczące spleciona,
Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
Dziewice w kwiatach, chłopcy z długiem włosem,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,
Wszystko-to naraz uderzyło głosem,
I grzmotnym krokiem do tańca Sobótki.
Zalśniły widzom źrenice ciekawsze,
Ciekawszy Janosz wychylił się z cienia,
Westchnął, podumał i rzecze z westchnienia:
„Héj! héj! dla czegoż ja nie ten sam zawsze?

Ażebym dzisiaj, o moja rodzino!
I ja ze swoją wystąpił piosenką!"
Zgrzytnął: „O, bodaj wieczną cierpiał męką,
Kto potępienia mego jest przyczyną.
Niech wieczne wieki piekło łzami gasi,
I nigdy łaski niebieskiéj nie zyska,
Jak ja nie mogę bez méj lubéj Kasi
Do góralskiego przysiąść się ogniska!"
Żal tak łający, gorzki był jak piekła;
Zaświadczy jemu łza, co z ócz pociekła.
Lecz towarzysze skarg tych nie słyszeli;
A choć słyszeli, to nie rozumieli,
Jakby-to można, przez jednę dziewczynę,
Za życie zbójcy oddać swą dziedzinę,
I jednym smutkiem, smutkiem po kobiécie,
Struć swoje szczęście, zabić całe życie.
Jak rozkochani w stós patrzali oni;
I Janosz, gorzką łzę z lica otarłszy,
Za tancerzami weselszy wzrok goni.
Szerzéj i jaśniéj płaszcz ognia monarszy
Przejrzyste poły w około rozkłada.
W osobnym tłumnie zebrali się starce;
Głos ich poważny, roztropna biesiada,
A oczy żywsze przy brzęczącéj czarce.
Z nimi matrony i dzieci zasiadły,
I czujne kądle przy nich się układły.
Dokoła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala,
A każdy głośną opasany zgrają.
Półwidne kształty za kształtami lecą,
To ćmią, to blaskiem, jak płynąca fala.
Plączą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topór tanecznika;
I zręczny skoczek ogniem się przemyka.

A wtém od starców głos o posłuchanie.
Kiczora mówi (głowa dawno siwa),
Zamożny gazda[1]) na wielkiéj polanie,
Co ku wschodowi w piękne niwy spływa
Z góry przezwanéj mianem jego rodu.[2])
We czci on wielkiéj u swego narodu:
Na jego okrzyk błyśnie, mówią ludzie,

1) **G a z d a** to samo, co u nas gospodarz, kmieć.
2) **K i c z o r a**, góra łącząc Wyżnię z Kluczkami, pośrednia między niemi co do wysokości.

Więcéj watażek [1]) niż ma owiec w trzodzie.
Dzisiaj już tańczą jego praszczurzęta;
A chociaż sprawy odwieczne pamięta,
Jednak nikt dotąd nie postawi śmiało
Swojego barku przed jego dłoń wprawną.
Raz Janoszowi tylko się udało
Rozbroić starca, gdy ten z butą dawną
Przysiągł oczyścić góry od téj zgrozy,
Napadł go w lesie, i chciał wziąść w powrozy.
„Dzieci!" zawołał: „taniec ja wasz chwalę,
Chwalę te pieśni: ależ wy górale,
Wy dzieci Tatrów, co u wszystkich w sławie,
Wstyd zapominać swéj ziemi w zabawie.
Znam wiele świata; widział ja za młodu
Niemało ludzi, niejednę opokę,
Kiedym przemierzał ślad do Carogrodu,[2])
Gdzie się już morze zaczyna głębokie;
Lecz nie ma nigdzie gór, jak nasze hale,
Ani góralów, jak nasi Górale.
Owóż o halach zaśpiewacie dzieci,
Na nutę, co to od skał nazad leci.
A swemu kiedyś nasze plemię powie
To, co wam wasi śpiewali ojcowie.
Roztropnym słowom radzi wszyscy prawie,
I chętnie skłonni ku cichszéj zabawie,
I ci i owi zbiegli się w gromadę.
I coby śpiewać, złożyli naradę,
Po krótkim gwarze rozwarło się koło:
Wyszły trzy dziewki ze wstydu rumieńcem;
Kobzy i dudki obległy je wieńcem,
Kobzy i dudki przegrały wesoło,
A gdy skończyli niedługą przegrywkę,
Dziewki z kolei zawiodły tę śpiewkę: [3])

Strzeżcie się o matki!
Tulcie wasze dziatki.
Pod okienkiem mara,
O zdobycz się stara;
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona.
Ach! to-Dziwo-żona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzchliwa,
Podsunie się skrycie,
Ukradnie wam dziecię,
I zniknie zdradziecko.
O matko! strzeż dziecko,
Czycha Dziwo-żona.

1) **W a t a ż k a**, siekiera góralska na długiem drzewcu osadzona, służy razem do podpierania się. Zowią ją także ciupaga.
2) Przemysł i handel zawodzi Górali w dalekie kraje.
3) Wszystkie podania tego poematu są wiernym przykładem podań krążących pod Tatrami.

Góralko nadobna!
Nie biegaj z osobna
W zarosłéj ustroni,
Strach stracha tam goni.
Czapeczka czerwona
Kosa rozpuszczona,
Ach! to Dziwo-żona.
Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzchliwa,
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zaniesie:
Bez Tatrów, bez Słońca
Zostaniesz do końca,
Jako Dziwo-żona.

Niebogo! sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą;
Dla twego serduszka,
Za drużkę, za drużka,
Będą Dziwo-żony.
Dziewczę, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie
Tańczą z tobą mary,
Twe hale, pieczary;
Jak Krywan wysoki,
Tak twój świat głęboki,
Skoroś Dziwo-żoną.

Ucichły kobzy, ucichły i dudki;
A ledwo skonał dźwięk ostatniéj wrótki,
Gęśl zadzwoniła, i śpiewanie dzikie
Zlało się w cichszą i milszą muzykę:
Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat Dziwo-żon nawiedzić mogą.
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leżą pod nogą.
Wszystkie tam wody płyną kryształem;
Każda kropelka spada perełką;
Mosty ze złota w państwie ich całém;
A z dyamentu każde światełko.
Wielkie, pod niebiosa są nasze skały;
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki, jako kryształy;
A jak noc świeże bory i pasze.
Bo u Dziwo-żon nasz się kraj kluje,
Bo u nich każdy zdrój się poczyna,
Bo je wypuszcza, bo im wartuje,
Dzika, podziemna, lecz hal rodzina.
„Słyszycie?" Janosz rzekł do towarzyszy,
„Jaką tam gędźbę[1]) wyprawują dziwy?
„Słyszycie bracia?" powtórzył strwożony.
I miał przyczynę; bo we wdzięcznéj ciszy,
Która śpiew pieśni, podniosły się wrony,
I rozpuściły nagle krzyk chrapliwy;
Gacki[2]) pisnęły, gwałt huknęły sowy;
Ponurych wilków rozległo się wycie:

1) Gędźba, stary wyraz, to samo, co dziś muzyka.
2) Gacek, niedoperz.

Ciężkich gałęzi kołatnęło bicie,
Jak żeby wicher przeleciał zimowy,
I echem śpiące szczeknęły parowy.
Janosz rozgląda, słucha, duchem trwoży,
A nie zmiarkuje, co ma trzymać o tém.
Słuch to do drzewa, to na głaz położy;
Drzewo brzmi w głębi, skała drga łoskotem,
Jakby gdzieś końskie kowało kopyto.
Nierad ze słuchu, oka w pomoc wzywa;
Chce powstać z miejsca, ale nagle siada,
I już nie słucha, nie słucha, nie bada,
Tylko zdumiały wpatruje się w dziwa,
Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto.
W cieniach zarośli, na granicy blasku,
Jakby na ramach jasnego obrazku,
Żyjących twarzy, głosów mile brzmiących,
Skał zrumienionych, jezior pałających.
I ugwieżdżony ogniami polany.
Powstaje w koło widok pół-podziemny;
Duch tam lub człowiek mignie na przemiany:
To duch pół-jasny, to człowiek pół-ciemny.
Między pnie świerków, między cienia smugi,
Snują się gęsto postacie kobiéce,
Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice;
U czapek sterczą bezkwietne paprocie;
A oczy świecą jak w ciemnościach kocie.
Czasem się skupią, czasem się rozbiegą;
I tu i owdzie badają ciekawie,
Niby nierade i rade zabawie:
W ich niepokoju coś dziwnie strasznego
Wilki pod krzami czają się gromadą;
A w gęstwie wyższéj nocnych ptaków stado.
I wszyscy w płomień wpatrują się święty,
Jakby go w oczy na cały rok brali;
Opodal wężów różnobarwne skręty.
Świeci odblaskiem zwierciadlanéj stali
Większy nad inne i cudnéj piękności
Wąż, a ma grzebień złocistéj jasności:
Królem od wężów, znany u górali[1]).
A w większym mroku widziadła człowiecze,
Na widmach końskich, mkną się lasem chyżo;

1) Podług Górali wąż ten istnieje rzeczywiście. Ma mieć barwę nadzwyczajnéj piękności, a na głowie grzebyk podobny do korony. Napastowany wydaje gwizd donośno, a tysiące wężów przybywa mu na pomoc.

Strzały na plecach, u bioder ich miecze,
Czasem nad brzegi lasu się przybliżą,
I groźnym wzrokiem strzelą przez drzew śpilki.
Oko ich wązkie, jako ślad iskierki;
I pierś i głowa jak w owcy kołtunach.
Gdzie się przybliżą, odezwą się wilki.
Sowa ciekawie zaziera przez świerki,
I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
Tu się pokażą, tu nikną w mrok głuchy,
A zawsze szybko i cicho, jak duchy.
Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi[1]);
Z okiem rozwartém, z ustami ściętemi,
Zdaje się ciągle śpiegować ich ruchy.
To długie włosy jak skrzydła roztoczy,
I bystrym ptakiem zagwiżdże w gęstwinie,
To znowu w skrzele długie włosy zwinie,
I rybą idzie w podziemne głębinie,
Aż znów z pod ziemi jak z wody wyskoczy.
Ależ bo wówczas ziemio staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały widomie niewidome siły,
I pilnowały człowieka jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą,
Krewne spółczucie ludzie znajdowali;
Bo nie gardzili naówczas przyrodą;
Bo ją jak matkę znali i kochali.

Ścichła powoli dziwnych głosów walka;
A koło stosu powstał okrzyk: „Salka!
Salka nam teraz zaśpiewać powinna.“
Na to wołanie wybiegła góralka.
Smukła jak jodła, niby sarna zwinna;
Żywe jéj oko gra nurtem płomienia;
Śpiew jéj słowiczy dzwoni od niechcenia
A jednak skały zdaje się przeszywać,
A jednak światłem zdaje się rozlewać.
Cóż gdy dla śpiewu strun gęśli poruszy?
Wtenczas myśl pieśni, smutna, czy wesoła,
Wylata kształtem czarta lub anioła,
Porywa serce i tańczy po duszy,
Salka gęśl wzięła; przygrywek jéj krótki;
Siada przy starcach, pojrzy po drużynie:

1) Ta głowa bez reszty ciała, obrosła bardzo długiemi włosami błąka się do dziś dnia po łopuszańskich polach.

„Cóż wam zaśpiewam? o chmurnéj dolinie!“[1])
I tak zaczęła, bez kobzy i dudki:

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta:
Lecz lasy i skały
W krąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina,
Od całych Tatrów kochana;
Lecz na niéj mgły gęste,
I deszcze w niéj częste,
Dolina często spłakana.

Bo w skalnéj siedzibie,
W Dunajca kolebie,
Panuje straszny duch-potwór:
Zgrzybiały zazdrośnik,
Dunajca miłośnik,
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa
Szaleje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu wody;
Za kroplę ztąd biedną
Piekielne bezedno
Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,
Skarbami zapchana,
W niéj srebro, złoto, jak śmiecie;
Nie złota duch patrzy:
Od złota skarb rzadszy
Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały
Aż w głębią pójść skały,
I na strach mocną ma głowę,
Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność,
I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulewa,
Wiatr lasy wyrywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe.

Cudnie śpiew dzwonił w zasłuchaném gronie;
Cudnie się błąkał echem rozbudzoném;
Same niebiosa przechylały skronie,
Rzęśniéj gorzały licem ugwieżdżoném.
Ogień Sobótki jak południe pała;
Na szczycie nieba północna drży zorza;
Rozdźwięk strun zagasł, spoczęła młódź hoża;
Poważnych starców rozmowa ustała;
I było chwilę, jakby śmierć powiała,
Jakby świat dumał północną modlitwę.
Tylko Janosza spojrzenie się rwało,
Duszą w spojrzeniu, w niepokoju całą;
Rwało na duchów tajemniczą bitwę.
Kędy pod lasem w przymroczonéj łunie,
Król-wężów świetnie złoty grzebień jeży,
Tam, głębiéj, potwór na konia się sunie.
Stanął, przez chwilę śledzi okiem węża,
Potém łuk bierze, naciąga i mierzy.
Wąż się podnosi, łeb w górę wypręża,

1) Tak nazywa poeta dolinę Kościelisko, która nosi tę nazwę dopiero od porażki Tatarów.

Połyska wieńcem i groźnie zasyczy. —
A wtém u łuka struna zaskowyczy,
Strzała zniknęła, dumny wąż upada.
Padając świsnął: od onego świstu
Z drzew przelęknionych leci chmura listu,
A zewsząd wężów i gadzin gromada,
Z liści, z pod liści wysuwa się błyskiem,
Pnie się na koniu ze sykiem i piskiem,
Dosięga jeźdźca, chwyta w sto obręczy,
I wszystko razem w dół się obaliło.
Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
Zniknęli oba pod wężów mogiłą.
Pisk, jęk, gwizd, łoskot! przykra to muzyka
Dla ciszy, którą dźwięki strun wypieszczą,
Dziewicze koło ciaśniéj się zamyka,
Wstrzęśli się męże mimowolną dreszczą;
Popłoch po wszystkich obleciał widomie.
Cyt! po gęstwinie znowu się coś łomie;
Niepewne oczy w gęstwinę patrzały:
Szelest się zbliża, z gęstwy trzéj wybiegli;
Każdy na szczudle, jakie czasem służy
Tutejszym ludziom do prędszéj podróży,
Radośnie klaśli ci co ich postrzegli:
„To Ludek, Ludek! długo nam żądany!"
„Haj! haj!" zawołał Ludek syn Michała,
Z rodu Garoszów; pierwszy, gdzie są tany:
Réj wszem pieśniarzom, Podhalanom chwała,
A młody dziedzic na miłą polanę,
Gdzie skały, zamkiem zakopańskim zwane[1]).
Wieść o nim biega, że przy wody szumie,
W którym się huśta Dunajec maleńki,
Znalazł dźwięk i myśl do pierwszéj piosenki:
Dziś setne śpiewać i sam składać umie,
Piszczałkę jego słychać śród tysiąca,
Piosenka jego tak w serce idąca,
Że starce nawet ze łzami myślą o niéj,
Że samo echo przeciągléj nią dzwoni,
Każdy rad, każdy słucha go ciekawie,
I on téż chętnie przytomny zabawie.
Kędy za stare dzieje odśpiewane,
Łzy i oklaski może wziąść w zamianę.

1) Są to skały w Zakopanem (wsi z kuźnicami i wodami żelaznemi), zamkiem nazwano dla podobieństwa do warowni. U ich podnóża wytryska w kształcie kilko sążniowego wodospadu źródło Białego-Dunajca.

Wszyscy w głos wielki witali go radzi?
„Cóż Ludek powie? zkąd ich [1]) Bóg prowadzi?
Niepokój biega w spojrzeniach pieśniarza:
„Niech wam Bóg szczęści!" pomięszany powie,
„Ja wraz z Maniowéj [2]). Licho nam zagraża,
„Tatar na nasze natęspujc zdrowie.
Bądźcie bacznymi. Na mocnym Czorstynie
Ode dni kilku, przez rozkaz starosty,
Kazano czuwać zamkowéj drużynie;
Zawarto wszystkim i bramy i mosty!"
Starzy dumali; lecz młodzi górale
Toporki w górę cisnęli zuchwale,
I zawołali: „Co? w halach Tatarzy?
„Któż-to na nasze hale się odważy?
„Kto się odważy na te bory, głazy,
„Na te topory, bodaj na te razy?"
I groźnie wstrzęśli zaciśnione pięści.
Ale Kiczora, co rzecz widzi zdrowo,
Do serc gorących to powiedział słowo:
„Powoli dzieci! wielkie to nieszczęście,
„Ten dziki Tatar, brzydszy od szarańczy.
„Już on nie dzisiaj, jak świat wielki, tańczy.
„Kiedy z państw przegnał Kingą świątobliwą [3])
„To i przez nasze wąwozy przejść zdoła!"
— „A czy z nich wyjdzie!" odparła młódź żywo!
„Bawmy się lepiéj!" wołano do koła;
„Ludek téż naszéj pomoże ochocie:
„Przy ich śpiewaniu zapomnim o trwodze.
„Ludku śpiewajcie!" pieśniarz był w kłopocie,
Przystał nakoniec: „Spieszno ja przychodzę;
Ale, co mogę, zostawię po drodze.
Strachem was witam, w strachu was porzucę,
O mnichu, bracia! o mnichu zanucę."

Gaśnie zachód na obłokach;
Gwiazdy łamią się w potokach;
Kwiaty zroszone do snu opadły;
Lasy ściemniałe dumać zasiadły:
Drzymie ziemia cicha:
Nic nie uśpi mnicha.

Przez sen mówią śpiące góry;
Lśni księżycem głaz ponury;
Próchno się ogniem umarłym błyszczy;
Sowy hukają, nietoperz piszczy;
Ślepa ćma się snuje;

1) Zaimek osoby trzeciej znaczy uszanowanie.
2) Ogromny garb tego nazwiska, w temże pasmie co Kluczki i Pieniny. Wieś Maniowa leży niedaleko tej góry na drodze z Czorstyna do Nowego-targu.
3) Jest tu mowa o Świętej Kunegundzie uciekającej przed Tatarami do Węgrie.

Wszystko mnicha czuje.

Mnich posuwa lotem kozy,
Po przepaściach, przez wąwozy;
Na sam szczyt drzewa śmignie wiewiórką;
Krzaki najgęstsze przemknie jaszczurką;
Z głazu, mchem wyśliźnie,
Z wód łososiem bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie
W wąskiéj, jak włos, rozpadlinie,
W promyku rosy, w fijołka woni,
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni.
Gdzie nie pomyśl, zajdzie.
Gdzie się nie skryj, znajdzie.

Nie pamięta żaden żywy,
Kiedy wszczęły się te dziwy,
Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
Potłum to licho, prosimy, Boże!

Mocą krzyża swego
Zasłoń nas od niego.

„Oj dzieci! z mnichem nie trzeba żartować!"
Rzekła Plewina, staruszka ostrożna,
„Kogo przydybie ta mara pobożna,
„Lepiéj-by temu żmiję pocałować.
„Spotkanie mnicha tego narobiło,
„Ze Janosz żyje Bóg-wie po jakiemu!"
— „Jakże-to było? jakże-to tam było?
„Powiedźcie, matko, będziem radzi temu.
„Téj całéj sprawy niejeden z nas nie wie."
—' „Ludek nam powie!". rzecze Salka żywa,
„Oni go nieraz spominają w śpiewie:
„Oni-to znają. Niech Ludek zaśpiewa."
Na błagające spojrzenia dziewczyny,
Na zaklinanie skupionéj drużyny,
Ludek rad nierad ku ognisku wrócił,
I z wtórem kobzy tak znowu zanócił:

Ranna jaskółka na juhasów woła;
Pstrokacieją Wyżni boki,
Czego Wyżnia tak pstrokata?
Czy jaki wicher dmie w Gewont wysoki[1]),
I na sztuki go rozmiata?
To Janosz swój statek rozpuścił do koła.
Dzwoni fujara, i śpiewak na drzewa,
Idzie górami w sto śpiewek,
Któż te cudne pieśni składa?
Czy za górami sto góralskich dziewek
Stu góralom odpowiada?....

Tu pieśniarz uciął; pod palcem kobziarza
Pękły z dalekim jękiem wszystkie druty.
Ze środka lasu wypadł wicher luty,
Wyrywa jodły, słupem liści tarza,
Płomienie stosu kręci wiru śrubą,
Mroczy polanę chmurą dymu grubą....

1) Gewont, góra uderzająca kształtem nagiej ściany między Zakopanem a Kościeliskiem.

Każdy się tulił, wszyscy się pytali:
„Czem' struny pękły? zkąd ten wicher luty?
„Czyście słyszeli, jak coś jękło w dali?
„Byłoż to echo, kiedy pękły druty?"
Wszyscy pytają, a nikt nieodgadnie.
Lepiéj to widzi Janosz ze swojemi:
Zaledwie wicher z pod lasu wypadnie,
Jak przed gadziną skoczył on od ziemi,
Wrzasł przykrym jękiem, zbiegł na brzeg opoki,
Wyciągnął palec, rozwarł wzrok szeroki:
„Czy wy widzicie, widzicie w kapturze?„
Opryszki milczkiem spojrzeli mu w oczy,
Potém po sobie z uśmiechem spojrzeli,
Bo niewidzieli tylko wielką burzę,
Tylko słup wichru, co liściami toczy:
To nie ma dziwu, że się w duchu śmieli.
Janosz umilknął; drżały w piersiach słowa,
Oczy w słup stały, zawsze w jednę stronę:
Widziadło stąpa liściem otulone,
Pod wielki kaptur całą głowę chowa;
Na piersiach leży długa broda siwa,
A trupia głowa siedzi na ramieniu.
Widziadło wichrem stąpa ku płomieniu:
Głowa z ramienia ptakiem się porywa,
Leci ćmą w ogień, uderza piorunem,
I stós rozwala; widziadło brodacza
Stós rozburzony poważnie przekracza,
Wlecze za sobą dym i skry całunem,
I burzą coraz dalszą w lasach znika.
Wszystko ucichło. Janosz się odcyka,
Jak po śnie strasznym; przeciera powiekę,
Niepewnie w okrąg poziera i słucha,
I sam do siebie przemawia po cichu:
„Czyż to ty byłeś? ty, nieszczęsny mnichu?
„Ciebież widziałem? haj widziałem ducha.
„Nieszczęście niesie! blizkie czy dalekie!
„Biada nam! komu? mnie czy im? pobiegę,
„Polecę do nich, zawołam, ostrzegę,
„Niech do dom idą, niech będą gotowi.
„A będąż wierzyć? komu? opryszkowi?
„Bajce o strachu? hej Janoszu! w drogę.
Tu niebezbieczno. Czekajcie! nie mogę,
„Nie możem odejść! ich tutaj coś spotka,
„A spólna dola, zawsze, zawsze, słodka!"
Usiadł i czeka, niechaj co chce będzie,

Popłoch górali przewiał w burzy pędzie;
Straszny to wicher, ale wzdy przeminął.
Stós górc znowu. Gdzież to Ludek zginął?
Czy nie ze sobą burza go porwała?
„Gdzież tam! ktoś woła! gracz to syn Michała.
„On rad, że wreszcie od was się wywinął.
Zaledwo wicher ognisko rozmiotał,
On się na szczudłach co żywiéj wydźwigał,
Aż zatrzeszczało, tak dalej pośmigał,"
Zawołał: „reta!" a pewno chichotał."
— „Niech sobie lecą na szyi złamanie;
„Jakoś i bez nich będziem mieć śpiewanie"
Zawoła Salka, „niechaj lecą sobie.
„Ja wam na oko, jak to było, zrobię.
„Wy téż Magiera świadom rzeczy całéj.
„Ja będę Kasią, i wedle téj skały,
„Będę zawodzić i jagody zrywać.
„A wy Magiera pod bukiem usiądźcie,
„Będziemy sobie wzajem przyśpiewywać.
„A wy Nasicka, starym mnichem bądźcie,
„Skryjcie się w gąszczu, i jak strach na Kasię,
„Wpadnijcie na mnie; ja powiem o czasie.
„No pamiętajcież!" I w zaroślach ginie.
Antosz Nasieka w gunię się ubiera,
Jak w kaptur mniszy, i siada w gęstwinie,
A z pod buczyny tak nuci Magiera:

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebym we dnie i we mroku,
O zachodzie i o świcie,
Żebym całe, całe życie
Miał cię Kasiu przy swym boku:
Pół méj trzody jabym dał!

Magiera przestał i dudą wygrywa,
A za drzewami dziewczę się odzywa:

Miej dla siebie trzody swoje,
O bydło nie stoję.
Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebym twoje piersi białe
Jako wzgórki uśnieżone,
A jak puszek wypieszczone,
Mógł posiadać życie całe.
Mógł dotykać życie całe.

Śpiewak znów ucichł, i przygrywa w dudy,
A dziewczę z gęstwy nuci jako w przódy:

Miéj dla siebie łąki swoje,
O trawę nie stoję.
Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebyś u tego żarzewia,
Na tem miejscu, krokiem szybkiem
Usieść chciała ciałkiem gibkiem,
Jako pręcik kozodrzewia [1]).
Jabym siebie tobie dał!

---

1) Kozodrzew, rodzaj krzaczystej sosny, rośnie w najwyższych roślinnych strefach. Ściele się po ziemi tak gęsto, że się jak w sieć weń uwikłać można.

Długo śpiew krąży po przestworzu cichem
Aż od gęstwiny leci głos z uśmiechem:
Niechcę trzody, niechcę pola,
A twoja bądź wola.
Pieśń się skończyła; starzy lubowali,
Młodzież to piosnkę, to pieśniarkę chwali;
Wszyscy czekają, co nastąpi daléj.
Oh! i mnich wreszcie podnosi się, mruczy.
Nagle do koła zatętni, zachuczy;
Salka wypada, krzyczy, co tchu staje,
Utraca siły, i mdleje śród drogi.
„Dobrze udaje!" krzyczą, „jak udaje!"
Ale wnet radość wzrasta gwarem trwogi:
Stęknęły głazy, trzasnęły konary.
I jezdne zewsząd suną się poczwary;
Suną się błyskiem, zawodzą ponuro,
I nakrywają góralów strzał chmurą.
„Tatarzy, przebóg!" zagrzmiał głos Kiczory.
Watażki w rękę, do góry topory!
„Górale do mnie! kto zdolny na opór!
„Za mnie tu! za mnie kobiety i starzy!"
Wystąpił naprzód, trzykrotnie zaśwista,
Wypuści w górę, jak głównię, swój topór.
Półkolem obok staje młódź barczysta,
A naprzód lecą i wrzeszczą Tatarzy
Po owczych kudłach, otuleni nocą,
A ognie stosu po szablach migocą.

ZOFIJÓWKA.

Poemat Obrazowy

przez

STANISŁAWA TREMBECKIEGO.

Miła oku, a licznym ożywiona płodem
Witaj kraino! mlekiem płynąca i miodem.
W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa,
Rozroślejsze czabany[1]) twe błonie wypasa.
Baran, którego twoje utuczyły zioła,
Ciężary chwostu jego nosić muszą koła [2]).

---

1) Czabany, wielkie wody Podolskie i Ukraińskie.
2) W stepach Ukraińskich jest gatunek baranów wielkich, którym dla ulżenia ciężaru wiążą ogony (chwosty) na kołach.

Nasiona twych wierzone bujności zagonów,
Pomnożeniem dochodzą Babilońskich plonów.
Czernią się żyzne role; lecz bryły téj ziemi
Krwią przemokły, stłuszczone ciały podartemi,
Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty.
Zębce słoniów, i Perskie wykazuje szczęty;
W tych gonitwach, od obcych we środku poznany,
Szesnaście potém razy kraj odmienił Pany.
W nim to najsroższe z Azyą potyczki Europy,
W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopy.
Przeszły więc niwy w stepy, a trawa bez kosy
Pokrewne Pitonowi mnożyła połosy [1]).
W leciech niższych otwartéj choć niebyło wojny,
Utrapiał Ukrainę pokój niespokojny.
To Siczowe nachody, to Tauryckie hordy,
Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy;
Dzicz wnętrzna, częsty rozruch, i sąsiad niemiły,
Majętniejszych opodal mieszkać niewoliły:
Dozórca się panoszył, a posiadacz grodu
Za łaskę swego cząstki przyjmował dochodu.
Teraz dopiero każdy swojéj pewien właści,
Pod zbrojném żyje prawem, wolny od napaści.
Wygnane barbarzyństwo, rzeczy postać inna.
I obfita ziemica, jest czém być powinna.
Ciągną ninie ku sobie te pola karmiące
Przez niegościnne morze korabiów tysiące [2]).
Odessa zmartwychwstała [3]), i wymienia złotem
Owoc ziemi rólniczym uroszony potem.
Skutkiem przezornych rządów, zaniedbane wioski
Na wzór się przekształcają angielski i włoski,
Zapomnianego niegdyś przystrojeniem kąta
Gromadny obywatel pilnie się zaprząta;
A jak w Dodońskim drzewo Jowiszowe lesie [4]),
Tak Potocki nad innych wyższość w sobie niesie.
Wspominać przodków, miałbym zbyt osnowę długą,
Któż się z tym domem zrównać ośmieli zasługą?
A co czynił dla kraju, co dla swoich ziomków,
Na osobnéj to karcie damy dla potómków.
Dzisiaj mię określenia zatrudnią jedynie,

1) Połosy, długie i srogie węże na Ukrainie; Pyton, wąż który ścigał Dianę, i przez Apollina zabity został.

2) Niegościnne morze, Pontos axenos, jest morze Czarne, później nazwane Pontus Euxinus t. j. gościnne.

3) Po traktacie Rossyi z Turcyą r. 1792.

4) Drzewo Jowiszowe, dąb w lesie Dodońskim w Epirze, poświęcony Jowiszowi.

Zkąd imie Zofijówki, i dla czego słynie?
Raz dano znać, że lud się z użaleniem skupił,
Skarżąc się, że im ten zwierz pasieki wyłupił,
Ten porwanych jagniątek krew niewinną chłeptał,
Tamten kłosy Cerery wyżarł i wydeptał, —
Zwołano zaraz psiarnią, stoją koni zgraje,
Młódź chciwa niebezpieczeństw znak ochoty daje.
Niebawem idą w pole; jeno zdjęto sfory
Głosy psów, trąb myśliwych, powtarzały bory;
Pan sam w dzikie przesmyki, między skały śpieszył;
Wtém bełt puszczony łukiem śród piersi mu przeszył,
Gdy chcąc spostrzedz mordercę, spojrzy w koło z jękiem
Strzelczyk się na powietrzu uśmiechnął z uwdziękiem,
I mówi: „Nie narzekaj, przyjazna ta rana,
Dla pełności twojego szczęścia jest zadana.
Dostojne masz honory, mnogie masz dostatki,
Miéj i Tę, co przyjemność mojej zrówna matki,
Gdzie Sielnica [1]) z Tulczynką strugi czyste sączy,
Hymen twoje z Zofiją przeznaczenie złączy,
Imię jéj tym dasz miejscom, gdziem ci się objawił
Słusznie byś je z tych przyczyn wiekopomnie wsławił,
A na powinny dla mnie dodatek ofiary,
W rozkoszne zamień sady te niezgrabne jary,
Własnéj ku budownictwu nieżałując dłoni,
Poznaczę ci abrysy grotem mojéj broni.
Tu, gdzie się w amfiteatr wyższe łączą góry,
Wznieś mieszkanie dla naszéj przyjaciółki Flory,
Tam daléj, pysznym rzędem Koryntska kolumna,
Niechaj dźwiga świątynię kochanki Wertumna [2]),
Nie jest ona niewdzięczną: jéj opłatnym darem
Giąć się będą jesiennym gałęzie ciężarem.
Tam, gdziebyś miał rozrywkę ty i twoje dziatki,
Z tajoną wspaniałością porozsiewaj chatki,
Resztę oddałbym woli, gdy postawisz z przodu
Posąg Minerwy, twego opiekunki rodu.
Wysoką waszą świetność winniście Palladzie.
Ona was w boju, ona zasilała w radzie.
Na łowach ten się układ między nami czyni,
A że córa Latony jest łowów mistrzyni;
Zrobisz jezioro, w które Wilgi kryształ zlany,
Może nosić nazwisko Zwierciadła Diany [3]).

1) Sielnica, woda pod Tulczynem, majętnością Potockich.

2) Pomony, bogini drzew i owoców; Wertumnus bożek natury i pór roku.

3) Woda ze strumienia Wilgi sprowadzona w sadzawkę zwaną Zwierciadłem Dyany.

Zrób, nie zrób, co ci prędzéj radzą myśli chętne,
Czczenia upartéj panny są mi obojętne.“
Rzekł, i na krwawym brusie pociągnąwszy strzały,
Unosić się polecał nad Chersońskie wały.
Te umowy rzetelność iścić każe święta,
Ztąd dane Zofijówce i wzrost i przynęta.
Łamanych skał rzędniejsze poczyniwszy składy,
Mieszkać na nich zamorskie wezwano Dryady.
Stały dające odpór i chropawe głazy,
Przechodzą na kolosy i Bogów obrazy,
Robota trwa bez granic, i po każdéj wiośnie
Zawsze coś pamiętnego zdobieniem przyrośnie.
Takiego tu, dawnemi nieznanego laty,
Rozgłos miejsca odległe napełnia powiaty.
Niedość ma słyszeć, wszystko chce przebiedz szeroko,
Ciekawe a w Tulczynie znarowione oko,
Gdzie znajdując przedmioty z każdéj miary znaczne,
Wszystkie potém średniości zdają się niesmaczne,
Pędzę z utrudzonego nie zstępując konia,
Aż gdy mnie Zofijówki otoczyła wonia,
Stworzenie wszędy świeże poznawa źrenica,
To mnie bawi, to cieszy, to zmysły zachwyca,
Chudą pierwéj golizną świecące pagórki,
Zdaleka przyniesione pocieniły borki.
Gdzie między krajowemi umieszczone drzewy,
Są z Libanu, z Atlasu, z Antypodów krzewy.
Od nich mnie po kamieniach noga niesie lekka,
Ku niższéj grocie, Króla rzeczonéj Łokietka,
Nie wszystkim w tę jaskinię uczęszczać się godzi,
Młodszy świat jéj używa, Patagon nie wchodzi.
A ztamtąd pochodziste przebiegłszy zielenie,
Starowniéj kuta grota większe ma przestrzenie.
Z czoła olbrzymi granit zamiast słupca stoi,
Krynica ją z opoki wytłoczona poi.
Tam słodki wiersz, którego żaden wiek nie zmaże,
W tę grotę wchodzącemu szczęśliwym być każe [1])
Smutném nieposłuszeństwem ciężko jest przewinić,
Ten kazał, co szczęśliwych chce, i może czynić.
Przy lewéj stronie drogi, od swych sióstr osobna,
Wisząca grozi skała Leukacie podobna [2]),

1) W grocie wykute są wiersze Szczesnego Potockiego.
„Strać tutaj pamięć nieszczęść, a przyjm szczęścia wieszcze.
„A jeśliś jest szczęśliwym, bądź szczęśliwszym jeszcze.

2) Leucata, skalisty przylądek wyspy Leukadyi na morzu Jońskiem, sławny zgonem wielu kochanków. Tam zginęła Sappho i Artemizia, królowa Karyi.

Na któréj, gdy ich miłość niewzajemna pali,
Lekarstwa długiéj męce amanci szukali,
Po wzdychaniach ostatnich, w krótkim ciała rzucie,
Żalu, zgryzot, boleści pozbywając czucie.
Młode i hoże Nimfy! co na wasze wianki,
Przy w dzięcznych Bohu nurtach, łączycie równianki,
Nie bądźcie nieużyte, i przez wspólną tkliwość,
Nagradzajcie uprzejmą kochanków szczęśliwość.
Bo jeźli na ich modły duszę macie twardą,
Jeźli wierne usługi płacicie pogardą,
Jeźli w daniu otuchy zbyt jesteście trudne,
Jeźli dla szczerze prawych będziecie obłudne,
Gdy kto wpędzony w rozpacz z téj wyżyny zleci,
Okrucieństwa waszego pamiątkę zeszpeci.
Tym czasem, żeby takiej nie podpadać szkodzie,
Przezorność nakazała zabieżyć przygodzie.
Z dębu, w leśnéj odzieży, ułożona sala,
Zasłaniając przepaści, gorzką myśl oddala.

Idąc, gdzie znęcająca murawa się ściele,
Znak skończenia naszego przerwał me wesele.
Posępne stoją cisy, ukochane cienie
Wam na cześć: Konstantemu, Mikule, Helenie,
Bez względu na maleństwo zamknął los do trumny
Wielkie domu nadzieje, i przyszłe kolumny.
Żyjecie dotąd w sercach, a wasze wspomnienia
Łzy matki wyciskają, i ojca westchnienia.
Nikłą im radość, długą sprawiliście żałość,
Mający krasę kwiatów, i kwiatów nietrwałość.
Co nam zostaje życzyć, niech do téj ustroni,
Popioły z ciałek waszych przenasza Fawoni.
Święte pola Elizu opuściwszy czasem,
Bawcie się z nasadzonym od rodziców lasem.
Niech was dziecinny szelest, świadczy tu przytomnych,
Zmieszany z szmerem zdrojów i powiewów skromnych.

Ztąd krążę, gdzie rozlewu pilnujący ścieków,
Z jednego most granitu kły wyzywa wieków.
Inne z kruszczu Chalybów wytopione sztucznie [1]),
Mniemam, że je ulali Mulcybera ucznie [2]).
A na rzucenie z procy czworogranną miarą,
Leży ucieczka pewna udręczonych skwarą.
Gmach ten z miąższego muru, od wierzchu do dołu

1) Chalibowie, naród nad morzem Czarném, gdzie było bardzo dobre żelazo i stal.
2) Mulcybor, przydomek Wulkana.

Z płynącego namiotem okryto żywiołu.
Pan miejsca na pamiątkę Tetydy przygody
Dał mu imie Tetydion; odziały go wody [1].

O téj przygodzie, myśli roztargniony tłokiem,
Minąwszy obłąkanym zwykle ścieszki krokiem,
Widzę łódź któréj strzeże przewoźnik sędziwy;
Kędzior modrawą brodę zagęszczał mu siwy,
Wzrokiem błysnął ponurym, ani mię powitał,
Ani wsiadającego, gdzie chcę płynąć, pytał.
Mamli wstyd mój wyjawić? tylko ruszył wiosła,
W podziemne mię ciemnice jego barka niosła.
Żegnam cię, słońce drogie!... Za cóż tyle kary?
Żywy, siódmym przykładem, wchodzę między mary [2])
Tu więc na mnie czekałeś o Charonie chytry!
Ani Trackiego wieszcza nie mam z sobą cytry,
Ani Sybilla złotéj dała mi gałęzi[3]):
W swych głębinach bezdennych Pluton mię uwięzi.
O! jak przykre, jak długie, zdają się tu pory,
Kędy noc wieczna rzeczom wydarła kolory.
Głos mój niknie... krew ziębnie... aż postrzegam zorze;
I barka się na słodkie wysunęła morze [4]).
Dreszcz mię dotąd przechodzi, ledwie duch mój ożył,
Tak mię srodze ten przewóz okropny zatrwożył.
Po morzu tem szedł okręt, sprawném cięty dłótem,
Ujaśniony farbami, i lśniący się złotém;
Wiatrom on igrającym bisiory nadstawiał [5])
W takim się wódz Wenetów uroczyście pławiał,
I na takim zaślubiał Adryańskie wody,
Wprzód, niż mu poniewolne dał Francuz rozwody [6]).
Okręt dążył do wyspy, acz niewielkiéj miary,
Wielkiemi ją Bogowie uczcili obdary.
Postać ma w długi okrąg, Anti Circe miano [7]),
Które jéj dla dzielności osobliwszéj dano,
Łakoma swoje Circe bogacąc obory,
Cnych rycerzy w podlejsze zamieniała twory.

1) Tyczy się to ślubu Tétydy, córki Nereusza, bogini morskiéj, z Peleuszem, synem Aeaka, królem Tessalskim (ojcem Achillesa).
2) Sześciu bohaterów według podań starożytnych zstąpiło do krain podziemnych: Orfeusz, Tezeusz, Pirytous, Herkules, Ulisses i Eneasz.
3) Orfeusz, wieszcz Tracki, szukając żony Eurudyki, zmiękczył graniem na lutni serca władzców piekielnych; Sybilla kumejska dała Eneaszowi rószczkę złotą, za pomocą któréj miał wolny wstęp do piekieł.
4) Wody w Zofijówce noszą imię słodkiego morza.
5) Bisior, rodzaj materyi u starożytnych bardzo drogiéj.
6) Doża Wenecki, obejmuje władzę, wyjeżdżał na okręcie Bucentaurus na morze i zaślubiał je rzuceniem pierścienia do wody. Napoleon, zabrawszy Wenecyą, zniósł dawny rząd.
7) Circe, sławna z Odyssei czarownica na wyspie morza Środziemnego, zamieniała ludzi w zwierzęta, i tak towarzyszów Ulissesa w wieprzów.

Bystrzejszym z przyrodzenia napełnionych duchem,
Tych szczecią nikczemniła, tych przydłuższém uchem.
Tu przeciwnie, przybywszy bydlątko i zwierzę,
Każde z nich lepszość, każde twarz człowieczą bierze.
Tygrys, którego nato chce natura chować,
Żeby miał co na ziemi psuć, niszczyć, mordować,
Jak tylko kroki stawił na błogim tym brzegu,
W mężów ludzkości pełnych, uczuł się szeregu.
Małpeczka, przez krój szaty, ruszenia i miny,
Dalekiéj przetwarzała mieszkańców krainy;
Tu rzuciwszy nowotki, przestawszy być modną,
Stała się z obyczajów naśladowań godną.
Wieprz, którego zabawą przemyślać o jadle,
Cała rozkosz w próżniactwie, cały zaszczyt w sadle:
Żarłoctwo i lenistwo czyniło go winnym,
Teraz jest wstrzemięźliwym, i z rychłością czynnym.
Gryff, trudniący się złota nadpotrzebném kryciem,
Głośny był potém kruszców przystojnem zażyciem.
Kret, który w ziemskie tylko dawniéj rzeczy wglądał,
Pojrzał w niebieskie gmachy i być w nich zażądał.
Motyl, który wpadając między kwiatów gminy,
Swawolnie z jednéj latał do drugiéj rośliny,
Płochéj na tem ostrowiu przestawszy podróży,
Stałym został, i znalazł trwałe smaki w róży.
Tak pomyślne przemiany, takie cuda zdarza
Wyspy moc, i czcigodne wzory gospodarza.

Wraz mię na wszystkie strony rozmaitość woła
Pierwszość otrzyma brzegów zieloność wesoła.
Mierzę potém, na garbek wstępując wysoki,
Jedne więcéj nad drugie żądniejsze widoki.
Spuszczając się w niziny dobiegłem ponika,
Który hojnie z otworów kamiennych wynika.
W koło kryty, gałązka żadna go nie trąci,
Ani promień rozciepli, ani ptak zamąci.
Przejrzystość dyamentu, a lekkość deszczowa
Sprawia, że się ta woda zda innych królowa.
Podoba się smakowi, podoba się oku,
Pragnienia nigdy w milszym nie złożyłem stoku.
Gdyby taki znaleźli Arabowie spiekli,
Samiby się o jego użycie wysiekli.
Okoliczne osady, bliższe tego zdroju,
Jak wy szukać innego możecie napoju?
Wszak on wszystkich, którym go kosztować się godzi,
Cieniuchną rzeźwi treścią, odwilża i chłodzi,
A trunkiem wyrabianym napełnione czasze,

Obrażając wnętrzności, ćmią pojęcia wasze.
Ziemia, przychylna matka, odpędzając głody,
Na pokarm dała ziarna, owoce, jagody,
Ale my onym inne stanowiąc przepisy,
Przez sztuczne, pokarm w napój mienimy zakisy.
Pracował ludzki dowcip, i doszedł sposobu,
Ująć sobie rozsądku, a przysunąć grobu.
Wielki monarcha, losy dany nam szczęsnemi,
Skinieniem zdolny ruszyć część największą ziemi.
Nie dość, że się prawami wybornemi wsławia,
Przez co ludy tak różne zbliża i poprawia,
Nikomu ojcowskiego nie chybiając względu,
Jeszcze się zajął dobrem najniższego rzędu.
Zachęca, nieoszczędza starania i pracy,
By poznali potrzebne litery wieśniacy;
Takich do źródła światła, gdy dostanie kluczy,
I pospólstwo na sucho myśleć się nauczy.
Dniestru i Borystenu[1]) pobrzeża przyjemne
Miały mędrców gdy Greki jeszcze były ciemne.
Powściągliwy Awaryusz[2]), te pijące wody,
Strzały pędem, celniejsze przebiegał narody.
Tak w drodze znalezione wysysając ziółka,
Nektary w swój ul znosi pracowita pszczółka;
Ów Zamolczy[3]), którego wiadomości zbiory,
Potém na Samijczyka przeszły Pitagory.
Długa po nim tęsknota, i pamiątka droga
Z światłego śmiertelnika uczyniła Boga.
Anacharsys, którego w ciąg wieków daleki[4]),
Uwielbiali bez końca Rzymianie i Greki
Kochany, długo żywy, gdyby w swoje strony
Rozum tylko przynosił, a nie zabobony;
I Sphera nie należy mijać wspominania[5]),
Który był jednakiego z Stoikami zdania.
Humania pan, miłośnik prawdy i nauki[6]),
Chcąc wskrzesić tak szlachetne poprzedników sztuki,

1) Borysthenes, starożytne nazwisko Dniepru.

2) Abarys, mędrzec Scytyjski prostego sposobu życia, nieprzyjaciel zbytków, dostał od Apollina strzałę lotną, na której odbywał podróże po powietrzu, zbierając zewsząd pożyteczne dla ziomków wiadomości.

3) Zamolxis z narodu Getów, zwiedził Egipt i Indye z Pitagoresem, filozofem z Sanu, a powróciwszy miał rozszerzyć między ziomkami naukę o nieśmiertelności duszy.

4) Anacharsis Scyta, sławny z mądrości i zwięzłéj wymowy, zwiedził Grecyą i słuchał Platona.

5) Spherus z Bosporu, uczeń Zenona, był sekty Stoików.

6) Humań, miasto Potockich, w którego okolicach leży Zofijówka.

Wybrańszemi drzewami opasane pole
Ateńskiéj w Zofijówce nadać raczył szkole.
Wolném tchnące powietrzem, nie ściśnione murem,
W jakiém lubił rozprawiać Krates z Epikurem[1]).
To wszelkich wnioskujących w swe obręby wpuszcza,
Z ich pokłóceń częstokroć prawda się wyłuszcza.
Wszedłem tam przestrzeżony, że w te właśnie czasy,
Dwa w niéj szkolne Atlety chodziły w zapasy,
Nie rozumiem, co pierwszy, co wyrażał drugi,
Choć ich głosy powtarzam; jak czynią papugi.
Sędziwszy z nich, zaczęte już kończąc rozmowy,
Tak niewyszukanemi gruntował je słowy:
„Gdy więc o wszystkich rzeczy namieniamy wątku,
Ten końca mieć nie będzie, jak nie miał początku.
Nigdy go nie przyrasta, nigdy nie ubywa,
Ale się coraz inną postacią okrywa,
Żadnego już z tych we mnie proszku nie zostało,
Które moje składały przed półwiekiem ciało.
Na ich miejsce przez pokarm, oddech i napoje,
Innych żyjątek części obróciłem w moje.
I co było dopiero ziarno, drzewo, ziele:
Jest duchami, krwią, kością, żyłą w mojem ciele:
Co chwila w niedostrzeżne rozrabiany pyłki;
Znowu innym istotom idę na posiłki.
Gdy ciał naszych budowla niszczejąca zwolna,
Niebieskiego brać ognia już nie będzie zdolna,
Zwać to zwykliśmy skonem; a nasze ostatki
Innym rozda żyjątkom wielkiéj łono matki.
Tak na świecie najwyższéj mądrości układem,
Nie przypadkiem, porządnym wszystko idzie ładem,
I zawsze skutki przyczyn, czy większe czy drobne,
Jednakich są jednakie, podobnych podobne.
Potrójnym kula ziemska władana obrotem,
W koło swéj własnej osi szybkim chodzi lotem,
Powolniejszym corocznie w stare wchodzi mety,
W koło światłem i ciepłem darzącéj planety;
Najleniwszym z północy ku południu krąży,
I ztamtąd ku Tryonom tymże biegiem dąży.
Pierwszy ruch dni oddaje, drugi wraca lata,
Ziemskiego niesie trzeci odmłodnienie świata.
Gdy więc dziś będzie kresów dzisiejszych dochodzić,
Ciż sami znowu wtedy będziemy się rodzić.
Taż wilgoć nas napoi, też nakarmią strawy,

1) Krates, jeden z uczniów Platona.

Też same przyjacioły, też będą zabawy;
Wszystkie jestestw żyjących i nieżywych stany,
Bez żadnéj dawne losy odzyszczą odmiany.
Uczeni takim czasy kołujące tokiem
Wielkim zwą peryodem, „Filozofów rokiem.
Umieją oni zliczyć lata, dni, godziny,
Gdy się téż same skutki, téż wrócą przyczyny.
Biorąc miarę powrotów z wieczności obrazów,
Byliśmy, czém jesteśmy, miliony razów.
I póki potrwa ziemia, póki starczy słońca,
Żyć, gasnąć, odradzać się będziemy bez końca.
Gmin wiedzieć nie jest winien, że z natury daru,
Te są wiecznego chody niezmienne zegaru."
A że nawet i mędrsi mają swe przysady,
Z rostrząsań wszczął się hałas podobny do zwady:
Jeden w to mocno wierzył, drugi brał za żarty,
Wszystko przecząc, powagą starych pisań wsparty.
Ja obu z zadumieniem słuchałem prostaczém,
I stanęło nakoniec.... przepomniałem na czém.
To tylko mam przytomne, że stygnąc pomału
Od twierdzeń nadto górnych, zeszli do morału,
Młodszy mówił, a starszy z odpowiedzią czeka.
„Rozkosz być sądzę dobrem najwyższém człowieka:
Lecz to za istną rozkosz wziąłby chyba tępy,
Co koniecznie szkodzące pociąga następy.
Mało cenimy, co umysł na chwilę weseli,
Mignie tylko i ginie, jak płomień z kądzieli.
Nieuważnych żądania krótka słodycz nieci;
Są łakotki dla małych, są dla starych dzieci.
Owszem niech ta ostrożność czujną baczność zwraca,
Czy naszych sił nie wątli? czy życia nie skraca?
Cukier jest wprawdzie słodki, temu jednak biada
Kto często, lub nad miarę, cukrem się objada.
Przez wyczyszczony rozum i cnotliwe życie,
Zyskuje się prawdziwéj rozkoszy nabycie.
Ta jest ostatnim celem, ta naszą nagrodą,
Do niéj tamte dwa środki nieochybnie wiodą;
Złego nic, a dobrego nadziaławszy wiele,
Stajemy się nas samych wnętrzni przyjaciele,
Szacunek, tak zjednany, nigdy w nas nie ginie;
Nieprzerwanej pociechy ztąd uczucie płynie.
Czemby się człowiek prawy miał kiedy zasmucić,
Gdy mu nic serca skrytość nie zdoła zarzucić.
Ma on namiętnościami nieskażone skronie,
Nie blednie winy trwogą, ani wstydem płonie.

A jeźli zdarzeń ślepych dokuczą mu wady,
Bezróżnie je przyjmuje, jak wichry i grady.
Dopełnia obowiązki w radośnym sposobie,
Które winien i drugim, i samemu sobie:
Bo myśl i ciało będąc umieszczone ścisło,
Od ich zdrowia zwiększenie rozkoszy zawisło.
A gdy dobrze strawionym obciążony wiekiem,
Pozna, że już przychodzi przestać być człowiekiem,
Tak się spokojnie złoży, z przodkami pospołu,
Jak gdy po walnéj uczcie wstawałby od stołu."
Nie szukając zawiłych rozstrzygnienia sporów,
Uciekłem do pachniących czerpać rozkosz borów.
Tysiąc jest jéj rodzajów, cała na tém sztuka,
Żeby ją wszędy znalazł, kto dokładnie szuka.
Pysznię się, że nasz pochód lepiéj znam nad onych
W głównej Ateńskiéj szkole gadaczów ćwiczonych;
Gdyż kapłan Apollina, mówiąc kiedyś ze mną,
Oznajmił mi człowieka pierwotność tajemną.
Prometeusz kształt Bogów ulepiwszy z gliny [1],)
Kradzionym ogniem onéj rozruszał sprężyny.
Po tak zdumiewającym, i najpierwszym cudzie.
Od téj gliny ogrzanej wszyscy poszli ludzie.
A zaś od brata jego bieg natury znany,
Stopniem niższe i nieme wywiódł koczkodany.
Gwar ciżby, lin skrzypienie, głośne szczęki młotów,
Zwróciły moje kroki w stronę tych łoskotów.
Gdzie długi głaz z wnętrzności wyrobiony skały,
Mnogie siły złączone z trudnością dźwigały.
Z ciemności wydostany to będzie miał zyskiem,
Chmury swym dzielić końcem, zwać się obeliskiem,
Komu on wystawiony, świadczy napis ryty:
„Wnuk Diony dla czwartéj wystawił Charyty." [2])
W głębszym gładzonych ciosów leżą stosy lesie,
Z których się znakomita piramida wzniesie.
Nie inne w każdym boku strzegąca rozmiary,
Takiéj dla Cestiusza Rzym pozwoli stary [2]).
Ta boleśnem wspomnieniem rażąca mogiła,
Czyjeś niepospolite zwłoki będzie kryła.

---

1) Prometeusz, syn Japeta, ulepiwszy z gliny postać na kształt bogów ożywił ją ogniem z nieba skradzionym. Epimeteusz, brat jego, utworzył podobnym sposobem małpy.

2) Diona, matka Wenery; Charyty, boginie wdzięków, jej towarzyszki: Talia, Agläe, Eufrozyna.

3) Cestius, Rzymianin rodu plebejskiego; Praetor z czasów Cesara i Cycerona, któremu wystawiono w Rzymie sławny pomnik w kształcie Piramidy.

A choć o wszelką nowość przywykłem się badać,
Czyje? boję się pytać, i niepragnę zgadać.
Niechaj ta za dni naszych nie nadchodzi pora,
By miała zniknąć ziomków w nieszczęściu podpora,
Nie śpiesz się budowniczy, słuchaj ludów głosu,
Nie kładź rychło pierwszego pod mogiłę ciosu:
Aż kiedy dwa od dzisiaj miną pokolenia,
Dopiero.... nie kładź jeszcze i wtedy kamienia.
Nagły mię smutek objął, i walczy z rozumem,
Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzeka lecąc szumem,
Gdy słuch zaprzątą brzękiem, i wejrzenia bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu, i sztuka rzemiosła,
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła,
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą, i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Którą, od siebie większą, Kamionka wypada,
Rozścielać się, nurkować, czy piąć się na głazy,
Wzięte posłuszna Nimfa dopełnia rozkazy.
I mimo praw swéj równi, służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.
Kto gajów Tuskulańskich smakował ochłody [1]),
Kto uwieńczał Tyburu spadające wody [3]),
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże [3]),
Jeszcze i w Zofijówce zadziwiać się może.
I przyzna, jeźli szczerość usty jego włada,
Czém tamte w częściach słyną, ta razem posiada.
Lecz to miejsce Zofijo więcéj zdobisz sama,
Podobniejsza Niebiankom niż córkom Adama.
Ciebie tu spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić,
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić.
Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty
Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty.
A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata czcić cię będzie, drugi pół zazdrościć.

---

1) Tusculum, dziś Frascatti, niegdyś posiadłość Cycerona, jest miasteczko niedaleko Rzymu.

2) Tybur, dziś Tivoli, rozkoszna okolica, wsławiona pieśniami Katulla, Horacego i Propercyusza.

3) Pauzilype, piękna góra niedaleko Neapolu, znaczy koniec smutku.

DWORZEC MEGO DZIADKA

przez

FR. MORAWSKIEGO.

(Część pierwsza.)

Szczęśliwy, kto pamięta, jak w dziecinnych latach
Igrał jeszcze po cichych Dziadunia komnatach;
Kto pomni, jak tam skakał, nad książeczką ślęczał,
Gonił się z starym sługą, przy paciorku klęczał;
Jak przysmaczki Babuni wyjadał ukradkiem,
Łacińskie lokucye wertował przed Dziadkiem;*)
Dziwił się owoczesnym mężom, ucztom, strojom,
Wąsatych się wojaków przysłuchiwał bojom;
I sam pewien, że z wrogiem stacza bitwę wielką,
Z drewnianego konika wywijał szabelką.
Ilekroć on dumając nad sobą, nad braćmi,
Gdy mu łza tak bolesna świat i przyszłość zaćmi;
Zwraca się rzewną myślą w ową lat swych zorzę,
Całą duszą, pamięcią w starym błąka dworze;
I tak dziecinne serca powtarzając bicia,
Słońcem ranku rozjaśnia chmurny wieczór życia.

Nie poczesnym był z kształtu dworzec mego Dziadka,
W którym niegdyś się zrodził, dożył dni ostatka;
A który, jak to z jego słyszałem rozmowy,
Stawiał jego pradziadek, Sędzia kapturowy.**)
Dworzec ten stał na wzgórku, skromny i drewniany;
Dach wielki, okna wązkie, zaszłe w ziemię ściany;
Dzielił się na dwie części, ciągiem sieni długiéj,
Z jednéj strony mieszkanie, czeladnica z drugiéj.
Nigdy tam ni przed domem, ni w skromnych komnatach,
Rojna służba w barwistych nie snuła się szatach:
Jeden sługa na wszystko, Stach zwinny, przezorny,
Hajduk, strzelec, ogrodnik i kucharz nadworny.

Na przodzie przed wystawką stał kasztan stuletni,
Gdzie się stary Jegomość chronił w upał letni,

---

*) Zwyczajem było w dawnych dworcach, że sam Jegomość po wieczerzy, zapisawszy omłót dzienny i narznąwszy karbów z gumiennym, w obec Dyrektora synków, zadawał im frazesy polskie, które na łacińskie przerabiać musieli. Tym sposobem zapełniała się długość wieczorów zimowych, i ojciec codzień mógł sądzić o postępie synów w łacinie. Odpowiadających nie dobrze przez roztargnienie lub lenistwo, stawiano na godzinę w kąciku twarzą do ściany, lub w kółku kredą oznaczoném, na środku pokoju.

**) Sądami kapturowemi nazywane te, które się za bezkrólewia odbywały.

Gdzie mawiał swój różaniec, dawne czasy marzył,
I dusząc buteleczkę, z swym proboszczem gwarzył,
Z wszystkich on miejsc najbardziéj lubił to ustronie:
Ztamtąd widział swe łany, lasy, łąki, błonie;
Tam go zawsze z południa sen ujmował słodki,
Wieczorem mu dzwoniące przeciągały trzodki.
Tam się z wieńca lip bielił ów kościół daleki,
Gdzie po znojach doczesnych miał spocząć na wieki;
Tam ledwie jadącego gościa dojrzeć zdołał,
Jużci krzyczał na Stacha i o węgra wołał;
Tam wreście widział zdala liczne chłopców roje,
Jak na środku wsi Barskie udawały boje,
Jak kij walczył z prętami, a kół z gromem bicza,
I jak zawsze Puławski wytrzepał Drewicza;
Patrząc on na te żwawe młodych lat wyskoki,
I śmiał się do rozpuku i trzymał za boki,
A dzielnego do siebie przyzwawszy wojaka,
Klepał go po ramieniu i wścibiał groszaka.

Lecz niemniéj i wnątrz domu był dla niego drogi,
Pobożność zacne jego otaczała progi;
Stały na drzwiach skreślone *Trzech Królów* imiona,
Przy wejściu w drobnéj czarce woda poświęcona,
W któréj zawsze Dziadunio swój paluszek maczał.
I jak dobry katolik krzyżem się oznaczał.
Miała przecież i ziemskość tam ozdoby swoje;
Zwykłe sień staropolskich zaszczyty i stroje,
Ciągnęły się ordynkiem po ścianach wiszące
Cietrzewie, kuropatwy, dubelty, zające,
I te lisy licznemi powalone łowy,
Przyszłe kurty, bekiesze i kaptur zimowy.
Najwyżéj jednak wisiał ów wieniec żniwiarzy,
Którym lud nasz corocznie panów swoich darzy,
Którym dziarski parobczak znojne strojąc skronie,
Zdaje się w staréj Piasta pysznić się koronie;
A lud z siebie wybranym dumny przodownikiem,
Szerokim wybór jego rozgłasza okrzykiem.

Z wszystkich izb tam najdłuższa i razem najszersza
Była izba jadalna z rzędu komnat piérwsza,
Sarmackiéj gościnności państwo niezmierzone,
Nieprzełomnym z Węgrami sojuszem złączone.

Stał na jego granicy kredens, gmach drewniany,
W czasach pono pradziadka już antykiem zwany.
Lśniły się za szkłem jego dwa srebrne puchary,
Staremi mnogich królów obite talary;
A jak gdy po nad miejskie niezliczone dachy
Wznoszą się wież gotyckich niebotyczne gmachy,
Tak nad drobnych szkieł tłumem w różne rznięte wzory,
Odęte starą pychą sterczały potwory:
Syndyk się tam z *Naparstkiem* o miarę certował,*)
A *Corda fidelium* nad wszystkie górował;
Pysznił się, że sam Cześnik przed nim z strachu zmykał,
A zwalił Chorążego, choć jak beczka łykał,
Przy ścianie, gdzie stał z wieków ów kredens niezmierny,
Jako ciągły przybocznik, stróż i służka wierny,
Odwieczny wszędzie jeniec jadalnéj komnaty,
Klęczał pod prasą serwet muzułman wąsaty;
Zdał on się na swéj głowie haracz nam przynosić.
I za Chocim i Wiedeń przebaczenia prosić.
Zeszły wiek w nim podziwiał rzadki utwór sztuki,
A Dziaduś nim hałaśne zwykle straszył wnuki.

Piec wielki, piec ogromny stał z przeciwnéj strony,
Kaflanem Sobieskiego popiersiem zwieńczony,
Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały,
Paszczą swoją połykał drzewa sążeń cały,
I w którym, jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradli złodzieje
Stykał się z nim rozległéj, równie jak on miary,
Komin, krewniak, towarzysz i przyjaciel stary;
Gorząc wzajem tak w dziennéj jak i w nocnéj dobie,
Ciągłym żarem affektu dogrzewali sobie.
Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Sróż nań ciągle szczyp smolnych całe kopy walił,
Huczał ogień, i dziaduś przy nim turka palił;
A gdy czasem przez istne dopuszczenie boże
Ciężka go jaka niemoc rzuciła o łoże,
Stach przy ogniu z różańcem noce przesiadywał,
Modlił się, ziewał, drzymał, i drzymając kiwał.

Całą izbę zajmował stół wielki, dębowy,
Pięć się kloców do jego składało budowy;

---

*) Nazwiska ogromnych kielichów.

Ileż on uczt podźwigał, ile straw, gąsiorów,
Ile związał przyjaźni, ile zgodził sporów;
Trzeźwo się tam i w sposób zmawiano uprzejmy,
O sądy, o wybory, projekta na sejmy;
Północna czasem w sporze wybiła godzina,
A nikt ust swych nie zwilżył nawet kroplą wina,
Lecz gdy wszystko na zgodnym skończyło się spisie,
A gosgodarz wzniósł owe sławne *kochajmy się!*
Nikt się tam od kielicha wyśliznąć nie zdołał,
Próżno wzniósł go do góry i o litość wołał;
Niczém ni Pan, ni sługa zbłagać się nie dali,
Przez głowę mu, przez ramię strugi węgra lali,
A gdy widząc, że próżno dąsał się i bronił,
I nagle go usunął i aż pod stół schronił;
Już tam zdradny kozaczek, osadzony z cicha,
Czekał go z nową flachą, i dolał kielicha.
Tak iż wzięty w dwa ognie, i ten szturm pijaczy
Wzmógł się — kielich przeżegnał — i wypił z rozpaczy.

Patrzyły na te uczty i huczne wiwaty
Z ram niegdyś wyzłacanych dziarskie antenaty,
Jeden w lśniącym kirysie i z podpartym bokiem,
Wygolony rudowąs; groźnym ciskał wzrokiem;
Drugi z brodą kępiastą i czubem na głowie,
Zdał się stare ojczyzny wyobrażać zdrowie,
I być jeszcze z tych dębów, o których rdzeń twardy
Szwedzkiego się Gustawa łamał oręż hardy;
A gdy nagle w Tyszowskim zaszumiały borze,
Cały gad się rozproszył i uciekł za morze. —
Wisiały tuż przy przodkach i zacne matrony,
Pozgonną nawet wiarą nieodstępne żony;
Tamta w lśniących bławatach jak Juno dostojna,
Ta zaś czepcem i drogim naszyjnikiem strojna:
Każda tkliwą do męża zwrócona twarzyczką,
Jedna z wonną balsamką, a druga z różyczką.

Ilekroć mój Dziadunio wzrok wiodąc po ścianie,
Patrzył się na te przodki, wzdychał patrząc na nie;
Czasem łza mu wytrysła, i znów w krótkiéj dobie
Śmiał się, Pana Rafała przypomniawszy sobie,
Co gdy pierwszy raz swoje przodki porozwieszał,
Wszystkie nazwy, urzędy i herby pomieszał,
I pożenił jakimsiś pogrobowym ślubem,

Piotra z żoną Jakuba, a tamtę z Jakubem;
Nie mógł on tak grubego darować mu grzechu,
I zawsze mówiąc o tém, spłakał się od śmiechu.

Lecz wszystkie te pomniki i warowne sprzęty
Gasił potwór, przez cały pułap przeciągnięty.
Odwiecznych może borów pierwsza rodzicielka,
Niezmierzonego dębu jednorodna belka,
Potężna córa puszczy, król Piastowych lasów,
Łom arki, co przepłynął cały potop czasów.
Zdało się, że nie ludzkie go tam ręce wzbiły,
Że trza było téj strasznéj, téj wszechmocnéj siły,
Która światy przerzuca i hamuje burze,
Aby wznieść taki ogrom i utwierdzić w górze.
Belka ta liczne włości przeżywszy dziedzice,
Miała jednę z kart ważnych w domowéj kronice,
Na jéj boku wyryty rok stawiania dworu,
Był rokiem straszliwego w ojczyźnie pomoru;
A kiedy pierwszy Moskal wszedł w Dziadka podwoje,
Z strasznym hukła łoskotem i pękła na dwoje.
Pod nią chłystki szlacheckie na kobiercach bito,
Pod nią dach się pokazał, i Szweda zabito.
Nigdy téż dobry Dziaduś, znany z ostrożności,
Ni sam pod nią siadywał, ni umieszczał gości;
O szeląg on się nawet pod nią nie założył,
Na niczém nie podpisał, listu nie otworzył,
Zważał nawet, że gdy kto klął się na szatana,
Zachłysnął przy kielichu, ograł w kasztelana,
Lub się wyrwał niebacznie i głupstwo powiedział,
Zawsze się pokazało, że pod belką siedział.

W takiéj to izbie dawni grzmieli biesiadnicy,
Jakby w giełdzie sąsiedztwa, forum okolicy;
Nie raz się do niéj wtłaczał szlachty powiat cały,
A głośne stypy, gaudy, dni i noce wrzały.
Gdy wtém nagle — cud rzadki! — jakby wymiótł gości,
Dziaduś udał potrzebę spocznienia starości,
I przez wielką estymę dla staruszka chęci,
Nikt do niego od dawnéj nie zajrzał pamięci.
Głuchość więc, jakby w skutku morowéj zagłady,
Jakby wszystkie *ad patres* już poszły sąsiady.
Dziaduś zbierał grosiwo, i samotnie siedział,

Coś on niby zamyślał — lecz co — nikt nie wiedział;
Ta oszczędność jednakże nie skąpca, nie sknery,
Zdawała się Stachowi nie być bez kozery.
Jak ów dąb, co na zimę w głąb swe ściąga soki,
By większém z wiosną życiem wystrzelić w obłoki,
Tak i dziaduś przed czemsiś wielkiém wypoczywa,
Aż wreście wyszła prawda, jak na wierzch oliwa.
Z dziéwką się Chorążego zacny młodzian żeni;
Prawa krew, dobre *mores*, i grosik w kieszeni.
Najlepszą wioskę z działu wziął on bez ochyby,
Bo to mąka i łąka, i ryby i grzyby;
Nie jest i bez sperandy, bo ma księdza w rodzie;
Sam stryj tysiąc czerwieńców zapisał mu w grodzie: *)
Wreście prawnik nielada, i chwat na pałasze,
A więc nie da nikomu sobie dmuchać w kaszę.

Lecz ona — ona zwłaszcza — poczciwa Ewunia,
Drugie serce wyjęte z pod serca Dziadunia;
Nie mógłby czuléj kochać swéj własnéj dzieciny,
Córa blizkiéj krewniaczki, córa Chorążyny,
Bogdanki jego serca w czasach jéj panieństwa,
Któréj musiał się wyrzec — musiał z posłuszeństwa
Świętym prawom kościoła. Próżno na gwałt dzwonił,
Do Rzymu nawet stukał, Rzym ślubów zabronił.
Kamieńby się był wzruszył nad jego rozpaczą;
Matki tylko takiemi łzami dzieci płaczą,
Jak on po swéj bogdance. Dni i noce szlochał,
Bo raz ją pokochawszy, *in eternum* kochał.
Nie wiedział co ma począć z téj tak ciężkiéj rany,
Chciał umrzeć kawalerem, chciał pójść na pogany,
Chciał zostać Bernardynem. Próżno Chorążyna
Prosi, błaga, przekłada, na niebo zaklina,
Radzi co dzień odmawiać *Pod Twoję obronę*,
A zwolna mu Sędziankę podsuwa na żonę;
Skoczył Dziaduś, jak gdyby sparzony ukropem,
I całym skarg, wyrzutów oblał ją potopem;
Lecz czegoż dobry anioł swym słodkim wyrazem
Nie zgoi, nie złagodzi, z nami płacząc razem;
Ożenił się Dziadunio! lecz choć się ożenił,
Ani z myśli jéj wydarł, ani serca zmienił;
Żył on, jak Bóg przykazał z Sędzianką uczciwie,
Nie raz nawet myślała, że ją kochał tkliwie;

*) Dukatów zapisał w sądzie grodzkim.

Szanował ją jak żonę, krew zacnéj rodziny,
Ale zwłaszcza jak wybór i dar Chorążyny.

Zmarła mu, zmarła wkrótce, i łzami ją chował,
Nie wiedząc, że mu sroższy piorun los gotował;
Zgasła po niéj i druga! — właśnie kończył żniwa,
Gdy go z czarną pieczęcią doszła wieść straszliwa;
Trzykroć omdlał, a choć się na chwilę pokrzepił,
Na trzy dni zaniemówił, nie spał, nie jadł, nie pił,
Błąkał się i rozpaczał, i morze łez wylał,
Przecież zwolna, stopniowo, Bogiem się zasilał.
Chcąc pozgonném jéj nawet szczęściem być szczęśliwy,
Krocie mszy pozamawiał i cztery wotywy;
Całą noc przed pogrzebem przy jéj klęczał marach,
Dzwonić kazał po wszystkich klasztorach i farach,
Śpiewając litanie, lub psalm Dawidowy,
Po dwakroć za jéj duszę szedł do Częstochowy;
Modlił się, darzył nędzę, i jak martwym głazem,
Leżał krzyżem przed świętym Maryi obrazem;
Zawiesił na nim wotum, serce złotolite,
Z cierniem w koło i siedmiu mieczami przebite;
I tak długo jéj płakał, i wzdychał boleśnie,
Aż mu się jednéj nocy objawiła we śnie;
Jasność ją otaczała, a choć twardo śpiący,
Słyszał, jakby na jawie, głos jéj dziękujący.
Odtąd dopiero czoło rozjaśnił ponure,
Wszelki affekt dla matki na jéj przeniósł córę,
I ztąd teraz nietylko chce jéj błogosławić,
Ale takie jéj nawet wesele wyprawić,
By je *fama* po świecie rozniosła daleka,
I jedynie ptasiego na niém brakło mleka.

Rada więc, walna rada wśród Dziadka komnaty,
Woła Podstarościego, przyzywa Agaty;
Wchodzi zwinna gosposia, raczéj jak wiatr wleci,
Hoża, tłusta, fertyczna, i na kształt Waszeci;
Najlepsze ona w świecie wymyśla przekąski,
Nikt, jak ona, nie tuczy, ni świnki, ni gąski,
Po całéj okolicy z swych gomółek głośna,
Ależ za to mruk ciągły i zrzęda nieznośna;
Lata, łaje i gdyra po każdéj ustroni.
Jak domowy grzechotnik, pękiem kluczów dzwoni,

Miła przecież Dziadkowi, bo sprawna i skrzętna,
A nad wszystko o jego czeladce pamiętna;
Leczy mu chorych po wsi, nie cierpi sromoty,
Jak gdyby oka w głowie, strzeże dziewcząt cnoty;
Stacha nawet, gdy do niéj koperczaki zwróci,
Wypchnie za drzwi i jeszcze za drzwiami wymłóci.
Z nią więc pierwsza rozmowa, z nią najwyższa rada,
Co jeszcze ma w śpiżarni, co kupić wypada;
Przyrzeka nową szatę, lecz za dar łaskawy,
Najbardziéj jéj poleca śmietankę do kawy,
Mnóstwo przysmak, konfektów, placki niezakalne,
A zwłaszcza owe baby, baby kapitalne,
Które pewno ksiądz Kustosz aż dotąd pamięta,
Bo odjeść ich się nie mógł w wielkanocne święta.

Miał jeszcze mówić Dziaduś i polecić wiele,
Ta już trzepie i trzepie, i jak wiatrak miele;
Szczęściem, że Podstarości przerwał jéj gadanie,
Wchodzi w ręku z batogiem, kurtą na żupanie.
Pas z klamrą, wąs sumiasty, już siwy w połowie,
I czerep na golonéj bielący się głowie.
Sześćdziesiąta już wieku przyciska go zima,
Lecz służył w rajtaryi, i prosto się trzyma;
Ztąd to przy gęstéj minie i wojackiéj dumie,
I słuchać i wypełniać i rozkazać umie.
Z każdém słowem się kornie do nóg pańskich chyli,
A choć wciąż się w rachunkach i omłotach myli,
Wiecznie się po sąsiedztwie chwali i wysławia
I choć pustki w stodole, w polu brogi stawia.
Drwi z książki, drwi z niemczyzny, na nowość się jeży,
A jak w duszne zbawienie, tak w kalendarz wierzy;
Nabożny, zna kantyczki, wie, co wąż i Ewa,
Suszy piątki, na summach z organistą śpiewa;
A gdy ksiądz na spowiedzi burę mu wypali,
Słychać w całym kościele, jak łbem w ziemię wali.
Ma on swoje słabości, znają je we dworze,
Zapachom przepalanki oprzeć się nie może,
Lubi zwłaszcza jarmarczki, — lecz któż bez przywary,
A Dziaduś na grzech cudzy patrzy się przez szpary;
Teraz nawet, gdy nie źle podciętym się stawia,
Z łagodnością mu swoje rozkazy objawia,
Jak ma wszystko urządzić, jak wino sprowadzić,
Z Stachem ściągnąć w gąsiorki, o stajniach zaradzić,
Rozmieścić wszystkich podług godności, starszeństwa,

Młodzianków po stodołach, po chatach małżeństwa;
Dwóch księży u Proboszcza, a co zjedzie potém,
Niech na słomie i sianie wyśpi się pokotem:
Wszystko zwłaszcza od serca dawać bez odwłoki,
Wszystkim jadła po uszy, i wszystkim obroki,
Aby gwoli polskiemu działo się przyjęciu,
I dobrze było panu, słudze i bydlęciu.

Skończył Dziaduś, wstał z krzesła znużony rozmową,
Kiedy nagle przypomniał starą Regentową;
Nie chce on jéj zapraszać na ten szlub Ewuni,
Blizka wprawdzie sąsiadka i krewna Babuni,
Lecz za to jakiś *quanquam*, baba samiec, jędza,
Nie dość, że w rok potrzykroć swą czeladź rozpędza,
Jeszcze w wiecznéj z Proboszczem i dworami zwadzie,
Wciąż się wdziera w granice, a wciąż pozwy kładzie;
Jak od dżumy tak od niéj palestra ucieka;
I ztąd sama po sądach, trybunałach szczeka;
Quondam ona, jak nie raz Stach nam o tém gwarzył,
Szalała za Chorążym, choć o niéj nie marzył;
I ztąd od pierwszéj jego zaślubin godziny,
Nie mogła i nie mogła cierpieć Chorążyny;
Gryzła ją do żywego, i przez wszystkie środki,
Jakieś dziwne domysły, podejrzenia, plotki,
Chciała na śmierć pokłócić jéj małżonka z Dziadkiem,
Ale że Bóg najlepszym niewinności świadkiem,
A Chorąży nie głupi, aby jędzy wierzył,
Kłamstwo! krzyknął, i trzykroć pięścią w stół uderzył;
Ksiądz zaś Proboszcz weredyk wpadłszy na złośnicę,
Porządną kapitułę wytarł Magnifice.
Wiecznie przecież na okół nowe bajdy siała,
Wszystkie w świecie amory na palcach wiedziała,
Kłóciła, kojarzyła wiejskie, miejskie stadła;
Niegdyś nawet samemu Dziadkowi dojadła:
Bo chociaż z grubą jeszcze po żonie żałobą,
Chciała żenić z wszystkiemi, a nakoniec z sobą.

Dumał właśnie, i marzył owe dawne czasy,
Kiedy nagle przed dworcem jakiś zgiełk, hałasy;
Zachodzi wóz potężny, trąbią jak na łowy,
I z pokłonem mu wnoszą list od Regentowy,
Zdumiał się, otwarł, czyta, a to istne dziwy!
Czy jéj djabeł podszepnął? czy też cud prawdziwy?

Nikomu o tem słowa ani pisnął wprzody,
A przecież przewąchnęła te weselne gody;
Zręcznie o nich, o sobie w liście napomyka,
I przesyła wraz z sarną ogromnego dzika.
Poci się, chodzi Dziaduś i pociera czoła,
Gdy nagle, „słuchaj Stachu!“ tak na sługę woła:
„Wiesz, że pan twoj jest Piotrem, a Pawłem Chorąży,
„I jutro tam na stypę cały powiat dąży;
„Jeszczem nigdy bez niego Pawła nie zakończył,
„Sam Bóg nas w kalendarzu w jednym dniu połączył,
„Trzeba więc kornie z świętym godzić się nakazem,
„Uściskać się, i wspólne zdrowie wypić razem;
„A że przytém i nasze zbliża się wesele,
„Muszą się więc naradzić starzy przyjaciele,
„Jak wszystko do Ewuni gustu przysposobić,
„Zwłaszcza rozstrzydz ten *casus*, co z tą babą zrobić!“
I nazajutrz, gdy ledwie błyśnie brzask na niebie,
Już Dziaduś ze mszy świętej pospiesza do siebie;
Już i Jasiek dzielnemi pędząc kasztankami,
Rusza z starą karocą i stawa przed drzwiami.
    Nieco mniejszy od dworca gmach ów znamienity,
Zewnątrz niegdyś szkarłatny, a wewnątrz wybity
Felpą żółto-gorącą, z mnóstwem taśm, kutasów,
Wznosi się w staréj pysze Batorowych czasów;
Gęsto się w gwóźdź mosiężny brzegi pudła stroją,
Groźne gryffy na straży drzwiczek z kordem stoją,
A na tryumf tej wzniosłéj i dziwnéj struktury,
Sześć sfinxów wyzłacanych świeci się u góry.
Raz tylko w rok nim jadą w gwałtownéj potrzebie,
Tak go Jasiek przeklina za konie i siebie,
Ogłuchł prawie od jego turkotu i stuku,
Bo gdy bębni po moście, lub huczy po bruku,
Jakby na szturm tatarski, lub grzmiącą nawałę,
Zrywają się wśród nocy ze snu miasta całe.
Stach się kręci i spiesznie gotuje do drogi,
Stawia kufer pod kozłem, puzderko pod nogi;
Od przypadku oś nową wiąże obok drąga,
I stęka pod tłómokiem i powrozem ściąga,
Szasta się, zwija, lata — śmieją się przytomni,
Bo zawsze coś zostawi i czegoś zapomni;
A tymczasem Dziadunio wciąż szepce Agacie,
Chce by wszystko w sypialnéj przemienić komnacie;
Młode tam bowiem państwo umieścić zamierza,
A siebie z swemi graty przenieść do alkierza.
Jak to? krzyknie Agata, i dodaje z cicha,

A wszakże tam w noc każdą coś jęczy i wzdycha;
Bajdy! Dziaduś odpowie — czy straszy, czy kusi,
Zakupię mszę duchowi, i cicho być musi.
To rzekłszy, zjadł kiełbaskę i wódeczki popił,
Dotknął wody święconéj, i czoło pokropił,
Ożegnał wszystkie kąty, gumna i podworze,
I zażywszy tabaczki, ruszył w imie Boże.

ŚWIĄTYNIA SYBILLI[1])

przez

J. P. WORONICZA.

(Pieśń pierwsza zawierająca opis obrazowy.)

O ty! sławna wyrocznio hesperyjskich krajów,
I wielowładna ksieni poświęconych gajów,
Ty! co niegdy zbłąkanym rozproszeńcom Troi
Ukazawszy przylądek warownéj ostoi,
Później twoich tajemnic szanownemi składy
Przewodziłaś do sławy ród ich światowłady;
A teraz opuściwszy Kumejską jaskinię
W nadbrzeżu nadwiślańskiém znajdujesz Świątynię:
Pozwól, i twe siedlisko nowe uczcić pieniem,
I pamięć zgaszonego narodu z imieniem.
    Już dwadzieścia set razy świat przeradza siwy,
Nieznane za twych czasów narody i dziwy,
Jak twe imię i głośne przed laty wyroki
Uśpił w nieocuconych kartach sen głęboki:
Kiedy się nagle jedna z Nimf Sarmackich grona
Nieścigłym sławy lotem nad wieki wzniesiona,
Jednakim zawsze blaskiem jaśniejąca zorza,
Bądź rankiem świat odmładza, bądź zapada w morza,
Twórczym głosem wskrzeszając z klozów niepamięci [2])
Na tym brzegu sadowi, i kościołom święci.
Jestto dzieło i miejsce was obydwu godne,
Drogiemi dla serc czułych widokami płodne,

---

*) Swiątynia Sybilli, gmach okazały w ogrodzie Puławskim, na wzór starożytnéj we Włoszech nad Teweroną Tyburtyńskiéj Sybilli, dźwigniony przez Księżnę Izabellę Czartoryską na skład narodowych pamiątek, wznosi się po nad lachą (odnogą) Wisły, od stoku góry w gęstwinie drzew. Nosi napis: Przeszłość Przyszłości.

**) Kloza (kluza), jama, turma, więzienie.

Słodki przybytek cnoty, światła, odetchnienia,
Zdrój pociechy, i czarnych trosków zapomnienia.
Gdzie cudzoziemiec dziwu zachwytem przejęty,
Znajdując wszystkich krajów rozkoszne ponęty,
Chociażby był z Ulissa rodu, lub Eakiem,
Pragnie zostać zaszczepnym téj ziemi rodakiem.
Gdzie droższego nad życie wychowu nakładem,
I starożytnych wzorów obecnym przykładem,
Ukształcone wracając do swych matek dziatki,
Roznoszą ulubione imie wspólnéj matki.
A gdzie tylu cnót razem gniazdo i schronienie,
Możeż tam się nie wdzięczyć całe przyrodzenie?
To nadbrzeże, zatoków nadwiślańskich czoło,
Pasmem gór i pagórków uwieńczone wkoło,
Gdzie natura zasiadłszy z wszystkich wdzięków zbiorem,
Ożenia swe powaby ze sztuki wytworem;
A Wisła niosąc życie zamorcom zgłodniałym,
Zarzuciwszy wędzidło nurtom niewstrzymałym,
Igra z rozkosznym brzegiem strzępem swym śrebrzystym,
Malując piękność jego na łonie przejrzystém;
I całą tę posadę, wśród widoków mnóstwa
Zdaje się na mieszkanie przeznaczać dla Bóstwa.
Te zawrotne manowce, ścieszki i uchyłki,
Śmiejące się z niewinnéj przechodnia pomyłki,
Te niedostępne skwarom słonecznym chłodniki,
Różnowzorym kobiercem usłane trawniki;
Te klomby, w tysiąc piąter uwieńczywszy skronie,
Gasnące na omdlałém swych wawrzynów łonie;
Te ręką przyrodzenia usklepione groty,
Obraz twoich, Kalipso! ponęt i pieszczoty,
Przybrane w sławne łupy morskich dziworodów,
Słodkiém ziejące tchnieniem upragnionych chłodów:
Podle nich u podnóżka panującéj skały
Żywy strumień przetapia czyste swe kryształy,
I znowu przymuszony nieznanem gościńcem
Piąć się w górę, i igrać na powietrzu młyńcem,
Gniewny za gwałt przyrodnym prawom swym zadany
Ciska w same obłoki niezbłagane piany.
Te ulice szykownym wieńcem umajone,
Tysiącami widoków nieograniczone:
Te gmachów okazałych rozległe przestwory,
Koryntu i Dorydy dochowane wzory,*)

*) Jest to dom Gotycki, odpowiadający Sybilli, poświęcony wszystkich wieków i krajów pamiątkom.

W nich starożytne bogactw i gustu pamiątki,
Od pożogi Scytyjskiéj oszczędzone szczątki;
Te błyszczące ustronia kunsztem różnych krajów,
Podziwne Azyanom wzory ich zwyczajów;
Wszędzie z gustem, z powagą połączone wdzięki,
Drogie ślady uczonéj i zamożnéj ręki:
Łatwym wnioskiem dowodzą, czém te kraje były,
Które takich mieszkańców w łonie swém rodziły.
A to wszystko świątyni swéj kreśląc przedmurze,
Znajomy tylko saméj sztuce i naturze
Labirynt zgromadzonych piękności wskazuje,
I po nim obłąkaniem słodkiém myśl zajmuje.
Kogóż najprzód nie zwabi ten Portyk na wzgórzu,[1])
Który to rozkosznemu panuje podwórzu!
Sto kolumn go Hetruskich wdzięcznéın zdobi kołem,
Tysiąc nieznanych roślin wonném wita czołem.
Twój tu dwór i mieszkanie, wieczna wiosny córo,
Szerokowładna berłem kwiatorodném Floro!
Tu całe twe królestwo z czterech końców świata
Oddycha wpośród lodów słodkiém tchnieniem lata;
A czy to od Gangesu, czy z piasków Afryka,
Czy z wyspów niedostępnych, czy z brzegów Meksyka,
Osiadłe na tym gruncie zbiegłe twe narody,
Łączą z prawem krajowców ojczyste swobody.
Któż was nieoswojonym językiem wymieni?
Kto ród wasz wyprowadzi i piękność oceni?
Różnych ziem, różnych zorzów krasne wychowanki,
Dziś przerodném zamężciem kwitnące słowianki!
Ty czołem i ozdobą jesteś tego grona,
Królowéj Albionu imieniem uczczona,
I darów jéj gościnnych pamiątko szacowna,
Od starych Garamantów Strzelico wędrowna:[2])
Dotąd radośne siostry w zadumieniu stoją,
Zajęte i pięknością i pielgrzymką twoją.
I ciebie kto nie uczci w tém rozkoszném gronie,
Na skalistém przylądka wychowany łonie,
Strojny w białą niewinność i najczystsze złoto,
Kaktusie! Hotentotek nadmorskich pieszczoto,
Twym połogiem Lucyna sama się zajmuje, [3])
Sama twoich narodzin godzinę zgaduje;

1) Portyk, przysionek na kilkunastu kolumnach wsparty, jest wnijściem do ogrodu Puławskiego.

2) Strzelica (Strelizia Reginae), kwiat piękny, pochodzący z Afryki, gdzie niegdyś, na południe od Getulii, naród Garamantów miał swoje siedlisko.

3) Lucyna, Diana.

Zbiegłe Nimfy, widzenia ciebie żądzą zieją,
Zefirki lekkiém skrzydłem powionąć nie śmieją;
Ty się rodzisz — powietrze twym balsamem dysze,
Podziwem i radością całe tchnie zacisze. —
Lecz cóż! w trzechset minutach wiek się twój zawiera,
Wzrasta — kwitnie — panuje — dziwi — i umiera!
Już cię niema! ponura plasła w ręce żałość:
O piękności! i czemuż działem twym nietrwałość! —
I ty się od niéj twemi nie odkupisz skarby,
Ni rąbkiem złotolitym tkanym w różne farby,
Hidrango! strojna córo tęczy i Tytana,[1])
Ile w świetle promieni, w tyle szat przybrana!
Za szmaragd twéj zawójki, za ten rubin lica,
Któraż ci nie odstąpi swych pereł dziewica?
Najuprzejmiéj nas witasz jako twoich braci
Nadobna Azalio z wdzięków i postaci![2])
Długo po dzikich wyspach i morzach burzliwych
Szukana od żeglarzów twéj piękności chciwych,
Nim uczony nasz Sawacz światu się objawił, [3])
I w rzędzie starożytnych Sarmatek postawił. —
Ale gdzież się zapędzam nietkniętemi ślady
Przebiegać tylu krajów rozkwitłe osady,
Was śniadawe Wejmuthy; białe Anemony,
Ogorzałe Panamy i Rododendrony,
Dzikich wysp i przylądków mieszkańcy nieznani,
Zgromadzeni pod słodkie berło jednéj Pani?
I was, słońca i rosy córy rozpieszczone,
Nektarem nakarmiane, balsamem pojone,
Tyle stopniów pokrewieństw liczące po świecie,
Ile kwiat podobieństwa znajdzie w drugim kwiecie;
Wszystkie tu pokolenia wasze, wszystkie domy,
Rozkoszą i podziwem pojął zmysł łakomy,
Aż do ciebie drobniutki mój niezapominku,
Czułym sercom nad skarby droższy upominku!
Nie wysłowią ni imion waszych, ni urody,
Kwiecistego Harlemu zazdrosne ogrody:[4])
I ty stałbyś jak wryty, wśród piękności tylu,
Niezrównany ogrodów śpiewaku Delillu!
Odrywając niechętną myśl z tego przedmurza,
Jakaż nowych widoków przestrzeń się wynurza!
Wkoło włości kwitnące, ozdoba téj ziemi,
Żywe świadki opieki ojcowskiéj nad niemi,

1) Hidranga, Hydrangea Hortensis, róża Japońska, znana pod nazwiskiem Hortensyi.
2) Azalia, Wejmuty, Anemony, kwiaty.
3) Sawacz, niegdyś dozórca ogrodu Puławskiego.
4) Harlem, miasto w Holandyi.

Pływające po niwach rozbujanych plonem,
A Ceres im panuje sierpem zakrzywionem.
Daléj smugi i błonia nieprzejrzane okiem,
Igrające z trzodami nad bieżącym stokiem;
Wszystko się wesołością i szczęściem odzywa,
Mądrym rządem zakwita, wzrasta i dojrzewa.
Na mile téj przestrzeni legła drogą nowa,
Niezrównana gościńców publicznych królowa,
Gdzie wędrowiec tysiącem stajów oddalony
W piękności tych okolic gubi wzrok olśniony.
Swym ją cieniem usklepia ten tu gaj pamiętny,
Rozkosznego Elizu ustronek poświętny,
Odgrodzony Letejskich strumieni obwodem
Przed pełznącym po ziemi skazitelnym rodem.
My tu wasze spocznienie zmysłom niepojęte
Kreślimy jako dzieci, o! wy duchy święte!
Coście nam tę Ojczyznę ranami kupili,
I pierwszą na niéj skibę znojem uprawili!
I wy! po całym świecie braterstwem spojeni
Wyższym lotem nad gminną sferę uniesieni,
Którzy się uwieczniwszy prac uczonych sławą,
Rozum i serce ludzkie przetarli uprawą.
Niegodni widzieć waszą istność nieśmiertelną
W tychtu ogrodach ręką święcim skazitelną
Zwłokom waszym, i w sercach i granitach ryte,
Te Mauzole szacunkiem wdzięczności okryte.
Laurom, Mirtom, Cyprysom w smutną straż oddane,
Roztarganym warkoczem od nich opłakane.
A teraz was żegnając, zwróćmy w owe gaje,
Którym sama natura wzrost i szyk nadaje.
Te pysząc się posagiem matki wielowładnéj,
Nienałożne niewoli i przemocy żadnéj,
Same sobie stanowią prawa i granice.
Skrzydlatego narodu wierne sojusznice,
Z nim jednym swéj wolności drogie zyski dzielą,
Wspólną żyją swobodą, wspólnie się weselą.
Kołysane miłostek różnogwarem pieniem
Kryją swych sprzymierzeńców przed zabójcy cieniem.
Ta topola nad niemi wiek panuje drugi
Starszeństwem i urodą, i prawem zasługi;
Nie zachwiana powodzią wiślanych zalewów,
Starożytna prababa tych roślin i krzewów,
Wśród licznego prawnucząt gałęzistych grona,
Odmłodniałym w siwiznie czepcem umajona,
Już siódme pokolenie téj ręki pamięta.

Od którój za włościankę była tu przyjęta,
I ten wiąz sążnistemi rosochami dumny,
Niepożyty szturmami, kark potrząsa szumny,
Że z synami Eola wygrał walki mnogie,
I nie jednéj potargał zimy pęta srogie,
Liścia jego obsiadły snów przelotnych roje,
Usypiając podróżnych kłopoty i znoje,
Wy! pasmem snujące się chrósty i krzewiny,
Ozdobo tych parowów, wieńce téj niziny,
Wieleżbyście nam mogły powiedzieć przypadków,
Gdzie umówione schadzki, niecierpliwe świadków,
Wam jednym powierzały serca tajemnice,
Które długo taiły sobie skromne lice?
A te dęby szelestem powiewnym odzowne,
Młodniejące starością, siwym mchem szanowne,
Zastąpią starożytną Dodony dąbrowę,
Gdzie cię czciły, Sybillo! wnuki Chaonowe,[1])
Sadził je własną ręką dla swojego syna
Nestor nasz, późne plemie rodu Giedymina,[2])
Który się kilka wieków laurami zielenił,
A ojczyste i obce trony krwią zaplenił,
Nestor! który i wziętość i sławę dziedzicząc,
A wiek dobrodziejstwami, nie latami licząc,
Pierwszy z ludzi zasłużył być stale kochanym,
A po zgonie powszechną żałobą płakanym.
Ile strumieni z Wisłą do Bałtyku płynie,
Ile z Dnieprem i z Dniestrem tonie ich w Euxynie,
Tyle nam z włości jego szerokich spływało,
I chlebem nieprzerodnym ludzi nakarmiało.
A gdzie świątynie pańskie ozdobą jaśniały,
Gdzie rządu i zapasu wił się wątek stały,
Gdzie gmachy najwspanialsze, najżyzniejsze niwy,
Gdzie rólnik w gronie dziatek oddychał szczęśliwy;
Znak to był jego włości, rządu i opieki,
Którą łzami podawać będą późne wieki.
To właśnie miejsce cieniom jego poświęcone,
Gdzie wdzięczne dziatki wnucząt gronem otoczone,
Drogi rys twarzy ojca uwieczniając głazem,
Przysięgły: duszy jego żywym być obrazem!
A ta brzoza pamiątek tych wierna strażnica,
Nieutulona straty takiéj płaczelnica,

1) Chaonowie, przodkowie Rzymian z pokolenia Trojańskiego od Chaona, syna Pryama.

2) Familia książąt Czartoryskich pochodzić ma z rodu Giedymina, a to od Korygiełły, brata Jagiełły, obadwaj byli synami Olgierda, a wnukami Giedymina.

Zasłoniwszy na zawsze twarz niegdy nadobną,
Rozpuszczonych kędziorów powłoką żałobną,
Przy każdym ponowionych tych ślubów obrzędzie
Następném pokoleniom przypominać będzie:
„Oto twarz tego ojca, którego płaczecie!
„Nie prędko taki człowiek zjawi się na świecie!“
Ten wysep nas pocieszy, zabaw mistrz uczony,[1])
Wiszącym mostu łukiem z lądem spokrewniony,
Obraz śmiejącego się w swej kolebce świata,
Przytułek wdzięcznéj wiosny i skwarnego lata,
Który tu Arkadyjską krainę zasadził,
I pierwszéj niewinności powaby zgromadził.
Ty odbierasz tu dotąd czysty hołd w ofierze
Pieśniotwórcza niebianko! drogi bogów darze!
Jakim cię w pierwszych wiekach wdzięczni czcili ludzie,
Kiedyś najprzód w pastuszej zamieszkała budzie.
Ty tu białą niewinność tlejącą rumieńcem
Umaiwszy nad stokiem wawrzynowym wieńcem,
Uczysz przelewać serce czuciem przepełnione
W odpowiednie fujarki, i fletnie uczone,
Te drżącą tknięte ręką, na twoje natchnienie,
Odradzają ocknione ze snu przyrodzenie.
Na ich głos i te gaje weselej się śmieją,
I strugi żywszym ruchem czysty kryształ leją,
I trzody raźniej skaczą po kwiecistém błoniu,
I srogość swą łagodzi dziki zwierz w ustroniu.
A te wędrowne branki z Alpów i Żuławów,[2])
Dumne wychowanice Rhetów i Batawów.
Znajdując wszystkie wdzięki swej ojczystej ziemi,
Darzą nowe siedziny skopcami pełnemi.
Na ich czele zalotnik rozkoszny i bitny,
Wiodąc z trzody Admeta ród swój starożytny,
Pyszny rzadką urodą i miłośnic likiem,
Srogie walki i miłość zapowiada rykiem.
Tu zebrana z okolic pastuszków drużyna
Pierwsze szczęście staremu światu przypomina:
Że imię szczęśliwego ten niegdy posiadał,
Kto nie światem, lecz sobą samym mądrze władał,
Kto ojcem, przyjacielem umiał być prawdziwym,
I najwięcej łez gorzkich otarł nieszczęśliwym.
Kto trzodą i snopkami swe bogactwa liczył,
Cnotliwej Amarylli rękę odziedziczył,

1) Kępa we wsi przyległéj Włostowicach, ulubione miejsce księżnéj Czartoryskiéj.

2) Żuławy, niziny żyzne. Holendrzy (Batawy) i Szwajcarzy (Rhetowie) sławni hodowaniem bydła.

I z nią żadną przygodą niezmącone chwile
Na zgody i pokoju łonie przeżył mile.
Kto na swym losie przestał, cudzego nie żądał,
I wnuki wnuków swoich w starości oglądał,
A do grobu swych ojców najpóźniéj wezwany
Szedł spokojnie, choć rzewnie od wszystkich płakany.
Tym się pieśniom przyległe góry ozywają,
I wiślane Syreny na ich głos zbiegają.
Cóż dopiero, gdy sama pani téj osady
Ożywi swém obliczem te nowe Arkady?
Wszystko tu jéj przybycie pożądane czuje,
Jéj widokiem zakwita, wdzięczny i raduje,
Rzucają leśne Nimfy mchem usłane stropy,
Dogania je Satyrów poczet koziostopy,
Na ich czele król biesiad, Sylen niewyspany,
Przedrzyźnia na fujarze Faunów skoczne tany;
Trzy chichotek nadobnych z umajoném czołem
Poprzedzając swą panią, wdzięczném pląsa kołem:
A ona nowe dziwy, kędy tylko stanie,
Czarodziejném spojrzeniem tworzy niespodzianie:
Każde drzewo coś mówi, uczy, przypomina
Ojca, matkę, sąsiada, przyjaciela, syna;
Każdego czeka wieniec czułą wity ręką,
Wszystko dysze szacunkiem, wdzięcznością, podzięką.
Zebrana zewsząd kmiotków dobroczynna rzesza
Wykrzykując swą dolę, zbawców jéj pociesza,
Szczęśliwy! kogo uczy téj wyspy ustronie
Na niewinném natury słodko spocząć łonie;
A zamiast zwodniczego czczych omamień blasku,
Szczęście ludzi mieć w zysku, a wdzięczność w poklasku.[1])
Twoim, o! luba wyspo, pragnie być sąsiadem
I ten gmach okazały kunsztem i nakładem,
Sarmackiéj Oktawii zacisze, Marynek,[2])
Macierzystego serca drogi upominek,
Wdziękami swojéj pani w smutku rozjaśniony,
A wielkością jéj duszy nad Olimp wzniesiony.
Tu się nauczcie! serca czułe i szlachetne!
Że i dary Fortuny, i imiona świetne
Mogą być w pewnym składzie dla człeka ciężarem;
Jeźli go niebo wyższym nie wzbogaci darem,
Aby deptał spokojnie po wichrów otchłani
Nie godną siebie zmienność — jak Marynków Pani.

1) Na kępie, obok krzyża Maryi, odbywała się corocznie uroczystość rozdawania nagród zalecconéj pracowitością i cnotami drużynie obojéj płci gromadki Puławskiéj.
2) Marynki, piękna przyległość Puław.

Daléj pasmem zaległy nieprzeżyte góry,
Płód olbrzymi pierwszego połogu natury,
Wiecznością przywalonych wieków potomkowie,
I dziejów zapomnianych obecni świadkowie,
Oni na to własnemi oczyma patrzali,
Co nam starzy z powieści niepewnych podali;
Jakie najprzód narody zasiadły tę ziemię,
I jakich późniéj ludów wyroiły plemię;
Jak te znowu napływem zmięszane wędrowców
Napłodziły w jednymże kraju różnomowców,
Którędy Wandalowie Wisłę przebywali,
Kiedy się z Genserykiem zburzyć Rzym zbierali.
Wreszcie jak tu zasiadłszy stare Sauromaty
Podzielili swym wnukom te żyzne powiaty.
Tych plemie przyswoiwszy sławę za rzemiosło
Wzięte imie Słowaków szeroko rozniosło;
A od nich rozrojone Słowiańskie narody
Rozsiała na pół świata swe państwa i grody,
Wy góry! nam to wszystko powiedzieć możecie,
Które tym brzegom równo z światem panujecie.
Naszych proszków niestanie; wasz tron niezachwiany
Konającego świata widzieć będzie zmiany!
U podnóżka tych Tatrów, w owych wiekach dawnych
Uplótł tę Parę-chatek, dziś po świecie sławnych,[1])
Jeden pielgrzym z pustyni Thebaid wędrowny;[2])
Którego tu następca i uczeń szanowny.
W owym domku wiszącym przy wyniosłéj skale,
Na miotające światem pozierając fale,
Probierz wszystkich marności, w zaciszu spoczywa
I w duchu ukorzonym Niebu się odzywa:
„Nie ma prawego szczęścia na ziemi dla człeka!
„Bo człek wyższy jestestwem od świata i wieka,
„Morze uciech wypiwszy jeszcze głodnym będzie,
„Póki z Tobą, o Twórco! na tronie nie siędzie.“
Ztamtąd szeroką Wisłę przerzynając okiem,
Jakim znowu ta góra chlubi się widokiem?
Nie znany na jéj grzbiecie zawieszony domek,
Z postaci zda się Rzymu starego ułomek,
Wskrzeszający pamiętną Pompila budowę,[3])
Gdzie stara Westa siwą podpierała głowę.
Więc i ty tu osiadłaś, matko Saturnowa!

1) Parchatka, za Włostowicami, para chatek u stóp góry.
2) Thebaid, Thebais albo Sajda, wielka pustynia rozciągająca się od Fium nad Nilem aż do morza Czerwonego, sławna pokutniczém tulactwem wielu Pustelników.
3) Świątynia Westy.

Niezagubnego państwa wiejskiego królowa!
U nóg twoich z poddaństwem trzódy się układły,
Mleczarki i pasterki wkoło się zasiadły;
A ty tego siedliska rozważając wdzięki
Sypiesz nań wszystkie skarby dobroczynnéj ręki:
I choć twoje w narodach obrzędy ustały,
W nieprzerodnych twych darach świat cię wielbi cały.
Możnaż na was nie westchnąć z tego to ustronia
Sąsiedniego Gołębia nieprzejrzane błonia, [1])
Ojców naszych pamiętne sławy bojowisko,
A prawnuczych pokoleń żałosne igrzysko!
Tu właśnie młódź rycerska przed kilkoma laty,
Wśród zabłyśnionéj losów łaskawszych rozświaty,
Słodkim głosem Ojczyzny z letargu ockniona
Na plac mężnych popisów lecąc z matek łona,
Rdzawe kordy i hełmy przodków przywdziewała,
I rozdmuchnionym ogniem sławy ich gorzała.
Szczęśliwa matka! która w swoim jedynaku
Ożyłego pradziada zoczyła w szyszaku!
Na ich czele znajoma i z ducha i czynów
Wskrzesicielka Spartanek, dwóch przywiodłszy synów,
Strojąc ich drżącą ręką w Korygiełła zbroje,
Tak żegnała młodzieńców: „Idźcie dzieci moje!
„Już moje macierzyństwo nad wami umiera,
„Skoro was za swych synów ojczyzna przybiera.
„Sława wasza w jéj sławie, — wasz zgon w jéj utracie.
„Że mnie życie i wychów; od niéj wszystko macie. —
„Czekam was, lub zwycięzkim laurem uwieńczonych,
„Lub na tarczy przez bracią waszą przyniesionych.“
I także, o! Lakonów naszych rodzie święty,
Zniknąć miały nadzieje twoje i zachęty?
Na toż i na was patrzym Gołębskie płaszczyzny,
Byście nas rozrzewniały wspominkiem ojczyzny!..
Daruj święta wyrocznio! że smutne wspomnienie
Poświęcone siedlisku twemu kończy pienie!
I nieszczęście jest sławą, kto je uczuć umie,
Mądrze znieść, ni zgubionym być siebie rozumie.
Równie cię w Kapitolu wielbił Rzym zwycięzki,
Bądź tryumfy, bądź liczył pod Kannami klęski.
Więc i te niech ci będą miłe okolice,
Składające téj nowéj siedziby granice,

---

1) Gołąb pamiętny jest w dziejach krajowych, naprzód, walną bitwą Szwedów z Czarnieckim (r. 1656); następnie, za rządów Michała Króla, uchwalonym na zjeździe Szlachty (r. 1672) związkiem za Królem przeciwko Prymasowi i Sobieskiemu; nakoniec r. 1791 obozem nowo zaciężnego wojska, w obec którego poświecone rozdano sztandary.

Gdzie jednaż ręka, tylu pięknych dzieł twórczyni,
Połącza je z pożytkiem w cieniach twéj świątyni.
Dla niéj te wyniesione zabłysnęły mury,
Spławne z brzegów Thyreńskich głazy i marmury,
I te bronzy, i śpiże w Lipparze szmelcone,
I te rzeźby Praxytla dłótem uwiecznione,
I ta cała starego Tyburu posada,
O któréj starożytna wieść tyle powiada,
Przeniesiona z twym domem dziełem twórczéj ręki
Przywdzieje u Sarmatów odmłodniałe wdzięki;
By ten gmach dziejomowny, zbiór gustu i sztuki,
Był wiecznym dla przychodnia Liceum nauki,
Jakie wewnątrz świętości kryją twe tajniki,
Jakich uwieczniasz imion i dzieł pamiętniki.

II. Dział Liryczno-Epiczny.

1) Ballady, Romance i Dumy.

ŚWITEŹ.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiéj stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru,
Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.
Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.
Niepewny, czyli szklanna z pod twéj stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nóg twoich ugina;
Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.
Tak w noc, pogodna jeźli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi . . .

Lecz żeby w nocy jechać do jeziora.
Trzeba być najśmielszym z ludzi.
Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drżę cały, kiedy bają o tém starce,
I strach wspominać przed nocą.
Naraz śród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbroi chrzęsty.
Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałośne modły.
Co to ma znaczyć? różni różnie plotą:
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?
Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.
Kazał przybory w blizkiém robić mieście,
I wielkie sypał wydatki:
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czółna i statki.
Ja ostrzegałem: że w tak wielkiém dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
Dano więc na mszą w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.
Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.
Topi się, pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nic złowią ni oka.
Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy:
Powiemże jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.
Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,

Włos biały skąpany w wodzie.
Do brzegu dąży. A gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:
„Młodzieńcy, wiecie że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści:
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.
„I ty zuchwały, i twoja gromada,
Wrazbyście poszli w głębinie;
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie;
„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli:
Bóg wam przez moje opowiada usta,
Dzieje téj cudnéj topieli.
„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło.
Gdzie car i trzcina zarasta,
„Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.
„Świteź, i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona
Kwitnęła przez długie lata.
„Nie ćmił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskroś okolice
Widać ztąd było Nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.
„Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężném wojskiem Car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.
„Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
„Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
„Spiesz, zwołaj twe towarzysze."
„Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny:
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.
„Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec:
Lecz Tuhan stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

I mówi do mnie: jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiész, że Świteź nie ma innych szańców,
Prócz naszych piersi i mieczy.
„Jeźli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeźli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?"
„Ojcze, odpowiem, lękasz się niewcześnie,
Idź kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie,
Widziałam jego Anioła.
„Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi półry,
I rzekł mi: póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy.
„Usłuchał Tuhan, i za wojskiem goni;
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!
„Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegną na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci:
„Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż, za nami Ruś wali:
Ach! zgińmy lepiéj, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.
„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu
Miecą bogactwa na stosy,
Przenoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznemi głosy:
„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!"
Broniłam, lecz próżny opor:
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topor.
„Gotowa zbrodnia... Czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy?...
Panie! zawołam, nad Pany,
„Jeźli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie,
Niechaj nas lepiéj Twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!...

„Wtém, jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną;
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy...
Już ziemi nie ma pode mną!...
„Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi.
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.
„Białawém kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.
„Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jéj barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.
„Doświadczył tego Car i Ruska zgraja.
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie:
„Kto tylko ściągnął do głębiny ramie,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.
Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa Cary."
To mówiąc pani zwolna się oddala,
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.
Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła, i falą nakryła się znowu,
I więcéj nie słychać o niéj.

ŚWITEZIANKA.[1])

BALLADA A. MICKIEWICZA.

Jakiżto chłopiec piękny i młody?
Jakoto obok dziewica?
Brzegami sinéj Świtezi wody
Idąc przy świetle księżyca.

1) Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się Ondiny czyli Nimfy wodne, które gmin nazywa świteziankami.

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jéj kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest téj dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka? . . .

Każdą noc prawie, o jednéj porze,
Pod tym się widzą modrzewiem.
Młody jest strzelcem w tutejszym borze;
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.

Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie,
Gdzie uszła? nikt jéj nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.

„Powiedz mi piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice?
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

„Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora:
Zawsze mam czekać twojego przyjścia
Na dzikich brzegach jeziora?

„Zawsześ po kniejach jak sarna płocha,
Jak upiór błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba, ze mną!

„Chateczka moja ztąd nie daleka
Pośrodku gęstéj leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka.
Jest tam dostatkiem zwierzyny."

„Stój! stój! odpowie, hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.

„Więcéj się waszéj obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały;
Możebym prośby przyjęła twoje:
Ale czy będziesz mnie stały?"

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym księżyca blasku . . .
Lecz czy dochowa przysięgi?

„Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!"

To mówiąc, dziewka więcéj nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie.
I pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka:
Rączym wybiegom nie sprostał;
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzązka.
Cisza wokoło, tylko pod nogą,
Zwiędła szeleszcze gałązka.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnemi strzela oczyma:
W tem wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Po nad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jéj twarz, jak róży bladéj zawoje,
Skropione jutrzenki łezką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
— Zanuci czule dziewica —
Po co wokoło Świtezi wody
Błądzisz przy świetle księżyca?

„Po co żałujesz dzikiéj wietrznicy
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy,
I morze jeszcze się śmieje?

„Daj się namówić czułym wyrazem:
Porzuć wzdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie, tu będziem razem
Po wodnym pląsać krysztale.

„Czy zechcesz, niby jaskółka chybka
Oblicze tylko wód muskać,
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać,

„A na noc w łożu srebrnéj topieli,
Pod namiotami zwierciadeł,
Na miękkiéj wodnych lilijek bieli,
Śród boskich usnąć widziadeł."

Wtem z zasłon błysną piersi łabędzie...
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie,
I „Do mie, woła, pójdź do mnie."

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec... i staje w biegu..
I chciałby skoczyć i nie chce;
Wtém modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka mu stopy załechce.

I tak go łechce, i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliwa.

Zapomniał strzelec o swéj dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
Niesie go wodne przestworze;
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniém igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swéj ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni,
I skoczne okręgi toczy:
Wtem, wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku...
Poznaje strzelec dziewczynę zbliska...
Ach, to dziewczyna z pod lasku!

„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!

„Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną:
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

„A dusza przy tém świadomém drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;

Wiecznie piekielne cierpiąc żarzewie
Nie ma czém zgasić gorąca"

Słyszy to strzelec, błędny krok niesie.
Błędnemi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni;
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni:
Jestto z młodzieńcem dziewica.

Ona po śrebrném pląsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Któż jest młodzieniec? strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiem.

POWROT TATY.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

„Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek:
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.
„Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze."
Słysząc to dziatki, biegną wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem,
I zaczynają paciórek.
Całują ziemię, potém w Imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójco
Teraz i czasu wszelkiego.
Potém: Ojcze nasz, i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki:
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki:
I litanią do Naświętszej Matki,
Starszy brat śpiewa, a z bratem
„Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!"
Wtém słychać turkot. Wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
„Tato, ach tato nasz jedzie!"
Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha, jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?
„Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rodzynki w koszyku . . ."
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.
„Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu."
Idzie.... Aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.
Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.
Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:
„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodéj małżonki wdową."
Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie; a drugi
„Pieniędzy" krzyczy, i buławą sięga;
Ów z mieczem wpada na sługi.
Wtém: „Stójcie, stójcie!" krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie, rzekł, daléj bez trwogi."
Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.
„Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to co się stało,
A jak się stało, opowiem.
„Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,

Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.
„Dzisiaj nadchodzę; patrzę; między chrósty
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham; z początku porwał mię śmiech pusty,
A potém litość i trwoga.
„Słucham; ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki:
Ach! ja mam żonę, i u mojéj żony,
Jest synek taki maleńki.
„Kupcze, jedź w miasto; ja do lasu muszę.
Wy dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moję duszę
Zmówcie téż czasem paciórek.“

PANI TWARDOWSKA.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwo karczmy nie rozwalą:
Cha cha, chi chi, chejża, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza:
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok i gdańskiéj wódki,
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtém, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno. — Co u licha
Po coś tu kumie zawitał?

Djablik to był w wódce na dnie;
Istny potwór, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznogcie.

„A, Twardowski... witam bracie!“
To mówiąc bieży obcesem:
„Cóż to, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Mefistofelesem.

„Wszak ze mną na Łysej-Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf na byczéj skórze
Podpisałeś ty, i bisy.

„Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

„Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy:
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

„Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa...
Kładę areszt na waszeci.“

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum;
Djabeł za kontusz ułapił,
„A gdzie jest nobile verbum?“

Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową...
Twardowski na koncept wpada,
I zadaje trudność nową.

Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,

„Będę miał prawo, trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy,
Musisz spełnić co do joty,

„Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie:
Ja chcę mu skoczyć na siodło.
A koń niech z kopyta utnie.

„Skręć mi przytém biczyk z piasku,
Żebym miał czém konia chłostać;
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

„Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha
Pobita nasieniem z maku.

„Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bratnale.“

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi;
Potém bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Probuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż gmach już gotów.

„No! wygrałeś panie bisie;
Lecz druga rzecz nie skończona.
Trzeba skąpać się w téj misie —
A to jest woda święcona.“

Djabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potém jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie:
„Teraz już eś w naszéj mocy,
Najgorętszą m odbył łaźnię.“

„Jeszcze jedno, będzie kwita,
— Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj oto jest kobiéta,
Moja żoneczka, Twardowska.

„Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem zostanie.

„Przysiąż jéj miłość, szacunek,
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.“

Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki:
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już klizko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha tak czmycha

LILIE.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

(Z pieśni gminnej.

Zbrodnia to niesłychana:
Pani zabija pana.
Zabiwszy, grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju,
Grób lilią zasiewa,
Zasiewając tak śpiewa:
„Rośnij kwiecie wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Tak ty rośnij wysoko.“
Potém cała skrwawiona
Męża zbójczyni żona,
Bieży przez łąki, przez knieje,
I górą i dołem i górą.
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro;
Wrona gdzie‘niegdzie kracze,
I puhają puhacze.
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.
„Kto tam?“ Spadła zapora,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani nakształt upiora
Z krzykiem do chatki leci.
„Ha! ha! zsiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta;
„Ha! mąż, ha! trup!“
—„Niewiasto, Pan Bóg z tobą!
Co ciebie tutaj niesie,
Wieczorną słotną dobą,
Co robisz sama w lesie?“
—„Tu za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska,
Ja młoda śród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojéj głowie!
Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.
„Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze: wyznałam szczerze,
Ty głoś świętemi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moję zbrodnię
Wieczysta noc powlekła.“
„Niewiasto, — rzecze stary, —
Więc ci nie żal rozboju,
Ale tylko strach kary?
Idźże sobie w pokoju,
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy Boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może;
A mąż twój stracił życie.“
Pani, z wyroku rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą:
„Mamo — wołają — Mamo!
A gdzie został nasz tato?“
„Nieboszczyk? co? wasz tato?“
— Nie wie co mówić na to —
„Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem“
Czekają wieczór dzieci,
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały,
Nareszcie zapomniały.
Pani zapomnieć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.

Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na źrenicy!
Bo często w nocnéj porze,
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy:
„Dzieci, woła, to ja to,
To ja dzieci, wasz tato!“
Noc przeszła, zasnąć trudno;
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu!
„Idź Hanko przez dziedziniec;
Słyszę tentent na moście,
I kurzy się gościniec:
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?“
— „Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki,
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!“ —
— „A witajże! czy zdrowa?
Witajże nam bratowa!
Gdzie brat?“ — „Nieboszczyk brat,
Już pożegnał ten świat.“
—„Kiedy?“—„Dawno, rok minął,
Umarł.... na wojnie zginął.“
—„To kłamstwo, bądź spokojna,
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy,
Ujrzysz go na twe oczy.“
Pani ze strachu zbladła,
Zemdlała i upadła;
Oczy przewraca w słup,
Z trwogą do koła rzuca.
„Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?“
Powoli się ocuca;
Mdlała niby z radości
I pytała u gości:
„Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
Kiedy przedemną stanie?“
— „Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pośpieszyć,
Nas przyjąć z rycerzami,
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro, pewnie będzie,
Pewnie kędyś w obłędzie
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki,
Poszlemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro, pewnie będzie.“
Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi;
Gdy nic nie doczekali
Z płaczem chcą jechać daléj.
Zachodzi drogę pani:
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużéj,
Czekajcie trochę jeszcze.“
Czekają. Przeszła zima,
Brata nie ma i nie ma.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.
I wiosnę już przeczekali,
I już nie jadą daléj.
Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda;
Że chcą jechać udają.
A tymczasem czekają,
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.
Do smaku im gospoda,
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niéj gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łechce,
Obadwaj zdjęci trwogą,
Żyć bez niéj żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.
Wreszcie, na jedno zdani,
Idą razem do pani.

— „Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo,
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.
Ty jeszcze jesteś młoda,
Młodości twojéj szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata:
Wybierz brata za brata."
To rzekli i stanęli.
Gniew ich i zazdrość piecze,
Ten to ów okiem strzeli,
Ten to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.
Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie.
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu.
Bieży w dół do strumyka
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.
Całą mu rzecz wykłada,
Pyta się, co za rada?"
„Ach jak pogodzić braci?
Chcą mojéj ręki oba;
Ten i ten się podoba:
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki,
I wioski i dostatki;
Dostatek się zmitręża,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zamęźcie!
Boża nademną kara,
Ściga mnie nocna mara,
Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy;
Budzę się: widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa,
Ach widzę, słyszę, trupa!
Skrzyp, skrzyp i już nad łożem
Skrwawionym sięga nożem,
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mnie i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zamęźcie!"
„Córko — rzecze jéj stary, —
Nie masz zbrodni bez kary;
Lecz jeźli szczera skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę:
Choć mąż zginął od roku
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze."
—„Co, co? jak, jak? mój ojcze!
Nie czas już, ach nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!
Ach znam, żem warta kary,
I zniosę wszelkie kary.
Byle się pozbyć mary,
Zrzekę się mego zbioru,
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj mój ojcze!
Nie czas już, ach nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!"
Starzec westchnął głęboko,
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłonie:
„Idź za mąż póki pora,
Nie lękaj się upiora.
Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama."
— „Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?"...
— „Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie,
I wianek sobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać czyj jaki,

I pójdzie w kościół Boży,
I na ołtarzu złoży:
Czyj pierwszy weźmiesz wianek;
Ten mąż twój, ten kochanek."
Pani, z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swéj układa,
Nigdy w żadnéj potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Bieży przez łąki przez gaje,
I bieży i staje,
I staje i myśli i słucha:
Zda się że ją ktoś goni,
I że coś szepce do niéj,
W koło ciemność głucha:
„To ja twój mąż, twój mąż!"
I staje i myśli i słucha;
Słucha, zrywa się, bieży,
Włos się na głowie jeży,
Wtył obejrzeć się lęka,
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
„To ja twój mąż, twój mąż!"
Lecz zbliża się niedziela,
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi
Wybiegają dwaj młodzi.
Pani, śród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi śród kościoła
I bierze pierwszy wianek,
Obnosi go do koła:
„Oto w wieńcu lilie
Ach czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?"
Wybiega starszy brat,
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie
„Tyś moja, mój to kwiat!
Między lilii kręgi,
Uplotłem wstążek zwój:
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!"
„Kłamstwo! — drugi zawoła —
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okażę grób i zdrój:
To mój, to mój, to mój!"
Kłócą się źli młodzieńce,
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli z pochew miecza,
Wszczyna się srogi bój,
Szarpią do siebie wieńce:
„To mój, to mój, to mój!"
Wtém, drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świéce zgasły,
Wchodzi osoba w bieli:
Znany chód, znana zbroja...
Staje, — wszyscy zadrżeli,
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem:
„Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie:
Mnie księże stułą wiąż;
Zła żono, biada tobie!
To ja, twój mąż, twój mąż!
Źli bracia! biada obu!
Z mego rwaliście grobu,
Zawieście krwawy bój.
To ja, twój mąż, wasz brat,
Wy moi, wieniec mój,
Daléj na tamten świat!"
Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb,
Sklep treszczy, głąb zapada,
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wierzchu kryje,
Na niéj rosną lilie,
A rosną tak wysoko
Jak pan leżał głęboko.

UCIECZKA.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

On wojuje — rok upłynął,
On nie wraca — może zginął.
Panno szkoda młodych lat:
Od książęcia jedzie swat.
Książę uctuje we dworze
A panna płacze w komorze.
Jéj źrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice;
Jéj lica, pełnia księżyca,
Dziś nikną jak księżyc w nowiu:
Biada wdziękom, biada zdrowiu.
Matka troszczy się i biedzi,
Książę dał na zapowiedzi.
Swadźba jedzie szumnie, tłumnie.
„Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mnie do cmentarza,
A pościelą chyba w trumnie!
Ja umrę gdy on nie żyje,
Ciebie matko żal zabije!“
Ksiądz w konfesyonale siedzi,
Czas o córko do spowiedzi.
Przyszła kuma, widma stara:
Wypędź księdza, wypędź klechę!
Bóg i wiara — sen i mara!
Kuma w biedzie ma pociechę:
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele,
A ty masz kochanka dary...
Przyszłam zrobić możne czary!
Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewéj ręki krwi usącz;
A na węża będziem kląć,
W dwie obrączki będziem dąć:
Musi przyjść i ciebie wziąć.
Panna grzeszy — jeździec śpieszy;
Klęto ducha — klątwy słucha;
Już odemknął zimny gmach:
Panno, panno czy nie strach?
Ucichł, usnął dzwon zamkowy;
Panna czuwa. Na zegarze
Bije północ: milczą straże
Panna słyszy — dźwięk podkowy;
Brytan, jakby głosu nie miał,
Zawył z cicha i oniemiał.
Skrzypnęły dolne podwoje,
Stąpa ktoś w przysionkach długich,
I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich.
Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada przy pościeli.
Słodko prędko czas ucieka.
Wtém koń zarżał, jękła sowa,
Zegar wybił: „Bywaj zdrowa,
Koń mój zarżał, koń mój czeka;
Albo wstawaj, na koń siądź
I na wieki moją bądź.“
Miesiąc świeci; jeździec leci
Po zaroślach i po krzach:
Panno, panno, czy nie strach?
Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem. Głucho w lesie;
Tu i owdzie wystraszona
W suchéj jodle kracze wrona,
Po łozach wilcze świéce
Migają się jako źrenice,
„W cwał mój koniu, koniu w cwał!
Miesiąc na dół schodzi z chmur,
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór;
Za godzinę pieje kur.
„Gdzie mnie wieziesz!“ — „Gdzie? Do domu!
Dom mój na górze Mendoga;
W dzień otwarta wszystkim droga,
W nocy jeździm pokryjomu.“
— „Czy masz zamek?“ — „Tak jest, zamek,
I zamczysty choć bez klamek...“
— „Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiędze na łęku.“

— „Moja luba siodła imaj,
Prawą ręką... co masz w ręku?
Czy to worek do roboty?"
— „Nie, to jest Ołtarzyk złoty...
„Nie czas wstrzymać! Pogoń bieży,
Słyszysz pogoń? tętnią błonia;
Tuż przed koniem przepaść leży;
Rzucaj książkę, puszczam konia!..."

Koń jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.
Lecą bagnem przez manowiec,
Pusto w koło. Błędny ognik
Tuż przed nimi, jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje; gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.
— „Mój kochanku, co za droga!
Tu nie znać śladu człowieka..."
— „Dobra droga, kiedy trwoga;
Krzywo jedzie kto ucieka!
Śladów nie masz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości:
Bogatego wiozą cugi,
Ubogiego niosą sługi.
„W cwał mój koniu, koniu w cwał!
Błysła zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon:
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzék i parę gór;
Za godzinę drugi kur:"
„Mój kochanku! wstrzymaj wodze!
Koń się lęka, bokiem sadzi,
Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi."
— „Moja luba, jakie sznurki
Jakie wiszą tam kieszonki?..."
— „Mój kochanku to paciórki,
To szkaplerze i koronki..."
— „Sznur przeklęty! sznur z niecnacka
Rumakowi m ga w oczy!
Patrz jak zadrżał, bokiem skoczy...
Moja luba, rzuć te cacka!“
Koń jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.
— „Co to za cmętarz? mój miły?“
„To mur co mych zamków strzeże.“
— „A te krzyże, te mogiły?“
— „To nie krzyże, to są wieże...
Mur przeskoczym, przejdziem progi
Tu na wieki koniec drogi.
„Stój mój koniu, koniu stój!
Przebyłeś, nim zapiał kur,
Tyle rzek i skał i gór:
A tuś zadrżał koniu mój?
Wiem ja koniu, czego drżysz:
Mnie i tobie boli krzyż.“
— „Czegoś stanął, mój kochanku?
Zimna rosa mię spłókała,
Zimno wieje wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drżę cała...
— „Moja luba, przytul skronie,
Na twych piersiach głowę złożę:
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może...
„Jaki masz tam ćwiek ze stali?“
— „To krzyżyk, co matka dała.“
— „Ten krzyżyk ostry jak strzała,
Twarz mi rani, skronie pali!
Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!“
Krzyż na ziemię padł i zniknął...
Jeździec pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął;
Rumak ludzkim śmiechem ryknął;
Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury.
Nim ksiądz przyszedł na mszą ranną,
Zniknął koń z jeźdźcem i panną.
Na cmentarzu cisza była.
Stoją krzyże, głazy leżą;
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.
Ksiądz nad grobem długo stał,
I mszą za dwie dusze miał.

TRZECH BUDRYSÓW.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
 Na dzidziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie rumaki, i narządźcie kulbaki,
 A wyostrzcie i groty i miecze.

„Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
 Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
 A Ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

„Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
 Niech Litewskie prowadzą was Bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
 Trzéj jesteście, i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
 Po nad Ilmem, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony.
 I u kupców tam dzięgi jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi w Księdza Kiejstuta cugi,
 Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku,
 I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgiełłem niech trzeci po za Niemen przeleci,
 Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
 I mnie stamtąd przywiezie synowę.

„Bo nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki kochanki,
 Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
 Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki,

„Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
 Laszkę sobie przywiozłem za żonę:
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
 Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.“

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
 Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma,
 Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystéj zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
 A pod burką wielkiego coś chowa.
 „Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?“
 „Nie mój ojcze, to Laszka synowa!“

Po śnieżystéj zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
 A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?“
 „Nie, mój ojcze, to Laszka synowa.“
Po śnieżystéj zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
 Burka pełna, zdobyczy tam wiele:
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
 Prosić gości na trzecie wesele.

TUKAJ,

albo

Próby Przyjaźni.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

(Część III. jest pióra Anton. Ed. Odyńca.)

I.

„Ja umieram. — Ja nie płaczę
I wy chciejcie ulżyć sobie;
Prędzéj, późniéj, legniem w grobie,
Nie wrócą na świat rozpacze.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem,
Zamki me stały otworem;
Dla przyjaciół i dla gości:
O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imie,
Wielkie nic! Wielkość, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku'
Gdy za mądrości widziadłem
Goniąc, zbiegam kraje cudze;
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnice nauk posiadłem:
O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imie,
Wielkie nic! Rozum, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku?
Strzegłem ustaw świętéj wiary
W ducha i serca prostocie;
Hojnie nagradzałem cnocie,
Kościołom niosłem ofiary:
O pobożności! człowieku![1])
Święta wiaro, święte imie,
Święte nic! Cnoto, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Twórco! jakże igrasz srodze!
Kiedy mi dasz wiek niedługi,
Cóż że mi dasz wierne sługi:
Czémże za wierność nagrodzę?
Dasz kochankę kochankowi:
Śmierć truje ślubów słodycze.
I tylu przyjaciół liczę!
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi.“

 Tak na domowników ręku
Tukaj, pośród skarg i jęku,
Pożegnawszy świat na wieki,
Gasnące zamknął powieki.
Wtém grom łamie szczyty dachu,
Zadrżały zamkowe ściany,
Jakowyś starzec nieznany,
Wlatuje na środek gmachu.
Siwy włos okrył mu skronie,

1) Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie w następnych balladach.

Twarz marszczkami rozorana,
Broda długa za kolana,
Na kosturze wsparte dłonie.
„Tukaju!“ porwał z pościeli,
I wraz za sobą iść każe;
Już wierzchne sale minęli,
Minęli wały i straże.
Idą, ciemno, deszczyk kropi:
A śrebrzysta twarz miesiąca,
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębinie,
Hnilicy ciemnéj ostępy,
Kołdyczewa[1]) nurty sine.
Gdzie puszcza zarosła wkoło,
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło
Wynosi góra Żarnowa,
Tam szli. Starzec kląkł na grobie,
Rozwarł usta, okiem błysnął,
Podniósł w górę ręce obie,
Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
„Tukaju, patrz, oto ścieżka!
Za ścieżką chatka na bagnie,
W chatce mędrzec Polel mieszka:
Mędrzec mędrca wspomódz pragnie
Znana twa nauka, cnota;
Znam, że Bóg, węzły lubemi
Przywiązawszy cię do ziemi,
Długiego nie da żywota.
Ale rzucaj przestrach płonny,
Mych sposobów uznaj dzielność;
Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
Lata, wieki, nieśmiertelność.
Ja pierwszy, ziemskiemu oku,
Śmiem do niéj pokazać drogę;
Lecz podług ustaw wyroku,
Dwom tylko pokazać mogę.
Wybierz drugiego człowieka,
Człowieka doznanéj wiary,
Któremubyś w każdéj próbie,

1) Nazwisko jeziora.

Tak zaufał, jak sam sobie,
Trafisz, — nieśmiertelność czeka;
Chybisz, — śmierci wieczne kary.“
„Starcze! twe zjawienia wieszcze
Ciemna zasłona powleka.
Powiedz.“. . . „Powiadam ci jeszcze;
Wybierz drugiego człowieka.
Radź się twéj głowy i serca;
Idzie o ciało i duszę!
Wierny, albo przeniewierca,
Nieśmiertelność, lub katusze! . . .
Czy mógłbyś zwierzyć się słudze?“
Tukaj nic nie odpowiada;
Bo któż zgadnie myśli cudze?
Bo zbyt częsta w sługach zdrada.
„Może kochance, lub żonie?“
„Tak“ . . . wtem uciął, patrzy smutnie;
„Tak“ rzecze, i znowu utnie.
Myśli, sam się z sobą biedzi,
„Tak jest, kochance... tak, żonie!“
I wierzy, i strach nań pada,
I wątpi, i wstydem płonie;
Myśli, sam się z sobą biedzi;
Umyślił, już w odpowiedzi,
Już. . . i nic nie odpowiada.
„Umrzéj więc! ty śmiałeś żądać?
Daj pokój żądaniom dzikim?
Ty niemasz ufności w nikim,
Wartoż dłużéj świat oglądać?“
— „On myśli. — Nikogoż z wiela?
Sługi, żony, przyjaciela? —
On myśli... Tu, w mgnieniu oka,
Czerni się niebios sklepienie,
Słychać grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gorą,
Niknie w płomieniach opoka,
I doliny i jezioro.
Śród gromów, świstu i szczęku,
Czy to zły duch, czy moc Boża,
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników ręku.

Głos tylko zagrzmiał z daleka:
„Nie masz drugiego człowieka,
Któremubyś w każdéj próbie
Tak zaufał, jak sam sobie.“

II.

„Ja mam, ja mam przyjaciela!“
Konający Tukaj woła.
Wraz uchodzi bladość z czoła,
Iskrą zdrowia oko strzela;
Tukaj wydarty mogile,
Wstaje, dziwią się doktory;
Wstaje, chodzi o swéj sile,
Jakby nigdy nie był chory.
A wtém, na poduszce z boku,
Ujrzy z wołéj skóry karty,
Gdzie tajemnice wyroku
Przeklęte spisały czarty.
Tukaj z ciekawością chwyta,
Siada, podparł się, i czyta:
„Kiedy miesiąc na młodziku,
Idź za górę do gaiku,
Znajdziesz kamień z pod kamienia,
Białego urwij korzenia.
Kiedy będziesz blizki śmierci,
Każ ciało posiec na ćwierci,
W wodzie zgotować korzonki,
Pocięte namaścić członki:
Znowu się duch z ciałem zrośnie,
W młodocianéj wstaniesz wiośnie,
I możesz, skutkiem tych leków,
Umierać, wstawać, wiek wieków.“
Daléj tam były przestrogi:
Jak siekać głowę, jak nogi,
W jakiéj wodzie smażyć trunek,
Po jakiéj brać zioła szczypcie,
Ale na końcu, w post-skrypcie,
Taki dodano warunek:
„Jeśli użyty ktoś drugi
Do namaszczalnéj posługi,
Zwiedzion przez nasze fortele;
Innemu pokaże ziele,
Lub w oznaczonéj godzinie,
Twego ciała nie namaści:
Wtenczas skutek zioła zginie,
Wtenczas piekło czeka waści.
Jeśli na to się ośmielisz,
Dla znaku że zaszła zgoda
Nasz poseł Mefistofelisz,
Do wymiany traktat poda.
Ostrzegliśmy o fortelach,
Strzeż się; potém próżny skwerės.
Dan w Erebie, w szabas rano,
Własną ręką podpisano,
Tak ma stać się: Lucyferes.
A za zgodność: Hadramelach.“
Tukaj trochę się zagniewał,
Warunku się nie spodziewał,
Brodę na ręku podpiera,
Potarł czoło, skrzywił nosa,
Na kontrakt spojrzał z ukosa:
Tabaczki dwa razy zażył,
To na ziemię spuszcza oczy,
To po stołowaniu toczy.
Wziął pargamin, w ręku zważył;
Znowu nań zezem poziera,
Znowu czytał i odczytał,
Znowu zważył, znowu zmierzył,
Kułakiem o stół uderzył,
Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,
Ręce nad czoło zakłada,
Skoczył raptem i w zapędzie,
Machnął ręką: „Niech tak będzie!“
Znowu umilkł, znowu wstaje,
Znowu chodzi, znowu siada;
Niech go za to nikt nie łaje,
Bo z djabłami rzecz nie lada.
Myśli: albo wieczne życie,
Albo wiecznie djabłu dusza.
Nic nie mówi, myśli skrycie,
Tylko trochę wargą rusza.
Nadszedł już czas odpowiedzi.
Tukaj oddala się z tłumu,
I do pracowni rozumu

Zamknąwszy się, jeden siedzi,
I tam swój taktat raz jeszcze,
Nim stempel przyjęcia zyska,
W surowéj uwagi kleszcze
Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tygle;
Tam jedną myśl niedościgle
Różnicy nożykiem sieka;
Sieka, topi, nakształt wosku,
Aż wycisnął extrakt wniosku.
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł po długim namyśle:
„Jakieżkolwiek to fortele,
O których słyszałem z góry,
Czy ich nie wiele, czy wiele,
Trojakiéj będą natury.
Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo, krótszemi słowy,
Będzie Syllogizm takowy:
Trojaka do zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
Więc kto w tym trojakim względzie,
Twardéj nie ulegnie próbie,
Takiemu już można będzie
Ufać, jak samemu sobie."

Tukaj, kontent z wynalazku,
Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu;
Ale idzie bez pośpiechu.
Już ciemno, pisać nie wcześnie.
W atramencie jakieś pleśnie,
Dwie świece musiał zapalać,
I dwa kałamarze nalać.
Coś mu zabolało w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włosek,
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznogciu.
Po długim względzie, rozględzie,
Wreszcie pisze: *niech tak będzie.*
Chciał dołożyć i nazwisko;
Lecz nim pierwsze *T* napisał,
Myślał pół godziny blisko,
Głową i piórem kołysał,
I nic więcéj nie napisał;
Tylko do pierwszéj litery,
Dodał małe kropki . . . cztery.

Gdy już napisano widzi,
Jeszcze patrzy, jeszcze bada,
Niechaj z tego nikt nie szydzi,
Bo z djabłami rzecz nie lada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
Gdy głoska *B*, w słowie *będzie*,
Zaczęła brzęczeć i szumieć,
I wzdymać wszystkie krawędzie.
Kręci się, beczy, podrasta
Jak na drożdżach kawał ciasta;
Dolna litery połowa.
Wykurcza się w brzuch i żebra,
U zwierzchniéj wypukła głowa,
Nakształt ogromnego cebra.
Szyjka jak u osy wąska,
Nosik orła, bródka kozła,
A z jednéj go strony końska,
Z drugiéj kurza łapka wiozła;
Pogląda okiem wołowém,
Skrzydła nakształt młyńskich wioseł. . .
Był to djabeł, jednem słowem,
Był to Mefistofel poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
Czy żegnać, czy prosić siedzieć,
Kiedy przyskoczył zuchwalec,
Porwał za maleńki palec,
Zasadził nożyk pod skórką,
I umoczył we krwi piórko;
Piórko wścibił, ścisnął w ręku,
Ręką wodzi pomaleńku
Gdy już *U*, *K*, *A*, *J*, minął.
Zrobiło się całkiem *TUKAJ*,
Djabeł świsnął, czmychnął, zginął.
Terazże z nim ładu szukaj!

III.

Tukaj przeżył lat czterdzieście,
Zdrowia, złota nie żałował,
Hulał, szalał, lecz nareszcie
Już się znudził i zmordował.
Kochanki się postarzały,
Młode młodszych obierały;
Mógł odmłodnieć — po cóż zwlekać?
Z przyjaciół — miał ich nie mało,
Trzech się tylko pozostało,
Którymby się dał posiekać,
Ma się rozumieć, po próbie.
Rzekł więc naprzód najstarszemu:
„Przyjacielu! ufam tobie.
Nie pytaj, na co i czemu,
Lecz weź ten słój, pójdź do zdroju,
I cokolwiek będzie w słoju,
Proszę, byś do wody wrzucił."
Przyrzekł, poszedł, nie powrócił;
Tukaj się mocno zasmucił.
Szczęściem, że przyjaciel drugi
Stanął gotów do posługi;
Wrócił, lecz dziwem przejęty:
„Tukaju, to dyamenty!
Co za kaprys lub powody
Taki skarb rzucać do wody?" —
— „Będziemy dość mieli oba,
Weźmiesz ile się podoba. —"
—„Mniejsza o to! powiedz raczéj,
Co to, na co, co się znaczy?
Nikomu nie wspomnę o tém."
— „Jeszcze nie czas, potém, potém.
Masz słój drugi, wrzuć do zdroju,
Ale nie patrz, co jest w słoju." —
Wziął słój, ale nic nie mówi,
Patrzy w oczy Tukajowi.
„Idź, idź, resztę czas wyświeci."
On odszedł milcząc ponuro,
Aliż ledwo znikł za górą,
Z za góry czarny kruk leci.
„Cóż Tukaju, wracam suchy,
Cha, cha, lecz nie trać otuchy.
Gdzie jest twój przyjaciel trzeci?"
Tutaj się uderzył w skronie,
Z rozpaczą załamał dłonie,
I wzrokiem tocząc po niebie
Klął ludzi, djabłów i siebie.
„Tukaju! co się to znaczy?
Wyjaw mi powód rozpaczy;
Jeśli osłodzić nie zdoła,
Przyjaźń twój smutek podzieli."—
—„Ha! przyjaźń! Tukaj zawoła,
Wszak wiesz, miałem przyjacieli,
Gdzież są po najpierwszéj próbie?
Lecz znana mi dusza twoja.
Mów, mogęż zaufać tobie?"
— „Doświadcz, to odpowiedź moja." —
Wziął słój, skarb do wody wrzucił,
Wziął drugi, kruk nie powrócił.
On wraca. Skoro go zoczył,
Tukaj na spotkanie skoczył,
Już są blisko, już wzajemnie
Wyciągają uścisk tkliwy. —
Tukaj szepnął coś tajemnie,
Skinął, i wtém, dziw nad dziwy,
Wilk, lew, tygrys, smok straszliwy,
Z dymem w puszczy, z ogniem w oka,
Na Tukaja wypadł z boku.
„Ratuj bracie!" Tukaj krzyknął
On zapomniał, że bezbronny,
Skoczył śmiało — zapęd płonny!
Zwierz jak wypadł tak i zniknął.
Głos tylko z śmiechem zmięszany
Zabrzmiał: „winszuję wygranéj.
Ale jeszcze, jeszcze próba." —
Ci się uścisnęli oba.
Tukaj już się nic nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył;
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi,
Lecz nadewszystko powtórzył;
Jak pocięte skleić członki,

Jakie zioła i korzonki
Rwać na nowiu lub pod pełnię,
Po ile brać szczypt i łótów.
To skończywszy był zupełnie
Do operacyi gotów,
Jednak żal mu się zrobiło.
Słońce pięknie zachodziło,
Księżyc wznosił się do wschodu;
Tukaj poszedł do ogrodu.
Kwiaty kwitły naokoło.
Wonny wietrzyk chłodził czoło,
Słowik śpiewał gdzieś wesoło,
Tukaj stanął ponad strugą,
Myślał, patrzał, długo, długo;
Wtém łzą błysnął wzrok ponury,
Oczy, ręce wzniósł do góry.
„Niebo, słońce, bądźcie zdrowe!"
Wtém przyjaciel ściął mu głowę.

KURCHANEK MARYLI.

ROMANCA A. MICKIEWICZA.

Cudzy człowiek.

Tam u Niemnowéj odnogi,
Tam u zielonéj rozłogi
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strojne murawą,
Głowę ukwieconą w kwiaty,
A na niéj czeremchy drzewo,
A od niéj idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie dziewczyno
Co to za piękny kurhanek?

Dziewczyna..

W całéj wsi pytaj się bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyje w téj chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawéj stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest drożyna jéj matki,
A ztąd przychodzi jéj drużka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stós łomu,
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo... idzie kochanek
Patrz, matka idzie z domu.
Patrz w lewo, przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli
I niosą ziółka
I płaczą.

Jaś.

Marylo! o téj porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,
Jeszcześmy się nie ścisnęli.
Marylo! zaszło zorze!
Tu czeka twój kochanek:
Czy ty przespałaś ranek,
Czy na mnie zagniewana,
Ach, Marylo kochana?
Gdzieśż się ty dotąd kryjesz?
Nie, nie przespałaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka:
Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurhanek,
Nie ujrzysz już kochanka!
Nie ujrzy cię kochanek!
Dawniéj kiedy spać szedłem, tém słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, obaczę Marylę,
I dawniéj spałem mile!
Teraz, tutaj spać będę od ludzi daleki,
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;

Znajcie zuchwali grom polskiéj stali!
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.

„Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!"
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

„Wiara, wesoło!" wpadli na czoło,
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna:
„Héj za mną dzieci!" kordem zaświeci,
„To moja córka jedyna!"

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pełnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie!

BALLADA, JAKICH WIELE.

J. N. J.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;
Młodzieniec nieznany,
I pyłem odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
„Mój dziadku! w tém siele
Któż ziemskie opuścił mieszkanie?"
„Smutne to są sprawy;
Jeżeliś ciekawy,
Posłuchaj, opowiem mój panie.

„Przed kilku latami
Żył we wsi téj z nami
Kmieć z kmiecia zamożny, poczciwy;

Ni soli, ni chleba,
Nie było tam trzeba,
Był czczony, kochany, szczęśliwy.

„I było ich troje:
On z żoną we dwoje,
A synek jedynak był trzeci;
Wesoły, rumiany,

Przystojnie odziany,
Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.

„Raz ojciec z wieczora
Powraca ze dwora,
I wzdycha i mówi do żony:
Mój Boże! mój Boże!
Jak też to przy dworze
Stan kmiotka maluczki, wzgardzony.

„Prostaczek w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem;
I nam Bóg dał dziecię,
Czemużby też przecie
I ono nie było człowiekiem.

„Przedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co się i z nim stanie;
Może się przy dworze
Umieści, a może ....
A może i — księdzem zostanie."

„Jak rzekli, zrobili,
Lecz grubo zbłądzili:
Bo szczęście i w kmiecym jest stanie;
Dobra jest nauka,
Ale kto jéj szuka
Nie z pychy — wszak prawda mój panie!

„Co rok więc na szkoły
Z ojcowskiéj stodoły
Szło zboże, z obory dobytek;
Syn wzrastał w rozumie,
Lecz za to i w dumie,
Na smutny rodzicom pożytek.

„I przeszło lat wiele,
A nikt go w tém siele
Nie widział w zagrodzie rodzica:
A z cicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Waszmości udaje szlachcica;

„Że w głowie ma państwo,
Nie święte kapłaństwo,
Że ojca wstydzi się w sukmanie;
A Bóg się tym brzydzi,
Kto ojca się wstydzi:
Nie prawda? — Cóż wam to, mój panie?

„Tym czasem oknami,
Jak mówią, i drzwiami,
Bieda się do nizkiéj pcha strzechy;
Ucieka dostatek,
Przyrasta zaś latek,
A znikąd pomocy, pociechy.

„Starcowi i niwa,
W młodości życzliwa,
Kąkole wydaje i głogi;
Więc nieraz w potrzebie
Na syna, na siebie
Zapłakał ów człowiek ubogi.

„Aż pracą znużony,
Aż troską strawiony,
Raz upadł przy pługu na łanie;
I zasnął na wieki,
A nikt mu powieki
Nie zamknął: płaczecie mój panie?

„O! powieść nie cała:
Wszak matka została,
A matka biedniejsza na świecie;
Biada jest każdemu
Człowieku samemu,
Lecz stokroć samotnéj kobiécie.

„Więc pismem kazała,
Ze łzami błagała:
Mój synu! rzuć świetne marzenie;
Uczcij mą siwiznę,
Weź ojców puściznę,
A znajdziesz spokojność i mienie.

„Ba — panie kochany!
Groch rzucaj na ściany:
Trza było z rodzinnéj wyjść ziemi,

I rękę przy drodze
Wyciągnąć niebodze
Gdzieś zdala pomiędzy obcemi.

„Aż dzisiaj ją rano
Nieżywą zdybano
W swéj lubéj zagrodzie przy ścianie;
Przez litość w téj chwili
Jéj my to dzwonili:
Co wam jest dla Boga mój panie?"

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany,
I krzyczał z oschłemi powieki:
„Jam jest ten zabójca
I matki i ojca
I szczęścia mojego — na wieki!

„Roiłem, marzyłem,
Czcze mary goniłem,
Wiatr rozwiał sny złote przedemną;
Dziś zdrowy, zbudzony
Przychodzę w te strony:
Miéj litość, miéj litość nademną.

„O! dzisiaj, w tém siele,
Ja chleb mój w popiele
Zwalany łzami memi obmyję;
I jeść go zasiędę,
I szemrać nie będę,
Lecz rzeknij: wstań, matka twa żyje!"

I upadł na ziemi.
I łzami krwawemi
Zalał się, w okropnym był stanie;
Dziad oczy skrył w dłonie,
A idąc na stronie
Rzekł z cicha: „nierychło mój panie!"

BAJAZZO.

BALLADA J. N. KAMIŃSKIEGO.

Rojno, tłumno, jak nabito,
Wszystko w targu wszystko w swarze;
Pieszo, wozem i karetą,
Pełno ludu na bazarze.

Huczą kramy, stajnie, domy,
Pogwar w każdym zakamarku;
Słowa niesie wiatr bez komy,
Sens zawiły na jarmarku.

Ten przedaje, ten nabywa,
Ten chce drogo, ten chce tanio;
Jakem poczciw! każdy śpiewa,
Wszyscy zacni, choć cyganią....

„Panowie i panie! najpiękniéj prosimy!
W téj budzie dość miejsca, w niéj wszystkich zmieścimy.
Dwa dytki nie wiele, rozważcie to przecie,
Już tańszéj zabawy nie znajdzie na świecie!"

Tak głosi Bajazzo siedzący na budzie,
I bębni i trąbi — już biegną i ludzie.
I wielki i mały dwa dytki już wtyka,
I w budzie prześliczna zagrzmiała muzyka.

Już małpa po linie wiezie małpę w wózku,
Już druga z bębenkiem tańczy po francuzku,
Już niedźwiedź uczony przewraca koziołka,
W publice śmiech wielki od kołka do kołka!

Już Hancwurszt wyskoczył z Maryjandlą do dzieła,
Już trzasł ją w policzek; harcop mu ucięła!
Już krzyku nie wstrzymać, już brawa bez miary,
Od śmiechu się kładzie i młody i stary!

Sam tylko Bajazzo, ta dusza publiki,
Coś dzisiaj nie swoim, nie dba na okrzyki.
„He, hola, Bajazzo!“ krzyknie majster z góry,
„Już śmiech się rozpasał, ty stoisz ponury?”

„Czyś chory, hultaju, czy gardło twe pości?
Rusz dowcip z kopyta, baw mi zaraz gości!” —
— „Héj, héjsa!” podskoczył i krzyknął Bajazzo,
„Nie prawdaż, żem wesół, że przydam się na co?”

Choć radość udawał, oko zaprzeczyło:
Jak zmarłe, strętwiałe, niewidząc patrzyło!
Daremnie na rozśmiech swe chęci wywierał!
Żart nie szedł mu z serca, na ustach umierał!

Zasłona zapadła — koniec widowisku;
Publika Bajazza wzywa po nazwisku.
Wychodzi i patrzy w swój kołpak spiczasty;
„Co powie!” ciekawe najbardziéj niewiasty.

Bo zawsze gdy wyszedł, śmiech zewsząd zaszumiał;
A teraz — jak gdyby trzech zliczyć nie umiał.
„I cóż mu takiego, i cóż mu się stało?
Tu idzie, patrzajcie, jak idzie nieśmiało.”

Bajazzo wśród widzów, dziećmi otoczony —
Czekają żarciku, jak ziarnka gawrony.
On kołpak ma w ręku, łzę z oka ociera,
I cicho, żałośnie, tak usta otwiera:

„O zacni panowie, łaskawi panicze!
Ja żebrać nie umiem — ani sobie życzę —
Lecz muszę, Bóg świadkiem, bo mam żonę chorą,
Ach! chce mnie opuścić i dziatek pięcioro!

„A bez niéj — my biedni — nie ma nam pociechy!
Tam ciężko złożona — ja tu robię śmiechy . . . .
Przez litość panowie, rzućcie groszy kilka,
Już może zapóźno!” to rzekłszy umilka.

„Héj hola Bajazzo! czy mam znijść do ciebie?
Ty widzę chcesz płacy o łeżanym chlebie;
Czy śmiać się nie umiesz, chcesz mojéj nauki?”
Tak woła ze sceny mistrz nadobnéj sztuki.

„Héj, héjsa, wesoło! będą nowe zbytki,
Kto chce je oglądać, niech daje dwa dytki.”
Tak wzywa Bajazzo — aż tu jednym razem
Wrzask budę przeleciał, a on stanął jak głazem.

I jakaś dziewczynka łachmany otkana
Wprost bieży do niego, sciska mu kolana,
I woła: „Ach ojcze, nasza mama blada,
Chociaż ją wołamy, nic nie odpowiada!”

Tym gromem uderzon, jak piorunem w ciemię,
Kołpak z rąk wypuszcza, groszem sieje w ziemię,
W słup oczy stanęły, boleść serce zwarła,
Członkami wstrząsł strasznie i krzyknął: — „Umarła!“

„Skończyłaś, Heleno! — Twoja wola, Boże!“
Chwieje się — opiera — już ustać nie może —
„He, hola, Bajazzo, co ty dzisiaj broisz?
Czy wróble chcesz straszyć, że jak bałwan stoisz?”

Tak mistrz sztuk nadobnych odezwie się z krzykiem,
I trzaska Bajazza z leciutka biczykiem.
Bajazzo się ocknął, i otarł pot z czoła —
„Héj, héjsa, wesoło!“ dziwnym głosem woła:

„Panowie i panie! najpiękniéj prosimy!
W téj budzie dość miejsca, wszyscy się zmieścimy!
Trzy łokcie, niewiele — tam pokój prawdziwy“ —
To mówiąc upada — „Ach ojcze!” nieżywy!

Już w budzie ucichło — już scena w chałupie.
Na mierzwie, patrzajcie: trup leży przy trupie.
Ich wieńcem w około — półnagie dziecięta
Przeczuciem swéj straty złożyły rączęta.

Na gwoździu kołpaczek, na nim oręż z gonty,
Przy ciele z dziadami cztery puste kąty,
W świeczniku groszowa dogorywa świeca;
Z za pieca ciekawa wgląda uczennica.
Noc razem ze świerszczem pieśń głuchą śpiewała,
Publiki nie było, a małpa się śmiała.

NAPIERSKI.

BALLADA LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

Na rynku w Krakowie
Wesoła muzyka;
Prowadzą katowie
Herszta rozbójnika.

Na rynku w Krakowie
Ze stryczkiem kat czeka;
— „Pij kumie swe zdrowie,
Bo droga daleka.” —

„Nie będę pił wina,
Choć w złotéj dasz szklance;
Wysoka drabina,
Zagram na multance."

I wysłał z niéj głosy
Po niwach, po wodach;
Otrząsnął łzy rosy
Na kwiatach, jagodach.

„Już szczebló w połowę,
Zadzwonię w multankę;
Nim katu dam głowę,
Pozdrowię kochankę."

I zadął jak z rogu
Na sioła, na bory;
Na każdym grał progu,
Z drzew zrywał bisiory.

„Drabina się kończy,
Niech zagram raz jeszcze:
Nim śmierć mię rozłączy,
Z światem się popieszczę."

I zagrzmiał w głos gruby,
Jak organ grzmi farny,
Aż zrywał chmur czuby,
Aż nastał dzień czarny. —

„Gdzie stryczek!" kat woła —
„Gdzie szyja? — wzdy ciemno!"
Oj, strach był do koła,
Kat wołał daremno.

Bo z borów, sioł, szlaków
Głos wrócił, a z głosem
Stu wpadło junaków
Z watażką i krzosem.

„Gdzie herszt nasz?" grzmi rzesza,
Straż broni zdobyczy —
Kat herszta co wiesza
Sam został na smyczy.
Przedmieścia zgorzały,
Człek struchlał rycerski,
A Tatry zagrzmiały:
„Niech żyje Napierski!"*) —

KNIAŹ DYMITR WIŚNIOWIECKI.

BALLADA LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

Kniaź z Wiśniowca w Jedykule
Za kratami, na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu. . .
Jakby jeszcze na niewierne
Stepem, hufce wiódł pancerne,
Przy surm wrzawie i dum pieniu,
Jakby nogę czuł w strzemieniu...
A tu stepem — cztéry mury,
A dumami — jęk ponury,
A drużyną — małe chłopię.
Héj pachole! oj ty tużysz,
Już nic u mnie nie wysłużysz;
I ja tobą nie wytropię
Wroga w stepie, ni zatopię

Bisurmańskie w Dniepr galary...
Dość mi dałeś, dość twéj wiary,
Dość dzieliłeś lichą dolę,
Wróć pachole na Podole! —

— Kiedy łowiec w wilczéj jamie,
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy;
Siada sokół wiern na ramie,
Wierna strzała się nie ruszy.
Ja ci strzałą, ja sokołem,
Niepowrócę, cierpmy społem. —

Przyszedł Sułtan z pychą pawia
I tak kniazia sam podmawia:
— Dam ci córę jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiarę,

*) Napierski czyli Kostka za panowania Władysława IV. zamknął się był w Czorsztynie na czele zbuntowanych górali. Zniesiony przez oddział biskupa Gembickiego, dał gardło w Krakowie.

Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmij wiarę. —
— Piękna córa, skarb bogaty;
Ale wiara twa za katy!
—Ha! psa Giaura weźcie, weźcie,
I za żebro go powieście! —
Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Gałacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze;
Patrzy w morze, to na szlaki:
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki; ciężko wzdycha,
Usta krzepną, mówi z cicha:
Oj pachole wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę!
— Ja ci strzałą, ja sokołem,
Nie powrócę, gińmy społem.

A kniaź oczy wiódł ponure:
—Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przyleciały,
Trzy rarogi jasnopióre —
Héj pachole! daj trzy strzały,
Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?

I, Sułtana zmierzył — w ciemię,
A Sułtankę, w samo brzemię,
A dziewicę — w samo lice.

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaże na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku. —

POWITANIE.

ROMANCA J. N. J.

Był dzień niedzielny, o jesiennéj porze:
Na zachód słońce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptastwo kwili w borze,
I kwiat w przedsenne otoczył się wonie.

Niewinném szczęściem grzmi poblizkie sioło,
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie,
Młodzież wśród pląsów wykrzyka wesoło,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.

Wszędy wesele, a nie ujrzysz troski:
Bo praca darzy niebiańską pociechą
Serca poczciwe. W pośrodku téj wioski
Stał dom drewniany, pod słomianą strzechą.

I był jak inne poziomej prostoty,
Tylko dostatek większy go otacza,
Bujniejszy sadek, dłuższe ulów roty,
I porządniejszy cały sprzęt oracza.

W chacie zaś ściany śnieżno ubielone
Zajęli święci w jaskrawéj odzieży:
Tam przy kominku widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnéj krząta się wieczerzy.

A śród podwórka na miękkiéj murawie
Dziewczę starego Brysia wodzi w tany;
A pod okienkiem na dębowéj ławie
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.

Czegoż on smutny? . . . . Wszak w jego stodole
Plenny dar Boży, sad purpurą płoni,
Błogą nadzieją zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczółka złotkiem dzwoni.

Czego on smutny? on który w wesele,
W radę i mężne bogaty uczucie;
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele:
Czy miał przeczucie? . . . . musiał mieć przeczucie.

Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu,
I skomląc ścieżką pobieżał na pole,
Zadrżał jakoby myśl wyrwał z nieładu,
Który od rana ciężył mu na czole.

I słucha, jako donośne szczekanie
Raptem w piskliwe, ciche tony spada,
Jak gdyby radość, żal czy powitanie;
A wtém dzieweczka zadyszana wpada.

I woła: „tato . . . . o! tato . . . . tam . . . . w bramie . . . .
„O! tam . . . Bryś wita . . . . o! lece do mamy . . . .
„Jaś wrócił z wojny . . . . o! ja powiem mamie". . . .
A nasz gospodarz już stoi u bramy.

A przed nim młodzian prześlicznéj urody,
Płaszcz nad wzniosłemi otulił ramiony;
Twarz jego blada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znużony.

I stoją oba -- lecz stoją w milczeniu:
Synowi łzami źrenica zabiega,
A ojciec zda się szukać w tém spojrzeniu,
Co w nim ma witać, zwycięzcę czy — zbiega.

I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drżącemi matczynemi słowy
Brzmi do koła: „gdzie mój Jaś kochany! . . . .
„Gdzie on jest . . . . a gdzie on! czy mi wraca zdrowy?.....

„Czy już nie pójdzie? . . . . a gdzie on jest przecie? . . '
Już mi go wszyscy witali o Boże!
Ach! . . . jaki blady, co ci jest me dziecię?
Czyś ty chorował? . . . . czyś ty chory może?

„Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany!
Gdybyś ty wiedział . . . . o! dzisiaj nic o mnie . . . .
Wszak już zostaniesz . . . . prawda mój kochany? . . . .
O! jam szczęśliwa! . . . . pójdź do mnie, pójdź do mnie!"

I już go ściska, już tuli do łona,
Lecz gdy się w szczęściu matka nie posiada,
I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.

A ojciec obie załamuje dłonie,
Dwa mu po licach łez płyną strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronie,
I znowu długie grobowe milczenie.

A u ramienia, tam gdzie ręka prawa,
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty, jak ten grób, co ofiary czeka.

OLDYNA.

DUMA KAZIM. BRODZINSKIEGO.

Na czarnéj górze, w powalonym lesie,
Widać z modrzewiu kościółek ubogi,
Z szumem liść suchy wiatr w doliny niesie,
Wozy wzruszonym pyłem znaczą drogi.

Ustały w polu za pługiem odgłosy,
Pomału dążą z pola ciężkie wołki,
Niosą sieroty uronione kłosy;
A dzień żegnają jodłowe wierzchołki.

Chmurki igrając pod tarczą księżyca
Przechodnie cienie ścielą na pnie suche,
Z gór wędrująca kłótliwa krynica
Z głośném mruczeniem mija pola głuche.

Odgłos się dzwonka rozlega przez łany,
Skrzypi żalazna chorągiewka z wieży,
Krzyż na kościołku zorzami oblany
Z czarnego dachu blask na pole szerzy.

Z chróstem na plecach i łzami zalana
Młoda Oldyna szła wedle kościoła,
Porzuca brzemię, pada na kolana,
Porzuca brzemię, i modląc się woła:

„Tyś czuła boleść o matko jedyna,
I siedem mieczów było w twojem łonie,
Kiedyś na krzyżu zobaczyła syna:
Chciéj dziś cierpiącym stanąć ku obronie.

Łzy jéj padały na próg wyklękniony,
Ale łzy tylko na kamień padały;

Idąc podróżny, jéj żalem wzruszony
O łez przyczynę pyta się nieśmiały.
„Czyliś ty ojców pochowała w grobie,
Czy męża płaczesz w tak kwitnącym lecie?
Jeszczeć wyrzekać nieprzystało tobie,
Wszystko ci mile kwitnie na tym świecie."
„Gdybym ja ojców lub męża stradała,
Jużbym łzy starła — mówiła Oldyna,
Bo wola Boska jest to Boska chwała,
W jego jest prawie śmiertelnych rodzina.
„Nie śmierci męża opłakuję biedna,
Ale niewoli, ale jego stanu;
Ja bez pomocy zostałam się jedna,
A on obcemu służyć musi panu.
„Nad podobieństwo przygoda ugodzi,
I najhojniejsze szczęście nas okłamie;
Jeźli cię gościu mój smutek obchodzi,
Słuchaj powieści o moim Adamie:
„On ze mną krówki na pastwiska ganiał,
Od lat dziecinnych kochałam go wzajem
On o mnie matce i ojcu się kłaniał,
Słynął urodą, dobrym obyczajem.
„Ojcowie nasi uradzili sobie,
Byśmy w małżeńskim stanie razem żyli,
I swoją pracą, o swojéj chudobie,
Nową nam w polu chatkę wystawili.
„Stoją mi w myśli chwile opłakane,
Kiedy nadeszło czekane wesele,
Krają mi serce piosneczki wspomniane,
I święta nasza przysięga w kościele.
„Żegnał nas Pleban idących z kościoła,
Echa piosneczki gajom roznosiły,
Wdzięczne nas druchów obstąpiły koła;
A ja mówiłam: już pewny mój miły!
„Trącali w kuble sąsiedzi weseli,
Zasiadły matki z teścinami ławę,
Drużbowie tańcząc w podkówki brzęczeli,
Matka na wozy znosiła wyprawę.
„Jechałam wozem przy Adamie drogim,
Płakałam przecie domu miłéj matki;
Ojciec chleb z wozu podawał ubogim,
Starosta darzył zachodzące dziatki.
„Drużbowie konno wiewali chustkami,
Gdyśmy stanęli przed naszą komorą;
Z graniem drużbowie wstąpili przed nami,
Koleją wszyscy do tańca mię biorą.

„Ostatni ze mną skończył mój młodzieniec,
Gdy mię teścine do siebie kazały;
Zdjęto mi wstęgi i ruciany wieniec.
Druchny pieśń smutną o chmielu śpiewały.
Z Adamem ojców ściskaliśmy nogi,
Matka ze łzami życzenia wynurza,
Ojciec krzyż kładąc daje nam przestrogi;
Wtém się nasz Obal obszczekał z podwórza.
„Weszli wojacy z cesarskiego kraju,
Inni tajemnie chatkę obstąpili,
Sąsiad pił do nich miód według zwyczaju,
A oni dumni chudobą wzgardzili.
„Wyszli z za stołu sąsiedzi weseli,
Po głośnych śpiewach zaczęła się wrzawa,
Darmo drużbowie opierać się chcieli,
Nad każdym wojak z ostrą bronią stawa.
„Jam się tuliła do mego Adama,
Ale z innymi biorą go odemnie,
Uciekły druchny, a ja płaczę sama,
Już go wiązali, ja płaczę daremnie.
„Sędziwy ojciec do nóg im upada,
Matka z komory próżno znosi sprzęty,
Ranili w głowę śmielszego sąsiada,
Płacz się rozpoczął już mój Adam wzięty.
„Każdyby mówił, że za ciężkie zbrodnie
Przestępcę wiodą i śmierć mu zadadzą;
Lecz tak na wojnę okrutni przychodnie
Obrońcę sobie w postronkach prowadzą.
„Już to raz czwarty na Zielone Świątki
Strojona kwiatem ta kościołka brama,
Czwartym się kwiatem bielą sadu prątki,
Jak opłakuję mojego Adama.
„Nie przybył dzionek, nie pożegnał ziemi
Bez moich modłów i próżnego łkania;
Co dzień się zwodzę między podróżnemi,
Co dzień od niego wyglądam pisania.
„Nie dam o wojnie rozprawiać rodzinie,
Zaraz śmierć widzę, co Adama goni,
Płaczę, gdy wojak naszą chatkę minie,
Adam broń nosi, lub zginie od broni.
„Nieraz mię grabarz dół kopiący płacze,
Że do umarłych mówię o Adamie;
Pługi w podwórku pozwożą oracze,
Ja jeszcze klęczę przy kościółka bramie.

„Dzień i noc tędy szły orężnych roje,
Garstkę Polaków zgnębić z resztą ziemi;
Jużci mi dawno mówi serce moje,
Że Adam zginie rękoma bratniemi.

„Oby mię zaraz jak może, pocieszył,
By moje oko jego cień ujrzało,
Za jego duchem mójby duch pośpieszył;
Niechaj Cesarzom zostanie się ciało."

Takie podróżny słysząc narzekanie,
Łzami się zalał spomniał lata młode,
Spomniał i szablę rdzewiącą na ścianie,
Z którą był dzielnie walczył za swobodę.

ZASŁAW.

DUMA K. BRODZINSKIEGO.

Gdy słowik zanuci,
Myśliwy grot rzuci,
Znika nagle śpiew;
Ptaszyna upada
Skrzydełkiem nie włada
Głucho stoi krzew.
Tak młoda i miła
Wiesława rzuciła.
Niespodzianie w dzień;
Ozdoba téj ziemi,
Z cnotami lubemi,
Znikła jako cień.
By płakał za lubą
I niknął jéj zgubą,
Chciał Zasława los;
Tak w nocy w żałobie;
Oparty na grobie,
Wznosi w lesie głos:
„Już cię nie zobaczę,
Już cię nie opłaczę,
Drogi cieniu mój;
Na moje płakanie
Łez więcéj nie stanie,
Niknie już ich zdrój.
Połowa ja ciebie
Po twoim pogrzebie
Błądzę noc i dzień;
Oddycham cierpieniem,
Za zniknym mym cieniem
Chodzę żywy cień.
U światła potoku,
Z wonnego obłoku.
Patrzysz na mnie z gór;
Przy śmierci opiece
Do ciebie polecę
Przez krainy chmur.
O śmierci! pójdź śmiało,
Zdejm ze mnie to ciało,
Rozsyp w nędzy proch;
Gdzie pył jéj schowany,
Tam ojciec stroskany
Niech mnie niesie w loch.
Przy pieśniach pogrzebu
Duch wolny ku niebu
Wzbije się nad pył;
Gdzie morze gwiazd świeci,
Ku lubéj poleci,
Tam z nią będzie żył."
Gdy w niebo wzniósł oko,
Postrzega wysoko
Promienisty pas;
Wiesława w swym wdzięku
Z lilią na ręku
Spuściła się w las.

Gałązką pasterzy
Po sercu uderza,
Porzuć, mówi, pył;
Za miłość wzajemną
Na wieki tam ze mną
Błogo będziesz żył.
Zostaje się ciało,
Gdzie tyle mieszkało
Wzajemności cnót;
Jak czyści Anieli
Oboje lecieli
Do niebieskich wrót.

SMUTNA KRAKOWIANKA.

DUMA BOHDANA ZALESKIEGO.

Kraków — Stolica pyszna co się zowie.
Ile jest grodów wspaniałych na ziemi,
Kraków najpierwszy pomiędzy wszystkiemi:
I mało ludzi, co byli w Krakowie!
Boć to daleko leży niesłychanie,
Najżwawszy Kozak nie za dzień tam stanie.
I nie od razu Kraków zbudowany!
Swoi i cudzy prawią o nim wiele;
Dworzec przy dworcu, kościół przy kościele
I kamienice kamienne, — a ściany,
Nawet i dachy z pozłocistéj miedzi;
I Król dla tego rad sobie w nim siedzi.
Niedarmo pańskie oko tuczy konia:
Bliżéj przy królu weselsze i rzesze;
Toż młódź tam ogień podkówkami krzesze,
Byle gdzie pojrzeć — w ulice, na błonia,
To krasne czapki, brzękadła u pasa,
I kto żyw jeno a zdrowy — to hasa.
Nigdzie już lepiéj — choć jedź i za Morze!
Owoż tam była smutna Krakowianka,
Córa dostojna chrobrego Bohdanka,
I najpiękniejsza w mieście i na dworze.
Śród tylu ślicznych Laszek, a jedyna!
Krew nasza własna z tego tu Rużyna.
Kiedy Kniaź ojciec ruszał w świat daleki,
W Krym i za morze; lube dziecko swoje
Słał do Krakowa. Królestwo oboje
Niewypuszczali dziewczyny z opieki:
To ją bywało Królowa przytula,
To na kolanach oto znów u Króla.
Czego chcieć więcéj! . . . Cóż na to powiecie?
Mimo że dworzec malowany, złoty,
Mimo że co dzień zbytki a pustoty

Na takim wielkim i wesołym świecie;
Dziewczyna smutna — ustawnie łzy płyną,
Tęskni za stepem i za ukrainą.
  Płacze a płacze, sercem się rozpływa;
Sztuki niemieckie łamane! Muzyka!
Pląsy! i śpiewy różnego języka!
A przecież taka młoda, czarnobrewa!
Wtedy o! nieco radośniéj poskacze,
Gdy swoje dumy zasłyszy kozacze.
  Ku Czarnobrewce — Lach jeden i drugi
Drży i ze skóry ledwie nie wyskoczy;
Bo jak na czary duże miała oczy,
Że cały światby obróciła w sługi.
Kiedy Król pyta ją: — „A komu sprzyja?"
Mówi: „Nikomu — bo ja już niczyja!"
  Są tam mogiły — Wandy i Krakusa;
Jako i u nas wszędzie ich do licha,
Jako Perepjat i Perepjatycha: 1)
Owoż ciągnęła dziewczyna pokusa
Zawsze w te strony. I wtedy jéj mile,
Kiedy samiutka płacze na mogile.
  Zleczyć Księżniczkę baby się siliły:
Gdzie co pomoże! kiedy serce boli!
Kwiat nasz stepowy schnął, więdnął powoli,
I opadł — wcześnie dospiał do mogiły!
Kiedy Krakowscy ludzie ją chowali,
Dziwno im było to, ale płakali.
  Kniaź ojciec skończył przesławne swe tańce,
Krwi mu niejedna utoczyła strzała,
Ale domowa ta głębiéj dostała:
Odtąd nie postał na żadnéj hulance,
Kołpak swój wmiesił na oboje uszy,
Bo już mu na śmierć zamgliło się w duszy.
  I powtarzali długo potém ludzie:
„Nasz nienawyknie do cudzego chleba,
Żyć i umierać u nas mu potrzeba:
I oto Pan Bóg zapowiedział w cudzie,
Że Ukrainiec nie na Ukrainie
I wiek przepłacze swój, i marnie zginie!"

1) Perepjat i Perepjatycha dwie mogiły koło Chwastowa, wedle podania ludu, usypane dla Męża i Zony. Mąż, wódz sławny, powracał z dalekiéj wyprawy (zapewne na Połowców) z wojskiem odzianém w zbroje nieprzyjacielskie. Zona w trwodze, uderzyła na niego z domową drużyną: i polegli tam oboje w obłędnéj bitwie. Przy skonaniu jednak poznali się—niesłychanie czule witając się i żegnając do lepszego świata.

WZGÓREK POŻEGNANIA.

DUMA BOHDANA ZALESKIEGO.

Oto chaty dymią w dole,
Górą kalinowe gaje,
Przy gościńcu daléj w pole
Kilka krzaków bzu wystaje.

Za krzakami bzu wonnemi
Miga wzgórek wśród gałęzi,
Wolny wietrzyk buja niemi,
To rozszerza — to je więzi.

Tam gdy zapadł krąg miesiąca,
Przy świtaniu dnia rumianém
Wyszła matka bolejąca
Z swą Zoryną i Ruślanem.

Mąż i krewni jéj nieczuli
Każą życie wieść tułacze;
Swą Zorynę małą tuli,
I na los Ruślana płacze.

Płacze siostra siedmioletnia,
Jak jutrzenka złotowłosa;
Łza rumieniec jéj uświetnia,
Jak poranny kwiatek rosa.

Ciche modły trwały chwilę.
Potém matka zbroi syna,
I żegnając na mogile
Tak wyrzeka, upomina:

„Kto chce życie spędzić w biedzie,
I łzy gorzkie wnieść do chatki;
Niech powtórnie za mąż idzie,
Niech obcemu zwierzy dziatki.

„On bez serca nie nad swemi
Strwoni ojców chleb sierocie,
Co po morzu, co na ziemi
Kupił ciężko w krwi i pocie.

„Długoż miałam znosić długo!
Przepłakałam lat niemało,
W domu własnym byłam sługą,
W końcu i łez mi niestało.

„Za cóż nas doświadczasz Boże?
W grobie ojciec już spoczywa;
Cóż im dzisiaj pomódz może
Biedna matka — nieszczęśliwa!

„Łatwiéj dla mnie z córką jeszcze,
Przyjmą ludzie ją poczciwi.
Prędzéj z nią się gdzie pomieszczę,
Bóg i praca nas wyżywi.

„Lecz cóż z tobą synu będzie?
Gdzie przytułek dla twéj głowy?
Twój cię ojczym znajdzie wszędzie,
Łżyć przykremi pocznie słowy.

„Jedź odemnie, jedź kochany,
Szukaj zdala szczęścia w świecie;
Wszak gdzieś cichsze znajdziesz ściany,
Znajdziesz lepszych ludzi przecie.

„Ciężko serce matki boli,
Gdy oddala dziecko z domu;
Cięższéj jeszcze, gdy w niewoli
Da przewodzić nad nim komu!

„Gdy za tobą Bóg obstanie,
I złowrogie dnie przeminą;
Nie zapomnij nas kochanie,
Wzdychaj za mną, za Zoryną.

„Teraz dziéj się wola Boska.
Oto konia masz i zbroję;
Niech cię mija każda troska,
Błogosławię podróż twoję.

„Bądź zdrów! wszystko się przemieni,
Co Bóg stworzył, nie zaginie;
Wszakże ludzie nie z kamieni,
Wszakże kraje nie pustynie!"

Rży i tętni konik wrony;
We łzach pyta siostra mała:

„Kiedy? z któréj ciebie strony
Będę bracie wyglądała?"

Łzy się w oku lśnią Ruślana;
Po zielonéj spojrzał niwie,
Padł przed matką na kolana,
Ucałował siostrę tkliwie.

Dosiadł konia, z miejsca rusza,
Fale bujnych traw przegania;
Wiatr powieki mu osusza,
Wiatr zapiera w piersi łkania.

Długo matka, siostra, stały —
Prowadziły go oczyma;
Coraz daléj, mniejszy, mały,
Jeszcze mgli się i — już niema.

I już wzgórek opuszczony,
Tylko woła siostra mała:
„Kiedy? z któréj ciebie strony,
„Będę bracie wyglądała?"

Prędzéj w źródle wyschnie woda,
Góra się z mogiły wzbije;
Niż go ujrzy siostra młoda,
Niż go oczy ujrzą czyje.

2. Legendy.

LEGENDA WSTĘPNA.

X. I. KOŁOWIŃSKIEGO.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku w popiele.
Lecz się nie zwierzył w nagłém skonaniu
Ani przed żoną, lub dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.
Jednego razu wszedł do téj chaty
Biedny zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.
Choć gospodyni wpośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.
Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą:
Bóg za pokorę dał mu zapłatę;
Bo znalazł w popiele złoto.
Tak doświadczenie prawdy żywota
Złożyło w prostéj legendzie:
Niech pyszny rozum szyderstwo miota,
Pokora prawdy dobędzie.

KRÓWKA JAREMY.

X. I. KOŁOWIŃSKIEGO.

Wieczór się przybrał w szkarłatu rumieniec,
Kiedy szedł z targu Jarema młodzieniec;
A był wesoły, wzięła go swawola
Podpędzać krówkę wracającą z pola;
I tak się długo z biedną krówką bawił,
Zagnał do lasu i tam ją zostawił.
Nazajutrz rankiem powraca do miasta,
Widzi, że płacze na drodze niewiasta;
Tknięty litością pyta o przyczynę. —
Ach, zwierz mi, rzekła, zjadł krówkę jedynę,
Gdy się zbłąkała w lesie nocną porą.
I mnie i dzieci żywiła pięcioro,
A teraz głodem biedna z dziećmi zginę. —
— Jakiejże maści była twoja krowa? —
— Z łysiną białą sama całkiem płowa. —
Poznał Jarema, że to on oddalił
Wczoraj na drodze napotkaną krowę:
Kamień zgryzoty na serce się zwalił,
Zamilkł westchnąwszy i opuścił wdowę.
Przeszedł czas długi, z czasem troska mija,
Bo nowa bieda dawniejszą zabija.

W cudnowskiéj puszczy zbłąkał się Jarema,
Szedł dniem, wieczorem, szedł i nocną dobą,
Nie spotkał człeka i gospody nie ma,
A las i niebo tylko ma przed sobą.
Czasami smutno drzewa zaszumiały,
Albo ptak nocny pojęczał przez chwilę,
Czasem się straszne pokusy ozwały,
Czasami było głucho jak w mogile.
Gdy tak strudzony szuka przytuliska,
Patrzy, aż zdala światło jakieś błyska;
Zbliżył się, widzi ludzi dzikiéj twarzy
Ponachylanych w około ogniska,
Na którém w kotle jedzenie się warzy,
A na ramionach strzelba im połyska.
Chociaż pomyślał, że zbójcy być mogą,
I w sercu uczuł trochę niepokoju,
Lecz się nie lęka ubogi rozboju,

Przeto zmęczony i głodem i drogą
Przystąpił do nich w pokornej postawie,
Prosząc by nocleg mógł przepędzić z niemi:
Chętnie przyjęli, on usiadł na ziemi,
I zaproszony wziął udział w ich strawie,
A potem z trudu usnął na murawie.
Ale go nagle wrzawa ze snu budzi:
Widzi rozpierzchłą swą drużynę nocną,
A siebie wpośród obcych zbrojnych ludzi,
Którzy sznurami krępują go mocno
Bo właśnie wtedy rząd uwiadomiony,
Gdzie była banda Pawluka Watażki,
Wyprawił poczet żołnierzy w te strony,
Ale umknęły te ostrożne ptaszki;
Tylko Jarema był przyprowadzony.
Choć rzecz wyjaśnia, ale nie przekona,
Bo podejrzenie potępia go z góry:
Bito, męczono, brano na tortuny,
Jego niewinność uporem ochrzczona.
Tak mu upłynął rok cały w niewoli,
Wielkie ponosił nędze i katusze.
— Boże! mój Boże! — wołał w swéj niedoli,
Za cóż niewinnie biedny cierpieć muszę? —
Gdy tak w cierpieniach i skargach czas trawił,
Jakiś mu starzec we śnie się pojawił,
I łagodnemi tak przemówił słowy:
— Za co obwiniasz o niesłuszność nieba,
Czy zapomniałeś krówkę biednéj wdowy?
Wiedz, że łzy cudze krwią odkupić trzeba;
Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy.
Jużeś dość cierpiał za krzywdę zdziałaną,
Wrócisz swobodny do dzieci i żony. —
Jakoż w tym czasie zbójców pochwytano,
A ich zeznaniem został uwolniony.

I my w nieszczęściach choć bez naszéj winy,
Nim się uskarżać na Boga poczniemy.
Przepatrzmy przeszłe żywota godziny,
A znajdziesz pewno tam krówkę Jaremy.

SIEROTA.

X. I. HOŁOWIŃSKIEGO.

Ciężko żyć biednéj sierocie,
Bo wiele cierpieć potrzeba,
I służyć o krwawym pocie
Na gorzki kawałek chleba.
O! ciężko biednéj sierocie.

Józia bez rodziców jedna
Została mając rok piąty,
I odtąd sierota biedna
Wycierała cudze kąty.
O! nie daj Boże nikomu
Na łasce żyć w obcym domu.

Choć ją zdobiła uroda
I dusza bogata w cnotę:
Ale któż rękę jéj poda,
Kto zważać chce na sierotę?
Czy radość śmiech jéj wywoła,
Czy łzę wyciśnie tęsknota,
Wszystko źle, bo kiedyż zdoła
Ludziom dogodzić sierota?

Tak pięknie na Bożym świecie,
Rodzice tak pieszczą dziatki!
A ją bez ojca i matki
Nędza jak gniecie tak gniecie.
Dla innych wszystko się śmieje,
I szczęściem kwitną nadzieje;
Jéj pusto i głucho w świecie,
I zimne dokoła twarze,
A tylko w życia obszarze
Łzy i cierpienia jéj kwiecie,
Co zrywa o krwawym pocie:
O! ciężko, ciężko sierocie!

Gdy świat odpychał od siebie,
W strzelistéj modlitwy locie
Szukała pociechy w niebie,
Bo Bóg jest ojcem sierocie!
Jedyne szczęście jéj było,
I jedna chwilka jéj błoga,
Nad lubéj matki mogiłą
Modlić się we łzach do Boga.
I wtedy gołąbka biała
Wprost z nieba do niéj leciała,
I skrzydłem muska jéj lice,
I turkocze tak radośnie,
Że wypędza precz tęsknicę
I dziewczynie serce rośnie.
A wszystkie sieroty łezki
Pozbierał ten ptak niebieski,
I z niemi w rajskie krainy
Białém skrzydełkiem migoce.
Czy to duch matki dziewczyny
Niesie Bogu łzy sieroce?
Po każdéj takiéj modlitwie
Odradzała się na nowo,
I ku dalszéj z losem bitwie
Była silniejszą, gotową.
A gdy rok szesnasty miała,
Ludziom, u których mieszkała,
Już się sprzykrzyła sierota,
I przed nią zaparli wrota.
Rzucając rodzinne strony
Żegnała grób ulubiony,
Skropiwszy go łzawą rosą,
Poszła gdzie oczy poniosą.

Tam za lasem niedaleko
Piękny zamek wznosi czoło,
Ze wszech stron oblany rzeką,
Daléj rozrzucone sioło.
Samotrzeć przez most zwodzony
Jechał dziedzic zamyślony,
A choć jeszcze miał wiek młody,
Już smutek wyssał jagody.
Puścił on koniowi wodze,
W świat dumania sam się wcielił;
A koń zwolna szedł po drodze,
Jakby zamyślenie dzielił.

Tak zadumany głęboko
Przybliżył się ku dąbrowie,
I rzucił na drogę oko,
A strachu przeszło go mrowie.
Ujrzał dziewczynę ubogą;
Koronkę mówiąc szła drogą,
Lecz przy niej w aniołów gronie
Szła niebieskiego uroku
Niewiasta w światła obłoku.
Jéj szata jak słońce płonie,
Czoło w gwiaździstéj koronie,
I patrzy młodzian zdumiony,
Jak z ust ubogiéj dziewczynie
Za każdy pacierz zmówiony
Czerwona róża wypłynie:
A gdy Zdrowaś odmawiała,
Wychodzi lilia biała.
A te z ust dziewiczych kwiaty
Przyjmowali aniołowie,
I splötli wieniec bogaty,
I podali swej królowie,
Która ubogiéj dziewczynie
Włożyła wieniec na skronie;
A potem widzenie ginie,
Tylko rajskie słychać wonie.

Młodzieniec padł na kolana
Przed tą dziewczyną ubogą;
A ona przejęta trwogą
Uciekać chce od młodziana:
Bo jéj oko nie widziało,
Co się na modlitwie działo.
— O! niechaj ciebie nie trwożę,—
Wyrzekł młodzieniec nieśmiało,
Wszak cię miłosierdzie Boże
Dla méj pociechy zesłało.
Dozwól niech wszystko przełożę:
Parę lat temu minęło,
Jak niebo rodziców wzięło,
I dotychczas po ich zgonie
Moje oko we łzach tonie;
A smutek był takiéj mocy,
Że zwiędło mi życie wcześnie.
Ale właśnie przeszłéj nocy
Rodzice rzekli mi we śnie:
„Czemu się żal twój przeciwi
Boskiéj woli łzami swemi?
Wiedz, żeśmy więcéj szczęśliwi,
Jak najszczęśliwsi na ziemi.
Za twe do nas przywiązanie
Pan Bóg cię pocieszyć w stanie,
Bo choć uboga dziewica
Przeznaczona ci za żonę,
Ale jej Bogarodzica
Włoży kwiecistą koronę."
I właśnie oto w téj dobie
Widziałem, w aniołów gronie
Wieniec włożyła na skronie.
Trwożnie spogląda dziewica,
I od wstydu się rumieni;
A wtém z niebieskiéj przestrzeni
Biała leci gołębica,
I coś wesołego grucha
Biednéj sierocie do ucha.
Józia podnosi młodziana,
Co klęczał u jéj podnoża,
I cicho rzekła zmieszana:
Niech się dzieje wola Boża.
I jeszcze nim dzień się skończył,
Już przed ołtarzem w kaplicy
Stał młodzian obok dziewicy,
A Bóg ich wiecznie połączył.
Józia do dni swych ostatka
Dla sierot była to matka.

BASZYNA.

X. I. HOŁOWIŃSKIEGO.

Jest wioska Baszyna,
Tam na górze dwór,
Za dworem leszczyna,
Daléj głuchy bór.

A w borze Zamczysko,
W koło wielki wał:
Tam dawniéj siedlisko
Dzielny rycerz miał.

I wpadli pohańce
A wszystko strach zdjął;
Wbiegł rycerz na szańce,
Głowę baszy ściął.

Stąd wioskę Baszyną
Nazwał rycerz sam;
Dziś zamek ruiną
A strach mieszka tam.

Nie wielka osada,
Co otacza dwór;
Jak z pieca tam spada
Scieżka z wielkich gór.

Po błoni na dole
Horyń wije bieg;
A srebrne topole
Wieńczą jego brzeg.

W téj niegdyś wsi byli
Sławni Prot i Jan,
Przyjaźnią zażyli,
A możny ich stan.

A wszystko łączyło
Tych przyjaciół dwóch:
Jedno serce było
I jeden był duch.

W Zamczysku na górze
Jest kaplicy szczęt;
Kamienny krzyż w murze
Był jéj cały sprzęt;

Kto przysiągł tam krzywo,
Wnet go karał Bóg:
Bo nie wyszedł żywo
Za kapliczny próg.

Tak o téj świątnicy
Zdawna chodzi słuch:
Do strasznéj kaplicy
Szło przyjaciół dwóch.

Przysięgli zwyczajem
Starodawnych lat,
Kochać się nawzajem
Jako brata brat.

Gdy przyszła na Jana
Kolej żegnać świat:
Miał syna Stefana
Jeszcze pięciu lat.

Część mienia rozdziela
Na kościół i lud,
A na przyjaciela
Zda opieki trud.

Przysięgły, rzekł, bracie,
Moim synem rządź,
I po ojca stracie
Ojcem jemu bądź.

Grosz mój pozostały
W twoim ręku masz:
Jak dojdzie lat, mały,
Wtedy jemu dasz.

Już Stefan sierota
Lat szesnaście miał,
Pragnął wziąść u Prota
Ojcowizny dział.

Chciwości szatana
Prot w swéj duszy czcił,
Zaparł się, że Jana
Skarb u niego był.

„Gdy ci nędza cięży,
To ojcowski szał:
Na biednych, na księży
Dał wszystko co miał.

„Niech ojca jałmużny
Wróci niebios pan:
On tobie jest dłużny,
Mnie nic nie dał Jan."

Rzekł Stefan ze łzami:
Gdyś sumienie struł,
Nie puść mię z torbami,
Daj choć skarbu pół.

Część trzecią i piątą
Choć się zgadzał brać,
A nawet dziesiątą,
Lecz Prot nie chciał dać.

Chcesz w podłym mieć zysku,
Rzekł Stefan, coś wziął?
Chódź, przysiąż w Zamczysku,
Gdzieś ojcu się kłął.

Poszli, i gromada
Poszła z nimi wraz:
Prot przysięgę składa,
Gdzie był krzyża głaz.

Lecz gdy się przybliża
Uczcić męki znak,
Jakaś moc od krzyża
Odpycha go w spak.

Padł na wstecz i krzyczy:
— „Ach ratujcie mnie!
Ten czartom w zdobyczy,
Kto się w fałszu klnie.

Jam z biednym sierotą
Tak nieludzki był:
Weźcie sobie złoto,
Com w komorze skrył." —

A wtém go oniemi,
Oczy poszły w słup;
Chcą podnieść go z ziemi,
Ale już był trup.

Wszystkich przeszło mrowie,
Spieszą pod swój dach:
Odtąd w téj budowie
Jakiś mieszka strach.

Bo słychać *tam* w nocy
Jak łańcuchów brzęk;
Coś wzywa pomocy,
Coś zawodzi jęk.

CHLEB RAJSKI.

X. I. HOŁOWIŃSKIEGO.

Błażéj w dni swoich zaraniu
Widząc marność tego świata,
Żył na puszczy pędząc lata
W modłach, poście i czuwaniu.
W nocy krótkie miał spocznienie,
Lecz łzy modlitwy przelewał;
A w dzień święte psalmy śpiewał,
Pracując na wyżywienie.
I tak przeżył lat nie mało,
A nie słabło w trudach ciało:
Myśl jego cicha wesoła,
W ciele wiódł życie anioła.
Bóg widząc cnotliwe życie,
Zdrój łaski na niego zlewa:
Bo nieraz w świętym zachwycie
Niebieskie widzenia miewa.
Czart się lęka jego mocy:
Jak przed ogniem topnie smoła,
Tak ćma strasznéj piekieł nocy
Przed nim ostać się nie zdoła.
A we święto Wielkanocy,
Kiedy przyszedł do kościoła,
Same się drzwi otworzyły,
I dzwony same dzwoniły.

Boże, raz wyrzekł w zapale,
Niech bez przerwy Ciebie chwalę,
A Twoja Opatrzność święta,
Co małe karmi kurczęta,
Niechaj i o moim głodzie
W swém miłosierdziu pamięta;
Bym nie pracował w ogrodzie,
I nie uprawiał już ziemi,
Lecz prac doczesnych daleki,

Niech wzlecę myśli świętemi
Nad wszelką ziemskość na wieki.
Przez doskonałe żądanie
Niech obejmę Ciebie, Panie!
Niech czekam wśród uciśnienia,
Wśród błogości rajskich duszy,
Pokąd twa ręka nieskruszy
Przykrego w ciele więzienia.

A prośba tak pełna wiary
Wnet została wysłuchana:
Niewidzialnie śród pieczary
Kładziono chleb mu co rana.
Za ten dar opatrznéj ręki
Jak najżywsze składał dzięki:
I zrazu w boskim zachwycie
Całe pogrążył swe życie.
A wtém gdy się modlić zacznie,
Tęsknota serca zalega,
Lecz tak pomału, nieznacznie,
Że jéj nawet nie postrzega.
Potém lenistwo nadbiega,
Tak, że już i sam poznaje,
Bo i późniéj ze snu wstaje,
I w modłach nie taka skrucha,
Nie takie zebranie ducha,
I myśl nie tak często w niebie;
Lecz tém uspakaja siebie,
Że dać trzeba spocząć ciału.
A tak pomału. pomału,
Nie już niepewna tęsknota,
Lecz nim burza myśli miota.
Gdy trwa niepokoju szarga,
Coś złego przychodzić pocznie,
I już wzmaga się widocznie,
Częściéj dłużéj myślą targa.
Na ten stan zdjęła go trwoga,
Modlił się we łzach do Boga.
Chcąc pożywać święte dary,
Wszedł wieczorem do pieczary,
Zastał rajski chleb zczerniały,
Choć był pierwéj jak śnieg biały.
A kiedy przyszła noc cicha,
Wyraźnie w sercu zawisły
Jakieś nieczyste pomysły,
Ale je łatwo odpycha.
Nazajutrz już nie pomału
Musi opierać się ciału,
Ale często w zapomnieniu
Popuszcza cugle myśleniu.
A gdy po téj dziennéj bitwie,
Po roztargnionéj modlitwie,
Wieczorem do groty wchodzi,
Wprawdzie chleb od Boga dany
Na zwykłém miejscu znachodzi,
Lecz na pół z plewą zmieszany.
W noc i dzień następny nęci
Zła cheć, i ustąpił chęci.
A w grzechu upodobanie
Wnet urodziło żądanie.
Przyszły wieczorne godziny,
Gdy chce posilić swe ciało,
Chleba rajskiego nie stało,
Tylko drobne okruszyny.
Westchnął i zalał się łzami:
Widzę, rzekł, nieszczęście moje,
Chleb wzięto, bo grzech mię plami,
Może snem troskę ukoję.
Zasnął, ale myśli oko
Obłok wszeteczny zacienia:
I we śnie brudne marzenia
Z pustyni na świat go wloką.
Rano serce miał zmienione,
Rzucił niegdyś lubą stronę,
Kędy przebył w życia wiośnie
Tak szczęśliwie, tak radośnie,
Gdzie go Bóg łaską wzbogacił,
A teraz podeszły w lata
Te skarby duszy utracił.
I śpieszył — używać świata!

Lecz Bóg, co śmierci grzesznika
Niechce, a żąda poprawy,
Nieopuścił pustelnika
Ze względu na dawne sprawy.
Bo zaledwie wyszedł zrana,
Spotkał znanego młodziana,
Który mu do nóg upada:
Ojcze, rzekł, niech twoja rada
Wyrwie mię z ciężkiego trudu,

Albo mocą twego cudu
Zagaś ogień, który płonie
Nieczystością w mojém łonie.
Pustelnik podniósł młodziana,
Mówiąc, że nie inną bitwą
Zwycięży chuci szatana,
Tylko pracą i modlitwą.
Potém długo się rozwodził
Na pożytek jego duszy;
A gdy młodzieniec odchodził,
Bóg serce Błażeja skruszy:
Jakto, rzekł, czyż tylko mogę
Pokazywać innym drogę?
A sam opuszczam zbawienie
I dążę na zatracenie.
Pędem do jaskini wrócił,
Tam się na twarz we łzach rzucił,
I dzień płakał i noc całą,
A wtém zasnął, kiedy dniało.

We śnie anioł tak mu rzecze:
„Widzisz ułomny człowiecze,
Że pracą gardzić nie trzeba:
W pokorze jest doskonałość,
A największe dary nieba
Niweczy zarozumiałość.
Gdy w pracy pogrążysz ciało,
Duch niém władać snadniéj może.
Bądź spokojny, bo zmazało
Grzech twój miłosierdzie Boże."

Kopiąc ziemię, sadząc drzewa,
Znów szczęśliwy psalmy śpiewa.
Choć go Bóg łaską wzbogaca,
Choć moc cudów jemu wraca,
Jednak już nie prosił nieba,
By miał pokarm od anioła,
Lecz do śmierci w pocie czoła
Pracował na kawał chleba.

ŹRÓDŁO Ś. GANGOLFA.

ANT. EDW. ODYŃCA.

Znużony Gangolf pielgrzymką długą
W piaszczystéj Włoch okolicy,
W skwarne południe nagle nad strugą
Szumiącéj stanął krynicy.
A gdy spragniony, chłodnym napojem
Orzeźwił siły mdlejące,
Wnet na kolana padłszy nad zdrojem,
Bogu niósł dzięki gorące.
Wtém nadszedł dziedzic i rzekł: „za złoto
Chętnie ci przedać zdrój mogę." —
Pielgrzym zapłacił wartość z ochotą,
I w dalszą puścił się drogę,
I do burgundzkiéj wracał krainy,
Uweselony z nabycia,
Gdzie łzy przyjaciół, gdzie łzy rodziny,
Mierzą czas jego przybycia.
A ledwie luba żona u progu
Z uśmiechem wita go miłem,

Rzekł: „Ciesz się żono! podziękuj Bogu,
We Włoszech źródło kupiłem." —
— „Na cóż się przyda? cóż nam pomoże
Zdrój w tak dalekiéj krainie?
O nierozważny! sądziłeś może,
Że on za tobą popłynie? —"
— „Niewiasto!" Gangolf przerwał surowo,
„Niech się gniew płochy uśmierzy!
Toż ci nieznane Chrystusa słowo?
Czy Mu twe serce nie wierzy? —
On rzekł: „zaprawdę mówię wam, który
Ze szczerem we mnie ufaniem,
Rozkaże górom, „pójdźcie!" wnet góry
Powstaną i pójdą za nim"
„Jam obietnicy Boskiéj zawierzył.
Bóg szczeréj wiary nie myli." —
To rzekł i laską w ziemię uderzył.
I oto! w tejże wnet chwili,
Z ziemi obfite wytrysną zdroje,
Na podziw zlękłéj małżonce;
I chłodne kwiatom niosąc napoje,
Z szelestem biegą po łące. —
Wieki minęły, a jeszcze płynie
Krynica czysta i chłodna,
Ale we włoskiéj za to krainie
Zdrój hojny wysechł aż do dna. —

BUŁAWA MADEJA.

X. I. HOŁOWIŃSKIEGO.

Biedny kapucyn szedł po posłuszeństwie
Do odległego swojego klasztoru;
Był zatopiony cały w nabożeństwie,
Bo się zbliżyła godzina wieczoru.
Krzyż miał na piersiach, różaniec za pasem,
A szedł powoli głuchym, wielkim lasem,
Gdy tak w modlitwie myśl do Boga niesie,
Opuścił drogę i zabłądził w lesie;
Długo się bije wśród lasu gęstwiny,
Ale nie znalazł ścieżki lub dróżyny.
A wtém się ludzka jawi mu postawa,
Włos czarny w kudłach, jak noc, twarz zacienia,

Wzrostu wielkiego, a w ręku buława,
I mordem tchnące posyła wejrzenia.
Rzekł mu spokojnie zakonnik ubogi:
Bracie, nie możesz pokazać mi drogi?
— Dalekoś zabrnął, już teraz i ciemno,
Przeto dziś u mnie chciéj przyjąć gospodę;
Ubogą strawą posilisz się ze mną.
A jutro świtem na drogę zawiodę. —
Poszli i przyszli w jakiś jar głęboki,
Strumyczek jęczał tam na samym spodzie,
Pod górą grota kuta wśród opoki,
Drzewa i krzaki kryły ją przy wchodzie,
Gospodarz ogień zapala w jaskini,
Przygotowanie do wieczerzy czyni.
I milczą oba, lecz mąż świątobliwy
Wpadł nagle w trwogę i wielkie zadumienie;
Włos mu na głowie powstał jakby żywy,
Znać, że ma straszne jakieś objawienie.
— „Cóż to ci ojcze?" Gospodarz zapyta.
— „Patrz, przepaść piekła przed nami odkryta:
Patrz, na katusze! — Słuchaj, co za jęki!
Patrz, potępieniec niechce Lucypera
Słuchać, lecz darmo jemu się opiera; —
Już mu zadając niesłychane męki, —
Chłoszczą żelaznym i ognistym biczem; —
— Palą go — Warzą — Lecz niezgięty niczem. —
— Słuchaj, nieść każą w jakieś straszne łoże,
Co na Madeja rozbójnika czeka. —
Patrz, dusza męki wytrzymać nie może
I posłuszeństwo w pokorze przyrzeka. —
O, dzięki Bogu, piekło się zapadło,
I nagle znikło to straszne widziadło.

Gospodarz upadł do nóg zakonnika
I rzekł: — Madeja widzisz rozbójnika!
Oddal odemnie piekielne katusze!
O mężu święty, nieodmów opieki!
Pomóż biednemu zbawić swoję duszę;
Tu mnie piecz, tu siecz, lecz przepuść na wieki.
Ksiądz go spowiada, a twarzą łaskawą
Jeszcze ośmiela, aby wyznał zbrodnie;
Księże, rzekł zbójca, tą samą buławą
Ojca i matkę zabiłem wyrodnie;
A innych mordów pamięć nie opowie,
Może tak wiele, jak włosów na głowie —

Nie mogę, rzekł ksiądz, dać ci rozgrzeszenia,
Jednak się niechciéj pogrążyć w rozpaczy:
Żałuj, pokutuj, a łzy i cierpienia
Bóg dobry przyjmie i zbrodnie przebaczy.
Powstał zakonnik, a jakby z natchnienia
Wyszedł z pieczary i wziął z jego dłoni
Straszną i krwawą buławę z jabłoni,
I wbił ją w ziemię zdala od strumienia.
Jeźli, rzekł kapłan, chcesz umrzeć w pokoju,
Noś wciąż dwie sakwy, a pełne kamienia,
I klęcząc pełzaj aż do tego zdroju,
Ustami czerpaj wodę ze strumienia
I dniem i nocą buławę podlewaj;
Jeszcze roś łzami, westchnieniem zagrzewaj,
W poście, modlitwie, wśród łez i cierpienia
Ciągle boskiego błagaj przebaczenia:
Gdy Bóg twych jęków i prośby wysłucha,
Wtedy odżyje ta buława sucha
I w piękną jabłoń bujnie się rozwinie.
Tak im noc przeszła; o świtu godzinie
Zbójca na drogę zawiódł kapucyna,
A potém z wiarą pokutę zaczyna.

Przeszło lat wiele, z latami przechodzi
Wszystko na świecie, wszystko się przemienia:
W starców zgrzybiałych zmienili się młodzi,
Miasto ich kwitną nowe pokolenia.

W jesiennéj porze pomału się wloką
Dwaj kapucyni przez puszczę głęboką.
Wtém zapach jabłek rozszedł się w téj stronie,
Lecz zapach dziwny jakby rajskie wonie.
Bracie, rzekł starzec, udaj się do lasu
I narwij jabłek, co tak pachną mile;
Ja tu zaczekam i skorzystam z czasu,
Bo utrudzony odpocznę przez chwilę. —
Poszedł braciszek i niedługo bawił,
Ale z próżnemi rękami się stawił.
Ojcze, rzekł, w całém życiu jak przypomnę
Nigdym podobnéj nie widział jabłoni,
Bo jabłka rodzi nadzwyczaj ogromne,
Jak krew czerwone, lecz ich starzec broni:
Włos go okrywa, głowa ubielona,
Klęczy i jabłoń objął w swe ramiona.
Chciałem rwać jabłka, lecz pustelnik rzecze:

Nie ty sadziłeś, nie ty zerwiesz, człecze.
A kapłan mową braciszka się zdumiał,
Coś sobie wspomniał i wszystko zrozumiał.
Zaraz tam poszedł z bratem i obaczył,
Że Bóg pokutę zbójcy przyjąć raczył.
Trzęś, rzekł do zbójcy: potrząsł, lecz nie spada
Najmniejsze jabłko; wtedy go spowiada,
A po spowiedzi znowu trzęść mu każe,
I wszystkie jabłka wnet się posypały,
Lecz dwa największe na wierzchu zostały.
„Widzisz, rzekł kapłan, że Bóg dobry maże
Wszystkie zabójstwa, prócz ojca i matki:
Lecz nierozpaczaj, Bóg kocha swe dziatki,
Jeszcze łez więcéj, jeszcze westchnień trzeba;
Błagajmy razem miłosierne nieba." —
Łzom i modlitwie Pan Bóg zawsze sprzyja.
Para gołąbków siada na jabłoni,
Wesoło grucha, wesoło się goni,
Trzepiąc skrzydełkiem te dwa jabłka zbija.
„Jak dobry Zbawca modłów prędko słucha!
Mówił pustelnik roszące łzami lice,
Bóg mi przebaczył i moi rodzice:
Tak niebu miła w ludziach święta skrucha."
A wtém zamilknie, na pierś głowę skłoni,
Oddaje z rajskim śmiechem Bogu ducha.
Para gołąbków zrywa się z jabłoni
I lecąc w niebo taką pieśnią grucha:

Po łzach i znoju
Chodź do pokoju
Kochany synku nasz;
Grzech cię nie plami,
Omytą łzami
Sukienkę cnoty masz,

Jęki i łezki
To kwiat niebieski,
Jak rozkoszna jego woń!
Błogosławiona
Miłość wcielona
Tem kwieciem zdobi ci skroń.

Bóg się weseli,
Święci, Anieli
I cały cieszy się raj,
Żeś ty zgubiony
Dziś powrócony
W ojczysty niebieski kraj.

Ach temu błogo,
Kto skruchy drogą
Zechce duszę swoję wieść;
A Tobie, Panie,
Za zmiłowanie
Chwała i sława i cześć.

ŚWIĘTY IZYDOR.

FRANC. MORAWSKIEGO.

Wpośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnéj-Góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojéj wierze
Za poczciwy grosz nabywał. —

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozpowiadał:

„O! nie wiecie wy ludkowie
Jak za dawnéj tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam, gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie stąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem,
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do taczek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziéj go bolały:
Cierń, co w Boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole,
Nie nagrody, lecz zasługi. —

I raz pan ów bez sumienia
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzągł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytém,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdéj trudnéj porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża kląkł w pokorze,
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętéj chylił skrusze
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swéj niedoli;
Gdy wtém w koło okiem rzucił:
Jakaś jasność! woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! widzi!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Dogorywa jego niwy!

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie:
Nie ma bicza rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołém,
Pług tak lekko idzie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy wtém anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;
Ginąc, takie słowa głosi:

„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi."

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tém samém miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niém wielkie mnóstwo ludu.

Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora
Wszystkich bogactw, wotów śli-
cznych.

Król po królu w wielkiem mieście
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa.

BRZOZA GRYŻYŃSKA.

FRANC. MORAWSKIEGO.

Lubisz urocze wiejskich marzeń kwiaty,
Przyjmij więc jeden w ofierze;
Pierwsza to gadka Wielko-Polskiej chaty
W szaty się rymu przybierze.

Nie żądaj od niéj świetnego ubrania
W proste się barwy przystroi;
Skromne są ludu naszego podania,
Skromny im wierszyk przystoi.

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiéj ziemi
Kościół świętego Marcina,
Głośnie on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeźli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoją obudzi;

Skąd polubiło ten pobyt żałosny,
Gryżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz ktoż wie, lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecię i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swéj mogiłce leżał
Antoś, matczyna nadzieja,
Kiedy wtém kopacz do księdza przybieżał,
I tak strwożył Dobrodzieja:

„Jakieś nam licho na cmentarz się wdarło,
Próżno człek strzeże i czuwa;
Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
Wciąż rączkę z grobu wysuwa."

Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska,
I trzykroć żegna, i zmawia pacierze,
I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnéj klęczy mogile;
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo powraca za chwilę.

Budzi się rączka tajemniczéj siły,
Wzrusza swój wzgórek grobowy,
I znów z zielonéj wyrasta mogiły,
Bieluchna jak śnieg majowy.

Dzwoni więc pleban; całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy wszyscy już staną dokoła,
Tak się odzywa do matki:

„Co w syna twego dzieje się tu grobie,
Ja ludzką myślą nie schwycę;
Saméj to tylko wiadomém jest tobie,
A więc wyjaw tajemnicę."

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy;
Gdy wtém strasznemi zaklęta słowami
Tak się wśród jęku tłómaczy:

„Kara to mojéj matczynej ślepoty,
Bóg mi złém za złe odmierzył;
Synek ten memi popsuty pieszczoty
Raz mię w swym gniewie uderzył.“

„Bierz więc tę rózgę i chłoszcz rękę syna,“
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
„Ziemskiéj on się tu kary dopomina,
Aby wieczystéj uniknął.“

„Uderz!“ zawoła — i silném ramieniem
Matka do grobu ciągnioaa
Odwraca oczy i z ciężkim westchnieniem
Okropnéj kary dokona...

I patrz! zaledwie różczkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój cofa, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
Różczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszéj zaraz wiośnie,
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz się wyżéj i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościołek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walą się dęby, całe walą lasy,
A brzoza stoi, jak stała.

I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie;
I coraz daléj i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiéj brzozie.

WIANO KRÓLEWNÉJ.

ADAMA GORCZYŃSKIEGO.

(Z wieku trzynastego).

„Głośne po całym mieście nowiny:
Przybyli wielcy panowie;
Po ich odzieży poznać i mowie,
Z obcéj że jadą krainy.“

„Stoją na rynku, nieś skorą nogę,
Nieś tę nowinę staroście; —
Jeden do zamku pytał o drogę,
Może do króla to goście?

„Bo zacni jacyś: ten co na przedzie,
Mnogo ma śrebra na sobie;
A koń, na którym ten starszy jedzie,
Godzień przy króla stać żłobie.“

Takiemi słowy gwarzą mieszkańce
Budy, Węgierskiéj stolicy,
Bieżąc na zamek, kędy wysłańce
Polskiéj jechali ziemicy.

Kiedy tak gwarzy ciekawy lud,
Tymczasem zacne te goście
Starą ulicą w królewski gród
Wjeżdżali bramą po moście.

I po stolicy biega nowina:
Księcia Polskiego to posły,
Wysłał ich książę, aby dla syna
Oblubienicę przyniosły.

Król Bela zasiadł w złotéj stolicy,
Młodziuchny przy nim królewic,
Śliczna królewna w ojca lewicy,
Kinga z orszakiem swych dziewic.

Zasłona z miękkich snuła się włosów
Na twarz myślącéj dziewicy;
W ręku paciórki miała z kokosów,
Z obrazkiem Boga-rodzicy.

Weszli posłowie — schyleniem głowy
Oddali pokłon Monarsze,

I łacińskiemi przemówił słowy
Poseł, co lica miał starsze.

Król Bela dobrą dał im odprawę,
Tém się niemało radował,
Że mir z sąsiadem krajowi sławę
I bezpieczeństwo rokował.

Więc do królowéj czoło swe nagnie
I rzecze: „Boska w tém wola;
Bolesław ciebie za żonę pragnie,
Dobra z nim czeka cię dola.

„Liść dziewiczego zamienisz wieńca
Na dyamenty korony;
Poseł nawiastkiem dziś nowożeńca,
Z tobą on będzie złączony.

„Zatem wyprawę dłonie niewieście
Niech szyją we dnie i w nocy —
I rzemieślnika, co w mojém mieście,
Przydać ku prędszéj pomocy.

„I miła córo, w posagu tobie
Dam srebra siedem tysięcy,
Abyś w przystojnéj była ozdobie
W nowéj stolicy książęcéj.“

Umilkł — i długo milczy królewna,
Zdarzeniem zdziwiona nowém,
Niby chce mówić, niby niepewna,
Jakiém odezwać się słowem.

Utkwiła w niebo ślicznych ócz dwoje,
I mówi: „Stań się twa wola —
Głos Boży płynie w to serce moje
Ustami ojca i króla.

„Więc ja ojcowską szanując wolę,
Pójdę w tę ziemię nieznaną,
Aleć nie srebrem jaśnieć na czole,
Inne przystało mnie wiano.“

I posłów wzywa: Niechaj ogłoszą
Swojego kraju potrzeby, —
Ci mówią: „Srebro — obcy nam znoszą
Za nasze miody i chleby; —

„Garniem owoce z sadów i roli,
Ni nam żelaza nie braknie;
Na jednéj jeno zbywa nam soli,
Ach soli naród nasz łaknie.“

A Kinga: — „Królu! jeżeli z wianem
Masz twoję wyprawić córę,
Z gór twoich solnych daj jednę górę,
Oddam ją moim poddanym.“

Król rozśmieszony taką przemową
Odpowie: — „Dobrze me dziecię,
Weź sobie górę, weź Stefanową,
W niéj soli leży obficie.“

Na to królewna pierścionek zdjąwszy
Daje ten posłu znak niby,
By na Stefana górze stanąwszy,
Pierścionek w dno wpuścił szyby.

Odjechał Poseł — nim zaszedł dzionek,
Wypełnił ten rozkaz Pani,
Cechę królewnej, złoty pierścionek,
Wpuścił do solnéj otchłani.

Z tém gdy się sprawił, wracał do Budy
Tak myśląc: „Będzie miał król
I koszta wielkie, i wielkie trudy,
Z dala przewozić tę sól.“

Wraz się odbyły zwykłe obrzędy —
A Kinga z dziewic orszakiem,
Na koniu strojnym w bogate rzędy,
Polskim puściła się szlakiem.

Przebywszy wielkie góry i wody,
W mieście Wieliczką nazwaném
Witał się z żoną Bolesław młody,
Kinga z swym mężem i panem.

A odsłoniwszy dłoń z rękawiczki,
Niby szukając pierścionka,
Rzecze: „Tu kopcie w rynku Wieliczki,
Kopcie od zachodu słonka.“

Bolesław lubo nie pojął zrazu
Słów wymówionych znaczenia,
Powtórzył słowa Kingi rozkazu,
I kazał szukać pierścienia.

A lud jął kopać, worów niemało
Ziemi wyciągnął ze studni;
Gdy się motyka otarła z skałą,
I kamień pod nią zadudni.

Po ciężkiéj pracy już z głębokości
Wydobyta na wierzch bryła:
„To sól!" wykrzyknął naród z radości!
Bo solna skała to była.

Jeszcze się ludy temu dziwiły,
A Kinga znowu zaleci
Rozbijać bryłę, i oto z bryły
Pierścień świecący wyleci! —

A Kinga rzeknie: „Węgierski król
„Srebra i soli jest Panem;
Chciał córę z srebrném wyprawić wianem,
Kinga prosiła o sól.

„Król solną górę dał swojéj córze,
Dziś matce chrobrych Polaków;
A Bóg rozkazał téj solnéj górze,
By sól przeniosła pod Kraków.

„Składając Bogu dzięki powinne
Naród niech dzisiaj się szczyci:
Solą żywiły go kraje inne
Dziś solą inne nasyci!" —

CHLEB.

ADAMA GORCZYŃSKIEGO.

(Wedle podania Oliwskiego klasztoru).

Kaźmierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męzki,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia latem zwędzona parném
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wzięte na wiosnę nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba
Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,
Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas Król Chłopków swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył;
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,
On widząc powszechną nędzę,
Gdzie nie mógł swoje dorzucić ziarno,
Tam on posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległą była,
Wisły przepasana wstążką,
Czołem się w wodach Baltyku myła
Stopę oparłszy o Ślązko.

A tak powszechny był niedostatek
I wszędzie tak równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dójść mogły chatek
Pańskie pieniądze ni chleby.

W onym to roku powszechnéj nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem mnogo pieniędzy
I ziarna mnogo nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego*) zbioru,
W kmiecią siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego gdy wracał z miasta
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dziecią̨tkiem w ręku stara niewiasta
Z przydróżnéj wybiegła chaty.

I woła: „Ratuj! jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru
Chleba bochenek pod szatą.

*) Przeszłorocznego.

Podziel się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka:
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.“

„Babo!“ rzekł panek, „pokój daj święty,
I nie zatrzymuj mię w drodze;”
I znów litością niby przejęty
Dodał: „Zawiodłaś się srodze:

„Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty;
U nas bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle méj chatki.”

Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał:
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże, w kamienie ty zamień.”

Ledwie co rzekła, panek postrzega,
Że chleba bochen ociężał;
Ciężarem swoim ramię przylega,
Na twardy kamień, bo stężał.

Otruchlał, czołem na ziemie padł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie w klasztornym ganku
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

PRZEWODNIK W PUSZCZY.

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO.

(W skróceniu.)

Wyzdrowiałem z ran, słyszę formują legiony,
Kij do ręki, ojczyste pożegnałem strony,
I ruszyłem w pielgrzymkę krętemi ścieżkami,
By przejść cało; a zima stała już za drzwiami.
Radzą: „Czekaj!“ nie słucham. „Zginiesz gdzieś od mrozu.“

Ja bym się im był wtedy oderwał z powrozu,
Tak mnie gnało . . . . Ruszyłem; w polach biało, smutno;
Wiosek rzadziéj, dróg rzadziéj, za borami Kutno,
A mnie droga na Kutno: Ha! myślę, wiedź Boże!
Tylem przebył, przebędę puszczy téj bezdroże.

„Późno było; gwiazd kilka wybłysnęło z nieba . . . .
— Dziś do puszczy nie wejdę, gdzieśby przespać trzeba.
Oglądam się za chatą, pusto, zimno, srodze,
A tu ówdzie ślad wilczy na śniegu znachodzę.
Wtém błysnęło pod puszczą, jakby od krzesiwa.
Człowiek blizko: hop! wołam, on mi się odzywa,
I wnet słyszę jak śnieg mu krok za krokiem chrupie.
Chwała Bogu! znów jedną noc spędzę w chałupie.

„Po chwili stał przedemną wieśniak z pękiem łomu.
Spojrzał na mnie i pyta: „Skąd wy? jak wy z domu?
Co prowadzi was tędy?” Jam zamilkł o celu,
Bom go nie znał, i rzekłem: „Miły przyjacielu
Czy dojdę dziś do Kutna?” On się wielce zdumiał,
Patrzał we mnie, z pytania znać się dorozumiał,
I rzekł potem: „Do Kutna? oj! nie tam ci droga;
Wyście wojak, wy chcecie z Francuzem bić wroga!
Dobrze! dobrze! lecz chodźcie zanocować w chacie.
A jak wy się zuchwale w tę drogę puszczacie,
O! żal mi was!” I tak się rozrzewnił nademną,
Że samemu mi w oczach od łez było ciemno —
Pod siermięgą pierś taka — taka zacna dusza!
I on był pod Dąbrowskim i znał Tadeusza.

„Stanęlim przed zagrodą — Dziw! istna reduta.
W Krągokop, palisady mocne, brama kuta;
Myślałem że tu który nasz oddział się schował,
I pod puszczą od wrogów tak się oszańcował.
A wieśniak rzecze: „Patrzcie, jak my tutaj żyjem.
Bór wkoło, noc w noc prawie z wilkami się bijem;
Okopywać musimy chatę i obory.
O! już ja was przed wiosną nie puszczę w te bory..

„I tydzień mi przeminął z wieśniaka rodziną.
Biedni byli, lecz nigdy z myśli mi nie zginą
Zadumane ich twarze, szczerość ich i cnota.
Serca im otaczała cisza i prostota.
On, jak byś z grobu zbudził kołodzieja Piasta,
Ciosał koła i sprychy, len przędła niewiasta,

Dziewka warzyła strawę, a dzieciaków dwoje
Oprą bywało ręce na kolana moje,
I patrzą jak aniołki na mnie, gdy im prawię
O kosach racławickich i Kościuszki sławie.
A gdy wspomnę że w drogę czas mi, że grzech czekać,
To jak pocznie biedactwo to na mnie narzekać:
„A czy wam zginąć pilno! czy my wam nie radzi?"
Tyle mi się łez naraz przy sercu zgromadzi,
Że milknę, a gospodarz smutny przy mnie siada,
I o wilkach téj puszczy dziwy opowiada.

„Lecz jeźli Bóg pielgrzymkę raz przeznaczy komu,
To go ni łza, ni prośba nie utrzyma w domu.
Pójdzie, choćby miał zginąć: Tak było i ze mną.
Usnąłem raz, sny dziwne krążyły nademną.
Budziłem się, żegnałem, wszystko nadaremnie
Zasypiałem — lecz serce spać nie mogło we mnie.
I obaczyłem we śnie nieznane mi strony —
Wiosna była na polach, błękit rozjaśniony,
A przy wzgórzu, gdzie srebrny strumyczek się zdroi,
Patrzę, stoi Dąbrowski i nasz legion stoi.
Poznaję ich: To wszyscy moi towarzysze! —
Jedni: Czemu mnie nie ma? zapytali — słyszę.
Drudzy rzekli: „Zapomniał!" — Pierś mi się ścisnęła —
A wtém legion zaśpiewał: „Jeszcze nie zginęła" —

„Pomodliłem się Bogu za tę w śnie przestrogę.
Zbudziłem gospodarza: „Bracie, ruszam w drogę!
Rzekłem doń. On się zerwał: „Czy śni się wam panie?"
„Śni mi się i wyśniło Boże nakazanie,
Bym nie marniał, lecz śpieszył w szeregi do braci.
Bywaj zdrów! za twe serce niech ci Bóg zapłaci."

„Dziatwa w jęki i w prośby, ja trwam niezachwiany.
Gospodyni zaklina na Chrystusa rany.
Wreście rzekła: „Ha! snać wam Bóg przeznaczył drogę;
Idźcież z Bogiem: bo trudy czekają was mnogie!"
I wyniosła kobiałkę ze serem i chlebem,
Dała mi ją na drogę błogosławiąc niebem,
I szkaplerz poświęcony dała mi ze wstęgą.
Chłop zaś ciepłą mi plecy osłonił siermięgą,
I uczył jak iść puszczą, gdzie się obłęd kręci —
Zacni ludzie! niech Bóg im chowa to w pamięci,
I ich dziatwie! Ruszyłem oni we drzwiach stali,
I słyszałem zdaleka, że głośno płakali.

„Idę, puszcza przedemną jeszcze w mrok osnuta,
Mróz ciśnie, lecz mnie w sercu gra wesoła nuta
Pieśni, téj czarodziejki zesłanéj od Pana —
Śpiewam sobie jak ptaszę obudzone zrana.
Gwiazdy poczęły gasnąć, dzień zaświtał blady;
Widna puszcza, ku puszczy wiodą wilcze ślady,
Świeżo, dzisiejszéj nocy udeptane w śniegu.
Mróz mnie przejął: śmierć wita u samego brzegu;
Gdy wejdę w głąb, pochłonie mnie tam bez litości,
I tylko śnieg przyprószy rozniesione kości.

„A posępnież ta puszcza zdala wyglądała.
W prawo, w lewo bezbrzeżna; z wierzchu szata biała
Osłaniała jéj wnętrza ponure ciemnice,
Gdzie spojrzawszy, myślałeś że wchodzisz w kośnicę,
Owieszoną białością na przekor żałobie,
Aby się śmierć tak straszną nie wydała tobie.
Na skraju cztéry dęby jak dziady brodacze,
Opodal płaczka brzoza, znać już kogoś płacze;
Pochyliła ramiona i bogate włosy,
Na które się rzuciły bluszcz i zmarzłe wrzosy,
Jak gady obłożone łuską kryształową,
Za nią szumiało w puszczy snu wiecznego słowo.

„Nie łatwy ma, bywało, przystęp do mnie trwoga;
Ale ten szum ponury, ta samotna droga,
Te jodeł kolumnady, co stały przedemną
Smutne, gdzieś w nieskończoność wijące się ciemną;
Te zwieszone z gałęzi śnieżyste kotary,
Które tu dzień już złocił, tam gubił mrok szary;
I jałowce pod śniegiem stojące jak duchy,
I ten zalatujący czasami ryk głuchy;
To wszystko, dziś ja żołnierz z wstydem wyznać muszę,
Taką zgrozą ziębiącą owiało mi duszę,
Że stanąłem jak wryty, myśląc że szatani
Prowadzą mie umyślnie w bezmiar téj otchłani,
I obłędem mi splączą w puszczy krok tułaczy,
A potem ducha porwą w piekło, gdy zrozpaczy.

„Trzeba wrócić i czekać aż Bóg zeszle wiosnę.
Tak dumając o starą oparłem się sosnę,
I z różnych wspomnień wnioski wyciągając różne,
Myślałem kędy kroki obrócę podróżne:
Bo do chaty wstyd wracać. Lecz wnet duszę skrzepłą
Jakieś zdrowe mi w piersiach ocuciło ciepło:

„Ludzi wstyd? — pomyślałem — a nie wstydże siebie?"
Ocknąłem się, uczułem, że nademuą w niebie
Czuwa Bóg wszechmogący i jego anioły.
Więc przeżegnawszy piersi ruszyłem wesoły;
Brnąłem w śniegi lub gęste rozdzielałem krzaki,
Z których wyskakiwały pierzchliwe szaraki,
I uciekając ślad mi zostawiały w boru,
A ja tym śladem szedłem w głąb aż do wieczoru.

„Zdało mi się, że puszczy przeszedłem połowę;
Jutro reszta. Lecz gdzie tu dzisiaj złożyć głowę?
Znużony byłem wielce; głód i mróz mię cisnął.
Księżyc tylko czasami z poza jodeł błysnął,
I siejąc na śnieg biały iskrzące promienie
Prowadził mnie przez puszczy tej straszliwe cienie.
Tak zaszedłem — a pewnie z północy już było —
Na polanę gdzie jodłę ujrzałem pochyłą;
Więc wydarłem się na nią tyle, by mnie z ziemi
Nie dostał wilk lub niedźwiedź pazury ostremi
I zajrzałem w kobiałkę.

„Tego nie opiszę,
Jaką ja tam noc miałem, w nocy jaką ciszę,
A czasami ryk jaki wilków, co szły zdali.
Kiedy ryknął, to zda się, że puszcza sie wali.
Zwietrzyły mnie, nadchodzą, stają pod mem drzewem,
Obwąchują je w koło, patrzą na mnie z gniewem,
Że daleko im siedzę; skowyczą, coś radzą;
Odbiegną precz, to znów się pod drzewem gromadzą,
I skaczą, czy mnie który skokiem nie dostanie,
Ale darmo. — Ja zgóry patrzałem się na nie,
Trzymając się konarów i modląc się Bogu,
Bom się iście już widział na wieczności progu.

„Odetchnąłem gdy przeszły. Lecz gdy wilków nie ma,
Kiedy cicho, powieki skrzepłéj sen się ima.
A zasnąć tu, to znaczy zasnąć już na wieki
Bez pojednania z Bogiem, bez bratniéj opieki,
I pochodować wilki i nie dojść w legiony! —
Złote płatki padały na mój wzrok znużony,
Albo sto gwiazd tańcując w sen mnie kołysało,
Tak żem spadał. Więc wtedy w dłoń z zimna skostniałą
Chwytałem śnieg z gałęzi i tarłem nim skronie.
I tak noc przepędziłem na tym strasznym tronie —
Ach! tylko jeden Bóg wie, co się ze mną działo.

Jeszcze raz przyszły wilki, potem zaszarzało.

„O! światłości, o! dziwna, o! niewysłowiona!
Iście, samemu Bogu tyś wytrysła z łona.
I tylko ten, któregoś tak wywiodła z cienia,
Lub kto ciebie obaczył wychodząc z więzienia,
Ten wie, czysta światłości, czém twój promień złoty!
Bóg tworząc cię, uczynił przewodniczką cnoty;
Przez ciebie mu na ziemi pierwsza zeszła chwała,
Jak ja, niegdyś tak ziemia na „stań się!" czekała.
I stało mi się widno, zeskoczyłem z jodły,
Złożyłem Panu Bogu za noc korne modły,
I śpiewając ruszyłem przez śniegi, przez kłody,
Z lepszą wróżbą o jutrze — Jutro? O! duch młody
Wierzy w jutro jak w Boga, gdy jutro zawodzi,
Wierzy w drugie i w trzecie . . . Szczęśliwi wy młodzi!
Wam się uśmiecha jutro — mnie tam za gwiazdami
Czeka już Bóg! —

„Więc brnąłem cały dzień śniegami
Bez chwili odetchnienia, pokąd nóg mi stało.
Kiedym usiadł odpocząć, w puszczy już szarzało.
Mróz brał coraz silniejszy, śnieg skrzypiał pod nogą;
Wstałem, bo mi się zdało żem się minął z drogą:
Chłop mi mówił, że dobrze idąc do wieczoru
Jutro ujrzeć mam Kutno wychodząc już z boru.
Lecz wieczór, bór nie rzednie, jednaki dokoła,
Tu, ówdzie księżyc złoci białe jodeł czoła,
I spojrzy czasem ku mnie smętnie jak na brata,
Który w téj dzikiéj puszczy zgubi młode lata;
Potém chowa się idąc za drzewa i chmury
I ciemno mi, a z puszczy słychać ryk ponury.

„Ha — myślę — możem tylko obłąkał się bokiem,
Jeszcze czas" — I ruszyłem naprzód śmiałym krokiem.
Choć mróz był, pot kroplami ściekał mi po czole,
Tak śpieszyłem, na Bożą spuszczając się wolę.
Lecz poznałem, że idąc błądzę coraz daléj,
Strach, mróz, niemoc, znużenie prawie z nóg mnie wali:
W oczach ćmi się, z za jodeł jakieś duchy, cienie
Na pół nęcąc, pół grożąc szlą ku mnie spojrzenie,
I wabią w sen. Ja duchy świętym krzyżem gonię,
Chwytam śnieg, na pierś kładę, trę nim senne skronie;
Bo kiedy już tak blizko śmierć stawa koło mnie,
To chciałbym jak katolik umierać przytomnie,
I Bogu wypowiedzieć to, czém pierś oddycha.

Stanąłem, i począłem pacierz szeptać z cicha,
Pacierz, jak mi się zdało na ziemi ostatni,
Którym duch mój świat żegnał śpiesząc do wypłatni.

„A w puszczy było cicho; śmierci sen głęboki
Objął wszystko. Po chwili usłyszałem kroki,
Raz w lewo, raz na prawo wijące się śniegiem,
Jak zwierza, który strzelca chce omylić biegiem.
„Jeźli to wilk mnie wietrzy, czém ja się obronię?”
Lekkim tylko kosturem zbrojne miałem dłonie,
A w kobiałeczce nożyk do sera i chleba,
Lecz z krzesiwkiem; więc — myślę — ognia skrzesać trzeba
Skoro wilk się pokaże: wilk ognia się boi.
Dobyłem nóż i krzemień, patrzę; on już stoi.

„Krzyknąłem i za jodłę cofnąłem się krokiem.
Krzeszę ognia, wilk stoi, patrzy na mnie wzrokiem
Takim, jakby żałował tego, że mnie strwożył.
Księżyc świecił nań z góry, on się w śnieg położył,
Podniósł mordę i wietrzył czy sam jeden stoję,
I znów we mnie utopił jasnych oczu dwoje,
Świecących jak dwa węgle, a te mnie wzywały
Jakąś niemą wymową, bym szedł i był śmiały.

— „Nie uwierzę ja tobie mój pokorny wilku.
Ty leżysz a za tobą w krzakach czycha kilku,
I ledwie stąd się ruszę, wpadną na mnie z kłami,
Wolę stać, i zamarznąć niż szarpać się z wami.”
A on jakby te wszystkie myśli odgadł we mnie,
Powstał, spojrzał i począł odchodzić odemnie
Z łbem zwieszonym, chcąc pewnie przekonać mnie bieden,
Że nie mam się bać czego, bo on tu sam jeden.

„Nieraz gdym opowiadał, ludzie małéj wiary
Mówili mi, że to był pies jak wilki szary,
A jeźli wilk, to pewnie pieszczony z podwórza.
Ja nie wątpię, że łaska spotkała mnie Boża; —
Tylekroć mnie zbawiwszy z rozlicznego trudu,
Czemużby i z tym wilkiem Bóg nie zdziałał cudu?
I wyznam, że gdym w oczy patrzał mu zdaleka,
Zdało mi się, że wilk ten ma oczy człowieka;
Stworzon do krwi, nie szukał we mnie świeżéj strawy—
Patrzał bystro; lecz w oczach jak promyk bladawy
Przebiła się czasami jakaś niema żałość,
Od któréj mi do serca powracała śmiałość.

I chociaż noc wczorajsza w pamięci mi stała,
Coraz więcéj pierś moja z nim się oswajała.
A wilk jakby zrozumiał, co ja myślę w duszy,
Stanął, wpatrzył się we mnie, w górę podniósł uszy,
I pomiędzy jodłami krążył w około mnie,
Coraz ciaśniejszém kołem, coraz bliżéj do mnie,
Aż przyszedł tak, że mógłem uderzyć go nożem,
I stał, a jam czuł litość z tém stworzeniem Bożem.

„Stalim tak. Ja czekałem czy na mnie nie skoczy.
On mi ciągle jednako smutnie patrzał w oczy,
Jakby mi chciał powiedzieć, że mu źle w tym boru
Gdzie każdy go się lęka jak złego upioru,
I zabija gdy może oszczepem lub kulą.
A czasem mu się oczka świecące tak czulą,
Jak gdyby mi dziękował, że ja z nożem stoję,
I zaszkodzić mu nie ma złości serce moje.

— „Ha! to cud! ten wilk szuka z tułaczem przymierza.
Niedola dzisiaj zbliża do człowieka zwierza.
I takie między nimi tworzy obcowanie,
Jak tam w raju gdy z ręki Twojéj wyszli, Panie.

„A po niejakim czasie, któż temu uwierzy?
Wilk przystąpił, paszczęką dotknął méj odzieży,
I pociągnął za połę, potém odszedł kawał
Wrócił i znów pociągnął; tem znaki mi dawał
Bym szedł za nim. Ha, myślę — nie ma co wybierać,
Czy tu, czy głębiéj w puszczy — jednako umierać —
A może téż cudowny, wszechmogący Boże,
Z téj puszczy się wybłąkać wilk mi dopomoże.
I ruszyłem. On widząc to, podskoczył żwawo,
Jak z radości, a potém szedł powoli w prawo,
Oglądając się za mną, czy idę, czy stoję?
Wiodło mnie tak godzinę to wilczysko moje,
Aż do kłody, gdzie stanął, i tém znak mi dawał,
Jakby czuł żem znużony, abym i ja stawał.
Toż widząc tę troskliwość w wilku przyjacielu,
Stanąłem jako stanął Ujasz na Karmelu,
Gdy znużonemu głodem skromne pożywienie
Przyniosł nagle kruk czarny przez Boże zrządzenie.

„Usiadłem błogosławiąc za cud niebios Pana.
Wilk stał, czasem paszczęką dotknął mi kolana,
Spędzając mi sen z oczu: bo spałbym na wieki,

Gdyby mi sen — na mrozie skleił był powieki.
Ja zaś sądząc, że długo jeszcze iść mi trzeba,
Dobyłem sér z kobiałki i kawałek chleba,
Chcąc posilić się w drogę darem zacnéj ręki.
Lecz mam druha, wiec sera uciąłem kęs miękki,
I podałem wilkowi, by pożywał ze mną.
On nie przyjął go, może przez litość nademną,
A kiedym się posilił, znów mnie wziął za nogę,
Dając znak że noc długa i czas ruszać w drogę.

„Ruszylim, wilk szedł przodem. Długo bór jednaki
Ciągnął się. Wnet ujrzałem ośnieżone krzaki
Leszczyny i jałowcu, jak na tamtéj stronie,
Kiedym wchodząc do puszczy żegnał jasne błonie.
Więc i kres nie daleko: bo krzew tylko rośnie
Z kraju borów. Serce mi jęło bić radośnie;
Lecz pomny, że tak samo krzewiem się poczyna
Polana, gdziem nocował, gdzie wilków drużyna
Skakała ku mnie w górę, przestałem się cieszyć.
Wilk szedł raźno, musiałem i ja krok przyśpieszyć.
Wreszcie stanął, ja staję, patrzę: wielki Boże!
Przedemną szczere pole, otwarte jak morze
Ciągnie się, że oczyma trudno mi je zmierzyć!
Patrzę na szczęście moje i nie śmiem mu wierzyć.
I jak Mojżesz stał w skrusze przed krzakiem w płomieniach
Tak ja utkwiwszy oczy w tę błoń, w nocnych cieniach
Kruszyłem się pacierzem wielbiąc wszechmoc Boga,
Któremu w puszczy była widna moja droga.

„Wilk czekał, jakby więcéj nie chciał mnie porzucić.
Lecz kiedym szukał wzrokiem gdzie kroki mam zwrócić
Obejrzał się i ruszył skrajem puszczy w lewo,
Gdzie ujrzałem z daleka we mgłach nocnych drzewo,
I chatę na opłotek skłonioną pochyło,
I dwa okna, a w oknach światło się świeciło.
Tu stanął mój druh wierny, przewodnik méj drogi,
Patrzał mi długo w oczy, łasił się u nogi;
Jam go głaskał i płakał i modlił się: „Panie!
Niech się nigdy to zwierzę strzelcom nie dostanie;
Udziel mu pożywienia od ludzi zdaleka —
On jest głodny, a przecież ocalił człowieka."

„Potem zawył żałośnie mój wilk, spuścił głowę,
I począł iść powoli w otchłanie jodłowe,
Oglądając się za mną czy idę, czy stoję.

Stałem, pokąd nie znikło w boru zwierzę moje,
I poszedłem do chaty, gdziem spędził dni kilka —
Lecz odtąd jużem nigdy nie strzelał do wilka.

3.) Powieści i Śpiewy historyczne.

STRACHY.

POWIEŚĆ ANT. EDW. ODYŃCA.

Na wierzchołku jednéj góry
Stały zamku pyszne mury;
Dach czerwono malowany,
Duże okna, białe ściany;
Nad gankiem herb, domu chwała,
Bęben, sztandar i dwa działa;
W nim małżeńskiéj znak jedności,
Cyfra Jego- i Jéj-mości
Wymyśleniem wcale nowém
Strzela z rury; jedném słowem,
Wszystko pięknie i wspaniale.
Lecz na świecie nic bez ale,
Czego — *sic fata tulere*, —
Gmach ten miał dowody szczere.
Bo co do mnie, choć bogaty,
Choć pięknie wyglądał z wierzchu,
Choćby męztwa był zapłatą,
Nie radbym w nim być o zmierzchu;
Gdyż jak powiadają cicho,
Było w zamku jakieś licho.

Nikt nie zgadnął, nikt nie wiedział,
Co téż tam za kaduk siedział;
Ale że siedział, to pewna.
Czy to zaklęta królewna?
Czy upiór o djabléj mocy?
Czy czarownik, czy złe duchy?
Nie wiem — dość że o północy
Drzwi skrzypią, brzęczą łańcuchy,
Wicher świśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomych strojach
Chodzi po pokojach,
I aż zaczną śpiewać kury,
Różne płata awantury.
Zdawna, jak zapamiętano,
Już się w zamku ten strach kręcił
Próżno księdza sprowadzano,
Próżno żegnał, próżno święcił;
Trudne bardzo z djabłem boje,—
Pleban swoje, djabeł swoje.

Nie najbardziéj radzi z gości
Pan i Pani, pełni strachu,
Zostawiwszy djabléj mości
Usum fructum swego gmachu,
Sami w co prędszéj ucieczce
Widząc ratunek jedynie,
Choć z biedą, jak śledzie w beczce,
Mieścili się w oficynie.
Mieli rozum, bo koniecznie
Lepiéj ciasno, a bezpiecznie. —

A tymczasem bies, pan placu,
Hulał sobie po pałacu,
Brojąc co mu się roiło.

Szczęściem tak się nadarzyło,
Że po dawnéj znajomości,
Przyjechał do Jegomości,
W konwikcie kolega dawny,
Jeden poeta sławny,
A poeta jakich mało.
Choć mógłbym, z jego pochwałą
Nie mam czasu zbyt się szerzyć.
Prawda, że mu towarzysze
Mówili, że on źle pisze,

Lecz on temu nie chciał wierzyć;
Bo i któż Zoilów słucha?
Owszém z przekonaniem mocném,
Sądził się w pokorze ducha,
Najmniéj Homerem północnym.
Bardzo słusznie — któż zaprze-
czy? —
Ale wracając do rzeczy:
Po półwiecznem niewidzeniu
Skoro go ujrzał Jegomość,
W kordyalnem uściśnieniu,
Dawna odżyła znajomość.

By gościa przyjąć sowicie
I uraczyć należycie,
Flasza dębniaku wyjęta,
Co Sasów jeszcze pamięta;
A przy miodzie, mówią starzy,
Słodziéj się gawędka gwarzy,
Rośnie ufność w przyjaciołach,
Przymus niknie, duch rzeźwieje.
Daléjże więc, to o szkołach,
Co się działo, co się dzieje,
Kto jakie przeszedł koleje,
Kto gdzie bywał? gadu, gadu,
Od poranku do obiadu,
Od obiadu do wieczora.
Wtém już i spóźniona pora,
Na deszcz się jęło zanosić;
Grzeczność każe na noc prosić,
A tu — ani weź niestety,
Nie ma gdzie podziać poety!

Gospodarz gdyby na igle,
Kręci się na wszystkie strony:
Tu grzeczność, tam hałas żony;
Aż potrzebą przynaglony,
Puścił się w końcu na figle.
Nie patrząc więc czy to pięknie
Będzie, gdy się gość przelęknie,
Słowa nie mówiąc o strachu
Zaprasza na noc do gmachu.
Wieszcz, jak zwykle dobra dusza,
Bez namysłu śmiało rusza. —
Lecz Jegomość widać jeszcze
Nie znał dobrze, co to wieszcze,
Jak pochopni, jak ochoczy
Awanturom zajrzeć w oczy.
Snać nie wiedział, jak to moi
Po Febie bracia stryjeczni,
Wszyscy są arcy-waleczni,
Żaden się djabłów nie boi;
Chociaż się wydarza czasem,
Że ich w swoich rymach mieści,
Ale to tylko nawiasem;
Mniejsza o to. — Ja tymczasem
Wracam do dalszéj powieści,
Z którą już bez żadnéj przerwy,
Prościutko do końca idę:

Otóż, jak wam rzekłem pierwéj,
Poeta, *in bona fide*,
Nie wiedząc o Bożym świecie,
Ni o zdradzie, ni o strachu,
Maszerował spać do gmachu.

Ale nie sam jeden przecie:
Z kimże takim? Z Jegomością,
Skądże jemu śmiałość taka?
Grzeczność wiodła nieboraka.
„Niech licho z taką grzecznością!"
Myślał, idąc jak na ścięcie;
Dusza schowała się w pięcie,
Zęby głośne larum dzwonią,
Wzrok schylony zakrył dłonią,
Snać się bojąc ujrzeć strachu.
Przyszli nakoniec do gmachu.
Niosąc na przypadek wszelki,
Karabelę, pistolety,
A na wniesienie poety
Węgrzyna cztéry butelki.
Przyszli, stolik postawili,
Cztéry świece zapalili,
A usiadłszy przy kominie,
Poeta tak zaczął pierwszy:
— „Wiesz, jak się w całéj krainie
Rozlega echo mych wierszy?
Wiesz, jako w trudnych zawodach
Do laurowéj biegąc mety,
Sława ma na cztérech odach,

Wszystkie prześcigła poety?
Jak za tragedyą sławną,
Oklask parteru dostałem?
Lecz nie wiesz, właśnie niedawno,
Drugą taką napisałem.
Dziś więc, gdy i czas po temu,
I mam do czytania wenę,
Racz jéj słuchać; notabene —
Tobie to tylko jednemu
Daję ten dowód przyjaźni.
Słuchaj więc, a bez bojaźni
Powiesz mi zdanie otwarte;
Bo choć znam, co czego warte,
Choć mię nigdy na me wady
Miłość własna nie zaślepi,
Sądziłbym jednak, że lepiéj
Zasięgnąć twéj mądréj rady."
Nic mu Pan nie odpowiedział,
Bo nic ni słyszał, ni wiedział;
Strasznym zdjęty ambarasem,
Nie do krytyk się sposobił,
On myślił, by z nim dziś czasem
Strach tragedyi nie zrobił. —
Lecz wieszcz mając chęci szczere
Czytać, a przytém w pamięci,
Że *qui tacet consentire*
Videtur, papier rozkręci,
I łyknąwszy haust węgrzyna,
Czytać zaczyna. —
I czyta, czyta z zapałem,
Sam sobie tylko przerywa:
„Uważ jaka scena tkliwa,
Jak tu namiętność wydałem!"—

Nie skończył aktu połowy,
Drzwi skrzypły, brzękły okowy,
Wicher świśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomym stroju,
Coraz bliżéj krok pomyka,
Idzie prosto do stolika,
I stanęła koło pieca.
Widzi to Pan i drży cały,
Jak mur lica pobielały;
Bogu się tylko poleca.
A nasz poeta w ferworze,
Grzbietem zwrócon ku potworze,
Jakby wśród najgłębszéj ciszy,
Oprócz siebie nic nie słyszy.

Bo jak głuszec gdy tokuje,
Nic nie widzi, nic nie czuje,
Ani strzelca, ani strzału;
Tak poeta wśród zapału,
Gdy swe wiersze deklamuje.
Stąd téż bynajmniéj nie ganim,
Że myśl utopiwszy w chwale,
Ani przed nim, ani za nim
Co się działo, nie dbał wcale;
A choć słyszał jęk i żale,
Rozumiał pełen radości,
Że to w jego tkliwéj scenie,
Tak żałośne rozrzewnienie
Napadło na Jegomości;
Więc daléj, rad z powodzenia,
Czyta bez zastanowienia.
A straszydło stojąc z cicha
Ciągle słucha, ciągle wzdycha,
Pociągać zię zaczynało.
I umilkło — znów jęknęło;
Chciało westchnąć — i ziewnęło;
Znów chce westchnąć — i znów
ziewa.
Jak zawsze było przywykło
Czekać póki kur zaśpiewa,
Teraz jednym razem znikło,
I już go więcéj nie było. —

Możeby jeszcze wróciło,
Lecz Jegomość rad z odkrycia,
Przynętą hojnéj pochwały,
Trzymał wieszcza tydzień cały
Do wiadomego użycia.
I jak antidotum strachu,
Co noc go wodząc do gmachu,
Drzémiąc, chwalił co ów czytał.
Nieraz jeszcze strach zawitał;
Aż nie mogąc dostać placu,
Mimo wszelkiego *decorum*,
W trzecim akcie znikł z pałacu
In saecula saeculorum.

Moi czytelnicy mili,
Nie będziecie mi wierzyli,
Lecz by wam téj prawdy dowieść,
Gdy czasem na was którego
Napadnie co podobnego,
Przeczytajcie mu tę powieść. —

POLICZEK.

POWIEŚĆ J. N. J.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Kto za wielkością, kto za blaskiem goni,
Kto drży przy pieniu okazałéj treści,
A łzy przed cichą cnotą nieuroni:
Niechaj nie słucha téj skromnéj powieści.

Nawet w twe błogie, poezyo, kwiaty
Stroić nie będę szlachetnego czynu;
Pokornéj cnocie skromnéj trzeba szaty,
Gmin mnie zrozumie, ja śpiewam dla gminu.

„Gdy pił król August, naród był pijany,“ 1)
Brodził w rozpuście, zbytku i swawoli;
Pan się weselił, a jęczał poddany,
I nikt nie ulżył nędzy i niedoli.

Stolicę państwa, jak Sodomę drugą,
Owiała zewsząd pijana pomroka;
Wszystko wróżyło noc ciemną, noc długą . . . .
Próżne przestrogi! nie było proroka.

W onym to czasie przyszedł do Warszawy
Sługa Chrystusa z nadsekwańskiéj ziemi;
Zwał się Boduin; a był człowiek prawy,
Co umiał uczuć litość nad bliźniemi.

I widział w państwa możnego stolicy,
Z bólem dla serca, hańbą dla ludzkości,
Widział! o! zgrozo, jak się na ulicy
Psy ujadały o dziecięcia kości.

Gdy otarł oczy napełnione łzami,
Wzniósł je w niebiosa i wyrzekł w pokorze:
Ty, co opiekę masz nad sierotami,
Myśl moję czystą pobłogosław Boże!

Od téj godziny starca i kalekę,

1) Słowa Krasickiego.

Dziecię rzucone na łup poniewierce,
Choć skarbów nie miał, w silną wziął opiekę;
Bo umiał wmówić litość w każde serce.

Razu jednego gdy swoim sierotom
Wyszedł za wsparciem ów człowiek ubogi,
Anioł, co jego przewodniczył cnotom,
Zawiódł go w domu wspaniałego progi.

Był to dom graczy. O ty! co w podziale,
Oddajesz nędzy grosz wdowi wesoło,
I chleb z nią łamiesz pieczony w popiele,
Słuchaj i z dumą wznieś ku niebu czoło.

W bogatéj sali, przy zielonym stole,
Dwunastu graczów zasiadło w milczeniu;
Trzynasty z piętnem Judasza na czole,
A wszyscy jego posłuszni skinieniu.

Gdyby to złoto, co błyszczy przed niemi,
Rozdał ludzkości ginącéj w potrzebie;
Ileżby jęków, łez oszczędził ziemi! . . . .
Litości! gdzieżto śmiałem wspomnieć ciebie.

Na téj zapadłéj, trupio-bladéj twarzy,
W oku, co mało z głowy niewyleci,
Litośćże ogniem tak dzikim się żarzy? . . . .
Wszak Bóg dał temu człowiekowi dzieci.

Patrzcie, to młode szlachetne oblicze
Już rozpacz krzywi uśmiechem Kaina;
Jeszcze dwa kroki fortuny zwodnicze,
A matko! matko! płakać będziesz syna.

Pobożny kapłan ku temu się zbliżył,
Który najhojniéj miotał kruszec złoty,
Głos do pokornéj, cichéj prośby zniżył,
I żądał wsparcia w imieniu sieroty.

W téj właśnie chwili odwiecznym wyrokiem,
Co ludzkim sprawom pewien cel zamierzył,
Gracz przegrał kartę; więc z iskrzącém okiem
Skoczył, kapłana w policzek uderzył.

Rozszedł się odgłos po obszernéj sali,
A potem cisza, potém zimna trwoga;
Gracze zadrżeli, pobledli, powstali,
Jakby ujrzeli twarz groźnego Boga.

Choć stał spokojny, cichy, niewzruszony,
Tylko, blask chwały, łza w oku zaświeci,
Tylko natrętniéj potrząsnął skarbony,
I rzekł: „to dla mnie, Panie! cóż dla dzieci!" —

Cnota tak wzniosła godny tryumf bierze,
Bo litość serca rozbraja nieczułe;
A złoto czartu niesione w ofierze
Idzie w ubóstwa i nędzy szkatułe.

O! jeźlim kogo tak prostemi słowy
Wzruszyć nie zdołał, niech pójdzie, przebieży
Dzieciątka Jezus w Warszawie budowy,
A uczci męża i w cnotę uwierzy.

PIOTR PSZONKA JASIEŃCZYK.

POWIEŚĆ SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.

Piotr, herbu Jasieńczyk, Pszonka zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk Szczekarzewic pan,
Hardzi to panowie:
Nie mają boskiéj bojaźni,
Śmieją się z ludzkiéj przyjaźni.

Wypadli oni jednego dnia
Na blizkiéj wsi pole,
Z nimi ludzi, koni, chartów ćma,
I stado sokole;
I polują jak po borze,
I tłuką zboże nie zboże.

Zaszedł im drogę lud całéj wsi,
Błagali biedacy:
„Co robicie? toż pot naszéj krwi,
Szczędźcie krwawéj pracy!"
I czapkami się kłaniali:
„Niech się Ich Miłość oddali."

Fukiem, śmiechem zbyto prośby ich:
Dla biednych niedola,
A dla panów niepobożnych śmiech.
Pognali przez pola,
Wieśniacy odeszli z niczem,
Jeszcze niejeden wziął biczem.

W tym czasie zjechał na sądy w gród
Król Wielki Kazimierz,
Przed nim więc upadł i wołał lud:
„Wymierz prawo, wymierz
Panom, co gorsi od Litwy!
Jak Bóg masz nasze modlitwy."

Bacznie wysłuchał żałoby król,
Wyjechał na rolę,
Przeszedł się w poprzek i w podłuż pól,
Obejrzał swawolę.
Szkodę na palcach zrachował,
I tém słowem wyrokował:

„Za szkodę to a to każdy z was
W chłopskie ręce złoży,
Byście umieli na drugi raz
Szanować dar Boży:
Zboże, główny niebios datek,
I cały kmiotka dostatek.

„A za biczowanie ludzi cnych,
Abyście wiek wiekiem
Pomnieli na to, że ból nie śmiech,
A człowiek człowiekiem,
Po razu każdy z tych kmieciów
Smagnie biczem grzbiet Waszeciów."

I stało się, że Piotr Pszonka zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk Szczekarzewic pan,
Choć butni panowie,
Zapłacić szkodę musieli,
I jeszcze biczami wzięli.

Pan Pszonka wielce do serca wziął
Tę swoję przygodę,
Zmienił się jak jędor, króla klął,
Targał się za brodę:
Poczekaj, wołał, stary psie!
Długo ty popamiętasz mnie;

Poznasz ty, co to za chłopski gnój
Biczować rycerza:
Ja ci w ten Łobzowski stolec twój
Tak podsadzę jeża,
Że niech wszyscy chłopi babią,

To go ztamtąd niewywabią.

I pokryjomu szedł z Polski precz
Pomiędzy Litwiny.
I wołał do nich: „Ogień i miecz
Na Lackie krainy!
Król stary, i przy Esterce
Spalił w popiół męzkie serce.

„Cała wam Polska leży jak trup,
Tylko ją oprawić;
Tam lud, grosze, bydło, wszelki łup,
Tylko się nie bawić.
Ja wam wskażę takie szlaki."
Że się zjawim jak cud jaki."

Przystała Litwa; Litwie w to graj.
Hura do zachodu!
Wyją, jak żeby wilków sto zgraj
Zawyło od głodu.
I daléj wzuwać chodaki,
Przepasywać się w sajdaki,

Przysmalać w płomieniach groty dzid,
A kiełznać Żmudziny!
Za chwilę ciągną jak chmura bied
Do Lackiéj krainy;
A Piotr poprzodu, o wstydzie!
Na kraj własny z wrogiem idzie.

Jak Litwin w lasy raz nurka da,
Tak płynie puszczami,
Aż się wychyli na światło dnia
Nad Wisły brzegami;
Tam się otrząśnie, wypocznie,
I radzi co dalej pocznie.

„Stójcie! rzekł Pszonka; ja pójdę wprzód:
Z Wisłą żartu nie ma;
„Ja pójdę wprzód i wytknę wam bród!
Co rzekł, to dotrzyma.
Poszedł, wynalazł bród rzeki,
I na znak postawił tyki.

Sprawiwszy wszystko, już wracać miał,
Gdy ujrzał, że blizko
Święty Stanisław kamienny stał;

Więc na urągowisko
Rzekł mu w szyderskim uśmiechu,
Grożąc palcem: „No! sza mnichu!"

Na to z kamiennych świętego warg
Wyszły ciche słowa:
— Wielki Boże! złam ten hardy kark!
Niechaj zdrajcy głowa
Sobą tę czystą krew spłaci
Którą w myślach toczy z braci.

I w téjże chwili ślizka się łódź,
Wodą jak po lodzie;
Dwóch w niéj siedziało: anielska młódź,
W anielskiéj urodzie,
W anielskiem opromienieniu,
Ale w rybackiem odzieniu.

Jak ślad od gwiazdy, taki płomień tlał,
Za lekkiem czołenkiem,
Z brzega do brzega podniósł się wał,
I toczył się z dźwiękiem.
Żerdzie wierzchów uchyliły,
Szeregiem z miejsca ruszyły.

I szły jak ptastwa wodnego rzęd.
A gdy przepłynęli,
Kędy największa głębia i pęd,
Rybacy zniknęli;
Żerdzie znów się wprost podniosły,
I stanęły jakby wrosły.

Zaledwie ziemię osłonił zmrok,
Horda Litwy rada
Rzuca gęstwinę pustyń, i w skok
Nad Wisłę przypada.
I jak szła, tak w wodę wbiegła
Gdzie znaki brodu postrzegła.

Ale jak tylko rzucili ląd,
Straszny krzyk się budzi,
Nie hamowany, bezdenny prąd
Rwie konie i ludzi,
Przewala wiru falami,
I rzuca daléj trupami.

Zginęli wszyscy, co pierwsi szli;
Ci, co pozostali,
Iść już niechcieli, a wściekle źli,
„To zdrada! wołali:
„Gdzie jest Lach, co nas prowadził?
„Pod miecz go! on Litwę zdradził."

Próżno się Pszonka wymówić chce,
Czerń Litwy rozjadła
Na nic nie baczy, miecz tłumu tnie,
Już głowa odpadła,
Już na żerdzi głowa święta
Na pamięć zdrady zatknięta.

Litwa, dalszy zaniechawszy łup,
Wróciła w swe knieje,
A pana Pszonki w pół nagi trup
Nad Wisłą bieleje,
I głowa kiwa się ścięta
Od ptaków nawet nietknięta.

Tylko skrzydłami ptak czarnych piór
Wiał z niej jak proporczyk,
I wciąż krakał; miał to być zły twór:
Pan Otto Toporczyk,
Który z żalu, jak wieść niesie,
Obwiesił się w blizkim lesie.

POPAS W UPICIE.

POWIEŚĆ A. MICKIEWICZA.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica!
Dzisiaj, miasteczko liche; jedna w niém kaplica,
I kilkanaście chatek żydowskiéj siedziby.
Gdzie były ludne rynki, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.
Mury w gruzach; na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

Tam, na popasie, z nudu rozważać począłem,
Miny i mowy ludzi, siedzących za stołem.
Trzech było. Pierwszy starzec z posrebrzanym włosem;
Na łbie konfederatka rzucona ukosem;

Wąs augustowski; żupan, dzisiaj popielaty,
Trudno odgadnąć jaką miał barwę przed laty;
U pasa karabela. Obok siedział młody,
We fraku z samodziału, krojem nowéj mody;
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się z pływającym u bóta kutasem,
Lub żartował z sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mówił; „Héjno! dobra nasza bez maryasza!
Poco trupami w szabas arendarzów trworzyć?
Słuchajcie kumy, gotów z wami się założyć,
Że jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nie prawdaż, sąsiedzie?"
Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy.
Siciński? i w Upicie? Imię strasznéj sławy!
„O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy,
I o jakim Sicińskim?" Na to kontuszowy:
„O Sicińskim? Z początku całą rzecz wywiodę.
Na miejscu gdzie żydowską widzimy gospodę,
Był zamek nieboszczyka; przy tém imion wiele,
Konneksye potężne, mnogie klientele,
A stąd ćma popleczników i kresek bez liku:
Siciński był Dyktator na każdym sejmiku!
Starszych i zasłużeńszych patricios zhasał.
Ale nie dosyć na tém: na wyższe się kasał.
Poczęła też kłuć w oczy zbyt rogata duma;
Przyszedł sejmik poselski: nauczono kuma.
Bo gdy pewny wyboru posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza,
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi:
Liczą turnum — Siciński padł na cztéry nogi!...
Agitatus furiis et impotens irae,
Umyślił zgubić szlachtę: o scelus! o dirae!
Daje obiad. Zwiedziona zbiera się drużyna:
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka plebs; wtém blekotem*) zaprawione męty
Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty;
Daléj kłótnia, hałasy, istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel,
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
Tros Rutulusve fuit, wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,

*) Blekot, gatunek szaleju.

Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.
Jak ów Ajax scopulo infixus acuto,
Expirans flammas: straszna lecz słuszna pokuto!" —
„Amen!" rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku,
I chcąc z bajecznéj plewy prawdę wywiać nagą,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą:
Że Pan Marszałek, z którym on do stołu siada,
I u którego książek niezmierna gromada,
Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawżdy mówi:
On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi.

Z tych słów Marszałka głowa ekonomska wniosła,
Że nie szło tam o sejmik ani wybór posła:
Że musiała być wojna... przeciw komu? kiedy?
Trudno zgadnąć: zapewne z Turki albo Szwedy;
Pewno Siciński króla do Upity zwabił,
Oddał w ręce najezdzcom i ojczyznę zabił.

Chciał daléj rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła
Zezem nań spozierając: „Niedobrze" — zawoła —
„Jeźli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki.
Ja wam opowiem jako najlepiéj świadomy:
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary,
Nie chciał płacić dziesięciu, nie bywał w kościele,
Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele;
Chociaż mu nieraz Biskup listami zagrażał,
Choć go wyklął z ambony: Siciński nie zważał.
W święto Bożego Ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię;
Dokopał się swéj zguby i powszechnéj szkody!
Bo z owéj studni tyle wybuchnęło wody,
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice.
Sicińskiego, jak słusznie Pan Sędzia namienił,
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wyplenił,
Trup klątwą uderzony dotąd cały stoi:
Ziemia go przyjąć nie chce, robactwo się boi.
Nie znalazłszy na ziemi święconéj spoczynku,
Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku;
Bo go nieraz dziad jaki, uniosłszy z cmentarza,
Wlecze w szabas do karczmy straszyć arendarza."
Skończył, i drzwi stodoły odemknął. Tam stało

Szkaradne, starożytne nieboszczyka ciało.
Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci;
Usta wypsute, przez nie ząb gdzie niegdzie świeci.
Zresztą, nietknięta ciała zdrowego budowa,
Postać ludzką od żywéj nie zbyt różną chowa.
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu;
A jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać:
Tak owa twarz, choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za pierwszym rzutem oka, coś takiego widać,
Czego żadnémi słowy nie podobna wydać.
Dzikość szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy;
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.
Barki na dół pochylił, głową na pierś zwisnął;
Zda się, że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła,
I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w któréj łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
W gruzach daje odgadnąć, czyim była domem;
Gdy węża po zrzuconéj rozpoznasz skorupie:
Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

O towarzysze! rzekłem, pocoście nie zgodni?
On był nie jednéj winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał!

A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych... Lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony: Czém są wszystkie dzieje?...

Z WITOŁDOWYCH BOJÓW.

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Pieśń wstępna.

Dla czego duchem po rodzinnéj ziemi
Błądzę ja zawsze, rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,
Życia, wśród prochów, śmierci, wśród żałoby?
Dla czego idę ze świata upiorem
Na Anafielas*), gdzie naddziadów cienie,
Z łukiem na plecach, a w rękach z toporem,
Z siwemi brody, siadłszy na kamienie.
Płaczą i patrzą ku rodzinnéj stronie
Szklannemi oczy, bez łzy i uśmiechu,
Sparłszy na oręż spracowane dłonie,
Sparłszy na ręce piersi bez oddechu?
Dla czego duch mój nie pójdzie z żywemi
Życiem dzisiejszém serca rozweselać,
I bujać z niemi, i rozśmiać się z niemi,
I ich rozkosze i radość podzielać?
Dla czego w górę zwracam tęskne oczy,
I szukam duchów, co w nieba wzleciały,
W kraj nieśmiertelny, smutny a uroczy?
Dla czego z niemi i w nim żyję cały?
Dla czego w pieśni umarłych, co ludzi
Piersi nie grzeje, serca nie porywa,
Wiecznie się głos mój wysila i trudzi,
I ledwie ustał, znowu się odzywa?
Czemu sam jeden na Anafiel lecę,
Napróżno ciągnąć zimny lud do siebie;
Wskazując przeszłość, stary ogień niecę,
Sam tylko, Litwo, mając łzy dla ciebie?
Czemu?? — nie powiem i wy nie powiecie,
Bo nikt z was nie wie słowa téj zagadki:
Z piastunki ręku czemu drobne dziecię,
Płacząc, się ciągnie do grobu swéj matki?
Matką mi, przeszłość, a piastunką, życie.

Biruta.

Chmurne niebo nad głowami,
Żółte piaski naokoło,
W dali szumi bałwanami
Sine morze burzą wzdęte,
Wyżéj Świętéj góry czoło,
Sosnowym wiankiem opięte.
Chmury lecą po niebiosach,
Po ziemi piasku tumany,
Wiatr w sosen zielonych kosach
Wyje burzą rozpasany,
I zaszumi gdzieś na chmurze,
To na morzu, to na górze.
Znowu cicho, znowu fale
Konają na piasków łonie,
Chmury toczą się wspaniale,
Sosny zgięte wznoszą skronie,
Cisza wkoło, którą zrywa
Ptaków gromada krzykliwa.
Lecz już znowu ryczy morze,
Piaski z brzegów wiatr rozprasza,
Chmury rozrywa i porze,
Sosen gałęzie podnasza,
Lecz nie słychać w burzy ryku
Sosen szumu, ptaków krzyku.
Wieczór chmurami odziany,
Już zachodnie gasną zorze
Blaski krwawemi; bałwany,
I dalekie błyszczy morze,
A na górze z za gęstwiny
Dym się w niebo podniósł siny.
Na górze, w sosnowym wianku,
Bieleją mury świątyni;
W niéj goreje bezustanku
Ogień Litewskiéj Bogini;
Dwanaście dziewic swojemi
Tli go rękoma białemi.
I nieraz żeglarz zbłąkany,
Gdy burza z łodzią szaleje,
Wierzch góry w sosny odziany,
Ogień, co na górze tleje,
I Bóstwo wzywa w rozpaczy,
Aż znak wybawczy zobaczy.
Pusto; na niebios przestworzu
I ptak jeden nie przeleci;
Łódź nie czernieje na morzu;
Na ziemi w piasków zamieci
Duchy szalonemi skoki
Na Baltyk lecą széroki.
I znowu wiatr się uśmierza,
Chmury rzadnieją nad głową,
I wolniéj fala uderza
W żółtą mieliznę piaskową,
Ptaki na morze wleciały
A sosny szumieć przestały.
Czyjaż tam suknia bieleje
Na wydmach piasku w oddali?
Wiatr jasnym fartuszkiem wieje.
Czy to bóstwo wyszło z fali?
Czy to Baltyku królowa,
Po kochanku płacze wdowa?
Czy to morza córa biała
Zbiera rozpierzchłą drużynę,
Którą burza rozsypała.
Bijąc o brzeg fale sine?
Czy zbiera rybki, co drgają,
Na piasku wody czekają?
Czy to Praurma*) góry swojéj
Idzie kapłanki odwiedzić?
Służby, co w świątyni stoi,
Tajemne kroki dośledzić?
Praurma, co na Litwy niebie
Nie zna możniejszéj nad siebie?
Nie bóstwo to, nie duch morza,
Żmudzka to idzie dziewczyna,
Widmuntówna to hoża,
Bojara córka jedyna,
Wajdelotka z Świętéj góry
Śpieszy pod ołtarza mury.
Na głowie wianek ruciany,
Na szyi sznur bursztynowy,
Rąbek biały spływa z głowy,
Fartuch w dzwonki obszywany,
A koszulka z lnu żmudzkiego,
Jak piana morska białego.
Niespokojna — noc zachodzi,
Gasną zorze, duchy wstają,
Z morza na spróchniałéj łodzi
Już topielce przybijają,
I po brzegach wyć poczęli,
Pastwę ciągną do topieli.
Duchy nocy już głosami
Ptaków krzyczą, i czarnemi

*) Anafielas, góra wysoka, na którą cienie wdzierać się muszą.

*) Praurma, Praurime, bogini ognia

Skrzydły wioną nad głowami,
Smutne pieśni nócąc ziemi.
Ona śpieszy — noc zapada,
A przed nocą wrócić rada.
Już pod górą, a po błoni
Słychać tentent i parskanie:
Jakiś jeździec za nią goni;
Miecz mu brzęczy, a w kołczanie,
Pióra strzał zaszeleściały,
A koń parą bucha cały.
Ona bieży, on ją goni;
Po piasczystéj lecą błoni;
Ale biały koń wyściga
Coraz dziewczę — coraz bliżéj,
I jak strzała tylko miga,
Ku niéj prędzéj, ku niéj chyżéj.
Aż ją dognał; ona stała,
Serce biło, twarz pałała;
On jéj w oczy zadziwiony
Patrzał długo, patrzał śmiało,
—Dziewczę! z któréj idziesz strony?
Co cię w burzę tu zagnało? —
— Córką jestem Widmuntową,
Wajdelotką z Świętéj góry;
Braciom strawę niosłam dniową,
Gdy mnie burza, gdy mnie chmury
Na morskim brzegu zastały,
I dzień cały zatrzymały.
Teraz wracam do ołtarzy.
Nie czyń złego, puść mnie, Panie!
Bóg podróżnych niech ci zdarzy
Szczęsną drogę, powitanie
W progu zamku, gdy spóźniony
Do dzieci wrócisz i żony. —
-- O! do zamku mi daleko!
Widmuntówno! nie dziś stanę;
Za siódmą on stoi rzeką,
A gdy wrócę, nie kochaną
Żonę, ale psy, sokoły,
Powitam w nim, niewesoły. —
I poleciał. Ona stała;
Raz ku górze, dwa ku niemu
Tęskno, smutno spoglądała;
I powoli ku swojemu
Szła ustroniu, a dumała
Z okiem w ziemi, w myślach cała.

Jasne niebo, znikły chmury,
Żółte piaski złotem świecą,
Na wierzchołek Świętéj góry
Stada dzikich ptaków lecą,
I krążąc nad nią wokoło
Pieśń zaśpiewały wesołą.
Już nie szumi gaj sosnowy,
Morze do snu się kołysze,
Fala, brzeg całując płowy,
Ledwie szmerem przerwie ciszę.
Światło wkoło, radość wkoło,
W niebie, na ziemi wesoło.
Tam rybacy z siecią płyną
I pieśniami brzeg żegnają,
Wiosłem wodę porąc siną,
Pieśniom wtóry wybijają,
Światło wkoło, radość wkoło,
Na ziemi, morzu wesoło.
Ale słońce już zapada
Do kąpieli po upale,
Na noclegi ptaków stada
Lecą w jezior ciche fale,
A Święta Praurymy góra
Cieniem słoni się ponura.
Tylko na jéj sosen skronie
Jeszcze słońce rzuca blaski;
Stoją w złocistéj koronie,
Po nad morze, po nad piaski
Hardc, smutne wznosząc głowy,
Stróże świątyni Królowéj.
Czyjaż tam suknia bieleje
Na żółtych wydmach w oddali?
Wiatr jéj rąbkiem jasnym wieje.
Czy to bóstwo wyszło z fali?
Czy to Bałtyku Królowa,
Po kochanku płacze wdowa??
Czy to morza córa biała
Zbiera rozpierzchłą drużynę,
Co fala powyrzucała,
Bijąc o brzeg fale sine,
I zbiera rybki, co drgają,

Na piaskach wody czekają?
Czy to Praurma góry swojéj
Idzie kapłanki odwiedzić?
Służby, co w świątyni stoi,
Tajemne kroki dośledzić?
Praurma, co na Litwy niebie
Nie zna możniejszéj nad siebie?
Nie bóstwo to, nie duch morza,
Nie Praurma w ludzkiéj postaci;
Biruta, Żmudzinka hoża,
Wraca od rybaków braci,
Z rucianym wiankiem na skroni,
Z próżnym koszem w białéj dłoni.
Znowu tęskni, znów ją goni,
Jeździec na siwym żmudzinie;
Niedźwiedzi ma szłyk na skroni,
Burka czarna z ramion płynie,
Łuk rogowy, miecz u boku,
W ustach uśmiech, duma w oku.
Widmuntówna go ujrzała
I szła daléj — serce biło;
Zrumieniona, w strachu cała,
W sercu, w uszach jéj tętniło;
Nie widziała, gdy ją witał,
Nie słyszała, gdy zapytał:
—Dokąd? Widmuntówno hoża!
Dokąd późnym znów wieczorem?
Już zachodnia gaśnie zorza,
Krucy kraczą po nad borem —
Duchy lecą, widma lecą,
Kaukie *) złém już okiem świecą!
— Kapłanką jestem Zniczową,
Wajdelotką z Świętéj góry;
Braciom strawę niosłam dniową,
Pod świątyni wracam mury.
Od złych duchów, złego człeka,
Praurmy broni mnie opieka. —
Widmuntówno! pojedź ze mną.
Dość kapłanek ma Prauryma.
W moim zamku pusto, ciemno,
I zaświecić komu nie ma;
Zamek smutny, opuszczony —
Dzieci nie mam, nie mam żony.
Pojedź ze mną. Skarb mój drogi,
Sług mam wielu, kraj széroki,
Skarby kładnę ci pod nogi,
Sługom każę strzedz twe kroki,
Złote wieńce, miękkie szaty,
Kraj mam wielki, dwór bogaty.
Widmuntówno! pojedźże mną;
Siwy nas uniesie dwoje.
Pod zasłoną nocy ciemną
W Litwę polecimy moję.
Nim się druga noc rozściele,
Na Trokach będzie wesele. —
— O, nie, Panie! jam Zniczowa,
Wajdelotka z Świętéj góry;
A kto przysiąg nie dochowa,
Perkun karze ogniem z chmury;
Kto przysiąg świętych naruszy,
Perkun karze ogniem w duszy.
Porzuć Widmuntowe dziecię.
Sto na Żmudzi dziewcząt, Panie,
Pójdzie z tobą, gdy zechcecie,
Dzielić na Trokach mieszkanie.
Jam pierwszy wianek z méj głowy
Rzuciła w ogień Zniczowy. —
— Sto kapłanek ma Prauryma,
Jest tam komu Znicz rozdymać;
U mnie w Trokach jednéj niema
Domowy ogień utrzymać.
Ucieczka będzie tajemną,
Siadaj na koń i jedź ze mną. —
—O, przed Bogów okiem, Panie
Żaden krok się nie utai.
Przez morski odmęt, otchłanie,
Z głębi lasów, z ludów zgrai,
Bóg wywlecze przeniewiercę
I piorunem trafi w serce.
Tu mi miejsce, tu przysięga,
Tu mój ojciec, bracia mili,
Tu rodzinnéj rzeki wstęga,
Tu mi żmudzki ptak mój kwili,
Wszystko moje, kraj mój miły,
Wajdelotkę uwięziły. —
— Litwa, Żmudź — siostry rodzone,

*) Kaukie, straszydła nocne.

Język bratni, kraj to krewny,
I dłonie ich połączone.
Los ich nie rozerwał gniewny.
Twa rodzina, mą rodziną.
Siadaj, jedź ze mną, dziewczyno!
Piękny zamek na jeziorze,
W zamku wesołe komnaty,
Tłumy sług na moim dworze.
Sznury pereł, drogie szaty,
Książęcą czapkę na skronie,
Złotą kądziel dam ci w dłonie.
Będziesz wieść książęce życie,
Wśród sług wesołego dwora,
Śpiewem budzona o świcie,
Śpiewem uśpiona z wieczora,
Na posłanie twe puchowe
Kładząc od trosk wolną głowę.—
—O, nie, Panie! o, nie, Panie!
Ja chcę tylko żyć ze swemi.
Za rozkosze wszystkie stanie
Rozkosz widzenia swéj ziemi.
Tu mój ojciec siwy żyje,
Tu mój brat z morzem się bije.
Tu dziecińtwa zeszły lata,
Nad morzem muszle zbierała,
Na tym brzegu jam czekała
W późną noc rybaka brata,
Tum zrywała pierwsze kwiaty,
Tam w dolinie dym méj chaty. —
Ona bieży, on ją goni;
Próżno dziewczę się wyrywa,
Po piasczystéj lecą błoni.
Z wiatrem końska igra grzywa,
Burka z wiatrem się poddyma,
Kiejstut dogonił ją, trzyma,
I porywa, na koń sadza.
— Próżne łzy, Biruto, twoje!
On nie takie staczał boje,
Nie taki łup uprowadza.
Nigdy łzy go nie skruszyły,
Nigdy jęk nie wydarł siły.
Leci Kiejstut, a na ręku
Płacze swojéj braci, ziemi,
Płacze, w głośnym lejąc jęku
Żal za rodziną, za swemi,
Płacze sercem i oczyma,
Płacze dziewczę — płacz nie wstrzyma —
I tak woła: — Bogi moje!
Zwiejcie burze, gromy ślijcie,
I kapłankę weźcie swoję,
I niewolnicę odbijcie! —
A Bogowie nie słuchali,
Jeździec coraz jechał daléj.
Ona woła: — Ojcze stary!
Wyślij lud twój, sługi twoje,
Na porywcę wzywam kary,
W obcych rękach dziecię twoje.—
I nie słuchał ojciec stary,
Jeździec sadził przez obszary.
Ona woła: — Bracia moi!
Wy na morzu, wy daleko,
Nie ujrzycie siostry swojéj,
Siostrę waszą w połon wleką.—
I bracia jéj niesłuchali,
Jeździec coraz leciał daléj.
— Nocy czarna! straszna nocy!
Nie gaś słońca, niechaj płonie.
Saule! wzywam twéj pomocy,
Świeć mym braciom na pogonie;
Gdy mnie szukać się rozbiegą,
Wiedź ich prosto śladem jego.—
Lecz jéj słońce nie słuchało,
Nie słuchała noc jéj czarna,
Piaskiem drogę zasypało.
Siwy biegł, jak leci sarna,
Kiedy łowiec za nią w lesie
Psy i strzały zbójcze niesie.
Ona płacze; łzy jéj biegą,
A za łzami, za lasami,
Ni domku ojca starego,
Moża złotemi brzegami
Nie widać, ni Świętéj góry,
Praurymy znikły mury.
Wszystko znikło przed jéj okiem,
Wszystko minął jeździem w biegu;
Już na polu gdzieś szerokiem,
Na nieznanéj rzeki brzegu.
Ona to, co postradała,
Jeszcze w mokrych oczach miała.

Młody Witołd.

Płyną lata jak fale, wiatr losu je wzdyma,
Płyną falą do brzegu, o brzeg się rozbiją,
I rozprysnął się bałwan, a po nim nic niema!
Trochę piany, którą się suche piaski myją,
Trochę muszli, i rybek, i bursztynu bryła,
Co się wstydząc przed słońcem, do ziemi zaryła.
Czasem fala o brzegi kiedy się rozbije,
Piany nie pozostawi, nie rzuci bursztynu,
Rozpryśnie się o skały, zimny kamień zmyje
I topielca wyniesie, na postrach dla gminu.
Nikt fali nie policzy, fali nie wywróży,
Pogody nie przepowie, nie przepowie burzy.
Płyną lata falami na Trockiém zamczysku,
I Biruta nie płacze po Żmudzkiéj rodzinie,
Wieczór tylko w zachodu jaskrawym odbłysku,
Gdy, jak morze, jeziora świecą fale sinie,
Kiedy wody zaszumią, ptak jaki zakwili,
Ona myślą ucieka do ubiegłych chwili,
I wspomina na ojca, wspomina na brata,
Na świątynię Praurymy, na ojczyste kraje,
Na pamiątki z innego, z młodzieńczego świata,
Których do szczęścia sercu Biruty nie staje,
Ale nie pójdzie ona za rodziną swoją,
Bo przy łożu Biruty dwie kolebki stoją.
W jednéj kolebce córka śpi z złotémi włosy,
Księżycowe ma jasne oblicze, spojrzenie,
I pogląda, jak księżyc, gdy wejdzie w niebiosy,
Siejąc po białym świecie śrebrzyste promienie;
Jako gwiazda przyświeca nad dolą matczyną;
Przy niéj mroki przyszłości jaśnieją i giną.
W drugiéj kolebce matki i ojca nadzieje,
Młody Witołd usypia. To słońce u wschodu
Jeszcze wielkiemi blaski po świecie nie sieje
Lecz słońce i olbrzyma rozpoznasz za młodu.
Inaczéj gwiazdy świecą, śrebny księżyc świeci,
Inszym wzrokiem patrzają drobne ludu dzieci.
On w kolebce sokolém patrzy już wejrzeniem,
I dziecinnych zabawek, jak siostra, nie żąda,
Do zbroi się wyciąga bezsilnem ramieniem,
Na miecz ojcowski okiem gorącém pogląda,
A gdy biją w Lietaury*), gdy w rogi zadzwonią,

*) Lietaury, bębny, kotły.

Serce mu skacze małe, drobną klaszcze dłonią.
A gdy Kiejstut na wojnę szłyk niedźwiedzi wdzieje,
Kiedy burkę narzuci i Wiżos obuje,
Mały Witołd do ojca wesoło się śmieje,
Za szyję obejmuje, sukni uwiązuje,
Jak gdyby już chciał dzieckiem dzielić niespokojny
Zwycięztwa nad Krzyżaki i z Lachami wojny.
— Nie czas jeszcze Witołdzie! — ojciec mu powiada —
— Nie czas — mówi mu matka — śpij jeszcze spokojny,
Przyjdą i tobie lata, a Litwa ci rada
Da lud zbrojny do ręki i miecze do wojny.
Śpij w kolebce. Zawcześnie obudza sąsiady,
Wrzawa boju, pożogi i Rusi napady.
Spij, Witołdzie! Po ojcu miecz wziąwszy skrwawiony,
Nie dasz mu w pochwach drzémać i rdzą się okrywać.
Trzech strasznych wrogów stoi z każdej Litwy strony.
Nie będziesz mógł spać wówczas, nie będziesz spoczywać,
Usiąść nie będzie kiedy na ojczystych progach,
Z sokoły, psami hulać po Litwy rozłogach.
Spij, Witołdzie, śpij, dziecię, snem na całe życie!
Spadnie ci potém Litwa na piersi brzemieniem,
Wrzawa wojen obudzi o młodzieńczym świcie.
I do grobu wojennem wieść cię będzie pieniem.
Sen twój na życie całe; po nim nie spać tobie.
Aż z przodkami twojemi, w Swintorohy grobie. —
A dziecię, zda się, słucha, i słowa nie słyszy.
Wciąż za tarczę błyszczącą, to za łuk porywa,
I za ojcem, gdy jedzie, niespokojnie dyszy;
A matka go w objęciach ściska nieszczęśliwa,
Pieśnią wojny usypia najmilszego syna,
W zbroję twardą go kładzie, gdy kwilić zaczyna.
Rośnie olbrzym w żelazie, karmiony od młodu
Mlekiem żmudzkiéj dziewicy, żmudzką pieśnią boju,
I po żyłach już płynie krew starego rodu
Dziadów, którzy nie znali spoczynku, pokoju,
Co dziecinną już ręką gdy wzięli miecz biały,
Szli z nim w boju niezbytym przez długi wiek cały.

Śmierć Olgierda.

Smutno na Wilnie! Olgierd zwołał braci
Ze syny swemi, żeby ich pożegnać,
I róg Alusu*) ostatni wychylić,
Dłonią ich wyschłą ścisnąć raz ostatni.
Olgierda oczy sen już wieczny mruży.

*) Alus, piwo.

Dosyć mu boju; żyć już nie chce dłużéj;
Synom dorosłym i braciom zostawi
Litwę na rękach, a starszemu swemu
Wilno stolicę i nad braćmi władzę.
Na Turzéj górze Olgierd stary siedzi,
Po Świętéj patrzy grobowéj dolinie,
Stos nakłaść kazał i braci wygląda.
Na Swintorozie bierwiona*) sosnowe
I dęby walą ze świętego gaju,
Stoi stos, na nim łoże Olgierdowe.
On patrzy na stos, na łoże pogląda,
Wiliję żegna i gród Giedymina,
Dymy Żniczowe i swych ojców groby.
A żona, księżna Julianna, do niego
Idzie i mnicha za sobą przywodzi.
— Mężu mój! Panie! — rzecze — życie całe
Tyś wiódł pogańsko! umrzyj Chrześcianinem!
Syny twe wiarę swéj matki przyjęli,
Po Rusi poszli chrztem świętym omyci.
Dokoła krzyże Chrystusowe stoją,
Patrzą ci w serce i okna zamkowe.
Wszak tyś sam nieraz starą schylił głowę
Bogu twéj żony. Umrzyj w mojéj wierze! —
Olgierd się podniósł, siwą trzęsie głową.
— Dajcie mi skonać, jak marli ojcowie,
Wśród swoich, w uczcie, z rogiem miodu w dłoni.
Nie chcę téj wiary, dla któréj od braci,
Od dziadów moich oddalić się trzeba,
I nie chcę bez nich chrześciańskiego nieba. —
Mnich mu coś szepce, on mnicha nie słucha.
— Żyłem z mym ludem, umrę z moim ludem!
Wpuścić Kiejstuta, Lubarta, Jerzego,
I syny moje, i Jagiełłę mego.
Niechaj do uczty nakrywają stoły,
Niech Alus niosą, niech Bojary moje
Przyjdą, Kniaziowie i dworzanie wierni.
Ty rękę podaj i wiedź mnie do braci —
Rzecze do sługi. Otwarli podwoje,
I stary Olgierd wita rodnię swoję.
A oni smutni pospuszczali głowy,
I nic nie słychać, tylko starca piersi
Ciężkim oddechem głośno się kołyszą.

*) Bierwiono, grube drzewo.

On usiadł, wzrokiem po zebranych toczy,
A już mrok śmierci okrywa mu oczy,
Już ledwie swoich poznaje po głosie;
Sam za róg bierze, napełniać go każe.
— Do was, o bracia, do was syny moje,
Ostatnia czara i ostatnie słowa!
Olgierd za ojcem pójdzie Giedyminem;
Syn już za ojcem; on tęskni za synem;
Olgierd się dosyć nażył, nawojował,
Młodszym ustąpi i miecza i życia;
Tobie, Jagiełło, Wileńskiéj stolicy.
Prawda? Kiejstucie! ty synu mojemu
Nie będziesz bronił po ojcu puścizny?
My z tobą stary, długi wiek przeżyli,
Sercem na sercu. Zostawiam ci dzieci;
Bądź ty im ojcem, a wy mu synami,
A jego dzieciom braćmi rodzonemi.
Na waszéj zgodzie los Litewskiéj ziemi.
Patrzcie, z Kiejstutem, z Lubartem my zgodni.
Iluśmy wrogom nastawiali głowy!
Naprzeciw wielu kraj nasz obronili!
Bogi tam wiedzą, co za los was czeka,
Lecz Bogi zgodzie bratniéj błogosławią.
Do was, Kiejstucie! — I rękę wyciągnął,
Podał róg bratu. — Bądź mi zdrowy, bracie!
Już nam aż w Wschodniéj zobaczyć się ziemi
Z tobą! ale już nie z braćmi wszystkiemi!
Tyś Chrześcianin — i z tobą, Jawnucie!
Żegnajcie, bracia! Nad Olgierda dziećmi
Bądźcie opieką, zastąpcie im ojca!
Jeszcze raz, stary Kiejstucie, dłoń ściśnij.
Już cię nie widzę, niech usta uczuję.
Niech głos posłyszę. Patelo*) koło mnie
Leci z skrzydłami czarno okrytemi.
Żegnajcie, dzieci! duch mój będzie z wami;
Żegnajcie, słudzy, i wierne psy moje!
Ty, mój sokole! ty, mój mieczu biały!
I ty, Julianno! ty jeszcze, Kiejstucie!
Podajcie miecza, niechaj z mieczem w dłoni
Skonam, gdy Bogi mi nie dozwoliły
Giedyminową śmiercią umrzeć w boju!
Niech w rogi dzwonią, w Lietaury uderzą,
Niechaj mi nócą pieśń moję bojową! —

*) Patelo, bóg duchów powietrznych.

Mówił, i zwolna starą kłonił głowę;
Broda mu siwa na piersi spływała;
Miecz cisnął jeszcze, lecz ręka spadała;
I ani żony płacz, ani łzy dzieci,
Ani wojenne drużyny okrzyki,
Już go na ziemię odwołać nie mogły;
Ani dźwięk rogów nie odwrócił ducha,
Co śpieszył dziadów w Wschodniéj witać ziemi.
Mówił, a płacz się rozległ po świetlicy.
Jeden był Kiejstut, co łzy nie miał w oku,
Bo jego boleść duszę ucisnęła
I łzom zaparła na powieki drogę.
Tak skonał Olgierd. Stu płaczek się głosy
Ozwały nagle z jękiem i krzykami.
Ciało starego myli, ubierali,
Białą mu szatę, złote Wiżos kładli,
Białym go mieczem na śmierć przepasali,
Rąbkiem mu białym przywiązano szyję,
W nim złoty pieniądz na wieczności drogę,
U pasa proca rzemienna wisiała,
A szłyk na głowie, giętki łuk u boku.
I siedział starzec, jak gdyby żył jeszcze,
Tylko nie patrzał zamkniętemi oczy,
Tylko nie dyszał piersiami wyschłemi,
Zda się, odpoczął po życiu, po boju,
Naprzeciw niego bracia, towarzysze,
Synowie, słudzy stali i kapłani;
Wszyscy do niego róg Alusu pili,
Wszyscy żegnali Olgierda ze łzami,
I na dobranoc pieśni mu nócili;
A płaczki, wkoło usiadłszy na ziemi,
Łzy spadające do naczyń zbierały:
I w czarnéj sukni, we wdowiéj zasłonie,
Księżna Julianna u nóg męża swego
Płakała, szaty rozdarłszy napoły.
Już czas pogrzebu — na Świetnéj dolinie
Od znicza iskrę przynieśli kapłani,
Raudę zanucą, na Kniazia czekając,
Miękkie mu łoże ścielą z wonnych kwiatów.
Porwali słudzy zimne starca ciało.
Żegnaj, zamczysko! żegnajcie, komnaty!
Olgierd w was więcéj nie będzie ucztował.
Nie złoży łupu, powróciwszy z wojny,
Nie złoży głowy utrudzonéj bojem,
Olgierd na wieczne śpieszy już posłanie,

Przez stos gorący do zimnéj mogiły.
Przed ciałem jego odpędzają duchy;
Idą Bojary, mieczami machają;
Julianna idzie do stóp tylko góry:
Tu z płaczki swemi na ziemię upadła,
Chciała iść dalej, nie puszczą kapłani.
Tam krzyk i wrzawa dokoła doliny,
Słupy rozstawne — do słupów młódź goni.
Zdobywa pieniądz i zbroje, i leci,
Na duchy wrzeszcząc, aby je odegnać,
Olgierda ciała by skrzydłem nie tknęły.
Na stosie starzec z mieczem w skrzepłym ręku.
Z siwą mu brodą wschodni wiatr powiewa.
Dokoła bracia, synowie, kapłani,
I słudzy na stos dla Księcia wybrani.
Oni nie płaczą, bo idą za panem
Na lepsze życie, kędy ich niewolę
Sto nowych zmysłów, rozkoszy, osłodzi;
Oni nie płaczą — wszystkim oschły oczy;
Pieśń tylko wielka przez usta kapłanów
W niebo za duchem Olgierda się toczy.

Idź, duchu, do ojców ziemi,
Ziemi rozkoszy, pokoju;
Leć skrzydłami sokolemi,
Siwą skroń otrzeć po znoju.
Tam czekają cię dziadowie,
Tam cię lepsze czeka życie,
Tam z gwiazdą jasną na głowie
Po Dungusu*) leć błękicie.
Coś zostawił na tej ziemi?
Troski tylko, bój i trwogi!
Leć skrzydłami sokolemi,
Gdzie twe ojce, gdzie twe Bogi.
Gród w żałobie, ród w żałobie;
Ty szczęśliwy w kraju słońca:
Tam zachodu niema tobie,
Twemu życiu niema końca.
Tu łzy płyną, krew tu płynie,
Nieprzyjaciel czyha z boku:
We Wschodniéj ojców krainie
Wieczna jasność świeci oku.
Leć, o wielki duchu Litwy,
Leć do dziadów na biesiadę,
Na waleczne z Jodsy**) bitwy,
Na rozumną ojców radę.
Leć, o duchu! rękę swoję
Zostaw synom, by z twą głową
Siedli w radzie, poszli w boje,
Cne potomstwo Olgierdowe.

*) Dungus, niebo. — **) Jods, zły duch.

Z ŚPIEWÓW HISTORYCZNYCH
J. U. NIEMCEWICZA.

Piast.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu,
Karzącéj zbrodnie doświadczył prawicy;
Naród chcąc wybrać następcę do Tronu
Zebrał się w pięknych równinach Kruszwicy.
Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerze staliste;
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.
Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody,
Na głośnych sporach czas upływał drogi;
Głód się czuć dawał, a obce narody
Szerzyły w Polsce najazdy i trwogi.
Ale Bóg dobry spojrzał na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował;
Wpośród Kruszwicy spokojnych wieśniaków,
Był Piast, co Bogów i ludzi miłował.
Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty,
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawór wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.
Znaną sąsiadom była na około,
I dobroć jego i gościnna hojność;
Znajdował (lemiesz prowadząc wesoło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.
Dzień nadszedł świetny dla skromnéj drużyny.
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.
Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem,
Stół zastawiają tłustemi mięsiwy,
I duże czary napełniają miodem.
W gronie przyjaciół zaczęły się gody,
Pierwszémi dary już uczczone Bogi;
Gdy dwóch młodzieńców przecudnéj urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.
Piast i Rzepicha z czołem nachylonem
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje,

Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.
Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnemi zawołał głosami:
„Piast luby Bogom, po cóż czekać więcéj,
Niech będzie królem, rządzi Polakami."

„Większéj, mąż rzecze, potrzeba mądrości,
By berłem rządzić podług ludu woli;
Zostawcie Piasta w szczęśliwéj mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli!"

Gdy wieczór nadszedł, Piast głowę na ręce
Oparłszy, siedział pod jaworu cieniem;
Znów przed dom jego ciż sami młodzieńce
Przyszli, światłości okryci promieniem.

Postać ich, Niebian mieszkańców wskazuje,
Od barków śnieżne skrzydła się podnoszą,
Białe ich szaty do ziemi zstępują,
A ciemne włosy woń lnbą roznoszą.
Rzekli do Piasta: „Pan co mieszka w Niebie,
Co zedrze wnukom twym błędu zasłonę,
Aniołów swoich przysyła do ciebie
Z rozkazem, żebyś wziął Polską koronę.
„Szanuj z pokorą świętą jego wolę,
Wielkie on Polsce zakreśla zawody,
Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
Da wam zwycięztwa, chwałę i swobody.
„Z plemienia twego dzielni wojownicy
Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,
Na wschód i zachód kres państwa granicy
Naznaczą w rzekach żelaznémi słupy.
„Przez dziewięć wieków ród wasz istnąć będzie.
A po was inni tron Piastów osiędą,
Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rzędzie,
A cne Książęta hołdować jéj będą.

„Ale pomyślność przywiedzie zepsucie:
Wkradną się zbytki i ciężkie niezgody,
Pogwałcą wszystko wyuzdane chucie.
I kraj ten obce rozszarpią narody.

„Dnia ostatniego głos trąby straszliwy
Zagrzmi już dla was wpośród gromów bicia,
Gdy Bóg wszechmocny zawsze litościwy
W oziębłych zwłokach wskrzesi iskrę życia."
Tu znikły męże w światłości powodzi,
A Piast zdziwiony pozostał samotnym,

Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi,
Jak woń fiołków po deszczu wilgotnym.
Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzenki blaskiem
Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi,
Wita go Panem z radośnym oklaskiem,
I na Królewskie komnaty prowadzi.
Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
Świetną koroną uwieńczył swe skronie,
A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swój postawić przy tronie.
Ziomkowie, rzecze, kiedy mam panować
Gdy wy i same Nieba tak zrządziły,
Zaklinam, chciejcież rolnictwo szanować:
W mieczu i pługu są Polaków siły.

Bolesław Chrobry.

Ten co najpierwszy ujrzał światło wiary,
Niosąc zbawienie ludowi i sobie,
Syt lat i chwały już Mieczysław stary
Legł w Piastów grobie.
Wychowan w dzielnych wojowników gronie,
Straszny sąsiadom, dla poddanych dobry,
Koroną przodków okrył młode skronie
Bolesław Chrobry.
Ledwie jął rządzić, alić Czech zdradliwy,
Puszcza swe hordy po Lecha krainie,
Zamienia grody i obfite niwy
W głuche pustynie.
Jak lew zraniony skrwawioną źrenicę
Tocząc, rzuca się na zwierzę zuchwałe,
Tak Chrobry walczy, bierze Czech stolicę
I Państwo całe.
W dzielnym zawodzie chciwy dalszéj sławy,
Kiedy ukarał tego co przewinił,
Miśnią, Luzatów i żyzne Morawy
Swemi uczynił.
W ten czas Jarosław Ruś żyzną wydziera,
Już gnębi Kijow okrutna przewaga,
Wygnan Swatopełk, u nóg bohatera
Pomocy błaga.
Bolesław równie mężny jak wspaniały
Zbiera rycerstwo i w szyki sprawuje,
Już się nad wojskiem wznosząc orzeł biały
Drogę wskazuje.

Pędzi pytając gdzie nieprzyjaciele,
Widzi za Bugiem hufce ich skupione,
Rzuca się z koniem na rycerstwa czele
W nurty spienione.
Szabla Polaków tylekroć doznana
Na hardych karkach przeważnie ciężyła,
Poległy krocie, rzeka krwią wezbrana
Brzegi zbroczyła.
Już obległ Kijow, już baszty szerokie
Tłucze taranem, z kusz opoki ciska,
Padły świątynie i gmachy wysokie
W smutne zwaliska.
Wchodzi Bohatér w rozstąpione mury
Wśród radosnego w około żołnierza,
A miecz zwycięzki podnosząc do góry
W bramę uderza
Na pamięć gdzie się Polacy zagnali,
Jakie z Czech, Niemiec odnosili łupy,
Bije na Dnieprze i w Ossie i w Sali
Żelazne słupy.
Spoczął, a sławny dzieły tak świetnémi,
Przyjmując w Gnieźnie Ottona Cesarza,
Dziwi przepychem, i skarby drogiemi
Hojnie obdarza.
Był to król dobry, w boju tylko srogi,
Był sprawiedliwy, i karał swywolę;
Pod nim bezpiecznie i kmiotek ubogi
Orał swe pole.
Nie dziw, że kiedy poległ w ojców grobie
Zdziaławszy tyle dla szczęścia i chwały,
Nieutulony i w ciężkiéj żałobie
Płakał lud cały,

Leszek Biały.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym;
Tak szerzy skargi płaczliwe,
Na swe losy nieszczęśliwe:

„Ty się śmiejesz dziecię lube,
Bo nie znasz twojéj niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę:
Oto z stryja twego woli
Wydarłaś państwo niecnota,
A jam wdowa, ty sierota.

„Zrodzony, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winą
Wszystkoś na świecie postradał,
Tułasz się biedna dziecino;
Ja cię przytulę do łona,
Lecz skądże inna obrona?"

„Powściągnij łzy twe królowo,"
Zawołał Goworek stary,
„Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary;
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadna nań trwoga nie padnie."

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały,
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały;
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków,
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
„Oddal Goworka, — korona
Nazad ci będzie wrócona!"

Królowa w modrzewim dworze,
W skromnéj siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze:
Nie miała złota na szacie,
Przy niéj, poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą; Goworek stary
Tak ich zdumienie przerywa:
„Przyjm Książę ludu ofiary,
Panuj kiedy lud cię wzywa,
Niech kraj na tém nie szkoduje,
Że mnie zawiść prześladuje.

„Ja stary, władzy nie chciwy,
Do skromnéj ojców zagrody
Wrócę wygnaniec szczęśliwy;
Ty długie uśmierz niezgody,
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

„Jeźli za to żem pracował,
Los mi usłyszeć zostawi,
Że tego, com ja wychował,
Naród Polski błogosławi,
Nie umrę w cieniu méj strzechy,
Bez słodkiéj sercu pociechy."

Tu gdy płakała królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Książę odpowie w te słowa:
„Leszek nigdy nie zapomni,
Co winien sobie, krajowi,
I co winien Goworkowi.

„Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wygnańcem umierał,
Nie chcę państwa, ni korony:
Nad blask, co berło udziela,
Wyżéj cenię przyjaciela."

Nagrodziły Nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męztwa,
Leszek zwycięzca na wojnie
Odzyskał wydarte Księstwa,
Stary Goworek przy zgonie,
Oglądał Leszka na tronie.

Zawisza Czarny.

Wśród gór Karpackich, w zamku starożytnym,
Mieszkał rycerz zawołany:
Był on przed laty i sławnym i bitnym;
Lecz dzisiaj wiekiem złamany,
Już tylko dawne wspominając boje,
Patrzał z westchnieniem na wiszącą zbroję.

W starości jedna została otucha,
Syn, w którym miał się odrodzić,

W nim z młodu niecił wojennego ducha,
Uczył jak na ostrze godzić;
A gdy Zawisza już umiał wojować,
Sam ojciec chciał go rycerzem pasować.

W obliczu ludu, wśród pańskiéj świątnice,
Bierze młodzian cześć rycerza,
Ojciec mu wkłada pancerz i przyłbicę,
I mieczem trzykroć uderza,
I mówi, oręż mu dając niezmierny:
Broń twéj ojczyzny, bądź kochance wierny.

Zawisza Czarny, gdyż z tego imienia,
Znany był później u świata,
W ciężkiéj kolczudze, nie tknąwszy strzemienia,
Lekko wskoczył na Bachmata,
I gdy wesoło wpośród szranków pląsał,
Wywijał mieczem, kopią potrząsał.

Wkrótce się wsławił czyny walecznémi,
I tak śmiałość jego znano,
Że w Niemczech, Włoszech, i Tureckiéj ziemi,
Kiedy kogo wychwalano,
Przysłowiem było bojów Towarzyszy:
„Polegaj na nim, jakby na Zawiszy."

Kiedy go Cesarz Zygmunt usiłuje
Zatrzymać dłużéj u siebie,
Rzekł mu Zawisza: „Jagiełło wojuje,
I kraj mój w ciężkiéj potrzebie,
Wszystka krew moja, krew Polskiéj młodzieży,
Lubéj ojczyźnie pierwsza się należy."

Obdarzon zbroją, litym złotogłowem,
Do własnych wraca orszaków,
I pod Grunwaldem i pod Koronowem,
Przeważnie gromi Krzyżaków,
Tam czarny rycerz łamiąc pyszne hordy,
Siał wszędy postrach i okropne mordy.

Lecz już Jagiełło Zofią ślubuje,
Mąż równie hojny jak śmiały,
Cesarza, królów, w domu swym częstuje,
I panów orszak wspaniały;
Ale najtkliwsze wznieciło wspomnienia,
Dwunastu książąt z Piastów pokolenia.

Zygmunt co wszystkie nadzieje pokłada,
W męztwie czarnego rycerza,
Gdy państwa jego Muzułman napada,
Jemu los wojny powierza,
I sam gdzie Dunaj Gołąbnę oblewa,
Z ogromném wojskiem bystry nurt przebywa.

Ledwie na drugiéj Cesarz stanął stronie,
Gdy ujrzał Tureckie hurmy,
I blask księżyca i męże i konie,
I wrzask przeraźliwéj surmy:
Na groźny widok trwodze się poddaje,
Wraca za Dunaj i obozem staje.

Lecz wraz postrzegłszy, że Zawiszy nie ma,
Szle poń jednę z swoich łodzi;
Mąż gońca mierząc srogiemi oczyma
Rzekł: „Zawisza nie uchodzi;
Ci co się zlękli, ci mogą uciekać,
Polacy wolą chlubnéj śmierci czekać."

„Koń mój i zbroja!" zawołał na sługę.
Ten podaje miecz niezłomny,
Czarną z śrebrnemi gwiazdami kolczugę,
Wkłada mu szyszak ogromny,
Z wierzchołka czuba, czarna końska grzywa
Jeży się w górę i na barki spływa.

Tu tarcz ściskając zbrojnémi rękami,
Podług rycerstwa zwyczaju,
Żegnam was, woła, twarz skrapiając łzami,
O luba żono i kraju!
Wtém zniża drzewce, bodźcem konia zwiera,
I samotrzeci na tłumy naciera.

Ta zbroja czarna, okropnie wspaniała,
Ten orzeł wpośród pancerza,
I blask oręża i postać zuchwała,
Zdziwieniem Turków uderza.
Nie na śmierć, pomny na swych poprzedników,
Wpada Zawisza w tłumy zbrojnych szyków.

Gdzie płomienistym orężem zabłyska,
Pod ciosami płytkiéj stali,
Na Saracenach śrebrna łuska pryska,
Padają trupem zuchwali;
Jak groźny Ajax, lub Achilles śmiały,
Kędy uderzył, tysiące pierzchały.

Znużon zwycięztwem, gdy już słabiej włada,
I nikną siły mdlejące,
Z okropną wrzawą mściwy Turczyn wpada,
I topi mieczów tysiące:
Poległ, a gdy krew dreszcz śmiertelny ścina,
Konając, lubą ojczyznę wspomina.

Duma o Stefanie Potockim.

Słuchajcie rycerze młodzi,
Żałosnéj lutni jęczenia,
Niech w was chęć do sławy rodzi,
Dawnego męztwa wspomnienia.
Słuchajcie jak sławy wieniec,
Walcząc w Ojczyzny obronie,
Zyskał odważny młodzieniec
I w szlachetnym poległ zgonie.

Już Podola żyzne niwy
Chmielnicki hordy zalegał,
Już głos matek przeraźliwy
W smutnych się skałach rozlegał,
Rzuca rolnik pług i rolę
Wszędzie hoże wiodą branki,
Pasterz woli iść w niewolę,
Niż odstąpić swéj kochanki.

Syt wieku, szczęścia i sławy
Mikołaj wojsku przywodził:
Gdy jęk ludu i mord krwawy
Do uszu jego dochodził,
Westchnął, i twarz mu sędziwą
Łez potok skropił obfity,
Wspomniał na młodość szczęśliwą
I na wiek swój nieużyty.

A gdy siła chęci zdradza,
Gdy grot z słabéj pada dłoni,
Syn ciężką starość nagradza,
Zdolny do konia i broni:
Niechętnie Potocki młody
Dni swoje trawił w pokoju,
Męztwo łączył do urody,
I drżał na wspomnienie boju.

Synu, rzekł hetman ze łzami,
Kraj twój w cięzkiéj jest potrzebie,
Idź broń go twemi piersiami,
Bądź godnym przodków i siebie.
Wiedz, że w każdéj życia dobie,
Dla Ojczyzny tylko żyjesz,
Ja szczęśliwy legnę w grobie,
Gdy się ty chwałą okryjesz.

To mówiąc, żegna Rycerza,
Czułe mu dając ściśnienie,
Już Stefan zbroje przymierza
Już czarne włosów pierścienie,
Złotym okrywa szyszakiem,
Lecz nim zbrojny wszedł do szranku,
Między cnych panien orszakiem,
Postrzegł swą lubą na ganku.

Elżbieta młoda i hoża,
Wierna miłości i chwale,
Twarz miała świeższą jak róża,
Usta żywsze nad korale.
Cel życzeń wszystkiéj młodzieży.
Temu serce swe oddawa,
Kto do boju pierwszy bieży,
Komu droga miłość, sława.

Staje rycerz uzbrojony,
Przed swéj kochanki oblicze:
Tobiem winien, rzekł wzruszony,
Życia mojego słodycze;
Niechaj mi twoje wspomnienie
Towarzyszy w bitw zapale,
Niech ostatnie życia tchnienie,
Poświęcę tobie i chwale.

Żal przerwał czułą przysięgę,
Głos Elżbiety płacz tamuje,
Zdjąwszy z siebie białą wstęgę,
Rycerza nią przepasuje,
Idź, powróć cośmy stracili;
W ten znak miłości przybrany,
Bodajbyś był w każdéj chwili
Równie szczęsny, jak kochany.

Lecz już trąb i kotłów wrzawa,
Zgromadza zewsząd rycerze,
Tuman kurzawy powstawa,
Wszędzie hełmy i pancerze,
Dziedziniec, bramy, i wieże
Zewsząd okrył lud ciekawy,
Spada most, co zamku strzeże,
Ciągnie wojsko na bój krwawy.

Nim przyszli pod Żółte Wody,
Ciągnęli spiesznie noc całą;
Słońce w dzień téj złéj przygody,
W krwawych obłokach powstało,
Bohdan hufce swe rozłożył,
Jak tylko oko zamierza;
Mnóstwem się Stefan nie trwożył,
Z garstką na tłumy uderza.

Już wojska zwarły się razem,
Śmierć niosące ognie błyszczą,
Hełm się zgina pod żelazem,
Strzały na powietrzu świszczą,

Lecz gdy wódz nieulękniony
Walczy w tłumie niebezpiecznym,
Strzałą w piersi ugodzony,
Pada, ujęty snem wiecznym.

Tak pewne naszych zwycięztwo,
Zgon wodza młodego zdradza,
W żal ciężki zmienia się męztwo,
Wojsko się w koło zgromadza:
Łzami skrapiają twarz bladą,
I otarłszy ze krwi blizny,
Ciało na tarcze swe kładą,
Nadzieje wojska, ojczyzny.

Wpośród dąbrowy zielonéj
Zwłoki rycerza złożyli,
I na wstędze krwią zbroczonéj,
Zbroję jego zawiesili:
Tam nieszczęśliwa kochanka,
We łzach pędząc dni nieznośne,
Od wieczora aż do ranka,
Rozwodzi skargi miłośne.

Spoczywaj rycerzu mile,
Między cichym drzew tych cieniem,
Niech księżyc głuchéj mogile
Przyjaznym świeci promieniem;
Jeźli kiedy rycerz mężny
W téj się tu znajdzie krainie,
Spojrzawszy na grób potężny,
Niech jak ty, walczy i ginie.

BITWA RACŁAWICKA.

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Wyjątek.)

Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły pałasze;
Maszeruje opłotkami
Polskie wojsko nasze.
Maszeruje, nie żartuje,
Kraj jak malowany,

Idą nasi, w trąbki grają,
Biją w tarabany.
Opłotkami, szeregami,
Konnica, piechota;
Małe dzieci zadziwione
Patrzały z za płota;

Powłaziły na gałęzie,
W te zielone gąszcze,
I na wierzbach, na topolach
Siedziały jak chrząszcze.
Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi;
Lecz Kościuszki nie poznali:
Bo był jak i drugi.
A ci ludzie co poznali,
To mówili sobie:
Że też taka wielka dusza,
W tak małej osobie.

Kołem, kołem, po nad siołem
Krąży sokół siwy;
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.
Wyciągnięty jak rozpięty,
To skrzydłami wzruszy . . .
Popatrzał się nasz Kościuszko,
Nie ma żywej duszy.
— Chociaż nie ma żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika,
Co zna wszelkie drogi:
Trza mi człeka nie z daleka,
A z tej samej wioski,
By prowadził a nie zdradził
Ten naród krakowski. —

Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt gospodarz setny,
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.
Ten choć oczy dawno stradał
W okrutnym pożarze,
Gdzie co leży, jak należy,
Dokładnie pokaże.
Krzywym wężem się podpiera,
Ręką na wiatr maca,
I przez ścieżki nieznajome
Drogę sobie skraca.
— Już ja dawno słyszał o tem,
Rzekł ściągnąwszy ręką,
Żeście, ojcze, pokarali
Moskwę pod Dubienką.
A pierw jeszcze powiadali,
Jak to po zwyczaju,
Żeście kędyś wojowali
Aż w murzyńskim kraju.
Że wam pereł uryańskich
W podarunku dano,
Jakby grochu łuszczanego
Węborek w kolano.
I że za te perły drogie
W morzu wyzbierane,
Przyjechaliście wykupić
Ojczyznę kochanę.
A Kościuszko z wdzięcznym śmiechem:
Serdeczny ojczulu,
Gdybyć można garścią pereł
Ująć Polsce bolu . . .
— Prawdać, prawda Naczelniku,
Na mój rozum kmiecy,
Kto chce na chleb zapracować,
Musi zgarbić plecy.
Niechżeć tedy Bóg pomaga
I matka Gidelska.
W polskiej roli wyorana
Królowa anielska;
Niechżeć tedy... — i przycichnął
Starzec siwowłosy,
Wbił kolana w grząską ziemię,
Ręce wzniósł w niebiosy;
I na oczy pociemniałe,
Co nie widzą słońca,
Na te smutne oczy białe,
Wyszła łza gorąca...
Dwu ramiony podniesiony,
Jakby skrzydły dwiema,
Zdał się białym orłem polskim,
Co dziś mocy nie ma.
I przygarniał pożółkłemi
Dłońmi wietrzyk polny
I brzęk szabli narodowej,
I głos pieśni wolnej...
Madaliński i Kościuszko,
Piechota, hułani,
Stali na wpół rozrzewnieni,

Na wpół zadumani.
A cóż mówisz, Jenerale,
Wszak to szlachcic prawy,
I potoczył po narodzie
Wzrok serdecznie łzawy.
Matko Boża, Pani świata,
Ojcze Zbawicielu,
A serce w nim zakołata,
Jako dzwon Wawelu.
Co przepadło, to przepadło.
Co żywe, to żywe,
Nie nadobne, co nadobne,
Lecz co sprawiedliwe.
Dziadku! dziadku wstańcie z ziemi,
Lecz starzec nie wstaje,
Tylko ręką na powietrze
Nieme znaki daje.
— Idźcie, idźcie prostą drogą
Idzie z wami taki,
Co na lotach, cały w złotach
Prowadzi Polaki.
Idzie, idzie po powietrzu
Ziemi nie dotyka,
A mnie dajcie ucałować
Ręce Naczelnika...
I odwiedli na bok dziada.
Dziatwa na koń siada;
Mgła w dolinach się rozrzedza,
Opada, opada.
A z podemgły rozpędzonej,
Jakby skrzydłem ptaszem,
Kraj szeroko się wynurza,
Siwem polem naszem:
Krzemienisty, kamienisty,
Pełen traw i wzgórzy;
Przecinany, poszarpany,
Jak po wielkiej burzy.
A gdzie niegdzie w ciszy złotej,
Której nic nie budzi,
Stoją brzozy, jak sieroty,
Po odejściu ludzi.
Mgła opada po nizinach,
Leci za kraj świata,
Anioł Boży z dolin, wzgórzy,
Siwe mgły rozmiata.

DZIEWCZĘ Z SĄCZA

przez

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO.

(Wyjątek.)

Wtem dzwon uderzył — raz — dwa —
„Co to znaczy?"
Powstała, słucha, już grzmią wszystkie dzwony.
Spojrzała; — w okna bije blask czerwony:
„Gore?" . . Ksiądz milczy . . „Ojcze! czego dzwonią?"
Blask rośnie; ona wzrok zakryła dłonią,

*) Rzecz wzięta jest z nieszczęśliwych czasów Jana Kazimierza, i czerpana z Akt Sądeckich i z tradycyi miejscowej. Poeta w dopiskach sam się o tem tak rozpisuje:

Nowy-Sącz zagrożony rzezią od szwedzkiego półkownika Sztajna, w razie gdyby kogo schwytano na znoszeniu się z Czarnieckim, zostawał przez parę tygodni w nieustannej trwodze; wiedział bowiem prześwietny magistrat że tak niektórzy z szlachty mieszkającej w Sączu, jako też całe młodsze mieszczaństwo, przebrane w świty wieśniacze, znosiło się ciągle z Czarnieckiego ludźmi. Przy pierwszem schwytaniu zatem mogło przyjść do rzezi, a co gorsza, prawie nie było się czem bronić: bo Sztajn zabrał broń miejską i dał ją do schowania szlachcicowi Wielogłowskiemu, arjanowi. Rzecz w końcu przyszła do przesilenia. Szwedzi postanowili wyciąć i spalić miasto, aby nie mieć nie-

Słucha, — jęk każdy serce jéj rozdziera;
Chwieje się: „Ojcze ach! tam ktoś umiera,
A dusza z ciała wylecieć nie może!"
Wtém kapłan ukląkł przed ołtarz w pokorze,
I podniósł ręce w górę. Na oblicze
Biło mu z okien światło tajemnicze:
„Dzień sądu! — szeptał — i lud mój zbawiony!"
Dziewcze się w starca patrzy, jęczą dzwony,
A coraz mocniéj blask uderza w oczy;
Za ścianą słychać tłumnie lud się tłoczy,
Szczęk broni, potem jakiś krzyk od wałów,
Potem zagrzmiała nagle salwa strzałów.

Zrywa się Basia, próżno ksiądz ją woła;
Bez tchu stanęła już we drzwiach kościoła,
Jękła boleśnie i na miasto goni,
Kędy blask łuny i szczęk słychać broni.

W mieście bój. Z straszną halabardą w dłoni
Pisarz Suszycki wprost na Basię goni,
Wzrok jego dziki, przerażone lica,
Przez plecy wiszą szabla i rusznica.
Spiesząc tak, Basi białą postać zoczył,
I jak od widma w stecz dwa kroki skoczył;
Aż ochłonąwszy zawołał: „Tam w bramie
Bartek z czeladzią Szwedom karki łamie.
Od stodół, — siano moje tam podpalił!
Za dziewczętami wpadł i straże zwalił.
Zginą tam! — lecz ja, — niech ich biorą czarty!
Nie pójdę, — Basiu! kościół czy otwarty?"
Lecz na pytanie pisarzowe głucha
Basia ucieka daléj i nie słucha!

A tu w ulicę kobiéty i dzieci
Cisną się; wszystko do kościoła leci.
Gadowiczowa na głos opowiada,
Że już Wąsowicz z góralami wpada.

---

przyjaciela za plecami na tak korzystném stanowisku jak Sącz; wypadało im bowiem wyruszyć z miasta przeciw Czarnieckiemu, który przeciągał po Podgórzu na czele półku królewskiéj hussaryi. Mieszczanie atoli dowiedziawszy się o ich planie, znieśli się z gromadą z Nawojowéj i góralami pod dowództwem Wąsowicza, i uprzedzili Szwedów o trzy dni w planie.

Powstanie w Sączu zdziałane 13 Grudnia 1655, rozszerzyło się wnet po całem Podgórzu. Szlachta z dworców, wieśniacy z chat, zbrojni w kosy i siekiery, szli i bili wałęsające się po Podgórzu niedobitki Sądeckie.

Podania sądeckie niosą, że w pewnéj dziewczynie miejskiéj rozkochał się oficer dragonów Pontusa de la Garde. Kiedy Sztajn rozkazał wojsku gotować się do rzezi, nie mógł ten przenieść, aby jego kochanka wraz z krewnymi ginęła i ostrzegł ją że będzie rzez, choć Sztajn nakazał zachowywać tajemnicę pod karą gardła. Od niéj to dowiedziało się mieszczaństwo o niebezpieczeństwie i miało czas uprzedzić Szwedów.

Ich krzyk o mury dziko się rozbija,
Ale ich Basia nie poznaje, mija,
I leci. Przed nią kilkunastu z bronią
Z doboszem miejskim ku rynkowi gonią.
Basia za nimi; — już ujrzała rynek,
Ratusz, gdzie stają mieszczanie w ordynek
Zbrojni. Marcowicz burmistrz stał na przodzie,
Dał znak i cały oddział już w pochodzie.
Tylko Stach Krawczyk nie stanął do frontu,
Jeno pod połą coś krył na kształt lontu,
A gdy Marcowicz wiódł w zamkową stronę,
Stach się na niebo obejrzał czerwone,
I zniknął. Basia chwilkę się wstrzymała
Blada, płomieniem ozłocona cała.
Na śniegu widać krew, szwedzkie tułowy
Leżą; — tym piersi strzaskano, tym głowy.
Znać, jako z domów na alarm wybiegli,
Tak pod ciosami mieszczan pierwsi legli.
Ale ta śmierci zgroza dla niéj niczem.
Ona z zwróconem w płomienie obliczem
Stoi, i zda się że czeka skinienia,
Od bijącego w niebiosa płomienia.

Nagle ją z tego zapatrzenia budzi
Krzyk, i przy domu narożnym tłum ludzi.
Wielogłowskiego arjana mieszkanie,
Z Januszem starsi napadli mieszczanie
I wynosili szable, strzelby, piki.
Basia raz na nich rzuciła wzrok dziki,
I jak spłoszona gołębica biała,
Ku młyńskiéj bramie z rynku poleciała.

Jeszcze daleko od niéj młyńska brama.
Ulica długa, noc, a ona sama
Leci. Na prawo słychać bój się wzmaga,
Ale w niéj jakaś nadludzka odwaga.
Padają strzały, kule ryją w śniegu,
Słychać szczęk, lecz nic nie wstrzyma jéj w biegu.
A wtem przy stodół czerwonych płomieniach
W prawo tłum zbrojnych obaczyła w cieniach
Kościoła. Kościół był świętego Ducha.
Dwoje dział ogniem na czarny tłum bucha
Z muru; — ale ci, zbrojni siekierami,
Rąbią mur; w środku husarz ze skrzydłami
Jak anioł ognia połyskuje w stali,

Był to Wąsowicz z oddziałem górali.
I właśnie Basia w téj chwili nadbiegła,
Gdy się od siekier rozprysnęła cegła,
I tłum z ognistym aniołem na czele,
Wpadł na zamkniętych Szwedów przy kościele,
Na cmentarz. Ale Basia nic nie zważa
Na jęki za nią lecące z cmentarza.
Biegnie i oczu o nic już nie pyta,
Sercem przeczuwa, sercem wieści chwyta.
Wie, gdzie jest Oskar i wie, że on żyje —
Żyć musi, bo jéj serce dotąd bije;
Zmilkłoby gdyby on padł . . . „Paść nie może,
Pokąd ja przy nim głowy nie położę!"
W to jeszcze jedno teraz dziewczę wierzy,
O reszcie nie wie nic i daléj bieży.

Łuna szeroka, ponad łuną dymy.
Mur, bramne baszty, dwa czarne olbrzymy,
Znakami, jakby podwójnem ramieniem
Wieją nad bitwą w dole i płomieniem.
A pod murami na iskrzącym śniegu
Ujrzała Basia w ściśniętym szeregu
Szwedów. Tam Oskar mignął się w przyłbicy
Z mieczem świecącym na kształt błyskawicy,
Owiany dymem rotowych wystrzałów.
Wtém widzi, — z Bartkiem młódź wpada od wałów
Jak lwy, a w górze nad młodzią przyświeca
Bartkowa barda, na kształt półksiężyca.
Krawczyk zaś jak czart po murach się zwija,
W ręku mu syka lont jak kręta żmija,
I grzmią co chwila Szwedowi organki,
A mur w ogniste ubiera się wianki.
Widzi to Basia i blednie jak mara,
Leci i krzyczy gdy ujrzy Oskara,
Milknie, gdy Oskar pośród tłumu znika;
Na strzał już tylko od niéj bitwa dzika,
Lecz wtém z furmańskiéj ulicy wypada
Marcowicz, a z nim mieszczanów gromada.

Złamało Szwedów burmistrza natarcie;
Złamani, w kupach biją się zażarcie.
Przez tłumy Basia przecisnąć się stara,
Tam, gdzie obaczy miecz lub hełm Oskara.
Raz jeszcze trąbka wezwała w ordynek,
Lecz darmo; musiał Szwed zwieść pojedynek

O śmierć. I każdy swego tam znachodził:
Burmistrz trębacza szablą w kark ugodził,
Szydłowski strzelca w łeb uderzył młotem,
Gilowi sierżant piersi skłuł brzeszczotem;
Tego szewc Cyrus przebił halabardą.
Bartek rajtara szwedzkiego ściął bardą,
A Olexowicz zranił muszkietiera;
Pijanowskiego gdy muszkiet odbiera,
Trącił Jameński, wziął broń i wypalił.
Bartłomiéj znowu chorążego zwalił,
Gadowicz Szweda zadławił kułakiem,
Browarnik walczył zaś ogniowym hakiem,
A śród ich Basia jak widmo rozpaczy
Rwie się, gdzie tylko Oskara zobaczy.

Już Bartek krwią się po ramiona zbroczył,
Gdy wtém Oskara blizko siebie zoczył.
„Miejsca! zawołał — precz! ten smukły gaszek
Dla mnie! odstąpcie wy, ha! to mój ptaszek!"
Oskar to słysząc przez tłum się przeciska,
I mieczem kręcąc nad głowami błyska;
Ten hełmem, Bartek czapką pokrył czoło,
Reszta zaś dla nich uczyniła koło.
Trzykroć w tym boju darmo się szukali,
Ale już teraz w obec siebie stali,
Gniewni obadwaj, odważni i mściwi,
I téj z pod serca krwi jednako chciwi.
Oskar miecz, Bartek silniéj bardę ima,
A powitali się najpierw oczyma.

Pierwszy ciął Bartek, ciął jako w świerk smukły,
I Oskarowi zagiął hełm wypukły.
Oskar się zachwiał, ciął, i gniew go pali:
Bo miecz spadł tylko na bardę ze stali.
I ta śród widzów co chwila cios nowy
Szukał u obu to serca to głowy.
Oskar zręczniejszy; ten silniejszy dłonią,
Zwijał okrutnie swą ciesielską bronią.
Szczęk tylko głuche przerywał milczenie,
A oświecały ich stodół płomienie.

Już Bartek Szweda w głowę ciąć zamierzył,
Lecz przeraźliwy krzyk w tem go uderzył.
Wstrzymał cios; Basia przelękniona zbladła,
Z krzykiem na piersi Oskarowi padła,
I topiąc w Bartka dzikie oczy swoje,

Na hełm Oskara rąk złożyła dwoje.
Wzdrygnął się Bartek; — ona mu oczyma
Zaklęła rękę i w górze ją trzyma;
Pobladł i na bok cofnął się z siekierą,
Lecz wtem się inni do Oskara biorą,
Natarli, on stał, lecz słabo się bronił;
Więc Bartek własną bardą go zasłonił,
I do mieszczanów obrócił się z krzykiem:
„Stójcie! on jutro będzie katolikiem,
Dla niéj; — ja ręczę!"....

Lecz Krawczyk ponury
Z rusznicą w ręku patrzał na to z góry:
„Bredzisz! Szwed żmija!" zawołał i zmierzył,
Padł strzał, — strzał w serce Oskara uderzył...
On padł.

W krew Basia wpatrzyła się blada,
Sama przy piersiach trupa cicha siada,
Padła... Tak kosą ścięta lilia pada.

Porwał ją bartek w ramiona; „Nie żywa!"
Twarz senna,—w splotach włos na pierś mu spływa.
Patrzy w nią; jeszcze kraśne usta miała,
Kędy skrzydlata dusza uleciała
W skonaniu... U nog jego barda leży,
W koło bój — lecz on do boju nie bieży.
Zapomniał gdzie jest; szczęk oręży, kule,
Jęk rannych, wszystko przyjmuje nie czule.
Nie wie nic, tylko że ją w rękach trzyma,
Że mu umarła już, i że już jéj nie ma
Nigdzie dla niego! — i nic jak széroki
Świat! taki w sercu poczuł ból głęboki.

III. Dział Dydaktyczno Epiczny,

1) Bajki, Przypowieści, Allegorye i Powieści dydaktyczne.

IGNACEGO KRASICKIEGO:

Kulawy i ślepy.

Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo;
Ale że to ślepemu nieznośno się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
Wziął kij w rękę: ten, rzecze, z szwanku nas wybawi.

Idą; a wtém kulawy krzyknie: umknij w lewo!
Ślepy wprost i choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.
Idą daléj; kulawy przestrzega od wody,
Ślepy w bród: sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.
Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
I ślepy i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył.

Ojciec łakomy, syn rozrzutny.

Zawżdy się zbytek kończy doświadczeniem smutném;
Płakał ojciec łakomy nad synem rozrzutnym.
Umarli oba z głodu, każdy z nich zasłużył:
Syn, że nadto używał, ojciec, że nie użył.

Dwa żółwie.

Nie żałując sił własnych i ciężkiéj fatygi,
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi.
Nim połowę do mety drogi ubieżeli,
Spektatorowie poszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka: lepiéj się pogodzić;
Pierwéj, niżeli biegać, nauczcie się chodzić.

Ptaszki w klatce.

Czegoż płaczesz? staremu mówił czyżyk młody,
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody! —
Tyś w niéj zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę;
Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płaczę.

Osieł i wół.

Osieł podczas upału szukając ochłody,
Postrzegł, iż pasterz bydło prowadził do wody.
Zbudował się z takowéj dobroci człowieka;
A gdy przyczyn postępku tego nie docieka,
Rzekł mu wół: cudzy przykład niechaj cię nauczy;
Siebie on, nie nas kocha: żeby zarznął, tuczy.

Nocni stróże.

Małe złego początki wzrastają z uporu:
Zawżdy ludzi omamia błachy punkt honoru.
Miasto jedno w ustawnéj zostawało trwodze,
Jędrzéj, Piotr, nocni stróże zawzięli się srodze;
Więc rozruch w domach, w karczmach, na każdéj ulicy;
Piotra wójt utrzymywał, Jędrzeja ławnicy.
Za mężami szły żony; za starszymi dzieci,
Przeniósł się wreszcie rozruch od mieszczan do kmieci.
Wojna zatem i oto przez lat kilkanaście:
Piotr krzyczał, gaście ogień! — Jędrzéj: ogień gaście!

Zwierzęta i niedźwiedź.

Pod lwem starym ustawną prowadziły wojnę;
Młody, że panowanie obiecał spokojne,
Cieszyły się zwierzęta: niedźwiedź cicho siedział.
Spytany, czego milczy? wręcz im odpowiedział:
Zatrzymajmy się jeszcze z tą wieścią radośną,
Aż młodemu lewkowi pazury urosną,

Talar i czerwony złoty.

Talar zwierzchnią postacią swoją okazały,
Gardził czerwonym złotym dla tego, że mały,
Gdy przyszło do zmieniania nie patrzano miary;
Złoty pieniądz, choć mały, wart był trzy talary.

Pieniacze.

Po dwudziestu dekretach, trzynastu remissach,
Cztérdziestu kondemnatach, sześciu kompromissach,
Zwyciężył Marek Piotra; a że się zbogacił,
Ostatnie trzysta złotych za dekret zapłacił.
Umarł Piotr, umarł Marek, powróciwszy z grodu,
Ten, co przegrał, z rozpaczy; ten, co wygrał, z głodu.

Słowik i szczygieł.

O prym, kto lepiéj śpiewa, szedł szczygieł z słowikiem;
Stanęli więc obadwa przed sędzią czyżykiem.
Wygrał szczygieł: zadziwił wszystkich dekret taki.
Zleciały się natychmiast do słowika ptaki:
Żałuję cię, żeś przegrał; czyżyk sędzia zbłądził;
A ja tego, rzekł słowik, który mnie osądził.

Lis i osieł.

Lis stary wielki oszust, sławny swém rzemiosłem,
Że nie miał przyjaciela, narzekał przed osłem.
Sameś sobie w tém winien, rzekł mu osieł na to:
Jakąś sobie zgotował, obchódź się zapłatą. —
Głupi ten, co wnijść w przyjaźń z łotrem się ośmiela:
Umiej być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.

Oracze i Jowisz.

Posiał jeden na górze, a jeden na dole.
Rzekł pierwszy: pragnę deszczu; drugi: suszą wolę.
Kiedy się więc z prośbami poczęli rozwodzić,
Jowisz, chcąc obu żądzy obficie dogodzić,
Ustawicznie niziny suszył, góry moczył.
Przyszło zbierać, aż każdy poznał, że wykroczył:
Bo zboże traktowane w kontr swojéj naturze,
Spaliło się w nizinie, wymokło na górze.

Dewotka.

Dewotce służebnica w czemsiś przewiniła,
Właśnie natenczas, kiedy pacierz kończyła;
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: „i odpuść nam winy„
„Jak i my odpuszczamy," biła bez litości. —
Uchowaj, Panie Boże! takiéj pobożności.

Wilk i owce.

Choć przykro, trzeba cierpieć; choć boli, wybaczyć,
Skoro tylko kto umie rzecz dobrze tłumaczyć.
Wszedł wilk w traktat z owcami: o co? o ich skórę;
Szło o rzecz. Widząc owce dobrą konjunkturę,
Tak go dobrze ujęły, tak go opisały,
Iż się już odtąd więcéj o siebie nie bały.
W kilka dni ten, co owczéj skóry zawżdy pragnie,
Widocznie, wśród południa, zjadł na polu jagnię.
Owce w krzyk;.... a wilk na to: pocóż narzekacie?
Wszak niemasz o jagniętach i wzmianki w traktacie.
Udusił potém owcę: krzyk na wilka znowu;
Wilk rzecze: ona sama przyszła do połowu.
Niezabawem krzyk znowu i skargi na wilka:
Wprzód jednę, teraz razem zabił owiec kilka.
Drudzy rwali, wilk rzecze, jam tylko pomagał.
I tak, kiedy się coraz większy hałas wzmagał,
Czyli szedł wstępnym bojem, czy się cicho skradał,
Zawżdy się wytłumaczył.... a owce pozjadał.

Wino i woda.

Przymawiano jednego czasu wino wodzie:
Ja panom, a ty chłopom jesteś ku wygodzie. —
Nie piłoby cię państwo, rzecze woda skromnie,
Gdyby nie chłop dał na cię, co chodzi pić do mnie.

Pan i pies.

Pies szczekał na złodzieja całą noc się trudził:
Obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiéj nocy, złodzieja nie czekał:
Ten dom skradł; psa obili za to, że nie szczekał.

Lew pokorny.

Źle zmyślać, źle i prawdę mówić w pańskim dworze.
Lew chcąc wszystkich przeświadczyć o swojéj pokorze,
Kazał się jawnie ganić. Rrzekł lis: jesteś winny,
Boś zbyt dobry, zbyt łaskaw, zbytnie dobroczynny.
Owca widząc, że kontent, gdy liszka ganiła,
Rzekła: okrutnyś, żarłok, tyran!.... już nie żyła.

Furman i motyl.

Ugrzązł wóz, ani ruszyć już się nie mógł w błocie:
Ustał furman, ustały i konie w robocie.
Motyl, który na wozie siedział wtenczas prawie,
Sądząc, że był ciężarem w takowéj przeprawie,
Pomyślił sobie; litość nie jest złym nałogiem,
Zleciał, i rzekł do chłopca: jedźże z Panem Bogiem.

Żółw i mysz.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia; żółw jéj odpowiedział;
Miéj ty sobie pałace, ja mój domek ciasny:
Prawda, nie jest wspaniały; szczupły, ale własny.

Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły. Wiódł łotrowskie życie,
Więc, ażeby pokutę zaczął należycie,
Zrzekł się mięsa. Jarzyną żyjąc przez dni kilka,
Znalazł na polowaniu znajomego wilka:
Trzeba pomódz bliźniemu; za pracę usłużną
Zjadł kawał mięsa; gardzić nie można jałmużną.
Spotkał jagnię nazajutrz samopas idący,
Chciał upomnieć, nastraszyć; zabił je niechcący.
Nazajutrz widząc cielę, że z krową nie chodzi,
Zabił je; takich grzechów cierpieć się nie godzi.
Nazajutrz, gdy się pasły z krowami pospołu,
Niech się dłużéj nie męczy; zjadł starego wołu.
I tak cierpiąc przykładne z dóbr świata wyzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

Skąpy.

Chciał się skąpy obwiesić, że talara stracił;
Żeby jednak za powróz dwóch groszy nie tracił,
Ukradł go po kryjomu. Postrzegli sąsiedzi;
Kiedy więc osądzony na śmierć w jamie siedzi,
Rzekł, gdy jedni żałują, a drudzy go cieszą:
To szczęście, że mnie przecież bez kosztu powieszą.

Mądry i głupi.

Pytał głupi mądrego: na co rozum zda się?
Mądry milczał: gdy coraz bardziéj naprzykrza się,
Rzekł mu: na to się przyda, według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

Woły krnąbrne.

Miłe złego początki, lecz koniec żałosny.
Nie chciały w jarzmie chodzić woły podczas wiosny,

W jesieni nie woziły zboża do stodoły;
W zimie chleba nie stało, zjadł gospodarz woły.

Skowronek.

W czasy gorące,
Na łące,
Pasły się społem
Osieł z wołem:
Tamten chróstem, ten trawą;
A pomiędzy murawą,
Tam, gdzie kwiaty i ziółka,
Pszczółka.
Chwytając motylki, zbierając robaczki,
Bujał skowronek nad krzaczki,
Na jednéj łące wszystko się działo.
Pszczółka brzęcząc w ul niosła zdobycz okazałą,
Chwast z trawą to użyczał;
Osieł beczał, wół ryczał.
Skowronek wzbijając się czule i radośnie
Dawał wdzięk wiośnie.

Rumak i źrebiec.

Koń w rzędzie sutym, zewsząd lśniący złotem,
Rżąc deptał ziemię pod jeźdźcem zuchwałym:
Źrebiec bez uzdy, posuwistym lotem,
Uginał trawy w pędzie wybujałym.
Razem ku sobie zbliżyły się oba;
Rzekł rumak: patrzaj, jaka moja postać,
Siodło, rząd złoty, jak ci się podoba?
Przyznaj, bez jeźdźca trudno tego dostać.
Na wspaniałości wcale się nie znacie;
Tułacze w łąkach, jak nikczemne bydło.
Prawda, rzekł źrebiec, jednakże mój bracie,
Chociaż to złoto, przecież to wędzidło.

Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,
Korzystając z swobody,
Pasł się trawką, ziółkami, w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły.
I on téż używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz gdy wyszedł w świtaniu, i bujał po łące,
Słyszy przerażające

Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.
Stanął; — słucha; — dziwuje się;...
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy się po za siebie, aż dwa psy i strzelce;
Strwożon wielce.
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:
Weź mnie na grzbiet i unieś!—Koń na to: nie mogę
Ale od innych pewną będziesz miał załogę,
Jakoż wół się nadarzył: — ratuj przyjacielu!
Wół na to: takich jak ja zapewne nie wielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Jałowica mnie czeka, nie długo zabawię;
A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże.
Kozieł: żal mi cię, nieboże!
Ale ci grzbietu nie dam, twardy, nie dogodzi:
Oto wełniasta owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć . . . Owca rzecze:
Ja nie przeczę;
Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią, i zjedzą zająca i owce;
Udaj się do cielęcia, które się tu pasie:
Jak ja ciebie mam wziąść na się?
Kiedy starsi nie wzięli, cielę na to rzekło,
I uciekło.
Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie;
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
Wczora
Z wieczora
Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką lub więcierzem:
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem;
Nie będą mieć otuchy,
Skoro staw będzie suchy.
Ryby w płacz; a czapla na to:
Boleję nad waszą stratą.
Lecz można złemu zaradzić,
I gdzieindziéj was osadzić;
Jest tu drugi staw blizko,
Tam obierzcie siedlisko:
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.
Więc nas przenieś! rzekły ryby;
Wzdrygała się czapla niby:
Dała się nakoniec użyć,
Zaczęła służyć;

Brała jednę po drugiéj w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.
Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił:
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa:
Tak zdrajcom bywa.

Chłop i cielę.

Nie sztuka zabić, dobrze zabić sztuka;
Z bajki nauka.
Szedł chłop na jarmark, ciągnąc cielę na powrozie.
W lesie, wąwozie,
W nocy burza napadła; a gdy wiatry świszczą,
W ciemności postrzegł wilka po oczach, co błyszczą.
Więc do pałki: jął machać, nie myślawszy wiele,
Zamiast wilka, co uciekł, zabił swoje cielę.
Trafia się i nie w lesie, panowie doktorzy!
Lek pałka, wilk choroba, a cielęta chorzy.

Szczep winny.

Mówią Araby, iż gdy szczep winny
Adam posadził: djabeł zbyt czynny
Podlał krwią pawia, co Adam szczepił.
A gdy się w wzroście szczep coraz krzepił,
I listki wydał,
Djadeł krew małpią do pierwszéj przydał.
Zeszły jagody; skropił lwią juchą.
A gdy dojrzały, a było sucho,
Skropił je wszystkie posoką świnią.
Cóż teraz czynią?
Oto: gdy wina szklankę kto łyknie,
Jak paw się nadmie; po drugiéj krzyknie;
Skacze jak małpa, gdy szklanki mnoży:
Po piątéj, szóstéj, jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcéj przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy, staje się świnia.

Kuglarze.

Dosyć się to często zdarza,
Bywa kuglarz nad kuglarza.
Jeden z nich, a jest nie mało,
Żwawo i śmiało
Pokazywał: co może,
Zjadał łyżki i noże.

Z gałek ciasta robił grosze,
Karty przemieniał w kokosze,
Co chciał, stawiał, co chciał, zmykał.
Usta kłódkami zamykał,
Kuropatwy robił z chleba;
Zgoła był takim, jak trzeba:
Bawił, dziwił od tygodnia.
Wszedł drugi i powiedział: ja się zowię zbrodnia.
Rzekł zatem do pierwszego: kolego i bracie!
Na rzemiośle się nie znacie;
A wy, co mnie widzicie,
Patrzcie, cuda ujrzycie.
Oto zwierciadło,
Co wszystko zgadło!
Zbliżył się szpetny, ujrzał postać miłą:
Przyszedł garbaty, i garbu nie było;
Każdy z pociesznym odszedł zadatkiem:
Kto nie miał zębów, znalazł dostatkiem;
Poczerniałe,
Były białe;
Stara baba, będąc młodą,
Pocieszyła się urodą.
Wszyscy sprawcę uwielbiali,
Wszyscy razem zawołali:
Oto zwierciadło,
Co wszystko zgadło.
Dał lichwiarzowi w rękę pełen kaszy garnek:
Skoro wziął, tyle groszy było, ile ziarnek;
Glina, postać przybrała okutéj szkatułki.
Otworzył stratny, znalazł pozew i pigułki;
Rzucił: porwał ją złodziej i brzęczała złotem.
Ale gdy odbił zamek z niezmiernym łoskotem,
Przestraszył go natychmiast widok niespodziany:
Złoto znikło, znalazł się stryczek i kajdany.
Stawił butelek parę szampańskich;
Oto, rzekł, extrakt obietnic pańskich.
Zrazu nic w nich nie było:
Cóż się potém zjawiło?
Oto coś, jak się zaczęło burzyć,
Mieszać, przewracać, pienić i kurzyć;
Szelest zrobił się wielki,
Pękły obie butelki;
I znowu nic nie było.
Gdy to wszystkich dziwiło,
Jakieś dziwackie jął odprawiać szepty,

Jak grad na stolik leciały recepty.
Wziął jednę zdrowy, czytał, i słabo mu było:
Wziął chory, nic nie znalazł, i to uleczyło.
Spazmatyczna, co tam stała,
To na swojéj wyczytała:
Chcesz nie być chora?
Strzeż się doktora!
Zmienił modne kornety w worek wypróżniony;
Zrobił pierścień z pszenicy, a kufer z skarbony,
Zadziwili się wszyscy: on rzekł: to jest fraszka.
Dał młodemu trzos złota, została się flaszka.
Postrzegł w ciżbie dworaka, dał mu pęcherz z złotem;
Kazał ścisnąć; natychmiast niespodzianym zwrotem,
Odmieniwszy postawę prostą i obrzydłą,
Wystrzelił, jak z armaty i wydał kadzidło.
Wziął fascykuł od jurysty:
Dmuchnął, został piasek czysty,
Z piasku owego zaraz bicz ukręcił,
Z bicza zrobił kałamarz; a gdy w nim coś zmęcił,
Ujrzeli w rękach swoich za taką robotą,
Ten, co miał sprawę, piasek; co w niéj gadał, złoto.
Sędziemu dwa pęcherze dał od zapozwanych;
Obadwa były pełne papierów pisanych.
Pękł, co był ubogiego, skoro go wymienił;
Bogacza w ważny wexel zaraz się przemienił.
A wszyscy zawołali zdaleka i zbliska:
Tomito pęcherz, gdy kto na nim zyska!
Chcecie wiedzieć, rzekł: jakto przemysł rzeczy mnoży?
Niech z was każdy w ten worek pieniądze położy.
Stosując się do rozkazu,
Napełnili go do razu.
On się pokłonił, podskoczył, wykrzyknął,
Brzęknął pieniędzmi, rozśmiał się i zniknął.

ADAMA STANISŁAWA NARUSZEWICZA:

Rada zwierząt.

W kąciku gdzieś dalekim odludnéj Afryki,
Powiadają, że zwierz dziki
I ten, co ma pazury, i ten, co kopyto,
Założył rzeczpospolitą.
Wszystko tam u ichmościów z samego początku
Szło w należytym porządku.

Wszędy pokój panował i przyjaźń prawdziwa,
Co u ludzi rzadko bywa.
Nie dybał bury wilczek cichuteńko z łozy
Na świńki i płoche kozy.
Dopiero, gdy się ludzie gryźć poczęli wzajem,
Popsuł się zwierz złym zwyczajem,
Trafiło się raz jakoś, że zostając w nędzy,
Stan potrzebował pieniędzy:
A że tam i w podatkach pilne względy miano,
By słabszych nie uciskano;
Waląc równie na tego, co ma dwa zagony,
Jako co ma miliony:
Zeszły się wszystkie dwory w towarzystwie licznem,
Myślcć o dobru publicznem.
Tu naprzód rzecz od słonia *ex turno* zaczęta:
Mościwe wielce zwierzęta!
Woły, osły, kozłowie, niedźwiedzie i muły,
Zacne swojemi tytuły!
Żeby było bez krzywdy każdego z osobna;
Czy to lew, czy owca drobna,
Niech każdy, kto rzecz prawom uczyni przeciwną,
Skarb jedną pomnoży grzywną.
Skąd i liczne ojczyzna będzie mieć pieniądze,
I złe się poskromią żądze.
Dobrze to jest, odpowie lis z niskim ukłonem,
Rudym machnąwszy ogonem;
Lecz zdaniem mojém będą liczniejsze dochody,
Gdy tak stary, jako młody,
Sam sobie sędzią, własne oceni przymioty,
I za nie położy złoty.
Bo każdy, choć mało wart, rad swe wielbi czyny;
A nikt się nie zna do winy.

JULIANA NIEMCEWICZA:

Kura i kurczęta.

Choć swym kogutem zajęta,
Wylęgłe przez się kaczęta
Nad stawem wodziła kura,
Mniéj na cudze baczna płody:
A że kacząt jest natura
Z maleńkiego iść do wody,
Uczyniwszy szereg długi.
Chyląc się w ten bok i drugi,
Szły na przestrzenię głęboką
Nic nie zważając że paszczą szeroką
Sum okrutny siedząc na dnie,
Mógł kilkoro połknąć snadnie:
Że czepy sterczące w górę
Mogły na wskroś przebić które;

Że wkoło przygód bez liku.
To widząc pliszka, na małym kamyku
Stojąc, kiwając główką i ogonkiem,
Dybiąc za muchą, lub wodnym pająkiem,
Gdy je koleją porywa,
Tak się do kacząt odzywa:
„Śliczna też to wasza mama,
Bawiąc się z kogutem sama,
Nie niedba o wasze zdrowie;
Jak też może być tak płocha!"
Jedno jéj z kacząt odpowie:
„To tylko nasza macocha."

Obraz.

Raz przyszedłem do obrazu
W ramach przepysznie złoconych;
W rysach jego podrobionych
Nie było życia wyrazu.
Czemuż, wołam, tę chudobę
W taką przybierać ozdobę!
Mnie ta przymówka nie wstydzi,
Rzeknie obraz, nie mruż powiek;
Gorzéj, kiedy się to widzi,
Że lepsza suknia niż człowiek.

Złoto i żelazo.

Dukat świetnem pyszny złotem,
Pod twardym jęczący młotem,
Tak na swe losy narzekał:
Czegożem ja się doczekał,
Ach! jaką dla mnie to skazą,
Być gnębionym przez żelazo,
Przez kruszec podły i twardy. —
Chciéj powściągnąć ton twój hardy,
Młot na dukata zawoła:
Nikt tego zmienić nie zdoła,
Nikt téj prawdy nie ukryje,
Że żelazo złoto bije.
Póki żelazo będziemy posiadać,
Umieć, jak pługiem i orężem władać,
A cnota z męztwem będą kraju stróże;
Piekielna chciwość nigdy nie przemoże.

Gmach podupadły.

Nieraz ten co bajki plecie,
Trafunkiem i prawdę powie.
W Mozyrskim mówią powiecie,
(Nie wiem, jak się miejsce zowie)
Leżał zamek starodawny
Nad czystego zdroju spadkiem;
Niegdyś wielkością swą sławny,
Okazałości był wzorem;
Lecz czasem i niedozorem
Już zewsząd groził upadkiem.
Panowie, co w nim mieszkali,
Długo o zamek nie dbali,
Choć się część jego zwaliła;
Lecz gdy i reszta groziła,
Że każdemu miłe życie,
Niechcąc żyć w niepewnym bycie,
Jęli myśleć o poprawie,
Co się w mnóstwie rzadko zdarzy,
Zgodzili się w swéj ustawie.
Że chcąc ruiny poprawić,
Należy się mieć mularzy,
Wśród téj gorliwéj ochoty,
Gdy przyjść miało do roboty,
Gdy mur nowy mieli stawić,
I dawne naprawić rysy,
Skłócili się o abrysy.
Należy wiedzieć, że niedawnym czasem,
Gdy się dom walił częściami,
Pan chcąc go wzmocnić nawiasem,
Podparł go kilką drągami;
Ale zamek murowany
Źle podpiera drąg drewniany.
Dawni jednak budownicy,
Dzieła swego miłośnicy,

Chcieli by w nowych nie szukając wzorach,
Kleić na dawnych podporach.
Lecz większa drugich połowa,
Szczera w chęciach, w radach zdrowa;
Wołała: „Próżna robota,
Próżna praca i ochota.
Wszystko będzie pełne wady,
Gdy wątłe będą zasady;
Że trzeba, żeby Panięta
Wspomnieli na fundamenta;
Że gdy te założą trwało,
Mogą potem stawić śmiało,
A gmach stojąc w czas daleki,
Zwalczy pioruny i wieki." —
Próżna mowa, bo jedni jéj nie zrozumieli,
Drudzy zrozumieć nie chcieli;
Ci zaś najwięcéj mieszali,
Co budownictwa nie znali:
Bo gdy ten o podwalinach
I o upadku przyczynach
Chce radzić, tamci coś nowego wzniecą,
I z jakąś fraszką wylecą.
Ten żąda okna poprawić,
Tamten nowy dach postawić,
Ten piec gdzieindziéj przenosi,
Ów gwałtem kominka prosi;
Wielu zaś o to nagliło,
Żeby sekretnych drzwiczek jak najwięcej było.
Wśród tak rozlicznych sporów i niezgody,
Co babilońskie przypomniały wieże,
Kiedy się każdy niby od upadku strzeże,
I chcąc dać jasne dowody
Głębokiéj swojéj mądrości
I niemylnéj ostróżności,
Choć nie zna gmachu osnowy,
Przydaje swym konceptem gabinecik nowy.
I gdy tak każdy szuka swéj zalety,
Nowe stawiąc gabinety,
Że już samego gmachu ledwie widać było;
A co dziwna, że w tym gwarze,
Zapomnieli, iż mularze
Najprędzéj potrzebni byli,
Żeby gmach zabezpieczyli.
Lecz czyli takie losu zrządzenie,
Czyli jakieś zaślepienie,
Czyli że się Pan nie chciał czeladzi powierzyć,
A czeladź bała się Pana:
Choć była wszystkich chęć niepodejrzana,
Nikt nie mógł sporów uśmierzyć,
Nikt nie mógł trafić do końca.
Już nie jednego miesiąca
Dni na próżno uleciały;
Alić gmach ów nadwątlały,
Nie doczekawszy pomocy,
W pośród gromów przeraźliwych
Spadł na głowy nieszczęśliwych.
Wtenczas przy ostatnim zgonie,
Z płaczem wszyscy narzekali,
Że gabinety stawiali,
Gdy trzeba było myśleć o domu obronie.

Pożar.

W obszernym domie, zdawna zamieszkanym,
Lecz, jak się zdaje, na klęski skazanym,
W domie, gdzie mieszkał bogaty i mierny,
Zajął się pożar niezmierny;
Co bardziéj jeszcze powiększało trwogę,
Że ze trzech stron wiatry srogie,
Wznosząc, iskry, dym, płomienie,

Ognistą łuną niebieskie sklepienie
Okryły. Dzielni mieszkańcy atoli
W téj ostatecznéj niedoli,
Miasto rozpaczy, frasunku,
Rzucili się do ratunku.
Porwali się niepomni na własną swą zgubę,
By obronić szczyty lube.
Gaszenia rodzaj wszelaki,
Sikawki, woda i haki,
Co roztropność, albo też męztwo znakomite
Kazały, wszystko tam było użyte.
Gdy wszyscy walczą w powszechnéj obronie,
Jeden samolub, w najmodniejszym tonie,
Mniéj dbając, że się dom cały mógł spalić,
Byleby własne tłomoczki ocalić,
Zabrawszy ruchomość swoję,
Wyszedł przez tylne podwoje,
I do obcéj się kamienicy schronił;
Niezmiernie kontent, że siebie obronił:
Tam przez lornetkę i w oknie stojący,
Spokojnie patrzał na dom gorejący.
Nie pierwszy przykład, że zamysł cnotliwy,
I hazardy i starania,
Skutek wzięły nieszczęśliwy;
Mimo pracy obrońców i usiłowania,
Dom ów ze wszystkiem się spalił,
I szczyt się cały zawalił.
Mieszkaniec, który się go obronić spodziewał,
Smutne popioły gdy łzami oblewał,
I wpośród gruzów zamyślony siedział,
Przyszedł do niego samolub kochany,
I rzekł mu: „Jam to wszystko przepowiedział,
„Nikt wam rozumu tego nie pochwali,
„Co za zamysł niesłychany,
„Biedz do obrony, kiedy dom się pali!
„A potem całe dzieło bez porządku,
Bez ładu i bez rozsądku:
„Kto widział wodą chcieć ugasić mury?
„Ja na mnie winy téj nie będę składał....."
Przerwał mieszkaniec: „Wyrodku natury!
„Ty coś siebie nad dobro powszechne przekładał
„Kto dzielić z cnotliwymi hazardów się boi,
„Temu zarzutów czynić nie przystoi;
„Nieśmiałeś z nami rzeczy powszechnéj zasłaniać,
„Nie masz dziś prawa naganiać

„Ni zamysłu, ni sposobu.
„Zginęliśmy, lecz z sobą przeniesiem do grobu
„Czułe poczciwych wspomnienia,
„Spokojność i świadectwo własnego sumienia.
„Ty, coś zakładał szczęście twoje w złocie,
„Żyj z niém; żyj razem w hańbie i zgryzocie!" —

J. I. KRASZEWSKIEGO:

Szuflada i głowa.

Pewien uczony,
Bardzo wsławiony,
Pokazywał mi szufladę.
— „Patrz, co to ja w te papiery,
Przez lat trzydzieści i cztery,
Rozumu, nauki, kładę." —
— „Ach! ktoś na to z boku doda —
Cóż to za wielka szkoda,
Moi mili panowie,
Że rozum i nauka,
Któréj każdy w głowie szuka,
U tego pana w szufladzie — nie w głowie."

Pan i człowiek.

Jechał pan przez ulicę na tęgim rumaku,
A było błoto. —
Ja sobie szedłem w szarym kubraku,
Bokiem, piechotą.
Aż słyszę, pędzi — Aj! z drogi, z drogi,
Gotów stratować,
A więc ja w nogi,
Biegłem się schować.
Lecz pan znajomy! Co to za łaska,
Od wszystkich stroni,
A z bicza trzaska,
Woła mnie, goni;
Stanąłem —
Jedzie — ja nizko,
Kapelusz zdjąłem,
On tuż, tuż, blizko,
Końskiemi nogi,
Pędzi z łoskotem.
Stanął, przywitał: — „Jak się masz drogi?" —
I całkiem zbryzgał mnie błotem. —
I wdajże się tu, wdaj się z panami!!
Nie roztratuje który? to pewnie poplami. —

Nieulękniony.

Słońce wstało łzą krwawą zlane mając lice
I niebo czarne, groźną wróży nawałnicę.
Na wozie wiatrów obłok od północy płynie
A chmur seciny, jego nieznużeni gońce,
W ciemne zasłony kryją zakrwawione słońce
I resztę światła niebios wydarły dolinie.

Na górach, które siwe wierzchołki wyniosły
Nad świata burze i pogody świata,
Wiry śniegów żeglują powietrznemi wiosły
Jak powiewna skał dzikich wzlatująca szata.

Strzeliły gromy; śmierci oblane płomieniem
Niebo, gniewne na ziemię obróciło oczy —
Człowiek, ów dumny robak uklęknął ze drżeniem
I wzrok nieśmiały po niebiosach toczy.

Lecz był jeden, co gardził światem i zniszczeniem,
Niezlękłém okiem patrząc w pioruny i burze.
Ten poszedł, stanął na wyniosłéj górze
I świat cały powolném obwinął wejrzeniem.

Trzeba go było widzieć! — nad burze i gromy
Wzniósł wzrok posępny, groźny, nieruchomy.
Kiedy bił piorun, on nie zmrużył oka,
A kiedy błyskawicą niebo się rozdarło,
I zajaśniała przestrzeń, bezdenna, głęboka,
On powolnie źrenicę wiodąc obumarłą,
Wzrok przenikliwy zatopił w niebie,
Jakby przed śmiercią, za życia jeszcze
Chciał tam opatrzeć miejsce dla siebie.
Warknęły burze, lunęły deszcze,
Stał nieruchomy i śmiech szatana
Usta mu krzywił zsiniałe.
Niebo się nad nim trzaskało całe,
Ziemia się chwiała ogniem oblana —
On stał jak posąg, nie drżał, nie jęknął,
Przed gniewem Bożym nie klęknął.

Ucichły burze i już zdaleka
Chmur czarnych wojsko ucieka,
I słońce jakby w poranku
Błysło w obłoczków pozłacanych wianku.

On, spojrzał znowu w około,
Ścisnął usta, zmarszczył czoło,

Pytał się nieba czy koniec burzy,
Czy się więcéj nie zachmurzy?

Czy już po wszystkiém? Potrząsnął głową,
Spojrzał na ziemię, na ludzi, domy,
Drzewa zielone, skał szatę płową,
Spojrzał i stał nieruchomy. —

Rzucił wzrok niżéj — przepaść milcząca
Łakome paszcze rozwija,
I potok szumiąc z góry się strąca,
Czarna go bezdnia wypija.

Długo tak, długo, błędny wzrok toczył
Dołem po ziemi, górą po niebie —
Wtém spojrzał w siebie — przeląkł się siebie,
Zadrżał i w przepaść skoczył.

Dziad i baba.

Był sobie dziad i baba —
Bardzo starzy oboje,
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Tak starą, jak oni;
Jedno miała okienko,
I jeden był wchód do niéj. —

Żyli bardzo szczęśliwie,
I spokojnie, jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiłą,
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem. —

— Razem! to być nie może;
Ktoś choć chwilą wprzód skona—
— Byle nie ty nieboże,
— Byle tylko nie ona.

— Wprzód umrę — woła baba,
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziéj słaba,
Zapłaczesz na pogrzebie. —

— Ja wprzódy — moja miła!
Ja kaszlę bez ustanku,
I zimna mnie mogiła,
Przykryje lada ranku.

— Mnie wprzódy — Mnie kochanie!
— Mnie mówię! — Dośćże tego. —
Dla ciebie płacz zostanie, —
— A tobież nie? Dla czego?

I tak daléj i daléj,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali —
Chatkę chcieli porzucić. —

Aż do drzwi — puk powoli:
— Kto tam? — Otwórzcie proszę!
Posłuszna waszéj woli,
Śmierć jestem, skon przynoszę. —

— Idź babo drzwi otworzyć! —
— Ot to, idź sam! jam słaba, —
Ja się pójdę położyć,
Odpowiedziała baba.

— Fi! śmierć na słocie stoi
I czeka tam nieboga!
Idź, — otwórz z łaski swojéj! —
— Ty otwórz, moja droga!

Baba za piecem z cicha,
Kryjówki sobie szuka,
Dziad pod ławę się wpycha,
Bo śmierć stoi — i puka.

I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tam stała;
Lecz znudzona, nareście,
Kominem wleść musiała. —

T. K. WĘGIERSKIEGO:
Kolaska.

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody:
Konie się w biegu pieniły,
On je ćwiczył, co miał siły.
Umykajcie, wołał, z drogi,
Groził kijmi i batogi,
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pośpieszył;
Już to wielką świadczył łaskę,
Kiedy skierował kolaskę:
O włos dziada nie przejechał,
I z przekąsem się uśmiechał.
Pędzi daléj; jam rzekł cicho:
Będzie jemu kiedyś licho;
A wszak niewyjdzie miesiąca,
On nas wszystkich poroztrąca.
Ale gdy tak zawsze leci,
Z strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam na Nowym świecie
Zawadził o kamień przecie.
Pękły osie u karocy,
A on wyleciał jak z procy:
I od téj modnéj swawoli,
Jeszcze go bok dotąd boli.

ADAMA MICKIEWICZA:
Golono, strzyżono.

U nas, kto jest niby chory
Zwołuje zaraz doktory:
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopa albo baby.
Ci, ze swego aptekarstwa,
Potrafiają i podagrze,
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże,
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blizko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i spichlerza.
Gdy jéj z żalem i kłopotem
W okolicy całéj szuka,
Wróciła się w tydzień potém.
Ledwie poznał że to ona:
Bo była w pół ogolona.
„O zbójc! żeby ją skryli
Używając takich figli
Że biedaczkę wygolili! . . .”
„Powiedz raczéj, że ostrzygli
— Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie golą lecz strzygą.”
„A no patrzajcież bo mi go
— Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice
Chcesz nauczać nas pod wąsem
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz że jest postrzyżona? . .”
„A wąsiki ekonoma,
— Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,

Sąć golone czy strzyżone? . . ."
„Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma
Dobrze, że suka jest doma.
Choć też szpetnie ogolona."
„Toć i jam się ucieszyła
— Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła
Choć też szpetnie ostrzyżona."
„Głupiaś z twemi nożycami!"
„I ty z twojemi brzytwami! . ."
„Że golona, przypatrz że się!"
„Że strzyżona pokaże się. . ."

Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: „Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona"
Idzie żyd! „Powiedz-no, żydzie,
Czy golona? czy strzyżona?"
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrała męzka strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony:
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta,
U progu, suka ich wita:
„Pójdź tu moja ogolona!"
Woła mąż. A kobieta:
„Pójdź tu moja ostrzyżona."

Mazur wściekły, już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki
Wlecze ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: „A no teraz:
Czy golona, czy strzyżona?"
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce;
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok, uciekł z wody,
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał na żołnierza.

FR. MORAWSKIEGO:

Zając i niedźwiedź.

Nie tylko ludzi łączy zapał święty,
I między zwierzęty
Bywa przyjaźń gorąca.
Dziwnym trafem, niedźwiedź bury
Nadzwyczaj czuły z natury,
Tak się przywiązał mocno do zająca,
Zając do niego nawzajem,
Że ich przyjaźni nazywano wzorem:
Był to Pollux z Kastorem.
Cóż, kiedy Pollux strasznym był mazgajem.
Ilekroć z swoim zapałem wyjedzie,

Ilekroć swoje uczucia niedźwiedzie
W zajęcze serce chciał przelewać tkliwie,
Zawsze go osapał,
Odrapał,
Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie,
Lecz nie tu koniec jego smutnej doli,
Bo gdy raz w cieniu topoli
O wspólnym rozmawiali losie,
A o marnościach świata rozmyślając,
Zdrzymnął się zając,
I mucha siadła mu na nosie;
Niedźwiedź każdej pory,
Do przysługi skory,
Nagle się porywa;
Straszliwie zaczął się dąsać:
Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
Oj czekaj gadzino złośliwa,
Nie wiesz czém to pachnie.
Jak się odsadzi, jak machnie,
Tak ją dobrze zagrabił,
Że razem muchę i zająca zabił.
Każdy, kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
Nudy i biedę pewno sobie kupi;
Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
Niżli przyjaciel serdeczny a głupi.

Osieł.

Tak się raz osieł dąsał,
Tak się też z innych natrząsał,
Taki był pyszny, zuchwały,
Że go zwierzęta nie poznały;
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło.
Nakoniec wszystkim dowodził
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tém gadał:
Powiadał
Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych,
Jak niezmiernie dawnych,
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,
Jakie to były głowy i figury,
Co to były za osły!

A lis mu na to: jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!

Wisła.

Sarmackiéj Wisły zbożopławne wody
W twarde ściąwszy lody,
Cieszyła się sroga Zima
Że je w swoich więzach trzyma.
Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,
Coście w téj śmiesznéj wolności bujały,
W jakich jesteście okowach!
Oto was każdy przychodzień
Depce, rąbie codzień.
I byle Kałmuk jeździ wam po głowach;
A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
Takie to was jarzmo gniecie,
Tak to Zima włada!
Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta,
Tak jéj z pod Tatrów na swéj urnie wsparta,
Stara Wisła odpowiada.
Nie wszędzie przecież cięży twa potęga,
Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
Tam twoja władza nie sięga.
Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie.
Te śniegi nawet, któreś tu zuchwała
W przepaści gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomogą
Zrzucić twoję przemoc srogą.
Dmij więc, dmij groźnie z twemi Akwilony,
Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony;
Śpieszącéj wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
Pójdziesz, skąd przyszłaś, Wisła Wisłą będzie.

---

2) Satyry.

IGNACEGO KRASICKIEGO:

Złość ukryta i jawna.

Łatwiéj nie łgać poetom, ministrom nie zwodzić;
Łatwiéj głupiego przeprzeć, wodę z ogniem zgodzić,
Niż zrachować filuty. Ciżba, wojsko spore:
Skąd zacząć? z pośród tłumu na hazard wybiorę.

Wojciech jadem zaprawny, co go wewnątrz mieści,
Zdradnie wita, pozdrawia, całuje i pieści,
W oczy ściska, w bok patrzy, a gdy ludzi wdzięcznie,
Cieszy się wewnątrz zdrajca, że oszukał zręcznie.
Czyni źle, bo gust w saméj upatruje złości,
Zdradza, byleby zdradził; a ten zysk chytrości
Stawia mu z cudzych trosków wdzięczne widowiska:
Najmilszy jego napój łza, którą wyciska.
Co słowo, sztuka zdradna; co krok, podstęp nowy;
Zdrajca czynami, giestem, milczeniem i słowy.
Na kogo tylko spojrzy, stawia zaraz sidła,
A gdy się coraz wzmaga złość jego obrzydła,
Jak pająk, co snuł z siebie, rozpostarłszy sieci,
Czuwa wśród pasm rozwitych, rychło w nie kto wleci.
Uśmiech jego nieprawy zmyka się po twarzy,
W oczach skra zajadłości błyszczy się i żarzy:
Spuszcza je na blask cnoty, a zjadle pokorny,
Sili się swéj niecnocie kształt nadać pozorny.
Próżna praca. Sama się złość z czasem odkrywa:
Spada maska, a zdrajca, co pod nią przebywa,
Têm jeszcze wszeteczniejszy, im dłużéj był tajny.
Ten co ma umysł zwrotny, a język przedajny,
Idzie za nim Konstanty, szczęśliwy że wygrał;
A co w pierwszych początkach żartował i igrał,
Czyniąc jak od niechcenia, gdy sztucznie się czaił,
Tak kunszt zdradnych postępów dowcipnie utaił;
Iż ten, co oszukany, nie wie, jak wpadł w pęta.
Wpadł jednak, a fortelnie sztuka przedsięwzięta
Tego, co ją dokazał, uczyniła sławnym.
A poczciwość? — ten przymiot służył czasom dawnym,
A kto wie, czy i służył? Każdy wiek miał łotrów:
A co my teraz mamy i Pawłów i Piotrów,
Miał Rzym swoje Werresy, swoje Katyliny.
Był ten czas, kiedy Kato z poczciwych jedyny,
Silił się przeciw zdrajcom sam, i padł w odporze,
Nie w tak dzikim już teraz jest cnota humorze:
Umie ona, gdy trzeba, zyskowi dogadzać;
Człowiek grzeczno poczciwy, kiedy kraść i zdradzać
Nakaże okoliczność, zdradzi i okradnie:
Ale zdradzi przystojnie, zedrze przykładnie,
Ale wdzięcznie oszuka, kształtnie przysposobi;
Ochrzci cnotą szkaradę, i złość przyozdobi.
A choć zraża sumienie, niebo straszy gromem,
Śmieje się, zdradza, kradnie — i jest galantomem.
Więc poczciwych aż nadto. Paweł trzech mszy słuchał,

Zmówił cztéry różańce. na gromnicę dmuchał,
Wpisał się w bractwa wszystkie, dwie godziny klęczał,
Krzywił się, szeptał, mrugał, i wzdychał i jęczał.
A pieniądze dał w lichwę. Święte są pacierze,
Zdatne bractwa; lecz temu, co daje, nie bierze.
Syp fundusze, a kradnij; Bóg ofiarą wzgardzi.
Tacy byli, mniemaną pobożnością hardzi,
Owi Faryzeusze i wyschli i smutni,
A w łakomstwie niesyci, w dumie absolutni,
Mściwi, krnąbrni, łakomi, nieludzcy, oszczerce.
Próżne, Pawle, ofiary, gdzie skażone serce:
Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szeptaj i dmuchaj,
Zmów różańców bez liku, bez liku mszy słuchaj;
Jeźliś zdrajca obłudnik, darmo kunsztu szukasz,
Możesz ludzi omamić, Boga nie oszukasz.
Brzydzi się niecnotliwym Jędrzéj hipokrytą,
A natychmiast zbyt szczery, nie już złością skrytą,
Ale jawném zgorszeniem zaraża i truje:
Pyszny mnóstwem szkarady, hańbą tryumfuje.
Zrzucił szacowną cnoty i wstydu zaporę,
A widząc skutki jadu i łatwe i spore,
Stał się mistrzem bezbożnych. Ma uczniów bez liku,
Leżą grzecznych bluźnierców dzieła na stoliku;
Gotowalniane mędrcy, tajemnic badacze,
Przewodniki złudzonych, wieków poprawiacze,
Co w zuchwałych zapędach, chcąc rzeczy dociekać,
Śmieją prawdzie uwłoczyć, i na jawność szczekać:
Czcze światła, dymy znikłe. Lecz z widoków sprosnych
Zwróćmy oczy, już nadto tych scen zbyt żałośnych.
Dumny Jan pokrewieństwem i Litwy i Polski,
Że go uczcił Niesiecki, Paprocki, Okolski,
Rozumie, iż za zmową ugodną i spólną,
Wszystkim cierpieć należy, jemu szaleć wolno.
Rozumie, iż gdy tytuł zaczynał od jaśnie,
Przy tym blasku i cnota i rozum przygaśnie;
Nadstawia się i gardzi. Mikołaj bogaty,
Choć go jaśnie wielmożne nie czczą antenaty,
Śmieje się z oświeconych, co złotem nie świecą.
To u niego zacności i szczęścia skarbnicą,
To rozum, to nauka, w têm się wszystko mieści;
Szostak groszy dwanaście, a złoty trzydzieści.
Jakże zebrał? dość że ma: czy ukradł, czy zdradził.
Mikołaj pan, choć filut, bo skarby zgromadził,
Bo posiada po panach folwarki i włości,
Jak zechce, przyjdzie i do jaśnie wielmożności,

Woli być mości panem, a z summ pożyczonych
Brać lichwę od dłużników jaśnie oświeconych.
Dumą wewnątrz nadęci, zbytkiem podupadli,
Nie wstydzą się ci żebrać u tych, co je skradli;
Oszukani klną zdala, a łaszą się zbliska:
Śmieje się pan Mikołaj, a majętność zyska.
Za jedną, która poszła, w rok idzie i druga,
Aż ów lichwiarz pokorny, uniżony sługa,
Większy pan, niż jegomość, którego wielmożni:
Tak lecą w zdradne sidła młodzi nieostrożni.
Omamiony nieprawym polorem i gustem,
Piotr, co zaczął być stratnym, jest teraz oszustem,
Gdy nie ma wsi na zastaw, dopieroż pieniędzy,
Chcąc uniknąć i głodu i zimna i nędzy;
Istotną dolegliwość, gdy jak może, tai,
Wiąże się z towarzyszami, pochlebia i rai.
Czatuje, jakby ze wsi domatora dostać,
A uprzejmego biorąc przyjaciela postać,
Zaczyna rządy w domu, częstuje i sprasza,
Dobry gust gospodarza wielbi i ogłasza;
W spółce jest do wszystkiego, choć pieniędzy niema.
I póty w więzach tego, co usidlił, trzyma,
Aż go sobie we wszystkiém uczyni podobnym.
Więc ten, co niegdyś oczy pasł gustem ozdobnym,
Wraca do domu zdarty, smutny, pokryjomu,
Albo i nie powraca, nie miawszy już domu,
Próżno więc, jak to mówią, po szkodzie korzysta.
Franciszek, przedtém pieniacz, teraz alchimista,
Dmucha coraz na węgle, przy piecyku siedzi,
Zagęszcza i rozwilża, przerzedza i cedzi.
Pełne proszków chemicznych szafy i stoliki,
Wszędzie torty, retorty, banie, alembiki.
Już postrzegł w ogniu gwiazdę, a kto gwiazdę zoczy,
Albo głowę Meduzy, albo ogon smoczy,
Już ten wygrał. Winszuję, ale nie zazdroszczę.
To mniejsza, że Franciszek o złoto się troszcze;
Niech dmucha, a nie kradnie. Choćby złoto zrobił,
Swoje stracił; na swojém niechby i zarobił.
Nie złoto szczęście czyni, o bracia! nie złoto,
Grunt wszystkiego poczciwość, pobożność i z cnotą.
Padnie taka budowla, gdzie grunt nie jest stały.
Chcemy nasz stan, stan kraju ustanowić trwały,
Odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy,
Niech będą dobrzy, będą szczęśliwi Polacy.

Szczęśliwość Filutów.

Rok się skończył, winszować tej pory należy;
Komu? wszystkim! niech Jędrzéj z winszowaniem bieży;
Jędrzéj, co to zmyśloną wziąwszy na się postać,
Szuka, gdzieby się wkręcić, lub zysk jaki dostać;
A przedajnym językiem, drogi, albo tani,
Jak zgodzą, jak zapłacą, tak chwali, lub gani.
Albo Szymon, miłośnik ludzkiego rodzaju,
Co złych i dobrych wspołem chwaląc dla zwyczaju,
Gdy cnotę i występki równą szalą mierzy,
Tyle zyskał w rzemiośle, że mu nikt nie wierzy.
Niechaj tacy winszują, ja milczę. — Źle czynisz;
Albož wszystkich zarówno potępiasz i winisz?
Albož wszystkim źle życzysz? — Owszem, dobrze życzę.
Są cnotliwi: a chociaż nie wiele ich liczę,
Chociaż ledwo ten rodzaj w złych się tłoku zmieści,
Są dobrzy i w płci mężkiéj, są i w płci niewieściéj. —
Więc im winszuj. — A jakaż winszować przyczyna?
— Stary się rok zakończył, a Nowy zaczyna, —
Cóż mam dobrym powiedzieć? w starym ucierpieli,
I w przyszłym cierpieć będą zapewne musieli.
Nie kończy się poczciwych niefortuna z rokiem,
Rzadko się cnota szczęsnym ucieszy wyrokiem.
Do was więc mowę zwracam, sztuczni a ostrożni,
Filuci oświeceni i jaśnie wielmożni,
Wielmożni i ślachetni z zgrają waszą całą;
Winszuję, że w tym roku dobrze się udało.
Coście tylko pragnęli, wszystko wam los zdarzył,
Wyście się tam ogrzali, gdzie się drugi sparzył.
Fortuna, któréj koło ustawnie się toczy,
Była ślepą dla innych, dla was miała oczy.
Więc winszuję wszem w obec, każdemu z osobna.
Tobie naprzód, którego dziś postać ozdobna,
Którego oko śmiałe, a czoło jak z miedzi;
W twoich progach los spoczął i fortuna siedzi.
Płyną ci dni pomyślne, a prządziarka Kloto,
Pasmo życia nawija na jedwab i złoto.
Gdzie stąpisz, wszystko w kwiecie; gdzie spojrzysz, w owocach,
A gdy bierzesz spoczynek w twych rozkosznych nocach
Ty śpisz, a szczęście czuje. Brzęczą złota trzosy,
Wrzask cię chwały otacza, a pochlebne głosy
Im bardziéj natężone, im ogromniéj wrzeszczą;
Tém wdzięcznéj słuch twój mamią, uszy twoje pieszczą.
Umiesz słyszeć, coś miło, na przymówkę głuchy;

A gdy czasem mniej wdzięczne zalecą podsłuchy,
Umiesz i nie dosłyszeć. Talent dziwny, rzadki!
Takie więc szczęścia twego gdy widzę zadatki,
Winszuję ci. A naprzód, żeś ocalał zdrowo;
Wieluż za mniéj, los srogi ukarał surowo!
A bardziéj sprawiedliwość, któréj wiek zepsuty
Nie zna teraz; a przeto szczęśliwe Filuty.
Winszuję: jak ty inszym, że tobie nie mierzą;
Winszuję: żeś choć zdradził, przecież jeszczeć wierzą;
Winszuję: żeś choć okradł, nie każą ci wracać,
Możesz łupu zdartego, na co chcesz, obracać:
Jest więc czego winszować. A tobie Konstanty,
Coś się zgrał na wsie, weksle, pieniądze i fanty,
Przecież grasz: czego srogi los niegdyś pozbawił:
Przemysł sztuczny to zleczył, fortunę poprawił:
Odzyskałeś, coś przegrał, już brzękasz wygraną,
Winszuję, że cię na złém dziele nie złapano.
A tobie, Panie Pawle, jest czego winszować,
Przed rokiem musiałeś się o szeląg turbować,
Teraz krocmi rachujesz. Jak to przyszło? — sztuka!
Zyskałeś, cóżeś zyskał? Nowa to nauka!
Nie powiem. I satyra nie ma być zbyt jasną,
Takto nowe światełka wschodzą, stare gasną.
Panie Pietrze, a waszeć, coś wskórał w tym roku?
Utyłeś, więc winszuję dobrego obroku.
A jak? mamże powiedzieć? czyli mam zasłaniać?
Zasłonię; proszę jednak Jejmości się kłaniać.
A waść, Panie Wincenty, coś majętność kupił,
Nie dawszy i szeląga? Czyś okradł, czyś złupił,
Dość, że wioska już twoja. Niechaj płacze głupi,
Po co nie był ostróżnym: już jéj nie odkupi.
Zły tézto był gospodarz, grunt leżał odłogiem,
Pola były zarosły chwastem, łąki głogiem;
Ty przemysłem naprawisz, coś zyskał fortelem,
I tak się wysłużonym już obywatelem
Staniesz twojéj ojczyznie. Tak pięknéj przysługi
Winszuję; a choć się zgorszył może drugi,
Ze gardzisz skrupułami, winszuję i tego:
Znak to jest mocnéj duszy, umysłu wielkiego.
Gmin podły, wnętrzna trwoga i sumienie straszy.
Mędrcy! wam dziękujemy, nauki to waszéj
Jest dzieło, że z nas każdy pozbył się wędzidła;
Stawia dowcip przemyślny śmiało teraz sidła,
Kto w nie wpadnie, tém gorzéj, że był nieostróżny:
Smieje się, co oszukał, a umysł nietrwożny,

Wsparty kunsztem dowcipnym wygodnéj nauki,
Na dalsze się natęża i sidła i sztuki.
Winszuję, więc wam ucznie młodzi i podeszli,
Winszuję, żeście nawet mistrzów waszych przeszli.
A wam, co mam powiedzieć, cnotliwa hołoto?
Dobrzy! cierpieć wasz podział, ale cierpieć z cnotą.
Modnéj maxym nauki że się nie trzymacie,
Trzódka mała wśród łotrów, nie wiele zyskacie.
Nie rozpaczajcie jednak. Patrzajcie, jak daléj
Los tych, których rozpieścił, wesprze i ocali.
Rzadko się niepoczciwość, tak, jak zacznie, kończy,
A cnota, co się nigdy z chytrością nie łączy,
Choć jéj często dokuczą troski, niepokoje,
Późniéj, prawda, lecz lepiéj wychodzi na swoje.

Marnotrawstwo.

Znałeś dawniéj Wojciecha? — ktoż nie znał! co teraz
Bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nieraz;
Niegdyś w karecie, z któréj dął się i umizgał,
Takich, jakim jest dzisiaj, roztrącał i bryzgał.
Ustępowali z drogi wielmożnemu panu
Lepsi i urodzeniem i powagą stanu:
Nieraz ten, który przedtem od filuta stronił,
Westchnął skrycie natenczas, gdy mu się ukłonił.
Musiał czcić; czegoż złoto nie potrafi dzielne?
Niedługo przecież trwały te czasy weselne,
Na złe wyszła wspaniałość. Przyjaciele kuchni,
Junacy heroiczni, wzdychacze miluchni,
Filozofy nakoniec, jak pustki postrzegli,
Z maxymami, z wdziękami, z junactwem odbiegli.
Został się niedostatek, z nim wstyd dawnéj pychy;
A co niegdyś wytrząsał kufle i kielichy,
Co szampańskiém, węgierskiém pyszne stoły krasił,
Wiadrem potém u studni pragnienie ugasił.
Jak to przyszło? — nieznacznie. Łakome są żądze,
Pełen jest świat oszustów, toczą się pieniądze:
Zyskał Wojciech szalbierstwem, stracił wszystko zbytkiem,
A nie długo się ciesząc niecnoty pożytkiem,
Nawet tego nie doznał, gdy nic nie dochował,
Żeby zdrajcę, bankruta, któżkolwiek żałował.
To gorsza, kiedy młody dziedzic wielkiéj włości,
Zysk zasług przodków swoich, cnoty, poczciwości,
Niszczy podły odrodek. Znałeś Konstantyna?
— Albożwidzieć odrodków u nas jest nowina?
Znałem go, ale w nędzy. — Jam znał w dobrym stanie;

Młodo zaczął wspaniałe swoje panowanie,
Młodo skończył. Rodzice dzieckiem odumarli,
Opiekunowie naprzód, jak zazwyczaj, zdarli,
Dorwał się panicz rządów. Natychmiast do razu
Jedni z sławy, ci z zysku, a tamci z rozkazu,
Dworzanie, pokojowi, krewni, asystenci,
Przyjaciele, sąsiedzi i plenipotenci,
I ta wszystka niesyta stołowników zgraja,
Co się zyskiem obłudy karmi i opaja,
Natarli wstępnym bojem. Rad pan wszystkim w domu,
Wrota jego nie były zamknięte nikomu.
Niech zna świat, jak pan możny, dzielny i bogaty.
Grzmią bębny na dziedzińcu, na wałach armaty,
Żaki prawią perory; ksiądz prefekt za niemi
Drukiem to wypróbował, że dzieły wielkiemi
Przeszedł pan przodków swoich, godzien krzeseł, tronów,
Prawnuk Piastów po matce, z ojca Jagiellonów.
Wiwat pan! brzmią ogromném hasłem okolice,
Dymi z kuchni, jak z Etny; a sławne piwnice,
Co dziad, pradziad, szacownym napełniał likworem,
Pełne zgrai ochoczéj stanęły otworem.
Wiwat pan! niech wiekuje szczęśliwy i zdrowy.
Objął sienie, przysionki, zapach dryakwowy:
Wala się, wadzi, wrzeszczy rozpojona tłuszcza,
Pan rad, w domu każdego do siebie przypuszcza.
Ten wziął konia z siedzeniem; tamten za przysługę,
Nieboszczyka pradziada z lamusu czeczugę:
Ów wlecze złoty dywan, co w skarbcu spoczywał,
Dywan, co stół naddziada ministra okrywał,
Gdy w usłudze publicznéj pracował, lub sądził.
Śmieją się z starych gratów, a jakby pobłądził,
Wyszydzają wiek dawny, nowy rzesza chwali.
Liczne przodków portrety wyrzucono z sali.
Natychmiast, że zbyt wielka, ścieśniają gmach stary,
Cztery z niéj gabinety, i dwa buduary.
Że w nich były starego dzieje testamentu,
Nie cierpiano szpalerów jednego momentu,
Wziął je sąsiad za wyżła, a za dwie papugi
Zyskał zbroję złocistą w zamian sąsiad drugi.
Od czasów nieboszczyka jeszcze Jegomości,
Płaczą w kącie z szafarzem stary podstarości,
Pan kontent. Skoro w rannéj porze słońce błyśnie,
Już się przez przedpokoje ledwo kto przeciśnie;
Ten ustawia pagody chińskie na kominie,
Ten perskie girydony, ów japońskie skrzynie;

Pełno muszli zamorskich, afrykańskich ptaków,
Wrzeszczą w klatkach papugi, krzyk szczygłów, świst szpaków;
Bije zegar kuranty, a misterne flety,
Co kwadrans, co godzina, dudlą menuety.
Wchodzi pan, pasie oczy nowemi widoki,
Zewsząd gładkie pochlebstwa i ukłon głęboki,
Znają się na wielkości i pan na niéj zna się.
A chociaż do mówienia z gminem uniża się,
Zna, czém jest. Wszyscy wiwat! skoro tylko kichnie,
Na kogo okiem rzuci, każdy się uśmiechnie,
Kontent z pańskich faworów. Wtém nowe kredense,
Dwa mniemane Wandyki, i cztery Rubense,
Niosą w pakach hajduki: wyjmują, gmin cały
Złoto ważne uwielbia, czci oryginały.
A pan wszystkich naucza, jak Rubens w marmurze
Jeszcze lepiéj rznął twarze; a w architekturze,
Co to wszystkich patrzących dziwi i przenika,
Nie było celniejszego mistrza nad Wandyka.
To to pan! krzyczy zgraja, to wiadomość rzeczy!
Wtém, gdy wszyscy w aplauzach, a żaden nie przeczy,
Wpośród ciżby wielbiącéj rejestrzyk podaje
Snycerz, mularz, tapicer, których cudze kraje
Na to do nas zesłały, aby, według stanu,
Dogadzali wytwornie wspaniałemu panu.
Nie czytał pan rejestrów. Kto rejestra czyta?
Podpisał: niech zna Niemiec, jak Polska obfita.
Tak ów, co po jałmużnę niegdyś do Włoch śpieszył,
Złoto rzucał, nic nie wziął, a dumą rozśmieszył.
Lecą dnie w towarzystwie dobranych współbraci:
A że wojaż nowemi talenty zbogaci,
Jadą do cudzych krajów. Z projektu kontenci,
Wysłani na kontrakty już plenipotenci.
Ten przedaje wpół darmo, a wdzięczen ochocie,
Dał ułomek kradzieży kupiec w dożywocie;
Ten zastawia za bezcen, ów fałszuje akty:
Takto robią szczęśliwych zyskowne kontrakty!
Wraca, się przecież cząstka do tego, co zdarli:
Wdzięczen, że go w potrzebie nieuchronnéj wsparli,
Wyjeżdża, niesie haracz niszczącéj nas modzie;
A wexel lichwą płatny mając na powodzie,
Dziwi kraje sąsiedzkie nierozumnym zbytkiem;
I z tym z swojéj podróży powraca użytkiem,
Że co panem wyjechał, przystojnym i godnym,
Wraca grzecznym filutem i żebrakiem modnym.
Nie ganię ja podróży, ale niech nie niszczą.

Co po guście? dłużnicy gdy płaczą i piszczą;
Co po fantach? za które poszły wsie dziedziczne.
Bogacimy ubodzy kraje okoliczne;
A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubił,
Okrasił nas powierzchownie, a w istocie zgubił.

Pijaństwo.

Skąd idziesz?—Ledwo chodzę,—Słabyś?—I jak jeszcze:
Wszak wiesz, że się ja nigdy zbytecznie nie pieszczę:
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.
— Pewnieś wczoraj był wesół? — Dla tegoć dziś smutny.
— Przejdzie ból; powiedzże mi, proszę, jak to było?
Po smacznym, mówią, kąsku, i wodę pić miło.
— Oj nie miło mój bracie! bogdaj z tém przysłowiem
Przepadł, co je wymyślił! jak było opowiem.
Upiłem się onegdaj dla imienin żony,
Nie żal mi tego było. Dzień ten obchodzony
Musiał być uroczyście. Dobrego sąsiada
Nie źle czasem podpoić, jejmość była rada,
Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,
Cieszyliśmy się pięknie, a nie źle się piło:
Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,
Cięży głowa, jak ołów; krztuszę się i nudzę;
Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek mdlący.
Jakoś koło apteczki przeszedłem niechcący,
Anyżek mnie zaleciał; trochę nie zawadzi:
Napiłem się więc trochę, może mi poradzi.
Nudno przecie: ja znowu; już mi raźniéj było.
Wtém dwóch z uczty wczorajszéj kompanów przybyło:
Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? i to się niegodzi;
Więc ja znowu do wódki: wypiłem niechcący
Omne trinum perfectum, bo trunek gorący
Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy.
Ustały i nudności, ustał i ból głowy.
Zdrów i wesół wychodzę z mojemi kompany.
Wtém obiad zastaliśmy już przygotowany.
Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzéj, my za nim:
Bogdaj to wstrzemięźliwość! pijatykę ganim,
A tymczasem butelka nietykana stoi.
Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,
Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi,
Kieliszek jeden, drugi, zdrowiu nie zawadzi,
A zwłaszcza kiedy wino wytrawione, czyste.
Przystajem na takowe prawdy oczywiste,
Idą zatém dyskursa tonem statystycznym,

O miłości ojczyzny, o dobru publiczném,
O wspaniałych projektach, mężnym animuszu;
Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu.
Odbieramy Inflanty, i państwa Multańskie,
Liczymy owe summy Neapolitańskie,
Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzim,
Tych bijem wstępnym bojem, z tamtymi się godzim;
A butelka nieznacznie, jakoś się wysusza.
Przyszła druga; a gdy nas żarliwość porusza,
Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,
Trzeciéj, czwartéj i piątéj, aniśmy postrzegli.
Poszła szósta i siódma, za niemi dziesiąta.
Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprząta,
Pan Jędrzéj przypomniawszy Żórawińskie klęski,
Nuż w płacz nad królem Janem. — Król Jan był zwycięzki,
Krzyczy Wojciech. Nie prawda! — a pan Jędrzéj płacze.
Ja, gdy ich chcę pogodzić, i rzeczy tłumaczę,
Pan Wojciech mi przymówił — Słyszysz waść, mi rzecze:
— Jakto waść! nauczę cię rozumu, człowiecze.
On do mnie, ja do niego: rwiemy się zajadli,
Trzyma Jędrzéj; na wrzaski służący przypadli,
Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszę wielką,
Ale to wiem i czuję, żem wziął w łeb butelką.
Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
Cóż w niém? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo,
Oto profit: nudności, i guzy, i plastry.
— Dobrze mówisz, podłejto zabawa hałastry:
Brzydzi się nim człek prawy, jako rzeczą sprosną;
Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
Zdrowie się nadwyręża i ukraca życie.
Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku
Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje,
I w kontr naturze postać bydlęcą przywdzieje.
Jeźli niebios zdarzenie wino ludziom dało,
Na to, aby użyciem swojém orzeźwiało.
Użycie darów Bożych powinno być w mierze,
Zawstydza pijanicę nierozumne zwierzę:
Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszą.
Trunkiem, według potrzeby, gdy pragnienie gaszą,
Nie biorą nad potrzebę. Człek co niemi gardzi,
Gorzéj od nich gdy działa, podlejszy tym bardziéj.
Mniejsza guzy i plastry, to zapłata zbrodni.
Większéj kary, obelgi takowi są godni,

Co w dzikiém zaślepieniu występni i zdrożni,
Rozum, który człowieka od bydlęcia różni,
Śmią, za lada przyczyną, przytępiać, lub tracić.
Jakiż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
Jaka korzyść, tak wielką utratę nagrodzi?
Zła to radość, mój bracie! po której żal chodzi.
Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
Patrz, jakie swéj trzeźwości odnoszą pożytki:
Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesoła i wolna,
Moc i raźność niezwykła i do pracy zdolna;
Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
Dostatek na wydatki potrzebne, rozsądne.
Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są. Bądź zdrów. Gdzie idziesz? — Napiję się wódki.

Pan niewart sługi.

I wziął tylko pięćdziesiąt. — Wieleż miał wziąść? — Trzysta!
Tak to z dobrego pana zły sługa korzysta.
A za cóż te pięćdziesiąt? — Psa trącił. — Cóż z tego?
— Ale psa faworyta jegomościnego.
— Prawda, wielki kryminał, ale i plag wiele.
— To łaska, że pięćdziesiąt. — I nieprzyjaciele
Taką łaskę wyświadczą. — On najlepszy z panów,
On sto plag nigdy nie dał. — Mów lepiéj z tyranów,
Co dom czynią katownią, a na płacz nieczuli,
Z wnętrzności się człowieczych ku sługom wyzuli.
Ten, co gdy był sam sługą, dobre miewał pany,
Porzuciwszy niedawno podłe pasamany,
Co się niegdyś pokornie nazywał Maciejem,
Dziś jest jaśnie wielmożnym mości dobrodziejem.
Z za karety, gdzie stawał, przesiadł się w karetę,
W mundur barwę zamienił, a nader obfite,
Mając zacności swojéj próby oczywiste,
I herb znalazł, i przodków i panegirystę.
Niech ziółko w krzaczek idzie, choćby w dąb urosło,
Wolno igrać fortunie, jéj to jest rzemiosło;
Cudotworna, na krzesła przerabia warsztaty.
— Maciéj chłop. — I cóż z tego? ale że bogaty,
Maciéj szlachcic. — Niech będzie; ja nie chcę kaduka.
Ale Maciéj łakomy i złych zysków szuka;
Nie pracą, lecz podejściem majętność pomnożył,
Ale nie kładł, gdzie trzeba; wziął gdzie nie położył:
Ale Maciéj niewdzięczny tym, u których służył,
Ale Maciéj bogactwa na złe tylko użył,
Ale Maciéj nieludzki: to satyra karze.

Nie dba na to, kto w jakiéj zostaje maszkarze,
Odrzuca czczą wiadomość; a gdy z chłostą czeka,
Nie szlachcica, nie chłopa ściga, lecz człowieka.
Śpi jegomość w południe, choć pracy nie użył,
Nie śpi Marcin, noc całą i oka nie zmrużył:
Wolno panom, i nadto zbytek im nie wadzi;
Choć mało, nie godzi się ubogiéj czeladzi.
Obudził się jegomość: Marcin, co czuł pilnie,
Krząta się, chce, jak może, dogodzić usilnie,
Nadaremne starania! któż panom dogodzi?
Jak legł, tak wstał niekontent jegomość dobrodziéj:
Wszystko mu nie do gustu; noc na kartach strawił,
Wszystko źle, zgrał się, wczoraj klejnoty zastawił.
Przyszedł kupiec z rejestrem, termin przypomina,
Trzeba oddać, a nie masz; sto plag dla Marcina.
Płacze w kącie: więc krnąbrny; po plagach się schował,
Dali drugie w dwójnasób, za co nie dziękował?
Więc dziękuje, a płacze; opłonął pan przecie:
I Marcin, że po drugich nie przyszły i trzecie.
Katów waszych, nie panów zjadłości igrzyska!
Nędzni! bydlęta z pracy, a sługi z nazwiska,
I płakać wam nie wolno, mówić jeszcze gorzéj!
Przyjdzie kara za słowem okrutna tym sporzéj.
Paweł skąpy na czeladź, na zbytki utratny,
Za to, że od pół roku służący niepłatny,
Prosił go o posiłek łaknący czas długi;
Dał plag dwieście za strawne, a sto za zasługi.
Hojny pan! stami karze, a płaci dziesiątkiem.
Nie źle zapomożony sługa takim wziątkiem,
Milczy; a widząc, że się nie doprosi snadnie,
Co widocznie nie zyskał, po cichu ukradnie.
Zasmakuje rzemiosło, ażci złodziéj w domu,
Zaprawił się na małéj kwocie pokryjomu,
Pójdzie daléj; z początku trwożny i przelękły,
Ośmieli się; już kłódki, już zawiasy pękły:
Skradł skarbiec, znikł z oczu, a odmienny stanem
Przez kradzież, jakto teraz, zostanie i panem.
— A któż to teraz okradł? — Nie odpowiem snadnie;
Raczéj pytaj, mój bracie, kto teraz nie kradnie?
Stracił ten kunszt odrazę, przemyślnych oświeca,
Dla głupich, dla ubogich, tylko szubienica;
Inaczéj o tych rzeczach świat mądry rozumie:
Nie karzą, że ktoś okradł; lecz, że kraść nie umie.
Ale to nie o sługach. Zwyczajne u dworu
Są stopnie: jedne zysku, a drugie honoru.

Jaśnie wielmożny tyran, bożek okoliczny,
Dla większéj wspaniałości, raczy mieć dwór liczny.
Stąd wyższe urzędniki, niższe posługacze:
Pan koniuszy, co bije; masztalerz, co płacze;
Pan podskarbi, co kradnie; piwniczny, co zmyka;
Sługa pieszy, dworzanin, co ma pacholika;
Pokojowiec przez zaszczyt wspaniałemu sercu,
A dla tego, że szlachcic, bierze na kobiercu.
Pan architekt, co planty bez skutku wymyślą;
Pan doktor, co zabija; sekretarz, co zmyśla;
Pan rachmistrz, co łże w liczbie: gumienny, co w mierze;
Plenipotent, co w sądzie; komisarz, co bierze
Więcéj jeszcze, jak daje; a złodziejów mniejszych,
Kradnąc, sam jest użyty do usług ważniejszych;
Łowczy, co je zwierzynę, a w polu nie bywa;
Stary szafarz, co zawsze panu potakiwa;
Pan kapitan, co Żydów drze, kiedy się proszą;
Żołnierze, co potrawy na stół w galę noszą;
Kapral, co więcéj jeszcze kradnie, niż dragani;
I dobosz, co pod okna capstrych tarabani;
A kiedy do kościoła jedzie z gronem gości,
Bije w dziurawy bęben werbel jegomości.
Mają króle marszałków: co być królem może,
Jak ma być bez marszałka? gale i podróże,
Szlachci dumny urzędnik, namiestnik powagi,
Wice-tyran; bez niego i chłosty i plagi
Nie miałyby zaszczytu. On kary rozdawca,
On rozrządziciel męczeństw, on katowni sprawca.
A jak niegdyś przed rzymskim konsulem topory,
Niosły kar wykonacze, bezwzględne liktory:
Tak przed srogim marszałkiem sążniste pajuki,
Niosą, skórom pamiętne, boćkowskie kańczuki.
Wchodzi; zewsząd jęczenia i płacze się wznoszą,
Oprawcy, gdy rozkazy srogie nędznym głoszą,
Dom się wrzaskiem napełnia; płacz sług pana cieszy,
Wspaniały jękiem nędznych, płaczem służnéj rzeszy,
Rzuca groźnem spojrzeniem nieszczęśliwe losy,
Karmią słuch Neronowy płaczliwe odgłosy.
A w powszechnym nieszczęsnéj czeladzi ucisku,
Gdy przekleństw, narzekania, dań odnosi w zysku,
Czuje, że pan, bo gnębi. Jestże usłużony?
Bynajmniéj; szczęścia tego nie znały Nerony.
Służy wiernie, kto kocha; nie ma sług, kto dręczy;
Niewolnik, co pod jarzmem obelżywem jęczy,
Dźwiga ciężar w przekleństwie na tego, co włożył:
Klnie los, co się tym zjadléj dla niego nasrożył,

Tym dotkliwszym, odjąwszy wolność, skarał stanem,
Gdy kazał służyć temu, co nie wart być panem.

Gracz.

Słusznie niżnik czerwienny, a kinal z nazwiska,
Uczczony matodorstwem. Jemu kart igrzyska
Winniśmy; a walecznym dumne bohatyrem,
Wyszły na świat szulery pod wodzem Lahirem.
Tak się zwał ten, co pierwszy dla zabawnéj spółki,
Pod różnemi barwami zebrał cztéry półki:
I każąc się bić lalkom, głupiego gdy bawił,
Wszystkim jego następcom kunszt zacny objawił.
Weszły karty w potrzebę, tak jak innych wiela,
Których dziwacki wymysł gdy ludziom udziela,
Płacimy haracz modzie. Stąd tyrany nowe,
Króle winne, czerwienne, żołędne, dzwonkowe
Bez względu na poddanych majątku ostatki,
Coraz cięższe wkładają jarzma i podatki.
Łask pańskich (jak zazwyczaj), rywale, rywalki,
Dworzany niżnikowie, faworytki kralki,
Zawsze w wojnie, a z niemi i ich adherenci,
Biją wszystkich, skoro się ich kolor wyświęci.
Król najstarszy u innych; nasz jarzmu niezdolny,
Pod tuzem, jak pod prawem, sadza go lud wolny:
Bije więc wstępnym bojem i króle i kralki,
A my głupi, co igramy, płacimy na lalki.
I lalki nam też płacą. Co ziemi i piędzi
Nie miał przedtem, dziś Marek hrabia na Żołędzi,
Z łaski malowanego króla jegomości
Posiada summy, weksle, fanty, majętności.
Jako strumyk, co z lekka po kamyczkach ścieka,
Nim się z niego tak znaczna ustanowi rzeka,
Iż ją majtek w żegludze wartkiem porze wiosłem;
Tak szedł Marek do zbiorów szulerskiem rzemiosłem.
Podłe są gier wspaniałych pierwsze towarzyszki:
Chcesz przyjść do Faraona, trzeba zacząć w pliszki,
Trzeba skrzętném staraniem, gdy pora użycza,
Próbować różnych losów, i w rusa, i w bicza;
A zacząwszy w ciskankę z chłopcy po miesiącu,
Kończyć z pany wśród luster, grając po tysiącu.
Najśmieléj wódz takowy do zwycięztwa zmierza,
Który się od prostego dosłużył żołnierza.
O wy! dusze wyborne, i większe nad prawo!
Wspaniały punkt honoru, co trzymając żwawo,
Zaufani, że na was cios kary nie natrze,

Na bankowym fortunę stawiacie teatrze;
A szacownéj wolności chcący zostać wzorem,
Domy wasze stawiacie szulerstwu otworem.
Pozwólcie dusze wielkie! dusze uwielbione!
Niechaj igrzysk fortuny uchylę zasłonę.
Assamble: Niosą karty, i sztony i marki,
A jako bankierowie na walne jarmarki;
Zasiadają szulery, w wielkie dzieła wprawne,
Koło nich, jak na smyczy, pacyenty sławne.
Ten nowy kabalista zaczyna kwerendy,
Stawił na piątkę z asem połowę arendy;
Tamten zazdrośném okiem patrząc na kolegę,
Sypie na kralkę pełną pszenicy komiegę.
Przegrał niżnik, ów niżnik, co się był tak wsławił,
Zgniótł Antoni złoczyńcę, i w komin wyprawił.
Marcin damie łeb urwał za dwa łaszty żyta,
Klnie Jędrzej nieszczęśliwy i zębami zgrzyta:
A że sąsiad na takąż, jak on, kartę stawia,
Dąsa się na sąsiada, mruczy i przymawia.
I ów przegrał i westchnął, a Jędrzéj się cieszy,
Coraz więcéj zgromadza zysk szulerskiéj rzeszy:
Złoto brzęczy; ten daje, a tamten odbiera:
Ów, że przegrał, za siebie coraz się obziera,
Ktoś mu przyniósł nieszczęście. Piotr przegrał na kralkę,
Byłby i więcéj przegrał: szczęściem postrzegł balkę,
Posunął się, a miejsca gdy lepszego siąga,
Już nietrwożny, jak siedzi, zgrał się do szeląga.
Zgrał się, a nowy Tytan zjadłością rozżarty,
Jak Ossę i Pelion, rzucił w górę karty;
Wyzywa, a w perorach żwawo rozpoczętych,
Bluźni żywych, umarłych, i grzesznych i świętych.
Piotr więcéj jeszcze przegrał, przecież się uśmiecha,
Śmiech w uściech, a łzy w oczach, więc tajemnie wzdycha,
Żal dokucza, wstyd broni: trójka nieszczęśliwa,
Trójka niegdyś pomyślna, a teraz zdradliwa,
Poczwórném złem padnieniem zgubiła go marnie,
Osierocone złoto, chciwy bankier garnie;
Nie masz czasu i żegnać miłe towarzysze,
Poszedł smutny, siadł w kącie, i satyry pisze.
Pisz bracie! dobre będą, piękne i zbawienne.
W drugim kącie na losy płaczący odmienne,
Co największa pociecha strapionego gracza,
Znalazł Łukasz nieszczęsnych awantur słuchacza;
Za nic Rzymu i Aten sławne oratory,
Naówczas, kiedy szuler płaczliwe perory

Rozpoczyna wybornym sposobem i kształtem:
Jakim los rozjuszony niesłychanym gwałtem
Srożył się, jak tylekroć szczęsne i wygrane,
Owe karty z kabały, karty doznawane,
Odmieniły się wszystkie, odmieniły nagle.
A gdy dął wiatr pomyślny w rozpuszczone żagle,
Gdy już okręt ku mecie dążył w bystrym biegu,
Gdy już portu dotykał, rozbił się na brzegu.
Rozbił się!... umilkł mówca... westchnął!... głową kiwnął:
Rozbił!... powtórzył słuchacz, i żałośnie ziwnął.
Wrzask — o co? — Jak nie wrzeszczeć! zyski oczywiste.
Stracił Jan; wielkim głosem wotum uroczyste,
Co w zaklęciu wskróś serca słyszących przenika,
Czyni, że grać nie będzie... i stawia niżnika.
Stawia zdrajcę, co tyle złota na bank wegnał,
Stawia na pożegnanie; przegrał... nie pożegnał.
A losów nieszczęśliwych dopełniając miarki,
Pozbywszy gotowizny, gra teraz na marki.
Źle rzecz sądzić z pozoru. O marki! o sztony!
Któżby zgadł, żeście czasem warte miliony!
Spytaj Jana, opowie, kościanémi znaki,
Jak z sług pany, a z panów stały się żebraki.
Piotr kontent, Piotr, co wczoraj trzysta nie żałował;
Dziś wziął rewanż, trzy wygrał, do kieszeni schował;
Oszukał, bo grać przestał, tych, co wczoraj zgrali,
Jęczą nad srogą zemstą, więc się ich użali:
Niech wygrane odbiorą. Stawił, przegrał; drugą,
I ta poszła; nie bawiąc z odgrywaniem długo.
Co chciał pocieszyć, niby zawstydzone franty,
Dał pięćset w gotowiźnie, a tysiąc na fanty.
Przegrał, lecz pięknie przegrał, nie oszczędza zbioru,
Ale przegrał na słowo, a to dług honoru.
Niech głód mrą, niech klną pana służący niepłatni,
Żebrak on na potrzeby, na zbytki dostatni.
Pierwszy dług kart u niego, niż zasług, niż cnoty,
Woli płacić na kralkę, niż wspomódz sieroty.
Nie kazał tak król polski, lecz kazał czerwienny;
A zbytek coraz w głupich zapędach odmienny,
W tém tylko jest stateczny, że niecnotę wdzięczy.
To nie honor zapłacić, gdy sierota jęczy;
Kiedy płacze rzemieślnik, sługa strawion pracą,
A honor, gdy się zbytki i niecnoty płacą!
Jan objął po rodzicach majętność dostatnią,
Wjechał w miasto, a wpadłszy w filutowską matnią,
W takie go facyendy wprawił kunszt łotroski,

Że w rok poszły intraty, i summy i wioski.
Cóż teraz czyni? Oto widząc w worku pustki,
Z szóstek robi siódemki, a z siódemek szóstki.
Żyje więc jeszcze lepiéj niż kiedy był panem;
A teraźniejszym dobrze dyrygując stanem,
Kto wie, jeźli co przegrał, nazad nie odkupi.
A jak zdradę postrzegą? Albo to Piotr głupi?
Wyćwiczył się on nie źle. Są mistrze uczeni,
Co, kiedy zechcą, żołądź uczynią z czerwieni.
Co pamfila z kinala; a gdy karta zmyka,
Z króla kralkę uczynią, a z tuza niżnika.
Świat się przepolerował. Bogdajby był dziki,
Bogdaj wiecznie przepadły tuzy i niżniki!
Dla głupich się zaczęły, mądrzy je przejęli;
I coby się kartami tylko bawić mieli,
Tracą na nich czas drogi, majątek i cnotę;
A zbrodni filuterskich przejmując ochotę,
Oszukani, utratni, zdrajce i oszusty,
Płaczą głupstwu dań zdzierstwa, zbytków i rozpusty.

ADAMA NARUSZEWICZA.

Głupstwo.

Między głupimi żyjem, głupich znajdziem wszędzie:
Kto z cudzych głupstw nie mędrszy, głupim większym będzie.

Zacny mój przyjacielu, nie wiem, czym się dzieje,
Że człek mędrkiem się czyni im bardziéj szaleje;
Że lubo sam po stokroć godniejszym jest, aby
Klektał w szpitalu między swarliwemi baby;
Rad postrząsa sąsiadem, i żali się na to,
Że jeszcze z szalonymi nie siedzi za kratą.
Patrzno na tego mędrka, na ten łeb misterny,
Co opąchał kawiarnie Paryża i Berny.
Co głowę wymeblował modnemi nauki,
Umie robić pomadę, nastrzępiać peruki;
Zna się na wszystkich zgoła księgach, w jaką które
Czy w cielęcą oprawne, czy w baranią skórę;
Dziwnémi się projekty czupryna mu jeży,
Marga jak z Babilońskiej językami wieży,
Chociaż w owym niesfornym gadaniny tłumie,
Gładko się wytłumaczyć i jednym nie umie:
I po to tylko jeździł pocztą za granicę,
Aby przywiózł do Polski modne rękawice.
Czyliż taki latawiec upornie nie trzyma,
Że, kto nie był w Paryżu, ten rozumu nie ma?

Lub kto nie trafi obcym szpaczkować językiem,
Siać mu grykę gdzieś na wsi, nie być politykiem;
Jakby to na romansach i na bredniach lada,
Dzielna cnota zawisła, i gruntowna rada;
A kto nie zna Katezby, albo Lancellota,
W rozum i obyczaje prawdziwy gołota?

Owoż za nim i Fircyk utrefiony cudnie,
Legać mu tylko w betach, nim minie południe;
Albo latać, czy błoto, czy kurz na ulicy,
Jeźli który nie mignie kornet z kamienicy;
Aby tam, bies wie jakie, mowy rozpościerał,
A słuchającym gęby tęskliwe rozdzierał.
A przecie tak bezwstydną dumą upojony,
Że choć mu się w mózgowni lęgną ślepowrony,
Choć ledwie trafi biedny sens z głowy wyłatać,
Choć mu kozom ogony, nie rymom zaplatać,
Choć mu wierzgać u fary na pniu między żaki;
Bierze pracownych piórek dzieła na przetaki.
I tonem prawodawczym swoje głupstwo zdobi,
Ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie zrobi,

A ówże gryzipacierz, wilk w baraniéj skórze:
Co kościanemi gałki pobija na sznurze:
Już na wszystkich obrazach polizał pokosty,
Podziurawił łysiną cerkiewne pomosty:
Co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy;
A on sam łgarz, i pieniacz, i zdzierca łakomy,
Niewdzięczny dobrodziejom, którzy go z barłogu
Dźwignąwszy, na honorów postawili progu,
Pyszna sowa na orlim gnieździe, pęcherz żywy,
Co mu chude wyrównał boki wiatr życzliwy:
Czyliż się za świętego nie udaje człeka,
Że każdego oczerni, każdego oszczeka?
Że jakby go powszechnym kto zrobił cenzorem,
Na wszystkie stany płytkim targa się ozorem?
Na wszystkich przez skopcone patrzy okulary;
Tnie, czy mu pod kieł młody, czy się nawiknie stary.
A nabożną opończą kryjąc własne zbrodnie,
Ostrzy miecze na bliźnich, zażega pochodnie.

Z drugiéj strony paniczek bez wiary, bez duszy,
Zabrnąwszy w dzikie błędy ledwo nie po uszy;
Odbiera władzę Bogu występnych karania,
Piekło burzy walecznie, djabły precz rozgania.
Wdziera się gruby nieuk do pańskiéj świątnicy,
A nie wie, co się marzy w jego własnéj łbicy:

Więc brzydkiego za model wziąwszy Epikura,
Żyje, jak rozbestwiona każe mu natura;
I tak mniema; że po to na świat się urodził,
Aby tylko brzuch tuczył, a niecnoty płodził.
Bo u niego na świecie równa wszystkich dola;
Ni człek, ni pies nie idzie w Elizejskie pola.
Powiedzże mu by słówko, że ten twórca nowy,
Ten zuchwały rozwalacz przedwiecznéj budowy,
Wznieca chęć do występków, a gasi do cnoty;
Wnet się on między chytre postrzyże dewoty:
Lub zbywając błyskotnym z kogoś tam wierszykiem,
Nazwie głową szczerbatą, albo fanatykiem.

Jednem słowem, ktoby chciał opisać dokładnie
Wszystkich takowych mędrków, rychléj pewnie zgadnie,
Wiele ruchawy żydek na jeden miesiączek
Nakosztuje zębami u złota obrączek:
Wiele się do szpitala podrzutków przysporzy,
Wiele chorych nie biegły cyrulik umorzy,
Wiele z pańskiego boru chłop ukradnie drągów;
Wiele zdzierca ekonom nachwyta szelągów;
Wiele razy na koźle stangret naklnie pana,
Tłukąc się z nim po nocy od samego rana;
Wiele głodny literat nowin nawytrzęsa,
Nim się zjawi na stole tłusta sztuka mięsa:
Albo (bo ktoż to zgadnie, i kto to wyliczy?)
Wiele chłopców na kwartał bakałarz oćwiczy.

Lecz po co, jako wróbel na nici napiętéj,
Skaczę, odbiegłszy płocho rzeczy przedsięwziętéj?
Wybaczcie mi co powiem, Greccy sapienci;
Że się i wam, jak drugim ludziom, we łbie kręci.
Nie masz nigdzie prawdziwéj mądrości na świecie,
Wszystko się po staremu na nim zawsze plecie.
Wszyscy ludzie bez braku chorują na głowę;
Choć jeden wziął funt głupstwa, a drugi połowę.
A jako w głuchéj puszczy, którą między krzaki
Różnoprzechodnie zewsząd pokreśliły szlaki,
Błądzą ślepi wędrowcy; i choć w jednym lesie,
Każdego błąd przeciwny w inną drogę niesie.
Tak się biedny człek kręci, tak obraca młyńcem,
Gdzie go wilczym zawodna myśl wiedzie gościńcem:
I choć się często widział z Paryżem i Rzymem,
Częściéj jeszcze w swéj głowie zostaje pielgrzymem.
To gorsza. że lubo mu kto chce dobrze radzić,
I na bity tor z krętnych manowców prowadzić;
Ani chce błędu poznać, ani prawdy słucha,

Pełen o swym rozumie wysokiego ducha.
I tylko się zdań mylnych kierując ślepotą,
Nie ma wstydu, istotnych wad nazywać cnotą.
Więc niechaj z méj nauki ten tylko korzysta,
Komu jeszcze na przestrzał wiatr w głowie nie śwista;
Który jeszcze rozumu do szczętu nie gubi,
I chociaż sam źle czyni, prawdy słuchać lubi.
Te są mém zdaniem mędrca prawdziwego znaki:
Kto jest mądrym, a nie chce mówić, że jest taki;
Który na swym nie zawsze polega rozsądku:
Bo się i najmędrszemu czasem urwie wątku.
Kto sam na się surowy, jeźli w czém wykracza,
A bliźniego omyłki łaskawie przebacza.
Kto ma oko na siebie, ani się zawiśnie
Nawet z urzędu w obce postępki nie ciśnie:
Ale jeźli wyciąga potrzeba, upomni;
Pamiętając że wszyscy ludzie są ułomni.
Lecz złośliwa natura do tego nas wiedzie,
Cudze piszem na głazie, a swoje na ledzie.
I pan i hajduk broi, pan i hajduk pije,
Pan i hajduk niewinnie człowieka pobije;
Równe obu występki: pana nikt nie sfuka,
A pachołcy przy kozie opiorą hajduka.
Każdy sobie pochlebia, każdy mądrym sobie.
Spytałem raz łakomcy: miły panie Jobie,
Jakiż to, proszę, sposób życia u waszeci?
Nigdy się w domu jego kuchnia nie oświeci;
Trzemać chatę przed gościem obwarował płoty?
Czy piątek, czy niedziela, na stole suchoty.
Chleb jadasz za pieczyste, rzodkiew za selery,
A pod pomostem dyszą krzyżowe talery.
Gdyby się każdy człowiek z tą naturą rodził,
Jużby dawno świat z torbą między dziady chodził.
Djabeł to po twéj śmierci pewnie powyciąga,
A zły synal na pogrzeb nie da i szeląga,
Milcz, odpowie mi, głupcze! niechaj z głodu więdnę,
Wolę prowadzić życie mądre i oszczędne.
U mnie wszystko w pieniądzach; ja gdy patrzę na nie,
I za dobrą mi suknią i za obiad stanie.
Mówiłem raz drugiemu: mój paneczku młody,
Żal mi, że tak ojcowskie marnujesz dochody.
Całyś dwór pochlebcami i błazny osadził,
Aby z nich każdy tylko o swém dobru radził;
A okleśniwszy pańską z pieniędzy kozicę,
Uszedł bez opowiedzi zdrajca za granicę.

Do czego się przydadzą te złote karytki,
Te w strojach i napojach niesłychane zbytki?
Na które obarczony ciężkim kmiotek pługiem,
Gmerze w roli do znoju pod groźnym kańczugiem;
Aby, co on w ostatnim przysporzy ucisku,
Zjadał nikczemny próżniak na jednym półmisku.
Chciałem mu coś przytoczyć o jego pradziadu,
Lecz mię on głupcem chlusnął przez łeb bez układu.
Więc z takową od kilku odszedłszy odprawą,
Że ja sam, com to mówił, mam głowę dziurawą;
Będę łajał wzajemnie: a czytelnik baczny
Niech osądzi, jeżelim w zdaniu mém opaczny.
Głupi, kto się bez serca i bez sił junaczy;
Kto języka nie umie, a książki tłumaczy.
Kto dobiera nie podług stanu swego żony:
Bo albo sam gryźć musi, albo być gryziony.
Kto z kości zysku szuka, z kart fortunę kleci:
Bo co mu z wiatrem przyszło, to z wiatrem uleci.
Głupi, kto chce mieć kredyt przez same wykręty;
Komu huczno w czuprynie, chociaż zimno w pięty.
Głupi, kto z wydatkami przychodu nie mierzy;
Kto się lada czém trwoży, lada czemu wierzy.
Kto kupuje na kredyt; a podobno i ty
Kupcze, co gołyszowi dajesz na kredyty.
Głupi, który po szkodzie żałuje utraty,
Który wyśmiardłe babsko bierze dla intraty.
Głupi, kto się bez głowy w sprawy główne wtrąci:
Bo je miasto porady bardziéj jeszcze zmąci,
Kto się na kredytora swojego komosi,
Że go albo o procent, lub o summę prosi.
Kto formuje projekty tylko na papierze;
Kto nie kończy roboty, gdy ją przedsiębierze;
Kto ścisłą poufałość zabiera z nierównym,
Kto z księgi gospodarzem, ze szkoły wymownym.
Kto się nie tém, do czego urodził, rad bawi;
Kto wtenczas prawdę mówi, kiedy nie poprawi.
Kto na gminu prostego gadania uważa;
Kto się o lada słówko i żarcik uraża.
Kto... lecz mi już i karty do pisma nie staje:
A podobno z poboczy słyszę, że ktoś łaje.
Wybaczcie mi, panowie! jeźli daléj troche
Uniosły mię do rymów chęci wiatropłoche.
Zwyczajna to poetom i muzykom wada:
Jeden czasem gra nadto, drugi nadto gada.

Chudy Literat.

Któż się nad tém zadziwi, że wiek jeszcze głupi?
Rzadko kto czyta księgi, rzadko je kto kupi.

A cóż to mój uczono-chudy Mości panie?
Już to temu dwa roki, jak w jednym żupanie
I w jednéj kurcie widzę literackie boki!
Sława twoja okryła ziemię i obłoki,
Że cię miały w kolebce muzy mlekiem poić;
A z niéj, widzę, że trudno i sukni wykroić.
Nie pytam, jak tam twój stół i mieszkanie ma się?
Podobno przy gnojowym blizko gdzieś Parnasie.
Apollo ci swym duchem czczy żołądek puszy:
Szeląga nie masz w wacku, a długów po uszy.
Z tém wszystkiem, pod pismami twemi prasy jęczą,
Ledwo cię pochwałami ludzie nie zamęczą;
Żeś ozdoba narodu, pszczółka pełna plonu
Cukrowego, pieszczota, oczko Helikonu,
Kwiatek, perła, kanarek, słońce Polskiéj ziemi. —
Przestań mię, miły bracie, szarpać żarty swemi.
Mam dosyć ukarania; wszystkom stracił marnie,
Żem się na mecenasy spuścił i drukarnie.
Te ostatni grosz za druk z kalety wygonią;
Tamci dość nagrodzili, kiedy się pokłonią.
Nie pokupny dziś rozum: trzeba wszystko strawić,
Kto go chce na papierze przed światem objawić.
Pełno skarg, że się gnuśny Polak pisać leni,
A nie masz ktoby ściągnął rękę do kieszeni,
Nie masz owych skutecznych ze złota pobudek;
Więcéj szalbierz zyskuje, albo lada dudek,
Co pankom nadskakiwa, lub co śmiesznie powie:
Bo on za swe rzemiosło podarunki łowi;
A ty biedny swe pisma, opłaciwszy druki,
Albo spal, albo rozdaj gdzie między nieuki;
Żeby z nich mogła imość, gdy przyjedzie Jacek
Ze szkoły, czém podłożyć z rodzenkami placek.
Wolałbym się był lepiéj bawić maryaszem.
Chodziłbym, jak pan Pamfil z oprawnym pałaszem;
Kołpak by mi łysinę soboli nakrywał.
A ryś z pod brandebury bujny połyskiwał.
To mi to kunszt zyskowny: często w jednéj chwili
Człowiek się pod pieniędzmi ledwo nie uchyli;
A czego ni wypisze przez rok, ni wyczyta,
Jedna mu da fortunę w kartach faworyta.
Mój zaś bożek Apollo za usługi krwawe,
Dał mi w nagrodę szkapsko, Pegaza, włogawe:

Który nie z jednym pond, jak się często zdarza,
Na popas do świętego zabłądził Łazarza.
Ostatnie to rzemiosło, co prócz sławy kęsa,
Nic nie daje autorom ni chleba, ni mięsa:
I żyć każe sposobem prawdziwie uczonem,
Wodę łykać, a wiatrem żyć z Chamaleonem:
Gdybyć to kupowano księgi, toby przecie
Człowiek jaką łachmanę zawiesił na grzbiecie.
Każdy chce darmo zyskać; jużbym mu ustąpił
Rozumu, byle tylko za papier nie skąpił.
Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał;
Jeden drugiego gani, że czas darmo trawi.
Mówi szlachcic: czemu ksiądz księgą się nie bawi?
Jemu każe powinność na to się wysilać,
By nauką i pismem zdrowém lud zasilać;
Jemu za chleb w ojczyznie prędszy i obfity,
Tą posługą zawdzięczać rzeczypospolitéj.
Albož mu to o żonce z dziećmi myślić trzeba?...
A ksiądz: toć szlachcic sobie sam nie robi chleba.
Sto pługów na jednego pasibrzucha ryje;
Pewnie się on za dobro pospolite bije?
Nie uziębnie na mrozie, na deszczu nie zmoknie;
Siedzi w zimie przy ogniu, a w lecie przy oknie,
Gadając z panem żydem, kto w karczmie nocował,
Wiele śledzi wyprzedał, wódki wyszynkował.
Mógłby też co przeczytać, a z odętym pyskiem
Nie być tylko szlachcicem herbem i nazwiskiem.
Osobliwie, że mu się nie chce panem bratem
Być prostym, ale posłem albo Deputatem.
Nie pięknie to, że sędzia nie zna prawa wcale,
Chociaż jaśnie wielmożnym bywa w trybunale;
Ani ów poseł z wielką przyjeżdża zaletą,
Co tylko na podatki głośne ryknie Veto.
Nie straszny też to u mnie taki podkomorzy,
Co na hipotenuzę wielki pysk otworzy;
A co ma sprzeczne z sobą rozmierzać granice,
Ledwie zna nieboraczek cerkiel i tablicę.
Tak się oni spierają: po staremu przecie,
I ten i ów nie wiedzą nic o Bożym świecie.
Każdy mówi: iż nie ma czasu do czytania,
Każdy się swą zabawą od książki zasłania.
Chłop ma co robić w polu, a rzemieślnik w mieście,
Mnich zabawny swym chorym, lub chodzi po kweście.
Ksiądz: lecz ja nie chcę z takiem państwem mieć poswarki.

Kupiec łokcia pilnuje, lub zwiedza jarmarki;
Palestrant gmerze w kartach, co je strzygą mole.
Szlachcic pali tabakę, lub łyka przy stole.
Dworaczek piętą wierci; żołnierz myśli, kędy
Karmnik z wieprzem, sér w koszu, a z kurami grzędy.
Pan suszy mózg nad tuzem, i wymyśla mody;
Kobiéta u zwierciadła, póki służy młody
Wiek siedzi; a gdy starsze przywędrują lata,
Cudzą sławę nabożnym językiem umiata.
Stary duma, jak mu grosz jeden sto urodzi;
Młokos wiatry ugania, i białą płeć zwodzi.
A z téj liczby zabawnych, można mówić śmiele,
Chłopi tylko a kupcy są obywatele.
Słyszałem ja, gdy pewny szlachcic do Warszawy
Przybył, dla pewnéj ze swym proboszczem rozprawy,
Który go za wytyczne wyklął z kazalnicy.
Ujrzał sklepik z księgami na farskiéj ulicy:
Dziad je jakiś przedawał. Spytał na przechodzie:
A nie wyszło téż jakie dzieło w nowéj modzie,
Bym je zawiózł dla dzieci? dobrze to nawiasem
I samemu przy piwku co przeczytać czasem.
Teraz jest świat uczony: daj Boże! poczciwy
Żeby był, a poprzestał już wyrabiać dziwy.
Mam, odpowie staruszek, i różnych i wiele:
Są kazania na święta i wszystkie niedziele. —
Zachowajcie dla księży, mój bracie. boć lepiéj
Z karty dobrze powiedzieć, niż co drugi klepi,
Djabeł wie co, z pamięci na święconém drzewie,
A tego, co powiada, sam, i słuchacz nie wie. —
Mam wydanego teraz niedawno Tacyta —
Niech go sobie sam miły pan autor przeczyta.
Nie masz tam nic śmiesznego: to pisarz pogański. —
Więc waćpan racz dla śmiechu kupić sejm szatański. —
To pewnie po Radomskiéj co nastąpił radzie? —
Ej nie: tu w czarnéj siedząc Lucyper gromadzie,
Słucha biesów; aby mu rachunek oddali,
Wiele ludzi po świecie pooszukiwali;
Wiele niewierny patron spraw wygra niesłusznych,
Wiele ktoś nawyłudza złotówek zadusznych;
Wiele łez pan wyciśnie z poddanych okrutny,
Wiele biesów naliczy szuler bałamutny;
Wiele plotek po mniszkach, próżności po damach,
Obietnicy u panów, a łgarstwa po kramach. —
To coś bardzo strasznego. — Owóż arcy śliczna
Książka, co tytuł P r z y j a ź ń ma p a t r y o t y c z n a.—

Musi to być szalbierstwo: teraz patryotą
Ten tylko, co do siebie zewsząd garnie złoto.
Miłość dobra ojczyzny w księgach tylko stoi:
Każdy się w sobie kocha i o siebie boi,
Żeby mu kordon jakiéj nie zagarnął wioski,
Waląc wreszcie na króla i winy i troski. —
Są wiersze. — To błazeństwo. — Są téż Polskie dzieje;—
Bodajbyście wisieli na haku, złodzieje,
Żeście w wieczne swój naród podając pośmiechy,
Powyrzucali z kronik i Wendy i Lechy. —
A o gospodarstwie téż będzie wziąść co wola? —
I bez książek pszenicę rodzi moja rola. —
To o rządzie Europy? — A mnie bies co potém,
Jakim się cudze sprawy wiją kołowrotem.
Ja wiem, że u nas sejmik będzie na gromnicę,
A jarmark na Łucyą świętą męczennicę.
Nie baj miły staruszku: trzeba dla méj pani
Dryakwi, co od złotéj noszą Węgrzy Bani.
Dwa razy tylko była mi w Warszawie; alić
Nie może biedna spazmów od siebie oddalić. —
Takie rzeczy w aptekach. — Więc przecie, mój bracie,
Drukowane jéj w sklepie opisanie macie. —
Cóż więcéj? — Kalendarza. — A jakiego? — Coby
Uczył, czy będą u nas, i jakie choroby
W tym roku; jeźli pokój, czy będziem mieć wojnę;
Czy głód, czy urodzaje obaczymy hojne? —
Jest mały kalendarzyk. — Ten to zdrajca, który
Poodzierał szlacheckie nazwiska ze skóry;
Co nigdy nie napisał, aż mię serce boli!
Lubom za przywilejem Wendeński podstoli.
Będę się, chyba że mię śmierć ze świata zdejmie,
Publicznie protestował za wzgardę na sejmie;
By mi go zerwać przyszło. . . Tak po targu sprzecznym
Dawszy tynfa rudego z mieczem obosiecznym,
Poniósł bibliotekę na ładunek głowy,
Receptę do dryakwi i kalendarz nowy.
Owóż masz literata; niejeden to taki,
Co woli w domu czytać szpargał ladajaki;
Lub zbijać tylko grosze, by je pan syn stracił:
Niż gdyby rozum pięknem czytaniem zbogacił.
Więc jako téż kto czyta, tak potém i prawi:
Pali Euksyn; na piaskach papierowe stawi
Okręty; bohaterów na powietrzne sadzi
Wozy, i przez obłoki gryfami prowadzi.
Zamienia ludzi w wilcze przyodziawszy skóry,

Nosi baby na łyse przez kominy góry.
Widzi Abla z Kainem na miesięcznej zorze,
I solone syreny prowadzi przez morze.
Mądrego nic nie pytaj; lecz co gorzej szkodzi,
Że co czynim, o srogie szwanki nas przywodzi.
Jednym gnuśne stępiło umysł próżnowanie,
Drugi rozum i serce utopił we dzbanie,
Ów się tylko pieniactwem szarga, a z sąsiady
Ustawicznie o lada zagon wszczyna zwady.
Ten pańskiej pachołkując dumie i zawiści,
Zwodzi, kłamie, namawia, a nuż co skorzyści?
Istny płód Proteusza; gotów dla mamony,
Temu co go wprzód zdradził, niskie bić pokłony.
Tamten całe swe szczęście na kartach zakłada,
Lub lata po wizytach i obiady zjada.
Pełno ludzi zabawnych: zdaje się coś robi
Każdy, i do usług się ojczyzny sposobi.
Lecz kiedy jedno ciało zrobisz z tej gromady,
Ni serca do czynności, ni mózgu do rady.
Drugi gadać nie umie: ba i cóż on powie?
Nic nie czytał, nie myślił; same wiatry w głowie,
Albo pycha szalona, że swe antenaty
Od Trojańskiego jeszcze zasięga Achaty;
I siedząc nad herbarzem z nosem osiodłanem,
Pochycha, że pan przodek jego był hetmanem.
Dziękujęć, myśli zacna, z czyjej to pobudki,
Berła muzolubnego dobroczynne skutki
Kalendarz tegeroczny przy końcu objawił;
Jakiem który swój dowcip pismem autor wsławił.
A nuż w tych litaniach i moje ramoty
Obaczywszy, kto rzuci z ciekawości złoty.
Tak się przynajmniej człowiek na zimę ogarnie;
Przestaną go ze skóry odzierać drukarnie,
Przestanie kiedyż tedyż być uczonym golcem,
Wkroczywszy w ścisłą przyjaźń z księdzem Bohomolcem.

KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO:

Gra i karciarze.

Krwią i łzami pisane człowieczeństwa dzieje; —
I kraj nasz, nieraz ciężkie przechodził koleje!
Po stokroć, gdy szarańcze plon ziemi wyjadły,
Pojawiała się nędza, a z nią głód wybladły;
Czarna śmierci posłanka, często dżuma wschodnia

Stosy trupów, haraczem, wybierała co dnia;
To znów sroższe niż dżuma i głód i szarańcze
Niszczyły polską ziemię najazdy pohańcze, —
Zamieniali w perzynę żyzne nasze włoście
Turek i Szwed i inni nieproszeni goście!
Dzisiaj już nam nie grożą pohańskie zagony,
Butny Szwed siedzi cicho, bo sam zagrożony; —
I morowém powietrzem już Bóg nas nie karze,
I szarańcza mniej częsta na lackim obszarze. —
Lecz nowa oto klęska obrzydła i wściekła,
Na nieszczęśliwy ród nasz wypuszczona z piekła
Niszczy majątki, zdrowia, chwieje sumieniami
I charakter narodu upadla i plami!...
Tą klęską dzisiaj w Polsce jest gry smutny narów:
A karty zastąpiły głód, mór i Tatarów! —
Prawdać że to nie całkiem nowy wynalazek;
Oddawna świat ubóstwiał karciany obrazek.
Już Opaliński miotał na *kosterów* lancę
A Krasicki z przekąsem pisze o *hapance!*
Przecież gra mniej chłonęła pieniędzy i wczasu,
Była skromną zabawką do zabicia czasu —
Nie słychać by na kartę stawiał gracz szalony
Włość po ojcach, chleb dzieci albo posag żony, —
By spłacić dług karciany przezwan *honorowym*
Nie szły do żydów srebra z klejnotem rodowym. —
Złotówką nie dukatem walczyli szermierze:
Ja sam z księdzem proboszczem grałem o pacierze!
Dawniej, zimową porą, gdy w dom Pana Jacka
Pan sąsiad Kalasanty zawitał z nienacka,
Było się na co patrzeć, gdy po pogadance
O siewbie i o młockach (przy węgrzyna szklance
Co budzi afekt w sercu a troski rozprasza)
Zasiedli staruszkowie do partyi *marjasza*. —
Po półzłotku do *stawki* — za *symplę* sześć groszy,
A dwanaście za *dublę*; — lecz ileż rozkoszy
Na ich twarzach, a w ustach jaki uśmiech szczery
Gdy który z nich brał ciągle *Tuzy* i *kozery* —
A nadewszystko, jakaż tryumfalna chwila
Gdy w przed ostatniej karcie wyciągnął *Pamfila*
I zadawszy z *czterdziestu* musnął wąs sierdzisty,
Dograł — i biorąc *pulę* krzyknął: *perdidisti!*
Po dwugodzinnej walce zmiennej alternaty
Okazało się w końcu, dziesięć złotych straty. —
Zwycięzca nie zrujnował sąsiedzkiego mienia,
Zwyciężony spał smaczno, bez zgryzot sumienia. —

Nie rwał włosów na głowie w komicznym zapędzie
I nie klął się na Boga, że już grać nie będzie!...
Dziś inne obyczaje — dzisiaj szlachta nasza
Gardzi już skromną stawką starego marjasza —
Drużbart i *Kiks*, praojców niewinne zabawy
Zeszły z pańskich stolików na lokajskie ławy. —
Już i *Wist* gra poważna stała się zbyt nudną
Bo przy rozsądnym Wiście zrujnować się trudno! —
Trzeba gier postępowych na oświaty czasy:
Nastały *Preferanse*, *Sztosy*, *Gierylasy*;
Djabełek wybiegł z piekła i służy z ochotą
Zgarniając plon niw naszych przekuty na złoto;
A *Faraon* pochłonion falami morskiemi
Wypłynął — i króluje w błogiéj Piasta ziemi!
— Patrzcie! w dzień uroczysty Świętego Michała
Na dwór solenizanta szlachta się zjechała. —
Bankiet suty gościnność przodków przypomina,
Piętrzą się stosy mięsiw, płyną strugi wina. —
W licznem gronie gwarliwa wszczęła się rozmowa:
Niebrak żartów — lecz słychać i poważne słowa. —
Tu starzec do młodszego zwrócony sąsiada
O dawnych lepszych czasach z żalem rozpowiada;
Tam wojak kreśląc palcem wąwóz *Sommo-Sierra*
Tnie szarżę po obrusie i działa zabiera. —
Inny, późniejsze boje przypomniał i wzdycha...
A młodzież słucha pilnie i coś szepce z cicha. —
Wtem gospodarz postawszy przy ostatniéj misie,
Z pełną *kulawką* w ręku huknął: *Kochajmy się!*

Dotąd, zwyczajem ojców szło Patrona święto:
Lecz zaledwie talerze i nakrycia zdjęto
Znalazł się zaraz szuler jeden, drugi, czwarty,
Co gada o *partyjce* i wyciąga w karty. —
Tamten już siadł za stołem i głosem Judasza
Do banku Faraona amatorów sprasza. —
A jak zdradliwy ptasznik sadzi w klatkę wabia
I nastawione sidła jagodą ozdabia:
Tak pan Anzelm rubaszną dykteryjką zněca
I rozsypaném złotem do zguby zachęca. —
Otoczył stół fortuny mężczyzn poczet cały,
Kobiety opuszczone w bawialni zostały. —
Młódź nasza, ponętniejszéj dziś hołduje Pani,
Uśmiech *Damy pikowéj* stokroć słodszy dla niéj!
Rycerze co do nowych Turniejów się garną
Dwie tylko noszą barwy: *czerwoną i czarną!*

Ktoś wyrzekł świętą prawdę godną słów pacierza
Że namiętność człowieka zamienia na zwierza. —
Patrzcie! w oczach tych graczy jaki wzrok niezwykły:
Szlachetnych uczuć ślady z wszystkich twarzy znikły;
Zostały tylko na nich, potępienia piętna
Gniew wściekły, podstęp podły i chciwość namiętna! —
Rzadki tam był *poniter* co uniknął szwanku. —
Ów całoroczny dochód już zostawił w banku; —
Drugi, trzeci, dziesiąty zgrany do szeląga
Gra *na słowo*, lub w okół pożyczki zaciąga. —
Tamten, straciwszy pieniądz ratuje się fantem:
Stawił złoty zegarek i pierścień z bryljantem,
Duszę by własną rzucił w nurt bankowéj rzeki
Gdyby czart nie miał na niéj pierwszéj hipoteki!...
Pół dnia i wieczór cały i noc całą grano:
A słońce, oko Boże, z za chmur wstając rano
Zastało szlachtę polską nie z lancą na wartach,
Nie z modlitwą w kościele — lecz w izbie... przy kartach!

Znaczne summy osiadły w bankierskiéj kieszeni;
A gracze źli na siebie, wybladli, znużeni,
Rozjechali się wreszcie — robiąc plany drogą
Jak niechybnym sposobem *odegrać* się mogą. —

Nie od dziś w okolicy krąży już uwaga
Że pan Anzelm, zręcznością szczęściu dopomaga —
Że ciągnąc Faraona, ręka jego wprawna
Umie *zfilować* kartę gdy grubo obstawna; —
Że stasować na *Asa* lub *ułożyć* lisa
Jest igraszką dla biednych palców infamisa! —
O tych sztukach sąsiedzi gwarzą pokryjomu
A jednakże sztukmistrza przyjmują do domu;
Kochanym przyjacielem zowią go nie jedni,
Z uwielbieniem słuchają sprośnych jego bredni,
A gdy ich pieniądz wsiąknął do trzosu Anzelma
Mówią: „Miły to człowiek," — choć myślą, że szelma!...

O! takie pobłażanie straszną u nas winą:
Płochością śród narodów obyczaje giną!
Strzeżmy cnoty praojców — niech uczciwa ręka
Skalanéj dłoni łotra dotykać się lęka —
Niechaj nas nie wstrzymają towarzyskie względy,
Bo złe z dołu czy z góry jest ohydą wszędy; —
Obcym być nam powinien kto honor swój plami. —
By nas świat uszanował, szanujmyż się sami!

Z tych nawiasowych zboczeń powracam do treści
Bo to jeszcze nie koniec mej smutnej powieści! —
Dawniéj gdy się zebrało liczne gości grono
Prawda, że nazbyt częstym kielichem grzeszono. —
Lecz gdy wszyscy po uczcie w bawialni zasiądą
Umiano czas umilać ciekawą gawędą
O zjazdach Trybunalskich, Sejmikowych mowach,
O figielkach kaniowskich i nieświezkich łowach,
O bitwach, w których ojce przeważnie łamali
Zastępy Turków, Szwedów, Niemców i tam dalej.
Lecz odkąd zawitały w nasz kraj staroświecki
Manijery francuzkie i rozum niemiecki,
Odkąd pokój bawialny przezwano *Salonem*,
Gawędzić, jest prostactwem — a śmiać się, *złym tonem*!
Dziś, przy weselnych godach, albo w dzień imienia
Zaraz się dwór szlachecki w szulernią zamienia. —
Gdzie niedośpiał Faraon, Djabełek się wkrada
I jak szarańcza, złoto w kieszeniach wyjada —
Lub szalony Preferans, nakształt Tatarzyna
Przez dwie doby rabuje, podpala i ścina! —
Kto się nad tajnikami ludzkich serc zacieka
Niechaj się na tych graczów popatrzy zdaleka. —
Tutaj przy jednym stole, o! hańbo bez miary!
Nieraz dwóch młodych synów i ojciec ich stary
Zmieszani z rozbeztwioną zapaleńców zgrają,
Bez rumieńca na czole, obok siebie grają? —
Ten, stracił już majątek — pożyczką się łata,
Stąd wyrwał kilka złotych a stamtąd dukata,
I kosztem poniżenia jałmużnę zebraną
Przynosi w drżącéj dłoni na pastwę karcianą! —
Tamten znów, został sknerą choć dawniéj żył w zbytku,
Ujmuje własnéj gębie strawy i napitku,
Skąpi obuwia dzieciom albo sukni żonie
By zaoszczędzić grosza — który *Sztos* pochłonie!
Inny, szatańską siłą nad przepaść zagnany
Naruszył cudzy fundusz w depozyt mu dany;
Niepomny kary Bożéj, ni ludzkiéj pogardy
Wypuszcza szeląg wdowi na banków hazardy!
Ten odmówił stu złotych krewnemu co w nędzy,
Skarżąc się na złe czasy i na brak pieniędzy,
A z pełnym workiem zasiadł śród graczy kamratów
I w partyi *Preferansa* przegrał sto dukatów! . . .

Lecz i tych gier nie dosyć. — Ledwie z końcem lata
Wejdzie do pustych stodół, dań ziemi bogata,

Nasze Panki sprzedawszy zmłóconą pszenicę
Pod porozem kuracyi, jadą za granicę. —
Większa część z nich tak zdrowa jak ryby w ich stawach,
Myśli tylko o balach, koncertach, zabawach —
Jedyną ich chorobą jest do gry ochota,
Chcą kąpać się w krynicach bankowego złota,
I pieniądz krwawym potem z niw polskich wydarty,
W Badenie i Homburgu przepuścić na karty. —
Lecz są prawdziwie chorzy i tych żal mi szczerze;
Oni do zbawczych źródeł jadą w dobréj wierze —
Ale wciągnieni zwolna przykładu pożogą,
Wkorzenionym nałogom oprzeć się nie mogą —
Niszczą grą, sił nabytek zyskany lekami,
I niebaczni! szaleni! mordują się sami.
Doktor kazał pić wody, chłodzić się dyetą;
Aż tu Pan, na pedogrę léczy się *ruletą*. —
Z ręką drżącą od pokus, z krwią nabiegłem czołem,
Bierze łaźnie parowe nad *zielonym stołem!*
Inny, co miał ratować płuca zagrożone
Całe dnie się kuruje . . . . . w *Czarne* i *Czerwone*! (*)
Wbiegła w pierś zrujnowaną gry ognista żmija
I ostatki żywota swym jadem dobija
I dobije — i grób mu kopiąc, można śmiało
Pisać nad nim: „Tu leży samobójcy ciało.” —

Może ta mowa szczera przebrzmi niesłuchana. —
Lecz poeta w narodzie ma urząd kapłana,
Gdy mu sumienie każe, powinien z odwagą
Gromić ziomków i prawdę powiadać im nagą!
Mniejsza, że źli i głupi powstaną nań z wrzawą
Krzycząc: „Do strofowania kto tobie dał prawo?”
Byle choć kilku mądrych i zacnych współbraci
Rzekło dłoń mu ściskając: „Niech ci Bóg odpłaci.” —

---

*) Znana gra, rouge et noir.

3) Właściwy poemat Dydaktyczny

ZIEMIAŃSTWO POLSKIE

przez

KAJETANA KOŹMIANA.

(Wyjątki).

Uprawa roli.

Gdy skowronek nad bruzdą rodzinną zanóci,
I bocian klekocący na gniazdo powróci,
I żórawie w powietrzu przez krzyki radośne,
Głoszą w szacie zielonéj wracającą wiosnę;
Oto jest chwila pracy — niech ją rólnik chwyta;
Kto pierwszy pola zwiedza, pierwszy wiosnę wita.
Daléj! daléj na role, korzystajcie z pory,
Teraz, czas krajać w skiby rozkrzepłe ugory;
Teraz od łąk rowami odprowadzać wodę,
I w miękkie dzikorośle szczepić różczki młode;
Broną, albo grabiami rozrzucać usepy,
Któremi darń zieloną kret poburzył ślepy;
Natrętne z młodych siewów wyrywać kąkole,
I wałem albo głazem obwarować pole.
Teraz z gajów zapraszać na miedze i drogi,
Dzikie darnie, kolczyste jałowce i głogi;
Im powierzyło niebo darów swoich straże.
Przebaczcie giętkim chrustom, skrzętni gospodarze;
Bo kto obronę grzędy na leszczynę zdaje,
Złorzeczą mu zasiewy, złorzeczą mu gaje.
Słabe, i z młodéj sosny żerdź, daje zapory,
Przebędzie je gęś chciwa na młode szczypiory;
Przesadzi bystry źrebiec przemierzywszy głową;
I wół obali, kiedy ściera sierść zimową.
Niebaczna gospodyni nim ogień roznieci,
Po kruche z nich ułamki drobne wyśle dzieci.
Przechodzień, moli zniszczyć niżeli obchodzić;
A gospodarz — corocznie będzie musiał grodzić;
Lub patrzeć zasmucony, jak natrętne trzody
Wysypią się na błonia, pola, i ogrody,
Łąk jego i chłodników napaści nie miną;
Wieprz się na nie wyprawi z żarłoczną rodziną.
Znieważy niecnym ryjem murawy kwieciste,
I nieczystemi boki zmąci strugi czyste.
  Ten w moich piaśniach zyska gospodarza imie,
Kto o trudach wiosennych zamyślał się w zimie:
A długą skibę wiodąc po wilgotnym łamie,

Pomni, że pięknéj pory krótkie panowanie,
Że zmienna i niestała na Polskiéj przestrzeni,
Nieraz szatę przybiera zimy lub jesieni.
Dopiero jaśniejąca wdziękiem i ozdobą,
Dzień z pogodném wejrzeniem prowadzi za sobą,
Sieje wonne fiołki, ze snu budzi zdroje,
Lekkich motylów ciepłym tchem rozpładza roje.
Pieści zielone twarki; — i téj saméj chwili,
Marszczy je siwym szronem, albo śniegiem chyli.
Wabi pod młode krzewy ptastwo do rozkoszy,
Znowu nagle od siebie chmurną twarzą płoszy;
A gdy już lot wędrowny w obce wznoszą kraje,
Z całą wdzięków przyłudą na drodze im staje;
A oto, nowi jeńce sto razy zdradzeni,
Wzbijają się w obłoki do wielbień i pieni.
  Ta rola obfitemi odpłaci się plony,
Która dwakroć poznała pług, radło, i brony,
Na któréj określonym bruzdami zagonie,
Stopa siewacza w pyle upulchnionym tonie.
Czy ją mlécznéj przenicy zdobić mają kłosy,
Czy na niéj zaszeleści jęczmień złotowłosy,
Czyli miękki len jasne rozwinie błękity,
Albo proso zaszumi błyszczącemi kity,
Czy wnijdzie żółty rzepak, czyli bób kosmaty,
Albo gryka śnieżnemi woniejąca kwiaty,
Czyli pnący się z lipkiém gronem chmiel po tyce,
Lub w strączku grzechocący groch pokrewny wyce;
Powracaj z ranną zorzą, powracaj wieczorem,
Walczyć na sprutej grzędzie, z twardych brył uporem.
Kiedy zioła i trawy ranna poi rosa,
I błękitne z pod chmury zabłysną niebiosa,
Wtedy ssie wilgoć bryła spiekła od gorąca,
I wtenczas niech ją brona zębata roztrąca.
Wtedy wypleniaj chwasty na zboża zawzięte,
Targaj perze grabiami, i rwij włókna kręte,
Wycinaj najeżone kolcem ostu krzaki,
Podły łopion, zczepny rzep', liche bodłaki;
Niszcz wysmukłe bylice, sięgaj do korzeni,
Gnęb i szczaw, który rolę jałową rumieni.
Niespuszczaj się na lemiesz, bez ostréj motyki
Nieustąpią te groźne zboża najezdniki;
Zniosą lekką obrazę, schylą się na rolą,
I wtłoczyć się pod skibę pługowi dozwolą.
Lecz skoro ich żelazo w zarodzie nie przytnie,
Uparty ród, na klęskę pól twoich zakwitnie:

Rozkrzewi się i zgnębi pożywne nasiona.
Tak — podłych tworów wszędzie jedne są znamiona.
Prześladuj, póki drobnych plemion nierozsieją:
Niech w kwiecie bez litości na zagonie mdleją.
A gdy je słońce przejmie, nie żałuj mozoły,
Składaj w stosy, pal ogniem, rozrzucaj popioły. —
Któż zliczy mnogi szereg natrętnych rodzajów?
Czasem paproć z sąsiednich przywędruje gajów,
Jeżówka zbrojne kolcem prątki porozpina,
I wysnuje się groszków kwiecista rodzina;
Zagoszczą w twoich polach ognik i rumianki,
I bławatek od żeńców zrywany na wianki,
Mak senny, i rozwity powój po zagonie,
I kąkól, co różowym wstydem w kwiecie płonie,
A czarnych ziarn w łupinie zawiązuje krocie,
Które do białych pszenic wmiesza przy omłocie.
Zdradną ich zielonością nie ciesz się skwapliwie,
Niezasiane, udadzą zasiewy na niwie.
A gdy między kłosami rozwiną kolory,
Rzekniesz, że Ceres bawi w gościnie u Flory.
Tam walczyłeś żelazem, tu wołaj plewiacza.
Póki zwodnicze plemię mdły listek roztacza,
Pokrzep siły zbóż twoich, dodaj im odwagi,
A wolne od przemocy zajmą obszar nagi.
Chceszli wiedzieć? opowiem, skąd liczna gromada
Ziół i chwastów natrętnych twe role obsiada:
Bądź swawolne zefiry w łagodnych powiewach
Roznoszą rodny pyłek zgarnięty po krzewach,
Bądź ptastwo, żer na drzewach i polach zebrany,
Przelatując rozprasza na uprawne łany,
Albo ziemia tę własność wzięła z przyrodzenia,
Że sama z siebie zioła mnoży i rozplenia,
Warstwa jéj, co ze szczątków roślinnych powstała,
Trawi razem i płodzi pierwiastkowe ciała;
A pyłki te pamiętne i kształtu i bycia,
Znowu złączone żądzą niezbędną odżycia,
W różnowzorych istotach z ziemi wstają łona; —
Stąd zarody, — z nich krzewy, — a z krzewów nasiona.
Stąd wzrasta dąb niezłomny, co wyzywa gromy,
I przyjaciel trawników fiołek poziomy.
A choć pierwszy odwieczne rozwodzi ramiona,
Drugi, téj saméj chwili rodzi się i kona,
Gdy pierwszy runie z grzmotem i przestrachem lasu,
Drugi na miękką trawę spadnie bez hałasu,
Obadwa, skoro prochy po ziemi rozrzucą,

Tworom, których powstały, znowu życie wrócą,
I może w nieprzerwanéj kolei przemianie,
Dąb z fiołka, — a z dębu fiołek powstanie.
Bo natura pracując na wiecznym warsztacie,
Tak przerabia, i wraca istotom postacie. —
I póki światy krążą, póki świecą słońca,
Wszystko ma swoje cele, a nic niema końca.

Pora czasu i podział pracy.

Niegardź przodków podaniem, owszem za ich torem,
Zbogacaj dostrzeżenia nowych przestróg zbiorem,
A przez nich nauczony, ucz następne plemię
Wprzód pasterz zliczył gwiazdy, rolnik poznał ziemię,
Niźli mędrzec oznaczył brył ognistych szlaki,
Słońce osadził, ziemi wytknął bieg trojaki,
Odkrył, dla czego w nowiu księżyc śrebrnorogi
Wypełnia okrąg światłem na połowie drogi;
Czemu noc długa w zimie, dla czego dzień krótki;
Niech on dochodzi przyczyn; — ty rozważaj skutki:
Zważaj słońce i księżyc, zważaj drobną mrówkę,
A znajdziesz wróżbę plonów, i trudów skazówkę,
I łatwowiernie słuchać nie będziesz w potrzebie,
Co ci prawi Astrolog o ziemi i niebie.
Pająk, co przędzie włókno w kącie twojéj chaty,
Gdy po płotach, po ścierniach rozstawia warsztaty,
A polotne zefiry w swawolnych powiewach,
Snują pasma w powietrzu, wieszają po krzewach;
Gdy po rosie brzmią echa w gajach i na skałach,
I żaby w późnéj nocy grzechocą po kałach;
Gdy słońce wśród jasnego zapadłszy błękitu,
Rozpierzchły promień zwolna ściąga z góry szczytu;
Poklepuj kosę młotkiem, zaostrz szorstkim głazem,
Niech zaszczękną oręże w całéj włości razem.
Spiesz na łąki, rozstawiaj uzbrojone szyki,
Odsłaniaj czyste strugi, wesołe trawniki.
Tu już ostatnie wiosny odbierasz wejrzenie.
Ścięte zioła i kwiaty roznoszą jéj tchnienie;
Tu się pierwszy raz wdzięcznie uśmiechnęła światu,
I tu ogorzałemu dary składa latu.
Na hasło jego, twoja przybędzie rodzina,
I zagarnie grabiami, co twoja dłoń ścina. —
Lecz jeżeli się dymy błąkają na dole,
Słońce brodzi w obłokach, księżyc wschodzi w kole,
Lotna jaskółka muska kryształy jeziora,
I kogut bijąc skrzydły zapieje z wieczora,

Ptastwo tuła się jeszcze, i choć zmrok na niebie,
Niechce osiąść na grzędzie, i po ścieżkach grzebie,
Drzymią w dzień zasępione dzierlatki na płocie,
Kruki chrapliwym głosem wabią się w przelocie,
Niecne wrony wśród nocy po drzewach się kłócą;
Wkrótce jasny dzień, dżdżyste obłoki zasmucą,
Utoną we mgle ciemnéj i góry i knieje,
I mokra na okręgu słota się rozsieje. —
Jeźli znasz cenę czasu i podział roboty,
Nie wejdą za twe progi w dzień dżdżysty tęsknoty.
Masz oddawna pod strzechą obnażone z kory
Twarde dęby na osi, na dzwona jawory.
I na sprychy jesiony, i na piasty brzozy,
Na dyszle gładkie buki, na półkoszki łozy,
Masz lipinę na jarzma, a giętkie leszczyny
Na obręcze do nacryń, szczeble do drabiny.
Bierz narzędzia, i wcześnie ponaprawiaj sprzęty,
Ostre dłuto, zębatą piłkę, świder kręty,
Ośnik krzywy, siekierę doświadczoną w dłoni;
Wystruguj widły z grabu, cep z gładkiéj jabłoni,
Wydrążaj z miękkiéj sosny żłoby i koryta,
Ule, do których pszczoła na wiosnę zawita;
Przyzuwaj koła, w dołach układaj łuczywa,
Niech strumień czarnéj smoły do naczynia spływa,
Aby wozy ładowne roli twojéj darem,
Nie skrzypiały ci w upał pod snopów ciężarem;
A skoro wiatr przychylny odsłoni lazury,
I złoty promień słońca wymknie się z za chmury,
Ciekącym z dachu kroplom śpiesz ułatwić ścieki:
Obchódź szpichlerze, obchódź zapola, sąsieki,
Wypłaszaj napastników na gumna i brogi;
Do nich, z pod kopy, polna mysz przewidzi drogi,
Wędrownych mrówek z gaju przyjdą roje czarne,
Założą pod przyciesią państwo gospodarne;
Gady potoczą lochy, kret z gasłemi oczy,
Na gładkiém ziemię z nory klepisku roztoczy:
Zatrzéj go, z lipkim mułem pomięszawszy glinę;
I wiatry ciepłém tchnące zapraszaj w gościnę.
Nie leń się téż porzucić przed jutrzenką łoża,
I wyjrzyj czyli sąsiad nie wypasa zboża.
Dopóki w gęstych runach zaród buja młody,
Strzygąc go zębem owca nie zada mu szkody;
Lecz wół z korzeniem wyrwie, racicą przytłoczy,
Jeźli go myślisz napaść gdy deszcz ziemię zmoczy.

Żniwo.

Ale już lato upał wzmagając skwarliwy,
Ognistém złoci tchnieniem popłowiałe niwy;
Szepcą w krzakach koniki, przepiórka chrapliwa
Pod ważącym się kłosem daje hasło żniwa.
Dopiastowała ziemia czekanéj nagrody:
Pośpieszaj za nią w pola, korzystaj z pogody,
Zbiéraj hoże dziewice, i krzepkich młodzieńców,
Gromadź orszak ochoczy z ranną zorzą żeńców;
Niechaj się miesza z gwarem licznéj rzeszy głosów
Chrzęst krzywych sierpów, szelest spadających kłosów,
Ty sam zaprzęgaj woły póki pora sprzyja;
Niechaj się wóz za wozem szybkim pędem mija;
Szparkim rzutem napełniaj snopami zapole;
To twoje, coś uchronił przed słotą w stodole.
A gdy radosne pieśni pod niebo się wzbiją,
I dłonie pracowite wieniec ci uwiją,
Gotuj ucztę. — Już śpiewa u wrót orszak cały
Przygany dla sąsiada, dla ciebie pochwały.
Wyjdź przeciw, wezwij w progi, przyjm wieniec na czoło
I z tą, która go niosła, zrób ochocze koło.
Ta lipa lub ten jesion, co przecina chmury,
Co pod niemi spoczywał może z Piastów który,
Staną im za przysionek z ozdobnemi stropy;
Miękkie trawniki nagiéj nie obrażą stopy;
Za ognie, w alabastrach albo szkłach iskrzące,
Zabłysną na lazurach jasnych gwiazd tysiące;
A jaki bądź niezgodne wydadzą dźwięk struny,
Skoro na nich ojczyste odezwą się tony,
Zadrgnie w żyłach krew młodzi, każdy poda dłonie
Towarzyszce, przy któréj żynał na zagonie.
Zaczną się szybkie skoki. zaczną koła zwrotne,
Przeplatane przez pieśni i rymy zalotne,
Jakiemi się spierali pasterze Marona,
Lub śpiewał w Czarnymlesie wieszcz śród kmieci grona.
Tak gdy ochota orszak unosi wesoły,
Zajmą ojce i matki rozstawione stoły;
Rozprawiać o przygodach będą dawnych czasów,
O wojnach pod Sobieskim, swobodzie za Sasów,
O nieplenności roku, wróżbach urodzaju,
Lub z westchnieniem wyliczać będą klęski kraju;
Bo tu do ust przechodzi, co się w sercu mieści.
Zmieszają się z smutnemi i miłe powieści,
O dzieciach rodzicielskim posłusznych naukom,
I uśmiechną się lica niewyrodnym wnukom.

Szczera życzliwość wejdzie w tajemną rozmowę,
Rając poczciwych zięciów, nadobne synowe.
Tworzą się lube związki, miłość do nich wzywa,
Prawa córo natury, prostoto szczęśliwa!
Ty z dziedzictwem twéj matki powaby jéj dzielisz,
Jéj wdziękiem się zalecasz, uśmiechem weselisz,
I niestarte ojczystych zwyczajów obrazy,
Przekazujesz następcom bez odmian i skazy.

Hodowanie bydła i koni.

Masz w kraju własnym wzory. Obacz cielce śnieżne,
Co wypasają błonia Dniestrowi pobrzeżne,
Lub w nieprzejrzanych stepach brodzą przez pastwiska;
Jarzmo im w czwartym roku piętna niewyciska.
Stąd bujnych rogów łuki podnoszą do góry,
Jakby pokrewne były z żubry albo tury.
Nieraz z niemi przychodzień na twych polach gości,
Ale cóż mu dać możesz w zamian prócz zazdrości?
Na ich czele poważnie idzie wódz wspaniały,
Toczące się jak ogromny obłom siwéj skały:
Gęsty kędzior pochmurne czoło mu zakrywa,
W grubych marszczkach podgarle do goleni spływa;
Bądź rogiem się nadstawia, bądź krzywy zyz toczy,
Pasterz zbrojny kosturem nieśmie zajść mu w oczy;
Przygłuszonym pomrukiem liczne wiedzie stada,
I jak szeroka przestrzeń, tak szeroko włada.
Czy wolisz ród Styryjski, co bujny róg nosi,
Zdobycz łowca na któréj wojnę puszczom głosi.
Czy Batawski, co sierścią nadobną połyska,
Czy, skąd się w drobne krople Ren ze skał rozpryska:
Każde plemię przyswoi twe niebo choć zmienne,
I przeniesie swobodę nad więzy codzienne.
Ale dwóch zalotników nie puszczaj za trzodą,
Bo zagrzani zazdrością straszną walkę zwiodą.
Pierwszy nie ścierpi żeby obcy go nachodził,
Będzie bronił téj ziemi na któréj się rodził;
Drugi może niebacznie przyzna siłę sobie,
Że okuty w łańcuchy stał zawsze przy żłobie;
I gdy go próżna duma i żądza zaślepi,
Niedołężny niewolnik wolnego zaczepi.
Patrz, ledwie się zoczyli, piasek nogą miecą,
I z rozsrożonym wzrokiem oślep na się lecą.
Tego pomsta zapala, tego młodość żywa,
I widok stu jałowic do walki przyzywa.
Uderzają o siebie jak dwie twarde skały,

Odgłosem srogich ciosów padoły zagrzmiały;
Rozskoczyła się trzoda od placu zdaleka.
I z wrytém w obu okiem losu swego czeka.
Ten silną napaść niesie, ów silniéj odpiera,
Czoło z czołem, róg z rogiem splata się i ściera.
Siłą się twarde karki, wyprężają boki,
Ostra racina w ziemi ryje ślad głęboki,
Tuż idzie cios za ciosem, i za raną rana;
Bryzga czarna posoka, biała bryzga piana;
Upadł od ostatniego napastnik zamachu.
Skupiło się poskokiem stado od przestrachu,
A zwycięzca nad ległem stojąc przeciwnikiem,
Górom, gajom i polom tryumf głosi rykiem.
Tak wpośród ścieśnionego Abidos przestworza,
Od sprzecznych wzdęte wichrów tłuką w siebie morza,
Wspina się w górę wściekły bałwan po bałwanie,
Zda się że ląd zatopi i nieba dostanie,
A kiedy z rykiem w otchłań zapieniony spadnie,
Mętnych głębin potwory podskakują na dnie. —
Uprowadzaj ległego nim nowy bój zacznie,
I narzucaj okowy, któreś zdjął niebacznie.
Przytłumi on urazę, ale nie uśmierzy,
Górom, gajom, żałośnym głosem wstyd powierzy,
Na miękkim mchu pod skałą złoży bok znękany;
Lecz gdy siły pokrzepi, i zagoi rany,
Pomstą tlejącą w piersiach gniew rozżarzy srogi,
Na spróchniały pień dębu wywrze twarde rogi,
A doświadczywszy mocy, plac do boju stawi;
I może krwawym zgonem nową napaść wsławi.
— Nie tak jest hardy cielec rozbujały w trzodzie,
Choć równie czoło stawia, równie rogiem bodzie.
Nim go zaczniesz znajomić z pługiem albo wozem,
Oswój gruby kark z dłonią, krzywy róg z powrozem.
Wciskaj mu z miękkiéj lipy zamiast jarzma łęki;
Opierać się on będzie, i wydrze się z ręki,
Stokroć potrząśnie karkiem, wpadnie między trzody,
Na znamię zagrożonéj żalić się swobody;
Ale zgodzi się wkrótce z przeznaczoną dolą,
I w jarzmie pług skrzypiący pociągnie na rolą.
Ale czas już opuścić ród zwierząt spokojny,
Czas o tobie, rumaku zrodzony do wojny,
Co się sam chętnie mieszasz w rycerskie zaciągi,
I dzielisz bohaterów sławę i posągi.
Czy skalistego Dniestru sine pijesz wody,
I w dzikich stepach wiatry wyzywasz w zawody,

Czyli Natolskie źrebce na przeciwnym brzegu,
Do Stambulskich haremów chcesz prześcigać w biegu,
Bijesz nurty kopytem i w żądzy zapale
Przecinasz silną piersią odmęty i fale,
Albo za głosem surmy z Daków stanowiska,
Drży w tobie każda żyła, nozdrze ogniem pryska,
Pragniesz jeźdźca, by w pędzie pod kopyta twoje
Zmiatał mieczem buńczuki, tarcze i zawoje;
Staw się przed mojém okiem w téj świetnéj urodzie,
Niecierpliwy wędzidła i wspaniały w chodzie;
Staw się z karkiem łabędzim, i grzywą rozwianą,
Żujący czyste złoto, z bielszą nad śnieg pianą,
Jakim cię w bojach znali Polski najezdnicy,
Gdyś się rzucił z Czarneckim w szumny wir Pilicy,
Lub gdyś porząc kopytem Cymmeryjskie tonie,
Pławił miecze sojuszne ku Danów obronie;
Lub na jakim Sobieski, z odsiecznemi roty,
Wpadł z błyskiem na hardego Wezyra namioty,
Potopił dumne dzicze, — aż wyparty z łoża
Ister nowe koryto pruć musiał do morza;
A gdy lud wybawiony w hołdach się wyścigał.
On się pysznił zwycięzcą, i czuł kogo dźwigał.
Takim był rumak Polski w kraju i za krajem;
Tak wsławiał jeźdźca Polski, on go wsławiał wzajem,
Gdy niegdyś po Taurydzkich stepach płosząc dzicze,
Krymskim hordom odbijał jeńców i zdobycze,
Lub na rozkaz Cezara, pośród mordów zgrozy,
Jednym skokiem przesadził Kantabrów wąwozy.
Bo chociaż go pod temi ujrzały znamiony,
Krzyżowce u Grunwaldu, u Elby Teutony;
Ni jemu, ni rycerzom poczytam za chwałę,
Roztrącać spasłych Fryzów szyki ociężałe,
Krew szlachetną z plemieniem mieszać niewolniczém,
Co powolne ciężarom, wiek trawi pod biczem,
Rozmnaża ród na sławy potęgę nieczuły,
Zdolny zastąpić cielce i leniwe muły,
Tu, chociaż ostrą broną z brył zamiata pola,
Nie tyle go spodliła praca i niewola,
By nietęsknił do wrzawy w bitwach i obozach,
Lub nie pragnął zaprzęgu w tryumfalnych wozach. —
Badacze przyrodzenia, których myśl poznała
Wpływy ciał nieśmiertelnych na śmiertelne ciała,
Powiedźcie! jakiéj gwiazdy władza niepojęta
Jednym tu krzepi ogniem ludzi i zwierzęta?
Jednym tu dzielność, męztwo, żądza do chwały jednaka,

Ożywiła tu rolnika i jego rumaka?
Patrzcie; ledwie uchyli z twardych zgrzebi szyję,
Już się otrząsa z pyłu, grunt kopytem ryje;
Niechże mu niedorostek do gonitw ochoczy
Bez kiełzna i strzemienia na gładki grzbiet wskoczy,
Już z nim hasa na polach, już przesadza płoty.
Zważajcie; kiedy słońce ściąga promień złoty,
Szklnąca rosa na trawie po łąkach i smugach
Przymila paszę bydłu strudzonemu w pługach;
Już hoża młódź wyjeżdża rozciągłym szeregiem,
Tętni ziemia pod kopyt wiatrolotnym biegiem,
Już koczuje w pomroku pośród pól i błoni:
Odzywają się hasła, i parskanie koni,
Stoją na okół czaty, płomień w cieniu błyska.
Tak tu pasterz rycerzem, obozem pastwiska.
Te to szlachetne zbiegi od pługa i brony,
Świętemi bratnich szyków wezwane znamiony,
Przekuwszy na broń lemiesz biegły pędem wiatrów
Nad kwiecistą Sekwanę od stóp śnieżnych Tatrów.
Zdawało się, iż spiekły słonecznemi żary
Spieszy hufiec Numidów pod Rzymian sztandary,
I nagiemi kolany ścisnąwszy rumaki
Pędzi sajdaczne Party, i brodate Traki.
Gdy się rozpadła ziemia trójzębem trącona,
Mówią że bystry rumak wyskoczył z jéj łona,
Ów to był, co na nurtach rozhukanych spłynął
W chwili, kiedy pod morzem środziemny ląd ginął;
Albo ten, co Nubijskie sprzykrzywszy upały,
Na Helespontu brzegi zabiegł tułacz śmiały,
I kiedy wysp cienistych świeże błonia zoczył,
Wpław powierzył się falom i na brzeg wyskoczył;
Czyli go Greczyn pierwszy schwytał na arkany,
Czy Dak na okiełznanym wypróżniał kołczany,
Czy Scyta, nieznający pługa i zagrody,
Toczył wędrowne domy i nawracał trzody:
On pasącym się stadom na sarmackiéj ziemi
Jeźli niedał początku, połączył się z niemi,
I wlał im krew biegunów pysznych z téj zalety,
Że palmy Olimpijskiéj dościgną u mety. —
Jeźli na téj przestrzeni rozkwitłych odłogów
Niehasa dotąd mnóstwo bystrych wiatronogów,
Ani dzielny przewódzca i mnożyciel stada
Ognistém nozdrzem wiatrów o jeźdźca niebada,
Ale w skrzypiącym wozie dumną szyję chyli, —
I wy nie tém jesteście, czém przodkowie byli!

Z grubą nogą przychodzień pomorskiego rodu,
I ten co wodę pije na Wołdze z pod lodu,
Szpetny składem i grzywą zakwitłą w kołtuny,
Skaził wam krwią nieczystą marsowe bieguny.
Od tak wyrodnych ojców już potomek młody
Nięnabiera dzielności, ognia i urody.
Nie powrócą mu zalet ni w kształcie, ni w biegu,
Partenopejskie źrebce choć bielsze od śniegu,
Uczone przy haraczu naginać kolana,
Ni ten, któremu błonia odwilża Sekwana,
Ani Bretoński biegun odważony złotem,
Choć mu ojca wychował Arab pod namiotem,
Z cienką i długą szyją; na wysokich nogach,
Dobry ścigać jelenie pod łowcem w ostrogach,
Lub wygrywać zakłady wśród poklasków gminu,
I ostatni duch zionąć bez wieńca wawrzynu.
Pierwsze on trzymał miejsce, i dumnie w to wierzył,
Póki się rumak Polski w boju z nim niezmierzył;
Widział to Gwadalkwiwir, i Ebro świadomy,
Jak z nim runęły mosty, jak tonęły promy,
Byłby się morza napił, lecz stały w odwodzie
Szybsze, na które wskoczył, okręty i łodzie. —
Długie i krągłe krzyże, postać nieprzerosła,
Szyja z wypukłych piersi w giętki łuk wyniosła,
Ostre ucho, niewielka głowa, pełne oko,
Czoło niewązkie, nozdrze rozwarte szeroko,
Suche kolano, krótka lecz gładka pęcina,
Noga co się w odstępie ni plącze ni zgina,
Płaskie kopyto, miękka i rozpierzchła grzywa,
Odległy ogon, który cienki włos okrywa,
Sierść powabna połyskiem, a której pokrycie
Zdradza i każdą żyłę i każde krwi bicie,
Są cechą nadobnego i dzielnego konia;
Szczyciły się takiemi Iberyjskie błonia.
Dziś na ich kopyt bicie, na ich groźne rżenia,
Drżą w murach Carogrodzkich podziemne sklepienia:
Arab je wychowuje na Nubijskim stepie,
A muzułman na targach przejeżdża w Alepie.
Takiemu Poniatowski gdy wypuścił wodze,
Hufce, zamki, okopy stały się po drodze. —
Z takiej więc krwi potomka przeznacz twemu stadu;
Lecz i matki niech będą podobnego składu.
Najtrwalszą jest sierść kara, najpiękniejszą gniada,
Lub którą pomieszany włos z obydwóch składa.
Bułana z płową plemię odrodne oznacza,

Ale każda, przy sile, dobra dla oracza.
Biała, co jasnéj perły powabem połyska,
Sławne u starożytnych zdobiła igrzyska.
Jéj tło świetnie odbija purpurową szatę
I napiersie w korale i szafir bogate. —
Stąd Grecy kiedy pędzlem Olimpu dosięgli,
Do wozu słońca śnieżne rumaki zaprzęgli.
Patrz, gdy poranek bramy otwiera wspaniałe,
Cztery w poręcz bieguny wypadają białe;
Powiewne grzywy jasność pozłaca promieni,
Z oczu im ogień pryska i nozdrza rumieni;
Roztrącają obłoki żartkiemi kopyty;
Za niemi wóz ze złota pędzi na błękity:
To się nurza w obłokach, to znowu nad chmury,
Ryje złote koleje, i kraje lazury. —
Białemi rumakami po marsowém polu,
Rzym obwożąc zwycięzcę wieńczył w Kapitolu.
Późniejsi ucznie w królów i wodzów obrazach,
Takie kreślą na płótnie, lub ryją na głazach.
Gdy pokonane Alpy Dawid pędzlem sławił,
Na białym koniu Gallów konsula wystawił.
Z téj strony pną się hufce przez śniegi i łomy,
Z drugiéj broni natura uzbrojona w gromy.
Już mu brzemienne chmury otaczają głowę,
Ryczą u stóp przepaści pochłonąć gotowe;
Wicher z pod kopyt konia granity wyrywa,
W nieładzie szata wodza i rumaka grzywa,
A on karcąc skinieniem przepaści i burze,
Zdaje się rozkazywać niebu i naturze. —
Lecz do jakiéj bądź sierści skłonisz się wyboru,
Więcéj szukaj przymiotów niżeli pozoru.
Na niedorosłą młodzież zwracaj pilne oko;
Gdy się stado na błoniu rozpierzchnie szeroko,
Śledź w niewinnych igraszkach przymiotów zarody,
Tém będzie wiek dojrzały, czém się wyda młody.
Źrebiec, w którego sercu krew szlachetna bije,
Jeszcze u piersi matki w górę nosi szyję,
Bystro stąpa; nad pokarm i trawy kwitnące,
Woli z rówiennikami gonitwy po łące;
Pierwszy niebezpieczeństwa szuka i pokona,
Nie wstrzymają go mosty, ni rzeka spieniona,
Lekką stopą przesadza okopy i płoty
I nie wraca, choć matka rży za nim z tęsknoty.
Inny tuli się do niéj, ssie odęte wymię,
I syty bok złożywszy na murawie drzymie.

Z różnych skłonności różne wywróżaj nadzieje:
Pierwszy wygra zakłady i wsławi turnieje,
Pójdzie na grzmiące śpiże, szeregi prześcignie,
Drugi z dojrzalszym wiekiem lepiéj ciężar dźwignie.
W trzecim roku ukrócisz chwil swobodnych obu,
Przy wonnych ziół pokarmie postawisz u żłobu,
Pomieszasz z owsem słomę w drobne ściętą ździebła,
Niech nawykną do brzęku wędzideł i zgrzebła.
Z początku srożyć będą, drżyć gniewem lub trwogą,
Chrapać rozdętem nozdrzem, kopać silną nogą,
A ty głaszcząc po karku, poklepując dłonią,
Sprawisz, że same głowę do uzdy nakłonią,
Ni się przed szklniącém kiełznem uchylą z odrazą
I miękką wargą twarde żuć będą żelazo. —
Wtedy wodze wypuścisz lub nieznacznie skrócisz,
I w zakreślonych szrankach trzykroć bieg nawrócisz.
Niech każdy białą pianą i kurzem okryty,
Kreśli okrąg po piasku lekkiemi kopyty.
Niech za ruchem twéj dłoni nabywa nauki,
Jak ma członki uginać, szyję łamać w łuki;
A czy go przeznaczenie i zdolność powoła,
Słyszeć brzęczący orczyk i warczące koła,
Czyli na gładkim grzbiecie ciężkie dźwignąć brzemię,
Kiedy go popręg zepnie, i obłechce strzemię,
Dosiadaj i nakłaniaj za pociągiem uzdy,
Sążnistym krokiem mierzyć zagony i bruzdy.
Wprzód stopą niż ostrogą naciskaj bok gładki,
By przeciął bieg tętniący na przerwy i spadki,
Lub w pędzie szybkiéj strzały silnemi kopyty
Nagle się w grunt zaorał, i stanął jak wryty;
Bo gdy mu kiełzno usta zrani lub zatwardzi,
Nie posłucha wędzidła, razami pogardzi;
Weźmie na kieł, kark zagnie i dziki w zapędzie,
Tam cię na szwank uniesie gdzie go szał nieść będzie.

Wzór Poezyi Lirycznéj.

I. Dział Opisowo-Liryczny.

1) Pieśni Opisowe.

Pieśń Świętojańska o Sobótce.

Jana Kochanowskiego.

Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcéj nie śpiewa:
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w czarnym lesie

Tam goście tam i domowi,
Sypali się ku ogniowi;
Bąki zaraz troje grały:
A sady się sprzeciwiały.

Siedli wszyscy na murawie,
Potém stało sześć par prawie,
Dziewek jednako ubranych,
I bylicą przepasanych.

Wszystkie śpiewać nauczone,
W tańcu także nie zganione:
Więc koleją zaczynały,
A pierwszéj tak począć dały.

I.

Siostry, ogień napalono,
I placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy,
A społem nie zaśpiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,
Broń wiatrów i nagłéj wody:
Dziś przyszedł czas, że na dworze
Mamy czekać rannéj zorze.

Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawżdy Sobótka polana.

Dzieci rady méj słuchajcie,
Ojcowski rząd zachowajcie:
Święto niechaj świętem będzie,
Tak bywało przedtém wszędzie.

Święta przedtém ludzie czcili,
A przedsię wszystko zrobili:
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracujem,
I dniom świętym nie folgujem:
Więc téż tylko zarabiamy,
Ale przedsię nic nie mamy.

Albo nas grady porażą,
Albo zbytnie ciepła każą,
Co rok słabsze urodzaje;
A zła drogość zatém wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,
Próżno bez Pańskiéj pomocy:
Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na tego my wszystko włóżmy,
A z sobą sami nie trwóżmy:
Wrócąc się i dobre lata,
Jeszcze nie tu koniec świata.

A teraz ten wieczór sławny,
Święćmy jako zwyczaj dawny:
Niecąc ogień do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.

II.

To moja największa wada,
Że tańcuję bardzo rada:
Powiedźcież mi me sąsiady,
Jest tu która bez téj wady?

Wszystkie mi się uśmiechacie,
Podobno ze mną trzymacie:
Postępujmyż tedy krokiem,
Aleć nie masz jako skokiem.

Skokiem taniec najsnadniejszy,
A tym jeszcze pochodniejszy,
Kiedy w bęben przybijają,
Same nogi prawie drgaią.

Teraz masz czas umieszli co,
Mój nadobny bębennico:
Wszystka tu wieś siedzi w koło,
A w pośrodku samo czoło.

Żeby też tu ta nie była,
Która twemu sercu miła:
Każeszli wieźyć, będziemy,
Aleć insze rozumiemy.

Pomóż oto dobréj rzeczy,
A nasz taniec miéj na pieczy:
Owa najdziesz i w tym rzędzie,
Coć za wszystkie płatna będzie.

Ja się nie umiem frasować,
Toż radzę drugim zachować:
Bo w trosce człowiek zgrzybieje,
Pierwéj niż się sam spodzieje.

Ale gdzie dobra myśl płuży,
Tam i zdrowie lepiéj służy:
A choć drugi zajdzie w lata,
I tak on ujdzie za swata.

Za mną, za mną piękne koło,
Opiewając mi wesoło:
A ty się czuj czyja koléj.
Nie maszli się wydać wołéj *).

III.

Gorące dni nastawają,
Suche role się padają,
Polny świerszcz, co głosu staje,
Gwałtownemu słońce łaje.

Już mdłe bydło szuka cienia,
I ciekącego strumienia:
I pasterze chodzą za niem,
Budzą lasy swojem graniem.

Żyto się w polu dostawa,
I swoją barwą znać dawa,
I już nie daleko żniwo;
Miéj się do sierpa co żywo.

Sierpa trzeba oziminie.
Kosa się zejdzie jarzynie,
A wy młodszy noście snopy,
Drudzy układajcie w kopy.

Gospodarzu nasz wybrany,
Ty masz mieć wieniec kłosiany:
Gdy w ostatek z boża zatnie
Krzywa kosa już ostatnie.

A kiedy z pola zbierzemy,
Tam dopiero odpoczniemy,
Dołożywszy z wierzchem broga:
Już więc dzieci jedno**) Boga.

W ten czas gościu bywaj u mnie:
Kiedy wszystko najdziesz wgumnie,
A jeźli ty rad odkładasz,
Mnie do siebie drogę zadasz.

IV.

Pracowite woły moje!
Przy tym lesie chłodne zdroje.
I łąka nie przepasiona,
Kosą nigdy nie sieczona.

*) Woli. **) Tylko.

Tu wasza dziś pasza będzie:
A ja mając oko wszędzie,
Będę nad wami siedziała,
I tymczasem kwiatki rwała.

Kwiatki barwy rozmaitéj,
Które na łubce obszytéj,
Usadzę w nadobne koło,
I włożę na swoje czoło.

Tak dziewka jako młodzieniec,
Nie proś mię nikt o mój wieniec:
Samam go swą ręką wiła,
Sama go będę nosiła.

Dałam wczora taki drugi,
Będzie mi go żal czas długi:
Bo mię zaraz pobrać dano,
Czego mi czynić nie miano.

Pracowite woły moje,
Wam płyną te chłodne zdroje:
Wam kwitnie łąka zielona,
Kosą nigdy nie sieczona.

V.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twéj chwale zdoła?
Kto twe czasy, kto pożytki,
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Człowiek w twéj pieczy uczciwie,
Bez wszelakiéj lichwy żywie:
Pobożne jego staranie,
I bezpieczne nabywanie.

Inszy się ciągną przy dworze,
Albo żeglują przez morze;
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżéj niż na piędzi.

Najdziesz kto wpłat*) język dawa,
A radę na funt przedawa.
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardła na to odważają.

Oracz pługiem zarznie w ziemię:
Stąd i siebie, i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek.

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają,
Nań przychodzi z owiec wełna,
I zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszystko nosi:
Skoro też siew odprawiemy,
Komin w koło obsiędziemy.

Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte,
Tam trefne pląsy z ukłony,
Tam cenar**), tam i goniony.

A gospodarz wziąwszy siatkę,
Idzie mrokiem na usadkę:
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawżdy co przyniesie.

W rzece na gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze:
A rozliczni ptacy wkoło,
Ozywają się wesoło.

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni:
A Faunowie skaczą leśni.

Za tem skrzętna gospodyni,
O wieczerzy pilność czyni,
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek.

*) Kto słowa przedaje. **) Gry miejscowe.

Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy,
Ona i spuszczać pomoże;
Męża wzmaga jako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszej głowie:

Wykną przestawać na małe,
Wstyd, i cnotę chować wcale.

Dzień tu: ale insze zorze,
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy i pożytki.

Cztéry pory roku.

Adama Naruszewicza.

Wiosna.

O jak wesołe nastały czasy!
W śliczną się barwę przybrały lasy;
Słońce się coraz wyżéj pomyka,
Ledwo śnieg widać, lecz i ten znika.

Szumny Akwilon skrzydły mroźnemi
Gdzieś do Lapońskiej zaleciał ziemi;
A lekki Zefir na lekkich cugach,
Po rozłożystych sieje kwiat smugach.

Słodki szum czynią, gdy wiatr powiewa,
Papużym liściem ozdobne drzewa;
Gdziekolwiek pójdziesz, wiosenne dzwonki,
Kwilą piskliwym głosem skowronki.

Tu wełnonośnych owiec drużyna
Młodziuchne trawy ząbkami ścina;
Owdzie z wiernemi u nóg ogary
Nadyma pasterz huczne fujary.

Wisła okowy zdarłszy warowne,
Pędzi do morza statki ładowne.
Czeka gospodarz, by mu za żyto
Hollender złotą brząknął kalitą.

Dalej do pługów uprawiać ziemię,
Dalej do wołów, robocze plemię!
Gdy nie zasiajem za dobréj chwili,
Przez całą zimę będziem pościli.

Lato.

Patrz, jak na środek wzbiwszy się nieba,
Ogniem tchną żywym rumaki Feba:
Trudno się ukryć, gdzieby upały
Okrutne z góry nie dosięgały.

Pełne wód przedtém płynących rączo
Ledwo się miałkiém dnem rzeki sączą;
A gdzie koń bystry ledwo w pław chodził,
Widziałem, jako lada pies brodził.

Smutne kwiateczki ze mdłemi ziołki
Zwiędłe ku ziemi chylą wierzchołki,
Czekając, rychło z różanéj dłoni
Perłowéj rosy Hesper[1]) uroni.

Zemdlony żniwiarz upałem srogiém
Dysze w południe leżąc pod brogiem.

1) Wieczór.

Zamilkły wdzięczne ptasząt okrzyki,
Tylko się w chróstach swarzą koniki.

Często skopcone mglistemi kiry,
Ciska grad niebo, i ogień szczery,
Dnia za chmurami nie widać we dnie,
Wszystko od trwogi stworzenie blednie.

A ja pod moim słomianym dachem,
Starym się wesół posilam Bachem.
Niechaj się niebo, jako chce, sroży.
Czystego serca nic nie zatrwoży.

Jesień.

Minęły słońca letniego skwary
Łaskawa jesień dzieli swe dary:
Gdziekolwiek tylko wzrok się mój toczy,
Jest czém ucieszyć i napaść oczy.

Ciągną na wozach ogromne woły
Snopki, któremi rwą się stodoły:
Wesołe dziewki, raźni młodzieńce
Niosą, śpiewając, do dworu wieńce.

Nie dba na żądła brzmiącéj chałastry
Chłop, podcinając z kanaru[1]) plastry;
A w spore beczki i duże kadzie
Wdzięczny pijakom prowiant kładzie.

Rozlicznych wetów moc niezliczona
Łamie ciężarem drzewom ramiona.
Żaden nie sięga, żaden nie szczypie:
Sam dobrowolnie owoc się sypie.

Masz, gospodarzu, zapłatę za to,
Żeś przepracował wiosnę i lato;
Ciesz się z czeladką: a kto próżnuje,
Niech głodny gardziel piaskiem ładuje.

Zima.

Rozkoszna chwilo jesiennéj pory,
Którą bieg czasu już porwał skory,
O ktoby mi dał skrzydła tak lotne
Bym mógł twe cofnąć cugi niewrotne.

Jako spuszczony z tęgiéj cięciwy
Do celu pocisk leci pierzchliwy;
Tak, co mię cieszył wdzięcznym widokiem,
Niedoścignionym zniknął czas krokiem.

Od północnego ostry Boota[2])
Gwiżdże wiatr w uszy, i śniegi miota.
Ledwo w południe ciepło Tytana[3])
Czuć, który w lecie ogniem tchnął z rana.

Rącze kryształów wodnych woźniki[4])
Noszą na grzbietach ładowne bryki;
Umilkł gwar miłych ptasząt pieszczony,
Same po dachach wrzask czynią wrony.

Lecz mię to przecie nie tak dolega
Że śliczna pora od nas odbiega
Nadejdzie znowu, jak miną lody,
Czas; co osypie kwieciem ogrody:

1) Z cukru, który na wyspach kanaryjskich najprzód robić poczęto. 2) Bootes czyli Arktophylax, gwiazda blisko konstellacyi niedźwiedziem zwanej, od północy. 3) Feba, słońca, 4) Rzeki.

Ale na ciebie, nędzny człowiecze,
Gdy się starości zima przywlecze,
Zetnie krew w żyłach, nabawi szronu;
Nie spędzisz śniegu z włosów do zgonu.

Pieśń o Ziemi naszéj.

(W skróceniu.)

A czy znasz ty bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów.

A czy znasz ty bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty bracie młody.
Twojéj ziemi bujne płody.
Twe kurhany i mogiły,
I twe dzieje, co się ćmiły?

A czy wiesz ty, co w nich leży?
O nie zawsze, o nie wszędzie,
Młody orle tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W któréj stronie walczyć będziesz,
I od czyjéj broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda:
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzyć z góry na twe ziemie,
I rodzinne twoje plemie....

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piasczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Nieba bledsze, trawy rzedsze,
Rojsły grząskie, groble wązkie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie. —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy,
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina! —

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera,
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwirze socha świszcze,
A za drogą, gdzieś w postronne,
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to Litwinie? —
Ale Litwin nie wygada!
Bo w téj duszy hart nie lada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk topnie;
Ale gdy go kto zahaczy:
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie! —

Choć kraj jego nie bogaty,
Radzi sobie bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty:
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie

I dobytek w dom gromadzi,
I „o jutrze" wiecznie radzi.

To też znajdziesz w każdéj porze
Wbród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce,
Jest w serniku sér na półce.
Wiszą kumpie i wędliny,
I półgęski i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby;
Z siatki pachną leśne grzyby.
A kwas czysty miasto wody;
W lochu stoją białe miody,
Wódki starki i nalewki
I rok cały lód przeleży. —
A już w świrnie wiszą wianki
I rozliczne przyodziewki;
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży.
W kubli stoi ów miód święty,
A do koła włok rozpięty...

Nócąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie u komina
Prządzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowéj
Toczy kołem wąż domowy.
Krosna stoją w małém oknie,
I czołenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną, jak uroda,
A wiek schodzi niby woda...

Niby w ciężkiém zadumaniu
O przeszłości czy kochaniu,
Stoją niemo czarne puszcze;
I rozlały się jeziora...
A po toniach ryba pluszcze,
A na niebie stoi gora:
Puszcze płoną gdzieś zdaleka,
I w zaścianku pies gdzieś szczeka,
A za głosem z tokowiska,
Czesze gęstwią leśnik śmiały,
Przez jelniki i zawały,
Do rodziny i ogniska.

Jak lud żyje po bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem;
Na zaściankach po staremu
Czas jéj duszy nie wykrzywił,
Nikt cię państwem nie oparzy,
A gdy w Litwie pan się zdarzy,
To pan sobie, jak Radziwiłł!

Bracia szlachta powiernicy,
Leśnych włości współdziedzicy,
W niebielonych siedzą dworach;
Tamto koléj do sąsiada,
I z wielebnym ojcem rada:
O sejmikach, o wyborach,
Jaka komu padnie gałka,
Kogo wynieść na marszałka?

Lud nie darmo to myśliwy,
I skąpany w jezior łonie!
Bo głęboki, jak wód tonie,
A jak łono puszcz, stróżliwy! —
W puszczy też go widzieć warto,
Z strzelbą w ręku, lub na łodzi;
Jak mu lekko i otwarto,
Jak strzał trafia, wiosło chodzi,
Jak zna dobrze wagę zwierza,
Wszystkie knieje i ostępy;
Kędy jaka rzeka zmierza,
Gdzie mielizny, rappy, kępy!
To też wodą, czy na ledzie,
Całą Litwą cię przywiedzie.

Póki taje, jechać zdradno;
Lecz gdy w puszczach przyschną brody,
Gdy rzekami kry opadną,
I powtórne niskie wody:
Lądem, wodą, jadą, płyną,
Telegami i wiciną,
Do Mitawy, do Lipawy,
A Wiliją, Niemnem, Dźwiną,
I do Tylży i do Rygi,
Z kupią swoją na wyścigi.
Stamtąd Niemce i najemce,

Za dalekie pławią morza,
Maszty, klepki, runo owiec,
I nie jednę beczkę zboża,
I nie jeden lnu bierkowiec:
Litewskiemi sycąc płody,
Zamorskiego ludu głody...
Jak za morzem Litwa spławna
Z puszcz odwiecznych w świecie sławna;
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to święta! Ziemia Boża!
Na pół leśne jéj obszary,
A na poły strojne w zboża;
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary:
Bo lud wierny w ziemi żyznéj
I nie skąpo téj ojczyzny! —
Od tych prądów świętéj rzeki,
Aż po morza brzeg daleki
I Łotyszów płone ziemie
Siadło twarde Żmudzkie plemie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty,
I wysokie dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Ponad drogą krzyżów pełno,
I kapliczek tuż przy domu:
Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu,
I zażywny i niemarny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny i nabożny;
Jednéj krwi z tym swoim panem,
Jednéj wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie rozrzutny, ani butny:
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wiedzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpuście „świętéj Żmudzi!"
Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny zrazu;

Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu;
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
Piersi jękną z tajnéj głębi,
Zamiar padnie, niby w studnie,
Lecz czas krwi téj nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłódnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

A gdy Żmudź ci przyjdzie rzucić,
Nazad Litwą znowu wrócić,
To przed Pińską opatrz drogą
Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką:
Bo w pustynię wjedziesz wielką,
W ziemię dżdżystą i ubogą.
Droga pójdzie ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie,
A kraj nudny niby słota!

Ani ruchu, ani duchu,
Woda stoi, wiatr nie wieje;
Lud po puszczach mało sieje,
Jedno się lasem zabawia:
Dziegieć pali, drzewo spławia,
Drze dranice, gnie obody,
I nałożon jest do wody,
Jak tych bobrów leśne plemie,
Co z nim na spół trzyma ziemie.

Mnóstwo jeziór, rzek niemało
Po kotlinach się rozlało;
Miasto trawy, rokiciny,
Miasto bydła, huk zwierzyny.

Lud też strzelcem, póki lody;
Lecz gdy z wiosną ruszą wody,
A po puszczach wzbiorą biały:
To pod wodą jest kraj cały.
A bezpieczen lud na łodzi
Pływa wszystek śród powodzi.

Gdy wyniesiesz z Pińskiéj drogi
Z ludźmi twymi całe ziobra,
A z furmanką całe nogi;
Podróż była bardzo dobra!
Lecz pamiętaj gałąź choją,
Po za bryką zatknąć swoją,
Gdy się będziesz na Ruś wdzierać;
Pamiętaj się nie obzierać.
By ci czego bies nie wlepił,
I za bryką nie uczepił!
A gdy wjedziesz w Ruś pasznistą,
Równą, suchą, nielesistą,
W lada którém ruskiém siole
Krasawice stojąc w kole
„Z puszczy jadą!" wołać będą —
I z hałasem wóz obsiędą,
I rozerwą gałąź choją,
I do Cerkwi się przystroją.

Gdy przypomnisz wówczas sobie,
Owe puszcze, patrząc krajem,
Mrówie pójdzie aż po tobie,
A Ruś ci się wyda rajem!

Kędy wóz twój, bracie, wbiegnie
Na szerokie czarne drogi,
Tam przed tobą Wołyń legnie,
I zapomnisz kraj ubogi.

W lewo spłyną czarne role
Ukrainy bujne leże:
Na wprost, aż po Dniestr, Podole;
A wzdłuż Dniestru, Pobereże.

Tam już dostać wody zdrowéj,
Tam krynice i dąbrowy,
I brzozowe czyste gaje,
A pług czarną ziemię kraje.

Z wolna wznoszą się kopanie,
Rzeki śmielsze nurty wiodą,
I tam, kędy łan nadstanie,
Ciągną stawy się za wodą.
Czajki wrzeszczą nad błotami,

Bocian stoi nad żabieńcem,
A rybitwy krążą wieńcem,
Ponad groblą i wodami...

Jeżliś bracie jest myśliwy,
Na Wołyńskie zajedź stawy:
Boś nie słyszał takiéj wrzawy
Dzikich ptaków jakoś żywy.
Podsuń czółnem pod szuwary,
Bo pocieszne ptasze rady,
Tamto sejmy, tamto gwary,
I zaloty i biesiady!
Słysząc krzyki i gwar dziki,
Patrząc na te ptasze zwady,
Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptaszéj wrzawie,
Iż przepomni człek o świecie;
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
Że człek ptakiem sam nie żyje,
Takie szczęsne te bestyje!

Pełny oddech ma tam życie,
I wszystkiego w bród obficie:
Ryb i zboża i świniny,
Bydła, koni i zwierzyny,
I konopi, pszczół i miodu,
I niemało też narodu!

Tam, ku górom miodoborskim
Coraz wyżéj kraj się wznosi;
Milę jedziesz łanem dworskim,
Ziemia z datkiem aż się prosi!
Lecz człek pracy nie podoła:
Bo choć duże, długie sioła,
Więcéj ziemi, więcéj trudu,
Niż jest szczęścia, niż jest ludu.
Smutna bywa ludu dola,
Bo pan twardy i niewola;
Nie pocieszyć się tém dobrem,
Kędy praca lezie ziobrem.
Otóż kiedy łan obsiewa,
Smutne dumy lud tam śpiewa,
I śród wioski niegrodzonéj
W wiecznéj żyje on tęsknicy...
Ruskie kawki i gawrony,

Gwarzą tłumnie na dzwonnicy;
Przy niéj stoi dąb odwieczny
Jak śród ludu kniaź bezpieczny.

Na nim kożuch lśni barani,
Albo świta doma bita,
Rzemień suty i bót kuty,
A bekiesza z sukna na niéj.
A na dziewce wieniec z ruty.
I naówczas wzdłuż krainy
Drzemią łęgi i caryny...
Lecz w dzień budny w polu głośno
I hukanie grzmi donośno.
A gdy cichnie nad wieczorem,
Ścielą mgły się ponad borem;
Z pasowiska wraca stado,
Żuraw skrzypi u krynicy,
A koniuchy na noc jadą;
A ostatni blask wieczoru
Złoci białe szczyty dworu
I potrójny krzyż cerkwicy...

Wówczas starzy się gromadzą,
I o swoim statku radzą
Przy kieliszku w karczmie kumy.
Na potulne wieczornice,
Ciągną z śmiechem krasawice,
Stare, ruskie piejąc dumy. —
I matula świeci doma,
Choć już północ kur ogłosi;
A donieczka, choć się sroma,
Choć się sroma, chłopców prosi,
Aby nie iść do dom saméj:
Bo się różnie ludziom zdarza
Na przełazie u cmentarza,
I u dworskiéj, pańskiéj bramy.

Tyle też to szczęścia, tyle,
Co te nocne dadzą chwile!
Bo o świcie, krwawe życie!
Niema kumy, niema swata,
Nie usłyszy nikt już śpiewki.

Gdy ataman zakołata:
„Hej do dwora!"—Nieprzelewki!

Bo tam, kiedy dwór — to wielki!
Kiedy posłuch — to już wszelki!
Kiedy liczą — to miliony!
Kiedy jedzą — to łakotki!
Kiedy biją — to na sotki!
Kiedy pan — to urodzony
Pewno z księcia, albo z króla!
W domu jego dworno, szumno,
A tak straszna jego wola,
Że nieposłuch chłopu trumną!

Tysiąc pługów na obszarze
Orze zagon, gdy pan każe;
I po dawnym tam zwyczaju,
Brzęczy złoto przy tokaju.
Koń arabski rży przy żłobie,
Służba panu szczerość kłamie,
A o głodzie, i po dobie,
Drży przy koniu kozak w bramie.

Gdy przybędziesz tam nieznany,
Pan cię dumnem okiem zbada
Sam zamorską mową gada,
A zbłazeńska dwór ubrany.
Na to tylko w dom cię prosi,
By cię dumą upokorzył,
Bo łaskawie ledwo znosi,
Że i ciebie Pan Bóg stworzył......
Choć cię w świecie brano w kle-
szcze,
Choć wyszedłeś już z językiem,
— Jak to mówią — ze szkół je-
szcze,
A z żołnierki szczwanym ćwikiem:
Nie znasz, z czego począć mowę,
Kiedy w taki dom przybędziesz —
Choć do kogo się przysiędziesz—
Takie wszystko czcze, jałowe,
Nieużyte, zimne, twarde,
Takie nudne, takie harde,
Jakby nigdy nie słyszeli
Polskiéj mowy, brzęku struny;
Nigdy serca nie ujęli,
A w tém sercu krwi czerwonéj!

Jednak — jeźli chcesz z pociechą
Kraj opuścić, to patrz bracie,
Kędy dom pod niższą strzechą,
Tam przyjęcie czeka na cię.
Tam młódź rzeska i świat inny.
Umysł prawy i niewinny.
Tam się jeszcze tylko chowa
Serce polskie i myśl zdrowa,
A zacisznie i w kąciku
I w pomiernym tym staniku...

Gdy wołyńskie łany rzucisz,
I na wschód twe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznéj Ukrainie.
Tamto konie, tamto charty,
Step rozległy, świat otwarty!

Wóz twój biegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza;
I krew raźniéj ruszy w żyłach,
I koń czujniéj strzygnie uchem;
Drogę swoję po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny'
Jak na czatach błysk oszczepu —
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu!

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...

Hej ku morzu ku Czarnemu,
Ku Limanu szerokiemu,
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Lawrze! Sława Bogu!
Hulaj koniu po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Szumi woda porochami,
Od porochów sokoł leci,
Wicher wyje mogiłami,

Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem lis pomyka.
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną mury przez czachary,
I krynica bije na dnie...
A tu czesze stepem, borem,
Z listem Kozak, gdzie pan każe;
I czumackie ciągną maże
Od Limanów w świat taborem;
Po rozdrożach czort je wodzi
I tumany nocne płodzi...

Po nad Dnieprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijów stary:
Tam złocone mónastery,
A w nich czerńce staro-wiery;
A gościńcem do Kijowa
Płyną maże z miodem, z zbożem;
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.
Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach, za sadami,
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica;
A mołojec każdy wojec,
Raźny, harny a od lica!
W sercu śmiałem, w żyłach zdro-
wych
Bije dotąd krew koszowych;
A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśni żyje;
Jak stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...
A po dworach pusta służba,
I koń czerkies, Kozak drużba;
I poszyto i obuto,
Nie wymyślnie ale suto!

Tu języka Lach nie zbłaźni,
Jak przed wiekiem nieodrodny;
Stały w gniewie i w przyjaźni

I zuchwały i dorodny;
Niezwykł w księgach łamać głowy,
Ale z serca idą mowy,
Chwat po prostu! lubi konie,
Węgrzyn stary, krymskie burki,
Charty, łowy, jasne bronie,
I bekieszki i lisiurki.
W męzkiém ciele serce prawe,
W prostéj głowie rozum zdrowy;
A za dobrą jaką sprawę
Zawsze życie dać gotowy.
Bo tak ojciec i dziad czynił,
Więc i syn i wnuk się kusi:
Niechaj padnie, co paść musi,
Byle człek się nie obwinił...

Jasne słońce nad Podolem!
Po parowach kraj się zboczył;
Wielkim łukiem, czy półkolem
Dniestr ku morzu się zatoczył..,

Jarem, jarem za towarem;
Obłogami za wołami,
Manowcami za owcami —
Pobereżem na Podole,
A w Podolu jak w stodole!

Jak zalegly ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zjedź świat cały, przepłyń morze,
Nie ma kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie...

Tu kraj cały jednym łanem,
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem;
A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!

Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie, Boga chwali!

Kilkoletnie sterty, brogi
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone, na obszarze —
I na polu skot w koszarze,
Co zabiela dniem rozłogi.
A kot bywa szerści siwéj.
A koń bywa gęstéj grzywy,
Nóg żelaznych, twardéj skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Za okopem, lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto mymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska istne mury,
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,
Na łotokach szumi woda,
A staw czysty, jak zwierciadło!
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum nastanie,
Jakbyś był na stepie znowu,
Równo, cicho, znów na łanie...

Cicho — jednak niby ludno;
Wszędy zboża: wszędy krzyże,
Konik polny piosnką strzyże,
O mogiłę też nie trudno,..

Kłosy płyną w lekkiéj fali,
A gdzieś widne w sinéj dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne...

A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto biało odzian,
Jak dąb młody rzeski młodzian,
A dzieweczka — jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zlecą Bogu.

Stary zwyczaj — dobre plemie—
Człek po Bogu — chleb po ziemie—
Wszystko zgodne — wszystko wcale —
Lecz i tutaj „nie bez ale!"

Bo śród Bożéj téj krainy,
W tło narodu ćma się wprzęgła.
Co z klęsk kraju się wylęgła —
Czeladź podła, wszemu krzywa;
Która wierzchem ludu pływa,
Jak nieczyste szumowiny!

Chroń się, bracie, ich widoku,
Bo nie miło cię poruszy,
Co u ciebie w sercu, w oku,
Nie postało to w ich duszy!
Lecz raz jeszcze potocz okiem,
Po tych łąkach, po tych łanach,
I po stawie, po szerokim,
I po złotych tych basztanach;
A wypiwszy strzemiennego,
Starym miodem lub wiszniakiem
Z rąk człowieka poczciwego,
Jedź na zachód bitym szlakiem,
Bo od tych to niw, kurhanu,
Aż do Bugu, aż do Sanu,
Leży czarno wyorana,
Ruś czerwona, Ruś hreczana!

A od ruskich rzek wybrzeży,
Aż po Tatrów pierś jałową,
Po dziedzinę krakusową,
Tam po Odrę, po Żuławy,
Stara ziemia Piasta leży;

I lud gnieździ staréj sławy,
A w pośrodku Wisła bieży!

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiéj ziemi do dnia
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica.

Każda skała z tobą gada;
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżéj, wyżéj jeszcze,
Pływa sobie orle wieszcze.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku,
I dokoła okiem błyśnie:
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy,
I węgierskich gór winnice.....

Czeladź górska też niepodła:
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki,
Wiecznie niby młody młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany,
A sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,

Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy, niż lud w dołach.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi;
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy, jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha;
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy, —
Stary Baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi,
Każdy potok i manowiec.

A od gór tych, aż po morza,
Legła ziemia sławna z zboża,
Z wiary, z męztwa, z gościnności,
I z nieładu i z wolności!
Wielka krzywdą i cierpieniem,
Święta, krwi tej poświęceniem!

Bóg, choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodrą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszic prawi:
„Dał mu chleba i stal twardą,
„Złota, srebra, jedno w miarę!
Serce czułe — duszę hardą —
Miękką wolę — silną wiarę —
Kraj otwarty — miłość kraju —
Złych sąsiadów — ramie silne —
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomylne!

To też ludzie tam najszczersi!
Tamto polski świat ochoczy,
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.
Tamto dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka, tylko śpiewki,
Stare baby wygadane,
A wesołe i rumiane
U matusi rosną dziewki.

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda —
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią,
I na „Anioł Pański" dzwonią,
A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem....

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niéj żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń puścizna:
Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara;
A lud jednéj krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!

Po kościołach chwała Boska,
Na odpustach naród płynie
I cudowna Częstochowska
Jak szeroka Polska słynie!
Réj na godach drużba wiedzie,
A z weselem kulik jedzie!
Tamto druchny, śpiew miluchny,
I gospodarz gościom rady;
Tamto tany, a biesiady!
A gosposie takie wdzięczne,
Takie lube i urocze,

I w przyjęciu takie zręczne,
Iż, gdy która cię powita,
Z mazowiecka zaszczebiocze
I ogości i opyta:
To aż serce żałość chwyta. —
Taka to tam szczera mowa,
Tak serdeczne proste słowa!

Póki zgodnie, póty zgodnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzempolą raźno grajki,
Nie policzy kółek w pasie,
Gdy go wezmą na kiłajki!
Tam nie żarty, bójka sroga;
Pod razami trzeszczą kości.
A kosterę wiedzie droga
Suchym lasem do wieczności!

Bo to lud co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już zmudnie,
I co robi, to już robi
Z całéj duszy nieobłudnie!

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobréj wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą!
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz nie bardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromadą,
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na obżynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem, pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki,
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głową!

A przy szklance, pogadance,
Jeźli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu:
Toś mu zabrał duszę całą!
To i we łzach się rozpłynie,
I przebaczy, lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

Choć to swoje, człek się kusi,
I pochwalić, co się godzi:
Nie zła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzie rodzi!

Częste, gęste, piaski, laski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem,
I dołoży silnéj ręki,
To nie darmo się i znoim:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyną te pszenice,
I za morzem ziemie maskie;
Sandomierskie i Kujawskie
I Proszowskie okolice! —

Choć im jedna świeci zorza,
Jednak różne znajdziesz kraje;
Lecz po dworach, aż po morza,
Wszędzie jedne obyczaje;
W stajni konik domorosły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły,
A cnota domowa!

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne ławy w ganku,
Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne burki,
I wyprawne pękiem skórki.
Drzwi na oścież — a w pokoju
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany,
Dzban cynowy do napoju,
A na ścianach antenaty,
A na półkach srebrne blaty.

Jak dzień Boży, szum na sali,
A z tej sali, coraz dalej
W lewo, w prawo, jasne, ciemne,
Opuszczone i przyjemne,
Jawne, strojne i ukryte,
I bielone i obite,
Zakomórki i kąciki,
I pokoje, pokoiki,
I sioneczki, narożniki!

To dla Pana, dla Jejmości,
To dla Panien, to dla gości,
Dla Paniczów, pokojowych,
To dla Panien respektowych.

Co tam schowku, co tam sprzętów,
Dworskiej służby, rezydentów!
A dopieroż spojrzeć w koło,
Po układzie tym pokojem,
Jak tam dziwnie i wesoło,
Jak tam każde swoim strojem,
W swém gniazdeczku się sadowi:
Któż to wszystko wam opowie?!—

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nie ludno.
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył,
Dom nie wielki: wtem gość wchodzi;
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu;
Zda się, że pan domu sobie,
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie,
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź, syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban nie pusty.
Jest czém serce rozweselić,
Jest się wszystkiém czém obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla „Zagórskich Panów!"

Lecz gdy rzucisz stoły hojne,
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne....
Przed świętemi lampa płonie.
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie
Po nad łożem karabela. . . .

Gdy zawcześnie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada,
Do mariasza przy kominku!

I Jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu Jejmość zdaje...

Wszystko cicho — nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie,
Albo kotki załopocą,
Lub Panienki zachichocą...

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczery, tam poczci-
wość,
Tam po Bogu dusza młoda!
Boć to w cnocie i szczerocie,
W wiejskim domku uchowane,
Wypieszczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne, jak trusiątka!
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje...

Gdy wesołe, istne trzpiotki,
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna:

Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie
Choć człek duszy jej nie zbadał
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wyspowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije:
To cię dojmie tak do żywa,
Iż to cudne, cudne dziwa,
Że się serce nie rozpłynie,
Że od szczęścia człek nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskiém dzieckiem, czy z anio-
łem.

Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i łez nie szkoda,
Boć raz w życiu to kochanie.
A jak ci się która poda,
Z całej duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyziębi:
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga z głębi,
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciedle się odbije,
Bo w tem łonie przyszłość żyje!

Pieśń o Domu Naszym.

(W skróceniu.)

Ducha karmę — niebios rosę
Komuż sercem złożyć? — komu? —
A czy wiecie, co Wam niosę? —
Dziś Wam niosę „Pieśń o Domu."

Pieśń o starym domu naszym,
O Piastowym domu laszym
Co na roli Ojców stoi,
Z lat tysiąca w Ziemi twojej.

Więc przyjdź do mnie bracie młody,
Bo na wielkie spraszam gody,

Do wielkiego dziadów stołu —
I odprawim je pospołu.

Dzisiaj moi towarzysze
Ja wam Polski dom opiszę:
Jego skarby i nadzieje —
Jego węgły i koleje.

Czego woda nie zabierze,
Czego ogień wam nie spali,
Co nie odciąć ostrzem stali,
To ten dom Wasz w Panu strzeże.

Więc ni z drzewa, ani z cegły
Dom ten stawił wiek ubiegły:
Duch to Polski budowniczym —
To nie zburzyć domu niczém!

Ni powodzią, ni pożarem,
Ani mieczem, ni rozbojem:
Bóg zamieszkał w domu starym —
Duch zamieszkał w domu twoim.

A dla Wiary i dla ducha
W ziemi dziadów śmierci niéma:
Choć rwie wieków zawierucha,
Dom się w węgłach swoich trzyma

I dostoi — i przestoi
Wszystkie burze, wszystkie złości —
Bo krew dziadów we krwi twojéj,
A kość żyje w twojéj kości.

* * *

Znasz ty Boga na niebiesiech —
A Ojczyznę znasz po Bogu?
Lud po dołach i po lesiech —
I pług Piastów na rozłogu?

I czy znasz ty bracie młody
Te spienione górskie wody,
Z tym oddechem — z tym uśmiechem,
Jakim Bóg je tylko darzy
I o których serce marzy?

Jeźliś miłość pił u zdroju
Rajskich oczu — a w przyjaźni
Poznał człeka — a lud w boju;
A skarb duszy w wyobraźni;

Jeźliś kochał, walczył, wierzył,
Poznał prawdę — stwierdził w czynach;
Przebrnął morze — świat przemierzył,
Poznaj jeszcze łódź w Pieninach.

Jak cudowna modra żmija
Hen! Dunajec się przewija;
Jak odwieczne grają dumy,
Tak tam szumią jego szumy.

Jak dwa mury, w pion dwie skały:
W górze Niebo — w dole woda —
Łódka szybka jak myśl młoda;
A na łódce sternik śmiały.

Stara Orłów to dziedzina:
Tutaj Czorsztyn, — tam Niedzica —
Nowotargska hen! dolina —
Nad Tatrami łyskawica.

A tu stoi łódź u brzegu;
Góral wita Cię z uśmiechem —
Nie myśl długo — skocz z pośpiechem
I płyń, bo już łódka w biegu.

Gdy Cię chwycą modre tonie
I na przepaść łódką zbieży,
Silniéj drgnie Ci serce w łonie,
Mocniéj dusza twa uwierzy:
W skarby ziemi, w skarby nieba,
W siebie, w Boga i człowieka —
I uczujesz, że potrzeba
Wierzyć, kochać było z wieka
Ziemię — Boga — i człowieka.

Modre tonie i kipiele
Gdy zagrają w koło Ciebie.
Tak Ci porwą duszę śmiele,
Jakbyś skrzydła miał, i w Niebie
Miał się oprzeć na téj łodzi;

Jakbyś w chmury z tej powodzi
Miał wylecić z łódką społem,
Nie żeglarzem — lecz Aniołem.

Skarby chowa ziemia lacka
I piękności co Bóg stworzył;
Dziwnie cudne ziemskie cacka
Dał nam Pan Bóg — abyś ożył
Wielkim duchem w Ojców ziemi
I szedł torem za lepszemi. —
Więc gdy wdziękiem ziemia wita,
O skarb ducha Bóg zapyta.

Skarby ducha leżą w grobie:
Więc skarb z grobów dobyć tobie
Trzeba młody przyjacielu. —
Jeźliś poznał pieśń natury
Na Dunajcu w onéj łodzi,
To pieśń dziejów na Wawelu
Poznać Ci się jeszcze godzi;
Bo gra pieśnią grób ponury
Duszy naszéj taka wielką,
Że jest matką Rodzicielką
Wielkiéj sprawy i ofiary,
I zaklęciem w ziemi staréj.

* * *

Znasz ty Wiary tajemnicę
I wieczności raj przeczuty? —
I Miłości rajskie lice
I Nadziei święte nóty?

Na dno życia! — na dno duchem!
W głębi prawda niby w grobie;
Czego nie wziąść okiem, uchem,
To odszukasz tylko w sobie!

Na dno życia! — na dnie waga,
Na dnie tylko prawda naga;
I świat uczuć rwie się z głębi,
Kiedy w sercu krew zakłębi! —

Na dno życia! — kto wypłynąć
Chce wraz z ludem z tej powodzi,

Ten jak w grobie musi zginąć,
Nim się w duchu znów odrodzi.

Na dno życia! — bo skonania
Prawda znana tylko w Niebie:
Kto nie dobył Boga z siebie,
Temu niéma zmartwychwstania!

Na dno życia! — kto chce z Bogiem!
Przetrwać wiernie czas żałoby.
Grób — wieczności świętym progiem:
A czy znasz ty Polskie groby?

* * *

Pójdź na Wawel! — z wolą Bożą,
Choć w pierwospach miasto leży
I dzwon północ bije z wieży,
Nam się wszystkie drzwi otworzą.

Jak z wyższego nakazania,
Na zaklęcie zmartwychwstania,
Polskich grobów sklepy jękną
I te wieka trumien pękną.

Tutaj uderz naprzód czołem,
Przed grobami i kościołem:
Lud co żywi, broni, wierzy,
We łzach tutaj krzyżem leży.

A tu przyłóż teraz ucho —
Czy rozumiesz, czy pojmujesz,
Jak tam w Polskim grobie głucho —
I marmuru chłód czy czujesz?

Co zamarło w ciele skrzepłem,
Musisz duchem twym odtworzyć;
A i serca twego ciepłem
Ukochane musi ożyć.

A więc słuchaj, co Ci powiem:
Jeźli dziejów masz żyć zdrowiem,
Winy trzeba szukać w sobie —
Prawdy w Wierze — życia w grobie. —

Innych skarbów w duszy niema:
Ah! i tylko tyle trzyma,
Co za siebie człowiek streści!
Bo i któż Ci duszo młoda,
Któż Ci skarby ducha poda
I te wielkie z Nieba wieści?
Kto Cię patrzeć, czuć, naucze
I podsłuchać głos téj ziemi?
Kto Ci wielkie poda klucze;
Abyś duchem wielu ożył,
I przybytku drzwi otworzył,
I w nim stanął z Wybranemi?

Jest w podaniu tajemnica,
By ten żywot przysposobić
Dla rycerza i dziedzica,
Co tych skarbów ma się dobić. —
Znaj podanie twego rodu,
Wielkie dzieje twojéj ziemi;
W dziejach świata prąd Narodu,
Sojusz dziadów ze Świętemi!
A wyniesiesz — i z pogromu
To, co wynieść z ziemi trzeba:
Zrąb polskiego twego domu;
A dla domu łaskę Nieba!

* * *

Puśćmy Synu się po kraju,
Na te sioła i dziedziny —
I poczyńmy oględziny,
W jakim żyją obyczaju,
Za kopcami i za miedzą,
Ci co zdawna w ziemi siedzą?

Bo masz usiąść w domu Twoim,
Za ich wzorem, za ich strojem,
I wziąść w polu — i wziąść w lesie,
Co obyczaj ziemi niesie:

I wziąść z chaty i ze dworu,
Z puszczy ciemnéj i z futoru,
To, co wszystkim wspólne z rodu,
Z czego idzie wszystek wątek;

To masz przyjąć od Narodu
Obyczaje na początek.

Patrz! tu stara mszysta strzecha:
Dąb odwieczny ją ocienia —
To tu będzie i pociecha!
Bo co miłe jest z wejrzenia,
To i czyste w sercu bywa. —
Gospodarza głowa siwa:
Coś zadumał się głęboko,
I jak Piast na przyspie siedzi:
Znać gdzieś w przyszłość puścił oko,
Lecz nie znalazł odpowiedzi . . . .

Tutaj synu rzeknij w progu:
Pochwalony! — Sława Bogu! —
Na te słowa — patrz, powstaje
I gościowi cześć oddaje,
I do chaty go prowadzi,
I za wielkim stołem sadzi:
Bo gdyś w Bogu go pozdrowił,
Toś przymierze ziemi znowił;
I po Piaście dom stateczny
Wita gościa już bezpieczny. —

Chata roić się poczyna:
Ojciec zleca gościom Syna,
Matka Córy — i nakrycie
Na stół daje — by przybycie
Gościa pocześć bo „gość w domu,
To Bóg w domu" — taka wiara,
Gdzie pod dębem chata stara.

Na kominek znieśli łomu;
Wszystko krząta się w popłochu:
Piast się spuszcza sam do lochu.
Zanim wróci miły bracie,
Rzućmy okiem po téj chacie.

Lampa płonie u siostrzenia,
Przed obrazem Matki Boskiéj —
I jéj światło rozpromienia
Dzieje domu, dzieje wioski.
Przy obrazie wota wiszą
Jest i palma i gromnica;

Bo pokoju palma znamię —
A wieczysta łask krynica
Kruszy strzały, gromy łamie.
Przed obrazem jest ołtarzyk —
Karawaka na nim leży;
Ewangielia, kalendarzyk,
I książeczka od pacierzy.
Niżéj nieco kropielnica;
A do koła wonne wianki:
Z siatki dziane są firanki —
I przybytkiem jest świetlica! —
Stół się okrył darem Bożym:
Piast przeżegnał bochen nożem,
I postawił na stół flaszę —
I powiada: „W ręce wasze!
„Czém bogata stara chata,
„Tym i rada — w ręce wasze;
„Niech się smucą wrogi nasze!" —

Wtém się ozwał dzwonek z wieży;
Więc najpiérwsza Matka bieży
I uklękła przed obrazem. —
„Anioł pański zmówmy razem,
„Gdy się jednym chlebem dzielem
„I w gościnie téj weselem." —
I jak mak siał — nawet trzpiotka
Na kominku mruczy kotka. —
Co drobniejsze, to na przedzie
Do bojaźni Bożéj wiedzie
I modlitwy pani Matka;
Starsi daléj — a z ostatka
Piast z czeladzią razem klęczy;
A w obrazie niby w tęczy
Wszystkich oczy tkwią z tą wiarą,
Że modlitwa jest ofiarą.

O modlitwo wspólna domu!
Ty, co chronisz dom od gromu
I od sromu — któż to zmierzy,
Jaka siła w Tobie leży?

Tyś jest cnoty matecznikiem;
Bo modlitwy wraz z językiem
Uczy matka to pacholę,
W téj żywota pierwszéj szkole.

O modlitwo wspólna wiernych!
Tyś dla domu twierdzą Bożą:
Tyś krynicą łask niezmiernych —
Tyś ogniskiem — tyś i stróżą —
Dom po tobie idzie karnie —
I ty dajesz sytość chleba,
Gdy dostatek praca garnie,
Co się boi kary nieba.

* * *

Synu gazdów i oraczy!
Czy wiesz co się tobie znaczy?
Czém to trzeba dom ozdobić?
Co świat daje, — czém Bóg raczy? —
Ha! na wszystko trza zarobić,
O co serce się pokusi —
Wszystko człowiek zdobyć musi! . . . .

Zdobyć! zdobyć! — owo sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa:
Co Bóg daje, lub co Boże,
To jest tylko Ci zwierzone:
Co świat daje, lub dać może,
To wieczyście zaprzeczone . . . .
I od chleba aż do Nieba,
Wszystko — wszystko zdobyć trzeba! —

Co świat daje, mało warte
I jak stary pieniądz starte:
Skarb nie chowa się pod wichę —
Co Ci obcy daje — liche! —
Choćby złocił i cukrował!
Co sam niesie, mało warte —
A to tylko bywa dobre,
Dzielne duchem, sercem chrobre,
Co przed Tobą dobrze schował;
Co od niego jest zdobyte,
Co mu gwałtem jest wydarte
Duchem — pracą — krwią obmyte!

Synu gazdów i oraczy!
Twardy żywot Ci się znaczy:
Zdobyć! zdobyć! owo sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa —

I jedynie to posiędziesz,
Co na siłę sam zdobędziesz!

Trzeba zdobyć: pracę — zdrowie —
Siłę — męztwo — ducha — wprawę —
Miarę w oku — miarę w mowie —
I już z młodu dobrą sławę.

Trzeba zdobyć: rozum — wiedzę —
Zdobyć statek — zdobyć wolę —
Trzeba zdobyć dom i miedzę —
I zasługi własnéj pole.

Trzeba zdobyć serce wierne —
Wiernych sprawie towarzyszy —
Zdobyć szczytne — zdobyć mierne —
Wiarą — pracą — w łasce — w ciszy.

Sam za siebie oracz orze:
Nikt Ci w pracy nie pomoże:
Sam utargać musisz wołu —
I dostatek twego stołu
Znieść i z blizka i zdaleka —
Utrzyć konia i człowieka —
Utrzyć własną duszę hardą —
Utrzyć wolę pracą twardą —
Ukuć oręż na obronę,
I uzbroić się odwagą —
I obrąbać swoją stronę —
A to wszystko piersią nagą . . . .

* * *

Gdzie to Synu Twoja niwa?
Gdzie to Synu dom Twój bywa? —
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie Twe kopce i Twa rola?

Poco prawić gołosłownie?
W życiu szukaj wielkich kluczy:
Świat to mędrzec, co wymownie
Prawd największych ludzi uczy.

Chodźmy w pola — mgły jak wianek
Hen! zawisły nad pagórkiem:

Piękny, chociaż chłodny ranek —
I szron biały za podwórkiem
Świéci oku blaskiem tęczy —
I po siatce téj pajęczéj
Snuje pereł się tysiące —
I po ścierniach – i po łące.

Zdala słychać wiejskie dzwony,
I lud tłumem ciągnie w bieli
Od kościoła, przez zagony. —
To znać pogrzeb będziem mieli!
Śpiew żałobny płynie rosą:
Ale trumny coś nie niosą..?
To po zmarłych upominek!
Po cmętarzu się rozbiegli;
Klęcząc każdy krzyż oblegli;
Więc i „wieczny odpoczynek!“
Dzień zaduszny serce święci,
I powszednie dzieje chaty,
I najcięższe życia straty
Stają żywo tu w pamięci...
Kmiecie stoją zadumani:
Śmierć nie straszna, lecz Sąd Boski—
I niedola serce rani —
Owo całe dzieje wioski!
I na grobach każdy składa
Upominki i obiaty —
I o swoich opowiada —
Owo dzieje polskiéj chaty!

Za okopem palą Dziady
Na mogiłce zabitnika —
I trzask łomu lud przenika;
Bo dla takich trudne rady,
Co na własne życie godzą,
Lub ze świata w zbrodni schodzą.
Toć rok cały każdy wiernie
Co przejeżdża, co przechodzi,
Rzuca łomy, słomę, ciernie —
Bo i takim coś się godzi —
I gdy wzrośnie na mogile
Stos po roku, to go palą —
I pamiątki po nim tyle,
Że nad ogniem się użalą —

Bo i straszny, i czerwony,
Jak blask gromu, w nocnéj tuczy —
I coś jęczy, i coś huczy,
Jak duch w mękach potępiony.

Dzień zaduszny! — Każdy składa,
Po pacierzu, na krzyżyki
Żółte wieńce śmiertelniki —
I sny nocne opowiada -
Sny wieszczego pełne ducha
I czyścowéj pełne męki —
Więc w bojaźni każdy słucha —
I na grobach znowu w klęki.
Nie jednego duch nawiedził,
I upraszał o ofiarę —
Bo się dotąd będzie biedził,
Aż syn zmaże krzywdy stare.
Więc syn prosi gospodarzy
O ofiarę i przyczynę —
O ofiarę u ołtarzy —
Bo chce spłacić Ojca winę.

Ktoś tam inny znowu prawi,
Że czerwony upiór póty
Nie zakończy swéj pokuty,
Aż gromada krzyż postawi
Na mogile u rozdroża. —
Więc dumają, z cicha radzą —
I stanęło że krzyż dadzą,
Kiedy taka wola Boża!

Ktoś znów inny widział we śnie,
Jak czyścowe te duszyczki
Po cmętarzu szły z kapliczki —
I śpiewały tak boleśnie
Matki Bożéj wielką chwałę,
Że już odtąd noce całe
Spać nie może — a więc prosi
Dla duszyczek o trzy wianki,
I dla Maryi o firanki —
Bo jak święta Pani zrosi
Łzami swemi grzeszną duszę,
To się kończą jej katusze.

Któś znów inny opowiada,
Że duszyczek tych gromada,
Już bielutka i wesoła,
Szła z cmętarza do kościoła —
I że słyszał jak duszyczki,
Już szczęśliwe i weselne,
Niosąc w rączkach drobne świeczki,
Upraszały o kościelne
Światło Boga — i śpiewające —
I do okien tych pukając,
Skrzydełkami trzepotały --
Aż się zrobił już dzień biały —
Dzień zaduszny — aż na Święto
Drzwi kościoła odemknięto:
Jak gołębi tedy stado
Obleciały już do koła
Cały kościoł — i gromadą
Drzwiami wpadły do kościoła.
Stoją kmiecie zadumani:
Próżno dumać — próżno prawić —
I to boli i to rani —
Więc żywota nam poprawić.
I jak przyszli, tak wracają,
Zadumani i wzruszeni;
Gwarząc jeszcze, często stają —
Aż już znikli gdzieś śród cieni.

Na cmentarzu tylko troje
Ludzi jeszcze pozostało:
Znać małżeństwo — bo tu dwoje —
A tam wdowa z dziatwą małą.
W trzy mogiłki młode stadło
Patrzy z żalem — a tam wdowa
Płacze — „Biedna moja głowa,
„Że siérotą być nam padło!“ —
„Chodźmy żono — mąż powiada:
„Nie wypłaczem, nie wystojem —
„Ot zabierzmy wdowę z trojem;
„Stypę sprawić im wypada.“ —
I zabrali wdowę ciesząc,
Co przybyła gdzieś zdaleka. —
A ode wsi bieży, śpiesząc
Jakaś psina — i zaszczeka —
A więc patrzą: koło płota,
Pod piołunem — a na grobie

Siedząc, płacząc, jak sierota
Jakaś nędza na mogile,
Aż usnęła w końcu sobie —
Bo jej rzekli tylko tyle:
„To grób matki, i znaj o tém:
„Grób bez krzyża, a pod płotem!“
Stoją — patrzą wszystko troje —
Psina legła przy sierocie —
I nie pomną smutki swoje;
Lecz w litości i w szczerocie
Biedne dziecię z sobą wzięli,
I odchodzą ze cmętarza:
Psina przodem się weseli:
A na twarzy gospodarza
Myśl zabłyśnie i pociecha.
„Słuchaj żono — Bóg wziął troje:
„Gdy bez dziatwy nasza strzecha,
„Weźmy dziecię to za swoje —
„Wszak nie darmo świat to prawi,
„Że gdzie chowa się sierota,
„Bóg domowi błogosławi,
„I słoneczko tam we wrota.“ —
„Bóg przemówił sam przez Ciebie“ —
Rzekła żona — i przytula
Biedne dziecię już do siebie —
I rańtuchem omatula —
I przyjęli na gościnę:
Biedną wdowę z sierotami,
Błędne dziecię, błędną psinę —
I nie byli w sercu sami.

W moc modlitwy święta wiaro!
Co z duchami duchy łączy —
Co tak wielką mierzysz miarą,
Że się żywot tu nie kończy:
Wiaro w karę i w nagrodę —
W wspólność duchów i swobodę —
Dobrej woli — świętéj woli —
Ty przyświecaj synom roli!
Bo ty trzymasz to sumienie,
Jak na wodzy w Ojców wierze;
I przykazań Boskich strzeże,
Co na pieczy ma zbawienie. —
Wielka wiaro tej prostoty!
Ty się trzymaj wiejskiéj strzechy —

I od wdowy i sieroty
Bierz otuchy i pociechy! —

* * *

Z pierwszym krokiem drogi świętéj,
Z tchnieniem duszy nieśmiertelnej,
Stoi w księdze wierzytelnéj
Dług żywota zaciągnięty...

I dług pierwszy — Boże znamię!
I sumienie Ci nie skłamie:
Dług ostatni — krzyża ramię,
Co w wieczności świéci bramie.

Między pierwszym, co Ci gwiazdą,
A ostatnim — co Ci zbroją —
Wszystkie inne długi stoją —
I zaciężą nad twą jazdą:
Więc je wszystkie spłacić trzeba;
Bo zaklęcie poszło z Nieba:
Spłacić — spłacić owo pańskie —
Owo ludzkie — Chrześciańskie! —
Spłacić trzeba krew i kości,
I pieluchy i miłości.

Spłacić trzeba perłę cenną
Dobrej woli i ofiary —
I łzę każdą — noc bezsenną —
Wedle sprawy, wedle miary.

Spłacić trzeba życia wdzięki
Co świat dawa na zaranie —
Każdy uścisk wiernéj ręki —
Poświęcenie i kochanie.

Spłacić trzeba to, co dane,
I co w nas jest rozpoczęte —
I co z ziemskich skarbów zlane —
I co ludzkie i co święte —
I co tylko w drodze długiéj
Padło sercu bez zasługi —
Dobre słowo — oko tkliwe —
Radę zdrową — pomoc żywą —
I przestrogi miłościwe —
I najmniejszą chęć życzliwą. —
Spłacić trzeba dobro jawne
I tajemne — spłacić w rodzie —
Spłacić w domu — i w Narodzie,

Tak nieznane jak i sławne;
Bo krew długiem — Imie długiem.
Czy za tarczą, czy za pługiem,
Wielkim długiem Ojców czyny,
Ojców cnoty i wawrzyny:
Większym jeszcze stare winy,
Z pokolenia, w pokoleniu,
W księdze długów niezmazane,
A w modlitwie i w cierpieniu
Na Chrystusa rany zdane.

Bo są tacy, co nie płacą,
Ani sercem — ani pracą —
Nie zaciężni, nie wysłużni —
Co nikomu nic nie dłużni —
Nie miłują, ani życzą —'
Lecz stanęli tylko na tém,
Że świat liczą — albo ćwiczą —
I jak złodziéj idą światem
Milczkiem, chyłkiem, pokryjomu,
Na niesławę tego domu.

Nieużyte, duchem sprośne,
Śmietne mózgi — serca postne —
Lekkoduchy i mitręgi,
Pod nieszczęsną ziemi gwiazdą —
Co nic nigdy nie zdobyli,
I nic nigdy nie spłacili —
Lecz skalali stare gniazdo...
Im jak bydłu odlać cięgi;
Bo podlejsi tu od zwiérza,
Jak gad zjazdy żywot sączą;
Więc jak owad bez łzy skończą —
I w grób padną bez pacierza,
Bez czci ludzkiéj, bez imienia,
Wymazani z pokolenia! —

* * *

Kiedy wszystko zdobyć trzeba —
Wszystko spłacić — jak to zdołasz?
Kogo w pomoc tu przywołasz?
Uproś Synu łaskę Nieba!

Łaskę Nieba uproś z młodu —
A w kościele bije źródło,

Co miłością nie wychłodło —
Daje łaski dla Narodu.

Kiedyś jeszcze bez wędzidła
Ludzkich grzechów — bez żałości —
Gdy modlitwa jasne skrzydła,
Jako Anioł ów miłości
Ponad światem rozpościera
I do Nieba drzwi otwiera —
Wówczas módl się! — Bo u Pana
Jest modlitwa wysłuchana,
Co z czystego serca płynie,
Nim żałośne winą w winie
Przebaczenia tylko woła —
I w pokucie się zanurza —
I smutnego ma Anioła
Za Anioła Stróża! —

Póki jeszcze Cię nie zgnębi
Płacz poranny, grób wiosenny —
Póki nocą krwi nie kłębi
Żar piekielny, lęk bezsenny —
Pókiś jeszcze cały sobą —
Póki jeszcze świata hydry
I na udry i na wydry
W tan nie pójdą grzeszny z tobą....
Módl się bracie! — Bo potęga
Rzewnéj prośby w niebo sięga:
I kto często mówi z Bogiem,
Nie zwykł błądzić za tym progiem.

Po modlitwie, łaskę jedna
Ludzkie serce — co nadobne,
Na usługi bliźnich drobne, —
I z miłością łza otarta —
Podupadła starość wsparta
I sierota, wdowa biedna —
Ah! i łza ta więcéj warta
Tam u Boga, niż zasługa,
W którą wszystek świat tu wierzy —
I zdrój łaski Ci wymierzy.
Łza ta będzie w życiu rosą;
Bo zbawione Niebios duchy
Łzę tę biorą na swe puchy,
I przed Boży tron ją niosą —

Bo łza nędzy i upadku,
Każde słowo téj pociechy
Policzone jest w ostatku,
Gdzie się w sądzie ważą grzechy....
Módl się bracie! — zanim płaczem
Ta modlitwa twoja będzie —
Zanim będziesz sam tułaczem —
Zanim staniesz w grzesznych rzędzie —
Nim pokusisz się do sławy
I o wielkie w ziemi sprawy.
Innéj trzeba będzie tarczy,
Gdy do walnéj przyjdzie bitwy;
Prośba nie wystarczy:
Siebie oddasz na modlitwy —
W pokaraniu dasz na karę
I z ofiary dasz ofiarę. —

Żywą wiarę gdy posiędziesz,
To i Ojców skarb zdobędziesz;
Boćto Wiara tém zaklęciem,
Co tych skarbów trzyma klucze —
I skarb tylko przed tym święciem,
Co się Wiarą dziejów ucze.

Jeźliś Wiarą tą nie pałał,
Nie miłował bardzo dusznie,
Nic dobrego sam nie działał,
Ani umiał stać posłusznie —
Żal się Boże krwi i chleba;
Bo Ojczyznie, ani Bogu
Luźnych ludzi nie potrzeba —
To i ustąp z Ojców progu —
Boć tu trzeba wiary żywéj:
I Bóg Ojców miłościwy,
Na téj krwawéj krzyża roli,
Żywéj wierze, dobréj woli,
Tylko w ziemi błogosławi —
I na czoło wiernych stawi:
Tylko w czynach wiara żywa
Da Ci prawo do puścizny:
Ziarno Boże kto posiewa,
To Syn Ojców i Ojczyzny.

Tu początek polskiéj drogi,
I to kamień jest węgielny,

Co ma dźwignąć dom ubogi
I dać ziemi rok weselny.
Do Przybytku łask i danin,
Wstąpić może z Woli Bożéj
Tylko dobry i Chrześcianin —
I on tylko skarb otworzy,
Gdy wypowie tajemnicę,
Jaką ziemi téj dziedzice
Skarb zaklęli dla potomnych. —
Lecz dla Synów wiarołomnych,
Nie otartych w służbie Bożéj,
Skarb się nigdy nie otworzy.

* * *

Ducha karmę — z niebios rosę
Ja potrzebnym tylko niosę:
Tym, co w sile ja nie radzę —
Co w potędze, życia chwale
Stoją bardzo okazale,
Dzierżąc wszystek rząd i władze —
Ale tobie tylko radzę
Biedna polska ty sieroto,
Co się dźwigasz Ojców cnotą
I co krwawą idziesz drogą
I tu niemasz już nikogo,
Prócz téj igły i prócz Boga,
I prócz cnoty i prócz wiary —
Tobie pragnę w ziemi staréj
Wskazać jaka twoja droga.

Tobie młody ty szermierzu,
Co prócz dobréj polskiéj woli
I prócz siły — i niedoli —
Nic nie liczysz w Twém przymierzu.

Wam ja polskie wy Sieroty
Święcę tutaj ziemi cnoty —
Bo znam serce to sieroce,
I niespane we łzach noce —
I srom nędzy — i świat twardy —
Zimne serca — wzrok pogardy, —
Więc was pragnę przyhołubić,
I w com wierzył wam poślubić:

I niech koi wam boleści
To, com dobył z ducha treści.

* * *

Gdzie to Synu Twoja niwa?
Gdzie to Synu dom Twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie Twe kopce i Twa rola?

Praca ducha bardzo trudzi:
Więc i wytchnąć ci potrzeba
I zachwycić głosu Nieba.
I zamięszać między ludzi.

Idą święta — Nowe lato
Jak to mówią — już za drzwiami:
A czyż zeszło nam już na to,
Byśmy w święta byli sami?

Konie zaszły — siadaj w sanie—
Sanna dobra toć i miło
Się przejechać na zaranie,
Gdy się mrozem wyiskrzyło.

Konie niby złobem rypią
I śnieg skrzypi, sanie skrzypią;
Świat bielutki gdzieś bez końca,
A szron iskrzy blaskiem słońca.

Na wysokim okiść lesie
I głos trąbki od dąbrowy
Wietrzyk wschodni ku nam niesie —
To dzień Wilii, więc i łowy! —

Hej! stój drużbo, dróżbo stary,
Bo zagrały i ogary —
Posłuchajmy jak las szumie
Po tym wrzawnym psim rozumie.

Już na oko widzę wzięły:
Jakże grają — jakże siadły -
Już i pierwsze strzały padły —
A jak nożem psy ucięły.

Jedźmy dalej — jak szeroko
I jak biało po tym świecie!
A czy widzisz — rzuć tam oko;
Krańcem lasu coś się miecie.

Jednokonka staje — czeka —
Ot i charty z niej pomknęły:
Więc gdzieś liszka niedaleka —
Tu! tu, hajże! — Już ją wzięły.

Będzie więcéj tych majaków,
Bo nie dadzą dziś kiełbasy:
Gospodynie tych próżniaków
Wypędziły precz na lasy.

Jak wymrożą trochę sadło,
Po tych łowach, po tym poście,
Tożto bractwo będzie jadło!
„Stój! bo stoi ktoś na moście.

„Stój przed mostem — miejże olej —
„Most jak kładka, jedna kolej —
„To niech mija — bo po prostu
„Zwalisz człeka w rzekę z mostu.

„Pochwalony! dokąd bracie? —
Czy z daleka?“ — „Nie daleki:
Ot pasiecznik do pasieki“ —
„Jakąż sprawę tam dziś macie?

„Dziś Wigilia — Bóg się rodzi!
„Więc się pszczoła ze snu budzi
„I ten chleb się pszczole godzi,
„Który podał Bóg dla ludzi!“ —

„To niech w drogę, Bóg prowadzi! —
„Ruszaj drużbo — bo mróz srogi —
„Patrz jak polem ktoś tam sadzi
„Na krzyżowe pędząc drogi.

„Śmigaj batem bo chcę wiedzieć,
„Kto tam goni w pędzie chyżym —
„I wypada go wyprzedzić,
„By nie mijać się pod krzyżem.

„I on widzę na to pomny —
„Jaki grzeczny, jaki skromny:
„Nie chce w poprzek przeciąć drogi —
„Stanął, czeka — choć mróz srogi. —

„Pochwalony!“ — „Witam Pana —
„Jakie szczęście dla Gwardiana,
„Że powitać Pana mogę:
„Bo podobno w jedną drogę.“ —
„Gdzież ksiądz Gwardian?“ — „Ha! ja jadę
„Do Sędyka z opłatkami:
„Więc nie będziem widzę sami.
„Trza przeżegnać dom i dziatki,
„I dobytek i gromadę;
„Bo Pan Sędyk na opłatki
„Czeka już tam od tygodnia:
„Więc sam Gwardian bernardyński
„Wstał z północka, ruszył do dnia;
„Bo niejeden korzec zmiele
„Dla klasztoru kamień młyński:
„Jest i baran, jest i ciele,
„I od złota więcej warte
„Serce prawe i otwarte. —
„A więc proszę jechać przodem;
„A my ruszym za przewodem;
„Bo co cztery to nie para,
„Jak przypowieść mówi stara.“ —

Jakże tęgo konie sadzą!
W różne strony lecą gońce —
Mróz się sadzi, zaszło słońce;
Lecz przed gwiazdą jeść nie dadzą.
„Chociaż widny już dwór biały
„To wolnego — niech wypoczną —
„Nie zajeżdżaj mi wyskoczno,
„Bo się konie nam shasały,“
Jakiż blask od kuchni świeci!
Istne piekło gwar i krzyki:
Jak szatany mkną kuchciki:
Miotła iskier w komin leci.

Dom się widzę dobrze zbroi:
Kadź z rybami wielka stoi:
Tuż przed kuchnią i dzik leży,
Co go sągiem nie przemierzy:

Tuż przy dziku legł pies karny;
A na kołkach cztéry sarny:
A pośrodku między niemi
Kozioł rogiem sięga ziemi.
Będzie tego i na jutro,
Jak to wszystko w kuchni utrą.
„Pochwalony!“ — „A witamy
„Gości naszych u téj bramy! —
„Witaj bracie i sąsiedzie!
„W ruchu cała dziś drużyna;
„Więc zasiędźcie u komina. —
„Do apteczki nie powiedzie
„Dziś gospodarz bo na Niebie
„Gwiazdy jeszcze nie zabłysły;
„Więc wybaczcie — dziś post ścisły —
„I nie witam dziś po chlebie.
„Bo gdy taka w Niebie rada,
„To dopełnić nam wypada
„Tych obrządków za drugiemi,
„Jak obyczaj niesie ziemi.

Jak obrządek każe dzienny,
Snopy wnosi sam gumienny;
Bo trza chleba do wesela —
I sam siankiem stół zaściela,
W pamięć żłobu Zbawiciela, —
I po kątach snopy stawi,
I coś z cicha błogosławi.
Plastry miodu w wielkiej krobi
Stary bartnik sam sposobi;
Bo we dworze, to nie w lesie. —
Stadnik wiedzie sam źrebiątko,
Pastuch pierwsze to cielątko,
Owczarz pierwsze jagnię niesie:
A klucznica aż trzy kosze,
Gęś i kaczkę, i kokosze
Jeszcze w puchu z pisklętami,
Byście tu nie byli sami;
A niech dziecię to nadobne
Chwali nawet piskle drobne.
Więc sadownik jabłka wonne
Składa u stóp Pani Matki;
A pierniczki, te zakonne
Tłuczenniczki i opłatki
Składa Gwardian sam na tacy;

Bo i *sacra et arcana*,
W dniu tym wielkim Chrysta Pana,
Mają starzy ci Polacy.

Krzyż wszystkiemu na początek;
Bo od Boga wszego wątek!
Więc od krzyża i od słowa
Ksiądz rozpoczął — za nim głowa,
Głowa domu słowo bierze! —
Przy opłatku się przeprasza
Z całym domem, w Ojców wierze:
Boć to bratnia uczta nasza;
A że z wieka będzie po wiek,
Ta gromada wielki człowiek,
Więc poczyna te biesiady
Pan z opłatkiem od gromady.

Zadudniło coś po moście:
Ktoś przed gankiem z bata pali —
Więc drzwi w oścież — goście! — goście!
Coraz pełniéj w wielkiéj sali. —
Przełamali się pospołu —
I stanęli w koło stołu —
I trzy krzesła polskim strojem
Koło stołu stoją próżne:
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dłużne:
I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy;
Bo w tych krzesłach siedzą duchy,
Co z ojczyzną są w przymierzu.
My ich widziem, oni siedzą
Razem z nami tu za stołem;
Bo o dniu tym w sercu wiedzą —
Wiąc go święcą z nami społem.
Nikt nie pyta o kim mowa,
Wszyscy wiedzą co się święci,
I dla kogo serce chowa
Wierną pamięć, w tej pamięci. —
Łzą się uczta rozpoczyna —
Niemo liczy się drużyna
Ze strat wszystkich, z lat ubiegłych,
Z nieobecnych i poległych:

Już mgła czarna tak przechodzi
Myśl téj wielkiéj męki ducha;
Ale Bóg się w ziemi rodzi,
Więc powraca znów otucha:
Że więźniowi drzwi otworzą,
Że wygnaniec przetrwa mękę;
I że tułacz z wolą Bożą
Poda jeszcze wszystkim rękę. —
Za oknami, na dziedzińcu,
Słychać szepty i poswarki —
I migają się latarki —
I chłopięta stają w wieńcu —
Aż już w blasku niespodzianie,
W samym oknie szopka stanie:
I kolęda zabrzmi głośno
Pieśnią wielką i donośną.

Tedy wraca znów pociecha
I do serca i do domu;
Gdy ten żłobek wita strzecha,
Jest i Boga witać komu. —

Ach! bo jakież to nadzieje
Gwiazda światu zapowiada:
Bóg się rodzi, moc truchleje,
I ciemnościom ziemi biada!
„Bóg się rodzi, moc truchleje,
„Pan niebiosów obnażony —
„Ogień krzepnie, blask ciemnieje:
„Staje w ziemi nieskończony
„I wzgardzony — staje z chwałą —
„I śmiertelny nad wiekami —
„A słowo ciałem się stało
„I mieszkało między nami!

Jak od morza, aż do morza,
Są posiane polskie łany;
Jak szeroko rosną zboża,
Tak szeroko śpiew ten znany:
W każdej chacie, w każdym dworze,
W każdym zamku i w klasztorze
Grzmi po ziemi pieśń wesela —
I witają Zbawiciela. —

Owo wielkie skarby kraju!
I podała polska stara
Boskie rzeczy w obyczaju,
Które dzierży wszystka Wiara.
Z niemi idzie człowiek z młodu,
I przez żywot z niemi chodzi:
I obyczaj dla Narodu
Coraz nowych synów rodzi:
Bo na naszą polską wiarę
Każdy przejdzie, w ziemi naszéj,
Co przy chlebie i przy kaszy
Obyczaje poczci stare;
I czcić Boga się nauczy,
Przy téj kaszy i tym chlebie, —
Więc nie traćcie starych kluczy,
Lecz chowajcie je u siebie. —
Czego woda nie zabierze,
Czego ogień wam nie spali,
Co nie odciąć ostrzem stali,
To obyczaj wam ustrzeże.

* * *

Służba czcka Cię sieroto —
Więc się dźwigaj Ojców cnotą.
Służba w ziemi wznosi ducha
I duchowi daje znamię:
Ten, co rządzi, lub co słucha,
Ma i wolę, ma i ramię —
I języka wydobędzie,
Gdy na słowie jego siędzie
W dziejach Ojców wielka karta,
W dziejach służby wielka warta.

Co za rozkosz, u sztandaru,
Złożyć braci i Ojczyźnie,
Co z natchnienia i z przemiaru
Idzie niby po puściźnie!
Co za rozkosz, władać dzielnie
Sobą, wolą, czynem, słowem —
I żyć w duchu nieśmiertelnie,
W ziemi życiem pogrobowem!

Co za rozkosz, wiernie służyć
I tych darów Bożych użyć,

Na czas Boży, w sprawie wielkiéj,
Na pożytek Rodzicielki!
Lecz gdy padnie już tak krzywo,
Że pogrzebiesz w tém więzieniu,
Dobrą wolę i myśl żywą,
Coś wykochał w pokoleniu:
Lecz gdy padnie, że w Jasyrze,
Na Kaukazie broń Ci dadzą;
Że wygnańcem na Sybirze
Ujrzysz się pod dziczy władzą;
Że tułaczem na obczyźnie
Błądzić będziesz obcą drogą;
A po żalu i po bliźnie
Znać jak ziemia ta Ci drogą —
Któż Cię wówczas od zaguby
I zachowa i obroni? —
Znasz ty bracie polskie śluby?
Znasz ty głębie polskiéj toni? —
Nie daremnie Bóg te dzieje
W takie ciemne pchnął koleje:
Nie daremnie u łańcucha
Bóg tak trzyma w pracy ducha:
My śród lęku — i śród jęku —
Spełnić musim w jego ręku,
Niepowszednie świata dzieje,
I na nowe przejść koleje.

Po staremu, my w kościele,
Wielkie rzesze tego ludu
Zgromadzili na wesele —
I lat tysiąc tego trudu
Trzeba było, by to sprawić.
I ten kościół tu postawić —
I ozdobić — i osłonić —
Który trzeba i dziś bronić.

Z światłem Bożém w duszy, w oku,
My pomknęli w ziemi kroku —
I wolności Bożym darem,
I przymierzy tych wymiarem,
Odorali te granice —
Ale świat nam stanął w drodze,
I ciemności puścił wodze —
I po nocy skradł szablice.

Odtąd niema tu już komu
Bronić swobód i kościoła:
Nędza, ucisk w starym domu,
I nieludzki świat do koła.
Ziemia nie chce rodzić ziarna:
Nikt nie rządzi, nikt nie słucha;
Rzesza luźna i niekarna,
I bez Boga, i bez ducha.
Więc tu ciężka służba padła,
Komu zlecił Bóg te straże,
Na kim sprawa taka siadła;
Lecz stać trzeba, gdy Bóg każe.
Bo potrzeba odbyć wartę,
I przewrócić krwawą kartę.
Toć ustąpić tu nie wolno —
Lecz stać trzeba sprawą rolną,
W tych wierzejach posłannictwa,
I kościoła i dziedzictwa —
Bo i stare dziejów prace,
I te nowe niedaremne;
I świat bierze naszą płacę,
Choć koleje nasze ciemne.
Co w obecnej świat ma chwili
Za prąd ducha i za nowość,
My krwią serca wysłużyli:
W dziejach świata narodowość!

Nie wysilaj na wiatr ramię:
Nie zacieraj ziemi znamię:
Biada, biada Narodowi!
Co chce zwrócić dziejów prądy;
Co o sobie tak stanowi,
Że chce zmienić Boże sądy;
I na poprzek prawdy Bożéj
Być Narodem, bez przewodu —
I Narodem, bez Narodu —
I bez krzyża, u rozdroży!
Nie zaciéraj ziemi znamię:
Nie łam, czego Bóg nie łamie.
Kiedy wszystkie ludzkie środki
Już wyczerpią wrogi nasze,
Wichrzyciele i wyrodki;
Wówczas poda sam Bóg czaszę,
I na sądzie w ziemi siędzie,
I chleb znowu w domu będzie —

I gdzie była, będzie woda —
Wiara Ojców i swoboda.

Wytrwać — wytrwać! to zadanie,
Kto poczciwéj sprawie służy:
Choć Ci wszystko w poprzek stanie,
W burzy serca — w życia burzy—
Chociaż swoi się sprzysięgą
Przeciw tobie, w zdradnéj radzie—
Chociaż piekło swą potęgą
Tysiąc zapór Ci pokładzie —
Wytrwaj Synu! — I w Twym ślubie
Szukaj siły utwierdzenia —
Wytrwaj synu, w Bożéj próbie,
W wielkiéj chwili przesilenia!
Kraj się pracą i ofiarą
Z téj otchłani wydobędzie;
I odmierzy własną miarą,
Gdy zasiędą ziemi sędzie.
Wytrwaj — wytrwaj u łańcucha —
Bo nie w czynie, ani w zdaniu,
Lecz zasługa w sile ducha,
I w niezłomném Bożém trwaniu.

Tylko wiernych i służałych
Bóg w Narodzie łaską raczy:
Tylko mężnych i wytrwałych
Służba w dziejach karby znaczy.
Wytrwaj Synu dzielnie, ładnie,
Choć Ci ciężka służba padnie,
Czy po duchu, czy po bliźnie,
To służ milcząc, służ Ojczyźnie,
Jak Syn wierny i obrońca —
I już wszystko postaw na têm,
Byś nie liczył się ze światem —
Wówczas wytrwasz aż do końca....

Synu ziemian i rycerzy!
Ciężką służbę świat wymierzy:
Więc jéj tory znaczę Tobie;
Bo nie jeden w têm pobłądził,
Że swéj drogi nie osądził,
I samopas poszedł sobie. —
Służba duszy jest potrzebą:
Służbą można zdobyć Niebo!

Tu się tylko wkupić wolno
Pracą długą i mozolną –
I w téj służbie niema skoku:
Bo w wieczystym nowiciacie
Czyni żołdy brat po bracie,
Pilnowany w każdym kroku;
I przejść musi każda cnota
Wielką próbę krwi i złota,
Potępienia i zniewagi;
Aż w pokorze stanie nagiéj
Po zasłudze dusza karna,
W Panu mężna i ofiarna!

Znaj więc Synu, że na gruncie,
Gdzie przez takie wiodą tańce,
Klątwą ziemi Samozwańce!
I nikczemny duch po buncie,
Coby śmiał się rwać swą wolą,
W poprzek woli wiernéj Rady:
Boć mądrości Bożéj solą
Poznaczone wielkie ślady;
A kto Naród z tego toru
Zwrócić zechce świętokradztwo,
Syn-to gwałtu, i syn moru,
Co nie stanie sprawą bracką.

* * *

Gdzie to Synu Twoja niwa?
Gdzie to Synu dom Twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie twe kopce i twa rola?

Wychowanku polskiéj strzechy!
Są uśmiechy i pociechy,
Których Polska nie poskąpi
Temu, co jéj nie odstąpi.
Idź jéj prawem i jéj likiem,
Byś się skarbem jéj ozdobił.
Nie na bruku, nie językiem,
Obyczajów lud się dobił:
Sercem stawał przed kościołem,
Przed wrogami stawał czołem,
I przez wieki tak się porał,
Że z téj ziemi skarb wyorał —

Skarb największy, co dziedziczy
Miłość ziemi téj Piastowéj,
Żywot prosty i sąd zdrowy,
I obyczaj ów rolniczy. —
Stąd gdzie kopiec, tam granica —
A gdzie kościół, tam Bóg mieszka;
Gdzie mogiła, tam strażnica —
A gdzie droga, tam i ścieżka.

Jeśli życie Ci się zbrudzi,
Jeśli świat Cię bardzo strudzi,
Do wiejskiego idź kościoła —
I na pola – i na sioła —
I tam szukaj znowu ludzi.
Co bruk miejski sponiewiera,
To krynica znów obmyje;
Co świat grzeszny pozaciera,
To śród sioła znów ożyje:
Więc Ci o tém trzeba wiedzieć,
Że najlepiéj człeku siedzieć,
Gdzie od ziemi czeka chleba,
A ta ziemia łaski Nieba.
Biada! biada téj rodzinie,
Co się ziemi już nie trzyma,
I za wirem życia płynie
W świat szeroki za oczyma:
Więc jak możesz siadaj rolnie,
Bo bez ziemi i przykmioty,
Bardzo trudno i mozolnie
Chować w sercu Ojców cnoty.

* * *

Synu ziemian i rycerzy!
Niech twe serce mocno wierzy,
Jeźli pójść masz za lepszemi.
W te podania polskiéj ziemi:
Bo nie jedno serce zmrozi,
Ah! i więcéj sercu grozi
Złość od swoich – niż od świata,
Niż śmierć nawet z ręki kata.

Mocno uwierz w wierne rady;
Bo na gady i na zdrady

Stąpać będziesz musiał nogą,
Gdy się puścisz polską drogą:
Gdy brać będą, to za siłę,
Co gorączki jest znamieniem;
Gdy opaszą cię pierścieniem
Śmietne mózgi, serca zgniłe,
Co się niby rwą do czynów,
A słowami tylko płacą;
Co z krzywd tylko się bogacą,
I przez hańbę do wawrzynów
Idą drogą świętokradzką. —
Tam to cnota i zasługa
Nie opuścić tego pługa,
Lecz go ciągnąć sprawą bracką!

Wichrzycieli zawierucha,
Ani z miecza, ani z ducha,
Ani z roli, ani z soli,
Lecz urosła tém jedynie.
W tèj nieszczęsnéj tu krainie,
Co z ich winy drugich boli.

I ze wszystkich już boleści
Ta największą, co bez cześci —
Ah! i z dziejów tych niewoli,
Nic tak bardzo już nie boli,
Jak niecnota własnéj braci,
Która piekłu haracz płaci. —

Jeźli w służbie chcesz iść prosto,
Nie szatańskim obcym tańcem;
Jeźli nie chcesz zostać chłostą,
Klątwą ziemi — Samozwańcem —
To idź znanym w dziejach torem,
Za wybranych wielkim wzorem:
Bo nam tylko tędy daléj
Chodzić trzeba, kędy dziady
W służbie ziemi téj chadzali:
Więc idź śladem w dziejów ślady.

* * *

Synu ziemian i rycerzy!
Wielki skarb w Twych dziejach leży;
Więc go podnieś duchem, z chwałą,
Bo nie na tém jeszcze stało.

Jeźli masz iść dziejów chodem,
Czcij krew Ojców i ich kości;
Ale żywe bierz miłości,
I za czas swój idź z narodem.

Polska, wielka duchów ksieni!
Więc są orle duchy z rodu,
Co z najgłębszéj słowa rdzeni
Wydobyli dla narodu
Skarby wielkie — prawdy czyste —
I ofiary wiekuiste.

My za siebie w wielkiéj treści
To streścili, co jest własne,
Bo miłości i boleści,
I wyskoki ducha jasne;
A za wszystkich to co Boże,
Co powszechne i co wieczne;
Więc pieśń nasza gra jak morze
I o drogi trąca mleczne.

Jak do ula znoszą pszczółki
Dary Boże — jako mrowie
Znosi pilnie wonne smółki —
Tak i Naród, po tém słowie,
Znosi skrzętnie skarby ducha; —
I jak gołąb w gołębniku
Koło gniazda swego grucha.
Tak tu idą prace z szyku,
Po miłości i po znoju: —
Więc po kotle i po trąbie,
Jeden szczerby szablą rąbie,
Drugi w ciszy i w pokoju,
Skarby ducha wydobywa;
Więc i uczy, radzi, śpiewa —
I po siwéj szła tu brodzie
Mądrość, w starym tym Narodzie.

I są półki gdzieś dębowe,
W wielkiéj straży, w wielkiéj cenie:
Na nich stawi księgi nowe
Każde nowe pokolenie. —
Księga stara, obok nowéj,
Kiedy staje po zwyczaju,
Jest jak puhar ów godowy;

Jest jak wino od Tokaju.
Co i krzepi i zagrzewa:
I tym strojem idą dzieje,
I z nich w serca się posiewa,
Co przez wieki w dziejach grzeje.

Księga polska, wielkie dobro!
Bo jak oręż w dziejach chrobry,
Tak spisano przeszłość chrobrą,
W onéj księdze — i jest dobry,
Co i sławy téj poprawia,
I mądrości przeszłe znawia.
Księga polska, wielka tarcza!
I na wieki jéj wystarcza:
Bez téj księgi w naszym domu,
Miałbyś dzisiaj dzieje sromu,
Bez przewodu i bez gwiazdy:
I lat tysiąc krwawéj pracy,
Co odparły te najazdy,
Bez osłody, i bez płacy
W tych mogiłach-by zamarły.
Po téj księdze, tyś olbrzymem,
Coś się dźwignął duchem, rymem;
A dokoła Ciebie — karły!

Bez téj księgi, w tym narodzie,
Złość-by zbodła, co nas bodzie:
Bez téj księgi, człek nie człekiem,
Ani wiek nasz dziejów wiekiem,
Ani Naród jest Narodem,
Ani chód nasz w dziejach chodem:
Bez téj księgi, siłą bicza
W przepaść grzechu gwałtem gnani,
Bez znamienia i oblicza,
Stalibyśmy śród otchłani,
Jak niegodni pańskich godów —
Potępieńcy śród Narodów! —

I tą księgą w ducha pracy,
W ducha pracy — a bez płacy,
I w pokucie u łańcucha;
W pasowaniu wielkiém ducha,
Bóg na próbie Naród trzyma:
I wyroku jeszcze niema,

Choć się szala dziejów waży,
Co zwycięży — co przeważy? —
Czy wybranych dusz pociechy,
I miłości i ofiary —
Czy przeważą nasze grzechy,
I nierządy i niewiary? —

* * *

Gdzie to Synu twoja niwa?
Gdzie to Synu dom twój bywa?
Miedzy poszły w świat przez pola:
Gdzie twe kopce i twa rola? —

Taki tutaj zakład dawny,
Że po pracy tylko sławny:
W dziejach praca, w roli praca
I popłaca i wzbogaca
Chodźmy w pola — żniwa! — żniwa !—
Posłuchajmy jak w téj dłoni,
Na tym łanie sierp zadzwoni,
Jak przednica żeńcom śpiewa:
„Raz i drugi! Ot i snopek!
„Łan przed nami — ścierń za nami—
„Raz i drugi! I półkopek! —
„I już w polu my nie sami“
Łan się snopi, świat się snopi:
Gdy pogoda i ochota,
To i wszystko się pokopi,
I skończona już robota.

Pusto w siole i we dworze,
I bliźniaczki niosą dzieci:
Wodę starzec, jako zmoże,
Bo gorąco słońce świeci.
Pan wyruszył w pole rano:
Chciałby dożąć dziś pszenicy;
A we dworze, pani wiano
Już obmyśla dla przednicy;
Bo wrócili dworscy z łanu,
Dawszy mléko do napoju;
Zostawiwszy wódkę panu,
I najczystszą wodę zdroju.
„Któż tam taki — pani pyta:
„Przed wszystkiemi sierpem chwyta?“—

— „Kowalowa, bogdaj zdrowa,
„Na stajanie przodem sadzi:
„Wyśpiewuje i prowadzi,
„Że aż cała grzmi dąbrowa! —“

Pusto w siole i we dworze:
Nie ma wody podać komu:
Kucharz podpił już nieboże.
Psy odbiegły nawet domu.
To wołajcie ogrodnika!
Lecz ogrodnik wraz z kucharzem
Wziął fuzyjkę — i pomyka —
I już oba za cmętarzem.
I kredencerz nawet stary
Wziął kuchcików — „Chodźcie dziatki!
„Bo przepiórek dziś bez miary
„Nałapiemy na te siatki. —“
A więc pani, w takiéj toni,
Do proboszcza się ucieka:
I przez sady panna goni,
Bo plebania niedaleka.
„Dobrodzieju! trzeba radzić:
„Ja i pani same w domu;
„A tu żeńców chcą sprowadzić;
„A usłużyć niema komu.
„Trzysta żeńców będziem mieli:
„Trzeba światła i kapeli,
„Smolnéj beczki na dziedzińcu;
„Bo w pszenicznym staną wieńcu.“

— „No wolnego! Nie mazura!
„Nie tak straszna tam ta chmura:
„Wszystko to się przysposobi,
„I co trzeba proboszcz zrobi.“
I wyruszył organista
Do karczemki — grajków woła,
Gdy się stała wieść wesoła,
I zapija — klnie do trzysta —
Lecz co trzeba wszystko sprawił,
Bo kapelę podochocił,
Smolne beczki już wystawił,
I podpiwszy sam się spocił. —

Zaszło słońce i mrok pada!
Więc i żeńców tych gromada,

Z pieśnią wielką i poważną
Ciągnie ziemią tą posażną.
Już ją było słychać blizko —
A wtém, w jakieś uroczysko
Pochyliła się gromada,
I chór cały gdzieś przepada:
Aż wypłynął — i znów bliżéj —
I już słychać chór od krzyży —
I już w bramę płynie przodem;
A dla żeńców pan przewodem.
„Witam – proszę!“ — Prosi, wzywa:
I téj saméj prawie chwili
Smolne beczki rozpalili,
I kapela się odzywa. —

Piastów ziemi upominki,
Witam — witam was obrzynki!
Dawne jako snop na ziemi:
Jakom witał was od młodu,
Gdym się wdrażał do narodu,
I pieśniami żył waszemi. —
Staréj ziemi obyczaju!
Coś zawładnął sercem ludu,
Od Dunaju do Dunaju,
Oto wieniec twego trudu!
I jak stajesz, przed tym progiem,
Tak w tym wieńcu stań przed Bogiem
Po Piastowym Bożym stroju,
Ludu pracy i pokoju!
A was karty dziejów pytam,
Gdy obrzynki sercem witam,
Jakie były to tam dusze,
Bo zawarły te Sojusze
Z Bogiem, z ziemią, z ludem, z chlebem —
Na téj ziemi — pod tém Niebem? —

* * *

Jeźliś — gdy się świat uśmiechał,
Praw i gotów do igrzyska,
Wszystkie stare bojowiska
W ziemi Ojców sam objechał,
To w dniach smutku i żałoby,
Obejdź świętych Pańskich groby.

Wielki sojusz mieli dziady,
Przez zasługę ze świętemi;
Więc idź śladem w święte ślady
I przymierze odmów z niemi.

Bo z niém łączy się łask wiele,
I w Narodzie i w kościele;
I jest Chwały Pańskiéj czasza:
„Matka Świętych Polska nasza“.

Nie daremnie Święci dani
W Twoim domu, u przystani:
Nie daremne wieczne ślady
Świętych pańskich — wielkie rady,
Wielka sprawa i przyczyna:
Bo po szczeblach ich zasługi
Ku Niebiosom duch się wspina;
A jasności wiecznéj strugi
Płyną z Chwały wiekuistéj
Na przybytek i dom czysty.

W tym ogrodzie i chłodniku
Dusz wybranych jest bez liku:
Łask przedziwnych, skarbów wonnych,
I piękności serc zakonnych.
Uproś z łask tych, co Ci trzeba:
Weź z tych skarbów, co Cię znęci:
Cnotą wspinaj się do Nieba,
A za tobą staną Święci!

Jeźliś z czoła, stój na czele
Z Stanisławem przy kościele. —
Jeźliś siewacz dobréj woli,
Z Świętym Jackiem rzuć po roli,
Tak szeroko i nie marno,
Jak On posiał Boże ziarno. —

Jeźliś mędrcem w staréj szkole,
Skąd Jan Kanty wziął początek,
O mądrości pytaj wątek;
A modlące się pachole,
Co o głodzie tam się ucze,
Do mądrości poda klucze. —
Jeźliś wiernym, o wytrwanie

Błagaj orszak purpurowy
Sandomierskiéj braci owéj;
A przyczyna Ci się stanie.
Z Jozafatem i z Bobolą
Proś o męztwo, i o wolą,
I w jedności stój przymierzem!
A z Florianem, jak z rycerzem,
Co od złego ognia strzeże,
Broń pożaru w Twoim Domie:
Wówczas dotrwasz w Ojców Wierze —
I uderzy grom po gromie,
A nic duszy Twéj nie złomie. —

Rebeka,

(z Melodyi Biblijnych)

przez

Kornela Ujejskiego.

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty
Mury Nachoru bielały,
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Nachorem na staj nie wiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami skubając ziele
Wielbłądy w rząd się pokładły.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące,
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach,
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślał w swych modłach:

„Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno,
I z powitaniem nikt nie pośpiesza,
Choć niby ludno — odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysiągłem przywieść synowę.
Lecz nie poradzę — gdy łaską szczodrą
Bóg nie uświęci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech jego w niéj będą rządy,
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy." —

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnéj szacie, z dzbankiem na głowie,
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką co wiszą,
Nie tak się palma zgrabnie przegina
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak śrebrzała na tle murawy,
Jak biała lilia w dolinie,
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało — że płynie.

Czarne jéj włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ognieździa się gołębica.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modréj wodzie schyliła,
To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z koneweczką,
Podróżny, co stał przy zdroju,
Rzekł jéj łagodnie: Piękna dziéweczko,
Udziel mi trochę napoju.

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkiej złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podróżny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jéj urodę.

A ona rzekła: Wyście z daleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbłąd smutny na wodę czeka,
Patrzając w próżne koryta.

A słudzy cisną głowy w zawoje
Znużeni męką podróżną,
To ja wielbłądy wasze napoję;
Pozwólcie bym wam usłużną. —

I poszła wodę czerpać dla stada,
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzał w niebo długo i długo,
I wyrzekł słowy cichemi:
„Wielki Bóg litość miał z swoim sługą —"
I skłonił czoło ku ziemi. —

Jeremiasz,

(Z Melodyi Biblijnych)

przez

Kornela Ujejskiego.

Przyszedł Chaldejczyk jak tygrys krwi chciwy
I powlókł Judzki lud do Babilonu
A Jeruzalem rozburzył i spalił.
Zamilknął prorok jak łuk bez cięciwy,
Usiadł dumając na gruzach Sionu
I jęknął czasem gdy go ból rozżalił.

I zdjął dłoń z oka i w niebo zapłakał:
„Ludu mój ludu! gdzieżeś ty się podział,
„Jakaż cię przepaść przedemną schowała?"
A nad nim orzeł libański zakrakał
Co krwią ociekłém piórem się przeodział,
A w dzióbie kawał niósł ludzkiego ciała.

I rzekł Jeremiasz: „Gdzie źródła Hesbonu,
„Wieczorna schadzka Izraela córek
„Kędy pląsały one jak gazelle?“
I u stóp jego żałobnego tronu
Wybiegło w słońca blask dwoje jaszczurek
I wszczęło taniec w rozgrzanym popiele.

I zmartwiał prorok i daléj narzekał:
„O, panie! w czynach swych bądź pochwalonym,
„Lecz gdzież twój kościół, gdzie kapłanów hymny?“
A szakal w gruzach świątyni zaszczekał,
I na ołtarzu usiadłszy spalonym
Zawył. — Z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

I rzekł Jeremiasz: „Gdzież są wojownicy,
„Gdzieżeś ty królu, gdzie twoje hetmany,
„Czy i w twéj piersi tkwią wrogów oszczepy?“
A wtém niedoperz z przełomu ciemnicy
Wyleciał piszcząc i tłukł się o ściany
I rwał się w pętach, jak Judzki król — ślepy!

A prorok twarzą upadłszy na ziemię
Ciałem złamany i duszą złamany
Nie chciał już Boga o nic więcéj pytać.
I w swojem sercu uczuł straszne brzemię,
I zdało mu się, że wszystkie szatany
Zaczęły nad nim i śmiać się i zgrzytać.

I odstąpiła go wszelka pokora,
I krzyknął w grozie: „Tyś ojcem Jehowo,
„A własne syny wytępiłeś z szczętem!“
I spojrzał w górę. — Zeschła sykomora
Z podartą korą, z potarganą głową
Nad nim węglanym wahała się prętem.

A latorośli mnóstwo z jéj korzenia
Pięło się w słońce zielono i zdrowo,
I ziemię, którą zniszczyła pożoga
Znów świeżych liści wieńcami ocienia,
I przyozdabia ją nadzieją nową, —
Ujrzał to prorok i pojął myśl Boga.

Odwiedziny Piramid

przez

Juliusza Słowackiego.

Wyjechałem z Kairu dziś ze słońca wschodem.*)
Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem
Kryła mi złote słońce... i łzy brylantowe
Zawieszała na palmach; a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni
Przesuwając się w tajnéj ogrodu zieleni,
Odchodziły gdzieś na wschód. Oślątko me chyże
Leciało, aż się w starym oparłem Kairze.
Łódka stała u brzegu, wsiadłem do niéj — płynę.
Za Nilem widać było zieloną równinę;
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy,
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy — daléj żółte piasków morze
I niebo blade — czyste, jak Ptolomeusza
Krąg z kryształu..... Na oczach usiadła mi dusza...

Przez Nil cichy prędkiemi przeprawiony wiosły
Wysiadam... już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid — zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Wystrzelony pod niebo, koronami szumny,
Jak przysionek piramid bogaty w kolumny
Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...
I trzy godziny trwała pełna dumań droga
I więcéj, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.
Przepływałem jeziora — aż na piasków morza
Wyniosło mię oślątko... Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca — i do mnie.
Patrzałem na nie — potém na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich! na osiołku,
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

Bliżéj — z pokorą wszystko opisywać muszę —
W dolinie piasku stoją trzy drzewa: dwie grusze,

*) Wyjazd ten miał miejsce d. 2. listopada 1836.

A we środku spleciona z kilku palma jedna.
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biédna;
Jak szmaragdy się błyszczą stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystém téj szerokiéj gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

Na białym kamieniu
Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu;
Myślałem, jak ten wąwoz cały piasków przebrnę?
Co czuć będę? i oto... jakieś mrówki śrebrne
Pod nogami ujrzałem grzebiące się w piasku.
Wziąłem do rąk stworzenie perłowego blasku
I bawiło mię małe, jak ziarenko żyta...
A domek ich, jak ślady końskiego kopyta,
Obłożony wałami w budowę półkolną,
Przejrzałem cały — potem puściłem je wolno
Obie do rozbitego sarkofagu żłobu,
I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedym był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło — spojrzałem górą ponad głowy,
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobów, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,
W których i proch umarłych dawno powymierał.
Sfinx czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowéj doliny.

Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny,
Brązowy, w białych płaszczach, jak grobowe sępy,
I porwały mię czarnych szatanów zastępy
I wiedli z krzykiem w groby od wieków milczące,
Paląc pochodnie — blado na słońcu płonące.

Nim doszedłem zaściennéj piramid ulicy,
Schyliwszy się podniosłem kamień soczewicy,
Która dawniéj karmiła królów robotniki
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki;
Ta sama kształtem, tylko wosku wziąwszy białość,
Dziś — różniąca uczone głowy — skamieniałość!
Postrzegłszy, żem krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,

Araby mię w grobowcach otoczyli gęściéj,
A każdy trzymał granit ważony na pięści —
Od nowéj się napaści obroniłem skoro
Głaz pamiątek kupiwszy za para pięcioro.
I szedłem z Arabami w piramidy łonie
Szukając drzwi — te były na zachodniéj stronie.
Przed drzwiami do niskiego podobną pagórka
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiéj dziecięcia mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze,
Trzeci lazł rakiem świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I śliskiemi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w Komnacie Królowéj.
I daléj korytarzem trumnianego ula
Pełznąc, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...

Wyszedłem z granitowéj skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świécił biały,
Palm zielonością, piasków oświéceniem złotém,
Westchnąłem z głębi piersi... za niczém... a potém
Obróciwszy się czarne zapytałem guidy,
Gdzie, którędy się idzie na szczyt piramidy?
Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnéj i oświéconéj promieniami ściany.
Przemierzywszy, jak czynią podróżni roztropni,
Wielkość każdego — mnogość do przebycia stopni,
Wiedząc jak się grobowce pod nogami kruszą,
Arabom się oddałem ciałem, Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadał,
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo.

Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.
W głowy zawrocie jużem niepomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

Jak dwaj czarni z białemi skrzydłami anieli
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztéry ściany spadzistym lecące potokiem
I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem,
Patrząc na różnych w koło napisów kobierce.
Cicho — zegarek słyszę idący — i serce...
Czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
Z dala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski...
Bliżéj — pustynia... złotem oświécone piaski...
Bliżéj — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżéj — dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona — i Sfinx, i grobowce białe —
Ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak że orzeł po równéj krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwoz tworzyły głęboki
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innéj strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...

I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,

Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwony wypadków posoką;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł,
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
Polskim językiem groby Egipcyanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

W Szwajcaryi

przez

Juliusza Słowackiego.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiém czemu ta dusza, z popiołów
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do téj zbawionéj i do téj kochanki.

* * *

W szwajcarskich górach, jest jedna kaskada
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconéj głowie. —
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza —
Nic jéj nie zburzy, i nic jéj nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnie,
Przez tęczę idzie na skrajne doliny,
Szczypać kwitnące róże i leszczyny,
Lub jaki gołąb co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie —
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niéj moje oczy! —
A za tym zmysłem co kochać przymusza
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,

Że chciałem do niéj przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się i zgaśnie i zniknie!
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją!
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnofarbnéj bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

* * *

Poszedłem za nią przez góry, doliny —
I szliśmy razem u stóp téj lawiny,
Gdzie śnieg przebiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą — jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza śrebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnéj ucieka.
Pamiętam chwilę — poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blizko, złote, nieruchome —
I utopiły oczów błyskawice,
W kochanki mojéj błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchomie obie,
Głowy promienne pokładły na sobie!
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jéj przyleciał do mnie —
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył że oczów nie mrużę,
Całą jéj białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta,
Rumieniec kwiatu co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca,
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

* * *

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jeziór błękitami —

I nie wiem czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem;
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niéj z wody!
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była wszystko robić ze mną.

* * *

Raz — że nie była niebieskim aniołem
Myślałem całe długie pół godziny! —
Wyspowiadałem się potém z téj winy —
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos że mię kocha —
I odesłała mię znów na jezioro;
Łódkę swą piersią odtrąciwszy białą —
A ja — ach nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mię anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono —
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty? —
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie —
Wtém zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niéj z błękitu przybiegła.

* * *

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów

Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy:
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

* * *

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
Przez jasne łąki do lodowéj groty.
Tam ję obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole méj jasnéj królowéj,
Perłami okrył wszystkie polne róże.
I że sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną,
Deszczem spadały, na białą i skromną.
Słysząc że ściany płaczą coraz głośniéj,
Cała się szatą okryła zazdrośniéj,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niéj
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niéj:
Ave Maria! — — —
Jak biała róża kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętéj;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętéj.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta co imię ukochane kreśli,

Lub o błękitnych jakich czuciach — myśli. —
Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody;
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy —
Lecz prawda rzekła: jeżeli się męczy
Ta jasność słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija:
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
Ave Maria? — — —

* * *

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory.
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury! —
O moja luba! tam pójdę za tobą.
A jeźli z takiéj nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
I ulecieli z plejadów gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

* * *

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wisień na około rosło,
Ile słowików na wiśniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić —
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie —

Łąka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże i nas i słowiki.

* * *

Lecz nadto było cyprysowéj woni,
I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą —
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy niczem niestrwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtém duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jéj umalował,
Że nic wiem dotąd jak się wszystko stało;
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtém nagle — w jasnéj kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami. —
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

* * *

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza; cichsza, i bielsza i bladsza,
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętéj lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni,
Ręce na białą zakładała szyję;
Jak ta, co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilia jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tém źródle, co bije
Na jasnéj łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica co z rąbkami czeka;
Lilia jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem że śpiąc, o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem, kwiatu potrąciła pręty;
I liliowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niéj upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilia winna.

* * *

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było że nie wiedząc płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie,
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom —
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichéj gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślone, własnych myśli słucha.

* * *

Czy ty gdzieś teraz, o miła, z rozpaczą
Aniołom Boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą,
Że była burza gromami czerwona.

Że była grota posępna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś Boskiéj kary;
I skaga smutna czystych nimf, podziemna?
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy —
I ptasząt nas tam obudziły gwary —
Mówisz ty o tém ? jak ta, co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka,
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionem na błękitach czołem —
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
I taką jak ty mieć moją — na ziemi,

* * *

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanéj rozwieszona chmurze.
Wyszła — i naprzód ją zdziwiły róże
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie.
Zda się że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła:
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojém przezroczystszą białość,
Żywszy ust koral, i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu
I więcéj na mnie nie podniosła oczu.

* * *

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,

I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszéj źródła po murawach dyszą. —
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czém cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatkiem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyanny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny —
O takiéj chwili, ach, dwa serca płaczą!
Jeźli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czém zapomnieć — zapomną.
O takiéj chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

* * *

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc wbiegła do sosnowéj chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okienice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice
Wybiegła do mnie — myślałem że padnę! —
Ani jéj oczy kiedy takie ładne,
Ani jéj usta takie były świeże,
Motyla miała czarnego na głowie —
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże —
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnéj gazy patrzały ciekawe,
Napół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe,
Wiedząc że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem że mu to skrzydło połamię —
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą!
Szalet się oku wydawał jak trumna;

Maleńki, cichy — kiedym spojrzał z góry:
Nasz ogród z wisień jak cmentarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody! —
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite ćwiekiem śmierci okiennice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry —
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany;
Krzyżyk na celi gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi. —
Pamiętam tylko że promyk zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi;
Kiedy na palec jéj zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek. . . . .
. . . .

* * *

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią —
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować —
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jéj rysy;
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
Myśląc że groby o niéj co powiedzą.

* * *

Jest pod mojemi oknami fontanna
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;

Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szybka szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami!
To drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie —
Mówią mi o niéj — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i ach! nie umieram —
I co dnia, budząc mię fontanny, płaczą. —

* * *

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem jak sobie jéj postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem,
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała? — lub wieczorem
Od alp, na śniegu różowych — różowa? —

* * *

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą
Tam pójdę? aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biédną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno!
I wszędzie mi źle — i wiem że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tém,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę.

Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

---

2) Dumki, Elegie i Treny.

Wstęp do Dumek.

A. B.

Wstańcie odgłosy z rodzinnéj ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i wiejska cisza was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa;
W jedną się wiążcie pieśń!

Wstają: tu wrotka wiekiem skażona
Owdzie zmącona wieść;
Jak zdrój z czystego wytrysła łona,
Poiła wdziękiem długie plemiona;
Cicha i miła
Do cnót budziła,
Wpajała ojców cześć.

Tam tęskne córy z mokrą powieką,
W piersi znamiona burz;
Owioń ich myśli błogo i lekko,
Szanuj ten smutek i łzy, co cieką.
Cichym i czystym,
Żalom ojczystym
Ojczystą nutą wtórz.

Oto skrzydlaty rój przez zagony
Długi zaściela kir;
Szumią i gwarzą kawki i wrony:
To naszem ciałem tłum wypasiony
W radośnym chórze
Zwiastuje burze,
I nowy wietrzy żyr.

Tam ruch i wrzawa kona w uboczy,
Ściany pokrywa mech:
Ciężko i dziko czas się tam toczy,
Wieczystym mrokiem przygasły oczy,
W łonie znędznionem
Przewlokłym skonem
Leniwy ślęczy dech.

Już, już znękany żywot rozplotę,
Wieczny powitam dzień:
Pieśni; zaludniaj więźnia samotę,
Roztaczaj przed nim skrzydła swe złote;
Niech w barwach tęczy
Świat mu się wdzięczy,
Nim wiecznie wzleci zeń.

Tak gdy w dziedziny zawitał nasze
Stary Jagiełłów krzew,
Medyckich[1]) gajów swobodne ptaszę
Szle powitanie w gościa poddasze,
I w noc samotną
Piersią szczebiotną
Znany mu nuci śpiew.

Wiekiem stępione budzą się zmysły,
W dźwiękach utonął słuch;
Kwietny smug Niemna i wzgórza Wisły,
Z wdziękiem Jadwigi w duszy zabłysły;
Na łono spływa
Głowa sędziwa,
W niebo uleciał duch.

Wstańcie odgłosy z rodzinnéj ziemi,
Otrząście grubą pleśń;
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i wiejska cisza was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa;
W jedną się wiążcie pieśń!

1) Śmierć Władysława Jagiełły spowodowana była słuchaniem słowika w noc późną we wsi Medyce, niedaleko Przemyśla, jak świadczy Długosz.

Do Gęśli.

Bohdana Zaleskiego.

Stepowa Gęśli! (drum, drum, drum, drum),
W rozciągłéj nucie domowych dum,
Brząkam ku tobie — sam — o! samiutki;
Rozbrzmiéj na wiatry powszednie smutki.
Gęśli! my swoi — siostra i brat:
Och! od najmłodszych oboje lat,
Zawsze oboje — smutni i sami,
W pustyni sobie jęczym pieśniami.
Co bądź się sercu mojemu śni;
Myśl owa — milszych, minionych dni,
Gdzie jeno pomknie — tęskna czy pusta,
Z dumką, to szumką, wraca na usta.
Na mojéj ziemi — och! tam — o tam,
Byłoby błogo o! gęśli nam:
Wieszczy ów Bojan, sławni hetmani,
Znówby ożyli dla nas i dla niéj.
Kość z kości ojców — Słowianin — Lach;
Lachy, Słowianie — jak w moich snach,
Jak w mojéj nucie i słowach pieśni,
Byliby sobie bracia rówieśni.
Młodzian, co dumką, utęsknia w bój,
Dziewczę, co dumką żal koi swój,
Brat gdzieś po gęśli, co z mogił dzwoni,
Głosby podali ku nam dłoń w dłoni.
Szumki, jak pszczółki od lubych pól,
Wrzałyby — brzmiały — z ula, to w ul,
I nieustannie setnia za setnią
Ssały na kwieciach krasę ich letnią.
Dziś oto muszę śród cudzych ziem,
Milczkiem się biedzić swym wieszczym snem:
Niechcę oklasków słowiańskiéj rzeszy,
Bo bez méj Polski nic mnie niecieszy.
Jeżeli śpiewam niekiedy tu,
To aby w piersiach sprobować tchu,

Czy po staremu lekki i czysty,
Stepowe wiatru wygra poświsty.
Żeby to rychléj, żeby och — och!
Z nóg moich cudzy otrzepać proch:
Bojan ja młodszy, jako ów stary
Z pod serca Ziomkom rozbrzmiałbym czary.
Stepowa Gęśli! (drum, drum, drum, drum,) —
W rozciągłéj nucie domowych dum,
Brząkam ku tobie — sam — o samiutki:
Rozbrzmiéj na wiatry powszednie smutki!

S t e p.

Bohdana Zaleskiego.

Szumią trawy i burzany
O! zielono skróś — o! sino
Jako fale wciąż kurhany,
Step — a step — a rozbujany
Morze twoje, Ukraino!
Kędy wzdłuż i wszerz za Turkiem,
Koń i Kozak chodzim nurkiem.

Witaj — wielki Mogilniku,
Krwią praojców naszych żyzny!
Co w około zgiełku — kliku?
Tabunowych stad bez liku,
Trzód bez liku rogacizny,
Po nad wodą tam zieloną,
Pohasują — płyną — toną!

Patrzaj — patrzaj — nad rozdoły!
Różnowzory tłum skrzydlaty,
Który — jako gmin wesoły,
Na Chorągwie, na powiaty.
Rządzą orły a sokoły,
I czerń zgodna — raźno, strojnie,
Wyśpiewuje — jak po wojnie.

Stepie — stepie nasz rodzimy,
Po Rodzicu — och! z Rodzica
Zadumane nasze lica!
My tu wszyscy Pobratymy!
Och! i Duma, to Siostrzyca,
Jako nasze — jéj oblicze,
Tęskne — dziwne — tajemnicze.

A taż wieczna tu Muzyka;
Niby rozbrzęk gdzieś gęślowy
Co niewiedzieć skąd wynika?
Och! sennliwa — jakoś dzika
Podmogilnéj wyraz mowy,
W rozpierzchnione zdaje szumy!
Czyż nie nuta naszéj Dumy?

Dumo-ż — dumo — Bojanowa!
Tu tak bujno — i przestronno
Że nabrzmieją w rozhuk słowa!
Cięży dzisiaj czemuś głowa:
Dumo! kiedyż zbrojno — konno
Hukniem w Stepie? kiedyż po nim
W szczęk orężnych, pieśń zadzwonim?

Lach-Serdeczny,[1])

na marach.

Bohdana Zaleskiego.

Czarnym Szlakiem, za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknéj dumie, krok za krokiem — tuż

1) Lach-Serdeczny, towarzysz Daszkowicza i zaraz po nim wtóry Hetman kozacki, był sławny Przecław Lanckoroński, rycerz Jerozolimski. Za powrotem do Polski wsławił się na wojnie z Krzyżakami, a późniéj upodobał sobie żywot kozacki.

Wielki żal podaje w Niebo, wszystkiemi och! dzwony.
Wraca Lach jéj, Lach serdeczny, do swéj Lanckorony.
Wóz się toczy, zrywa oczy, a nie widno w łzach:
Wóz bogaty; hej makaty! na marach bo Lach!
Za marami pan Bohdanko; a między Kozaczą,
Jazłowiecki i Sieniawski i Herbort w głos płaczą.
Wóz się toczy, zrywa oczy, prześwietla się wzwyż:
Hej buława! szabla rdzawa! hej czerwony krzyż!
Hej hetmańska zbroja sławna, po świecie szerokim!
Hej hetmański koń sierota! rży smutnie; wie po kim,
Mogił tyle! - Na mogile, co kilkoro staj,
Mary stoją, świecą zbroją i modli się kraj;
A postępni towarzysze i bojów i chwały,
Przyhuk [illegible] na około na pochód wspaniały.
„Cześć na dobie, pokłon tobie, Atamanie nasz!
Sojusz stary, szczeréj Wiary — Mołojców swych znasz:
Już ty nie nasz — my nie twoi. Hej Sojusz skończony!
Wracasz Ojcze na słobodę, do swéj Lanckorony.
Lanckorona twa Rodzona — nie puści cię w świat:
W Ukrainie, och! jedynie chwała inszych lat,
W pieśń powieje przez mogiły od rodu, do rodu,
Boś hetmanił i serdecznie, i sławnie od młodu.
Żywot krwawy — krwawéj sławy — ktoć zapomni z nas!
Lach nasz chrobry, i w czas dobry, i w najgorszy czas.
Czém Bóg darzył — żył i białym, i czarnym on chlebem:
Leżał z nami w cudzych grodach i w Stepie pod Niebem.
Żal się Boże! Step i Morze obiegli my z nim;
Grody dawne, kraje sławne, Wołosza i Krym,
Niezapomną na wiek wieków — jak z pola na pole,
Bujał Orzeł tam — i wodził swe stada Sokole.
Cześć na dobie — chwała tobie — chwała — póki nas!
Hej Serdeczny! pokój wieczny! w niepożyty czas!
Póki świata — słońca, żal nasz, żal nieukojony,
W pieśń niech wieje od Kudaku, aż do Lanckorony!“
Czarnym Szlakiem, za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknéj dumie w płacz zawodzi już;
Nabożeństwem się do Boga na Niebie przyczynia;
A wtórują głosy w głosach z Podola, z Wołynia.

Wyjazd bez powrotu.

Bohdana Zaleskiego.

Stoi jawor wedle wody,
A chyla się, chyla,
Płacze — nudzi — Kozak młody
Bo ciężka nań chwila

O! niechylaj się jaworze,
Zielonyś, młodziutki!
I tyś chłopcze w rannéj porze,
Na co ci tam smutki?

Jak się jawor chylać nie ma?
Fala śród gałęzi!
Jak z suchemi stać oczyma?
Serce na uwięzi!

Kozak żegna kraj swój wiecznie:
A gdzie w inszéj ziemi,
Tak miłują się serdecznie?
Tak tęsknią za swemi?

Jedzie — jedzie — przez dąbrowę,
Na cudze już strony;
Siodło pod nim orzechowe
I koń jego wrony.

O! za Dunaj jedzie siny,
Na chléb gdzieś tułaczy:
Swojéj lubéj Ukrainy,
Nigdy nieobaczy.

Rok za rokiem w krwawe boje.
Przez długie tam lata,
Jak potomstwo liczy swoje,
Hoduje dla świata.

Idą przecie milsze chwile,
Grób stoi gotowy!
Prosi — wszczepić na mogile,
Kalinę u głowy:

Będą ptaszki dniem i nocą
Dziobać po kalinie;
Może kiedy zaszczebiocą,
Wieść o Urainie!

1890/91.

U nas inaczéj!

Bohdana Zaleskiego.

Smutno-ż tu — smutno, bracia za Dunajem,
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą — i świat cały nudzi;
Cudzo — och pusto — śród świata i ludzi!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Och! Ojczyzna Lasza,
To wszechsłowiańska królowa, i nasza!
Bracia, zginiemy za nią, kiedy skinie.
Ale śnić będziem o swéj Ukrainie:
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj -- inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! I bujnie i miło:
Héj! nie zastępuj na drodze Mogiło!
Nie ściel się cieniem! niech sokole oko,
Kapie w burzanach lubo a szeroko!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Po nad Ukrainą,
Wskroś okolicą jarzącą się siną,
Boże śpiewaki ciągną w różne strony;
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmącony:
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Co zaśpiewam w dumie;

Co w głowie knowam — brat koń mój rozumie;
Rży po swojemu: — czy tabun pamięta?
Och! za wolnością tęsknimy bliźnięta!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Wciąż nuta żałoby,
Bo namogilna, bo pomiędzy groby,
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale,
O ich minionych i bojach i chwale.
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Dziewczyna już marzy,
Coś ze swéj dumki zwierciedli na twarzy;
Pusta Rusałka — powiewna postawa,
Piękna kochana — a tęskna i łzawa:
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Jakoś lżéj, weseléj,
Krew gra burzliwiéj; — o! wina mi nie léj;
Samém powietrzem po pianemu żyję;
A kiedy hulam — to na łeb na szyję:
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Miłość i Tęsknota,
To jak dwie prządki naszego żywota.
Boże-ż mój, Boże! łzami modlę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę — w Niebie!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

Rolnik Podolski.

Mieczysława Romanowskiego.

Cztéry wołki na ugorze
Ciągną pług przez pole.
Dumkę nucąc rólnik orze;
Nie wie jaką rolę.

Gdzie toczono bój z Tatary,
Zboże mu wyrasta:
Wiek z pamięci wypadł stary
Podolskiego Piasta.

Nie wie kto mu kruszył pęta,
Kto mu niósł zniszczenie.
Sercem ledwie zapamięta.
Dziada pokolenie.

Dziad coś mówił o zaborach
W dalekiéj przeszłości....
Pług zaskrzypiał nagle w z-orach,
Wyrył miecz i kości.

Rolnik stanął śród rozłoga,
W sercu, żal się budzi!
Westchnął, pacierz wzniósł do Boga,
Za pomarłych ludzi.

Do gitary.

Bohdana Zaleskiego.

Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tkliwéj duszy,
Brzmiących strun twych dźwięk żałośny,
Niech westchnienia me zagłuszy.
Niechaj głos twój z moim zlany,
Jak sen koi me boleści;
Niech odbity o te ściany,
Biedne serce tylko pieści.
Upój serce, upój ucho,
Łzy wytrącaj śpiewem lotnym,
Bo świat dla mnie puszczą głuchą,
Ty w niéj echem mym samotnym.
W zbiegłych moich lat kolei,
Nie zaznałem szczęścia wcale:
Prócz tęsknoty i nadziei,
Ciągły zawód, ciągłe żale.
Coraz chwila chwilę zgania,
Jako kwiaty lata więdną;
Kiedyż ziemię tę wygnania,
I wędrówkę rzucę błędną?
Ach! wieczności się nie zlęknę.
Śmierć nie budzi wstrętu we mnie,
Bo tam znajdę te dni piękne,
Których tu szukam daremnie.
Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tkliwéj duszy,
Brzmiących strun twych dźwięk żałośny,
Niech westchnienia me zagłuszy.

Pieśń Pielgrzyma.

J. N. J.

Włoska kraina przed wszystkiemi słynie,
Błękitne niebo we włoskiéj krainie;
W méj rodzinnéj — lubéj stronie
Blade niebo, ciemne błonie,
Taką wonią tchnie,
Że te piękne włoskie kraje,
Cytrynowe wonne gaje,
Nie szczarują mnie.

Z dalekiéj strony do włoskiéj krainy
Przychodzę, święte łzy skropić ruiny:
Lecz méj ziemi każdy kątek
Tyle świętych ma pamiątek
Z jéj zamierzchłych dni,
Że na wielkim świata grobie
Chciałbym płakać — ale w sobie
Nie znajduję łzy.

Cicho — z wiatrami pieśń jakowaś płynie..
Czarowne, mówią, pieśni w téj krainie;
Może z dawnych lat zbłąkana
Rzewna nuta Krakowiana
Słyszeć się tu da.
I w mem oku łzy już rosną....

Rybak zaczął — pieśń miłosną,
Cofnęła się łza.

Auzońskie róże! Auzońskie dziewice!
Wdzięk wasz zachwyca, a palą źrenice;
Lecz, kto raz już na tym świecie
Liliowe marzył kwiecie
W młodocianym śnie,
Ten podziwiać, uczcić może
Obcą piękność — obcą różę,
Ale kochać — nie!

Tu więc zachodni wietrzyku pieszczony!
Co słodko wiejesz w me ojczyste strony,
Roznieś drżące po dolinach —
Po mogiłach — po ruinach —
Echo żalów tych:
Może czułe powitanie
Przyniesie mi łzy w zamianę
Od współbraci mych.

Skarga Wieszcza.

L. Siemieńskiego.

Biedny wieszczu bez słuchacza,
Bez strun żywych gęśli biedna!
Jak ta ptaszka, co rozpacza
Na pustyni sama jedna.

Cóż ci potém, że dokoła
Marzysz taki raj prześliczny?
Oko płacze, serce woła;
Odpowiada gwar uliczny.

Cóż ci potém, że w podniebie
Myśl wyrywa się skrzydlata?
Chcesz co ziemskie zrzucić z siebie . . .
Ciemna więzi Cię komnata.

Strumyk brzękiem, echem skała,
Kwiatek wonią się odzywa;
Tobie pióro, karta biała —
Jeden tylko wieszcz nieśpiewa.

Oj, śpiewali niegdyś oni,
Za słowiańskich starych czasów,
Kiedy gęśl im drgała w dłoni
Śród Peruna świętych lasów.

Oj, śpiewali korowodem
Na teremie Włodzimierza,
Gdy róg żubra krążył z miodem
Od rycerza do rycerza.

Lub gdy lirnik z sioła w sioło
Szedł na gody, wieczornice;
Pieśnią rzewną, to wesołą,
Rozpromieniał, chmurzył lice.

Dla mołojców i dla dziewic
O kukułce śpiewał chwilę;
Znowu śpiewał, jak królewic
Sławny Marko zwalczył Wilę.

To od Dniepru, od Dunaju,
Znowu dumkę Haliczanek; —
Jako dziéwka kwiatki w maju,
Duch słowiański splatał w wianek

Tak bywało za Lumira,
Za Bojana.... teraz jeszcze
Serbska gęśla, ruska lira
Konająco zaszeleszcze.

Chwytaj, chwytaj czuciem, uchem,
Dźwięk w powietrzu zanim skona
Piewco młody! z silnym duchem,
Gęśli! — nowo nastrojona.

Twój świat ciasny się rozszerzy
W stepy, góry, nieboskłonem;
Gdy zapiejesz, gmin się zbieży
Abyś wstrząsał jego łonem.

Kiedyż, kiedyż dnie przeminą
One czarne — kiedyż przecie
Pieśni wieszczów znów popłyną
Z sioła w sioło, skróś po świecie? —

Zaklęte koło.

L. Siemieńskiego

Wędrowiec śpiewa, gdy go podróż nudzi;
I żeglarz śpiewa na wezbranéj fali;
Biedny wyrobnik, z piosenką się budzi,
Żołnierz, ponuca oparty na stali;
Kochanek pieśnią łzę z oczu wyłudzi,
Skarży się drzewom i wiatrom się żali; —
Mnie, choć te wszystkie dokuczają bole,
Niemogę śpiewać w tém zaklętém kole! —
Ptaszki, codziennie, kiedy wstają zorze,
Dźwięcznémi chóry gwiazdę dnia witają;
A mnież co słońce najżywsze pomoże,
Gdy zewsząd takie chmury naciskają?
Darmo! choć palce na struny położę,
Brzękną raz dziko, i wnet się zrywają....
Kiedyż w harmonią przerodzą się bole,
Kiedyż zaśpiewam w tém zaklętém kole?
Niegdyś, gdym wierzył w gorączkowe szały,
Bywał dla pieśni tajemny zakątek;
Zwodnicze życia w około mię grały,
I, napowietrzny wił się jakoś wątek;
Dziś, one postać szatanów przybrały
Burzących świata nowego początek;
Zewsząd czyscowe dojmują mi bole,
Jakżeż zaśpiewać w tém zaklętém kole?
Baśń o łabędziu chodzi dawnéj treści:
Że pieniem, zgonu zwiastuje zbliżenie,
I, tak dźwiękami srogą śmierć rozpieści,
Że z lekka, w wieczne przenosi go cienie; —
U mnie, tu w głębi, aż tyle boleści!
Zaśpiewam — może śmierć przyjdzie na pienie...
Darmo! choć jakaś myśl siedzi tu w czole,
Nie mogę śpiewać w tém zaklętém kole.

Italiam! Italiam!

Elegia L. Siemieńskiego.

Poeta, młody, a Włochy tak blizko!
Bierz kij pielgrzymi, zwiedź bogów siedlisko,
I sztuk kolebkę, pomniki i groby,
I Rzym chrześciański, ten posąg Nioby.
Śpiesz, śpiesz za Alpy, choćbyś nic niezyskał,
Jak, żeś trzydziestu wieków prochy ściskał.
Nie kuś szatanie mową twą zwodniczą,
Nie budź tęsknoty mgłą gór tajemniczą.
Jakby tam, za nią raj sielski Tybulla
Głuchy na dźwięki gineów John-Bulla;
Jakby tam głazy niebyły głazami,
Choć tylu wieków mówią językami;
Jakby zbawienie czekało pielgrzyma? ...
Prochy i groby!... gdzie dziś grobów nie ma?!
A ty mnie jeszcze z duszą rozbolałą
Każesz iść płakać, nad przeszłością całą
Rzymskich rozwalin, lub z ostygłéj wiary
Podnosić nowe piętro u tyary,
Dostając w zamian grzechu praw ludzkości:
Sto dni odpustu i z katakumb kości.
A może śmieszniéj: bym jak Elgin wtóry
Z fresków, płaskorzeźb ogołacał mury,
I niemi zdobił, śniegami zawianą
Na naszych stepach lepiankę słomianą?...
Więc niechcesz gruzów? — człeka badaj, człeka,
Duch jego w formę troistą się ścieka:
Religii — niebios błękitnych — umnictwa —
Trzy najwspanialsze Italii dziedzictwa!
Bierz kij pielgrzymi; choćbyś nic niezbadał,
Jak żeś z krwią Bruta, lub Rienzich gadał.
Marna to wielkość onych bożków Bzymu,
Których sława nie stoi za kłąb dymu,
Co się z męczeńskich stosów w górę ciągnął,
Gdy gołąb orły, w wóz tryumfu wprzągnął.
A jednak państwo miłości, pokory,
Ma swą purpurę i swoje liktory;
Wrzącym przesądem, jak słońce równika
Pali śród siesty czaszkę lazarona,
Co pod kolumną rzymskiego portyka
Utracił wolę do życia.... i kona!
Piękne mi niebo, piękny cud Madony!

Dziwni umnicy: Rafał i Torkwato,
Co swoim pędzlem, swoimi bardony
Ubogacili ziemię tak bogatą,
Dziatwę jéj karmiąc dziewięciu muz mlékiem.
O wy niebaczni! Śród takich pamiątek
Zabyć wam było Romula początek,
I wilczym wnuków nienakarmić szpikiem?
Krew bohatyrów byłaby w nich wściekła
Na wykupienie z Dantowego piekła.
Patrzcie! śnią teraz, jak w nudów świątyni,
Duchy ich wstrząsa smyczkiem Paganini,
Improwizator, skoczek, lub kastrata,
Wodzą na pasku dawnych królów świata.
O ziemio Bogów, wieszczów i malarzy!
Stopa pielgrzyma ciebie nie znieważy.

Nad niemowlęciem.

Elegia K. Z.

Dobrze ci dziecię u matki na łonie
Bawić się marząc snami anielskiemi;
Tak żyje kwiatek w pączkowéj osłonie,
Zanim się dowie o wietrze i śronie,
Zanim się dowie o ziemi!
O! długo jeszcze, długo moje dziecię
W błogim pokoju żyć będziesz na świecie,
Nie obeznane z przyszłym twoim losem;
Bo gdzieżby nalazł tak złego człowieka,
Coby miał serce, puszczyka głosem
Wróżyć dziecinie, co ją w życiu czeka.
Nad twą kolebką świetne przepowiednie,
Wróżby o szczęściu i o sławie brednie
Zanucą ludzie; matka się rozpłacze
Łzami radości, w ojcu zakołacze
Serce i duma zabłyśnie z oblicza,
A ludzie skrycie pomyślą obłudni:
Szczęśliwy, komu nadzieja zwodnicza
Pustkę żywota zaludni.
Rodzice twoi poniosą cię w drodze,
Aby cierń życia nie uwiązł w twéj nodze;
Lecz wnet wolnością serce twe zapłonie,
Westchniesz, zatęsknisz u matki na łonie,
I będziesz prosić: puścić z objęć ciasnych,
Niechaj pobiegam doświadczyć sił własnych.
A oni puszczą; bo czyli odmienia

Przeznaczeń koléj boleść rozłączenia?
Idź! rzekną, ręką pokażą ci drogę,
Pobłogosławią i dadzą przestrogę.
Wtedy twa młodość potrzepnie skrzydłami,
Jak wypuszczona z arki gołębica;
Rodzinny korab' okrąży w około,
I zacznie igrać ze słońca tęczami,
Z szafirem nieba, z promieńmi księżyca,
Aż się utrudzi; potém okiem rzuci,
Gdzieby odpoczął, i w korab' powróci,
Bo jeszcze dla niéj lękliwéj tu wszędy
Zahuczy potop i nie da jéj grzędy.
Lecz znów wylecisz śmielszém, chybszém skrzydłem,
A szerszém kołem szybując jak wprzódy,
Odkryjesz szczyty gór wyrosłe z wody,
Zielone gaje, łąki, malowidłem
Wabiące oczy, przezroczyste zdroje,
I powiesz: jeźli zostanę, to moje;
Powiesz: tu dobrze, tu będę szczęśliwy,
I niepowrócisz z gałązką oliwy.
Lecz zapał pierwszy niedługo ostudzi
Współzalotników twoich widok — ludzi,
Każdy z nich, patrząc na te same zdroje,
Gaje i łąki, wyrzeknie: to moje!
I chciwem okiem spoglądając na nie,
Ślepy za szczęście weźmie panowanie.
Nastąpi krwawa walka z téj przyczyny,
W niéj trzeba mazać pierworodne winy
Krwią piersi i potem czoła,
W niéj trzeba spełnić w uczynku i słowie,
Co za nas chrześni przyrzekli ojcowie,
O co Bóg, ludzkość i ojczyzna woła.
Straszna to walka; lecz gorzéj po walce,
Gdy pamięć długie wyciągnie swe palce,
W stronę przeszłości; a my ze łzą w oku
Za tą wskazówką śledząc rok po roku
Widzim na wspomnień rozwitym obrazku
Tylko młodość w całym blasku,
Tylko dzieje niepamiętne,
I nadzieje wielkie — zwodne,
I pomysły życia godne,
Przemarzone, jakby we śnie,
Przetrawione w popiół, w pleśnie!
A w końcu, z czarów obdarta szaty
Rzeczywistość stoi naga

Bicz ją prawdy do krwi smaga;
Jeźli milczy i niebłaga,
Wtedy ludzie wpół boleją;
Jeźli skarży się i żali,
Wtedy ludzie w głos się śmieją;
A ją ogień wstydu pali. —
O niech ci dziecię kochane najdłużéj,
Jak dziś w kolebce, tak w obłędzie złotym
Ukołysany pokój oczy mruży,
Bo pod doświadczeń życia ciężkim młotem,
Jeźli jest rozkosz, to prędko uciecze,
A za nią smutek, jak ślimak się wlecze;
Jeźli jest szczęście to w chwilach natchnienia,
Kiedy wątpliwość ciężka jako ołów
Opadnie z duszy, a pieśń dziękczynienia
Złączy się z hymnem aniołów.

Elegia.

J. N. J.

Czaruje mnie wdzięk mowy w nadobnéj kobiécie,
Jakiś żar w serce leją usta koralowe:
Lecz ciebie ukochałem nad wszystko na świecie,
Boś ojczystą nad inne polubiła mowę.

Lubię mowę ojczystą! dziwna to jest cnota!
Któréj umysł poczciwy niełatwo zrozumie;
Nigdy orzeł jaskółczéj pieśni nieszczebiota,
Ani palma podrzeźniać szum dąbrowy umie.

Każda gwiazda na niebie swoim blaskiem płonie,
Każde ptasze — kwiat każdy pod niebios budową
Ma swój język — swe pienia — swój kolor — swe wonie;
Polki! a wy rodzinną wzgardziłyście mową.

Powiedzcie nam dziewice wysokiego rodu!
Których umysł górować winien nad innemi:
Czemu wy nad woń róży własnego ogrodu
Przenosicie mdły zapach kwiatów obcéj ziemi!

Wszak narzecze Słowiańskie pozorem nie kłamie;
W każdym dźwięku myśl cała i ognista drzémie,
Jak gościnność w ich sercu — jak w boju ich ramię;
A tak rzewna i tęskna, jak całe to plemię.

Powiedzcie — lub uwierzcie! a wdzięki waszemi
Obudzicie proroki z piorunnemi słowy;
A hymny ich usłyszą ludy wszystkiéj ziemi,
I powiedzą: zaiste uczmy się téj mowy!

O matki! gdy jedyne śmierć wam wydrze dziecię,
A boleść szponą ściśnie, a łzy w oczach staną,
Powiedzcie, co wy wtenczas nieszczęsne robicie,
Aby z serca wypłakać stratę ukochaną.

Przecież, między znanemi mało wam księgami
Jest jedna, co i rozpacz najdziksza utuli,
Księga rodzicielskiemi zapisana łzami;
Matki! znacie wy żale ojca po Urszuli? ....

Płaczemy nad leżącą w ruinach budową,
Na którą w gniewie swoim dmuchnął Pan Syonu;
A z sercem rozdwojonem — z pomięszaną mową
Chcielibyśmy podźwignąć — wieżę Babilonu!

Nauczajcież choć tyle wielkich ojców syna,
Aby po śmierci znalazł odpowiedź gotową,
Gdy nań krzykną przodkowie — jak Bóg na Kaina:
„Nieszczęsny! coś ty zrobił z ojców twoich mową?"

O! miejmy choć raz litość nad sobą samemi:
Kiedy w nas niebo karze zardzewiałe grzechy,
Nie deptajmy z pogardą nogami własnemi
W wielkich Zygmuntów suknią ubranéj pociechy.

Bo widzicie — i nasi błądzili przodkowie:
Byli nadto szlachetni — żyli za poczciwie;
A ścigając Rzymiany w radzie — w boju — w mowie,
Zapomnieli, że kwiaty więdną na ich niwie.

Lecz czasy były inne — czas zmazuje winy;
Dla nich grody złociste rozwierały bramy,
Oni kordem pisali bohaterskie czyny,
Oni byli Rzymianie — a my..... a my..... a my

Ty płaczesz, moja luba! — weź twą arfę skoro,
Niech jęknie jak sierota po macierzy zgonie:
Zanuć mi — o rycerzu ległym pod Cecorą,
Bo i w mém gorycz wspomnień rozewrzała łonie.

Żeglarz.

Elegia A Mickiewicza.

O morze zjawisk! Skąd ta noc i słota!
Była jutrznia i cisza, gdym był blizki brzegu:
Dziś, jakie fale, jaki wicher miota!
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu:
A więc porzucić korab' żywota?..
Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziemy dłużej ćmieni, więcéj kołatani...
Lecz wszystko z nami w tych falach przepadnie?
Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niéj wylecieć, ani zginąć na dnie?
Co żyje, niknie: tak na mnie świat woła...
Za cóż głos ten wewnętrznéj wiary nie wyziębi:
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona krąży po niezmiernéj głębi,
Póki czas wiecznie toczyć będzie koła?...
Któż krzyknął z lądu? jakie słychać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnéj skale;
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?...
Jeźli się rzucę kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleńswo, na niewdzięczność skarga!
Bo wam mniéj widne te czarne chmurzyska,
Nie słychać zdala wichru, co tu liny targa,
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska!
I razem ze mną, pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...
— Ja płynę daléj, wy idźcie do domu.

Czemu mi smutno!

Elegia Gabryelii Żmichowskiéj.

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni,
I tam, wysoko, po niebie nademną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargę jękliwą przewiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szału i losu porwana

Po szlakach drogi nieznanéj nieznana
Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie lub jéj zabraknie siły
Nad brzegiem jakiejś tam obcéj mogiły?....
Czemu mi smutno? Czy że tu w około
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło,
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita,
Żaden głos chętny: co słychać? nie pyta;
I że tak wszyscy w różne chodzą strony,
Każdy ku swojéj gwiaździe obrócony,
Każdy niedbały co na drodze jego,
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego,
Czołga się podle, lub zuchwale leci,
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach Bożych garść łez, krwi i błota.
Czemu mi smutno? Czy to że widziadło
Mądrości świata na duszę mi padło
I tak głęboko zapuściło szpony,
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni
Ani o cichéj modlitwie zmówionéj
Na łonie świętéj, dobréj mojéj matki,
Ani o szczęściu naszéj biednéj chatki,
Ani o staréj ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo staréj.
Pono na nutę nadziei i wiary.
Czemu mi smutno? Czy że moi wszyscy
Duszą jednacy, serca sercem bliscy,
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli,
Już sobie dawno po trudach wytchnęli;
A ja samotna jak ptaszyna biedna,
Co z swego rodu zostanie się jedna,
Gdy inne w kraje szczęśliwe ulecą,
Sama zostałam — i gdy gwiazdy świecą,
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie
Blada gwiazdeczka, lecz którejby właśnie
Duchy mojego życia promień zwiędły,
Jak mi to niańka mówiła, uprzędły.
Oh! bo mi głucho i pusto na ziemi,
Oh! bo mi tęskno, tęskno za mojemi,
Co się w dębowej trumnie położyli,
Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,
Lecz poszli razem, a mnie zostawili
Tak samą, że już nie mam kochać kogo!....

Więc smutna jestem — smutna, bo wiatr wieje,
Bo między złemi ludźmi sama chodzę,
Bo mi nauka zabiła nadzieje,
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze
Wszystkich kochanych. Oh! tak nie jest przecie!
Mężniejsza na te ciosy dusza młoda:
Wiem, że nie zawsze na niebie pogoda,
Wiem, że nie zawsze cnota jest na świecie.
Zdawnam przywykła w jesienne zawieje
Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje;
A złością ludzką dobrego nie mierzyć,
Boć cnota ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,
Wierzyć bezwzględnie, bez warunków szczerze,
Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierzę.
Oh! nie! mnie nigdy ksiąg uczonych karty
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły;
A Bóg to wyraz niczém nie zatarty,
Co jak go wieki w naturze skreśliły,
Tak znowu wieki z wieków się wyprzędą,
I zawsze w końcu: Bóg — Bóg, czytać będą.
Po wszystkie strony był lot myśli mojéj,
Wszystkich ustami zaczerpnęłam zdroi,
I próbowałem pomysłu każdego,
A tłem wszech rzeczy było Imie Jego. —
Więc też spokojna na Boga się zdałam,
I nie tak gorzko umarłych płakałam,
Ja co mam umrzeć — oh! ja nie na groby
Tyle wylałam cierpienia, żałoby,
Ale mi smutno — bo dziś jako cnotę
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną —
A chyba w sądu godzinę okrutną
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić niewolno!

Dumka Wygnańca.

Teofila Lenartowicza.

Na dolinie na zielonéj
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa,
Na niéj lipy i topole;
Poza wzgórzem śrebrna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki takież prawie,
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnéj trawie,
I bławatki rosną w zbożu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał: żem już w kraju.

Jaka cicha szczęsna chatka,
Przy niéj matka, dziewcząt dwoje;
Czemuż to nie moja matka,
Czemuż to nie siostry moje?
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy,
Czemuż się nie cieszę z wami,
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone,
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzież mnie wiedziesz, w którą stronę?

Płyńcie! płyńcie łzy tęsknoty
Nie utulne łzy tułacze,
Może jeźli dzień przepłaczę
Noc przyniesie mi sen złoty.

Smutno mi Boże! 1890

Juliusza Słowackiego.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowéj wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiém, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiém morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom,
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju niewinnéj dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiém, że mój okręt nie do kraju płynie
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi Boże!

Treny.

Jana Kochanowskiego.

(Po śmierci córki Urszuli).

I.

Wszystkie płacze, wszystkie łzy Heraklitowe, 1)
I lamenty, i skargi Simonidowe: 2)
Wszystkie troski na świecie, wszystkie wzdychania,
I żale, i frasunki, i rąk łamania:
Wszystkie a wszystkie zaraz w dom się mój znoście,
A mnie płakać méj wdzięcznéj dziewki pomożcie:
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła,
I wszystkich moich pociech nagle zbawiła.
Tak więc smok, upatrzywszy gniazdo kryjome,
Słowiczki liche zbiera, a swe łakome
Gardło pasie; tymczasem matka szczebioce
Uboga, a na zbójce coraz się miece
Próżno: bo i na samą okrutnik zmierza.
A ta nieboga ledwie umyka pierza.
Próżno płakać, podobno drudzy rzeczecie:
Cóż prze Bóg żywy, nie jest próżno na świecie?
Wszystko próżno: macamy gdzie miękcéj w rzeczy,
A ono wszędy ciśnie: błąd wiek człowieczy.
Niewiem, co lżéj, czy smutku jawnie żałować.
Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować.

II.

Jeźlim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić:
Bodałżebych 3) był raczéj kolebkę kołysał,
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał:
Któremiby dziecinki noworodne spiły.
I swoich wychowańców lamenty tuliły.
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniéj było,
Niźli w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło.
Płakac nad głuchym grobem méj wdzięcznéj dziewczyny
I skarzyć się na srogość ciężkiéj Proserpiny.
Alem użyć w obojgu jednakiéj wolności
Nie mógł: owom ominął, jako w dojrzałości
Dowcipu coś rannego; na to mię przygoda

---

1) Heraklit, filozof głęboki a ciemny, który podobno zawsze nad ludźmi płakał. 2) Simonides, poeta liryczny, pierwszy Elegik, pisał Elegie na cześć poległych w wojnie Perskiéj. 3) Bodaj żebym.

Gwałtem wbiła, i moja nienagrodna szkoda,
Ani mi teraz łacno dowiadać się o tém,
Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potém.
Nie chciałem żywym śpiewać, dziś umarłym muszę;
A cudzéj śmierci płacząc, sam swe kości suszę.
Próżno |to, jakie szczęście ludzi naśladuje,[1]
Tak w nas albo dobrą myśl, albo złą sprawuje.
O prawo krzywdy pełne: o znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!
Takli moja Urszula, jeszcze żyć na świecie
Nieumiawszy, musiała w rannym umrzeć lecie?
I nienapatrzywszy się jasności słonecznéj,
Poszła nieboga widzieć kraj ów nocy wiecznéj,
A bodaj była ani świata oglądała:
Co bowiem więcéj, jeno ród, a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

III.

Wzgardziłaś mną dziedziczko moja ucieszona,
Zdałać się ojca twego bardziéj uszczuplona
Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niéj miała.
To prawda, żeby była nigdy nie zrównała.
Z rannym rozumem twoim, z pięknemi przymioty,
Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony,
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
A ty pociecho moja, już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojéj tęsknocie ukrócisz.
Nie lża, nie lża,[2] jedno się za tobą gotować,
A stopeczkami twemi ciebie naśladować:
Tam cię ujrzę, da Pan Bóg: a ty więc z drogiemi
Rzuć się ojcu na szyję rączkami swemi.

IV.

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
Żem widział umierając miłe dziecię swoje,
Widziałem kiedyś trzęsła owoc niedojrzały:
A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.
Nigdyćby ona była bez wielkiéj żałości
Mojéj umrzeć nie mogła, nigdy bez ciężkości
I serdecznego bolu, w któremkolwiek lecie,
Mnieby smutnego była odbiegła na świecie:

1) Idzie w ślad. 2) Nielatwo, trudno, inaczéj być nie może — tylko.

Alem ja już z jéj śmierci nigdy żałościwszy,
Nigdy smutniéjszy nie mógł być, ani tęskliwszy.
A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim,
Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim.
A przynajmniej tym czasem mógłem był odprawić
Wiek swój, i Persephonie ostatniéj się stawić:
Nie uczuwszy na sercu tak wielkiéj żałości,
Któréj równi nie widzę w téj tu śmiertelności.
Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
Swoich najmilszych dziatek patrząc, skamieniała.

V.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem,
Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem:
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc;
Tę jeźli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy,
Uprzątając sadnik ów podciął ukwapliwy,
Mdleje zaraz: a zbywszy siły przyrodzonéj,
Upada przed nogami matki ulubionéj.
Takci się méj najmilszéj Urszuli dostało:
Przed oczyma rodziców swoich rostąc,[1] mało
Od ziemie się wzniosłszy, duchem zaraźliwym
Srogiéj śmierci otchniona, rodzicom troskliwym
U nóg martwa upadła. O zła Persephono,
Mogłażeś tak wiele łzom dać upłynąć płono?

VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Sapho[2]) Słowiańska,
Na którą nie tylko moja cząstka ziemiańska,
Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaść miała:
Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając:
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym,
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła: nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga.
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami:
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę, ucałowawszy, takeś żegnała:
Już ja tobie moja matko służyć nie będę,

1) Rosną — stąd rość. 2) Sappho, czuła i kwiecista Poetka Grecka z wyspy Lesbos.

Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę:
Przyjdzie mi klucze położyć, saméj precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać,
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcéj, był jéj głos ostateczny.
A matce, słysząc żegnanie tak żałośliwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe.

VII.

Nieszczęsne ochędostwo, żałośne ubiory,
        Mojéj najmilszéj córy:
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?
        Żalu mi przydajecie;
Już ona członeczków swych wami nie odzieje:
        Niemasz, niemasz nadzieje.
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany:
        Już letniczek[1]) pisany,
I uploteczki wniwecz, i piaski złocone:
        Matczyne dary płone
Nie do takiéj łożnice moja dziewko droga,
        Miała cię mać uboga
Doprowadzić; nie takąć dać obiecowała:
        Wyprawę, jakąć dała.
Giezłeczko[2]) tylko dała, a lichą tkaneczkę:
        Ojciec ziemie bryłeczkę
W główki włożył; niestetyż: i posag, i ona,
        W jednéj skrzynce zamkniona.

VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Urszulo, tym zniknieniem swoim.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszystki mówiła, za wszystki śpiewała,
Wszystkieś w domu kąciki zawżdy pobiegała.
Nie dopuściłaś matce nigdy się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytnim głowy psować:
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając,
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając,
Teraz wszystko umilkło: szczere pustki w domu,
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu.
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje:
A serce swéj pociechy darmo upatruje.

1) Ubiór kobiécy letni. Koszulka.

IX.

Urszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystki nieba wysoko wniesiona:
I tam w liczbę Aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta, czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe
Charon jeziora wiezie? i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
Gdy człowieka zrzuciwszy, i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę, i piórka słowicze?
Czyli się w czyścu czyścisz, jeźli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwéj była,
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jeźliś jest, lituj méj żałości,
A nie możeszli w onéj dawnéj swéj całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną,
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

X.

Żaden ojciec podobno bardziéj nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziéj nad mię nie żałował.
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było:
Ochędożne, posłuszne, karne, niepieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć, i zabawę:
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewliwe,
Dobrowolne, układne, skromne i wstydliwe.
Nigdy ona poranu karmie niewspomniała,
Aż pierwéj Bogu swoje modlitwy oddała;
Nie poszła spać aż pierwéj matkę pozdrowiła,
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawżdy przeciwko ojcu wszystki przebyć progi,
Zawżdy się uradować, i przywitać z drogi.
Każdéj roboty pomoc: do każdéj posługi
Uprzedzić było wszystki rodziców swych sługi.
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcéj nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wiele cnót jéj młodość, i takich dzielności
Nie mogła znieść: upadła od swojéj bujności,

Żniwa nie doczekawszy. Kłosie mój jedyny,
Jeszcześ mi się był nie stał, a ja twéj godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję;
Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję:
Bo już nigdy nie wznidziesz, ani przed mojema,
Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnemi oczema.

XI.

Moja wdzięczna Urszulo, bodaj ty mnie była,
Abo nieumierała, lub się nie rodziła;
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tém nieodpowiedném pożegnaniem twoim.
Omyliłaś mię, jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy:
Potém nagle uciecze: a temu na jawi,
Z onych skarbów jeno chęć a żądzę zostawi.
Takeś ty mnie Urszulo droga uczyniła,
Wielkieś nadzieje w mojem sercu roznieciła:
Potemeś mię smutnego nagle odbieżała,
I wszystki moje z sobą pociechy zabrała,
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, dusze połowicę;
Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.
Tu mi kamień Mularzu, ciosany połóżcie,
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydróżcie:
Urszula Kochanowska, tu leży kochanie
Ojcowe, albo raczéj płacz i narzekanie,
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała:
Nie jać onéj, ale mnie ona płakać miała.

---

3) Pieśni Epiczno-Liryczne, Sielanki i Gawędowe Obrazy.

S. R. 1890.

Dumku Mazepy.[1])

Bohdana Zaleskiego.

Słońce idzie jakby spało,
Dym połykam i kurzawę,
Ubieżalem mil dwie mało,

Wzdłuż i poprzek przez Warszawę,
Pożegnałem wszystkie kąty,
Raz, i drugi i dziesiąty.

1) Mazepa, Kozak, był paziem przy królu Janie Kazimierzu, ale nienawidząc Polaków, którzy Kozactwo uciskali, za zbliżeniem się Chmielnickiego pod Zamość połączył się z rokoszanami.

Zawiślańskie przecież knieje
Już tumany snują mroczne;
Zimny pot się z czoła leje,
Niech podumam i wypocznę.
Gdzieżeś, gdzieżeś mój torbanie?[1])
Na zamkowéj wisisz ścianie.

Zostań, zostań w poniewierce,
Zakurzony i pogniotły.
Oh! wyskoczy z piersi serce
Gdy mi zagrzmią trąby kotły;
I jak serce, szabla w dłoni
Po raz pierwszy w takt zadzwoni.

Polko piękna! Polko hoża!
Wstecz nie płyną wody, rzeki,
Twój kochanek z Zaporoża!
Już nie wróci na wiek wieki:
Gdzieś daleko u Rusinek,
Znajdzie miłość i spoczynek!

Niechaj kole cierniem róża.
Niechaj parzy mnie pokrzywa:
Ręka z wolą się przedłuża,
I co trudniéj, śmieléj zrywa.
Cóż wam szkodzi wielkie pany,
Że cię kocham, żem kochany?

Każda piękna dla mnie równa,
Kiedym zdrowy, hoży, młody,
Czy szlachcianka, czy królewna,
Czyli żona wojewody,
Czy Rusinka, czy Czerkieska,
Wiśniowiecka, czy Sobieska.

Grzmot nie piorun, krew nie woda,
Kto wojuje, zna, co boje;
Darmo grozi wojewoda,
Darmo — groźby się nie boję!
Co to znaczą konie, stepy,
Stepy, konie dla Mazepy?[2])

Chce coś począć szumno, dumnie,
Chce ukradkiem zejść mię nocą;
Szabla przy mnie, koń mój u mnie,
Czego siedzieć, czekać po co?
Po co tutaj być mi paziem,
Gdy gdzieindziéj będę kniaziem.

Tu i młodzież się popsuła,
Głos *„do broni!“* brzmi jak w boru;
Przecież lepszy Assawuła,[3])
Niźli kanclerz wasz u dworu.
Każdy chrzci się giermkiem hucznym,
Nikt chorążym, nikt buńczucznym.

Niech nam Kudak i ostrowy,[4])
Zaporożców pięć tysięcy,
W pasie kinżał, ostry, nowy,[5])
Nie — nic w życiu nie chcę więcéj
Wolę niźli panów panem,
Ukrainskim być hetmanem.

Zagram Lachom i potańczę,
Dajno Boże wynijść w pole!
Jak powietrze, jak szarańcze
Zbiegniem Litwę, Ruś, Podole;
Po staremu ogniem, mieczem,
Wytniem, spalim i ucieczem.

Niech husarze krzyczą, gonią,
Trąbią hańbę Nalewajki;[6])
W padniem na nich z liczną bronią
Potém w zamki i na czajki.
Nie zakuta w pancerz ręka,
Szablą w szablę mocniéj szczęka.

Znał nas dobrze kraj wołyński,
Nadniemeńskie znały bory,
Gdy hetmanił nam Kosiński,
Gdy Łoboda żył Archory.
Czy Archory gracki młodzian?
Popytajcie Siedmiogrodzian.

---

1) Torban, narodowy instrument muzyczny, dotąd w Małorossyi używany. 2) Panowie Polscy urażeni na miłostki Mazepy grozili mu, iż przywiązanego do ogonów końskich wyprawią na stepy. Z tej pogróżki urosla dzika baśń, którą Wolter w życiu Karola XII. za prawdziwą przytoczył, a za nim Bajron w znanym poemacie powtórzył. (3 Assawuła u Zaporożców znaczył porucznika. 4) Kudak, twierdza, Ostrowy, wyspy. 5) Kinżał, nóż turecki. 6) Nalewajko był ścięty w Warszawie.

I Czechryński zna starosta,
Jak od rusiéj stronić kosy;[1])
Dobrze Bohdan pierze, chłosta,
Gdy u Lachów na dół nosy:
Nie pomogła nic Łacina,
Ni Pierzyna, ni Dziecina.[2])

Rży i parska koń mój gniady;
Ciszéj, ciszéj w mieście ludno,
Pełno sideł, pełno zdrady:
Trzeba przeleść, gdzie przejść trudno.
Jek staniemy u Piaseczny,[3])
Wtedy hukniem rozbrat wieczny.

Myśmy Lachom byli wierni,
Przeciw hordom w każdéj chwili
Nim husarze, nim pancerni,
Nadciągnęli, my już zbili.
I cóż za to mamy w zysku,
Oprócz więzów i ucisku?

Król sejmuje z posły stanów,
Rada w radę, młodzi starzy,
Klną Piławce,[4]) lżą hetmanów,
Wyprawiają rejmentarzy.
Jedni w drugich dobrze radzą,
Ale rady nam nie dadzą.

O pocieszne! krzyk, hałasy!
Już Bohdana rąbią, sieką,
Biją na pal, i drą pasy,
A on tuż, tuż niedaleko;
Już wyruszył z pod Zamościa,
I po jutrze ujrzą gościa.

I my za nim daléj w nogi!
Miesiąc wéjdzie mi o milę.
Dzień zaświta o pół drogi,
Barwą dworską straż omylę;
A za dobę giermek króla
W innéj barwie znów pohula.

Daléj na koń, zmrok już dobry,
Trzy dziewiczych zórz[5]) zabłysło
I Woronicz brat mój chrobry
Daje hasło, gdzieś za Wisłą.
Bądź zdrów zamku Ujazdowa,
Piękna Polko bądź mi zdrowa!

Milsza koniu! ziemia nasza,
Niźli piaski tu Mazowsza,
Oczakowska lepsza pasza,
I Dnieprowa woda zdrowsza.
Nuże! znowu będzie w Siczy[6])
Pełno łupów i zdobyczy!

Dumka Hetmana Kosińskiego.[7])

Bohdana Zaleskiego.

Hop, hop, cwałem koniu wrony,
Leć do pułków, do méj żony;
Dłużéj chwilką,
Jeszcze tylko,
Do Stawiszcz mi służ.

Od Piatyhor, Pawołoczy;
Bieży tłumnie lud ochoczy;
Nalewajki
Lotne czajki,
Płyną Dnieprem już.

Wnet pośpieszeni rejestrowi
Ku odsieczy Czehrynowi.
Przy rozgłosie
Dum po rosie,

1) Czaplicki starosta porwał żonę Chmielnickiego i zapalił straszną późniéj wojnę. Polacy w początku nazywali ją wojną za ruską kosę. 2) Epitety nadane przez Chmielnickiego polskim hetmanom, to jest dwom Potockim i Kalinowskiemu. 3) Piaseczno trzy mile za Warszawą. 4) Miejsce gdzie Polacy klęskę od Kozaków ponieśli. 5) Trzy zorze dziewicze znaczą w dumach ukraińskich pomyślną wróżbę. 6) Sicz stolica Zaporożców. 7) Kosiński po cnotliwym Daszkiewiczu dziesiąty z ramienia królów polskich Hetman Ukrainy.

Przypuścimy szturm.

Zagra ziemia pod kopyty,
Proch pomiecie słupem wzbity;
Urah! głosy
Pod niebiosy,
Wzlecą z brzękiem surm.

Ho, ho, darmo — nigdy w stepie
Zdrad tatarskich nie prześlepię;
Jak się biją?
Gdzie się kryją?
Znam jak Murza hord.

Umiem znagła wpaść na karki
Rąbać szablą, grzmieć z jańczarki;
W lewo, w prawo,
Szybko, żwawo,
Nieść ogień i mord.

Widać, widać już Stawiszcze,
Wiatr wchorągiew miasta świszcze;
Daszka szyki,
Brzmią w okrzyki;
Biją dzwony z wież.

Dniowa gwiazda chmurna, blada,
Za Krzywiecki las zapada;
Wrony koniu
Po tém błoniu,
Prędzéj, prędzéj bież.

Miga w dali dwór mój biały,
Grają trąbki, grzmią wystrzały,
Widna moja
Złota zbroja;
Sokół, chart i koń.

I ot stoi tam u drzewa,
Moja młoda czarnobrewa,
Piękne oczy
Łzami moczy;
Załamuje dłoń.

Łez i oczu żal się Boże!
Cóż łamanie rąk pomoże?
Kiedy wola
Sejmu, króla,
Każe bić się nam.

Wolniéj, wolniéj koniu chyży!
Niech się luba moja zbliży.
Stój, stój chwilę!
Niech się schylę.
Połacunek dam.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Śmierć i życie w mocy Boga;
Proś Go lepiéj,
Niech pokrzepi:
Natchnie męztwem nas.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Wrócę zdrowy, — w łasce Boga,
Przez las, dołem;
Z psem, sokołem,
Wrócę w ranny czas.

A gdy śpiącą cię zastaniem,
Zbudzę głośném całowaniem,
Klasnę, świsnę,
Zbroją błysnę,
Z czoła otrzesz znój.

Nie płacz, nie bluźń, czas upływa
Bądź mi zdrowa i szczęśliwa!
Próżne słowa;
Bądź bądź, zdrowa!
Daléj koniu mój!

Duma Luidgardy.[1])

Franciszka Karpińskiego.

Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu,
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

1) Luidgarda, żona Przemysława, książęcia Poznańskiego, którą tenże książę, że była niepłodna, zamordować kazał. Była ona księżniczką Syrbską czyli Kaszubską.

Smutna matka w dłoń uderzy;
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyszle mi braty obrońce,
I łuków Syrbskich tysiące.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Ale stójcie, Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne!
Choć mię Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić.
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato,
Że mię mej młodości zbawił:
Onby się może poprawił.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Szczęśliwsza wiejska dziewico!
Której miłość tajemnicą,
Nie zna jeszcze serca pana:
I ty, co kochasz, kochana.
Ja króla mężnego żona,
Kochając go, pogardzona;
Gdy mi dojmie rozpacz sroga,
Bluźniąc, klnę siebie, i Boga.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Czego błyszczysz, złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne;
Ten lud przedemną schylony,
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się, mężu twardy!....
Jeden uśmiech... a mniéj wzgardy...
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Ale on nieubłagany!
Pójdę do matki kochanéj,
Pójdę choć w jednéj koszuli:
Ona mię w smutku utuli.
Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwszy, dziki
Zwierz mi życia nie uszkodzi;
Na które srogi mąż godzi,
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi,
I tu mię nazad sprowadzi;
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą.
W serce, które go kochało.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Szabla Hetmańska.

(Z Pieśni Janusza.)

Zarżały konie w staro-pańskim dworze,
I rozkaz pana z ust do ust przebiega,
Pada się służba — a w sąsiednim borze

Czem-raz się bliżéj trzask biczy rozlega.
Hajducy gości czekają w podwojach
Perska makata posadzki zaściela,
Po marmurowych kominkach w pokojach
Płonie jedlina i czasami strzela.

Od czasu śmierci nieboszczyki Jejmości
Nie było jeszcze w domu tyle gości,
Ni sreber tyle w Hetmańskiéj komnacie,
Ani Kasztelan w tak bogatéj szacie;
Lecz od tygodnia gońce obesłano,
I panów w goście zaprosić kazano.
Zjechali dworno — i panicz nadjechał,
A z domu wdowca — zda się — pierzchły troski;
Wyszedł na salę, i rad się uśmiechał
Ujrzawszy syna w sukmanie krakowskiéj.
„Przybliż się Wasze, pokaż mi się przecie!
„No, lubię — lubię Waści w takim stroju —
„Zda się żeś podrósł, zmężniał moje dziecię;
„Pobłogosławić nie żal ci do boju!
„Sprosiłem na to sąsiady dostojne,
„By byli świadki jak cię ślę na wojnę,
„Jakie nauki, jaką daję zbroję:
„A gdy łaskawi na ojca i syna,
„Spełnimy razem puhar tego wina,
„Com to przeznaczył na wesele twoje:
„Bo kto tam zgadnie jako Bóg uradzi
„W téj naszéj wojnie o swojéj czeladzi?
„Więc wzniesiem puhar na powrót szczęśliwy,
„I na wygraną — a resztę wypijem,
„Jeźli powrócisz, a ja będę żywy —
„Trzewiczkiem Wandzi, albo jeszcze czyim.“

Tutaj Kasztelan poprawił wylotów,
I matce Wandy szepnął coś zalotnie:
„Miło mieć dziecię tak pięknych przymiotów.“
— A Wanda wstydem spłonęła trzykrotnie —
„O! warto walczyć, warto — jak Bóg żywy!
„Za taką dziewę — a za nasze niwy!“

„Przybliż się Wasze! — Raz ostatni może
„Daj posłuch jeszcze ojcowskiemu sercu —
„Uklęknij Wasze tu, tu, na kobiercu,
„Błogosławieństwo na twą głowę złożę,
„Może ostatnie, ostatnie mój synu!

„W niewoliś zrodzon, a nie do niewoli —
„Nie z rodu sława, ale idzie z czynu!
„Bo pomnij Wasze! ni z soli, ni z roli,
„Lecz z tego urosł Polak co go boli.
„Widzisz tę szablę? Dzielna chociaż rdzawa!
„Bo z starą zbroją chodzi stara sława;
„Nie darmo ojców malowano w zbroi —
„Słuchaj Waść jaki napis na niéj stoi:

Pocięłam szyszak na Komtura czole
A brałam Carów moskiewskich w niewolę;
Zna mię Szwed i Bisurman, sławnam przy Byczynie:
Za morzem i pod Wiedniem krzywa szabla słynie.

„Nie po kądzieli szukał chluby pono
„Kto taką szablą przed laty hetmanił;
„Nie na popisach rękojeść szczerbiono,
„Choć i tam pewno nikt jéj nie poganił;
„Sam Ojciec Święty poświęcił ją w Rzymie
„Za króla Jana — ba już sławy syta
„Była naówczas — a ksiądz Jezuita
„Jéj tu historyę skomponował w rymie.
„Jak się sprawiła i oni mężowie
„Co ją nosili, niechaj rzeką karty
„Toć nie z pod ławy kroniki wydartéj,
„I nie w jałowéj osnowane głowie.

„Lecz ród Waszeciów i o nowsze czasy
„Starą tą głownią nie z hańbą zawadził!
„Bo dziad Waszecin poszedł z nią w zapasy
„Jak to się z panem Puławskim naradził,
„A pan Naczelnik ostrze jéj pochwalił
„Gdyśmy z Krakowa na harce ruszyli —
„I nią stryj Waścin nie jednego zwalił
„Kiedy się nasi pod Dąbrowskim bili.
„Toć i dziś warta nie trusa — a męża!
„Z błogosławieństwem daję ją Waszeci
„A Waść mi tego nie skalaj oręża,
„Bo klątwa ojca piekłem cię oświeci!

Rzekł — i na syna spojrzał pełen sromu —
— „Ojcze, mój ojcze! — rzekł młodzian klęczący —
„To mnie tak groźno nie wyprawiaj z domu!"
A stary zwolniał, zawisł nad nim drżący,
I lica jego czem-raz, czem-raz bladły,

Wyloty z ramion na piersi opadły,
Chciał coś powiedzieć, a żal słowa zdławił,
Umilkł — i długo, długo błogosławił:
I cicho było w hetmańskiéj świetlicy
Jako w kościele podczas podniesienia,
A łzy błyszczały w nie jednéj źrenicy,
I można było policzyć westchnienia:
Stary Kapelan modlił się na stronie,
A dworska czeladź, stojąca u progu,
Ciężko spłakana, załamawszy dłonie,
Błogosławieństwa poleca Bogu.

Lecz któż opowie co się Wandzie działo
Gdy nad wieczorem w dziedzińcu zawrzało,
A koń na przedzie chwycił grunt kopytem,
I po trzech susach już po trakcie bitym
Leciał — już wioskę — już figurę minął —
Wstrzymał się jeszcze, spojrzał ku dworowi:
— „Bywaj mi zdrowa! — Bywajcie mi zdrowi!"
Ruszył — i niknie — jeszcze — i już zginął:
A wiatr grudniowy zeschłym liściem młyńca
Pośród pustego zahasał dziedzińca.....

Pożegnanie.

(Z Pieśni Janusza.)

Panna młoda, jak jagoda,
Stojąc we drzwiach płacze:
„Kiedyż ja cię
„W naszéj chacie
„Tu znowu obaczę?"

Przed dziewczyną, przed maliną,
Stoi chłopak zbrojny,
A koń wrony,
Kulbaczony,
Rwie się niespokojny.

Ciężka droga, bo na wroga —
Nie rwij się koniku!
W krwawym polu,
W srogim bolu
Legnie was bez liku.

„Idź gdy trzeba! Niech cię nieba,
„Niech cię Bóg prowadzi!
„Lecz ten krzyżyk
„I szkaplerzyk
„W boju nie zawadzi.

„Za wygraną zmów co rano:
„Trzy Zdrowaś, i Wierzę;
„Kto pobożny
„I ostrożny,
„Tego i Bóg strzeże.'"

Rzekła — płacze — Wrona kracze,
A to wrzask złowrogi.
Niepomoże:
Święty Boże!
Kraj nad wszystko drogi.

Przyjął krzyżyk i szkaplerzyk,
Westchnął — dosiadł konia —
Skinął głową:
„Bądź mi zdrowa!“
I ruszył wzdłuż błonia.

Ale prędzéj z szaréj przędzy
Srebrna nić wypłynie,
Niż we swaty
Do jéj chaty
Staś kiedy zawinie.

Szejne Katarynka.

(*Z pieśni Janusza. Część II**)

Pług i cztery woły na roli — za pługiem idzie kmieć i orze — obok niego postępuje Anioł-Stróż. W dali zagroda — słońce wschodzi — bocian leci na łąki ponad oraczem — Muzyka gra:

„Śpiewaj, śpiewaj skowroneczku,
Dodawaj nadzieje . . . .“

Ludzka praca — Boża wola —
To kmiec Boży, pług i rola!
Jak po morze ziemi stało
Pług zaorał Polskę całą!
Kmieć to polski, co nim orze,
A grunt ojców niejałowy,
A pług wierny, bo Piastowy —
Więc pomagaj wielki Boże!
Z pługa wyszła bojaźń Boga —
Bo człek sieje, a Bóg rodzi
Przyjaźń ludzka wyszła z broga:
Bo przy chlebie człek się godzi;
A z poczciwéj ojcowiny
Wyszła miłość i ojczyzny,
Miłość światła i kościoła,
Kiedy w ulu siadła pszczoła —
Z pługa poszło miłościwe,
I co łaskę niebios nieci,
I co w dziejach jest poczciwe,
I co w Polsce z Boga świeci!
Więc jak sądził Pan Bóg w wiecu
Tako czyń ty Boży kmiecu!
Ty się trzymaj pługa wiecznie:
Bo Bóg — ojciec, ziemia — matka!
I żywota droga gładka
Kto na roli siadał statecznie.

*) Zawiera obrazy z dziejów polskich.

O Jadwidze.

(*Z Pieśni Janusza.*)

Ukazuje się Królowa Jadwiga na majestacie, w płaszczu królewskim, z koroną na głowie a berłem w ręku. — Nie daleko wznosi się gmach Akademii Krakowskiéj.— Muzyka gra: Hajnał.

Oto Jadwiga Królowa!
Wonna róża z Piastów rodu —
A Polska pamięć jéj chowa
Jako świętości narodu!
Bo jako anioł ofiary
Ostatnia z rodu na straży
Podparła królów dom stary —
I Litwę z Polską kojarzy!
Gdy przywiodła pod krzyż Pański
Całéj Litwy lud pogański,
Pan Bóg przymierze odnowił,
Bo z krzyża do niej przemówił!
Co rzec raczył — tajemnicą,
Ale w łasce Bożéj rosła —
I tę starą szkołę wzniosła,
Która światła jest krynicą...
Choć ostatnia z Piastów krzewu,
Przecie sławna jest z posiewu
Wiary, światła i miłości,
Co narodom drogę prości:
To téż naród ją najczuléj
W wielkim ołtarzu pochował,
I tak ją wielce miłował
Że tron odtąd naszych króli
Na Jadwigi stawiał grobie —
I korona siadła sobie:
A krucyfix słynny cudem
Kirem odtąd zapuszczony —
I dziś świadczy między ludem
O téj Polsce bez korony...

O Janie III.

(*Z pieśni Janusza.*)

Na szkle pokazuje się król Jan III. na koniu w pancerzu i w koronie na szyszaku, z berłem w ręku, z buławą pod kolanem na siodle, tratujący Turków. — W głębi wre bitwa — w dali widać miasto Wiedeń z wieżą Sgo Szczepana. — W górze w obłokach Anioł sławy i „Janina“ w gwiazdach. — Muzyka gra:

„Gdy się Jan IIIci pod Wiedniem wsławił
„Głos był powszechny między Niemkami:
„„Oto król Polski! co nas wybawił — ‘
„„Jakże mu pięknie z temi wąsami!‘“

A to Jan Trzeci Sobieski!
Jako tratuje pogany —

Co widać z rady niebieskiéj
Królem jest w Polsce obrany!
Syn kościoła najgorętszy,
Czciciel Trójcy Przenajświętszéj —
Uczeń naszéj Almy — Mater,
Sława Polski — król bohater!
Piorun Boży! bicz pogaństwa!
Zbawca Wiednia — Chrześciaństwa!

Pacholęciu w staréj szkole
Stary rektor przepowiedział
Że Jaś ziści Bożą wolę
I na tronie będzie siedział.
Rycerzowi kmieć buławę
Z dawnych mogił gdzieś wypłużył —
I Jan Hetman tak jéj użył
Że na krzyża poszła sławę!

Bóg buławę zmienił w berło,
A Jan Trzeci w dziejach perłą!
I „Janina" z jego państwa
Jest puklerzem Chrześciaństwa!

I jak wielka ona tarcza,
W któréj krzyża jest obrona,
Co na wszystek świat wystarcza —
Jest na gwiazdach zawieszona!
A Jan Trzeci spoczął sobie
Po rycerskim onym boju
W starych naszych królów grobie —
Gdzie wodzowie śpią w pokoju...

O Kościuszce.

(Z Pieśni Janusza.)

Na szkle widać kopiec Kościuszki na górze Św. Bronisławy.— Muzyka gra: Poloneza Kościuszki.

Héj! uciszyć puste mowy!
Fajki z gęby, czapki z głowy —
Oto macie kopiec łzawy
Co to broni polskiéj sławy —
Hen na górze Bronisławy!
Pod nim leży człowiek prawy,
Naczelnikiem niegdyś zwany,
A od ludu ukochany:

Bo go wiódł do boju boso
A ciąć kazał wrogów kosą,
I podźwignął silną dłonią
Tych, co żywią i co bronią —
Prosi — jeźli łaska czyja —
Prosi o Zdrowaś Marya,
A komu wiara nie drwinki
Prosi o dobre uczynki.

O Warszawie.

(Z Pieśni Janusza.)

Wielkie miasto — głośna sława!
A to nasza jest Warszawa!
Druga w Ojczyznie stolica
Co całéj Polsce przyświeca:
I z miast wszystkich najludniejsze —
Pałacami panów strojne,
I z miast wszystkich najszumniejsze —
Tysiącami myśli rojne!
Jak zepsute Polski dziecię,
Lubi piękne cacka psować,
Umie grzeszyć i miłować —
Więc też głośno o niéj w świecie;
Stąd Warszawa dwa ma lica:
Czarodziejka, rozkosznica!
Wdzięczna, zdradna, strojna, wonna —
To jak święta męczennica
Krwawa, łzawa i zakonna;
Więc gdy cenne stanie w cenie,
To w narodzie i kościele
Jako Świętéj Magdalenie
Przebaczono będzie wiele,
Bo wiele kochała.

Utarczka.

K. Z.

Żartko, lotno, sadzi niwą
Siwy rumak mój;
Parska pianą, wstrząsa grzywą,
Nozdrzem wietrzy bój.

Pęd mnie łechce, lekko, miło,
W oczach miga tak,
Jakby mi się zdało, śniło,
Żem lecący ptak.

Wiatr gra w uszach, serce bije,
W żyłach kipi krew!
Myśl się tłumnie, ciemno wije,
Jak las dzikich drzew.

Słyszę, słyszę, głośniéj, bliżéj,
Łomot, tętęt, szczęk,
Granie trąbek, wycie spiży,
Rżenie, szczęk i jęk.

Widzę, widzę, błyszczy, świeci
Bratnich pułków znak;
Już z synami na żer leci
Biało-pióry ptak.

Krócéj cugle! — na dół groty! —
Koń do konia w mur!
Daléj za mną! dzielne roty,
W środek wrogów chmur.

Krzykli, błyśli — tyłem błonie,
Jnż są blizko, już.
Naprzód! naprzód! Prysły konie—
W kłęby wzbił się kurz.

Z brzegów boru rykły działa,
Strzelby zagrzmiał huk,
Las się wzdrygał, ziemia drżała,
Dziko zawył wróg.

W pyle, dymie, białéj chmurze
Zniknął z jeźdźcem koń;
Tylko szable błyszczą w górze,
I w broń dzwoni broń.

Tylko blaski strzałów świecą,
A proporców szum,
I kul świsty jak wiatr lecą
Przez walczących tłum.

I wnet ustał bój straszliwy,
Na dół upadł pył;
Z wrogów został tylko żywy
Ten, co podał tył.

Dobry Bóg, że tak się stało!
Wam żołnierze cześć,
Co tak mężnie, co tak śmiało,
Śmierć umiecie nieść.

Któż ten dzielny? w krwi i znoju
Brodzi jego skroń;
W koło stoją bracia boju,
Przy nim siwy koń.

Bracia boju, siwy koniu,
Żegnam, żegnam was,
Grób mi kopcie na tém błoniu,
Lub mnie nieście w las.

Nie chowajcie mnie z innemi
U cmętarza bram,
Ja sam żyłem na téj ziemi,
Niech w niéj leżę sam.

Rozmowa Michała.

Stefana Witwickiego.

„Cóż Michale tam na dworze?"
— „Deszcz, że człowiek wyjść nie może,
Brzydko panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny. Niech pan słucha.
Aż strach jaka wciąż ulewa."
— „Więc przyłóż na komin drzewa."
— „Mam téż suche... Niech pan siada....
Oj tak, deszcz okrutny pada."
— „Daj-no książkę tę ze stołu."
— „Ta co z wierzchu, czy ta z dołu?" —
— „Tę którąś rozcinał z rana...
Ta, ta, daj ją." — „Proszę pana,
Choć raz muszę się zapytać,
Co pan wciąż tak może czytać!
Ja to o tych książkach słyszę,
Proszę pana, co w nich pisze?
Pan musi znać doskonale." —
— „Różne rzeczy, mój Michale.

Historye, różne dzieje,
Przez jakie świat szedł koleje,
Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzódy,
Opisują różne kraje,
Wojny, prawa, obyczaje,
Jacy wielcy ludzie byli,
Jacy króle gdzie rządzili,
Co, dla czego tak się stało..." —
— „Na co to się panie zdało!
Dość kłopotu na tym świecie
Myśleć by człek wyżył przecie,
Bo to teraz zewsząd bieda;
A to na co się to przyda
Jeszcze tam dochodzić głową,
Czy naprzykład to, czy owo,
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam było gdzieś przed laty?
Było panie, to już było,
Tak Bóg chciał, tak się zrobiło."
— „Popraw ogień." — „Pan się śmieje,
A to prawda.... Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy. To tak właśnie
Jak dziecko, co to nie zaśnie
Aż mu bajkę gadaj wprzódy.
Praw mu dziwolągi, cudy,
O Królewnach tam mospanie,
O Trzech Braciach, o Sułtanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek...
Jakiż panie w tém pożytek?
Dziecko, to tam się i bawi,
Matka głupia, to mu prawi." —
— „Jakto, stary! Ty powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładniesz w równi." — „Nie to, panie,
Cóż tam, moje proste zdanie!
My zwyczajnie na to ślepi,
Pan czyta, to wie najlepiéj.
Proszę pana, mnie się roi,
W nich chyba coś więcéj stoi,
Jeźli pan ma wolną chwilę:
Bo to panie ksiąg jest tyle,
Że liczba nie zrachowana,
Różnéj formy, proszę pana." —
— „W książkach także jest wykrycie
Jak trzeba prowadzić życie;
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota.
Żeby ludzie byli zgodni;
Że zawsze od wszelkiéj zbrodni
Praca jest najlepszą tamą...."
— „Proszę pana, toż to samo,
Byle na Mszę pójść w Niedzielę
Można słyszeć i w Kościele.
A ksiądz, człowiek téż nie lada
Różnych nauk dość posiada;
Nie jednego, kto zbrodniczy,
Złaje nawet i wykrzyczy...
Lecz cóż! Panu rzecz ta znana,
Ludzie ludźmi, proszę pana,
Gdy w kościele, to to słyszą,
A z kościoła? to znów grzeszą."
— „Więc źle robią, mój Michale."
— „Bardzo źle. Ja téż nie chwalę.
Powiedz mi pan z łaski swojéj,
Jak w tych różnych pismach stoi,
Co téż się na przyszłość stanie?" —
— „Śmieszne czynisz zapytanie."
— „Bo to panie najciekawsze,
Czy już tak ma być na zawsze,
Jak jest dotąd? Czy się przecie
Raz polepszy co na świecie?"
— „A polepszy, w jakiejś porze."
— „Kiedyż panie to być może?"
— „Wtedy, gdy tak jak należy
Rozum światło swe rozszerzy:
Gdy ciemnota zniknie wszędzie,
Gdy ksiąg jeszcze więcéj będzie.
Kiedy nauk skarb otwarty..."
— „Proszę pana, wolne żarty!
Od kiedy-to, w takim trudzie,
Tych się nauk uczą ludzie!
Od kiedy już księgi piszą,
Co gdzie tylko widzą, słyszą,
W różnym panie tam języku,
To już właśnie że bez liku!
Według tego w każdym kraju

Jużby było dziś jak w Raju.
A to panie zawsze bieda!
Choć grosz przyjdzie, to się wyda,
Wciąż drożyzna niesłychana...

To nie warto, proszę pana.
Cośby to się ludziom snuło..."
— „No, idź już sobie, gadułо!"

Farys.[1])

Kasyda [1]) na cześć Emira Tadż-Ul-Fechra.

Adama Mickiewicza.

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi
Znowu po modrym zwija się krysztale,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchem morzu koń mój, i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżéj, coraz chyżéj,
Już po wierzchu żwir zamiata;
Coraz wyżéj, coraz wyżéj,
Już nad kłąb kurzu wylata.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiéj grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawcze białonogi,
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jéj łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy.
I szmerem liści z mojéj dumy się uśmiecha.

Owdzie, granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie przedrzeźniają echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

1) Farys, wyraz arabski, znaczy to samo, co jeździec.
2) Kasyda znaczy właściwie poemat zupełny, zawierający trzydzieści Distichów. Dzisiaj odpowiada naszéj powieści, elegii lub obrazowi.

„O szalony! gdzie on goni!
Tam, od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów.
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują."

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem.... aż dumne głazy
Zostały zdala odemnie;
Uciekając rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę, i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinął głowę moję wieńcem.

„Czuję, krakał, zapach trupi,
Jeździec głupi, rumak głupi!
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi:
Jeźdźcze, koniu, pusta praca.
Kto tu zaszedł nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest tu łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują."

Kracząc lśniącemi szpony w oczy mi urągał,
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko:
Któż się uląkł? — Sęp uląkł, i uciekł wysoko!...
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił:
Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
Wielkości wróbla... motyla... komara,
Potém się całkiem w błękicie roztopił.

Pędź latawcze białonogi,
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białém skrzydłem po błękitnym sklepie;

On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbą za mną świsnął:

„O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanéj kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowém
Nie ozwie się śrebrném słowem;
Rosa, nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie.“

Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy!...
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
Coraz niżéj głowę skłaniać,
Potém oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił:
Jużem o całe niebo wtyle go porzucił.
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał i w górach się schował!...

Pędź latawcze białonogi,
Stepy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy, kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca.....
Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy:
Tu żywioły drzémią w ciszy
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie pierwszy!... Śród piasczystéj kępy
Oszańcowane świecą się zastępy...
Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli i konie straszliwéj białości!...
Przybiegam, — stoją; wołam, — milczą... To są trupy!...
Starożytna karawana
Wiatrem z piasku wygrzebana!....
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;

Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem sie toczy
I złowrogie szemrze jęki!
„Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!“

Ja pędzę, ja nieznam trwogi.
Pędź latawcze białonogi,
Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał:
„Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnéj postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?“
Ryknął i ku mnie w kzztałcie piramidy ciągnął.
Widząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabią zmącił,
I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię.....
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piasczyste ciało,
Gryzę go wściekłemi zęby.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim jak wał miejski trupem!

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno! szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!

Wytężało się me oko
Tak daleko, tak szeroko:
Że więcéj świata zasięga
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go zo wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżéj, wyżéj i wyżéj, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niém grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!

Rojenia wiośniane.

Bohdama Zaleskiego.

O! widać i słychać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie;
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek,
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
Po Kwietniéj, po świętnéj, z Przewodnią niedzielą,
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzelą
W czerwone, w niebieskie listeczki.
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
Po cichu coś szepcą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu,
Coś o mnie, o kwiatkach — co? jakie do twarzy?
Co? jakie w mym upleść warkoczu?
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka
La, la, la, piosenka!
O wiem ja, wiem kogoś, co wszystko mi powie,
Zwierciadło mi prawdę odsłoni;
Lilię uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach u skroni.
O! milsze krosienka,

I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
Wieczorem za dworem gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku;
O! prędzéj — co prędzéj, u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku.
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka,
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
Gość jedzie, już w bramie; rży konik z podwórka:
Mój Boże! ach! co go przywiodło!
I woła i pyta: „a państwo, a córka?“
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
Od brzęku, od dźwięku ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje;
Aż skacze serduszko, — bo wojak to wielki,
Wszelako niebardzo się boję.
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
Groziła mi ciocia — o! gdzie tam! co cioci!
Groziła z uśmiechem, nie szczerze:
„Bałamut!“ — o! gdzie tam, — to anioł dobroci!
Bałamut? — nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
On idzie, i kłania i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie, i z cicha;
Wstyd oczu mi podnieść, tak chwali nieskromnie:
Pochlebnik! — o biedny! on wzdycha.
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
O! dobry, i grzeczny i miły chłopczyna!

Lecz będę, o! będę ostrożna!...
Całować chce różę — dalibóg zaczyna;
O proszę! niemożna! niemożna!
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Syn.

Stefana Witwickiego.

Jedzie, jedzie, rycerz zbrojny,
Wraca do dom z długiéj wojny;
Suknia jego pokrwawiona,
Szabla jego wyszczerbiona.

Przywitał go ojciec stary,
Siostry mu wyniosły dary,
Cieszyli się bracia mili,
I sąsiedzi się cieszyli.

„Gdzieżeś matko! Wracam z boju!
Matko miła, wyjdź z pokoju,
Niech uściskam twoje nogi,
Wyjdź przywitać syna z drogi!“ —

— „Jakże może wyjść do ciebie,
Gdy od roku po pogrzebie!
Pokój w ziemi ma zrobiony,
I kamieniem przyłożony.“

— „Jam ten pokój dla niéj sprawił,
Długom się na wojnie bawił!
Żyjcie już tu sami sobie,
Gdy przezemnie matka w grobie!“

Mszy i modlitw nie zaniechał,
Jak przyjechał tak odjechał...
Znikł za górą rycerz zbrojny,
Już nie wróci nigdy z wojny.

Gospodyni.

Sielanka Kazim. Brodzińskiego.

Dziewczęta! cieszcie się ze mną,
Nowinę niosę przyjemną;
Nie daleko do wieczora,
Poglądajcież wię do bora,

Pojadą stamtąd rycerze,
Dzielni wojacy, żołnierze.
Już koniec długiéj ich trosce,
Spoczną teraz w naszéj wiosce:
Niebożęta opuszczone,
Od swych matek wypieszczone,
Jak jelonki młode, hoże,
Piękne jako z mlékiem róże.
Dziś za pościel ziemię mają,
A niebem się odziewają,
Pożywieniem krzywda ludzi,
Trud ich uśpi, grzmot obudzi;
Ileż teraz o swe dziatki
Łez nie leją biedne matki?
Pójdę ja, przejdę komorę,
Co najlepszego wybiorę.
A zawczasu niech po pracy
Spoczną sobie nieboracy,
Bo kto wié, jaka daleka
Na jutro podróż ich czeka!
A wy téż na świeżém sianie,
Gotujcie dla nich posłanie!
Zosiu! przynieś z karczmy miodu,
A ty śpiesz się do ogrodu,
A tamta niechaj téż przecie
Chędogo izbę umiecie.
Bijali się za nas nieraz,
Usłużcie im i wy teraz;
Lepiéj wszystko oddać swemu,
Niż dać na grabież obcemu;
Wszak, aby się za nas bili,
Swoje chatki opuścili.

Pieśń do Miodu.

(Z Pieśni Janusza.)

Gdy pod strzechą jeszcze cichą
Siedział stary Piast z Rzepichą,
Na Kujawach dla wygody
W zapas dziatwie sycił miody!
Ziemi naszéj dać dziedzice
Spłynął naród pod Kruszwicę
I spłynąwszy doznał głodu:
Piast mu strawy dał i miodu —
A lud krzyknął za koleją:
„Ojcze Piaście! kołodzieju!
Godzien nasze ziemie sądzić
Kto tak doma gospodarzy.
Kto nie umie doma błądzić
I narodu dobro waży:
Ty to w wiecu nam zasiędziesz,
I Ty gospodynem będziesz,
Gospodynie żyj!
I ten miód nam lej!
A my będziem miód ten pić
I tych lackich wrogów bić —
Gospodynie żyj!“

Z Piasta poszło sławne plemię,
Pod Piastami rosły ziemie:
Skibę orząc w czoła pocie
Żył o miodzie lud w szczerocie;
A gdy rozgrzał pierś ognistą
Kordem wrogi ciął sierdzisto!
I był tęgi jak miód dawny,
I jak stary miód — wytrawny;
Jak miód szczera ciekła mowa,
Jak miód zdrowy — rada zdrowa!
Krzepkość była w Lackim rodzie—
A na radzie — prawda w miodzie
Gdy rozparła szczere łono,
Zwycięstwami bój kończono,
A Piastowe wiece zgodą;
I lud wołał: „Wojewodo!
Gospodynie żyj!
I ten miód nam lej!
A my będziem miód ten pić,
I tych naszych wrogów bić —
Gospodynie żyj!“

Kiedy gładką wnukę Piasta
Wziął Jagiełło zapuszczański,
Wtedy jak męża niewiasta
Jął się Lachów lud pogański:
I na ucztę ludów dwoje
Wniosła dziewa Piasta ziemię,

A Jagiełło swoją zbroję
I to twarde leśne plemię!
Lipiec bogom poświęcony
Przywiózł Książe dla swéj żony —
I przystojne były gody,
Bo stuletnie pito miody!
W krwie małżeńskiéj zażegnany
Znikł duch waśni śród biesiady,
A koronne rzekły pany:
„Żyj nam Książe światowłady!
Gospodynie żyj!
I ten miód nam lej!
A my będziem miód ten pić,
I tych naszych wrogów bić —
Gospodynie żyj!

Wieki — króle — legły w grobie...
Lecz lud żyje — i miód mamy,
My po mieczu bracia sobie,
A Litewski miód ten samy!
Daléj Litwo! z dziatwą Piasta
Niechaj przyjaźń dawna wzrasta!
Niech przy miodzie na znak wiary
Lach odnowi sojusz stary!
Ongi wnuka Piasta — Litwie,
A dziś Li wa — Lachom żoną:
Stalmy przyjaźń w krwi ochrzczoną,
Poświęconą w setnéj bitwie!
Dziadu! dziadu! jak podchmielim
Na litewskim waszym miodzie —
Duszęć za to rozweselim
Boć zapiejem na wychodzie:
„Gospodynie żyj!
I ten miód nam lej!
A my będziem miód ten pić,
I tych naszych wrogów bić —
Gospodynie żyj!!!

O pieśniach gminnych.

Teofila Lenartowicza.

Kto chce śpiewać, niech wam śpiewa,
Mnie się oko łzą zalewa,
Ja niemogę, choć się kuszę,
Boby przyszło wydać duszę.
Cóż to mówić przyjaciele,
Kiedy mówić jest tak wiele?
Śpiewać dla was rzecz nielada,
Kto jedwabne słówka składa,
Kto nie dzieli z wami doli,
Nie zaśpiewa sercu k'woli
Toż cobym miał suszyć głowę,
Na piosenki wiejskie nowe,
Przynoszę wam pieśni stare,
Ale takie rzeźkie, jare,
Że słuchając, jak we wiośnie,
Dusza gdyby ziele rośnie.
I świat jéj się w oczach złoci,
Aż się cała rozochoci,
Rozraduje tak dalece,
Że łza przyschnie na powiece.
Serce żywo zakołata,
I duch jakby ptaszek lata.
I człek mówi sam do siebie:
Jeszczeć Pan Bóg jest na niebie,
Na tę ranę, co krwią spływa,
Pieśń się leje jak oliwa.
Świeża jak ta ziemia z rana,
We łzach rosy wykąpana,
Idzie z serca jakby z raju,
Na wędrówkę po swym kraju.
Dziewcze poda ją dziewczęciu,
Pacholątko pacholęciu,
Ledwie wyszła na świat biały,
Jużci znana o trzy mile,
Jutro zrobi drugie tyle,
Czy ją ciche wiatry zwiały,
I na podziw temu światu,
Rozproszyły jak pył z kwiatu,
Z ust dziewczyny jak świt ranny,
W głuchém polu zaśpiewanéj.
Jak obiega jakiém prawem,
Czy jak ptasze ponad stawem,
Czy jak obłok nad doliną,
Czy jak głosy, co gdzieś giną,

Niewiadomo, dosyć na tém:
Że obiega całym światem.
Dzisiaj ledwie brzękła w polu,
Jutro już ci na Podolu,
Obleciawszy całym krajem,
Już się wdzięczy nad Dunajem,
W mazowieckim klaszcze lesie,
Po karpackich górach pnie się,
Nie uważa, Boże, na nic,
Dla niéj jednéj niema granic,
Ni świadectwa skąd się bierze,
Progu przed nią nie ustrzeże,
Co najdalszéj dojdzie braci,
I rogatki nie opłaci.
W wieczór smutna, rzeźwa z rana,
Rzecby można skowronczana,
Bo się śpiewa w letniéj ciszy,
A skowronek towarzyszy.
Do innego kędyś świata,
Zaśpiewana dusza lata,
I tak byłoby bez końca,
Aleć pieśń się trzyma słońca,
I gdy zniknie słonko Boże,
Piosnka w polu żyć nie może.
Na pagórkach, na wód fali,
Jeszcze chwilkę się pożali,
Wreszcie rosą na smug spada,
I kraj milczy, a wciąż gada.
Patrząc na jéj koła, zwroty,
Na jéj śmiechy i zaloty,
Rzekłbyś w onéj tam krainie,
Mlekiem, miodem ziemia płynie.
A to ziemia obiecana,
Gdzie w krwi broczą po kolana.

Pieśni brzęczą w lewo, w prawo,
Lecz gdy oko w kraj się zwróci,
Ta wesołość więcéj smuci,
Niżbyś ranę ujrzał krwawą.
Taka cisza o swéj nędzy,
Że i grób odpowie prędzéj.
A przecież tam krew się leje,
I nie oddać, nie wymówić,
Żadném słowem nie wysłowić,
Jaka nam się krzywda dzieje.
A może też pieśń ta długa,
Na to się tam w polu rodzi,
Na co gwiazda z nieba mruga,
Na co anioł z nieba schodzi,
Żeby w ludzkie łzy tęsknoty
Zapleść promień słońca złoty,
Gdzie się czoła we krwi nurzą,
Poprzewijać ciernie różą.
Gdzież bo pieśń ta nie przeciecze?
Z łańcuchem się u nóg wlecze,
Po sybirskich stąpa śniegach,
Po Kubaniu modrych brzegach.
Jak cień w kraju gdzieś dalekim,
Ciągnie się za polskim człekiem,
Wygrzewa się wpośród lodów,
Wykarmia się czasu głodów.
Na te bóle, na te smutki,
Rosną pieśni niezabudki,
Rozbolałe serca pieszczą,
Nad bagnami się niebieszczą,
Coraz nowy kwiat wyskoczy,
Jak aniołów modre oczy.
Jak kiedy się słońce schowa,
Coraz gwiazda wschodzi nowa,
Tak po każdéj łez powodzi,
Coraz nowa piosnka wschodzi.
I ot skrzący świat bez końca,
Niby łzy po stracie słońca;
Ani zgadniesz skąd przychodzi,
Pan Bóg spojrzy, pieśń się rodzi.
Pieśni wiejskie dziewcząt sprawa,
To ich szczęście i zabawa.
Różne dziwy plotą plotki,
Kręcąc swoje kołowrotki.
A na duszę pieśń dziewczęca,
Jak nić złota się okręca.
Z krwi kochanków, z łez kochanek,
Wiją sobie srebrny wianek,
Okręcają nitką złotą,
I cieszą się tą robotą.
Nic przed światem się nie skryje,
Ludzka krew o pomstę woła.
Siejże rutkę, sadź lilię;
Lilia zakryć nie podoła.
Na nic wszystko się nie przyda,

Jeszcze prędzéj lilia wyda.
Wierzba wyda złość zbójczyni,
Na weselu ją obwini.
Będzie śmiać się z całéj duszy,
Będzie słodkie winko piła,
Lecz fujarka śmiech zagłuszy,
Starsza siostra mnie zabiła.
I wyprawia dziś wesele,
Młode drużki siostrze służą,
Smutku wiele, bardzo wiele,
I łez dużo, bardzo dużo,
I pobledzi wszystkie lica,
Aż się wyda tajemnica.
A gdy cała rzecz dopowie,
Włosy wzniosą się na głowie,
Serce skrzepnie w każdéj druchnie,
I śmiech zgłuchnie, skrzypka zgłuchnie,
I jak gdyby śród cmentarza,
I jak gdyby nie wesele,
Wciąż fujarka swe powtarza
Smutku wiele, bardzo wiele.
To znów jak po dziecka zgonie,
Dzieciobójcze matki dłonie,
I koszula krwawa na niéj,
Zapalają się w otchłani.
To jak w gaju gdzieś niewiada,
Kto nieszczęście kiedy wstrzyma?
Wiatr poszumiał, drzewo pada,
Było dwoje i już niema.
Tyle szczęścia że we dwoje,
Że nikt po nich nie zaboli,
Pożałują się ich doli
Chyba tylko ciche zdroje.
Na mogile konik siwy,
Konik siwy biało-grzywy
Puka, szuka pana swego,
Grzebie nóżką, żałuje go.
Na mogile panna szlocha,
Niema tego kogo kocha.
Wykopali skrytkę błogą,
Nie szeroką, a podłużną,
Mój koniku nie grzeb nogą,
A ty panno nie płacz próżno.
I tak w koléj aż do zorzy,
Póki oczu sen nie zmorzy,
Wciąż się pieśń przewija słodka,
Jak to kółko kołowrotka.
Wreszcie gdy już skończy swoje,
Gdy niejedno przeinaczy,
Kiedy łez wyciśnie zdroje,
Niknie w głębi serc słuchaczy.
Tak w dziewczęce długie noce,
Pieśń z gwiazdami się migoce,
I porówno im rozdziela,
To żałoby, to wesela.
Z szczęśliwymi tańczy, śpiewa,
Ze smutnymi się spodziewa,
A umarłym w głuchą ciszę,
Rządek złotych liter pisze.
Co ja z niemi się naszlochał,
Co ja z niemi się nakochał...
Niech Bóg broni i zachowa,
Pełna tego była głowa...
Mokra rosa a ja bosa,
Przyśpiewuje mi z ukosa,
I wnet całe widać pole.
Kalinowe drzewa w dole,
Malinowe w podłuż krzaki,
Jakiż to kraj Boże, jaki...
Mgła się równa pod lasami,
Słońce błyszczy nade mgłami,
Na dolinie srebrzy rosa,
Mokra rosa a ja bosa.
Ach czy mnie też Polska wróci,
Czy się serce rozesmuci.
Będę ja też wesół kiedy,
Bez kłopotów i bez biedy,
Gdyby można tego czaru,
Z nadwiślańskich niw obszaru...
Śpiewaj ludu polski złoty,
Wypowiadaj swe tęsknoty,
U orania, u zasiewu,
Póty serca, póki śpiewu.
Jak się zrobisz cudzoziemcem,
Jak się zrobisz wrogim...,
W oczach będziesz miał wzrok wilczy
Będziesz milczał jak wilk milczy,
Będziesz hydził ojce stare,

Będziesz miał .... wiarę,
A gdy krzykną w niebogłosy,
Nie poczujesz się do kosy,
Śpiewaj ludu polski złoty,
Wypowiadaj swe tęsknoty,
U orania, u zasiewu,
Póty serca póki śpiewu.

Guldia Hetmana.

(Z Pieśni Janusza.)

Lotnąm widział ja ptaszynę
W Czarno-morców kraju,
Piękną znałem ja dziewczynę
W baszowskim seraju.

Sławny koń był w złotym rzędzie
U starego Chana;
Lecz nie było i nie będzie
Nad Guldię Hetmana!

Tam to główka! tam to uszko!
Grzywa w drobne kosy!
Gdzie stąpiła lekko nóżką
Nie strąciła rosy.

Kiedy hetman ją pogłaskał
To jak dziewczę miękła;
A jak Hetman ją poklaskał
To przed gankiem klękła.

Kiedy pomknął z Zaporoża,
Wichry ostawały,
A za Dnieprem gasła zorza,
A trzy morza grały.

Za co Dnieprze w świecie słyniesz
Żeś z orlego lasu?!
Kiedy dziś już nie tak płyniesz
Jak dawnego czasu.

Dziś już tylko Ukrainie
Mogiły hetmanią —
Guldia stepem nie popłynie,
Ni sokoły za nią.

Gawęda Dorosza,

wachmistrza szwadronowego Legii-Nadwiślańskiéj.

Czy też licho nai nadało
Służyć z taką ruchawicą?
Służby żadnéj, ducha mało —
Tylko starym baki świecą!
Same tylko wielkie pany,
A ja prosty wachmistrz sobie,
I choć ciemny, choć nieznany
Za pułk cały służbę robię.
Człek się musi napracować
I nie mało ponieść sromu,
Bo gdy przyjdzie rozkazować
To i słuchać niema komu!

Nieraz krzyczę: „Stać! Komenda!“
Gdzie tam panie im to w głowie;
Szwadron gdzieś po wsi się szwenda,
Lub jak skuty chrapie w rowie.
W całym pułku dawnéj daty
Człek sam jeden — aż niemiło,
Gdzieś wymarły stare chwaty —
Nie tak panie przedtém było!..

Mój półkownik żołnierz stary,
Nie dzisiejsza nasza drużba,
Tęgi człowiek — zna co służba,
Cóż — gdy niema dawnéj wiary!
Z rekrutami trudna sprawa,
Bo gdy cały pułk sąsiady,
Więc gawęda, rada, wrzawa,
A dwóch tylko nieda rady.

Nieraz każę, gdzie wypada —
Ten przyzywa wnet sąsiada:

„Słuchaj hrabio, héj panowie!
„Czyśmy na to tu zjechali,
„Niechaj każdy z panów powie,
„Abyśmy na deszczu stali?

I zastawia się sąsiądem;
Bo ma w wojsku szkapę własną. —
Z takim pułkiem, z takim ładem,
Niech pioruny w ten pułk trzasną.

Choć posłucha nawet który,
Zajmie pocztę i nie gada,
To jak wymknie z jakiéj dziury
Gdzieś tam kozak, krzyknie „zdrada!“ —

A to darmo, ja inaczéj
Stawiać pikiet już nie umiem,
Ani wojny nie rozumiem —
Jakżeż jeden wszystko znaczy.—

Biada, młodzi na mnie liczą,
Walą jak na szkapę siwą,
Niby starsi, na mnie krzyczą:
„Nuż Doroszu, ruszaj żywo;
„Dorosz patrol dziś prowadzi
I języka się postara;
„Dorosz, a czy kute konie?
„Dorosz na sąd i do rady;
„Dorosz służbę ma w szwadronie.“

Słowem panie, mówiąc krótko,
Hasłem w pułku imię moje,
Brzmi z wieczorem, brzmi z pobudką,
Dzień przejeżdżę, noc przestoję—
Bo to mało ważą młodzi,
Że się w służbie wiek strawiło,
Że się starych uczcić godzi —
Nie tak panie przedtém było.

Jeszcze służba obozowa
Jaka taka, pół z nią biedy, —
Ale wtenczas panie, kiedy
Już o boju przyjdzie mowa,
Wolałbym się z baby wadzić,
Albo jeszcze i co więcéj,
Niż do boju poprowadzić
W dobrym szyku pułk panięcy
Bo tu ogień, a tu rada;
I tak słowem zawsze jedno —
Na deresza Dorosz wsiada
I harcuje szkapę biedną.

Już tam siebie nie żałuję,
Choć i moja krew nie woda —
Aleć konia panie szkoda,
Bo to mi się koń marnuje. —
A tam każdy ma wymówki,
Bo ten wrócił od placówki,
A ten chory, a ten ścięty,
A czwartego koń ustanie,
A piątego źle podpięty,
A niejeden stchórzył panie. —

Wtenczas pochlebstw już bez liku:
„Nuż Doroszu, stary ćwiku,
„Nasze stopnie to androny —
„Wasze, — żołnierz doświadczony.“
— Wasze, wasze — no dość tego,
Już to wstyd dla młodéj wiary,
Kiedy chwalić trza starego —
Ale swoje zrobi stary. —

A więc ruszam wprzód plutonem
W pierwszą lepszą wpadam lukę
I rznę sobie po dawnemu
Moją panie starą sztukę.
Lecz gdy tylko bój ustanie,
Zaraz stracę na walorze,
Wtenczas to nikt starych, panie,
Za stworzenie niema Boże;
Bo my starzy nic nie czujem,
I jakiegoś ducha czasu
Wyschłym mózgiem nie pojmujem. —
Co to znaczy, wiedzą kaci —
Bo to, odkąd w świecie żyję,
U mnie duch, co dobrze bije
A czas to, co dobrze płaci.
Ale u nich to ten tęgi,

Kto gardłuje całą siłą,
A kto schlebia, godzien wstęgi; —
Nie tak panie przedtém było.

Raz, pamiętam, tak się zdarzy,
Gdyśmy stali w przedniéj straży,
Każdy się jak w matni kręci,
Bo wiedzieli co się święci.

Moskal prawie nas otoczył,
A jednak odciąć nie zdołał; —
Mój pułkownik, gdy to zoczył,
Wnet do siebie mnie zawołał
I rzekł do mnie: — „ot wiesz stary,
„Bo się niemam kim usłużyć,
„Dwóch nas tylko z staréj wiary, —
„Trzeba będzie wrogów zdurzyć.—
„Jedź do sztabu, weź papiery,
„Zdaj wodzowi rapport szczery;
„Niech téż o nas przecie radzą,
„Bo nam djablą łupnię dadzą.“

On rzekł, ja się kopnął cwałem,
A nie byłem nigdy w sztabie —
Wódz nie żarty, pomyślałem;
Szlify wodza to nie grabie.
Nuż człowieka na czém schwyta,
Trzeba mu sie odciąć sprawno,
Nuż znienacka się zapyta:
Jak, zapyta, służysz dawno,
Kiedyś dostał krzyż francuzki,
W wojnie pruskiéj, czy téż ruskiéj?
Czyś tam kontent z młodéj wiary.
A pułkownik, czy zdrów stary?
Czy téż wszystko was dochodzi?
Co się dzieje, czy wróg godzi,
Czy są działa, jest piechota,
A na skrzydłach las czy błota? —
Słowem wszystko pomyślałem. —
Kontent ruszam, wiatry wieją,
Czasem spojrzę, są depesze,
A mój deresz sobie czesze,
Aż się wszyscy djabli śmieją.

I stanąłem w sztabie rankiem
A starszy czoło ze znoju.
I rznę prosto do pokoju. —
„Gdzie wódz? — pytam. — Czyś zwaryował,
„Któż o wodza się tak pyta,
„Znać żeś w pułku się wychował.—
„Gdzie wódz, — rzekłem — mów i kwita. —
„To żołdactwo, to natręty:
„Wódz śpi jeszcze, bo dzień chmurny. —
„A szef sztabu? — Szef zajęty. —
„A dyżurny? — Śpi dyżurny. —
„Mój tu przyjazd nie wizyta,
„Przez noc całą do was czeszę;
„Słuchaj panie — mam depesze
„Zbudzić służbę, ot i kwita.“ —

Ja tak rzekłem, on się zdziwił,
Stuknął, mruknął, nosem skrzywił,
I samego mnie zostawił. —
Alem się nie źle ubawił,
Bom stał ze trzy godzin w sieni
A trzy godzin to nie mało,
Gdy człek głodny po bezseni,
Więc mi się na sen zebrało.

Jednak myślę poniewoli,
Co téż długo wódz tak robi:
Pewnie jaki plan sposobi —
Aż tu słyszę, wódz się goli.
Niechaj goli kiedy goli.
Bo i naszych panie golą.
A Moskale nie swawolą,
Kiedy biją, djable boli.
Wreszcie dano znak: śniadanie —
W jednéj chwili, szastu, prastu,
I wypada do mnie, panie,
W okularach siedemnastu.

Wyszedł orszak okazały,
Wszyscy smacznie zajadali,

Po francuzku rozmawiali
I perfumy zapachniały. —

Tu się, widzę, nie źle dzieje,
Bo tu tylko wino płynie,
A tam krew się polska leje,
Ach! i pułk mój może zginie. —
Żal mi było pułkownika —
O depesze nikt nie spytał,
Nikt mnie z panów nie powitał,
Jam nie umiał ich języka

Ej — chybiłem wioskę pono —
Dla starego to rzecz nowa —
Tu po polsku ni pół słowa,
A o sztabie mi mówiono.

Wreszciem poznał tych ichmości:
To Francuzi niezawodnie,
Których wódz chce uczcić godnie,
By znał Francuz, że tu gości.

Gdy tak myślę, z miną tęgą
Jeden na wiarusa wpada:
A hultaju, a ciemięgo,
Przydymiona czekulada. —

Bracia szlachta, niech nam żyją!
Wszak to nasi, nie Francuzi?
Ale warto im dać buzi,
Znać, że się za wolność biją, —
I żal mnie za serce ścisnął. —

Ukończono wreszcie gody,
Jam się z rapportem przecisnął,
Wziął go jakiś panicz młody —
Wziął, przeczytał, na stół rzucił.—
A kiedy tak, to źle panie, —
Jakąś piosnkę przez nos nucił,
W końcu rzekł mi niespodzianie:
„Korpus rozkaz tam dostanie“.—

„To pułk tylko“ — rzekłem skromnie. —
„To pułk tylko?—wielkie zwierzę,
„To i o nim się tam wspomnie. —
„Wiarus wódki się napije,
„Bo ja to znam doskonale.
„W pułku się tam licho żyje.“ —

A co tego, to zawiele,
A więc panie rzekłem śmiele: —
„Nie tak licho jak niegrzecznie,
„W pułku trochę niebezpiecznie. —
„Co do wódki, z nami kwita,
„Bo mam moją od kozaka,
„A choć może i nie taka,
„Milsza dla mnie, bo zdobyta. —
„Bądź zdrów panie Kapitanie.
„Niech was jasny piorun trzaśnie—
„Wkótce panie jaśnie zgaśnie,
„A mospanie pozostanie.“

— Tak burknąłem im przez zęby.—
Gdyby mi się popadł który,
Toby poznał, jak Mazury
Kpów pytlnją na otręby —
I wyszedłem; na spiekocie
Koń mój biedny stał przy płocie,
Z głową na dół pochyloną.
Oj! nam obu źle tu pono.
Pojdź mój koniu, źle w téj stronie
Klątwa kraju na niéj leży,
Tutaj piorun ich uderzy,
Albo ziemia ich pochłonie,
Że tak służą téj ojczyznie.

Siadłem na koń ledwo żywy,
Ból uczułem w każdéj bliźnie,
Żem się musiał ująść grzywy.
Chciałem zginąć, powiem szczerze,
Gdy się lepiéj wiek straciło,
Lecz dziś i kula nie bierze;
Nie tak panie przedtém było. —

Marzenie Szlachcica.

K. Z.

Mam ja szablę po pradziadzie,
Mam ja szpaka w mojem stadzie,
Dzielna szabla, dziarski koń!
I w komorze na rumaka
Wisi dywdyk[1]) i kulbaka,
I porządek cały doń.

Gdy posłyszę, — nie zabawię,
Machnę kordem, — chłopców sprawię,
Sypnie szlachta gdyby grad;
Krzykną: wiwat! Panie bracie,
Co za konia, szablę macie,
Fiu! niechaj was bierze kat!

Ja się w koło czapką skłonię,
A tak szepnę im na stronie;
Polskiéj kaszy niewart jeść,
Kto dopiero szuka broni,
Gdy mu trąbka w uszy dzwoni,
Kiedy na koń trzeba sieść.

Mnie Tatarzy tak nie zjedzą,
Jak zająca lis pod miedzą,
Gdy go zmorzy twardy śpik.
Nim zawyje hajdamaka,
Już go witam ze szturmaka,
Już nie jeden z konia myk!

A gdy zwietrzę ptaszki zdradne,
Gracko nocą na kosz[2]) wpadnę,
Hajże w taniec! — Przodem sam!
W pień wysiekę. — Tabor spalę,
Plon[3]) odbiję — łup ocalę,
Bo już taki zwyczaj mam.

Co za radość i wesele:
Jednych chwalę, drugich dzielę,
Tych w rodzinny wracam próg,
Ci składają w niebo ręce,
Bogu, świętym, ku podzięce,
Że ich w jasyr nie wziął wróg.

Zaś rycerstwo składa wota,
Lite dyby,[4]) misy złota,
Każdy niesie na co stać.
Ja adziamski[5]) dywan ścielę,
Pysznie, suto, jak w kościele,
Że to namiot, ani znać.

A ksiądz Jan na tarabanie[6])
Mszą odprawia, i kazanie
W pieknych słowach do nas ma;
Bije w niebo Święty Boże!
Wojak wstrzymać łez niemoże,
Tak do serca pieśń mu ta.

Jak bóbr szlocha pod przyłbicą,
A żelazną rękawicą
Z siwych wąsów zmiata łzy.
Na cześć Bożą nucą branki,
Walą z rusznic i w organki[7]),
Grzmi kapela w czasie mszy.

Gdy ksiądz słowo Boże czyta,
Każdy dłonią za kord chwyta,
I dobywa go do pół,
Na znak, że ma chęć gotową
Za swą wiarę łożyć głową,
Lub bluźniercę wtrącić w dół.

Potém synom dam nauki,
Jak chorągwie i buńczuki
Do królewskich złożyć nóg,
Jak w Senacie schylić czoło,
Jak w rycerskie wstąpić koło,

1) Pokrycie na konie jedwabne przetykane złotem, najczęściéj szkarłatne. 2) Obóz tatarski. 3) Zabór w ludziach zwano plonem. 4) Dyba — turecka materya lita bardzo bogata — używano jéj na kapy i ornaty. 5) Kobierzec adziamski czyli perski (od Adziam — Persya. 6) Bęben. 7) Broń ognista — dawniej używano jej na wojnie, strzelano z niéj także podczas uroczystości kościelnych i biesiad.

I powiedzieć, co dał Bóg.

Król zapyta: „widzę stary
Jeszcze łepski, jeszcze jary,
I jak z młodu zawsze zuch!
Powiedźcie mu waszeciowie,
Że tu piłem jego zdrowie;
Wszak mu Jaśko? to mój druch.

O nie w jednejśmy potrzebie
Harcowali obok siebie!
Więc go tu mieć byłbym rad.
Bo choć bez serc bratnich kares[1])
Jestem *primus inter pares*,[2])
Zawszem szlachty wierny brat.

A im łza radości stanie,
Rzekną: „miłościwy Panie,
Rzeski jeszcze rodzic nasz;
Poleca ci służby swoje,
A za morze idź na boje,
Ruszym z tobą, tylko każ.“

My przez ten czas z żoną oba,
Nim powrotu przyjdzie doba,
Powynosim, co dom miał:
Rzadkie bronie, drogie szaty,
Sute rzędy, sprzęt bogaty,
Dla każdego równy dział.

A gdy wrócą mi synowie,
Palnę kielich za ich zdrowie,
Dam każdemu wioskę w rząd:
Sam upatrzę dla nich żony,
By dla kraju znów obrony
Było chłopców brać nam skąd.

I ty dziewko gładko-lica
Pójdziesz z domu za szlachcica,
Co do konia, korda chwat.
A czy synal Wojewody,
Czy Mości Pan ze zagrody,
To mi jedno, byle brat.

Na wesele gość się zbierze,
Hukną trąby i moździerze,
Szlachta, wiwat! krzyknie znów;
Wiwat! ojciec takich dzieci,
Niech mu Pan Bóg w niebie świeci
Gdy przeżyje sto lat zdrów. —

Przejażdżka Towarzysza.

. *K. Z.*

Słuchaj Wasze, Panie Janie!
Radzę, zjedzmy wprzód śniadanie,
Bo to człek się schlasta;
Będzie kiszka, bigos, zrazy,
Łykiem gdańskiéj ze dwa razy,
I na tém już basta.

Potém sobie kopniem w pole,
Droga gładka, jak po stole.
No, jakże Waść radzi?
Niech pobrdysa gniadosz sobie,
By nie darmo stał przy żłobie,
To mu nie zawadzi.

Ruszym człapą, puścim kłusa,
W lewo, w prawo utniem susa,
Gdy koń nie ladaco,
Gdy osadza się jak w tanie,
Gdy z kopyta rwie Mosanie!
Może zdać się na co.

Patrz, krzyż jaki, chrop rozwarty!
A co? zwrotny, nie uparty,
Ho! na bóty skórka;
Zna się z szablą, zna się z grotem,
Zda się — (ale o tém potém)
Na Szweda lub Turka.

1) Znaczyło w makaronizmie: szczególniejszy wzgląd, i tak mówiono przez fortuny kares wygrał bitwę i t. p. 2) Pierwszy pomiędzy równymi; definicya ta króla elekcyjnego powtarzaną była z wielkiem upodobaniem przez szlachtę.

Bo, Mosanie, ja to lubię,
Zwłaszcza kiedy ciepło w czubie,
Prawdą rąbnąć śmiało.
Co za młodzież? Lalki, żaki,
Ledwo który do kulbaki,
Reszta zniewieściało.

Biedna dziś Rzeczpospolita:
Piękne słówka, na tém kwita;
Nie tacy pankowie
Byli murem chrześciańśtwa,
Podporami Chrobrych państwa,
Ba — dzisiaj pstro w głowie.

Każdy książką rad się bawi,
Ani słucha, gdy człek prawi,
Skąd nam wiatr zawieje;
Bo dziś wszystko wedle mody,
Starszy, mędrszy wąs od brody,
Wszystko wspak się dzieje.

Nie ma rady, i sposobu!
Przez Bóg żywy! gdyby z grobu
Wstał Hetman brodaty,
I chciał zebrać pod swe znaki
Kopijników hufiec taki,
Jak miewał przed laty?

A tu niema żywéj duszy.
Pfu do kata! — Wstyd po uszy —
Co za hańba wielka!
A dali pan, gdy tak wszędzie,
Jeźli kuso nam nie będzie,
Tom hetka pętelka!

No poprobuj teraz Wasze,
Czy mi zdrowo dmuchnąć w kaszę,
Czy ci dam się, czy nie?
Lecz sam trzymaj się na szkapie,
Bo jak utnę, jak zacapię,
Będzie po czuprynie!

Ho! ja umiem, jak przystoi,
Skoczyć na koń, choć we zbroi,
Bez strzemion dotknięcia;
Umiem machnąć z tyłu, z przodu,
Bom do tego korowodu
Nawykł z pacholęcia.

Wiem ja, wiem ja, Bogu dzięka
Jak się bierze strzelca ręka, *)
Jak rąbnąć szkaradnie;
Wiem jak zeprzeć, jak owadzić,
Jak na harcu z konia zsadzić,
Stratować, gdy spadnie.

Sam nieboszczyk Rotmistrz w oczy
Mawiał: „Waść mi koniem toczy,
Jak panna do tańca;
Takich więcéj daj nam Boże!
A nie dostać — głowę łożę —
Na leki pohańca.“

No patrz Wasze, szkapa sucha,
Choć jéj nie źle dałem ducha,
I nie piórkom panie!
To mi człapak! to mi cnota,
Kładź mi tutaj czapkę złota,
A nie spojrzę na nie.

Teraz raźno ku domowi,
Héj drapaka! — kucharzowi
Krzykniem o obiedzie:
Będą flaki, pieczeń z rożna,
Potém kielich palnąć można
Przy téj naszéj biedzie.

Pewnie się téż i gość zdarzy.
To i wieczór się przegwarzy
Przy starym węgrzynie;
Bo wszak dawne to przysłowie:
Kiedy nosisz troski w głowie,
To je utop w winie.

*) Tak nazywano rękę prawą, po którćj na harcu starano się zawsze mieć przeciwnika dla dłuższego i dogodniejszego cięcia.

Rachunek życia Obywatela wiejskiego.

Stefana Witwickiego

Chcesz wiedzieć Waćpan Dobrodziéj,
Jak też nam tu życie schodzi,
Waćpanowie, w wielkim świecie,
Modnie i różnie żyjecie:
U nas w cichym kącie wioski,
Mniéj odmiany, mniéj téż troski.
Zwyczajnie sobie prostaki
Nasz rachunek życia taki.

Rano nasamprzód, pacierze.
Potém piję co ciepłego,
Potém zaraz człek się bierze
Do pracy, bo nic bez tego.
A więc, co tam bądź na dworze,
W lecie, czy w zimowéj porze,
Muszę z obowiązku pana
Dojrzeć sobie codzień z rana,
Czy wszystko jak być powinno,
Czy każdy już zaczął swoje:
Raz koleją tą, raz inną,
Tędy przejdę, tam postoję,
Tam się spytam, tam coś każę,
Wszędzie jest mię pełno; łażę
I do owiec, — i do koni:
Słowem, wszystko jak na dłoni.
Temu, trzeba jak zaradzić,
To, potrzeba przysposobić,
To, ogrodzić, to — przesadzić;
Dość, że zawsze jest coś zrobić.
Czasem także, choć na krótko,
Wybiegniesz z strzelbą raniutko
Po zająca, albo ptaka;
Czasem też fabryka jaka.
Jeszcze się gdzieś powie słowo,
Wyjrzy w okno, czy na ganek,
Jedno z drugiém, to i owo...
I ot jakoś przejdzie ranek. —
Potém obiad. Po obiedzie,
Czy z sąsiedztwa kto przyjedzie,
Czy też się na wózek siada,
I jedzie się do sąsiada.
A nie, to dzieci biegają
Latem w sad, po izbach w zimie;
Lub też córki co zagrają,
A ja sobie trochę zdrzymię.
Czasem co od sług usłyszę,
Albo list się gdzie napisze,
Albo się do książki bierze;
Czy to nabożnéj, o Wierze,
Czy to jakiéj narodowéj,
Autora szczero-polskiego,
Bądź z nowszych, więc tom jakowy
Edycyi Mostowskiego.
Bywa, że kupiec zawita,
O to, o owo się spyta;
Prawda, czasem dosyć nie da,
Lecz często się coś i przeda.
Pójdziesz na wieś, zajrzysz wszędzie,
Zrobisz co choremu, wdowie:
Czasem kwestarz skąd przybędzie,
I nowinkę jaką powie.
Czasem też ku wieczorowi,
Czy w pole, czy ku młynowi,
Sam, albo ochota czyja...
I ot jakoś dzień przemija.

Na wieczór, rachunek dzienny:
Przy tém ja najmocniéj stoję.
Więc Ekonom i Gumienny,
I drudzy przynoszą swoje.
Pytam się, o wszystkiém słyszę,
Ślicznie, pięknie zliczę, spiszę,
Jedno po drugiem, rozumnie,
Już to jak zegarek u mnie.
Dopiéro gdy się załatwię,
Wtedy sobie z wolną głową
Albo zacznę prawić dziatwie
Jaką powieść narodową;
Albo skąd przyjedzie siwy
Jaki wojak, lub myśliwy,
To słucham, a on mi gwarzy,
Jak zwyczajnie lubią starzy.
Czasem z gościem przy szklenicy,
Czy w karty, jeźli ochota,

Czy siadłszy u warcabnicy
Proboszczowi wytnę Kota.
Albo jak zimową porą,
Na kominie głownie gorą,
Trochę i podumać miło
Jak to tam gdzie w życiu było...
Żądza szczęścia coraz cichnie,
Tyle, tyle już w pamięci,
Czasem człowiek się uśmiechnie,
Czasem się i łza zakręci...
Ha! cóż robić! Szkoda jęku;
Bóg sam to wie, w Boskiém ręku!
Ot widzisz Waćpan Dobrodziéj,
I wieczór jakoś przechodzi.
Taki nasz dzień. A dzień do dnia,
Tygodnie, miesiące lata!
Byle odbyć czas przechodnia,
Skończyć głupią służbę świata.
Już dziedzice podrastają,
Co twych prac używać mają;
Ociężeją głowa, nogi:
Daléj, stary! umknij z drogi.
Więc gdym kresu już dogonił,
W cichéj, w miłéj méj ustroni,
To dzwon, co na chrzest mój dzwonił,
I na pogrzeb mój zadzwoni.
Dobrzy zjadą się sąsiedzi,
W wiosce już pan nowy siedzi;
Ten i ów jeszcze się spyta
Z czego umarł? Jak?... I kwita.
Tu dobrze, tam źle cię wspomną;
Ktoś się i ucieszy skrycie:
Pogadają i zapomną...
I ot jakoś przeszło życie

Prostak wiejski.

Stefana Witwickiego.

Niewiem gdzie tam lepiéj komu,
Każdyć panem własnéj woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swéj roli.
Nie ciekawym, co tam poda
Zagraniczna miastom moda;
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat... Otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju,
Co jest rozum, grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświecczyznie
Własnéj wiernym być ojczyznie:
Bom z pradziadów Polak chrzczony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły,
Myśli, że świat przeinaczy.
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt, wolę ja stare:
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jakiś zysk w tém zoczy,
Górnościami, czułościami,
Jako może mydli oczy.
U mnie, znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach,
Do prostotym wzwyczajony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy, i tak daléj;
Mnie gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mię sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi:
Tom już całkiem nacieszony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

II. Dział Czysto-Liryczny.
1) Liryka Niższa — Pieśni.

Pieśń Poranna.
Franciszka Karpińskiego.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki!
A człowiek, który bez miary
Obsypany twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam go koło siebie.
Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczora spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili.

Pieśń wieczorna.
Franc. Karpińskiego.

Wszystkie nasze dziênne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech cię nawet sen nasz chwali.
Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka!
Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiéj broń nas szkody,
Miéj nas wiecznie w Twojéj pieczy
Stróżu i sędzio człowieczy!

Do przyjaciela.
Franc. Karpińskiego.

Na têm tu miejscu z wami ja żyłem,
Z wami tu wodę Niemnową piłem,
Też same brzegi, też same ściany,
Gdzie was kochając, byłem kochany:
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętéj.
Za co mi stanie! że mówię śmiało:
„Nic mię od ciebie nie oderwało.“
Ktoś kłóci ludzi, ktoś miasta wali,
My się w zaciszu stale kochali.
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętéj.
Niech mi tu twardy kamień postawią.
Którego późne lata nie strawią;
Na nim dam napis niestarty wiekiem:
„Dwóch ludzi było jednym człowiekiem.“
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętéj.

Do zdrowia.
Jana Kochanowskiego.

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie
Widzi na jawie,
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie,
Ani lepszego,
Ani droższego:
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,
Także wiek młody,
I dar urody,
Miejsca wysokie,
Władze szerokie,
Dobre są, ale
Gdy zdrowie w cale.
Gdzie niemasz siły,
I świat nie miły.
Klejnocie drogi!
Mój dom ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie!

Filozof.
Kajetana Węgierskiego.

Czy mam złoto, czy bez złota,
Zawszem zdrowy i wesoły;
Poczciwego zdobi cnota,
Ani mu wstyd, kiedy goły.
Gdy mi dobrze idą rzeczy,
Fortunie bardzo dziękuję;
Gdy mi swoich względów przeczy
Wcale się têm nie turbuję.
Żeby mnie nie wiem jak srogim
Ciosem fortuna ściskała,
Nie zrobi mnie tak ubogim,
By mi cnota nie została.
Nie wielkich mi skarbów trzeba
Na moje drobne expensa,
Żyję bez białego chleba
I bez kosztownego mięsa.
Ni mnie trzeba kosztu na to,
Żebym coś na świecie znaczył;
Ani się stroję bogato,
By mię ktoś przywitać raczył.
Nie zabieram spółki z têmi,
Których przyjaźń ma kosztować,
Bo nie chcę pieniędzmi memi
Przyjaciół sobie kupować.
Przyjaźń, co odbiega w nędzy,
Co się niejedna z przymioty,
Co jest tylko dla pieniędzy,
Traci u mnie imię cnoty.
Tak więc żyjąc w własnym domu
Mam się za dość bogatego;
Kiedym nie dłużny nikomu,
Kontent jestem z losu swego.

Do Grzegorza.
Ignacego Krasickiego.

I na lądzie i na morzu,
Wszędzie bieda mój Grzegorzu:
Młodość miłą zowią wiosną,
Żywość, wdzięki są w téj porze;
I przy kwiatach kolce rosną:
Trudno brykać przy dozorze.
Więc wiek męzki szczęściu zdolny;
Ale żona, ale dzieci,
Zakręt domowy i rolny
Od sług, od sąsiad, od kmieci.
Starość zatém idzie sporzéj;

Trzeba innym być przykładem,
Więc w téj porze jeszcze gorzéj:
Smutny honor zostać dziadem.
I na lądzie i na morzu,
Wszędzie biada mój Grzegorzu.

Śpiew Poety.

Bohdana Zaleskiego.

Gdy na górach świta dzionek
A w dolinie śrebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.
Lecą — gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życiu wieniec plotę:
Piękność, miłość, czucie, wiarę,
Na ogniwo spajam złote.
Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwie ją zachwyca.
Łza na krótko oko cieni,
Częściéj płoną w nim rozkosze:
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.
Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli — uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.
Oto w słońcu płyną łany,
Tchem wiośnianym pieści ranek;
Czemuś tęsknię zadumany,
Czegoś szukam, jak kochanek.
Wszystko kwitnie, wszystko woni,
Sympatyczne czucia wznieca;
Kwili słowik u jabłoni
Zapłonionéj jak dziewica.
Brzmią śpiewacy polni, leśni,
Pierś podnosi rzewność błoga;
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga!
Brzmią śpiewacy.... i na przemian,
To na dole, to na górze;
To dla niebian, to dla ziemian;
Wtórzą dla mnie; dla nich wtórzę.
Tak przebiegam różne tony,
Pierwéj sercem dźwięk pogodzę;
I czyściejszy, upiękniony
Po samotnéj puszczam drodze.
Myśl méj pieśni nie przekwita,
Jako niebo, serce, wiosna;
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza i miłosna.
Coraz w gaju śpiew ucicha,
Wolnie buja kilka chwilek;
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam, jak motylek.
Znowu lecę między ziółka,
Miedzy gaje, łąki, wody;
Biorę miody, a jak pszczółka
Nie dla siebie biorę miody.
Gdy w polocie mym z nienacka,
Coś mię draśnie lub ukole,
Widzę w koło piękne cacka
I jak dziecię koję bole.
Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie;
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lecz gdzieindziéj kwitnąć będzie.
Czara życia nie wciąż miodna:
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcianin, spełnię do dna,
I — wesoło pojrzę w nieba.
Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Chór strzelców. [1])

Adama Mickiewicza.

Śród opok i jarów
I klonów i głogów;
Śród wrzasku ogarów,
I rusznic i rogów;

Na koniu, co w cwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot:

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop,
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop.
Hop! hop!

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.

Czy do chmur wypali,
Czy w przestrzeń śród pól,
Tu zwierza powali,
Stąd leci grad kul.

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop,
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop,
Hop! hop!

Czyj dowcip gnał rojem
Latawców do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
Sztandary z ich skrzydeł?

Héj! wiatry, w burzliwy
Ozwijcie się chór!....
Zatrąbił myśliwy,
Król ptaków i gór.

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop,
Dalejże. dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop,
Hop! hop!

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzic
Podesłał na nogi?

Héj! skały i niwy
Zadrżyjcie na strzał!...
Wystrzelił myśliwy,
Król borów i skał.

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop,
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
z tropu w trop,
Hop! hop!

Do Wiosny.

Sielanka Fran. Karpińskiego.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci:
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?
Już słowik w lesie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa.
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni

1) Podług muzyki z opery Webera Wolny Strzelec.

A mój mi ptaszek nie śpiewa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszéj powodzi:
W różne się barwy łąka przybrała;
A mój mi kwiatek nie schodzi!

Już się i zboże do góry wzbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło;
A méj pszeniczki nie widać!

O wiosno! pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany!
Jużem tę ziemię łzami urosił:
Wróć mi urodzaj kochany!

Wiosna.

Stefana Witwickiego.

Błyszczą krople rosy,
Mruczy zdrój po błoni,
Ukryta we wrzosy
Gdzieś jałówka dzwoni.

Piękną, miłą błonią
Leci wzrok wesoło;
W koło kwiaty wonią,
Kwitną gaje w koło.

Paś się, błąkaj trzódko,
Ja pod skałą siędę,
Piosnkę lubą, słodką
Śpiewać sobie będę.

Ustroń miła, cicha!
Jakiś żal w pamięci,
Czegoś serce wzdycha,
W oku łza się kręci.

Łza wybiegła z oka,
Ze mną strumyk śpiewa,
Do mnie się z wysoka
Skowronek odzywa.

Jakże ładny, chyży...
Ledwo widny oku...
Coraz wyżéj, wyżéj,
Już zginął w obłoku.

Uleciał, szczęśliwy!
Tam swą piosnkę głosi...
I ziemi śpiew tkliwy
Do niebios zanosi.

Pleśń źniwiarska.

K. Gaszyńskiego.

Jak las wysokie żyto się udało:
Oj będzie za to pieniędzy nie mało!
A pszenica na zagonie
Złocistemi kłosy płonie.

Jęczmień i owies błyska barwą świetną
Wszystko to, wszystko sierpy nasze zetną;
A pracowne nasze woły
Wszystko zwiozą do stodoły.

Potem wymłócim, a czeladka pańska
W galerach z szyprem powiezie do Gdańska:

Pięknie zboże się udało,
Będzie pieniędzy nie mało.

Więc chłopcy, dziewki, żywo z sierpem, żywo,
Skończmy co prędzéj rozpoczęte żniwo;
Gdy skończymy raźni, żwawi,
Pan dożynki nam wyprawi.

Dziewoja, która przodowała w żniwa
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiewa,
I wianek z kłosów pleciony
Wstążeczkami ukraszony,

Strojny kaliną i polnemi głogi
Złoży z podarunkiem przed pańskiemi progi.
Pan wystawi wódkę, piwo,
Grajek zagra piosnkę żywą.

Będziemy hulać do samego rana,
Wielbiąc szczodrotę łaskawego pana,
Panien, paniczów i pani,
Jako wierni ich poddani.

Czajki.

(Śpiew Zaporożców.)

Bohdana Zaleskiego.

Ura — ho! ura — ho! ura!
Limany! nasze limany!
W ogniach goreją, kurhany,
I Czartomelik, i Dura!
Okrzyk bracia! a wesoło;
Aż rozgłośnie naokoło
Od Chortycy do Tawani,
Zagrzmią progi i ostrowy!
Niech nam żyje, niech hetmani,
Konaszewicz nasz Koszowy!
Toż się to z chmury—na wody
Pełnią odbija miesiąca?
Nie, — to Synopa płonąca,
Natolskie dymią to grody!
Przy wojennéj téj pochodni,
Kiedy letko wiatr zachodni,
Pędzi z dymem i popiołem
Czajki nasze w kraj niżowy;
Bracia! raźny okrzyk społem:
Niech nam żyje nasz Koszowy!
Cieszmy się, pokąd widzimy
Z dymu chmur łunę tam jasną;
Lecz choć i łuny pogasną,
Chociaż rozwieją się dymy:
Jak wyprawa w Krym Bohdanka,
Gracka nasza pohulanka
Zabrzmi pieśnią w Ukrainie;
I [illegible]kąd bratniéj mowy,
W całéj Polsce nam zasłynie
Konaszewicz nasz Koszowy.

Piękny-ż bo wieziem podarek
Dla braci naszéj na Niżu;
Działa błyszczące ze śpiżu,
Krocie złocistych jańczarek;
Zbroje, szable i kinżały,

Będą ludzki wzrok olśniały,
Promieniące od kamieni.
A gdy błysną w dzień godowy,
Hukniem razem w sto kurzeni: [1])
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Poślem na ładan [2]) i świece,
Do świętéj Ławry [3]) pieczarskiéj
Łupy ziemicy agarskiéj,
Złote z meczetów księżyce;
Niech poległéj braci w boju,
Pieśń wiecznego brzmi pokoju!
A śród wypraw, naszéj młodzi,
W łasce Boga, żyw i zdrowy,
Niech w najdłuższy czas przewodzi
Konaszewicz nasz Koszowy.
Pod Ostrowami na przodzie,
Widzicie czajkę hetmana,
Jak chorągwiami owiana,
Letko się ślizga po wodzie!
Toż od naszych dum ucieka,
Że samotny, że zdaleka,
Wódz, nasz ojciec, szuka ciszy?
Bracia! raźno okrzyk nowy
Aż nogajska dzicz usłyszy:
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Lecz hetman w myślach jak niemy,
I wciąż na niebie źrenica,
I wciąż na sercu prawica;
Nie wie skąd, dokąd płyniemy,
Jakiś zamach knowa w głowie...
Nowe-ż boje nam zapowie?
Ura bracia! niechaj skinie,
Wnet ochoczo w taniec nowy,
Z czajek na koń! — i w pustynie...
Śród okrzyków: żyj Koszowy!

Ura-ho! ojcze hetmanie!
Oto na siczy drużyna,
Z podarkiem chleba i wina
Szerzy okolne wołanie!
I my okrzyk! a radośny,
Aż jak gromu huk rozgłośny,
Od Chortycy do Tawani,
Wstrzęsie progi i ostrowy!...
Nich nam żyje! niech hetmani!
Konaszewicz nasz Koszowy!

Mazur.

(Z Pieśni Janusza.)

(Skrócone.)

Piękna nasza Polska cała,
Piękna żyzna i nie mała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!
Bo gdzie takie cudne stroje,
I śpiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze [4])
Jak ojczyste Mazurowi
Niechaj cała Polska powie.

Po za Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnie podkasały,
A Odradki lud zniemczały;
A więc nasza, nasza góra,
Nie masz w świecie nad Mazura!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze,
Przyśpiewują jéj flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.

1) Kurzeniami zwały się u Kozaków obozowiska. 2) Ładan, Myrra. 3) Święta Ławra, Cierkiew Metropolitalna w Kijowie z pieczarami. 4) Pielesz, gniazdo.

Gdzieś za światem Dniepr. tam płynie,
Sławne konie w Ukrainie;
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Wioząc z konia biczem trzaśnie?!
Kiedy jedzie do Warsęgi
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!

Tęgi Mazur wej w pokoju!
Lecz się przyda i do boju,
I Bóg żeby świat dziś stworzył
Już z Mazurów by go złożył,
Nawet w tańcu nasza góra
Nie ma w świecie nad Mazura.—

Do mojego Grajka.

Teofila Lenartowicza.

Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
I basista nie najgorzéj;
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek dobra, dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami — jedna, druga
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Że żniwa, sianożęci....
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę.
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewcze z jasną kosą,
Bo to dziewcze pozna żywo
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.
Zabłąkane nuty chwyta,
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty....
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina,
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchno ano w koło,
Potém raźno na odsibkę.
Bodajże cię za tę skrzypkę....
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby daléj, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciéj sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami jako mogą
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą źrebce
Dziecko śmieje się w kolebce,
Kędy spojrzeć radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu na wysokim,
Przygląda się jednem okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Niewiedząca co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Zmarnowane bieda z nędzą
Jak szalone ze wsi pędzą.
Po lipowym starym moście
Na wesele jadą goście.
Jedzie matka dobra wola,
Aż się złocą od niéj pola.
Suknia na niéj jak na pani,
Złotem, tkana, przerabiana.
Na przyjęcie siostra cnota
Otworzyła stare wrota,
Pokłoniły jéj się pługi,
Stary żóraw też jak długi.
Potém z izby buchła para,
Zaśmiała się szczęsna wiara:
Bywaj z nami wieśniakami
Stara matko bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeźli nie my ludzie prości?

Teraz grajku miły Janku,
Mokre piwo w starym dzbanku,
Zagrajcie nam tego co to,
Co to wiecie, a z ochotą
Tak okrutnie żeby cała
Nasza Polska usłyszała,
Tak już przez moc wszelką siłą,
Żeby raz już dobrze było!....

Od Warszawy do Krakowa
Już nam się złe nie uchowa,
Od Krakowa do Górali,
Od Górali jeszcze daléj....

Danaż moja dana, dana,
Od wieczora aż do rana.
Grajże grajku bo daremno,
A ty Baśko kręć się zemną.
Jak się Mazur puści szczerze
Niech się świat za głowę bierze,
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze to wygrzmoci.

Zagrajże mi Grajku, proszę,
Wysypię ci w skrzypkę grosze,
Więc i dziewcze szczere licho,
Podśpiewuje jeszcze cicho,
Grajże Grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi,
Po weselu cicho wszędy,
Tylko kogut zfrunął z grzędy,
I na śpiących snem głębokim
Ogląda się jednem okiem.

Pieśń Żeglarzów.

Edmunda Wasilewskiego.

Wesoło żeglujmy, wesoło!
Po życia burzliwym potoku;
Jak Orły w gradowym obłoku,
Choć wichry, pioruny w około,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Daléj i prędzéj i daléj!
Burza się dąsa daremnie;
Kochanka znalazła we mnie,
Z kochankiem twoim poszaléj,
Daléj i prędzéj i daléj!

Muzyka, śpiewy i tańce,
Pochodnią godów zatlijcie,
Śpiewajcie, tańczcie i pijcie!
Zanim przystani kagańce,
Spłoszą muzykę i tańce!

Wesoło żeglujmy, wesoło! i t. d.

Daléj tu do mnie młodzieńce!
Niech każdy kielich wypróżni,
Za życie, my ziemi dłużni,
Strójmy ją w laurowe wieńce,
Żyjmy wielkością młodzieńce!

Niech każdy pół-bogiem będzie,
Choć gorycz dymi z kielicha,

Niech pije, niech się uśmiecha,
Niech listek lauru zdobędzie,
A każdy pół-bogiem będzie!

Wesoło żeglujmy, wesoło! i t. d.

Każde łańcucha ogniwo
Przeklęte! gdy się rozpadnie;
Gdy rdza się w niego zakradnie,
To ogniem czyścić co żywo
Rdzawe łańcucha ogniwo!

Przesączmy życie dla życia,
W wielki ocean ludzkości
Oddajmy ducha i kości!
A unikniemy rozbicia,
Oddając życie dla życia.

Wesoło żeglujmy, wesoło!
Po życia burzliwym potoku,
Jak orły w gradowym obłoku,
Choć wichry, pioruny w około
Wesoło żeglujmy! wesoło!

Kalina.

Teofila Lenartowicza.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowém słońcu liście kąpała.

W Lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła jak dziewczę młode,
I jak w lusterko patrzała w wodę.
Wiatr co dnia czesał jéj długie włosy
A oczy myła kroplami rosy.

U téj krynicy, u téj kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny —
I grywał sobie, długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.
I śpiewał sobie: dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana;
Kalina liście zielono miała,
I jak dziewczyna w gaju czekała.

A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk, Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała.
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoją urodę.

---

2) Liryka Wyższa — Hymny, Ody, Dytyramby.

Hymn do Boga.

Franciszka Kniaźnina.

Od Ciebie moja niech zabrzmi lira,
Twoją na zawsze strojona wiarą:
Znajoma Tobie moja myśl szczera,
I usta zgodne z serca ofiarą.
Czém tchnę, co czuję, co mię wzbić może,
Twoja to wola, Twoja moc, Boże!
Uczuciom moim ty dodaj mocy,
Światła pojęciom, obrazom ducha.
Zaniechasz? gnuśnie mgła ślepéj nocy
Cięży nademną, gruba i głucha.
Błyśniesz? aliści wzbudzony czuję,
Widzę coś, chwytam, górę, wzlatuję.
Do Twojéj łaski ustawnie wzdycham:
Uroń tę znanéj ducha pokorze,
Bez niéj ja w czczości wiednę, usycham;
Głowa jak kruchy kwiat na ugorze.
Ale gdy zrzęsisz hojną jéj rosą,
Jak listki z pączka myśli się wzniosą.
Cóż, kiedy dzielna Twórcy potęga
W bystrym umyśle ogień roznieci?
Posłuszny Dowcip, kędy chcesz, sięga;
I cnota przy nim i sława leci.
Zapal; — między gwiazd Twoich kołem
I ja ognistym zabłysnę czołem.
Ale niech pycha Twojego daru
Zna moc, i zapał, i pęd wysoki.
Ten proszek, coś go z ziemi rozparu
Aż po za jasne wyniósł obłoki;
Utknięty w ostrze ognistéj strzały
Trudnoż Ci strącić w podziemne skały?

Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Maryi.

Adama Mickiewicza.

Pokłon przeczystéj Rodzicy!
Gwiazdami twój wieniec płonie,
Nad niebiosa twoje skronie,
Jehowie na prawicy.

Ninie, dzień tobie uświęcamy wierni,
Śród twego błyśnij kościoła!

Oto na ziemię złożone czoła,
Oto śród nieméj bojaźnią czerni
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twéj chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród twego błyśnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie!
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmię piersią, jaką Cheruby
Zagrzmią światu na skonanie,
Gdy proch zapadły w wiekach otchłanie
Ze snu nicości wybija:
Takim grzmotem Twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon dziewica.
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa, i w Niéj upodobał sobie:
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I śrebrzystéj pierzem tęczy,
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką dziewica,
Bóg ciało!

Z Glozy Św. Teresy.

Zygmunta Krasińskiego.

(Ułamek.)

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,

Że mi ten ziemski, grobową żałobą,
I tém umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Szlij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tém mi więcéj błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!
Jedynéj ulgi na moje męczarnie
— A jedna tylko i Śmierć się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
O bardzom Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszém jeszcze konam znicestwieniu!
— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana —
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małéj wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mém sercu jak w grobie —
— Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonéj Łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam, na ziemi i niebie.
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma —
Bo ha to wzroku ócz śmiertelnych nie ma.
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —
Wszystko widziała i słyszała — duchem! —
A jednak Panie Tyś jaśniał przedemną
Jakby słońc słońce w którém kształt człowieka!
Ach światło dzienne, nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu co z Twych skroni ścieka.
— Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde co z ust Twych spływało,
Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk ssan przez uszy,

Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń, w mojéj duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami Cudu —
Lecz jakim bywasz śród Aniołów ludu
Tam gdzie nad światem królujesz z Świętemi!
Takim Cię — takim — tu miałam na ziemi!
— Lepiéj od Świętych widziałam Cię Panie?
Bo silniéj kocham, goręcéj niż Oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziéj tęsknię, tém kocham gorącéj,
Im więcéj męki, tém miłości więcéj,
W tém piekle bożem Bożego kochania,
Gdzie twa obecność, mnie nawet rozrania —
Bo chwilą późniéj Tyś znowu daleki,
I nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
A pod tym głazem méj niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojéj woli w tych chwilach nie zmienię!
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi!
I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy
Że ciebie kocham za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twém gody,
Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś tu wszystko co boli,
Że zniósłeś wszystko co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnéj niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
Ja Ciebie kocham — że Cię o téj chwili
Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!

Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: „O jam opuszczony“ —
Ja Ciebie kocham, za Twoje konanie
I za śmierć więcéj niż za Zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednéj potrzebujesz sługi; —
Już wtedy służy Ci twój wszechświat cały —
Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam gdzieś wprzódy to wzgórze
I krzyż ten zbroczon w krwi Twojéj purpurze!
Że Magdalena, ta święta, Ta miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
Bo w sercu mojem, jéj serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jéj oka,
I rozpacz moja, tak straszna głęboka —
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie — ona Ciebie więcej nie kochała —
Ja wiem, że Ona wielka, a ja mała,
Bom mniéj czynami Tobie zasłużona --
Lecz więcéj Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość, między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może!

— Nie — Ciebie więcéj nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmętarza
I z po za wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobecniona chwila
W któréj śród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia!
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi téj krzyż Twój męczenny
I na tém drzewie oglądam Twe ciało
Ostatkiem światła jeszcze tlące biało
Gdy wszystko w okół, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja Panie — nikt więcéj — my sami —
Tak blizcy siebie — a tak rozdzieleni —

Bo ja tu w dole pod Twemi stopami,
A Ty nademną, w téj strasznéj przestrzeni;
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!
Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie boku Twego rana —
I choć tum w dole, takiem z Tobą zlana
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

Wołania.

Stefana Witwickiego.

I.

W gorzkim płaczu pracowałem,
Co noc łoże myłem łzami;
Bo zwycięztwo złościom dałem,
Bo upadłem pod grzechami.

Ztrwożyło się oko moje,
I odbiegło mię wesele;
Światła w dzień, w noc snów się boję.
Jak wyrwane więdne ziele.

Niech Cię Panie! wzruszy skrucha,
Zwróć swéj na mnie promień mocy;
Jako deszczu ziemia sucha,
Tak czekałem Twéj pomocy.

O! zdejm ze mnie grzechu pęty,
Sądów Twoich nie rozrywam.
Ale Ojcze, Panie święty!
Miłosierdzia Twego wzywam.

II.

Byłem młody, lat koleją
Dziś już starość mię ujęła:
A z pokorą i nadzieją
Zawszem wielbił Pańskie dzieła.

Gdyż chwalebne Pana sprawy,
Pewna Jego tarcz obrony;
Anim widział by mąż prawy
Był od niego opuszczony.

Zły chełpił się szczęściem trwałém,
Wynosił się swoją siłą;
Minąłem go i spojrzałem:
Tylko miejsce po nim było.

Lecz pokorny w innéj doli,
Jako drzewu nad wód zdrojem,
Pan zakwitnąć mu pozwoli,
Darząc dobrem i pokojem.

III.

Pan nędzę moją i łzy zobaczył,
I cierpliwości wzrusza Go cnota;
Ciemności moje rozświecić raczył,
Oznajmił drogi żywota.

Któż przed Twym, Panie! sądem ostoi?
Niech usta moje chwalą Cię codzień;
Zapomnij grzechy młodości mojéj,
Jam słaby, nędzny, przechodzień.

Siedzi niezbożnik na swojéj zdradzie,
W ukrytém miejscu, jako lew w jamie;
Przed nogą brata sidło swe kładzie,
Chytrze mu czyni i kłamie.

Lecz za niewinnym napróżno goni,
Próżno go łowi zdradą swych sideł;
Pan jest z niewinnym, Pan go zasłoni
Bezpiecznym cieniem swych skrzydeł.

IV.

Nie sądź według naszych czynów,
Bośmy wszyscy pod grzechami;
Jak lituje ojciec synów,
Panie! zlituj się nad nami.

Twojego się gniewu straszę,
Żem cię zdradził sercem płochém!
Utworzenie znasz Ty nasze,
I pamiętasz żeśmy prochem.

Lecz Ty, Panie! wiecznie trwały,
Sam wiecznego Mocarz kraju,

W majestacie przetrwasz chwały
Od rodzaju do rodzaju.

Złamiesz niebios utwierdzenie,
I zwietrzeją jako szata;
Znów je zmienisz jak odzienie;
I nie doznasz co są lata.

V.

O! zdejm już ze mnie karzącą rękę,
Niech mi się podług win mych nie dzieje.
Obym ci złożył pieśń na podziękę,
Jakom miał w Tobie nadzieję.

Albowiem ja znam przestępstwa moje,
Żem chodził w zdradzie, żem zgrzeszył Tobie;
Ale me oczy łez lały zdroje,
I serce moje w żałobie.

Grzech mój nademną. Ciężkom zawinił.
Myśli me wszystkie zatruł frasunek;
I niemasz ktoby dobrze mi czynił,
Kto na mój szedłby ratunek.

Spełnia się wyrok i nie odmienia,
Który stanowisz radą tajemną;
O pośpiesz ku mnie w czas utrapienia,
Zmiłuj się Panie nademną.

VI.

Pragnęła Cię moja dusza,
K'Tobiem Panie! ręce wznosił:
A wróg śmiechem się obrusza,
Żeś mi nie dał o com prosił.

Obstąpili mię dokoła,
Wielkim wstydem przyoblekli;
Widać smutek mego czoła,
Gdzież jest Bóg twój? z wzgardą rzekli.

Wtedy oczy łzy wylały,
Żem był mową ludu tłuszczy,
Bolejący, opuściały,
Jako nocny kruk na puszczy.

Nie rozłączy mię z nadzieją,
Głos fałszywych przyjacieli:
Bo ze łzami którzy sieją,
Ci z radością będą żęli.

Niech się pyszny w moc swą wmoże,
Próżno w myślach marzy dumie;
Ja bogatszy w méj pokorze,
Gdy się Pan mój skłoni do mnie.

O d a
na stuletni obchód zwycięztwa Jana III pod Wiedniem.

Franciszka Kniaźnina.

Sto lat ubiegło, jak Polaków skronie
Pysznym się laurem dzisiaj zieleniły;
Gdy raz ostatni w jednomyślnym gronie
Chwała z ich sercem połączyła siły;
Że śmiało mogli rzec sąsiedzkiéj dumie:
Niech zna Europa, co wolny lud umie!
Kiedy pod Wiedniem błysnęły miesiące,
Strach był ostatni padł na Chrześciany.
Któż wtedy dźwignął mocarstwo ginące?
Gromca niewiernych, Jan z nieba zesłany:
Przyszedł, obaczył, i swój lud postawił,
Rozproszył Turków, a Niemce wybawił
Jeszcze te dęby stoją nad Dunajem,
Między któremi pohaniec się chował;
Za obcym Polak gdzie obstając krajem,
Krwią nieprzyjaciół wart bystry farbował.
Chociaż ta farba zniknęła w Euxynie,*)
Ale tych brzegów świadectwo nie zginie.
Stojąc te mury, te kościoły dawne,
Co drżały na moc szturmującéj ręki:
Niechaj przypomną to witanie sławne,
Jak huczne niebom śpiewano podzięki;
Kiedy mąż, pełen i męztwa i wiary,
Zdobyte Bogu poświęcał sztandary.
Sława naówczas trzymająca z nami
Bronić radziła niewdzięczne sąsiady;
Ponad pysznemi wznosząc się Tatrami,
Śpiewała nasze wspaniałe pradziady;
A na jéj trąbę świat pełen zazdrości
Winszował Polsce męztwa i ludzkości.

*) Euxyn, morze Czarne, gdzie Dunaj wpada.

Do Obywatela.

Franciszka Kniaźnina.

Tę boską lutnię ilekroć mam w ręku,
Cnocie hołd oddać moim zawsze celem.
Jakże mi słodko, czystego jéj wdzięku
Przed tobą użyć, przed Obywatelem!
Któż Obywatel? ten, co swemi trudy
Wspiera los braci, choć przeciwność bije.
Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
„Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!“
Który, jak drzewo wśród burzy otuli
Skupioną trzodę swych liści ramieniem.
Biegną, śpiewając, tam pasterze czuli:
Cieszmy się pod tym dobroczynnym cieniem!
Tak, kiedy Polak śmierć zyskiem poczytał,
I chlubę z placu przynosił na czele;
Orszak płci lubéj z dziatkami go witał:
„To nasi zbawce! to obywatele!“
Nie złotem wtedy, ale szło żelazem.
Gdy miłość kraju ruszyła pałasze;
Odgłos był jeden: trzymajmy się razem:
Bo idzie o nas, bo w tém dobro nasze!
Jak złoty kruszec zakradł się do rady,
Spojrzała chciwość na własny użytek;
Krok się ośmielił uczynić do zdrady,
Pchnęła się duma, a popędził zbytek.
Żądzom podłości raz popuścić lic ów;
Stęka kraj nędzny, upadają miasta.
Widać chwast lichy, co z żalem dziedziców
Na gruzach wielkiéj budowy porasta.
Daremnie Cnota, tor podając chwały,
Rozniecí światło i ogniem zapali.
Potrzęśnie głową ród zapamiętały:
„Niech ginie wszystko, byleby my cali!“
Za nic im przykład, i ów zapał święty,
Co swoję widzi nagrodę wśród nieba:
Gdzie ziarna sypią, gdzie na lepie nęty,
Ślepa na zgubę pędzi ich potrzeba.
Tak orzeł w górę bystry lot pośpiesza,
Kiedy słoneczna twarz jemu zaświeci:
Zdziwi się ptastwa poziomego rzesza,
Ale nikt za nim ku słońcu nie leci.

Do Wąsów.

Franciszka Kniaźnina.

Ozdobo twarzy, Wąsy pokrętne!
Powstaje na was ród zniewieściały:
Dworują sobie dziewczęta wstrętne,
Od dawnéj Polek dalekie chwały.
Gdy pałasz cudze mierzył granice,
A wzrok marsowy sercami władał;
Ujmując wtenczas oczy kobiece,
Bożek miłości na wąsach siadał.
Gdy szli na popis rycerze nasi,
A męztwem tchnęła twarz okazała;
Maryna, patrząc, szepnęła Basi:
„Za ten wąs czarny życiebym dała.“
Gdy nasz Czarniecki słynął żelazem,
I dla Ojczyzny krew swą poświęcał;
Wszystkie go Polki wielbiły razem,
A on tymczasem wąsa pokręcał.
Jana Trzeciego, gdy Wiedeń sławił,
Głos był powszechny pomiędzy Niemkami:
„Oto Król Polski, co nas wybawił,
Jakże mu pięknie z témi wąsami!“
Smutne w narodzie dzisiaj odmiany,
Rycerską twarzą Nice się brzydzi;
A dla niéj Dorant, wódkami zlany,
I z wąsa razem i z męztwa szydzi.
Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrząsa;
Ja zaś z ojczystéj chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę wąsa.

O uspokojeniu z cnoty.

Franciszka Karpińskiego.

Kto cnotę smutną maluje,
Wiele jéj wdzięków ujmuje.
Ona się mile uśmiecha,
Ócz nie zawraca, nie wzdycha.
Wszystkie przygody jednako przyjmuje:
Szczęście, nieszczęście, równie ją kosztuje.

Próżno zaotrza swe strzały
Przypadek na nię zuchwały
Jak skała falą tłuczona,

Burzę swym statkiem przekona:
Albo jak ogień, im bardziéj się wzmaga,
Tym do piękności złotu dopomaga.

Sokrates pije truciznę
Za to, że kochał ojczyznę.
Wypił; i daje bez trwogi
Swym przyjaciołom przestrogi.
Anitus *) bardziéj miesza się i mruczy,
Że mu i śmiercią nawet nie dokuczy.

Czego ten biega stroskany?
Rwie włosy łzami zalany!
Za tém mu się płakać zdało,
Co być koniecznie musiało.
Niechaj się jeszcze choćby sto lat smuci,
Na jeden fenig szkody nie powróci.

Łańcuch od wieków związany
Każdéj na świecie odmiany,
Ten go przerobić sam zdoła,
Który powiązał te koła.
Na cóż się smucić? co jest, albo było,
Wszystko przedwieczny wyrok uiściło.

My bardzo krótko żyjemy,
I nic o jutrze nie wiemy.
Zacóż ten kwasić czas mały!
Nieba nie na to go dały.
Niech niewolników złota, strach obleci:
Czego się trwożyć mają boskie dzieci?

Po drodze tkanéj cierniami
Kwiaty rzucając przed nami;
Idźmy, nie dbając na bole,
Choć nas co czasem ukole.
Tam, powiadają, gdzie bez kolców róże,
Każda się rana prędko zgoić może.

Balon.

Stanisława Trembeckiego.

Gdzie tylko bystrym orzeł polotem
Pierzchliwe pogania ptaki,
A gniewny Jowisz ognistym grotem
Powietrzne przeszywa szlaki;

*) Anitus, fałszywy oskarżyciel Sokratesa.

Niezwykłych ludzi zuchwała para
Zwalczywszy natury prawa,
Wznawia tor klęską sławny Ikara
I na podniebiu już stawa.

Nabrzmiały kruszców zgorzałych duchem,
Krąg lekkiéj przodkuje łodzi;
Los dla niéj rudlem, nici łańcuchem,
Z wiatrami w zapasy chodzi.

Już im te złotą wyniosłe pychą
Znikają z przed oczu domy,
W gruzów nikczemnych potrzaskę lichą
Wzrok przeistoczył poziomy.

Król, wódz, senator, kmieć pracowity,
Czy rządzi, czy ryje ziemię,
W błahych się zlepkach czołga ukryty,
Jak drobne robaczków plemię.

Jak z kilku kropel strumyk kreślony
Dziecinnym palcem na stole,
Ledwo się sączy na tym padole
Nurt szumnéj Wisły zmieniony.

Gminie, ku rzadkiéj zbiegły zabawce,
Jakież ci cuda mózg kreśli?
Ty sobie roisz czary, latawce,
Filozof inaczéj myśli.

Choć się natura troistym grodzi
Ze stali murów opasem,
Rozum człowieczy wszędzie przechodzi
Niezłomny pracą i czasem.

Temi on wsparty tory wędrowne
Burzliwym morzom poruczył,
Wydarł z otchłani kruszce kosztowne,
I szukać głazy nauczył.

Zbywają dzikiéj mocy żywioły
Pod jego dzielnym rozkazem,
Leniwa woda opuszcza doły,
A góry ścielą się płazem.

Tego się styru w pogodnéj porze
Gdy ujął mężny Sarmata,
Choć go opuścił i wiatr i zorze,
Już wolniéj sobie polata.

Wszystko zwyciężysz, łódko szlachetna,
Na ciosy przeciwne twarda;
Statek twój sława uwieczni świetna,
Chlubniéj niż podróż Blanszarda.

Droga żelazna.

Franciszka Morawskiego.

Szerszego życia żądzą naprzód gnany
Człowiek z powietrznéj wróciwszy żeglugi,
Spojrzał w świat ten nieprzejrzany
I jak świat ten wielki, długi,
Dwa bliźnie druty narzucił téj ziemi,
Wsiadł w rydwan pary i puścił się niemi.

Od pierwszéj chwili stworzenia natury
Brzemienne kruszcem piętrzyły się góry;
Jak stare skarbce wieki wieków stały,
I na wielką myśl czekały.

I myśl ta błysła — zajaśniała słońcem:
Człowiek lotnym pędzi gońcem,
Przestrzela ziemię zdumiałą,
Rydwan gromem — droga strzałą.
Leci — życie, czas potraja,
Grody, rzeki, morza spaja:
Zbliża się kres ku kresowi,
Łączą ludy, wiążą kraje,
Biegun bratu biegunowi
Sąsiednią rękę podaje.
Rzekłbyś, że Boga nakazem
Przewraca się postać świata;
Dziś się rozdwajał żelazem,
I dziś żelazem się brata.

Leć, leć własną gnany siłą,
Jaśniéj w świetnym wieku dziele;
Każda z dróg twych wielką żyłą
W niezmierzoném świata ciele.
W każdéj z żył tych nurtem wrzącym
Ogień się życia przelewa;
Na każdym wozie lecącym

Sztandar wolności powiewa.
Pędzi, pędzi jak grom fali,
Uciekają lasy, góry;
Gdzieś tam za nim w ciemnéj dali,
Zmordowane szumią chmury.
Ledwie ujrzał Alpy, Tatry,
Już go swym ogromem słonią;
Gonią za nim orły, wiatry —
Orły, wiatry nie dogonią!
Pędzi, pędzi w lotnym biegu
W wielką otchłań niezmierności;
Jak lawina, piorun śniegu,
Wieść tryumfu, duch wolności:
Radość jego ogniem płonie,
Radby objąć ziemię całą,
Burza szczęścia tętni w łonie,
I każdy oddech nawałą!
Leć, leć, wiek twój z tobą leci,
Wiek potężny, wiek zapasów,
Co nad całą masę czasów
Lotnym meteorem świeci.
Wszystkich wieków myśli śmiałe
W jego myśl się zestrzeliły;
Wszystkie chwały w jego chwałę,
W siłę wszystkie jego siły.
On już mężem był z dziecięcia,
Krwią go ochrzcił Cezar nowy,
I ten ogień przedsięwzięcia
Wlał mu swemi czyny, słowy.
Wiek ten stary świat pokona
Góry przeszkód w proch rozdrobi;
On w pracowni swego łona
Stu wieków przyszłość wyrobi.
On na wszystkie czasy, ludy,
Rozwinął skrzydła olbrzymie,
Leci — wielkie sypie cudy,
I Naprzód mu imie.

Oda do młodości.

Adama Mickiewicza.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,

Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!...
Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe gromy
Przeniknij z końca do końca!
Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!...
Patrz, jak nad jéj wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb' wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!
Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.
Razem młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu!
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!
Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody — zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;

Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!
Héj! ramie do ramienia! Spólnémi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...
Daléj z posad bryło świata!
Nowémi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałéj zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.
A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem: „stań się“ z Bożéj mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią!
W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojém łonie,
A przyjaźń w wieczne utwierdzi spojnie.
Pryskają nieczułe lody,
I przesądy światło ćmiące...
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

Oda do Gieniusza.

Stefana Garczyńskiego.

Gieniuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
Skrzydłem twém Boskiém obwiewaj mą duszę,
A śpiewać będę, i śpiewem poruszę
Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!
Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
Niebo zakryją — zadrży świat w przestrachu,
Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty
Tam — w chmury czarne —
Pieśń i tam zadźwięczy;
A okiem tęczy
Chmury w krąg ogarnę!
Gieniuszu! gdy burza ześle wiatry mściwe,
I niebo morzem ognia się zapali,

Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
I twojém skrzydłem popędzić na fali!
Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą,
Wiatry zdepcę moją nogą,
I do jarzma wiatry znaglę!
Geniuszu! gdy ludzie uśpieni bezwładnie
Od burzy legną, co zmysły ich głuszy.
Śpiew ty mój natchnij! a z duszy do duszy,
Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc wpadnie.
Wszystkie siły wstrząśnie na dnie,
Wstrząśnie cały świat uśpiony,
Jako lutni mojéj strony,
Kiedy niema ręka władnie!
Geniuszu! ty i piersi natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią;
I ludzie — niebo — staną mu na świadki:
Jako w sercu, myśl wysoka,
Jako myśli, czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka
Jako prawdzie — nieśmiertelność!
A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Geniuszu! ty i w śmierci bądź moim aniołem;
Niech życie skończę, jak życie zacząłem,
Życie i śpiew mój ach w jednéj godzinie!
Niech ostatnie głosy moje,
Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
We śnie miłym tam dostroję,
Tam dosłyszę w przypomnieniu!

Szczęście.

K. Z.

Któż jest? co dni swe na łonie pokoju
Przedrzymał słodko, jak dziecię
Na łonie matki, w pieluchy zwoju,
Niewiedząc nawet, co życie?
Walka i walka — rzemiosło nasze,
Zwycięztwo — serca uciecha:
Młodzian do boku gdy miecz przypasze,
Wtedy się tylko uśmiecha.
Starzec, gdy serce wielkością struje,
I w dumę łono uzbroi,
I krew wzburzoną po żyłach czuje,

Wtedy rozkoszą się poi.
  Dziewica nawet, słaba, trwożliwa,
Nudzi się serca pokojem,
Ciałem i duszą na harc wyzywa.
O! wszystko dyszy za bojem.
  Któż jest? co szczęście marząc, przedrzymie
Życie i nic go nie zbudzi?
Któż jest? niech swoje wymówi imię,
A znajdzie litość u ludzi.

Do bociana.

K. Z.

Pędź, niewdzięczny! lotem strzały
Tam, gdzie miłe są upały,
Tam, gdzie wiecznie kwitnie maj:
Mnie niech zimno krew tu zetnie!
Nię polecę w strony letnie,
Bo mnie milszy ojców kraj!

Jażbym rzucał lasy, zdroje,
I rodzinne gniazdo moje,
Że je w krótce śnieg ma skryć!
Niech tam rozkosz będzie raju,
Ja nie rzucę mego kraju,
Tu chcę umrzeć, lub tu żyć.

Pędź niewdzięczny! lotem gromu,
Zdala gniazda, zdala domu,
Nim powrócisz, umrzéj wprzód!
W piekle dręczy boleść wściekła,
A jabym nie rzucił piekła,
Gdybym z piekła wiódł mój ród.
Słyszysz, słyszysz, jak cię goni
Głos puszcz, gajów i ustroni,
Jeziór, rzek, ustępów, błot:

„Czekaj synu, w złéj nas doli
„Nie zostawiaj, bo to boli,
„Czekaj, wstrzymaj bystry lot!“
Ty niesłyszysz! — więc niewdzięczny!
Jako promień pędź miesięczny,
Gdy się z czarnych wyrwie chmur;
Kiedy możesz, żyj szczęśliwie
Z obcymi, na obcéj niwie,
Twarde serce twe jak mur!

Bo kto musi w obce kraje
Lecieć, serce mu się kraje,
Łez wylewa gorzkich zdrój;
Ty się cieszysz, ty nie płaczesz,
Klaszczesz dziobem i kołaczesz,
Jakbyś w kraj powracał swój.

Pędź niewdzięczny! Pośpiech mały
Błyskawicy, gromu, strzały,
Ty pędź szybciéj, nocy, dnie,
Daléj! daléj! gdzie daleka
Z szczęściem na cię ziemia czeka;
Ja ci niezazdroszczę, nie!

Początek zimy.

J. N. J.

Kwiaty!
Dąbrowo!
Żegnajcie nam!
Anioł zatraty
Z północnych wyjrzał bram,
I rzekł zniszczenia słowo.
A na to słowo do koła
Więdną i trawki i zioła;
Twarz się przyrody mieni,
Jej skroń obleka pleśń.

I nieskończona
Skowronka pieśń
W przestrzeni
Kona.
Hola!
Słyszycie,
Widzicie — tam,
Przez nagie pola
Zbliża się tuman k'nam;
A za nim burzy wycie;
A wśród burzy, w majestacie
W rozpuszczonéj śnieżnéj szacie
Idzie władczyni nowa:
I przez tumanu mgłę
Znaczy oczyma
Dziedzictwo swe
Królowa.
Zima.
Biada
Wam kwiatki
Majowych błoń!
Już mrok zapada,
Bladnieje słońca skroń;
Biada wam światła dziatki!
W pośród nocy i chaosu
Ostatek pulsu i głosu
U matki ziemi znika;
Grobowy bije dzwon,
A z nim gromada
Kruków i wron
Wykrzyka:
„Biada!“
A my
Synowie
Wichru i burz!
Skądże uszczkniemy
Na wieniec dla was róż,
Wielcy w grobach ojcowie?
Niech świszczą wichry, grom błyska!
My siądziem blizko ogniska,
Pójdzie czasza do koła;
Z nią ku czci przeszłych lat
Piosnka radośna;
Nim świeży kwiat
Wywoła
Wiosna

Błogosławieństwo polom.

J. N. J.

„Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi,
„I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi,
„Pierwiosnek ubrał łąki — jabłoń kwiat rumiany!
„O śliczny ś, nad dziewicę, kraju mój kochany!“
  Takąć piosnkę jaskółka witając cię śpiewa,
Tak ci bocian klekoce — tak ci szumią drzewa;
Takąć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie:
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie!.....
  Że nucąc znalazł czasem pociechę w téj nucie;
Że płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twéj grzędzie:
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.
  I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów
Śniąc o jodłowych puszczach i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiéj ziemi,
Bo je kocha — co dumny — bo się szczyci niemi.

Nie kwitnie na nich wawrzyn, ani oliwne drzewa,
Ni pod jesiennem słońcem winogron dojrzewa;
Skądże nad skarb Ofiru, — nad cedry Libanu,
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łanu?....
Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu
Wypędził pierwszych ludzi na ten padół głodu,
Rodzinne pole moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem — chleba.
Jak fale kołysane od morza do morza
Łany złotéj pszenicy — i żelazne wzgórza;
Ciemne jodłowe lasy — i zielone błonie,
Po którém dzwonią trzody i hasają konie;
Roje ciągnące słodkie soki dzięcieliny;
Otóż święta puścizna — skarb naszéj dziedziny,
Polsko! pierwiastki pól twych jak Abla niewinne;
A więc wam błogosławię pola me rodzinne!
Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty;
I lato, które kłosom daje plon bogaty;
Jesień, która purpury odziewa ogrody;
I zima, która wasze otula zarody.
Błogosławię po trzykroć tobie światło dzienne,
Tobie księżycu blady — i wam mgły jesienne;
Wam słodkie dżdże majowe z ranną rosą społy,
Wam wszystkie farby życia i woni żywioły.

O i ty też poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.
Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.

Gdybym mógł orlem skrzydłem wzbić się pod obłokiem,
Gdybym mógł zbadać przyszłość otoczoną mrokiem,
Naprzód wam, nizkie sioła z słomianemi strzechy!
Głosiłbym jak skowronek rzewną pieśń pociechy.

Błogosławieni bowiem na wieki spiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy,
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby:
Więc i wam błogosławię, o! piewcy żałoby.

Błogosławię... lecz skądże taka zmiana w nucie?
Rwie słowa — mąci myśli rozgorzałe czucie:
Dźwięk ostatni — dźwięk tęskny zdobędę na strunach:
Błogosławię tym, którzy śpią na tych zagonach!

A ty drobna ptaszyno! co się w górę wznosisz,
I jakąś smętną piosnkę nad mogiły głosisz,
Zamilknij — zbierz twe siły i pod niebios progiem
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem.

Farys wieszcz.

Naśladowanie z arabskiego przez Karola Balińskiego.

O! i ja kiedyś byłem Farysem!
Lecz czyż wy wiecie, co Farys znaczy?!
Ha! niech step mówi swoim opisem! —
Olbrzyma, olbrzym niech wytłumaczy!
On tylko jeden prowdę nam powi,
Jemu więc wierzcie jak koranowi:
„Farys“ — step mówi — „to dziecię moje!
To duch, tęsknotą nieba trawiony —
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niém pędzi bez końca.
I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła! —
Ani uroczéj cienie oazy,
Ni beduinka głosem anioła
I blaskiem oczu — milszym sto razy!
Próżne pokusy! — bo tacy gońce
Kochają tylko niebo i słońce!"
Więc jam był gońcem — i gońców Bardem. —
Cudnež to było to nasze grono!
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą
I z tém ramieniem młodzieńczem, hardem,
Co krawędź nieba z krawędzią świata
Sili się spoić — wierząc, że zbrata!
Patrzcie tam — w koło piasczyste wzgórza
Niby umyślnie słane mogiły —
Czasem się z głębi szkielet wynurza —
Spytaj szkieletów czém one były!...
Ha! te mogiły Arabistanu...
To tylko ślady stóp huraganu!
On to — Farysów pochłonął w sobie!
Pochłonął żywcem braci kochanych!
Ja'm tylko jeden został na grobie
Na grobie gońców — już zapomnianych!...
Czy to jest łaska, czy kara nieba:
Allah żyć kazał więc żyć potrzeba!
Jak młode orlę z złamanem skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,
Żyć, życiem gadu, gnuśném, przebrzydłém,
W tych smutnych murów ciasnym zakresie!...
Ha! próżne żale! śpiewaj Pajaco?
Tylko zabawnie — bo nie zapłacą!

O! wieczna hańbo! wieczna sromoto!
Ja Farys, piewca z niebios natchniony,
Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!
By czém okupić cień cudzéj strzechy
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!
Oni nie wiedzą, że wieszcza pienie
Jest jako słońce na niebios sklepie,
Co na wszechwładne Boga skinienie
Świeci wędrowcom błądzącym w stepie —
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświatą!
Oni nie wiedzą, że wieszcza śpiewy
Jak ów dziewiczéj ogień miłości,
Co za niebiańskie swoje wylewy
Nic! nic nie pragnie — prócz wzajemności!
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!
Przecież tą hańbą wlokę dziś życie!
Allahu! jakże dręczysz mię srogo!
I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,
Niby po cichu powie: „za drogo.“
Za drogo mówisz?... powiedzże bracie
W jakiéjż wy cenie życie sprzedacie?...
Bo słuchaj! — pieśń ma, to cząstka życia
Tam jest krew moja, tam są łzy moje,
I mego serca gwałtowne bicia
I uczuć moich i myśli roje!
A każdą żeby dostać, wyjawić,
Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić!
Więc cóż? za drogo?... O! bądźcie szczersi!
Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,
Jak ja, pelikan rozrywać piersi,
By krwi za cenę złota dostarczyć,
W jakiéjżeby cenie była kropelka
Krwi lub łzy waszéj — choćby niewielka?...
Męczarnia wieszcza w chwili tworzenia
To boleść matki w chwili porodu —
Ile wlał życia do swego płodu
Tyle wziął życia z swego istnienia —
Ile on pieśni dla was utworzył,
O tyle kroków grób swój przysporzył!
Czasem — w dodatku — słyszę oklaski —
Szczere czy zwodne — wszystko mi jedno!
Znam tych błyskawic przelotne blaski!

Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały — toć to szyderstwo!
Wasze pochwały! toć to bluźnierstwo!
Gdy syn rozpaczną pieśnią kołacze
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,
Możecież mówić, że ślicznie płacze?
Możecież mówić, że z czuciem śpiewa?
Jak ta łza syna na matki grobie
Też samą szczerość śpiew mój ma w sobie!
A więc porzućcie marne pochwały,
Gdy, pieśń ma święta jako łza syna. —
Nie takie wieńce wieczorem przystały!
Wieszcz takie wieńce depce, przeklina!
Duch jego wielki i wiecznie młody
Innéj — o! innéj! żąda nagrody!
Nagroda piewcy — to cisza owa
Święta, urocza, z któréj odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się knowa,
Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie!
Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi
I myśl-kwiat wkrótce owoc-czyn zrodzi!
Nagroda piewcy — to te spojrzenia,
Co świecą całym duszy wulkanem!
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia
Z westchnieniem długo w piersi stłumianem;
I owa chmura cieniąca czoła,
Z któréj połyska miecz Archanioła!
To mi nagroda!... ja'm ją odbierał!
W koło mnie stali bracia Farysy,
Każdy pieśń moją sercem pożerał,
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,
W krew tych serc wielkich. w ich myśli gniazdo
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą!
Farysy znikli! — głucho na stepach!
A w stepie życia, och! smutniéj jeszcze!
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze
Dmąc po wymianach czaszek czerepach!
On wszystko wywiał! — wszystko przewiało,
Co było cnotą, prawdziwą chwałą!
O! i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych!
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarń tyle,
Gdy głos Allaha budząc uśpionych
Na swoje rajskie zwoła ogrody, —
I ja niebiańskiéj doznam nagrody!

W tym Boskim raju, w tém siódmem niebie,
W waszéj ojczyznie, o! prawowierni!
Allah mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni
I zmiję tylą krwi przesiąkniętą,
Wyrwie mi z serca pamięć przeklętą!
I najcudniejsze wezwie dziewice
I rzeknie: służcie jak Padyszachu!
Ja, — i nie spojrzę nawet w ich lice, —
Ale z pokorą powiem: „Allahu!
Ja'm tylko prawdy szukał na świecie!
Czyż taką miłość znajdę w kobiecie?!
Niechcę huryssy! choćby piękniejszéj
Od téj, co'm niegdyś kochał na ziemi —
Lecz ja nie gardzę dary twojemi —
Ja tylko łaski błagam pełniejszéj...
Za wszystkie, wszystkie twoje huryssy
Niech wstaną moi bracia Farysy!....
I pozwól! pozwól choćby na chwilę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawnéj naszéj młodzieńczéj sile
Pobujać orlim lotem Farysów!
I piersi dawném orzeźwić biciem,
I dawném naszém zabłysnąć życiem!"
Allah wysłucha — wnet grzmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!!...
Widźcież raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biedne robaki!
Przyjdzie ochota do jazdy takiéj. —

Improwizacya.

Adama Mickiewicza.

Samotność — cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi!
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jéj ducha?
Nieszczęsny kto dla ludzi głos i język trudzi:
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką;
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb' nurtów docieką?
Gdzie pędzi, czy się domyślą? —

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojéj twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie niedolata,
Tylko o twoję mleczną drogę się uderzy;
Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich niezliczy, niezmierzy.

Wam pieśni ludzkie oczy, uszy niepotrzebne; —
Płyńcie w duszy méj wnętrznościach,
Świećcie na jéj wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże! ty naturo! dajcie posłuchanie: —
Godna to was muzyka i godne śpiewanie. —
Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie!
Wyciągam aż w niebiosa, i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem,
Milion tonów płynie; w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę.
Rozlewam je we wdziękach i w błyskawic wstęgach. —
Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.
Sam śpiewam, słyszę me śpiewy —
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą burzą,
I wieki im głucho wtórzą,
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie;
Mam go w uchu, mam go w oku,
Jak wiatr gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.
Boga, natury godne takie pienie!
Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie,

Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!
Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę;
Cóż Ty większego mógłeś zrobić — Boże?
Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,
Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą.
Już dalekie, czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję;
Kocham was me dzieci wieczne!
Myśli moje! gwiazdy moje!
Czucia moje! wichry moje!
W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,
Wy wszystkie moje!
Depcę was wszyscy poeci,
Wszyscy mędrce i proroki,
Których wielbił świat szeroki.
Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
Słyszeli, czuli, i za słuszne znali,
I wszystkie sławy każdodziennéj blaski
Promieniami na wieńcach swoich zapalali;
Z całą pochwał muzyką i wieńców ozdobą,
Zebraną z wieków tyla i z pokoleń tyla,
Nieczuliby własnego szczęścia, własnéj mocy,
Jak ja dziś czuję, w téj samotnéj nocy,
Kiedy sam śpiewam w sobie,
Śpiewam samemu sobie,
Tak! — czuły jestem, silny jestem i rozumny. —
Nigdym nie czuł jak w téj chwili —
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,
Dziś poznam, czym najwyższy, czylim tylko dumny
Dziś to chwila przeznaczenia,
Dziś najsilniéj wytężę duszy méj ramiona —
To jest chwila Samsona,
Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny.
Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —
Potrzeba mi lotu,
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dójdę, gdzie graniczą Stwórca i natura.

Mowa Polska.

przez

S. K.

Polska mowo ma kochana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkiemi
Promieniami tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony
Wszystkie dźwięki w sobie mieści,
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie cudzegoś rodu dziecię;
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona.
Lecz wprost z niebios twe poczęcie,
Tyś Bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona.

* * *

Wszelki kształt się zmienia, łamie,
Ty trwasz wieki niepożyta;
Wiecznie z ciebie bo wykwita
Bezpośrednio Boga znamię;
Z każdą myślą, a potrzebą,
Twój kwiat w nowe się rozplemia;
A co bujna zrodzi ziemia,
To na wieczność święci niebo:
I jak wszystko, co z przymierza,
Co z niebieskiéj tchnie opieki, —
Zawsze nowa, młoda, świeża,
A ta sama co przed wieki,
Na tle twojém błyszczy cecha.
W Pańskiéj służbie ochotnicy
Dziś śpiewają do Dziewicy,
Boga Rodzicy,
Jak śpiewali za Wojciecha.
I dziś naród, co z olbrzyma
W duch się rozwiał niewidomy,
W takie same tony ima
Gdzieś nad ziemią swych skarg gromy
Jako niegdyś, gdy widomie,
Idąc szlaki zwycięzkiemi,

Pan i Rządzca losów ziemi,
Z berłem w ręku, a w pokorze,
Głosił światu prawa Boże;
I przemówi nieinaczéj,
Gdy się znowu uprzytomni
W rządach świata, — gdy w rozpaczy
Padną przed Nim wiarołomni,
A On wszystkim wraz przebaczy.

Choć nam życia wciąż ubywa
I pękają sił ogniwa,
Ty królujesz po nad nami
W pełnym ducha majestacie;
A gdy do Cię my się sami
Wznieść nie możem, — Ty nam w porę
Schodzisz na dół w skromnéj szacie,
Wskrzeszasz zmarłe, cucisz chore,
Mdłe pokrzepiasz, -- brata w bracie
Poznać dajesz, — idziesz w gości
I do zamku i do chatki,
Wznosisz gnuśnych w powinności,
Gromisz braki, niedostatki,
Nie tą grozą co oniemia,
Lecz miłością, która stwarza.
Tyś nam prorok z ponadziemia,
Tyś nam kapłan u ołtarza,
Tyś nam rycerz co się łamie
Codzień z wrogiem, spiera, ściera, —
Bo gdzie tylko Polski znamię
Omdlewając skargi miota,
Gdzie bezbronny kraj sierota
W pomoc wzywa bohatera,
Gdzie obyczaj, wiara, cnota, —
Dawne Polski te rycerze, —
Już się chwieją, — tam tew ramię
Obyczajom, cnocie, wierze,
Znów do ręki oręż wciska,
Wznawia walkę i wciąż wiedzie
Śród zamętu bojowiska
Nasz znak górą a ną przedzie.

* * *

A my jakąż się odpłatą
Wywdzięczamy tobie za to,
Że nas moc twa ubezpiecza,
I za życie w grobie starczy?
My kazimy blask twéj tarczy,
Tępim ostrze twego miecza,
Sami wrogów wiedziem w bramy
Twéj warowni; — my szyderce,
Zawsze w własne godząc serce,
My się z ciebie naigrawamy: —
Wyszydzamy wiano złote,
Plon wiekowych twych zdobyczy,
Zwiem dziecińśtwem wstyd dziewiczy,
A prostactwem twą prostotę.
I nie pomni, że się w mowę, —
Ten narodu obraz żywy, —
Wszystkie cechy narodowe,
Wdzięki, chluby, chwały, dziwy,
W treść zbiegają, jak w krysztale
Rozpierzchnione światła fale,
I niepomni, że przystoi
Mężnych mowie hart ich zbroi,
I że tylko jednolita
Z całoszczepem w kwiat wykwita, —
My w to godzim, by w twą przędzę
Wsnuć szych obcy, obce nędze, —
Twoje wątki przeprząść na nić
Różno-barwnéj zwodnéj krasy,
Twój dźwięk rozbić w słów hałasy
By cię zgnuśnić, przedworzanić
W mdłą przesadę, — z twardéj stali
W puch przeminąć; — by zapasy,
Tylu wieków hojne żniwo,
Co ojcowie nam zebrali
Pracą ciężką a uczciwą,
Strwonić na raz, w mgnieniu oka.
I do szczętu w grze pustoty —
Wianem z tobą dan z wysoka
Przegrać posag szczerozłoty.

* * *

Lecz napróżno — my Kaimy —
Przeciw tobie, od kołyski
Aż do grobu, knujem spiski;
Bo lud własny — twój rodzimy —

Twoich ogniów wiecznie strzeże,
By Ablowe onych dymy,
Które niebu dzięki niosą,
Wprost do góry szły w ofierze.
On cię broni, chwali, święci,
Karmi manną swéj pamięci,
Poi czystych natchnień rosą;
On ochoczo a w mozole,
Miecz przy pługu dzierżąc w dłoni,
Wciąż uprawia twoją rolę,
By ją ziele nie obsiadło; —
A gdy nierząd ją wypłoni,
Gdy ją zbytek na przepadłą
W ugór puści, — wtedy z prawa
Znów ochotny na niéj stawa.
Sięga śmiało, aż w głąb ziemi.
Na wierzch żyzność wydobywa,
I zasiewy wiośnianemi
Znów obfite rodzi żniwa.

* * *

Więc miłujesz go jak matka,
Obejmujesz duszą całą,
Dzielisz się z nim do ostatka
Co z rozbicia ci zostało, —
Barwisz prace, koisz żale,
Łzy ozłacasz, — bo od syna,
Co na zbytek plon twój ścina,
Stokroć milszy ci w siermiędze
Syn ten młodszy, który w dziale
Dostał tylko trud i nędze.
Zawsześ przy nim jest widoczną,
Nieodstępną w każdéj porze, —
W pieśń go budzisz, gdy na zorzę
W niebie chóry nucić poczną
Hymn poranny. Kiedy orze —
I z skowronkiem — kiedy sieje,
Wyśpiewujesz mu nadzieję.
Nad żniwiarzów krążąc kołem, —
W rytm radości wiążesz społem
Z dźwiękiem sierpa, z tętnem kosy,
Złotodzwonne ziarnem kłosy.
Gdy na wieczór przy rodzinie
Sędzie razem u ogniska,
Kto płomieniem po ścian bieli

Strachy, dziwy, czary ciska?
Skąd im tyle pieśni płynie,
Czy od sierpa, czy od pługa?
Skąd się snuje powieść długa,
Razem z nitką od kądzieli?
Kto go w twarde kładzie łoże,
I usypia jak na puchu
W imie Boże?
Oczy zwiera, a dla słuchu
Wciąż nabożną pieśń mu dzwoni,
I po snu powietrznéj toni
Tęczowane toczy kręgi; —
Tłumnie na nich płyną z góry —
Świętych Pańskich sądne chóry,
Świętych dziewic jasne wstęgi; —
W górę rzędem fale biją,
Jakby żywą litaniją;
Na księżyca zgiętej łodzi
Przenajświętsza z wszystkich wschodzi, —
Nad jéj skronią gwiazd ogniwa
W skrzącą wiążą się koronę,
Z ramion w fałdach błękit spływa,
A z pod szaty wychylone
Na świat dłonie, — jakby cały
Wirem światła objąć chciały, —
Sypią każda snop promieni . . . . .
I już zorza się rumieni.

* * *

Jakiż, jakiż duch to żywy,
Wszystkie sny te, jawy, dziwy —
Wiecznie sieje i poczyna,
Z słowa rodzi, wciela w słowo?
Duch to — duch twój — ah! jedyna
Ty ojczysta polska mowo!

* * *

Nieśże, nieś twój lot na sioła,
Nad wieśniacze wzlatuj chaty,
Wzlatuj, słuchaj — kto cię woła;
To nie woła cię bogaty,
Ani miasta, — ni pałace,
W których próżność pokryjomu

Wytężyła wszystkie prace,
Aby wstawić — między ściany
Ojczystego twego domu —
Świat ci obcy, — świat nieznany.
W pośród zbytków i rozkoszy
Cudzoziemka tam macoszy
Dzieciom twoim; — młode serca
Trądem fałszu wskroś przewierca,
W płochych myśli poi źródle,
Na próżności stawia szczudle, —
Wszystko lśniące zwodnie, sztucznie,
Wszystko obce wielbić każe,
A co polskie to wygania;
Na około mnoży straże,
By ochronić swoje ucznie
Ot zetknęcia, od zbratania
Z pokornemi a cichemi,
Z tém, co innym nie zazdrości,
Lecz na własnéj polskiéj ziemi
Żyje w prawdzie i zacności.
Mijaj — niewchodź w te warownie,
Aż popchnięty w żal cudownie
Stary ród się upamięta,
I obczyzny skruszy pęta. —
Polska mowo ma kochana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkiemi
Promieniami tęczowana!
Twoj jedyny strój natchniony
Wszystkie dźwięki w sobie mieści,
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie cudzegoś rodu dziecie;
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona.
Lecz wprost z niebios twe poczęcie
Tyś Bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona.

Psalm Wiary.

Zygmunta Krasińskiego.

(Z Psalmów Przyszłości.)

Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła,
Któremi i Czasu i Przestrzeni sidła

Duch mój rozcina, w postępowym locie!
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie
Odpadać muszą — lecz on nie umiera —
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi!
On zwiędłe zrzuca a świeże przybiera —
I w nie otulon, znów na jaw się budzi —
A to się zowie, narodzin godzina!
I duch mój, wziąwszy skrzydła niezmęczone,
Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!
Tak coraz wyżéj ku Panu się wspina,
Ciała i dusze własne po za sobą
Sypie jak liście zżółkłe i strząśnięte,
Wciąga do siebie, siły im odjęte —
On sam wciąż żyje, ich zgonów żałobą!

Za nim przeszłości zmierzchające tonie —
Przed nim rozwarte wszechbezmiarów błonie!
Przed nim świat wszystek — Czas, przestrzeń bez końca
Piętra z dróg mlecznych i dni z lat tysiąca;
A daléj, wyżéj, nad niemi, za niemi —
Ten, co jest wszystkiem i wszysto obleka,
Duch twórczy gwiazdy, anioła, człowieka,
Cel a początek i nieba i ziemi;
Ten, który zawsze i wyżéj i daléj
Niedościgniety, nad wszystko się pali:
Spokój — a jednak razem siła tchnąca —
Blask najwyższego duchów, Ducha-Słońca!

K niemu wciąż dążę — zrazu tam iść muszę
Przez piekła trudu — przez czysca zasługi —
Aż zacznę wdziewać i ciała i dusze
Bardziéj promienne, i wstąpię w świat drugi!
W świat, co od wieków zwan okręgiem nieba —
I w nim letargów mi już nie potrzeba,
Ani przebudzeń z grobu, by iść wyżéj!
Tam żywot wieczny — żywot nieustanny —
Grób i kolebka konieczne, są niżéj
Na tych planetach, gdzie świt Ducha ranny,
Gdzie człowiek Boga niemowlęciem jeszcze,
I kwili tylko przeczucia swe wieszcze —
Lecz dla Aniołów, śmierci nigdzie nie ma!
Przeszłość i przyszłość ostremi oczyma
Widzą i znają — dla nich, przemienienie
To jedna chwila — to dalsze natchnienie!
Jak my na ziemi w godzinę zachwytu

Nikłą pieśń z serca czerpiem — tak tam oni
Kształt rzeczywisty czerpią z fal wszechbytu,
Szaty przemienne czerpią z życia toni,
I coraz daléj ku Panu — ku górze
Lecą w królewskiéj ciał i dusz purpurze!

W koło, niebieskich coraz więcéj darów,
Grzmiących dźwięczności i światła pożarów,
Mnożą się mleczne pierścienie i pręgi,
Coraz to szersze lazurowe kraje —
Przestrzeń pełniejszą potęg się wydaje,
Czas coraz bardziéj się przeteraźniejsza,
A jednak przyszłość co od końca dzieli
W nieskończoności swéj, nigdy nie mniejsza.
Bo Pan wszystkiego, jest wszystkiem na wieki,
Choć coraz bliższéj, on równie daleki!
Jego to, Jego, żądają Anieli!
Żądza bez miary co chwila rosnąca;
Miłość bez granic, to życie bez końca — !

On, ogniw wszechstworzenia wiązanym łańcuchem,
On Bytem, Myślą, Życiem — Ojcem, Synem, Duchem!
On jak Myśl w świecie mieszka i jak Byt wieczysty,
Lecz za świata krańcami, On jest osobisty.
On Duchem świętym, jednym, który wie sam siebie,
Rozlał się po wszéj ziemi a został na niebie!
A my wszyscy i wszędzie Jegośmy obrazem,
I wstępując stopniami w coraz wyższe włości,
Żyć musim nieśmiertelnie, z nim żyć musim razem,
Zrodzeni z Jego łona, żyć w Jego wieczności!
I jako On nas utworzył, tak my tworzyć daléj,
I z wewnętrza nas samych wyprowadzać światy,
By prząść mu jak nam uprządł widomości szaty.
O ile możem biedni, w Anielskiéj pokorze,
To coś Ty nam dał z łaski — oddawać Ci Boże,
A nigdy nie módz, nigdy, nic Ci oddać Panie,
I tak żyć w Tobie wiecznie, przez wieczne kochanie!

* * *

Lecz szkołą Duchów są Ludzkości dzieje —
Drogą do niebios, planety koleje!
Na nim to, na nim pójdą zasłużeni —
A wszyscy razem — do innych przestrzeni.
Gdy Syn Twój sędzia, zmartwychwstałych książę,
Losy téj ziemi w dzień sąda rozwiąże,

I z nich anielstwo ludziom wypromieni!
A do dnia tego wiodące tu wschody
To w łasce Twojéj poczęte narody! —
Garść im powołań sypnąłeś z wysoka —
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,
Co z piersi Twoich zesłanem jest tchnieniem
I narodowi odtąd — przeznaczeniem!
A są wybrane jedne przed innemi
By o Twą piękność walczyły na ziemi,
I krzyż lat wielu, wlokąc krwawym śladem,
Były śród świata anielskim przykładem!
Aż nie wywalczą straszną walką w grobie
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
Więcéj miłości i więcéj braterstwa,
W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

Takim jest naród Twój polski o Boże!
Kto cząstką jego — niech wie się Twéj woli
Cząstką na ziemi — i choć go świat boli
Tak, że aż wątpić o nadziei może,
Niech w tém cierpieniu wytrwa niesłychanem
Boć on zaprawdę w Twego Ducha chrzczony —
Boć on zaprawdę Twym ziemskim kapłanem,
Jeśli się cierniów niewstydzi korony,
Jeśli pojmuje że kochasz bezmiernie
Synów tych, których koronujesz w ciernie;
Bo cierń w krwi maczan — to kwiat wiecznotrwały —
I nim odmładzasz świat ludzkości cały!

* * *

Chrystus wciąż w tobie mieszka, o Ludzkości!
W twych piersiach żyje, w twoich losach gości,
Krwią twą, krew Jego i ciałem twem, ciało!
Stanie się tobie co Jemu się stało!
On wcielił w siebie wszystkie twe koleje,
On ci objawił wszystkie twe nadzieje.
Skądeś zrodzona: — z przeczystéj Dziewicy
Bo z myśli Bożéj, w Boże podobieństwo! —
Ku czemu idziesz: — ku Ojca stolicy. —
Przez co przejść musisz: — przez trud i męczeństwo!
A kiedy Chrystus nad Taboru szczytem
Już się otacza wieczności przedświtem,
Czy ty nie widzisz, co ten znak ci wróży?
Nim los twój ziemski, w pełni się dokona
I ty, Ludzkości, będziesz przemieniona!

Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórzy
Wszystko, co zwodzi i wszystko, co boli:
Zostawisz w dole, szatańswo niewoli;
Zostawisz w dole, kłamstwa opętanie;
Zostawisz w dole, tajemnic zawiłość —
A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną, nieskończoną miłość!
I z temi dwoma świętemi potęgi,
Jak Chrystus w światła wzbijesz się okręgi!
Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze;
Jak pióra, lekkie będą twe ramiona!
Ręce pokładniesz na białe powietrze
I w niem się ważyć będziesz — spowietrzniona! —

---

3) Sonety.

Do Sonetu

przez

Konstantego Gaszyńskiego.

Mały, skromny fijołku, łąk pieszczony kwiecie,
Motylu, co ci skrzydła złociła natura,
Kolibrze w szmaragdowe przystrojony pióra,
Świętojański robaczku, — polotny Sonecie!

Nieznany starożytnym, średnich wieków dziecię!
Gdy Europy ciemnoty otaczała chmura,
Tyś pierwszy obudzony harfą Trubadura,
Nowéj poezyi dźwięki rozgłosił po świecie.

Petrark śpiewne twe strofy odział szatą nową,
Gdy nad brzegami Sorgi, muza jego wzniosła
Wybrała cię do Laury za miłości posła.

Lubił cię stary Szekspir, wieszcz z myślącą głową,
I nasz wielki Mickiewicz, co śród twego rymu
Rozsypał dyjamenty, na ruinach Krymu!

Szekspir

przez

Konstantego Gaszyńskiego.

Stary orle poezyi, coś głową zuchwałą
Tracił gwiazd, gdzie wieszcz żaden dzisiaj nie dolata,

Coś z dzieł swych stawił pomnik dla podziwu świata,
Boś poznał serce ludzi jak Fidiasz ich ciało.

Tyś ni jak Dant (sięgając za olbrzymią chwałą)
Trudnym badaniom sztuki młode oddał lata,
Ni jak Bajron, żeglował po przestworzach świata,
Gdzie mu słońce Italii i Grecyi jaśniało.

Tyś sobie wszystko winien — z myśli twych chaosu
Jako Mojżesz ze skały — tyś wylał te rzeki
Poezyi, których fale popłyną przez wieki!

Tyś z własnéj piersi dobył olbrzymiego głosu,
Którego echo brzmiące harmonijną burzą
Najdalsze pokolenia na klęczkach powtórzą.

Natarcie konnicy na konnicę.

Z Sonetów Wojennych Stefana Garczyńskiego.

Znak do natarcia dany — wtém dwa ciała żywe
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wystrzeli,
Wolno się posuwają na wietrznéj topieli;
Coraz bliżéj nadchodzą krwi i mordów chciwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnał grzywę
I parsknał — okiem strzelił — i żywiéj i śmieléj
Kopytem dziarskim ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział że niesie wyroki szczęśliwe.

Marsz, marsz! trzeci raz słychać — patrz — na skrzydłach fali
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani
Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani. —

Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
Mięszają się — kto wygrał? — Nie rozpoznać w dali
Tamci pierzchli — z trupami zwycięzcy zostali!

Posterunek na stracenie

przez

Stefana Garczyńskiego.

„Wy idźcie! — Ja z wyborem zostanę młodzieży,
„Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci;
„Na znak ogień rozłożym i zapalim wici —
„Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

„Jeźli jutro z nas który do was nie przybieży,
„Dajcie na mszą, niech kapłan ołtarze wyświeci
„I za tych modły wzniesie co w polu zabici!“
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniéj — szerzéj.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowaną —
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
Na mszą dajcie! — Zabici — nie widać nikogo!

Sonety Krymskie.

Adama Mickiewicza.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynałem na suchego przestwór Oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi...
To błyszczy Dniestr, to węszła lampa Akermanu!

Stójmy!... Jak cicho!... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła...
W takiéj ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy, nikt nie woła!

CISZA MORSKA.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda:
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda.
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem

Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.

O myśli! w twojéj głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnéj burzy, —
A gdy serce spokojne, zatapia w niém szpony...

ŻEGLUGA.

Szum większy, gęściéj morskie snują się straszydła;
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnéj sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistéj zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale, i skróś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz z tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem.

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem co to być ptakiem...

BURZA.

Zdarto żagle, stér prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnéj gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił gieniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać;

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać....

GRÓB POTOKIÉJ.

W kraju wiosny pomiędzy rozkosznémi sady,
Uwiędłaś, młoda różo! bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady....
Dla czegoż na téj drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc jasne powypalał ślady?...

Polko! i ja dni skończę w samotnéj żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci!
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie:

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnéj ocuci,
I wieszcz samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy bliską mogiłę, i dla mnie zanuci.

BAJDARY.*)

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głazy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku:
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy śpieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitém zwierciedle, tak w mém spiekłém oku,
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi, mnie snu nie ma. Skaczę w morskie łona,
Czarny wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży:
Czekam, aż myśl jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pogrąży....

*) Bajdary, piękna Dolina ku południowemu brzegowi Krymu.

CZATYRDAH.

Drżąc muślemin całuje stopy twéj opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór Padyszahu![1])
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel[2]) pilnujący edeńskiego gmachu,
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam, czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko co mówi Bóg do przyrodzenia.

RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE.[3])

Te zamki połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie;
W nich gad mieszka, lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę, szukam herbów śladu;
Jest i napis: tu może bohatéra imię,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzemie,
Obwinione jak robak liściem winogradu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby,
Stąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza,
I Mekkański przybylec nucił pieśń niemaza:

Dziś, sępy czarném skrzydłem oblatują groby,
Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

AJUDAH.

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi

1) Padyszah, tytuł Sułtana. — 2) Gabryel, strasznik niebios, właściwie Rameh (Arcturus) według mitologii wschodniéj.

3) Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku zbudowanego niegdyś przez Greków z Miletu. Genueńczycy wznieśli tam potem twierdzę Cembalo.

Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi
Zdobędą ląd w tryumfie, i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wrzburza niepogody:
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twéj szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

III. Dział Dydaktyczno-Liryczny.

1) Pieśni treści Dydaktycznéj.

Nic na świecie statecznego.

Jana Kochanowskiego.

Chcemy sobie być radzi?
Rozkaż Panie czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przytym w złote gęśli, albo w Lutnią grają.

Kto tak mądry że zgadnie
Co nań jutro przypadnie?
Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek troszcze więcéj niźli trzeba.

Szafuj gotowym bacznie;
Ostatek jako zacznie,
Tak fortuna niech kona: raczyli łaskawie,
Raczyli też inaczéj? my siedziem w jéj prawie.

U fortuny to snadnie,
Że kto stojąc upadnie:
A który był dopiero u niéj pod nogami,
Patrzajże go po chwili, a on gardzi nami.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie:

A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Próżno ma mieć na pieczy
Śmiertelny wieczne rzeczy:
Dosyć na tym kiedy wie, że go to nie minie,
Co z przejrzenia Pańskiego od wieku mu płynie.

A nigdy nie zbłądzi,
Kto tak swój umysł rządzi
Jakoby umiał szczęście i nieszczęście znosić,
Temu mężnie wytrzymać, w owym się nie wznosić.

Chwalę szczęście stateczne:
Niechceli też być wieczne?
Spuszczę com wziął, a w cnotę własną się ogarnę,
I uczciwéj chudoby bez posagu pragnę.

Nie umiem ja, gdy w żagle
Uderzą wiatry nagle,
Krzyżem padać, i świętych przenajdować*) dary,
Aby łakoméj wodzie Tureckie towary

Bogactwa nie przydały,
Wpadłszy gdzie między skały:
Tam ja bezpiecznym sercem, i pełen otuchy
W równéj fuście**) popłynę przez morskie rozruchy.

Nadziei nie trzeba tracić.

Jana Kochanowskiego.

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złéj chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy,
Jako przez zimne czasy
Wszystkie swą krasę drzewa utraciły,
A śniegi pola wysoko pokryły.

Po chwili wiosna przyjdzie.
Ten śnieg znienagła zejdzie,

---

*) Jednać, ujmować. **) Równym biegiem.

A ziemia, skoro słońce jéj zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie:
Radość się z troską plecie;
A kiedy jedna weźmie moc nawiętszą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprętszą.

Ale człowiek shardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje;
Więc też kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi i powagę schyli.

Lecz na szczęście wszelakie
Serce ma być jednakie:
Bo z nas fortuna w żywe oczy szydzi,
To da, to weźmie, jako się jéj widzi.

Ty nie miéj za stracone,
Co może być wrócone:
Siła Bóg może wywrócić w godzinie;
A kto mu kolwiek ufa nie zaginie.

Do Pana Jana.

Ignacego Krasickiego.

Panie Janie!
W każdym stanie
Zyskać można:
Myśl ostrożna
Obrać umie,
Gdy rozumie,
I obiera.
Gdy otwiera
To w czém treści:
Więc boleści
Się ustrzega,
Zapobiega
W czém ma stracić,
W czém zbogacić
Ma się snadnie,
Łatwo zgadnie.
Więc ty o to
Zawsze z cnotą
Masz się starać:
Bo ukarać
Insze kroki
Bez odwłoki
Niebo może.
Cnota wzmoże,
A szalbierstwo,
Duma, zdzierstwo,
Źle prowadzi,
Zawsze zdradzi.
Cnota wdzięczy,
Cnota wieńczy,
Kto cnotliwy,
Ten szczęśliwy.

Do Pana Ignacego.

Ignac. Krasickiego.

Mój Ignacy,
Któż bez pracy
Zyskał szczęście
I zamęźcie,
Gospodarstwo
I handlarstwo?
Wszystko w czasie
Tam uda się,
Gdy kto szczerze
Rzeczy bierze,
Mocnie ima,
Co raz trzyma.

Nasz los igra;
Ten, co wygra,
Rzeczy mierzy.
A nie wierzy.
Trwałość, żywość,
A cierpliwość,
To bogaci;
A ten traci,
Kto się spuszcza
I opuszcza
Dobrą chwilę.
Słodko, mile,
Ten używa,
Który bywa
Zawsze czujny:
Bo zysk bujny,
Tam gdzie praca,
Ubogaca.

Chłopek.

Kazimierza Brodzińskiego.

Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.
Pracowity chłopek,
I żywi i broni,
Żywi jego snopek,
I strzecha osłoni.
Ostrzem jego kosy
Ozłaca się ziemia,
On na niéj wnet kłosy,
Wnet wawrzyn rozplemia.
Z wołkiem on w pokoju
Uprawia nam błonie,
Na koniku w boju
Pośpiesza w obronie.
Te błyszczące grody,
Te pańskie pałace,
Jego to zachody,
I jego są prace.
Jego jest ciężarem,
Co lekko pan trwoni,
On na to pod skwarem,
Z bydlęciem pot roni.
Z dziećmi on głodnemi
Te ziareczka zgania,
Które pan po ziemi
Za cacko roztrwania.
W pomoc kraju bieży,
Za pańskiemi syny,
Wszędzie on należy,
Prócz zysku i winy.
Sam po tyléj stracie
Od nędzy nas chroni,
W swojéj tylko chacie
Jéj mieszkać nie wzbroni.
Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.

---

2) Myśli i Epigrammaty.

Franciszka Morawskiego.

Dwie Podróże.

Młodzieńcze! dwie podróże czekają na ciebie:
Jedna z duszy w war świata — druga powrót w siebie.

Moda.

Nieszczęście nawet modzie podlega u ludzi:
Młode — rzewni, rozkwila, zestarzałe — nudzi.

Porównanie.

Czém jest wino w naczyniu, tém klasy w narodzie;
Z wierzchu szum, w środku czystość, a drożdże na spodzie.

Na autora Paszkwilów.

Dziwi cię to, oszczerco, że za podłą pracę
Żądanem dowcipnego nazwiskiem nie płacę:
Tak działasz, boś do wyższych niezdolny jest rzeczy:
Żaba śpiewać nie umie, to przynajmniéj skrzeczy.

Juliana Niemcewicza.

Dziecię na ręku starca.

Zeszły już starzec, gdy na ręku trzyma
Dziewczę ledwie trzechmiesięczną
Już się śmiejącą, z pięknemi oczyma,
Świeżą i ładną i wdzięczną,
Matka widząc z słodką chlubą
W objęciu starca dziecinę swą lubą
Zawoła· „Gdy się w ten obraz wpatruję:
Zda mi się, że noc jutrzenkę piastuje.“

Jana Kochanowskiego.

O szlachcicu polskim.

Jeden Pan wielmożny niedawno powiedział:
W Polsce szlachcic jakoby też na karczmie siedział,
Bo kto jeno przyjedzie, to z każdym pić musi,
A żona pościel zwłócząc nieboga się krztusi.

Myśli.

Adama Mickiewicza.

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę:
Trudniéj dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę.

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata,
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie:
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

Nauką i pieniędzmi drudzy się zbogacą;
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

Głupiec jak muł we młynie związane ma oczy,
I ciągle ruszając się, ciągle w miejscu kroczy.
Mędrcy prawdziwie wielcy jak niebieskie ciała,
Zdają się stać, gdy każde z nich leci i działa.



WYKAZ RZECZY.

Wzory Poezyi Opisowéj.

I. Dział Przedmiotowo-Opisowy.

1) Powieści Epiczne (Gawędy) i Epopeja.

2) Poezya Idylliczna.

II. Dział Liryczno-Epiczny.

Ballady, Romance i Dumy.

Adama Mickiewicza:

2) Legendy.

X. I. Hołowińskiego:

3) Powieści i Śpiewy historyczne.

III. Dział Dydaktyczno-Epiczny.

1) Bajki, Przypowieści, Allegorye i Powieści dydaktyczne.

Ignacego Krasickiego:

Juliana Niemcewicza:

J. I. Kraszewskiego:

2) Satyry.

Ignacego Krasickiego:

3) Właściwy poemat Dydaktyczny.

Wzory Poezyi Lirycznéj.

I. Dział Opisowo-Liryczny.

1) Pieśni Opisowe.

2) Dumki, Elegie i Treny.

3) Pieśni Epiczno-Liryczne, Sielanki i Gawędowe Obrazy.

II. Dział Czysto-Liryczny.

1) Liryka Niższa — Pieśni,

2) Liryka Wyższa — Hymny, Ody, Dytyramby,

3) Sonety.

III. Dział Dydaktyczno-Liryczny.

1) Pieśni treści Dydaktycznéj.

2) Myśli i Epigrammaty.



SPIS POETÓW,

których poezye w książce téj są umieszczone, wraz z wskazaniem stronnic, gdzie ich szukać należy.